

PAMIĘTNIKI CHŁOPÓW

36 1974

ZAKŁAD EKOLOGICZNY
Inst. Jana Kochanowskiego

4703

DRUKARNIA GOSPODARCZA
WARSZAWA, WSPÓLNA 54
T E L. 8-84-12 i 8-28-02.

Kiedyż zadnieje?

To pytanie gości obecnie na uściech chłopu polskiego, harującego od świtu do nocy i zrozpaczonego. A właściwie brzmi ono: kiedy skończy się kryzys! Ten straszny kryzys, który jednych, ongi zamożnych, postawił wobec ruiny; u innych w niwecz obrócił nadzieję wydobycia się ze szponów długu, zaciągniętego na kupno ziemi lub konia; jeszcze innych, którzy przed kryzysem biedowali, pogrążył w zupełnej nędzy, pozbawiając ich jakiejkolwiek możliwości zarobku. „Chłop bez butów, konie bez podków, a koła wozowe bez obręczy“ — oto dosadny obraz wioski, skreślony piórem jednego z pamiętnikarzy. „Nieraz bez ognia, bez światła, co więcej bez jada spać się kładziemy, a nazajutrz to samo — nieraz się modlimy, może kiedyś kryzys minie!“ . A jednak każdy z nich trwa w pracy na swoim zagonie i wiąże ciężki snop swego życia, jak w innych okresach wiązał go niegdyś jego ojciec i jego dziad. Wzorem mrówki, która nie opuszcza zniszczonego mrowiska, tylko natychmiast ima się jego odbudowy, tak samo chłop ongi krzątał się, aby spłacić rodzeństwo po objęciu schedy, harował, żeby kupić krowę, konia lub nabyć kawałek gruntu. Niezamożniejszy brał wszelki zarobek, który się nadarzał, a grosz zapracowany kładł w budynki, w inwentarz. Krzątał się z uporem, z wytrwałością mrówki.

Swego rodzaju siłacz! Pamiętniki przejęły mnie jak największem poważaniem dla tego źle odzianego, źle odżywianego dzisiaj, ale upartego siłacza-pracownika, który brak rzutkości i wiedzy rolniczej zastępował wysiłkiem i oszczędnością. Może znudzony niekiedy w trosce o jutro rzucił pytanie: kiedy zadnieje, przecież żywił nadzieję, że kiedyś to się stanie. Kryzys go powalił: ceny spadły, zarobków niema. Przez wiele lat spłacał dług zaciągnięty na szmat kupionej ziemi, dzisiaj sprzedaje go za pół ceny, ażeby ocalić się od nadmiernego ciężaru, i okazuje się, że mimo pozbycia się gruntów i spłat wieloletnich, jest jeszcze coś winien za tę dzisiaj już nie jego ziemię. Dawne dobrodziejstwa przekształcają się w przekleństwa: dobrodziejstwem była komasacja — chłop nie wątpił, że po latach pracy wydobędzie się z kosztów meljoracji i spłaci pieniądze, które pożyczył był na budynki na nowej sadybie. Obecnie nie może temu podolać. I „wprost spełniają się słowa ojców naszych, którzy mówili, iż przyjdą czasy, że ludzie od swych majątków uciekać będą“. Przygnębiony, nie pyta nawet, czy zadnieje, i haruje, ażeby nie dać się idącej od kryzysu nędzy. I znowu napozór staje się zadość życzeniu: byle byłaby polska wieś „zaciszna“, byle polska wieś „spokojna“. Tak, zaciszna od apatji, spokojna wśród głodu! Tylko tu i owdzie z pośród niej ktoś idzie na żebry. „Spotkałem młodego chłopaka, który z pobliskiej wsi wybrał się na żebry. Kiedy do mnie zaszedł, jako do pierwszego domu, gdzie mu wypadło mówić o wsparciu — zemdlał, zalał się łzami rzewnymi i wrócił do domu, a miał chorą matkę-staruszkę!“ Nie, nie jest spokojna. Młodzież nie godzi się z dzisiejszym stanem rzeczy. Jej niepokój na Kresach Wschodnich przybiera charakter zdziczały. Na tych Kresach, tak zaniebanych w ciągu dziesiątków lat za czasów okupacji rosyjskiej, tak opóźniających się w kulturze rolnej. Wyrostkowie i młodzież, trawieni przymusową bezczynnością, rzucają się w wir odurzenia, czerpią pieniądze na potrzeby kawalerskie tem, że ojcu żyta usypują,

niekiedy urządzają wyprawy w dalsze okolice. Kradną wszystko, co da się spieniężyć lub w stanie bezpośrednim użyć. Śmietaną i masło z piwnic rodziców, kury i prosięta z chlewów, uprząż ze stajni, ubranie z komory, drzewo z lasu — co się da. „Zbierzemy się gołota całej wsi i zabawiają się grając w karty. Kładą karty własnej roboty... zaczyna się gra w oczko... stawiają jednego papierosa do banku — hazard czeka przeciwnika. Jakich tam nie robi się nadużyć. Oszukują jeden drugiego... kiedy już kto wygra, ucieka za drzwi, przegrani go łapią, co często powoduje bójkę. Ja też gram... nawet hazardowo. W najwyższych chwilach trzęsę się jak w febrze, wszystko jedno jak idziesz pod gilotynę... czasem zechce się choć na chwilę zbawić z pod powszechnej męki duchowej, więc przybiegasz do sztucznej pociechy, do dzinaturatu. Choć w gardle drze się, lecz w głowie robi się jaśniej. Wesole... energja... Nazajutrz... całkowita depresja... Apetyt i sen traci się... To było niedawno, zaprosił mnie kolega w gościnę. Poszedłem — to już było wieczorem. W mieszkaniu kolegi już było kilkoro chłopów... Na stole stała butelka dzinaturatu obok niej szklanka i kawałek chleba... Po minach obecnych zauważyłem że były wielce zadowoleni i z niecierpliwością czekały chwili rozpoczęcia się hulanki. Gospodarz prosi za stół, wszyscy jakoś krępują się. Jeden drugiego szturcha, żeby załaził do kąta, lecz nikt nie chce, odmawiają się. Aż tu raptem trzas szyba w oknie i czyjaś ręka cap za flaszkę stojącą na stole i w mgnieniu oka znikła z powrotem. Na stole zapanowała pustka. Po mieszkaniu przeleciał wiatr“... Wogóle Kresy Wschodnie obfitują w jaskrawe obrazki. Mści się przeszłość, mści się kryzys obecny. Zdziczenie poczyna się już w pacholęctwie. „Młode pokolenie, wychowywane w fatalnych warunkach gdzieś w czystym polu przy krowach przy pasionce, będzie w przyszłości przedstawiało element najgorszego gatunku... Oto obrazek: grupa pasącej młodzieży, w be-stjalski sposób znęcała się nad krowami i jeżeli która zawiniła okrążali

ją dokoła całą gromadą i siekli batami bez miłosierdzia, lub wiazali je grupami po kilka sztuk i brali ich w t. zw. obławę... Zasiadali po czterech do gry w karty na pieniądze w t. zw. „oczko“, kradli od rodziców ostatni grosz... Brali z sobą w pole jajka kradzione, urządzali przysmaki, a nawet wydajali krowy w polu. Wyłapywali kury u sąsiada, wybierali ogórki, kartofle. Każdy przechodzień drogą nie był uniknięty. Każdego obsypywali epitetami. Drażnili. Przezywali. Wykrzywiali się na różne sposoby. Nie obeszło się tak żeby sąsiadowi nie wyrządzili w polu szkody... Oto był wypadek... grupa starszych podrostków pasły konie. Była już późna noc. Drogą szła staruszka 60 lat, zobaczyła na łące tabun koni, wyzwała ich na szelmy. Wtedy trzech drabów puściło się w pogoń za staruszką i jeden z tyłu ugodził ją kołkiem po głowie, drugi zaś poprawił kamieniem i na jutro był już trup“.

Winniśmy zaznaczyć z całym naciskiem, iż są to najjaskrawsze obrazki z całej wiazanki blisko półtysiaca pamiętników. Zaznaczamy po to, ażeby cień od nich nie padał na inne okolice. Ale musimy dodać, iż częściowo wszędzie działają pobudki, z których na Kresach wybujały takie chwasty. Kradzież urasta w napięcie bodaj powszechnie — kradzież jako protest zahukanego, zrozpaczonego, nieoświeconego człowieka przeciwko trapiącej go nędzy. „Kraść, innego wyjścia niema, gdy dzieci wołają chleba!“. To jest jedna z klęsk, które kryzys pozostawi po sobie. Drugą jest charłactwo fizyczne nieodłączne od niedojadania: kładzie się skutkami swemi na przyszłych obywateli, a dzisiaj działwę wioskową. „Ludzie głodują, od gęby odejmują i sprzedają, aby jaką złotówkę zdobyć. Żałuje się dzieciom kropli mleka, widziałem na swoje oczy, jak nauczyciele przyszli do kościoła z dziećmi na zakończenie roku szkolnego, podczas nabożeństwa mglaty (dzieci), nauczyciele wynosili na dwór, bo słabo są odżywiane, dziś na wsi połowa dzieci to jest chorych na gruźlicę, bo nieobute jak się

należy, nieobleczone, nienajedzone przemarznie, więc człowiek, który patrzy w przyszłość serce się kraje, bo jak tak będzie, to jaki z nas wyrośnie naród, sparczały, chorowity“ (woj. Białostockie, pow. Ostrów Mazowiecki). „To też patrzeć na ludzi jak wyglądają, jak rychło z młodych robią się zgarbionemi starcami — Pożal się Boże... a na poborze co dziesiąty ma przepisową wagę 60 kg. i jest zdolny do wojska... bo czy są zdolni do ciężkiej pracy na wsi w roli to nikt się nie martwi“ (woj. Kieleckie). I pamiętnikarz zrozpaczony woła: „Pozostaje jedyny ratunek w ograniczeniu przyrostu ludzi. Bez ograniczenia przyrostu biedoty ludzkiej, poprawy stosunków życiowych w Polsce niema się co spodziewać“. Do tego doszło w „zacisznej“, „spokojnej“ wiosce polskiej! Nawet o „Malthusie“ parokrotnie jest mowa w pamiętnikach — i on dotarł do wioski polskiej jako nazwa środków zapobiegawczych, — a także o różnych „babkach“...

W ten sposób pamiętniki, które miały być wizerunkami życia chłopów w różnych okazjach miejsca i czasu, stały się nadewszystko pamiętnikami chłopów w okresie kryzysu. Książkę niniejszą należałoby właściwie zatytułować „Pamiętniki chłopów w okresie kryzysu“. Kryzys zaciążył nad „spokojną“, „zaciszną“ wioską polską, przesłonił jej mieszkańcom jakiegokolwiek inne sprawy i z dnia na dzień zapuszcza do ich umysłów jad niechęci i nawet nienawiści. Kryzys? — jakaś to potęga nieznaną, chyba „djabelska“, może „rodem z Azji“! Jak burza gradowa gnana siłami nieczystemi w niwecz obraca zasiewy, tak ów dopust smaga klęskami każdy zakątek ziemi polskiej. A przedewszystkiem jest to potęga wszechwładna, a nieuchwytna, która zdaniem chłopów w swoją służbę przeciwko nim zaprzęga każdego, kto nie jest chłopem. A zatem służy jej nauczyciel wioskowy, bodaj i ksiądz proboszcz nie jest jej obcy, a napewno sekwestrator i pan policjant, nadewszystko zaś żyd-pośrednik — słowem każdy kto styka się z chłopem i w ten lub inny sposób wtrąca się do jego spraw i coś zabiera

z jego kieszeni. Wszystkie dawne obowiązki trwają niezmiennie, sztywne, mimo iż dobrobyt znika z chaty chłopskiej. Rzecz to jasna, iż kryzys oszczędza tych co nie są chłopami: ci umieją wywinąć się z jego szponów i zwalają jego ciężar z siebie na karki chłopskie. Sypią się dowody, że rzeczy istotnie tak się mają na wsi. Oto „przed wojną za korzec żyta gospodarz mógł kupić dobre buty odświętne, dzisiaj na takie buty trzeba dwa i pół korca; za korzec żyta mógł kupić 400 pudełek zapalek, dziś tylko 120 pudełek; za dwa korce żyta przed wojną mógł rolnik kupić pług, dzisiaj cztery i pół korca żyta. Przed wojną wszystko było dostosowane do produktów rolnych, dzisiaj jest całkiem odwrotnie, dzisiaj są ceny sztucznie wyśrubowane, ponad rzeczywistość prawdopodobną“. Nie brak obliczeń, oceniających ile jaj trzeba było dać dawniej a dzisiaj za pudełko zapalek, za kilo cukru, za litr nafty, za buty. Albo „kobieta na podziemnej robocie przy żniwach mogła zarobić 50 kopiejek i więcej, dzisiaj przy żniwach u nas płacono 1 zł. 50 gr., i to nie masz teraz nijakich prac. Człowiek siedzi w domu i myśli, że niepotrzebny nikomu“. Słowem, cały świat spiknął się przeciwko chłopom! Z pośród pamiętnikarzy ci, którzy trzeźwo widzą rzeczy i, nie przekształcają kryzysu w jakąś potęgę mistyczną, są nieliczni. Tem samem zaważyć nie mogą swemi zapatrywaniami na uprzedzeniach lub podejrzeniach bez liku, które chwila obecna pozostawia w umysłach dziesiątków i setek tysięcy włościan. Ci światlejsi pamiętnikarze również piszą o nieufności chłopów w stosunku do każdego będącego nie z chłopów: „te to stosunki ciągłych zmian na gorsze rodzą w świadomości chłopskiej ponure myśli, że wszystko się przeciw chłopu naradziło, by go zgnębić i zniszczyć i dlatego na wsi szerzy się niewiara do władz, niewiara we własne siły i przekłębta ciemnych (włościan) na Polskę“. „Nieraz taki jest, że ktoś chce dobrze uświadomić, jednak mu nie wierzą, bo już nieraz taki przyszedł i myśleli, że mówi prawdę, a on tylko wyzyskał, poszedł i nie wrócił więcej, więc rol-

nicy stracili zaufanie do obcych ludzi, którzyby chcieli nawet coś dobrego przeprowadzić“. A w dalszym ciągu kryzys przyćmił ujemne strony przeszłości, która zresztą przesuwa się w opowieści każdego pamiętnikarza, i przyczynił się do jej wyidealizowania. Pamiętnikarz tę przeszłość mierzy dobrymi cenami ówczesnymi, możliwością zarobku, obecnością w chacie kawałka chleba i lepszej okrasy, od czasu do czasu używaniem cukru. Jedynie starcy, którzy otarli się zbliska o wspomnienia po pańszczyźnie, zachowali umiarkowanie w narzekaniu na chwilę obecną. Natomiast ci, którzy dojrzewali w pierwszych latach Polski Niepodległej, wspominając owe „złote“ czasy, ztorzeczą chwili obecnej. „Po odzyskaniu niepodległości wieś zawrzała nowem życiem, rolnicy szli na wyścigi do postępu, rząd robił ulgi i dawał duże kredyty rolnikom na maszyny rolne, na zboże i bydło rasowe, na sady i budowlę. Rolnicy chciwie i chętnie łapali te kredyty i bez obawy, bo były złote czasy. A teraz...“ „Rolnik budował się, kupował narzędzia rolnicze, nawozy sztuczne, wogóle wszystko, co mu było potrzebne. Prawda, musiał ciężko pracować ale się nie smucił... Sam wygląd chłopaka pokazywał, że jest zdrowy i zadowolony... Te błogosławione lata były mniej więcej od roku 1925 do 1930 łącznie. Dziś“ ...

A więc różne „teraz“, różne „dziś“ ...

Owo „dziś“ cofa wieś wstecz do umiejętności od dziesiątków lat zapomnianych. A zatem jako oświetlenie służy „smarkatka“ (lampeczka), „kopciuszek“, „knotek“ lub na kominie „łuczyna“, lecz tylko do chwili spożycia wieczerzy, później uważa się je za zbytek. Zapalki dzieli się na dwie a nawet na cztery części, zresztą pradziadowskie krzesiwo wchodzi coraz bardziej w użycie. Chłop zawraca do obuwia z plecionek słomianych, z kory, nawet z drzewa.

A „teraz“? — Chleb na stole bywa z domieszką mąki jęczmiennej, nawet ziemniaków zepsutych, łubin. Przyprawia się rozmaite żury, polewki mączne na niesolonej wodzie, bo sól kosztuje.

cukier zastępuje się syropem buraczanym. A tam w głębi czasu, poza takimi „oswabkami“, jak lud warszawski zwał różne e r s a t z e wydawane za kartkami za okupacji niemieckiej, pamięć chłopca wskrzesza dawne pożywniejsze jadlo, inne buty, inny papieros i inną gorzałkę, daleką od używanego obecnie denaturatu—wskrzesza i tęskni do nich.

Pamiętniki chłopca znużą zwyczajnego czytelnika swoją jednostajnością, odbijając mocno od urozmaïcenia *Pamiętników* *beztrobotnych*. Wciąż trzepece się tutaj sprawa grosza — nie złotych, jeno grosza, sprawa okrasy z chudego mleka do kartofli, lub okrasy z cebuli. Wypływają ciężkie lata dziecięce, opromienione niekiedy nieprzepartą chęcią do nauki bez możności zaspokojenia jej. A dzisiaj sprawą poszukiwania pracy i nieznajdowania jej, niemożności sprzedaży ziemiopłodów, pokrycia podatków lub długów, które pęcznieją od niespłacanych odsetków. Ale są to przyczynki, z których można nauczyć się dużo, bardzo dużo, co do dróg i sposobów życia rzesz milionowych. Pamiętniki te powinny znaleźć się w rękę każdego męża stanu i każdego działacza i skierować ich wysiłki ku złagodzeniu skutków kryzysu, ku oczyszczeniu wioski od drobnych krzywd, nadużyć, wyzysków, których jest tam pełno, a które nie z kryzysu pochodzą. Niewątpliwie akcja oddłuzeniowa złagodzi na wsi wiele ciężkich sytuacji. Ale ileż powstrzymałaby ruin, ileż zaoszczędziłaby zmartwień, gdyby ukazała się już przed paru laty! Pamiętniki odślaniają niejedną sytuację, która domaga się takiej opieki. I dokonają jeszcze jednego: w umyśle czytelnika będzie potężniał podziw dla uporczywej a wytrwałej walki o kawałek chleba jaką toczy chłop, a podziwowi będzie towarzyszyła obawa, iż ze zgłodzonej dzisiejszej dziatwy wiejskiej nie zdoła wyrosnąć silne a zdrowe pokolenie przyszłych obywateli kraju.

W rozbiorze dotychczasowym słoczyły się pod naszym piórem jaskrawsze obrazy nędzy chłopskiej. Przyznajemy się jeszcze raz do tego grzechu. W każdej wiosce są chłopci — a chłopci: jedni zasob-

niejsi w morgi ziemi, inni siedzący na gospodarstwach karłowatych, jeszcze inni nie posiadający ani piędzi własnej ziemi. Uboższe odłamy przeważają zarówno w życiu jak i pomiędzy pamiętnikarzami, a ta okoliczność narzuciła zbiorowi nadesłanych przyczynków piętno posępnej opowieści o położeniu narazie bez wyjścia. Obrazy nędzy a niekiedy zdziczenia tam zawarte zasłoniły nam swoją obfitością rzadką opowieść charakteru jaśniejszego, zanadto wryły się w naszą wyobraźnię swoim wołaniem o pomoc, a nadewszystko poczuciem naszym, iż są wygórowanem wprawdzie, ale bądź co bądź odtworzeniem tendencji powszechnej: przecież nędza wśród jednych, kłopoty pieniężne i obawa wyzucia z ziemi wśród innych są w wioskach naszych dopustem, który nikogo nie oszczędził. Tylko w jednym wypadku stanowczo poczuwam się do obowiązku zdjęcia nieco ciemnych barw z opisu życia wioskowego. Chodzi o młodzież. Obrazom zdziczenia, tak wybuchającego na Kresach, należy przeciwstawić tak często wypływające w pamiętnikach z innych dzielnic parcie wśród młodzieży do wiedzy i wysiłki z jej strony nad podniesieniem wioski na wyższy poziom uspołecznienia. Zamiast o swawoli pijackiej i karcianej jest tam mowa o różnych organizacjach, naturalnie bardzo odmiennej wartości, ale organizacjach zgoła innego pokroju uczuciowego niż gromady zdziczałych wyrostków, lub starszej młodzieży na Wschodzie. (Zresztą i gdzieindziej zdarzają się tego rodzaju objawy ujemne, lecz swoim napięciem nie wysuwają się na miejsce poczesne). Ale gdy mowa o Kresach, należy o jednym pamiętać: nie mamy skali, któraby nam pozwoliła ocenić, w jakim stopniu subiektywizm pamiętnikarzy zgęstnił owe ciemne barwy. Mówimy o zgęszczeniu, bo swoją drogą nie wątpimy o tem że od tamtejszych stosunków wiejskich są nieodłączne w stopniu większym niż w innych dzielnicach objawy natury ujemnej.

*

*

*

Na dalszych stronicach książki niniejszej, tam, gdzie jest mowa wogóle o wszystkich pamiętnikarzach, ujęto w liczbach charakterystykę tych lub innych warunków ich bytu, lub właściwości osobistych. Z tych liczb okazuje się, iż wśród pamiętnikarzy odsetek tych, którzy siedzą całkowicie na wykupionej ziemi i tych, którzy tylko dokupili jakiś kawałek ziemi do posiadanego gruntu, dosięga pospołu 45^o/_o; że liczba tych, którzy bawili za zarobkiem na obczyźnie wynosi 15^o/_o, a liczba samouków nieco przewyższa 20^o/_o. Odsetki te niewątpliwie kształtują się pomiędzy pamiętnikarzami o wiele dodatniej, niż wśród ogółu ludności polskiej. Są świadectwem, że gdy chodzi o rzutkość, o energję, o wykształcenie, pamiętnikarze są powyżej, i prawdopodobnie bardzo powyżej, ogółu wieśniaczego. Z pośród blisko półtysiąca pamiętników wybraliśmy do druku w książce niniejszej zaledwie półsetki. Są to opowieści, które temi lub innemi swemi zaletami wyróżniają się dodatnio z pośród nadesłanych przyczynków. (Nadmienić należy, iż kilka największych pamiętników doczeka się w niedalekiej przyszłości również ogłoszenia). Wśród 51 pamiętnikarzy, których przyczynki zawarła książka niniejsza, 21,6^o/_o gospodaruje na ziemi kupionej, 19,6% zaś do gospodarstwa odziedziczonego lub do ziemi otrzymanej w posagu jeszcze coś dokupiło. Z pośród nich 17,6% przebywało czasowo na zarobku poza granicami kraju, w tej liczbie trzecia część w Niemczech, dwie trzecie w Ameryce, a piątą część, t. j. 20^o/_o tworzą samoucy^{*)}). Innemi słowy, dla tej gromadki odsetki rzutkości, wykształcenia i t. d. są niedalekie od odsetków dla ogółu pamiętnikarzy. A zatem pamiętnikarze, których przyczynki drukujemy, nie wyróżniają się pod względem swoich właściwości osobistych, przez

*) Co zaś do wykształcenia z pośród 51 pamiętnikarzy jedynie 40 dało jakieś szczegóły. Samouków wśród nich jest ośmiu. Jeden jest analfabetą (ojciec dyktował pamiętnik synowi), trzech dotarło do nieco wyższych szkół (do szkoły rolniczej, rzemiosł artystycznych i Uniwersytetu Ludowego w Szycach). Ale rdzeń, bo aż 27, poprzestało na wykształceniu w szkole powszechnej, przyczem olbrzymia większość nie przekroczyła jednego lub paru oddziałów.

nas w powyższem uwzględnionych, od tego ogółu, który nadesłał opowieść o swoim życiu. Jedni i drudzy zarówno pod względem wykształcenia, jako też rzutkości górują jednako nad swoim otoczeniem wiejskiem. Ale pomiędzy tym ogółem a gromadką, której utwory drukujemy, istnieje różnica duża — gromadka ta wyróżnia się swoim talentem, i to niekiedy rzetelnym talentem literackim, z jakim odtwarza drogi swojego życia, a także przejrzystością i umiejętnością powiązania myśli swojej.

Jeszcze jedno.

Oddaliśmy do druku nadesłane przyczynki bez jakichkolwiek zmian, gdy chodzi o treść w nich zawartą. Jedynie w paru wypadkach musieliśmy z konieczności usunąć miejsca, w których pamiętnikarz czynił wycieczki w sferę zgoła niegospodarczych zagadnień, i to przede wszystkim z powodu wyrażen zbyt dosadnych, a niestety stanowiących jądro wywodu. Mówimy: z konieczności, gdyż właśnie swoją drastycznością dawały jasne pojęcie o tem, jakie nastroje kłębią się i kotłują w umyśle chłopca. Natomiast uszanowaliśmy tok samego wykładu, choć niekiedy był mocno niejasny i szwankował co do powiązania myśli. Widzieliśmy w nim bowiem miarę wykształcenia pamiętnikarzy, w niczem go więc nie zmieniliśmy, nawet nie stawialiśmy znaków pisarskich, gdzie ich nie było acz być powinny. Natomiast inaczej ustosunkowaliśmy się do pisowni. Zależy nam bardzo, ażeby pamiętniki poniosły wiadomość o ciężkiem położeniu ludności wieśniaczej pomiędzy możliwie najszersze koła. Pozostawienie pisowni właściwej oryginałom mogłoby niejednego odstręczyć od odgadywania łamigłówek wciąż piętrzących się w rękopisach. Nadto, przeważająca większość pamiętników wyszła z pod ręki ludzi, którzy niekiedy chętnie obcowali z książką i według niej wzorowali swój język, usiłowali więc trzymać się jak najdalej od gwary miejscowej, która właśnie w charakterze gwary zasługiwałaby na uwzględnienie: byłby to przyczynek

do naszej znajomości osobliwości narzeczowych. Ale w ich przyczynkach zagnieździły się nadewszystko nie zwroty gwarowe, jeno błędy ortograficzne. Nie mieliśmy żadnego powodu do pozostawienia ich w niepokalanem brzmieniu. Natomiast, o ile zakradły się do pamiętnika właściwości gwary bardziej znamienne, pozostawialiśmy je, parę zaś pamiętników pisanych całkowicie w gwarze umieściliśmy bez zmian najmniejszych.

W imieniu Instytutu Gospodarstwa Społecznego pośpieszam złożyć podziękowanie wszystkim tym, którzy przyłożyli rękę do uporania się z treścią i oceną blisko pięciuset przyczynków mało czytelnych, zwłaszcza p. Stanisławowi Stempowskiemu, na którym spoczął ciężar największy.

L u d w i k K r z y w i c k i

Warszawa, dn. 1 marca 1935 roku.

NIECO O PAMIĘTNIKACH I PAMIĘTNIKARZACH

340

NIECO O PAMIĘTNIKACH I PAMIĘTNIKARZACH

Wiadomość o konkursie na pamiętnik chłopca docierała na wieś rozmaitemi drogami.

Przedewszystkiem poprzez prasę. Organ Stronnictwa Ludowego „Zielony Sztandar” wymieniany jest najczęściej. Po nim idą „Gazeta Grudziądzka”, „Wyzwolenie”, „Gospodarz Polski”, „Gazeta Chłopska” i „Chłopska Prawda”, rzadziej pisma rolnicze i spółdzielcze: „Przewodnik Gospodarski”, „Społem” i t. p. Kilku wspomina, że dowiedzieli się o konkursie z „Gazety Świątecznej”. Dwuch powzięło wiadomość z tygodnika „Pion”, jeden wyczytał ją w „Głosie Nauczycielskim”, w jednym wypadku podano tygodnik „Kobieta Współczesna”.

Do pamiętnikarzy młodych, skupionych w organizacjach młodzieżowych, wiadomość dochodziła przez organy związków: „Wici” są wymieniane bardzo często, rzadziej „Siew”, „Młoda Wieś”, „Strzelec”, „Gazeta Strażacka” bardzo rzadko.

Wielu pamiętnikarzy dowiadywało się o konkursie drogą pośrednią, a więc od sąsiadów, kolegów, nauczycieli, zaś młodzież na zebraniach swoich organizacyj. Na tych zebraniach omawiano nawet szczegółowiej sprawę pamiętników. Wynikały z tego powodu nawet starcia. Pisano zwierzenia najczęściej w tajemnicy i tej tajemnicy zazdrośnie strzeżono. Jedna z pamiętnikarek, członkini koła Młodzieży Wiejskiej, pisze: „po chwili namysłu odzywam się do kolegów — ja spróbuję tego szczęścia, może mi się uda, a jeden z kolegów powiada — gdzie tam babom zabierać się do pisania pamiętnika, dużo baby zastanawiają się nad życiem, umią tylko przy kuchni

rządzić i nic więcej! Aha! pomyślałam, przez ciebie ptaszku przemawia zazdrość i chytryść, bo jestem pewna, że zaczniesz pisać, bo nie nadarmo tak oczy wytrzeszczasz i ucho nastawiasz do mówiącego kolegi, więc boisz się żebym nie napisała od ciebie lepiej. Gdy on powiedział, że baby nic nie wiedzą, tem ja większych chęci nabrałam, by postarać się że i „baby” coś umią. Między nim a mną był zawsze wyścig, a teraz mam być za jego plecami — nie! — na to nie pozwoli moja ambicja!”

Myśl pisania pamiętnika dojrzewiała niekiedy zwolna, może w toku wymiany zdań. Tu i owdzie spotykamy wzmianki, świadczące o takiej ewolucji, gdy chodzi o zrozumienie istoty konkursu. Stąd także płyną częste dopiski, uzupełnienia, bądź załączane odrazu do pamiętnika, bądź przesyłane później. Wogóle łatwo odróżnić pamiętniki pisane przez tych, którzy o konkursie dowiedzieli się przypadkowo, od bliższych czy dalszych znajomych, od pamiętników, powstających pod bezpośredniem wrażeniem tekstu odezwy. Wiadomość z drugiej ręki wysuwała na miejsce poczesne sprawę nagród i ich wysokość, stąd u takich pamiętnikarzy niezrozumienie intencji i społecznego znaczenia pamiętnika, a szukanie doraźnej, osobistej korzyści przez podjęcie trudu pisania zwierzeń — o jednej jakiejś zgryzocie rodzinnej, o zadłużeniu, położeniu bez wyjścia, na jednej, dwu stroniczkach papieru listowego.

Rękopisy nadchodziły w ciągu paru miesięcy, częstokroć z daleka — z Wołynia i Wileńszczyzny, ze wsi „zabitych deskami od świata”, z kolonij powstałych na skutek akcji osadniczej, gdzieś z głuchych lasów, oddalonych o kilkanaście i więcej kilometrów od urzędu czy agencji pocztowej. Gazety są tam rzadkością, sołtys do wsi przynosi pocztę raz na tydzień czy raz na dwa tygodnie. Stąd zrozumiałe opóźnienia w nadsyłaniu rękopisów. Ktoś podaje np. jako przyczynę opóźnienia, że numer gazety z października wpadł do jego rąk dopiero przy końcu listopada.

* * *

Instytut Gospodarstwa Społecznego, ogłaszając jesienią 1933 r. konkurs na „Pamiętnik Chłopa”, naogół nie spodziewał się obfitego plonu z tej swojej inicjatywy i raczej był skłonny do przypuszczania, że ludność wiejska nie weźmie tak licznie udziału w tym konkursie, jak bezrobotna robotnicza w ogłoszonym przed dwoma laty konkursie na „Pamiętnik Bezrobotnego”. Liczono się nadto

z trudnościami dotarcia wiadomości o nim do rzesz włościańskich. Instytut odwołał się do pomocy prasy, przede wszystkim rolniczej, a częściowo usiłował dotrzeć na wieś poprzez organizacje oświatowo-społeczne, działające na terenie wiejskim. Ale bodaj nie wszędzie mu się powiodło, gdyż są powiaty, szczególnie w województwach wschodnich, a nawet w środkowych, z których nie nadesłano ani jednego pamiętnika. Jednak, pomimo istnienia takich białych przestrzeni na mapie, odpowiedzi posypały się w wielkiej obfitości ze wszystkich stron, nawet z najbardziej odciętych od świata zakątków. Chłop nękany skutkami kryzysu gospodarczego jał wywnętrzać się z swoich trosk i pragnień. Niemal we wszystkich pamiętnikach autorzy wyrażają radość, że ktoś się znalazł, co zainteresował się życiem ludności wiejskiej. Ogółem nadeszło 498 pamiętników — pierwszy już w parę dni po ogłoszeniu konkursu, niewiele większy od zwykłej kartki pocztowej, ale następne były obszerniejsze, niekiedy aż do kilkuset stronicowych foljałów, zapisanych pracowicie drobnym maczkiem, a cofające swoją opowieść na kilka pokoleń wstecz.

Najwięcej pamiętników pochodzi z województw środkowych (252 pamiętniki) i południowych (139 pamiętników), w tej liczbie lubelskie i krakowskie nadesławszy po 75 pamiętników, wyprzedziły wszystkie inne (tablica Nr. 1). Najslabiej odezwały się wschodnie (48 pamiętników) i zachodnie (59 pamiętników), przyczem województwo śląskie dostarczyło tylko dwóch pamiętników, poleskie czterech, wołyńskie ośmiu. Rozmieszczenie pamiętnikarzy według powiatów przedstawia mapa, podana w załączniku. Gdy się przegląda pamiętniki, przed nami przesuwają się jakgdyby w kalejdoskopie właściwości różnych dzielnic kraju. Każda okolica przemawia swoją gwarą. Wprawdzie znaczna większość pamiętnikarzy usiłuje wzorować swój język według modły literackiej, ale poprzez błędy natury ortograficznej wydstaje się na wierzch jakiś „rejski” zamiast reńskiego, w „kojcu” zamiast w końcu, jakiś „psykry” zamiast przykrego. Nie brak i przyczynków w całej pełni noszących na sobie piętno gwary miejscowej. A także przesuwają się odpowiednio do dzielnicy przed nami jakgdyby inne sposoby podejścia do przedmiotu. Przykuwa do siebie uwagę praktyczna trzeźwość wielkopolan, w Małopolsce Zachodniej pamiętnikarze bardzo chętnie zwróciliby się ku zagadnieniom natury politycznej, na Kresach zabarwia pamiętniki jakiś stosunek ironiczny do własnej pisaniny i jej celów. I w b. Kongresówce pamiętniki włościan z okolicy wielkich miast, a więc

Tablica 1.

Pamiętnikarze według stosunku swego do ziemi

Dzielnice	Liczba ogólna pamiętnikarzy	Liczba pamiętnikarzy, którzy nie podali informacji o posiadanej ziemi	Pamiętnikarze, którzy podali informację co do ziemi									
			Ogółem	Nie posiadają ziemi	Posiadają ziemię							
					Ogółem	Nie wymieniają obszaru	Wymieniają obszar posiadanej ziemi					
							Ogółem	w tem				
				do 2 ha	2—5 ha	5—10 ha	10—20 ha	ponad 20 ha				
O g ó ł e m	498	39	459	53	406	43	363	80	111	102	60	10
W woj. Środkowych	252	21	231	26	205	20	185	27	56	60	38	4
w woj. Warszawskim	37	6	31	4	27	1	26	3	5	5	11	2
„ „ Łódzkim	50	5	45	4	41	3	38	6	13	12	6	1
„ „ Kieleckim	54	3	51	5	46	3	43	8	17	15	3	—
„ „ Lubelskim	75	2	73	10	63	6	57	7	14	24	11	1
„ „ Białostockim	36	5	31	3	28	7	21	3	7	4	7	—
W woj. Wschodnich	48	7	41	5	36	5	31	4	10	10	7	—
w woj. Wileńskim	21	1	20	3	17	1	16	3	4	5	4	—
„ „ Nowogródzkim	15	4	11	—	11	3	8	1	3	3	1	—
„ „ Poleskiem	4	—	4	—	4	1	3	—	2	1	—	—
„ „ Wołyńskim	8	2	6	2	4	—	4	—	1	1	2	—
W woj. Zachodnich	59	2	57	16	41	3	38	7	1	12	12	6
w woj. Poznańskim	37	1	36	8	28	2	26	4	1	8	8	5
„ „ Pomorskiem	20	1	19	8	11	1	10	2	—	3	4	1
„ „ Śląskiem	2	—	2	—	2	—	2	1	—	1	—	—
W woj. Południowych	139	9	130	6	124	15	109	42	44	20	3	—
w woj. Krakowskim	75	6	69	3	66	5	61	21	29	10	1	—
„ „ Lwowskim	39	2	37	1	36	6	30	14	9	7	—	—
„ „ Stanisławowskim	10	—	10	1	9	1	8	4	3	—	1	—
„ „ Tarnopolskim	15	1	14	1	13	3	10	3	3	3	1	—

Warszawy i Łodzi, wyróżniają się z pośród innych, z Lubelszczyzny zaś mówią swoim duchem o dawnej pracy ludowców pomiędzy włościanami.

Tablica Nr. 1 daje pojęcie o tem jak pamiętnikarze byli uposażeni pod względem ziemi. Na 498 pamiętnikarzy 39 nie podało w swoich przyczynkach żadnej informacji o tem czy posiadają własny zagon ziemi, i my nie wiemy czy w tych wypadkach mamy do czynienia z bezrolnymi, czy też z gospodarzami-posiedzicielami. Z pośród pozostałych 53 nie posiadało wcale ziemi, t. j. 11,5% ogólnej liczby pamiętnikarzy, którzy podali informacje w sprawie posiadania ziemi. Nadto 43 pamiętnikarzy nie wymieniło obszaru posiadanej ziemi.

Pozostaje 363 pamiętnikarzy-posiedzicieli, którzy podali dane liczbowe o posiadanej ziemi. Warto przyjrzeć się w jakim stopniu ci pamiętnikarze byli w nią uposażeni. Otóż 22,0% siedziało na gospodarstwach karłowatych, t. j. liczących poniżej 2 hektarów; 30,6% władało ziemią zawierającą 2 — 5 hektarów, 28,1% od 5 do 10 hektarów, 16,5% od 10 do 20 hektarów i zaledwie 2,8% posiadało powyżej 20 hektarów. A zatem pod względem ilościowym przeważa włościanin mniej zamożny: 80,7% ogółu pamiętnikarzy posiadało warsztaty rolne o obszarze poniżej 10 hektarów, są to gospodarstwa karłowate, małorolne i prawdopodobnie niewielki odłam włościan, których moglibyśmy nazwać średniorolnymi, ale z pośród odłamu najmniej zamożnego. (Naturalnie powyższa ocena zamożności, oparta na rozległości gospodarstw, w poszczególnych wypadkach pozostawia dużo do życzenia: parę hektarów w obrębie loessu w Sandomierskiem więcej daje plonów niż dziesięć w Puszczy Zielonej na Kurpiach). Naogół, województwa południowe, a właściwie Małopolska Zachodnia, wyróżniają się znaczniejszym odsetkowym udziałem rolników małorolnych. Ale wszędzie — w różnym odsetku — odpowiadali przedstawiciele wszystkich grup własności rolnej, od gospodarzy karłowatych do mających po włoce ziemi i więcej. Nie zabrakło i bezrolnych.

Nastrecza się pytanie czy i w jakim stopniu odsetki, przypadające wśród pamiętnikarzy na różne kategorie zamożności, odchylają się od odsetków dla tych samych kategorii wśród ogółu włościan w każdej z dzielnic kraju.

Ujęła tę sprawę w liczby tablica Nr. 2: w każdej z czterech dzielnic kraju naszego, według rubryk wielkości, układa z jednej strony gospodarstwa pamiętnikarzy, z drugiej ogół gospodarstw jaki

Tablica 2.

Gospodarstwa rolne według swojej wielkości wśród pamiętnikarzy (konkurs)
a ogółu włościan (spis)
w odsetkach

Dzielnice		Ogółem	w tem gospodarstwa, których powierzchnia wynosi				
			do 2 ha	2—5 ha	5—10 ha	10—20 ha	powad 20 ha
Woj. Środkowe	spis	100,0	22,3	30,0	31,7	13,6	2,4
	konkurs	100,0	14,6	30,3	32,4	20,5	2,2
Woj. Wschodnie	spis	100,0	13,9	36,4	33,0	13,3	3,4
	konkurs	100,0	12,9	32,3	32,3	22,5	—
Woj. Zachodnie	spis	100,0	44,9	14,5	14,5	17,7	8,4
	konkurs	100,0	18,4	2,6	31,6	31,6	15,8
Woj. Południowe	spis	100,0	54,3	33,1	10,2	2,0	0,4
	konkurs	100,0	38,5	40,4	18,3	2,8	—

znaleziono tam podczas spisu 1921 roku (w odsetkach). Porównanie to szwankuje pod jednym względem, a mianowicie kilkunastoletni okres czasu oddziela nasz konkurs od spisu 1921 roku, a ta okoliczność nie mogła pozostać bez wpływu na stosunek ilościowy różnych kategorii własności rolnej — urosły prawdopodobnie w liczbę kategorie niższe własności chłopskiej z uszczerbkiem wyższych. Liczby dotyczące Kresów Wschodnich posiadają małą wartość: ludność bowiem wiejska w chwili spisu dopiero wracała do domów po paroletniej tułaczce w Rosji, a ci którzy już osiedlili się byli na dawnych swoich sadybach, lub uchronili się przed przymusowem wyjściem i pozostali w domu, na wszelki wypadek wskazywali grunta będące jeszcze bez właścicieli jako swoje. Z temi zastrzeżeniami zwracamy się do rozbioru liczb tablicy Nr. 2. Po usunięciu z pod rozpatrzenia Kresów Wschodnich, w dzielnicach pozostałych, wśród pamiętnikarzy w porównaniu z ogółem włościan, punkt ciężkości przesunął się wyraźnie w kierunku wyższych kategorii zamożności. Dążność ta wystąpiła najjaskrawiej w województwach zachodnich: włościanie karłowaci i małorolni poniżej pięciu hektarów są tam reprezentowani wśród pamiętnikarzy w stosunku o wiele mniejszym, niż wśród ogółu włościan. Natomiast co do wyższych kategorii odsetek wśród pamiętnikarzy jest większy niż wśród ogółu włościan. Innemi słowy, średnia wielkość posiadanego gruntu u pamiętnikarzy jest powyżej takiej samej średniej, wyprowadzonej dla ogółu gospodarzy włościan. Dążność ta zarysowuje się i w innych dzielnicach, choć nie w tak wygórowanem napięciu. Wyjątek jedynie tworzą Kresy Wschodnie — dla powodów już wyłuszczonej. Zaznaczyliśmy

również, iż od czasu spisu 1921 roku punkt ciężkości co do rozmiarów gospodarstw włościańskich przesunął się prawdopodobnie nieco ku niższym kategorjom własności. Przy takim przypuszczeniu dążność powyżej wytknięta występowałaby jeszcze jaskrawiej, gdybyśmy zamiast owego spisu z r. 1921 rozporządzali liczbami dotyczącymi stosunków gospodarczych na wsi w chwili obecnej.

* * *

Z kolei następuje się pytanie w jakiej drodze pamiętnikarze doszli do posiadania ziemi.

Odpowiedzi na to udziela tablica Nr. 3. Rdzeń główny, to pamiętnikarze, którzy posiadli ziemię tytułem dziedzicznym, przyczem po ojcach bądź brali całe gospodarstwo, bądź w razie liczniejszego rodzeństwa, tylko część jakąś. Ale niezawsze poprzestawali na tem co otrzymali byli w schedzie: często coś dokupywali lub dostawali w posagu. Niektórzy siedzą na ziemi otrzymanej w posagu, którą rozszerzyli niekiedy drogą dokupna jakiegoś szmatu ziemi. Wogóle obraz jest pod tym względem dość złożony, jak o tem świadczy tablica Nr. 3. Co do źródeł pochodzenia swojej własności wypowiedziało się 294 pamiętnikarzy. Na gospodarzy siedzących na ziemi odziedziczonej, choć w niektórych wypadkach powiększonej dzięki dokupnu, przypada z tej liczby aż 54,7%; na tych którzy gospodarują jedynie na ziemi otrzymanej w posagu, choć nieraz powiększonej w drodze dokupienia, 14,6%. Pamiętnikarzy, którzy siedzą wyłącznie na ziemi kupionej, było 28,6%, nadto 16,7% przez dokupno powiększyło rozmiary swego gospodarstwa, do którego doszli w drodze spadku lub posagu. Innemi słowy, 45,3% z pośród ogółu pamiętnikarzy gospodaruje na ziemi kupionej w całości lub powiększyło swoją posiadłość przez dokupno paru lub kilku morgów. Ten odsetek pamiętnikarzy, którzy całkowicie nabyli posiadaną ziemię, lub dokupili jakiś szmat ziemi i w ten sposób powiększyli swoją własność, jest zwłaszcza wysoki wśród gospodarstw 5—10 hektarowych, gdzie sięga aż 56,0%. Dalsze kategorje własności choć nie dosięgają tej wysokości odsetka gdy chodzi o grunta kupione lub dokupione, przecież są powyżej średniej dla ogółu pamiętnikarzy.

Taki wysoki odsetek wśród pamiętnikarzy tych, którzy gospodarują na ziemi kupionej przez siebie częściowo lub całkowicie, każe się zgóry domyśleć, że nie mogli byli tego dokonać bez zaciągania pożyczek.

Wieś jest zadłużona. Gospodarstwa rolne uginają się pod cięż-

Tablica 3.

Pamiętnikarze według sposobów dojścia do własnej ziemi

Kategorie pamiętnikarzy	Liczba ogólna pamiętnikarzy	Pamiętnikarze, którzy podali wiadomość, iż posiadają ziemię							
		Ogółem	Nie wymienianją obszaru posiadanej ziemi	Wymieniają obszar posiadanej ziemi					
				Ogółem	w tem				
					do 2 ha	2 — 5 ha	5 — 10 ha	10—20 ha	ponad 20 ha
O g ó ł e m	498	406	43	363	80	111	102	60	10
1. Pamiętnikarze, którzy nie posiadają ziemi (53) lub nie podali informacji o niej (39)	92	—	—	—	—	—	—	—	—
2. Pamiętnikarze - dzierżawcy	6	6	—	6	2	1	3	—	—
3. Pamiętnikarze, którzy mają własną ziemię	400	400	43	357	78	110	99	60	10
a) Odziedziczoną po ojcach	161	161	8	153	25	56	40	27	5
tylko odziedziczoną	102	102	7	95	17	33	24	18	3
odziedziczoną, oraz otrzymaną w posagu	22	22	1	21	4	11	3	3	—
odziedziczoną, oraz dokupioną	26	26	—	26	4	9	6	5	2
odziedziczoną, oraz otrzymaną w posagu i dokupioną	11	11	—	11	—	3	7	1	—
b) Otrzymaną w posagu (prócz tej, którą wymieniono w rubryce a)	43	43	1	42	12	14	10	6	—
tylko otrzymaną w posagu	31	31	1	30	11	10	6	3	—
otrzymaną w posagu oraz dokupioną	12	12	—	12	1	4	4	3	—
c) Kupioną (prócz tej, którą wymieniono w rubrykach a i b)	84	84	2	82	19	20	25	15	3
d) Otrzymaną z tytułu ustawy o osadnictwie	6	6	1	5	2	—	—	2	1
e) W pamiętniku nieoznaczoną co do swego pochodzenia	106	106	31	75	20	20	24	10	1
Z pośród posiadających własną ziemię wchodziło w posiadanie całej lub części swojej własności									
dziedzicząc	161	161	8	153	25	56	40	27	5
otrzymując w posagu	76	76	2	74	16	28	20	10	—
kupując	133	133	2	131	24	36	42	24	5
otrzymując z tytułu ustawy o osadnictwie	6	6	1	5	2	—	—	2	1

zarem długów, zaciągniętych bądź w instytucjach kredytowych bądź u osób prywatnych. Niemal wszyscy pamiętnikarze, którzy wzmiankują o zadłużeniu, pozaciągali długi w okresie pomyślniejszej konjunktury gospodarczej. Ceny na produkty rolne kształtowały się wtedy pomyślnie i chłop nie wahał się zaciągnąć dług na dokupno ziemi, na spłaty rodzinne, na inwestycje gospodarcze, lub na inne cele. Spłacenie tego długu przy ówczesnych cenach leżało całkowicie w granicach jego możliwości. Ale kryzys obniżył ceny na wytwory gospodarstwa wiejskiego nieraz o 50% i więcej, natomiast ciężar zadłużenia, które pozostało bez zmiany bez względu na zmniejszone płatnicze możliwości gospodarstwa, tem samem wzrósł kilkakrotnie. Rolnik stanął w obliczu ruiny: nie może nietylko uiścić długu, najczęściej zaciągniętego na krótki termin, ale nawet nie jest w stanie opłacić narastających z miesiąca na miesiąc odsetków lichwiarskich.

Po szczegóły tego obdłużenia zwrócimy się do tablicy Nr. 4.

Tablica 4.

Obdłużenie pamiętnikarzy

Wyszczególnienie	Wszyscy pamiętnikarze	w tem pamiętnikarze zamieszkałi w województwach			
		Środko- wych	Wschod- nich	Zachod- nich	Połu- dniow- ych
Ogólna liczba pamiętnikarzy . . .	498	252	48	59	139
Pamiętnikarze, którzy nie podali wiadomości o zadłużeniu . . .	329	168	35	38	88
Pamiętnikarze, którzy podali wia- domość, że są zadłużeni . . .	169	84	13	21	51
w tem:					
w instytucjach kredytowych . . .	39	12	5	7	15
u osób prywatnych	38	22	2	2	12
w instytucjach kredytowych i u osób prywatnych	33	17	2	4	10
nie wiadomo dokładnie gdzie . . .	59	33	4	8	14
Liczba pamiętnikarzy, którzy wy- szczególnili dokładnie sumę za- dłużenia oraz obszar posiada- nej ziemi,	132	67	9	13	43
Przeciętne zadłużenie w złotych przy- padające:					
na pamiętnikarza	2.565	2.347	950	8.831	1.350
na ha ogólnego obszaru.	382	313	144	612	426

Z pośród ogólnej liczby 498 pamiętnikarzy, 169, t. j. 33,9%, zaznaczyło, że są zadłużeni, a z pośród nich 140 zamieściło dokładne informacje o tem zadłużeniu. Prawdopodobnie odsetek pamiętnikarzy zadłużonych jest większy, gdyż wielu nienaprowadzonych na myśl o długach, zaniedbało wzmianki o nich, choć poświęciło dużo miejsca opisowi innych spraw, częstokroć mniej ważnych. To też odsetek 33,9% w żadnym wypadku nie może posłużyć do jakichkolwiek uogólnień w tej mierze. Ze względu na małą liczbę informacji dokładniejszych o zadłużeniu, niepodobna zagłębiać się w obszerniejszy rozbiór zebranego materiału ani też nie można mu nadawać znaczenia danych charakteryzujących stosunki typowe, gdyż na to materiał jest zbyt ułomkowy. Poprzestańmy na ujęciu materiału o zadłużeniu w kilka zaledwie zestawień. Tablica Nr. 4 uwidocznia rozmieszczenie zadłużonych pamiętnikarzy według dzielnic. Największy odsetek pamiętnikarzy, którzy podali, że są zadłużeni, przypada na województwa południowe (36,7% ogólnej liczby pamiętnikarzy w tych województwach), najmniej na wschodnie (27,1%), zachodnie zaś (35,6%) i środkowe (33,3%) prawie się równoważą, zajmując miejsce środkowe. Co do zadłużenia w średnim na hektar najbardziej są obdłużone gospodarstwa pamiętnikarzy w województwach zachodnich (około 612 zł. na hektar), najmniej we wschodnich (około 144 zł. na hektar), ale i wartość ziemi jest tam odmienna *).

Tablica Nr. 5³ podaje dane uzupełniające co do zadłużenia. Mianowicie rozpatruje obdłużenie przypadające na jedno gospodarstwo oraz na hektar w zależności od rozmiarów gospodarstwa. Umieszczono w tej tablicy również liczby, jakie otrzymał Wydział Ekonomiki Drobnych Gospodarstw Wiejskich w drodze ankiety. Nie będziemy się nad temi danymi zatrzymywać. Natomiast podajemy jeszcze tablicę Nr. 6. Otóż na ogólną liczbę 140 pamiętnikarzy, którzy wyszczególnili dokładnie, jakie zadłużenie ciąży na ich warsztatach rolnych, 16,4% posiada dług nieprzekraczający 250 zł., 19,3% posiada dług w wysokości od 250 do 500 zł., 17,1% — od 500 do 1000 zł., 22,2% — od 1000 do 2500 zł., 15,0% — od 2500 do 5000 zł. i 10,0%

*) Wydział Ekonomiki Drobnych Gospodarstw Wiejskich przeprowadził w tym samym roku również ankietę o zadłużeniu gospodarstw chłopskich i zebrał znacznie obszerniejszy materiał w tej sprawie. Według tej ankiety przeciętne zadłużenie na jeden hektar ogólnego obszaru wynosiło w województwach zachodnich 423 zł., południowych 328 zł., środkowych 310 zł. i we wschodnich 126 zł. (Patrz: A. St. B r o d a: Zadłużenie drobnych gospodarstw na dzień 1 lipca 1933, Biblioteka Puławska, 1934).

powyżej 5000 zł. Dług w chwili obecnej, wskutek spadku ceny ziemi, niejednokrotnie przekracza o wiele wartość całego gospodarstwa. Np. jeden z pamiętnikarzy, mający około 9 ha ziemi w powiecie Sempolno, posiada 40.305 zł. długu, t. j. 4478 zł. na hektar. Cały ten dług zaciągnął w Państwowym Banku Rolnym, w tem 15.405 zł. na kupno z parcelacji 11 morgów ziemi, 22.000 na materiały budulcowe (piaskowiec) dla wzniesienia domu i zabudowań gospodarskich i dodatkowo 2.900 na zagospodarowanie. Dług jest długoterminowy, spłata jego jest rozłożona na lat 40, ale cóż kiedy roczna rata z procentami wynosi 1.100 zł., czyli jest powyżej obecnych możliwości. Pamiętnikarz ten pisze: „Żyję tak pod strachem zrozpaczony co mi przyjdzie jeszcze z trojgiem dzieci małych i dwojgiem starszych 70-letnimi i z chłopakiem jednym, com go wzięł na utrzymanie, jako

Tablica 5.

Obdłużenie pamiętnikarzy w stosunku do rozmiarów posiadanego gospodarstwa

Wyszczególnienie	Gospodarstwa, których ogólny obszar wynosi				
	do 5 ha	5—10 ha	10—20 ha	20—50 ha	
Stan zadłużenia ku końcowi 1933 r. według informacji pamiętnikarzy Instytutu Gospodarstwa Społecznego					
Przeciętna kwota długu w złotych	{ na gospodarstwo	1.055	3.157	5.619	3.833
	{ na ha ogólnego obszaru	442	468	418	131
<i>Liczba gospodarstw uwzględnionych w obliczeniach</i>					
		64	42	22	3
Stan zadłużenia na dzień 1 lipca 1933 r. według ankiety Wydziału Ekonomiki Drobnych Gospodarstw Wiejskich					
Przeciętna kwota długu w złotych	{ na gospodarstwo	1.359	2.521	3.908	8.642
	{ na ha ogólnego obszaru	393	358	287	314
<i>Liczba gospodarstw uwzględnionych w obliczeniach</i>					
		211	438	503	234

*) Z 132 gospodarstw, uwzględnionych w tablicy Nr. 4, pominięto 1 gospodarstwo, którego ogólny obszar przekracza 50 ha.

Tablica 6.

Pamiętnikarze według wysokości zadłużenia i według posiadania ziemi

Wyszczególnienie	Pamiętnikarze, którzy wyszczęgnili dokładnie sumę zadłużenia					
	Ogółem	w tem posiadający zadłużenie				
		do 250 zł.	250 — 500 zł.	500 — 1000 zł.	1000— 2500 zł.	2500— 5000 zł.

Liczba pamiętnikarzy

Ogółem	140	23	27	24	31	21	14
Pamiętnikarze, którzy podali, że nie posiadają ziemi . .	4	2	—	2	—	—	—
Pamiętnikarze, którzy podali, że posiadają ziemię . . .	136	21	27	22	31	21	14
Pamiętnikarze, którzy nie wymieniają obszaru posiadanej ziemi	4	1	1	1	—	1	—
Pamiętnikarze, którzy wymieniają obszar posiadanej ziemi	132	20	26	21	31	20	14
w tem: do 2 ha	28	8	7	8	2	3	—
2 — 5 „	36	4	11	4	16	1	—
5 — 10 „	42	6	7	8	9	7	5
10 — 20 „	22	2	1	1	3	7	8
ponad 20 „	4	—	—	—	1	2	1

Odsetki pamiętnikarzy

Ogółem	100,0	35,7	39,3	25,0
Pamiętnikarze, którzy podali, że nie posiadają ziemi . .	100 0	50,0	50,0	—
Pamiętnikarze, którzy podali, że posiadają ziemię . . .	100,0	35,3	39 0	25,7
Pamiętnikarze, którzy nie wymieniają obszaru posiadanej ziemi	100,0	50,0	25,0	25,0
Pamiętnikarze, którzy wymieniają obszar posiadanej ziemi	100,0	34,9	39,3	25,8
w tem: do 2 ha	100,0	53,6	35,7	10,7
2 — 5 „	100,0	41,7	55,5	2,8
5 — 10 „	100,0	31,0	40,4	28,6
10 — 20 „	100,0	13,7	18,2	68,1
ponad 20 „	100,0	—	25,0	75,0

mego kuzyna, pozostać bez dachu nad głową i bez kawałka chleba, jak nie będę mógł wywiązać się z tych ciężarów, nałożonych na mnie, biednego osadnika”.

Jeżeli chodzi o źródła otrzymanego przez pamiętnikarzy kredytu, to również zachodzą różnice w zależności od dzielnic. W województwach zachodnich i wschodnich, jak wynika z porównania tablic Nr. 4 i 7, więcej zaciągnięto długów w instytucjach kredytowych, aniżeli w centralnych i południowych, gdzie częściej korzysta się w tej mierze z „usług” osób prywatnych. Wzięliśmy wyraz „usług” w cudzysłów, gdyż najczęściej usługi te stają się klęską prawdziwą dla rolników, którzy są zmuszeni z nich skorzystać. Prawie zawsze pożyczka taka oddaje właścianina w szpony wiejskiego lichwiarza, który ściąganiem nieprawdopodobnie wysokich procentów, niekiedy nawet 12% w stosunku miesięcznym, doprowadza gospodarstwo do upadku, właściciela z rodziną do ostatecznej nędzy. W liczbach przedstawia się to następująco (tablica Nr. 7): w województwach zachodnich 81,5% całego zadłużenia wymienionego przez pamiętnikarzy było zaciągnięte w instytucjach kredytowych, we wschodnich 71,4%, w południowych 49,4%, w środkowych 46,2%. Co do rozmiaru odsetkowego długów, zaciągniętych u osób prywatnych, przypadają nań z ogólnej kwoty zadłużenia 29,6% w województwach środkowych, 27,2% w południowych, 16,1% w wschodnich i 13,0% w zachodnich. A zatem pamiętnikarze w województwach zachodnich korzystali z najdogodniejszych warunków kredytowych: w stopniu największym użytkowali z pożyczek udzielanych przez instytucje i najmniej z „usług” osób prywatnych. Ale należy pamiętać o tem, iż różnice pomiędzy dzielnicami w pochodzeniu otrzymanego kredytu zależą w wielkim stopniu od przeszłości gospodarczej, a nawet częściowo politycznej każdej dzielnicy. Jedyne wysoki odsetek kredytu, udzielonego przez instytucje kredytowe w województwach wschodnich, traktować możemy jako wytwór stosunków dzisiejszych, zwłaszcza jeśli przyjmiemy pod uwagę okoliczność, że pamiętnikarze na Kresach są to przeważnie osadnicy, ponieważ więcej uprzywilejowani przy uzyskiwaniu kredytu niż ogół gospodarzy. W rozpatrywaniu przyczyn tego zresztą nie będziemy się tutaj zapuszczać. Natomiast jeszcze raz z całą mocą podkreślimy skutki tego zadłużenia. Nędza panuje na wsi, a z nędzą sroży się lichwa. Odsetki urastają do 12% miesięcznie, albo jeszcze wyżej. Dotyczy to nadewszystko pożyczek krótkoterminowych. Lichwiarze ci, gdy chodzi o ściągnięcie należności, nie wahają się zabrać dłużnikowi

T a b l i c a 7.

Zadłużenie pamiętnikarzy według źródeł otrzymanego kredytu

Dzielnice	Ogólna suma zadłużenia 140 pamiętnikarzy, którzy wyszczególnili swoje długi	w tem długi zaciągnięte		
		w instytucjach kredytowych	u osób prywatnych	niewiadomo dokładnie gdzie
w z ł o t y c h				
Ogółem	345.165	204.921	80.060	60.184
Woj. Środkowe	157.616	72.859	46.637	38.120
„ Wschodnie	9.454	6.751	1.525	1.178
„ Zachodnie	116.401	94.829	15.150	6.422
„ Południowe	61.694	30.482	16.748	14.464
w odsetkach ogólnej sumy zadłużenia				
Ogółem.	100,0	59,4	23,2	17,4
Woj. Środkowe	100,0	46,2	29,6	24,2
„ Wschodnie	100,0	71,4	16,1	12,5
„ Zachodnie	100,0	81,5	13,0	5,5
„ Południowe	100,0	49,4	27,2	23,4

ostatniej krowiny, ostatniego konia lub wyzuc nawet z ziemi. Pamiętnikarz z powiatu złoczowskiego pisze: „Wobec tak poważnego mojego długu zmuszony byłem swoją prześliczną dwukośną łąkę lichwiarzowi żydowi za bezcen oddać, gdyż katolika na to nie było, za cenę 125 dolarów, na którą przed krezysem miałem kupca na 500 dolarów. Dzisiaj niema łąki, niema siana, więc i koniej niema przyczem utrzymać, bez których znowu obejść się nie można”. Inny z powiatu łomżyńskiego opowiada: „W r. 1926 pożyczyłem we wsi B. (u chrześcijanina) 400 zł. Od dnia pożyczki płaciłem jemu 4 zł. miesięcznie od setki do roku 1931, wpłaciłem procentu 340 zł. gotówką a sumy 100 zł., 300 zł. pozostało mnie do dnia dzisiejszego. W obecnym czasie kryzysowym żąda ode mnie albo sumę albo 3 zł. od setki dziwując się, żem jadł w niedzielę kapustę z grzybami”. Małorolny chłop z pow. biłgorajskiego skarży się: „Pewnej soboty sołtys z naszej wsi przyniósł mi ostatnie upomnienie, aby w przeciągu czterech dni wpłacić podatek za rok 1932 i 1933, który miałem zaległy w kwocie 50 zł. Skąd wziąć? Staralem się w gminie, aby mnie pożyczyła, ale nie-

stety, odmówili mi. A ja nie chcąc aby mi sekwestrator zabrał ostatnią krowę pożyczyłem sobie u żyda 50 zł., a procentu musiałem mu dać 15 zł. a w dodatku jak kiedy przyszedł to dałem mu kurę albo kilka garncy kartofli. Tak wyciągnęła mnie ta żydowska hijena, że po dwóch miesiącach zapłaciłem mu nie 50 zł. ale 90 zł., za które to pieniądze zabrał mnie ostatnią krowę, przy wielkich lamentach żony. Krowa, jakby wiedziała, że idzie w lichwiarskie ręce, ryknęła żałośnie i ze spuszczoną głową poszła za żydem do miasta, a mnie aż lzy smutku poszły z oczu za jedynego żywiciela i wtedy mi przyszło na myśl: nie zabrał sekwestrator, to zabrał lichwiarz”. Przytaczamy jeszcze słowa jednego z pamiętnikarzy z pow. hrubieszowskiego, który zrujnowany przez długi, zaciągnięte jeszcze przed kryzysem, przysięga sobie, że nigdy więcej nie zaciągnie pożyczki. Oto jego słowa: „Te ostatnie czasy dzisiejsze to będą dobrą szkołą dla chłopca polskiego i powiadam, że jeżeli jakim cudownym sposobem uda się wybrnąć z tych wszystkich długów, to będzie dobra nauka na przyszłość. Ja sam sobie przyrzekłem, że pokąd będę żył, nigdy nikomu weksła nie podpiszę i pożyczki będę się wystrzegał jak ognia”.

Uzupełnimy wywody poprzednie rozbiorem tego, na co obrócili pamiętnikarze pożyczone pieniądze. Jak to wykazuje tablica Nr. 8,

Tablica 8.

Na co pamiętnikarze obrócili pożyczkę

Na jaki cel zaciągnięto pożyczkę	Pamiętnikarze, którzy podali wiadomość w jakim celu zaciągnęli dług								
	Ogółem	według dzielnic				według wierzycieli			
		Pamiętnikarze zamieszkali w województwach				Pamiętnikarze zadłużeni			
	Środ-kowych	Wschod-nich	Zachod-nich	Połud-niowych	w insty-tucjach	u osób prywat-nych	w insty-tucjach i u osób prywat-nych	niewia-domo dokład-nie gdzie	
Ogólna liczba pa-miętnikarzy . .	101	49	8	10	34	35	31	23	12
w tem zaciąg-nę-li dług na:									
kupno ziemi . .	46	19	3	8	16	24	9	10	3
inwestycje . . .	44	23	4	—	17	14	10	14	6
spłaty rodzinne .	16	9	3	—	4	1	10	3	2
opłacenie podat-ków	3	1	—	—	2	—	2	1	—
dożywienie . . .	9	1	—	2	6	1	2	5	1
kształcenie dzieci	3	2	—	—	1	—	2	—	1

najczęściej pamiętnikarze zaciągali długi na kupno ziemi, inwestycje i spłaty rodzinne. Były to więc pożyczki produkcyjne. Niektórzy zapożyczali się na opłacenie podatków, na własne utrzymanie się, w końcu na kształcenie dzieci. W województwach środkowych zaciągano przeważnie długi na kupno ziemi na inwestycje i spłaty rodzinne, natomiast w południowych częściej już pieniądze pożyczone szły również na takie cele, jak środki utrzymania, t. j. przede wszystkim na artykuły żywności, oraz na opłacenie podatków.

* * *

Dotychczas zatrzymywaliśmy się nad warunkami materialnymi, w jakich przebywają pamiętnikarze, a więc nad ich uposażeniem rolnym, nad zadłużeniem, ciężarem lichwy.

Obecnie zwracamy się ku zagadnieniom natury osobistej, takim jak wiek i płeć, stan rodzinny, uczestniczenie w obieżyństwie i t. d.

Z pośród 498 pamiętnikarzy 272 podało dokładne informacje co do swego wieku. Rozpiętość wieku jest znaczna: od 15 do 80 lat. W tablicy Nr. 9 rozmieszczono pamiętnikarzy według grup wieku z uwzględnieniem podziału na płeć, a dla wyciągnięcia właściwych

Tablica 9.

Pamiętnikarze według płci i wieku

Grupy wieku	Ogółem	w tem	
		mężczyźni	kobiety
Ogólna liczba pamiętnikarzy	498	481	17
Pamiętnikarze, którzy nie podali swojego wieku	226	216	10
Pamiętnikarze, którzy podali swój wiek	272	265	7
w tem mający lat:			
15 — 19	5	4	1
20 — 24	19	18	1
25 — 29	20	19	1
30 — 39	79	78	1
40 — 49	53	53	—
50 — 59	58	57	1
60 — 69	30	28	2
70 i więcej	8	8	—

wniosków w tablicy Nr. 10 obok odsetków charakteryzujących podział pamiętnikarzy według grup wieku, umieszczono także liczebność odsetkową osób różnego wieku w całym państwie.

Tablica 10.

Porównanie rozmieszczenia pamiętnikarzy według wieku z rozmieszczeniem według wieku ogółu ludności państwa liczącej 15 lat i powyżej

Wyszczególnienie	Ogółem	w tem mający lat					
		15—19	20—29	30—39	40—49	50—59	60 i więcej
	w odsetkach						
Pamiętnikarze, którzy podali swój wiek .	100,0	1,8	14,3	29,1	19,5	21,3	14,0
Ludność w państwie w wieku lat 15 i powyżej*)	100,0	17,3	30,0	17,5	13,3	10,9	11,0

*) Według przybliżonego szacunku na 1.I.1929 r. (ob. Mały Rocznik Statystyczny 1934, 13).

Z tego zestawienia porównawczego okazuje się, że wśród pamiętnikarzy kategorie wieku od 15 do 29 lat są znacznie słabiej reprezentowane, aniżeli wśród ludności całej Polski: 16,1% wśród pamiętnikarzy, 47,3% wśród ludności kraju. Tem samem osoby w wieku ponad 29 lat są o wiele liczniejsze wśród pamiętnikarzy: np. odsetek osób wśród pamiętnikarzy w wieku od 30 do 39 lat wynosi 29,1%, w całej Polsce tylko 17,5%. Bodaj i wśród pamiętnikarzy, niepodających wieku (a jest ich aż 226), przeważają roczniki starsze.

W powyższem, co do wieku, nie wyodrębnialiśmy płci żeńskiej, wszystkiego bowiem siedem kobiet nadeszło w tym względzie wiadomości. Wogóle autorami pamiętników są prawie wyłącznie mężczyźni, bo 96,6% wśród ogółu osób, biorących udział w konkursie. Z pomiędzy 481 mężczyzn, uczestników konkursu, było 61 kawalerów, 11 wdowców, 334 żonaty (i 75 osób, które nie podały informacji o swoim stanie cywilnym). Co zatem idzie, w konkursie uczestniczyli przede wszystkim ojcowie rodzin, a więc dzielni ludzie, poniekąd zrównoważeni i trzeźwo patrzący na życie. Pomiedzy 17 pamiętnikarkami było 5 panien, 6 mężatek, 1 wdowa i 5 niewiadomego stanu cywilnego.

Rodziny wiejskie zazwyczaj liczą sporo dzieci. W rodzinach pamiętnikarzy również stwierdzono te stosunki, przyczem należy zaznaczyć, że przy badaniu składu tych rodzin brano pod uwagę zarówno rodziny, o których opowiada ojciec, jako i te, do których należy pamiętnikarz, nie będący samodzielną głową rodziny. Pomiedzy pamiętnikarzami, którzy podali wiadomość o składzie swoich rodzin, było zaledwie 5 osób samotnych, 36 pamiętnikarzy należało do rodzin dwuosobowych, 34 — trzyosobowych, 62 — czterosobowych, 53 — pięciosobowych, 53 — sześćosobowych, 48 — siedmiosobowych, 31 — ośmiosobowych, 17 — dziewięciosobowych, 9 — dziesięciosobowych, 4 — jedenastoosobowych, 5 — dwunastoosobowych i wkońcu jeden do rodziny, liczącej trzynaście osób. Te stosunki ujmuje tablica Nr. 11. Odsetkowo najliczniejszą jest grupa rodzin, składających się z 4—6 osób, a średnia wielkość rodzin wynosi 5,5 osób. W tablicy usiłowaliśmy także uchwycić związek pomiedzy wielkością gospodarstw a liczebnością rodzin. Niestety, zbyt skąpy materiał nie pozwala na wyciąganie jakichkolwiek wniosków. Możemy jedynie stwierdzić tendencję do wzrostu liczby osób w rodzinie w miarę urastania gospodarstw w rozmiarach.

Pozostaje nam rozpatrzyć jeszcze przejścia pamiętnikarzy w ciągu dni ich żywota, te mianowicie, które musiały znaleźć z jednej strony uwzględnienie w ich przyczynkach, z drugiej zaś umocniły wrodzoną rzutkość i inicjatywę, te bodźce wpływowe, sprawiające, iż ktoś jął się pióra, ażeby opisać historję swoich losów.

Pomiedzy temi przejściami wysuwają się na miejsce poczesne uczestnictwo w wojnie 1914—1918 i w walkach o niepodległość kraju, oraz wyjście na obczyznę za zarobkiem.

Większość pamiętników jest przepelniona opisami przeżyć autorów na wojnie. Jedni walczyli w zastępach armji rosyjskiej, inni niemieckiej lub austriackiej. Niekiedy zdarzają się opisy wspomnień nawet z wojny rosyjsko-japońskiej. Są i tacy, którzy uczestniczyli w rewolucji rosyjskiej lub niemieckiej. Wielu walczyło w armji polskiej. Wszystkie te opisy tchną żywością odtwarzanych z pamięci zdarzeń i zadziwiają nieraz wielkim, samorodnym talentem narratorskim. Ogółem aż w 97 pamiętnikach istnieją takie opisy lub mniejsze wzmianki o służbie w armjach zaborczych; 78 pamiętnikarzy pisze, że służyli w wojsku polskim, w tem 28 wstąpiło do jego szeregów jako ochotnicy; 35 pamiętnikarzy podaje, iż byli ranni, 21 dostało się do niewoli.

Tablica 11.

Rozmiary rodzin pamiętnikarskich w stosunku do wielkości gospodarstw

Kategorie pamiętnikarzy	Liczba pamiętnikarzy	Pamiętnikarze, którzy nie podali informacji o rozmiarach swych rodzin	Pamiętnikarze, którzy podali informacje o rozmiarach swych rodzin				
			Ogółem	w tem należący do rodzin, które liczą			
				1 — 3 osób	4 — 6 osób	7 — 9 osób	10 i więcej osób
Ogółem	498	140	358	75	168	96	19
1. Pamiętnikarze, którzy nie podali informacji o ziemi	39	38	1	—	1	—	—
2. Pamiętnikarze, którzy podali informacje w tym względzie	459	102	357	75	167	96	19
Nieposiadający ziemi	53	13	40	10	17	12	1
Posiadający ziemię	406	89	317	65	150	84	18
Nieoznaczonego obszaru	43	21	22	8	10	3	1
Oznaczonego obszaru	363	68	295	57	140	81	17
w tem:							
do 2 ha	80	11	69	25	28	16	—
2 — 5 „	111	18	93	17	47	24	5
5 — 10 „	102	18	84	10	39	29	6
10 — 20 „	60	18	42	3	24	11	4
ponad 20 „	10	3	7	2	2	1	2

Ale służba wojskowa była obowiązkiem przymusowym. Jego spełnianie nie daje pojęcia o rzutkości człowieka, o jego energii. Wyjątek jedyny to owych 28 pamiętnikarzy, t. j. 5,6% ogółu, którzy jako ochotnicy wstąpili dobrowolnie do zastępów walczących o niepodległość kraju. Niewątpliwie, jest to odsetek znaczny, który mocno przewyższa stosunek w jakim liczba ochotników pozostawała do całej ludności Polski. Natomiast wychodźstwo jest czynem nawskroś wynikającym z pobudki indywidualnej. Odejście z wioski rodzinnej dokądś w świat daleki nie jest sprawą ani prostą ani łatwą dla wieśniaka. Taki wychodźca musi posiadać nieco rzutkości, nieco odwagi, a przede wszystkim nieco wiary w samego siebie.

Otóż odsetek wychodźców jest bardzo znaczny pomiędzy pamiętnikarzami. Na ogólną liczbę 498 pamiętnikarzy aż 75, t. j. 15,1% ogółu, podało szczegóły o swoim pobycie na obczyźnie. Już sam fakt wyruszenia na obczyznę jest niezwykle wydarzeniem w szarem i jednostajnym życiu chłopca. Nie dziw, iż większość z pośród wy-

chodźców poświęca pobytowi swemu poza granicami kraju obszernie opisy. Ale zdarzają się pamiętniki, w których znajdujemy zaledwie krótką wzmiankę o tem, że autor kiedyś był na emigracji, i nic po-

Tablica 12.

Lata pobytu pamiętnikarzy na emigracji

Dzielnice	Liczba pamiętnikarzy, którzy podali, że przebywali na emigracji	w tem				nie wymienili okresu, w którym wyjeżdżali na emigrację
		podali, że byli na emigracji				
		przed 1914 r.	po 1914 r.	przed 1914 r. i po 1914 r.		
Ogółem	75	50	11	6	8	
Woj. Środkowe	29	22	3	2	2	
„ Wschodnie	4	2	2	—	—	
„ Zachodnie	15	12	1	—	2	
„ Południowe	27	14	5	4	4	

Tablica 13.

Kraje do których skierowali się wychodźcy

Kategorie pamiętnikarzy	Liczba pamiętnikarzy - wychodźców	w tem do			
		Ameryki	Niemiec	Francji	innych krajów <i>c</i>
Ogółem	75	24^a	42^b	4	5
1. Pamiętnikarze, którzy podali w jakich latach przebywali na emigracji	67	21	38	4	4
w tem ci, którzy byli na emigracji:					
przed 1914 r.	50	18 ^a	28	1	3
po 1914 r.	11	2	5	3	1
przed i po 1914 r.	6	1	5 ^b	—	—
2. Pamiętnikarze, którzy nie wymienili okresu w jakim przebywali na emigracji	8	3	4	—	1

a) Z tej liczby dwu pamiętnikarzy było nadto przed wojną w Niemczech i jeden we Francji. Jeden był w Ameryce Południowej, pozostali w Ameryce Północnej.

b) Z tej liczby dwóch pamiętnikarzy było nadto we Francji, w tem jeden przed wojną, a drugi po 1914 roku oraz jeden przed wojną w Ameryce Północnej.

c) Wielu pamiętnikarzy z byłego zaboru rosyjskiego, szczególnie z województw wschodnich wyjeżdżało do miast przemysłowych w głąb Rosji.

nadto. Nierówność pod tym względem materiału niezmiernie utrudniła uchwycenie liczbowe wychodźstwa wśród pamiętnikarzy *)). Mimochodem zaznaczymy, iż wśród pamiętnikarzy wychodźstwo po wojnie a raczej po 1914 r., spadło poważnie: z pośród tych pamiętnikarzy, którzy byli na emigracji, na okres przedwojenny przypada 75%, na lata zaś po wojnie 25%, w tem 9% takich, którzy zakosztowali wychodźstwa i przed wojną (por. tablica Nr. 12). Najwięcej pamiętnikarzy wyjeżdżało do Niemiec, bo aż 42 na 75 ogółu wychodźczego, w tem 23 sezonowo, a 19 na dłuższy czas, przeważnie do kopalni w Westfalji. Drugim krajem co do liczby wychodźców była Ameryka Północna, głównie zaś Stany Zjednoczone (tablica Nr. 13). Zarówno wyjazdy na czas dłuższy, jak i doraźne, sezonowe, są opisywane bardzo szczegółowo. Niektórzy pamiętnikarze całe rozdziały poświęcają opowieści o swoich przeżyciach podczas tej tułaczki. Są nawet tacy, którzy swój pamiętnik ograniczają jedynie do opisu wrażeń z podróży i z pobytu zagranicą. Wyjazdy na obczyznę były podejmowane w imię zarobku i dorobku. W większości wypadków wychodźcy cel swój osiągnęli, t. j. wracali do kraju z niejakim zasobem pieniędzy. Niestety, dorobek ów bardzo często poszedł na marne. Wychodźcy bowiem wracali po odzyskaniu Niepodległości: okres zamętu walutowego wniwecz obrócił ich oszczędności. Skarg na doznaną z tego powodu krzywdę pełno w pamiętnikach. Po powrocie do ojczyzny siadali na ziemi, a ci, którzy czas dłuższy pozostawali zagranicą, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, usiłowali pracować „po amerykańsku”. Ale co było dobre w Ameryce, w kraju dawało inne wyniki. Amerykańskie metody i rozmach amerykański w polskim drobnym gospodarstwie rolnem jakoś nie dawały się zastosować — gospodarstwa „Amerykanów” po wyczerpaniu się gotówki, w okresie złych konjunktur, najczęściej upadały poniżej poziomu gospodarstw sąsiednich, a z tem ich zachwianiem się upadał i wpływ moralny wychodźcy **).

*) Warto nadmienić, że niektórzy z pośród tych pamiętnikarzy, którzy nie podają wiadomości w sprawie wyjazdu na emigrację, mogli jednak wyjeżdżać, lecz nie wzmiankują o tem. Zwłaszcza dotyczy to tych, których przyczynki są charakteru krótkiego, dorywczego, lub którzy zaprzätnięci sprawami bieżącej chwili nie napisali nic o tem, że byli niegdyś chwilowo na wychodźstwie w charakterze obieżysasów.

**) Np. z okazji Pamiętników otrzymaliśmy taką notatkę: Amerykanin, nawet jadąc na furze z nawozem, gazetę czytał i palił „eleganty”. Był przedmiotem podziwu. Po bankructwie szydzono, że właśnie gazety i „eleganty” zgubiły gospodarstwo.

A zatem, pomiędzy pamiętnikarzami:

28,6% siedziało na ziemi całkowicie zakupionej, a nadto 16,7% powiększyło swoje gospodarstwo odziedziczone po ojcach lub otrzymane w posagu;

5,6% wstąpiło dobrowolnie do zastępu walczących o niepodległość kraju;

15,1% podało szczegóły o swoim wychodźstwie za zarobkiem.

Są to wszystko liczby odsetkowe, które niewątpliwie są powyżej podobnych odsetków gdyby te udało się wyprowadzić dla ogółu ludności, a wszystkie pospołu świadczą, iż odsetek tężyzny wśród pamiętnikarzy jest wyższy niż w społeczeństwie polskim, szczególnie zaś wśród ludności wiejskiej. I jeszcze pod innym względem są powyżej swego otoczenia, a mianowicie pod względem wykształcenia (por. tablica Nr. 14). Jest pomiędzy nimi dwóch analfabetów — ojciec dyktował synowi swoje dzieje i doświadczenia. Inni sami pisali, mając po temu rozmaitego kalibru przygotowanie, od tych którzy przebyli jedną lub parę „zim” (t. j. lat) w wiejskiej szkółce elementarnej aż do jedynego zresztą studenta politechniki. Do szkoły średniej dotarło 6,2%, do zawodowej 4,3%. Naturalnie, rdzeń pamiętnikarzy, bo aż 68,0%, poprzestał na szkole elementarnej, a

Tablica 14.

Poziom wykształcenia wśród pamiętnikarzy

Dzielnice	Liczba pamiętnikarzy, którzy podali dane w sprawie swego wykształcenia	w tem pamiętnikarze, którzy			
		uczęszczali do szkoły			nie uczęszczali do żadnej szkoły
		elementarnej	średniej	zawodowej	
Ogółem	256	174 ^a	16 ^b	11	55 ^c
Woj. Środkowe	136	87	9	4	36
„ Wschodnie	27	18	1	2	6
„ Zachodnie	21	14	2	2	3
„ Południowe	72	55	4	3	10

a) W tej liczbie 6 ukończyło tylko jeden oddział, 12 dwa oddziały, 22 trzy oddziały, 29 cztery oddziały, 10 pięć oddziałów, 5 sześć oddziałów i 8 siedem oddziałów, pozostałe 82 osoby nie podają żadnych szczegółów ile skończyły oddziałów.

b) W tej liczbie jeden z ukończonem gimnazjum i jeden z ukończonem seminarjum nauczycielskiem.

c) W tej liczbie dwu analfabetów, którzy przy pisaniu pamiętników na konkurs korzystali z pomocy osób trzecich.

niekiedy tylko na paru jej oddziałach. Ale nie wszyscy z pośród tych, którzy własnoręcznie pisali swoje pamiętniki, uczęszczali do szkół. Są bowiem pomiędzy nimi „samoucy”, aż 21,5%, którzy swoją umiejętność czytania i pisania zawdzięczają samym sobie, a w każdym razie nie szkole; uczyli się od rodziców częstokroć na książce do nabożeństwa, od przygodnego przechodnia, od ekonoma służącego we dworze, a w jednym wypadku od nieco starszego pastucha. Do nauki służyła im częstokroć postrzępiona książka do nabożeństwa lub przypadkowo pozyskany elementarz, na którym samoucy, chodząc za bydłem na pastwisku, zaprawiali się w sylabizowaniu. „Proszę nie wyśmiwać z moich błędów — pisze jeden ze samouków — bo iezdem samoukiem. Do szkoły zupełnie nie chodziłem, to co umie zdobyłem siłą woli, za Bydłym pasania”. Samoucy są dumni z swojej oświaty i niekiedy lekceważąco odnoszą się do nauki pobieranej w szkole, w której dziecko pomimo paroletniego siedzenia osiąga wyniki niekiedy bardzo nikłe. Najwięcej samouków znalazło się wśród pamiętnikarzy w województwach środkowych (26,5%), najmniej zaś w południowych (13,9%). Niektórzy w b. zaborze rosyjskim i w Wielkopolsce pobierali naukę w tajnym nauczaniu. U przedstawicieli młodszego pokolenia daje się spostrzec tęsknotę do dalszego kształcenia, tembardziej, iż niekiedy brat osiągnął stanowisko nauczyciela i nawet ucęszcza do uniwersytetu. I znowu te fakty wskazują, iż mamy w osobach pamiętnikarzy zastęp ludzi, bezwarunkowo przewyższających swoje otoczenie wiejskie bądź to wykształceniem swoim, bądź rzutkością i wytrwałością. Zaiste, trzeba było wytrwałości, ażeby zakończyć swoją opowieść — „nie uczyli mnie pisać w szkole, a tylko cepami w stodole”, a niejednemu było łatwiej kopę żyta wymłócić, stając pola zorać, niż stronicę napisać. Krępowano się sąsiadów, przyjaciół, nawet domowników w obawie przed drwinami, dlatego najczęściej pisano w tajemnicy. Pisano po robotach dziennych, a więc wieczorem. Ileż to nieporozumień wywoływała nieszczęsna nafta! Pamiętnikarz musiał wysłuchiwać gderania matki lub żony, iż daremnie wydaje pieniądze na światło, wielu pisało więc przy świetle ogniska, nawet przy świetle księżycy. Brakło papieru, ołówka, atramentu, a wkońcu trzeba było kupować znaczek pocztowy na wysłanie pamiętnika — wszystko to są wydatki groszowe, ale przecież całe życie chłopą obraca się w rachunku groszowym! Chłop myślał o pamiętniku jadąc w pole lub do lasu, idąc za pługiem — myślał, a w słowa ubierał „świętem i niedzielą”. W takich warunkach wielu prawdopodobnie porzuciło rozpoczęte swoje

przyczynki do doli i niedoli chłopskiej. Wprawdzie zachętą służyły premje konkursowe. Jeden i drugi wyraźnie się do tego przyznaje: „Bardzo proszę to przeczytać, miejcie cierpliwość bo źle i bez sensu napisane, jezdem stary 68 lat zdenerwowany i nie uczony ani głęboko ani wysoko, jeżeli to was zajmie moje życie jak żyłem to proszę to przedrukować i mnie posłać... i to premie co obiecujecie. To sobie kożuch kupie bo nimam a zima idzie”. Ale wielu chodziło o coś innego, ważniejszego — o to aby dowiedziano się tam, na szerokim świecie, jak chłop żyje, jak zmaga się z nędzą, jak haruje od rana do wieczora. Oto autor jednego z takich przyczynków pisze w przedmowie: „Gdy został rozpisany konkurs na napisanie „pamiętnika chłopca” z nagrodami przez szanowny Instytut Gospodarstwa Społecznego w październiku tego roku, to ja jako chłop uważając za swój obowiązek święty, bez względu na nadgrode, donieść szanownemu Instytutowi o swych przeżyciach, spostrzeżeniach, doli i niedoli chłopca. Instytut wspomniiał ażeby pisać z całego serca szczerze nie obawiając się niczego. Więc ja piszę chłopskim sercem, chłopskim „umysłem” i „wykształceniem”, chłopską „ręką” i w chłopskich trudnościach. Nie pisałem tego pamiętnika mając specjalny czas do tego, tylko po swych codziennych zajęciach chłopskich wieczorami przy świetle pożalowania godnym z braku pieniędzy na drogą naftę. I tak złożyły się okoliczności na ten pamiętnik chłopski, brak: należytego światła, czasu, „wykształcenia” i wyrobienia piśmiennego, jak to zwykle u chłopca, więc niech szanownego Instytutu nie przeraża błędne pismo koszlawe i brudne na którego przepisanie na czysto nie miałem czasu, to chłopskie pismo, chłopskie serce i myśl, chłopski rozum i „wykształcenie”, chłopski „brud”.

Instytutu nie przerażyły te rzeczy!

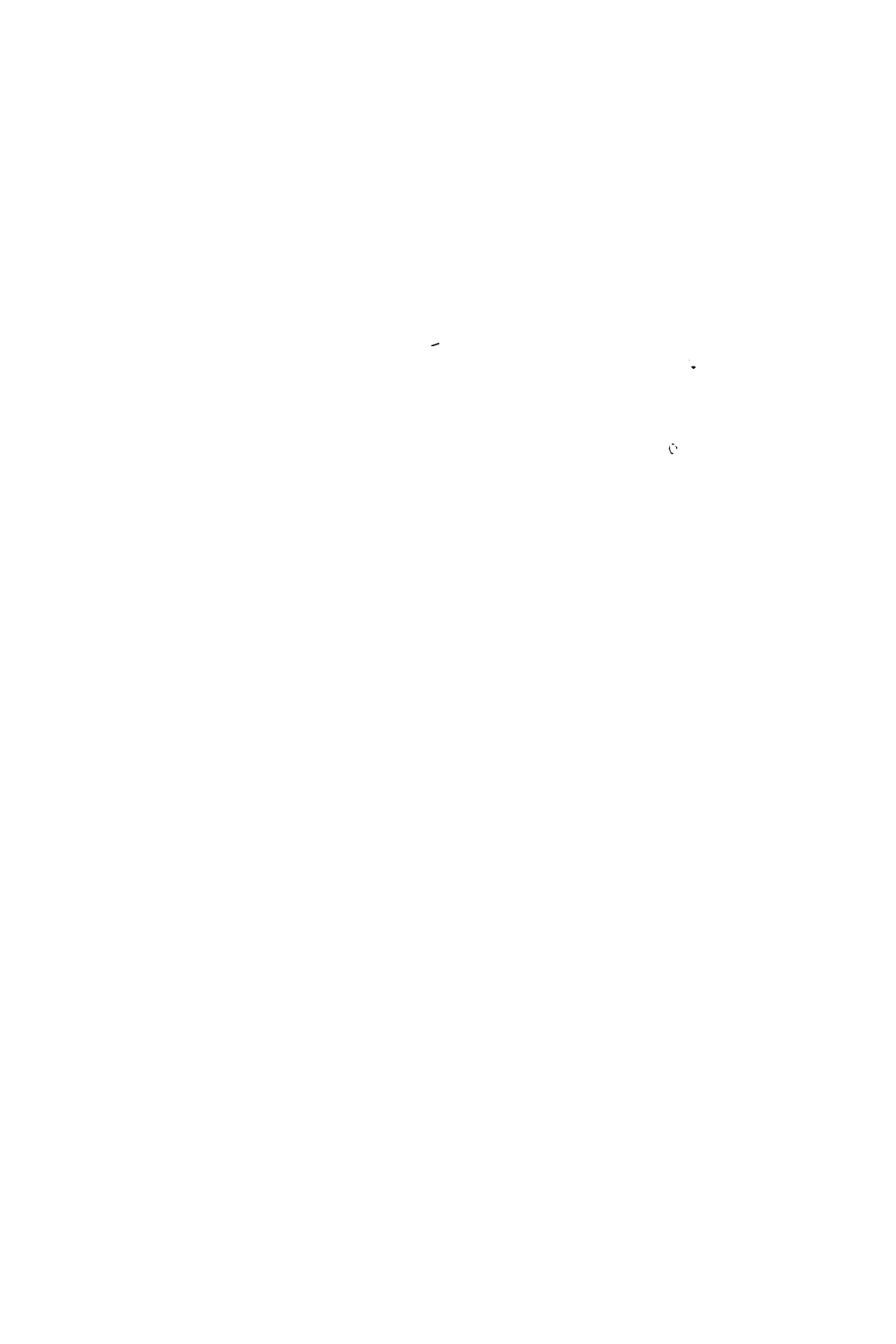
ZAŁĄCZNIKI



ZASIĄG TERYTORJALNY KONKURSU NA PAMIĘTNIK CHŁOPA

Rozmieszczenie osób, które nadesłały swe pamiątki do Instytutu Gospodarstwa Społecznego w Warszawie





ODEZWA INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO W SPRAWIE KONKURSU NA PAMIĘTNIK CHŁOPA OGŁOSZONA WE WRZESNIU 1933 ROKU.

KONKURS NA „PAMIĘTNIK CHŁOPA“

Ze wszystkich okolic Polski odzywają się głosy o bardzo ciężkim położeniu ludności wiejskiej, zarówno osiadłej na roli i posiadającej warsztat pracy na własnym kawałku ziemi — ale warsztat który nie daje dziś dostatecznego utrzymania, jako i ludności bezrolnej, która przez lata ubiegłe wychodziła ze wsi za pracą do miast lub zagranicę, a dziś wobec ciężkiego położenia zarówno w kraju jak i w całym świecie, wraca do wiosek rodzimych, tam nie znajduje zarobku, a tylko czeka ją nędza.

Instytut Gospodarstwa Społecznego powziął zamiar opracowania rzetelnego obrazu tego ciężkiego położenia ludności małorolnej i bezrolnej w całej Polsce. Dlatego zwraca się do was wszystkich, co stanowicie te liczne rzesze biedujących i zrozpaczonych, rozproszone wzdłuż i wszerz naszego kraju, abyście ściśle, prawdziwie i poprostu opisali jak życie, jakiego wyjscia szukacie. Więc piszcie i opowiadajcie! Nie opuszczajcie żadnego szczegółu nawet najdrobniejszego ze swych biedowań, ze swoich trosk, ze swoich doświadczeń. Nie zrażajcie się, że może opowieść wasza wychodzi niekształtna, hyleby tylko była rzetelna; nie wstydzicie się tego coście przeżyli aby pokazać cały swój ciężki los i tym opisem wywołać zajęcie się waszym położeniem. Opowiadajcie śmiało, co według sądu najbardziej wpłynęło na waszą biedę dzisiejszą, co najsilniej przyczyniło się do wzrostu waszych trosk i co wam najbardziej daje się we znaki i najciężej leży na sercu.

A więc opowiedzcie nam, w jakich warunkach przyszliście na świat, czy w rodzinie zamożniejszej czy w zupełnej biedzie, czy sami posiadacie kawałek ziemi i ile, a może nie macie ani piędzi gruntu własnego i w całej pełni jesteście bezrolni, czy ten wasz grunt odziedziczyliście po ojcach czy nabyliście sami, a jeśli odziedziczyliście to czy była wasza rodzina liczniejsza i jak ziemię podzielono pomiędzy was rodzeństwo, jakie były spłaty i smartwienia związane z temi spłatami; a jeśli ziemia wasza jest nabyta — piszcie na jakich warunkach ją nabyliście, jakie kłopoty macie z nią jeszcze.

O tych kłopotach piszcie drobiazgowo, nic nie pomijając; jeżeli macie ziemię, jakie jest jej obdłużenie oraz komu i jakie płaciecie procenty i ile, a także jakie są inne ciężary, które przypadają na wasz warsztat rolny i dolegają wam.

Czy mieszkacie w swojej własnej chałupie czy w cudzej, jakie są wasze zabudowania, ile macie i jakiego inwentarza. Czy liczna jest wasza rodzina i co wam żona wniosła do domu. Jak spędzacie czas, kiedy nie macie żadnego zajęcia zarobkowego ani nie krzątacie się około gospodarstwa. Czy kształcicie dzieci. Czy wasza ziemia daje wam jaki dochód poza wyżywieniem rodziny, jakie towary rękodzielnicze i fabryczne musicie kupować i jakie z tych towarów przedewszystkiem pragnęlibyście kupić. Czy robicie w gospodarstwie swoim jakiegokolwiek meljoracje, remont. Czy macie jakies udziały w stowarzyszeniach, czy możecie kupić książkę i gazety. A jeżeli macie jaką pracę zarobkową poza gospodarstwem, opowiedzcie o niej jaka to jest praca, gdzie się odbywa i ile wam daje dochodu. Opiszcie nam własne mieszkanie

ze wszelkimi urządzeniami, ilu was tam mieszka razem, jak się żywiecie, jak ubieracie, czy jest jakiś podział pracy pomiędzy wami w gospodarstwie i w domu. Jaki jest stan zdrowia w waszej rodzinie i z jakiej korzystacie pomocy lekarskiej w czasie choroby.

Sięgnijcie także pamięcią w przeszłość swoją, jaki był stan waszego warsztatu rolnego przed wojną i jaki jest obecnie, a jeżeli żyliście jedynie z zarobków, jakie były one. A gdy jesteście bezrolnym opowiedzcie nam czy mieszkaacie we własnej chacie czy odnajmujecie izbę a może tylko kąt u obcych ludzi, lub znaleźliście miejsce przy swojej rodzinie, a opowiadając o tem postarajcie się porównać w swoim opisie, jaki jest dzisiaj poziom życia i potrzeb człowieka pracy na wsi, zarówno małorolnego jak i bezrolnego w porównaniu z tem, jak to było w czasie przedwojennym. A może któryś z was posiada w rękę jakiś fach, np. ciesielkę, kowalstwo, szewstwo? Wogóle niech bezrolny pisze z jakiej pracy się utrzymuje, ile zarabia, czy kiedykolwiek wychodził ze wsi i dokąd, gdzie pracował, kiedy i dlaczego powrócił. Jakie macie widoki na najbliższą przyszłość dla siebie i swojej rodziny.

A także nie zapomnijcie dodać, czy macie jakie zabezpieczenie na starość, czy ktoś z członków waszej rodziny uczestniczy w gospodarce parafjalnej, gminnej, powiatowej, w jakimś związku, stowarzyszeniu, kooperatywie.

Każdy z was kto chce przyczynić się do stworzenia takiego obrazu nędzy w swojej wiosce i chce powiedzieć społeczeństwu jak żyje dzisiaj w Polsce chłop bez roli i chłop na niedostatecznym kawałku gruntu, niech robi taką spowiedź z życia swego, taki opis swego zmagania się z biedą i prześle do dnia 1 grudnia 1933 roku pod adresem:

**INSTYTUT GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO W WARSZAWIE
WARSZAWA, ULICA CZERWONEGO KRZYŻA 20.**

Jeszcze raz powtarzamy: piszcie szczerze, od serca, tak jakbyście opowiadali troski swoje najbliższemu przyjacielowi i nie sądźcie, że to ma być jakaś statystyka, jakiś spis urzędowy mający służyć w przyszłości do obliczeń podatkowych. Nam, którzy się do was zwracamy chodzi o co innego. Nadesłane przez was obszernie, szczerze, rzetelne opisy, pamiętniki, opowiadania o waszem własnem życiu będą wydrukowane w wydaniu zbiorowem i dadzą tam wierny obraz dzisiejszego położenia ludzi pracujących na roli i żyjących we wioskach polskich.

Taki obraz jest potrzebny i pożądanym aby w społeczeństwie inni ludzie wiedzieli, jaka tam nędza trapi tych co w pocie czoła pracują na swojej roli, niedojadając z dziećmi, lub żądni zarobku daremnie go poszukują w chwili dzisiejszej.

Wasze opisy będzie rozpatrywało parę osób, którym na sercu leży los pracownika polskiego, borykającego się z losem swoim na wsi, i przysądzi dobrą opisom nagrody. Najlepsza praca otrzyma 100 złotych nagrody, dwie następne — po 50 złotych, jeszcze dalsze osiem po 25 złotych.

PAMIĘTNIKI CHŁOPÓW



Pamiętnik Nr. 1

Gospodarz ongi trzydziestomorgowy w pow. błońskim

Na skutek wezwania w Gazecie Chłopskiej w Nr. 42 z roku 1933, postanowiłem i ja napisać parę słów ze swego życia. Ponieważ przechodziłem dość poważne koleje w swoim tak stosunkowo krótkim życiu, zgóry przepraszam za błędy i nieudolność w pisaniu, bo jak się dowiemy z dalszego pisania nie dostałem odpowiedniego wykształcenia, aby napisać lepiej.

PAMIĘTNIK CHŁOPA

Urodziłem się dnia 4 kwietnia 1896 roku we wsi Wielgolas pow. Warszawski w okolicy pięknej i bogatej, jakby powiedzieć w krainie miodem i mlekiem płynącej. Rodzice moi posiadali gospodarstwo rolne dwadzieścia cztery morgi ziemi, w czem połowa była doskonałych nadrzecznych łąk i połowa ziemi ornej również bardzo dobrej. Prowadzili gospodarstwo warzywniczo-mleczne i produkty to jest mleko, okopowe warzywa i owoce odwozili do Warszawy, otrzymując za to przeciętnie od 150 do 200 rubli miesięcznie, co na czasy przedwojenne było dosyć dużo.

Rodzeństwa było nas troje, dwie siostry i ja, jedna starsza ode mnie o trzy lata i druga młodsza również o trzy lata. Pomimo, że wieś nasza składała się 75 osad, szkoły u nas nie było. Ja do lat dziesięciu uczyłem się w domu, później chodziłem do szkoły trzy zimy w Dębem odległym od nas o pięć kilometrów i tam skończyłem te trzy oddziały rosyjskiej szkoły powszechnej. Potem już pracowałem wraz z ojcem w gospodarstwie.

W roku 1911 ojciec wydał starszą siostrę zamąż dając jej około półtora tysiąca rubli posagu. Pozostało nas dwoje. W roku 1914

wybuchła wojna i trzeba nieszczęścia, że w tym czasie ojciec zachorował dosyć poważnie na żołądek, wytworzył się jakiś wrzód na żołądku i ta choroba pociągnęła za sobą szalone koszty. Parę miesięcy ojciec leżał w szpitalu Pańskiego Przemienienia na Pradze, ponieważ za wszelką cenę postanowił się ojciec ratować, a uważając, że w szpitalu niema należytej opieki lekarskiej kazał się przenieść do lecznicy w Aleje Jerozolimskie i tam płaciliśmy za pokój wraz z obsługą jedenaście rubli dziennie (było to w roku 1915). Prócz tego konsylja lekarskie raz i dwa razy w tygodniu kosztowały trzydzieści rubli za każde takie konsyljum, no i rezultat był taki, że 8 grudnia kazali nam ojca zabrać do domu, a 16 grudnia ojciec nam umarł.

Ja wtedy liczyłem dziewiętnasty rok życia i byłem zamłody, żeby mi ojciec zapisał gospodarstwo i tak zostało, prowadziłem gospodarstwo z matką ponieważ matka też nie miała bardzo zdrowia. Więc ja się ożeniłem w roku 1916 i pomimo, że nie miałem tytułu własności, teść mój dał mi zaraz po ślubie trzy tysiące rubli jako posag dla córki i z tego, jak również i z gospodarstwa, ponieważ prowadziłem całe gospodarstwo po ojcu zacząłem się dorabiać. Założyliśmy wtedy spółkę handlową w Dębem Wielkim z księdzem Zarębą na czele, w której byłem wiceprezesem. Zrobiliśmy udziały po pięćset rubli i zebraliśmy 45 tysięcy rubli, jako kapitał zakładowy. Ja wykupiłem siedem udziałów i po dwóch latach handlu dostałem zamtąd osiem tysięcy rubli. Prócz tego w końcu roku 1916 założyliśmy spółkę mleczarską i sklep spożywczy w naszej wsi, w której byłem kasjerem do jesieni 18 roku t. j. do mojego wyjazdu ze wsi. I tu prowadziliśmy dość duże obroty, bo wysyłaliśmy od 1600 do 2000 litrów mleka dziennie do Warszawy. Spółki obie prosperowały świetnie dając współudziałowcom poważne dochody. W roku 1917 ponieważ były to czasy okupacji niemieckiej i trzeba się było bardzo liczyć czem wolno handlować, a czem nie i ja też miałem przejście. Miałem ogromnego stadnika, którego agenci Frankowskiego zapisali na kontyngent mięsny szacując go trzysta rubli, a w prywatnym handlu byczek ten był wart więcej, jak 800 rubli. Nie chcąc tyle stracić, a ponieważ należałem do C. T. R. w Mińsku Mazowieckim wystarałem się przez to Towarzystwo od władz niemieckich papier, że jako rozplodowca nie wolno mi go zabrać, i nie wzięli, ale po paru miesiącach stadnik stał się za ciężki na krowy no i trzeba było go sprzedać

i sprzedałem go pocichu rzeźnikom uzyskując cenę 875 rubli, ale niestety znalazł się sąsiad podły, który mnie oskarżył do żandarmów niemieckich, że ja zrobiłem taki szmugiel, no i żandarmi zrobili dochodzenie, protokół, rezultatem był sąd i wyrok skazujący mnie na cztery miesiące więzienia. Aresztowali mnie przy sprawie i byłbym rozumie się dokonał żywota na Pawiaku przez te cztery miesiące, gdyby nie szybka interwencja księdza Zaręby o niezrównanym wprost talencie i energii, bo jak wiemy niełatwo było skłonić Niemców do zmiany wyroków. Jednak ks. Zaręba mnie wyratował z więzienia po jedenastu dniach wyrobiwszy u generała gubernatora Beselera papier, mocą którego zamieniono mi więzienie na karę pieniężną w sumie sześciuset marek niemieckich. Przez te jedenaście dni, które przesiedziałem na Pawiaku zdążyłem poznać całą okropność niemieckiej opieki. Coprawda były to czasy głodu po miastach, ale jak mi z domu przysłano piętnaście funtów chleba, dziesięć funtów wędliny, dwadzieścia jaj i coś tam z nabiału, to mnie jak na kpiny oddano dwa jajka, a Niemcy tak ludzi żywili, że mnie po jedenastu dniach nikt nie mógł poznać, bo wyglądałem jak szkielet. W roku 1918 siostra moja młodsza powiada mi, że się będzie żenić do domu na połowę gospodarstwa. O myślę sobie: to będzie źle zostać na dwunastu morgach, to mi się nie bardzo podoba, chciałem ją spłacić, ale jakoś się nie szykowało. Ona dostawała stosunkowo duży posag, a nie trafiał się nikt podobny, żeby ją wziął z domu, więc ona chce się żenić do domu. Ja jednak po namyśle nie chcąc dzielić tej gospodarki na dwoje, postanowiłem ją się usunąć z domu zostawiając całe gospodarstwo siostrze, ale znów nie trafiał się tak bogaty kawaler, żeby mnie spłacił i tak źle i tak niedobrze, ano nie było innej rady tylko zostawić czasowi siostrę wraz z gospodarstwem, a ja zacząłem szukać dla siebie gospodarstwa do kupna. I w lipcu 18 roku gospodarkę znalazłem i zgodziłem w Starej Miłośnie trzydzieści morgów ziemi wraz z budynkami za 32 tysiące rubli i w sierpniu zrobiliśmy akt rejentalny, a ponieważ Niemcy już nie pozwalali robić aktów na ruble, więc przeliczyliśmy na marki po 2.16 fenigów za rubla. Rozumie się, że tyle pieniędzy nie miałem swoich, ale po wycofaniu ze spółek i zebraniu, gdzie tylko jakie miałem zrobiłem około trzydziestu tysięcy marek, resztę, część pożyczyłem od znajomych, część były właściciel poczekał mi na hipotekę i kupno się przeprowadziło w roku 1919. W lutym siostra wyszła zamaż i spłacili mnie, ja temi pieniędzmi pokryłem część długów.

Mnie na nowem gospodarstwie ułożyły się warunki dość możliwe, ponieważ jesienią 1918 roku przeprowadziłem się na nowe gospodarstwo, zimową porą sprowadziłem około pięćdziesiąt wozów nawozu od wojska z Rembertowa, dokompletowałem okna inspektowe do pięćdziesięciu i zaprowadziłem warzywnictwo na większą skalę. Ponieważ rok 1919 wywdzięczył się za pracę dobrze, zbiory miałem ogromne, a ceny na warzywa były dobre, oddałem resztę długów i nawet zostały mi pewne oszczędności.

Przyszedł pamiętny rok 1920, inwazja bolszewicka. Do lipca życie nam szło normalnym trybem. Kiedy bolszewicy zaczęli wchodzić do Polski, mnie jakos do wojska nie wołano, nie mogąc wytrzymać, że to ojczyzna tak potrzebuje ludzi, a ja siedzę w domu, zapisałem się na ochotnika z koniem do 1-go pułku szwoleżerów z kadrą na Ułańskiej w Warszawie i pojechałem do wojska w pełnym rynsztunku z umundurowaniem, siodłem, nawet szablą, a ponieważ takich ochotników zebrało się sporo, zrobili z nas 201 pułk szwoleżerów i w końcu lipca wysłali nas na front. Wyjechaliśmy z Wileńskiego Dworca pociągiem i zajechaliśmy pod Małkinie, tam się wyładowaliśmy poszliśmy na południe od kolei i zaraz na drugi dzień mieliśmy pierwszą potyczkę z bolszewikami. I tak cofając się pod Warszawę stoczyliśmy z nimi kilkanaście walk. W czasie decydującej bitwy pod Warszawą, byłem w boju pod Radzyminem i ostatnią potyczkę mieliśmy już w pościgu za bolszewikami pod Płońskiem, gdzie mi ranili konia w tylną nogę i wtedy zostałem przydzielony do Polowego Szpitala Koni Nr. 6 już jako kapral, ponieważ pod Warszawą dostałem nominację od kapitana Zielazickiego. I przy szpitalu koni byłem do 23 grudnia, gdzie nawet w końcu pełniłem funkcję furazera. Ostatnio staliśmy w Gródku pod Równem i stamtąd zostałem zwolniony do domu.

Po mojem odjeździe do wojska w domu działały się hece. Kiedy już bolszewicy podchodzili pod Warszawę, polskie wojska zrobiły ostatnią linię obronną między innymi i przez naszą wieś. Spędzili tam ogromną moc wojska i taborów więc można sobie wyobrazić co ucierpiały gospodarstwa rolne. Mojej żonie (ponieważ żona ze służbą została na gospodarstwie), zabralo wojsko cztery krowy, na trzy dali kwity, a jedną zabrali bez kwitu, a w końcu coś koło 8 sierpnia wypędzili ludność cywilną z naszej wsi i rozumie się i żonę i to tak gwałtownie pędzono ludność cywilną z domu, że żona zaledwie złapała, jak to się mówi co w rękę wpadło. Zładowała na dwa wozy, bo jeden do swego przynajęła, zabrała ostatnie dwie

krowy, które zostały, cielaka półrocznego kazała służącemu zarznąć, drób także wybiła i wyjechała do Warszawy, zostawiając całe gospodarstwo na pastwę losu, a wtedy wojsko i rozmaite cywilne pasorzyty, które pochowały się po lasach i piwnicach przed tymi co wyganiali, naprawdę po swojemu zaczęli gospodarować, tak, że jak żona po dziesięciu dniach wróciła do domu to zastała jeden obraz nędzy i ruinę do najwyższego stopnia. Z płotów nie pozostało ani śladu, nawet budynki co drewniane to rozebrali i spalili. W mieszkaniu okna i drzwi powyrywane, szafy i kredensy rozbite. Posiadałem dość ładną biblioteczkę, wszystko zniszczone, podarte i rozkradzione. Miałem pasiekę dwadzieścia roi pszczół, nic nie zostało, ule w części poprzewracane, w części rozniesione po polach. Miałem ładny komplet narzędzi stolarskich i warsztat i z tego ani śladu. Jednym słowem zostało tylko to co nie miało żadnej wartości, lub nie dało się wziąć z miejsca, jak np. murowany budynek co zaś do zbiorów także wszystko rozkradzione. Warzywa w części stratowały tabory, reszta wyrwana, kartofle wykopane, ze stodoły wyniesione było wszystko, więc żona kazała pozbierać po polach i łąkach resztki zboża co konie nie zjadły i nie zdążyły zrosnąć, i puściła na młóckarnię to omlóciła tego wszystkiego razem t. j. żyto, owies, jęczmień i pszenicę dwa i pół korca na pół zrosniętego ziarna. O warzywach niema mowy. Kartofli ukopała coś około osiem korcy, to były zbiory z trzydziesto-morgowego gospodarstwa. Komisja Szacunkowa od strat i szkód wojennych oszacowała u mnie straty na pół miliona marek i dali żonie odpowiedni protokół z pieczęciami i mieli niby to zapłacić, ale płacą do dzisiaj. Za te trzy krowy co wojsko dało kwity, to zapłacili w końcu 1921 roku po sześć tysięcy marek za krowę, ale marki już wtedy tak spadły, że za osiemnaście tysięcy butów nie można było kupić. Jak już nadmienilem, 23 grudnia wróciłem z wojska, no i zastałem taką ruinę gospodarstwa. I rozpacz mnie ogarnęła, że z takiego dobrobytu jaki zostawiłem parę miesięcy temu idąc nadstawiać piersi i walczyć za ojczyznę zastałem taką biedę, tembardziej, że zrobili to swoi, a nie nieprzyjacieli. Ale cóż było zrobić, poddać się biedzie, nie za nic, byłem młody, posiadałem tę pewną werwę wojskową, więc wziąłem się szczerze do pracy. Były coprawda inne czasy, ale wkrótce znowu się jako tako dorobiliśmy tembardziej, że ja w dalszym ciągu handlowałem czem się dało, a przeważnie lasem kupując działki, jak mniejsza to sam, jak większa to ze współnikiem i jako tako szło.

Na początku 1921 roku były u nas wybory na sołtysa, a no przyjechał wójt z sekretarzem i mimo moich próśb i perswazji wybrano mnie na sołtysa. Próbowałem się jeszcze u pana starosty jakoś wytłumaczyć, nic nie pomogło i zostałem sołtysiem. A naprawdę bałem się tego, bo Miłosna to niebyle praca dla sołtysa. Jest zgorąsto osad, masa letnisk, jest ogólnie około dwudziestu sklepów, fabryka, zakłady ceramiczne, około półtora tysiąca ludności ogółem. Więc to praca nielada, a tu moje gospodarstwo wtedy właśnie więcej jak kiedyindziej potrzebowało gospodarza niepodzielnie. A tu jak na złe, zaczęły się po tej wojnie tworzyć rozmaite stowarzyszenia i do wszystkiego musiałem należeć, bo mię ludność nie chciała nijak pominąć. A więc starałem się być jaknajwięcej czynnym i podolać wszystkiemu. Założyliśmy ochotniczą straż pożarną, w której byłem kasjerem, w kooperatywie spółdzielczej, gdzie było 430 członków, byłem prezesem Rady Nadzorczej, przy budowie kościoła byłem w dozorze, w komisji sanitarnej przy gminie, w radzie gminnej, w komisji rewizyjnej, w komisji drogowej i w innych. Mimo jednak takiego nawału pracy byłem bardzo szczęśliwy. Doprowadziłem swoje gospodarstwo do pewnego normalnego trybu, wyremontowałem budynki gospodarcze, pobudowałem parkany nawet murowane. Pozostał mi tylko dom, który się walił, był obszerny jakiś jeszcze po-dworski budynek, któremu chcę poświęcić więcej słów, ponieważ on był początkiem mojego bankructwa i dzisiejszej biedy. Otóż była to rudera osiemnaście metrów długa i dziesięć metrów szeroka, całe wiązanie dachu jak i belki były zgniłe, ale mury zdawało się możliwe. Majster obliczał, że to będzie kosztowała ta przeróbka cztery tysiące zł., więc w 1924 roku postanowiłem i dom przebudować t. j. 1 metr 50 centymetrów nadbudować go wyżej, bo był za niski i nakryć dachówką. Otóż jak to się ruszyło i zaczęliśmy rozbierać to się okazało, że i cegła też jest w części zepsuta. Jednym słowem, że zamiast 4000 zł. kosztował 9000 zł. A tu jak na złe, ceny na warzywa zaczęły spadać i gospodarstwo już nie dawało takich dochodów jak przedtem. Co mogłem, to zrobiłem ze swoich pieniędzy, ale to nie starczyło, więc zacząłem pożyczać i napożyczałem przeszło 3000 zł. od znajomych tak na słowo bez weksli, ale na krótkie terminy. Więc jesienią 1924 roku trzeba było to poregulować, a no dowiedziałem się, że jakiś N*** w Warszawie pożyczka pieniądze na hipotekę. Więc myślę sobie, pozałatwiam te drobne długi, będę miał z jednym do czynienia i pojechałem do niego, owszem powiada mi pożyczcy wiele

mi potrzeba, ale tylko na hipotekę i żąda 5% miesięcznie. No co-prawda wtedy nie można było taniej dostać, więc zgodziłem się z nim i umówiliśmy się do hipoteki. Kiedy już przyszliśmy do rejenta, to on mi powiada, że na wypadek spadku złotego jak np. marki on sobie stabilizuje tę pożyczkę w dolarach. Ja się trochę zląkłem i nie wiedziałem co zrobić, ale ponieważ już zrobiłem tyle zachodu, a nawet i rejent powiada, że niema się czego obawiać, bo złoty może polecieć jak marka to dolar zdrożeje, ale i towary zdrożeją to na jedno wyjdzie. No i ja głupiec zgodziłem się na to, ponieważ pożyczałem od niego 4000 zł., doliczyliśmy procent za rok co uczyniło 2400 zł., więc razem 6400 zł. Przeliczyliśmy na dolary po 5,18 i tę sumę zabezpieczyliśmy na hipotecę. Po roku dolar zdrożał a produkty rolne jeszcze staniały. Ja nie miałem możliwości oddać jemu pieniędzy, tembardziej, że w tym mniej-więcej czasie Rząd Polski zestabilizował marki w stosunku złotego i ja pomimo jaknajskrupulatniej prowadzonych rachunków sołtyskich, zapłaciłem z górą 400 zł., a to z tego względu, że nie ogłosili nam, że ta stabilizacja nastąpi i ja zbierałem akurat w tym czasie składkę ogniową podług starych markowych rozkładów i kiedy zawiozłem kilkadziesiąt miliardów marek do Tow. Ubezpieczeń Wzajemnych już po dniu stabilizacji, to oni nie chcieli tego uwzględnić i zrozumieć, że zbierałem pieniądze podług starego kursu i musiałem zapłacić ze swej kieszeni 430 zł. Tę tak niewdzięczną służbę sołtyską pełniłem z górą pięć lat, bo tak czekano na zatwierdzenie samorządu gminnego i starosta nie chciał wyznaczyć nowych wyborów.

Ponieważ nie oddałem N*** pieniędzy, płaciłem mu jakiś czas procent, ale już od całej sumy i to ze zwykłą dolara, kiedy wiosną 26-go roku dolar doszedł do 13 zł., to ja już i procentów nie miałem możliwości płacić. Więc licząc na to, że stanieje, wystawiłem mu na pewną sumę procentów w dolarach weksel. On wtedy weksel oddał do protestu i zażądał rejentalnie całej należności. Ja nie mając wyjścia zmuszony byłem sprzedać cały majątek, nie chcąc dopuścić do licytacji i oddać mu pieniędzy co skuteczniałem w sierpniu 1926 roku i za te 4000 zł., które od niego pożyczyłem zapłaciłem 14.800 zł. (czternaście tysięcy osiemset złotych). Ponieważ za majątek wzięłem 30.000 zł., (bo ceny na ziemię wtedy były niskie), więc N*** zabrał mi połowę mojego majątku. Ponieważ bankructwo w owe czasy było jeszcze czemś nowem i w oczach i w pojęciach ludu, czemś wprost karygodnym, a ja już tym razem byłem poważny bankrut, więc nie chcąc być pośmiewiskiem ludzi, posta-

nowiłem przenieść się w inne okolice, gdzie mnie nie znano. Więc za pozostałe mi pieniądze kupiłem w Błońskim powiecie, a właściwie wziąłem z parcelacji majątku Krze osiemnaście morgów ziemi gołej bez zbiorów i zabudowań, godząc po 675 zł. morgę. Wpłaciłem dwie trzecie należności (na jedną trzecią Bank Rolny dał nam pożyczkę w listach zastawnych), więc po wycofaniu się ze wszystkich prac społecznych, gdzie pracowałem nawiasem mówiąc z żalem żegnany przez współpracowników i ludność, przeprowadziłem się ze Starej Miłośny do Krzów, we wrześniu 1926 roku. Tu mnie znowu czekały przykre i smutne rzeczy.

Ziemia szykowana do parcelacji nieuprawiana, a tu twarda jesień, trzeba było na gwałt jako tako zaorać i choć trochę oziminy zasiać, no i jakieś choćby prowizoryczne budynki postawić, żeby się na zimę wprowadzić, bo już rodzinę miałem sporą, pięcioro dzieci i żonę, więc na to wszystko to jest na konie, na zasiew i budulec wydałem sporo pieniędzy. Prócz tego żywić rodzinę cały rok z gotówki, pochłonęło więcej gotówki, aniżeli ja miałem. Musiałem pożyczyć pieniędzy na wysokie procenty, bo cztery, a nawet i pięć procent miesięcznie, a tu jak na złe w 1927 roku ziemia dała bardzo kiepskie zbiory, zapuszczona przez dwór do najwyższego stopnia, nie dała się oszukać, a w pierwszym roku niemożliwie było wszystkiego zrobić, jak być powinno. Wobec tego wszystkiego długi zaczęły rosnać z szaloną szybkością, bo procentów nie mogłem pokrywać z gospodarstwa, więc z procentów zaczął się tworzyć kapitał, a jeszcze na domiar złego przyjechał instruktor z Grodziska Mazowieckiego i namówił mnie to jest prawie siłą wmówił we mnie, ażeby wziąć na wypłat drzewka owocowe i założyć sad handlowy. I wziąłem dwieście sztuk z Sejmiku Powiatowego w Grodzisku Mazowieckim jesienią 1927 roku a ponieważ była to ta pamiętna zima z 1927 na 28 rok, że wszystkie drzewka zmarzły, tak, że nic absolutnie nie zostało, a ja wystawiłem weksle na 750 zł. i prócz tego zapłaciłem 40 zł. gotówką za kosztą przewozu, jednym słowem, że pomimo nadludzkich wprost wysiłków tak mi szło to gospodarstwo, że po trzech latach miałem już z górą 6000 zł. długu, a naprawdę to może pożyczyłem 1500 zł. a może i to nie, a to reszta to tak szalenie szybko się mnożyły te procenta, że trudno było nastarczyć obliczać, a co dopiero odpłacać. Ponieważ ziemię już doprowadziłem do należytej kultury i wyprawiłem przez te trzy lata, w roku 1929 zbiory miałem bardzo ładne, ale mimo to widziałem, że sobie nie dam rady z tymi długami, a już miałem przecież doświadczenie,

więc nie chcąc dopuścić do tego, aby mi długi znowu przepoływały wartość gospodarstwa, postanowiłem sprzedać zawczasu. Więc podszycowałem wszystko, żeby jaknajlepiej wyglądało i puściłem do sprzedania, jakoś nie czekałem długo. Trafił się kupiec i jesienią 1929 roku sprzedałem uzyskując cenę 26.000 zł., prócz długu bankowego najpierw rozumie się poregulowałem wszystkie długi prywatne, nie spłaciłem tylko tej pożyczki za drzewka, bo ona była na raty. Za pozostałe pieniądze kupiłem inne gospodarstwo, również z parcelacji z tego samego majątku nawet większe, bo dwadzieścia jeden mórg tylko ogromnie zapuszczone i coprawda nie przy samej szosie. Zapłaciłem 19.000 zł., tysiąc złotych kosztował akt rejentalny przepisania tytułu własności, tak, że nie pozostało mi gotówki, ale i długu prywatnego nie zrobiłem. Inwentarz przeprowadziłem z tamtej gospodarki. Po przeprowadzeniu się na nowe gospodarstwo, postanowiłem sobie już nie pożyczać ani grosza od nikogo, żeby jak to się mówi najgorzej było. Jednak pomimo największych oszczędności i najdalej idących ostrożności wprost pomimowoli robią się długi, bo produkty rolne coraz bardziej taniały i nie było, no i tembardziej dziś niema możliwości pokrywać wszystkich potrzeb i wydatków, tak że rozmaite sumy pozostają niewpłacone na czas, czy to podatków, czy rat bankowych, czy też innych zobowiązań i przez to samo dług wzrastał, tak, że po roku jak obliczyłem (bo muszę powiedzieć, że wprowadziłem w swoim gospodarstwie rachunkowość) już miałem tysiąc złotych długu, tak, że się nic nie pożyczalo, a dług się zrobił, więc zacząłem się nad tem zastanawiać, widząc, że się znajduję w rozpaczliwym położeniu. Co będzie dalej, jak tak będzie szło, a tu niema widoków ku lepszemu. Zacząłem kombinować czy nie lepiej byłoby spróbować w inny sposób przeżyć ten kryzys, ażeby choć tej reszty majątku nie stracić, bo wszak mam przecież dzieci i mnie czeka starość. Więc po namyśle postanowiłem gospodarstwo puścić w dzierżawę, a samemu zarabiać na utrzymanie rodziny i tak zrobiłem. Ziemię wraz z budynkiem puściłem w dzierżawę za 800 zł. rocznie płatnych zgóry. To akurat starczało na pokrycie rat i podatków. Inwentarz żywy i martwy, jak również zbiory sprzedałem i znowu oddałem, gdzie byłem co winien. Pozostało mi 1800 zł. Narazie miałem dostać posadę ogrodnika w Warszawie, a te pieniądze miałem złożyć, jako kaucję, ale ponieważ nie mogłem na termin umówiony zebrać gotówki, tam wzięli kogo innego, ja zaś zostałem jak to się mówi na koszu, nie mając nic podobnego. Więc aby żyć z gotówki ku-

piłem dozorstwo w Warszawie za 1850 zł. i od pierwszego stycznia 1930 roku wyprowadziłem się do Warszawy. Pensji tam było 125 zł. miesięcznie. Liczyłem na to, że jeszcze się gdzieś coś do tego zarobi i będzie się żyć. Jakoś zaraz w styczniu cobywła za protekcją dostałem pracę w fabryce „Rygowar” na Pradze (obuwie gumowe). Zarabiałem pięć zł. dziennie to już jedno z drugim starczało na utrzymanie rodziny. Ale niestety wskutek małego zbytu na wyroby fabryka stanęła 12 maja i razem ze wszystkimi zwolniono i mnie i już żadnej roboty dostać nie mogłem, bo następował coraz większy zastój. Z dozorstwa nie mogłem wyżywić i przyodziać rodziny. Zacząłem kombinować jeszcze co innego i w sierpniu sprzedałem to dozorstwo a kupiłem sklep na Targówku. Na dozorstwie trochę zarobiłem, bo wzięłem 2200 zł., za sklep z urządzeniem i mieszkaniem zapłaciłem 1550 zł., za resztę gotówki wstawiłem towar i zacząłem handlować. I tak szło do pierwszego stycznia 1931 roku, wtedy mój dzierżawca zamiast mnie wpłacić 800 zł. tenuty dzierżawnej, to on mnie zawiadomił, że się wyprowadza z mojego gospodarstwa. Narazie nie mogłem dostać innego dzierżawcy, gospodarstwo przecież nie mogło zostać bez opieki, więc zmuszony byłem sklep zlikwidować i z powrotem przeprowadzić się na gospodarstwo, na sklepie znowu straciłem dużo pieniędzy, bo sklepy już o 50% staniały, a prócz tego dawało się na kredyt, więc za sklep wzięłem 850 zł. i na książce zostało u ludzi około 300 zł., których do dzisiaj nie odebrałem i prawdopodobnie nie odbiorę. Po uregulowaniu podatków za sklep i kosztów przeprowadzki pozostało mi około tysiąca zł. i z tem zacząłem na nowo gospodarować, kupiłem najpierw krowę, konia z wozem i zboża na chleb i na zasiew, ale na narzędzia rolnicze już nie starczyło, pług mi został, bo dzierżawca też nie miał pługu, więc prosił, żeby mu zostawić, bronę i wialnię to sam sobie zrobiłem i wiele innych drobiazgów ale sprężynówki i sieczkarni do dzisiaj nie mam i nie mam możliwości kupić.

Po powrocie z Warszawy myśląc sobie, że może ja nie umiem gospodarować (pomimo to, że w swoim czasie dostawałem pierwsze nagrody za hodowlę inwentarza na wystawach rolniczych, jak również dostałem list pochwalny od C. T. R. i K. R. za wzorową uprawę ziemi w roku 1929), oddałem swoje gospodarstwo pod nadzór rejonowego instruktora rolnego z Grodziska i dostosowując się do jego rad i wskazówek wspólnymi siłami staraliśmy się zwiększyć dochody z gospodarstwa, mimo to jednak niema wprost możliwości

i mogę śmiało powiedzieć niema dziś mądrego, ażeby mógł pokryć rozchody dochodami z gospodarstwa, czy to małorolne, czy nawet większe to z małą różnicą, bo jak większe gospodarstwo to i rozchody większe.

I znów gospodaruję, a właściwie męcę się te dwa lata na tym kawałku ziemi, dzieci mam już sześcioro, dwie córki i czterech synów, najstarsza ma lat szesnaście, najmłodszy ma rok, ja z żoną to razem osiem osób do wyżywienia i przykrycia, troje chodzi do szkoły i na nich jest poważny wydatek, bo trzeba je jako tako przykryć i obuć, a to książki i zeszyty i wiele wiele innych wydatków domowych, bo co nam potrzeba kupić to trzeba płacić drogo, a za nasze produkty, to jest zboże, warzywo i okopowe, jak również drób bierze się grosze, a wiele jeszcze jest wypadków, jak naprzykład teraz w naszej okolicy panuje jakaś zaraza świń i drobiu i mnie w tych dniach wyzdychało całe stado gęsi, na które się liczyło, że na Boże Narodzenie się je sprzeda i coś się za nie załatwi.

Obecnie inwentarza posiadam mało bo nie mam za co kupić, mam jedną krowę, cielaka, jednego konia (a przydałoby się dwa) dwoje świń i około trzydziestu sztuk kur i kaczek, ale nie wiem, jak to długo będzie żyć, bo jak się zaraza zakradnie to trudno ją wytępić.

Otóż jak powiedziałem z dochodów jakie daje gospodarstwo trudno pokryć drobnych rozchodów na dom, a co mówić o ratach bankowych i podatkach, a prócz tego jeszcze i procenta są do regulowania, choć to dziś już nikt dużego procentu nie żąda, ale i małego niema z czego zapłacić, dziś każdy rolnik stara się uczyć wszystkiego, a właściwie to go bieda uczy i robi sobie sam wszystko, do kowala jedzie z jakąś robotą, jak już sam nie może zrobić i już nijak się nie może obejść bez tego, stare kapoty wyciąga z kątów, gdzie już po kilka lat leżały i przesywa i łąta sam w domu jak może, bo nawet na krawca te parę groszy niema, buty jak się psują to sam jak może zeszywa zbija gwoździami, bo nowych nie może kupić, bo i na reperację starych niema. Połowa ludności na wsi żyje przeważnie kompotem kartoflanym i to z postem, a druga połowa to sobie niby krasi, ale jak ano pół kilograma słoniny na tydzień kupuje, a swojego wieprzaka, żeby sobie ktoś zabił, jak to dawniej bywało to się wcale nie słyszy, ażeby ktoś sobie na taki zbytek pozwolił, a co do mleka to aż przykro mówić, że to niby powiadają, że chłop na wsi to ma wszystko swoje, no i mleko też, ale niestety na wsi nikt sobie nie pozwoli zjadać, albo przynajmniej dziecko

poczęstować mlekiem i nieraz, aż człowiekowi markotno, niejedna matka ze łzami w oczach musi odmówić proszącemu dziecku tej kropli mleka, bo na sól i zapałki trzeba uzbierać, a przecież wieczory teraz są długie, trzebaby coś zrobić, dzieci lekcję muszą odrobić więc i nafty trzeba kupić, a to wszystko takie drogie, dwa kilo soli, $1\frac{1}{2}$ litra nafty i zapałki to już dwa złote na tydzień, a na te dwa złote kilo masła trzebaby sprzedać, a czy się go uzbiera czy krowy dadzą tyle?

Teraz na jesieni to jeszcze jako tako ludzie się starają co kto może wyciąga sprzedaje i chociaż niesolonego nie je, ale na przednówku znam w mojej okolicy (nie chcę wymieniać ich nazwiska), którzy całymi tygodniami jedli bez soli, więc można sobie wyobrazić, jakiż to obraz nędzy musi być tam, gdzie już soli niema zaco kupić.

Ja ze swoją rodziną jeszcze chwala Bogu nie jadłem bez soli, ale nieokraszone to już wiele razy.

Zabudowania moje składają się z jednego tylko budynku, to jest stodoły, w jednym sąsięku zrobione jest mieszkanie tak prowizorycznie i zdawało się na tymczasem, a tu jednak czas coraz trudniejszy, niema mowy o pobudowaniu domu i nie wiem jak jeszcze długo będziemy musieli marznąć w tej prowizorycznej izbie, na oborę i stajnię też do tej stodoły jest przyklepiona szopa z gliny i tam się cały inwentarz mieści, smutno się przedstawia całość, bo nawet płotu niema możności postawić, bo robotę to bym sam wykonał, ale materiał trzeba kupić, a tu niema zaco. Z narzędzi rolniczych mam pług, bronę, pogłębiacz, radio, znacznik „jordana” do kartofli i buraków, potrzebne mi są koniecznie sprężynówka, sieczkarnia i waga, jak również przydałaby się młóckarnia, kierat i siewnik. Ziemia moja mogę powiedzieć jest w dobrej kulturze, w ostatnich czasach podnawiałem stare rowy i w niektórych miejscach wykopałem nowe, wykopałem również dosyć dużą sadzawkę przy domu, a glinę rozwiozłem na piaszczystą ziemię, zastosowałem w całym gospodarstwie (rozumie się podług wskazówek instruktora) odpowiedni płodozmian, czyli tak zwaną czteropolówkę, stosuję nawozy sztuczne z bardzo dobrymi skutkami, ale to wszystko dziś na niewiele się przyda.

Dzięki temu, że żona moja potrafi robić płótno samodzielowe, a córki jej w tym pomagają, więc siejemy len i kobiety same go moczą, międlą, przędą i wyrabiają płótno, wobec czego chociaż bielezny nam nie brak, gdyby było zaco owiec kupić to możnaby i wełniaki robić na ubrania i skóryby były na kozuchy, bo już hodo-

wałem owce w swoim czasie i wiem co one są warte w gospodarstwie, ale choćby ze dwoje na nasienie niema zaco kupić tembar-dziej, że w tej okolicy ludzie nie chowają owiec i trzebaby po nie gdzieś jechać dalej. Ja zaś zimową porą poza młócką ręczną i in-nemi robotami codziennymi robię okna inspektowe (bo choć na małą skalę, ale jeszcze prowadzę warzywnictwo), reperuję i uzupeł-niam wszelki sprzęt w gospodarstwie, bo mogę powiedzieć, że wszystko znam potrochu, stolarstwo, ciesielstwo, ślusarstwo, kowal-stwo, a dziś się nawet nauczyłem szewctwa i krawiectwa, więc ro-boty jest zawsze dosyć, tak, że mogę powiedzieć, że zimą i latem pracuje szesnaście i osiemnaście godzin na dobę. Co do prac spo-lecznych nie chcę się już dzisiaj niczemu udzielać, dostałem takiego zniechęcenia, że nawet aż się żyć nie chce, mimo jednak niechęci z mojej strony wybrano mnie w roku 1928 na prezesa Kasy Gmin-nej Pożyczkowo - Oszczędnościowej, gdzie pracowałem do wyjazdu do Warszawy, obecnie wybrano mnie do Rady Gromadzkiej i po-stawiono moją kandydaturę do Rady Gminnej i tu gorsza sprawa, bo nie wolno odmówić.

Co do obdłużenia mojego gospodarstwa to aż włosy dęba stają jak sobie pomyślę, bo już mam dosyć doświadczenia co to są długi, otóż w Państwowym Banku Rolnym winien jestem 5.400 zł., w Kasie Komunalnej w Grodzisku za drzewka 700 zł., w Kasie Gm. 400 zł. i prywatnych około 800 zł.

Procentu teraz już nie płacę większego jak jeden na miesiąc, ale i tego niema z czego pokryć, a co mówić o kapitale.

Co do leczenia w razie choroby to jak kto zachoruje to sobie i choruje, chyba, że przyjdzie jaka sąsiadka i poradzi jakoś tam znachorją zażegnanie lub coś podobnego, a już w najlepszym wy-padku, jak się ktoś trafi taki co ma trochę pojęcie o ziołach to jest tysiączniku, rumianku, mięcie i tym podobnym, a jeżeli za-choruje taki co zarabia na całą rodzinę to jest główna siła w gospodarstwie, a choroba się przeciąga, to wtedy wyciągają ostatnią cza-sami ćwiartkę żyta, która była zachowana na chleb na Boże Naro-dzenie, lub Wielkanoc i wiezie się do miasta wraz z chorym, żyto się sprzedaje i chorego się prowadzi do lekarza, a jeżeli kogoś ząb zaboli i nie może wytrzymać, a ząb nie da się zatruć esencją octową to mu sąsiad lub ktoś z rodziny stara się go wyrwać obcęgami. Wiele, wiele jest takich rodzin co chleb pieką tylko w żniwa zaraz z nowego, a później tylko na wielkie święta to jest cztery lub

pięć razy na rok, a dziecku do szkoły zamiast kawałka chleba daje matka parę kartofli pieczonych, o cukrze to szkoda mówić, niektórzy to jeszcze sobie pozwolą na jakieś wielkie święto kupić choć ćwierć kilo, a większość jest takich, którzy zupełnie zapomnieli, jaki to cukier ma smak, jednym słowem źle jest na wsi, bardzo źle. A już najgorzej to jest właśnie na parcelacjach i po scaleniu gruntów, bo nikt przecież nie przewidywał, że dojdzie do tego stopnia co doszło i każdy zaciągał różne pożyczki byleby jaknajwiększy kawałek ziemi kupić i gdyby się nie zmieniło tylko było dziś tak, jak wtedy kiedy brał ziemię, to wszyscyby już byli bez długów, bo każdy się obliczał co może wytrzymać, a tak to jak jest, otóż w mojej okolicy jest około pięćdziesiąt gospodarstw z parcelacji z jednego majątku i prawie wszyscy znajdują się w takich warunkach, że np. ma dziesięć hektarów t. j. osiemnaście morgów ziemi i na niej ma 20.000 zł. długu i nawet i połowy budynków niema jakie mu są potrzebne i ma jedną krowę, najwyżej dwie, a są tacy co i jednej nie mają. Są tacy co już sprzedali i nic im nie pozostało, są tacy co sprzedali połowę, ale niestety i na tej drugiej połowie jeszcze mają więcej długu, aniżeli ziemia dziś warta, wielu jest takich, którzy już tylko na włosku wisieli, bo już komornik się nimi opiekował, ale dzięki wstrzymaniu egzekucji i licytacji przez rząd trochę narazie odetchnęli, ale na jak długo niewiadomo.

Są jednak i na wsi pewne wyjątki, którym się świetnie powodzi i w naszej okolicy jest parę takich pijawek, którzy na wyżej wymienionej biedzie porobili majątki, np. siedem lat temu taki pasorzyt miał 500 zł. gotówki i zaczął ją pożyczać na 5% później na 4% i tak potrafił temi pieniędzmi obracać, że kupił sobie kilkanaście morgów ziemi i jeszcze mają kilkanaście tysięcy złotych gotówki na pożyczkach, pożyczylem i ja od jednego z nich w swoim czasie 200 zł. i płaciłem mu po pięć od sta miesięcznie, to jak powiedzmy dziesiątego przeszedł miesiąc, jak mu zapłaciłem ostatni procent i ja mu nie odniosłem dziesięciu zł. to na drugi dzień przychodzi syn owych państwa i woła, żeby mu dać dziesięć zł., ja nie mam pieniędzy, więc go proszę, mój kochany przeproś rodziców, że ja nie mogę dziś oddać, ale się postaram i wkrótce odeślę, to on najzwyczajniej siada sobie na stołku i powiada, że matka mu powiedziała, żeby do domu bez pieniędzy nie przychodził tylko żeby siedział, aż ja mu oddam te dziesięć zł., no i on będzie siedział, więc aby się pozbyć musiałem iść do sąsiadów pożyczyć dziesięć zł. i wyprawić go z domu, otóż tacy panowie mają dziś po kilka-

naście spraw w Sądzie Rozjemczym i w dalszym ciągu kombinują jakby się dało ludzi wyszukiwać, ale im się trochę urwało.

Przyczyną obecnego kryzysu według mojego zdania jest, to że nie mieliśmy od początku państwa polskiego normalnego pieniądza obrotowego i przechodziliśmy najrozmaitsze załamania czy to wzwyż czy w dół i na każdym takim załamaniu ucierpiała pewna warstwa społeczeństwa i jeżelibyśmy przechodzili jedno załamanie to tylko by ucierpiała pewna część społeczeństwa toby się nie dało nawet odczuć na ogóle, ale ponieważ przechodziliśmy cały szereg takich załamań i każde załamanie uderzyło w inną część społeczeństwa przez to choć nie jednocześnie, ale szybko jedno po drugim i ucierpiała całe społeczeństwo, a najgorzej ucierpiała rolnictwo, bo w rolnictwo właśnie było wystosowanych kilka uderzeń bardzo poważnych, bo w swoim czasie kiedy rolnicy jeszcze stali możliwie, a zaczął się chwiać przemysł i fabrykanci, to ci ostatni ponieważ mają związki zaczęli robić hałas i zaczęli interwenjować do rządu, rząd zaś przychyłając się do ich prośby porobił pewne zarządzenia, aby przyjść z pomocą przemysłowi, ulżył im w podatkach, a przycisnął śrubę podatkową na rolników i aby obniżyć ceny na artykuły pierwszej potrzeby to jest artykuły spożywcze licząc na to, że robotnik fabryczny wtedy będzie mógł taniej pracować w fabryce, sprowadzał zboże i tłuszcze z zagranicy konkurując na rynku krajowym z rolnikami i zdawało się rządowi, że popierając w ten sposób przemysł przyjdzie krajowi z pomocą, a tymczasem to odniosło wręcz przeciwny skutek, bo rząd za dużo wprowadził do kraju produktów rolniczych, ceny na te produkty spadły do minimum, a rolnictwo przestało się opłacać, rolnik zaczął bankrutować i przestał nabywać wytwory fabryczne.

No i cóż z tego, że magazyny fabryczne zawałone są dzisiaj różnym wytworem fabrycznym, a niema na nie zbytu, bo główny odbiorca tych rzeczy rolnik niema pieniędzy, jest zbankrutowany i nieprędko jeszcze będzie mógł te rzeczy kupować, a przemysł polski może liczyć tylko na zbyt krajowy, bo z zagranicą nijak konkurencji nie wytrzyma, bo to co u nas kosztuje złotówkę to zagranicą zrobią za 40 groszy. A więc daleko lepiej byłby rząd polski zrobił, gdyby był więcej otoczył opieką rolników, bo Polska jako kraj rolniczy może tylko produktami rolniczymi konkurować z zagranicą, a były czasy kiedy na te produkty był dobry zbyt u naszych sąsiadów i trzeba było wtedy sprzedawać, a nie kupować i dziś nie byłoby tego ogólnego zastoju, i dziś jest źle, jest gorzej, aniżeli się spodziewają

najlepsi politycy, bo najgorszą rzeczą to jest to, że społeczeństwo, a przeważnie ludność prowincjonalna zaczyna być bierną, popada jakby w sen letargiczny, przestaje reagować na wszystko, obojętna jest czy tam dostanie jeszcze jedno uderzenie więcej czy mniej i tu możnaby zastosować te poetyczne słowa „Niczem Sybir niczem knuty, niczem śmierć pod gradem kul, lecz najgorszy lud zatruty to jest bólem bólów ból”, boć lud nasz jest dziś chory, jest jakby zatruty, podobny jest do człowieka, który ugrzązł w trzęsawisku i pokąd miał siły, pokąd miał nadzieję, że się wyratuje to się rwał, starał się za wszelką cenę wyratować dobywać ostatnich sił licząc na to, że może ktoś mu przyjdzie z pomocą i wtedy przy małej pomocy możnaby go stamtąd wyratować, ale kiedy już stracił siły, stracił nadzieję wszelką i wreszcie stracił przytomność to już trzeba nadzwyczajnego wysiłku, aby go wyciągnąć, bo on już przestał reagować, w podobnym stanie właśnie znajduje się ludność wiejska, a to jest z ł o t y l u d, on cierpi i milczy i umrze, a nie będzie się skarżył, a Rząd Polski wprost nie zdaje sobie sprawy z tego jakiego to ma współprzymierzeńca w tym ludzie i słusznie się mówi, że rolnik to jest fundament kraju, a jak dobry inżynier chce budować kamienicę to musi wiedzieć z czego się składa fundament i jaki on jest, to jest musi go znać. Tak i rząd polski jeżeli chce budować gmach Państwa Polskiego to musi koniecznie poznać jego fundament, musi koniecznie poznać tą wieś polską, musi wiedzieć co ma a co jej brak, musi nawet wiedzieć co jej dolega co ją smuci co cieszy i z chwilą kiedy to nastąpi to będziemy spokojni o losy kraju, bo wtedy dobrobyt dla wszystkich sam przyjdzie.

Jedyną drogą do pobudzenia ludu z tej martwoty i jedyną drogą ratunku może być tylko jakiś wstrząsający i radykalny krok ku lepszemu ze strony rządu, wszystkie półśrodki mogą tylko chwilowo powstrzymać ostatnią ruinę, ale radykalny środek jest tylko jeden (według mego zdania), a mianowicie, aby Rząd Polski wycofał się z handlu i aby zniósł monopole, a handel oddał w ręce prywatnych handlowców i wytwórców (bezwarunkowo tylko polaków) a zamiast zysków jakie ma dziś z monopoli obciążyć te artykuły choćby większym podatkiem, jednak takim, aby te artykuły odrazu mogły stanąć, wtedy wyłoni się konkurencja, a handlowców w Polsce mamy dużo, którzy taniej będą potrafili wyprodukować te artykuły, jak to dziś kosztuje Rząd, wtedy zacznie się ruch i obrót, wtedy zrównoważą się ceny artykułów rolniczych z artykułami fabrycznymi, rolnictwo przeto zacznie się podnosić, a za rolnictwem

zacznie się podnosić i przemysł, ale ta ofiara ze strony Rządu musi nastąpić szybko to jest zaraz nie zwlekając, bo może być zapóźno, bo wcześniej czy później to Rząd to zrobi wprost musi zrobić, bo tylko wtedy kraj może dobrze egzystować, jeżeli Rząd będzie pilnował tylko rządów, a nie handlu, prócz tego i Rząd musi się zastosować do tego przemądrego przysłowia (Pamiętaj rozchodzie żyj z dochodem w zgodzie), musi poznać w jakich warunkach znajdują się płatnicy podatkowi i co z nich można dostać to jest co oni mogą zapłacić (bo z próżnego i Salomon nie nalał), a takie wy-ciskanie ostatniego grosza to do niczego dobrego nie prowadzi, bo to się nazywa, że to się żyje tylko aby dziś nie oglądając się co będzie jutro, a przecież jutro też musimy żyć i podług dochodów zastosować rozchody. Trudno, źle jest w kraju, musimy cierpieć wszyscy i wszyscy spólnymi siłami wziąć się do naprawienia tego zła.

A więc jak powiedziałem tylko rząd jest w stanie zapoczątkować to wielkie dzieło przez natychmiastowe zniesienie monopoli, bo jak będzie zwlekał i robi to zapóźno to będzie źle i może zrobić tak, jak powiada polskie przysłowie, mądry polak po szkodzi, wtedy stajnię zamknie, jak mu konia wezmą.

A więc Kochani Panowie, którzy stoicie u steru zechciejcie usłyszeć ten głos i zrozumieć go, którym woła do was dziś Polska do czynu póki nie jest jeszcze zapóźno, bo i tak zabrnęliśmy daleko i poprawa nie nastąpi tak prędko, bo miesiący całych trzeba, aby kraj upadł, ale lat trzeba, aby się podniósł.

P. S. Szanowni Panowie!

Bardzo przepraszam, że może zadługa jest ta moja bazgranina, ale chcąc choć pobieżnie zobrazować mój życiorys musiałem choćby ważniejsze momenty z mego życia wpisać i może nawet lżej mi jest na sercu, że jest ktoś taki kogo zainteresował los biedującego dziś rolnika i między innymi i mój, i ja, który przy świetnej początkowo karierze mego życia rokowałem sobie przynajmniej względny dobrobyt na starość, jeżeli jej doczekam, a jak dotąd doczekałem biedy i mogę powiedzieć, że dużo pieniędzy już zarobiłem w swoim życiu, ale trzy czwarte tego zabrali różne pasorzyty.

Dn. 27 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 2

Gospodarz czternastomorgowy w pow. warszawskim

Ojciec mój zaczął gospodarowanie na czternastu morgach ziemi z pastwiskiem, lasem i t. p. w roku 1911.

Na początku gospodarowanie nie było łatwe z powodu wznoszenia budynków gospodarskich, jak stodoła i obora, oraz spłata rodzinna z powyższego gospodarstwa w wysokości 2000 rubli wynosząca.

To też gdy ojciec wziął za swoją żoną 1200 rubli, to do całkowitej spłaty musiał zrobić wielki dług na owe czasy wynoszący 800 rubli. Ten dług został spłacony w dwu latach, z tego powodu, że dochodowość gospodarstwa była nie taka jak jest dziś. To też nie dziwnego, że chociaż spłaty i wszelkie długi były ciężkie, to jednak w tak ustabilizowanym czasie nie były beznadziejne. Po spłacie rodzinnej przyszła kolej na budowanie stodoły i obory, tu znowu trzeba było dokonać wysiłku, dla pokonania trudności, które piętrzyły się przed budową, jak brak budulca, brak pieniędzy na materiał i robotnika, a trzeba zrozumieć że dopiero gospodarstwo otrząsnęło z siebie dług zaciągnięty na spłatę rodzinną. Pożyczać pieniędzy na budowę i płacenie procentu nie kalkulowało się i chociaż procenty nie były lichwiarskie bo tylko 10% rocznie od sta, pożyczka nie została zaciągnięta. Tu ojciec zaczął stosować samowystarczalność i tak drzewo na budynki zostało przywiezione z lasu swojego i ojciec przystąpił do budowy. W tym czasie sprzedano z gospodarstwa jeden stóg siana za 40 rb. i wieprza za 80 rubli i to starczyło na pewne materiały do wyżej budowanych budynków. Czyli że na początku zagospodarowania były okropne trudności, które zostały jednak zwycięsko pokonane.

Po dokonaniu powyższych rzeczy w gospodarstwie mojego ojca, wybuchła wojna światowa, która pochłonęła ojca. Teraz dopiero się zaczął okres krytyczny dla gospodarstwa, trzeba było zgodzić służącego do pracy w gospodarstwie. Straty w gospodarstwie w tym okresie były na porządku dziennym i tak w czasie postoju wojsk niemieckich zabrano dwa stogi siana, trzydzieści korcy owsa, trzy świnie dużych, kozuch nowy, słomę i t. d. zostało tylko to, co zostało pochowane, słowem prawie cały zbiór i hodowla z jednego roku została zniszczona przez wojska rosyjsko-niemieckie. Takie to było przejście wsi w czasie zawieruchy wojny światowej.

Po wojnie zaczęto znowu przyprowadzać wszystko do porządku a szczególnie z zaraniem niepodległości Polski.

Na wsi zaczął się ruch kupna ziemi, ażeby powiększyć swoje gospodarstwa, powściągliwość do kupna ziemi była wielka ze względu na dobrą rentowność w owym czasie, oraz przed wojną, chociaż trochę spadek marki polskiej temu zaszkodził.

Później trochę, bo w okresie nastania złotego polskiego a szczególnie w początku roku 1925/6 zaczął się na nowo szal do ziemi. Ludzie poprostu woleli się zaograniczyć do najmniejszego stopnia egzystencji życiowej aby dokupić kawał ziemi (szczególnie od dwora) dla siebie, dla swoich dzieci, ażeby dać im w przyszłości większy warsztat pracy rolnej. To też niektórzy zapożyczali się nad stan i płacili szalenie lichwiarskie procenty, jak naprzykład 10% miesięcznie (100% rocznie).

W gospodarstwie mojego ojca na początku 1926 roku kupiono dwa morgi ziemi od bliskiego dworu za cenę 2400 złotych, które to pieniądze w połowie zostały pożyczone na 72% w stosunku rocznym, chociaż płaciło się tak duże procenty, to jednak kupno powyższe wypadło jaknajlepiej, bo na wiosnę 1926/7 na jesieni za same ziemniaki, których było na dwóch morgach 180 metrów, utargowaliśmy 1800 złotych (przeciętnie dziesięć złotych za metr), które prawie pokryły cenę kupna owych dwóch morg.

Na końcu 1927 roku znowu kupiliśmy jeden mórg ziemi, za którą zapłacono już 2400 (ziemia onczas mocno podrożała) i chociaż ta cena była bardzo wysoka to jednak jeszcze było można kupować ziemię, chociażby po takiej wysokiej cenie, bo ziemia w tym czasie dawała opłacalność. I nie licząc ziemi kupionej w 1926 r. już na początku 1929 roku za mórg kupiony w 1927 r. dług został spłacony całkowicie, chociaż procenty płacone były od długu po 5% w stosunku miesięcznym.

W marcu 1929 roku zaczęło się nieszczęście dla naszej gospodarki, bo w tym czasie kupiliśmy dwa i pół morgi po 2700 złotych za mórąg czyli ogółem zapłaciliśmy 6750 złotych + koszta rejentalne 675 zł. czyli razem zapłaciliśmy 7425 złotych, na którą to sumę dostaliśmy 3000 zł. tytułem spłaty rodzinnej, reszta zaś była pożyczona na 3% miesięcznie, z nadzieją spłaty długów powyższych w niedługim czasie. Aż tu bomba pękła, przyszedł zaraz po ukończeniu formalności kupna i po osiągnięciu pożyczek, straszny w swych skutkach dla rolników kryzys. Teraz dopiero stała się depresja szczególnie dla tych, którzy pozaciągali przed nadejściem kryzysu pożyczki. Tak też było u nas w gospodarstwie mojego ojca. Straszne rzeczy 4750 zł. długu, to śmierć w czasie kryzysu. Ale trudno nie trzeba się poddawać desperacji, tak też zrobiliśmy i my, a więc zaczęliśmy ludzić się nadzieją, że może po zbiorze 1930 r. ceny się poprawią, to się sporo długu odda, a więc pozostała nadzieja i to dobre. Tymczasem wzięliśmy się za uspokojenie procentów, które rosły jak na drożdżach, a więc pamiętam jak na początku przesilenia w rolnictwie, były jeszcze ceny na świnie, więc sprzedaliśmy czterech tuczników za które wzięliśmy 800 złotych, a było to na wiosnę 1930 roku, czyli upłynął już rok od chwili pożyczania pieniędzy. Więc po upływie tego roku narosło samego procentu około 1500 złotych, (mieliśmy trochę rabatu ze strony wierzycieli w procencie), a więc na pokrycie tego procentu całe 800 złotych wziętych za tuczniiki wylazło na pokrycie tego procentu i o dziwo brakło do całkowitego załatwienia tej sprawy 700 złotych, które częściowo zostały pokryte ze sprzedaży zboża, oraz zamienienie procentu w kapitał. Skutki tego haraczu procentowego były straszne w naszym gospodarstwie, bo proszę sobie wyobrazić po sprzedaniu tuczników musieliśmy jeszcze prawie wysprzedać wszystko zboże przez nas posiadane aby utargować 450 złotych do brakującej sumy procentu. Otóż w takich warunkach w których lichwiarze wysysali najbardziej soki żywotne z gospodarstwa, cóż pozostało dla siebie w gospodarstwie na elementarne potrzeby domowe, na podatki, na spłatę długów, na konserwacje gospodarstwa i t. d., poprostu nic — nic, słowem wytworzyła się sytuacja bez wyjścia, zaczął się szerzyć upadek gospodarstwa, zaczęła się wciskać nędza, a to wszystko przez spadek cen na zboże i wysokie lichwiarskie procenty.

Otóż wobec tak wytworzonych szalenie trudnych warunków w gospodarstwie ojca, zaczęliśmy wszyscy przemysłić nad tem ażeby procent od kapitału był nie taki wysoki, ażeby przemienić

pożyczki lichwiarskie na bankowe i t. p. co w części się nam udało bo w tym samym roku to jest 1930 udzielono nam pożyczki z Kasy Komunalnej powiatu Warszawskiego w sumie 2000 złotych, które to zostały zużyte na spłatę długów lichwiarskich, chociaż w części.

Tu trzeba zaznaczyć, że pieniądze pożyczone z Kasy Komunalnej wzięte zostały na 15% w stosunku rocznym od sta. To też jak na ówczesne warunki w 30 roku zdawało się że powyższy procent jest bardzo mały. Po otrzymaniu pożyczki z Kasy Komunalnej, zdawało się że już teraz prędzej będzie można poradzić z długiem, bo już prawie połowę długu mamy przynajmniej, chociaż już na nie-mały to przynajmniej średni procent. Jednak było to złudzenie, bo Kasa Komunalna, która z kosztami pobierała prawie 1½% miesięcznie, naciskała na punktualność wpłaty co trzy miesiące równych rat długu, oraz procentów, w przeciwnym razie chociaż w parę dni po terminie nakładała grzywny, koszta i t. p. co w rezultacie podrożało pożyczkę.

Tymczasem przyszedł rok 1931, zboże potaniało jeszcze bardziej, a co gorsza spadły do 70 gr. za kg. żywej wagi świnię, oraz krowy, konie i t. d., co razem wytworzyło jeszcze gorszą sytuację w naszym gospodarstwie. Tu trza było myśleć o obniżce procentów od kapitału wierzycieli prywatnych, co po dłuższych pertraktacjach udało się nam zniżyć procenta do 2% miesięcznie, jednak i to nie pomogło, bo zważywszy że i tak procent chociaż po zaciągnięciu pożyczki w Kasie Kom. oraz po zmniejszeniu prywatnego wynosił rocznie przeszło 1000 zł., wartości prawie niezłych dziesięciu tuczników lub stu korcy owsa, a w gospodarstwie było w tym roku najwyżej 35 korcy. W takich warunkach nie było można opłacić podatków i załatwić potrzeby domowe, stanęliśmy nad niewypłacalnością, więc rada w radę postanowiliśmy sprzedać jeden mórg ziemi, tak też zrobiliśmy. Otóż za ten mórg ziemi, który w 1929 roku kosztował nas 2700 złotych, sprzedaliśmy w roku 1931 r. za cenę 1900 złotych czyli mniej o 800 złotych. Po sprzedaniu owego morga trochę odetchnęliśmy, a więc oddaliśmy owe 1900 złotych do wierzycieli prywatnych, z nadzieją uwolnienia się od haraczu procentowego A więc dobrze, pozostało nam z podatkami 3000 tysiące złotych długu. Więc teraz może da się wybrnąć z tego położenia, może da się nam zmniejszyć procenty od długu, może się jakoś zrobi. Lecz to było tylko złudzenie, warunki bytu stawały się coraz trudniejsze, pamiętam jak to po sprzedaniu tej ziemi, żal nam było trochę z tej racji, że może warunki się poprawią to się byśmy wylądowali. Lecz po pewnym czasie

spostrzeżliśmy, że sprzedaż owego morga była dla nas błogosławieństwem, a to z tej racji, że spadek cen ziemi, ale i płodów rolnych posuwał się stale. Lecz nie posuwała się ku spadkowi cen stopa procentowa, nie było spadku cen w produktach przemysłowych potrzebnych do egzystencji życiowych. W domu zapanowało przygnębienie, nie było chęci do pracy bezcelowej, która jest bezowocna, która poprostu staje się przekleństwem. Czekaliśmy lepszych czasów. Nadszedł czas późniwy w roku 1932, okres w którym zaznaczył się dalszy spadek cen płodów rolnych, który z porównaniem 1931 r. zaznaczył się o jakieś 40% przedewszystkiem na zboża, bo co do trzody, to trzoda utrzymała się na cenie 31 roku, zaś krowy i konie spadły o taki sam procent jak zboża.

W tym czasie zaszły pewne zmiany stopy procentowej i tak wierzyciele długów prywatnych, pomni na nieopłacalność gospodarstw, obniżyli procent 1% miesięcznie, co było wielką ulgą dla dłużników. Po obniżeniu procentu przez wierzycieli prywatnych, pozostał tylko u nas w gospodarstwie dług na najwyższym oprocentowaniu w Kasie Komunalnej na wysokości 1.50% kosztami miesięcznie i dług w Kasie Komunalnej stał się prawie najuciążliwszy ze swej punktualności spłat zarówno procentów, jak i rat kapitału. Lecz chociaż został obniżony procent od długu, to jednak i to nie uratowało naszego gospodarstwa, nie uratowało i to że dług prywatny w sumie 1000 złotych rozdzielono na 1½ roku na trzy raty, z dalszym zmniejszeniem oprocentowania, bo tylko na 4½% rocznie. Niepomogło, bo z samych podatków z osiemnastomorgowego gospodarstwa wypadało około 300 złotych rocznie, wartości trzydzieści pięć korcy owsa, czyli całość owsa z gospodarstwa. A gdzie pozostały potrzeby domowe, konserwacje i zakup nowych i starych rzeczy gospodarskich. W początkach roku 1933 poczuliliśmy, że jednak na swoim gospodarstwie z 3000 zł. blisko długu nie wyjdziemy na dobre. Więc jeszcze czekamy może, może się poprawi. Przychodzą nareszcie żniwa dość obfite, ale niepocieszne, bo za korzec owsa płacą u nas sześć złotych lub siedem zł. metr żyta 11—12 złotych i tu można załatwić potrzeby gospodarskie jeszcze w długu przy takich cenach, aż tu przychodzi 1 października data 1-szej raty rozłożonego długu przez Komisję Rozjemczą w sumie 300 zł. i podatków zaległych 200 zł. + 300 zł. = 500 złotych, które chcąc utargować trzeba by sprzedać trzydzieści korcy żyta, no i naturalnie zbiór owsa brutto, dla siebie nic. Tu znowu ciężka chwila, trzeba coś zrobić, aby potrzeby załatwić. Wobec tego nic innego nie wypada, tylko sprzedać jeden mórg zie-

mi, tak też zrobiliśmy, został sprzedany za 1000 złotych, co w porównaniu z ceną kupna stanowi stratę 1700 złotych, (cena owej morgi w 1929 r. wynosiła 2700 zł.). Wobec tego można tak wysświetlić całą rzecz tego kupna gruntu. Otóż w roku 1929, jak to na początku zaznaczyłem, cena kupna owych dwóch i pół mórg ziemi wynosiła + koszty rejentalne 7425 złotych. Otóż na tę sumę mieliśmy własnych 3000 złotych czyli że pożyczkę zaciągnęliśmy przeszło 4000 zł., jak na tej pożyczce i na kupnie powyższego gruntu wyszliśmy, świadczy fakt, że po czteroletniej męce musieliśmy zpowrotem sprzedać dwa morgi ziemi, czyli że pozostało nam z owego kupna tylko pół morga za łączną sumę 2900 złotych i pozostało nam jeszcze długu po sprzedaniu ziemi 1000 złotych czyli wartość jednego morga ziemi, co w porównaniu przedstawia się tak, pozostało nam jeszcze z kupna pół morga ziemi, który gdyby sprzedał wziąłby 500 zł. czyli po sprzedaniu całkowitej ziemi (2 $\frac{1}{2}$ m.) kupionej w 1929 r. brakłoby do spłaty długu 500 złotych i 3000 zł. gotówki naszej włożonej w powyższe kupno, czyni razem 3500 zł. straty na czysto w kapitale nie licząc procentów, których wypłaciliśmy z racji tego kupna jakieś 2500 zł., czyli razem 6000 zł. wrzuciliśmy w błoto na marne, owoc tyloletniej pracy. Stało się to w okresie silnej nieopłacalności w rolnictwie przez tę nieopłacalność i przez lichwiarzy, którzy grasowali bezkarnie.

Stan wytworzony przez powyższe okoliczności w naszym prywatnym gospodarstwie i w całej wsi niedobry. Bo jeżeli weźmiemy pod uwagę życie ogólne, to nasuną się nam rzeczy, które poprostu są nie do pozazdroszczenia. I tak w naszym gospodarstwie z powodu powyższych okoliczności wszystko ucierpiało. Budynki w marnym stanie, niema za co reperować. Ziemia wyjałowiona, niema potrzebnej ilości inwentarza, brak nawozów sztucznych. Stan duchowy członków rodziny też ucierpiał, bo piszący te słowa miał dużą chęć wstąpienia do szkoły rolniczej lub Uniwersytetu Ludowego, lecz nie zostało zrealizowane z powodu braku gotówki, oraz rąk roboczych w gospodarstwie (to drugie zostałyby pokonane, gdyby były pieniądze).

Tak też jest ogólnie w całej wsi. Co zaś do czytelnictwa gazet, to może jeszcze się trzyma na bezkryzysowym okresie. Bo ja sam przyznam się do tego, że nie było nieraz za co kupić niezbędnych rzeczy to jednak na gazetę musiało się znaleźć pieniądze. Bo dla czytających dłuższy okres, gazety to przyjaciel w najgorszej biedzie. Lecz jednak czytelnictwo ogólne może się trochę skurczyło, bo po pierwsze

brak funduszków po wszelkich organizacjach przyczyniło się do zamrożenia bibliotek, bo po przeczytaniu książek z braku świeżych ustaje czytelnictwo. Dla przykładu podam następujące okoliczności, które sprzyjały rozwojowi bibliotek po wsiach, a temsamem czytelnictwa. Otóż w rozwoju czytelnictwa po wsiach, główną rolę odgrywały Koła Młodzieży Wiejskiej, które po zdobyciu funduszków zakupywały w pierwszym rzędzie biblioteki ogólne. W latach dobrej konjunktury dla rolnictwa, prawie z każdej takiej imprezy wpływało do Koła Młodzieży Wiejskiej blisko sto złotych, jako czystego zysku. Teraz jednak stało się odwrotnie, teatry, i inne zabawy stały się po prostu deficytowe z powodu braku gotówki na wsi. I dlatego biblioteki na wsi w organizacjach nieodświeżane, i marnieją biblioteki z tego powodu. A prywatnie kupno książki staje się poprostu niemożliwym, bo jeżeli zważymy że cena lepszej trochę książki równa się cenie pół metra żyta, to przekonamy się że kupno książki w gospodarstwie staje się poprostu luksusem niedoścignionym dla rolnika. Zdałoby się trochę powiedzieć na temat życia organizacji na wsi. Ta sprawa jednak nie przedstawia się w porządku, wszelkie organizacje marny wiodą żywot i poza organizacjami młodzieży wiejskiej, poza strażami ogniowemi, i politycznymi, wszelkie organizacje typu gospodarczego upadły zupełnie na wsi. Czego dowodem jest moja wieś P * * *, w której to organizacje gospodarcze jak Kółka Rolnicze, placówka spółdzielcza, zupełnie upadły, bo nie mogły sprostać celom rolniczym, bo propagowanie używania nawozów sztucznych, oraz wszelkiego rodzaju meljoracyj i postępu w gospodarstwie przy jednoczesnem spadku rentowności w gospodarstwie, nie daje żadnego rezultatu, a co gorsza prowadzi przy tych warunkach jakie mamy dzisiaj do gorszej niewypłacalności, czego dowodem są spółki wodne które po zmeljorowaniu gruntów swoich członków w 1928/29 stoją na schyłku bankructwa.

W okresie zimowym, kiedy to skończy się wszelkie prace jesienne, a szczególnie w długie wieczory na wsi poprostu tonie się wśród nudy, bo prawie nikt w mojej wsi nie zajmuje się niczem w wolnych okresach poza gospodarstwem, tu mogło by odegrać dużą rolę dla szerzenia wiadomości fachowo-rolniczych, oraz całej kultury Radjo Polskie. Ale niestety radjo staje się dla wsi prawie niedostępne, bo trzyzłotowa opłata miesięczna jest dla wsi zupełnie za wysoka, bo zważywszy że w obecnym czasie sprzedaje się po sześć złotych za owies na prowincji, to opłata radjowa pochłonie rocznie sześć korcy owsa, ilość którą można zasiać dwa i pół morgi owsem. To

też nic dziwnego że postępowe jednostki na wsi poprostu nie mogą pogodzić się i obejść bez radja, bez książki i wzdychają do tych czasów w których będą mogli zdobyć się na powyższe rzeczy i cieszyć się ich wartością.

Warunki gospodarcze sprawiły, że na wsi rośnie chlerawość szczególnie młodego pokolenia, z niewłaściwego odżywiania się. Brak cukru, tłuszczów, nabiału, w odżywianiu na wsi wpływa bardzo ujemnie na stosunki zdrowotne na wsi, i to przez względu na obszar gruntu posiadaczy. I kiedy w lepszych warunkach dla wsi przeciętnie w każdej rodzinie w roku musiał być zarżnięty tucznik na swoje potrzeby, to obecnie, to należy do rzadkości. Głównem pożywieniem na wsi i to bez względu na zamożność rolników jest kartofle, kluski, kapusta, kasza z małą ilością dodatkową tłuszczów (przeciętnie jeden do dwu kilo słoniny tygodniowo na rodzinę i trochę mleka). Mięso używane jest w większości na święta i podobnych okazji. Słowem odżywianie się wsi jest na bardzo niskim poziomie. Przygnębienie z powyższych okoliczności na wsi jest powszechne, tak też twierdzą nawet gospodarze postępowi w nauce rolniczej, którzy mogą być za wzór dla innych, tak też twierdzi Państwowy Instytut Naukowy w Puławach, który obliczał że w 1933 r. rolnik dokłada do swojego gospodarstwa 1.50 gr. dziennie. To też nic dziwnego, że nawet gospodarze, którzy nie mają długu, mogą zaledwie opłacić podatki z dochodów swojego gospodarstwa, obegnać najpotrzebniejsze potrzeby rodziny, a przedsięwzięcie większych rzeczy jak budynki, spłaty rodzinne nie może być mowy.

Stan gospodarstwa rolnego przed wojną był całkiem inny, był dobry, była równowaga gospodarcza w stosunku do rzeczy przemysłowych i tak przed wojną za korzec żyta mógł kupić dobre buty odświętne, dzisiaj na takie buty trzeba dwa i pół korca, za korzec żyta mógł kupić 400 pudełek zapalek, dziś tylko 120 pudełek zapalek, za dwa korce żyta przed wojną mógł rolnik kupić pług, dzisiaj trzeba dać cztery i pół korca żyta.

Sól, nafta też przed wojną, też wielokrotnie tańsze w stosunku do ceny dzisiejszej i w stosunku do produktów rolnych. Przed wojną wszystko było dostosowane do produktów wiejskich rolnych, dzisiaj jest całkiem odwrotnie, dzisiaj są ceny sztucznie wyśrubowane ponad rzeczywistość prawdopodobną.

Takie to jest życie na wsi.

Dn. 13 grudnia 1933 r.

Pamiętnik Nr. 3

żona gospodarza piętnastomor-
gowego w pow. warszawskim

Przeczytawszy w tygodniku „Zielony Sztandar” artykuł p.n. Konkurs na „Pamiętnik Chłopa” pozazdrościłam temu chłopu, że będzie on miał okazję wyłożyć przed kimś swoje bóle i troski, że będzie mógł otworzyć przed kimś swoje serce i myśli i wyznać co mu dolega, jak żyje, pracuje i jak sobie radzi w tych ciężkich czasach. Podczas gdy o nas kobietach wiejskich, żonach drobnych rolników nikt się nie zatroszczy, nikt się o nic nie zapyta, postanowiłam w imieniu już nie tysiąca, ale chyba miliona tych zapomnianych istot napisać coś. Niech więc pomiędzy tyłu, jak się spodziewam pamiętnikami chłopów znajdzie się choć jeden pamiętnik chłopki. Bo zdaje mi się, że jeżeli nie narówni z mężczyzną to nawet więcej kobieta odczuwa kryzys na wsi, już jako istota słabsza fizycznie i zresztą kobieta zawsze posiada więcej uczucia i dlatego gorzej wszystko przenosi. Do tego dochodzi praca ponad siły zwłaszcza teraz, gdy na żadną pomoc nie można sobie pozwolić i wszystko w polu czy w domu samej trzeba zrobić. Nikt nigdy w mieście sobie nie wyobrazi, jak kobieta na wsi musi pracować i to pracować najczęściej o głodzie i o chłodzie. Bo ileż razy tak jest, że ostatni kawałek chleba, ostatnią kwartę mleka rozdzielili pomiędzy męża i głodne dzieci a jej samej najczęściej służą za posiłek gorzkie łyży gdzieś pokryjomu polykane. A gdy znów gospodarz mąż i ojciec rozłoży bezradnie ręce i powie, ja już wam nic nie poradzę, róbcie sobie co chcecie i pójdzie do sąsiada lub gdzieś aby tylko zejść i nie patrzeć na wszystko. Kobieta jednak nie opuści rąk i zawsze coś zaradzi, umyśli, ogarnie aby się biedzie nie dać, doradzi, rozweseli i doprawdy, że dzisiejsza kobieta na wsi to cicha bohaterka pełna zasług, dla których nie wystarczy żaden or-

der. Powiadają niektórzy, że bezrobotnym gorzej jest, bo zawsze na wsi coś się prędeż znajdzie. A ja powiadam, że nigdy! Bezrobotnymi opiekuje się rząd, opiekują się różne komitety, bezrobotni korzystają z różnych ulg i świadczeń, z bezpłatnych opiek i porad lekarskich, mogą iść nawet po proszonym i zawsze coś użebrzą. A chłopem czy kiedy kto się opiekuje? Czy pomyśli kto, że często on już na Nowy Rok ostatnie pieczywo chleba upiecze i ostatnie parę kartofli do garnka włoży, a potem cóż mu pozostaje? Głód i nędza i znikąd opieki ni politowania. Żona bezrobotnego choć może też czasem głodem przymiera, ale znów nie potrzebuje tak ciężko pracować. Podczas gdy żona drobnego rolnika nawet zimową porą musi ślęczeć całymi nocami nad kądzielą i wyrobem płótna, aby móc jako-tako okryć męża i dzieci.

A ileż ta biedna matka musi napłakać się nad kołyską chorego dziecka i patrzeć bezradnie na jego męczarnie, a pomóc mu nic nie może, bo na lekarza niema pieniędzy, a nawet ćwierć kila cukru nie ma za co kupić. Są niby to po niektórych gminach tak zw. Ośrodki zdrowia. Siedzą tam dobrze płatni doktorzy i higienistki, ale na co to się chłopom zdało? Czyż chłopca stać płacić dwa zł. za wizytę, a potem kilka złotych za lekarstwo. Wizytują też niby co jakiś czas dzieci szkolne i przysyłają kartki rodzicom, że dziecko źle odżywiane, ale czyż ta matka ma to dziecko czem odżywić? Czy wejrzą w to, że ta matka gdyby miała to napewno by sama nie zjadła i tak co tylko ma to odda dzieciom, a sama powtarzam ciągle chodzi głodna. A już o chorobach kobiet na wsi to niema co mówić, nie wiem czy na sto znalazłby jedną zdrową, są to poprostu chodzące wychudłe widma. Dość spojrzeć w niedzielę w pierwszym — lepszym kościele wiejskim, a każdy może się przekonać. Klęczą istoty o zapadłych policzkach i przygasłych oczach, to są właśnie gospodynie wiejskie. Śmierć też nie oszczędza i zbiera obfite żniwo. Gruźlica, rak i inne choroby, o których dawniej na wsi nie słyszano, dzisiaj na porządku dziennym. Idą do grobu męczennice losu ofiary obowiązku, aby zostawić gromadkę sierot, nad którymi znęca się potem srogi los. I jeżeli nie uwierzą niektórzy i pomyślą, że może piszę nieprawdę to niech się przejdą czy przejadą te panie, których mężowie zarabiają po tysiąc złotych miesięcznie i więcej, a które wydają na suknie i kapelusze po paręset złotych, niech pójdą na wiejskie cmentarze, a przekonają się, że piszę prawdę. Niech zobaczą ile ofiar tam leży. Całe rzędy młodych kobiet, których wążle barki nie mogły

unieść nadmiernego ciężaru pracy i obowiązku i padły te ciche ofiarnice, jak najwaleczniejsi żołnierze na posterunku: Ież tam leży nieszczęsnych matek, którym za lekarstwo w ciężkiej chorobie służyła tylko czysta woda, a całą „pociechę” był płacz głodnych dzieci. A ile tam leży młodych pracowitych gospodyń, które całe życie poświęciły by przysporzyć dobra Ojczyźnie, a wzamian sekwestrator wydarł im ostatnią poduszkę z pod chorej głowy.

Gdybym była kobietą uczoną, to napisałabym całe ogromne dzieło o niedoli wiejskiej kobiety, ale niestety, jestem tylko taką sobie zwykłą przeciętną kobieciną wiejską. Nie kończyłam żadnych szkół, jestem samoukiem, nie umiem poprostu nawet wyrazić tego co myślę, a myślę dużo i chciałabym, żeby w przyszłości choć cośkolwiek nasz los się poprawił. Doprawdy my wieśniaczki pod każdym względem jesteśmy upośledzone podczas gdy kobiety innych stanów inteligentniejszych, nawet robotniczych korzystają z przeróżnych przysługujących im praw, o których my na wsi nawet pojęcia nie mamy. Weźmy na przykład małżeństwo. Jeżeli pomiędzy ludźmi uczonymi i inteligentnymi znajdują się mężowie tyrani o potwornym charakterze, to cóż dopiero na wsi pomiędzy prostakami. W tym wypadku kobieta w mieście jakoś sobie poradzi i znajdzie jakieś prawo, czy to rozwód czy seperacja, albo porostu porzuci męża łajdaka i jakoś sobie w życiu radzi. Inaczej natomiast bywa na wsi. Tutaj jeżeli mężczyzna się żeni to uważa kobietę za wyłączną swoją własność i nikt mu nie zabroni robić z nią co mu się tylko podoba. Zresztą kobieta na wsi jest na szukanie swoich praw za religijna i choć taki mąż znęca się w najokrutniejszy sposób nad nią, ona to uważa za dopust Boży, znosi to wszystko z podziwu godną rezygnacją i czeka cierpliwie, aż ją śmierć z tych mąk wyzwoli. Również kobiety wiejskie w przeciwieństwie do inteligencji nie mają sposobu w ograniczeniu liczby dzieci i taka nieszczęsna zapracowana kobiecina jest poprostu niewolnicą swego powołania od wczesnej młodości do starości i pomimo ciężkiej pracy na roli ciągle jest obarczona wychowywaniem dzieci w najtrudniejszych właśnie warunkach.

Chcąc dać wyobrażenie jak wygląda życie wiejskiej kobiety, jej dzieciństwo, panieństwo i dalszy okres życia, pragnę właśnie dać swój pamiętnik choćby pokrótce spisany, ale najszczerzy. Chcę oddać wiernie co przeżyłam od zarania życia w ciągu trzydziestu kilku lat. Ci co czytać będą te moje słowa drżącą od pracy ręką kreślone, niech wiedzą, że piszę najszczerzą prawdę, tak

jak na spowiedzi i nie ubiegam się o żadną nagrodę, bo gdzież mnie tam do tego nieuczzonej kobiecie! Chcę tylko współczucia i zrozumienia. Chcę, by nareszcie zrozumieli wszyscy, że my kobiety wiejskie, na których barki spadł ogromny ciężar obowiązku, stokroć cięższy, jak na mężczyzn, wołamy o swoje prawa! Dopominamy się poprawy losu, wołamy o ulgi! Bo gdy tak dalej pójdzie, to zabraknie zupełnie zdrowych matek, zabraknie silnych gospodyń, a w tym wypadku każdy mi przyzna, że... może zabraknąć Polski!

Urodziłam się w roku 1900. Rodzice moi byli dosyć zamożni gospodarze, posiadali włókę gruntu, tylko sporo zadłużonego na spłaty rodzinne. Chcąc „wyleźć” jaknajprędzej z długu, pracowali oboje ponad siły, a szczególnie matka. To też o ile tylko zapamiętam, (a tym zmysłem szczególnie mnie Pan Bóg obdarzył i od trzech lat doskonale wszystko pamiętam) ciągle od najmłodszych lat przyzwyczajona byłam do pracy. Już jako czteroletnia dziewczynka posługiwałam pasąc gęsi potem krowy, a w domu widząc jak biedne matczyisko męczy się nie mogąc dać sobie rady z dziećmi, a było ich rzetelnie „co rok prorok”, pomagałam jej jako że byłam najstarsza, nianczyć ten drobiazg choć prawdę powiedziawszy samejby mnie się nianka przydała, bo cóż to za piastunka z pięcioletniego berbecia. A jednak ile tylko starczyło sił dźwigałam za chustką brata czy siostrę i przytem pasłam jeszcze krowy. Gdy miałam lat sześć to czułam się zupełnie jak dorosła osoba, a to z tego powodu, że matka wyjeżdżając do miasta (a jeździła dwa razy w tygodniu) nie brała do domu kobiety tylko ja ją zastępowałam. Pilnowałam już i bawiłam sama dzieci, gotowałam jeść, sprzątałam, zmywałam, a nawet próbowałam doić krowy. Nadmienić muszę, że wyciągając wodę ze studni i przy kuchni posługiwałam się stołkiem. Zresztą jak tam było to było i choć młode kostki dobrze nieraz bolały i ręce były poparzone, ale nikt o tem nie wiedział. Najwyższa była nagroda za to gdy matusia przyjechała, była zadowolona pochwaliła, a w nagrodę dała bułkę. W tym też czasie umysł mój zaczął obejmować szersze horyzonty, o uszy moje zaczęły się obijać takie wyrazy, jak ucisk, niewola, rewolucja był to bowiem pamiętny piąty rok. Nie mogłam w swojej małej głowie sobie pomieścić i wyobrazić poco ciągle nachodzą strażnicy i robiąc rewizję czegoś szukają, zabierali nawet parę razy ojca z sobą, a jednego razu to pamiętam, jak nocowaliśmy drżąc z zimna w polu w dużym łubinie. Pytając się matki co to wszystko znaczy,

odpowiedziała mi z płaczem, że jestem jeszcze za mała, żeby zrozumieć, a ojca to nawet bałam się zapytać, bo chodził ciągle zły i ponury.

Dopiero wszystko się wyjaśniło, gdy przyjechał do nas z Podlasia stary, siwiuteńki jak gołębek dziadek (ojciec pochodził z Podlasia), od niego dopiero dowiedziałam się o nieszczęsnym losie naszej Ojczyzny. On wytłumaczył nam niewolę, a ponieważ sam był uczestnikiem powstania, przeto opowiedział nam cały jego przebieg. Wogóle od niego poznałam całą historję Polski. Często w długi zimowy wieczór okrążyliśmy dziadunia wkoło, a było nas wtedy już pięcioro i prawil nam a opowiadał, jak walczyli i ginęli w walce o niepodległość Ojczyzny jej wierni synowie, a On sam jak cudem prawie ocalał i uciekł z pod szubienicy. Do dziś doskonale pamiętam te prorocze przez niego wypowiedziane słowa „Wnusie moje kochane, ja już tego nie doczekam, ale wy doczekacie tej radosnej chwili, że Polska nasza kochana zmartwychwstanie i wolna będzie! Ale ci co Nią rządzić będą, nie pomni krwi przelanej i tylu cierpień całego narodu. Nie zechcą poprowadzić rządu sprawiedliwie, będzie zawsze uciskał bogaty biednego. I nigdy nie będzie chłopu w Polsce dobrze, nigdy nie znajdzie swoich praw, dopóki rządzić będą wielcy panowie, bo oni dobro swoje i interes stawiają nawet wyżej, niż dobro Ojczyzny, a nędza chłopska nigdy ich nie obchodzi. I do tego może dojść co nie daj Boże, że oni znów Polskę zgubią, ale wy wnusie stójcie zawsze wiernie na straży i choćbyście nawet życiem przypłacić mieli, to gińcie jako Polacy”. Po tem wszystkiem kładąc się spać modliłam się o wolność Ojczyzny i za tych co dla Niej cierpieli i ginęli. A że byłam dzieckiem, (jak mawiała matka ogromnie żałośliwem) to jest wrażliwem, często długo w noc nie mogłam usnąć tylko chciało mi się tak ogromnie płakać, i pocichutku lałam łzy tak obficie, aż poduszka była mokra. Pewnego razu, gdy zaczęłam już siódmy rok, zaczęłam prosić matusi, żeby mnie nauczyła czytać (ze wszystkim zawsze zwracałam się do niej, bo ojciec był ogromnie prędko, narwany i nieprzystępny) ale matczysko jak zwykle zapracowane nie miała nigdy czasu, więc napomknęła o tem ojcu, więc ojciec będąc w mieście kupił nowiutki piękny elementarz „Promyka” i dając mi go oświadczył. „Przejrzyj se go i szykuj się bo dzisiaj wieczór będę cię uczył czytać”. Gdy nadszedł wieczór, nieśmiało podchodzę do ojca z elementarzem, ojciec wziął ze stołu duże i ciężkie nożyce i powiada „To będzie wskazówka”. Zaczęła się lekcja, do

dzisiaj ją pamiętam. Nie licząc guzów i sińców, najgorzej żał mi było mego nowiutkiego elementarza, bo cały był pochłapany kroplami krwi. Zresztą co było to było, ale nauczyłam się przez jeden wieczór tyle, że teraz cały rok dziecko chodzi do szkoły i tyle nie umie. Tak się starałam, żeby ta „lekcja” więcej się nie powtórzyła i za tydzień przeczytałam ojcowi na głos cały elementarz. Podobnie poszło i z pisaniem i na tem „edukacja” moja została skończona. Następnie musiałam objąć obowiązek „nauczycielki” nad młodszym rodzeństwem, bo tutaj ojciec odgrywał rolę inspektora tylko, i to srogiemu, co mnie to kosztowało to Bóg jeden tylko wie zaczęłam sześcioro rodzeństwa nauczyć czytać i jako-tako pisać. Do tego roboty przybywało coraz więcej, bo matczyńsko zaczęło podupadać na zdrowiu. Gdy miałam lat osiem, to już nas było dzieci siedmiu, a matka chora, na moje barki spadła już wszystka robota, gotowanie, pranie, dojenie krów, doglądanie dzieci, reperacja odzieży, a także i roboty w polu. Widząc, jak biedna matka chociaż chora ostatkiem sił rwie się do pracy, chociaż przy najmniejszym schyleniu straszny kaszel ją dusi i krew gardłem się rzuca, rozpacz mnie ogarniała, gdy pomyślałam, że może umrzeć. Prosiłam ją na wszystko, żeby już nic nie robiła, że ja we wszystkim już ją zastąpię. Serce pękało mi z bólu, gdy widziałam ją taką chorą nędzną i bladą. Pracowałam ponad siły, żeby ona mogła poleżeć. Chwilami zdawało mi się, że padnę, po całodziennej pracy jak na moje wątłe dziewczęce siły strasznie ciężkiej, całe noce przepędzałam we łzach i modląc się o zdrowie dla matki. W takich warunkach upłynęło całe trzy lata. Praca ponad siły w ciągłej obawie o życie matki, której zdrowie z tygodnia na tydzień się pogarszało i nie było widoków poprawy. W końcu, jak to zwykle na wsi bywa, gdy już śmierć w oczy zagląda, nareszcie ojciec zdecydował się odwieźć ją do szpitala, ale tylko poto, żeby dowiedzieć się, że już niema ratunku i bliski jest koniec, bo rak na płucach już w ostatnim stadium. Rozpacz moja nie miała granic! Straciłam poprostu wiarę w Boga, że może być taki niesprawiedliwy. Czemuż nie zabierze ojca, tylko takiej dobrej matki nas pozbawia? I to biedna tak strasznie cierpi! Stało się zostaliśmy sierotami, siedmiu drobiazgu z ojcem takim srogim i nieprzystępnym. Rozpacz moja nie ma granic! Dostaję wprost obłędu na samą myśl, jak ja sobie poradzę! Przecież mam dopiero jedenaście lat i takie szczupłe drobne ręce. Lecz przyrzekłam matce w godzinę śmierci, że będę matką i opiekunką dla rodzeństwa i tak być musi. Całą swą roz-

pacz i ból topię w pracy. Od świtu do nocy, a często i w nocy pracuję ponad siły. Na rękach występują żyły jak postronki, stawy puchną, ale ogarniam wszystko, jak mogę, gospodarstwo idzie wzorowo, ale cóż ojciec wpada w manję chytrości wprost chorobliwej. I tu zaczyna się tragedia sierocej doli, chodzimy wszystkie wprost nago i boso, na całą zimę mamy zaledwie jedną parę drewnianych chodaków. To też zimno a często nawet i głód nam dokucza, a ojciec wszystko sprzedaje i sprzedaje, pieniądze gdzieś chowa i nawet mleka dla małych dzieci żałuje.

Męka, męka okropna! O matko czemuś nas opuściła? Jedyłą dla mnie pociechą w tej ciężkiej doli są książki. Chociaż od czasu, gdy poznałam czytanie lubiłam je, to teraz wprost szukam w nich ukojenia. Brałam je oczywiście pokryjomu przed ojcem z biblioteki parafjalnej, a były tam takie poważne dzieła, jak „Trylogja”, pisma Kraszewskiego, Rodziewiczówny, Dygasińskiego, Rejmonta i innych. To też często długo w nocy przy nikłym świetle przykreczonej naftowej lampki wczytywałam się w te cudne dzieje.

Pewnego razu ojciec ze swojej izby, dojrzał w nocy przez szparę we drzwiach światło w naszej izdebce (spaliśmy bowiem wszystkie pięć siostr w oddzielnej izbie, a ojciec z dwoma chłopcami znów oddzielnie). Wylewałam pamiętam wtedy akurat obfite łzy nad Sienkiewiczowskim „Potopem”, gdy ojciec wpadł z pasem i dał mi taką nauczkę za wypalanie nafty, że do dziś to pamiętam. Zapowiedział przytem, żeby przy „romansach” więcej mnie nigdy nie spotkał. Odtąd na taką „zbrodnię” mogłam sobie pozwalać tylko w zimowe jasne księżycowe noce. Wtedy mogłam sobie czytać dowoli nikogo się nie obawiając, a światło miałam zupełnie darmo.

W takich to warunkach „sielskich anielskich” upłynął mi czas do wojny. Wybuchła ona właśnie, gdy miałam lat czternaście i tu się zaczyna znowu nowa tragedia, gdy niewesołe było życie w czas spokojny to tembardziej pogorszyło się podczas wojny. Ponieważ posiadłość nasza położona była blisko szosy, ciągle przemarsze wojsk dawały się ogromnie we znaki, tak nieraz żołdactwo ogołociło nas z żywności, że dosłownie nie było co jeść. Ojciec w tym czasie zachorował poważnie na serce i przeważnie leżał w łóżku. Ponieważ byłam najstarsza, za mną cztery siostry, a dopiero bracia najmłodszy, więc musiałam sprawować obowiązki nietylko gospodyni, ale i gospodarza, wszystkie roboty furmańskie i polne spadły już na mnie. Musiałam wypełniać podwoły, prowadzić per-

traktacje i wojny z chciwem żóldactwem, a że byłam dziewczyną nie brzydką narażona byłam na ciągle zaczepki ze strony wstrętnych moskali. Broniłam też jak mogłam przed rabunkiem inwentarza, poprostu biłam się z wojskiem. Pewnego razu przybyli żóldacy aby zabrać jedną z ostatnich dwu krów. Postanowiłam za wszelką cenę niedać, szarpałam się z nimi ze dwie godziny i krowy nie dałam, ale zbili mnie za to kolbami karabinów, że do dzisiaj mam znaki.

Przed ucieczką Rosjan zawołał mnie raz ojciec i pod przysięgą, że nikomu nie wydam i nie ruszę sama, pokazał mi kryjówkę z pieniędzmi, miał ich bardzo dużo a zapowiedział, że tylko wtedy będzie wolno mi się nimi rozporządzać jeżeli ojca w razie czego w wojnie zabiją i będę widziała trupa. Niedługo potem pojechał ojciec do Warszawy do lekarza i tam zanocował. W tę właśnie noc napadli nas bandyci, były w domu tylko same dzieci, więc robili z nami co chcieli. Bili i szukali pieniędzy całą noc, a było tych zbójów osiemnastu. Wkońcu, gdy nic nie znaleźli zaczęli się nademną znęcać, żebym wskazała koniecznie, gdzie ukryte są pieniądze, szarpali, kopali, przystawiali mi do piersi lufy rewolwerów, lecz pieniędzy nie wydałam. Odeszli bandyci bez niczego klnąc na czem świat stoi, a my potem z pobicia i przerażenia nie mogliśmy z rok czasu przyjść do siebie. Po wejściu Niemców tembardziej się jeszcze pogorszyło. Ojciec z rozpaczą że tyle rosyjskich pieniędzy poszło na marne, prawie że dostał obłędu. Nic wcale nie robił, niczem się nie zajmował tylko chodził ciągle po mieszkaniu i chodził wkółko. I znowu ciągle praca ponad siły i znów zatargi z Niemcami. Rewizycje, rewizje, głód i różne uciemiężenia, że poprostu już żyć się nie chciało. Gdy pewnego razu obozowali Niemcy niedaleko nas przy szosie, przyszli i zabrali ostatniego konia. Wpadłam w rozpacz co my pocniemy bez konia, ale zaświtała mi w głowie pewna myśl szalona. Zakradłam się w nocy cichutko do obozu, wykrałam szwabom swego konia wsiadłam na niego i popędziłam w las. Co się podobno potem w obozie działo to straszne rzeczy, mało się Niemcy nie powściekali, latali szukali, w domu chcieli wszystkich powybić, ale w końcu musieli odjechać. A ja dopiero na drugi dzień wróciłam z koniem kontenta, że mi się udało go ocalić. Przeróżne przejścia jeszcze się przechodziło, aż wreszcie zaczęli się Niemcy szykować opuścić nas. Gdy tylko usłyszałam, że rozbrajają Niemców, w tej chwili wzięłam się do roboty i udało mi się tak sprytnie, że nim się w domu spostrzegli to już przyniosłam pięć

karabinów i sporo amunicji. Oczywiście wielka była radość i choć tam w domu cierpiał człowiek co niemiara, ale Polska była wolna.

Doszłam wreszcie do lat osiemnastu to jest do wieku kiedy zaczyna się być panną, a z tem zaczyna się znów nowa tragedia. Przedewszystkiem okropny brak matki dał się wtedy najbardziej odczuć, znikąd rady ni pomocy i wogóle brak uświadomienia. Budzi się jakaś nieprzeparta chęć do czynu. Dusza rwie się niewiadomo gdzie. Coś człowieka ciągnie do towarzystwa do ludzi... Lecz wszystkiego trzeba się wyrzec, skrzydła powoli opadają, pozostaje tylko rozgoryczenie i rozczarowanie. Ojciec wyjść nigdzie nie pozwala, zresztą ubrać się nawet niema w co, bo cały strój jedyna skromna codzienna sukienka i drewniane chodaki. Przyjeżdżał tylko czasem z Warszawy daleki jakiś kuzyn w goście (był on w tak zwanej milicji narodowej, a dzisiaj jest komisarzem). Ponieważ był to chłopak młody i podobaliśmy się sobie nadmieniał pewnego razu ojcu, że pragnąłby się ze mną ożenić, lecz dostał taką odprawę od ojca, że więcej się już nie pokazał, a mnie zapowiedział ojciec, żebym sobie żadnymi mieszczuchami głowy nie zawracała, bo jeżeli mnie wyda to tylko za gospodarza. Cóż było robić? Serce się zakrwawiło, lecz ojca wola była nieugięta.

Ponieważ słyszałam z tego, że byłam dziewczyną niezwykle pracowitą i gospodarną, a przytem cichą i skromną, więc zgłosił się pewnego razu gospodarski syn, człowiek już starszy i zaczął z ojcem prowadzić pertraktacje względem mnie. A ponieważ po większej części jest na wsi taki zwyczaj, że nigdy się dziewczyny o zgodę nie pytają, więc i w tym wypadku „obrabiali” interes tylko z ojcem. Po długich targach i sporach wreszcie zawołano i mnie i oświadczone ku wielkiemu mojemu przerażeniu, że mam za tego człowieka wyjść zamąż i na takich warunkach, że przyszły mój mąż dostanie od swego ojca pięć mórg ziemi, a ponieważ miał dwie zamężne siostry, na które spadało też po pięć mórg, więc mój ojciec kupi od jednej siostry dla mnie pięć mórg, a od drugiej możemy wziąć na spłaty czyli obarczyli nas jeszcze przed ślubem dość dużym długiem. Zaznaczyć należy, że grunt był bardzo lichey i dużo nieużytków, a przytem bez budynków. Oczywiście przed ślubem pojechali do rejenta i tam jeszcze wśród kłótni, która mnie do rozpaczki doprowadzała, sporządzili akt. Ojciec mój po długich targach obiecał mi krowę, a jego ojciec konia i na tem stanęło do ślubu. Dowiedziałam się przytem od ludzi, a nawet miałam możność sama się przekonać, że przyszły mój mąż należy do ludzi gwałtow-

nych, narwanych, przytem złośnik okropny, a co najgorsza lubi zaglądać do kieliszka. Lecz trudno klamka zapadła, rozpacz mnie ogarnia straszna, po całych nocach proszę Boga o śmierć, lecz śmierć nie przychodzi, a tylko dzień za dniem zbliża się termin ślubu. Ojciec kupił mi już „wyprawę”, składającą się z dwóch koszul, batystowej sukienki białej i pantofli. O jakże bym chętniej widziała się w tym stroju w trumnie, jak przy ołtarzu! Tak się bałam strasznie tego człowieka, że na wspomnienie samo drżałam jak liść osiki. Nikt chyba nigdy tyle łez nie wylał co ja w ostatnią noc przed ślubem, była to najstraszniejsza noc w życiu. Potem zawiedli mnie ledwie żywą do ołtarza i tam kazali powtarzać słowa jakiejś przysięgi z której niezdawałam sobie wcale sprawy. Zresztą ja tego człowieka wcale nie kochałam tylko bałam go się, bałam okropnie! Stało się, jestem mężatką i tu dopiero zaczyna się gehenna. Wszystkie moje dotychczasowe cierpienia niczem są w porównaniu jakie zaczynają się teraz. Zaraz po ślubie kazał ojciec zabrać mię sobie mężowi do siebie, bo moje miejsce zajęte zostało przez młodszą siostrę. Mąż znów powiada, że bez krowy mnie nie weźmie, a ojciec krowy dać nie chce. Więc mąż powiada „nie to nie, nie chce ojciec dać krowy niech se trzyma i córkę”, zabrał się i pojechał do domu. Pozostałam się niczyja, jak pies bezpański. Ojciec nie chciał mnie wpuścić do domu tylko kazał iść do męża, bo tam mi kupił „majątek”, mąż nie chciał mnie wziąć bez krowy. Nie wiedziałam co mam z sobą począć, chodziłam tak rozpaczając przez kilka dni głodna i opuszczona po polu i lesie. Do ojca nie śmiałam już wrócić, a do męża pójść nie pozwalała mi moja duma kobieca, ze względu, że wyżej on ceniał krowę ode mnie. Zresztą chciałam być najdłużej jaknajdalej od niego. I tu z rozpaczcy zaświtała mi straszna myśl, postanowiłam tak z głodu umrzeć. Lecz los chciał inaczej, znaleźli mnie ludzie nieprzytomną w polu, mąż się dowiedział i wtedy mnie zabrał już do siebie.

Ciężkie to było tam u niego życie. Byłam taka słaba, że mało wiele mogłam tylko robić z tego wycieńczenia, a rodzice męża ciągle mi wymyślali, że nie będą darmo trzymać takiego próżniaka przybłądy.

Dali nam tylko taką maleńką izdebkę za mieszkanie, w której całe umeblowanie było stare połamane łóżko, a za pościel służyła jedyna poduszka po matce, którą mi siostra pokryjomu przed ojcem wyniosła. I tak zaczęło się nasze „gospodarstwo”. Tak mieliśmy robić u ojców całą jesień i zimę, a za to dostawać pożywienie, a do-

piero na wiosnę iść na swoje. Ciężka to była zima na łasce, najczęściej jadło się tylko raz na dzień, aby tylko przeżyć i nie narażać się rodzicom. Gdy tylko cokolwiek miało się ku wiosnie, a na polu pokazał się szczaw, zaraz rodzice odseparowali nas od siebie i zaczęliśmy gospodarzyć na swoim. Najpierw trzeba było pożyczyć pieniędzy na kupno jakiejś krowiny, następnie kombinować wóz, pług i inne niezbędne narzędzia gospodarskie, a przytem nie było nic w mieszkaniu, jak to mówią ni garnka ni do garnka. Nikt sobie wprost nie wyobrazi jaki to ciężki był przednówek. Jadło się tylko raz na dzień i to z postem, a pracować trzeba było ponad siły, trzeba było obrobić swoje, a jeszcze i coś zarobić u ludzi, bo przecież nie było czem zasadzić, ani zasiać pola. Trzeba było na to wszystko zarobić, a także coś na życie i na jakikolwiek przyodziewek.

Począwszy już zimową porą, a także i w dalszym ciągu mąż mój najchętniej przebywał poza domem mówiąc, że potrzebuje towarzystwa i nie może się nudzić zawsze w pustym i zimnym domu, z tego też powodu skazana byłam na wieczne osamotnienie, a ponieważ mieszkamy na ustroniu zdala od wsi, nie stykałam się zupełnie z ludźmi i żyłam poprostu, jak dzika pustelnica. Bolałam okropnie nad tem przebywaniem męża poza domem, ale nic nie mogłam poradzić, gdy zaczęłam płakać to tembardziej jeszcze był zły, przeklinał mnie i czemprędzej wychodził. Chcąc stłumić ból i zabić rozpacz, osamotnienie i pustkę, pracowałam ile tylko starczyło siły i u siebie i poza domem, a gdy nadeszła noc to topiłam się wprost we łzach i myślałam, jak to będzie dalej! Czy już do prawdy ani promyka słońca dla mnie już niema? Rozpacz moją pogłębiała teraz troska przed przyjściem dzieciны. Co zrobić? Jak sobie poradzić? Przecież nic nie miałam. Nawet owinąć w co, a cóż dopiero choroba, a trzeba ochrzcić i zarobić już nie będę mogła nic potem. Z tego wszystkiego odchodziłam wprost od zmysłów. Do tego jeszcze czułam się taka słaba, że wątpiłam już czy ja to wszystko przeniosę, ale człowiek powiadają silniejszy jest od kamienia, więc i ja jakoś wszystko przeniosłam i przeżyłam i ku wielkiemu oburzeniu i złorzeczeniu mego męża, że to nie syn powiłam córkę. Leżeć nie było czasu bo akurat nadchodziły sianokosy, więc po dwóch dniach trza było wstać i pomimo, że nogi się chwiały i w oczach ciemniało trza było się wziąć do roboty. Dziecko owinięte w chustce spało w sianie, a ja od świtu do nocy musiałam ciężko pracować w dalszym ciągu nie dojadając, z tego też powodu

dziecina nie mając pod dostatkiem pokarmu kwiliła po całych nocach nie dając mi odpocząć, a nawet oka zmrużyć. Mąż też z tego powodu złościł się i kłął na czem świat stoi, a w domu był coraz rzadszym gościem. Gdy już nareszcie była nadzieja, że człowiek się wreszcie doczeka swego tak spragnionego kawałka chleba zaczęli pogadywać ludzie, że bolszewicy idą i zabierają zapasowych do wojska. Zadrżałam z przerażenia. Czyż nie koniec męki? Nadchodzi wreszcie chwila, męża powołują do wojska, a ja pozostaję się sama z maleńkiem dzieckiem. Rozpacz moja niema granic. Tu żniwa, tyle roboty, znikąd pomocy, nając niema za co. Boże, Boże zlituj się! Lecz na rozpacz niema czasu, trzeba się brać za kosę i rozpoczynać żniwa, bo głód dokucza. Radziłam sobie jak mogłam, trochę sama, resztę przeważnie do zwózki przynajęłam i z biedą zebrałam z pola. Korzystać jednak z tego nie było mi jeszcze przeznaczone, bo bolszewicy nadchodzą, a że akurat w naszej okolicy wypadła pozycja obronna, więc nakaz jest usuwać się. Co się wtedy działo w mojem skołatanem sercu tego wypowiedzieć nie zdołam. Spakowałam moją nędzną chudobę na lichy wóz i z trwogą czekałam co będzie dalej, aliści nie czekając długo zaczęły grać armaty za chwilę granaty poczęły się rwać z hukiem nad głowami, a z lasu poczęły się wylaniać ohydne postacie strasznych bolszewików. Nie czekając dłużej trzęsąc się ze strachu zaczęłam szkapinę do wozu, porwałam maleństwo za chustkę i pod gradem kul uciekłam wraz z innymi dalej od pozycji. Ponieważ bolszewicy zajęli już naszą okolicę, więc uciekaliśmy w stronę Mińska Mazowieckiego pod bolszewików, którzy po drodze rabowali z wozów co tylko się dało. Jechało nas kilkadziesiąt fur, więc gdzieśmy tylko przystanęli zaraz samoloty polskie zaczęły krążyć nad nami i myśląc, że to obóz bolszewicki obrzucali nas zaraz bombami, a nawet artylerja wzięła nas na cel i zaczęła posyłać kartacze. Kręciło się wszystko pod gradem kul, jak muchy w ukropie nie wiedząc, gdzie się podziać, aż w końcu rozjechali się po lesie każdy oddzielnie. Po kilku dniach takiej tułaczki głodni i ledwie żywi ze strachu, wśród łun pożarów i grzmotów armat zauważyliśmy, że bolszewicy zaczynają się cofać w popłochu zabierając po drodze konie, wozy i mężczyzn ze sobą. Z tego powodu zapanował istny sądny dzień, gdzie kto mógł uciekał, aby uniknąć bolszewików i ocalić podstawę swego bytu, konia i wóz. Przyczepili się też i do mnie, ale widząc wóz połamany i lichego bardzo konia na moje usilne prośby puścili mnie w spokoju. Gdy ta horda się już prze-

waliła i strzały ucichły zaczęli się wszyscy zbliżać do opuszczonych gospodarstw, więc podążyłam i ja za innymi. Tu czekała mnie straszna rzeczywistość. Zboże do szczętu zniszczone, siano spasionie, kartofle i te nawet nie ocalały, co nie wykopane to najokropniej stratowane. Dom coprawda pozostał, ale ani okien, ani drzwi nawet komin rozebrany. Słowem pustka i ruina zupełna, tyle pracy i zabiegów poszło na marne i pozostało znów widmo straszego głodu. Bolszewicy zostali wprawdzie odparci, Polska ocalała, ale co teraz robić, czem obsiać? Czem przeżyć konia i krowę? Z czego oddać dług i czem cały rok przeżyć? Po wylaniu morza łez wzięłam się gorliwie do pracy. I znów wszystko sama, uprzątnęłam pozostałe resztki zboża, doprowadziłam do jakiego takiego ładu izdebkę i wzięłam się do roboty w polu, bo nie było nadziei, żeby mąż na jesienne roboty wrócił. Zasiałam resztkami zboża kawałek pola, skosiłam trochę potrawu, wykopałam resztki kartofli i tak pracując ciężko od świtu do nocy, a nawet nieraz i w nocy doczekałam się późną jesienią powrotu męża. Nadeszła znów ciężka zima głodna i chłodna, a potem jeszcze cięższa wiosna i przednówek. Na samo wspomnienie aż ciarki przechodzą co człowiek musiał przecierpieć i napracować się żeby obsiać i obsadzić znów jako - tako pole i nie umrzeć z głodu. Łudził się tylko człowiek nadzieją, że może kiedyś będzie lepiej, że może zajaśnieje jakiś jaśniejszy promyk, i tem tylko żył. Pracowaliśmy też oboje z mężem ile tylko starczyło sił, obrobiliśmy swoje liche piętnaście mórg i jeszcze trzeba było coś dorabiać bo tu tyle potrzeb. Siostrę trzeba było spłacać, stodołkę jakąkolwiek postawić i obory też nie było, a mieszkanko też tylko z łaski, więc niedojadając i niedosypiając pracując jak woły oszczędzaliśmy każdy krwawo zapracowany grosz, byle kiedyś było, lepiej. Za dwa lata powiłam drugą córkę. Mąż wściekał się poprostu, ze złości nie szczędząc mi różnych przykrych docinków, a cóż ja byłam winna i to maleństwo co go tak ojciec nienawidził? Zaczął znów uciekać z domu, a ja z rozpaczny wylewałam całe rzeki łez. Zrobił się też niezwykle gwałtowny i za byle co bił mnie, że siniaki prawie nie schodziły ze mnie. Cóż było robić? Cierpiałam tak wszystko po cichu, bo nawet poskarżyć się nie miałam przed kim. Zajmowałam się gorliwie pracą i w niej znajdowałam ukojenie. Co zaniedbał mąż to ja starałam się naprawić. Zaprowadziłam warzywnictwo, które na naszej ziemi niezgorzej się udawało, chowałam cieleta, siałam len i wyrabiałam płótno, słowem pracowałam, jak tylko mogłam wychowując przytem dwie

nie lubiane przez ojca dziewczynki. Spłaciliśmy już trochę długu, postawiliśmy niewielką stodołę i dochowaliśmy się dwóch krów. Było to wszystko owocem czteroletniej pracy. Męczyłam się tylko w tej jednej maleńkiej izdebce i pragnęłam nadewszystko, żeby się kiedyś w życiu doczekać własnego „kąta” i być gospodynią na własnych śmieciach. Mieszkając w jednej sieni i w jednym podwórku nie mogłam chować żadnego drobiu, ani nawet świni, gdyż rodzicom męża wszystko to przeszkadzało, a chcąc uniknąć przykrych kłótni i nieporozumień wolałam już nic nie chować.

W roku 1925 doczekałam się wreszcie syna, a z nim i nowych trosk, bo przybywało coraz więcej pracy, a przytem zaczęłam zapadać na zdrowiu czując dotkliwy ból w krzyżu, a widocznie z nadwyrężenia żył zaczęłam stopniowo tracić władzę w prawej ręce. Nic zresztą dziwnego na taką pracę, sama sobie nieraz się dziwiłam skąd mi się bierze tyle siły i zdrowia ale i ono widocznie z czasem się wyczerpało. Do tego jeszcze przybyło mi najokropniejsze zmartwienie, okazało się bowiem po roku, że ten tak upragniony przez ojca syn jest kaleką na oczy, mianowicie nie widzi na jedno oko zupełnie, a na drugie bardzo mało, pomimo, że ma najczystsze i najnormalniejsze oczy. Zdumiewali się lekarze, że coś podobnego jeszcze nie widzieli i pomimo kosztów nic poradzić się nie dało i dziecko pozostało ku mej strasznej rozpaczycy prawie niewidome. Skończyły się wreszcie lepsze czasy, nadszedł rok 26 — 27, a z nim kryzys i nowa niedola. Jeszcześmy nie zdążyli spłacić wszystkiego długu siostrze, a o postawieniu choćby najskromniejszego domku nie było już mowy, coraz to przygniatały większe podatki, ceny na produkty wiejskie spadały, czasy stawały się coraz cięższe i nadzieja na lepsze jutro znikła zupełnie. Pomimo, że pracujemy nadal wytrwale i dzieci już pomagają, jednak końca z końcem związać nie można. O ulepszeniu czegoś wogóle na wsi już dzisiaj myśleć nie można. Żyje się tylko z dnia na dzień i nawet na ubranie i bućki dla dzieci do szkoły nie wystarczy już nie mówiąc o sobie kiedy jedne buty czy ubranie nosi się po kilka lat, pomimo, że ono jest dzisiaj nawet dość tanie, ale i na to nie można sobie pozwolić. Jak się żyje to doprawdy strach pomyśleć. Mięsa nie jada się zupełnie, na mleko też nie można sobie pozwolić, bo trzeba je sprzedać na podatki i choć na sól, bez której się nie można zupełnie obyć. To też ludzie wyglądają nędznie, szerniali na twarzy o przygasyłych oczach niechętni i źli. A już najgorzej to serce boli patrzeć na dzieci, blade mizerne, smutne, a przytem bose i obdarte.

Co z tego, że człowiek pracuje i pracuje? Przecież z tej pracy niema nic dosłownie. Gnieździ się nas pięć osób w jednej małej izdebce i to lichej, a do tego niema nadziei, żeby można w przyszłości coś pobudować. Obórka (ze starej szopy) też się wali, a na nową niema funduszków. Cały dochód to są trzy krowy, z których czerpie się na wszystko fundusze, no i cośkolwiek latem z warzywa, ale i to pomimo okropnej pracy dzisiaj się wcale nie opłaca. Poza to grunt jest przeważnie tak lichy, że zboża ani kartofli sprzedać nie można. Więc cała podstawa bytu są trzy krowy. Z nich trzeba wyciągnąć przeszło trzysta złotych podatku, jakie takie ubranie, mydło, naftę, sól, zapalki, cukier choć dla chorego dziecka, kilo słoniny na miesiąc, reperacja narzędzi rolniczych, bo o kupnie nowych to już niema mowy. Do tego dochodzi jeszcze kupno zeszytów i książek dla dzieci do szkoły i inne drobne rzeczy, bez których się obejść trudno. Na wszystko dać muszą te krowy, które przecież cały rok się nie doją, tylko przeciętnie jakieś osiem miesięcy, więc jak tu żyć? Zarobić już nigdzie nic nie można, bo i na swoim jest co robić na dwoje ludzi nawet trzeba porządnie się naharować i to o głodzie. Bo jakże się dzisiaj żyje i czem? Przeważnie kartoflami. Na śniadanie gotuje się zupę z kaszą czy zytnią zacierką, zabieloną mlekiem, na obiad to już cokolwiek poświęci się słoniną kartofle, a do tego czysty żur czy mizerna na pół postna kapusta, wreszcie na kolację po kawałku czarnego chleba, a do tego pozostały z obiadu barszcz czy kapusta. Małym dzieciom tylko się daje po kropli mleka, bo starsi na taki smakołyk nie mogą sobie pozwolić. Na przednówku często i tego niema. Na takie rzeczy, jak mięso, masło, jajka, cukier, nikt absolutnie nie może sobie pozwolić w najuroczystsze nawet święta. Poza to ludzie żyją jak odludki, wszelkie zabawy, wesela, chrzciny i inne uroczystości rodzinne i towarzyskie zupełnie wyszły z mody.

Jeżeli ktoś pismo jakieś prenumeruje to napewno składa się na to kilku, a nawet kilkunastu gospodarzy i to najczęściej zalegają w prenumeracie. Co do organizacji to wszelkie niezależne organizacje czy to dla starszych czy młodzieżowe w zarodku już są tłumione albo tak prześladowane, że nie dopuszczają się do żadnych zebrań, szykanuje się tak, że wkońcu zniechęcone przestają istnieć. Ja sama należę od kilku lat do Koła Gospodyń Wiejskich, lecz w tych Kołach nic się nie robi, żeby choć trochę ulżyć losowi wiejskiej kobiety. W tym roku niby zaczęty jest kurs tkacki, lecz opłaty i składki są tak wysokie, że poprostu nie można sobie na to

pozwolić. Chciałabym koniecznie ten kurs skończyć, żeby potem móc cokolwiek zimową porą zarobić, lecz strasznie mi jest trudno bo poprostu o grosz jest dzisiaj na wsi trudno, a cóż dopiero mówić o złotówkach. Podatki są tak duże, że wszystko pochłaniają i tylko o nich trzeba myśleć i jeżeli dziś ktoś ma więcej jak jedną krowę, a nie chce widzieć sekwestratora to musi się wszystkiego wyrzec, nawet własnego życia, a myśleć tylko o podatkach. Jedyną troską, która mnie teraz trwogą przejmuje i z głowy dzień i noc nie schodzi to są dzieci, co z nimi w przyszłości będzie, jak im byt zapewnić. O tem, że mnie kiedyś będzie lepiej przestałam już myśleć, zresztą z nadmiaru pracy straciłam już zdrowie i nie mam nadziei go odzyskać, a zresztą może to i lepiej. Nie będę mieć więcej dzieci, a z tem i mniejszy obowiązek co do ich wychowania. Przecież teraz wychować dzieci to jest poprostu męczeństwo. Serce kraje się poprostu z bólu, gdy odmówić mu trzeba kawałka chleba czy szklanki mleka. Rozpacz targa nerwy jak patrzy się na dziecko, blade, mizerne, szczupłe i wątłe, a nie można dać mu tego co potrzebne jest dla pozyskania sił i zdrowia. Już teraz nie dbam wcale o siebie, odmawiam sobie wszystkiego prócz łez, byle tylko ulżyć doli dziecka. Lecz żadnych widoków na przyszłość niema, te piętnaście mórg marnej ziemi nie można już podzielić na trzy części, bo cóżby z tego było? A przecież i człowiek potrzebuje na starość na czemś dożyć, zresztą chłopiec ośmioletni kaleka, dla niego by się to przydało, gdyż on już musi pozostać na roli ze względu, że innej przyszłości dla niego niema. Pozostają dziewczęta, dla nich już niema poprostu wyjścia. O posagach teraz niema mowy bo skądże, gdy na sól braknie. Choćby do służby, ale gdzie ją teraz znajdzie? Dać jakiś zawód na to znów trzeba funduszków, a skądże ich wziąć. Są to dziewczęta niezwykle zdolne, wzorowo się uczą i zdumiewająco są pojętne, tylko wątłe i szczupłe. W tym roku już jedna kończy siedem oddziałów, a na przyszły rok druga, ogromną mają chęć uczyć się dalej, ale cóż z tego? Co ja nieszczęsna biedna matka na to poradzę. Ból sercem targa chciałoby się dać temu dziecku coś na przyszłość. Chciałabym wywalczyć im lepszą dolę od swojej, bo wiem, jak mnie ciężko było żyć na świecie, a teraz jeszcze ciężiej patrzeć na niedolę swych dzieci i beznadziejną ich przyszłość. Gdybym miała jakieś znajomości, jakąś protekcję to starałabym się na wszystko umieścić dziewczynki w jakiejś szkole zawodowej. Możeby się można było wystarać o jakieś ulgi, zniżki czy coś, ale nie znam nikogo ta-

kiego i nie wiem, gdzie się udać z moim zmartwieniem. Jeżeli ktoś będzie czytał ten mój krótki pamiętnik, a nie zapomni i jeżeli to będzie w jego mocy, pomoże cośkolwiek wybrnąć mi z mego zmartwienia, to do śmierci byłabym mu nieskończenie wdzięczna. Nie mogę sobie wprost pomyśleć, jakażby radość rozpierała moje stroskane matczyne serce, gdybym widziała swoje mizeraki uczące się dalej.

Kończę ten swój opis czyli krótki pamiętnik i chciałabym, żeby trafił do serca ludziom, którzy rozumieją ludzką niedolę i odczuwają ciężkie życie, trudy i prace wiejskiej kobiety. Nie pragnę nagrody tylko współczucia. Bo doprawdy niema chyba na świecie więcej zapomnianej i niedocenianej istoty, jak wieśniaczka, a najbardziej u nas w Polsce. A przecież my wszystko składamy w ofierze ojczyźnie i społeczeństwu, a wzamian nie dostajemy nic. Wszystko co napisałam jest najszczerzą prawdą, a są to tylko wyjątki, bo gdybym chciała napisać cały ogrom niedoli i nędzy musiałabym pisać nie parę tygodni, ale parę lat i być uczoną. Nie dziwcie się, że są błędy i niedokładności, bo przecież jestem samoukiem, a pisałam to zmęczona całodzienną pracą, chorą ręką, często długo w noc, gdy oczy ze zmęczenia kleiły się do snu i przy nikłym świetle przykręconej naftowej lampki, a w dodatku pokryjomu przed mężem, żeby się nie wysmiał ze mnie, że bawię się w uczoną osobę.

Ze względu na niektóre drastyczne szczegóły co do pożycia z mężem prosiłabym nazwisko moje zachować w tajemnicy.

Dn. 21 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 4

Gospodarz dwudziestomorgowy w pow. ciechanowskim

Urodziłem się we wsi Ciemnowie pow. Ciechanowskiego z rodziców posiadających gospodarstwo rolne dwadzieścia dwie morgi ziemi; tu urosłem i tu się ożeniłem w maju 1919 roku z dziedziczką z domu Rutkowskich, posiadającą dwadzieścia pięć morgów ziemi nabytej z miejscowego dworu przez jej ojca w roku 1910 za pomocą Banku Włociańskiego na spłatę w przeciągu 38 lat. Wniosłem tu wówczas 8.000 marek i jedną krowę, zobowiązałem się spłacić brata będącego w Ameryce i małoletnią siostrę, spłacić raty Bankowi Włociańskiemu i wydawać po śmierci teścia teściowej dożywocie, gdyż teść wówczas był chory śmiertelnie i zacząłem gospodarzyć z jednym koniem, jedną krową i dwoma cielętami. Pożyczyłem od sąsiadów pieniędzy i kupiłem drugiego konia, a po roku z owych cieląt dochowałem się już krów i miałem już dwa konie i trzy krowy. Zaraz niedługo po ślubie dostałem w podarunku od teściowej dwoje prosiąt i od swej matki jedno, a po roku utuczone sprzedałem, oddałem dług zaciągnięty na kupno konia i załatwiłem wszystkie podatki. Dnia 6-go sierpnia roku 1920 władze wojskowe wezwały mnie na wojnę z bolszewikami, gdzie przebyłem trzy miesiące, po pogromie bolszewików i zawarciu pokoju zwolniono mnie do domu. Tu zastałem gospodarstwo zupełnie zrujnowane, tylko córeczka, którą pozostawiłem trzymiesięczną, a obecnie mającą pół roku, dobrze wyglądała, a w gospodarstwie nie było koni, woza, zaprzęgu, koniczyny i t. d. wszystko padło ofiarą bolszewików. Znowu zaczynam od nowa gospodarzyć, sprzedałem najlepszą z trzech krów i kupiłem konia, a że wówczas ceny na wszystko były dobre, znowu dorobiłem się i sprawiłem nowy wóz i po roku drugiego konia, spłaciłem Bank Włociański i z podatkami nigdy nie zalegałem. W roku 1926 żony brat z Ameryki przysłał peł-

nomocnictwo najmłodszej siostrze, aby jemu należną od nas spłatę, ona podjęła, bo już była pełnoletnia i ową spłatę z majątku dla nich obojga wówczas skutecznym, płacąc 2.400 zł. na co się trochę zapożyczyłem, lecz do roku 1929 wszystko oddałem. Mając tylko jedno mieszkanie, gdyż teściowa zajmowała drugie, a rodzina mi się stale powiększała, bo w roku 1929 miałem już sześcioro dzieci, zacząłem myśleć o pobudowaniu nowego większego i dogodniejszego domu, w tym celu zakupiłem pięć tysięcy cegły w cegielni Krubin oddalonej o 10 km. bocznej drogi i następnej zimy sprowadziłem takową na budowę komina i piwnicy. We wiosnie roku 1930 kupiłem blachę w K. K. O. na dwuletni kredyt, za którą zaraz zapłaciłem 160 zł., a 800 wypłacać ratami po 200 zł. na jedną półroczną ratę. W roku 1929 mając urodzaj bardzo dobry, świnie: dwie prośne maciory i czterech tuczników, oraz bydła też kilka sztuk, byłem pewny, że mogę pobudować w jednym roku i dom i stodołę i chociaż się zapożyczę na jakieś dwa, lub trzy tysiące zł. to za jakiś rok, lub najwyżej dwa wszystko to oddam z procentem, tak też i zrobiłem. Pobudowałem dom, stodołę i piwnicę w domu, wszystko w roku 1930. Ale czasy, czyli ceny zaczęły się zmieniać na płody rolne, i tak; pierwsza maciora się oprosiła i miała sześcioro prosiąt, wszystkie prosięta, gdy już miały po sześć tygodni, sprzedałem po 80 zł. za parę i otrzymałem 240 złotych, a gdy w krótkim czasie druga maciora się oprosiła i miała dziesięcioro prosiąt, to je sprzedałem już tylko po 15 zł. parę i to tylko sprzedałem sztuk trzy, bo na resztę nie mogłem znaleźć kupca zupełnie. Krowy: pierwszą sprzedałem za 480 złotych, drugą za 180 złotych, a trzecią już tylko za 120 zł. Na pobudowanie powyższych zapożyczyłem się w bankach, kasach i u prywatnych osób na sumę 3.600 zł., gdyż liczyłem na wyższe ceny jakie były, gdy rozpoczął budowę i do dnia dzisiejszego budowy domu niewykończyłem, bo jeszcze we wszystkich trzech mieszkaniach brak wyrzutki. Pracuję i oszczędzam wraz z żoną i dziećmi, gorzałki zupełnie nie piję, papierosów zupełnie nie palę, od wczesnej wiosny do późnej jesieni boszo chodzę, czego nie podołam zrobić w dzień, to się nocą robi, aby nie nająć, bo nie ma zaco, bo jest pierwszy do oddania dług. Prywatne procenty płaciłem z początku 3%, potem 2%, a w końcu 1% miesięcznie; bankowe z początku półtora procent, obecnie nieco więcej niż 1%. Gdy po takiej pracy i oszczędności w roku zesłłym obliczyłem ile jeszcze mam długu, gdyż na rzut oka zdawało się że już prawie 1/4 długu oddałem, to się okazało, że mam jeszcze wraz z zaległymi podatkami 3.620 zł. t. j. o 20 zł. więcej niż pożytyłem, wtedy

się mocno przeraziłem że już inaczej oszczędzać nie można i jeśli nadal takie ceny potrważą (na płody rolne niskie, a na przemysłowe i monopolowe wysokie) to prędzej czy później wierzyciele czyli komornicy i sekwestratorzy nas z naszą liczną rodziną z ojcowizny wyrzucą.

Nieraz sobie z żoną rozmawiamy o tem co na to wpływa, że pracując i oszczędzając, niedojeść, niedospać, nie ustroić się i mając ziemię w kulturze i urodzaje niekiepskie, długu oddać nie można, mimo najlepszych chęci; wprawdzie mamy i trudności, bo już mamy ośmioro dzieci, czworo starszych posyłam do Ciemnowka do siedmiodziałowej szkoły, co też sporo kosztuje, ale prócz gospodarki mamy jeszcze i pszczoły, które wzorowo prowadzę i dają nam kilkadziesiąt zł. rocznie dochodu i doszliśmy do tego przekonania, że zadłużonych gospodarzy najwięcej gnębią takie ceny po żniwach na płody rolne, bo tak: stelmach czeka na zapłatę po żniwach, kowal tak samo, wierzyciele po procenty przychodzą po żniwach i wówczas masowa sprzedaż i nieraz przed żniwami nie starcza zboża, trzeba albo od bogatszego pożyczyć, albo kupić, ale zwykle kupić wówczas niema zaco, więc trzeba pożyczyć. Poszedłem 10 czerwca do bogatego gospodarza p. K *** z prośbą, aby mi pożyczył jeden metr żyta, ten się chętnie zgodził, mówiąc: żyta na pożyczkę nie mam, tylko na sprzedanie, dziś żyto jest w cenie 25 zł. metr, ja ci pożyczam metr żyta, a ty mi daj weksel na 25 złotych, a za dwa miesiące oddasz mi tyle żyta ile miało będzie wartość 25-ciu złotych i pół złotego procentu. Po dwóch miesiącach żyto było w cenie 12 zł. 50 gr. metr, więc musiałem mu oddać dwa metry i 50 gr. gotówką zapłaciłem. I tak bogaty gospodarz po żniwach gdy zboże tanie, to go wcale nie sprzedaje, bo wyprzedził je przed żniwami, żyto po 25 zł. metr, pszenicę po 38 i teraz czeka na takie same ceny i bogaty bogaci się, a biedny za pół darmo musi sprzedać, gdy jest tanie, bo musi.

A teraz chcę porównać możność nabywczą przed rokiem 1930, a obecnie: dawniej mając nawet mniejszą rodzinę spożyliśmy dwa kg. cukru tygodniowo, obecnie po pół kg. na jakieś święta (Wielkanoc, Boże Narodzenie, Zielone Świątki i t. d.) i wówczas ćwierć kg., gdy kto zachoruje, soli białej od trzech lat nie mieliśmy, dawniej, gdy nadchodziła zima gospodarze zmagali się i całymi wagonami węgla na opał sprowadzaliśmy, dziś węgiel dla rolników stał się luksusem, niemożliwym do kupna i ja od trzech lat nawet jednego kg. nie kupiłem, dawniej z podatkami nigdy nie zalegałem, dziś od jesieni roku 1930 prawie że ich nie płacę, nie mając pieniędzy. Mojem zdaniem

zubożenie rolników nastąpiło z tych przyczyn: z jednej strony nadmierne ceny na materiały pierwszej potrzeby, jak sól, nafta, zapalki, węgiel i cukier, z drugiej strony taniosc plodow rolnych w czasie pozniwnym, oraz wysokie procenty od pozyczek, np. w roku 1930 pozyczylem w Banku Mieszczańsko-Rolniczym w Ciechanowie kwote 1.460 zł. Co dwa miesiace trzeba zmieniac weksle, nie liczac procentow ile ja juz do dnia dzisiejszego samej oplaty stemplovej zaplacilem? A teraz ile razy na czas pieniedzy niema, wiec zaraz protest weksla i trzeba placic w proteście i na rejenta i na kase miejska i na sady, wszystko pokryje ten biedny i niedostatni, wiec i w rolnictwie nie wszyscy bieduja, ci co nie mieli w ostatnich czasach splat majatkowych, lub nie przeprowadzali inwestycji i nie pozyczali pieniedzy, wiec nie oplacaja rat, ani procentow, przetrzymaja plody rolne i drozej, lub drogo sprzedaja, to narzekac nie maja na co, lecz takich jest bardzo malo 7 lub 8%. A podatki: bogatszy sprzedal zboze dotrzymane do drozszych czasow i biezace podatki zalatwil w wyznaczonej wysokosci, a biedniejszy nie mogac na czas zaplacic np. 20 zł. to mu dochodza upomnienia, egzekucja, kara, wiec mu sie prawie podwajaja. Gdy nadchodzi zima, to az dreszcz przejmuje, bo mlodsze dzieci, ktore do szkoly nie chodza, gdy mróz przycisnie caly czas albo w lozku siedza, albo na kotlinie, bo niema im za co kupic cieplego sukmanka i butow. Synowi, który ma piec lat, pare dni temu pierwsze „buty” kupilem treпки z drewnianymi podeszwami. Co to byla za radość: biegal po izbie, skakal, pobiegł do babci, pokazujac, ze juz mu nogi nie zmarzna, bo ma nowe „buty”, a mnie z tej jego radości az sie serce krajalo i lzy sie strumieniem do oczu cisnely, ze nie przepije, nie przepale, w karty nie przegram i nie mam za co dziecku kupic butow z cholewkami za 6—8 zł., tylko ledwo za 1 zł. A teraz co do dlugow. Gdy budujac sobie dom i stodole i zapozyczylem sie wowczas na sume 3.600 zł. to zwaywwszy, ze jedna morga ziemi wtedy kosztowala 1000 zł. a cala fortuna, wraz z inwentarzem byla warta najmniej 30.000 zł. to ow dlug stanowil jedna osma i 33 setnych i wowczas do oddania byl latwy, ale go dzis oddac, gdy ziemia warta tylko 300 zł. morga, wartosc 25 morgow prócz budynkow 7.500 zł. czyli, ze gdy pozyczylem 3.600 zł. to byly warte przeszlo trzy i pol morgi ziemi, a obecnie 12. To samo z bydlem i innymi plodami rolnymi. I jak tu zrownac, pozyczyc wowczas, a dzis oddac to jest wielka krzywda pozyczkobiorcy. Wprawdzie od kilku miesiecy wprowadzone zostaly urzedy rozjemcze do spraw kredytowych i rozkladaja na splaty ratami, ale sa pomocą tylko tym dluznikom,

którzy pieniędzy pożyczali np. w roku 1926 i prowadzili zapiski, to im urzędy rozjemcze wliczają procent nadmierny (a wówczas brali 5% miesięcznie) i zaliczają na kapitał i dłużnikowi pozostaje mniej do oddania, ale jak ja, co nadmiernego procentu nie płaciłem i w urzędzie rozjemczym już dwie sprawy miałem, jedna na 350 zł., druga na 550 zł. obie pożyczki, mimo dowodów, że jestem finansowo w krytycznym położeniu i próśb o dłuższy termin, rozłożono mi tylko obie pożyczki na lat trzy i bardzo wątpię czy będę mógł spłacić w wyznaczonym terminie, bo obie raty jedna 137 zł., druga 100 zł. wypadają do zapłaty 1 kwietnia roku 1934. Mojem zdaniem oddłużenie wsi nastąpiłoby wtenczas, gdyby złoty spadł na wartości do tej normy, żeby np. morga ziemi znowu kosztowała 1000 zł., a krowa 480 zł., gdyż trzy wyżej wskazane krowy były prawie jednej wartości a rozbieżność w otrzymanych za nie pieniądzech tak wielka; podatki żeby były przystosowane do cen płodów rolnych, to samo produkty pierwszej potrzeby monopolowe i kartelowe, oraz mniejsza rozbieżność w cenach za płody rolne w miesiącach późniwnych, a przednówkowych i mniejszej, żeby były ceny opłacalne.

A teraz na ostatnie pytanie odpowiadam: czytuję tygodnik „Zielony Sztandar”, dawniej opłatę za takowy skuteczniałem zawsze z góry za cały rok, obecnie przesyłam tak kwartalnie, ale tak mizernie, że aż się wstydzę, bo zawsze więcej niż na cały kwartał z opłatą zalegam. I jeszcze jedna bolączka; cukier zadrogi i wprost niedostępny dla drobnego rolnika, a buraki drogie i tak samo niedostępne dla drobnego rolnika. Do zarządu związku buraczanego weszli sami obszarnicy i umawiają się z cukrownią tak, jak im dogodniej nie pozwalając, lub wysiedlając drobnego rolnika od produkowania takowych. Kto np. przez trzy lata w latach 1926, 27 i 28 w jednym z tych lat kontraktowo nie sadił buraków, kto w tych latach zmienił swe nazwisko np. nastął syn po ojcu, zięć po teściu, córka po matce, dzierżawca lub nowonabywca, ten już był pozbawiony prawa sadzenia buraków i obecnie stale się wysiedla drobnych, że już tylko mamy prawo sadić i odstawać po kilka, lub kilkanaście metrów w cenie po 5 zł. za metr i parę metrów po 3 złote. Nie wiem dlaczego nam jest nie wolno odstawić więcej buraków, bo prócz małej ilości obszarników byłoby całe społeczeństwo zadowolone, że zamiast po 5 zł. za metr buraków płacić tylko po 3 złote, ażeby było dowolne sadzenie, to ci co mają przywilej sadzenia dużej ilości buraków, zmniejszyliby obszar, a ci co utracili prawo sadzenia, toby sadzili, a także ci by sadzenie powiększyli, co mają furę, lub dwie odstawić, a cu-

kier byłby napewno o jedną trzecią tańszy i nie stanowiłby dla biedniejszej ludności luksusu, jak jest obecnie.

Wszystko powyższe opisałem rzetelnie, szczerą prawdę i częściowo podałem moje własne poglądy jak daną bolączkę usunąć.

Dn. 22 października 1933 r.

Pamiętnik Nr. 5

Bezrolny wyrobnik wiejski w pow. pułuskim

Urodziłem się 7 lipca 1911 roku w izdebce wynajętej u gospodarza ob. N*** w Płocochowie. Jako rodzina stanowił ojciec, matka i starszy brat Stanisław liczący dziesięć lat. Rodzice moi żyli z wyrobku, pracą rąk i zarabiali na utrzymanie i mieszkanie. Nie mieli ni kawałka ziemi i własnego mieszkania, choć kiedyś byli dziećmi gospodarzami. W położenie, jakie weszli, to przyczyna, że ojcowie mych rodziców mieli mało gruntu a dzieci dużo, więc jeden czy dwoje osiadło na ojcowiznie, a reszta poszła żyć inaczej. Więc najpierw poszli na służbę do większych gospodarstw, tak że matka służyła 12 lat, a ojciec 17 lat już od dziecka, tak paszeniem gęsi jak paszeniem bydła. Z chwilą złączenia się w związek małżeński szło bardzo ciężko dla mych rodziców musieli pracować całe dnie u ludzi by zarobić i utrzymać się przy życiu tak zwanej rodziny. Mieszkali w innej wiosce, a mianowicie w Kącicach i Bartodziejach. W tym czasie dużo wyjeżdżało do Ameryki, więc ojciec mój postanowił także wyjechać lecz nie było funduszu, dopomogła siostra ojca całkowicie i pojechała.

Tam dostawszy się do kopalni białego kamienia na wyrób rzeczy kuchennych pracował trzy lata i jeden rok w pracowni stolarskiej przy malowaniu mebli. Z zamiarem pracował by zarobić i wrócić do kraju i dać lepszą przyszłość sobie i rodzinie. Szczęście bardzo nie dopisało, bo chorował pół roku bardzo ciężko na żołądek. Przysyłał mej matce bardzo rzadko, tak że nie dawało możliwości do życia. Matka w tym czasie żyła jak mogła, więc rok czasu doiła 27 krów dziennie we dworze w Płocochowie (przeszła do tej wsi sama z Kacic) chodziła do żniwa, kopania, przędła len w zimę i utrzymywała brata a później i mnie przy życiu, ciesząc się, że gdy wróci ojciec,

to kupi dom a może i kilka morgów ziemi i nie będzie się tułać jak obecnie...

Po powrocie z Ameryki Pół. ojciec zaraz nie kupował, lecz szukał jakiejś osady lepszej, dogodniejszej bo miał zarobionych dwa tysiące rubli, włożył do kasy 700 rubli w Pułtusk a resztę miał w domu, lecz inaczej się stało, bo zapadła wojna światowa i rubel przepadł zupełnie, kasa wyjechała do Rosji. Tak ojciec jak i wiele innych, których znam zrujnowani zostali zupełnie. W czasie wojny było bardzo ciężko, nie było stać na sól i naftę wydawano za kartkami i wiele innych rzeczy, których pisał nie będę, bo wiadomo każdemu. Wspomnę jeszcze że przy końcu wojny okradziono nas doszczętnie z rzeczy, które znajdowały się na strychu wyniesione przed wojskami obcymi i rewizją. Skradzione zostały buty nowe brata, wszystkie koszule, płachty, wyroby ze lnu, ubranie i wiele innych rzeczy, zostaliśmy w tym co na sobie... Sprawców nie złapano, lecz pomyslenie mieliśmy na wiejskich niedalekich sąsiadów.

Po tem okradzeniu przyczyniło się jeszcze gorzej i doszło do biedy, że ojciec chciał mego brata oddać na służbę, lecz jakoś matka zaradziła temu i nie poszedł. Chodził do dworu w tej wsi do roboty i zarobił zboża i trochę grosza, jakoś szło dalej.

Następnie nadeszła wojna bolszewicka w 20 roku. Zawołano mego brata na komisję poborową i przyjęto do wojska, wzięto do piechoty do Modlina. Miał 18 lat przebył jeden miesiąc i umarł, to jest zaziębił się w ćwiczeniach w czasie zimy i ostygł na mrozie i śniegu. Żal opanował mych rodziców wielki, nawet ja na głos o śmierci brata płakałem i krzychałem choć miałem 10 lat.

Tak wojna światowa jak bolszewicka dały pamiątkę życiową. Ojciec myśląc, że będzie miał podporę w starości, stało się inaczej, lecz nadziei nie tracił, bo ja żyłem i rosłem bardzo prędko, rozwijając się szybko. Zacząłem chodzić w miejscowej wsi do szkoły wynajętej u gospodarza (gmachu szkolnego niema). Chodziłem pięć lat, w swej wsi trzy lata, w sąsiedniej jeden rok i jeden rok do Pułtusza.

Skończyłem pięć oddziałów szkoły powszechnej. Uczyłem się dobrze szczególnie w czwartym i piątym oddziale, pochwały otrzymałem od p. inspektora. Interesowała mnie najwięcej geografja Polski i rysunki. Skończyłem szkołę to pomagałem rodzicom przy domu, do terminu jakiegos rzemiosła chciano i myślano mnie posłać lecz nie było pieniędzy a potrzeba było 300 zł. z góry. Czasy były lepsze niż dziś (w 27, 8, 9 roku) więc ojciec zarabiał po pięć zł. dziennie i życie i pracy nie zabrakło, chowaliśmy krowę i mieliśmy mleko.

Za komorne płaciliśmy wtedy 80 zł. na rok (mieszkanie i chlewek na krowę). Paszę dla niej na zimę szykowaliśmy w lecie, kosztowało wszystko do 50 zł., parnik letni 35 zł. Mleko matka nosiła na miasto sprzedawała a za to przynosiła sól, naftę i t. d. Długo tak się nie działo, bo upadła nam krowa, złamała nogę zadnią na równym gnoju w chlewie, sprzedaliśmy za 200 zł. a była warta jak oznajmili gospodarze 400 z górą zł. Za tę cenę kupiliśmy drugą lichą bo nie było dołożyć, gorsza była do mleka i była chora, i tę trzeba było oddać żydowi za cenę niską. Dopomogła ciocia moja i kupiliśmy trzecią już za 176 zł. (krowy były tańsze) i tę mamy obecnie, daje po ociełeniu pięć litrów mleka, sprzedajemy czasami, tylko głównie spożywamy go i wytwarzamy na wyroby dla siebie.

Z chorób jakie nas nawiedziły była świerzba i to dosyć długo, wyleczyć się było trudno, bo zawsze nie starczało na leki i doktora. Przyczyna zarazy tej była taka, że ojciec pracował całą zimę u gospodarza przy kopaniu żwiru i sypiał okrywając się ich ubraniem i okryciem, a oni czy też okrycia były zarażone. Następnie ja zostałem przejechany wozem, chłop jechał z pola i wioził pług i brony a ja biegalem z innymi (bo byłem jeszcze przed szkolnym wiekiem) i dostałem się pod wóz, konie przeszły przeze mnie i koła dwa. Złamaną miałem lewą rękę i zranienie policzka. Leczyłem się większe pół roku, wyleczyłem się dzięki znanemu doktorowi Cz *** (obecnie w Nasielsku). Następnie z braku ciepłej odzieży często chorujemy wszyscy na kaszel, katar i inne wyrzuty skórne i t. p.

Obecnie składa się rodzina nasza z trojga ludzi, ojciec, matka i ja. Ojciec ma 65 lat, matka 55 lat, a ja 21. Głównym naszym pożywieniem są kartofle mleko i czasami chleb. Za mieszkanie płacimy 50 zł. na rok, za paśnik letni 24 zł. i za paszę to ojciec pracował kilkanaście dni u większych gospodarzy co mają więcej łąk. Zarobki są strasznie liche i ich brak, płacą mnie po 1 zł. dziennie i jadam swoją strawę, wyjątek stanowi jak dadzą.

Jestem robotnikiem rolnym nie mam żadnego fachu, ojciec pracuje różne roboty, a najwięcej kryje dachy słomiane, wychodzi na tem po 2 zł. dziennie. Kartofle sadzimy sami a więc dają nam więksi gospodarze 30-morgowe po dwa staja (wszystkiego dwa staja), mamy swój obornik i płacimy za robotę i mamy taniej kartofle niżby było kupić gotowe. W tym roku ukopaliśmy 38 worków, kupiliśmy słomy do okrycia i przechowujemy w kopcu. Chowamy dwa małe czteromiesięczne prosiaczki i dwie kury i musimy tak liczyć by stało i potem do sadzenia jeśli dadzą ziemi. Za ziemię odrabiamy bardzo mało, zależy jak któremu gospodarzowi (naturalnie jak żąda).

Mieszkamy w „czworaku” tak zwanym, dużym domie, co ma cztery mieszkania i każde inne. Czworak ten jak powiadają był kiedyś dworski, mieszka w nim dwóch lokatorów i dwóch właścicieli. Mieszkanie nasze jest nieduże 5 i $\frac{1}{2}$ m. długie i 4 m. szerokie, posiada jedno okno poprawione (nowe), mamy komórkę do przechowywania ziemiołódów. Podłogi niema jest ubita glina, panuje wilgoć i zimno, ściany bardzo grube lecz próchniate; od drogi wiejskiej stoi trzy metry położony bardzo nisko i w ten sposób podchodzi wilgoć pod podłogą, mieszkamy od strony południowej a w zeszyłych latach mieszkaliśmy od północnej, w tym czworaku mieszkamy wogóle 23 lata. Zbudowany dawno, nikt z najstarszych ludzi go nie pamięta, jak powiadają ma około a może 150 lat.

Przy nim mamy ogródek maleński, sadzimy buraczki czerwone na barszcz i pomidory pod ścianą. Ze sprzętów posiadamy dwa łózka, jedno bardzo słabe zniszczone od wilgoci. Łóżka te prostej roboty z drzewa sosnowego, następnie szafę sosnową, szafkę do rzeczy kuchennych zawieszoną na goździach, stolik, taboretka, dwa krzeselka, na ścianie dwa obrazy religijne bardzo stare i wszystko.

Ubranie jakie nosimy to przeważnie konopiane, rodzice mają stare jedno, a nowe to z dawnych czasów liczące przeszło 20 lat. Ja posiadam kamasze nowe i stare codzienne buty, z ubrań drelichowe jedno nowe i stare codzienne, i jesionkę na zimę. Dawniej ojciec chodził w obuwiu o podeszwach drewnianych, nawet i czasami do gnoju używa teraz. Na kupno to nigdy nie ma, bo pierwszy żołądek trzeba zaspokoić. Warto zaznaczyć, że z braku tych rzeczy człowiek do kłótni rodzinnej skory (patrząc na ubranych kolegów), lecz rzecz ta jest zrozumiała wejść w nią w położenie.

Wieś ta będzie wkrótce rozkolonjowana, pomiary już były, tylko mierzyć działki przystąpią i każdy niemal się rozbuduje gdzieindziej. Nasz czworak rozwalony będzie i podzielony pomiędzy czterech właścicieli, my mieszkamy u gospodarza J *** z tej wsi. Co będzie dalej z mieszkaniem to nie wiem, trzeba gdzieindziej szukać i żyć jakoś. Wieś liczy 68 osad, najwięcej jest małorolnych gospodarzy 12—18 morgów, większych 30-to morgowych gospodarzy jest czterech. W tej wsi jest dwór liczący cztery włóki ziemi ornej i półtora włóki lasu, ziemia jest żytnio-kartoflana, przeważnie najwięcej sięją żyta i kartofli, najmniej pszenicy i z warzyw pomidorów. Oświata społeczna jest bardzo rozwinięta, były organizacje K. M. W. „Siew”, Strzelec, Kółko rolnicze, obecnie jest K. Mł. W. „Wici”, Stronnictwo Ludowe, Stowarzyszenie M. P. i Komitet Budowy Szkół. Ja należę do

Koła Młodzieży i jestem sekretarzem. Pisma jakie czytam „Wici”, Gazeta świąteczna, Wyzwolenie i mała gazetka „Zjednoczenie”. Za swoje pieniądze tylko kupuję niektóre numery Gaz. Świątecznej, resztę pożyczam ze wsi. Życie wsi teraz podupadło, wszędzie wyrzekają i biadują. Od wojska jestem zwolniony, lecz nie całkowicie, na przyszły rok muszę składać podanie o zwolnienie, (ostatni rok będzie). Powód jaki mam to niezdolni rodzice do pracy (kat. A.). W tej wsi jest pięciu wyrobników. Palimy drzewem „cierniem”, które przywozimy wózkami z lasu z 1½ km. oddalonego, do pieca kupujemy (w zimie nawozimy ciernia).

Ja w wolnych czasach czytam książki wypożyczone z biblioteki Koła. Myśl moja to miłość bliźniego (naturalnie jak mnie kto nawidzi) i oświata choć w tak ciężkich czasach, ażeby zrozumieć przyczynę owej tajemnicy zła, by była jedność w narodzie i dążenie do jednego celu i by był dobry rząd, a przedstawiciel tego rządu, nie ten wielki co go się ludzie obawiają, lecz ten co go jak ojca kochają. Z ożenkiem też nieraz myślę, ale postąpić naprzód trudno (myślę materialnie). Wszystkie liczą się „gospodarskimi córkami”. Dla mnie niema wcale w tej wsi. Pisać to byłoby bardzo dużo drobnych rzeczy z początków życia mych rodziców, lecz z braku miejsca nie piszę (chodzi o mnie). Wspomnę jeszcze, że rodzice nie umieją czytać i pisać (matka sylabizuje).

Narzędzia nasze do pracy i zarobkowania to widły, szpadel, motyka, cepy i wolne ręce.

W zeszłym roku dostałem od gospodarza ziemię i prowadziłem „konkurs” kartofli, nazywały się „parnasy”. Mieliśmy dwa zespoły buraczany (9) i kartoflany (7). Te zespoły przy Strzelcu były w Płocochowie. Przyjeżdżał instruktor z C. T. O. i K. R. z Pułtuska. (Wydano zeszyt i broszurę). Na wystawie dostałem piątkę i miałem pierwsze miejsce w naszym zespole ziemniaczanym. Nagroda cztery drzewka szlachetne, a swoją drogą Zw. Strzelecki (komenda) dał mi książkę pod tytułem „Hodowla zwierząt domowych” Moczarski w III tomach (jednocześnie książki te jako zespołowa nagroda). Poletko miałem 10 × 25 = 250 m. kw., wysadziłem pół metra, ukopałem pięć i pół m. Przechowałem w kopcu, na wiosnę podkradł się złodziej i wziął dwa worki (z chciwości na gatunek).

Bezrobotnym bywam często, lecz zasiłków nie pobieram, że to na wsi to niema się nic wspólnego (jeden wyrobnik starał się w Pułtusk i nie otrzymał a ma sześcioro dzieci małych). Gdy wypadnie

nieraz praca na drodze bitej i to trudno się tam dostać, nie przyjmują bo mają dla miejskich.

Zdolność mam w sprawach społecznych, często referaty mówię na zebraniach Koła, układałam wiersze (temat młodzieży zorganizowanej), ułożyłam osiem już wierszy ostatni pod tytułem „Dożynki wiejskie w Płocochowie, wypowiedziany właśnie na tych dożynkach w bieżącym roku 10 września, nagrodzony burzą oklasków, bo było blisko dwa tysiące ludzi. Ja zastanawiając się nad sobą i myśląc o tem że gdybym miał więcej szkoły, tobym był w innem położeniu. Przy tej sposobności zyskam dużo ludzi w towarzystwie.

Papierosów nie palę wcale od dziecka, wódki nie piłem już dawno, a gdy piłem to na weselach w miejscowej wsi u koleżanki czy kolegi, którzy mnie poprosili. Z charakteru jestem wesoły i uczciwy, pracowity dla siebie przy swych zarobkach.

Zastanawiam się mocno jak dać niezdolnym rodzicom gdy będą zupełnie, chleb i utrzymanie, lecz mam nadzieję w Bogu, że nie umrzemy z głodu. Dochodzę teraz do zrozumienia co to jest oszczędność, praca, spółdzielczość, oświata narodu i wiele innych dziedzin życia!

(Wszystko co napisałem jest jakby spowiedzią, prawdą, lub żalenie się przed najbliższym krewnym, ja natomiast pragnąłbym o ile możliwości otrzymać odpowiedź czy to drukiem czy jakąś gazetą).

Dn. 29 października 1933 r.

Pamiętnik Nr. 6

Gospodarz dwumorgowy
w pow. skierniewickim

Mój pamiętnik nie będzie może tyle ciekawy co inne, a to dlatego, że jestem jeszcze młody. Ale mimo to, że jestem młodym, to jednak tak się warunki złożyły, iż jestem już samodzielnym gospodarzem mającym dwie morgi ziemi. Jak żyję na tem swoim karłowatym gospodarstwie, będę chciał wszystko szczerze opisać.

Dnia 5 sierpnia 1912 r. we wsi Lipec gm. Słupia, pow. Skierniewice, przyleciałem na świat w glinianej chałupie mego ojca.

Wychowywałem się, jak większość dzieci na wsi. Ojciec mój posiadał dziesięciomorgowe gospodarstwo, to też skoro przestałem w „katanie” chodzić pasalem to gęsi, to owce, a jak byłem starszy to i krowy.

W r. 1918 zmarł mi ojciec, pozostała matka i nas pięcioro rodzeństwa. A w rok później spaliła nam się chałupa. Oj! pamiętam było to życie — bo było. Pamiętam jak żeśmy się wyprowadzili do ciotki - sąsiadki, ale że dwie rodziny w jednym mieszkaniu nie mogły się pomieścić, to ja z bratem sypialiśmy w oborze. Fajerkasę za tą pogorzel dostaliśmy dopiero w 1929 roku w sumie 65 zł. Ponieważ chałupa była z gliny to mury zostały, przy pomocy krewnych założyliśmy dach i mieszkamy w tej chałupie do dnia dzisiejszego.

Ja uczęszczałem do szkoły powszechnej w Lipcach, w której ukończyłem pięć oddziałów. Zimą porą chodziłem zawsze bez śniadania, jadłem śniadanie dopiero po powrocie ze szkoły o godz. 1-szej popołudniu. Raz pamiętam zmuszony byłem przestać chodzić do szkoły, a to dlatego że boso już niemożliwe było iść, bo był mróz, a matka moja nie miała pieniędzy kupić mi trepów. Pomimo to uczyłem się nie gorzej od innych. Do kościoła też chodziłem, a jakże, w podartej kapocie, przypominam sobie, że nie chciałem w tej kapocie chodzić do kościoła, ale matka zawsze mnie kułakiem wypę-

dziła. W takich to warunkach wychowywałem się i spędziłem swe dzieciinne lata.

W 1928 roku zdechł nam koń i zostaliśmy przy jednej krowie. Brat mój starszy odszedł do wojska, ja byłem jeszcze lekkomyślny, więc żeby było komu pracować i rządzić gospodarstwem, sprowadziliśmy szwagra do swego domu i oddaliśmy mu całą gospodarzkę. Zaczęło się wtedy nam trochę lepiej powodzić nie dlatego, że szwagier umiał się dobrze gospodarzyć! Nie! dlatego, że w tych latach, jak 27, 28 i 29 było dla chłopca jeszcze możliwe życie, zboże płaciło, zarobki były, ja sam w 28 r. w jednym miesiącu w czerwcu zarobiłem 95 złotych przy robieniu pustaków, a dziś nikt ich prawie nie robi bo cement jest zadrogi.

Jak się szwagier przyprowadził to było nas wtedy ósmioro w jednej izbie. Ja sypiałem w stodole. Mrozy były tego roku duże, bo któż nie pamięta zimy z 28 na 29 rok. Przeziębłem się wtedy strasznie. Gdy leżałem w łóżku chory mając do 40° gorączki, byłem zdany na łaskę i nie łaskę losu, bo o lekarzu nikt nie myślał, księdza tylko chcieli mi przywieść i leczyli mnie własnymi sposobami: jak ugrzanie otrąb na gorąco i przyłożenie do głowy i t. d. Jakoś, że z tej choroby się wylizałem.

Po powrocie brata z wojska w 1930 r. nastąpił podział ziemi. Nas było pięcioro, trzy siostry i dwóch braci (wszystkich to nas było dziesięcioro, ale połowa umarła). Brat ożenił się i zabrał cztery morgi swoje i siostry, która pracuje w Warszawie, drugie dwie siostry, które były zamężne wzięły swoje morgi, przy jednej siostrze ja zostałem, sprzątałem moje morgi ja u nich pracowałem, za co dostawałem jeść i jakie takie ubranie. Matce wyznaczono korcowe na utrzymanie i tak z jednej piątej części jeden korzec żyta, cztery korce kartofli, dwa korce węgla, pół m.³ drzewa, trzy kg. słoniny i jeden litr mleka dziennie. Oprócz tego co dwa lata wszyscy mają się złożyć i kupić matce jedną parę trzewików, koszule.

Ja choć byłem młody, ale wcale mi się nie podobał ten podział, zacząłem więc szukać innych dróg wyjścia, ażeby się ze wsi ulotnić. Gdy nigdzie pracy nie mogłem dostać, postanowiłem iść do szkoły rolniczej, a że nie miałem swojej gotówki, więc złożyłem podanie do Wydziału Powiatowego o udzielenie mi stypendjum. Stypendjum otrzymałem i 15 stycznia 1931 roku wyjechałem do szkoły rolniczej w Łowiczu. Byłem pewny, że po skończeniu szkoły dostanę się gdzieś do dworu na praktykę i będę miał jakieś znośniejsze życie niż tu na tej gospodarce. Jednak życie nie poszło podług moich zamiarów i po

skończeniu szkoły powróciłem do domu. Po powrocie ze szkoły szwagier mój, który sprzątał z mojej części, oddał mi tę część ziemi, która według podziału dla mnie przypadła, udowadniając tem, że nie chce moich mórg sprzątać i dawać mi jeść i na ubranie. Nie mając grosza w kieszeni, ani żadnego inwentarza, nic wogóle nie posiadałem, tylko tyle co to ubranie na sobie. W takich to warunkach w roku 1932 sprzątnąłem zboże ze swoich mórg, którego było trzy wozy w pojedynkę wszystkiego.

Po oddaniu mi ziemi szwagier wyprowadził się na swoją ojcowiznę, a matka znów, która mieszkała u brata, przyprowadziła się do mnie.

Dom mieszkalny jest u nas z gliny kryty słomą, ma dwa mieszkania i sień. Stodoła i obora są z drzewa słomą kryte. W oborze dziury świecą na wylot bo już spróchniała, a stodoła też się już skrzywiła od wiatru.

W jednym mieszkaniu mieszka brat, u brata niema podłogi tylko klepisko ubite z gliny to też wilgoć jest okropna. W drugim mieszkaniu mieszkam ja i matka, która jest na utrzymaniu. Ponieważ jestem kawalerem to nieraz mówią mi różni dobrzy ludzie, żebym się ożenił to mi będzie lepiej. Jednak ja patrząc na rzeczywistość życia małżeńskiego ludzi ubogich, bez pracy, wcale nie widzę dla siebie w tem polepszenia. A gdyby nawet do tego doszło to skąd wziąć 30 złotych na ślub, a przecież i za inne formalności w związku ze ślubem płaci się grube sumy np. zapowiedzi.

W mojej wiosce są przeważnie gospodarstwa dziesięciomorgowe. Niektóre są już rozdrobnione, niektóre jeszcze w całości, ale i te niedługo się utrzymają, bo młodzież dorasta, a każdy chce żyć. Gdzie jest mniejsza rodzina tam gospodarstwo pozostaje całe, ale takich jest mało. Ja mam dwie morgi, przypuśćmy żebym się ożenił i dostał dwie morgi razem cztery morgi, co za wyjście? Przecież z żoną trzeba żyć trochę lepiej, trzeba, że tak powiem trochę „wygód”, jak opał, światło i t. d. Do tego doliczyć podatki, dać utrzymanie rodzicom, takie choćby, jak my dajemy swojej matce. A mieć cztery morgi i żonę, to trzeba te wszystkie wydatki wyżej wymienione pomnożyć przez dwa, do tego doliczyć za „obróbkę” w polu i furmanki: po drzewo, do młyna i t. d. Za obrobienie końmi czterech mórg zapłacił jeden gospodarz w tym roku na zimę 45 zł., a na wiosnę doliczyć trzeba conajmniej 30 zł., a zarobić nigdzie, zboże tanie... i żyj człowieku, bo ci Pan Bóg dał życie. Do tego wszystkiego trzeba dodać jeszcze koszt utrzymania dziecka, gdyby ewentualnie było.....

Podczas żniw i kopania kartofli to roboty jest dużo: bo i u siebie trzeba zrobić i pomóc komu trzeba i zarobić gdzieś jakby się dało. Zwykle po żniwach młóci się po trochu do kopania, a po kopaniu wymłóca się resztę, a że młóci się cepami to czasu potrzeba dużo, więc człowiek jak ma robotę to się czuje dosyć dobrze, najgorzej to już na przednówku, bo ani niema co jeść, ani co robić. Nieraz gdy siedziałem w polu, między żytami na miedzy i rozmyślałem o nędzy życia dzisiejszego, to popadałem wprost w depresję i gotów byłem wtedy nawet życie sobie odebrać, bo jak tak mam powoli umierać myślę sobie to lepiej odrazu skończyć.

Ale wtedy jakieś dziwne myśli człowieka opanowują, żyje się tylko z ciekawości co będzie jutro, za miesiąc, za rok?.....

Ojciec mój włożył udział do Sp. Sp. „Lipce”, który pozostał do dzisiejszego dnia, teraz podzielimy ten udział na połowę (po 10 zł.) z bratem i pozostaniemy nadal członkami Spółdzielni. Korzystam z biblioteki Koła Mł. Wiejskiej w Lipcach za opłatą 25 gr. miesięcznie. Z gazet to czytywam tylko: Spółnotę, Wici i Wyzwolenie. Spółnotę otrzymuję ze Spółdzielni, bo spółdzielnie prenumerują dla swych członków. Wici prenumeruje Koło Mł. Wiejskiej, zaś Wyzwolenie prenumerujemy we czterech młodych chłopaków z mojej wioski co nas taniej kosztuje i trzymamy się tej zasady, że człowiek nietylko żyje samym chlebem. To też ludzie starsi śmieją się z nas nieraz „że my bidne, a gazety to czytywamy”.

Poza moim dwumorgowem gospodarstwem nie mam żadnej stałej pracy, we żniwa tylko zarobiłem 17 złotych, za co kupiłem sobie prosiaka i tego tylko trzymam, pozatem więcej inwentarza nie mam, ziemia coraz to lichsza, a najgorsza sprawa będzie na wiosnę bo nie będę miał obornika pod ziemniaki. Miałem zamiar sprzedać ze dwa korce owsa i z korzec żyta i za to kupić sobie choć jakie cielę, ale zboże takie tanie, do tego jak się teraz wysprzeda tanio, to na przednówku może trza będzie kupić drogo. We wrześniu tego roku zarobiłem sześć zł. przy młócce cepami u jednego gospodarza z mojej wsi, po dwa zł. dziennie i jeść dawał, taki zarobek toby się opłaciło, żeby tak dłużej pracować.

I jeszcze pracuje u jednego gospodarza za to, że mi obrabia ziemię, do niego to idę na każde zawołanie. Ten ostatni zarobek też jest dla mnie dobry, bo nie potrzebuje płacić gotówką od roboty w polu a to za cały rok to jest na wiosnę i na zimę, gdyby przyszło płacić gotówką toby wyniosło około 40 zł. na to trzaby było sprzedać około cztery korce żyta. A co jeść?... jak ja wszystkiego w tym roku obli-

czam dziewięć korcy żyta i cztery korce owsa, owies zresztą już wymłóciłem wszystek i trza będzie sprzedać na podatek teraz w listopadzie. Mieszkanie moje jest to duża izba z dwoma oknami szczeriałami od starości i dziurawemi futrynami przez które wieje wiat, latem to wygodnie bo okna się nie otwierają, to temi dziurami trochę świeże powietrze wpada, a na zimę to się zatyka mchem i starymi gałganami. W zeszłym roku sypiałem na podłodze, bo nie miałem za co kupić łóżka, obecnie sypiam na łóżku, które mi sąsiadka z litości pożyczyła, stare już jest i muszę się ostrożnie kłaść spać, żeby się nie popsuło, bo jest słabe, ale zawsze wygodniej, jak na słomie na podłodze. Przyniosłem je w nocy żeby nikt nie widział, bo mnie wstyd było.

Mam szafę, którą szwagier zostawił jak się wyprowadzał bo mu się nie opłaciło zabierać, której gdy bielę izbę nie wynoszę boby się popsuła, którą zresztą i tak sekwestrator w zeszłym roku zapisał za podatki i zamiast 5 zł. 34 gr. właściwego podatku zapłaciłem 9 zł. 4 gr. czyli za to, że nie zapłaciłem w swoim czasie 5 zł. 34 gr. musiałem później zapłacić 3.70 gr. kosztów egzekucyjnych. Nie mogę tu powiedzieć, że podatki są zbyt duże, jeno że władze za bardzo energicznie je ściągają i to z takimi karami.

Ale odbiegłem na chwilę od tej szafy, zresztą co będę dużo gadał jest to stary grat, w którym nic niema prócz moich starych gazet i zapisanych zeszytów. Dalej z moich starych zabytków jest stołek co go jeszcze ojciec nieboszczyk zrobił ze szczapy, dawniej jadalśmy przy nim a teraz to kładę na nim mąkę z workiem. Matka ma swoje łóżko zwykłe, jak na wsi mają i skrzynkę na ubranie.

Mam jeszcze ławkę, którą zrobiłem w zeszłym roku ze starych boków, niewygodne to, ale jest przynajmniej na czym usiąść do jedzenia. Przy jedzeniu zawsze siadam na niej, a teraz trzymam w ręce bo stołu nie mam. Jest u nas maszyna do sieczki rżnięcia, która została po ojcu, ja na niej sieczki nie rżnę, bo krowy nie mam. Mam lampę, która świeci się tylko gdy już naprawdę musowo świecić i to się przykręca, żeby mniej nafty wychodziło, z tego względu nigdy wieczorami nie czytywam książek.

Zasadniczem jedzeniem u mnie to są kartofle i chleb. Cukru nie używam wcale, można powiedzieć tylko dwa razy do roku na Wielkanoc ćwierć kilograma i na Boże Narodzenie ćwierć kilograma. Na śniadanie kartofle z barszczem, na obiad chleb czarny często suchy, czasem dostanę od kogo z łaski mleka. I na kolację znów kartofle na rzadko, czasem kluski żytnie pytlowe, kapusta albo groch i t. d.

Słoniny jak kupię ćwierć kilograma to tak kombinuję żeby mi starczyło conajmniej na dziesięć dni, chociaż wiem, że żołądka nie oszuka. Po takim pożywieniu to można sobie wyobrazić, ile jest energii do pracy. Zima za pasem, a tu nie mam kapoty ciepłej i butów. Mam tylko jedną parę kamaszy, w których chodzę w dzień powszedni i na święto, jedną czapkę zimową, w której chodziłem i latem, stare ubranie do roboty i nieco lepsze na święto. A teraz na zimę nie mam ciepłego palta, ani swetra, ani ciepłej bielizny i tych niezbędnych rzeczy nie będę mógł sobie kupić, bo za co?

Za palto policzmy 30 zł., ciepła bielizna i sweter conajmniej 10 zł., za buty 20 zł., razem więc 60 zł. Na to wszystko musiałbym sprzedać pięć korcy żyta, a wszystkiego obliczam dziewięć korcy.

Gdybym sprzedał to na ubranie to mi do jedzenia nie wystarczy, a podatki zapłacić, a takie niezbędne artykuły pierwszej potrzeby kupić, jak sól i zapalki. A tu zarobić nigdzie nie można ani grosza. Nikogo pewnie nie zdziwi, gdy powiem, że do wojska nie byłem zdolny i nietylko ja bo tyłu na wsi pozostaje wolnych od służby wojskowej. Matka moja kaszle i pluje, ja nie jestem zdolny do służby wojskowej, dużo młodzieży w takim wieku jak ja ma zupełnie popsute zęby i nikt tu nie korzysta z żadnej pomocy lekarskiej, bo lekarz w chłopskiej chacie to nie do pomyslenia.

Zauważyłem w paru miejscach w mojej wiosce, że dzieci od dwóch do czterech lat są zupełnie źle odżywiane, występują u nich różne krzywizny na nogach, mają duże brzuchy rozepchane kartoflami i t. d. Niektóre do tego czasu chodziły boso. I czy z takich dzieci wyrosną zdrowi obywatele kraju? a przecież nędza z każdym rokiem jest większa.

Gdy pomyślę o nadchodzącej zimie to strach mnie oblatuje, bo pamiętam w zeszłą zimę paliłem świeżem drzewem, kupiłem już zimą bo wcześniej nie miałem pieniędzy i nie wyszło dobrze, a o węglu to mi się nawet nie śniło. Oj życie... bo życie... i jeszcze oszczędzałem żeby mniej wyszło. Pamiętam, jak przyszedłem wieczorem i zrzuciłem z nóg trepy w śniegu oblepione to całą noc były oblepione i śnieg nie stopniał w mieszkaniu, jakże miał śnieg stopnieć, kiedy woda w naczyniach tak zamarzła, że musiałem rano mocno bić, żeby lód przebić, ziemniaki zmarzły w mieszkaniu i mnie pod pierzyną brało zimno, ale wytrzymałem. Na pierzynie gdzie chuchałem przy oddychaniu to był mróz biały a na ścianach to można było skrzybać łyżką taki szron był, przez trzy tygodnie wcale mróz z okien nie schodził, dopiero jak się mróz zelzał.

Jedno trzeba stwierdzić, że człowiek biedny w tych czasach walczy tylko o to żeby się jakoś utrzymać przy życiu, nie kupuje żadnych towarów, które mu są nieraz konieczne potrzebne. I gdy się widzi to lepsze życie i chciałoby się żyć po ludzku, a żyć tak nie można, to człowieka chwyta jakiś niewysłowiony ból, chwyta go rozpacz. Ja na swoich dwóch morgach żebym miał jakiś zarobek uboczny, choć nieduży, żeby 10 zł. tygodniowo, tobym sobie żył jeszcze możliwie.

Stare drzewa w ogrodzie wykopuje się na ogień, ale nie sadi się nowych drzewek. Jednym słowem zużywa się stare pozostałości majątkowe a nie tworzy się zarazem nowych, chociaż są ku temu dobre chęci.

Samo życie wskazuje na to, że tak dłużej być nie może i z czasem musi przyjść ten sprawiedliwy ustrój społeczny — oparty na zasadach spółdzielczych — a wtedy poskromi się wszelki wyzysk i wskaże się ludziom cel, którym jest dobro wszystkim ludzkości.

Na tem kończę swój pamiętnik, może coś będzie niejasne to trudno bo nie mam wielkich zdolności pisarskich. To co wyżej opisałem są to fakty z życia mojego, które gdyby tego zaszła potrzeba mogę uzupełnić. Mam wrażenie, że i mój pamiętnik przyczyni się do wspólnego dobra i łącznie z innymi da jakiś pożytek.

Z powodu braku pieniędzy wysyłam pamiętnik nieco później niż go napisałem.

Dn. 29 października 1933 r.

Pamiętnik Nr. 7

/ Gospodarz niegdyś na dziesięciu morgach, obecnie na uszczupionej osadzie w pow. łaskim

Urodziłem się we wsi Dąbrowa. Długa ta wieś, niebrzydka, a prościutka jakby strześlił. Kole drogi co z górki z pod lasu wyłazi i ciągnie się do pastwisk stoją chałupy to spróchnięte, niby te przykucnięte babiny co siedzom pod kościołym na odpuscie, to znów proste gładziutkie wcale podobne do miejskich. Przy drodze rosnom wielkie gruchy od powstania i niejedna z nich pięć paminto pokoleń, i choć to płone, stoją od parady, a pożytku z nich tyle że latym gdy słońce skwarzy spracowane ludziska mogą se pod gałnziami chłodu zażyć, bo przez gęste liście nie przedrze się ani jeden promyczek. W środku gdzie się krzyżują drogi pod lipami stoi krzyż bardzo stary i nikt ze wsi nie wie kto go stawiał, tylko mówią że jest z najstarszej sosny z całego boru, a opowieści o nim tyle że księgi by napisał. Teraz poprzeczka się już schyliła, krzyż mchem porósł i groby co pod nim leżą z ziemiom się zrównały. Leży w nich pare powstańców z 63 roku co ich kozaki nasiekali. Stare to groby, trawa na nich rośnie i dziewanna, a krzyżyki spróchniały schyliły się do ziemi. Glapa na nich sindzie czasem, zaskrzeczy i odleci w pole. W końcu wsi ciągną się łąki, torfisko i wielkie kopiele. Koło wsi płynie rzeczka, a na niej pod borym stoi stary młyn. Dawni pański a teraz mieszka w nim stara Manicha co sie zna na chorobach. Dawno myliło się w nim, a teraz woda groble rozerwała i nowy młyn postawili, a stary stoi, bo jest bezpański. Nikt go nie reperuje, to też pochylił się i ziobrami prześwituje, niby ta chudzina, co jej pies z litości gałgany targa i wiater je kołtuni. Urodziłem się w roku... Dziadek mój był wójtem, czytać umiał dobrze po ruski i po polsku, to też we wsi poważanie miał wielkie. Ojciec mój dostał od dziadka 10 mórg ziemi dobrej. Resztę gospodarstwa to jest 7 mórg dostała moja ciotka. Ojciec mój ożenił się z panną bogatą bo miała 10 mórg

ziemi. Tak razem mieliśmy 20 mórg i wszystkie budynki gospodarskie po dziadku. Urodziłem się w chałupie takiej jak te wszystkie chłopskie z małymi oknami z dużym słomianym dachym, z kominem wielkim w którym można było w cztery konie wykręcać i który był bardzo ważny bo było w nim schówko na pieniądze, okrągłe wymuskanne. W nim przechowywała moja babka pieniądze na wódke. Dom cały miał dwa mieszkania jedno nasze, w drugim mieszkała moja babka. Cztery miałym lata gdy umarł mi ojciec. W siódmym roku kazał mi ojczym uszyć długie płótniane portki, bom do pasynia był zdalny i stąd zaczęła się moja bieda. Ojciec miał duże stado owiec, które kazano mi pasać w boru. Wielki mię strach ogarnoł. Nie pomógł płacz ani wstawianie babki, ojciec pasów mi wyspał ile wlaźło i wypyndził mię do boru. Pierwsze to było zmartwienie. W boru pasło owce dużo chłopaków z całej wsi. Ci byli dużo starsi odemnie to tyż robili ze mną co chcieli. Dali mi jeść chleba, a jak jeść nie chciałem, zmusili mię. Potym jak zjadłem kazali nawracać owce, a jak nie chciałem, rozebrali mię i kozikiem chcieli przerznąć brzuch, by wyjąć co zjadłem. Przestraszony pasłym wszystkie owce, a że były bardzo ciekawe, więc musiałem chodzić prędko dookoła i zawracałym by mnie nie różnėl tyłko. Wieczorem przypędziłem owce do domu. Ojciec wyszedł przed brame i patrzył. Na nieszczęście jedna owca, stara i bardzo szkudna, co chwile ugryzła pare listków kartofli. Ojciec zobaczył podskoczył z kijem, głowe wsadził między kolana i bił tak długo aż się zmęczył. Pamiętam tyn dzień, bo czynsto potem bił mnie za wszystko. Jedynym obrońcom była Babka, która ratowała mnie w fałdach spódnicy. Ukończyłym 10 lat. W tym czasie powstała przy parafji szkoła. Po długich kłótniach matki z ojcem ojczym zgodził się oddać mnie do szkoły. Uszyli mi portki nowe z farbowanego płótna. Ojciec wsadził mnie w deski i zawiózł do szkoły. Potym zaprowadził mię ojciec do nauczyciela i kazał mie mocno bić. Chciałym uciec, bo bicie znałym już dokładnie w domu i na samo pomyślenie czułym bóle. Ojciec odjechał. Nauczyciel posadził mie na ławce i kazał mi pisać kryseczki. Przytuliłym głowe do kajeta i piszę, a tu on jak nie ryknie na mnie po rusku. Co śpiz ty świnió! Bardzom sie przeląkł i zaczęłym płakać, chwycił dyscypline i zaczął mnie okładać. Ja w krzyk. Nic nie pomogło, aż się skryłem pod ławke i nie chciałem wyjść. Wyciągnęło mnie dwuch chłopaków, położyło na stole i okładali ile wlaźło.

Słońce zachodziło, kiedy wypuszczono nas ze szkoły. Do domu było cztery kilometry drogi przez piachy i las. Leciółym co siły,

głodny, wystraszony. Bałym się bardzo, bo we wsi mówili że tam straszy. Co krzaczek przystawałem zęgniałym się, prosiłym świntych jakich znałym abo zamykałym oczy.

Takie całe dwa tygodnie kształciłym się w tyj szkole. Nauczyciel bił mie czynsto bo nie mogłym się nauczyć modlitwy za cysorza i tyle tego dzieci. Czynsto nie napisałem co kazał nauczyciel bo nie było gdzie. We wieczór palili małym lampę „Icek” i to niezawsze bo ojczym był bardzo chytry na piniądze. Ale niedługo skończyła się moja bida. Przyszła jesień, rzyka wylała i wody było pełno na łąkach. Po drodze wpadłym do wody i cały się zmoczyłym, to tyż w szkole trząśłym się mocno. Nauczyciel pytał się na wrywki o wszystkich Mikołajach i jego rodzinie. A mnie jakoś się gymba zacina i byłkoce mu zymbami. Złapał kij i uderzył mnie przez głowe. Skryłym się pod ławke ale mnie wywlekli. Szarpnołem się z całych sił i uciekłem do domu. Bałym się przyjść do mieszkania bo wiedziałym że ojciec mi nie daruje. Oko mi całe spuchło i mało widziałym. Skryłym się pod szopę, i czekałym babki prawie do zmroku bo wtedy wracała z karczmy, dać jeść kurom. Zdaleka już słyszałym piosenkę co ją babka śpiwała.

Nicego mi nie żał tylko tych trzech rzeczy
żyda żydóweczki gorzałeczki trzeci.

Wyskoczyłym z kryjówki ucieszony bo zmrok już zapadał i zmarzłem porządnie. Babka wzięła mnie do siebie, dała mleka. Potym pościelała mi kożuch na piecu, wlaźłym tam i zasnyłym. Na drugi dzień obudziłym się wcześniej bo ból rwoł mnie bardzo. Na oko nie widziałem nic. Babka przykładała mi różnymi listkami, ale nic nie pomogło. Wreszcie wszyscy uradzili żeby mnie zawieść do zażegnania do gruby Grzelonki. Zajechaliśmy do niej. Baba była gruba że zwyczajnych trzy trzeba było złożyć na nią jedną. Wysła przed dum i zaśmiała się. Ha! Ha! Ha! Hi! Hi! Hi! Przyśliście co jo wom pomogę. Pytała sie wrona zimby czyście przyśli na przegliny. Wzięła mnie potym do chałupy a i babka poszła ze mną. Stoimy, a ona nam pokazuje, widzicie jak to piesek kury guni. Dobry piesek. Potym opowiadała nom o różnych djablach, a ja tylko tyle wiedziałym że musi być bardzo mondrą, bo wie co jest w niebie i co na ziemi. Kole południa dopiero wzięła mnie do innej chałupy, upaliła sierp na czerwuno, prowadziła mi po oczach i mówiła:

Najświętsza panienska trzy córeczki miała
jedna po boru lotała, drugo w chmurach siedziała
a trzecia uroki odczyniała

potym jak mi plunęła w oczy z całej siły to już nic nie widziałem i znów powiedo

a tu przetak a tu sito wylaż na krzyżowe drogi, czy to paproch czy to sieczka z obroku bydź zdrowy chłopoku.

Umyłm się po ty operacji i poszedłm do domu. Oko bolało mie jeszcze bardziej i dopiero za parę dni przejrzałem na nie.

— — — — —

Miałm wtedy 17 lat. Ku jesieni się zabierało. Dnie były krótkie, ciemne, jakieś zaspane a takie smutne że wlekły się bez końca niby te ślimaki. Chodziło się z konta w kont po błocie gnoju, koło kuni, krów, bo co było robić. Starzy śli do karczmy. Porobki tyż czynsto robiły muzykę. Biedniejsi rąbali drzewo na pynczki aby grosza przysposobić i przykupić do jedzenia, bo lichy się wtedy rodziło. Ludzie mniej w polu robili, bo drewnianym pługim spepłali tylko, to tyż u niejednego bida się pchała oknym i drzwiami. Ale ludzie jakoś nie narzykali. Każdy wiedziół że tak być musi i nie było się u kogo upominać. Podatki były małe. Ludzie się nie martwili wiele. Tyle wiedzieli że w sobote do karczmy iść trzeba choćby i kaszy zanieść. O dzieci się nie martwili bo ziemię mieli, i dzieci gdzie posadzić, a tyle wiedzieli że chłop chłopym zawsze bydzie i gdzie im było o Polsce myśleć. Pońowie ją przehandlowali ruskim, gdzie się chłopu do tego pchać było. Pamientali starzy dawne czasy, kiedy chłop z pańszczyzny wracół z pełnymi cholewami krwi z pod nahajów, to tyż siedzieli cicho na wsi i gdzie im było myśleć o Polsce, co ją pany szykowały na gwałt. Takie to były czasy. Jedno było staranie żeby kawałek ziemi mieć, nojeść się co bóg do. Do kościoła iść w niedziele, bo świnto od modlitwy, popłakać sobie jak proboszcz bardzo wykrzykiwali, zaorać plebańskie ugory jak za pokute naznaczyli. Ruskie byli od tego żeby rzondzili a ludzie orali, sieli i kormili sie.

Rok miół lato, jesień, zime, wiosne, siało się, rosło, sprzątało się a zimom to łoli kołowrot prałoli, wygnoł czasym ojca z roli i synowi tak sie myko bo gorzałkę dobrze łyko, a matka tyż za tatom z przyśpiwką. I jo tu i ty tu i oba my wszyndzie a któż nom te kondziuleczkę kto nom tu oprzyndzie. Reszte co sie nie przepiło to się sprzedało i ruble były.

Była tyż na wsi bidota, ale robote miół każdy. U bogatszych gospodarzy i świnnie się zabiło, kaszy było dużo, kartofli tyż i chociaż nie było takich różnych jak dzisiaj, ludzie je jedli bo innych nie znali. W poście ksiądz pościć kazał ściśle, to tyż kobity foski serwatki

nazlewały, a potem gotowały polewke kwaśnom ale ludziom smakowała bo nie mieli sie do kogo skarżyć a zresztą lepszej w Polsce nie znali to tyż dziękowali bogu za to co mają, a krzyże przy drogach stawiali.

Tak tyż było u mojego ojczyma. Ziemi mieliśmy 20 mórg, zabudowania dobre. Świn pasło się zawsze 10 do jedynaście. Krów było dziewięć, bo całe lato pasło sie w boru. Ojciec pracować dużo nie lubiał i gdzie był odpust to jeździł, a w domu był zawsze parobek niemowa do pomocy. Rubli było zawsze na zapas, bo ojczym w pieniądzech się kochał, to tyż czynsto przyniósł do mieszkania cały gałganek i mówił, patrzno Józek tyn rubel to jakby troche synkaty, a tyn drugi to coś nieokrągły. Serce mi nieraz łopotało jak ta kołatka postna i myślałam sobie, czy jo tyż byde miół kiedy tyle pieniedzy. Późnom jesieniom prawie przed Bożym Narodzynom zachorowała babka. Przez całą dwa tygodnie siedziałym przy jej łóżku, bo co chwila po mnie posyłała i nikogo nie chciała tylko mnie. Kiedy babka zasypiała przypatrywałam sie jej twarzy, a było tako jak ten suszony grzybek, wtedy myślałam sobie czy jo tyż byde taki stary i aż mi niemiło było słuchać ciężkigo rzęzynia babki. Czasem przychodził ojczym i powiadał. Niedługo pomrą za co ja ich pochowom. Babka otwierała wtedy oczy i mówiła. Już ci się tu naprzykszać nie bydę nie. Roz pod wieczór kiedy przyszedł ojczym, babka się przebudziła, była czegoś niespokojna. Kręciła się na łóżku, spoglądała na ojczyma, a wreszcie wyksztusiła z przestankami. Wicek idźno dej krowie siana bo ryczy. Ojczym wyszedł. Babka wzięła mię wtedy za rynkę i mówi, Józek ja zaraz umre ty się zostaniesz, a jeszcze cie się niemało bida naje chudziaku. Podnieś mię powiedziała babka. Podniosłem babkę. Sięgaj nad deską w słomie, sięgnolem i wyciągam dużom ciężkom szmatę. Babka kazała mi ją schować za koszule. Potym już cichutko powiedziała. Przysuń tu ucho, bo nie mogę mówić. Widzisz te pieniądze chowałam dla ciebie, ale pamiętoj choć dziadowi dać na odpusćcie za moje duszę. A schowaj je dobrze, bo ci ojczym zabierze, a nie pokazuj nikomu. Kupis se gospodarke, kupis, a ino się dobrze ożyń. Potym zakaszła mocno i patrzała na mnie. Strach mnie wzion wielki i żałość. Zaczolym płakać. Babka złapała mnie za palec, ścisnęła i lzy jej poleciały z oczów. Wyskoczyłem z krzykim po ojczyma. Przyszli z gromnicą ale babka już nie żyła. Wyszedłym na dwór, ciemno było jak w piekle i tylko światełka w chałupach jazgotały. Czasym wiater zasyczoł po ga-

lynziach, pies zawył na wsi. I znowu było cicho. Tak mi było teskno jakby nie było na świecie żadnego żywego człowieka. W gardle coś mie dusiło, piekło i pchało się niby tyn krzak cierniasty i kłóło mnie i targało jak kłami szarpanemi. Krzyknołem na całe gardło i zdawało mi się, że polete gdzieś przez pola i lasy aby ino dali i dali w świat. Do głowy pchały mi się myśli bez końca i początku i płątały się niby te pakuły, a na nic nie mogłym sobie odpowiedzieć. Tylko wewnątrz skowyczało mi twardo. Zziębnięty przyszedłem do chałupy i położyłem się na piecu. Spać mi się wcale nie chciało więc przewracałem się z boku na bok. Gdzieś koło 12 przyszedł do chałupy ojczym. Potem wlaź na piec i włożył mi rękę pod kozuch, a potem pod koszulę. Ja podskoczyłem do góry bom wcale niespał. A ojczym powiada. Dej po dobroci te piniądze co ci babka dała, a jak nie, to cię tu zaduszę. Nie dam mówię, bo som moje własne. Chwycił mnie za gardło i zaczął dusić. Ale ja krzepki był jak ryś, więc go zepchnąłem z pieca, a sam wyskoczyłem za drzwi z chałupy. Ojczym wyleciał na dwór za mną i krzyczał żebym się wiecej do domu nie pokazywał, bo mie zatłucze jak psa. Wyszedłem na drogę i tak mówię do siebie; co ja teraz zrobię, iść do domu, ojciec mię wygna. Kiedym sobie tak desperował, podszedł mnie po cichu chudy Franek z pod boru i jak mi huknął za uchem. Wzdrygnąłem się. A on mi się pyta. Co ci to jest Józek, co tak skumlis, niby tyn lis na zezimku, kobity ci trzeba rozumie. A czemu to siedzisz w chałupie jak ten dudek w dziupli. Chłop jak chojok, dzieuchyby ci trzeba nie byle jaki, a on ani na wieś ani do karczmy. Powidzno, która ci się spodobała, to choćby i djabeł nie dał musi być twoją. Powidzno Józek może Witkowa Franka, abo Michałkowa Stacha, a może Grocówna z porąbek. Nie wstydz się jo ci pomoże, czyś mie to już zapomniał czy co. Boisz mnie się, a nie pomintas to jak my podleśnym zające z płota ściągali, a Maryśce jego kochance koszule na płocie zapolili. I tak mi powiadał po porządku wszystkie figle, bo mie czasym do nich zaciągnął, bo on był fide-mus znany na całą wieś. Każdymu coś spsocił, ale ten chłop zły nie był. Opowiedziałym mu wszystko co mi brakuje. A on powiada. Chodź chłopie ze mną do chałupy, czegoś się rozmiętosił głupi? Oba sobie bydzimy żyli. Póki drzewo w boru, bidy nom nie będzie, a jo mu troche te długie pozury przytne. Zaprowadził mie potem do chałupy i kazał się rozciągnąć na łóżku. Sam chwycił za piłkę i nim się zdążyłym obejrzyć już go nie było. W cha-

łupie było ciepło to tyż chrapnołem sobie z pełnego gardła. Nad ranym przyszedł Franek i śmiał sie na całą parę. Spytałym go co mu tak wesoło było. A jemu jeno w oczach zamigotało i powiada. Bydzies jutro widziol jak się dach Wałkowi rozigroł. Kozły mu wszystkie popodżynał. Alem się narobił całą noc oka nie zamknołem, bo kozły były ze smolnego drzewa. Od tego czasu anim się pokazać w domu nie mógł bo kozły z dachu spadły i ojciec myślał, że to ja je poderzynałem. Czasem w nocy albo jak ojca nie było dała mi matka mleka, bo w jedzenie pozostałe z obiadu ojciec popiołu nasypał, żeby mi matka nie dała. Tak przemieszkałem cały rok u tego Franka. Drzewo my nosili z boru, robili pęczki, wozili na jarmark, czasem sie zająca zatłukło, bo Franek miał pojedynekę dobrom.

Późną jesienią nie było co robić w chałupie, wziętołym sobie tedy fuzje i poszedłem do boru. Dzień był słoneczny. Z pod śniegu wyglądała zimia porżnięta w skiby. Szron obilił zielone żyto. Nie było już nikogo na polu. Na drodze baby wyłaziły z chałup i oglądały się gdzie z kumina dymi, bo był czas na śniadanie, a niejednej ogień wygasł i ino tam gdzie dym wyłaził z komina ognia dostać było można. By nie spotkać się z kimś i nie zmudzić czasu na rajcowonie, skręciłem przez pole. Wszedem w bór, zimny mie owioł wiatr, a tak przyjemny i rzeźwy, że mi się cosik roześmiało w duszy. Szedem długo ażem się prawie pod samą borówkę podsunał, gdzie mieszka żona dawnego leśniczego ze swoją córką. Po śmierci podleśnego sprowadziła się do pustej gajówki, bo pokoje zajął nowy podleśny. Bida tam u niej w chałupie, a na wsi powiadają, że jeść niema co. Ale taka do roboty nie pójdzie, bo dawni panią była i po boru spacerowała, a teraz choć jeść co niema, głowy do góry zadziera i do chłopca nie pójdzie. Niektórzy powiadali, że niedługo pociągnie, bo ledwo łązi. Takem stał sobie z pół godzinki przy smugu niedaleko gajówki. Słonko przygrzywało trochę bo to niziutko na chłopca szło. Słucham a tu gdzieś z boku kwękanie mnie doszło. Obejrzałym się i aż mnie ciepło obleciało całego. Panna z gajówki niosła drzewo. Cienka była w sobie i chyliła się niby tyn patyczek żytni kiedy wiatr kłósym pomiata. Coś mnie zatknęło i tak mi ino było gorąco jakby mie kto wrzontkiem oblał. Panna położyła na ziemi drzewo. Poskoczyłym bliżej, chwyciłym pęk i mówię, ja pomogę. Dobrze dziękuje panu powiada. Odniesłym drzewo na sam ganek. Panna podziękowała mi i spytała jak się nazywam. Józek powiadam nie-

boszczyka Błażeja syn. Ze wsi pan pewno. Tak odpowiedziałem. A umie pan czytać? Troche to niby umiem, alem zapomniał, bo w cały wsi książek ani nie ujrzy. Jo panu dam książkę. Poszła do mieszkania potym przyniesła mi książkę. Jak pan przeczyta to niech pan przyniesie powiada. Przyszedłem do domu, wzięłem się do tej książki, alem niewiele rozumiał co w niej jest. Na drugi dzień nie mogłem już z tą książką wytrzymać. Tak mi się kołowało w głowie, że nie wiedziałem com prześlabizował. Wszędzie widziałem tylko pannę z leśniczówki, przejrzysta niby ta pajęczyna, gdy ją słońce prześwieca. Na drugi dzień nie mogłem wytrzymać, wzięłem książkę pod pachę i poszedłem do lasu. Długo chodziłem dokoła leśniczówki aby jeno zobaczyć ją przez okno choć troche. Takem się wpatrywał w okno ale nie widziałem nic, a tylko blaski ogniste sypały się z niego, bo słońce zniżyło się nad ziemię i ciskało przez kadłuby sosny ukośne promyki. Potem otwarły się drzwi i wyszła ona. Jakiś gorący zwał przeleciał mi od pięt do głowy. Jakieś tajemne siły tak mnie rozsadzały, żem się im oprzeć nie mógł. Tak mi było dobrze, świetlisto i miło. Gdy tak stałem sam ze sobą cichutko, zawołała mnie. Poszedłem. Zaprowadziła mnie do mieszkania i kazała siadać. Pytała się o moich ojców, o wszystko. Potym pytała się czy mi się spodobała książka. Niebardzo umie czytać i niewiele rozumie odpowiedziałem. Ja pana nauczę bardzo dużo. Potym opowiadała o Polsce, że jest i będzie. I wierzyłem jej choć niebardzo rozumiałem, bom na wsi nie słyszał nigdy tych mondrości. Przychodziłem do niej całom zimę. Szczęśliwe to były czasy i świąteczne boże dni chłopskiego nędzowania we świecie. Ładny był mi wtedy świat człowieczy, ale szczęście krótkie jak ten promyczek, gdy wyjdzie z za chmury w jesiennom słońcu i obzłoci słomianą chałupę i rozpali człowieczą duszę na chwilę. Przez zimę nauczyłem się dobrze czytać i dowiedziałem się o różnych krajach. Dużo tam było książek. Ale niewiele zakosztowałem tych dobroci, bo trzeba było siać, orać, szarpać ziemię i wyciągać z niej w pocie czoła, co dać mogła. Na wiosnę wzięliśmy ślub z Elzą, bo starą borówkę rozebrać mieli i ona nie miała gdzie się podziąć z matką. Za pieniądze co je dostałem od babki kupiłem od ojca pół chałupy i 10 mórg ziemi. Dobrze nam było. Pieniędzy mi trochę zostało to też kupiłem sobie dwie krowy i konia, a także porządki gospodarskie. Dobrze nam było i tylko Elza czasym chorowała, bo jak się troche przeziębiła zaraz kaszłała. Delikatne to było i wychuchane, a dobre takie,

że i na ból przyłożyć. Z domu nie wychodziła nigdzie, bo ludzie złe byli na mnie, żem się nie ożenił z gospodarską córką, jeno sobie chuchro do domu wziół. Dwa lata potym miałym już dwu synów. Szczynśliwy byłym na świecie. Wszystko szło jakby z kwiatka wywinął. Ale jak powiadają bieda niechodzi po niebie, ino po ludziach. Było to trzy lata po ślubie. Dziecko jedno miało dwa lata, drugie rok. Takie to było śwarne, a zdrowe niby te koziołki i krzyku co było, co uciechy. Na wsi powiadali, że Błażejów Józek se dzieci na ślachciców wychowo. Elza szyc umiała i stroiła chłopaków po miejsku. Ale niedługo trwała ta uciecha. Do wojska mnie zabrali i musiołym wszystko zostawić. Jak mnie wtedy gniołło na wewnątrz gdym z chałupy wyjeżdżał. Tam mnie coś wiązało sznurami żelaznymi tak mocno, że i piekielny ogień nie stopiłby ich. Nie widziałym czy wrócę i żegnałym oczami chałupę, ziemię, wszystko. Żona płakała bardzo. Mnie tyż się rozdzierało serce, ale nie mogłym się oprzeć, bo była to siła, moc postronka, co trzyma człowieka na życie. Przeklinałym całą mocą Rosje i byłem się tylko ucieszył, że kiedyś to minie. Bo nima siły coby trwała wiecznie na świecie, bo choćby głowę tłukł o mur, to najprzód się głowa potłucze, a potym kiedyś się mur przewali, a co dopiero z ludzkim życiem żywym. Ojciec syna gniecie, będzie kiedyś gniółł syn ojca, gdy go się dochowa. Siedem lat służyłym we wojsku. Dalekom był i dużom widział ale tego nie pisze, bo księgebym napisał o tych latach, a o to się nikt teraz nie pyta. Tyle tylko powiem, że gdym wracał i pierwsze zobaczył chałupy, tom ożył i jedno pragniołym, by spokojnie usnąć w swojej zagrodzie.

We wsi psy mie ino powitały szczekaniem. Zdaleko dopatrywałym się chałupy swojej i takem dążył przez pola. Światełka mru-goły w ciemności, alem zdaleka rozpoznać nie mógl, które moje. Podeszedłem bliżej, ciemno było w moi chacie. Zachybotalo mi serce ze strachu i własny niemocy. Stuknąłem w drzwi, nikt mi nie otworzył. Pchnąłem drzwi z całej siły, aż się z zawias wyrwały, wbiegłym do mieszkania. Byli wszyscy. Żona zerwała się z łóżka, dzieci spały. Wszystkie mię opuściły siły, takim się zrobił słaby, że i ruszyć się nie mogłem z miejsca. Chłopaki chrapały na całe gardło. Całom noc nie spaliśmy wcale. Tyle było do opowiedania, tyle nowości. Ojciec ani matka nie żyli, żona była już inna jak sobie myślałym. Tydzień cały przeszedł nitem się we wszystko włożył. Tak było inaczej na wsi. Starzy wymarli, chałupy sie troche poprzygarbiały, drzewa urosły, ino ziemia była taka

sama swoja, że ją się tulić całą czarną chciało jak to rodzone dziecko, bo była w ni siła co nie odepchnie człowieka. Nadeszła wiosna. Ciepłuchny wiaterek muskał przytulnie. Wyglądała z pod śniegu ziemia martwa jeszcze. Słońce przygrzywało ciepłuchno i budził się żywot co gdzieś spoczywał skryty. Ludzie wyłazili z chałupy, przeciągali stężałe kości i chleptali powietrze po długim księżycu w chałupie. Kręcili się, bo wiosna się przeciągała, a nadążyć trzeba było, by wszystko siać, orać, prosić boga o urodzaj, bo w tym nasza uciecha. Robiłem i ja na polu od rana do nocy, bo ziemia była zapuszczona. Cóż mi tam było. Robotą była pociechą, bom siły miał dosyć, że i w noc mogłem nie spać. W niedziele jechaliśmy z dziećmi do kościoła, a we wieczór tom rozpowiadał o wojnie, bo ludzie ciekawe przychodzili, a także żołnirki z innych wsi o mynżach się dowiedzieć, bo im zbrzydł tyn stan samotny. Dwa lata przeszło jakby z bata trzasnął. Na wsi ludzie przepowiadali o wojnie. Czasym jakaś stara gazeta przedostała się na wieś, a ludzie ją pożyczali z chałupy do chałupy póki starczyła i karmili się trochę tymi wiadomościami. Czasy się zmieniły. Bieda była większa. Ruble gdzieś wietrzały ze wsi. Gospodarki się podzieliły i gdzie był jeden tam teraz było pięciu. Dużo ludzi wyjeżdżało na zarobki do Prus. I u mnie jakoś gorzej się działo. Nie rodziło się, nie było za co wziąć pieniędzy. Wyciągnąłem papiery i pojechałem do Prus. Zawieźli nas do wielkiego folwarku w Pumarach. Ładne tam okolice, ludzie bogate, domy wszyndzie murywane, ziemia dobra, lepiej tam żyli ludzie jak u nas. Ale nie było nam wesoło, każdy czekał, żeby jaknajwięcej pieniędzy zabrać i uciekać do swoi bidy. Niemcy się z nas śmiali. Raz nawet pyta mnie jeden Niemiec czy nie zostanie u nich, a ja mówię. Jo przyjechałem do wos tylko po pieniądze, w Niemczech, by kto siedziół, a nima to Polski. Gdzie masz Polske powiada. Tu są niemcy, a dali Rosja. Ee głupiś mówie, jest ziemia, są ludzie, czego nam potrzeba wiencej, piniędzy waszych. O fafluchte Polaken! zaklął, a ja mu mówię. Jak wam się nie podoba Polska, czego się tam pchocie niemieckie świnię z Berlina. On się porwał do bicia. Alem był mocniejszy, jak go grzmotnołem o kartoflisko to tylko sadło zadudniało.

Raz na polu obcinałem sobie liście z buraków i spieszyłem się bardzo, bo to był akord. Na pole przyszedł polowy i przyniósł mi

list z domu. Rozerwałem kopertę i przeczytałem. Żona pisała mi, że jest mocno chora. Rzuciłem pracę i na poprzek przez pole poszedłem do domu.

Staraliśmy się o papiry ale mnie puścić nie chcieli. Wsiadłem tedy na kolej i pojechałem do granicy. W nocy przepравиłem się przez komorę graniczną, a potym kolejną przyjechałem do naszego miasteczka. Grumady żydów łążyły po rynku. Kupiłem parę pomarańczy i sweter dla żony, potym zostawiłem paki u pachciorza, co bierze mleko ze dworu i piechotą poszedłem do domu. We wsi było cicho. Na drodze ani żywej duszy. Ludziska się pokryli myślą sobie. Zimno, to się i wychodzić nikomu nie chce po próżnicy. Przyszedłem do chałupy, otworzyłem drzwi izby, nie było w niej nikogo. Z ojcowej chałupy wyszła siostra przyrodnia, spytałem o żone i chłopców. Już pochowano powiada, a chłopaki są u nas. Pociemniało mi w oczach. Czarne i szare kółka skakały przedymną. Oparłem się o futryne i wyć mi się chciało tak jak temu psu na zawiei. Wyszły chłopaki i tuliły się do mnie. Spytałem ich co mówiła matka jak umiała. Powiedziała żeby się tata nigdy nie żenił i zaczęły płakać. Żal mi się ich zrobiło i mówię: cichocie dzieci, krzywdy wam nie zrobię. Ojciec jestem wasz, rodzony ojciec. Po południu poszedłem na smentarz. Żółte liście leżały na ziemi. Drewniane krzyże nasiąkły wodom. Pod płotem leżała kupa żółtego piasku, co to zrobiła miejsce człowiekowi, a sama leżała i czekała aż się rozleci ludzka mocność, to znów się zrówna i trawom porośnie nazod.

Przyszły inne czasy. Wieś się obudziła, bo już wszystko drżało naokoło. Powiadają nam Polska będzie i już się dźwiga tylko jeszcze słaba jest, ale się zmocni pomału. Nie chcą wierzyć chłopcy, bo długo nam powiadali, że tu jest rosja i bydzie rosja, a tu odrazu szas pras Polska. A co to za dziwy, nie nasz rozum, monci się w głowie, Polska będzie, sama się byndzie rządzić, to dobrze swój swoimu oka nie wykołę. Ale my na wsi niebardzo się na tym rozumieli, bo nos zawsze za głowe prowadzoli, a ino pięście to nam zostawili, to tyż głowę słabą mamy. Co to byndzie? trzeba dać to co się ma. Pięści szły ze wsi, bo do bicia to my byli zdadni, ale więcej nic nie wiedzieliśmy. Chłop zawsze potrafi orać, siać, chodzić koło swojej chałupy, ale jak przyszło o Polsce mówić, to

się każdy schował do chałupy i krzychoł jak ten żyd przez okno. Nie dej się osmolicha boruchowi gdy wilcy krowe brali. Niektórzy politykowali choć o Polsce wiedzieli tyle, że się nazywo Polska. Ja synów posłałem do wojska, 'bom więcej zrobić niemógł. Bili się pod Chyrowem, Sadową Wisznią i gdzieś jeszcze po różnych ciuboryckich kontaktach, psich wólkach. Wrócili oba schorowane wychudłe, zem o mało ich nie poznał. Nowe nastały czasy po wojnie. Na wsi biedo sie pcha niby te dziady na odpust na Magdalene. Wszędzie jak na targowisku. Co drugi dzień jakiś nowy świnty apostoł robił wiec. Jedyn powiedo Witos, drugi powiedo jesz chłopie borszcz co jakby kozie potarł toby do Krakowa zaleciała, trzeci — ziemi dostaniesz chłopie, codziem co innego o tym co jest na bożym świecie i czego niema. A my tylko kiwali głowami i całkiem głupieli, bo kto mógł prawdy dojść. Dali nam listy, kazali głosować i głosowaliśmy. Czasym tylko kłócili sie ludziska o te nieprawdziwe prawdy. Co jakiś czas przyszła wiadomość na wieś, że rozkradają Polskę na wszystkie strony, to tyż ludzie przestali wierzyć w te wszystkie obietnice i zaczęli uważać rząd za taki samy jak ruski czy inny. Każdy chciał dać jaknajmniej, bo co rzyndowe to nie nasze. Tak jest do dziś. Chłopi nie są obywatelami własnej ojczyzny, bo prędko się złe narobiło, ale dłużej trzeba je naprawiać. Ja miałem 10 mórg gruntu. Synowie przyśli z wojska. Podzieliłem grunt na dwie czynści, bo się poženili biednie. Jeden mieszkał w mieszkaniu po ojcu, drugi w chałupie po babce. Starszy był postrzelony w rękę i jako ochotnik starał się o ziemię. Pieniędzy wydało się sporo, ale nic nie dostał, bo był za mało ranny. Nachodził się człowiek po różnych biurach, doktorach i tyle było naszej pociechy. Do chałupy zaczęła się wkradać bieda, coraz większa. Trudno było wyżyć dziesięcioro ludziom z dziesięciu mórg, a i zarobić nie było gdzie. Trzeba było szukać nowego wyjścia. Starszy syn postanowił wywędrować do miasta, bo teraz taka moda, ludziska uciekają ze wsi do miasta, bo cóż robić gdy głód dyktuje swoje, trzeba robić na różnych żydków, a oni wykupują majątki od polaków, stawiają fabryki, a ludzie biedują i przeklinają ziemię prababek. Mój syn tyż wyjechał do miasta. Sprzedaliśmy co było można, reszte na spłate dapożyczyliśmy i dało mu sie dwa tysiące.

W Łodzi założył sobie budke z węglem. Zostało nas tylko ośmioro. Wieś inaczej teraz wygląda i z wierzchu i w środku. Nowe postawiono chałupy, a i ze starych gospodarzy mało kto zo-

stał, bo niektórzy posprzedawali przed długami, inni wymarli, a i ci co zostali mieszkają po trzy pokolenia w jednej chałupie i czekają końca, bo człowiek twarde zwierze i długo może wytrzymać. Nikt od nas do szkół nie chodzi. Zaraz po wojnie póki jeszcze było lepiej dużo pokończyło gimnazja ze wsi, ale się gdzieś pochowali po miastach i siedzą cicho, że na wsi ani ich widnąć. Uciekli raz od nędzy, to i poco wracać. Chcą za sobą ślady zatrzeć, bo znają wieś i z wierzchu i od środka. Nieraz sobie myślę o tym całym świecie, jak się tu wszystko zmieniło. Inne wesela, inaczej się ludzie ubierają. Wełniaka ani ujrysz chyba, że się gdzieś po babce poniewiera. Wszyscy ubierają się po miejsku, bo dużo z miasta przychodzi na wieś gospodarskich córek i one przynoszą te cudackie nowości. Trudno poznać czy to wiejska dziewczucha. Suknie jedwabiste, wygibasy łódzkie tańcuje jak się patrzy. Piosynek starych tyż się już nie śpiewa ino jakieś tam publicki. I w moim gospodarstwie inaczej się zrobiło. Syn długów miał dużo, bo się zapożyczył na spłatę drugiego. Potem nie miał za co oddać. Żydzisko weksle zaprotestowało, potem przyjechał komornik i zapisał wszystko co było. W jakieś dwa tygodnie później poszedłem na wieś do starego Grzegorka. Siedliśmy przed chałupą i rozmawialiśmy o tym, o owym. Naraz coś na drodze zaworczało. Wskoczyłem na ścieżkę coprędej. Samochód przejechał aż się błoto rozprysło. Przychodze do domu na podwórzu stoi samochód. Z obory wyprowadzają krowy, świnię, cielęta. Żydy się kręcą, macają. Komornik trzymał w rynce papier i czytał. Krowę czarną 50 zł. poraz pierwszy, drugi, trzeci. Sprzedana! Wóz 20 złotych poraz pierwszy, drugi, trzeci, sprzedany. Resztym nie słuchał, bo się coś we mnie rwało. Synowa płacze, dzieci też. Potem ten cały pochód świńsko żydowsko krowi ruszył w drogę. Zabrali wszystko, konie, krowy, świnię, wóz, została tylko chałupa i ludzie bez rady. Cała się teraz zwała bieda. Małom siedział w chałupie, bo mi jakoś duszno było, a i patrzeć nie mogłem na to biedowanie, ale nie miałym rady. Słaby jestem, bo licho się je. Zresztą dzieci same nie mają tyle, co człowiek na świecie potrzebuje, a ja stary i niewiele już ze mnie będzie, przeczekam sobie jakoś. Nie ja sam taki. Takie czasy.

Pół roku przeszło. Syn ziemię sprzedał i wyjechał na Kresy. Pięć mórg zostawił dla mnie bom nie chciał jechać. Zagospodarowałem się jako tako. Niedługo jednak zażywałem spokoju, bo nieszcześnie nie chodzi po niebie ino po ludziach. Synowa przy-

jechała z Łodzi. Syn zachorował na galopowe suchoty, bo się przeziębził we wojsku, a potem, w budce. Sprzedałem trochę żyta i pszenicy, wzięłem pieniądze i pojechałem do Łodzi. Przyśliśmy na miejsce. Syn leżał w łóżku licho już bardzo. Dzieci bawiły się same czarne z kurzu od węgla. W izbie zimno było, bo to zwyczajna węglówka papą wybita. Ściany czarne od wyngla, bo drzwi z izby prowadzą do węglarni i przy nasypywaniu węgla kurzy się. Na drugi dzień syn umarł. Trudno mi było patrzeć na całe jego pomieszkanie. Dzieci wychudzone, poprzeziębiane, ostrupiałe, a jak to wszystko patrzy, niby nie z tego świata. Na cmentarzu plac kosztuje 30 złotych. Nie miałem tyle pieniędzy, chodziłem więc po różnych księżach, Magistratach za kartom ubóstwa, wreszcie wyskomlałem ono chowanie za darmo. Ksiądz chciał za pokropek 5 złotych. Myśle sobie, jak nie potrzeba to poco kropić, za pieniądze niech nie kropi. Deszczyk cię będzie kropił po grobie za darmo od boga. Lepszyś ty od tych wszystkich, u boga sprawiedliwość znajdziesz. Włożyliśmy trumne na wóz i wywieźli na cmentarz. Mgła wałęsała się między grobami. Jedne były wielkie, bogate, drugie z ziemią się zrównały, takie różne te ostatnie własności na tym świecie. Pochowaliśmy syna. Budke i pozostały węgiel sprzedałem. Dzieci z synową wysłałem na wieś, a sam wyszedłem piechotą. Przyszedłem do Pabjanic. Był tu strajk. Tramwaje nie chodziły. Kupy ludzi pchało się we wszystkie strony. Wszędzie kotłowało się jak w mrowisku. Zmieszałem się razem ze wszystkimi. Pchali mnie naprzód. Czuję w sobie złość taką jak i wszyscy dokoła. Przy fabryce Endera policja rozpychała ludzi. Cofnęli się wszyscy i wypchneli mnie naprzód. Zanim zdążyłem odejść, policjant lunął mnie gumową pałką przez plecy, aż mi w oczach spopielalo. Nie ruszyłem się z miejsca i mówię. Idę na wieś do domu. A on powiada. Idźcie innymi ulicami, bo tu gazy bydom puszczać. Ludzie nie chcą już trzy dni wyjść z fabryki. Cofnąłem się nazad i bocznymi ulicami obszedłem miasto. Potem ścieżką wyszedłem do cmentarza. Dookoła płotu było pełno ludzi. Roz się kupili to znów rozlatywali, jak te spłoszone kury gdy je jastrząb z góry naleci. Policja przywiezła na cmentarz trumne jakiegoś robotnika i nikomu nie dała wejść na cmentarz. Dopiero kiedy już policja skończyła pogrzeb i wyszła, ludzie się gruchnęli hurmem na cmentarz, a i ja wlałem z ciekawości. Nad grobem śpiewali ludzie komunistyczne piosenki. Przy mnie stała jakoś gruba baba. Spytałem się jej co się tu stało, a ona mi powiada.

Z piecaście to spadli czy wilkowi z pod ogona wylecieli, nie widziacie to jak ludzi mordują. Potem aż przysiadła za nagrobkiem i krzyczała na całe gardło, krew! krew! krew! Kiedy skończyła obróciła się do mnie i mówi, „tyle ino umiem z czerwunogo, ale się musze całygo nauczyć bo się przyda” i znów krzyczała za wszystkimi, niech żyje Kitler, a drugi raz zdążyła tylko powiedzieć niech żyje Ki! bo ją policjant ściągnął przez plecy. Myśle sobie jak wy wszyscy tacy mondrzy, że jeszcze nie wiecie czy się nazywa Hitler czy Kitler, a już krzyczycie niech żyje, to niewiele z was pociechy.

Trochę lepsze nastaly czasy. Za pieniądze com dostał za budkę dokupiłem dwie morgi ziemi i gospodarujemy z synową. Książki nieboszczki żony czytam często i myślę. Może się jakoś zmieni na lepiej. Niedawno była Rosja w Polsce, a dzisiaj nic z niej ino sprzączka u pasa po niej w Polsce została z orłym jejich. Co to taki jeden chłop, co ani nie wie co sam, jest. Ale jakoś duszno mi było w chałupie. Wziołem strzelbę i wyszedłem na dwór. Cicho było na świecie, bo był to czas spoczynku i użycia, co dała ziemia polska w chudości swojej na spożycie nie z parady, ale z potrzeby życia. Ziemia nakryta była białym godowym prześcieradłem. Poprzez zawiesziste białe chmury wyzierało słońce i jarzyło się w jasnościach śniegu, biło w oczy czysto, a nieskalanie. Zbladła ludzka nędza, zmalala w cudnościach, co ją Boża rozścielala ręka, by złagodzić ostrości świata. Cicho było na wsi. Czasem zagdakała gdzieś kura, albo zapiął kogut. Wyszędłem w pole. Gruszki obszroniały i stały niby te czyscowe dusze, bieluchne, spokojne, niedzisiejsze. Głapa se na nich czasem przysiadła, zakrzyczała i odleciała w swoją stronę. Wszędłem do lasu, czarne pniaki wyzierały z pod śniegu. Tęsknota mnie jakaś wzięła i zawróciłem w stronę gajówki. Nie było tam już nic, jeno kupa gliny przykryta śniegiem, święto dawnych dni.

Dzisiaj na wsi jest straszna bieda. Nieraz myślę sobie nad naszą chłopskom niedolą. Dłaczego człowiek, który pracuje sam od urodzenia i nigdy nie wie co to zabawa, tak musi biedować. Dziecko ma siedem lat, musi paść krowy cały dzień. Nik się nie pyta czy płacze, bo niema prawa coby kazało zrobić zagródki dla krów. Potym pochodzi trochę do szkoły i wszystko zapomni, bo później książki prócz kościelny do ręki nie bierze, bo niema za co kupić. Całe życie człowiek przepracuje, twarz się w bruzdy poorze, pot oczy wyżre, a potem nocuje w obórce, a czasem w chałupie, bo dzieci nasze som źle wychowane. Matka nieraz mówi żebyś zdechl jak

pies, to tyż syn później niebardzo ma litość nad nią. Dzisiaj bieda na wsi aż kwiczy. Chleba mało kto z biedniejszych je, a mięso na Boże Narodzenie i Wielkanoc i to niezawsze. Dzieci takie jakieś chude i mechem obrosłe. Zaraz po wojnie wprowadzali instruktorzy na gwałt wzorowe gospodarstwa, ale źleśmy na tym wyszli. Wszystko dawali na wypłatę, a ludzie brali nad miarę. Później przyszły gorsze czasy i komornik niejednego wyczyścił do ostatniej koszuli, albo wcale wypędził do miasta. Ludzie ze wsi uciekają, bo w mieście zimą dostają bezrobocie, a latem też prędzej na publicznych robią. Nie lepiejby było przeprowadzić reforme i zredukować majątki co nie płacą podatków i dać ludziom ziemię, niechby pracowali u siebie, nie biedowali po mieście. Chłop zawsze polakiem się czuł, a teraz jak ucieknie, co będzie. Gdyby wiedzano dokładnie jak się tu ludzie żrą ze sobą ń za co. Przecież każdyby pracował chętnie. Na świecie się rodzi więcej jak kiedyś, a ludzie głodują i co gorsze wiedzą, że tak być nie powinno. Co ma chłop za przyjemność w życiu. Ile się namartwi, nabiega zanim mu coś urośnie. Potym sprzeda i ńdzuje z dziećmi. Tyle mo przyjemności co mu doł pan bóg, ale i tych dowoli użyć nie może, bo dzieci potem niema czym żywić, a zresztą po kartoflach schnie i z żoną rzadko sypia, bo i te ostatnie przyjemności ograniczyć musi. Organizacje na wsi są niczem. Książek ani ujrzysz. Zresztą trzeba by prawa, któreby pchnęło do książki, a dopiero potem, gdy już w niej zasmakują, to ich się nie oderwie od niej. To wszystko na świecie jest bardzo dziwne. Jest radjo, są w nim pogadanki la chłopów. Coby było gdyby wieś choć jedną zimę słuchała tych cudności. Ale u nas w całej parafji niema na wsi radja, bo przecie opłata kosztuje 30 złotych rocznie, a u nas niema pensji tylko się raz do roku sprząta, to też na taki wydatek niema pieniędzy. Gdyby tak kosztowało złotówkę, toby niejeden kupił. Mamy my niby ciało i duszę. Ciało żywimy sami kartoflami i czem bóg da, ale duszy nikt nam nie żywi. Tyle tylko mądrości co ksiądz z dobrej swojej woli powie, ale to już każdy umie na pamięć i zostawia na święta, bo w dzień powszedni każdy własną wygania biedę, bo głód się nie pyta co dobre, a co złe. My chłopcy są prawdziwie samostarczalni, bo musimy się karmić tą strawą, co nam ojcowie przygotowali, ale na te czasy radja i innych dziwolągów, za skromna to potrawa. Nasze dzieci zdrowe, żyćkie nie mają co czytać to tyż rzną się nożami aż krew prysko i to im na dzisiaj wystarczy, ale co później będzie, to się zobaczy, poczeka. Dło chłopca

rok jedyn nic, dwa tyż nic. My nie dzisiejsi. Organizacje na wsi są narazie prawie niczym. Na tysiąc kół młodzieży może jedno kupuje gazety i schodzi się do świetlicy. Reszta jak się zejda to się albo nożami pożgają, albo śmiejom cały wieczór, bo niemają co czytać. O kupieniu gazety na wsi niema mowy. Czasem zabłądzi jakaś tania gazyta badaczy pisma świętego, albo komunistyczna za darmo. Wszyscy ludzie najbidniejsi uciekają do miasta, a gdyby dostali ziemie toby pracowali i nie czekali tego przymusowego żebractwa z głodnych kuchni. Późni będą budować więzienia dlo tych dzieci co się ze wsi na miejskie łotrostwa przenoszą. Każdy człowiek co ze wsi idzie do miasta to nowy komunista, bo głód zmusi do wszystkiego.

Były u nas na wsi wybory do rady, ale nikt nikogo nie wybierał, bo wójt przywiózł listę, kazał się podpisać i na tem koniec. Podpisywali tyż niektórzy gospodarze pożyczke narodową. Pierwszą ratę wpłacili, bo przyszedł policjant z pisarzem i jak się ludzie upierali robił protokoły całą gromadą. Czy nie lepiej byłoby żeby nasz chłop czuł się obywatelem tej Polski. Jest u nas jeden chłop nazywa sie Jasieczkowy Wojtek. Dzieci mo ośmioro, długu pod uszy. Wszystko to takie wymizerowane, że żal patrzeć. Przyszli do niego po pożyczke i musiał podpisać. Te pierwsze 8 zł. pożyczkał w 10 domach i u mnie tyż pół złotówki, co będzie z dalszymi ratami nie wiem. Teraz przychodzi do mnie co drugi dzień i pyta się czy nie będzie jakiej wojny albo rewolucji. Ale nietylko on, wszyscy na wsi proszą boga, żeby była wojna albo co innego, by się tylko zmieniło. Gdyby chłopcy były tak blisko siebie jak robotniki w mieście to nie wiem coby już było. Dzisiaj trzeba wyrównać te wszystkie nierówności na świecie i wszystko ująć w prawo, by człowiek mógł żyć jak człowiek. Rozkoszy i wybryków nam nie potrzeba, ale tego by praca nasza nie była śmieszną w tym mondrym świecie.

Teraz jest świat taki jak ta moja dziurawa sukmana albo jak przetak i dopóki się nie załata wszystkich dziur woda przez niego wyleci. Myślę gdyby Państwo nasze za wszystkie zaległe podatki zabierało własność bezwzględnie, wtedy stopniowo cały przemysł przeszedłby w ręce państwa i nie byłoby wyzysku różnych żydów. Ziemia zabrana byłaby dana różnym bezrobotnym, którzy teraz tak dużo kosztują. W ten sposób państwo byłoby wszystkim i rządziłoby całym życiem. W tych latach w inny sposób zapobieganie złemu nie jest możliwe, bo państwo nie może opanować całości życia. W innym wypadku o ile się tych wszystkich spraw nie opanuje i nie

pociągnie tych ludzi biedujących do czegoś, straszne bydzie wymierzanie sobie sprawiedliwości, bo krzywda jest wielka, a obok ze wschodu uczymy się, albo nawet słyszymy wiele. O ile ten wschód zostanie takim komunistycznym jeszcze 30 lat to u nas utrzymanie tego porządku jest niemożliwe. Chyba że się Rosja rozleci ze swoim komunizmem, wtedy lepi dla nas. Dzisiaj każdy bezrobotny to nowy komunista a jak się doda tych wszystkich kształconych bezrobotnych żydów i Polaków to będą przywódcy a nawet są dzisiaj, oni robią głową, a ci głupszi pięściami.

Co to będzie?

Kończę moje pisanie. Musze je dać przepisać, bo tak jak ja napisałem państwo by nie przeczytali. Ja już dawno nie pisałem to też pisze jak kura pazurem. Obecnie czytam bardzo dużo różnych książek ekonomicznych i innych. Kupuje też dwa razy w tygodniu od jednego żyda Kurjer Krakowski po tańszej cenie, bo on odcina tytuł i odsyła nazad do Krakowa.

Pisanie moje przepisał mi i sprostował trochę pan Józefowicz dawny borowy, bo moi mazaniny nie przeczytaliby państwo.

Myślę że gdyby tak szatan przyjrzał się dokładnie nędzy dzisiejszej toby się zrobił aniołem. Ten tylko może znać nędzę kto ją przeszedł, a ten kto ją widział może o niej tylko mówić. Są ludzie którym dobrze jeszcze na świecie. Ale to trzeba wyrównać i dać człowiekowi tyle żeby znał świat lepi, i wiedział że człowiek nie może być ani milionerem ani nyndzą, a ino stwórczynim korzystającym jednako z dobroci świata według potrzeb człowieka. Starać się o to już je dużo. Człowiek pracować chce, budować, robić, a tu wielką ma łaskę jak dostanie robotę. W tej prędkości świata trzeba dostosować prawa by się tak prędko zmieniało wszystko jak prędko dzisiaj żyje człowiek. Inaczy zostanę w tyle, a życie samo poddyktuje sobie prawa.

Pisze sobie ale kto mnie rozumie albo kto będzie czytał. Trochę pomazane bo mi łyzy kapią same, wszystko za mną, a przedemną nic.

Dn. 4 grudnia 1933 r.

Pamiętnik Nr. 8

Gospodarz na trzymorgowem
gospodarstwie w pow. radom-
szczańskim

Światło dzienne ujrzałem pewnego sierpniowego popołudnia w nędznej drewnianej chałupie krytej słomą, o glinianej podłodze i zadymionych ścianach, gdzie promienie słoneczne wpadały do izby szczupłym otworem wydłubanym w ścianie z okrągłaków; a sprzętem jej było jedno łóżko, długa ława na kulawych nogach i „serwantka” z powybijanymi szybami. Kiedy mogłem się już poruszać o własnych siłach, to znaczy pełzać na czworakach po wyboistej podłodze pełnej kurzu i brudu, nie było przy mnie już tej, która w pierwszych dniach mego dzieciństwa, usypiała mnie do snu swym pełnym uczucia głosem. Napróżno usta moje kwiliły ma — ma, ma —, maaa! Ukazywała się wtedy nad moją kołyską matka, lecz innych dzieci, pod której opieką pozostawiony zostałem na całe lato, podczas gdy moja matka była hen, daleko w kraju innym zarabiając krwawym trudem przy uprawie i zbiorach plonów ziemi na sól i chleb, gdyż ziemia ojców jakoś dziwnie skąpa nie chciała dać pożywienia głodnym swym dzieciom. Ojca również moje dziecięce oczy nie oglądały. Budował on za nędzną strawę potęgę krzyżackiego plemienia, dźwigając szyny przy budowie dworców niemieckich, ładując ciężary w dokach Hamburga lub kosząc zboże w okolicach Hale albo Drezna.

Późną jesienią, po grudzie już powracali rodzice z tobołami na plecach, by po dwu miesiącach zimowego letargu, wśród wiosennych śniegów i roztoków skradać się znów przez krzaki i wzebrane strumienie do swej przybranej ojczyzny pracy i chleba. I po latach kilku takiego trudu, po latach tułaczki, niewolniczej kategorii i płaszczenia się u stóp pruskiego obszarnika i jego sługusów, ro-

dzice moi zdobyli tyle, że mogli nabyć dwie morgi ziemi i starą zapadającą się w ziemię chałupę.

Mając lat osiem, zacząłem chodzić do szkoły znajdującej się w sąsiedniej wsi oddalonej o dwa km. drogi. W lecie przebiegałem tę przestrzeń boso i było mi tak dobrze, lekko i zwinnie. W zimie zaś mróz szczypał w uszy, śnieg rzucał tumanami pyłu w oczy, wiatr gryzł po twarzy i gołych rękach. A ja szedłem w trepach z „deką” zawieszoną na plecach i zimnym kartoflanym plackiem w kieszeni, co chwila zanurzając się po kolana w sypkich zaspach śniegu. W szkole na drugiej godzinie śnieg w trepach rozpuścił się i lodowate zimno zaczęło przebiegać organizm i spazmatyczny kaszel nadwyręzał już płuca.

W dziewiątym roku mego życia wybuchła wojna światowa. W mej dziecinnej świadomości nie mieściło się jeszcze pojęcie wojny, jako ogromu zła i krzywdy ludzkiej, to też widząc pożegnanie ojca idącego na front, nie potrafiłem sobie uświadomić, że ten bliski mi człowiek idzie na zatracenie i pewną śmierć w tej strasznej rzezi narodów. W niedługi czas potem zaczęły ciągnąć przez naszą wieś ogromne liczby wojska, armat, koni i wszelakiego rynsztunku. Pewnego razu zobaczyłem głodnych żołnierzy, którzy jedli surową kapustę, dopiero co do kłody włożoną, a gdy i tego im zabrakło zjedli kapuściane głąby znalezione w stodole i ten widok pozostawił na mnie niezatarte wrażenie wywierając największą nienawiść przeciw wojnie i tym co ją reżyserowali. W czasie wojny cierpieliśmy wielki niedostatek. Matka musiała chodzić do odległego lasu po drzewo i dźwigać na swych barkach wiązki gałęzi, chojny, lub worki szyszek, by móc przy tem ugotować nędzną strawę. Kiedy matka nie szła po drzewo, to zabierała mnie ze sobą do lasu na bedłki i jagody, gdyż głód coraz bardziej zaglądał nam w oczy, zmuszając do jedzenia wszystkiego gorszego od ziemniaków, bo one stały się przysmakiem, a pieczone w popiele jadłem ze szczególnem nabożeństwem i łzami w oczach. A kiedy matka w trosce o czarną niewiadomą jutrzejszej doli wylewała łzy całemi dniami, ja nie śmiałem jej pytać o to, tylko wznosiłem oczy do góry i ufny sile rzucającej pioruny, modliłem się z naiwnością dziecka, by wróciła mi ojca, a matce ukróciła cierpień. Lecz daremnie, niewdzięczny stwórca zła, bólu i łez, nie zwrócił mi ojca. Minęła wojna. Z pobojuwisk powrócili żołnierze, lecz wśród nich brakło wielu, wielu synów i ojców, a do nich należał i mój ojciec, który zginął na martwym polu śmierci uduszony przez gazy niemieckie.

Swemi kościstemi dłońmi chłop polskiego budował kiedyś ich bogactwo; rzucał się ostatkami sił, by przy akordowej pracy nie był ostatnim, dzwonił szklankami piwa z niemieckim kamratem, by zginąć później z ich rąk w barbarzyńskich zmaganiach...

Minęła wojna. Minęły dni płaczu, dni smutku i przygnębienia. Ludzie powoli zaczęli otrząsać się z ruin, gruzów i powstawać, jak duchy z uśpienia do pracy i nowego twórczego wysiłku.

Ziemia nasza wydawała bardzo marne plony, tak, że nawet żywić się nie było można. Pamiętam jeszcze dziś i gdy to wspomnę ży mi w oczach świecą, jak jednego razu będąc u bogatszego chłopca zostałem poczęstowany kaszą jaglaną z mlekiem, której smak pamiętam do dziś i zachowam w pamięci do końca życia, jako najlepszej potrawy pod słońcem. Tak wielka jest potęga głodu.

Kiedy matka nie mogła uporać się z niedostatkiem musiała oddać mnie na służbę, a w domu pozostała tylko młodsza siostra. Poszedłem więc z węzełkiem pod pachą sprzedawać pracę swych drobnych rąk za trochę okruszków chleba. Lata służby były dla mnie najcięższą szkołą życia. Przebywanie u chłopca nieco bogatszego mogącego pozwolić sobie na kupienie najemnika, było bardzo przykre. Ta szczodroblowa kiedyś dusza, zdeprawowana przez łowców pieniądza i późniejszy egoistyczny pęd posiadania, wyobrażała sobie, że jest panem mego istnienia. Taki „gospodarz” mnie służącego uważał za stworzenie niższego gatunku, nad którym można naręcać się dowoli, czasem obić, dać pożreć resztek jedzenia, albo gotować w innym garnku. Dzieci gospodarza stały do mnie w takimże stosunku. Lepiej ubrane, lepiej odżywiane, później wstające i mniej pracujące — uważały mnie obdartusa najwyżej za czworonoga nadającego się do spania na „wyrku” w zgniłym barłogu słomy, pod przykryciem składającym się ze starych brudnych łachmanów. Z początku czułem zazdrość, że one mogą nie pracować mając kilkanaście morgów ziemi, parę koni i kilka sztuk bydła. Lecz po pewnym czasie zaczęła się rodzić we mnie nienawiść, niby cichy bunt przeciwko tym, co jadali przy stole, a ja służący skazany byłem na spożywanie posiłków w kącie przy piecu. A im starszy byłem, tembardziej ból jakiś wewnętrzny rozsadzał mi piersi na myśl, że ja mogę być upodlony... Na służbie nigdy nie zaznałem odpoczynku i spokoju, nie znałem go, jak ten niewolnik starożytny. W lecie, o wschodzie słońca pędziłem bydło na pastwisko i bez względu na pogodę boso i pół nago. Kiedy już słońce wbiło się wysoko ku południowej stronie spędzałem bydło do domu, ewen-

tualnie samo uciekało. Wtedy gospodyni pędziła mnie w pole do pielenia chwastów w prosie, lnie lub w kartoflach. W południe, po oprzątnięciu świń, umyciu naczyń kuchennych, popędziłem znów bydło. I tak było dzień po dniu, tydzień po tygodniu, bez odpoczynku, bez jednej wolnej chwili przez całe dwa lata służby. W drugim roku służby — t. j. już w szesnastym roku życia, zaczęli mnie zaprzęgać do coraz cięższych robót. Począwszy od wiosny musiałem sadić ziemniaki wraz z innymi dorosłymi ludźmi. Nakładałem na wóz gnój i wywoziłem w pole. Później zacząłem już orać. Kiedy przyszły żniwa zmuszono mnie do zbierania zboża za kosiarzem. Moje dziecinne siły były zastabe. Delikatne palce pękały od brudu, soków zboża, ostów i szorstkiej słomy. Paznokcie pozdzierane pozachodziły krwią i bolały okrutnie. Od snopów podarły się na kolanach porcięta i bosa pokaleczona noga, słoma aż parzyła za każdym dotknięciem. Do tego od podnoszenia ciężkich snopów kark chciał pęknąć, głowa od nateżenia bolała śmiertelnie, oczy wyłaziły na wierzch pod nadmiarem ciśnienia krwi. A żar słoneczny prażył bezustannie wysuszając z ust ostatnią kroplę śliny, tak że język kołczał w gardle i jakaś niewypowiedziana gorączka wydobywała się z wnętrza, szumiała w głowie i mąciła świadomość. Wyczerpane już siły nie pozwalały dźwignąć snopka, trzeba było przystanąć, odpocząć, odetchnąć... Obejrzał się na to gospodarz i grymaśny skurecz przebiegł mu po twarzy. Poczem obejrzał się poraz drugi i natychmiast huknęło w powietrzu przeżliwie. A nuże! rus ze sie!

Po żniwach przyszła jesień i sprzęt ziemniaków. W redlinach stańło kilkanaście kobiet z kopaczkami w garściach. W gronie ich starych silnych byłem i ja młody i słaby zmuszony jednak stanąć do tego wyścigu, bo nie mogłem oglądać się na dom swój, na pomoc matki, gdyż tam była pustka, nędza i głód, a matka w taki sam sposób pracowała na utrzymanie. A więc kiedy Andrzej (mój gospodarz) znakiem krzyża skreślonym na redlinie zaczął kopanie, reszta kobiet zrobiła to samo. Na kilkunastu zaraz krokach zostałem w tyle, gdyż nie stało mi sił do nadążenia za innymi. Zmartwiony tem niezmiernie, z głową zwieszoną w ziemię, ledwie powłócząc nogami posuwałem się naprzód zółwim krokiem. Uplęnęło kilka takich katorżniczych dni, lecz były one niczem wobec późniejszych ślót i deszczów jesiennych. Od zachodu dął przenikliwy, silny wiatr zacinający falami dżdżu, które za każdym podmuchem przeciągały człowieka do kości, potrzęsały febrycznym

dreszczem wszystkimi członkami, aż kołatały zęby i drżały wargi. Na takie zimnisko jedno było lekarstwo, pracować szybko, szybko, bez tchu, pamięci i rozumu, by przewyciężyć wiatr i zwalczyć chłód. Ale na wieczór ludzie schodzący z pola nie byli podobni do zwierząt nawet. Kobiety poowijane różnemi łachami, mokre, uszargane błotem, brudne jak ziemia ręce, twarz zabłocona, bosa nogi aż czarne od zimna i błota.

Po skończeniu jesiennych robót już mroźne przymrozki zaczęły chwytać ziemię w swoje kleszcze, a pola pokryły się cienką warstwą śniegu, kiedy mój pracodawca oświadczył mi, że jeśli chciałbym pozostać dłużej u niego to mogę, lecz przez zimę muszę być „tylko za życie”. Ten pobożny chłop, który chodził stale z różańcem w garści i żegnał się przed jedzeniem i rozpoczęciem każdej czynności nie rozumiał, że niesprawiedliwym było pracowanie przez „boży rocek” za cajgowe portki i dwoje trepów, (jedne na codzien, drugie na święta) i sypianie w stajni na barłogu, tembardziej wiedzieć nie chciał, że praca „ino za życie” byłaby, (jest jeszcze) wyzyskiem godnym rzymskich patrycyuszów. Ten poniżony, zmieszany z gnojem i błotem wyzyskiwany przez kler i kapitalistycznych paskarzy chłop, nie mógł wyeliminować ze swej mózgownicy pojęcia kasty ludzi, którym musiał kłaniać się w pas i tych gorszych jeszcze od siebie, co mógł im dyktować warunki pracy, zależne w swej wielkości od egoistycznych dążeń jego.

Proponowanych mi warunków nie przyjąłem i pomimo czekającego mnie w domu gorszego niedostatku — odszedłem.

Zimowy wieczór. Na dworze panuje głucha pustka nocy usianej gwiazdami. Czasem tylko wiaterek dmuchnie nieco mocniej, unosząc z sobą lotny pył śniegowy i zasypuje nim drogi, ścieżki, przyzby i przysiadłe wiejskie chałupy rozsypane długim wężowiskiem wśród śnieżnych pól i drzemiących lasów. W naszej małej izbie wisiała drzemiąca, mała, kopcząca lampka nad kominem i rzucała mdłe światło na ponure ściany pozawieszane obrazami świętymi, na szyby udekorowane lodowymi deseniami i soplami wiszącymi u ram okiennych. Na przypiecku zwykle siadała moja matka i kręciła w palcach wrzeciono, które wprawiane w ruch podskakiwało to do góry, to na dół i nawijało na siebie cienką lnianą nić. Opodal przy stoliku siadała siostra i swemi drobnymi paluszkami przewracała postrzępione kartki szkolnej książki. Na kominie palił się ogień, a w blasze klekotały w garnku gotujące się ziemniaki.

Tej zimy nie byłem na służbie. Miałem skończone lat szesnaście. Długimi wieczorami ślecząłem nad książkami i uczyłem się. Moją ambicją było wiedzieć i umieć więcej od innych. Chciałem pokazać bogatszym od siebie rówieśnikom, że ja jestem od nich biedniejszy, lecz oni za to głupszy. Takie rozumowanie kosztowało mnie bardzo wiele. Zanim zdobyłem książkę musiałem ponieść połowę cierpienia, a później?... Dotkliwie zimno w chałupie, gasnący kaganek, a nawet i głód i ileż razy? — odpędzał mnie od niej. Ja byłem ślepy na wszystko, z niezłomnym postanowieniem wzerałem się w zadrukowane kartki i czerpałem z nich wiedzę, światło i radość życia, która z biegiem czasu stworzyła cierpienie, gdyż tembardziej cierpię im lepiej wiem dlaczego cierpię.

Na wiosnę, kiedy już łąki zakwitły kaczęncem, a zboża zakryły zielonością ziemię, poszedłem tłuc kamienie przy budowie szosy. Po wydaniu młotków — jedyne narzędzia pracy usiadłem z wielu innymi przy długiej przyźmie kamieni i silnymi uderzeniami zamieniałem w gruzy granitowe głady. Zaczęły się ciągnąć długie monotonne dni, jedno drugim podobne, rozpoczynające się o wschodzie, a kończące się mrokiem. Słońce witało mnie swym złotoblaskiem uśmiechem wywijającego młotkiem aż rozbryzgiwały na wsze strony potraskane skorupy kamieni, mające być fundamentem jednej ze ścieżek cywilizacji i szerokim gościńcem dla pędzących samochodów, wiozących sytych, dobrze ubranych i rozbawionych. Będąc kamieniarzem z łaski niebios, biłem młotkiem ile sił starczyło w moich dłoniach, aż wierzgało „kowadło” z wybitą w niem kotliną, a unoszący się pył kamienny dymiał, tamował oddech i żarł w oczy. Słońce prażyło całą potęgą swych mocy kosmicznych, aż migało i trzęsło się wszystko w oczach jak falujące morze. Skóra na grzbiecie wzdęła się w pęcherze, obnażone ręce pokryły się łuską, a czasem nawet krew rzuciła się nosem. Pomimo wszystko trzeba było pracować i śpieszyć się, bo nędzna płaca nie pozwalała na odpoczynek. Kiepskie wynagrodzenie za pracę najemników nie wystarczało kapitaliście, on jeszcze okradał więcej naiwnych na miarze, co oczywiście nie przeszkadzało mu być inżynierem, rzetelnym obywatelem i uczciwym chrześcijaninem. A kiedy, który z odważniejszych ośmielił się upomnieć o swoją krzywdę, to został zwymyślany od durniów, idjotów i buntowników i na tem skończyło się. Z roboty wyrzucić nie mogli, bo tłuczenie kamieni z powodu wielkości fizycznego wysiłku jest samym w sobie zawodem wolnym. Jeśli nie mogli pozbawić pracy, to pozbawili chleba przez

nieprzyjęcie w ciągu całego lata wykończonej roboty. Pretekst zawsze się tam znalazł jakiś, tak, że sprawiedliwości nie doszukał się nigdzie.

Z nastaniem mroźnej jesieni praca na szosie skończyła się. W ciągu paru tygodni przymusowego urlopu pracowałem około własnej chałupy: gaciłem ściany słomą i wrzosem, zabezpieczałem okryciem ziemniaki przed mrozem i domłacałem resztki żyta, które mogły nam jedynie służyć na barszcz, a nie chleb. Za kilka tygodni moje zarobione pieniądze wyczerpały się i trzeba było szukać innego zajęcia — tym razem w lesie przy wycince drzew. Mróz już pi-szczał pod nogami, kiedy idąc wąską zaśnieżoną ścieżką dążyłem do boru. Nogi w drewnianych trepach, owinięte szmatami, na sobie stara wytarta „jubka” jeszcze po ojcu odziedziczona i cąjgowa „mycka” na głowie, oto ubiór robotnika-drwala pracującego na wolnym powietrzu wśród mrozów i śnieżnych zawiei. Jeszcze było nieraz szarawo, a bór już poruszał się niesamowitem tętnem życia, stękał pod uderzeniami wałących siekier, grzmiał od łamanych gałęzi i obalających się pni, dźwięczał muzyką stalowych pił wprawianych w ruch rękami kłęczących i zgarbionych nad swym trudem robotników. A rozjaśnione ich twarze były radością dumy w iskrzących oczach, że ciężko pracując mogą ogrzać ciepłem ogniska, nakarmić ziemniakami z barszczem i przyokryć lichymi gał-ganami swe dzieci, żony i matki, drżące z zimna tam w tych domkach rozsianych po polach i krzakach. Czasem przyjechał na koniu posiadacz poręby i oceniwszy rzutem oka ilość wykonanych prac, odjeżdżał bez słowa pytania, dumny w swej wielkości, że dał nam głodnym chamom robotę, wobec czego będziemy mogli zachować jeszcze na jutro swe istnienie, potrzebne mu jeszcze do tworzenia bogactwa, potęgi i sławy.

Mając lat osiemnaście podążyłem śladami ojców, tam gdzie było co i za co tworzyć. Oczywiście niewszyscy chcący mogli należeć do liczby szczęśliwców. Dostać się tam mógł przeważnie ten, kogo było stać na bezzwrotną pożyczkę wójtowi, łapówkę agentowi lub pisarzowi gminnemu. Nędza i faktyczna potrzeba nie miały głosu. Miał je ten, kto dawał we właściwe ręce jaja, masło, lub pieniądze; a tym był bogatszy chłop wysyłający zagranicę swą liczną rodzinę, celem zaokrąglenia fortuny. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności i ja znalazłem się w szeregach szczęśliwców.

Któregoś marca znalazłem się „w centrali” w Rozenbergu. Baki stacyjne pełne były różnorakiego tłumu, rozkrzyczanego wsze-

łakami głosi. Przy wejściu do nich uderzał świeżo przybyłego par, zaduch i kłęby dymu unoszące się z przetłoczonych sal, gdzie zmęczeni ludzie porozkładani byli pokotem po ziemi, ławkach i stołach. Panował tam ciągły ruch i nawoływania odjeżdżających już na miejsce przeznaczenia i hałas świeżo przybyłych. Tam rozkładał każdy swe tłoczki i wydobywał nędzne pożywienie: jeden czarny kawał chleba, inny sera, ów masła. Chłopi kręcili z przedziwnym sprytem machorę i filtrowali przez usta kłęby dymu, który zapełniał salę i uniemożliwiał oddychanie. Kobiety zaś i młode dziewczęta okryte w zapaski, z chustkami pod brodę zawiązanymi różnych wielkości i kolorów, patrzyły smutnie przed siebie, szukając w wyobraźni czegoś nieznanego i odległego. Chłopi i parobcy więcej odważniejsi od kobiet mieli mniej strapione miny, a niektórzy nawet z nich ubrani w „masiustrowe” spodnie i „westki” z dewizkami, powtarzali aż do obrzydzenia: ja! ja! i czuli się, jak na własnym podwórzu.

Po trzech dopiero dniach gnicia w brudzie zgniłych baraków załadowano nas na pociąg idący „na Berlin” i za chwilę zgrzytnęły o szyny koła obciążonej lokomotywy, która miała nas powieźć dalej. Poza sobą zostawiliśmy cuchnące baraki, w których pozostała jeszcze moc tych obieżyświatów, którzy nie odsiedzieli jeszcze kolejki, a co parę godzin pociąg przychodzący od polskiej granicy wyrzucał nowe i nowe kompanje trzęsących łachmanami nędzarzy, idących na nieznaną poniewierkę, wśród obcego, wrogiego im plemienia szukać zapłaty za sprzedawany trud, by móc nieść pomoc tym co pozostali w krainie zastoju i głodu.

Po zatransportowaniu nas na miejsce przeznaczenia (folwark) zostaliśmy z pomocą jednego z tamtejszych robotników rozlokowani po „štubach”, — mężczyźni osobno i kobiety osobno. Štuba była to duża sala o wysokich brudnych ścianach, pod którymi stały łóżka poustawiane szpitalnym sposobem. W kącie przy drzwiach wejściowych stała wielka szafa, na sprzęt kuchenny, w przeciwległym kącie było wolne miejsce na kufry i kosze wypchane brudnymi gałganami. Obok łóżek stało kilka długich masywnych ław, a na środku stał duży ciosany stół. Po zakwaterowaniu nas przyszedł do štuby właściciel dworu i obejrząwszy nas wszystkich okiem rzeźnika — odszedł. Po niedługim czasie nadszedł znów „inspektor”, który po obejrzeniu nieznanych okazów ludzkiej menażerji, wydał kontraktowemu odpowiednie polecenia. Następnego dnia byliśmy już u pracy.

Rozpoczęły się ciężkie dni wysięgu akordowej pracy, dni katorgi i nadludzkiego nieraz wysiłku, pożerającego nazawsze siły i zdrowie

niesione w ofierze molochowi bogactwa za kęs chleba i trochę marniej zupy. Jedni z nas pracowali w polu wołami, inni ręcznie. Nad każdą grupą czuwał pilnym okiem włodarz zwany inaczej „Wojtkiem”. Włodarz z kijem w garści poganiał mniej śpieszących się, garbując często skórę młodszym i bezsilnym, dokuczał tym, do których był uprzedzony, dając im najtrudniejszą pracę; oszukiwał na wszystkim i na deputacie i na wypłacie. On był panem i władcą. Przed nim drżeli wszyscy. On mógł oskarżyć przed „panem”, spowodować obniżenie płacy, a nawet wydalenie do kraju. Pan wierzył tylko jemu, on miał głos, bo on był Panu oddany duszą i ciałem, pomagając mu do wyciśnięcia z robotników wszystkich żywotnych soków. A tembardziej było przykro, że to też robotnik i w najważniejszej części polak, ale sprzedawca, który za kilkaset marek sprzedawał swoich spółbraci przez całe lata, na czem posiadacz zarabiał wiele, wiele więcej.

Po powrocie z Niemiec robotnicy przywozili nieco pieniędzy. Ale jak one zostały zaoszczędzone. Po pierwsze zostały one wykute krwawym wysiłkiem najmity, który czarnymi, popękanymi dłońmi rozsiewał nawozy sztuczne, wycinał chwasty w zbożach, ziemniakach i ćwikle. Z twarzą ogorzałą jak węgiel, sprzątał zboże podczas żniw. A za swój całodzienny wysiłek dostawał tyle, że mu nie wystarczyło nawet na całkowite zaspokojenie potrzeb głodnego żołądka. A żeby mógł jeszcze z tego coś oszczędzić musiał odmówić sobie najniezbędniejszych rzeczy, zaczynając od uszczuplonej porcji chleba smarowanego margaryną, a kończąc na ubraniu nabytym w starej „ladzie”. Bywało, że taki człowiek oszczędzał, oszczędzał, i nic nie udało mu się uciuć przez lato, dopiero kiedy przyszła jesień i nastąpiło kopanie ziemniaków, a później buraków, gonił wszystkimi siłami, aby zarobić możliwie jaknajwięcej. Była to już nie praca, ale jakiś dziki huragan wichru. Zdawało się, że nie robi tego człowiek, lecz maszyna. Nawet stojącemu na uboczu trudno było uwierzyć, aby ten nędzny człowieczek uszargany, zgarbiony, z dzikim blaskiem zalanych potem oczu, mógł być zdolnym do tej tytanicznej walki z ziemią i jej owocem. A on ślepy na deszcz, błoto i wyjący wiatr, nie zważał na nic, tylko targał za liście, podważał widelkami korzeń buraka i wyciągał go z kleistej ziemi. Po kilku dniach takiej pracy ręce popuchły, że dłoni żaden nie mógł zgiąć w kablak. A po przyjsciu na wieczór do domu każdy rzucał się jak kłoda na łóżko i leżał bez ruchu do rana, by znów zaczynać od początku. Po skończeniu robót jechaliśmy wszyscy wygnańcy do domów i ojczyzny.

To ostatnie pojęcie nie wiązało nigdy zbyt mocno chodzących na saksy, gdyż nigdy nie słyszałem, aby któryś z nich tęsknił do kraju, jedynie może do stron rodzinnych, gdzie pozostawił swoich bliskich. Ojczyzną była dla nich praca. Tam gdzie mieli pracę i jakie takie środki bytowania, tam wszędzie była dla nich nie-szczęśliwców ojczyzna. Obojętnem im było pod jaką długością lub szerokością geograficzną globu znajduje się, byle tylko ulżyć swej doli, byle wydobyć się z piekła cierpień ojców i przodków swoich.

Po powrocie z wojska stanąłem oko w oko wobec czarnej nieklamanej rzeczywistości życia człowieka wsi. Przyniosłem z sobą przegniłe łachmany, które nie wróżyły zbyt długiego żywota, a tu innych nie było za co kupić, bo posiadane dwie morgi ziemi nie wystarczały nawet na utrzymanie dla trojga ludzi. Do tego matka wyczerpana poniewierką po Niemczech, wojną i niedostatkiem, podupała na siłach i przestała pracować. Wobec tego utrzymanie jej i siostry pozostało na moich barkach. Ale w jaki sposób używić się na tym skrawku ziemi i przykryć? Pozostało iść do dworu i prosić, może daliby jakąś robotę. Poszedłem, prosiłem, płaszczyłem się u stóp dziedzica. Nie. Kazali przyjść kiedyś później. Poszedłem za parę tygodni. Zaofiarowano mi pracę dniówkową przy koniach. Odtąd przez wiele tygodni chodziłem za pługiem po mokrej roli, której błotem oblepiały się buty, że nie można było ich udźwignąć. Nieraz na wieczór już dawno słońce skryło się na horyzoncie, a jeszcze długo po polach dworskich rozlegały się głosy ratai — wio! — wisa! i t. p., a pan stał na pagórku i śledził ruchy swych podwładnych. Po zakończeniu polnych robót wysyłano nas ze zbożem do miasta. Wypędzała nas noc, deszcz i wiatr wyjący po zaściankach. Przez drogę trzeba było siedzieć wysoko na skrzyni na worach zboża, okrytym starym potarganym łachem, który nieco chronił przed deszczem. Po odbyciu takiej jazdy na przestrzeni 30 km., kamienistą drogą bebechy chciały się pourywać, a głowa pękała z bólu na kawały. Z powrotem przyjechało się o godzinie 11-tej wieczorem. Wtedy głodny, zziębnięty i mokry kładłem się spać na stajennym wyrku, które po takiej podróży było najwygodniejszym materacem, a wiatr huczący za ścianami najpiękniejszą muzyką usypiającą do snu. Po pięciu godzinach snu trzeba było wstawać i wlec się do pracy. Człowiek był tak zarobiony, że nie było nawet czasu umyć się, a oczyścić wcale. Chodziło się jak pomy-

lenieć brudny, obdarty i śmierdzący gnojem. Tak obrzydłe warunki pracy były jeszcze pogłębione przez używanie wstrętnych wyzwisk w rodzaju: ty k..., ty s..., których począwszy od dziedzica, a kończąc na „karbowym”, używali wszyscy spełniający wiernie wolę Pana i władcy. Lecz podle urągawisko ze strony tych krwiopijców były niczem, im przypominały się dawne lata pańszczyzny, kiedy mogli dworusa bić, a on padał im do nóg, jak pies. Na własne oczy kiedyś widziałem, jak dziedziczka przyjechała na koniu do młócki zboża i biła robotnika po twarzy. Widziałem jak chłopu mignął złowrogi błysk w oczach i zgasł, gdyż sroga rzeczywistość wołała do jego rozumu, gdzie pójdiesz?, gdzie robotę dostaniesz?, czem używiesz żonę i dzieci?!... I ten silny chłop, od którego uderzenia pięści mogła pęknąć szczeka, opuścił pokornie oczy i czekał ...aż pani dziedziczka ochłonie z gniewu. Bo gdzież pójdzie ten nieszczęśliwiec, czego się uczepi, jeśli wszędzie, jak Polska długa i szeroka, niema co robić. Nie pójdzie dziś do Niemiec, nie pójdzie do miasta, nie pozbawi się życia, bo je za bardzo kocha; kocha swe ubóstwo, brudne i obdarte dzieci i żyje nadzieją lepszego jutra.

W czasie mej służby dworskiej umarła mi matka. W celu jej pogrzebania poszedłem do księdza. Ten za pochowanie zwłok matki zażądał tyle, że ja musiałem na tę sumę pracować 40 dni. Prosiłem go, żeby sobie wyobraził 40 dni dworskiej pracy. Ile trzeba ponieść wysiłku, ile potu, ile krwi wypłynie zanim zdoła się to przetrwać. Powiedział mi, że to go nic nie obchodzi. Płacić i dobrze. I za pięć minut kadzenia i przyjęcie udanej pozy błagalnej, zapłacić musiałem 35 dniówek swoich, (t. j. 35 złotych) spędzonych na deszczu, mrozie, błocie, kurzu i brudzie, na to, by on zaświatowy pośrednik mógł nic nie robić, a zażywać dowoli owoców pracy.

W pewnym czasie po śmierci matki — wprowadziłem do domu swego żonę, by we dwoje łatwiej można było ciągnąć ten rydwan życiowy. A że taką spółkę rodzinną trzeba koniecznie zawierać na plebanji i w kościele, wobec tego poszedłem i ja. Zaraz na wstępie ojciec duchowny kazał zapłacić sobie 10 złotych za tak zwane zapowiedzi. Po upływie trzech tygodni poszedłem zgodzić ślub. I o dziwo! ksiądz zażądał 60 złotych. Zaproponowałem mu 20 złotych. Nie chciał gadać. Mało tego, naurągał mi od parobasa, chama, bezbożnika, wolnomysliciela i t. p.

epitetów, poczem otworzył mi drzwi i kazał czempredzej wynosić się. Tego już znieść nie mogłem. Uniesiony najwyższym paroksyzmem gniewu, chwyciłem za najbliższ stojące krzesło i uderzyłem nim w konsekrowaną głowę i dopiero odszedłem.

Na trzeci zaraz dzień po tem zdarzeniu wydano mnie ze dwora, bez podania jakichkolwiek powodów.

Z żoną do „ślubu” już więcej nie poszedłem i żyjemy na „wiarę” gospodarząc się na trzechmorgowym skrawku ziemi. Marne to gospodarowanie. Plony nie wystarczają na wyżywienie, a ubranie, a opał? Trzeba było chwytać się jakiejś roboty. Najpierwszym zarobkiem na wsi i pracą, którą najprędzej można zdobyć, jest młocka. Wziąłem się do niej. Chodziłem od chłopca do chłopca, od stodoły do stodoły i wywijałem kawałem drąga nad głową, by silnemi uderzeniami o boisko wykruszyć ziarna ze słomy i stworzyć materiał na chleb. Część takiej roboty wykonywałem jako odrobek za pracę konną przy uprawie mej ziemi, przywiezienie drzewa z lasu, zabranie żonie tobołka na odpust do Częstochowy lub za procent od pożyczania kilku kilogramów mąki na przednówku od bogatszego gospodarza.

Resztę zaś należności wyplacono mi maślanką, ziemniakami lub innym produktem gospodarskim. Pozatem innej pracy ani rusz. W lecie za to, że jestem „gospodarzem” naznaczono mi wykonanie pracy przy budowie szosy gminnej. Musiałem odrobić sześć dniówek. O godz. 7-mej rano dozorca naganiał już do pracy. Trzeba było walić kilofem po twardej glinie i rwać twardą skorupę ziemi, aż pot ciekł po skroniach, zalewał oczy i przesiąkał przez koszulę na grzbiecie. Praca odbywała się podczas przednówku, kiedy w domu nie było ani kruszyny chleba, a i ziemniaków w wielu domach nie stało. Na południe żona przyniosła mi obiad składający się z ziemniaków i gotowanej maślanki. Lecz nikt nie zwracał uwagi na to, że te czarne, z zapadłemi policzkami szkielety są głodne i chwieją się na nogach. Nie czuł tego nikt, że pracować za darmo i w takich warunkach jest krzywdą. Nie czuł, nie zaprotestował, a kazał pędzić po 6 km. do miejsca pracy i wywierał niesłychane presje na buntowników.

Właściwe piekło życia ujrzałem dopiero, kiedy urodziło mi się dziecko. Kołyskę dla niego pożyczylem od dobrych ludzi. Ochrzczenie kazałem, bo nie miałem 10 zł. opłaty. A skąd miałem mieć, jeśli na Nowy Rok nie miałem już nic w stodole, a w komorze zaledwie kilkadziesiąt kg. mąki. Jakżeż ponuro wyglądała nieraz nasza niska

izba, kiedy o wieczornym zmroku dziecina zaczęła kwilić z głodu, a matka nie mogła jej nasycić zwiędłą piersią, wiatr wył przeraźliwie za oknami i przeszywał dreszczem grozy, aż włosy jeżyły się na głowie, że tylko zabrać się i uciec z tej ponurej jamy. Jadaliśmy różnie. Rano: „dziad”, zalewajka, zupa ziemniaczana, ziemniaki rzadkie, na obiad: ziemniaki suche z barszczem, kraszonym roztrzepanem jajkiem lub bedłkami, albo kasza jęczmienna z suszonymi gruszkami, na kolacje inna odmiana ziemniaków i tak w kółko. Rozumie się, że w takich warunkach dziecko chować się nie mogło i umarło nie mogąc stać się cierpieniem przyszłości.

Myślałby może kto, że w opisanych warunkach żyją i wychowują się ludzie na wsi tylko w indywidualnych wypadkach. Otóż nic naiwniejszego. Nawet kilkumorgowy (od pięciu do dziesięciu morgów) gospodarz posiadający kilkoro dzieci wychowuje je w ten sposób, że po dorostaniu ich do wieku 11—12 lat wydaje je kolejno na służbę do paszenia krów, a kiedy są starsze do koni i taki żywot pędzą aż do osiągnięcia samodzielności. Bywają jeszcze w naszej wiosce takie domy, że pięć osób śpi na jednym łóżku, tak że niewiadomo, gdzie nogi, a gdzie głowy. Jedyne pożywienie mieszkańców naszej wsi jest kapusta i ziemniaki, a w niektórych domach jadają ziemniaki z wodą, oszczędzając nawet na porcji soli. W wielu domach pożywienie bywa spożywane dwa razy dziennie — późne śniadanie, a obiad razem z kolacją — a kiedy dzieci zawołają jeść to matka upiecze im ziemniaków pod blachą w popiele, albo odgrzeje im ziemniaków z śniadania. Dzieje się to przeważnie w zimie, gdy dzień jest mniejszy i głód można łatwiej przespać. Niektóre rodziny w zimie przychodzą do swych mieszkań tylko na noc, ponieważ w swej chałupie usiedzieć nie można z zimna, drzewa niema za co kupić, gdyż nie zarabia się nic i nigdzie. Powszechnie głosi się, że „cukier krzepi”, lecz na wsi ludzie go nie znają, np. w naszej wiosce na 600 mieszkańców sklep sprzedaje 3 kg. cukru tygodniowo — tylko choremu dziecku kupi go ktoś za 5 groszy. Proszę sobie wyobrazić, że u nas ludzie kupują zapalki na sztuki (za grosz cztery) a papierosy cienkie chłopci przerywają na trzy kawałki. Na przednówku, kiedy już twardnieje żyto, są u nas modne t. zw. życiaki. Jest to rodzaj kaszy sporządzonej z poprzetrącanych w żarnach ziarn żyta, którą się praży w garnku i później biedota ją zajada z maślanką lub mlekiem. Służy ona przeważnie do pracy żniwowej, gdyż wtedy szczególnie sił potrzeba, a naród osłabiony niezmiernie, tak że kosiarze podczas minionych żniw mdleli przy pracy we dworze. Bywało, że taki idąc rano do

pracy najadł się śmierdzących zielenizną młodych ziemniaków i poszedł kosić. Z początku miarowo i dosyć szeroko wodził kosą po ziemi i ścinał pochylone kłosa zboża. Lecz w miarę wznoszenia się słońca nad powierzchnią ziemi słabł, topniał w pocie, pokosa ciął coraz węższe, coraz wolniej kosę prowadził, aż wreszcie ustał pod nadmiarem wysiłku, kosę oparł o ziemię, nogi nie mogące udźwignąć ciężaru cielska zgięły mu się w kolanach, w oczach pociemniało, tajemnicze dzwony zadźwięczały w uszach, poczem zatoczył się i upadł zemdlony na świeżo ścięte kolce ścierniska...

Obecnej jesieni do kopania ziemniaków we dworze schodzili się ludzie z okolic oddalonych o 5—7 km. Z domu wychodzili po ciemku, a pracę kończyli o zmroku, kiedy już ziemniaka nie mogli dojrzeć na ziemi. A za tę pracę wynagrodzono ich kilkudziesięcioma groszami, a więcej opornych wyrzucano natychmiast z roboty, mówiąc: co ci się nie podoba? to idź do ciężkiej cholery, na twoje miejsce 1000 przyjdzie....

Po skończeniu kopań biedni ludzie chodzili na dworskie kopalniska i przewracali motykami ziemię w poszukiwaniu pozostawionych gdzieniegdzie kartofelków. Pewnego razu, a było to w granicach pól, daleko od dworu, zbierali biedacy ziemniaki jak zwykle, gdy wtem nagle wpadł na nich dziedzic z fornałami na koniach, którym rozkazał wydrzeć uzbierane ziemniaki i zanieść do przyorania pługiem. Minionej wiosny, kiedy już słońce zaczęło pożerać wilgotność pól, na dworskich ziemniaczyskach ukazali się ludzie i zaczęli zbierać zmarznięte i przegniłe ziemniaki, leżące na roli, wypłukane przez śniegi i deszcze, by potem zanieść je do domu i po zdjęciu wierzchniej skorupy, piec krochmalowe placki na kominie, aby zasycić głód umierających dzieci. Wieś nasza dzieli się na trzy kasty. Bezrolnych, małorolnych i więcej rolnych. Bezrolny i małorolny patrzą krzywem okiem na bogatszego swego sąsiada i na odwrót. Bogatszy gospodarz na przednówku pożycza biedniejszemu ćwierć mąki za trzy ćwierci oddane po żniwach. I tak wzajemnie jeden drugiego gryzie nie wiedząc, że obaj są głodni, brudni i obdarci.

Stokroć gorszym cierpieniem od dzisiejszej biedy jest troska o nieznaną przyszłość jutrzejszych dni. Codzień rano i wieczorem stają mi w oczach widmo jeszcze gorszego niedostatku, a może śmierci głodowej, na tej samej ziemi, która zdołała mnie wychować, lecz nie pozwoli mi żyć... Rozpacz szarpie mi serce, że muszę konać z głodu mając chleba pełno wokoło. Obłąd myśli kłębi mi umysł,

że muszę być bezczynny, nie mając możności tworzenia lepszej przyszłości, gdyż skute mam ręce. My, nędzarni chłopi z pod słomianych strzech wyciągamy do Was ręce i błagamy, przybądźcie nam z pomocą, wyrwijcie nas z niedoli, gdyż my również chcemy żyć, pracować i korzystać z owoców pracy! My nie chcemy ziemi, my nie chcemy bogactw, my chcemy pracy i sprawiedliwego podziału owoców jej pomiędzy wszystkich pracujących, dziś wydziedziczonych, głodnych i poniewieranych.

Dn. 28 listopada 1933 r.

A więc zaczynam ja niżej podpisany opisywać swój życiorys. Nie wiem czy panowie przyznają mnie do tej kategorii o jakiej w piśmie tem jest mowa, ale ja do niej się zaliczam, choć co-prawda nie jestem stale na wsi, bo brak ziemi ojca mego wygonił ze wsi i ja urodziłem się już w mieście, gdzie ojciec mój ożenił się z taką samą jak sam, bo matka tak samo wychodziła z rodziny wiejskiej zupełnie bezrolnej, bo dziadek był szewcem na wsi, kiedy nie mógł już dojrzeć to musiał rzucić wieś i szewstwo i przeszedł do miasta, a może lepiej powiedzieć osady Żyrardowskiej. Co robił tam tego nie pamiętam i o tem nigdy nie było mowy i tam właśnie przyszedł mój ojciec ze wsi rodzinnej Kamienicy-Polskiej, tylko Ojca nie wyгнаła ślepotą, a chęć do życia. I tu właśnie poznał się z moją Matką, i ja urodziłem się w Żyrardowie, jak tylko zasięgnę pamięcią do sześciu lat to mi było bardzo dobrze. Było nas tylko troje: dwóch braci i jedna siostra. Odrazu dowiaduję się, że ojciec wybiera się do Częstochowy i dalej do rodzinnej swojej wsi Kamienicy-Polskiej, a stamtąd miał się przedostać przez zieloną granicę do Prus, i do jakiegoś z portów niemieckich i jechać do Brazylii. Nie wiem co za przyczyna była żeśmy nie mogli przejść czy Ojciec nie znał dostatecznie tych ścieżków, czy Pan Bóg nie chciał jeszcze gorszych naszych trudów i mąk jakię żeśmy przeszli. Bo pewnie żeśmy trzy dni łazili po tych lasach pogranicznych, ja na pieszo sam, a Ojciec nosił tłumok z najniezbędniejszemi rzeczami no i siostrą na rękach i Matka znowuż z najmłodszym bratem na rękach, tak że jak nas złapali żołnierze ze straży pogranicznej to żeśmy już upadali ze zmęczenia, kiedy nas zaczęli wypytywać skąd i za czem idziemy. Ojciec im się wytłu-

maczył, że roboty niema i szuka jej, to w ten czas zażądali dokumentów. Ojciec im pokazał, wtedy nadszedł jeich wóz z owsem dla koni i kazali mnie z Matką i Siostrą wsiąść na wóz. Ojciec poszedł z nimi przy wozie i tak nazad żeśmy wrócili do Kamienicy-Polskiej, bo tam miała ta straż pograniczna swoją stację, starszy przejrzał papiery i Ojca wypuścili. Przez kilka tygodni żeśmy się tam poniewierali, aż w końcu Ojcu się naprzykrzyło, czy litość nad nami dziećmi, dość że wyrzekł się Brazyliji, no i ziemi Brazylijskiej, postanowił nazad wrócić, tylko już nie do Żyrardowa, tylko do Łodzi. Przyjechaliśmy do Łodzi było nam bardzo źle, zapasy się wyczerpały, roboty Ojciec nie mógł nigdzie dostać, bo wtenczas był też czas bardzo drogi, tak, że ćwiartka kartofli kosztowała 1 r. 20 kop., funt chleba 10 groszy, tak że trafiliśmy w tym roku 1891 w Łodzi na bardzo ciężkie czasy, no że jakim sposobem Ojciec dostał robotę, mieszkaliśmy jako sublokatorzy u pewnych ludzi i tak jakoś żeśmy żyli, czas zaczął się poprawiać. Ojciec mieszkanie wziął na siebie i tak jakoś żeśmy żyli do 1893 r. Ojciec ze mną poszedł do kościoła w niedzielę i kiedy żeśmy przyszedli z kościoła to ojciec się czuł niedobrze i Mama przywiozła doktora i to i owo, tak że Ojciec od niedzieli do środy dożył i umarł. Zaczęło się dla nas życie bardzo trudne, bo żywiciela nam brakło. Matka jak mogła tak się starała, w końcu jakoś dowiedziała się, że majster z Żyrardowa założył w Łodzi pończoszarnię, a Matka moja kiedyś pracowała w pończoszarni jako formiarka, więc się zgłosiła do tego pana Jezierskiego i przyjął ją do pracy a nas dzieciaków za jego protekcją umieściła Matka w ochronce. Tam żeśmy się uczyli rozmaitości, no ale tylko ja, bo siostra i brat to do żadnej nauki nie byli zdolni, ja byłem najstarszy miałem lat siedem więc z tem mojem rodzeństwem było bardzo trudno, no ale jakoś zaczęliśmy żyć. Matka ściągnęła z Żyrardowa swoją Matkę i tak zamiast Ojca żeśmy mieli Babcię, bo nie miał w domu kto co robić, Matka od świtu do nocy w fabryce, my w ochronce, a Babka nasza całą gospodynią w domu, i tak przybyła nam jeszcze jedna gęba do jedzenia, a zarobek był dość mały tak, że ledwie żeśmy żyli i z trudem wielkim przychodziło nas przydziać. Ja jako najstarszy stale byłem poganiany do nauki i do jakiejś pomocy przy babce. Czas leciał dość szybko w nauce, w tej ochronce wyrabialiśmy różne roboty, pletliśmy słomianki w najrozmaitszych formach, no i nauczyłem się wyplatać krzesła, potem kiedy podrosłem i zmocniałem zacząłem szorować kotły od obiadu gotowania, zato dostawałem i ja i sio-

stra i brat obiady, i tak jakoś żeśmy podrośli, że ja poszedłem do terminu, ale z tem, że skończę termin to zabiorę wszystkich i weźmiemy sobie jakąś dzierżawę i będziemy żyli, ale jak mówią chłop strzela a Pan Bóg kule nosi, tak było i ze mną, do terminu poszedłem w Łodzi, tam majstrowi jakoś nieszło w Łodzi, wyprowadził się do Szadku i ja z nim tam przebyłem trzy lata i tam dopiero się urządziłem jak prawdziwy gospodarz. Miałem gołębie, króliki, psa no i kury, najlepsza uciecha była, kiedy zaczęły nieść jajka, to co jakiś czas leciałem do Łodzi do Matki z tym prezentem, ile to było uciechy. No ale ile to kosztowało mnie pracy, oprócz roboty dla majstra trza było zawsze coś zrobić, na swoje potrzeby, jakąś ryczkę a to stolniczkę, albo solniczkę, ażeby zarobić na utrzymanie tego swojego drobiazgu, no ale jakoś na wszystko starczyło, ale zaczęły się znowuż czasy pogarszać. Majster z robotą zaczął więcej gonić, życie coraz gorsze, dochodu coraz mniej, zacząłem swoje gospodarstwo likwidować i zaczęłem myśleć o ucieczce od majstra, byłem u Matki i zaczęłem opowiadać o wszystkim, Matka jak to Matka tłumaczyła jak umiała no i obiecała mi pomagać, bo już Matce było lepiej bo zaczęła robić, siostra w fabryce też parę złotych zarobiła, tak że targ w targ i obiecała mi Matka przysyłać co miesiąc jednego rubla i pozostałem, a miałem jeszcze nie cały rok, tak że skończyłem ale z wielką nędzą, bo majstrowi było też bardzo kiepsko, żywili nas tylko kartofelkami, ja nie mogłem jeść barszczu i do tego jak były kartofle gotowane w skórkach to jak zjadłem na śniadanie to cały dzień piekło mnie, że nie mogłem nic jeść, to na drugi dzień wybierałem tylko kartofle z barszczu i w soli maczałem i takie miałem śniadanie i tylko dzięki Matce skończyłem termin, bo za tego rubla to żem się dożywiał. Wyszedłem z terminu, znowuż trafiłem na trudny czas i do tego majster nie wyzwolił mnie na czeladnika; Matka też nie miała pieniędzy na wyzwoliny i tak pozostało, za robotą wstyd mnie było iść, bo nie miałem papierów, drugie robota nie szła i tak siedziałem w domu, przykrzyło mi się, nauczyła mnie babka robić skarpetki, zrobiłem sobie kilka par, nareszcie przyszedł czas do losów. Pojechałem do Częstochowy do powiatu, tam kiedy stanąłem do losów to okazało się, że służy mi wybór jako najstarszy, Ojciec nie żył, zostałem wolny przyjechałem do domu, jeszcze siedziałem jakiś czas, no ale że czasy zaczęły się trochę poprawiać, w tem podwórku co mieszkaliśmy to mieszkał mój byłego majstra szwagier i on mnie wziął do roboty, płacił mi niewiele, bo tylko trzy ruble, ale że robiłem u niego

pewnie z półtora roku nareszcie syn tego gospodarza co mieszkaliśmy powiada no i pókiż będziesz tak darmo robił, bo i tak było jeszcze te parę złotych co sobie ciułałem na ubranie to zwałchał i powiada, Stasiu pożycz, to i pożyczyłem i tak dwa razy korzystał, raz że za psie pieniądze robiłem, to jeszcze brał pieniądze bez procentu, no ale to już moja taka była natura, nareszcie, że zmiłował się, ten młody gospodarz nazywał się L***, mieszkaliśmy na ulicy Lutomińskiej w Łodzi. I dzięki tylko temu młodemu gospodarzowi, dostałem robotę, narazie nie popłatniejszą ale raz że lżejszą, bo tam już wszystko było zrobione maszynami, ten majster miał maszyny swoje i roboty tam były bardzo dobre, tak że nie żałowałem zamiany i byłem bardzo wdzięczny mojemu dobrodziejowi, no i u tego świeżego majstra prędko szedłem z zarobkiem do góry i z tego wnioskuje, że musiałem być dość zdolny. Jeszcze muszę wrócić nazad do początków jakie miałem, kiedy zacząłem w tem nowem warsztacie. To był czas tej gorącej roboty politycznej i było tak, że ten towarzysz jeden i drugi zabrali ten część, a ten to samo, a resztę to trza było zafundować reszcie tym starym wiarusom warsztatowym i tak przez kilkanaście tygodni przychodziłem do domu w soboty bez grosza, dopiero Matka zaczęła mi tłumaczyć co robić, i tak że i ja zaczęłem się tym towarzyszom wymigiwać i jakoś że mi się to szczęśliwie udało, i jak wspomniałem u góry majster mi dokładał, w kilkunastu tygodniach to już zarabiałem siedem rubli, i tak ogarnąłem się elegancko i Matce płaciłem za życie cztery ruble, resztę zostawiałem sobie na swoje potrzeby, a miałem wydatków dość dużo, chodziłem co tydzień do łaźni, fryzjera, zacząłem chodzić na rysunki w niedziele, tak że niewiele mogłem zaoszczędzić, a tu stale na myśli siedzi ta zmora, żeby nabyć jakimś cudem kawałek ziemi, a prenumerowaliśmy Gazetę Świąteczną no i siostra Dobrą Gospodynią, oprócz tego ja jeszcze prenumerowałem Rozwój gazetę łódzką codzienną i potem jeszcze zaprenumerowałem Sztandar tygodnik warszawski, tak że czytać i jeść mieliśmy dosyć. Zarobki miałem do samego zaczęcia wojny bardzo dobre, bo zarabiałem do 14 rubli z godzinami, tak że kiedy zaczęła się wojna światowa to miałem gotówki 500 rubli, jednej rzeczy żałuję, że byłem przed tą wojną w Mszczonowie powiecie Błońskim około Żyrardowa i tam było do sprzedania ziemi, że nie wziąłem, tam był jeden kawałek dziewięć morgów tylko, że nie było łąki ale ziemia była dobra, tam żebym był wziął tobym dobrze zrobił. A tak przyszła wojna światowa i skończyło się wszystko, roboty stanęły.

Ja coprawda do 1915 roku nieznałem jeszcze biedy, bo miałem gotówkę, bo część pieniędzy odebrałem z kasy rządowej, bo w niej miałem ulokowane swoje oszczędności, ale kiedy już Niemcy Moskali usunęli to i moje oszczędności też się ode mnie odsunęły, zacząłem myśleć co dalej robić, na szczęście spotkałem swego kolegę z terminu, zapytuję co robisz jak żyjesz, opowiedziałem mu wszystko no i o wszystkim, powiada mi żebym czekał jeszcze to on mnie ożeni, a miał tam w swoich stronach dziewczynę, która po wyjściu zamąż będzie mogła dostać gospodarstwo pięć morgów w dzierżawę, nie długo czekałem daje mi znać, żeby do niego przyjść, i poszedłem, tam akurat sianokosy, bo było to w czerwcu, zapoznaliśmy się no i tak zaczęło się świeże życie, świeże marzenia na przyszłość. Ciągnęło się to do 8 września 1915 roku, w ten pamiętny dzień brałem ślub. Na ten ślub dostałem z banku handlowego na konto tych swoich oszczędności, które zabrał bank rosyjski 100 rubli w bonach, i tem załatwiłem najniezbędniejsze rzeczy jak ślub no i całe wesele, sprowadziłem matkę na tę wieś, po tem wszystkim skończyło się wszystko, gotówka się wyczerpała, zarobków niema, teść dał mi trochę kartofelków no i sześć ćwiartek żyta, to też to żytko wysiałem na wspomnianej wyżej gospodarce, ale że jak mówi przysłowie, kogo Pan Bóg stworzył to go głodem nie umorzył, tak było i ze mną, ludzie się niektórzy dowiedzieli, że ożenił się tu jakiś mieszczuch, umie powiada dobrze czytać i pisać, a że w tej gminie była tylko jedna szkoła, więc może onby uczył dzieci i tak się też stało zacząłem uczyć dzieci. Przysłali mi tych dzieci piętnastoro i zgodzili się płacić po rublu miesięcznie, coś już zarabiałem, ale było nas cztery dorosłych do jedzenia, była Matka i siostra, no i ja i żona, tak że żyliśmy bardzo nędznie, no ale żyliśmy nadzieją, że na przyszły rok będzie lepiej jak sprzątniemy ze swego gospodarstwa. W 1916 roku urodził mi się pierwszy syn, niema krowy, matka dziecka niema czem karmić, mleka swojego niema, kupić niema za co, a jak czasem było parę groszy to znowuż nie mógł dostać kupić, kupiliśmy sobie kozę, na kozę trafiłem bardzo lichą, tak że się bardzo kiepsko doiła, no tyle że dla tego dziecka, do razowej mąki jakoś starczyło, bo w ten czas nie było sposobu dostać pyłowej mąki, po trochu doczekaliśmy się żniw, ale co za żniwa, Boże się pożał, ziemia piaszczysta wyjałowiona, sprzęt lichey, tak że ledwie brat brata urodził. Na jesień z kartoflami tak samo, no ale co robić niema gdzie iść, nareszcie że Niemcy ogromnie cisnęli o numerki na domy no i na wozy, zacząłem robić te numerki, trochę stolar-

stwo i zimą i dokąd nie wypędzili bydła na wiosnę. uczyłem dzieci i tak jak mogłem, tak się starałem, aby dźwignąć to gospodarstwo. Kupiłem jałoweczkę, dwa prosięta, na tych prosiętach dołożyłem tyle co został po nich nawóz, nareszcie pożyczyłem 100 rubli kupiłem jeszcze jedną jałoszkę i miałem zamiar je zaprzęgać, bo jeszcze jak byłem w mieście to kupiłem sobie książeczkę jak oprzągać krowy, ale przyszło kilku gospodarzy i radzą mi żeby obie jałoszki sprzedać i kupić jedną krowę, ale mnie było żal, bo za tę polną robotę to mi się zdawało, że za drogo brali odemnie tak, że postanowiłem sprzedać jedną i tak zrobiłem, sprzedałem jedną i jeszcze dopożyczyłem i kupiłem krowę i zapłaciłem 280 rubli, tak że jeszcze dopożyczyłem 160 rubli, ale miałem jałówkę i krowę. Jałówka się pognała to się cieszyłem, że będę miał dwie krowy, ale żeby to tak wszystko było jak sobie człowiek układa, toby było bardzo dobrze, tak było i z moją jałoszką, kiedy się miała cielić to ona się latuje, trzymam ją dalej. Ta krowa co ją kupiłem też miała być cielna, też nie była cielną, dopiero się u mnie polatowała, tylko że po ocieleniu bardzo dobrze doiła, tak że za masło i ser to żeśmy oddali dług, prawda że zjedliśmy tylko serwatkę. Kupiłem jeszcze jedną krowę tak koniecznie chciałem mieć swoje krowy do roboty, tę co kupiłem była cielna to jeszcze miała chodzić dwa miesiące i ocielila się w marcu, tak że mogłem już na wiosnę robić swoimi krowami. Sprzedałem jałoszkę i dostałem za nią 200 rubli, za te pieniądze kupiłem żyta, żyto było po 40 rubli, tak że miałem pięć korcy, jak na swoje złe kupiłem tego żyta, ja miałem wielkie nadzieje, że zarobię, bo liczyłem, że to żyto przemielę a otręby mi zostaną no i część mąki, a resztę sprzedam to oddam długi i będę w porządku, tymczasem prusacy zrobili rewizję w całej wsi, choć ja nie podlegałem kontygentowi, ale miałem jakiegoś dobrodzieja, któremu zawadzałem, bo muszę wspomnieć jeszcze, że nie jeden myślał, że nie wytrzymam, a ja choć życie prowadziłem marne ale dźwigałem się coraz wyżej i z tego powodu miałem i nieprzyjaciół, i właśnie jeden z nich zaszpiclował mnie z tem żytem, bo żyto to schowałem do sklepu po kartoflach, tak że żeby nie mieli niemcy wskazówek, to nie znaleźliby tego żyta, i ten co zaszpiclował, to byłby je był ukradł, bo jak je schowałem to żyto do tego sklepu, to oni widzieli, to ja się ich obawiałem to narzucałem gałęzi i do jednej z nich założyłem szpagat i przeprowadziłem do domu i uwiązałem do dzwonka, który był u belki uwiązany i tak w przeddzień, kiedy miała być ta rewizja to w nocy 12 godzina dzwonek dzwoni, wstałem to i uciekły, do rana

już nie spaliśmy i przyszli prusaki przed obiadem zabrali wszystko, było to przed Wielkanocą, tak że na święta nie było ani kruszyny mąki, ani kartofli bo i kartofle nam wyszły, tak że za to żyto miało być kupione kartofle do jedzenia i do sadzenia, i oddany dług, to potem nie było nic. Po tem wszystkiem poszedłem do gminy do sekretarza i mówię mu żeby coś radził, narazie wobec ludzi to naśmiał się ze mnie, ale potem to mi zrobił, to że mnie zapisał do komitetu i dostałem coś około 30 funtów mąki razowej komitetowej, to było na święta, ale że jak wspomniałem, że kogo Pan Bóg stworzył to go głodem nie umorzył, tak też było, trafił się jeden i drugi z obstalunkiem na ławki do kościoła, tak że na tych ławkach zarobiłem tyle że mogłem kupić do życia, do sadzenia kartofli, a żyto przepadło i tak szło dalej. Tutaj po tem wszystkiem zaczyna żony rodzina, żeby z tej gospodarki płacić dzierżawę, albo kupić to od nich, było tego 5 morgów 185 prętów. Kiedy ja się ożeniłem to leżało to ugorem nikt z tego nic nie miał, tylko jeden brat siedział po sąsiedzku i on na całe miał pastwisko. Potem, kiedy ja to zorałem, to jemu się to najwięcej niepodobało i on najwięcej burzył drugich, było to po żony bracie, więc ja do tej bratowej poszedłem i targ w targ wzięłem od niej dzierżawę, a z tą bliższą rodziną to teść powiada nie dawać nic, ale to wszystko nie na długo, zaczęli buntować tą bratową, że mała dzierżawa, zacząłem kupować zgodziłem za 450 rubli, żebym był zrobił punktację tobym kupił ale tak, to ten co był niezadowolony z tego że mu zorałem pastwisko poszedł i dał 500 rubli, i z nim pojechali do rejenta i kupił połowę tej gospodarki, tylko że to nie szlachecka ziemia tylko włościańska, więc dzielić nie można, trza kupić resztę, wyrzucić dzierżawę, zaczęły się szopki, tak że musiał zaskarżyć o podział majątku i tak jeszcze dwa lata sprzątałem z tego gospodarstwa, może byłbym się pogodził tylko to mnie najgorzej złościło, że on zemną się godził co do tego gospodarstwa na którym ja byłem i on po sąsiedzku miał dziewięć morgów i coś prętów, to ja miałem to i to wzięść wszystko i powypłacać wszystkich sukcesorów, w początku się zgodził potem go ktoś pobuntował i poszedł jeszcze mi popsuł kupno, przez to nie chciałem słuchać o żadnej zgodzie, dopiero teść odkupił od niego te dziewięć morgów, a ja zwróciłem koszta teściowi i nabyłem te dziewięć morgów od teścia, kosztów zwróciłem 700 M. i jeszcze wypłaciłem dwie siostry żony po 1000 marek, pozostało mi jeszcze wypłacić cztery, pieniądze wszystkie pożyczyłem, tylko że kiedy były te marki to nie było tak trudno pożyczyć no i za coś te marke

wziąć, tak że w ten czas miałem dwie krowy i dwie jałówki, to mi było śladno oddać to co pożyczyłem, bydlę pasłem po lesie, bo są tam u nas lasy Pucznieskie z dóbr Pucznieskich, a na zimę dokupowałem jedną morgę siana i trzymałem czworo bydła, do tego maciorę na prosięta i z tego miałem jaki taki dochód. Nareszcie i zgłosili się reszta sukcesorów, zażądali spłaty, byli dorośli, zgodziliśmy się na 40.000 marek każdy, pieniędzy nie miałem, ale wtenczas ja już miałem markę inną jak z początku, robiłem wtenczas w majątku Puczniewie jako stolarz, więc udałem się z prośbą do dziedzica dóbr Pucznieskich i proszę go o pożyczanie pieniędzy, zapytuje ile i na kiedy, miałem trzy dni czasu więc mówię, że mam trzy dni jeszcze czasu, a suma najmniejsza 160.000 marek, odpowiada mi na to, że narazie to niema, ale że nie odmawia, bo to było akurat kiedy łąki kupują ludzie, więc powiada może się da zrobić, jak i zrobiło się i pożyczył mi nie 160.000 ale 200.000 wypłaciłem wszystkich i niech temu dziedzicowi da Bóg niebo za jego życzliwość, tylko żałuję, że krótko potem umarł, no i ja odrobiłem już sukcesorom te pieniądze i tym sposobem nabyłem dziewięć morgów, pozostał mi jeszcze element teścia, który stanowił dość duży ciężar 3 m. żyta, 15 m. kartofli, 1 m. drzewa, 5 tysięcy cegiełek torfu, i krowę utrzymać na swoim życiu zimą i latem, taki element ojcu żony. A proszę posłuchać co dawało gospodarstwo kiedy brałem od teścia, powiada mi, że wysiał siedem m. żyta a ja sprzątnąłem osiem m. żyta, kartofli nie dostałem jak żyć, i żywił nas ten mój hebel, budynki zmarnowane tak, że zgroza patrzeć. Wkrótce potem maciora od prosiąt wyleciała z podwórka, ktoś ją uderzył odbił jej nerkę i przetrącił dwa żebra, musiałem dorżnąć, prosiątka trzymałem bardzo długo i sprzedałem za marne pieniądze, ta maciora miała być na rozpoczęcie budowy domu, już niema, wkrótce umarł teść znowuż wydatek pochów, skończyło się z tem, trzeba było myśleć koniecznie o budowaniu, i tak pożyczyłem pieniędzy, kupiłem kamieni wapniaków, bo u nas to jest najtańszy budulec, kupiłem tego 20 siąg i drzewo wydałem 500 zł., teraz już na złote, niemam jeszcze wapna i cegły, kupiłem wapno i cegłę zapłaciłem 220 zł. i do tego nakopałem gliny znowuż we dworze, kamień dałem na glinę a cegła gdzie była na wapno i fundamenta, tak że w roku 1926 pobudowałem dom, który mnie kosztował 2.700 zł. oprócz mojej roboty i wszystkie pieniądze pożyczyłem, oddałem 2.200 i procenta, pozostało mi jeszcze 500 złotych, które jestem winien swoim kumotrom, a którzy są tak dobrzy jak ten dziedzic Pucznieski, choć majątku mają tylko 18 mor-

gów. A teraz mam jeszcze budować oborę i stodołę ale dzisiaj to niema mowy o budowaniu tylko o tem żeby żyć, bo z czego tu dzisiaj żyć i gdzie co zarobić, kiedy nikt nie buduje, a jeżeli ktoś buduje, to szuka gdzie to najtaniej zrobi i do tego dzisiaj jest więcej robotnika jak roboty, świnia nie płaci, prosięta nie płacą, drób także, już wydieramy się naczysto, bo ubrania to jeszcze nie kupilem na święto, na codzień jakieś cajgowe spodnie no i kawałek jakiegoś barchana dla żony matki i siostry no i ośmioro dzieciom, obuwie to się przerabia z większych trepów na mniejsze, a co nie można to wtenczas kupuje się nowe, a co skórkowe to ja i żona mamy a dzieci nawet nie mają w czym iść do kościoła no i co zrobić, jak żyć to przechodzi ludzkie pojęcie, dzieci do szkoły chodzi czworo, najstarszy skończył już 17 lat w czerwcu, chciałbym go na coś pokierować, nie mam sposobu, chciałem go dać do szkoły rolniczej też niema pieniędzy bo tu 20 zł. na miesiąc, jest i dziewczyna teżby mogła iść do szkoły rolniczej ma już 15 lat, skąd na to wziąć, szkoły są ale niema pieniędzy, na najniezbędniejsze rzeczy a co mówić o szkole, budowaniu, o ubraniu, kiedy tu starczy życia do kwietnia, a rząd nasz ogromnie się martwi o wywóz żyta i dopłaca żydom do każdego korca 4 zł. czy 6 zł. i oni wywożą zagranicę a my nie mamy co jeść, może być, że mam za dużo dzieci, no trudno ja nie mogę swego dziecka zabić i jeszcze akuszerce dopłacić jakieś 50 złotych, możebym miał więcej zarobków. Jestem też w różnych instytucjach, a mianowicie członkiem rady, opiekunem społecznym, w komisji rewizyjnej w kasie gminnej, w komisji rewizyjnej gminnej, we wsi swojej w straży skarbnikiem, pobudowaliśmy dom ludowy, jestem prezesem tego komitetu, no i prezesem Dozoru Szkolnego. Szkolnictwu też najwięcej się poświęca czasu ale co za to, nie tak dawno Inspektor powiedział mi że nie jestem za oświatą tylko że jestem wstecznikiem, i to tylko dlatego, że nie chciałem się zgodzić na przyłączenie i zlikwidowanie szkoły polskiej do niemieckiej, proszę zobaczyć co się robi dla tego ludu w tej kochanej Polsce, gdzie człowiek uczciwy ma poważanie, to u nas musi być w poniewierce, u nas jeden człowiek ma wstęp lizus ostatni gałgan, faryzeusz, to są wielkie powagi w naszym dzisiejszem rządzącem społeczeństwie. Proszę może mi ktoś powie, że nie prawda, mam tu na myśli nauczycielstwo, może nie wszyscy, ale jest bardzo wiele, którzy korzystają nieprawnie z wielu rzeczy, a mam tu jednego nauczyciela, który kazał mi zrobić bibliotekę, rok minął 1 listopada tego roku i nie dopłacił mi 70 zł. i kazał mi zrobić stolniczkę tak samo, niech mi ktoś wytłumaczy jak taki pan może po-

wiedzieć, że przez oświatę człowiek jest porządnym, prawdomównym i nie śmie sobie czyjejs rzeczy przywłaszczyć, no to więc jak czy my tylko i nasze dzieci mamy być takimi, a ci co nas tego uczą to mogą robić wszystko. Ile węgla spalam w swoim piecu zamiast w szkolnym i to jest przyjęte za sprzętanie pieniądze wziąć a dzieci sprzętały, dopiero ta ślepotą musiała naprowadzać na dobrą drogę, albo czytałem kiedyś, że zagranicą to jest w Szwajcarii, ktoś zobaczy na trotuarze czyjaś rzecz to ją omija zdaleka żeby nie mieć kłopotu z poszukiwaniem właściciela. U nas widzę jest przeciwnie, nie chwając się, ale komu jestem winien to proszę go o prolongatę i wstyd mnie słyszeć jak się mówi o dłużnikach, którzy nie chcą oddać, a jak taki pan może mówić o tem, że przez oświatę człowiek staje się doskonałym na każdym kroku, to jest co do nauczycielstwa i ich czczego gadania a nie przykładowego życia, a może jeszcze jedno na 11 listopada powiedział nam nauczyciel jak możemy się szczyć naszym przysłem pokoleniem, dzieci znalazły jeden złoty i oddali je nauczycielowi, a jak ten pan nie zapalił się od wstydu, kiedy on sam dopomógł jednemu z gospodarzy zrobić szwindel, bo przyjął fikcyjne kupno dla okpienia na jakieś 6.000 zł. i on przepisał na drugiego i siedział ten pan nauczyciel, co jest mnie winien 73 zł. Czy to się gada tylko dla nas, że my mamy być porządnymi, przecie ja liczę, że jeżeliby ten sędzia był porządny to musiałby sam siebie osądzić, bo co my mamy robić, kiedy my przecie patrzymy na te świństwa, to tylko jedno jest dokąd to będzie tolerowane przez tą inteligencję. Jeszcze jedno przy terażniejszych wyborach dostali setki instrukcje jak wybierać i kogo, nie wiem kto to napisał i nie będę opisywał co jest w całej książce tylko na końcu jest powiedziane, wybierać do rad na wójta ludzi uczciwych i moralnych, chyba nie wiem co jest moralność, ale dowiaduję się od osoby pewnej, że na wójta chce dać starosta do C*** pod Łodzią człowieka mi osobiście znanego i to naszego coprawda wójta, skończonego łajdaka, bo teraz zostawił żonę i wziął sobie pannę pewnego gospodarza z naszej gminy, z którą już dawno się znali, wziął knajpę w osadzie K*** pod Łodzią i tam z nią prowadzi ten interes a gospodarstwo wypuścił w dzierżawę i czy można takiego pana uważać za uczciwego i moralnego, czy ten lud naprawdę nie zna moralności i czy są dwie moralności, a może jeszcze więcej, może za daleko zaszedłem, przy tem powiedzeniu o stowarzyszeniach czy biorę udział. Pisze się żeby powiedzieć ile daje mi praca zarobkowa, kiedyś mogła dać więcej dzisiaj co można liczyć kiedyś 300 zł., później 200 zł. a obecnie to nie wiem

czy jest i 100 zł., bo w dzisiejszych czasach kto każe coś robić, to bez pieniędzy a czy odda to znak zapytania. Dom mam zbudowany o dwóch mieszkaniach, jeden warsztat, w pokoju są dwa łóżka, szafa do rzeczy i szafka komodkowa, stół i cztery krzeselka, tylko niema pieca, w kuchni piec do gotowania i piec pod kuchnią do chleba i jedno łóżko i stół i ławka i krzeselko i parę stołeczków dla dzieci, w warsztacie dwa warsztaty, jedno łóżko, piec do ogrzewania, mieszka nas w tych trzech ubikacjach dwanaście osób, co do żywienia, to na śniadanie kartofle z barszczem, na obiad kartofle z kapustą albo kapuśniak, albo jak się kupi kaszy, to kasza z kartoflami no i czasem zacierki z kartoflami, to jest stale no i marchew też z kartoflami i grochem, takie jest śniadanie i obiad a kolacja taka sama jak śniadanie, czasem się trafi herbata z mięty no i kawałek chleba swój albo kupny, takie jest życie u mnie. Co do ubioru ja jako gospodarz i głowa rodziny chodzę w garniturze jeszcze kawalerskim przedwojennym na święto a na codzień cajgowe co rok nowe no i tak żona, matka i siostra. Dzieci tak letnią porą jakieś perkaliki no i caji, chłopiec ten najstarszy to jest 17 lat, miał kupione przez całe życie swoje dwa przechodzone garnitury za 40 zł. Podział pracy jest taki, że córki, jedna skończyła 5 oddz. i ta pomaga matce w gospodarstwie, a młodsze idą do szkoły, najstarszy pomaga znowu mnie a młodszych posyłam do szkoły, bo mamy we wsi pięcioddziałową szkołę o dwóch nauczycielach, a siostra moja przędzie len, wełnę, len na płótno a wełnę na pończochy, pończochy robi matka moja, a płótno robi nam tkacz z czego nie jestem zadowolony.

Przed wojną nie miałem żadnej styczności, jak pisałem na początku byłem w mieście, jeżeli wszyscy żyli kiedyś przed wojną tak jak ja żyję no i widzę drudzy, to dziękuję, co do widoków na przeszłość, to jeżeli się nasz rząd nie poprawi co do wsi niema żadnych, bo dzisiaj jest nastawione wszystko tylko, żeby tego chłopca jak oni mówią karać i karać no i jeszcze raz karać. Policjant protokół za psa, nauczyciel za nieposyłanie dzieci do szkoły dzieci do kary, co dopiero odebrałem z jednej szkoły szesnaścioro dzieci, to już mnie męczy od samego zaczęcia żeby zrobić zebranie i ukarać za niezapłacenie podatku, co nawet rozłożyli go bardzo drobniawgowo, gruntowy, skarbowy, drogowy, powiatowy, fajerkasa, no i pensja sołtysa, teraz niech nie zapłaci tych podatków, to każdy wystąpi ze swoją pretensją po 150 groszy to się mówi Polska i każdy urzędniczyzna powiada że się nie chce płacić swojemu rządowi czy to powiada było tyle zaległości podatkowych co jest dzisiaj, kto temu jest winien? czy rolnik? Za pożyczką

narodową po wsi to chodzili panowie, wójt i sekretarz i siłą nacierali na tych swoich wybrańców, ażeby ją wydobyć, przecie jakby nam było tak dobrze, to cobyśmy robili z temi złotówkami, sienników byśmy nie napychali jak markami, tylko sami zaniesli do banków na pożyczkę, ja sam kupiłem dwie miljonówki, to mówiłem tak częściami jakiś grosz na najniezbędniejsze potrzeby, to dziecko będzie miało i dałem jeszcze przedtem sto marek no i co mam, tyle tylko że mi pozostał świstek papieru, czy to powinno się robić, chce się wrazić nam poszanowanie cudzej własności, co robi czoło i do czego prowadzi, że dzisiaj ze wstętem mówi o wolnej Polsce włościanin. Taka jest moja przyszłość, bo pracuję tak dla siebie, że rękami już nie mogę ruszać a mam dopiero 48 lat, najstarsze dziecko 17 lat, a najmłodsze trzy lata i co za to nawet kawałka czarnego chleba niema, co nieraz prawie serce pęka, jak się popatrzy na ten swój drobiazg, a tu się czyta, że cukrem naszym świnie niemieckie i angielskie no i wielu jeszcze innych wrogów Polski wypasają, no i chlebem naszym ale za to niemcy nas karmią swoją chemją, czyli sacharyną. Martwią się nasi czołowi panowie, że przyszła wojna będzie chemiczna, ona już jest dzisiaj, bo trują nas ci nasi panowie temi ciężarami, my nie mamy dzisiaj na nic żebyśmy mogli zjeść masło, słoninę albo cukru i niema żadnego widoku. Proszę jestem w samorządzie gminnym i nic nie widzę żeby można coś zrobić dla naszego dobra, bo wszystkie uchwały są tak jak groch na ścianę, a przyszły samorząd, czyli ta nowa ustawa zaraz na wstępie okazali do czego dążą, komisja wyborcza składała się z pomocnika pisarza, nauczyciela i ze dworu pisarza od zapisywania mleka no i policjanta, to miały być wybory, a tu pomocnik wyczytuje nam kogo mamy wybrać i co się okazuje, przyszły samorząd będzie się składał z samych lał, a rządzić będzie po dawnemu pisarz z wójtem i wydział powiatowy na czele z panem starostą, jak się patrzeć w przyszłość, co myśleć jak przy każdym zebraniu się tylko mówi, że nam chłopom jest za dobrze, bo jak to się stroimy, i co my to zjadamy, mówi taki pan pisarz, albo pan nauczyciel ile to kiedyś i jakiej kapusty zjadło, albo ile kwasu z beczki z kapusty, a dzisiaj kapusty mało co a kwasu wcale a strój kiedyś kobieta zrobiła płócienne spodnie i jakiś tam kozuch i był cały kostjum, a dzisiaj czy tym panom jest znane życie zagranicznego włościanina? I nie wiem czy tam ten nauczyciel z tym panem pisarzem też tak chcieliby żeby ten jeich włościanin wrócił się wstecz i czego my się chwalamy tem postępem, i poco po szkołach jeździ sanitarka i szuka wszów w głowach naszych dzieci, i nauczyciel to samo nawet po-

trafi zatykać wiechciem siana lub słomy, więc czy my naprawdę możemy patrzeć w przyszłość i czy warto robić sobie przykrość, bo jakaż to nasza przyszłość? Jeżeliby ci panowie chcieli nas widzieć odrabiających pańszczyznę i chodzić boso i w parcianych portkach, w podartym kożuchu przepasanym powrósem, takiego postępu w 20. wieku chyba nie może być, ale patrząc na tych włościańskich prowodyrów to jest bardzo bolesne dla nas, bo budzi w nas wielkie podejrzenie co do naszych prowodyrów włościańskiej polityki i wychowawców naszych dzieci.

Dn. 24 listopada 1933 r.

Gospodarz na niepodzielonej
schedzie szesnastomorgowej w
pow. łęczyckim

Opisem tym pragnę dać społeczeństwu wyraz niskiego stanu dzisiejszego rolnictwa swojego powiatu Łęczyckiego. Choć zdawałoby się, że powiaty województw centralnych, a zwłaszcza pow. Łęczycki, który uchodzi za uosobienie dobrych gleb, nie powinien odczuwać kryzysu. A jednak tak nie jest, bo i tu kryzys jest bardzo widoczny. Pod względem jednak jakości gleb, nie należałoby uogólniać całego powiatu, bo i tu są liche, a nawet bardzo liche ziemie.

Opis mój nie jest wcale szczegółowym opisem powiatu, wsi, czy choćby własnego gospodarstwa. Pragnę tylko uwypuklić niektóre momenty niedosięgnięć gospodarczych i charakterystyczne różnice poziomu gospodarowania i wogóle stanu rolnictwa z różnych czasów, jak na przykład, przedwojenny, poodrodzeniowy, t. j. przedkryzysowy i dzisiejszy.

Przedewszystkiem nie będę tu rozpaczał nad własną biedą (którą ostatnio czuje się b. często), ani nad upadkiem swojego gospodarstwa, bo słabostkowem i bezcharakternem byłoby narzekanie na własną biedę, gdy wokół widzi się najskrajniejszą „nędzę”!

Za główną jednak podstawę do porównań dochodowości i racji gospodarowania z różnych okresów, będę używał gospodarstwa, którego z sukcesji jestem współwłaścicielem. Gospodarstwo nasze jest położone we wsi Kałów na południowym krańcu pow. Łęczyckiego. Gospodarstwo to przez lat przeszło trzydzieści rządzone było przez ojca jako prawowitego właściciela, który zmarł przed siedmiu laty nie zostawiając żadnego testamentu, przez co gospodarstwo stało się sukcesyjną własnością rodzeństwa i dotąd jest wspólnie rządzone.

Ogólny obszar naszego gospodarstwa obejmuje szesnaście morgów, w tem pięć morgów lasu, t. j. przeróżnych krzaków, które właściwiej powinny się nazywać nieużytkami niż lasem. Pół morga średniej łąki i resztę pola użytkowne średniej klasy. Budynki drewniane bardzo stare, bo nowych niema zaco przy dzisiejszej dochodowości budować. Krów obecnie mamy trzy, (ale jedną pewnie wypadnie sprzedać ponieważ gospodarstwo ma długi) dwa cielaki i jeden koń. Świń przeważnie jednocześnie wychowuje się po dwa i około 30—50 sztuk drobiu zależnie od pory roku.

Rodzina obecnie składa się z ośmiu osób, t. j. matka, cztery siostry, ja i dwóch braci. Brat młodszy uczy się w Państwowym Seminarjum Nauczycielskiem w Łęczycy, lat ma obecnie 19. W domu oczywiście przebywa tylko przez wakacje i w święta. Dwie siostry i brat są starsi ode mnie, a dwie młodsze i zarazem najmłodsze.

Cała rodzina jest jednak większa, mianowicie: trzeci brat najstarszy pozostaje od 1918 roku w wojsku i dwie siostry zamężne, też mieszkające gdzieindziej, więc do obecnego składu rodziny nie zaliczam.

W miarę dorastania dzieci rodzice starali się by każdemu dać jakąś chociaż drobną umiejętność (fach) i od każdego coś opłacono za naukę. Najstarsza siostra wyuczyła się hafciarstwa, druga została praczką i prasowaczką. Obie jednak wyszły zamąż w gospodarstwa. Brat najstarszy miał pójść do szkoły rolniczej w Pszczelinie, lecz plan ten w ostatnich dniach został skrzyżowany wybuchem wojny.

Trzecia siostra (rodzeństwo przebywające obecnie w domu) została znowu hafciarką, a drugi brat — szewcem. Czwarta siostra jest krawcową (też w domu) i prawie wyłącznie z swego rzemiosła się ubiera. Ja tylko rzemiosła żadnego nie posiadam. Młodszy brat, jak już zaznaczyłem uczy się w P. S. N.*) w Łęczycy, a młodsza od niego siostra wyuczona jest przez starszą na szwaczkę. Najmłodsza skończyła szkołę powszechną i jest w domu. Wykształcenie całego rodzeństwa jest (za wyjątkiem uczącego się brata) mniejwięcej równe, sięgające czterech lub pięciu oddziałów szkoły powszechnej.

Jestem więc jednym z młodszych już rodzeństwa. Gdy urodziłem się (w roku 1912) rodzice moi spłacali dług za niedawno nabyte

*) Państwowe Seminarjum Nauczycielskie.

pięć morgów ziemi. Poprzednio rodzice mieli gospodarstwo jedena-stomorgowe, nabyte wspólnie za spłatą ojca i posag matki.

Z tego co jeszcze podam niżej widać jakie warunki musiało mieć ówczesne rolnictwo, gdyż ojcowie nie prowadząc nawet gospodarstwa zbyt racjonalnie (sądzę z ich opowiadań) mogli już w kilka lat po objęciu gospodarstwa pokupić inwentarz, niezbędne narzędzia. Jed-nem słowem urządzić gospodarstwo. Następnie postawili stodołę i mimo wewnętrznych niepowodzeń, gdyż w międzyczasie padły im dwie krowy, kupili wirówkę do mleka, maszynę do szycia i zaczęli składać pieniądze, a następnie dokupili owe pięć morgów za które dług spłacali jeszcze w rok po moim urodzeniu.

W roku 1916 rodzice wydali zamąż najstarszą córkę, dając jej posagu 600 rubli.

W późniejszych latach poziom gospodarowania miał się jeszcze znacznie gorzej, gdyż w roku 1918 brat najstarszy wstąpił do legjo-nów (jako ochotnik), więc gospodarstwo straciło robotnika, a ojciec któremu zdrowie zaczęło niedopisywać, z młodszym synem nie mogli należycie wszystkich prac dopilnować i wykonać.

Do roku 1920 a nawet i dalej gospodarstwo swą egzystencję opierało jedynie na pracy kobiecej, bo starszy mój brat z rzędu drugi, jedyny pomocnik ojca miał w roku 1920 lat czternaście, a ja syn z kolei trzeci miałem wówczas lat osiem.

Jak widać gospodarstwo miało swoje osobiste przyczyny upad-ku, a na odbudowę musiało czekać na nasze, to jest młodszego ro-dzeństwa doróżnięcie. Doróżnięcie dlatego, — że najstarszy brat po skończonej wojnie postanowił pozostać w wojsku, jako zawodo-wy — wówczas sierżant.

W roku 1923 wyszła zamąż druga siostra. Tej posagu nie dano, tylko samą „wyprawę” t. j. umeblowanie z całym urządzeniem go-spodarstwa domowego. Rodzina jednak ilościowo, mimo ubytku brata i dwóch sióstr, wcale się nie zmniejszyła, gdyż po mnie, jak już pisałem na początku, jeszcze przyszło na świat młodsze rodzeństwo. Brat w 1914 roku i siostrzyczki w 1916 i 1918 roku. Była nas spora gromadka, ale przeważnie zdolnych do pasienia była i gęsi, a nie do roboty w gospodarstwie.

Ojciec widać jednak nie myślał o oszczędzaniu swojej osoby, bo pod koniec roku 1924 oddał jedyne go starszego ode mnie brata na praktykę kamaszniczą do Łodzi, a został znowu tylko z kobietami i ze mną dwunastoletnim robotnikiem. W trzynastym roku życia nauczyłem się już kosić, robić koźmi w polu i wszystkich robót go-

spodarskich. Ojciec stary i schorzały stanowił ze mną zupełnie dobraną parę robotników, a w kwietniu 1926 roku zmarł, jak gdyby sądząc, że ja mimo czternastego roku życia jestem dostatecznym jego zastępcą.

Zostałem z matką i dwiema starszemi siostrami i młodszem rodzeństwem. Ostatnie dwa lata pod względem urodzaju były bardzo złe, gdyż były one w naszej okolicy b. mokre, a my mamy nisko położone grunta. Wobec takiego stanu rzeczy, pieniędzy nawet na pogrzeb nie było, więc matka musiała zaciągnąć pożyczkę u swojej rodziny.

Prace wiosenne w polu wykonaliśmy sami, trochę przynajmniej, ale już na żniwa, ze względu na brak kalkulacji ciągłego najmowania, matka kazała starszemu bratu wystąpić z praktyki i przyjechać do domu. Byliśmy więc w dwóch, ale mimo że brat był starszy ode mnie, bo miał już wtedy 20 lat i byliśmy dostateczniejszą siłą fizyczną, to znowu brakowało nam siły fachowej. Lecz i to się wkrótce jakoś wytolerowało, a zwłaszcza dzięki dobrym konjunktutom rolniczym gospodarstwo dawało nam zyski. Oddaliśmy dług zaciągnięty na pogrzeb, a w roku 1927 już kupiliśmy nową wirówkę do mleka za 270 zł. i założyliśmy nowy dach na chacie (gdyż się stary walił zupełnie), co obok własnego materiału (drzewo, słoma) pociągnęło 150 zł. kosztu. W roku 1929 kupiliśmy nowy wóz płacąc 180 zł.

I tak bez gospodarza, (jak sąsiedzi nazywali) prowadziliśmy gospodarstwo. Przy tak znacznych wydatkach wystarczyło jeszcze na dość przyzwoitą odzież dla całej rodziny. W roku 1930 dochodowość zaczęła się znacznie załamywać, choć jeszcze bardzo pokaźną sumkę bo około 700 zł. udało się na naukę brata z małym tylko uszczerbkiem z gospodarstwa wycisnąć.

Dotąd było można, więc się oszczędzało, kupowało, budowało. Dochodowość w ciągu jednego tylko roku spadła do zera i ów uszczerbek z trzydziestego roku wielkich już wymagał oszczędności. Dalej wszystko już było niemożliwe, a jeżeli cośkolwiek zaoszczędzi się na naukę brata, to jedynie kosztem własnego i tak lichego żywienia się i ubierania, które także przybiera zastraszająco ograniczone i skromne formy.

Ponadto mamy obecnie już na gospodarstwie przeszło 300 zł. długu. Na 200 zł. są wystawione weksle, 50 zł. wzięte już od szeregu miesięcy od kuzyna bez weksła niby na tymczasem „na zaufanie”

i około 80 zł. w Poddębicach w sklepie za wybrane na kredyt materiały łokciowe.

Pożyczka w gotówce t. j. 250 zł. wzięta była na opłacenie utrzymania brata w internacie szkolnym.

Pilniejszą część długu spłaci się w najbliższym czasie sprzedając jedną krowę.

Niskie ceny zbóż stały się kresem jakiegokolwiek nabywalności, kropką każdej konsumpcji przemysłowej, a więc tem samym głównym punktem zastoju ogólnego.

Od szeregu lat nasze usiłowania skierowane są na kupno do gospodarstwa maneża (kieratu). Usiłowania te jednak były zawsze innemi, bardziej nagłącemi wydatkami, wobec których usiłowania kupna maneża dotychczas były bezowocne. A ostatniemi czasy to, same już „usiłowania” nawet straciły na sile.

Los każe odmówić sobie kupna tak niezbędnego narzędzia i trzeba zostać mimowoli skazanym, przez same złe warunki gospodarcze, na ręczne rżnięcie sieczki dla konia i bydła oraz walenie cepami przez całe szeregi dni poźniwnych i zimowych, z zupełnie niepotrzebnym nikomu uszczerbkiem sił ludzkich.

Brak nam w gospodarstwie wialni, redła (obsypnika) i wielu wielu drobnych a niezbędnych rzeczy. Uprząż na konia zupełnie porwany. Ale wszystkie te rzeczy zdają się dziś luksusem i z nabyciem ich czeka się wciąż lepszych czasów.

Remonty zabudowań gospodarskich w dzisiejszym czasie, to zatykanie wiechciami dziur w dachach, lub podpieranie ścian kołkami. Na inne remonty, czy wznoszenie nowych budynków, gospodarzy nie stać.

Nasze zabudowania gospodarskie składają się: ze stodoły drewnianej, budowanej lat temu 40 przez ojca w czasie obejmowania gospodarstwa; z obory również drewnianej, stojącej lat podobno 50 postawionej przez poprzednika ojca i z domu także drewnianego napół wrosłego w ziemię, którego wiek, określićby można na jakieś 100 lat, gdyż nikt z najstarszych nawet ludzi daty jego budowania nie pamięta. Biorąc pod uwagę wiek podany, każdy łatwo dzisiejszy stan budynków wyobrazi sobie.

Otóż na domu dach się walił, więc w roku 1927 założyliśmy nowe kozły, gdyż na budowanie domu nie było funduszu, a z drugiej stro-

ny stodoła i obora wołały wykreślone poza nawias użyteczności i zastąpienie ich nowemi.

To też postanowiliśmy najpierw wybudować oborę na miejsce starej zbyt już „przewiewnej emerytki” zaraz gdy tylko po remoncie domu dojdzie się trochę do gotówki. Wydatki jednak zawsze były przecie i to znaczne, a wzrosły jeszcze z chwilą rozpoczęcia nauki brata w Państw. S. N. a dochodowość ciągle się kurczyła. To też dziurawa obora i krzywa spróchniała stodoła czekają lepszych czasów.

Czy jednak upragnione lepsze czasy zdążą przyjść prędzej niż te muzealne zabytki dosłownie się poprzewracają?! — niewiadomo.

Wspomniany dom mieszkalny ma dwa mieszkania. Jedno małe, drugie większe. Otóż większe służy za kuchnię no i miejsce stałego przebywania — mniejsze, zajmujące drugą część domu bywa zwłaszcza zimą bardzo niechętnie uczęszczane ponieważ jest w nim zimno, a ogrzewanie dwóch mieszkań za drogo wypada. Śpi się natomiast w obydwóch. Na umeblowanie i urządzenie mieszkań składają się: łóżka, stoły, parę krzesełek i stołków, szafa, kredens i trochę kuchennego sprzętu.

Wartościowszy inwentarz martwy stanowią: wóz, waga, sieczkarnia, pług, wirówki do mleka i maszyna do szycia.

Ogólny stan budynków wsi jest bardzo krytyczny. Niedostateczną ilość mieszkań i ich urządzeń. Mało która rodzina ma tyle łóżek i wogóle miejsca w mieszkaniu, by ktoś z rodziny nie potrzebował spać gdzieś tam na wyrku w oborze.

Na wsi dużo tylko świeżego powietrza, ale mieszkań jest brak przerażający i jakiego takiego w nich umeblowania, co zwłaszcza zimą daje się we znaki, gdyż więcej czasu trzeba przebywać w mieszkaniu.

Gdy ubiegającego lata u takich gospodarzy drobnych wybuchł pożar to poza wyniesieniem pierzyn no i paru garnków nie było co ratować z płonących domów.

Umeblowanie mieszkań takich kilkomorgowych, lub bezrolnych rodzin stanowi zwykle szafa przeważnie na pół spróchniała (zabytek lepszych czasów), któraby za dotknięciem napewno się rozleciała, łóżka stojące na ułożonych w słupki ceglach zamiast nóg, obręczkami poprzybijane do ścian. Stoły i stołki przeważnie już własnej roboty.

Ludzie ci z biedy formalnie dziczeją, nie widać tam kawałka gazety lub książki, słowem cienia cywilizacji, nie mają nawet najniezbędniejszego i najprostszego chociaż przyzwoitego sprzętu domowego i trudno by było dowodzić, że przy dzisiejszych warunkach życia kiedykolwiek te niezbędne rzeczy dokupią. Nauczą się raczej żyć jeszcze pesymistyczniej i wyrabiać swoim sposobem każdy sprzęt domowy, jak nauczyli się już stosować z legend odgrzebane, w prawiakach używane hubki i krzemienie, z których ścierane iskry na przygotowane uprzednio upalone szmaty niecą ogień i służą za drogie dziś zapalki, na których kupno nie stać dzisiejsze ubogie społeczeństwo wiejskie.

Należy wyglądać tylko chwili w której wieś wyzbyta już zupełnie wszelkiej opłacalności i możliwości kupowania, wyprze się materiałów fabrycznych, a na ich miejsce ukazą się płócienne „zgrzebne portki”.

Zaglądając do tych starych krzywych chat, których dziś nikt poprawiać ani budować nie myśli, widzi się wszędzie rozlatające się sprzęty i sypiące próchnem zabytki lepszych czasów a wśród nich gdzieś spotkać można błyszczący krzyżyk, przez włączających się agentów na lichwiarskie spląty wetknięty. Z każdego domostwa tchnie mimo usilnego zakrywania jakieś przygnębienie i nędza werniej niż ślubna żona każdemu gospodarskiemu obejściu towarzysząca.

Wieś formalnie upada, zanika... Co dalej będzie trudno przewidzieć, czy rozwieliżni się zanik ducha i wieś stanie się katakumbą upadłych parjasów, czy też zerwie się ostatkiem sił, by pójść naprzeciw niebezpieczeństwu szukać własnych dróg i losów.

Odżywianie znów ma się następujące. Śniadania i kolacje barszcz z kartoflami gotowanymi w łupinkach i następnie obieranymi, czasami zamiast barszczu polewka na maślanec lub serwatce. Barszcz przeważnie zabielańy śmietaną, gdyż spożycie słoniny w ostatnich dwóch latach bardzo się zmniejszyło. Obiady: latem zupy z jagód, pomidorów, z gruszek, rabarbaru, z kartoflami lub kluskami, kluski żytnie albo pszenne zależnie od urodzaju pszenicy no i możliwości w danym roku. Dalej zwłaszcza zimą kartofle z kapustą, kasza, grochówka, zupa z suszonych gruszek i t. p.

Całość utrzymana w tonie prawie postnym. Podobiadki i podwieczorki: (latem) chleb zależnie od roboty, z masłem lub twarogiem, przeważnie jednak suchy albo z mlekiem ale wirowanem. W czasie ważniejszych robót a także w niedzielę chleb z kawą. Zimą

niby zasadniczo podwieczorków niema. W niedzielę i święta na wieczór chleb z herbatą, barszczu i kartofli już się nie gotuje. Obiady w dnie świąteczne czasem mięsne zależnie od możliwości, zwykle jednak lepsze niż w dnie powszednie.

To tak jest u nas, a gospodarstwo nasze należy do średnio zaможnych. Ogólny obszar szesnaście morgów, ziemi użytkowej około jedenastu morgów, ale mimo i tak niewykwintnego jądła nie można tego brać za równoważnik odżywiania. Tłuszczów jak zaznaczyłem używa się bardzo znikomą ilość, dysponuje się jednak przeciętnie 1000 (tysiącem) kilo mąki rocznie, co pozwala na pieczenie chleba, warzyw i kartofli też kuchnia ma dostateczną ilość.

Ale na gospodarstwach bardzo drobnych sprawa odżywiania ma się bezwarunkowo gorzej i podstawowym artykułem spożywczym są jedynie i wyłącznie kartofle a nie chleb.

Gospodarz np. posiadający $5\frac{1}{2}$ morgowe gospodarstwo, (a takich nawet i drobniejszych jest wielu) składające się z trzech mórg ziemi użytkowej, pół morgi łąki i dwie morgi lasu (nieużytków i chrapów) niedającego żadnego pożytku, musi wyżywić pięć lub sześć osobową rodzinę. Jak to wyżywienie wygląda wyobrazić sobie łatwo obliczając choćby w sposób następujący.

Żyta sprzęt roczny 12 lub 13 metrów i około 100 metrów kartofli, zarobków ubocznych żadnych. Tem wyżywić musi czasem dość liczną rodzinę przez przeciąg całego roku.

Całym jednak zbiorem (12 metrów) oczywiście kuchnia nie dysponuje bo dwa i pół metra gospodarz z powrotem wysiewa, pozostaje więc w najlepszym razie około 10 metrów. Z tej pozostałości jeszcze sprzedaje, zależnie od potrzeb, których każdy wie że nigdy w gospodarstwie zaspokoić nie można trzema albo czterema metrami. Zatem pozostaje na roczne wyżywienie przypuścmy tylko pięcioosobowej rodziny sześć metrów żyta.

Rzecz zupełnie jasna i zrozumiała, że taki zapas wystarczy za ledwie na barszcz i gospodarz z całą rodziną jest chleba pozbawiony zupełnie.

Ludzie ci jadają zwykle tylko trzy razy dziennie. Pożywienie ich składa się oczywiście przeważnie z kartofli i barszczu, albo zalewajek t. j. kartofli gotowanych z wodą i zaprawionych mlekiem. Barszcz bywa zabielanym mlekiem lub niczem, słoniny tacy gospodarze nie kupują bo niema zaco.

Najlepszym dowodem czem poza kartoflami żywią się małorolni jest sklep. Sklep na którego klientelę składa się około 1000 (tysiąc)

osób sprzedaje tygodniowo około 15 kilo słoniny, 20 kilo mięsa i około 15 kilo kiełbasy. Razem więc przeciętnie 50 kilo na tysiąc osób. Innych źródeł nabycia na miejscu niema, a tu oczywiście kupują przeważnie bogatsi.

Cukru sklep ten sprzedaje przeciętnie 30 kilo tygodniowo, co wynosi 3 deko na osobę tygodniowo. Poco jednak brać przeciętnie kiedy zamożniejsi gospodarze kupują po pół albo i całe kilo tygodniowo. Biedniejsi cukru nie kupują i wogóle herbaty nie piją, bo też nie mają z czem. Chleba nie mają, a z kartoflami lepiej smakuje barszcz.

Tak żywią się małorolni, którzy przynajmniej mają swoje kartofle i zwłaszcza trochę mąki na barszcz, ale jak odżywiają się bezrolni wyrobnicy nie mający ani odrobiny własnej mąki, a za pieniądze zaledwie w ciągu roku po kilkanaście dni przepracujący (za 1,50 zł. dziennie) w to już wglądać nawet nie chcą i pisać nie będą, to szczyt nędzy. Widziałem kiedyś, jak trzyletnie dziecko piło na śniadanie czystą (przegotowaną podobno) wodę, pojadając kawałkiem upieczonego na blasze kuchennej kartoflanego placka. Wiem jeszcze, że starsi niby mądrzejsi niż dzieci, potrafią sobie odmawiać śniadań lub obiadów.

Przykład ten zobrazuje każdemu życie tych nieszczęsnych wiecz- nie głodujących istot żyjących w większej części wodą i powietrzem.

Jeżeli rząd nie zaopiekuje się i nie przyjdzie z pomocą tej upośledzonej dziś warstwie chłopskiej, która biedując sama na gospodarstwach utrzymuje w swej masie cały zastęp bezrolnych, to przyszłość wsi jest czarna, jak noc listopadowa.

Bezwarunkowo powinno się nie zwlekając zabronić istnieć wszystkim ssącym ostatnią krew kartelom i zrównoważyć ceny płodów rolnych z wyrobami przemysłowemi.

Angielskie świny jedzą polski cukier po 16 gr. za kilo wywożony, na którego kupno nie stać w kraju polskich obywateli.

Sprowadza się z zagranicy żyto, kartofle i inne różne zboża, których w kraju nadmiar „podobno”. Sprowadza się wszystko na zapas konkurując z własnymi cenami.

Ciekawe dlaczego rząd nie pozwoli na wwóz do kraju naprzy- kład cukru tańszego niż krajowy. Przemysł cukrowniczy nie jest przecież zmonopolizowany, więc skarb państwa nicby na tem nie stracił, a ludność z wdzięcznością przyjęłaby obniżkę cen cukru i upowszechniła go w pośród siebie. Niskie dostępne ceny lepiejby

napewno wpłynęły na spożycie „krzepiącego cukru” niż dotychczasowe szumne reklamy.

Nie należy dziwić się, że wieś bardzo chętnie wspomina rosyjskie czasy przedwojenne, bo oczywiście miała w nich bezporównania lepiej.

Możność nabywczą w czasach przedwojennych na wsi miała się kilkakrotnie lepiej niż to jest dziś. Jeżeli wieś dziś nie odzyska dawnej siły nabywczej przez zrównoważenie cen przemysłowych z cenami rolnymi, to następstwa będą nieciekawe, bo zrujnowane rolnictwo pociągnie za sobą ruinę gmachu państwa.

Rolnik przed wojną za jeden korzec żyta, który płacono pięć rubli, mógł nabyć soli (licząc ówczesną cenę trzy grosze za funt) 333 funty czyli 135 kilo. Obecnie za jeden metr żyta licząc maksymalną dzisiejszą cenę rynkową 12 zł. 50 groszy może kupić takiej samej soli (płacąc po 36 groszy za kilogram) 35 kilo. Nic dziwnego więc, że spada nawet spożycie soli.

Na wyprodukowanie korcy pracuje się tak samo, a kupuje się za nie kilkakrotnie mniej.

Posługując się dalej wyżej przytoczonym równoważnikiem (jeden metr żyta) stwierdzamy, że: za korzec żyta t. j. 106 kilo nabywano 41 i pół funta cukru (faryny) czyli 16 $\frac{1}{2}$ kg. Dziś możność nabywczą cukru za metr żyta spadła do 9 kilo.

Za jedno kilo masła można obecnie kupić 3 do 4 litrów nafty (latem trzy, a zimą cztery, bo masło zimą droższe). Przed wojną za otrzymywane za jedną kwartę przeciętnie 80 kopiejek kupowano 6 do 7 kwart nafty.

Tak się miały ceny zbóż w stosunku do wyrobów przemysłowych i monopolowych w czasach przedwojennych. A jak się one mają dzisiaj?!

W tem leży sedno całej dzisiejszej biedy: ceny płodów rolnych wielokrotnie spadły licząc za ostatnie kilka lat, gdy tymczasem ceny artykułów przemysłowych niewspółmiernie wzrosły.

Z sytuacji dzisiejszego zastoju wszystkich dziedzin przemysłu i kryzysu gospodarczego jest tylko jedna brama wyjścia. Przywrócić wsi przedwojenną możność nabywczą przez podobne tamtemu zrównoważenie ustosunkowania cen przemysłowych do cen płodów rolnych.

Rząd zrobiłby to łatwo rozwiązując kartele, a gdy te zostałyby rozwiązane to ustosunkowanie cen już samo przyjdzie i wielu przez to chłopów zostawi na chleb dla dzieci wypychane na rynek ostatnie

korce, które obecnie na skutek niedojadania wywożone wytwarzają na rynku nadprodukcję i taniość.

Jednocześnie z obniżeniem cen przemysłowych to znaczy wzrostem siły nabywczości wsi znikłby zastój i groźne bezrobocie, zniknęłyby wszelkie nadprodukcje. Znikłaby ta oklepana nadprodukcja rolna stworzona jedynie skutkiem głodowania milionowych mas chłopskich. Znikłoby nadprodukcje przemysłowe, gdyż chłop nie potrzebowałby chodzić obdarty i błyskać po mrozie gołym ciałem.

Gdy ta wielomiljonowa rzesza odzyska siłę nabywczą przez niskie ceny przemysłowe, naprzykład ceny za cukier takie po jakich się go sprzedaje zagranicę, to on zostanie skonsumowany przez nasze społeczeństwo i obejdzie się bez opasania polskim cukrem angielskich świń. Zwiększyłyby się nabywanie i zużycie maszyn rolniczych o których teraz sny wydają się zaśmiałe, a tysiące robotników znalazłoby prace przy ich fabrykacji.

Trzeba obniżyć dotychczasowe aptekarskie ceny za nawozy sztuczne, a wtedy dopiero zaczniemy produkować tanio i dużo.

— — — — —

Tak samo, jak z żywieniem ma się sprawa ubierania. Coś nowego można było widzieć częściej, a nawet całkiem często, cztery lub pięć lat temu. Teraz zobaczyć np. w kościele zupełnie nowy kożuch czy garnitur jest rzadkością.

U nas na gospodarstwie, jak we właściwym miejscu podałem, 16 morgów, stan ubieralności jest taki: ja mam jeden garnitur, noszę go już trzeci rok, jedną parę trzewików kupionych w zeszłym roku za 12 zł., innego obuwia nie posiadam. Ponadto mam płaszcz przedstawiający już dziś śmieszłą wartość i palto zniszczone mocno przez czteroletnie noszenie. W dzień zwykły chodzę w trepach, w marynarce, która pięć lat temu stanowiła odświętne ubranie, dziś już mocno jest poreperowana i upstrzona łatanami, spodnie „cajgowe” częściej też łatanie niż całe. Prócz tych zabytków z lepszych czasów posiadam tylko zupełny brak widoków kupna choćby nowego palta.

Ogólny stan ubierania całej rodziny za małymi odchyleniami ma się nie najlepiej.

Godzę się z p. W. Gortatem, który w swojej książce p. t. „Góra Bałdrzychowska i Byczyna”¹⁾ obliczył przeciętną wartość ubrania

¹⁾ Góra Bałdrzychowska jest sąsiednią wsią Kałowa, z którego mniejszy opis pochodzi, ale nieco bogatszą ze względu na mniejszą ilość drobno-rolnych gospodarzy, oraz nie posiada tylu có Kałów nieużytków.

każdego gospodarza w roku 1927 na 669 zł., ale dziś ja z czystym sumieniem obliczam przeciętną wartość całkowitego ubrania mało-rolnego gospodarza na 50 zł. Gospodarze więksi oczywiście ubierają się nieco lepiej, ale ubranie bezrolnych w wielu wypadkach nie sięga 30 zł.

Za przykład, jak się przedstawia ogólny stan ubieralności na wsi niech posłuży fakt, że gdy kiedyś w pewnej sprawie przeszedłem niemal całą wieś to nie spotkałem jednego nawet gospodarza by był w całych nieporeperowanych spodniach. Fakt powyższy nie wymaga specjalnej obserwacji bo sam mimowolnie rzuca się w oczy.

Jest zasada, że każdy na wsi powinien i ma niby to dwa ubrania jedno na święto, drugie na dzień zwykły. Całe niestety jednak, że to ubranie z dnia powszedniego poza wszelką przyzwoitość podarte nigdyby nie można nazwać ubraniem. Kilka lat temu widziało się, że strachy na polach odstraszaające kruki z pszenicy przyzwoiciej były ubierane i to jest fakt rzeczywisty, bo jeden gospodarz (nazwiska nie wymienię) powiedział do mnie kiedyś, że mu się już tak dosłownie (można sobie wyobrazić) kapota podarła, a narazie pieniędzy niema na nową, więc gdzieś tam na górze odnalazł no i od zeszłorocz-nego stracha kapotę sobie „wypożyczył”.

Gdy jednej niedzieli bieżącej jesieni gospodarze całej wsi zeszli się obierać stróża nocnego, to patrząc na tych „panów gospodarzy” bez przesady stwierdzić trzeba było, że ich niedzielny stan ubrania był zaledwie dostateczny na dzień powszedni, ale nigdy na niedzielę dostatecznym być nie mógł.

Cóż kiedy czas taki, że na gospodarstwach pracuje się ze stratą a więcej na jedzeniu już zaoszczędzić by kupić kapotę jest niepodobniństwem.

O poziomie trudności finansowych na dzisiejszej wsi świadczy samo to, że z naszej okolicy oprócz mojego brata uczącego się w Państw. Sem. Naucz. nikt nie uczy dzieci w żadnej szkole średniej.

Określenie okolica nie jest tu jednak ściśłem określeniem i mogłoby mieć uchybienia. Biorę więc ściślej i stwierdzam, że z parafji Kałowskiej, która też zresztą jest dość duża, literalnie żadne dziecko nie uczęszcza do gimnazjum czy innej szkoły z zakresu średnich, oprócz oczywiście brata, którego nauka i utrzymanie w szkole za małym tylko udziałem nie jest opłacana z gospodarstwa.

Najgorsze, że kształceniem dziecka w naszych warunkach nazywa się już posyłanie go do 6-go oddziału szkoły powszechnej. Siedmiooddziałowe szkoły powszechne nie są niestety u nas powszechnymi, a posyłanie dziecka do odległej o 8 kilometrów szkoły nastęrcza więcej trudności, niż kształcenie gimnazjalne przeciętnego mieszczanina. Brat, który obecnie kształci się na nauczyciela, po skończeniu w roku 1927 czterech oddziałów w miejscowej szkole zaczął „kształcić” się w siedmiooddziałowej szkole powszechnej w Poddębicach. Przejście tych trzech oddziałów (t.j. 5, 6 i 7-go) finansowo nie kosztowało tak wiele, bo chłopak początkowo chodził ze szkoły do babki, blisko Poddębic mieszkającej, a później będąc większym przychodził do domu.

Takie „kształcenie” jednak wymaga nietylko dobrej chęci rodziców pragnących dać wykształcenie dziecku i samej zdolności ucznia do nauki, ale także jego bardzo silnej woli. Chodzenie codziennie osiem kilometrów w tę i z powrotem, w mróz, śnieg czy błoto, nie jest wcale do pozazdroszczenia. Gdy nauczyciel śpi jeszcze — uczeń wstaje o godzinie 5-ej by ubrać się prędko, najeść i o szóstej wychodzić w ciemną jesienną czy zimową noc z teczką i kijem dla opędzania od niepowiązanych jeszcze psów. A gdy nauczyciel o siódmej wstaje to uczeń od godziny już chłapie po błocie, w ciemności brodząc po kałużach, gnany w tym wypadku jedną myślą z nauczycielem, byle tylko zdążyć na dzwonek. Warunki te muszą chyba wcale nie być rozpaczliwe, bo szkoły powszechne wcale się nie upowszechniają, a przeciwnie, bo właśnie przez reorganizację sieci szkolnej szkół jeszcze ubywa.

W roku 1930 skończył szkołę powszechną i należało pomyśleć o czemś dalszem. Przystudjowaliśmy prospekty różnych zawodowych szkół technicznych. Wszędzie jednak nauka wraz z utrzymaniem wynosiła za cały czas trwania około 3000 zł. Postanowiliśmy więc (to jest całe rodzeństwo) umieścić brata w Państwowem Seminarjum Nauczycielskiem w Łęczycy, ponieważ przytoczoną wyżej sumę łatwiej będzie zebrać, gdyż nauka w seminarjum trwa pięć lat, a nie trzy, jak w szkołach zawodowych, więc tymczasem i kryzys może minie a wrócą lata lepszych cen za produkty hodowlane i rolne.

W pierwszym roku nauki płacąc po 65 zł. miesięcznie za internat, to za książki, przejazdy, opłatę administracyjną, po roku koszt nauki przeniósł sumę 800 zł., to znaczy przeniósł dochód naszego gospodarstwa, a przed rokiem wyglądana „poprawa” gospodarcza nieuchwytnie gdzieś się odsunęła, a kryzys z r. 1930 okazał się dopiero

wstępem do biedy obecnej. „Kryzys” czyli przesilenie w roku 1929 i 30 był rzeczywiście przesileniem, lecz nie na lepszą a właśnie na gorszą stronę i dziś lawiny samych upomnień i sekwestrów podatkowych przenoszą dochodowość gospodarstwa, nie pozwalając nawet myśleć o żadnych oszczędnościach na naukę.

Więc już po pierwszym roku zrozumieliśmy szalony krok i niemożliwość dalszego uczenia o własnych siłach. Żałując jednak wydanych pieniędzy nie daliśmy za wygrane. Po wakacjach ponieważ nie było własnych pieniędzy pożyczylimy 100 zł., trochę dołożyło się z gospodarstwa no i wysłaliśmy go na drugi kurs składając jednocześnie podanie do Wydziału Powiatowego o udzielenie stypendjum. Wydział jednak odmówił. Seminarjum swe stypendja też rozdzieliło już wcześniej i brat po miesiącu drugiego roku nauki wrócił do domu.

Wystąpienie ze szkoły było najwymowniejszym świadectwem niemożności płacenia, to też dopiero wtedy dyrekcja seminarjum zainterwenjowała w Wydz. Powiatowym i stypendjum w sumie zł. 350 przyznano, więc Heniek z powrotem powędrował do szkoły. Radość ta jednak nie trwała długo, bo w maju Wydział oświadczył, że z braku funduszu przyznanej sumy nie wypłaci, więc dyrektor wysłał ucznia po pieniądze do domu oświadczając, że: „bez pieniędzy niema pogo przyjeżdżać”.

Rady nie było. Znowu w połowie swoich, w połowie pożyczonych dano 100 zł. dla tymczasowego zaspokojenia, które rzeczywiście zaspokoili dyrekcję na pewien czas. Dopiero na tydzień przed wakacjami, przezornie wysłano go do domu po pieniądze, tym razem grożąc niewydaniem świadectwa w razie nieuiszczenia należności. Pieniądzy nie mieliśmy więc żeśmy nie dali i świadectwo (i tak zresztą niepotrzebne) dyrekcja wstrzymała. Mimo to dowiedzieliśmy się potajemnie, że jest promowany na kurs trzeci. Nie było jednak widoków wysłania brata na niego.

Pod koniec wakacji sytuacja niespodziewanie się zmieniła, bo pewien inżynier agronomji (daleki krewny) zaofiarował bratu pomoc pieniężną na nadchodzący rok szkolny w sumie 350 zł., resztę chętnie zgodziliśmy się dopłacać z własnych oszczędności. Doradził także, by dla oszczędności, pod pretekstem jakiegokolwiek choroby wysłać brata o miesiąc później. Tak się też stało no i zresztą rok przeszedł względnie dobrze.

Na rok bieżący, filantropijna pomoc inżyniera ograniczyła się do 250 zł. więc tembardziej chcieliśmy użyć fortelu i wysłać go rów-

niez o miesiąc później. Dyrektor jednak w obawie by seminarzyści, którzy wzorując się na zeszlórocznej praktyce brata nie zjechali się — udając przez pierwszy miesiąc chorobę, nie ograniczyli mu na przyszłość roku szkolnego do dziewięciu miesięcy, okazał się wielkim formalistą, zapowiedział nieprzyjęcie spóźnionych i tem w dwa tygodnie po rozpoczęciu lekcji ściągnął wszystkich uczniów.

Narazie więc przy pomocy inżyniera, który jako agronom zna i rozumie dokładnie stan gospodarczy wsi brat przechodzi kurs czwarty.

Ale jaki będzie ostatni kurs V tego nikt z całej rodziny dziś by nie odpowiedział. Bez zewnętrznej pomocy musielibyśmy na ten jeden rok nauki, wszyscy nie oszczędzać i formalnie głodować, ale chyba nic nie jadać, by opłacić za niego utrzymanie w internacie, takse administracyjną i inne związane z nauką nieuniknione wydatki.

To też ogólnie, posyłanie ze wsi do szkół średnich — ze względu na wysokość taks administracyjnych i kosztów utrzymania — zostało zupełnie, a szkolnictwo powszechne zostaje coraz więcej ograniczane.

Mówi się o oświacie, pragnie się oświaty — ale skąd pytam — wieś ma ją czerpać! Samokształcenie np. w Kołach Młodzieży jest administracyjnie pilnie strzeżone i prawie niemożliwe.

Rozwiązaniem problemu zaniku właściwego ducha demokratycznego wsi byłyby Uniwersytety Wiejskie. Lecz niestety jeden tylko na obszerną Polskę o własnych siłach Uniwersytet Orkanowy to marne źdźbło w potopie wstecznictwa, a na powstanie większej ilości szkół podobnych dzisiaj słabe są widoki. Budowanie szkół tych nie od władz odgórnych ale od nas samych chłopów dzisiaj zależy.

Gdyby jednak choć odpowiednia ilość była odpowiednich szkół powszechnych uczących dzieci charakterów, ale dzieci w szkołach pow. to papugi potrafiące tylko powtarzać za nauczycielem najróżnorodniejszych typów formułki, a po wyjściu ze szkoły mimo umiejętności czytania i pisania nie jest w najmniejszym stopniu pogłęboko rozwinięte.

Szkoła powszechna swoim programem nie daje przygotowania do życia, a późniejsze zaczątki samodzielnego myślenia bywają przytłumiane przez otoczenie.

Przypuśćmy kto ma wyrość z dziecka, które znajduje się w otoczeniu np. służby folwarcznej, gdzie samokształcenie żadnej niez-

leżnej organizacji nie dotrze. Gdzie ludzie zwykle są raczej manekinami i automatami niż samodzielny ludźmi. Samodzielność, obyczajność i kultura w ludziach folwarcznych stoi zwykle warunkowo niżej niż na wsiach.

Opowiadał mi jeden wyrobnik o swoim pobycie we folwarku. Był tam rok jeden i dłużej nie chciał pomimo, że chciano go zatrzymać. Sprzykrzyło mu się bydlęce traktowanie ludzi i wечно podnosząca się do ust służby łapa starego na pół oślepego dziedzica.

Mówi, że trudniej mu jest zarabiać i żyć na stopie wyrobniczej, ale chociaż jest bardzo biedny czuje się „wolnym człowiekiem” od nikogo niezależnym, gdy w folwarku musiał się czuć „sytem bydlęciem”.

Książek za własne fundusze nie kupujemy żadnych, bo nigdy niema pieniędzy. Choć książki nie są rzeczą zbędną to jednak kupować trzeba i można tylko rzeczy jeszcze niezbędniejsze, związane jedynie z utrzymaniem gospodarstwa.

Rocznie wydaje się tylko przeciętnie 12 zł. na wspólne prenumerowanie gazet. Do tego dochodzi jeszcze parozłotowy wydatek na korespondencję. Natomiast książki do czytania można wypożyczać na miejscu z biblioteki Koła Mł. Wiejskiej „Wici”.

Czasu naprawdę wolnego w gospodarstwie, za wyjątkiem wieczorów prawie niema. A i te niezawsze są wolne, bo darcie pierza, czy choćby robienie mioteł, jest przecież ściśle z gospodarstwem związane, a odbywają się te prace zwłaszcza darcie pierzy tylko wieczorami. Gdy się jednak chce to wolny czas się znajdzie. U nas ogólnie czas ten bywa poświęcany czytaniu gazet lub książek, poza tem u mnie wieczory służą do prac społecznych i różnych zebrań np. Stronnictwa Ludowego, strażackich, a zwłaszcza Koła Młodzieży, którego zebraniom, próbom do przedstawień i innym pracom poświęcam dużo czasu.

Ogólnie biorąc wszystkich gospodarzy, to ich spędzenie wolnego czasu bywa użytkowane na przesiadywanie w sklepie, gdzie wieczorami schodzą się przeważnie pod pretekstem kupienia „machorki”.

I tu rozpacz naprawdę bierze ile na wsi jest do zrobienia, a zrobić tak trudno, lub zgoła zrobić nie można.

Po pierwsze: to ludzie przeważnie starsi od wieków przyzwyczajeni są do zapewnień swoich patronów, że to oni mądrzy, wielcy, jacyś „niedosiężni” myślą o ich losach i czuwają nad ich dobrem.

Po drugie: niema przecież po wsiach świetlic i domów ludowych, gdzie by ludzie mogli się zbierać, a schodzenie się w sklepie, nigdy nie daje zebranych właściwej powagi. To też gdyby w kilku gospodarzach wsi którejkolwiek skoncentrowała się cała mądrość i wiedza życia społecznego, to i tak nie wiele zrobią, gdyż jako znani, miejscowi mieszkańcy zwykle są niedoceniani. Mało dotychczas jest ludzi po wsiach, którzyby „właściwie” wolny czas wykorzystywali.

W naszej wsi odnosi się to tylko do starszych, bo młodzi są zorganizowani w Kole Mł. Starsi książek nie czytają i wogóle mało się interesują wszelkiem czytelnictwem. Dowodem tego jest choćby, że do wsi liczącej sześćdziesięciu kilku gospodarzy, przychodzi za ledwie pięć egzemplarzy różnych gazet, w tem jeden do Koła Mł. Drobnorolni, a nawet wielu zamożniejszych, poza kupnem dla dzieci książek szkolnych na żadne czytelnictwo nic nie wydają. Zamało więc do wsi przychodzi gazet, a gdy jakie się czasem przedostaną, to czytelnicy wyławiają z nich tylko nowiny i wypadki, właściwą myśl oświatowo-społeczną czy gospodarczo-polityczną pozostawiają zwykle nietkniętą to znaczy nieprzeczytaną, nieprzemyślaną.

Tak urabia ludzi dotychczasowa wiejska „inteligencja”. Przeważnie najwięcej na wsi wpływów mający nauczyciele i księża, którzy celowo wyrabiają w ludziach wstręt do polityki i każdego poczynania społecznego.

Gdyby ta „inteligencja”, jakakolwiek ona jest, chciała naprawdę uczyć swe otoczenie, wskazywać mu dalsze mety pracy społecznej i uczyć społeczeństwo myśleć, to byłyby jednak rezultaty.

Ale niestety tak nie jest. Na stu ludzi z tej tak zwanej „inteligencji” jeden lub dwóch są oddanymi wsi społecznikami. Osiemdziesięciu to bezmyślne pędziwiatry, lub zaschłe mózgi, poza program obowiązkowej pracy się nie wychylające, mizantropi, a pozostałe osiemnastu to czynni wstecznicy, pęd zrywającego się młodego życia społecznego tłumiący.

Najtrudniej chyba jest odpowiedzieć na pytanie — ile gospodarstwo daje dochodu — bo któż uwierzy, że nie daje żadnego dochodu, że właśnie daje stratę. A jednak tak jest! Przy dzisiejszych cenach na produkty wiejskie i przemysłowe, doliczając obciążenia

podatkowe, trzeba umiejętnie obliczać, by wystarczyło na jakiegokolwiek życie, a na tem życiu jeszcze trzeba oszczędzać by coś nie coś zostało na ubranie i by nie dopuścić do „zasekwestrowania” krowy za podatek.

Że dziś pracuje się na gospodarstwach za samo liche jadlo, a i to jadlo od ust trzeba odejmować na opłacenie podatków, temu żaden „mądry” „minister” nie zaprzeczy, ani lepiej nie obliczy. Gdyby małorolny gospodarz pozwolił sobie na takie jadlo, jakie ma średni urzędnik, toby w przeciągu dwóch miesięcy przejadł całoroczny zbiór, a pozostałe dziesięć musiałby dziać.

Były pan premier Sławek swego czasu powiedział w Sejmie, że w dzisiejszym kryzysie chłopi powinni „ograniczyć swoją stopę życiową”. Należy wątpić czy znał ów pan Sławek chłopską stopę życiową, którą kazał ograniczyć. Cóż jest do ograniczenia u obdartego i bosego chłopca, żywiącego się wyłącznie kartoflami? Czyż mają ograniczyć ilość zjadanych kartofli? Czy może zaprzestać gotowania barszczu i zastąpić go wodą? — to już chyba niemożliwe.

Jak żyją małorolni i bezrolni chłopi, jak chodzą wynędzniali, głodni i obdarci, dość nie mieszkać z nimi, dzielić ich głód i niewygody, ale zobaczyć raz tylko by poruszyło się każde sumienie.

Niezależnie od chłopów, ani nawet od samej przyrody, żywioty wcisnęły zawsze zresztą biedny lud — w karby jakiejś zachłannej, niewyciężalnej nędzy.

Chłopi to raczej jacyś marzyciele - poeci, którzy nie dla własnych wygod, ale żyją dla kraju. Życie tych mało i bezrolnych ludzi na wsi, których niewidzi rząd, to nie żadna przyjemność, a raczej jakiejś niezglębione piekło czy wieczna pokuta za winy nieopelnione.

Ale taka już ich miłość do ziemi, że chociażby padał z głodu, to żaden nie opuści swego skrawka ziemi. I mimo odżywiania najogólniej wodą i powietrzem, czują jakąś konieczność życia i trwania na swych skrawkach, w ciasnych pomieszczeniach z jakąś nieziszczalną wieczną nadzieją.

W czasach pańszczyźnianych żyli chłopi nadzieją uwłaszczenia. Później uwłaszczeni (przez rządy zaborcze), gdy zaczęła się budzić w społeczeństwie inicjatywa niepodległości, chłopi dając duże ofiary krwi własnej wyglądali wolnej demokratycznej Polski, w której na-

prawdę będzie im dobrze. I teraz też wyglądają lepszych czasów, choć skąd mają przyjść one, lub kto i w jaki sposób dołę ich poprawi — nie wiedzą.

Ale poco sięgać tak odległych czasów. Lepiej było chłopom choćby przed paru latami, kiedy jeszcze nie istniały kartele przemysłowe. Patrząc w opracowane przez p. J. Curzytkę „Badania nad rentownością gospodarstw włościańskich” (sprawozdanie Państwowego Instytutu w Puławach za rok 1926—27) widzimy, że gospodarstwa dawały pewną rentowność, chociaż nawet i wtedy gospodarstwa poniżej trzech hektarów nie wystarczały na pokrycie spożycia i musiano się uciekać do zarobków ubocznych — teraz tych zarobków niema.

Dalej Państwowy Instytut stwierdza, że część płodów rolnych z gospodarstw drobnych była jedynie z konieczności wywożona na rynek. Stwierdził to Instytut Puławski już w roku 1926, a więc w czasie w porównaniu z dzisiejszym bardzo dobrym dla rolnictwa. Dziś dzięki ustosunkowaniu gospodarczemu w Polsce, mimo zmniejszania się nawet obsiewów, podaż płodów rolnych na rynkach wzrasta.

Średnie gospodarstwa włościańskie, które także w części zatrudniały bezrolnych robotników wiejskich, naciskane potrzebami zewnętrznymi, zaoszczędziły przede wszystkim na sile najemnej, a także ponad proporcjonalną możliwość wywiozły na rynek swe płody, zaoszczędzając jednocześnie na utrzymaniu rodziny. Przez to gospodarstwa karłowe oraz bezrolni pozbawieni zostali swych ubocznych zarobków, co przy upadku własnych i tak niedostatecznych warsztatów doprowadziło ich do nędzy.

A gdyby przecież w dzisiejszym czasie siła nabywcza „korca” była podobna przedwojennej, lub przedkilkoletniej i opłacenie podatków nie wymagało sprzedaży np. 10 metrów żyta, a pokryte być mogło pięcioma to oczywiście ja niepotrzebowałbym wykonywać każdej pracy sam, gdy jednocześnie pod bokiem mi mieszkający wyrobnik chodzi zawsze bez zajęcia, „jak pan”. Jednym słowem, gdyby ceny na płody rolne były choć niewygórowane, ale chociaż tylko właściwsze, to choćby jeden z zaoszczędzonych przez wyżkę cen korcy dać za pracę wyrobnikowi, to ten miałby zajęcie i niepotrzebowałby cierpieć głodu, a wielu gospodarzy przez zbytnią oszczędność niepotrzebowałoby w pojedynkę nadciągać swych żył.

Bezrolni w naszej okolicy zaopatrują się w kartofle przez przysadzanie u zamożniejszych po kilka redlin, za które stosownie od umówienia — odrabiają. Każdy jednak chociaż na większym gospodarstwie uciekając od kryzysu robi daleko idące oszczędności i ogranicza „najmowanie” do najniezbędniejszych prac, które wykonują właśnie bezrolni „za przysadzenie” kartofli, fasoli czy kapusty. Resztę każdy stara się robić sam, by jako tako utrzymać wydatki na poziomie dochodu. A bezrolni zaopatrzeni wyłącznie w kartofle, trochę kapusty i fasoli, za które muszą odrabiać w najpopłatniejsze dni pilnych robót, widać z góry, że skazani są na niejadanie nie tylko chleba, gdyż drobne zarobki tylko „wypadkowo” się trafiające, nawet na „sól” wystarczyć nie mogą. W najlepszym razie dochodowość bezrolnych rodzin dopełniają kury, których po kilka sztuk przeważnie trzymają.

Gospodarstwa o niedostatecznej ilości ziemi mają prawie taki sam los. Odrabiają znowu „za konie”, których oczywiście nie trzymają — ale żadnych ubocznych zarobków też nie mają. Jedyne źródłem dochodu są także kury lub w najlepszym razie krowa. Hodowla świń, niby podstawowa gałąź dochodowości o ile ma w takim gospodarstwie zastosowanie to oczywiście w bardzo ograniczonej ilości i wystarczy w pierwszym rzędzie na opłacenie podatków, w małej już części zostając na najniezbędniejszą odzież.

Kilku bezrolnych, których mam na uwadze, od kilku lat oprócz jednej pary trepów rocznie na osobę, nic nie kupują.

Wieś dosłownie się wydiera nie dokupując nowej odzieży.

Ogólnie biorąc poziom życia wsi od lat prawie najdawniejszych, dziś — prawie wcale się nie podniósł, a przeciwnie upadł jeszcze. Poziom życia wsi nie jest nawet poziomem, równa się on czasom z przed stukilkunastu laty, w których wieś pogrążona w niedostatku słabła i z łatwością dawała się chorobom epidemicznie zgarniającym ich życia. Ale wtedy głód spowodowany był nieurodzajem i w mniejszym lub większym stopniu głodowali wszyscy. Dziś — jest głód przy dostatecznej prawie nadmiernej produkcji rolnej i każdej innej. Na tamtym przedwiekowym kryzysie zarabiała jedynie śmierć — na dzisiejszym zarabiają pewni ludzie — kartelowcy.

Gospodarowania dzisiejsze są jedną daleko idącą oszczędnością godzącą w fizyczny rozwój wsi, biorąc pod uwagę niedostateczne odżywianie. W zewnętrzny wygląd osiedli wiejskich, o wałących się pomurszałych domach, których nikt nie buduje ani nie reperuje, z braku środków pieniężnych.

Oszczędności te na najniezbędniejszych rzeczach mają jedynie na celu wiązanie końca z końcem, by nie obdłużać upadających gospodarstw.

Oszczędzanie na gazetach i książkach uderza znowu w rozwój moralny i powoduje zanik ducha i wszelkiej inicjatywy.

Niemożliwym jest snuć jakiegokolwiek plany na przyszłość. U nas w najlepszym razie, wysiłkiem całej rodziny, choć przy oczywiście zewnętrznej pomocy, zapewnia się byt jednemu z rodzeństwa (uczącemu się bratu). Reszta rodzeństwa narazie musi nie myśleć o sobie. Choć każdego osobiście prześladowuje myśl usamodzielnienia się, to jednak widoków, ani sposobów na to niema. Gospodarstwo, jak już pisałem mamy szesnastomorgowe w stanie dzięki obecnym warunkom bardzo niedostatecznym, którego dochód nie pokrywa się z wydatkami, nawet przy wspólnym nakładzie pracy prawie bezpłatnej — bo własnej.

Podział gospodarstwa jest niemożliwy na nieprawdopodobną wąskość i niejednakowość działek, z których sześciu składa się gospodarstwo. Trzy działki są lasu, w tem jedna z kawałkiem pola. Jedna (przy zabudowaniach) ziemia użytkowa z łąką, jedna ziemi ornej i szosta owe pięć morgów odległe o dwa kilometry dokupione przez ojca. Kolonizowanie więc rodziny po działkach ze względu na ich jakość i warunków lokalnych jest niemożliwe, a o spłatach tak licznej rodziny również myśleć nie można, ponieważ gospodarstwo daje raczej stratę niż dochód, a fundusze zewnętrzne np. otrzymane za żoną w najlepszym nawet razie nie pokryją bez ukrzywdzeń spłat sukcesji wszystkich członków rodziny. Wobec czego plany na przyszłość należą przede wszystkim do kwestji poprawy gospodarczej, która niewiadomo kiedy przyjdzie lub jak będzie musiała wyglądać rodzina w chwili jej przyjscia.

Wyjścia z dzisiejszego kryzysowego położenia szuka się w oszczędności. I jeżeli w roku 1926 Instytut Puławski stwierdził przeciętny rochód pieniężny w ciągu roku na osobę około 165 zł., to dziś już ten rochód roczny napewno nie sięga 50 zł.

Dziś dzienny koszt żywienia w wielu wypadkach nie przekracza 30 gr. na osobę.

Naprzykład konsumcja cukru na wsi wynosiła (według Instytutu Puławskiego) w roku 1926 siedem kilo rocznie na głowę, to w roku obecnym przeciętna ilość konsumowanego cukru na wsi na głowę, nie sięga dwóch kilo rocznie.

Gdy w roku 1926 lub 27 za cztery metry żyta można było w zupełności pokryć wszystkie podatki, teraz trzeba w tym samym wypadku conajmniej dziesięciu metrów.

Dzisiejszy poziom potrzeb człowieka wsi jest dziesięciokrotnie większy od możliwości ich zaspokojenia. Włościanin średniozamożny sprzedający w stosunku rocznym dziesięć metrów żyta i przypuśćmy dwie tuczne świnie mógł otrzymać za to w r. 1925 około 800 zł., wobec czego kwestja odzieżowa rodziny była rozwiązana. W obecnym czasie za tę samą ilość produktów otrzyma około 280 zł. co przy stosunkowem zdrożeniu wyrobów przemysłowych częściowo tylko zaspakaja potrzeby rodziny. A potrzeby te wobec takiego stanu rzeczy z roku na rok niedokupywane, niewspółmiernie wzrastają czyniąc upadek gospodarstwa. Rolnik przyplacając głodem w ucieczce przed upadkiem zupełnym swego warsztatu wywozi na rynek za śmieszłą cenę krwawo wypracowane ostatnie korce, ograniczając własne spożycie chleba. Mięso ludzie wiejscy jedzą wtedy, gdy niespodzianie do chlewów wejdzie nieproszona choroba trzody, lub gdy rano wyjmą z pod grzędy na „cholere” drobiu padłą kure.

— — — — —

Kiedyż przyjdą podobne przedwojennym czasy, w których wieś będzie mogła pozwolić sobie na lepsze odżywianie, choćby przez niewyzywanie się dla zdobycia niezbędnej złotówki, resztek chleba, któryby z nadatkiem zjedzony był w każdym drobnem gospodarstwie włościańskim.

Alę przy istnieniu dzisiaj w Polsce około dwustu karteli, rolnictwo niema żadnej racji wyjścia. Dwieście karteli uderza w masę nieskartelizowanego włościaństwa, a rząd zahypnotyzowany tendencją kapitalistyczną, rozbija każdą próbę kartelizacji chłopów. Dowodem utrudniania istnienia niezależnych związków wiejskich np. krępowanie działalności Kół Młodzieży „Wici”, utrudnianie lub niedopuszczania do zgromadzeń chłopskich. Albo próba strajku rolnego, który miał być wyrażeniem protestu przeciwko niskim cenom i nieopłacalności rolnej. Strajk uznano ze strony rządu i wszystkich organów administracyjnych za chęć wygłodzenia miast i nietylko nie postarano się o ujednostajnienie wyższych cen na zboże, ale z całą siłą uderzono w strajk, aresztując tysiące chłopów jako zamachowców na wygłodzenie miast.

Budownictwo w Polsce mające tyle do życzenia w ostatnich latach prawie zamarło naskutek wyzysku kartelu cementowego.

A władze państwa nie uznały tego zamachu na budownictwo, dopiero, gdy (na szczęście) kartel sam się już rozprzągnął, wtyka się ludziom przed oczy jego nieistnienie. Dlaczego jednak rząd nie uznaje zamachu cukrowników, pozbawiających przez swe machinacje dzieci społeczeństwa polskiego niezbędnego przy ich wychowie cukru. Ani nie uznaje zamachu kartelu naftowego, który skazuje na nieoświetlenie swoich mieszkań ludność wiejską. Nie uznaje się szkodliwości kartelu włóknarzy, a wieś musi chodzić w łachmanach. Pozwala się istnieć kartelowi węglowemu, by chłopci nie posiadający torfu musieli wyrąbywać zimą sady i ogrodzenia lub szczękać zębami w zimnych izbach.

Historje wykazały, że wielki dobrobyt szedł zawsze w parze z najskrajniejszą nędzą. Świadczy o tem choćby sam „złoty wiek” przedrozbiorowej Polski szlacheckiej. Wiek zarazem najstraszniejszej kaźni i nędzy chłopca.

Tak jest i dziś. Gdy miliony chłopskie i robotnicze jęczą w uściskach nędzy i niedostatku, to garstki dygnitarzy kartelowych używają i nadużywają życia.

Śmiało nazwać można nadużywaniem i bezczelnością pobieranie po 145 tysięcy pensji miesięcznej przez dyrektorów choćby kartelu węglowego. Ileż setek nędznych rodzin chłopskich i wyrobniczych musi płacić haracz (w postaci drogiego węgla) na takiego jednego hulakę, wywożącego z pewnością ich krwawy grosz polski gdzieś do Szwajcarii, lub na włoski Jasny brzeg.

Jakimkolwiek byłby rząd, to jednak gdyby choć w części zależało mu na sile rolnictwa — obecnego wyzysku kartelowego znieść nie powinien.

Raz z tem skończyć się powinno, przekreślając wszystkie kartele.

Wtedy siłą faktu musiałyby obniżyć się ceny, bo skończyłoby się wypłacanie milionowych pensji kartelowym rekinom-dyrektorom i rolnictwo swobodniej zaczęłoby oddychać.

Zrobić to się powinno jaknajprędzej, ponieważ, gdyby poprawa stanu rolnictwa szła nawet w takim samym gwałtownym tempie jak jego obecna ruina — to i tak do wyrównania potrzeba dobrych kilku lat.

W listopadzie 1933 r.

Pamiętnik Nr. 11

**Muzyk, a zarazem gospodarz
osiemnasto i pół morgowy
w pow. radomszczańskim**

Urodziłem się dnia 25 sierpnia 1872 roku w parafji Z***, zacząłem chodzić do szkoły w roku 1879. Uczyłem się dobrze, nauczyciel mnie zawsze mianował pierwszym uczniem, bo też co dzieci nie mogli zrobić jakiego zadania, lub też odpowiedzieć, to ja zrobiłem i odpowiedziałem, z czego się rodzice moi bardzo cieszyli. Ojciec mnie kochał i zawsze mówił, że mnie będzie kształcił, lecz Bóg zrządził inaczej, bo powołał ojca do życia wiecznego to jest ojciec mój zmarł 4 czerwca 1880 roku. Pozostało nas dzieci dwoje ja mając lat osiem, siostra lat sześć. Ojciec przed śmiercią zapisał całe gospodarstwo na matkę. Matka wyszła zamąż w roku 1882. Gospodarstwo, które było po ojcu sprzedała i pieniądze wziął ojczym i kupił na swoje imię gospodarstwo. Teraz życie wzięło inny obieg, bo latem trza paść krowy a zimową porą dopiero jak jest czas chodzić do szkoły. I przy takich warunkach zaledwie skończyłem trzy oddziały szkoły wiejskiej w Z***. Dalej pracowałem w gospodarstwie przy ojczymie, lecz zawsze nosiłem się z myślą, że kiedyś trza będzie iść w świat, żeby się czegoś nauczyć i przytem na starość z oszczędności byt zabezpieczyć. Odkładałem to z roku na rok, dopiero w dwudziestym roku życia, t. j. 1892 roku 7 maja o godzinie drugiej w nocy obudziłem się i otwarłem do szuflady do stołu, w którym miał ojczym pieniądze i wziąłem sobie na drogę jednego rubla srebrnego, mógłbym być wziąć więcej, bo ojczym miał 230 rubli, lecz ja wziąłem tylko wyżej wspomnianego jednego rubla i włożyłem skromne ubranie oraz bieliznę tylko która była na mnie i udałem się pieszo w podróż do stacji kolejowej, która była najbliższa w Kłomnicach. Zaszedłem na godzinę siódmą rano na stację. Obejrzałem się, w poczekalni nie było żadnego, za chwilę nadszedł urzędnik kolejowy, więc go zapyta-

łem, jak prędko będzie pociąg w stronę Częstochowy. Odpowiedział mi, że za dwie godziny z minutami. Usiadłem na ławce przy stole w poczekalni i dopiero zacząłem myśleć, gdzie mam jechać, do Częstochowy, czy do Zagłębia Dąbrowskiego, bo gdy miałem opuścić dom rodzinny i wioskę rodzinną nie pomyślałem wcale, gdzie mam pójść lub jechać dopiero na dworcu kolejowym w Kłomnicach po krótkim namyśle postanowiłem jechać do Dąbrowy Górniczej, bo wiedziałem, że tam są kopalnie węgla, fabryki, to będzie można łatwiej znaleźć pracę. Wtem przechodzili się kolejarze po poczekalni, doszedłem do jednego i proszę go, żeby mi powiedział wiele kosztuje bilet do Dąbrowy Górniczej. I powiedział mi, że do Dąbrowy Górniczej bilet kosztuje rubel i trzy kopiejki, czym się bardzo zasmuciłem, bo miałem tylko rubla, a trzech kopiejek nie miałem. Teraz pomyślałem, że innej rady niema, tylko trzeba będzie iść pieszo do Częstochowy, a w Częstochowie kupić bilet do Dąbrowy i poszedłem dalej pieszo w podróż. Jednak w podróży rozważyłem, że jak kupię bilet za ostatnie pieniądze, to jak zajadę do Dąbrowy, nie mając ani grosza, to co będę robił, więc postanowiłem iść pieszo do samej Dąbrowy. A nie wiedząc drogi to szedłem po torze kolejowym. Dzień był pogodny, słońce grzało tak, że byłem bardzo spragniony napić się czegoś, lecz wody się bałem, żeby nie zachorować w podróży, kupić mleka czy herbaty żałowałem pieniędzy, bo miałem na myśli, że jak nie znajdę prędko pracy, to może wypadnie i nie jeść. Więc szedłem bez przerwy, aż nareszcie o godzinie siódmej zobaczyłem wysokie kominy kopalń i fabryk. Zapytałem się przechodnia, który szedł naprzeciw mnie, z jakiej miejscowości widać te kominy, wyjaśnił mi że kominy, które widać są w Dąbrowie i innych miejscowości. Ucieszyłem się, że już widzę miejscowość do której mam zdążyć, lecz idę dalej już krokiem wolniejszym, bo mi się zdawało, że już niedaleko. Nareszcie przyszedłem do Dąbrowy, jeszcze przed zachodem słońca, lecz się już miało ku zachodowi. Tu widzę ruch ludzi idących we wszystkie strony, lecz wszystko nieznanym i niema do kogo porozmawiać, tak jak we swojej wiosce rodzinnej. Stałem na boku ulicy zafrasowany, że nawet zapomniałem o tem, że idąc cały dzień nie mając w ustach kropli wody, jak również i kawałka chleba, lecz i w tej chwili nie można myśleć o jedzeniu, bo pierwszym jest znaleźć nocleg. I teraz zacząłem myśleć, gdzie się będzie udać, żeby się przenocować. Wtem mi się przypomina, czytałem adres jednego znajomego z mojej wioski, że mieszka w kolonji Ksawera i zaraz się zapytałem przechodnia, który szedł blisko mnie, gdzie jest kolonja Ksawera i ten mi powie-

dział, że idzie na tę kolonję i poszedłem z nim. Za parę minut już my byli na tej kolonji. Teraz się trzeba będzie pytać o tego znajomego. Co uszedłem kawałek to pytam się przechodzących osób, jednak nie mogłem natrafić ktoby go znał. Dopiero wszedłem do sklepu zapytałem się czy nie znają takiego, wymieniłem nazwisko jego, była w sklepie matka z córką i jednocześnie zaznaczyły, że znają i mieszka w ich domu i wyszły przed sklep i wskazały mieszkanie, w którym mieszkał. Zaszedłem do mieszkania, pochwaliłem Pana Boga, domowi odpowiedzieli. Ja dochodzę do niego witam się, on mnie narazie nie poznał, bo wyjechał z wioski już parę lat, ja będąc jeszcze małym chłopcem. Dopiero mu swoje nazwisko wymieniłem i powtórniemy się przywitani. Gospodyni domu zaczęła się krzątać koło wieczerzy, myśmy zaczęli rozmowę o swojej wiosce rodzinnej kto umarł, kto żyje i t. d. Gospodyni kolację postawiła na stole dla domowych i mnie również zaprasza zaznacza, że z podróży to pewno jestem głodny i naprawdę byłem głodny, bo jak zjadłem kolację przed godziną 9-tą, to dopiero o 9-tej mam jeść kolację, jednak nie wypadało mi się przyznać, że nie jadłem całą dobę, nawet kropli wody w ustach nie miałem. Po kolacji znów zaczęliśmy rozmowę, już mnie poinformowali, gdzie się mam udać za pracą aby iść do biura kopalni Koszelów o godzinie ósmej rano, tam jest urzędnik co stale przyjmuje. Z gospodynią zgodziliśmy się, że mogę być na mieszkaniu u niej i na tym kończąc rozmowę poszliśmy spać. Nazajutrz o godzinie ósmej rano poszedłem do biura kopalniowego w poczekalni czekałem parę minut, wyszedł urzędnik i zapytał kto jest do przyjęcia. Było nas trzech odebrał od nas paszporty napisał nam kartki do doktora i po zbadaniu mamy przyjść z powrotem. Poszliśmy do doktora, doktor nas zbadał kartki podpisał, do koperty włożył i kazał iść z powrotem. Zaszliśmy, oddaliśmy kartki urzędnik przeczytał, ja byłem przyjęty jako zdolny do pracy, zaraz urzędnik dał mi kartkę do magazynu, aby się zaopatrzyć w narzędzie jakie jest potrzebne w kopalni, co najważniejsze lampa górnicza i t. d. i już na drugi dzień mam być na godzinę szóstą rano na kopalni, to jest przy szybie, aby można zjechać do pracy. Dnia 9 maja pierwszy raz mam do roboty iść na kopalnię, trzeba wstawać przed piątą godziną, aby można zdążyć przed szóstą, bo po szóstej godzinie zaczynają wydobywać węgiel. Ja również się zastosowałem do wyznaczonej godziny, zaszedłem na kopalnię pod szyb i jeszcze czekałem 20 minut zaczym ludzie mieli jechać na dół. Teraz już przyszedł czas na ludzi, żeby jechali do roboty. Klatkę nastavili, sygnalista dał znać, żeby siadać i ja wsze-

dłem z innemi, sygnalista zadzwonił na maszynistę że gotowe i za dziesięć sekund jesteśmy na dole, w głębokości 250 metrów. Tu znów sygnalista zadzwonił żeby stanąć i zeszlśmy z klatki. Od szybu szła droga główna, którą my się udali, szliśmy około pół kilometra dopiero inne drogi się rozchodziły w różne strony. Przy drogach rozstajnych czekało kilku ludzi, jak również i mnie zaznaczyli, że tu muszę zaczekać, bo tu jest stalunek, tu przyjdzie sztygar i naznacza gdzie kto ma iść do roboty. Zaczekaliśmy kilka minut, przyszedł sztygar i wyznaczał nam roboty, mnie kazał iść ładować węgiel do wozów na numer 136, bo w kopalni są wszystkie roboty za numerem porządkowym. Zaszedłem na numer wyznaczony, tam już było dwóch górników, wiercili dziury w węglu, ja nie miałem co ładować, bo dopiero górnicy muszą węgla urwać strzałami. Więc stałem przy nich przyglądałem się jak wiercą, oni zaś mnie pouczają jak się na kopalni pracuje, wiele trzeba wozów węgla naładować za dzień, wozy sobie trza przypchać i naładowane odepchnąć w wyznaczone miejsce. Teraz trzeba będzie pracować w pocie czoła, bo w każdy dzień naładować 24 wozy węgla, po sześć korcy w każdym wozie, co stanowi 144 korce trza naładować codziennie. To jest praca ciężka, wynagrodzenie było po cztery kopiejki od woza, czyli za dzień zarobiłem 96 kopiejek, co stanowiło sześć złotych i sześć kopiejek rosyjską monetą i tak pracowałem rok o chlebie i czarnej kawie, z czego zaoszczędziłem 150 rubli za jeden rok. Ten pierwszy rok był dla mnie w lochach podziemnych ciężki i bardzo smutny, bo wciąż miałem na myśli wioskę rodzinną i patrzałem się na nią.

Tam w mej wiosce, jest ten siny bór kochany,
I codzien się patrzę na te pola na te łąny,
A toć patrzę na przedziwne, ozłoczone słońkiem zboże...
Przecież tego niema w mieście, a w kopalni być nie może.

Tam w noc cichą, letnią nockę, coś gadają z sobą drzewa,
Tam w noc cichą słowik swoją najcudniejszą piosnkę śpiewa,
Tam w noc cichą sierp księżyca nad chatyma płynie, płynie...
Tu w kopalni dym kłębisty od wybuchów śpi w dolinie.

A gdy znowu świt się wzbudzi, to w mej wiosce na zagonie,
Každy listek, každy maczek w rozpylonej tęczy tonie.
Toć się wsłuchaj, jak w twej wiosce, jak po rosie echo niesie,
Świergot ptaków, brzęk owadów i szemranie listków w lesie.

A tu w kopalni tylko się słyży strzały z prochu i dynamitu, któremi górnicy rwią węgiel i inne kamienie i jak sam węgiel trzaska, gdy pęka przez ciśnienie z góry, tu trzeba pamiętać, żeby nie podejść tam, gdzieby można życie przyplącić. Teraz postanowiłem po roku czasu odwiedzić swoją rodzinną wioskę. Poszedłem do biura i zameldowałem, że chcę do rodziców jechać na dwa tygodnie czasu. Dostałem urlop i 25 maja 1893 roku ujrzałem swoją wioskę do której tak tęskniłem. Tu się czułem, tak jak dawniej, wszyscy mnie witali mile, lecz dnie prędko schodzą. Pieniądze, które miałem zaszczędzone 150 rubli ulokowałem w kasie gminnej i po dwóch tygodniach wyjechałem z powrotem do pracy na kopalnię, lecz już nie pieszo tylko koleją i znów zacząłem pracować drugi rok, tak samo jak pierwszy. Lecz drugi rok był dla mnie cięższy, bo na kopalni są roboty różne, są roboty, co jest bardzo gorąco i duszno, że trzeba z górnej połowy ciała zdjąć ubranie, nawet i koszulę i cały dzień pracuje się tak, że pot oczy zalewa. Drugie roboty są bardzo w zimnych miejscach. Jeden miesiąc pracowałem w takim miejscu, że się woda zgóry lała stale i w wodzie trzeba było stać cały dzień, dwa tygodnie pracowałem przy ogniu, gdzie można tylko wytrzymać 5 minut, a najwięcej 10 minut, jeden sam może wyjść po paru minutach, drugi upada, inni go wyciągają i odprowadzają na miejsce chłodniejsze i lepsze powietrze, przychodzi do przytomności to z powrotem idzie do roboty, bo w tej robocie się zmieniają po parę minut. Ja również upadłem trzy razy bez przytomności, bo chciałem wytrzymać więcej jak 10 minut. Więc przechodząc takie roboty codzien kilkakrotnie sobie zapłakałem, gdym się oddalił od współpracowników i spoczywałem pod węglą skałą, lub kamienia. I teraz zaczynam myśleć, jakby się kiedy zwolnić z tej ciężkiej pracy i lochów podziemnych, tu przewidziałem, że innej rady niema tylko się trzeba czegoś nauczyć, ale do wszystkiego trzeba mieć szkołę, czyli wykształcenie. Tak poszedłem do nauczyciela i poprosiłem go, że mam życzenie się uczyć, żeby chociaż dwie klasy skończyć, na co się chętnie zgodził. I teraz dopiero zaczyna się praca, bo w kopalni się pracuje dwanaście godzin, jedną godzinę lekcji u nauczyciela, dwie godziny w domu się uczyć, więc razem 15 godzin trzeba będzie pracować dziennie. Nauka mi szła bardzo dobrze, tak że wszystkie lekcje zadane odrabiałem z łatwością i tak się uczyłem 15 miesięcy. Teraz mój nauczyciel zaznaczył że mógłbym z łatwością zdać do trzeciej klasy i proponował mi, żeby się dalej kształcić. Lecz mnie się nasuwała myśl, żeby się muzyki uczyć, bo od dzieciństwa lubiałem śpie-

wać, gwizdać i muzykę nad wszystko. Tak poszedłem do składu instrumentów i kupiłem kornet. Teraz miałem pieniędzy zaoszczędzonych 200 rubli, więc 150 rubli odwiozłem do kasy gminnej w swej wiosce, odwiedziłem rodziców, krewnych i znajomych i po pięciu dniach wróciłem do swej pracy do kopalni. Zadowolony jestem, że w kasie już mam ulokowanych trzysta rubli, mam instrument kornet. Ale terazby trzeba poszukać nauczyciela muzyki, żeby się uczyć grać na kornecie i znalazłem. Nie był to muzyk z zawodu, lecz wiedzę muzyczną posiadał obszerną, więc się chętnie zgodził dawać lekcję mi jednak z wynagrodzeniem. Przeuczyłem się miesiąc nuty i dziełnie, które mi tłumaczył zrozumiałem dobrze, po miesiącu ów nauczyciel podupał na zdrowiu, nie mógł mi udzielać lekcji dalej. Ja postanowiłem teraz sam się uczyć dalej, kupiłem podręcznik czyli szkołę na kornet i zacząłem sam grać jak rozumiałem, powtarzałem setki razy jeden numer, czyli ćwiczenie. Za pięć miesięcy przegrałem pierwszą szkołę, kupiłem drugą część i gram dalej po całych wieczorach, lecz byłem u ludzi na mieszkaniu, byli to ludzie dobrzy, jednak widziałem ich niezadowolone, bo granie na trąbce to się prędko uprzykrzy, jak również i dla mnie nie było wygodnie, bo ja chciałem się wieczorem dłużej uczyć, a ktoś śpi to nie można przeszkadzać. Więc postanowiłem wynająć mieszkanie sam, aby się można uczyć wiele mi się będzie podobać i wynająłem mieszkanie u tego samego właściciela gdzie mieszkałem i zaraz kupiłem niektóre sprzęty domowe, które były niezbędne. A teraz się dowiedziałem, że w Hucie Bankowej w fabryce żelaznej w Dąbrowie Górniczej przyjmują ludzi do roboty, postanowiłem opuścić kopalnię, a przejść się do fabryki. Poszedłem do kantoru, wyciągnąłem paszport i poszedłem do fabryki i zostałem przyjęty. Doktor po zbadaniu uznał mnie za zdolnego do pracy i dnia 26 sierpnia 1894 roku zacząłem pracować w fabryce. Jeden miesiąc pracowałem, gdzie kogo brakowało, czyli byłem na zastępstwie, po miesiącu mnie przedzielili do oddziału mechanicznego. Majster mnie przeznaczył do kuźni za pomocnika kowalskiego i teraz już wiem, że mam stale walić młotem dzień za dniem, jednak się czułem lepiej jak w kopalni bo przynajmniej widzę światło dzienne. Wynagrodzenie przyznaczono mi na pierwsze 90 kopiejek na dzień. Teraz wziąłem się za pracę sumiennie, bo sobie pomyślałem, żeby wkrótce się nauczyć za kowala, a wieczorami uczyć się muzyki i tu już rozumiałem, że z każdym dniem to mi się lepiej gra. Tylko co miałem mieć wygodniej, jak będę mieszkał sam, to znów nowe przeszkody, bo przychodzę z fabryki to trzeba iść do sklepu przynieść

coś na kolację, w mieszkaniu posprzątać i t. d. to zajmuje wiele czasu lepiej byłoby się uczyć. Co teraz robić? Tu postanowiłem się ożenić, żona się zajmie domem, ja pracą i wieczory będę miał wolne do nauki. Przyszedł do mnie kolega, z którym żeśmy kiedyś mieszkali i mówi mi, że w niedzielę pojedzie do Częstochowy, bo siostra mu przysłała list i prosi go, żeby przyjechał, bo mają w tą niedzielę zanieść na zapowiedzie. Ja go poprosiłem, żeby mi ten list pokazał, on wyjął z kieszeni list i dał do przeczytania. Ja przeczytałem i zastanawiałem się nad każdym słowem i zdaniem i mówię do niego ja twojej siostry nie widziałem na oczy jednak z tego listu mi się spodobała, ona tu pisze że ma wychodzić zamaż, więc jedź do Częstochowy i przytłumacz siostrze, żeby się wstrzymała do drugiej niedzieli, to w drugą niedzielę pojedziemy i jak się poznamy i spodobamy się to zaniemiemy na zapowiedzie i po ogłoszeniu zapowiedzi naznaczymy dzień ślubu. I tak się stało, kolega pojechał, siostra jego się zgodziła wstrzymać do drugiej niedzieli, ja zajechałem i w jednej godzinie żeśmy się poznali i na zapowiedzie dali. Dzień ślubu nazaczyliśmy dnia 5 października 1896 roku. Posagu żona dostała 250 rubli, które włożyła do kasy oszczędnościowej w Będzinie i są do dnia dzisiejszego w tej kasie, a żona ma książeczkę tylko od swego posagu. Ja przepracowałem trzy lata jako pomocnik kowalski, a teraz majster mnie zapisał na listę jako kowal i teraz już pracuję za kowala aż do 1898 roku i w tym roku w miesiącu październiku kułem żelazo pod parowym młotem, kleszcze mi pękły, ja zawołałem na tego co kierował młotem żeby stanął, lecz jeszcze uderzył trzy razy i w tym żelazo uderzyło mnie w głowę, ja upadłem na ziemię i zaraz stanąłem na nogi, nie wiedząc co mi się stało. Zaraz robotnicy, którzy byli blisko, wzięli mnie i zaprowadzili do doktora, przy opatrunku majster się zapytał doktora, jakie jest skaleczenie, odpowiedział, że jest niebezpieczne, bo jest czaszka złamana, z której nawet trzy kawałki kości odłamane wyjął. Ja to słyszał i rozumiał, lecz pomyślałem sobie, że on jest głupi, bo mnie nic nie będzie. Teraz mnie zaprowadzili do szpitala, w którym byłem sześć tygodni, jak byłem już zdrowszy to poprosiłem doktora, żeby mnie zwolnił do domu, co chętnie uczynił, jednak z warunkiem, że mam co drugi dzień przychodzić na wizytę i całe sześć miesięcy chorowałem. Dopiero po sześciu miesiącach poszedłem do pracy, ale już nie za kowala, tylko za ślusarza i znów zacząłem się starać, żeby poznać ślusarstwo. Kupiłem zaraz książkę przewodnik ślusarski, abym mógł prędzej się poznać z konstrukcją maszyn i w krótkim czasie opano-

wałem maszyny, które były w warsztacie, tak że mogłem pracować na każdej maszynie to jest na tokarni, heblarni, fryzmaszynie, sztosmaszynie i t. d. I teraz mnie mianuje jako starszego majster, żeby doglądać maszyn i obuczać innych. Lecz teraz byłem na koncercie orkiestry z Werku Milowickiego, spodobała mi się bardzo i postanowiłem, że muszę w tej orkiestrze grać, bo mi się zdawało, że to co ta orkiestra gra to i ja zagram. Więc poszedłem do kapelmistrza, że gram na kornecie powiedziałem mu i kazał mi przyjść na próbę, zaszedłem i dał mi taką rzecz, którą ja umiałem grać, więc mu się spodobałem i przyjął mnie do orkiestry i jednocześnie do pracy. Innego miejsca nie było tylko za kowala, niebardzo chętnie przyjąłem to kowalstwo, lecz cofać się nie wypadało. Teraz znów pracuję za kowala i gram w orkiestrze. W tym samym roku był konkurs orkiestr, na którym braliśmy udział i orkiestra w której ja grałem wzięła pierwsze miejsce. Teraz mnie poznał kapelmistrz orkiestry kopalni Kazimierz i postanowił, że mnie musi dostać do swojej orkiestry, przysłał po mnie muzykanta, żebym przyszedł do niego. Poszedłem, on mi zaraz zaproponował żeby opuścić fabrykę, a przyjść na kopalnię, że jakie wynagrodzenie będę chciał to takie mi dadzą, więc się zgodziłem przyjść na kopalnię i za trzy dni już pracuję na kopalni, jako górnik przy budynku (czyli budowacz). Tu mam więcej swobody, wynagrodzenie dobre. Teraz postanowiłem muzyki się uczyć dalej, żebym mógł na wszystkich instrumentach grać. Poszedłem do składu i kupiłem skrzypce, poprosiłem kapelmistrza, żeby mi napisał gamę i teraz sam zaczynam grać, tylko mi idzie łatwiej, bo już na kornecie umie, dzielenie znam dobrze, teraz to tylko żeby skrzypce opanować. Kupiłem szkołę i za dwa miesiące łatwiejsze rzeczy już mogę grać, a za rok to już grałem z orkiestrą. A teraz za oszczędzone pieniądze kupuję instrumenty muzyczne i nuty najśłynniejszych kompozytorów i gram na różnych instrumentach to jest skrzypcach, wielonczeli, kontrabasie, kornecie, flecie, klarncie i t.d. i teraz już daję innym lekcje, dalej kupuje szkoły różnych autorów i koncerty wszechświatowych muzyków i ćwiczę wieczorami do najpóźniejszej godziny. Teraz zobowiązałem się orkiestrę uczyć zespół dętych instrumentów i lekcji prywatnych mam tyle, że mi czasu brakuje. Więc musiałem pracę na kopalni opuścić, a tylko się zająłem muzyką i powodzenie mam dobre i teraz zacząłem udzielać lekcji śpiewu dzieciom w szkole i znów postanowiłem się kształcić w śpiewie, kupiłem podręcznik śpiewu, drugą książkę

przewodnik śpiewaka, nie tracąc czasu jednej minuty, tylko się ucze-
śpiewać i grać, dalej założyłem orkiestrę smyczkową, z którą po
niedługim czasie miałem uznanie w całym Zagłębiu. Jeszcze mnie
niepokoi, bo jeszcze nie umiem grać na fortepianie więc postano-
wiłem kupić fortepian lub pianino i nadarzyło mi się pianino i ku-
piłem i znów zadałem sobie wiele pracy zacząłem się nauczyć grać
na pianinie, lecz jestem zadowolony, bo opanowałem grę fortepia-
nową i mam trochę pojęcia o organie. I do samego wybuchu wojny
europejskiej wyszkoliłem kilka orkiestr, z którymi występowałem
na koncertach, na zabawach i teatrach. Orkiestry przeze mnie wy-
szkolone miały uznanie i zajmowały pierwsze miejsca, ja zaś jako
kapelmistrz ciesząc się dobrą opinią i powodzeniem. Lecz wojna
wybuchła europejska i wszystko się skończyło. Przez dwadzieścia
lat zajmowałem się nauką, jak również i pisanie nut, pisałem
partytury na orkiestry dęte, smyczkowe, fortepian i organy. W swo-
im repertuarze miałem zgórą pięć tysięcy utworów, własnej kom-
pozycji trzysta utworów. Teraz wojnę przewidziałem, że będzie parę
lat, więc postanowiłem jechać do swojej rodzinnej wioski tylko już
nie sam, a raczej z żoną i dziećmi. Więc nająłem furmankę i rze-
czy, które niezbędne zapakowaliśmy, resztę rzeczy się zostało. Te-
raz Sosnowiec trzeba było pożegnać i ruszać w podróż. Dnia 22
sierpnia 1914 roku jesteśmy w mojej rodzinnej wsi a żona jest
urodzona w Przyrowie z domu Kapkowskich. Mieszkanie wynaj-
ąłem i narazie jesteśmy w porządku, po tak długoletniej pracy mam
spoczynek bo niema co robić tylko się patrzy jak wojska maszerują.
Ale trzeba pomyśleć jak się będzie żyć dalej, gdy pieniędzy zabraknie.
A rodzina moja składa się z siedmiu osób, to jest trzech synów
i dwie córki, to na utrzymanie potrzeba dosyć poważnej sumy. Tak
widziałem zapotrzebowanie wódki, tylko niewiadomo gdzieby można
dostać, więc poszedłem do Sosnowca pieszo, bo kolej była zajęta
przez wojska niemieckie, więc cywilnych ludzi nie zabierali. Do
Sosnowca przynosili wódkę z Galicji, więc kupiłem i przyniosłem i za
jeden dzień sprzedałem i zarobiłem dwadzieścia rubli i zaraz posze-
dłem po drugą i dalej chodziłem stale, bo uważałem, że się opłaci.
Jednak to nie było tak łatwo, bo po obliczniu podróży, to w dwóch
miesiącach robiłem 528 mil i tak cały 15-sty rok trza było podróżo-
wać, dopiero w końcu roku założyłem szkołę w sąsiedniej wiosce
w Rogaczówku i znów zacząłem uczyć dzieci, przyczem mogłem
trochę zarobić na utrzymanie domu. W początku 1916 roku pozna-
łem się z administratorem majątku Rędziny, także w sąsiedniej wio-

sce, który mnie się sam zapytał wieleby kosztowało założyć orkiestrę. Objąsnilem go i zaznaczyłem, że to będzie łatwo założyć, bo ja mam wszystkie instrumenta jakie będą potrzebne, tylko ich mam w Sosnowcu, ale jak pan ma życzenie założyć orkiestrę to ja ich sprowadzę o ile się zgodzimy. Więc omówiliśmy warunki i zaraz poszedłem do Sosnowca po instrumenty, tylko znów pieszo musiałem sprowadzić. I teraz się znów wzięłem za muzykę jak dawniej, założyłem również smyczkową orkiestrę, która zasłynęła w czterech powiatach i istnieje dotychczas i ma dobrą opinię. A teraz w 1918 roku nawiedził wieś Żytno pożar, który zniszczył większą połowę wsi, więc ja tu padł ofiarą, bo mi się nuty spaliły wszystkie, które pisałem przez dwadzieścia lat i były tygodnie takie, że się nie rozbierałem do spania, tylko pisałem całe noce, więc moja praca poszła z dymem, i prócz tego spaliło mi się kilka sztuk instrumentów muzycznych, szkoły na wszystkie instrumenty, podręczniki krakowskiego konserwatorium i inne rzeczy. Za sprzedane instrumenty kupiłem sześć i pół morgi ziemi podłejnej, w 1920 roku kupiłem z parcelacji folwarku dziewięć mórg, ziemi ornej siedem mórg, a dwie morgi łąki. Dalej kupiłem dom drzewiany i trzy morgi ziemi podłejnej. Więc razem posiadam 18 i 1/2 morgi, ziemia orna jest lekka może być tylko żyto i kartofle, ziemia podleśna bardzo licha. Więc teraz poświęciłem się rolnictwu, pracuję sumiennie i obliczam ściśle swoje gospodarstwo wiele daje przychodu rocznie. Za rok 1931-szy — 404 zł. 88 groszy, za rok 1932-gi — 584 zł., za rok 1933-ci — 645 zł. A w gospodarstwie pracuje trzy osoby cały rok stale, więc za rok 1931-szy za pracę dla jednej osoby wypadnie 101 złotych 62 grosze, za rok 1932-gi — za pracę dla jednej osoby wypadnie 194 złote 66 groszy, za rok 1933-ci — za pracę dla jednej osoby wypadnie 215 zł. Więc każda osoba ze swej sumy ma się wyżywić cały rok i ubrać, a skąd wziąć pieniędzy na reperację narzędzi rolnych i z czego zapłacić podatek. W roku 1932 sprzedałem krowę średniej jakości i nie starczyło na podatek. Ja nie mam zaległych podatków, wszystkie reguluję, ale nie z gospodarstwa bo jak dawniej tak i po dziś dzień dają lekcję muzyki. W dzień pracuję w polu, wieczorem piszę nuty na orkiestry i tu już w czasie wojny i po wojnie zdążyłem wyszkolić sześć orkiestr. Gdy kupowałem ziemię, to mi się zdawało, że sobie byt na starość zabezpieczę, teraz widzę, że rolnik niema zabezpieczenia bytu. Dotąd niema człowieka, żeby zajrzał do wiejskiej chaty rolnika, żeby się przekonać, jak on pracuje i jak żyje. A teraz zaznaczyć mi wypada, że w roku b. skończyłem 61 rok życia, czuję się silnym

zdrowym i nie odczuwam żadnego zmęczenia w pracy ani w podróży. W roku 1932 odbyłem podróż do Częstochowy pieszo, 42 km, w jedną stronę za sześć godzin i z powrotem tego samego dnia, 42 km. za siedem godzin, więc 84 kilometry odbyłem w jednym dniu za trzynaście godzin i w roku 1933 te same podróże odbyłem i w tych samych godzinach, następnego dnia, jak zwykle poszedłem do pracy. Podróże te odbyłem jako próbę, czy jeszcze mam siłę taką, jak w młodszych latach. Chorób żadnych nie przechodziłem, lekarstw żadnych ani jednej kropli w ustach nie miałem. Trunków alkoholowych nie używam, tytoniu czyli papierosów od dzieciństwa nie palę, więc jednego grosza zapracowanego na te zbytki nie wydałem, ale za to mam instrumentów muzycznych kilkadziesiąt i nut wszechświatowych muzyków i w bibliotece książek różnych autorów. Odżywiam się pokarmami przeważnie nabiałowymi, mięsnych potraw używam rzadkością, wody z górą czterdzieści lat ani kropli nie piłem, jak również żadnych zimnych napojów. Teraz co najważniejsze, do czego tylko w życiu zamierzyłem, to i zdążyłem, bo zawsze postanowiłem, że muszę to zdobyć, a nigdy nie wątpiłem, jak tylko przyszedłem do rozumu, to zawsze wierzyłem, że tylko przez pracę osiągnie szczęście ten, kto do tego szczęścia dąży, więc ja zdążyłem, jestem zadowolony, mam spokój sumienia, zdaje mi się, że posiadam wszystko to co chciałem i co mi jest potrzebne bo zawsze miałem na myśli, żeby mieć swój kawałek ziemi, bo jest najpewniejsze i żaden mnie z niej nie wypędzi. Kończąc swą przeszłość życia dotychczasowego potwierdzam, że wszystko co posiadam zdobyłem przez pracę sumienną i wytrwałą *).

*

*

*

Chciałbym jeszcze dodać swoje przeżycia od dnia 15 lipca 1920 roku, w tym dniu i roku kupiłem z rozparcelowanego folwarku Pławidła 9 mórg ziemi, czyli 7 mórg ornej ziemi, a dwie morgi łąki, bo wojna europejska wykazała, że tylko na roli można ciężkie czasy łatwiej przeżyć. Więc teraz zacząłem pracować jako rolnik na swej ziemi, chcąc doprowadzić do kultury gospodarstwo, ale nie mam żadnych narzędzi rolnych, ani też konia, żeby można uprawiać ziemię, więc narazie trza do roboty najmować, a płacić od roboty nie było czym, bo moje gospodarstwo nie dawało dochodu takiego, żeby można zapłacić za wynajęcie koni do roboty, więc

*) Dalszy ciąg został nadesłany później jako uzupełnienie.

ja musiałem się zająć muzyką, jeździć po okolicznych wioskach, grać po weselach i zabawach, żeby można zarobić na płacenie od wynajęcia koni do roboty w gospodarstwie, jak również zapłacić podatki. Dopiero za trzy lata zaoszczędziłem trochę pieniędzy, kupiłem konia, wóz nie nowy tylko używany, i pług, resztę narzędzi kupowałem stopniowo. Nareszcie doszedłem, że już mam wszystkie narzędzia rolnicze, teraz zacząłem ziemię uprawiać coraz lepiej. Teraz trzeba stosować sztuczne nawozy, wziąłem za 240 złoty na weksel w sedykacie, prawda popatrzeć było na polu urodzaj był lepszy, ale gdy się sprzątało z pola, to odrazu produkty rolne spadły, że jak obliczyłem to byłbym musiał sprzedać wszystko żyto, żeby zapłacić za nawozy weksel na 240 zł., a ja w tym roku tylko sprzedałem dwa metry żyta, za które wziąłem 28 zł., natomiast kupiłem jeden metr pszenicy i jeden metr jęczmienia, więc ja na swoim gospodarstwie muszę dokupować żywności. Teraz trzeba kupić świnię, może się co zarobi, tak kupiłem za 60 złoty, trzymam 10 miesięcy, ładnie się chowa, ale słyhać, że świnię staniały i co tydzień to tańsze, a ziemniaki drożeją, więc trzeba świnię sprzedać, zaprowadziłem na jarmark, co przyjdzie rzeźnik to daje tylko 60 złoty, ja się oburzyłem i świnię przypędziłem do domu, i teraz postanowiłem zabić i zjeść, w tym przychodzi sołtys i woła podatku, teraz co robić zabić, czy sprzedać i zapłacić podatek, ale żona się nie chciała zgodzić żeby zabić, tylko sprzedać, i przeszedł tydzień, zapędziłem na jarmark, i teraz jeszcze świnię staniały, i musiałem sprzedać za 55 zł. bo trza było podatek zapłacić. Teraz co robić?, na świniach niema żadnego interesu, bo trzeba jeszcze do świni dopłacić. Więc trzeba krowy lepiej odżywiać, to mleka będzie więcej i za masło będzie dochód co tydzień pewny, tak zacząłem krowy lepiej odżywiać, lecz z ołówkiem w rękę, utrzymanie dziennie krowy kosztowało 2 zł. 73 grosze, krowa zaś wydawała dziennie masła pół litra, masło spadło do ceny wprost śmiesznej, bo za litr 1 zł. 40 gr. więc i tu niema wyjścia, bo gdyby był zbyt na mleko, toby się jako koniec z końcem związało, lecz Żytno leży od miasta Radomska 25 kilometrów, a na wsi niema zbytu na mleko, bo każdy ma swoje, a chociażby niemał to też i pieniędzy niema na mleko, więc do czego się posunęłem, to co powinim zarobić, to mam stratę, teraz do tego krowa przy ocieleniu mi się zmarnowała, trza pieniędzy pożyczyc i kupić drugą, i dopiero szukać poza domem zarobku żeby dług oddać, uszło rok i 6 miesięcy, druga krowa niemoże się ocielić, sprowadziłem doktora z Radomska powiatowego, i uznał że jest zapasio-

na, i innej rady niema, tylko trzeba ciele rznąć i po kawałku wydo-
stać. I po takiej operacji krowa się zmarnowała, i teraz trzeba pie-
niędzy pożyczyć i kupić krowę i dopiero pracować dzień i noc, żeby
długi oddać. Ale niewszyscy mają sposobność, żeby mogli zarabiać
po za domym, i wypłacać długi w gospodarce i regulować podatki.
Bo przy obecnych warunkach jaki jest spadek produktów rolnych,
w porównaniu do produktów przemysłowych, (a zwłaszcza kartelowy-
ch), rolnictwo nie wytrzyma, musi brnąć w długi coraz większe,
i z nich nie wypłynie, dotąd, dokąd niebędą ceny uregulowane. A co
się dzieje z drobnorolnikami, jeszcze raz powtórze, że niema czło-
wieka, któryby zajrzał do ich chaty, i przekonał się jak oni żyją,
czym się odżywiają, jak się ubierają i jak wyglądają, to ja moge
stwierdzić, bo jeżdżę po czterech powiatach i znam ich życie. Są ro-
dziny że jaki rok długi, to nie widzą kawałka mięsa, ani też słoniny,
ubranie niemożna poznać z jakiego towaru jest, wygląd ich — twa-
rze cera blada wynędzniałe, przeważnie dzieci, widać że wszystko
gruźlicą zajęte, i z takiej młodzieży mają wyrość ludzie, którzy mają
stanąć w razie potrzeby w obronie państwa, jednak jest człowiek
jeden życzliwy, że nie oszczędza swej pracy, odwiedza najbiedniej-
szych, a mijają bogaczy. Ale kto to jest? jest to pan sekwestrator,
przychodzi także do mnie, w miesiącu październiku w roku bieżą-
cym, ja miałem Fajerkase zbożową za rok 1932-gi płacić, już miałem
obliczone, 11 zł. 95 groszy, daje mu upomnienie żeby obliczył, to
zapłać, i naliczył mi 14 zł. 80 gr., ja mówię tyle być niemoże, to on
mi mówi żeby się nauczyć liczyć, to ja zacząłem jeszcze liczyć tylko
z pamięci, ale mi wyszło tak jak pierw, mówię powtórnie że tyle
niebędę płacił, to p. sekwestrator się oburzył i zaczął liczyć i znów
naliczył 12 zł. 95 groszy, i mówi że się omylił, ja mówię dlatego że
się pan myli, to ja panu nie zapłać, tylko pójdę do gminy i pie-
niędze wyślę przez pocztę do Łodzi, dopiero wziął upomnienie i obli-
czył tyle wiele ja liczył, to jest 11 zł. 95 groszy zapłaciłem. A jak
zachodzi do takich ludzi co nie umią liczyć, taki p. sekwestrator, jak
im policzy i jak z nich ściągnie. W pierwszym piśmie zakończyłem
że jestem zadowolony, i spokojne mam sumienie. Więc jestem zado-
wolony, lecz nie z obecnych czasów, tylko że mam zdrowie takie dzi-
siaj w 61 roku życia, jak miałem i w 30-stym roku życia, i nie od-
czuwam żadnego zmęczenia, w żadnej pracy, i pracuje nadal wy-
trwale bez narzekań.

Dn. 28 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 12

**Dawny obieżysas, obecnie gospodarz
na sześciu morgach w pow. łaskim**

Bardzo mi przyjemnie, iż słyszę, że są i u nas ludzie tacy co im leży na sercu niedola mas biedujących, niedola ludu pracującego, niedola chłopca rolnika polskiego. A tembardziej, iż mają na myśli stworzenie jakiegoś pamiętnika chłopca polskiego, więc i jabym też rad do tego wielkiego dzieła dorzucić choć parę słów, tej chłopskiej i czysto polskiej prawdy, bo do tego czasu to już przeczytałem też parę polskich książek, ale tak one były zawsze jednostronnie pisane, że coś okropnego. W innych państwach Europy Centralnej, w których ja miałem sposobność przebywać, więc widziałem też ich książki, to były pisane tak sobie więcej ogólnie i bez żadnej choćby najmniejszej krytyki jakiejś klasy, czy to biednej, czy bogatej, tak mniej-więcej umiarkowanie, jako przystoi na ludzi demokratycznych pojęć, a u nas wogóle co widziałem to książki pisane przez możnych tego świata i wychwalające zawsze tylko księży, biskupów i wielkich panów i ich dzieci, a co o chłopie to nie było w nich nigdy nic poważnego, tak jakby chłopca i robotnika na świecie wogóle nie było, tylko żyli w Polsce sami panowie i magnaci, oraz prałaci. A jeśli się coś znalazło o chłopie, to zawsze z wielką krytyką, czy to było pisane mową zwykłą, czy wierszem, albo jaki rysunek przedstawiający chłopca rolnika, czy robotnika, to tak zawsze niezgrabnie i zgarbionego siedem razy krzywego i tak zawsze nędznie ubranego i obutego, tak jednym słowem powiedzieć ubrało go się w największy model krytyki. A jeśli się pisało o panie Wielmożnym to tak ładnie brzmiał ten jego życiorys przez całe jego życie i jego podobizna tak ładnie była narysowana, jeszcze po śmierci pisali o nim, że cuda czynił, a o chłopie to za życia nie było co pisać, a po śmierci ktoby go tam do nieba wpuścił, lub zapisał w poczet jakich świętych, a ja wam to

chce skreślić parę słów z twardego życia chłopca, oraz robotnika polskiego i wiernego bardzo żołnierza swej ojczyzny R. P. Polskiej i człowieka demokratycznych pojęć. Nie będę wam tu szanowni czytelnicy pisał, jako historyk, lub poeta, jakiś powieściopisarz wielki uczony, ponieważ nim nie jestem, więc niech was to nie dziwi lub obraża, że zacznę wam tu pisać czystą chłopską taką twardą robotniczą prozą, jak umiem mówić, takim samym akcentem pisał wam będę sz. czytelnicy, gdyż szkoły żadnej nie posiadam, jestem samoukiem, tak wam tu mówię szczerą prawdę, że czytać to mogę bardzo dobrze nawet w obcych językach, lecz charakter pisania to mam trochę zaślaby, gdyż jak na mnie samouka, to panowie raczą wybaczyć za to nie mogę, że los państwa i społeczeństwa się tak razem jakoś złożył, iż moje rodzice należeli do tych szeregow biednych robotników łódzkich, a ja ujrzałem światło dzienne w ich otoczeniu.

Urodziłem się w mieście Łodzi w dzielnicy Widzewskiej, ojciec mój był biednym robotnikiem podwórzowym w fabryce Hejnzla i Konicera dawniej, a obecnie W. M. Kon i matka moja także sama ciężko pracowała razem z niem, a o dzieciach to tam nie było mowy, żeby ich nauczać bo na szkoły nie starczyło na prywatne, a państwowych szkół nie było tak wiele, rzadko kto był tym szczęśliwcem co się do szkoły zmieścił. Nas była rodzina liczna bo aż dziesięcioro dzieci nas było, więc tylko jeden brat najstarszy trochę szkoły liźnął, a my wszyscy to tak, jak kto mógł tak żył, brat starszy nam tak trochę, jak się to mówi, takich korepetycyj udzielał, ale to wszystko zamało, bo on sam też czasu nie miał bo musiał chodzić do pracy na pół dniówki, połowa nas wymarła z dziesięciu zostało nas pięcioro wraz ze mną, jest nas trzech braci i dwie siostry żyjące. Jakiśmy trochę dorosli do lat, ojciec i matka mogli już nas zostawiać samych w domu, to matka wtedy na stałe poszła pracować od nas, bo ojcu było za trudno na dom samemu pracować. Dopiero nam się zmieniło, jak nas dwoje dorosło i zaczęliśmy domowi pomagać pracą, wtedy to matka nasza zaczęła też trochę robić oszczędności, bo było więcej grosza w domu, lecz długo to nie trwało, bo przyszły czasy podłe, czasy represji carskich, ci co dziś są ubóstwiani i noszą różne ordery, co to niby Polskę wywalczyli wtenczas sprowadzali do Łodzi całe setki kozaków i we swoich fabrykach ich koszarowali dlatego, że robotnik łódzki myślał o Polsce Niepodległej, wtenczas to im się mocno nie podobało, bo robotnik zaczął się organizować, więc się wzięli za rękę kler, burżuj i biurokrata i zaczęli szpiclować klasę robotniczą przed urzędnikami carskimi, na każdym kroku był szpicel i poli-

cjant no i nahajka stałym gościem była i rewizja często u nas, bo czuli, że pracą organizacyjną żywo się zatrudniamy, bo nas już było dwóch młodych zdolnych dryblasów w domu, trzęśli rewidowali w dzień i w noc za bronią i ulotkami co Polskością pachniały, musieliśmy być z tem bardzo sprytni, żeby nas nie powiesili, jak naszych kolegów co byli ślamazarni w tych sprawach. Matka nasza zaczęła się bać o nas bo rozumi się było czego się bać. Bo wtenczas sz. czytelnicy za takie rzeczy czekała kara śmierci zaraz. Ojca naszego nazywali zawsze oni miatieźnik i niebłagonadioźnyj i grozili śmiercią p. Moskale. Matka nasza w obawie o nas zaczęła ojca namawiać i wtedy wyjechaliśmy na wieś, nawet że trafiła się okazja kupienia ziemi kawałka, było tego dziesięć morgów, lecz niekoniecznie dobra ta ziemia była, bardzo mokra a nabyta była z folwarku na wypłat od pana dziedzica z parceli na Bank Państwowy na raty na lat 50 aż. Choć czasy były rozumie się nie takie jak dziś uparte, lecz początek owego dla nas gospodarowania był dość ciężki na tej ziemi, choć to nie kosztowała tak drogo bo tylko cztery ruble na morgę dał, czyli że na dziesięć mórg dał 40 rubli i dostał tytuł własności za to i 18 rubli co rok w dwóch ratach wiosną i jesienią dawał, lecz i z tem było też nielekkko bo i budynków nie było, bydła ani nic, ja widząc te stękanie ojca mego, który mi ani ubrania ładnego ni butów dać nie może, więc postanowiłem ulżyć domowi swemu, postanowiłem wyjechać w świat dla chleba i dalszych praktyk życiowych, z domu od swoich. No i wyjechałem najsamprzód do Niemiec, tam niby dla poprawy bytu sobie no i rozumie się domowi swojemu też, lecz długo się tem nie cieszyłem takim wolnym lataniem bo minął szybko jeden rok i drugi aż tu jeszcze lepszy kawał na trzeci rok. Zaczęła się wojna europejska, znów jestem skrępowany jeszcze gorzej, zaczęła się naprawdę istna niewola dla nas polaków, tam nas poczytano za niewolników bez żadnych praw, robić kazali bez wytchnienia nawet i w święta, błyszczał nad nami bagnet i knut niemiecki gwizdał stale, o platę nie wolno się było pytać, ani o jedzenie tylko robić kazali i koniec, więc człowiek, który się o co upomniał zaraz był poczytany za buntowszczyka. Cierpiałem, jak mogłem, lecz to było nie do zniesienia bo w dzień robie, a w nocy to za jakim pożywieniem człowiek chodził po ciemku, ostrożnie, żeby go kto z Niemców nie widział, bo rano zaraz knuty i żandarm bierze okutego w kajdany i prowadzą do więzienia, bo to wielki zbrodniarz w nocy poszedł w pole do kopca kartofli i przyniósł sobie parę kilo do jedzenia bo nie mógł wytrzymać z głodu, a robić to kazali mocno bez szemrania, może was tu

sz. czytelnicy zapoznać jakie to było jedzenie i z czego ono się składało, z piętnastu kilo kartofli takich jakie popadły zgniłe ze ziemią, nieraz mokre, śmierdziały jak gnój, ale na wagę kładli, żeby się nie obzał polak i pół litra mleka odtłuszczonego i cztery funty chleba i to na kartki sobie kupić sam musiał, ale wiecie sz. czytelnicy z czego się ten chleb składał tam, zaraz was tu szanowni czytelnicy objaśnię, czystego chleba to cywil nie widział, a zwłaszcza obcokrajowiec tylko taki co się już składał ze samych takich, jak się mówiło wojennych takich mieszanek, jak hubin, słomiana mąka z trocin z drzewa i perzu, korzeni trawy, kreda i kasztany i czort wie co było i kartofle w dodatku, to sobie to wyobraźcie sz. czytelnicy, jaki to był apetyt do jedzenia i jaki to miało smak i jakie zdrowie potem było i siła do pracy, nawet koszuli czem nie było wyprać, bo mydło było z gliny wcale się nie szumiało i to jeszcze na kartkę, taki kawał co się w rękę schował na dziesięć dni, buty papierowe zaraz zaczęli robić. Nici papierowe, też były i ubrania, garnitury, kapelusze i pończochy, worki, bielizna, słowem wszystko było papierowe co tylko człowieka otaczało, jeszcze jak co chciał kupić to pozwolenstwo od wójta być musiało i jeszcze stare rzeczy musiał pokazać jemu na przykład, stare spodnie jemu pokazać, czy są należycie zużyte podług prawa, a wtedy dostał pozwolenstwo na drugie z papieru, jeżeli kto umarł to nie wolno było jemu dać ubrania, nawet tego papierowego tylko zwyczajnem papierem okryć i pochować tak więcej nic, wogóle i za granicę rejonu swego miejsca pracy nie wolno było wyjść naprzykład na drugą wieś, do sąsiada też nie wolno bez pozwolenstwa było pójść, ani do kościoła, ani do miasta, słowem nigdzie nie wolno bez pozwolenstwa było pójść. Formalna niewola była. Na każdym kroku chodził Niemiec i wypytywał o przepustki i różne takie pozwolenstwa stale się rozlegał nad człowiekiem taki głos paskudny: Halt-Auswais-Chartu, ole Rusebandę i t. d. Z początku ludzie zaczęli się szarpać, oburzać, strajkować, próbowali szukać sprawiedliwości, lecz cóż nie każdy znał ten barani język dobrze, i nie mógł się nigdzie wytłomaczyć w żadnym urzędzie niemieckim, a zachodziła nieraz konieczna tego potrzeba, bo przytem prawie rozkiełznanem to lada Niemiec lada dzieciak szwabski, przy każdej małej okazji rzucał się na polaka i poniewierał go, a ten nieszczęśliwiec jeżeli chciał natręta odpędzić to zaraz się znalazła cała kupa za niem Niemców i już pogrom jest gotowy na polaku, i zaraz żandarm przyszedł sprawę na miejscu on sam rozsądził, ale zawsze za tem Niemcem, polak racji nie miał, i rezultat był z tego taki, że jeszcze polak poszkodowany

i poturbowany do więzienia poszedł, bo sprawa była nie o to, że się Niemiec unosił nad polakiem, a on się bronił, tylko o to, że polak nawymyślał Niemcom i całemu ich państwu, a on jest u nich przecież niewolnikiem to na to mu nie można pozwolić trzeba mu pokazać niemiecki respekt tutaj, płakał gorzko i narzekał nasz brat polak w tej niewoli niemieckiej na los swój. Bolało mnie to i bardzo gryzło do głębi serca bardziej, jak drugich polaków co nic nie rozumieli. Ja jako starszy bywalec niemiecki już doskonale władałem językiem ich, więc jeszcze bardziej się o mnie wszystko owadzało, przy każdej okazji ludzie się nasi do mnie zwracali, aby się za nich wytłumaczyć i t.d. coś dopomóc nawet i ten Niemiec też do mnie się nieraz zwracał, żeby się za kogoś wytłumaczyć, a to jest rzecz najgorsza proszę was szanowni czytelnicy — jaka może być w życiu ludzi uciśnionych, bronić drugich, a samemu nie posiadać do tego prawa, więc się zawsze sam ofiarą pada wprzód, jak on sam, właśnie los taki spotykał mnie prawie zawsze, bo jako polak chcąc ulżyć swej nacji polskiej, gdyż znałem język, więc mimowoli i prawie zawsze ten obowiązek na mnie wchodził bo to była sprawa swej grupy, zawsze trzeba było solidarnie występować w obronie prawa Polskości poniewieranej, więc się tej roli podjąłem, pisałem różne podania zażalenia i różne prośby do starszych wilków skargi na młode jego wilki, chodziłem jako delegowany przez swą grupę po różnych landratach policjantach i general-komandach oraz Byzyrkkomando, a rezultat z tego był taki, że ja sam się najczęściej dostawałem do ula za to że szukałem sprawiedliwości dla siebie i innych. Porządnie mnie tam nieraz wyszanowali nie będę wam tu szanowni czytelnicy szczegółów tego przejścia opisywał, jak to tam się ze mną obchodzili w tem niemieckim więzieniu tylko wam tyle powiem, że jak wyszłem nazad na wolność to niby co się tylko tak nazywała wolnością to się musiałem uczyć jeść i chodzić także samo, a pamiątkę tego to mam do dziś na swem zdrowiu i musiałem tam nazad wracać skąd wyjechałem do tego samego znieprawionego pracodawcy tego gnębiciela ludu, a czy myślicie, że sam powracałem, nie, dla mnie zawsze do towarzystwa był żandarm niemiecki, jeszcze z psem i to nie małym, a takim prawie jak on, jak się jemu co nie podobało to oddał sprawę psu do załatwienia i wtedy człowieku rozmawiaj z nim jakim chcesz językiem chyba psiem, bo inaczej nie wiesz, jak i co masz począć z tem zwierzęciem, a ono przecież rozkaz spełnia swego pana. Ale to jeszcze nie koniec, jak mnie przyprowadził do pana pracodawcy, pan ów mnie pokwitował, żandarm kwit schował do teki, a pan pracodawca,

jak mnie przywitał to myślałem, że już ani jednego zęba w ustach nie mam i objawiłem się zaraz na ziemi, w tem on mnie kopnął parę razy, gdzie popadło w głowę i t. d. Potem mi powiada ty polski psie, a ty gdzie żeś chodził ze skargą na mnie, więc tę zapłatę masz za to ode mnie i faktycznie on to zrobił bo na pierwszym sądzie telefonował do mnie, zawołano mnie do telefonu, abym ja pana przeprosił, bo go swem postępowaniem obraziłem, to on mnie z więzienia każe wypuścić, a ja mu na to odpowiedziałem, że prawdziwy polak nikogo nie przeprasza, ani łask nie żąda, a ja właśnie nim jestem i honoru swego nie splamię takim psem niemieckim. Na te słowa to jak się rozwściekli to mnie zeżreć chcieli i za to popadłem jeszcze większą karę i do osobnej celi się dostałem, ponieważ przedtem siedziałem w ogólnej, więc to mi wyczytał mój pan i kazał mi odmaszerować do kompanji moich towarzyszy pracy, jak mnie zobaczyli to płakali nade mną, bo mnie ledwo poznać mogli tak mnie tam wyszanowali w więzieniu. No bajka myślę sobie jestem na wolności już, to jakoś będzie, położyli mnie do łóżka moi koledzy i krzepili czem mogli, bo robić nie mogłem, byłem więc bardzo chory, a mój pracodawca stale przychodził mnie wyganiać do pracy, ja mimowoli sprzykrzyło mi się już to krzyczenie, pomaleńku wstałem, poszedłem do pracy po paru tygodniach, jak to długo trwała ta praca nie pamiętam, lecz się ani dobrze nierozpatrzyłem znów te same zajście między nami i mój pracodawca często mnie wołał do kantoru, aby mnie obić przy pomocy buchalterji, lecz ja na to nie pozwoliłem, żadnego razu im się ta operacja nademną nie udała, więc jednego razu przysłała po mnie mój pracodawca, abym szedł do kantoru więc idę i tym razem patrzę stoi żandarm dobrze mi już znany i powiada mi, iż z rozporządzenia Landrata zabiera mnie do Łagrów wojennych jeńców. Zgoda powiadam jedziemy, bo cóż mam mówić, jestem w niewoli, rozkaz, jedziemy, przywiózł mnie do jakiegoś lochu, ogrodzenie całe z drutu kolczastego, jeszcze warta stoi wokoło dosyć gęsto wojskowa. Rzuciłem okiem dalej na wzgórzu stoi armata lekkiego kalibru, a bliżej parę karabinów maszynowych w pogotowiu również Maksyma 0.8. Zbliżyliśmy się do tego piekła, brama wielka i dzwonek; mój ten pan żandarm zadzwonił raz! dwa! bramę prędko roztworzyli i pan żandarm mnie pokwitował w ręce komendanta ostrego pogotowia, czyli małego oddziału żołnierzy z białą bronią, odprowadzili mnie do komendanta prędko i energicznie zdali raport ajn, Ruse, Hijer, więc spisali ewidencję i do baraków, patrzę! a tu!! kolegów rozmaitej branży, polaków, ruskich, belgów i francuzów rój!

Ludu i wojskowi i cywile rozmaici. Ludzie przylatują do mnie nawet i faktycznie znajomi i koledzy, ten ów się pyta o tamtego, zaczyna się powitanie, graby sobie ściskamy i aż miło mi się zrobiło, na chwilę zapomniałem, że jestem w niewoli, widząc kolegów przy sobie, ten to tamten co innego, jako stali bywalcy tutejsi objaśniają, co który może i co wie aby mnie o wszystkim dobrze poinformować i szefa baraku pokazują, to to, to owo było już późno zagasili światło, poszliśmy spać. Nagle obudził mnie dzwonek taki dosyć głośny, był to już czas do wstania pytam się co on dzwoni, koledzy mówią na kawę śniadanie, biorą takie drągi i ceber czyli taka beczka już gotowa, niosą kawę i pod komendą za ogonkiem rozdają. Zobaczyłem tę kawę już jej miałem dosyć, koledzy piją mnie też zachęcają, że dobra, ale ja ten smak to już nosem poczułem, bo tą beczką to wszystkie potrawy nosili, no bajka, przychodzi obiad w takim samym porządku, przynoszą taką bryję bo niewiadomo jak to nazwać takie coś z liści burakowych, koledzy jedzą i mnie też zachęcają, żebym ducha krzepił bo powiadają widzisz tam przez to okno na wzgórkach te parę drzewek, jak nie będziesz jadł to tak jak tamci zemdlejesz i wyniosą cię na takiej tradze, tam już nas tysiące leży i tak to było tam prawdziwie. Codziennie paru żeśmy tam wynieśli na ową górkę i zakopali, jak nie z naszych baraków to z drugich i następnych. Proszę was, jaki tam był smród w tych barakach, brud i wszy do jasnej cholery. Ustęp był jeden taki okropny dół dla wszystkich i z takimi drągami do siadania jak grzęda dla kur, jak kto słaby tam poszedł co już długo tam był i osłabł z tego jedzenia to, jak go ten gaz zaleciał to się zakołował i wpadł tam w ten dół i koniec tak, że pojęcie przenosiło w jakich warunkach tam był lud trzymany. Kto tego nie widział to nie może mieć o tem najmniejszego pojęcia bo ja to tylko tak w skrótach o wszystkim opisuję wam, potem jak brakło liści buraka to jakieś ryby nam dawali śmierdzące nieskrobane, tak jakie były porąbali i do kotła, jak się ugotowały to jak zaczął mieszać tym czerpakiem, lał jak komu co popadło jednemu same gnaty, lub same flaki, a jak nie to same uszczki masz polak żryj jak chcesz, a fertyg i tak z tobą będzie tu. Ja widząc to wraz z paroma kolegami postanowiliśmy za wszelką cenę się stąd wydostać, no i okazja się nam nadarzyła. Przyjechał jeden pracodawca amator na polaków, to my owszem i pojechaliśmy z nim, tam wszystkie warunki przyjęliśmy chętnie, aby jakoś przeżyć tę biedę niemiecką. Z początku było galancie, lecz po paru tygodniach nasz pracodawca pokazał czem właściwie jest, był jeszcze gorszy, jak ten pierwszy, co u niego pracowa-

łem, no ale to bajka przecież jesteśmy na wolności, już warta nie stoi nad nami, karabinów niema i armaty też nie. Będzie rada, pracowaliśmy, żeby sobie zapracować na ubranie, żeby nas Szwaby nie mogli tak prędko poznać, żeśmy polacy i dalejże myśleć o zrzuceniu jarzma z siebie. Postanowiliśmy uciekać, ale gdzie, niema gdzie więc za granicę trzeba zaraz, jeżeli się uda nam tylko, i tak żeśmy zrobili wybraliśmy się tak we dwóch nie dopoznania i dalej na próbę, a nasi koledzy mieli za nami zamiarować za tydzień jechać, szło nam doskonale, wydyktowaliśmy przez Westfalję do Francji, bo do Polski niema sensu bo tu są przecież Niemcy. Na zło, że przed odjazdem dostaje list od kolegi z Westfalji, który ma te same plany co i ja prawdopodobnie jeszcze lepsze i pewność do samej granicy Francji i proponuje nam abyśmy do niego tam wstąpić mogli, pojedziemy razem, my owszem odpisaliśmy, oznaczyliśmy dzień i godzinę spotkania na dworcu kolejowym, on mieszka blisko kolei ja zaraz myślałem jechać po spotkaniu się z nim, ale on nam radził przenocować do rana i dawał pewną gwarancję bezpieczeństwa u siebie i owszem było, tylko że tam było rozporządzenie, żeby każdy człowiek wszystkie swoje ruchy, przyjazd i odjazd meldował do trzech godzin, jeżeli tam się będzie zatrzymywał, a myśmy przyjechali na wieczór i spaliliśmy do rana, więc szpicel to widział bo ich tam było do cholery i zadzwonił do policji, że tu nocowali tacy, czy się meldowali, okazało się że nie, więc po sprawdzeniu do nas idą, myśmy zjedli śniadanie i ruszamy w drogę, a policja już w korytarzu i tajny z nimi i nas pokazuje, że to ci panowie przestąpili prawo, że się nie meldowali przez całą noc, więc nas biorą na biuro meldunkowe, a my ani żadnych papierów ze sobą nie mamy więcemy z miejsca wsiąkli odrazu, jesteśmy w ich rękach, kolega ten miejscowy się wytłumaczył bo on tam mieszkał i na ten czas wziął sobie zwolnienie, a my poczytani za szpiegów wojskowych i osadzeni w więzieniu wojskowym w Gelsenkirchen i nam mówią, że nas czeka sąd polowy za wałęsanie się po miastach, gdzie Niemcy wyrabiają materiał wojenny, jako szpiegdy, tak nam oświadczyli na pierwszym sądzie, lecz pogoń za nami dała wyjaśnienie kim jesteśmy i to dzięki temu nie poszliśmy pod sąd polowy, lecz pozostaliśmy w więzieniu. Ubrali nas po wojskowemu i razem z temi dezerterami niechętnymi do służby, ćwiczyli i mordowali nas, jeszcze w stosunku do nas byli gorsi jak do nich, przy wydawaniu jedzenia tak nas krzywdzili, że okropność ja nie mogłem znieść tego dłużej, jednego razu przy wydawaniu jedzenia oblałem mordę ukropem gorącym i dawaj lać po ślepiach

tego szwaba, tą aresztancką miską po mordzie i t. d. Przyleciała służba i rozpedzili nas, jego wzięli do lekarza mnie zaś do karcu ciemnego na ostry areszt na chleb i wodę w dwóch dawkach jeden litr wody i jeden funt chleba, o 9-ej godzinie rano pół funta i pół litra wody i o 4 godzinie popołudniu pół funta chleba i pół litra wody dawali i bez łóżka i koca i żadnego do usiądzenia stolka, wszystko to na ziemi posadzce jeszcze pokrytą wodą, żeby się nie położyć czasem, i tam w tym grobie żywcem pochowany byłem sześć tygodni nie licząc wolnej kary i myślałem, że już skonam bo czułem się mocno słabym, lecz na moje szczęście wybuchła rewolucja i nas tam wszystkich uwolniła wraz ze mną. Jednego dnia o świcie małym usłyszeliśmy straszny krzyk i hałas, jakiś suchy trzask, łamanie gnatów, to była melodia naszych kluczników i usłyszeliśmy nieznane nam głosy po niemiecku, wolność i nagle roztwieranie do cel naszych i rozkazy wypuszczać i roztwierać drzwi i wypuścili nas i oświadczyli, że już naszych gnębieli niema, poczęści nie żyją, lub okiełzani przez prawo, a teraz rzekli pójdziecie z nami razem i będziemy razem stanowić wspólny i nierozzerwalny Soldatenrat na cośmy również zgodę złożyli swoją, a oni wręczyli nam broń, w rękę karabiny i przykazali bić wiele się da byłych carskich służalców, który nie podda się prawu Soldatenrat i dostaliśmy opaski czerwone na ręce z czarną pieczęcią S. R. i każdy dostał pałkę gumową (gómiszlak) wtedy to duch mój naprawdę ożył i poczuł wolność i nadszedł dla mnie prawdziwy dzień zapłaty bo i sędzią byłem też sam, a nauczyli mnie doskonale ludzkości, więc wtedy im odpłacałem, taką samą miarką im mierzyłem, jak oni mnie, a moi towarzysze nieraz mi mówili, że jeszcze zamało i robili za mnie poprawki na nich na rozmaitych burżujach, biurokratach i oficerach, bo mówili tak, że to oni na placu Fryderyka w Berlinie głodnych wystrzelać kazali, jak się gromadzili głodne matki i dzieci małe, co mieli na wojnie braci i ojców i żądali chleba i wynieśli czarną chorągiew bo ich głód dziesiątkował wtedy to ich władca Wilhelm II-gi kazał się zgromadzić im na drugi dzień i dał im wszystkim ołowiu tak co wystarczyło, bo wzięli tak na krzyżowy ogień z karabinów maszynowych, wtedy jak się wieść pomału rozeszła, więc się załamał duch psiej wierności dla Wilhelma II-go i naród zaczął rzucać broń w kraju i zaczęły się załamywać wszystkie fronta na polach bitwy i wojsko wracało do domów i wieszalo swych dawnych władców i gnębieli i wtedy stworzył się ten Soldatenrat i ja wówczas kształciłem się na żołnierza polskiego i wyrabiałem sobie ducha i hartowałem ręce, a gumy

i ołowiu też nie żałowałem komu należało, bo taki rozkaz był od komendanta S. R., jeździłem rozmaitemi pociągami po całym państwie niemieckim wzdłuż i wszerz na wszystkie strony, lecz się niezaklimatyzowałem u Niemców, bo mój duch tęsknił do Polski i ojczyzny mojej, a gniazda swego rodzinnego oraz pracy u siebie w Polsce, bo ja rozumiałem jeżeli wolność nastaje tu, to tam należy jej dopomóc u nas w Polsce, bo tu to tylko jest dla mnie czas porachunków osobistych moich, a nie prawa i porządki zakładać, więc się razu jednego stawiłem przed komendantem S. R. *) i mówię, że jestem Polakiem z Kongresówki rodem, pracowałem wierne teraz nasza praca jest na ukończeniu, więc proszę ja was o zwolnienie, ponieważ ja bym jechał do domu zobaczyć sobie. Mój komendant owszem uznał za rację, żądania moje uwzględnił i dostałem zaraz dokument podróży wraz z żoną i dziewczyną polską, jako ja sam. Jechaliśmy do Polski kochanej nam ojczyzny, żonę zostawiłem w domu zaraz po kilku dniach, a ja do biura P. O. W. w Łodzi i owszem zaraz mnie przyjęli, trzy dni urlopu do domu pożegnać się i odjazd bo wojna, powiadają trzeba walczyć teraz o wolność narodu polskiego, z sercem rozpartem od radości ja przyjąłem to do wiadomości i pierwszy raz po polsku wyrzekłem rozkaz polskiej komendy, bo to było moim dążeniem od dziecka. Przyjechałem do domu i pożegnałem swą rodzinę wraz żonę z dzieckiem, co miało już pół roczku na rękę z matką i uśmiechem na ustach żegnało ojca na wojnę. I przykro mi to trochę było, myślałem sobie może ostatni raz ich przed sobą widzę, młoda żona i takie małe dziecko, ojca mieć nie będzie, ależ trudno tłumaczyć sobie, ojczyzna w potrzebie wielkiej mnie woła. Prawda wielka sama mi na myśl przychodziła że los mój przeklęty jest, iż od samego dzieciństwa taki ten żywot prowadzę w ugnębieniu i nigdy nie wypoczywam, a może mnie już tak w tej burzy mogiła pokryje ciemna i nigdy prawdziwej wolności i spokoju nie zaznam, lecz serce moje było spragnione wolności nieosobistej, lecz całego narodu polskiego i całej Polski od morza do morza.

Ja nie płakałem, jak to robią rekruci dziś, ja raczej śpiewałem, odjeżdżając na bój, szalon naszego pociągu cały był od końca do końca umajony zielenią i pieśni polskie unosiły się niby jaka prośba do Boga i jako okaz hartu ducha tej wielkiej polskości i wierności i tego młodego rycerstwa polskiego. Takiego ducha nie zobaczy

*) T. j. Soldatenrath — rada żołnierska.

Polska!! już tak prędko, jak wówczas był w całym narodzie polskim, bo ten naród, bo ten lud polski, myślał z tej krwi przelanej chłopa i robotnika i za te trudy i znoje głód i chłód i te wszy co go tak mocno żarły, wyłoni się Polska ta prawdziwa i namacalna na każdym kroku dla wszystkich ojczyzna, że będzie ucieczką biednych i uciśnionych i prawdziwą matką dla polskich dzieci, że okryje je i przygarnie pod swoje skrzydła, że nie będzie głodnych i uciśnionych w Polsce, bo tak było przepowiedziane i to imieniem państwa i Rządu, imieniem deklaracji praw człowieka obywatela, imieniem Konstytucji Polskiej dla wszystkich obywateli równość i wolność. Ja zanim się doczekałem uniformu od państwa to zdarłem dwa ubrania cywilne, jedną parę kamaszy i parę butów i sześć par samej bielizny, jedną czapkę i kapelusz i to niech się wam nie wydaje dziś śmiesznem sz. czytelnicy, że ja piszę o kapeluszu w wojsku, bo ja faktycznie wtenczas stałem na posterunku w kapeluszu i karabin na drucie, lub kawałku sznurka nosiłem i byłem naprawdę pośmiewiskiem, lecz ja na nic nie uważałem, a raczej byłem dumny z siebie, że jestem budowniczym Polski, że jutro każde będzie jakiś postęp ku lepszemu robić, taki był duch we mnie i w całym narodzie i w ludzie polskim, bo wtenczas to duch narodu zwyciężał, on naprawdę wszędzie, gdzie tylko uderzył bo nie był zatruty, jak dziś bo narodu duch zatruty to się nazywa bólów ból!! ja nie służyłem dla pensji ani orderów żadnego nie mam, tylko parę ran dostałem od wojny i nabawiłem się wielkiego przeziębienia nóg, które po trzykrotnej operacji jeszcze mi chcieli odjąć, lecz na to się nie chciałem zgodzić, wybierałem raczej śmierć, niż kazać odjąć obie nogi i nareszcie mi wygoili, skrzyżowałem Polskę od Karpat aż pod Kijów i z powrotem było więcej złego, jak dobrego sz. czytelnicy, lecz ja tu tylko tak krótko opisuję bo gdybym chciał wszystkie szczegóły opisać, toby dziesięć zeszytów było zamało do tego, a ja w tym jednym tylko wam chcę pomieścić, pomagałem we wszystkich rodzajach broni ciężkiej i lekkiej, wszędzie szedłem na ochotnika, gdzie tylko było potrzeba do jakiej nowej formacji, bo wszystko to dla mnie było miłe i zajmujące i wielkiej wagi, a największy pociąg miałem do kawalerji i w której to formacji dokończyłem wojny i pożegnałem swojego karego Eskimosa i wróciłem do cywila do żony i swej małej Andzi, która mnie ani już nie chciała przywitać ponieważ miała już bezmała cztery latka, a ojca nie znała swego bo był na wojnie i jej także nie znał. Nareszcie się oswoiła i przyznała za ojca swego, ale na fotografii jeszcze spoglądała i mówiła, że tatuś na wojnie jest, miło mi było, żem wojnę zakończył

i wytrzymałem do końca i przy życiu jestem, a że zdrowie jest zrujnowane to już mniejsza o to, w cywilu się odprężnię to do zdrowia się przyjdzie, długo nie odpoczywałem zaledwie trzy dni, poszłem się zameldować do oficera ewidencyjnego czyli P. K. U., a tu powiada oddaj ubranie państwowe, ja owszem lecz żądam swego ubrania cywilnego ale! o tem to niema tam mowy wcale tylko dawaj, ja się tłumaczę, że nie mam innego ponieważ zdarłem na wojnie co tylko miałem w domu, a teraz skąd ja wezmę przecież ani pracy nie mam ani pieniędzy na kupno ubrania, krzyczą na mnie jak warjaci, powiada mi jeszcze po rosyjsku w! a skażi! czto naszo! Kartkę dostałem z prolongatą na trzy dni i wypychają mnie za drzwi i ani słowa więcej, poszłem więc szukać pracy bo i w domu niema zaco żyć i t.d. Poszłem do Łodzi, znam ją przecież doskonale boć to moje gniazdo i strony rodzinne wiem gdzie i co można znaleźć, lecz ja teraz nic jakoś znaleźć nie mogę zacząłem od tych największych, aż do tych najmniejszych, obeszłem wszystkich Szajblerów, Konów, Grohmanów i jaśnie tate Poznańskich Gajerów i wszystkich Szmulów i Srulów wiele ich tylko w Łodzi jest i dla mnie wojaka polskiego nigdzie nie było nic, wszędzie każdy Szajbler zapytuje mnie, gdzie ja byłem do tego czasu, ja na to, że byłem na wojnie, przecież pan... mundur widzi, gdyż ja walczyłem za Polskę, proszę dowód i t. d. i t. p. to on mi każe pójść do komendanta Piłsudskiego, żeby mnie dał pracę i t. d. takie to miałem uwzględnienie, jako żołnierz i budowniczy Polski od naszych panów fabrykantów, więc poszłem znów po biurach pośrednictwa pracy i szukałem i prosiłem bodaj na wyjazd zagranicę, bo dla mnie przecież niema Polski, ani ojczyzny matki i żadnej opieki nademną niema ani prawa też żadnego nie mogę znaleźć, więc chodzę codzień na biuro i pytam o jakie tam zapotrzebowanie do pracy, nareszcie więc przyszło, ale do Francji na górników, ja więc bez namysłu jestem górnik, aby tylko jechać i pojechałem na zborniak do Mysłowic podpisać kontrakt, tam najgorszem było dla mnie podpisać pod tym warunkiem, że pracodawca nie bierze na siebie odpowiedzialności w razie wypadku na morzu; bo ja właśnie miałem jechać morzem nie lądem, ależ to przecież nie sam ja, tylu ludzi jedzie, więc podpisałem więc jedziemy do Gdańska i dalej, w Gdańsku czekał na nas Kentucki statek dość duży wojenny francuski, wsiedaliśmy na niego cały dzień, było nas samych mężczyzn do kopalń zaangażowanych 1800, a kobiet 800 samotnych do roli i 150 żon i matek z dziećmi, co jechali do mężów swych, którzy już przed nami powyjeżdżali. My górnicy zajmowaliśmy czwartą klasę, kobiety trze-

cią, a drugą i pierwszą ludzie wolni nieobjęci kontraktem, pasażerowie do Ameryki i t. d. Pod wieczór już dwa holowniki pomogły nam wyjść z portu na pełne morze, nasz Kentucki pożegnał się z nami za pomocą syreny swej i dalej, a było to już jesienią, morze podrażnione nie lada, nawet o burzę nie jest trudno wtedy i nas też burza nawiedziła na Atlantyku i chciała zatopić, dwie godziny staliśmy na kotwicy, aż wreszcie nam wydali wszystkim korki ratunkowe, nasz Kentucki prosił o pomoc, na skutek nawoływań radiowych przyszły dwa duże statki angielskie, nasz cały personel był gotowy do wszystkiego i dwie szalupy były spuszczone na morze, a my wszyscy byliśmy zmoczeni doszczętnie, trwoga nie do opisania i wielkie krzyki i przerażenia ludności straszne, a marynarze wraz z nurkami pracowali i nikogo na pokład wypuścić nie chcieli, żeby im nie przeszkadzał. Nareszcie burza się skończyła i drzwi nam poroztwierali mogliśmy zobaczyć świat, lecz czwarta część tylko była przy zdrowiu, a trzy części chore z przerażenia i choroby morskiej i t. d., jeden z naszej partji zmarł i z kobiet też jedna i dwoje dzieci, na skutek tego ludzie biegali we wszystkie strony i myśleli, że już wszyscy umierać będą, a lekarze schowali trupów i ogłosili, że nikt nie zmarł wogóle tylko, że są w szpitalu i zaraz do nas powrócą, było tak w tajemnicy tylko do nocy, następnej nocy dostał każdy się do wody z kawałem żelaza, aby nie wypływał na wierzch, a utonął odrazu, taki był pogrzeb biednych polaków jadących poszukiwać pracy i chleba do obcych krajów, bo w Polsce dla nich chleba nie starczyło. Ja przez całą podróż to najwięcej na pokładzie okrętu przemieszkalem, bo tam było czyste powietrze, a na dole to nie było można wcale oddychać przed smrodem od różnych wyziewów chorobotwórczych, a jeszcze sanitarjusze rozsypali chlorek po wszystkich kątach okrętu, więc już oczy chciało wygryść to wszystko razem, więc kto był przy zdrowiu trochę, ten uciekał na pokład do góry i ja również, a stale tylko do fajki przykładałem tytoniu, aby nie brakło, uważałem to dla siebie za coś ważnego to odpychało ode mnie wszystko złe i nieczyste powietrze, tak jechaliśmy cztery dni i pięć nocy do lądu i ziemi Francji, następnie kolejami dwa dni aż do granicy hiszpańskiej, lecz to już było w pełnym porządku i bardzo wygodnie dla nas polaków i tam zacząłem pracować w kopalni węgla i odrabiać za ową podróż swoją. Szczęście sprzyjało mi niebardzo, jako młodemu górnikowi tembardziej, że nie byłem z tą pracą obeznany i t. d. Zacząłem pracę i szkołę górniczą razem więc skutek był taki, że zawsze młody górnik padł ofiarą, a nie stary, a ran lekkich to już nikt nie liczył,

a tylko takie, które zmuszały w szpitalu leżeć, bo się przyzwyczaiał do takich widoków, jak na wojnie, że codzień nieśli jakiegoś kolegę na cmentarz, jak nie wprost z kopalni, to ze szpitala i nikt nie był pewny swego jutra, bo kopalnia była stara źle utrzymana, budulcu kapitalista dawał mało, tylko patrzył, aby węgla było jaknajwięcej, ja też wiele razy powracałem do domu, już nie z kopalni, ale od lekarza i bez czapki, bo na głowie miałem już dosyć waty i bandaży, co drogi nie widziałem przed sobą, a trzy razy byłem całkiem zasypany, dzięki ostremu pogotowiu wydobyli mnie, przyszedłem dopiero do przytomności za parę dni w szpitalu i to było bardzo często, więc w takich warunkach, jak odrobiłem kontrakt dwunastomiesięczny, to rok przeszedł, a o pieniądzach mowy nie było, a żona czeka w Polsce i mówi dzieciom, że ojciec nie zabiera nas, ani pieniędzy nie przysyła, ja dostałem sto franków za wytrwałość, bo moi koledzy przed czasem pouciekali nie odrobili kontraktu, a ja dostałem świadectwo dobre i Kartę Indetite oraz Imatrykulation, który odgrywa wielką rolę we Francji, jako wykaz solidności i zaufania do robotnika, myślę sobie nic ta Francja takiego nie jest, jeśli nie można zarobić grosza na utrzymanie domu, idę więc do portu Marsylja spotykam tam kolegę, pracuje on na statku parowcu dość dużym pod nazwą im. Marszałek Foch i radzi mi abym się zapisał do Syndykatu Pracowników Portowych, bo on tą samą drogą się tam dostał, ja to samo zrobiłem. Przyjechał raz ten sam statek do portu z kolegą i z protekcji kolegi dostałem się tam bo miejsce było wolne, a komisja też uznała, że jestem zdolny do tego co mnie czeka, więc podpisałem kontrakt na trzy miesiące pracy na morzu a po upływie kontraktu, jak przyjeździemy do Ameryki, wysiąść w porcie i tam zacząć pracować w Ameryce. Zamiary swoje przedstawiłem żonie, ona się zgodzić nie chce jechać do Ameryki się boi, tyle dni morzem, pomimo moich zachęcań nie zgadza się stanowczo, więc wysłałem po nią, aby lądem przyjechała i sam zrezygnowałem z Ameryki, skończyłem kontrakt i t. d. Sercefikaty porządne dostałem i forszę, żona z dziećmi przyjechała, lecz nie lądem, a morzem trochę strachu miałem bo były bardzo duże burze, aż kilka statków w portach potłukło się i na pełnym morzu także, lecz oni choć z chorobą przyjechali szczęśliwie do mnie, więc wyjechaliliśmy razem do Paryża. Dopiero poznałem i zobaczyłem, jako człowiek poczułem się równy z równym i wolny z wolnym do prawa i t. d. wszystkiego co przysługuje francuzom, ja także samo mogłem korzystać choć nie byłem naturalizowanym francuzem i bardzo mi się tam to podobało, tak, że podziwiałem wszystko co tylko w życiu

otaczało człowieka na terytorjum Francuskim i czas mi szybko leciał bo i pracę też miałem dobrą, gdyż pracowałem w ekspedycji kolejowej kompanji (Gare du Nord) Dworca Północnego, jako starszy robotnik i tłumacz języka niemieckiego (Szeff de Kip) w Komunikacji Alzacji i Lotaryngji, która wtenczas pisała wszystko po niemiecku i t. d. Tam więc zaoszczędziłem trochę grosza i upłynęło mi parę lat błogo, nareszcie przyszła inflacja na Francję, wielka krewa wszystko się zaczęło kurczyć i przemysł i handel we wszystkim ograniczenie wielkie, zarobek mały trzeba dokładać z kieszeni na utrzymanie domu i t. d. Nareszcie i redukcja, zgniewało mnie to wszystko, przyjechałem do Polski i tu pracy niema, trzeba wydawać pieniądze na każdym kroku, podanie zaświadczenie i znaczki stemplowe, do ładu nie można przyjść, biura tak pomału załatwiają że wprost kpiny!, a pracy niema, strata czasu i pieniędzy, ja tego nie chciałem, gdyż coś chciałem odłożyć na jutro. Przyszło ogłoszenie, że Niemcy podpisali w Warszawie umowę o pracy sezonowej na robotników polskich, proszę i ja na wyjazd P. B. P. P. dostałem, wyjechałem, tam spotkałem kolegę Sz. . . z Łodzi z Widzewa, stary bojowiec o wolność Polski! Poznał mnie, doskonale mu się tam powodziło, jest tam do dziś, pracuje w Konsulacie, jako szef biura robotników rolnych w Berlinie w Konsulacie Generalnym. Dopomógł mi w czem mógł tam, dokąd pracowałem żebym nie miał krzywdy od Niemców i pracowałem tam dokąd prawo było nad człowiekiem, dokąd i duch niemiecki tak mniejwięcej był pojęcia demokratycznego, w końcu nastały czasy bezprawia gwałtu i wyraźnej dyktatury, to i mój kolega nie mógł nic poradzić na gwałty polskie z Niemcami, więc i dla mnie zarządził wyjazd z Niemiec do Polski najlepiej. I wyjechałem, pracowałem tam pięć lat w Niemczech i oszczędzałem, jak tylko się dało i na wszystkim bodaj nawet na swoim i żony żołądku bo rozumiejąc żeśmy biedni ludzie i na niczyją pomoc liczyć nie możemy, jak nie będziemy mieli swego grosza, bo żona moja też nic nie dostała od rodziców, a świat się koloruje, zawsze mieliśmy strach o swoje jutro i dzieci naszych. Przyjechaliśmy do Polski ojczyzny swojej przecież, to będziemy już chyba najpewniejsi, będzie jaka praca i opieka nad nami, tu wszystko zawiodło niema nic i jeszcze więcej się widzimy obcy, jak dawniej i wszystko dla nas jest bardziej obce i niedostępne. Postanowiliśmy więc kupić kawałek ziemi z parceli bo warunki są więcej możliwe i na raty no i pożyczka P. B. Rolnego 30% i pożyczka B. G. Krajowego na budowę 5.500 złotych, jako pomoc dla nowonabywcy na lat piętnaście. Reklama niczego i to

przecież nie kto inszy tylko Państwowy Urząd Ziemski ogłaszał takie rzeczy i t. d. i to więcej jak pewne ma być od wszystkich gwarancja na każdym kroku i pan Jaśnie dziedzic W***, też w razieby wszystko zawiodło to ja od siebie powiada daje panu gwarancję na raty, pan będzie spłacał mnie, ale przecież tu niema obawy bo tutaj o tem w pierwszym rządzie państwo daje na to gwarancję, tylko podpisać i dać pieniądze panu dziedzicowi bo on na to czeka, po długich targach i różnych namowach dałem się okołować i podpisałem umowę kupna i pieniądze dałem w takiej formie, jak mi dyktował pan komisarz ziemski. Jak tylko pieniądze dałem to się w kraju odrazu przewróciło i wszędzie zaczęli śpiewać inaczej, jak przedtem, ja zaakceptowałem dziewięć morgów tej ziemi, ale jak o tem usłyszałem, że nie będzie żadnych na to pożyczek bo pieniędzy rząd niema to panu dziedzicowi trzy morgi zdałem z powrotem, a teraz mam tylko sześć morgów za gotówkę. Kosztują mnie 8000 złotych polskich. Rozumie się drogo na dzisiejsze czasy, ale trudno wtenczas tak było i podług tych cen wszyscy płacili tak i ja też zapłaciłem morgę po cenie z roku 1928 r. po 1200 i 1300 za morgę, jeszcze kosztą pomiarowe i t. d. różnych michałków jeszcze mi przyszło parędziesiąt złotych, a jeszcze różnych stempli też i stale jakieś coś niedaj Bóg takiej dzikiej parcelacji i takiego zawodu, jak ja dostałem i wszyscy ci nowi nabywcy. Jest nas tu około piętnastu, parę już uciekło za pół ceny to swoje sprzedali i zastąpili ich inni, reszta się tak trzyma, mniejsza połowa się pobudowała choć skromnie, a wszyscy inni to wcale nie mieszkają na swoim tylko u drugich na komornem, jeden biedak to formalnie taki dół wykopał i nakrył go gałęziami i perzem, i w tej jamie wraz z żoną i z dzieckiem tam sobie mieszkał, oczywiście bez łózka, ani żadnych mebli, bo tam było nisko tylko tak na tej wilgotnej ziemi leżeli, jeszcze biedak chciał tam coś hodować trzymał tam piętnaście gęsi i kozę i kurę z kurczętami więc sobie wyobraźcie, jaki tam był żywot i jakie zdrowie, kury najprzód, a potem gęsi pozdychały i oni się pochorowali, a teraz na jesień opuścili tę swoją kryjówkę i poszli gdzieś bo się sami doznali, że im zanadto choroba tam zaczyna dokuczać, a te swoją ziemię puścili w dzierżawę i t. d. też tylko przez zawód, pieniądze wydali na ziemię, kupili dwa hektary a na budynki nie było, taksamo i ja zrobiłem pieniądze wydałem na ziemię doszczętnie, a na budynki i co więcej też nie mam tylko ja to jeszcze takie mam szczęście, że na mojem polu była jedna morga z takim zagajnikiem, jak to się mówi taka kozłovina chłopska, więc ja też mało lepsze mam

budynki, jak tamten te jame, ale już w takiej choć należytej formie nie w ziemi, lecz na wierzchu i choć małe bo drzewo było krótkie i cienkie, ale aby zgrabne taką małą jatkę mam i tak mieszkam jak pod parasolem i tyle, że aby na swoim i pod dachem, a zanim to zbudowałem toteż tak w baraku ze ziemi mieszkalem i t. d. Cały mój domek zrobiony jest z tych drągów z tego młodego lasu z takich okrągłaków bo obrabiać nie było co i dach okryłem słomą, a front obłożyłem perzem i darniami z ziemi, a w środku to obrzuciłem gliną te ściany i obielilem wapnem, a okno to dostałem stare od ludzi takie małe i cieszę się, że mamy choć jedno okienko, że nasza chatka nie jest drewniana ciemna, a na komin to dostałem tysiąc cegły z której sobie zbudowałem komin i piec wraz z sabotnikiem od jednego robotnika z pobliskiej cegielni i na raty mu wypłacałem gałęziami z tego drzewa swego, a na sufit to sobie sam naprzierzynałem piłką ręczną i tak dalej, drzwi to zatykałem długim kocem, a obecnie już sobie zrobiłem drzwi takie prowizoryczne z desek swojej roboty i wszystko sobie robię sam tylko, sam jestem każdym majstrem i cieślą i stolarzem i murarzem, a nieraz i kowalem, mam trochę pojęcia o takich rzeczach niektórych, mógłbym sobie tak niejedno porządnie zrobić, lecz nie mam czem i zaco kupić niema nawet na kilo gwoździ niema nieraz choć są tak potrzebne, jak zdrowie i życie. Mówiło się zaraz po wojnie, że wojskowi dostaną ziemię od państwa na własność a tu ja nie dostałem jeno kupiłem i zapłaciłem, jak w aptecce jodynę na gramy i tu nikt nie pomyśli, że ci jest ty biedaku ciężko trzebaby ci dopomóc, boś ty jest obrońcą tego państwa we wszystkich sprawach i żywiciel, o nie! takich w Polsce teraz już wcale niema, tylko takich jest najwięcej co to im się wciąż coś należy, różnych panów sekwestраторów i skarbowych i jeszcze gminnych i panów policjantów, stale kary i kary! i jeszcze raz kary! niema wcale za co nieraz, no ale trzeba pokazać, że jest władza w Polsce Niepodległej i opieka rodzinna nad obywatelem, który tak mocno pragnął i za którą walczył od dziecka. Mamy pana starostę rozumie się polaka, lecz najlepsze powodzenie to mają żydzi u niego, on im nie zajrzy jakie mają porządki czy nie, bo najczęściej tak i bywa, że ich wcale niema, ale za to do mnie biednego co się od głodowej śmierci tak tylko ratuje, potrafi przyjść pan policjant i dręczyć, że studnia niedobra, a to że na podwórzu naprószone słomą i pies ma zadługi łańcuch, a to że niema tabliczki na ścianie, a to ustęp jest niedobry, a to komin nieobielony na dachu, a to że niedobre gazety tu czytają podobnie, a to że Organizacja Ludowa się zaczyna rozwijać, dla-

czego nie ta co każe pan starosta, dlaczego to wszystko już nas żydzi zaczynają przebierać, zaczynają się nami poderzać (?) tak u nas się zaczyna, jak żyd pobije polaka choć niema racji to ten polak jeszcze zostanie ukarany, nam się polakom organizować nie wolno i to chłopu na wsi, a żydzi mają już i swoje bojówki. Jestem sobie w Łodzi letnią porą, patrzę idzie sobie taki oddział dużością dorównywa kompanji wojska polskiego z komendantem na przedzie i sztandarem swoim też, ajakże! same żydy rzną prosto Piotrkowską to jest centralną łódzką ulicą, a żydzi wszyscy biją brawo, jaki tylko jest, pytam się co to jest za oddział ny! powiadają mi oni to jest nasz żydowski oddział taki jakiegoś tam żyda pułkownika Joselewicza Berka wielkiego bohatera Polski z przed laty, idę dalej pogotowie jedzie karetka auto z żydowskimi napisami, Magistrat ją utrzymuje bo po polsku toby żydowskim honorom ubliżało, afisze po żydowsku, szylda lekarzy i akuszerok także i różne reklamy. Idę do Kasy Chorych też oddziały i uwzględnienia dla żydów, idę do Kasy Komunalnej, mam tam 125 złotych długu to mnie tak męczą żeby wszystko płacić nie chcą odroczyć, przychodzi pan żyd jeden drugi i t. d. pożyczają po dwa, trzy i pięć tysięcy złotych jeszcze się panowie urzędnicy polscy z niemi zmagają po żydowsku, żeby ten polak nie rozumiał co koło żyda stoi, o czym oni mówią, a żyd go na obiad zaprasza i u siebie obgada, a w kasie dokończą się. Tacy panowie, jak pan dyrektor G., obecny strzelczyk i pan S. i pan inżynier S. i t. d., proszę was sz. czytelnicy czy to nie ubliża polskości naszej, a ci panowie o tem nie wiedzą, że ja i po żydowsku też rozumiem i wiem co oni mówią, a taki żyd jak się naszym kosztem wzbogaci to przecież zaraz Palestynę buduje i tak dalej, ale nie Polskę. Ja będąc we Francji przysłałem na skarb państwa 200 franków srebrem oczywiście, żeby był dzisiaj pieniądz dla żyda i 500 rubli rosyjskich na Pożyczkę Konwersyjną dałem i ten kwit jeszcze mam, napewno żyd odbierze, a ja obrońca i cały szereg takich obywateli co walczyli do ostatniej kropli krwi, a nawet życie dali swoje za wolność Polski i zostawili sieroty i wdowy i kalek rozmaitych dlaczego to jest bo naród co miał najlepszego to oddał za wolność i powiedział dla Ciebie Polsko i dla Twojej Chwały! Ja rozumiem także przez to słowo dla Ciebie Polsko! to znaczy, że naród, że lud Polski!! wszystko oddawał dla swoich polaków dla młodego pokolenia polskiego i dla tej przyszłości polskiej, żeby ona przez to miała się le-

piej!, żeby ona nie była ujarzmiona, żeby się nie czuła w niewoli tylko w prawdziwie wolnej ojczyźnie i krwią braci swych z niewoli obcej wykupionej Polsce!!, a to dzisiaj w Polsce zrobiło się istną Palestynę z wielką wolnością dla żydów, a dla polaków niewola Egipska! Dzisiaj się mówi, że polak jeden trzydzieści groszy nie wart jest, a nawet za trzydzieści groszy temu polakowi się życie odbiera.

Proszę was szanowni czytelnicy przyznajcie sami czy to jest wszystko w porządku z nami biednymi polakami.

Jest wielki kryzys w Polsce rozpanoszony i zato każdy polak jest bity i poniewierany, że jest biedny, że niema czem płacić, ale któż jest ojcem tego kryzysu co go zrodził, naród to już zrozumiał, że galicyjski kryzys spłodził biedę litewską na ziemiach polskich i oni urodzili nędzę tę zaklimatyzowaną, że ojcami kryzysu są panowie magnaci, kler, burżuj, biurokrata i żyd bogacz rozpanoszony kosztem naszej krwawicy.

My zbieraliśmy miody po całym świecie i zwoziliśmy do Polski, żeby takim trutniom dobrze się powodziło, żeby wszystko zezerali, a nami się poderali, a my z głodu umierali, chleba soli nie uznali nigdy w życiu swoim bo tak jest proszę was szanowni czytelnicy ja wam tu zaraz opiszę dokładnie co doświadczyłem nawet sam na sobie. Ziemi mam sześć morgów i to sieje tylko cztery, jedna morga jest zagajniku, a szóstą dorabiam, karczuję pnie na niej, jak skończę będzie pięć morgów a cały działek to jest formalny piach i kawałek sapu zimnizny, kartofli ja wysadzę dzie sięć korcy, a sprzątam 30 i 50, jak do roku, żyta wysieję pięć korcy, a sprzątam 15, prawie co rok jednakowo więc pięć korcy nazad wysiać ze dwa albo trzy by sprzedać na pieniądze po 10 złotych, jak latoś bywa. Zostaje siedem korcy na cały rok a tu

trzeba by koniecznie korzec na miesiąc do zjedzenia, a tu się czasem jeszcze uskubie na jaki grosz od ust bo Kasa woła, akwizację przesyła, winienem jestem 125 złotych i procent po 2 złote i 50 groszy na miesiąc, 50 złotych u żyda za mąkę co dał na przednówek 3% złote na miesiąc u drugiego 100 już dwa lata 2.50%, w Kasie Lichwiarskiej 300 złotych 3% złote na miesiąc. Konia nie mam za to muszę drugim odrabiać co mi robią w polu, krowy też nie mam zaco kupić, świni też niema, nie mam na nie grosza, nigdy nie starcza na prosięta małe, mam tylko jedną kozę co daje mi trochę mleka, to jest nasza cała pociecha dla dziecka i nam służy za okrasę i t.d. Dzieci mamy troje, jest nas rodzina razem pięć osób do jedzenia, a tu nieraz zabraknie i tego, a zarobków też niema, dawniej to czasem dwór zawołał na pańskie do roboty, 70 groszy płacił od świtu do nocy, a teraz to choć człowiek pracuje to pan dziedzic nie płaci, bo kryzys powiada, nie mam pieniędzy komornik zabrał wszystko powiada, jak będę miał to wam oddam, wiele razy człowiek idzie do pana dziedzica i to herbowego jaśnie pana bo tak sobie każe mówić swej służbie, po parę groszy bo na sól niema jeszcze nie tę mieloną, a tę w kawałkach co dla bydła dawniej brali, to niema pana w domu, niema kto wypłacić biednego robotnika, ludzie zbadali, że to co było je, człowiek też nie umrze od tego, więc sól jadamy tę bydłą, bo kosztuje tylko osiem groszy kilo i to jeszcze na zaświadczenie z gminy raz na rok dostać można bo by na tamtej droższej Monopol Państwowy nie zarobił, a mięsa to już nie pamiętam, kiedy w Polsce jadłem i słonina to nawet nie wiem co kosztuje, czy staniała, lub zdrożała naprawdę nie wiem, bo nie kupuję, gdyż niema zaco, ubrania to też jeszcze w Polsce nie kupiłem żadnego tylko, jak nie francuskie to niemieckie jeszcze służyć musi, ale jak ono wygląda, to więcej lat rozmaitego koloru, jak tego co było w tem ubraniu, bielizny to mamy każdy po jednej koszuli i to podartej i zgnilej od potu przy pracy, butów to też żadnych kupić nie można całe lato i jesień, chodzimy boso dokąd się da, a na zimę to choć trepy drewniane to już musowo kupić każdemu i łątać je, żeby i na wiosnę trochę starczyły choć, i pościel też taką mamy, że aż zgroza opisywać tylko pierze we wsypach i to połatanych, aż litość bierze i t. d., a meble to też tylko swojej roboty, stół, dwa łóżka i stołki do siedzenia cztery i podatków już trzy lata wcale nie płacę żadnych, płaci je jeszcze pan dziedzic wraz ze swojemi bo jeszcze ja mam niezarejentowane to jest jeszcze nie odłączone od folwarku, gdyż wszystko grozi to dla mnie wielką katastrofą, ależ cóż ja mam zrobić biedny człowiek, to wszystko wypływa z tego, że

niema pieniędzy i znikąd żadnej niema pomocy dla biednego kolonisty, a tylko zawód i zniszczenie, a takich jest całe setki tysięcy w Polsce. Jeden tylko tyśiąc złotych pomocy jakbym dostał, toby mnie na nogi ze wszystkim postawiło, komplet wraz z moją rodziną i ochroniło od powolnego konania tego co mam w wolnej Polsce, o którą walczyłem. Sz. czytelnicy w takiej sytuacji to ja wam opisuję o sobie, to mogę tak sobie powiedzieć z taką cywilną odwagą i bez przesady, że znajduje się wraz ze mną tysiące rozsianych po całej R. P.*) tych parcelantów, których ustrój dzięki reformy rolnej rzucił na taką pastwę losów, którzy czekają sami nie wiedzą czego, czy poprawy, czy głodowej śmierci czy co ma z sobą począć i pytam się sam siebie i innych, gdzie jest sprawiedliwość. Czy myślą, że państwo to oni garść tych nygusów i darmozjadów i parę ksiąg i zbankrutowanych panów to na szyldzie naszego p. polskiego niepotrzebny jest napis Rzeczpospolita, a tylko to co się w rzeczywistości widzi, Rzeczpospolita przez to słowo, to każdy człowiek demokratycznych pojęć rozumie, że jest równy z równym, wolny z wolnym i sukcesorem po ojcach swoich i gospodarzem i częścią tego państwa i panem w którym żyje, ale nie tak, żeby jedni umierali z przejedzenia i rozpusty, oraz płacili krocie dziennie za jedzenie i picia oraz hulatyki kabaretowe, a całemu ogółowi mówi się kryzys! Obniżcie stopę życiową! a to już chyba dosyć jest obniżone więcej się nie da jeżeli na sól niema i naftę, po ciemku w zimie się mieszka przy świetle od komina, czyli pieca z ogniem i skrzysiwko w użyciu w miejsce zapalek już jest bona te wielkie sprawunki już nie starcza biednemu rolnikowi, więc z czego tu jeszcze obniżać, jeżeli już tak panowie magnaci obniżyli rolnika i jego płody rolne w stosunku do fabrykantów i świadczeń rozmaitych, można powiedzieć do zera nie inaczej i potem mówi się dawaj i dawaj!! ale skąd brać na to dawanie owo, a przecież i Salomon nie nalał z próznej butelki nikomu choć rzekomo mądrym wielce był!! Robi się tak poto by wieś polską zniszczyć, by Lud Polski wymarnować i na jego miejsce założyć Palestynę w Polsce naszej bo tak każdy dzisiaj widzi oczami więc tak lud mówić już zaczyna o tem. Dozwala się organizację karteli, różnych zbogaconych żydów, bo tych jest najwięcej w tych kartelach i stale im się podwyższa cenich fabrykatów na ich żądania i obniża się i umarza podatki tym panom i wszędzie oni mają głos i prawo do tego głosu, a ceny płodów rolnych obniża się do niżej kosztów własnej produkcji rolnika, a po-

*) Rzeczypospolitej Polskiej.

datków jest coraz dla niego więcej i kar i komorników i sekwestratorów, rabunek w biały dzień ludzkiego mienia, a wraz z tem także zdrowia i życia klas ubogich i niema prawa głosu i niema prawa żadnej organizacji, a jeśli jakiś jego tam przedstawiciel chce mówić o prawach dla tego biednego ludu to tego nie wolno mu mówić i zaraz go się za to oddaje do więzienia, jeśli się bije i poniewiera wysłańca narodu to taksamo jakby cały naród bito kolejno, lub gromadnie, więc w takich warunkach to mowy być nie może o nauczaniu dzieci, albo czytaniu gazet dla rolnika, lub żeby mu ziemia jego dawała jaki dochód poza wyżywieniem, nawet wyżywienie da jemu tylko liche, jeżeli on sam z niej bierze i nie wkłada z powrotem, więc tak wygląda, jak ten człowiek głodny sponiewierany i chory, taka jest osłabiona i wycieńczona bo nie dostaje żadnych pokarmów, których ona potrzebuje, jego ziemia, a nie tak, jak się zdaje niektórym osobom o kurzych mózgach co zielonego pojęcia nie mają o rolnictwie, że oni to specjaliści są i obliczają rolnikowi, że kłos żyta ma 70 ziarenek to znaczy, że wysiewasz jeden metr 100 kilo, a sprzętasz siedem metrów czyli 700 kilo, a takich panów jest dużo, zajmują nieraz wysokie stanowiska i pobierają pensję i to wielkie, a jeśli rolnikowi zabiorą z obory ostatnie bydle to on zubożał i ziemia zubożała w nawóz i co rok jest mniej, aż do wymarcia, w końcu ona nawet trawy rodzić nie chce wcale tak samo, jak człowieka chorego jeżeli się nie ratuje osłabnie i umiera i to jest dzisiaj na porządku dziennym u nas, że patrzą rodzice na swoje dzieci i widzą, że nędzne są w końcu chorują i nawet umierają, a pomocy niema skąd im podać, serce pęka od żalu ojcu i matce i bo wszystko z domu siłą jest zabrane za cóż więc będzie ta pomoc? Ja dziś to piszę bo sam na sobie tego już doświadczyłem, ja sam i wiele takich słyszę powiadają ludzie, zabierzcie wszystko i chętnie wam oddamy całe gospodarstwo i ziemię jeszcze w dodatku pracować będziemy u was tylko nam jeść dajcie, ubranie i obuwie wraz z naszymi dziećmi, co nam jest potrzebne to nam będzie lepiej chyba bo długów nie będziemy mieli, bo ludzie narobili długów w kasach i tak dalej w lepszych latach, za nawozy pomocnicze kładli w ziemię, przyszły czasy podłe, płody rolne tanie, każdy się zarząnął swoją ręką przy takiej gospodarce państwa. Mam dowód na sobie pożyczylem w K. K. O. na pół krowy, wtenczas krowa kosztowała 700 złotych, a ja pożyczylem 300, a dzisiaj u nas krowa kosztuje 50 złotych, więc ja pożyczylem za pół, a oddaję za sześć krów cenę przy dzisiejszych

stosunkach gospodarczych przez równoważnika, a z procentem razem za siedem krów ja muszę oddać, więc czy będzie gospodarz gospodarzem nie może być bo w stosunku trzech lat nazad to ja muszę oddać 2.900 złotych oprócz procentów, a pożyczyłem tylko 300 bo tam cyfra ta sama jest, jak była przed trzema laty, a za moje towary co mam na zbyt cena nie jest ta sama tylko tyle razy mniejsza i stale spada na dół, a fabrykaty i ceny monopolowe stale wzrastają i wszystko to co my rolnicy potrzebujemy kupić na przykład nafta, zapałki, cukier, sól, węgiel, żelazo, cement i wyroby włókiennicze, jeden ten biedny rolnik on musi tych wszystkich żywić swoim kosztem, dawniej nie będąc rolnikiem lepiej żyłem, jak dzisiaj i mniej pracowałem jak dziś, pracowałem 8 godzin 16 spoczywałem, a dzisiaj pracuję 20 godzin na dobę, jak na długim dniu co jest tylko cztery godziny ciemności, a ja od świtu do nocy pracuję, więc oszczędźcie sami czy nie 20 godzin ja pracuję, a jeszcze przed pracą coś w domu oprzątnąć trzeba i po skończeniu pracy także samo zanim się do snu położę i dzieci i żona, jak tylko kto może i co może tak się każdy goni i pracuje nie na żarty i niema co jeść i w czym chodzić, dawniej pracowałem ja sam, a żona i dzieci nie pracowały i zjedliśmy jak ludzie chleba, mięsa i wina i t. d. nie brakowało i każdy był odziany i obuty po ludzku, starczyło na gazety na książkę i na kino, a teraz o tem wszystkim wcale nie wspominam, pracujemy wszyscy i niema co jeść jedynie się każdy spryduje tem polskiem kartoflem poświęconem, jak to się mówi u nas co urosł na świętej ziemi tej bo i jakaś siła cudowna tak nas ogranicza, że mamy zamało do życia, a za dużo do śmierci. Nawet bydło na przykład, świnia, koń czy krowa ryczy i kwiczy, stoi przy żłobie i protestuje jeżeli nie dostanie to co jemu się należy, żąda praw i walczy o swoje, oburza się na swego pana i t. d., a ta siła nowopolska i cudowna traktuje lud polski gorzej od bydła niż od zwierząt, a ten ludek potulny tylko płacze narzeka i modli się.

Jedynym moim obowiązkiem, jako chłopca rolnika biednego i uciśnionego jest iść z tą klasą, w której ja wyrosłem, brać udział w spółdzielniach rolniczych i organizacjach ludowych im przewodzić i w nich pracować, ich pilnować i Polskę Ludową i czystą demokratyczną jeszcze raz budować i jej bronić mocno i nieugięcie do ostatniej kropli krwi i pozwolę sobie powiedzieć za wieszczem Polskim i synem chłopskim po pługu, że zginą od prądów chwilowych zawiśli, za widmem sławy goniący sztukmistrze, lecz nie za-

giną dni szlachetnych myśli i nie przypadną natchnienia najczystsze, bo lud jest nieśmiertelny! a naród jest wieczny! i szczęście ludzkie też jest zmienne, takie moje są świata poglądy na dalszą przyszłość. A teraz kończę sz. czytelnicy przed wami te swoją chłopską prawdziwą i szczerą spowiedź z całego swego życia do tego czasu częściowo bo i zeszyt się kończy, ani księdzubym tego nigdy nie powiedział, bo oni się dziś podjęli rolę szpicli spełniają, jeżeliby się ktoś szczerze tak spowiadał z chłopów ludowców to go czeka Święta inkwizycja, oniby Chrystusa samego dziś jeszcze prędzej umordowali, jak dawniej, jeżeliby się dziś taki sam prokrok znalazł, drugi Chrystus, jak tamten i chciał sprawiedliwości równości oraz wolności biednych i uciśnionych, dziś od możnych tego świata!!! i t. d. Lecz dłużej klasztora, jak Przeora!

A teraz na zakończenie tego swego pamiętnika. Szanownym panom Instytutu Gospodarstwa Społecznego w Warszawie winszuję w tak zbożnej pracy na niwie gospodarczo-społecznej i zasylam staropolskiem zwyczajem ludowym Szczęść Boże!! w zamiarach i aby praca wasza wydawała owoc jaknajkorzystniejszy nietylko na dziś, ale i dla potomnych naszych w przyszłości, oraz rozkoszy i wielkich słodyczy tego wam rodak z krwi i kości życzy.

Dn. 13 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 13

Dawny obieżyświat obecnie
gospodarz w pow. radom-
szczańskim

Ojciec mój w spadku dostał sześć morgów ziemi, kupił od siostry trzy morgi, dzieci miał ośmioro a że biedę miał dużą więc postanowił żydowi gospodarstwo wypuścić w dzierżawę i całą rodziną wyjechał do Warszawy. Tam posyłał nas troje do szkoły, po ukończeniu szkoły powszechnej dostałem się do cukierni Starorypińskiego pracowałem jako pomocnik kelnera, tam się przysłuchiwałem jak przy szklance czarnej goście opowiadali o polityce i o Polsce i Wojsku Polskiem, to też chęci nabrałem do ćwiczeń wojskowych co też zapisałem się do ogrodu Saskiego na ćwiczenia gimnastyczne, tam z wielkim zapałem się ćwiczyłem bo lubiałem bardzo komendę polską a przez to że chodziłem się ćwiczyć to mnie wywalili z cukierni za to, koledzy namówili do sprzedaży gazet i sprzedawałem również Robotnika bo więcej zarabiałem na niem a gazety dla pozorów ale facet ten co mi Robotnika przynosił róg Złotej i Marszałkowskiej to mi stale proponował i rozdawanie i naklejanie proklamacji, ja o tem powiedziałem ojcu. Matka mówi jak mi tę truciznę weźmiesz do ręki to mi się nie pokazuj w domu ale facet stale proponował że mi da za każde 100 proklamacji 5 Robotnika za darmo, raz dał mi 500 proklamacji żeby rozdać i naklejać i spełniłem co mi ów facet kazał ale Robotnika zaraz nie dał dopiero trzeciego dnia, to ja ostatniom naklejałem przy Chmielnej na ścianie sklepu Chojnackiego, w ten moment łabas mi ztyłu za kark dwóch oficerów Litewskiego pułku, chłopak byłem sprytny wyrwałem się i uciekam w stronę Widok, jak ja przez ulice to oni zaczęli do mnie strzelać i wołać stój i właśnie to strzelanie mnie zbawiło bo wtedy ja uciekałem i tłum z ulicy też uciekał, oficerzy krzyczeli i gonili dzierży ale kogo niewiadomo bo każdy uciekał, przyszedł patrol jeden drugi i zaczęli aresztować i mie

również bo najwięcej malczyków zaprowadzili do uczestku na Nowowielką ale że miałem pasport więc mnie puścili ale dyżurny rewirowy: ty proklamacji naklejał, nie naklejał panie Naczelniku, szedłem Marszałkowską ktoś strzelał, publiczność uciekała i ja uciekał, ja znaju horoszo czto ty naklejał dla tawo tiebie prywieli w uczastok, sejczas pryjduť oficery uznawati malczyków łutsze przyznajsia. Ale oficery nie przyszli mnie puścili po spisaniu protokołu, ktoś to widział i ojcu powiedział, byłem bity i kopany, z domu uciekłem mieszkałem na śliskiej, Robotnika nazad sprzedaje i facetowi opowiadam co mie spotkało, powiada brachu jak bendziesz duży to bojowcem bendziesz, ja mu mówie że Robotnika niech przynosi ale proklamacji Boże broń bo bem sie jeszcze wyspał, ale za jakiś czas przyszedł facet i jakiś jego kolega, oba mi nagadali obiecali i wziąłem 500 sztuk rozdaje i naklejam Złotą w stronę Twardej. Facet i kolega za mną doszli do Sosnowej i znikli, sam rozdaje, naklejać nie naklejam, na rogu Twardej idzie dwóch facetów i jeden mie chwycił za rękę i do stojkowego i na Pańską do uczestku, proklamacje nogawką wypuściłem, było niedużo, dyżurny pyta ty rozdawał, nie panie Naczelniku, dostałem jedną i przeczytałem chciałem dać drugiemu i wtedy mie arestowali, protokołu nie pisali, posadzili za reszotku (za kratami) czekali na prystawa a był tam pomocnik prystawa Sobolewski mojego wuja kolega bo moja ciotka była bardzo ładna i wyszła za ruskiego czynownika. Przyszedł do kancelarji ów Sobolewski pokazują mię i mówią co robiłem, ja sie tłumacze tak samo jak pierw i proszę go żeby zadzwonił do Szulgina wuja mojego tu a tu, moją prośbę spełnił, przyszedł wuj coś tam gadali i mie puścili, do ratusza nie zaprowadzili, później mój rewirowy przyniósł mi kartke żebym z nią poszedł siedzieć do aresztu na Chmielną, za jakiś czas pomocnik Sobolewski przysłał list ojcu żeby mie wywieść z Warszawy co też po naradzeniu sie ciotki wuja prawosławnego i ojca musiałem wyjechać w rodzinne to jest tu gdzie obecnie gospodarzę. Po przyjeździe na wieś ojciec do stryja napisał żebym czempredzej wyjechał za granice bo prystaw Sobolewski kazał jak nie pojade to mie do cytadeli zabiorą, rozkaz wypełniłem bo stąd ludzie rok rocznie szli do Prus na roboty sezonowe tom też z nimi pojechał. Robiłem w Sztainbruchu, początkowo kamień tłułem na dniówkę później akordowo, co to za męka była dla mie, na ręce nie mogłem wytrzymać płakałem całe dnie, tęskniłem za Warszawą, myślałem o ucieczce do Polski ale bałem się cytadeli bo wyobrażałem sobie że mie tam powieszą i do Wisły puszczą albo w maszynie posiekają bo takie

opowiadania były po Warszawie o cytadeli. Do połowy lata kamieniem tłukł, na żniwa jeden z kolegów majstra pobił, ja mu dopomogłem i obydwóch nas wypłacili ale sztrafe po 20 marek nam odtrącili a było to w Kamenz koło Drezna, stamtąd pojechaliśmy do Berlina ale że na dworcu Śląskiem my się pogubili, kolega umiał po niemiecku, ja nie umiałem, zacząłem się martwić. Siedze sobie na sali dworcowej przychodzi do mnie jakiś szwab i coś mi mówi, oczy wytrzeszczam, nic nie rozumie ale mówi arbaít i ja mówie arbaít i bierze mnie za rękę i prowadzi do tramwaju, tramwajem do Ranikiendorf, tam robiłem cztery tygodnie bo szucmann stale łaził żeby mnie wydalić bo Polakom nie wolno było robić w Berlinie. Stąd pojechałem do Szwed nad Odrę, tam przy kanale robiłem do zimy i przyjechałem do Polski gdzie obecnie jestem i zamieszkałem u stryja ale że za dużo opowiadałem o księżach i polityce, stale bardzo dużo chłopów się schodziło wieczorami aż się to doniesło do proboszcza, proboszcz do stryja żeby mnie wygnać zupełnie ze wsi, jeżeli nie to do Wielkanocnej spowiedzi nie przyjmie ani stryja ani stryjenki i na kolende nie wejdzie do chałupy. Stryjenka zaczęła płakać, stryja wyzywać że przyjął światowca obieżyświata, stryj rad nie rad moje manatki mi wyrzucił do sieni i kazał iść do Warszawy. Zebrałem manatki i do żyda się sprowadziłem swojego dzierżawcy, mieszkałem do wiosny. Bardzo mi przykro było bo dziewczęta nie chciały ze mną romansować bo uważali że ja się djabłu zaprzedał bo tak ludzie takiego co polityką się trudnił uważali, przytem stale gromy szły z ambony w strone moją. Raz byłem za družbę na weselu musiałem z orszaka wyjść bo nie chciał młodemu ślubu dać i do wiosny rozmaite przykrości miałem, a zwłaszcza od kobiet. Na wiosne pojechałem do Lipska tam pracowałem na dworcu głównym do zimy, dużo było polonji i studentów z Polski i nie nad jednym studentem żem sie ulitował, pożyczałem kilkom pieniędzy a jednemu nawet 300 marek i do dziś nie oddają. Na zime przyjechałem nazad do żyda, na długo nie, bo żyd dostał wiadomość od ojca żeby jedno mieszkanie wypróbnął bo ojciec przyjeżdża sie gospodarzyć na dobre i już nie powracać do Warszawy. Ja przez zime zapoznałem sie z dziewczyną o lat pięć starszą bo inne od warszawiaka uciekały, bo sie djabłu zaprzedał i ożeniłem sie, po weselu mieszkałem u teściowej, na wiosne do Prus robiliśmy oboje przy budowie kolei, zarobiliśmy 800 rubli w złocie. Po przyjeździe do domu musiałem iść do wojska. Służyłem w Turkiestanie osiemnaście miesięcy bo żona dała 600 rubli łapówki i wyrobiła mi opiekę II kategory, na tej zasadzie z wojska mie zwrócili

i zaraz pojechałem do Prus bo żona już tam pracowała, do zimy oba my zarobili 300 rubli też na kolei ale my tak oszczędzali że nawet na niedziele nie kupili kawałka mięsa bo żona stale o ziemi marzyła. Za te pieniądze gospodarki się by nie kupiło, postanowiliśmy sobie sklepik spożywczy założyć, nająłem lokal, kupiłem patent i handluje, przytem zabiło się często wieprza i wódkę pokryjomu tak że interes szedł, rodzice od dzieci z Prus pieniądze otrzymywali to sobie żyli i mięsa na niedziele i regularnie krasiwa gospodarz kupił i kiełbasy często gęsto, chleb co dzień świeży, a i gorzałki czasami ale to wszystko robiły Prusy i w ten sposób ja mogłem zarobić dziennie rubla czystego zysku. Młodzież jak na zime przyjechała robiła muzyki i wesela a po wszystkim do sklepiku na posiłek a że wódki nie wolno było sprzedawać to strażnik dostał wychłać i był spokojny i zawsze było gwarno i wesoło. Przyszły uroczyste święta każdy miał mięso, wędline ciasto, a niektórzy i gorzałkę. Posiłek każdy był okraszony i to nie byle jak i przytem troche mliczywa tak że krzywdy nie było, a i od czasu do czasu dwa jajka też zjadł bo w Prusach była nadzieja że dzieci przyślą na domowe wydatki i podatki a małym dzieciom nie był dziwny skwarek jak matka skwarzyła na tygielku, dziś skwarek dla dzieci to wielki smakołyk, a i staremu to samo, ino stary się wstydzi, ręki nie wyciąga a jajko to jak się samo stłucze to dziecku się usmaży. Ale przyszła wojna a za tydzień to już niemcy byli we wsi. Żołnierze się spakowali do sklepiku, wszystko mi zabrali i grosza złamanego nie dali i zostałem przy gołych ścianach. Już też i nie sprowadzałem towaru bo i nie było można dostać ani soli ani nafty ani machorki to też z żonom się umówiliśmy i postarałem się o przepustkę i pojechaliśmy do Prus, troche grosza my przywieźli po skończonej wojnie. Po przyjeździe do domu wzięłem się za gospodarstwo bo ojciec w czasie wojny zmarł, starszy brat był na wojnie zresztą i tak by nie gospodarzył bo był ogrodnikiem z wyższymi studjami. Siostra zamężna była jeszcze w Prusach a reszta bracia byli mali tak że ja zacząłem gospodarzyć na dziewięciu morgach i ludzi też było do jedzenia dziewięcioro, przytem ziemia wyjałowiona brak żywności, pług drewniany, wóz lichey, budynki spalone podczas działań wojennych. Matka i bracia obdarci i bosci, głodni, krowy nie było, te troche grosiwa co zarobił w Prusach to za nie kupiłem krowe bo ze solą uprzykrzy ci się jedzenie, kupiłem kartofli, owsa, łubinu i jęczmienia do obsiewu pola, żywności i grosze się rozeszły przed żniwami. Kupiona żywność się skończyła, nastał głód kupić nie było za co i gdzie bo smuglerze nocami za drogie pie-

niondze skupowali i do Częstochowy wywozili nocami. Głód taki że raz na dzień polewki z młodem rzepakiem my jedli. Matka z tego dostała niezbyt żołądka i kiszek, chorowała i umarła. Za jakiś czas my się dowiedzieli że brat ogrodnik i wuj prawosławny z ciotką i brat matki mieszkają w Moskwie i że niezłe jem się powodzi, to my sobie w domu uradzili żeby jeden jechał, a że była wojna z bolszewikami więc trudna jazda, ale jak mógł i pieszo i koleją i furmanką tak się dostał do Moskwy, tam był dwa tygodnie, dostał od brata ogrodnika 10.000 rubli Kiereńskiego na postawienie budynków i w ten sam sposób z Moskwy nazad przyjechał. Zaraz kupiłem konia, dwa worki mąki, kaszy, krasiva i postawiłem budynki. Na zime przyjechał i brat ogrodnik z żonom, ale długo nie był, pojechał do Warszawy, tam sobie kupił kwaciarnie róg Złotej i Zielnej i ogród w dzierżawę sejmowy. Braci do siebie posprowadzał, oddawał do praktyk za szewca, kucharza, ogrodnika zwyczajnego, tokarza żelaznego i za cukiernika. Szwagrowi wyrobił posadę w Zagłębiu za górnika bo taki fach posiadał a mie, powiada, będziesz w ojcowiznie gospodarzył, ja na to mu mówię że z gospodarki nie potrafię spłacić, pojedzie do Francji zarobić na spłacie, mówi mi na to my bardzo mało od ciebie weźmiem, możesz być spokojny o to, pracuj bo to twoje będzie, to ja zaczynam gospodarzyć, stopniowo nabyłem dobre dwie krowy, świnie, kury. Brat zapronemerował mi Poradnika Gospodarskiego, przysłał pare książek fachowych, zacząłem sadić dużo kartofli, brukwi, buraków, marchwi i cebule, ani jednej furki gnoju nie dałem pod kłosowe, wszystkie pod okopowe. Somsiedzi zaczęli się podśmiewać z mojego płodozmianu, że stałe siedze w polu przy gracowaniu okopowych, że ino robie po prusku i z gazet, a brukwi, buraków lub marchwi nikt mi nie kupi, tak sobie wieczorami w sklepiku opowiadali, ja robiłem swoje. Raz czytam w gazecie że można grunta scalić, mówię somsiadom o tem, oni ani rusz nie chcą scalenia, jeszcze mie wyzwali i grozili. Myśle swoje i potajemnie jade do komisarza ziemskiego. Komisarz przyrzekł swój przyjazd, zarazem prosiłem go, żeby gromadzie nie mówił żem go prosił o przyjazd. Przyjechał, zebranie zrobił, chłopcy się pokłóciły a i poszarpały, do uchwały nie doszło, drugi raz przyjechał, uchwała przeszła, bardzo byłem z tego zadowolony, ale w tajemnicy jawnie bałem się cieszyć z tego. Przyjechał i geometra, dwa lata mierzył, skończył mierzenie, Komisarz rozdawał, było czterech przeciwnych, scalenie przeszło, przeciwni się zgodzili, ja myśle sobie, z placu sie nie rusze bo do swojej i kobieciny morgi mi sie nie opłaca

budynków przestawiać, chociaż ziemie dostane gdzie indziej to będę dojeżdżał a z placu sie nie rusze. Obliczyłem przestawienie budynków na 1500 złotych, pisze do braci żeby mi sie spisali, ano mówią że narazie sie nie mają potrzeby spisywać, a co obiecali to mi zawsze spełnią, a budynki żebym przestawił, to mi na przestawienie dopomogą. Myślę sobie jeżeli tak piszą, to dobra, zaraz sie biorę za przestawienie, zapisałem sie u Komisarza na pożyczkę scaleniovą w sumie 550 zł., reszte od żyda na 36% rocznie i budynki przestawiłem. Pisze raz o zapomogę, niemam odpowiedzi, drugi raz piszą mi, że budynki przestawiłem dla swojej wygody to mi nie mogą przysłać, bo oni z budynków nie będą korzystali, ano trudno, zła-pałem sie, myślę sobie, kobita stale dokucza, że mie bracia wykpiłi, trudno biorę sie za osuszenie ziemi, bo dostałem bardzo mokrą, cała wieś gada, że zgnije na tem sapie, poszłem w pole przemyśluję w jaki by tu sposób osuszyć, drenowanie za drogie, zresztą gront sukcesorski, zacząłem o rowie przemyśliwać. Pożyczyłem sobie waserwagi od mularza a krzyzy od dróżnika szosowego, dawaj ja niwelować, szukać spodu wody aż znalazłem, kopie rów całą zime w butach o drewnianych podeszwach, na lato stanąłem z kopaniem, dopiero na drugą jesień i całą zime i wykopałem sam bo przynajęć nie było za co a rów duży był, somsie dzi sie wyśmiali z mojego rowu, ale pole obsuszyłem, zaczęło mi rodzić lepiej a i u somsiadów suchsze sie zrobiło. Boże mój kopałem przy ziemiaczanem placku, bo chleba mi nie starczało na cały rok więc przez zime sie nie piekło żeby na lato starczyło, to co pożyczylem nie starczyło na przestawienie budynków. Sprzedałem obie krowy i świnię, zostałem tylko przy koniu, żyto też wszystko sprzedałem zostało tyle co na barszcz i mleka i chleba nie miałem cały rok, a krasywa rzadko kiedy sie kupiło, bo nie było co sprzedać na nie, miałem dużo buraków egipskich to sie z barszczem gotowało i to służyło za krasivo, dzieci miałem troje, dwóch chłopców i dziewczynkie, zaczęli mi wszyscy chorować na biegunkę, widze że jest źle, szukam pieniendzy pożyczyc, bo widze że sie wszyscy pochorujemy, chodzę do żydów, chcą 6% miesięcznie, myślę że to za dużo, szukam gdzie indziej, nikt nie chce, powiadają ma dużo długu, a ino dwie morgi, reszte sukcesja. Pisze do braci, też nie mają a dobrze jem sie powodziło, z tego zmartwienia zgłupiała mi żona, zaczęła latać boso nago, szyby w oknach powybijiała, oszklić niema za co, dzieci płaczą, bo zimno, bo to zimową porą było, pozatykałem poduszkami aż żyd przyszedł, jedną żem sprzedał i oszklił, ubrania.

podarła, powynosiła, zostałem goły jak bicz bez krowy, bez chleba, bez ubrania i bez gospodyni. Rozpacz mie ogarniała ludzie radzą mi ją oddać do szpitala, idę do gminy, żeby mi dali świadectwo ubóstwa, bo nie mogę sobie z żonom rady dać w domu. Sekretarz powiada żeby klatkę zrobić i tam ją zamknąć to będzie siedziała spokojnie, idę jeszcze raz i płacze, przyjeżdża przed gminę dziedzic, pyta czego ja płacze, mówię mu o swojej doli, poszedł do sekretarza, coś tam pogadali i świadectwo dostałem, żonę do zakładu w Warcie umieściłem, była tam jeden rok, ale nic nie pomogło, wypisali mi ją do domu, bo gmina nie chciała dłużej płacić i już szósty rok jest w domu, ale jak była głupia tak pozostała i ja ni kawaler ni wdowiec. Tak muszę się mordować, pytałem się raz o rozwód, powiedział proboszcz, że niewolno się rozwodzić. Zacząłem sam się gospodarzyć. Jakiś czas sam gotowałem, sam prałem, sam reperowałem i w polu robiłem ale bardzo żem się przemęczył, dostałem chroniczny niezbyt kiszek i cały dom był bardzo brudny i zawszony. Zgodziłem sobie służącą, starszego chłopca posyłałem na drugą wieś do siedmiooddziałowej szkoły, po skończeniu szkoły brat ogrodnik umieścił go na praktykę kucharską do Cristalu róg Brackiej i Jeruzolimskich, tam trzy lata praktykował, teraz pracuje pod Bukietem naprzeciw dworca głównego, zarabia 180 zł. miesięcznie ale łajdak grosza mi nie przyśle. Po wywiezieniu chłopca, kupiłem sobie ciele, z niego dochowałem się krowy, później drugiej, na kredyt wzięłem małe prosie, dochowałem się maciory. Zacząłem stosować nawozy sztuczne, miałem 1000 złotych długu to oddałem, pozostało mi jeszcze 300 zł. w Banku Rolnym. Brat ogrodnik przysłał 400 sztuk drzewek, żeby sad handlowy założyć ale przyszła sroga zima i 85% drzewek zmarzło, pozostała nikła ilość, miałem zamiar na kredyt drzewek wziąć i dosadzić w brakujące miejsce, ale słuchy mnie doszły, że dwóch braci potajemnie swoje części sprzedali siostrze do Zagłębia, myślę sobie co mi tam sadzić na czyj grunt i widocznie, że teraz nie jestem pewny na ojcowiznie co mi ją tak uroczyście przyrzekali, że niedużo spłaty wezmą i od tej pory ojcowiznę traktuje jako dzierżawę. Z tego powodu mam biedę, że sprzątam dziewięć morgów, za sześć morgów płace dzierżawę, korzec z morgi, budynki połowe moje, połowe brata ogrodnika, dzieci dwoje to chodzą do szkoły ludowej, dziś bardzo trudno jest żyć i ludzie w mieście myślą, że chłop sprzedaje to co mu zbywa a tu sprzedać musi każde jajko, każdą kure, jeżeli zabije to na uroczyste święta, żyto sprzeda, jeść niema co, ale sprzedać musi i żeby

tak mus nie był żeby ludzie mogli we świat iść, nie byłoby tego nadmiaru produktów rolniczych, bo by ludzie zjedli więcej, a na domowe potrzeby lub podatki przyszalboby ze świata. Boże kochany, matka jak krasiwo smaży to sie nie może ugnąć przed bachorami, płakać sie chce jak dziecko zajada skwarka jak jakie ciastko, przed wojną mały gospodarz zarobił w Prusach, ten co został w domu pojechał z żydem na furmanke lub powióził klocka do miasta, jakiemu prusakowi zorał i obsiał pole i w ten sposób zarobił na krasiwo, mydło, sól, naftę, buty, ubranie a i podatek z tego zapłacił bo co tam z dziewięciu mórg zapłacił trzy kornce żyta, a dziś osiem korncy. Przed wojną za jajko dostał półtorej paczki zapalek, za trzy jajka paczke machorki, za trzy jajka kilo soli, za korzec żyta czternaście kilo cukru w kawałkach i t. d., dziś o sto procent wszystko droższe, wyjechać niema gdzie, zarobić koniem też nigdzie nie zarobi, jeżeli tam jaki szczęśliwiec dostanie zapotrzebowanie do Francji, to mu cała wieś zazdrości, już sie nie mówi żeby człowiek zajadał mięso lub zapijał kawę lub herbatę, bo tego sie do śmierci nie doczeka, ale za te prace od świtu do nocy żeby chociaż był regularnie cały rok kawałek chleba lub barszcz albo ta kapusta jako po ludzku okraszona. Czyta się nieraz, że chłopie nie stosują higjeny, że nie umieją sie odżywiać, różne bzdurstwa i minister głupi jak zostanie bezrobotnem. Chłop każdy chociaż najgłupszy jeżeli by miał pieniądze postawił by ładny dom, oborę nowoczesną, stodołę, piwnicę, kupiłby siewnik, kultywator, młocarnie, nie potrzebowałby kijem nad rozumem wywijać, sieczkarnię, a wiele różnych rzeczy i stale o nich marzy, kobieta by wiedziała jakie meble kupić do izby kuchennej, stołowej czy sypialnej a i o pianinie córka też by pomyślała, jednym słowem niech ino żyto kosztuje 25, kartofle 6 zł., a kilo żywego wieprza 2 zł. to odrazu ruch by się zrobił po fabrykach, z ciemnego chłopca zrobił by się kulturalny, chociaż niepiśmienny i toby gazety kupował, drugi by mu czytał. W Prusach pracowałem to prenumerowałem trzy dzienniki, a tu ani jednego nie mogę. Jestem miłośnikiem czytania gazet a jak nie mam na to, to muszę być ciemny i mojem pragnieniem jest aby była gazeta do czytania, żeby mieć gospodarstwo własne i żeby każdy chłop należał do związku, żeby z niego się nie wyśmiewali, nie poderzali, żeby starość była zapewniona nie tak jak jest dziś, idziesz do urzędu, powiedzą ci jutro przyjdźcie, bo ten a ten pan dziś nie załatwia a nie wejdzie w położenie, że to jutro będzie kosztować pięć mil drogi. Taki młynarz każe sobie dać

od metra 19 kilo miarki i na to niema rady. W lesie ugrabisz trochę ściółki i to jeszcze jeżeli masz łaskę u pana leśniczego. Ściółka leży całymi tygodniami na kupie ugrabiona aż się spali. Pan leśniczy niema czasu odebrać, jedziesz trzy mile do lasu pod drzewo, zajędzasz, biuro zamknięte, pan leśniczy śpi jeszcze, przychodzi o dziewiątej. Chłopów masa stoi cały dzień, pod wieczór dostaje kwit, bo pan przed obiadem pił herbatę, po obiedzie też herbatę, a ty chamie stój, boś ty dla pana a nie pan dla ciebie, a koniowi twojemu robactwo krew strumieniami puszcza, gdzie towarzystwo opieki nad zwierzyntami. Czy taki pan leśniczy nie mógłby o godzinie piątej rano w dnie upalne sprzedawać, chyba by mu okrasa nie spadła a szkapy by uradowane były, boby ję więcej krwi i siły pozostało w organizmie, a jak tam jaki chłopiek mruknie, że pan leśniczy późno zaczął sprzedawać, to mu się drzewa nie sprzeda, jedź sobie chamie trzy mile drogi do domu, będziesz na drugi raz wiedział jak się pana szanuje, a jak nie to wszystkich na dwór, a pan sobie idzie odpocząć. Jedziesz do miasta, tu nie wolno stanąć, tam nie wolno sprzedać, targowice opłać, czy masz za to jaki bruk czy wagę, musisz sprzedać na oko, masz psa, puścisz go żeby kury somsiadowe przestraszył ze zboża i na ten czas polikier, dlaczego pan psa nie trzyma na uwięzi, panie, kury straszylem, jak się nazywacie, panie niech pan nie pisze, nie zrozumieliście po polsku, że sie pytam o nazwisko. Jesteś w dozorze to ci nic nie wolno gadać, proboszcz sam decyduje o gospodarce kościelnej, a ty ino jesteś na to żebyś podpisał żydowi, sprzedajesz żyto to ci żyd postawi kilowe ciężarki i dawne funtowe, chłop wie, że pięć kilo ściągnie 50 ale nie pięć funtów wiele ściągnie a ćwierć funta i w ten sposób go żyd oszuka. Idziesz do polikiera żeby zrobił protokół to on teraz niema czasu, rad nie rad trza brać wiele żyd daje, bo tu z końmi stać nie wolno bo protokół. Pożyczyłem w komunalnej kasie powiatowej 100 zł. na trzy miesiące, bo dłużej nie dają, przychodzi termin, płacisz połowę, to drugą połowę ci ino na jeden miesiąc prolongują, dłużej nie wolno, bo taka ustawa jest, żeby chłop co miesiąc trzy albo pięć mil drogi przeszedł, bo w domu nic nie robi, to się przespaceruje, a jak by był każdy chłop w Związku, napewno by tych przykrości i biedy nie miał i z tej biedy nie można się wydostać. Młodsze pokolenie jakoś sobie tam chociaż z tem nadmiernem rodzeniem dzieci daje radę, bo jak kobiecina zajdzie w poważny stan to jak ma 10 zł. to ta znajdzie się taki co sztuczne poronienie za te 10 zł. zrobi, a ta

co tych 10 zł. niema, to sobie sama brudnem palcem w macicy poskrobie, krew puści i poronienie wywoła, że ta która z tego do ziemi pójdzie, to co to kogo obchodzi, chociaż tam mówią o jakisich Malhtusach co to zapobiegają ciężę, to przecie chłop tego nie kupi, bo go na to nie stać, za jeden raz 50 groszy dać, a ile by musiał na cały rok zapłacić, całą gospodarke by stracił, chociaż tam ktoś mówi o poradniach żeby po osadach zakładać to chyba by była porada darmo, bo tu na sól niema, o poradzcie i gadać niema co, jak by tam zrobili coby taki Malhtus kosztował 15 groszy to by i mniej kobit albo dziewczyn szło do ziemi. Ja tam nie wierzę żadnem obietnicom co to ziemię dają albo robotę w fabryce, bo ani ziemi ani roboty niema tyle, co jest biedy po wsiach, ograniczyć płodność, to następne pokolenie będzie miało i ziemię i robotę, tak jak dziś jest po sześcioro, ośmioro w każdej chałupie to co tu pomoże reforma rolna, ojciec bije swoją żonę, wyzywa ją od maciory, dzieci to samo o bele co katuje. Jedzenie trzy razy kartofle bez okrasy, wszy pełno bo na mydło nie starcza, oberwane dzieci aż zgroza, kawałek chleba tylko na uroczystość jest, istna inkwizycja i niejeden mówi, że chłop dawniej nie był patryjotą i dziś nie jest, bo go bieda wrogo usposabia, czy on ma za swoją pracę wynadgrodenie, żyje niżej krytyki, jak na obiad zje kartoflanych klusek z mlekiem albo z kaszą jaglaną i to nie codzień boby mleka nie starczyło a ino na niedzielę, na jednym łóżku śpi po cztery osoby, twarz się myje raz na tydzień mydłem, bo nie starcza i taki mieszczuch mówi, że chłop to sprzeda to, co ma na zbyciu, jeszcze mu się zazdrości, a on żyje jak krówka w oborze, nie zna teatru, cyrku, kina, w mieszkaniu stoją tam dwa łóżka, stół, dwa krzesła i całe umeblowanie, dużo tu pomoże odczyt o gruźlicy albo higjenie jak każdy ledwo nogami przeplata, bo od takiego życia musi się zrobić leniwem i tak w koło.

Prosiłbem o zawiadomienie jak wyjdzie z druku pamiętnik chłopca.

Dn. 29 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 14

**Cieśla wiejski na karłowatym
paromorgowym gospodarstwie
w pow. łaskim**

Warunki w których się urodziłem to jest rok 1901 nie można było zaliczyć do najgorszych, był to czas, w którym każdy uczciwy człowiek zdolny do pracy fizycznej mógł sobie radzić, tak ten co posiadał kawałek ziemi, jak i ten co jej nie posiadał wcale mógł sobie życie jakoś urządzić. Rodzinę moją można zaliczyć do biedniejszych, gdyż ojciec mój posiadał wówczas gospodarstwo rolne składające się z 7 i pół morga ziemi i starych zabudowań gospodarskich do tego dochodziła wspólna pastwa z dworem. Wobec czego przy utrzymaniu gospodarstwa w dobrej kulturze rolnej, wydajność ziemi dawała dostateczne utrzymanie rodziny składającej się z dziewięciu osób zaś opłacalna hodowla trzody chlewnej, której można było utrzymać cztery sztuki rocznie wystarczało na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb domowych t. j. ubrania i obuwia dla całej rodziny, zaś utrzymanie czterech krów mlecznych dawało dostateczne uzupełnienie dobrego odżywiania dla całej rodziny, tak że życie rodzinne płynęło bez kłopotu i zmartwienia. Po wojnie światowej dwie siostry i starszy brat wyjeżdżali na sezonowe roboty do Niemiec przynosząc wielką ulgę rodzicom. Za zarobione przez nich pieniądze pobudowaliśmy dom, oraz przeprowadzili remont starych zabudowań gospodarskich. Przyszedł rok 1918, a z nim niepodległość państwa Polskiego. Starszy brat się ożenił i poszedł do wojska. W roku 1919 poszedłem ja, po wojnie bolszewickiej 1920 roku powróciłem pracując nadal z ojcem w gospodarstwie. W roku 1922 poszedłem ponownie do służby wojskowej po odbyciu której powróciłem do domu i oddałem się zawodowi ciesielskiemu. Początkowo zarabiałem niewiele jak na owe czasy, jednakowoż w drugim już roku zarabiałem o wiele więcej, z począt-

ku 1926 roku zacząłem pracować już samoistnie jako cieśla. W 1929 roku ożeniłem się, żona wniosła mi posagu 2 tysiące zł. gotówką, a że to były czasy dość dobre i pracą ciesielską niezłe zarabiałem, to też starczyło mi na normalne prowadzenie życia rodzinnego bez żadnych większych kłopotów. Był to czas w którym tak drobny jak większy rolnik nie odczuwał większej biedy. Produkty rolne popłacały, hodowla także, to też budowla na wsi została rozwinięta bardzo znacznie. Budowano nowe domy, remontowano stare, lub powiększano zabudowania gospodarskie, to też życie moje jako cieśli się uśmiechało. Należałem do uczciwych i solidnych pracowników ciesielskich, to też pracy miałem dość byle tylko rąk starczyło. Brało się przeciętnie od średniego domu do 150 zł., od większych domów od 200 do 300 zł. tak że po uczciwie przepracowaniem lecie można było spokojnie odpoczywać w długie zimowe wieczory, w dobrze ogrzanem pokoju spędzając czas nad pożyteczną książką czy gazetą. Był to czas godny wspomnienia. Lecz niestety niedługo uśmiechało mi się życie rodzinne. Na początku 1930 roku zmarł mi ojciec. Gospodarstwo liczące wówczas 11 i 1/2 morga ziemi wraz z serwitutem zostało podzielone pomiędzy spadkobierców. Matka otrzymała 1/3 jako swoją własność jak również dożywotnią część po ojcu, resztę podzielono na równe części każda po 280 prętów kwadratowych. Odziedziczyłem i ja swoje 280 prętów po ojcu. Ciężko mi było rozpocząć gospodarowanie na tym szczupłym zagonie gdyż wszystek zasiew musiałem sobie kupić, szczęście że miałem zaoszczędzone z pracy trochę grosza, gdyż posag jaki wniosła mi żona został rozpożyczony pomiędzy ludzi. Po śmierci ojca zacząłem myśleć o powiększeniu własnego zagona, gdyż i rodzina moja powiększyła się, a wraz z tem przybyło kłopotu. Zacząłem z bratem mówić o kupno części, prawie rok umawialiśmy się, aż w końcu nie doszło do zgody, gdyż brat ostatecznie żądał 2 tysiące złotych. Nie mogłem się pogodzić z tem aby za 280 prętów ziemi średniej zapłacić 2 tysiące zł. Jednakowoż myśl nie dała mi spokoju, aby nie stracić posagu żony, aby coś za to dokupić. Zacząłem znów umowę z najmłodszą siostrą, rezultat był taki, że zgodziliśmy się na sumę 700 zł., a więc odebrałem od ludzi i kupiłem. Cieszyłem się z tego, że będę mógł utrzymać choć jaką taką krowinę co dotychczas było niemożliwe. Po dokupieniu tego kawałka ziemi żona dostała w posagu od swej matki młodą półtoraroczną jałoweczkę, z której dochowałem się dobrej dójki. I z tej strony czułem się lepiej, ale czasy zaczynały się pogarszać, rok 1931 przy-

niósł katastrofalny spadek cen produktów rolnych oraz hodowli. Nie odczuwałem tego na swem kawałku ziemi, gdyż z niego mogłem liczyć jedynie na jakie takie wyżywienie rodziny, o sprzedaży zboża nie było mowy, poza utrzymaniem krowy o żadnej hodowli nie było można myśleć. Jednak pogorszenie stanu gospodarczego wsi spowodowało częściowy zastój w budownictwie, oraz spadek zarobków za prace budowlane. To też dochody moje czerpane z pracy budowlanej zaczęły się kurczyć coraz więcej, z których mogłem liczyć na ubranie i obuwie dla rodziny, oraz na niezbędne potrzeby domowe. Zacząłem ściągać pożyczone pieniądze od ludzi, ale i tu napotkałem na wielki opór. Trudności spowodowane ciężkim stanem gospodarczym stanęły mi na przeszkodzie, tak że przez cały rok nie można było odebrać 100 zł. Z chwilą ustania sezonowej emigracji do Niemiec znikły wszelkie pożyczki, a wraz z tem i odbiór pożyczonych pieniędzy. Tak i ja odbierając od sumieniejszych ludzi po parę złotych, dożywiałem rodzinę. Odtąd zaczęło się przejadanie pozostałych na pożyczkach pieniędzy z posagu żony. Z jednej strony przejadałem resztę odebranych pieniędzy, z drugiej strony zanikły jakiegokolwiek dochody z pracy. Stan mojego życia stawał się coraz cięższy. Pozostałe u ludzi 300 zł. nie mogłem odebrać, żadne prośby z mej strony nie pomagały. Zmuszony byłem wydać ciężko zapracowane grosze na oddanie sprawy do przymusowego ściągnięcia drogą protestu i to nie pomogło. Licytacja z powodu intryg gospodarza nigdy nie doszła do skutku. Wkońcu z goryczą w sercu musiałem poprzestać, gdyż dopłaciłem do swojej krwawicy przeszło 60 zł. jakby w błoto rzucił, na dalsze postępowanie pieniędzy brakło. Wprowadzenie sądów rozjemczych rozzuchwaliło do reszty mojego dłużnika. Z rozpaczą musiałem zapomnieć o swoich ciężko zapracowanych 300 zł. Pozostało mi 400 zł. pożyczone u matki i o oddaniu tychże nie było mowy, zacząłem nalegać częściej, coraz mocniej, aż wkońcu matka nie mogąc się mnie pozbyć i widząc tę nędzę jaka mnie gniecie zgodziła się za dopłatą 200 zł. odpisać mi morgę ziemi. I znów nadzieja wstąpiła we mnie, że mam już 2 morgi 260 przętów ziemi i na dodatek 200 zł. długu, ale zupełny zanik pracy pozbawił mnie dochodów poza gospodarstwem. Na dobitkę Urząd Skarbowy zażądał ode mnie przymusowego wykupienia świadectwa przemysłowego. Zwrócenie moje z prośbą, że zarobek mój jest zupełnie nikły, nie pomogło, albo zupełnie nie pracować, albo wykupić. Nie chcąc dopuścić do ostatecznej nędzy wykupiłem, skutek z tego jest taki,

że zarobiłem na sól, a dziś sekwestrator zajął mi za podatek obrotowy ostatni metr żyta. Wielka beznadziejność zawładnęła mną. Mieszkam w mieszkaniu udzielonem mi przez moją matkę, stan zabudowań jest: dom średni, stodoła lada dzień runie, obora obłożona podpórami może wytrzymać z górą dwa lata, o remoncie niema mowy, a o budowaniu nowych wcale nie można myśleć; pierwsza myśl to ratunek przed głodem i zimnem, przed nadchodzącą zimą. Inwentarz mój to licha krowina, o kształceniu dzieci niema mowy. Na zeszyt do początkowej szkoły trudno się zdobyć. O meljoracjach wieś zapomniała, pamiętają tylko ci co ich gniotą długi za przeprowadzone meljoracje. O kupnie książek i gazet nie można myśleć gdyż nieraz przychodzą takie dni, że bez soli trzeba zjeść obiad czy kolację. W nudach i zadumie o swej przyszłości, która jest dziś beznadziejną spędza się długie zimowe wieczory. Chętniebym wypożyczył jakieś pożyteczne książki, ale bo to jest gdzie? Towary kupuje się przeważnie najtańsze jarmarczne i to też co najpotrzebniejsze, t. j. bieliznę i z ubrania to co już ze skóry spada. Odświętne ubrania się nie kupuje, wydziera się to co z lepszych czasów pozostało, a gdy to się zedrze to wielkie pytanie w czym się będzie chodzić. O chodzeniu w butach przy codziennej robocie wieś już zapomniała, w bardzo wielu wypadkach jedne buty muszą starczyć na święto na całą rodzinę, a dziesiątki jest takich co już i trepów nie mają za co kupić. Dziecko od dwóch lat musi chodzić w trepach, bo o kupowaniu trzewiczków nie można nawet myśleć, gdyż poza gospodarstwem o jakimkolwiek zarobku niema mowy. Bo nawet zamożniejsi gospodarze nie najmują robotnika, bo niema czem płacić, gdy zaś zmuszeni są najać wypłaca się zbożem lub odrabia końmi. Gdy niema żadnego zajęcia w gospodarstwie, odrabia się za pracę końmi, gdyż na swoim zagonie konia utrzymać nie można, bo wydajność ziemi starczy za ledwie na wyżywienie rodziny. Ubieramy się bardzo nędznie, łąta się każde ubranie czy bieliznę do ostateczności, gdyż na uprawę lnu na towary samodziłowe nie starczy ziemi. Co do odżywiania to odżywiamy się: kartofle, kapusta i to bardzo mało okraszone, gdyż 1/4 kilo okraszy musi starczyć na tydzień na całą rodzinę i suchy kawałek chleba jeszcze niezawsze, gdyż nie starczy, o smarowaniu chleba niema co myśleć. Stan zdrowia pożałowania godny, najgorzej to już z małym rodzeństwem, do nastania większego zimna musi chodzić boso, zaś na ciepłą odzież niema pieniędzy, mieszkanie do nastania ciężkich mrozów nieopalone, to też gdy nastanie

cięższa zima, stale dzieci chore, kaszel kokluszowy, zaziębienie, a nieraz i gruźlica. Boże zachowaj takiego życia. Pomoc lekarska i to w najcięższych wypadkach niebezpiecznych chorób jest wtenczas gdy się znajdzie jaka złotówka, gdy zaś niema macha się ręką „Dziej się Wola Boża”.

W roku 1928 założono u nas Kasę Stefczyka, złożyłem i ja swój udział w kwocie 15 zł. Powołano mnie na stanowisko sekretarza Rady Nadzorczej, później jako przewodniczący Rady Nadzorczej pracowałem z poświęceniem gdyż jestem wielkim zwolennikiem spółdzielczości. Z początku szło dość dobrze. Jednakowoż po paru latach praca zaczęła słabnąć. Część pożyczek zaczęła zalegać u członków, a tem samem i w Centralnej Kasie. Dziś Kasa ta stoi w obliczu likwidacji. Żadnych widoków dla siebie i dla swojej rodziny na przyszłość nie widzę, bo skąd dziś można choć pomyśleć o widoku na przyszłość, bo na samą myśl o przyszłe jutro człowiek się wzdraga i popada w jakąś zadumę, sam siebie pytając jak będzie jutro, jak będzie dalej żyć? A jakież może być zabezpieczenie człowieka małorolnego na przyszłość, czyli na starość. Już minęły bezpowrotnie te czasy co można było jakiś grosz odłożyć na stare lata. Dziś myśli się tylko o tem by można choć z wielką nędzą żyć, a o zabezpieczeniu na starość wcale się nie myśli. Mieszkanie mam jedna izba, całkie umeblowanie to stara szafka kuchenna i takiż stolik, szafa do ubrania i łóżko, które dostała żona w posagu, oraz stół swojej roboty.

Porównując poziom człowieka pracy tak małorolnego jak i bezrolnego z czasem przedwojennym a obecnym, stwierdzić trzeba, że pozostaje tu wielka przestrzeń niedomagań, którą dziś niełatwo da się wypełnić. Przed wojną człowiek małorolny na wsi poza pracą na swoim zagonie pracował poza gospodarstwem, pracy tej nie potrzebował szukać, gdyż wszędzie potrzeba było rąk do pracy, czy to przy budowlu na wsi, czy w pobliskich miasteczkach, czy też w większych gospodarstwach rolnych. Zarobek był niezły. Można było zarobić na niezłe utrzymanie. Większość zaś pozostających bez pracy ludzi na wsi wychodziło do większych miast przemysłowych, gdzie zarobki dawały im możliwość dobrego utrzymania, a wiele z nich mając zamiłowanie do pracy rolnej powracało na wieś z zaoszczędzoną gotówką, kupowali sobie gospodarstwa zabezpieczając się na przyszłość. A ileż to tysięcy ludzi ze wsi znajdowało pracę przez sezonową emigrację do Niemiec. Dziś dziesiątki i setki ludzi na wsi zdolnych do pracy daremnie jej poszukują, gdy usłyszą, że gdzieś

nawet w odległej dzielnicy Polski ma się ruszyć jakaś praca, to na całe tygodnie wybierają się i idą pieszo o suchym kawałku chleba i tak samo wracają zrozpaczeni. Znam w mojej miejscowości takie wyprawy za poszukiwaniem pracy w czasie wiosennym, aż na Pomorze, bez żadnego wyniku — po paru tygodniach wracają nazad do swojej nędzy z rozdartem sercem. Ojciec małorolny zdolny sam jeszcze obrobić swój zagon, synów dorosłych trzech — czterech, pracy niema, poszukiwanie jej daremne, nadchodzi zima, wszyscy bez butów i ubrania, jeszcze gorzej wiosną już w maju brak środków do życia, kupić niema za co. Chętnieby szli pracować za utrzymanie, ale gdzie? Wszyscy we wsi to małorolnicy posiadający jeden, dwa, a najwyżej kilku takich co mają około pięciu hektarów średniej ziemi, a z tego wszystkiego rozpacz niezgoda i przekleństwo w domu. Wieś dziś nie widzi żadnej przyszłości przed sobą. Wielka beznadziejność zapanowała na wsi, ludzie chodzą jak bezmyślni, wszędzie pełno nędzy, spustoszenia i rozpacz. Pamiętam gdy w czasach dobrej konjunktury zjawił się na wsi komornik czy sekwestrator to było coś zadziwiające, wszyscy wylegli na drogę z domów ciekawi poci i do kogo przyjechał, a większość to tacy co tego pana w swoim życiu nie widzieli i ciekawi byli go zobaczyć jak on też wygląda. A dziś nawet nikt nie wyjrzy z domu, sekwestrator to nic dziwnego wszyscy są obojętni na obecność jego na wsi. Obecność komornika czy sekwestratora na wsi nikogo nie wzrusza, gdyż ci panowie są prawie codziennymi gośćmi wsi. Ludzie się nie przerażają obecnością sekwestratora, gdyż wiedzą że już im nic nie weźmie, bo niema co. Nędzna, smutna i beznadziejna wieś więcej podobna do cmentarzyska niż do zbiorowiska życia ludzkiego. Zniknął uśmiech na twarzy wieśniaka gdyż oprócz ciężkiego borykania się z nędznym losem nic więcej mu nie pozostało.

Największym złem, które przyczyniło się do strasznej nędzy wsi, to brak pracy dla bezrolnych i małorolnych, których ten brak pracy popchnął na dno nędzy. Drugim zaś złem i to prawie największym to nieopłacalność produktów rolnych i hodowli przy wysokich cenach wyrobów przemysłowych, oraz brak taniego kredytu przez co każdy rolnik zmuszony zaraz po zbiorach zboże za bezcen wyprzedać. Trzecim to nadmierne ciężary podatkowe, które coraz stają się większe w najrozmaitszych formach i rodzajach. To są trzy najgłówniejsze bolączki wsi. Za nimi zaś stoi cały szereg innych, których za długo byłoby wymieniać.

Dn. 28 lutego 1933 r.

Przybywam na wezwanie Instytutu Gospodarstwa Społecznego, i oddaję swą kartę życiową, na której przedstawione jest wszystko co kiedykolwiek mię spotkało i mój pogląd indywidualny na rzeczy i zagadnienia, które stanęły na drodze mojego życia.

Droga jaką przebyłem w życiu jest jeszcze stosunkowo krótka, bo jestem młodym. Lecz życie obdarzyło mię taką obfitą treścią przeżyć iż dzięki nim zdobyłem dość dużo doświadczenia.

Opis ten nie jest żadną reklamą interesów własnych ani też sztuką obliczoną na afekt. Lecz jest to najprawdziwsze życie, które nie jest żadnym wyjątkiem, lecz trwałą i ogólną formułą życia biedoty wiejskiej. Która żyjąc w nędzy i ukrzywdzeniu, tylko swej naturalnej żywotności może zawdzięczać iż nie wymarła. I nietylko że nie wymarła, ale śmiem twierdzić, dąży naprzód ku coraz to wyższemu szczeblom kultury, zdobywając coraz to więcej ogłady i pogłębiając swą treść umysłową. I przyjdą czasy kiedy lud, świadom swej kultury i siły moralnej, wyda wśród siebie jednostki które odrodzą życie.

I.

Urodziłem się w 1912 roku dnia ósmego grudnia, we wsi Szulec pow. Kaliskiego.

Rodzice moi pochodzili z rodzin włościańskich. Ojciec z dwudziestomorgowego gospodarstwa, matka — z czterdziestomorgowego. Sami jednak nie mieli żadnej roli. Utrzymywali się z pracy rąk własnych, ojciec zarabiał jako krawiec, matka zaś zajmowała się prowadzeniem domu.

Początkowo mieszkaliśmy przy rodzicach mojej matki. Lecz

jednak na skutek wewnętrznej niezgody, Ojciec mój na ziemi brata swojego postawił sobie dom w którym zamieszkaliśmy. Jako dzierżawne z tego kawałka ziemi który zajmowaliśmy, ojciec miał szyć bezpłatnie ubiory dla brata i jego żony.

Ojciec mając dużo pracy mógł bez trudności dać środki do życia rodzinie składającej się z sześciu osób licząc w to i ojca. Czterech nas synów z których ja byłem najmłodszy mieliśmy dość dobre warunki wychowania.

Działo się to między rokiem 1907 a 1916.

Pod koniec tego okresu zaczyna się nam powodzić coraz gorzej. Wojna światowa odejmuje coraz bardziej ludziom chleb. Nędzą się zwiększa. I nam coraz częściej brakuje chleba.

W roku 1918 przybywa do nas czterech jeszcze jeden brat. Rodzice z trudnością dawają sobie radę z nastarczeniem na różne potrzeby. Jak mogą tak kombinują, byle nie dopuścić widma głodu pod strzechę swoją.

Przychodzi fatalny rok 1920—21. Czas wojny bolszewicko-polskiej. Nie pomogły już teraz kombinacje, nędzą stawała się coraz większa.

My czterej bracia chodziliśmy wówczas do szkoły. Dwaj starsi uczęszczali do szkoły pow. siedmioklasowej w Opatówku. My zaś dwaj młodszy chodziliśmy do miejscowej szkółki wiejskiej. Sytuacja była okropna. Nasze młode organizmy potrzebowały obfitego i dobrego jedzenia, a tu rodzice mimo największych wysiłków nie mogli nam tego nastarczyć. Buty i ubrania były fatalne — same łąty i łąty.

Och dziś jeszcze żywo pamiętam jak życie wtedy było męczarnią. Stałe pragnienie i rozgoryczenie płynące z nienormalnego trybu życia. Stałe lzy i skamłanie matki o kawałek chleba!

A matka!... Jej biedaczce napewno się serce rwało w kawały gdy widziała obok siebie zażawione błyszczące blaskiem pragnienia oczy drobnych dzieci swoich. Pamiętam, często popłakiwała i żaliła się na marne życie przed ojcem. Ojciec zaś pocieszał ją mówiąc, że niedługo się to wszystko skończy. Niech tylko zdobędziemy wolność, oswobodzimy własną ojczyznę — to zaraz będzie lepiej. Nasz rząd pomagał będzie swym obywatelom w urzędzeniu sobie wygodniejszego życia.

O ile mój młody umysł może sobie odtworzyć te chwile, przypominam sobie iż życie wtedy w okresie tej wojny, było nasiąknięte ogromnym patryotyzmem. Było u nas założone Koło Młodzieży, które rozsiewało po całej okolicy poczucie obywatelskie. Należeli do niego

i starzy i młodzi, a wszyscy interesowali się gorąco sprawami Państwa i przebiegiem wojny. Kobiety, prawie bezustanku śpiewały pieśni patryjotyczne, zaczerpnięte z broszur ilustrujących wojnę.

Ten patryjotyzm, to pragnienie wolności musiało być bardzo suggestywnem, bo nawet my dzieci zeszedłszy się gdzieś na łące lub przy drodze opowiadaliśmy sobie jakie to tam dziwy wyprawiają się pod Warszawą.

Niezatarte mam w pamięci te chwile, w których to przysłuchując się rozmowom starszych wczuwałem się w tę ogólnie niepokojącą atmosferę — co będzie dalej?

Z entuzjazmem podawaliśmy sobie z ust do ust wiadomość o zwycięstwie naszych. Radością brzmiały głosy cieszących się z odzyskanej wolności! Teraz będzie lepiej, mówiono!

Jakąż to potężną manifestacją, jakim potężnym rzutem oswobodzonego narodu była rocznica Konstytucji Trzeciego Maja. Ileż to wtedy sztandarów powiewało na rynku naszego miasteczka parafjalnego!

Z jakimż entuzjazmem śpiewaliśmy „Rotę” i „Boże coś Polskę”...

II.

Przyszła nareszcie ta upragniona polską rzeczywistość! Ojczyzna nasza wolna! Życie potoczyło się swym trybem cichej a nieustannej walki o byt młodego państwa. Jak wtedy przedstawiała się sytuacja w moim otoczeniu niebardzo pamiętam. Bo czasy te spokojne już nie uderzały mocniej o moją młodą wyobraźnię. Zajmę się więc rzeczami które bezpośrednio przeżywałem.

Po wojnie sytuacja materialna zaczęła powoli być coraz znośniejszą. Zaczęliśmy już widywać chleb, można było kupić buty, ubranie.

Zaczawszy uczęszczać do szkoły dziwnie przygląnałem do książki! Niewypowiedzianą rozkosz sprawiało mi uczenie się! Pierwsze lata szkolne miałem ogromnie przykre. Były zaś takie dlatego, że nauczycielka ówczesna, nie wiem czy ideologią wychowawczą to było, czy też wpływało z dzikiego jej okrucieństwa — biła bez litości! Dziś jeszcze czuję na mych plecach te bolesne, okrutne razy jej szpicruty!

Był to dziwny typ kobiety. Nie była ona prostytutką o ile ją pamiętam. Była to inteligentna kobieta o obejściu się z ludźmi bardzo ujmującym. A jednak biła dzieci za byle co! Bicie to weszło u niej w nałóg. Gdy tylko się nadarzała sposobność, zaraz puszczała

w ruch swój srogi bat i katowała. Nie bacząc iż może zrobić dziecko kaleką, biła po twarzy, głowie, plecach. W chwilach zaś nadzwyczajnego wyrafinowania kładła bitego na ławkę i biła a biła bez litości! Nie zważając na kwilenie krzywdzonego dziecka! Och tyran to był w ludzkim ciele inteligenta!

Pamiętam, miałem jednego kolegę szkolnego, który mię ogromnie nienawidził. Gdzie tylko mógł zahaczał o mnie nie dając spokoju. Razu pewnego gdyśmy byli zebrani w szkole, przyszedł do mnie i kopnął mnie w nogę. Ja odepchnąwszy go nie chciałem wszczynać bójk i usiadłem napowrót w swej ławce. Lecz ten zadowolony wlaźszy na pierwszą z tyłu ławkę zaczął mnie wściekle obijać pięściami. Wyprowadziło mnie to z równowagi, wyskoczyłem na ławkę i jednym potężnym pchnięciem zwałem go z ławki na podłogę. Upadłszy potoczył się pod następny rząd ławek i uderzył się w głowę. Gagatús oczywiście zaczął płakać. Ja zaś któremu bez porównania więcej się oberwało, tembardziej iż nie ja byłem zaczynającym burdę usiadłem w ławce i spokojnie rozmyślałem nad tem dlaczego on tak o mnie zahacza.

Naraz przyleciała siostra tego gagatka i wypytawszy się go czego płacze, wypadła na mnie z gębą. Czekaaj, czekaaj! Ty dostaniesz tylko pani przyjdzie! Przyleciała reszta elity i wszystkie zgodziły, że ja jestem winien (dlatego że byłem biedniejszym)!

Strach mnie wziął! Poczułem już na grzbiecie, głowie, ramionach, bezlitosne ciosy katowskiego bata! Skupiłem się w sobie i wycekiwałem aż przyjdzie pani nauczycielka.

Weszła. Dreszcz przebiegł mię po ciele. Zaciąłem się i milcząc czekałem co będzie dalej.

Wtem elita gromadnie zaczyna skarżyć o zajściu, całą winę oczywiście zwałając na mnie. Z ogromnym strachem przygotowałem się na egzekucję!

Pani nauczycielce tylko oczy zaświeciły. Nie pytając mię jak to było, chwyciła szpicrutę i podbiegła do mnie. Oczy jej świeciły nadzwyczaj złowrogo. Zdawało się że aż drgają od świateł idących z nich!

Błyskawicznie spojrziałem na szpicrutę, którą trzymała w ręku. O grozo! Aż się zatrząsałem ze strachu. Nauczycielka trzymała w ręku bat brany tylko wyjątkowo, gdy pani była w jakimś nadzwyczajnym nastroju. Było to specjalne narzędzie do zadawania cierpień. U nasady grube na jakieś 4 do 5 cm., ku dołowi coraz cieńsze a zakończone małą z rzemieni uplecioną kulką.

Gdy trzymała go w opuszczonej ręce koniec jego zwisając leżał na ziemi. Podobny był do jadowitej żmiji, która za chwilę zacznie kąsać. Inny bat zazwyczaj przynoszony do szkoły był gorszego gatunku, cieńszy i krótszy.

Zanim zdołałem się dostatecznie przerazić widokiem srogiego narzędzia, nauczycielka krzyknęła dziko z ogromną zawziętością: Kładź się na ławkę!!

Nie posłuchałem. Za dużo było dla mnie dostać sromotnie w skórę wobec całej szkoły i jeszcze miałbym się kłaskać?! W dodatku karany niesprawiedliwie! Nie położę się powiedziałem sobie! Lecz w tym momencie zaświszczało w powietrzu a w głowie rozległ się huk jakby mi kto obuchem w głowę dał.

Raz! Dwa! Sypały się baty na moją głowę. Straszny ból powiększający się z każdym uderzeniem ozwał się w mojej głowie. Instynktownie przysłoniłem głowę rękami, co wprowadziło nauczycielkę w jeszcze większą wściekłość. Złapawszy mię stojącego w ławce za kołnierz jedną ręką, a drugą za klapę od spodni, podniosła mię i położyła na ławce.

Teraz zaczęła się uczta! Wściekle razy spadały na moje plecy i pośladek. Pozwoliłem się katować przez chwilę lecz nie mogąc dłużej wytrzymać szarpnąłem się i spadłem pod ławkę.

Gdym się podniósł nauczycielka stała jeszcze nade mną rozkoszując się moim cierpieniem. A wróg mój i elita śmieli się pocichu z mej krzywdy.

W uszach mi dzwoniło, skronie waliły jak młotem. Na plecach zaś czułem żar gorączki wywołanej uderzeniami bata. Przed oczyma latały jakieś ciemne płatki które migocząc wywoływały zawrót w głowie. Przez wszystkie lekcje siedziałem jak na mękach. Prawy mięsień pośladkowy tak mi mocno dolegał, że nie mogłem na nim dosiedzieć. Siedziałem więc na lewej nodze, która jakoś mniej ucierpiała.

Wspomniałem o elicie szkoły, powiem więc bliżej czem ona była. Elita naszej szkoły składała się z najbogatszych i najstarszych pańien w szkole. Rodzice ich najwięcej masła nosili do nauczycielki, największą też miały łaskę u niej. Dziewczyny te robiły co chciały. A gdy tylko złość miały na kogoś, zaraz ze skargą do pani, a ta z rozkoszą obdzielała porcjami, jaka się i mnie dostała. Panny te tak były zawzięte, iż za to żem w obronie własnej pchnął wtedy brata jednej z nich, później w czasie egzaminów końcowych zostały mnie w drugim oddziale na drugi rok za to niby iżem niewła-

ściwie postawił ogonek u ą. Nauczycielka zgodziła się na ich wyrok, choć wiedziała że całe zdanie bez błędu kaligraficznie jest napisane.

I myślicie że biciem zdołała utrzymać rygor i powagę własną? Gdzież tam!! Lekceważyliśmy ją powszechnie wyzywając i szydząc z niej gburowato między sobą. Na szczęście usunięto ją niedługo.

Przydzielono zaraz łagodną i dobrą nauczycielkę, która chociaż niedługo uczyła, potrafiła swą dobrocią przywiązać nas do siebie. Szanowaliśmy i słuchaliśmy jej bez wyjątku.

Zmieniono ją znowóż, która bardzo krótko pracowała ustępując miejsce jakiemuś idjotycznemu, głupiemu nauczycielowi, który do tego stopnia zdeorganizował szkołę iż masowo nieuczęszczaliśmy na lekcje bojkotując go! Lecz i ten wkrótce opuścił szkołę. Na jego miejsce przybyła nauczycielka, która bardzo dobrze obchodziła się z dziećmi. I wkrótce żyła się z nami po przyjacielsku. Za jej też czasów nauka nabrała dla mnie największego uroku.

Będąc zdolnym uczniem mało czasu potrzebowałem na naukę szkolną i prędko załatwiwszy się z lekcjami, czytałem książki i czytałem całymi godzinami. Przy szkole naszej była obszerna biblioteka, z której czerpałem skarby nieprzebrane. Po niedługim czasie tak znałem książki, iż pełniąc urząd bibliotekarza, każdą książkę poznawałem po rozmiarach lub po jakości oprawy grzbietu. Powoli książki weszły do mego codziennego życia jak chleb. Życ bez nich nie mogłem. Z jakąż rozkoszą zostawałem po lekcjach i brodząc w bibliotece cieszyłem się tą obfitością książek!

Życie dla mnie przestało poprostu istnieć, zostały tylko książki i szkoła. Z nich czerpałem rozkosze niewyczerpane i w nich znajdowałem tę sympatię, której niestety nie znajdowałem w otoczeniu. Z czasem stały się też najmilszymi mi przyjaciółmi, którym oddałem całe serce swoje. Coraz mniejszą wagę zacząłem przypisywać życiu materialnemu przekładając nad nie życie umysłowe. Czas płynął mi jak bajka — jak tęczowe marzenie i biegł szybko.

W okresie tym przybył do naszego grona rodzeństwa szósty brat. Sytuacja materialna w tym czasie była niezła. Ojciec mając dużo pracy zarabiał dobrze. Wieś w owym czasie przedstawiała się pod względem gospodarczym dobrze. Produkcja wobec wysokich cen opłacała się, urodzaje były dobre. Słowem czuli się dobrze rolnicy i my także.

Okres ten obejmuje lata między 1921 a 1925. W 1925 r. zacząłem uczęszczać do siedmioklasowej szkoły pow. w Opatówku. W ro-

ku tym drugi z rzędu brat wstąpił do Państwowego Seminarjum Naucz., po skończeniu szkoły powszechnej. Był to czyn poświęcenia ze strony rodziców. Bo na internat wpłacić miesięcznie około 60 zł. licząc w to różne wydatki szkolne, w domu zaś utrzymać rodzinę składającą się z siedmiu osób, z których najstarszy brat ja i przedostatni chodziliśmy do szkoły — było wysiłkiem nielada w naszych warunkach. Lecz ojciec harował jak mógł, byle tylko dotrzymać postanowienia. Nie dojadaliśmy oszczędzając byle tylko starczyło na szkoły.

W r. 1926 najstarszy brat skończył szkołę pow. i po jednorocznej przerwie w nauce wstąpił do Szkoły Rzemiosł w Łodzi. Wydatki więcej niż w dwójnasób zwiększyły się, bo w Szkole Rzemiosł trzeba było płacić i utrzymanie i mieszkanie i szkołę, co w sumie dawało około 70 zł. miesięcznie.

Ojciec jak mógł tak sztukował i starał się o zarobki byle tylko nastarczyć. W domu do ostatniego stopnia obniżyliśmy swą stopę życiową. Oszczędzając na czem tylko było można i jak tylko było można. Było gorzej niż w czasie wojny.

Tak wytrzymaliśmy przez trzy lata. Przez okres ten wszystkie możliwości materialne zostały naciągnięte do najwyższego stopnia. Dalsze wydatki w tym samym poziomie były niemożliwością. Brat który był w seminarjum naucz. musiał przerwać naukę i wystąpić ze szkoły.

Przyjechawszy pracował początkowo w domu. Potem znalazł pracę w Kaliszu, gdzie pracował czas dłuższy. Później wyjechał do Poznania. Najstarszy zaś brat kształcił się dalej w Szkole Rzemiosł.

I wreszcie z wielkim wysiłkiem rodzice odetchnęli z ulgą, bo Janek (takie było imię najstarszego brata) kończy szkołę.

Mieliśmy ułożony taki plan: najstarszych dwu braci po ukończeniu nauki, kiedy zaczną pracować na siebie, będą łożyli na utrzymanie w szkole dwu młodszych i t. d., aż do najmłodszego. A wspólnie zaś mieliśmy zapewnić byt rodzicom i starszemu ode mnie bratu, który nie chcąc się uczyć, wolał poświęcić się pracy na roli. I pracował u wujka. Ja zaś jako nadewszystko przekładający naukę, gorąco pragnąłem się jej poświęcić. Marzyłem wtedy o gimnazjum, Uniwersytecie... Uczyć się, a uczyć wołało we mnie jakieś pragnienie.

*

*

*

W okresie kiedy byłem w piątym, szóstym, siódmym oddziale, zacząłem się interesować kwestjami społecznymi. Polityka nie zaj-

mowała mnie jeszcze. Lecz kwestje takie jak oświata ludu, wychowanie w domu i w szkole, gorąco pokochałem historję i psychologję. Z wielkim zapałem zacząłem się rozczytywać w naukowych dziełach psychologicznych, z których poznawałem podstawowe elementy składowe duszy ludzkiej.

Z tego rozkochania się w badaniu natury ludzkiej, z tego umiłowania godności człowieka wypłynął ideał społeczny, który coraz to bardziej znówóů dominujące znaczenie zaczął zajmować w mojem nastawieniu myślowem.

Jak dawniej około psychologji, tak teraz około kwestji społecznych zaczęły się koncentrować moje zainteresowania. Przeobraziłem się a raczej wszedłem w kwestje te w duchu idealistycznym. Z wielkim zapałem czerpałem z wszelkich źródeł książkowych dzieła traktujące o społeczeństwie.

III.

Rok 1928—30.

Skończyłem szkołę powszechną. Nie mogąc zaś bezpośrednio kształcić się dalej, musiałem przerwać naukę do czasu, aż brat ukończy Szkołę Rzemiosł. Pozostawszy teraz na wolności nie straciłem jednak łączności z książką. Czytałem dużo rozmyślając nad mojami ukochanymi zagadnieniami. Rok ten w którym pozostałem w domu, czekając na ukończenie przez brata szkoły, dał mi wiele wartości myślowych. Wtedy ostatecznie uformował się mój ideał społeczny i indywidualny. Organiczną prawie koniecznością stała się dla mnie praca społeczna, lecz pracę tę opierałem na wartościach nauki. Przez naukę postanowiłem zdobyć wartości konieczne mi do przyszłej pracy.

Zupełnie wtedy osamotniałem. Naokół siebie nie widziałem nikogo, ktoby mię zrozumiał i odczuł to co czuję. Wszędzie widziałem to życie dla grosza z pominięciem umysłowych wartości. Ilekroć któremu ze znajomych mi chłopaków mówiłem o pracy nad sobą, o społeczeństwie, przytakiwał mi każdy lecz nie znajdowałem w nich tego żywego zajęcia się, tej sympatji, dla moich ideałów. I to mię zrazało do ludzi. Zorjentowawszy się iż ja poszedłem dalej niż oni, a nie czując siły do prowadzenia ich ze sobą, odszedłem w samotność, aby tam w głębiwszy się w siebie, sposobić siły i bogactwa myśli.

Brat kończąc Szkołę Rzemiosł zapadł na gruźlicę. Przyjechał do domu chory. Zdrowie jego wymagało kuracji długiej i kosztownej. W domu jednak nie było możliwości dania mu pomocy lekarskiej. W dodatku zjawiali się różni doradcy, którzy mówili że na tę cho-

robę lekarze nic nie pomogą. Tu tylko dobre odżywianie, świeże powietrze mogą coś zdziałać.

I rzeczywiście dobre odżywianie, świeże powietrze zrobiły swoje i bratu zdrowie zaczęło wracać. W jesieni jednak nastąpił powrót choroby. Z wielką gwałtownością wystąpiła, powalając brata na łóżko. Około Bożego Narodzenia nowe nieszczęście spotkało nas znowu. Ojciec na skutek upadku zwichnął lewą rękę i stłukł lewy bark. Rozpacz się wdarła w rodzinę naszą!

Ojciec, który głównie zarabiał na utrzymanie rodziny, przez swe kalectwo stracił zdolność do pracy. Ogromnie ciężkie i czarne chmury zaczęły się gromadzić nad naszą chatą.

Najstarszy brat, którego kochałem najbardziej z naszego grona czuł się coraz gorzej. Kochaliśmy się z nim nie tylko jako dwaj bracia, ale jak dwaj przyjaciele. Nie było między nami żadnych różnic. Rozumieliśmy się jak jeden organizm. Na zawsze pozostaną w pamięci związane z jego drogą osobą, chwile w których przysiadłszy gdzieś w polu lub lesie cieszyliśmy się sobą, rozmawiając o wszystkim!

Brat czuł się fatalnie. Kaszel, wymioty, krwotoki od czasu do czasu — znamionowały pogłębienie choroby i zbliżanie się nieubłaganego fatum jakim kończy się gruźlica. Ojciec także czuł się źle. Początkowo naprawiali mu rękę więjcy znachorzy. Lecz to nic nie pomagało. Kalectwo to było takie jakieś fatalne iż nie można go było w żaden sposób zniweczyć.

Brat widząc że choroba jego potęguje się z każdym dniem, nie chciał dłużej zakazać atmosfery domowej swą chorobą. Poprosił matkę by jakimś sposobem wysłała go do szpitala.

Matka z wstydem udała się do urzędu gminnego o świadectwo niezamożności i pozwolenie na umieszczenie chorego w szpitalu.

Och ile się wstydu wtedy najadła!! Miejscowy sekretarz człowiek podły, a nawet że tak powiem chamski zamiast współczuć nieszczęśliwej kobiecie, której prawie nigdy łzy z oczu nie osychały, — zaczęła ją w brutalny sposób ironizować. Matka stała jak na rozpalonych węglach, świata nie widząc przed sobą.

W urzędzie było kilku okolicznych włościan. Ci prości, ci których tylko „w mordę bić i kopać”, „chamy” — z wyrazem gorącego współczucia patrzyli na matkę, która przygnębiona nieszczęściem i wstydem stała przed panem sekretarzem, jak przed katem. Ci, którzy rzeczywiście ponosili ciężary za leczenie chorego, nie baczyli na wydatek tylko ten pudel...

Wreszcie po obfitych łzach i prośbach, udało się wydobyć świadectwo i brat odjechał do szpitala.

Ojciec tymczasem zaczął się czuć fatalnie. Słuczona ręka zaczęła mu dokuczać w niemożliwy sposób. Nie mogąc dłużej wytrzymać i widząc iż nie poprawia się, znów zmuszony był udać się do pana sekretarza z prośbą o świadectwo do szpitala. Znów te same upakarzające historie!

W szpitalu dokonano operacji na ręce. Rokując nadzieje że wszystko będzie dobrze i ojciec powróci do normalnego stanu.

Dwóch chorych w szpitalu... W domu najskrajniejsza nędza... Wyobraźcie sobie takie życie, codzienne łzy, codzienna rozpacz i te męczące pytania. Co z nimi się dzieje? Czy im lepiej. Czy czasem broń Boże któryś nie umarł?!!!

Stan taki trwał do kwietnia.

W tygodniu matka poszła odwiedzić chorych, Janka zastała w stanie beznadziejnym. Leżał już w oddzielnym pokoju z którego chorzy na gruźlicę wychodzą trupami. Zobaczywszy matkę już nie mógł zapanować nad sobą. Łzy posypały mu się z oczu.

Z wielkim bólem opowiadał matce o tem co czuje, żalił się na swój ciężki los. Na to marne błyskiem minione życie! Wyrzucił z siebie z najwyższą goryczą oskarżenie, jakie rzuca każdy proletariusz, którego ciężkie i krzywdzące życie zepchnęło w śmiertelną chorobę! — Mam wielki żal — powiedział — za moje młode życie! Nie wiem do kogo go zwrócić, komu wyrazić go!!!

Na drugi dzień pojechaliśmy wraz z bratem Piotrem odwiedzić go i... pożegnać się na zawsze!!!

Z wielkim niepokojem zbliżaliśmy się do bramy szpitala. Zdawało nam się, że Jasiak — trup, patrzy na nas zgasłymi oczyma!

Gdy brat poszedł do doktora prosić o pozwolenie widzenia się z Jaśkiem, ja zostawszy na dziedzińcu szpitalnym, starałem się za wszelką cenę wdrzeć wzrokiem przez mury na salę i wyczuć choćby sugestją czy on żyje!

Po długiej chwili wyszedł brat od doktora z smutną twarzą i wyrzekł do mnie, — krótko, lecz z wielką wymową uczuć —

Jasiak zgasł!!!...

Przyszło to co miało przyjść nieubłaganie!

Oparty o parkan dziedzińca stałem zrozpaczony. Dopiero brat wzięwszy mię pod rękę poprowadził w stronę miasta — do szpitala w którym leżał ojciec. Na wiadomość o śmierci syna, jakże rozpa-

czał. Nie mógł się utulić od płaczu, który wstrząsnął jego schorowaną piersią!

Na dom nasz padł ból. Nie mogliśmy jednak rozpaczać zbyt długo. Gdyż trzeba było zająć się rzeczywistą stroną położenia.

Tu muszę podkreślić wartość mojej matki. Mimo ciężkiego bólu jaki targał jej matczynem sercem, nie straciła głowy — nie upadła na duchu.

Wobec tak rozpaczliwego położenia jakie było u nas niejedyn mężczyzna stracił by głowę. Ona zaś mimo tego bólu jaki miała w sobie nie straciła odwagi i zajęła się urządzeniem pogrzebu. Pożyczywszy pieniędzy od krewnych załatwiła wraz z najstarszym z pozostałych braci wszystkie formalności dotyczące pogrzebu, który odbył się trzeciego dnia po zgonie Jaśka.

Ta nieustanna rozpacz, ten ból zaczęły tłumić moją świadomość uczuć. Przestałem rozpaczać nad nieszczęściem. Pozostała tylko jakaś chłodna pustka po której hasała obojętność do życia. Idąc za pogrzebem brata nie czułem nic. Nie obchodził mię żaden objaw życia, żadna tęsknota, żaden ból!

*

*

*

Ojciec który w dzień pogrzebu wypisał się ze szpitala, przybył do domu. Ręka jednak pozostała bezwładną nadal. Pozostał kaleką na całe życie.

Czas płynął w smutku i nędzy. Był już jednak znośniejszym, gdyż nie było widać bezpośrednio żadnego niebezpieczeństwa w rodzinie naszej. Zdawało się że nieszczęście już minęło. Że po okresie cierpień i bólu nastał dla nas spokój.

Lecz gdzież tam!!

W jesieni tego roku zachorował niespodzianie starszy ode mnie brat a bezpośrednio po nim starszy od niego (najstarszy z pozostałych). Teraz już było trochę środków na lekarza. Lecz nie pomógł ani lekarz, ani szpital, w którym przebywali czas dłuższy na koszt gminy. W lutym roku następnego t. j. 1932 zmarł ojciec, który cierpiąc na rękę, coraz bardziej zapadał na zdrowiu.

Znowóż powtórzyła się ta sama historia, ten sam ból i rozpacz, jaka była przy zgonie Jaśka. Sterany, zwichrzony tak długą męczarnią mój umysł szukał czegoś, co dałoby mu trochę choć rozkoszy i szczęścia. Nie szukałem niczego nazewnątrz gdyż ludzie przestali mię interesować. Wszedłem w siebie szukając czegoś twórczego czem żyjąc mógłbym żyć. I.. znalazłem!!!

Pisać, pisać, ozwało się coś we mnie! Przelewać na papier to co myślę, czem żyłem i żyję. I rzeczywiście zacząłem pisać wierszem i prozą racząc się szczęściem, jakie mi to dawało. Nie chodziło mi o sztukę ani o sławę. Pisałem bom znajdował w tem lekarstwo na moje stargane nerwy.

Rozkosz ta jednak jaką dawało mi pisanie niedługo trwała. Pękła znów struna ześrodkowująca moje ówczesne życie. Pękła targnięta brutalną ręką surowego losu. Umarł mi najstarszy z pozostałych braci!

Było to w czerwcu 1932 roku.

Nie bolałem już teraz, jak przy zwłokach pierwszego brata i ojca — zamilkłem tylko! Nie buntowałem się już teraz przeciwko śmierci. Świadomość moja przeżywszy dwie tragedje śmierci i zszarpawszy się do ostatnich granic w rozpaczonym a bezskutecznym buncie przeciw nim, nie próbowała już teraz — nie miałem już siły do walki z surowem zrzędzeniem losu. Z ponurą rezygnacją szedłem za trumną, rozmyślając jak dziwnymi są losy życia, które jednym dają wszystko, a drugim odbierają nawet drogich im ludzi. I tego mi się nawet nie chciało. Zagłębiłem się w swej pustce, w której nie istniało nawet nic, jako określenie dochodzące do świadomości.

Po pogrzebie obojętny jak głaz przyszedłem do domu i jak głaz zacząłem żyć swą tragedją. Na kilka dni przed pogrzebem brata znalazłem pracę w nowootwartej fabryce wyrobów cementowych, będącej własnością mojego wujka. Z obojętnością poszedłem do pracy pędzony obowiązkiem, jaki nakładało na mnie moje obecne położenie. Jako najstarszy ze zdolnych do pracy członków rodziny, musiałem pracować na utrzymanie jej.

Nie interesowała mię praca. Nie nęciło mię życie. Wyczerpany tragicznymi przejściami stałem się apatyczny. Rozpacz mię jednak brała chwilami, że muszę żyć a nie żyć.

Warunki mojej pracy były bardzo uciążliwe. Od domu do miejsca pracy miałem cztery kilometry drogi, którą codziennie musiałem przebywać pieszo. Praca zaś rozpoczynała się możliwie jak najwcześniej a kończyła o zachodzie słońca. Rankiem z domu wychodziłem około piątej, wracałem zaś wieczorem około dziewiątej (latem). Zanim się umyłem, zjadłem kolację, przychodziła dziesiąta, i trzeba było iść spać. Gdyż organizm przemęczony pracą wymagał wypoczynku.

Ciężkie to życie, spać, jeść i pracować! W tych warunkach nie można było pomyśleć o czytaniu — o samokształceniu. Bo na to nie starczało poprostu energii.

Odżywianie też było marne. Większą część zarobku pochłaniało utrzymanie nieuleczalnie chorego brata. Reszta zaś z trudnością wystarczała na liche utrzymanie. Suchy chleb, kartofle, oto podstawy naszego odżywiania się.

Pracowałem w betoniarni owego roku około 40 dni co w sumie dało mi 120 zł. zarobku. Potem w czasie żniw pracowałem z matką przez dni czternaście co w sumie wyniosło około 70 zł. zarobku. Kopanie kartofli dało około 30 zł. zarobku. Razem 220 zł. Na tem praca moja w tym roku skończyła się.

Do tego zarobku dochodziło jeszcze około czterdziestu centnarów kartofli przysadzonych na „odrobek” u jednego z gospodarzy. Oto środki utrzymania na cały rok dla czterech osób, z których jedna chora potrzebowała troskliwej i kosztownej opieki.

W tych warunkach przyszła zima. Sprzedaliśmy dwie świnię tuczone za które wzięliśmy 200 zł. Ładna sumka na owe czasy. Lecz jednak w naszych warunkach była znikoma. Kupiliśmy trochę drzewa, trochę węgla na okres zimowy. Resztę zaś schowała matka troskliwie gdyż było przecież pewnem iż brat niedługo umrze. Nie chcieliśmy się prosić o pomoc, która och tak była upakarzająca! Sztukując tak biedę z nędzą przepędziliśmy czas zimy do marca.

Brat czuł się coraz gorzej. Coraz mniej miał sił, coraz bardziej chudł. Aż wreszcie z początkiem marca zamknął powieki i skończył swój nieszczęsny żywot. Och! Pamiętam te jego szklane oczy jak niemi patrzył na nas resztę rodziny zebranej koło jego łóżka! Jakaż rozpacz czała się w nich! Jakie pragnienie życia biło z nich ścisnąc niezmiernym żalem serca nas, którzyśmy na tą jego mękę patrzyli!

Gruźlico, ty straszna przyjaciółko szarych nędznych chat ludu! Kiedyż twe bezlitosne feudalne królowanie skończy się nad nimi?! Nam dosyć cierpień zadaje walka o chleb! Już w niej musimy się stać zwykłymi zwierzętami roboczemi i zatracić swe ludzkie wartości. A ty jeszcze przychodzisz do nas, do ludu z tą straszną chorobą! O życie!!

IV.

Po zgonie trzeciego brata spokój zapanował w naszym domu. Zostało nas jeszcze trzech braci i matka, którzy trzymamy się przy-

zdrowiu. Nastaly znośniejsze czasy. Bo już nie patrzym w to ciągle oblicze śmierci zabierającej kogoś z naszej rodziny.

I dla mnie życie nabrało nowych wartości. Zaprzyjaźniwszy się z pewnym studentem Uniwersytetu Warszawskiego, wnet zostałem porwany w wir życia. Człowiek ten stał się dla mnie droższy nad wszystko! On podniósł mnie z upadku i omdlenia — zbudził do życia. W przyjaźni jaką obdarzył mnie ten dobry człowiek, wzbudziły się dawne moje ideały. A wzmocniony jego rozumem nabrałem więcej siły i światła.

Zagadnienia społeczne znów zaczęły grać dominującą rolę w mojem życiu. I pod wpływem ich zwróciłem oczy na życie moich współbraci chłopów patrząc i badając treść jego.

Och! a oburzające ja rzeczy widziałem! To przecucie krzywdy jakie zbudziło się we mnie jako małym chłopcu — ukazało się w całej pełni swego realizmu. I świadczę wszystkim co jest dla mnie najdroższego iż widziałem ludzi, których nędza była dziesięćkroć razy większą aniżeli moja! Pamiętam było to w r. 1931 miesiącu czerwcu. Pracowałem na szosie z trzema innymi towarzyszami. Jeden z nich rolnik na niecałym hektarze ziemi, reszta robotnicy bez roli.

Ten pierwszy obarczony liczną rodziną, nie mając zaś żadnych poważniejszych zarobków, nie mógł wyżywić dostatnio rodziny. Nędza jego była chyba wielką, do ostatnich granic!

Wiedząc że wstydzi się za swą nędzę, nie chciałem otwarcie pytać o nią. Lecz powoli od tematów obojętnych przeszliśmy do tematów bardziej osobistych. Zacząłem mu opowiadać o swoim życiu. O tem że mi umarło trzech braci i ojciec.

On zaś wysłuchawszy tego rzekł mi.

Nie żałuj że ci pomarli. Bo ja mam ośmioro drobiazgu, wszystkie mi żyją. Lecz poco żyją? Małeństwa jeszcze są a już postarzały z nędzy. I czyż nie lepiej by nie żyły?!!

W jego głosie brzmiała rozpacz i żal bezdenny. Żal mi się zrobiło tego człowieka i chcąc go pocieszyć rzekłem: Cichoście, może się poprawi. Przecież niepodobna żeby tak źle było nazawsze.

W dali zaś gdzieś wyobraźnią widziałem wyschnięte szkielety, tłumnie spieszące gdzieś w mroczną dal, prowadzone bezlitosnym uściskiem gruźlicy. A z boku, niezliczone szeregi niskich chat, w których szeregi młodych istot nędznych, wygłodzonych, po które wyciąga swe zachłanne ręce kościotrup - gruźlica! Moi bracia już poszli a ci gotują się do pochówku.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia, zwróciłem oczy na swego towarzysza. Leżał na skarpie rowu oparty na ręce — wpatrywał się gdzieś w przestrzeń. Na twarzy jego wykwitła jakaś bezsilna wściekłość — bunt przeciwko temu życiu!

Jego postrzępione wąsy apatycznie zwieszono dziwnie harmonizowały z tą wychudłą, szerniałą, pomarszczoną twarzą. Symbol dzisiejszego życia ludu — pomyślałem patrząc na niego. Gdybym był malarzem uwieczniłbym tę wyrazistą, a do głębi znędzoną twarz, a za nią gromadkę wychudłych, obdartych dzieci, a pod tem położyłbym napis: Dzisiejsza Krzywda!!

Dalszą myśl przerwał mi głos towarzysza. Ciekawym czy się to kiedy poprawi — mówił. Czy też jeszcze będę mógł kiedyś nakarmić swą rodzinę do syta, przyodziać? Nie chciał się człowiek sprzeciwiać — (ciągnął dalej) — woli Bożej, pozwalało się każdemu owocowi pożycia małżeńskiego rozwinać. A teraz — straszne!! Lepiejbym ich nie doczekał — rzekł z rozpaczą.

Z czego się utrzymujecie? — zapytałem.

Tak... z byle czego, odrzekł. Na swym kawałku ziemi wsadzi się trochę kartofli, trochę żyłka sieje, to i jakoś musi starczyć. Trochę jest z krowy — za masło, ser — grosza no i maślanka z serwatką do użytku własnego. Na zarobki niema co rachować.

Co tam. Na wiosnę dni kilka, w żniwa trochę i w kopaniu można zarobić, a poza rolę to na pracę niema co liczyć. To co tu robimy to też niewiele. Za kilka dni się skończy.

Przerwa obiadowa skończyła się.

Wstaliśmy do pracy. Mój towarzysz z wielkim wysiłkiem, aczkolwiek pracowicie wziął się do kilofa i rąbał a rąbał beznadziejnie wściekłymi razy.

V.

Niewszędzie jednak spotykałem nędzę materjalną. Niewszędzie widziałem wybladłe twarze, świadczące o niedostatku. Widziałem i ludzi, którzy dostatnio żyją sobie z własnych warsztatów pracy.

W wiosce mojej naprzykład, wszyscy gospodarze żyją sobie dostatnio. Gospodarstwa mają dość duże (najmniejsze 15 morgów, największe 45), żyją jako tako i nie upragną się suchego chleba. Lecz jednak dobrobyt ten jest pozorny.

W gruncie zaś i oni są skrepowani w silnym stopniu. Poza chlebem i ubraniem, z wysiłkiem pozwalają dzieciom chodzić do szkoły powszechnej. Na gazetę muszą się poświęcać, a o książce mają zdanie, jako o zbytku, który nie może się znaleźć pod dachem rolnika.

Mają co jeść, czem się odziać. Lecz troska nigdy nie znika z ich czoła. Bo dobrobyt ich jest tylko pozorny. W rzeczywistości zaś to wszystkie gospodarstwa chylą się ku upadkowi. A ludzie coraz bardziej ubożeją.

Żadnemu gospodarzowi jakiegokolwiek ma gospodarstwo nie przynosi ono dochodu. I przyjdźcie dziś na wieś i spytajcie rolnika czy ma jakie zyski z rolnictwa. Powie wam napewno że „tyle zysku co w pysku” (to znaczy tyle co się zje).

Posądząć może będziecie gospodarzy o nieumiejętność gospodarowania. Do pewnego stopnia nie przeczę temu. Gospodarka rolna wiejskich warsztatów nie jest bynajmniej doskonałą. Lecz powiem wam rzecz którą prawie wszędzie zaobserwowałem jako podstawową zawadę w postępie metod wytwórczości.

Brak środków na podniesienie produkcji. Prawie każdy gospodarz widzi braki swego gospodarstwa. Lecz każdy jest wobec nich bezsilnym, gdyż... brak gotówki nie pozwala na przeprowadzenie lepszeń.

Dawniej pamiętam, po żniwach chłop oganiał rozmaite potrzeby w przeważnej części z kapitałów zapasowych. Do stodoły zaś zaglądał tylko po chleb. A dziś już w maju ogląda się na rosnące żytko i prosi Boga by urodziło się jak najlepiej i jak najprędzej, bo potrzeza! Już na wiele, wiele dni przed zbiorem brakuje środków do gospodarowania. A jakże często i do życia! I niech tylko zwiezie zboże do stodoły, zaraz się puszcza w ruch maszyny, by zrobić trochę grosza na najrozmaitsze potrzeby. To podatki, to długi, to procenty lub rozmaite bieżące potrzeby gospodarstwa.

Gdy zawiezie żytko do miasta i sprzeda, dostawszy za nie połowę kosztów produkcji, zwiesiwszy smutnie głowę duma jakby tu i co by tu wpierw załatwić. Gdy zaś przypadkiem zobaczy gdzie sekwestratora (co często się zdarza wobec ich mnogości) zacisnąwszy zęby mówi prawie głośno: trzeba te cholerne podatki, bo ten psiakrew już idzie!!

Tak te podatki! Taka ich mnogość i takie wysokie, że niemożliwym jest wyżyć po ludzku przy nich. Ta rozliczna mnogość złotych podatkowych nie harmonizuje zupełnie z tą nieliczną mnogością złotych otrzymywanych za produkty.

A tu jeszcze nowe podatki „dodatki”, chopki, drobki, od których skóra trzeszczy na grzbiecie chłopca.

Chłop, który dzisiaj jest zrujnowany materialnie rujnuje się i moralnie. Atmosfera uczuciowa wsi pod niektórymi względami

obniża się bardzo. Najwięcej zła sprawia jego zubożenie do walki. Nie jest to objaw trwały, lecz zostawia on skutki i szkodzi jak najszybszej naprawie bytu chłopskiego — wspólnym wysiłkiem.

Chodzi o tę wspólnotę — organizację. Ta pupilka pod której płaszczykiem przychodzą różni gagatkiwie, zdobywając wieś i organizując ją nie dla wsi lecz dla swych celów. I jak dawne Radziwiłły rwą na sztuki „postaw czerwonego sukna”, jakim jest dla nich wieś. Przychodzą, tumanią swą partacką robotą. Zarażają wieś swym dyletanckim i karjerowiczowskim traktowaniem pracy organizacyjnej. A potem gdy wieś straci wiarę w ich wartość, zubożenie i przestanie słuchać ich gadania — wyzywają ją od „chamów”. Wymyślając od najgorszych, upadlają chłopa w oczach reszty społeczeństwa. Mówiąc że wieś odrzuca szlachetne wysiłki ofiarowane dla jej dobra. Ale o tem że chciało się pracować nie dla wsi, lecz dla siebie i dlatego wieś nas przepędziła — nie mówi się.

Niech życie samo powie o wartości tej partackiej roboty.

W naszej wiosce od zarania wolności istniało Koło Młodzieży, które z wielką brawurą prowadziło swą pracę organizacyjną. Koło to pracowało bez przerwy do r. 1931. Organizacja była świetnie postawiona. Żywotność idei wielka. Komedyjki, rocznice, opłatki, — wszystko to przyczyniało się do wspólności wewnętrznej wsi i podnosiło ją moralnie.

Lecz przyszły owe egoistyczne dążenia i zaczęły podkopywać dawną organizację, a starając się założyć Związek Młodzieży Ludowej.

Dopóty chodzili, dopóty deptali, aż wreszcie zrobili swoje. Założyli Koło Związku Mł. Lud. Z wielkim entuzjazmem hasła i idei przystąpili do budowania „Polski Mocarstwowej”. Pożal się Boże nad tą ich mocarstwową robotą! Można sobie wyobrazić jej siłę i wartość wiejskości skoro po kilku miesiącach runęła ta ich „mocarstwość”.

Młodzież przejawiająca dużą żywotność organizacyjną i mając dość obszerną tradycję pracy wspólnej — runęła dlatego że dostała się w złą atmosferę.

I znów przyszedł „patron” ze swem stowarzyszeniem. Też budować Wielką Polskę, pod sztandarem miłości Chrystusa i Ojczyzny!! A z jakąż on nienawiścią zwalczał Koło Młodzieży Wiejskiej! Jak podle plwał na nie z ambony! Wyzywając je od rozmaitych „masonów, komunistów, dzieci szatańskich”. Rzucił błotem na ludzi, którzy mogli być przykładem dla „druhów” nawet. Tę tylko mieli wadę iż

społecznie i kulturalnie poszli swym własnym szlakiem, bez uciekania się pod księżą sutannę. Za tó że oni szli swemi własnymi drogami, oparli o wartości które im były najbliższe i z ich życia poczęte. Że celem ich było usamodzielnienie się w życiu i przygotowanie się do walki o swój chłopski byt — nietylko przez modlitwę. Że nie oparli swej doczesności na wieczności pośmiertnej, lecz właśnie wieczność oparli na doczesności swego życia. Za to ten pokorny sługa boży wyskakiwał z swej słodkiej natury baranka i kasał jak wilk!!!

Nie myślcie bym pisał to powodowany jakąś partyjną nienawiścią. I to co wyżej powiedziałem, wypowiedziałem pod poczuciem zła, jakie się szerzy wśród wsi, która już zaczęła iść zdrowym krokiem naprzód. I na Boga na człowieczeństwo wasze zaklinam was nie niszczyć tego co ma odrodzić wieś! Nie przedłużajcie tej niewolniczej agonji w jakiej chłop leżał od wieków.

Jeżeli nie umiecie pracować dla wsi, nie przychodźcie do niej w imię interesów własnych. I jeżeli nie możecie się wczuć w rzeczywiste potrzeby wsi, pozwólcie chociaż swobodnie rozwijać się organizacjom niezależnym. Organizacjom poczętym w treści naturalnego życia wiejskiej gromady. A przyszłość będzie was błogosławić.

Bo chłop ma w swym charakterze cechy nadzwyczaj dodatnie. Pozwólcie mu tylko wyrobić się — ukształtować swój umysł, a rozwinie on w całej pełni swe wartości człowieka natury. Przyjrzyjcie mu się jak on od świtu do nocy zabiega. Rzućcie na te miljonowe masy spojrzenie, gdy o wiosnie lub słotną jesienią, kroczy przez pole uprawiając je w pocie czoła. Oceńcie tę mrówczą pracę i wydajcie sami opinję o tych, którzy ją wykonują.

Pod względem ekonomicznym chłop ma wysoką wartość. Rzadko się zdarza by był marnotrawnym. Kocha swój warsztat rolny a z ukochania tego wynika gorące oddanie się pracy w nim.

Gdybyście mogli wejść w umysł chłopca z jaką on poezją myśli o swem gospodarstwie. Z jakim rozmachem i zaciętością wykonuje swą pracę. A przecież z trudu tego wyrasta dobro państwa. Oszczędność u chłopów, jest prawie ogólną. Spotykałem dużo takich, którzy żałują rozmiąć pieniędzy na jakieś mniej ważne potrzeby, chcąc je zaoszczędzić. A przecież oszczędność i pracowitość to podstawy dobrobytu społeczeństwa. Moralnie też chłop nie jest tak złym jak go malują.

W chłopie jest litość dla krzywdy, jest poczucie prawdy. I choć nieraz się zdaje, że chłop to rzeczywiście zły człowiek, to jednak nieprawda. Są w nim pierwiastki dobre, które choć przysypane war-

stwą złych nawyków przyswojonych przez upadającą przeszłość, — mogłyby zakwitnąć w całej pełni gdyby tylko dano możliwość chłopu doskonalenia się.

Spytacie może jakto tego się nie daje? Mówię wam daje się, lecz pozornie. Z jednej strony daje mu się możliwości, z drugiej zaś odbiera mu się podstawy, na których mógłby wykorzystać, to co mu dają.

Przecież opinja publiczna wie o tem iż w szkołach coraz mniej dzieci chłopskich. I wiecie to także, że na wsi jest nadmiar ludności i nadmiar ten stale się zwiększa. O szkole myśleć nie można. Co najwyżej i to też nie w każdym wypadku pomyśleć można o szkole powszechnej.

Cóż więc robić z nadmiarem sił jakie się wytwarzają na wsi? Wobec dzisiejszych warunków — powiększą oni szeregi bezrobotnych i staną się nędzarami. Stan taki jednak długo nie potrwa. Wieś zorjentuje się wreszcie i tak czy owak zdobędzie to co jej się należy. I chociaż na przeszkodzie stoją wady, które ma w swym charakterze, jednak przyciśnięta koniecznością zdobędzie się na wszystko. Ta bieda jaka dziś jest uczy ludzi dużo rozumu. Wszędzie gdzie bieda jest większa, tam już ludzie więcej rozumieją i doceniają swe stanowisko polityczne.

Dn. 24 listopada 1933 r.

**Bezrolny, niegdyś sklepikarz,
obecnie zarobkujący różnemi
zajęciami w pow. łódzkim**

Szanowni Czytelnicy może niejeden pomyśli że co tam za głupi pisał, to pewno nie minie krytyki, z drugiej strony znowu któryś ojciec obrazi się że syn wnosi mu ćwiartki. Dobry ojciec kochający swoje dzieci to tak robi żeby jego dzieci nie były złodziejami jego własny kieszeni i majątku. A może ktoś obraże dalej, innemi słowy zmuszony tu byłem wypowiedzieć swoje myśli i porównać te nędze z dobrobytem i pisałbym lecz pisałbym dużo rzeczy lecz się bije z myślami czy to może Szanowni Czytelnicy zechcą łaskawie przeczytać i opisać swoją dole i niedole, podzielić nasze myśli, spólnie się rozmówić nie z hańbą nie z krytyką lecz z tem co nasz boli.

Przyszedłem na świat pewnego pięknego poranku wiosennego bo to w dniu 15/IV 1899 roku we wsi Stefanów. Rodzice moi młodzi chodząc na roboty do Niemiec, bo jak się ożynili bo roboty w domu nie było, więc musieli szukać roboty u tych naszych sąsiadów i wrogów Polski dzisiejszy. Za zarobione pieniądze nabyli majątek po rodzicach 9 mórg 40 prętów. Ziemia piaszczysta dalej sapowata troche łąki gdzie siano jest bardzo liche, na roli można siać tylko żyto, troche łowsa i lubin i kartofle. Zabudowanie dom drzewo i stodoła stara i bardzo niskie i na pół zgniłe. To był cały majątek moich rodziców i w takim stanie i ja przyszedłem na świat. Pierwszą moją pamięcią to było w roku 1902, kiedy to spólny dom po dziadkach w którym ojciec mieszkał ze siostrą i szwagier rozebrał pół domu i sprzedał a sam poszedł na komorne. W roku 1903 ojciec buduje dom murowany z cegły 13 metrów długi i 6 metrów szeroki. Dalej robota szła wolno bo sam wszystko robił. Ja już w tem czasie pasem krowy bo były dwie jedna ojcowa druga babcina jako element i tak schodziły młode lata dziecińskie za krowami, nie będę tu opisywał

każdego roku bo było różnie, pasem koło domu to znowu pasem w boru oddalonym o dwa kilometry od wsi, dostało się nieraz po grzbiecie od ojca to od matki to za nici że się wzięno bez wiedzy na bat i t. p. i tak przeszły lata aż do 1909 r. bo w tem roku zimie kupili mi Elementarz i zaczęli uczyć mnie Abecadła. Skorzystałem na tem tyle że w roku 1910 w listopadzie zacząłem chodzić do szkoły i przeszedłem zaraz do drugiego grupy bo szkoła była podzielona na I i II grupe późni na I II III oddział. Szkoła oddalona od nas 1½ kilometra, marne to były te chodzenia zimową porą przy zawiejach śnieżnych i mrozie, jakoś to przechodziło zimą do szkoły, w lecie znów krowy, dopiero w roku 1913 mamusia była w Niemczech na robocie, ojciec kupił w tem roku sześć morgów pinków, ja z ojcem kopałem pinki, robiłem jak mogłem i co mogłem aż skutek był taki że sobie rękę zmogłem i późni nawet ni mogłem zanieść obiadu w tej ręce i do dzisiaj to czuje oj czuje. Od krów mnie już zabrali te funkcje wypełniał brat młodszy, ja teraz pomagam we wszystkie robocie, tak że robimy cegłę pomagam ojcu w tej pracy jak można i jak moje siły starczą, i tak przechodzi lato kopanie kartofli, przychodzi czeźón do chodzenia do szkoły. Ojciec nie chce pozwolić dalej chodzić, lecz na prośbę i płacz mój narescie się zgodził żebym chodził. Byłem wtenczas w trzecim oddziale tej szkoły, początek był bardzo dobry, czoź się staje oto dotychczasowy profesor S. Kawecki był to Nauczyciel pracowity chociaż wyznał niejedną łapę jednak pozostaje w pamięci że to był kierownik solidny. Przechodzi do Brzyźnia żegna się z nami jak ojciec z dziećmi i ze łzami w oczach przyszedłem do domu, przeszły dwa tygodnie powróciłem na ławę szkolną lecz czoź za zmiana jest pani Czarnecka i zmiana co żal się Boże. Czoś my mieli sześć lekcje polskie i sześć ruskie teraz się przerabia na trzy i tak wszystkie inne lekcje ze szkoda było chodzić do tej szkoły bo się nic nie nauczyciło lecz odwrotnie. Wiencz tracił czas, zdar buty co pozostało. Przestałem chodzić do szkoły. Zaczęły się dni smutne i to bardzo smutne, bardzo dzisiaj wspominające. Zamiast książki nastaly po wieczorach „karty” czyli „duraczok” dostałem nieraz od mamusi różgą i to słusznie robiła że biła może tego jeszcze było mało. Przysła wiosna rok 1914. Ojciec teraz kupił konia do roboty w polu bo do tego czasu to najmował do tej pracy. To była moja uciecha robić koniem chociaż nie umiałem i przyszło lato robiliśmy cegłę coś 40 tysięcy, teraz znów nowa niespodzianka oto co: Wojna. Teraz gonilem się za gazetą i jakimi nowościami, książki czytałem też chętnie lecz czoź o książce to trudny sposób było

dostać na takiej wsi daleko oddalonej od miasta i kościoła i Szanowni Czytelnicy jak sądzicie co pozostaje, pozostają więc karty więc dla takiego podlotka to już „kiks” lub „66” jako takiego podlotka zaczynają mnie interesować muzyki. Tak przeszła jesień i zima słyszeliśmy nieraz strzały armatnie i karabinowe to Niemcy przeizdżają to znów kozaki te to byli nasi chociaż wrogowie lecz mili było zobaczyć jak tamtych w pikielhałbach na głowie, często się widywało pożary. Łuny tych pożarów biły ze zgrozą w oczy że to wojna robi to spuszczenie. Ja sam wdrapywałem się na wysokie topole żeby zobaczyć gdzie się pali. Chociaż naprawdę od wojny to kul my nie ucierpieli tylko Niemcy rabowali co im się dało i tak przeszedł rok 1915 nicz nie było na głowie tylko patrzeć jak Niemiec przyjedzie na wieś to za bydłem to za końmi i wciąż była robota uciekać z nimi to do boru to gdzieś na drugą wieś, w takim oplakanem stanie przeszło lato 1916 rok, zima dla podlotka zawsze lepsza bo wieczory dłuższe więcę czasu na wolne żarty tylko ciężkie jest życie takiego podlotka bez grosza pieniędzy w kieszeni. Ojciec jak każdy wiejski gospodarz pieniędzy nie da może na wielki odpust. A tu trza stracić tu już papieros, tu cukierek, tu muzyka, tu dziewczyna. I co trza robić trza robić skibe, przywłaszczyć bez ojca wiedzy i tak robiłem ja i inni moi koledzy. Sądzicie Szanowni Czytelnicy że ci ojcowie dobrze robią co nie da synowi na strate te pare groszy to on jest więcę stratny, tu nie zarobi syn ani ojciec ino pośrednik czyli odbieracz, nieraz tem jest sam ojciec. Któż temu winien „tu nie pamięta wół jak cielęciami był”, i tak przechodziły lata 1917 i 1918. Dzień za dniem ciągle z myślą że może wojna się skończy jak najprędzy przy pracy latem w polu, zimom w stodole z cepami. A spanie to miałem w oborze zrobione takie wyrko jeszcze niesam tylko młodszych dwóch braci razem w tym gniaździe, bo w oborze 7 na 9 łokci pomieszczał się koń, dwie krowy, jeden cielak, dwadzieścia kur, trzy gęsi, jedna lub dwie świnie, na świniach to my mieli spanie, takie to były czasy choć było dwa mieszkania jedno co w zimie opalali, drugie stało prawie puste, w jednym stały dwa łóżka a my trzej bracia spali w tej śmierdzącej dziurze z tą rogacizną i nierogacizną i stąd nieraz poszło się grać w karty, nieraz na całe nocy lub na inne rozrywki. Najsmutniejszym rokiem to był dla mnie rok 1918, w domu nie było na co zrobić skiby bo Niemcy zarekwirowali prawie wszystko zboże, pozostawili tylko wymiar na osobę. Co ja sobie pomyślałem? O głupi pomysł? Ze mój kolega szkolny K*** mieszkał sam bo mu rodzice pomarli a braci przedtem zabrali na wojnę, miał

wtenczas sto rubli piniądze te mu wziąnem bo wiedziałem gdzie są bo femu winny karty bo my tam grali całe wieczory! tu złe nie śpi ino kusi? tak i mnie skusieło, mówi stare przysłowie kradzione nie tuczy, dużo nie skorzystałem bo kto z szanownych czytelników pamięta rok 1918 ten wyobrazí sobie rzesze marki Niemieckie i korony Austryjackie i ruble rosyjskie to nie dzisiaj brak złotówki że niejedno to widzi ją przez okno na giełdzie wystawowy, jeżeli ma w czym iść do miasta. Jednakże czas mi upływał troche lepi bo miałem „giełd” ale i to się skończyło i wyszło sto razy gorzej bo się wszystko pomalu wykluło jak gąsie z jajka. Masz psie kielbase lepi żebyś się udawił. Tu wstyd tu hańba, co było robić dobrze że mamusia wsta-wiła się do ojca za mną i ojciec te sume zwrócił memu koledze i sprawe załatwiliśmy polubownie. Teraz szły dni smutno i już nie będę pisał to szanowni czytelnicy sami wyobrazą nie bez pieniędzy lecz sumienie dręczyło mnie do ostatniego i przyszło rozbrojenie niemiec, chciałem iść do wojska nie pozwolili mi cóż się stało. Obywatel D*** mając fuzje chce mi sprzedać, kosztuje sto rubli mam jeszcze 50 rubli więcy piniądzy ni mam cóż robić trza rozrywki na zające i kury. Właściciel fuzyi mówi żebym mu przyniosz korzec żyta skąd wziąć, trza robić skibe na ostatnie żyto co było ostawione przez naszych okupantów do wyżywinia. Co znowu za głupi pomysł, lecz cóż złe zwyciężyło wzięłem i korzec żyta i zaniosem obywatelowi D*** i fuzyje nabyłem, teraz spędzam wieczory na stanowiskach jako kłusownik chociaż z małym rezultatem. Czytelnicy rozsądźcie kto tu winien że namawia do kradzieży i odbiera te rzeczy, to ciemnota jaka panuje na wsi i chęć zysku z cudzej krzywdy żeby to zło wykorzystać to tych odbieraczy. Żeby gospodarze mieli troche wstydu toby nie odbierali od podlotka jakiś torby i tegoby nigdy nie było i nie byłoby złości w domu i przekliństw rodzinnych, jak mnie wyszykował bo to 26-cio morgowy gospodarz. O zgrozo, o wstyd o hańba dla odbieraczy od podlotków tych ćwiartek lub całych metrów? lecz gdzie tu ta oświata, pewnie miną jeszcze dziesiątki lat? Tak przeszła zima i nastala wiosna 1919 rok jakoś smutno i ponuro na duszy. Staram się żebym sie dostał do wojska, po usilnych prośbach dostaje zezwolenstwo rodziców i w dniu 15/V 1919 roku stawiłem sie do komendy poborowy w Sieradzu i stąd pojechałem do Kalisza na komisje zostałem przyjęty i wcielony do plutonu łączności przy 29 p. p. przez cztery tygodnie w Kaliszu, w drugiej połowie czerwca wyjechałem na front Ukraiński do Brzeżan, Galicja Wschodnia, tam był pierwszy chrzest polsko Ukraiński. Byliśmy w ubraniu

cywilnem tylko ze znak na czapce i ten karabin, po walce pod Brzeżanami gdzie my dali w skórę Ukraińcom na stacji Przemysłany nasz umundurowali i stąd pojechaliśmy na inny odcinek bo za Stanisławów. Tam połączylismy się z Generałem Żeligowskim i spólnie ruszyliśmy za rzekę Dniestr, tam ścigaliśmy Wroga choć o głodzie bo były takie dni niejedne że co się ukradło to się jadło lecz znów przez soli. To wszystko było dobre byle tylko ukraińców bić i gonić dalej. Nie będę tu opisywał każdy szczegóły wojenny co ucierpiałem i wytrzymałem we walce z Ukraińcami, jak w czasie ataku na miasta Tłurcz i inne. Niejeden z moich kolegów zginął w moich oczach lub został ranny, mnie jakoś uchodziło chociaż byłem w różnych tarapatach. Zawdzięczałem tylko Bogu. W sierpniu dostałem się do taboru bataljonowego, dalej zostałem łoncznikiem konnem i jeździłem konno, staliśmy koło Skałatu, znów dalej w m. Jagielnica koło Tarnopola. Tam zachorowałem na tyfus plamisty i leżałem w szpitalu w Tarnopolu cztery tygodnie gdzie nie wiedząc co się dzieje wkoło mnie i do dzisiaj mam pamiątkę bo cierpie na ból głowy i jeszcze inne rzeczy przyczyny tej choroby. Po tem czasie wyjechaliśmy za pułkiem do Wilna, byłem tak słaby że koledzy prowadzili mnie pod rękę że ni mogem iść o swoich siłach, w takim stanie przyjechaliśmy przez Lwów, Warszawę i na Wilno, we Wilnie nie powróciłem do swojej służby bo miałem zwolnienie ze szpitala do czasu urlopu. W Wilnie przedstawił się widok dla mojego rozumu i oczu bardzo przykry. Chodząc ulicą z kolegą szpitalnem Olejnikiem żeby nie można przejść ulicą przed dziewczynami ulicznymi które same zatrzymywały żeby wstąpić do niej. To była dla mnie zaraza której ni mogłem znieść i patrzeć na to łajdastwo. Z Wilna wyjechałem do Kalisza, przedzielili mnie do kompanji kwarantanny do Szczypiorna, po 14 dniach powróciłem do Kalisza do komp. 3 B. Zapasowego, tam byłem pare dni i zostałem przedzielony do komp. Marszowy i dostałem urlop czternastodniowy to w początku grudnia 1919 roku chociaż lekarz szpitalny dał mi na pięć tygodni. Przyjechałem do domu, w domu wszystko dobrze, lepi jak za okupantów Niemców, wszyscy są ucieszeni, pozdrowiłem swoje wyrko w oborze i moich Braci którzy spali tam do tego czasu, ja teraz już śpie w mieszkaniu może jako gość, zobaczyłem się z koleżankami bo koledzy tyż byli już zabrani do wojska. Urlop zeszedł bardzo prędko jak to w domu ze swojemi i rodziną, powróciłem do Kalisza i tam spędziłem święta Bożego Narodzenia na spólnej kolaczji Wigilijnej. W dniu 5 stycznia 1920 roku wyruszyliśmy z komp. Marsz. na front Litew-

sko Białoruski nad Dźwine wprawo od Połocka, podróż była żal się Boże na takim mrozie jechać w wagonach towarowych, dzisiaj na myśl o tem ścina mi sie krew w żyłach czo człowiek ucierpiał w czasie tej podróży od 5/I do 18/I w tem marnem płaszczyku jakim był odziany. Tak przyjechalśmy do postoju 33 p. p. i dalej do I bałonu i 4 komp. która stała na placówkach, po pewnem czasie zminił nasz jakiś oddział poszliśmy na spoczynek do miast Woroneczna. Ładny spoczynek kiedy woda w mieszkaniu zmarzła na jeden lód, usnąć nie było można od zimna ino się trza było przewracać z boku na bok, po paru dniach wysłali mnie na poczte lotną oddalonom od nasz na 15 kil. do wsi Suszyn mając trzech ludzi ze sobą 15 kil. do Bat. 15 kil. do pułku te podróz odbywalśmy na sankach chłopskich dwa razy dziennie raz do pułku i drugi do Batalijonu przy mrozie 30 st. Cel. Miałem w tej patroli jednego żyda. Tamtejsi gospodarze jak przypadło mu jechać na noc to z prośbą wielką żeby go zminić na dzień a sam musiałem jechać w nocy, pytałem czego się boją to mówił mi że on Wołka nie ubijot, z czem się spotykaliśmy, staliśmy tam w tej wsi Suszyn cztery tygodnie tylko że mieszkanie to my mieli ciepłe i gospodarz choć prawosławny lecz szczyry, przez ten czas ludność wioski tak się do nasz oswojeła że płakali gdyśmy odjeżdżali, potem staliśmy na ochronie Baterji lecz już z karabinem maszenowem. Bo tam dostałem przedział, przyjechał ksiądz z pułku do batalionu i mamy iść do spowiedzi. Część poszła, ja należałem do tych co nieposzedł bo przez wodę pod kolana z różnemi myślami pozostaliśmy na kwaterach. Początek kwietnia powróciliśmy na placówki w okolicy Gumla do wsi Pukanówki ja już z karabinem maszynowem staliśmy w okopach. Jedzenie śniadanie obiad kolacje gotowaliśmy sami. Ofenzywa Bolszewicka — po paru godzinnej walce Bolszewicy wyparli nasz z naszych placówek wycofaliśmy się w tył o głodzie i zimnie bo każdy zmoczony i głodny i ze złością że te cholery nasz ganiają, tak dośliśmy do starych niemieckich okopów i stąd daliśmy Moskalu po piętach, dośliśmy do rzeki Dźwiny. Staliśmy przy granicy Łotewski do dnia 4-go lipca, znów ofenzywa Bolszewicka, wyruszyli nasz z okopów i wycofaliśmy się w kierunku Wilna. Pamiętam dzień jak żeśmy wychodzili z miasta Święcian Nowych jak ludność i niejedne panienki płakały, że nam samem łyzy w oczach stanyły i tam żeśmy zafasowali na lewo po sklepach troche żywności i dalej marsz, w lesie przenocowaliśmy się i marsz do Postaw, tam daliśmy w skóre Litwinom i dali marsz w strone Wilna, piątego dnia jemy gotowany obiad z kuchni mięso lecz bez soli, to bardzo dobrze

smakowało i dalej marsz do Wilna i dalej do Grodna, nie będę tu opisywał tej wszystki przygody jaki żem użył w drodze odwrotu jak nasz kozaki gonily jak żeśmy się zielonemi jabłkami żywili i tak przyśliśmy do Grodna, tu mostu nima, cztery wózki karabinowe przepawiliśmy przez most kolejowy, ja sam zafasowałem sobie ubranie z tornistrem i buty nowe i to oblókłem i uspokoiłem się od tych robaszków co mnie gryzły, bo to to można było liczyć na tysiące, tam włożyliśmy karabiny do wagonu, sami na dachu siedziemy i czekamy na odjazd, w tem przychodzą dwóch oficerów i zganiają nas z dachu i marsz pieszo tak przyśliśmy i jechali do Białegostoku tam staliśmy w koszarach przez dwa czy cztery dni i marsz do okopów, tam zostałem ranny w rękę w czasie rewizyi za chlebem w rękę z Nagana, gdyżmy szukali znaleźliśmy Nagana, ja złapałem za lufę, drugi za rękojeść i pad strzał w dłoń z tem pojechałem do szpitala do Grudziądza tam przebyłem dwa tygodnie, rana się zagoiła, powróciłem do Warszawy przez Toruń na Włocławek gdzie nasz bolszewicy ostrzeliwali z pociągiem któreśmy jechali z artyleryi i po przyjeździe do Warszawy ze stacji zborny pojechałem do Żyrardowa tam byłem zaraz w kompanji marszowej i w sierpniu wyjechaliśmy do Terepola do 23 p. p. i tam przez Brześć w puszcze i Kaminiac do Białowieży i dalej za Bolszewikami w Podwysokiem daliśmy im w skórę że my zašli aż za Niemen przez miasto Łonne i przez Lide nazad do Święcian Starych tam staliśmy pare dni i znów wypędziliśmy Litwinów ze Święcian Nowych i tam staliśmy w okolicy czyli na granicy Litewski do 5 października 1921 r. i stąd wyjeżdżamy do Włodzimierza Wołyńskiego. Po wyjeździe z Żyrardowa byłem w komp. Karabinów Maszynowych późni pojechałem na kurs Telefoniczny aż do czasu zwolnienia, teraz było lepi niż w roku 1920, bo już czas spokojny nima tej ciągłej ganiatyki i tych marszów. Jeszcze jedno i niewszystko bo koło Duniłowicz zostałem ranny w nogę chociaż lekko bo nawet na izbie chorych nie byłem lecz kula karabinowa rozzerwała mi kieszeń przecina mi scyzoryk i siedem kul karabinowych i miałem wtenczas granat zajkowy z zapalnikiem wkręconem ten przez tę dziurę mi zginął, miałem to wtenczas za wielkie szczęście że się to tak stało i ocaliło mnie od śmierci i dziękowałem Bogu za to, że może jeszcze doczekam tej wolnej Polski coś my tak pragneli. Cóż się stało, teraz jest inaczy, wszystko przewróciło się prawie do góry nogami, robotnik nicz nie zarobi bo rolnik ledwie zęby trzyma w szczękach i zakrywa je zeschlą skórą a cóż ja mam powiedzieć. O lepi żebym się utopił w Niemnie lub Narwi czy Dniestrze a może

Zgniły Lipie jakżem przez nie brodził lub w innych rzekach lub bagnach zanim doczekał tej chwili co jest dzisiaj i naszej utęschnionej ojczyzny co dla jednego jest matką bo bierą tysiące dziennie a dla drugich macochą bo nie zarobią nawet jednego grosza! Zwolniłem się z wojska prawie boso i nago bo lepszy płaszcz czy co innego to odebrali, przyjechałem do rodziny wstyd się pokazać na świat w takim mundurze, cóż teraz robić, d. 31 miesiąc służby i przyszedłem w łachach do rodziny, prosiłem ojca za wstawieniem mamy że mi kupił ubranie, że się mogłem pokazać teraz ludziom i wyjść na wieś i do kościoła a po te stare łachy przyjeżdża policja i zabiera, możesz chodzić nago boś walczył za ojczyznę i tak się ostałem i tak upływały wieczory 1921 na 1922 rok. Niedziele na muzykach, wieczory na grze w karty czasem książka, która mało wpadała w ręce, o co to za ciemnota. Przyszła wiosna i lato robota w polu i troche robiliśmy cegły i tak upływały lato i jesień, nastąpiła zima 22 i 23 r. i znów ta sama robota brak gazety, brak książki może z tej racji że wioska nasza leży w takim zapadłym kącie pięć kilometrów do szosy, do kościoła osiem kilometrów, do jednej osady Buzenin osiem kil. gdzie są jarmarki i do Sieradza 18 kil., do Złoczewa 11 kil. więc o wszystko trudno a co książka i gazeta jest rzadkością tylko tyle że można w domu spać od wieczora do rana i tak przechodziła zima, z tą zmianą że powstały w domu awantury bo młodzi bracia jeden poszedł w praktykę szewcza a drugi na zygarmistrza, a ojciec lubił czystą na 45 z tego powstały te hałasy co nie do opisania i tak czas szedł powoli jakby konanie z dnia na dzień że usłyszysz co nowego z łust ojca jak przyjedzie z miasta, często po pare dni z nami nie rozmawiał, w taki męczarni przechodziły czasy co nie będę tu pisał wszystkich mamalugów i rzeczy nie do opisania bo dzisiaj serce mi bije na myśl o tem co człowiek przecierpiał tak do 29/VI 1925 r. gdyż będąc na weselu siostry cioteczny zapoznałem się z dziewczęciem i wkrótce zarenceliliśmy się, teraz nastąpiły jeszcze gorsze czasy co nie do opisania co za hałasy. 25. VII. jade na ćwiczenia wojskowe do Łodzi, za dwa tygodnie przyjeżdżam na przepustkę i mówię że my byli pare razy w kinie i jeszcze gdzieindzi to ojciec na mnie żem mu pieniędzy nakradł i teraz mam jeździć za co i po kinach chodzić i tak z kłótnią pojechałem do Łodzi z powrotem, odbyłem ćwiczenia, zawsze ze smutnem sercem co pomyślałem o domu. Przyjechałem z ćwiczeń ojciec nic nie mówi do mnie, nic nie mówi co mam robić i nie chce powiedzieć co mam robić, to mówi że rób co chcesz i co ci się spodoba, zaczęliśmy się przemawiać i złapał cegły powiada że cie zabije, ja

zaś stanęły i mówię że niech bije i niech się raz skończy, tak się zastanowił i pozostało na tem na pierunach cholera i innych wyrazach co nie będę pisał tego wszystkiego i tak mijały dni i tygodnie do czasu ślubu do 18/XI 1925 r., był nieraz płacz i zgrzytanie i to znów klątwy i cholery jakich nie brakowało, roboty było dużo ale zapłaty mało bo jak się jedno ubranie podarło lub buty to dopiero z klątwą kupił drugie, takie było życie moje w domu rodzinnem i tak było z mojem weselem i z ubraniem i troche z wódką, to wszystko szło tak trudno i tępo że trudno opisać, co już nie będę spominał. Przeszło i to zmartwienie i pierwsza noc poślubna. Zaczęły się dni nowe i troche miłsze. Żona pracowała u teściów czyli swoich ojców, szła na maszynie, ja znów troche chodził za robotą za traczką mularką co w rękę wlało i tak przeszło do maja 1926 r. W maju mając parę złotych zaoszczędzone założyłem sklepik spożywczy we wsi Praznów w domu moich teściów, początki szły trudno bo brak było szkoły i praktyki, jednak jakoś prowadziłem. Teść mając 22 morgi ziemi żyni syna mówi żebym dał 1.500 złotych to mi zapisze z 7¹/₂ morgi ziemi i połowe budynków to 1.000 złotych zaraz 500 zł. spłaty. Mówiłem o tem swojemu ojcu żeby mi co pomógł i dał choć 500 zł. lecz nie było bo ojciec nie chciał dać, chociaż mama prosiła żeby zrobił nic nie pomogło tylko pieruny i cholery to się zawsze dało słyszeć i skończyło się na niczem. Teść syna ożenił i wziął synową do domu, zapisał 20 morg tej ziemi, jest to ziemia piaszczysta i do tego w siedmiu miejscach. Mnie jako zięciowi dał 1000 zł. i krowe i maszynę do szycia i wyprawę: szafę do rzeczy, komode i jedno łóżko i pościel na nie i trzy obrazy święte i parę garków talerzy i dwie miski, to było wszystko, teraz trza było wyjść jak panna z tańca. Brat żone przywiózł do domu, nima mieszkania trza było szukać domu, wynajmowałem dom w Burzynie zapłaciłem lokatorne z góry na rok 470 zł. potem się tam nie wprowadziłem przez sześć tygodni, stało puste, późni znalazł się kupiec, wypuściłem mu z powrotem, straciłem 70 złotych więc uspokoiłem się z Burzynie. Teraz szukam mieszkania na wsi, obiechałem różne wioski wszystkie moje troski spełzyły na niczem? Dopiero dostałem mieszkanie we wsi Pyszków przez podłogi na sklep, taka dziura w sieni ze strach tylko tyle pociechy że tam był sklep i szło dobrze. W dniu 1 maja 1927 roku przeprowadziłem się od moich teściów na nowe gospodarstwo tylko już nie nasz dwoje bo już urodził się nam syn o którym nie pisałem o jego chrzcie, straciłem wtenczas 90 zł. oprócz choroby żony. Tej przewózki na nowe mieszkanie nie płaciłem bo tylko za poczynne ale straciłem

na to 40 zł. za mieszkanie zapłaciłem 125 zł. na rok. Tu rozpoczęliśmy nowy handel, początki szły dość dobrze, handel jak się patrzy. Zaczęłem na kredyt i to mnie zabiło, były wtenczas dwa sklepy inne, tutaj czytelnicy mogą sobie wyobrazić co ludzie robią, kto zrobił kredyt poszedł do drugiego. Zaskarżyłem jednogabę co się tak wyraża bo lepszego nie warta o 36 złotych, sąd mi przysądził, po miesiącu przyjechał komornik zrobił zajęcie, to co ona robi przysłała jedną dziewczynę po wódkę której jej odstąpiłem i ona melduje mnie w akcyzie, płace kare 150 złotych. Nastąpiła konkurencja to nic nie dało dobrego tylko straty. W dniu 31/X 27 roku mamy pożar, czternaście gospodarstw poszło z dymem, ja już straciłem dużo bośmy wszystko z domu musieli wynosić, dom ten się nie spalił, lecz strata duża kradzież ubrania i wiele innej rzeczy. Teraz inna sprawa mój konkurent J*** i piekarz D*** wypieliliśmy u mnie $\frac{1}{4}$ litra wódki, zeznaje w akcyzie że ja mu sprzedałem te wódkę, znowu sprawa w sądzie, płace 50 złotych kary obrona świadki znowu 50 złotych. Akcyz robi pretokół za rozrzucone papierosy płace kary 20 zł. (patent), przenieśliśmy z Praznowa do Pyszkowa, podatek zapłaciłem za Pyszków, po roku czasu przychodzi podatek za Praznow 80 zł., gdzie sprawiedliwość za co tu się płaci. Tak idzie czy się pcha powoli i dali do 18 kwietnia 1928 roku był piekarz ze Sieradza już wieczorem który wozził pieczywo, po wypłacie zauważyłem że zginął mi portfel i prawie 300 zł. tego miesiąca bo w dniu 20 rano pożar, dom się pali ten co mieszkam, tyle co my wstali znów straty, znów kradzież niema mieszkania i gdzie głowy schronić, co robić, wszystkie rupiecie na dworze i na drodze. Smutno i ciężko na sercu cóż robić. Z ojcem teraz żyliśmy w dobrym honorze bo teraz często z kieliszkiem poczęstuje i był na chrzcie mej córki która nam przysłała w Pyszkowie i ojciec jest teraz w dobrym honorze. Wienc mu mówię żeby mnie zabrał do siebie. Bo przecież ma dwa mieszkania i komore, narazie się zgodził, przyjechałem do ojca na Stefanów założyłem sklepik w tej komorze, to jest w taki sieni, początki dobre, targ mały lecz jakoś idzie, w domu zgoda lecz po niejakiem czasie wszystko się zmieniło, ojciec zły nic nie mówi tylko mruczy, nawet ogień w piecu zalewa żeby sobie jeść nie ugotować i takie różne hopki wyrabia co wstyd już pisać. Zona ciągle płacze i mówi żebym się gdzie stąd wyprowadził. Tak przechodziły dni jeden za drugim ze smutkiem i myślą o tej zmianie. Wigilije Bożego Narodzenia 1928 roku odbyliśmy u ojca co nie daj Boże mi drugi taki doczekać, kłótnie, hałasy, pie-runy, cholery i płacz. Takie to święta mieliśmy u swojego ojca, co

nie do opisania. Więc w styczniu 1929 r. chociaż mróz 30 stop. Cel. wyprowadzam się od ojca do sąsiada do takiej komory i tam stawiam jedno łóżko, piecyk do palenia, dwa stołki i pułki na towar i rozpoczynam sprzedaż, tak przecierpiałem zime, te pamiętną i będę ją chyba pamiętał do śmierci, co ja tam w tej dziurze ucierpiałem od mrozu i innej biedy. Ale to zawdzięcam mojemu ojcu, tak przecierpiałem zime przyszła wiosna. Zaczęłem kupować drzewo na budowę, mam zamiar budować dom, narobiłem bloków, kupiłem trochę cegły i zacząłem robote. Placu pod dom nimam, mówiłem ojcu żeby mi pozwolił postawić dom na jego placu, odmówił. Dopiero brat cioteczny zgodził się na to że na jego placu czyli ziemi założyłem fundament, wtedy ojciec przychodzi do mnie i mówi żebym się stawiał na jego ziemi i dał mi 100 zł. Zrobił to ze wstydu ludzi co mówili o niem, że C*** na 6 morgach ma plac na dom a ojciec to nima. I tak my się pogodzili, zacząłem budować dom mieszkania 2 długość domu 10 metr. szerokość 5,30, wysokość 2,30 trzy ściany z bloków cmentowy, 27 cyntometrów gruby, sklepinia cegła, czwarta ściana deski, środek trochę, ta ściana jest najlepsza bo sucha. Szopa na drzewo i ustęp 4 m. 50 długa, 3 met. szeroka 180 wysoka i płoty w koło tego 150 met. wysoki. Kosztowało to wszystko 3 tysiące zł., przyjęte do Asekuracyi 2.440 zł., dach papa firmy gospodarz w Sieradzu. Lecz nie radziłbym nikomu budować takiego domu betonowego na jeden blok bo to wilgoć w zimie taka że wszystkie meble rozpęczniają z wilgoci choć stoją po łokciu od ściany, że taki dom zdolny może być tylko dla krów lub na chlewy dla tych co ryją, a nie dla ludzi żeby w nich gnili? Jedno mieszkanie przeforsztowane na pół i przeniosłem sklep z tej dziury co tam miałem, to w dniu 15/VI 1929 rok. Nie umieściłem siltu sklepowego, natenczas wpada kontroler robi protokół już 10 zł. kary. Po przeniesieniu z Pyszkowa na Stefanów miałem koncesyje tytoniową i tu wyprzedaje wyroby tytoniowe, na książkę nic nie brałem. Przyjeżdża urzędnik Akczyzu i zabiera koncesyje i książkę i robi protokół, wzywają mnie do urzędu Akczyzowego że jak nie zapłać 20 zł. kary to mi zabiorą koncesyje, ja mówię, że już zabrali, teraz dochodzenie kiej zabrana i na tem się skończyło, że nie zapłaciłem i tak przechodzi jesień i zima 1929 i 1930 r. Sklep zwinełem w lutem bo wysprzedałem wszystkie drobiazgi bo wilgoć niemożliwa kiedy wszystko rozpuszcza się na wodę lub pleśnieje że niemiło patrzeć. Więc cóż robić, kupujemy kiej wszystkie interesy się nie udają, co robić, kupujemy taksówkę starý ford do spółki, miało być trzech spółników szofer D*** pan D*** trzecim

ja, pan D*** płaci 200 zł. ja na 600 zł. wystawiam weksle. Teraz robimy remont motoru i całego wozu, on niezdolny do jazdy. Teraz szofer się cofa jak rak a pan M*** wystawia weksle do protestu, 300 zł. mu wpłaciłem i koszta komornika 70 zł., za 300 zł. zabrał nazad wóz cośmy od niego kupili i rozebrał go i wozem przewiózł do Złoczewa po kawałku i jeszcze teraz dochodzenie o znaki rejestracyjne gdzie one się znajdują, jeżeli wóz został rozebrany na części i pan M*** wszystko zabrał. Co teraz straty, co tu złości jeden na drugiego, ten wymyśla na mnie ja na drugiego lecz wszystko był winien pan D*** gdy on jeździł na tem wozie pare miesięcy i nasz wziół na kawał i na strate a sam pewno zarobił na pieprz. Wszystko przeszło co się straciło to nikt nie wróci. Jeszcze jedno, kupiłem jesienią 1929 roku 60 kur, przeżywiłem przez zime i nic z tego nie wyszło bo jajka tanie i nie zapłacą za wyżywienie kur czyli ich utrzymanie, więc wiosną w roku 1930—50 sztuk sprzedałem zostawiłem sobie tylko 10 sztuk i przyszły żniwa. Poszedłem pare dni do roboty, po żniwach poszedłem znowu do roboty do murarzy, zarobiłem wtenczas 5 zł. dziennie lecz tu co robota się skończyła teraz cóż robić, z czego żyć, za co kupić kartofli i mąki na ten kwaśny barszcz, bo o czem innem to ni można myśleć żeby robotnik na wsi kupił sobie kawałek mięsa, nawet troche słoniny to o tem trza zapomnieć i tylko patrzeć jak kto je. Rodzina pięć osób tylko z tej pracy, kiej nima bo nastala zima, bo teraz się żyje jak niewiem co i jak nazwać? Czas zimowy przepędza się na kartach, tak tej zimy jak i drugiej i poprzedniej, to karty są częstem gościem bo chłopcy wiejscy nawet i gospodarze to kartami się interesują i duraczok lub „66” czasem w „21” na czukierki lub zapałki. Co książka lub gazeta to tylko wyjątki co się interesują. Bo jak nieraz przywozem gazete i zacząłem czytać to jeden śpi, drugi idzie do domu albo mówi zagrajmy w karty lub opowiada bajki czy tyż plotki, karty po sklepach wiejskich to są w użyciu i „21” na cukierki i to taka oświata jest na wsi. Zamiast książki to plotki za gazete służą, karty że pomyśleć to strach bierze czego można się nauczyć. Przyszła wiosna 1931 rok, zaczynam znowu robote lecz już jako murarz i robie na swoją rękę chociaż mało stawiam murowaną oborę i stodołę i dom drewniany i różne rzeczy jak podłogi, posowy, piece, kominki i kominy, jakoś lato przeszło na pracy tylko zarabia się już mało bo 3 lub 4 zł. dziennie a w domu już gorzej przybyła trzecia córka, jest nasz sześć osób. Kartofli ukopałem 4 metry co tu jeden sąsiad dał mi taki zagon. Więcy nima nic jak się nie kupi, zarobić już nima gdzie. Bieda mało-

rolnemu lecz sto procent gorzej bezrolnemu bo roboty nigdzie nie znajdzie może pójść jesienią do kopania, dadzą ci na dzień 1/4 metra kartofli co robić trza nawet kopać. Zona dostała małego prosiaka za piniądze co pani Sz*** wybrała w sklepie. Swinioka tego chowała przez lato, początek listopada chore i zabiłem miało 40 kilo, tak my przez zime mieli troche tego mięsa zdechłego. Zima szła jak poprzednie z tem że często przyniosłem gazetę Grudziądzką od mojego komotra i te czytaliśmy, bo wieś to cmentarzysko ciemnoty gdzie na 500 mieszkańców to nie było ani jednej gazety, to rozpacz nędzy i ciemnoty. Tak nastał rok 1932 i wiosna, chodze na roboty jak dalej, to jeżdże na rowerze bo rower to mam jeszcze z czasów sklepu i robie tak samo jak w roku zesłem, jeszcze troche stolarke budowlaną, roboty stolarskie jako samołukowi to szły marnie czy niesprawnie i źle wykonane lecz za to tani to mi przyniosło kilka złotych do roku i roboty murarskie i ciesiołke jak człowiek może tak robi chociaż tak źle to jeszcze nie, jednak za te roboty com robił 1932 roku to jeszcze dzisiaj ni mam zapłacone. Jak tu żyć za co kupić ubranie, buty. Ciężkie i trudne jest życie robotnika na wsi lepi żeby człowiek na świecie nie żył, zarabiałem już tylko 3 zł. dziennie i przeszło rok czekam i ni mam piniędzy, jak tu porównać z pensyjami panów urzędników lub derektorów cztery tysiące dziennie? Za co utrzymać rodzinę sześć osób. O straszne rzeczy się dzieją tutaj na wsi, czy świat taki niesprawiedliwy czy może lud, o nie, ani świat ani lud wiejski tylko przykład idzie zgóry, tam bierą tysiące a tu ani tyle groszy. Czy tak długo będzie istnieć i będziemy te nędze cierpieć chyba Bóg ześle kare jak na Sodome i Gomore tylko kogo tu karać prosze szanowny czytelniku wybierać i pomyśleć nad tem co dalej napisze. Piszą że w naszej Polsce byczo jest. Tak jest, bo małorolny i bezrolny czy ja robotnik to już chodzimy na pół nago że do kościola to już idą tylko na pastyrke w nocy żeby ich nikt nie widział bo tak to sie wstydzi w podarty bluzy lub spodniach lub na pół bosemi nogami a zimom przez palta lub ciepły bondy i człowiek wygląda prawie jak cień. I tak to jest byczo w Polsce. Żeby nam Bóg dał żebyśmy dostali tej byczy skóry to nie mielibyśmy zmartwienia o przykrycie naszych kości bo nie ciała bo już wyglądamy jak śmierć na chorągwi. Czy nasz tak dalej będą męczyć. Może Bóg raz te nędze skończy. Przyszła jesień 1932 r. kartofli ukopałem sześć metrów na zime i od zniw co nimi sam i dzieci żywiłem bo o cennem to nima co mówić. A i to na tem gnoju co zrobiłem z rodzinom to mi ojciec dopiero dał ziemie pod ten gnój, to niby łaska

wielka że to dał. Taka to sprawiedliwość, młodszy bracia jeden dostał praktykę zygarmistrza chociaż sparaliżowany na nogi, dzisiaj ma zawsze lepi bo zygarmistrze stoją ze zarobkiem nieźle, drugi jako szewc też na sobie zarobi, jeden jest w Sieradzu a drugi w Turku chociaż oba powinni stać lepi żeby ojciec był dobrym ojcem. Ale cóż ja robiłem 23 lata i to cztery lata mając już musiałem krowy paść, trzy lata walczyłem za ojczyznę, broniłem granic Rzeczypospolitej Polski, biłem Ukraińców i Bolszewików, chodziłem nago, boso, straciłem zdrowie co dowodem jest że do wojska byłem zdrowy, po wojsku złożyłem podanie do policji a to pan doktor uznał mnie jako chory na serce, gdzie tu sprawiedliwość. Sądźcie czytelnicy sami. Przyszła zima rok 1932 i 33, karcjarstwo trochę ustało bo ten kryzys dał się tak w znaki że chłopcy już na papierosa nie mają a kart to już nima za co kupić, trafi się że grają to proszę wyobrazić co za gra, za 10 groszy kupuje pudełko zapalek i gra na sztuki i spędza wieczory na grze w zapalki bo na co inne to nie starczy. Co u mnie to już bardzo mało jest tego, bo założyliśmy Związek Młodzieży Wiejski w październiku 1932 r., u mnie jest świetlica, mamy gazety „Wici” i „Sztandar Zielony” i Tygodnik Grudziądzki, ta moja osobiście bo tak tania gazeta że choć te pronemeruje w tych ciężkich czasach tej niewoli robotniczej na wsi. Zająłem się rozszerzeniem gazety, na moją prośbę czy namowę zdobyłem siedmiu abonentów, więc tu się pokazuje obraz ciemnoty na całą gminę bo tylko w czasie wyborów zarzuca chłopca różni opiekunowie czy patronowie całymi stosami gazety niby dzieci cukierkami i każdy odbiera ten ochłap. A teraz to proszę pomyśleć co do tej oświaty chłopskiej. Gmina przeszło 5 tysięcy mieszkańców przychodzi gazet: osiem Grudziądzki, trzy Sztandar ziel., cztery Wyzwolenia, sześć Wici i Ludowiec z Francji — to jest ta chłopska oświata, prócz nauczycielstwa. Czy nima pieniędzy na gazete jak czytelnicy sądzą, bo ja sądzę że być powinny lecz tu jest jakieś zło co tu szczyrzy te straszne ciemnoty. Dom na świetlice daje gratis jako dla uboższego Związku M. W., niemającego poparcia rządowego, choć na inne cele są tysiące. Chociaż sam łaknę paru ziemniaków bo były takie czasy że już kupić nie było za co. Tak przecierpieliśmy zimy, nastawa wiosna i lato nieraz drżeliśmy z zimna i jeszcze z głodu przymierać było trzeba bo te parę ziemniaków też trzeba było sobie odjąć od gęby żeby zostało na jutro. Oj to jutro? To jutro to kurcz za serce chwytą na myśl o niem, już nie mówię tu o chlebie, bo on to jest wielkim gościem, nie mówię tu o maśle lub jakimś tłuszczu, bo o tem robotnik

wiejski już zapomniał nawet, widzi tylko przez okno wystawowe. Pozostało trochę odciąganego mleka i maślanki, to całe specyjały wiejskie. To nam daje te siły i ten wygląd, że wyglądamy jakbyśmy z grobów powstałi. A jak wygląda większy włościjan lub nawet policjant, a co mówić o innych urzędnikach co wyglądają jak karmiki. Nam rośnie garb na plecach, a tem panom to z przodu, i ni mogą unieść swojego cielska, jeden ma za trzech, a drudzy świecom żebrami. Kiedy ja nimam na pieprz, sól, cebule, chodzi sie od chałupy do chałupy za kieliszkiem soli pożyczyc, lub żeby ktoś podarował lub z garnuszkiem po ogień, bo na zapalki nima piniędzy. Z nastaniem wiosny wieśniacy pracują w polu, ja chodze i przyglądam sie jak słonko świeci bo tu roboty nima i nikt nie zawoła żeby gdzie na sól lub ziemniaki zarobić, roboty rolny nima wcale, bo każdy prawie, że sam zrobi z rodzinom, takie jest życie robotnika na wsi, żeby nie robota inna, którą trochę umiem to bym musiał puścić się naokoło Polski z torbami jak inni. Mam trochę nawozu cośmy zrobili razem z kozami i te 10 kur, wywiozem na pole sąsiada i tam zasadziłem jeden metr kartofli za co musiałem mu odrobić. Drugiego uprosiłem o 25 prętów zagona, zasadziłem swojemi kartoflami i za to musiałem mu odrobić w zniwa dwa dni kosą, całe lato upływa, roboty mało, zarobek marny, jeżeli rzemieślnik jak ja obecnie robie, mogą świadczyć za mnie same roboty 2 zł. 50 gr., za co utrzymać rodzinę, za co się ubrać, czem palić w piecu a tu zima za pasem. Strach bierze na samo pomyślenie jak to będzie przeżyć, a tu nima znikąd żadnej pomocy i nie opiekuje się bezrolnem nikt nawet i pan Bóg chyba zapomniał, bo tak żyć to stokroć lepsza śmierć, to więziń nie życie, nic wielkiego żeby dzisiaj popełnić jakieś przestępstwo i zabezpieczyć sobie mieszkanie i może nawet co innego, z tem się dzisiaj wcale nie liczy. Tylko jeszcze żywi się tom nadzieją, że nam lepsze dni zajaśnieją. I to przywiązanie rodzinne i wychowanie dzieci. Lecz to nie dzieci, to nie ludzie, to cherlastwo to postać dziecka. Kartofli trochę ukopałem, bo aż 15 metrów, kupiłem dwa metry drzewa i tysiąc torfu, to jest cały zapas na zime, a gdzie trochę mąki, a gdzie chociaż trepy, a gdzie jakieś łachy dla siebie, żony i dzieci, żeby nakryć swoje kości i przez zime przeżyć. O Boże nie wiem czy wszyscy w rodzinie przeżyjemy te zime i myślę o tem. Teraz powróce jeszcze do przeszłych rzeczy, które mi dały poważne straty. Było to w roku 1928 w dniu 20/X wydzierżawiłem stawy na rybołówstwo, zarybek płaciłem wiosną 29 r.

30 zł. kopa, tak bywa jak się nie posiada szkoły czy praktyki, oszukali nasz na zarybku, kupiliśmy komplet tarlaków za sume 150 zł. i krzygze ktoś ukradł, już strata, na zime połów ryb nie wróciła się suma wydana na ryby czyli za zarybek, pożyczyłem od spółnika 400 zł. i za 800 zł. kupiliśmy zarybku na zime, zarybek ten wyginął zimowom porom, że nic nie było na wiosnę tylko mój spółnik wyłapał. To cośmy ostawili z roku 1929, to w roku 1930 złapał, wszystkie wydusił to się zniszczyło, złapaliśmy na wodzie drugi, co dla mnie wypadło 350 zł. Teraz zapłaciłem 180 zł. procentu i 170 zł. sumy, pozostało 230 zł., które stoją do dziś dnia, a weksel jest wystawiony na 400 zł., tak to rybołówstwo dało zyski z kieszyni i czas i robota to sie nie liczy, tu winien czas i spadek cen. Przy budowie domu pożyczyłem 300 zł., to jest w dniu 20/VII 1929 r., kiedy to za te sume była licha krowa, ja oddałem w roku 1931 — 130 zł., gotówki 90 zł. policzyliśmy za postawienie domu, to już są w tem czasie dwie krowy. Jeszcze mało, wybrał odyminie 285 zł., bo brakuje tylko 15 zł. i jeszcze woła odyminie 100 złoty, są to długi prywatne u tych co pożyczali na procentach 4% na miesiąc, gdzie ta sprawiedliwość trzebaby iść po nią może do nieba. Teraz roboty, czy remont dómowy, w roku 1930 jednego październikowego dnia przyszedł taki mały wiatr, co w jednej chwili z połowy domu zerwał pape i zostawił mnie bez dachu nad głową, za co tu pokryć kiedy tu pieniędzy jak u dziada wszy i zabieram sie do roboty, reperuje jak moge, późni kupiłem pape i pokryłem. Myśle, że teraz będę miał spokój, znów coś innego, bo w roku 1932 burza gradowa, grad popsuł cały dach, teraz zmar twinie i niemało kłopotu skąd wziąć na reperacje, na jednym mieszkaniu poprawiłem, bo inaczy ni mogem zrobić. A drugie pozostało. Teraz dopiero we wrześniu 33 r. położyłem pape na drugie mieszkanie, bo chociaż tam papa istotnie była, lecz tylko od słońca, bo dyszcz to leciał jak przez przetak. Reperacja kosztuje mnie teraz 35 zł., żebyście szanowni czytelnicy byli jak dyszcz padał, to mogem mieć ryby w mieszkaniu przez kłopotów ich łapania. Strach było na to patrzeć co sie robiło w tem domu, zniszczenie i zniszczenie, lecz cóż było robić, trza się było pogodzić z losem jaki mnie męczył i moją rodzinę. Żona płacze, że sie tego doczekała za mnom, że miałaby lepiej jakby wyszła za innego, to dzisiaj nic nie pomoże — mówie jej, ta twoja mowa i tyle pomoże na naszą biedę co umarłemu kadzidło, pomoże temu kto weźmie piniądzę. Tak jest czytelnicy z naszą biedom i nędzą lecz mam nadzieje.

szanowni czytelnicy, że dłużej nędzy i borykania się ze śmiercią jak tych naszych ciemienzycieli i tych byczych czasów. Nasza dłoń czarna i nasz garb na plecach wytrzymał dużo, wytrzymał i bity szlacheckie i knuty moskiewskie i niemieckie, przetrwa i to, bo dłuży klasztoru jak przeora.

Drodzy czytelnicy, opisze wam swój inwentarz żywi i martwy:

1. Maszyna do szycia cóż ona daje, to, że żona przesywa wciąż stare na nowe i już od tego nie płaci, bo zarobek to jest taki, że krawcowych teraz to jest wszędzie gdzie kijem rzuci to nie upadnie na ziemię, tylko na tom panią, 2. szafa do rzeczy, 3. komoda, 4. dwa łóżka i stół i kołyska, w której się kołysze czwarta córka, teraz pare garków i pięć misek, 1½ kozy i pięć kur, bo pięć to sprzedałem, jedna gęś, do tego wszystkiego jednego syna, cztery córki i żona. Teraz Szanowni Czytelnicy proszę posłuchać dalej. Jakie to uważanie ma robotnik wiejski u 30-to morgowego gospodarza nawet takiego nima jak jego pies, wienc to było tak w roku 1929 u mnie odbył się chrzest mej drugi córki, zaprosilem na ojców chrzestnych sąsiadów, gdzie i poprosilem znowu swoich komotrów i także jeszcze sąsiadów, myślę, że trza żyć po przyjacielsku jak Bóg przykazał, wienc ja tak zrobielem, bo gość w dom to Bóg w dom, a tu sie okazuje inaczy czy inny system. Najad sie i napił do tego stopnia, że robił zwrot obiema końcami i tak długo pamięta te gościnność, bo w roku 30-em jest ślub jego córki i wyprawia wesele, ja jako drugi sąsiad co wszyscy mówią, że będe na weselu, tu sie stało wyróżnienie, bo tam sie bawi elita, jak pan Wójt, Sekrytarz i tacy gospodarze jaki on sam. Chociaż sam ciemny jak tabaka w tabakierce, bo nie zna nawet litery drukowanej, z każdym papierkiem przychodzi żeby mu przeczytać i wtenczas wyrzyka na czem świat stoi, w oczy za oczy toby utopił nawet w łyżce wody. Takie to są ludzie na wsi. Idziesz do niego co kupić z workiem, to późni wykrzyczy, że on torbiarzy dożywia, chociaż mam przykład, że za każdym rzecz trza mu zapłacić droży jak na targu, jeszcze z prośbą i łaske robi, że sprzeda, a żydowi to sprzeda tani, bo mu powi panie Łakomski chociaż jest całom gembom Łakomy. Szanowny czytelniku wyobraź sobie życie bezrolnego na wsi i jakie ma uszanowanie między gospodarzami, wtenczas jak idzie do niego robić dzień lub dwa, to trza ręce szykować może z tydzień, boby chciał człowieka zameczyć żeby wykonać robote za konia i tak przechodzi dzień za dniem, tydzień i miesiąc, wyglądamy tych lepszych czasów, tych czasów byczych

lecz nie dla elity uprzywiliowany, tylko dla nas ludzi na wsi czarnej dłoni, dla nas ludzi pracujących od wschodu do zachodu słońca. O kiedy przyjdą te czasy dla nas ludzi niższej klasy.

Szanowni czytelnicy, opisze wam czem sie żywie i moja rodzina. Co rok to jest gorzej, z roku na rok większa nędza i głód zagląda w każdy kąt. Nie będę tu sięgał lat przeszłych tylko rok 1933 zimową porą, jedzenie nasze było kartofel z kartoflem lub trochę kapusty lecz to bez omasty, bo na nią pieniędzy nima, chleb tani cóż mi z tego, że tani jak ja w domu z rodzinom miałem chleb na Wielkanoc na to świencone i te pare jajek i 1½ kila mięsa, to były święta, to była wielkanoc. Całom wiosne żyliśmy temi ziemniakami i do dzisiaj to jest jeszcze dobrze jak starczy na barszcz do tych ziemniaków. Tylko mama moja przyniesie nam czasem tego odciąganego mleka, to jest cały rerytas wiejski. Gdzie siła do roboty, gdzie nasze ciało, gdzie nasz wygląd jako człowieka żywego, a nie śmiertelnika bładego lub czarno zapadłemi oczami jakby je kto powbił w oczodoły, twarz przez pulczków, tylko skóra i szczenki. A cóż dopiero wejrzyć na grzbiet człowieka bezrolnego lub małorolnego, co tam ujrzemy?! Ni mogę dalej pisać, bo mi coś chwytą za serce na myśl o tej tuszy? i tu jeszcze pan Minister każe oszczyndać stopę życiową, gdzie rozum, czy im się przesila jak przy budowie wieży Babel. Oszczędzaj stopę życiową, och ta stopa życiowa cóż za niesprawiedliwość, kto ma oszczędzać rozsądzicie czytelnicy sami, jeszcze niewszystko, napisze tu i o religii. Mam córeczkę, minęło już jej w sierpniu trzy lata jeszcze nie chrzczona, teraz druga od czerwca 1933 r. i do wiary nie doprowadzone choć mówią, że wiara to zbawienie lecz skąd tu wziąć było te 10 zł. na jeden chrzest, a co jeszcze rzeczy potrzeba, gdzie tu sukienka, bocik, a co, bo to już wszystko, dam tu przykład naszego duszopasterza, jeździł za kwestą na kościół i żeby mu dać ofiary, że ni mam zwraca się do żony jak żebrak po jałmużnę, żona mu mówi i pokazuje, że dwoje dzieci niechrzczone i tyż nima zaco, on mówi, że to źle trza doprowadzić do wiary, skąd tu wziąć czy iść kraść dopiero te wiare kupić, rozpacz mnie bierze nadtem gdy pomyśle co będzie robić dalej, która wiara moje dzieci zbawi. Teraz najmłodsza córeczka zachorowała, mówiłem i szukałem ojców chresnych daremnie, nima pieniędzy, umieraj przez chrztu i tak postanowiłem lecz szczęście, że się przeminiło, teraz jest zdrowsza. Nie koniec na tem, mogę takich dzieci zrobić tu liste co w gorszym żyją stanie jeszcze od mnie, to strach pomyśleć o losie tych ludzi co żyją na wsi, bo do kościoła osiem kilometrów.

Jeszcze o licznistwie jakie sie prowadzi na wsi. Doktora prawie nieznamy, jeżeli we wypadku pojedzie ktoś po lekarza to jeszcze 15 kilometrów i pan doktor za taką wizyte każe sobie płacić 50 lub 70 zł. i przywieź takiego pana i odwieź. Wienc lekarza wieś to sie tak boi jak djabła, bo takiego pana widzieć w swoim domu, to kosztuje zaraz jedna krowa, wienc tu sie jest czego bać! A co mówić o bezrolnem żeby miał przywieś takiego pana, wpierw umrze niż tego pana zobaczy. Co do mnie to pierwszym lekarzem jest głód, że sie nigdy nie przejem wienc ni mam poczem chorować. Pomoc daje mi licznistwo przyrodnicze K. Knajpa, tak, że do żony przy połogu nie potrzebna mi żadna Babka, bo o Arkuszirce tu nima mowy. Taka pani to przyjeżdża wtenczas na wieś, kiedy taka Babka niezdolna doprowadzić do skutku. Na tej dziedzinie to wieś jest zupełnie nieświadoma z braku złotego i panowie lekarze są tu ździercami ostatniej skóry z człowieka i przynoszą śmierć na samo wspomnienie o niem. A nie, że on ma nam przynieść pomoc. Tu sie słyszy głosy wołającego na wsi każdego chłopca i każdą kobietę, że to paskarze i zdziercy naszej krwawicy! To są te głosy tej masy ludowej! Cóż kiedy ten głos przepada jak głos wołającego na puszczy lecz i ci panowie robią swoje! Cóż tu mówić, kiedy ja i moi koledzy są my dzisiaj przez zębów, popsute środkami trującymi, nima zaco zablombować lub leczyć ten ząb co boli, což jak sie widzi panów ze złotymi zębami lub białymi to sie ze wzgardą patrzy, że jedni mogą złoto nosić w ustach, a ja nawet nimam za co tych spróchniałych wyjąć ino cierpie-ból i wonieje z ust jak z ustępu, gdzie tu Minister zdrowia, gdzie tu ta opieka i sprawiedliwość, o niczem tu sie nie myśli. Strach człowieka bierze widząc rany i wrzody leczone metodą wiejską, co za nieczystość i okropność rzuca sie w oczy, co za kalistwo, że ten lekarz jest niedostępny, że trzy miesiące po wypadku jedzie sie do znachora, co tam jest koło nasz, że bierze tanio to ma ludzi tyle, że nimoże w jednym dniu przyjąć, do tego doprowadzili nasi kochani lekarze. Już kończe z tem lecznistwem, bo jak sobie przypomne te okropności co sie dzieją z powodu nędzy i braku pieniędzy to myśleć o tem trudno i myśli nimogą się pomieścić w głowie, kto tu winien rząd, lud czy lekarze, niech czytelnicy te sprawe wyprostują żeby wiedział ten co w kołysce i ten co siwem włosem pokryty i ustępuje swoim dzieciom i wnuczkom i t. d.

Przypomne tu naszym odzież i obuwie. Odziewam te swoje kości, na wielkie święta i targ czy niedziele, to mam ubranie cajt-

gowe, a na robotny dzień to już strach patrzeć na te spodnie kolorowe i bluzy nie z mody lecz od lat jakie są na nich o różnych desygniach i kolorach, wyglądam jak dawne błazny królewskie, tylko z tom zmianom, że tamten się stroił w te zażki, a ja i moi koledzy musimy w nich chodzić, bo innych ni mam. To są te szaty, które nakrywają ciało, nie ciało ino skórę i kości, co z butami to jest tak, że przez lato chodziłem do roboty w gumowych kaloszach co dałem za nie 3 zł., na zime to się podarły nie wiem w czym będzie chodzić, ostatnie trzewiki mają już 18 miesięcy i już dziury i łaty i jak w nich chodzić. Człowiek raczej podobny do dziada, żebraka, nie jest to tylko mój obraz, bo robie między ludźmi i widze te szaty i myślę, że niedługo to połowa ludności w Polsce to będą same dziady, coś w tem jest. Czy robotnik na wsi pracuje od wschodu do zachodu słońca po polu, mienki ziemi w trepach mających 2 kilo może 3 to jest za jeden złoty dziennie, gdzie tu sprawiedliwość, ile zarabia urzędnik przez osiem godzin lub ktoś inny za ten złoty co kupiemy. Pamientam rok 1912 i 1913, sam chodziłem do kopania kartofli, to mnie płacili na dzień 30 kop., za 30-ci kopijek kupiliśmy osiem paczek machorki albo 30 pudełek zapalek, 10 kilo soli białej albo 120 sztuk papierosów lub kilo cukru, a co dzisiaj za jeden złoty, dwie paczki machorki, trzy kilo soli dolożyć trza jeszcze 8 groszy, 10 pud. zapalek, 60 deko cukru, może 30-ci papierosów — jakie porównanie. Za co żyć, za co się ubrać, za co się obuć, co za równość, co za stałość. Zacośmy bronili granic naszej ojczyzny, czy to tylko poto żebyśmy cierpieli nędze i głód. Podobniejsiśmy do dziadów, a nie obywateli, do niewolników, a nie do ludu we wolnej swojej ojczyźnie? Myśle i głowe męcze tem, kto temu winien czy ja, że się źle prowadze, lecz patrze na drugich, ci tak samo wyglądają nieraz i gorzej, niewiem kto narobił w naszej ojczyźnie te miliony dziadów i tysiące żebraków co odwiedzają nasze progi? Oto tak pan urzędnik siedzi sobie w biurze przez 6 lub 7 godzin wygląda niby książę, to jest źle, bo bierze już nie złoty jeden jak to ja lecz biedny posterunkowy to już ma do pięciu złotych, a co mówić o wyszych ci liczą dziesiątki lub setki nawet na tysiące, tu trza zmiany, pana w biurze obuć w trepy, bo tam i tak się leko chodzi. A robotnikowi i małorolnemu dać buty to tyż może dłuży pożyć na świecie i ulżyć swajem nogom, gdy zróci te kajdany! Tak ja i żona moja i dzieci chodzimy w trepach. To tylko szczyńście, że umiem sam zrobić te kajdany na nasze nogi. O Boże kiedy się to skończy, jak długo

będziemy tak chodzili. Podaje powód co wprowadziło nasz w te biedę i nędze, to niskie ceny zboża i płodów rolnych, ten chleb tani 20 gr. kilogr., cóż mi z tego, że 20 gr. kiedy ten gospodarz mnie najmie do pracy tylko w żniwa i może jesienią, bo tak to pieniędzy i sam jak robi tak robi aby nie płacił. W roku 1927 bochenek chleba kosztował 1 zł. 60 gr., to jest 80 gr. kilo, to na dwa sklepy we wsi gdzie miałem sklep sprzedaliśmy przed żniwami od 300 do 400 bochenków chleba, teraz rozmawiam ze sklepowymi tejże wsi, w tem czasie sprzedali oni sto bochenków chleba i nima jeszcze na bochenek tych paru groszy tylko na kilo lub $\frac{1}{2}$. Chleba jest dość, ludności wiency, nędza 100 procent większa. Skreślałam pare słów co do mojej nędzy, przyczyniły się podatki handlowe, które zaduże nakładają na handel, których ja podatków i kar zapłaciłem za cztery lata prawie 1200 zł., to jest obrót mały podatek duży, tak jest i w rolnictwie. Czy tu jest sprawiedliwość. Mając rybołówstwo chodziły czaple na ryby, wyrządzały szkodę, zrobiłem taką fuzję swojej roboty żeby nią odstraszyć drapieżników, zobaczył to posterunkowy i zabrał, przychodzi kara 200 zł. lub 14 dni aresztu. Areszt odsiedziałem za co, czy to wolna Polska czy pańszczyzniana lub niewola, pewno niewola robotnicza. W 1929 roku jak pisałem przedtem mając sklep w taki dziurze nie wykupiłem zaraz patentu. Wpada kontroler i robi protokół, ten protokół przetrzymują do roku 1932 i teraz kara 100 zł. przecież ten patent był wykupiony i podatki zapłacone trza było płacić jeszcze raz, to mało to nie wszystko, bo przysyłają za rok podatkowy 1930 i 31 płacić obrotowe, przecież wcale świadectwa handlowego nie miałem, bo sklep zwiłem z końcem roku 1929. Przyjeżdża sekwestrator i robi zajęcia na szafę, komode, zegarek, budzik i ostatnią koze, to zajencie stoi tak rok czasu, aż zjawia się ów pan do sprzedaży i kupców nima, ostawia, naznacza drugi termin i znów nie sprzedaje, teraz robi akt ubóstwa, jeszcze niewszystko, późni przysyłają upomnienie znów djabli wiedzą co za podatek, wteczas wyrzucam wszystkie graty na dwór, przyjeżdża pan z paskiem i nima co pisać, robi znowu akt ubóstwa, jeszcze mam jednom gwiazdkę aż z roku 1927 dodatek do podatku obrotowego, mam upomnienie coś ze trzy miesiące na 4 złote i procent od 27 roku, co ci panowie tam robią, kiedy ja sklepu nima i nie prowadze już prawie 4 lata, a tu jeszcze podatki, czy ci panowie ni mają innej roboty tylko wysyłają do mnie upomnienia, przecież już nimieli co zająć chyba ostatnią pierzyna sobie wezną, za drugie może jedno dziecko jak za cza-

sów panowania Rzymian, to są czasy dla kupca i robotnika na wsi jak i małorolnego. Że o nic się nie troszczysz tylko patrzysz jak ci sołtys przyniesie upomnienie, a policja ci zrobi protokół to na psa, żeś go spuścił, kury pościuć, to że studnia nima nakrycia, to znów do ustępu nima koryta lub drzwi, to drabina nie na dachu, to gnojownik nie w porządku. To jedziesz do miasta nima tabliczki u woza. To książki zapomniiał wzioś od konia, w mieście źleś stanął. Czy już większe gnębinie może być tego żywiciela polskiego ludu przez elite uprzywilijowaną. Możecie zabrać nam wszystko i dajta nam tę dziadowskie torby zawcasu póki mamy jeszcze trochę siły do noszynia, żebyście nasz nie dożywiali jakimś ochłapem co komu z nosa spadnie.

Podam tu jeszcze fakt co to za rozkosz jest na wsi, nędza, bida i nic wienczy u małorolnych, co widziałem na własne oczy, ma 10 jajek to pożyczycy od sąsiadki 5 z nimi idzie 8 kilom. do miasta żeby sprzedać i kupić soli do domu, bo zapalki to są zbyteczne, bo ogień to się przenosi z domu do domu i przyjdzie 16-cie lub 30 kilomet. bez jedzenia, nawet bułki się nie kupi, bo na nią nie starczy. Co za łos gniecie te masy ludowe na wsi. I myślę czy my już tak marnie zginiemy ani śladu po nasz nie zostanie. O chyba przyjdą takie czasy, że się wyzwolimy z tej niewoli możnych panów i żydowskich spekulantów i kartelowców co żyją naszom krwawiczą i tuczom się naszom krzywdom, i nasz doprowadzili do żebraków w dziadowskich łachmanach. A co mówić dalszych rzeczach to rozpacz chwyta za serce i brakuje tchu do dalszego pisania? I myślę i myślę? co mam robić dalej, jak ja tu 6 tygodni nie zarobiłem złamanego grosza, a tu dzieci wołają jeść, a tu trza kupić ciepłom sukienke na zime, pytam sam siebie za co, może za to robastwo co się zaczyna gnieździć w tych naszych łachach. O żeby powstały jakie fabryki przetworów przemysłowych co byśmy może pareset tych robaszków wysłali możeby z nich wycisneli jaki tłuszcz a nam zapłacili czy na sztuki, a może na miare, bo to nam teraz pozostaje zawsze na oczach. Z braku drzewa i węgla, bo za nasz to palą szwedzi naszem taniem węglem, a my i dzieci marzniemy z zimna i mrozu, gdzie tu sprawiedliwość, gdzie ta silna ręka. Czy nie trza tu ręki karzący i wołający o pomste do Boga. I przyjdzie ta ręka, bo nędza i głód zmuszom do tego. Ciemnota panoszy się w całej pełni, przez szereg miesiency prenumerowałem gazete Grudziądzką, teraz nimam czem zapłacić i przesyłke mi przerwano, cóż ja teraz będę czytał przez zimowe wieczory. Pozostała mi

jeszcze do przeczytania tylko Wici, bo narazie jezdem prezesem tego związku M. W. w mojej wsi i mam 27 członków, oświata idzie bardzo wolno, bo brak poparcia, tylko to jedno mnie cieszy, że wieczory spędzamy na śpiewie piosenek ludowych i na próbach teatralnych, to czytaniu „Wici” i wolnych żartach, to się naszym paru gospodarzom nie podoba, gdyżmy jechali na zabawę do sąsiedni wsi to nasz obywatel Sz*** zwymyślał nasz od najgorszych co nie będę pisał tych wyrazów. Mamy zebranie w świetlicy to jest taki starowiec F*** co mówi, że to Herberga i są jeszcze takie wyrzutki społeczeństwa i inni co się słyszy i inne wyrazy, nie wiem dlaczego to mówi żeby przyszedł na zebranie i posłuchał toby na pewno tego nie mówił, już niewymienie wszystkich nazwisk, bo mnie samego wstyd za nich. O ciemnoto! Czego uczą się w szkołach, że skończyli po 5 oddziałów u nas w Barczewie i nie mogą czytać gazety, co to za szkoła, jeżeli tam uczom robić pługi, brony z patyków, to wstyd żeby dzieci nasze czas marnowały, bo ja sam w tym roku posyłam swojego syna dopiero pierwszy rok tylko że do innej wsi, zobacze co tam będzie. Szanowni czytelnicy proszę posłuchać jakie ja mam widoki na przyszłe lata dla mojej rodziny to takie. Jeżeli rolnik będzie stał dobrze i podniesom się ceny płodów rolniczych, a zrobi swój własny kartel i usunie inne związki kartelowców to tem się naprawi byt małorolnego i bezrolnego na wsi. A jeżeli tak będzie dalej ten kryzys gospodarczy i ta nędza co dzisiaj przyciska wieś, to my bezrolni jako pierwszy szczebel tej nędzy pewno wszyscy nie wytrzymamy. Nieraz żona pyta co będzie dalej jak nie będzie roboty, a tu z ośmiu osób rodzina i że pójdziemy na żeber. Ja mówię tak, dziad mój robił pańszczyznę i stąd odszedł jak mu pan Wężyk dał terminotkę to obeszed wkoło folwarki i nigdzie roboty nimiał, przerzucił się na dzierżawę i żył przez łaski pana i batem bić się nie pozwolił. Ojciec jest samodzielny chociaż samolub nikomu nic nie dał. Ja walczyłem za wolność, ojczyzna Polska wolna i wróciłem do domu, a teraz ojczyzna ma mi być machochą, wienc mam z głodu i chłodu konać lub „rękę wyciągać”, pozostaje jeden ratunek tej nędzy co nasz gniecie — nóż i postronek. Żona mówi jakiebyś miał sumienie, bo mnie to wszystko jedno (ale dzieci). Dalej niepisze, bo nimogę skończyć. Dokończcie czytelnicy sami. Włazi mi na myśl starość czy jest jakie zabezpieczenie. O Boże, o zgroza gdzie tam robotnik bezrolny może mieć zabezpieczenie starości. Myśle i myślę! tak ma i to wystarczające ot tobie raz torby dziadowskie te

są ubezpieczeniem każdego robotnika na wsi. Jak czyje suminie pozwoli, bo rolnik chociaż czasem pomruczy i niejeden wyzwie, trzeci coś da i jakoś do śmierci się wyżyje. Takie to ubezpieczynie robotnik wiejski i ja mam na starość. Robotnik wiejski to nie urzędnik, to nie slachcic, to nie gospodarz i jeszcze jakiś inny, tu nima emerytury, tu nima kasy chorych, tu nima skąd odciągać, tu nima zapomogi, tu nima grosza pensyi jeżeli nie wykujesz swoją czarną dłoń, ale gdzie tu jest ta robota. Mówimy, że nima pi-niędzy na rozpoczęcie robót. O nie jest tak źle, wszystko by było tylko by trza podziału sprawiedliwego, ci co biorą tysiące niech bio-rą setki, ci co setki to dziesiątki, a pozostałe pieniądze obrócić na roboty to zrobimy z naszej Polski raj, bo przecież i my dziećmi naszej Matki ziemi Polski nietylko elita uprzywiliowana co żeru-je przy korycie w naszej kochany Ojczyźnie, to jest mój pogląd na lepsze czasy.

Jeszcze wspomne o tem gorzkim życiu na wsi, gorzkim, bo cukru to sie czasem kupi na wielkie święto lub jaką uroczystość go-ścinną. A tak to pozostaje tylko ta trujonca „sacharyna”. Ale co możecie szanowni czytelnicy pomyśleć jak na 50 gospodarzy jeden nie kupuje sacharyny, to słyszałem z łust ty co chodziła ze sachare-nom i płacą 1 zł. deko, jak sam biore te nawet małemu dziecku bo o cukrze to nima co mówić. Czy nasz cukier sprowadzamy z Antak-tydy że taki drogi bo z innej części świata to byłby tańszy, bo u nasz w Polsce to pewno cukrowni nima bo to niemożliwe żeby płacić taki haracz gdyż nasze dzieci piją sacharyne lub wcale gorzką kawę przez mleka, czy nima sprawiedliwości, pragnelibyśmy żeby ta spra-wiedliwość prędy przyszła, żeby nasze dzieci i my nie pragneli tego kawałka cukru, gdzie Anglicy niem świnię tuczą i żebyśmy mogli na-reszcie dzieciom naszym przestać dawać tej trucizny i dać troche tego upragnionego cukru i wychować na obywateli zdrowych czyr-stwych i silnych do obrony granic Rzeczpospolitej Polski, a nie na suchotników i cherlaków zdolnych bo zdolnych tylko do noszenia napewno „Torby dziedowski”. Wienc szanowni czytelnicy nie będe już wywoził dalszych swoich biedowań bo jeszcze miałbym dużo do pisania, lecz wiecie z mojego opisu że nie jezdem żadnem pisa-rzem tylko wiejskiem robociarzem. Wienc żegnam wszystkich kol-egów tej biedy i nędzy co cirpimy razem w naszej wolnej Ojczyźnie za którym my pot i krew wylali czy przelali i zdrowie stracili. Nikt już na świecie za naszego życia tego nam nie wróci.

Już skończyłem swoją spowiedź biedy i nędzy i myślę że to za naszego życia się nie skończy.

Szanowny instytucie!

Chociaż jest niewyraźnie pisane i pisane są zdania małemi literami to szanowny instytut w druku poprawi i jeżeli uznacie za dobre jako pierwszy opis z mojej nędzy i pierwszy raz coś takiego pisałem. Teraz o ile mój pamiętnik nie będzie pisany to jest drukowany to bęm bardzo prosił o zwrot.

Dn. 29 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 17

Wielomorgowy gospodarz w pow. radomszczańskim

Urodziłem się dnia 5 Maja 1878 roku we wsi Żytno, która dawniej była miastem o czym mówią stare akta i nazwy we wsi, któremi są, łąka za Buznicą, pole na Labacenie, gdzie odkopano stare ogrodzenie kierkuta, a w ziemi dużo kości, z Buznicy niedawno odkopano fundamenty, część wsi nosi nazwe na Koszarach, część Rękusy, i t. p., a jak opowiadają starzy ludzie miasto Żytno zostało spalone przez Szwedów gdy szli do Częstochowy, a ludność wymarła na morowe powietrze, z których pozostało pięć rodzin i takowi po księgach ludności figurują jako mieszczańskiego pochodzenia. Obecnie jest to zwykła wieś gdzie mieści się kościół parafijalny, ochronka wzniesiona 1860 r. obecnie nieczynna, szkoła sześcioddziałowa oraz Urząd Gminny. Dziadek mój, (jak nam to opowiadał jeszcze 1896 roku sekretarz Sądu Gminnego w Gidlach stary człowiek niejaki Lewkowicz) był z jego ojcem pod Samosierą w Hiszpanji jako żołnierze Mioszszewskiego gdyż pochodzili z Zagórza powiatu Będzińskiego, a stamtąd gdy Siemięski ożenił się z Mioszszewską i po sprzedaniu dóbr Zagórza z całym Zagłębiem Dąbrowskim przyprawdzili się do Żytna.

Ojciec mój, po przybyciu do Żytna kupił gospodarstwo około 1850 r. o przestrzemi osiem mórg i na takowym zaszły go Ukazy, do którego 1886 roku doszło 16 mórg za serwituty, tak że gdy ja miałem dziesięć lat, to ojciec posiadał około 10 mórg pola, około dwóch mórg łąki, a reszta, to jest 12 mórg lasu i pastwiska rozrzucone w 17 działkach, rodzina nasza składała się z czterech braci i czterech sióstr, prócz tego ojciec miał cztery córki z pierwszej żony lecz te już gdy ja miałem siedem lat powychodziły zamąż.

Chodząc do szkoły, zwróciłem na siebie uwagę nauczyciela, który namawiał ojca żeby mnie oddał do szkół, lecz ojciec tego nie mógł uczynić, gdyż nie było za co, przeto do czternastego roku pasalem byłto latem, a zimą chodziłem do szkoły, a ponieważ uczyłem się dobrze, przeto Sekretarz Gminny prosił ojca żebym szedł do gminy jemu do pomocy, na co ojciec się zgodził i po ukończeniu czterech oddziałów poszedłem do Gminy gdzie przebyłem przez dwa lata; w trzecim roku dostałem posadę pomocnika sekretarza w Sądzie Gminnym w Borzykowie, gdzie Sekretarzem był moskał Iwanow, po roku pobytu w Sądzie w 1896 roku wyjechałem do miasta Łodzi i tam pracowałem u Komisarza Okręgu Policyjnego, lecz ponieważ w mieście nie służyło mi zdrowie, zmuszony byłem wrócić po czterech miesiącach na wieś, lecz po trzechmiesięcznej bytności w domu, otrzymałem posadę pomocnika Sekretarza Gminnego w Gosławicach powiatu Radomszczańskiego i tam pracowałem do 1902 roku, to jest do czasu śmierci ojca; przyczem w roku 1898 ojciec będąc chorym odpisał mi całe gospodarstwo z warunkiem że po dojściu do pełnoletności młodszego brata połowe gospodarstwa to jest 12 mórg odpisze bratu spłacając pozostałym po 150 rubli co uskuteczniłem w 1909 roku. W tymże 1902 roku Referent Naczelnika powiatu zażądał odemnie 50 rubli za które miał mi dać posadę Sekretarza Gminnego lecz ponieważ w domu zostało młodsze rodzeństwo, przeto zmuszony byłem zrezygnować z posady i wrócić do domu i zająć się gospodarstwem.

W czasie pobytu w Gosławicach, przyjechał do mnie w odwiedziny brat cioteczny, który był w Rosji a ostatnio w Warszawie jako szewc i ten pierwszy opowiedział mi dużo o robocie konspiracyjnej tak w Rosji jak i w Warszawie, przyczem przywiózł z sobą pare broszurek i różnych odezw oraz gazetkę „Kilińskiego”, opowiedział mi, że jest ścigany przez żandarmerje, przeto chciałby na jakiś czas się ukryć, a ponieważ ja miałem już jakieś znaczenie w powiecie, przeto u mnie przesiedział przez jeden miesiąc, wówczas to dowiedziałem się dużo o robocie jaką się prowadziło pod ziemią, do czego i ja chętnie się wciągnąłem — przyczem zacząłem dużo czytać pożyczając książek od panny Marji S*** córki p. Leonarda S*** prawdziwej patryjotki, która w 1920 r. opatrując rannych żołnierzy w Warszawie zaraziła się tyfusem i tam zmarła, prócz tego p. Leonard S*** po zbadaniu mnie jakie mam zapatrywania, dostarczał mi gazetki „Polaka” oraz różnych broszur, które po przeczytaniu w kółku zaufanych, wieczorem zaniósł się na pod-

wórka mniej pewnym i tam się rzucało; ten stając rano widząc paczkę papierów brał takowe do stodoły i czytał, otóż w ten sposób rozchodziły się wiadomości nielegalne, za którymi śledzili i policja i żandarmerja; ja sam takich rewizji miałem kilka, lecz zawsze się szczęśliwie wymigałem, jednakowoż starszy strażnik, niejaki Miedwiediew powiedział mi „ty lisica no wsio ja taki ciebie pojmu” lecz po jednym przejściu jakie z nim miałem w Gidlach gdzie chciał doprowadzić do wybuchu, w kilka dni został zastrzelony na ulicy przez jakąś bojówkę z Częstochowy. W 1904 roku odbył się zjazd ogólny u p. Leonarda S*** z całego powiatu; otóż na zjazd ten było nas zaproszonych kilku chłopów gdzie przemawiał p. Leonard S*** i wówczas zostało utworzone w naszym powiecie Stronnictwo Narodowe, do którego i myśmy się zapisali. W 1905 roku będąc w Warszawie na zjeździe Wszechpolskim, który się odbył o ile sobie przypominam w salach związku ziemian gdzie zapadły uchwały o wprowadzeniu polskiego języka w urzędach i szkołach, oraz na poufnym zebraniu, które się odbyło w sali stowarzyszenia wioślarzy, gdzie przemawiał i cały program działalności wygłosił p. Roman Dmowski; po powrocie do domu z całą siłą zająłem się wprowadzeniem w życie zapadłych uchwał, pierwszy wystosowałem do Sądu Gminnego skargę jednemu z gospodarzy w języku polskim, co sędzia Dąbrowski będąc zaangażowany w naszej robocie przyjął.

Następnie zwołaliśmy zebranie gminne, na którym przeprowadziliśmy uchwałę o wprowadzenie polskiego języka, lecz tu poszło nam bardzo trudno, gdyż kilku chłopów podburzonych przez strażnika Miedwiediewa, chciało się rzucić na mnie z kijami, lecz całą burzę rozbił p. Karol S*** i dzięki jego energicznej postawie wszystko się uspokoiło.

W 1906 roku zebranie Gminne wybrało mnie na kasjera kasy pożyczkowo-oszczędnościowej w Gminie gdzie weszło w życie, że każdy otrzymujący pożyczkę, płacił Sekretarzowi 30 kop. jako deklarację, co po objęciu urzędowania uznałem za zbyt ciężkie, gdyż Sekretarz za prowadzenie kasowych ksiąg i rachunków, pobierał rocznie odsetki od zysków kasy, co mu dawało około 18 rub. miesięcznie prócz pensji sekretarza gminnego, przeto gdy zgłosił się jeden z pogorzalców o pożyczkę, a sekretarz z naliczonych przezemnie pieniędzy odsunął sobie 30 kop., wówczas ja odebrałem owe 30 kop. i owemu pogorzalczy wręczyłem: z czego wynikła awantura i odgroźki, z których wynikło to, że po kilku tygodniach komisarz wyznaczył wybory na kasjera, sam będąc na takowych na-

kłaniał mnie do rezygnacji z kandydatury kasjera, przyczem doszło do dyskusji w czasie której doprowadziłem do tego, że się wyraził: ja znaju i pokazując na guzik, na którym był orzeł rosyjski „wy tych przeklętych moskiewskich znaków tak nienawidzicie”, zebranie jednogłośnie wybrało mnie, a komisarz odjechał.

Po jakimś czasie wyznaczono trzecie wybory, na które przyjechał Naczelnik Straży Ziemskiej, który jak i komisarz prosił mnie o ustąpienie, lecz ja się zdałem na zebranie, które większością opowiedziało się za mną, wówczas Naczelnik zaznaczył, żeby się rozeszli, a sekretarz Borkiewicz oznajmił, że kto będzie głosował za mną będzie aresztowany, wówczas ludzie bojąc się aresztowania przeszli na przeciwną stronę i ja przegrałem.

Lecz na tem nie koniec, Sekretarz ów Kazimierz Borkiewicz, doniósł naczelnikowi powiatu, że ja wszystkie uchwały buntuje i on nie może nic przeprowadzić po myśli rządu, wobec czego Naczelnik skierował ową sprawę do ówczesnego generała gubernatora Kaznakowa w Łodzi i stąd przyszedł wyrok, mocą którego ja i mój brat Piotr zostaliśmy skazani po trzy miesiące więzienia i wysyłkę za granicę na czas trwania stanu wojennego, a to za agitację na gminnom zborje. O osadzenie mnie w więzieniu sprawa się wlekła od kwietnia do sierpnia 1907 roku gdyż po aresztowaniu mnie w maju i zawiezieniu do powiatu przez policję a daniu Naczelnikowi 25 rubli, takowy mnie puszczał do domu i tak powtarzało się trzy razy, dwadzieścia pięć rubli zawsze mnie zwalniało, w tym czasie robiliśmy starania o zatarcie tego wyroku, lecz się to nie udało: z tego czasu pozostały w pamięci rzewne chwile przy aresztowaniu, zbiegło się zgórą 60 osób, przyczem płacz był nietylko żony z dwoma synami, z których jeden miał wówczas trzy lata, a drugi kilka tygodni lecz i sąsiedzi tak bliżsi jak i dalsi, przyczem i niektórzy strażnicy chociaż moskale płakali. Nareszcie w sierpniu przyjechał z urlopu Naczelnik powiatu Makarow i ten mnie i brata osadził w areszcie w Radomsku.

Pobył w Radomsku należał nie do najgorszych, mieliśmy oddzielną ubikację jako polityczni, a do tego, że Burmistrzem był polak Stanisławski, dał nam wolne bytowanie gdyż mogliśmy w każdej chwili spacerować po ogrodzie miejskim i w dni targowe wejść na wieżę ratusza i przyglądać się ruchowi ludności, prócz tego klucznikiem był niejaki Jendrzejczyk, którego synowie w wolnych chwilach grywali z nami w karty i przynosili nam różne broszury i gazete Polaka, w tym czasie w jednym z numerów Polaka wy-

czytałem jako Sekretarz gm. Żytno Kazimierz Borkiewicz jest spiclem rosyjskim, a który obecnie cieszy się dobrą opinią jako sekretarz Burmistrza w Koniecpolu.

W czasie pobytu w areszcie Radomszczańskim odwiedzali nas obywatele, a to p. B*** właściciel dóbr Cężkowice i p. Leonard S*** właściciel dóbr Żytno, który robił starania dla nas na pasporta zagraniczne i wynalazł nam zajęcie w Galicji dokąd mieliśmy być wywiezieni po odsiedzeniu trzechmiesięcznego więzienia; lecz opieka i starania jakie robił p. S***, wysłała nam na gorsze, ponieważ doszło to do wiadomości niejakiego Dhubaka, starszego powiatowego strażnika, ten zrobił doniesienie w jakiej my jesteśmy opiece, i że zagranicą mamy być zapewniony, doniósł do wyższej władzy, przeto Naczelnik nie czekając aż odsiedzimy trzy miesiące po dwóch miesiącach wywieźli nas do Orenburskiej guberni.

Sam wyjazd nastąpił nagle bez żadnego uprzedzenia tak, że byliśmy nieprzygotowani do takiej podróży; trzeba zdarzenia, że przyjechały odwiedzić nas żony, było to w niedzielę, o godzinie szóstej wieczorem przychodzi do aresztu policjant z powiatu i oznajmia klucznikowi, że w poniedziałek o dziewiątej godzinie będziemy wywiezieni, wobec tego uradziliśmy, że żony pójdą prosić Naczelnika żeby nas zatrzymał do drugiego poniedziałku, bo tylko w te dni przechodziły pociągi aresztanckie, otóż rano udały się nasze żony do Naczelnika i proszą go o zatrzymanie przez tydzień, w którym przygotowują bielizne, ciepłe ubrania i pieniądze, lecz on na to nie zważa, nakazał przyprowadzić nas do powiatu i przygotować papiery, siedzi naczelnik, przyczem gromada ludzi to jest sołtysów, którzy przyjechali złożyć przysięgę, widze jak żony z płaczem proszą, a ten nic sobie z tego nie zdaje i mówi „ja nie mogu”, wówczas nie mogąc scierpieć poniżenia żon, poczołem krzyczyć ty kacapie nie możesz, a znęcać się możesz, i tak klnąc i wymyślając mu jak tylko umiałem, że zmuszony był uciekać do mieszkania, lecz to nic nie pomogło papiery przygotowano, zaprowadzono nas na Foksal i po nadejściu pociągu zawieźli nas do Warszawy. Po wyjściu z pociągu w Warszawie nałożyli nam kajdanki na ręce i tak parami przy asyście wojska pod gołemi szablami prowadzili nas ulicami Warszawy do jakiegoś więzienia, gdzie było dużo ludzi, a nas wprowadzili z górą 200. W tem więzieniu przebyliśmy trzy dni, w czasie których otrzymaliśmy bielizne i ciepłe ubranie, które nam doręczył p. Leonard S***, który na prośbę naszych żon przyjechał za nami do Warszawy ale widzenia z nami nie uzyskał;

owe trzy dni pozostaną na zawsze w pamięci gdyż tam — nie wiem kto — mówiono, że z miasta otrzymaliśmy na dalszą drogę zgórą po trzy funty cukru, herbaty i innych łakoci na każdą osobę, a partja, którą ja odjeżdżałem liczyła zgórą 300 osób i tak na czwarty dzień parami, sprzęgnięci bransoletkami podążyliśmy pod gołemi szabłami na Pragę gdzie zajeliśmy cały osobowy pociąg i takowym pojechaliśmy do Moskwy. Tam ta sama parada co i w Warszawie, odpoczynek trzy dni. W Moskwie więzienie olbrzymie, kajdan widzieliśmy całe góry, w więzieniu tym jak nam mówiono siedziało siedem tysięcy politycznych. Po trzech dniach marsz dalej do Samary, tam przy tej samej paradzie, lecz ponieważ droga ze stacji do więzienia była w owym czasie bardzo błotnista, a błoto podobne do gliny, przeto kto miał kalosze, a kobiety pantofle, to takowe w owym błocie pozostały, po wejściu do więzienia, które nieźle było urządzone, każdy potrzebował wymyć się z owego błota, z czego powstał hałas, wówczas przyszedł Naczelnik więzienia i przystąpił do wywoływania nazwiska, a że nieszczęśliwi odpowiadali mu natychmiast, przeto poczoł krzyżeć „tiszę wy praklatają Polska”, lecz to sprawiło ten skutek, że pan Naczelnik zmuszony był uciekać, później przyszedł inny i ten delikatnie załatwił formalności, po trzech dniach pojechaliśmy w dalszą drogę przez Ufe i Uralskie góry do Czelabinska, tam wysiadka i przechadzka do Naczelnika powiatu; tu dzielą nas na partje po trzydziestu i rozsyłają do różnych miejscowości Orenburskiej guberni.

Mnie z bratem dostała się miejscowość miasto Troick, oddalone od Czelabinska 120 kilometrów, dla naszej partji dodano wóz na rzeczy i dwóch kozaków, którzy nas zaprowadzili do pierwszej wsi i tam zdali tak zwanemu Wołostnemu Starszynie, to jest wójtowi, ten dał nam kwatere na nocleg, dwóch poszło na wieś, tam nazbierali chleba, ziemniaków, mleka i słoniny gdyż tamtejsza ludność chętnie dawała i w ten sposób idąc i tak żyjąc doszliśmy do Troicka lecz tylko w 19 osób, ponieważ jedenastu zawróciło od kolejki, a stamtąd do domu. W Troicku wypłacili każdemu po 1 rb. 20 kop. jako miesięczne wynagrodzenie na życie i Naczelnik powiatu powiedział, ubirajtes k czortu.

Był w Troicku bogaty moskal, który miał browar, ten oddał dom w mieście o 12 pokojach do użytku wysyłkowców, oraz opał i słome do spania, więc też tam pomieszciliśmy się; w owym domu odbywały się zebrania i pouczenia co prowadzili akademicy z War-

szawy, którzy tam byli na wysyłce, niektórzy z zesłanych znaleźli tam prace i pozostali, ale większość natychmiast wróciła do domu.

Ja z bratem przewałęsałem się w mieście przez dwa tygodnie, czekając, bo chodziła pogłoska, że ma być amnestja, lecz po dwóch tygodniach i otrzymaniu pieniędzy, które otrzymaliśmy telegraficznie, wybraliśmy się pieszo do kolei, a koleją do domu, tak, że po dwóch miesiącach od wyjazdu z Radomska znaleźliśmy się w Żytnie. Jaka to była podróż, jakie przechodziliśmy opaty, to-możnaby o tem napisać cały tom.

W domu musieliśmy się ukrywać, żeby nie dowiedziała się policja, a że to był Grudzień i mrozy jak zwykle zimą, koniecznem było wynaleźć schronisko gdzieś poza domem, gdyż po przebyciu kilku dni w domu pomału rozniosło się żeśmy wrócili, przeto obawiając się zdrady, niebezpiecznie było w domu. Wówczas p. S*** dał mi list polecający, z którym wyjechałem do Jaktorowa pod Grodzisko, tam dzierżawca majątku p. S*** dał mi stanowisko i schronienie gdzie zająłem miejsce fornała spijając w stajni, na którym to stanowisku przebyłem z górą trzy miesiące, na wiosnę wróciłem do domu i pod osłoną sąsiadów robiłem w polu przez całe lato nie spijając w domu. Tak przeszła zima i lato, policja niejednokrotnie przeprowadzała u mnie rewizje, lecz bezskutecznie. W Grudniu 1909 roku zmuszony byłem wyjechać; udałem się do Taszkientu pod przybranem nazwiskiem i tam byłem do czasu zniesienia stanu wojennego, o czem dowiedziałem się w miesiącu Lutym 1910 roku, pojechałem z Taszkientu do Troicka po papiery, a po otrzymaniu takowych, po sześciotygodniowej podróży koleją, wróciłem jako wolny do domu.

Przyczem zaznaczam, że w czasie ukrywania się w domu b. sołtys Niegowski oraz cała ludność wsi starali się nas ukryć i o każdym pojawieniu się we wsi policji dawali znać, jednakowoż razu jednego znalazł się jeden który powiedział policji że jestem w domu, wówczas ja ledwie zdążyłem wskoczyć na górę, na której była rozwieszona bielizna, ci po obszukaniu w domu weszli za mną na górę, lecz ja okrążyłem komin zeskoczyłem do sieni i uciekłem.

W owym czasie poniosłem ogromną stratę w gospodarstwie, przyczem sprzedałem sukcesje żony za 1400 rubli, to owe pieniądze przez czas mojej wysyłki rozeszły się, a oprócz tego mając dług zaciągnięty na kupno 25 mórg ziemi, którą nabyłem w 1905 roku myślałem, że już nie dam sobie rady, tak że byłem położony jak to się mówi na obie łopatki. Lecz trudno mam po ojcu 13

mórg, dokupionych 25 mórg, na czym cięży zgórą tysiãc rubli dłu-
gu; biore siã do pracy nie gardzãc zarobkiem przy rñniãciu torfu
w dworskim lesie, ktõrego kilka tysiãcy sãgõw zakupywała Cu-
krownia w Silnicze, tak że latem zarabiam około 200 rub., zimã
zaś woziłem z lasu klocki do Radomska przyczem zarobiłem z górã
150 rub., i tak pomału wyrõwnywałem szczyby w gospodarstwie
jakiẽ poniosłem w czasie wysylki.

W tym czasie polityka i rozjazdy jakie miały miejsce od 1900
do 1907 roku zupełnie ustały, zadawalniam siã jedynie prenume-
ratã gazety „Dwa Grosze” i tygodnik Zorza, oraz inne nazwy, ktõ-
rych dziš nie pamietam, bo takowe przez cenzure czãsto były zmie-
niane, przyczem nadmieniam, że wiãkszy pociãg miałem do pism
umiarkowanych, natomiast nie lubiłem pism radykalnych; najwiã-
cej skorzystałem z Gazety Świãtecznej redagowanej przez Proszyn-
skiego, ktõrã od załozenia prenumerował ojciec a ja do czasu wy-
sylki.

W roku 1911 zostałem wybrany na peñnomocnika Gminy
a w roku 1912 na wõjta, lecz to siã nie udało, gdyż jako niebłago-
nadioznego nie chcieli mnie zatwierdzić; do wybuchu wojny gos-
podarstwo moje przyprowadziłem juź do normalnego stanu i mia-
łem nadzieje wybrniãcia z krytycznego połozenia gdyż zãczõłem
stosowaã sztuczne nawozy, nabywaã nowe odmiany zbõz i ziem-
niaków, przez co stan mojego gospodarstwa siã poprawił, co moge
zawdziãczaã rõzным zebraniom rolnicznym jakie siã odbywały w za-
łożonym przez nas kõłku, ktõrego byłem członkiem zarzãdu, przy-
czem nie opuściłem żadnego zebrania jakie bardzo czãsto były urzã-
dzane w Radomsku.

Wybuch wojny zastał mnie jako jednego z bogatszych gospo-
darzy w okolicy, pomimo tego miałem jeszcze około 800 rub. dłu-
gu lecz posiadałem juź młocarnie szerokomłotnã, siewnik, wialnie,
kultywator i inne narzãdzia rolnicze, w inwentarzu trzy konie, czte-
ry krowy, dwie jałówki i cztery świnie, a gruntu ornego w tych
38 morgach 12 mórg, łąki 14 mórg jednokošnej a reszta to jest
12 mórg pastwiska, zarošli i lasu; to teź mnie Niemcy najpierw nasie-
dli gdy jechali na Warszawã zabierajãc czãść owsa i siana, dopiero
po cofniãciu siã Niemcõw pod Czãstochowã, gdy przyszły wojska
rosyjskie, zabrali mi dwie krowy, przewãżnie wszystko siano i owies,
z koni jednego zabrali na podwodã, drugiego zmuszony byłem sprze-
daã za 200 rub., a trzeciego przetrzymałem do wiosny 1915 roku

i tego bojąc się żeby nie zabrali niemcy, którzy u nas stali całą zimę w czasie jak pozycja była pod Kielcami, sprzedałem za 400 rub., tak, że gdy przyszła wiosna nie miałem czem robić w polu, przy czem pozostała mi tylko jedna krowa i jedna świnia, w kwietniu 1915 roku kupiłem jednego kulawego konia, którego wojsko nie mogło zabrać i tak z biedą obrabiałem gospodarke.

Rok 1914 w końcu Sierpnia czy na początku Września noc parna, w mieszkaniu duszno, lufciki u okien otwarte, narazie budzi mnie stuk kopyt końskich o kamienie, słucham, koń staje, nareście słysze głos „jest tam kto”, zrywam się z łóżka, patrze za oknem stoi na koniu żołnierz i rozkazuje żeby wyjść, co natychmiast wykonałem, na szosie stoi jeszcze dwóch, żołnierz ów zadaje mi pytania jak daleko są moskale, czy tu we wsi niema wojska, nareście po udzieleniu informacji dziękuje i wszyscy trzej odjeżdżają w strone Radomska; byli to pierwsi legjoniści, o których już dużo słyszałem z ulotek i opowiadań, rano o godzinie ósmej, wracali nazad w strone Włoszczowy lecz przez wieś pędzili co koń wyskoczy, odtąd bardzo często miałem do czynności z różnymi emisariuszami i oficerami z legjonów, w celu szerzenia idei legjonowej, aż doszło to do wiadomości p. Leonarda S***, który przysłał po mnie i ostrzegał żeby zanadto nie zadawać się z legunami, bo jak wrócą moskale to będę dyndał. Natomiast przy odwrocie Niemców z pod Warszawy, omało nie zostałem rozstrzelany; było tak: jeden artylerzysta widocznie poznaniak czy ślązak rozumiejąc po polsku wprowadził konie do obory i rozkazał mi napoić konie, ja udałem że nie słysze, następnie kazał mi założyć jego koniom siana czego też nie zrobiłem, wówczas począł mi grozić lecz ja poszedłem do stodoły, gdzie naszło się dużo niemców, którzy zmusili mnie do wyrzucania z zapoła owsa z grochem, który oni rznąli na sieczkę i takową zabrali a było tego dwa wozy, po tej operacji będąc zdenerwowany przechodząc około obory, aż tu żona mówi mi że mają zabrać świnie, która miała wagi z górą 250 kilo; wówczas zacząłem kłąć i wymyślać na niemców co słyszał ów poznańczyk będąc w oborze, a o którym ja nie wiedziałem, tembardziej, że w pobliżu nie było nikogo; to też ten mszcząc się, że go nie posłuchałem oskarżył mnie za co zostałem aresztowany i gdyby nie prośba i wyjaśnienie b. nauczycielki, która znając niemiecki język potrafiła mnie uniewinnić; jednakowoż od godziny pierwszej po południu do godziny czwartej rano zostałem przetrzymany pod ścisłą strażą.

W 1916 roku zaczęły się rekwizycje i kontyngenty, które zmuszony byłem oddawać gdyż nie było gdzie schować przed rewizją, otóż wojna doprowadziła moje gospodarstwo do ruiny. Lecz to nie wszystko: brat mój znalazł kapiszon od bomby czy szrapnela, ja nie wiedząc co to jest, gdyż to była mała rzecz, bo tylko jak ustnik od papierosa, zacząłem dłużyć ostrzem noża, wówczas nastąpił wybuch, który urwał mi trzy palce u lewej ręki i wypalił lewe oko, przyczem pokaleczył jedenastoletniego syna, ja zostałem prawie bez życia, zbiegli się sąsiedzi, poczeli nas ratować, a tu krew upływa z mej ręki i oka, wówczas dali znać do dworu, skąd przyszła Marja S*** i ta obandażowała mnie, zatamowała krew i poleciła jechać natychmiast do doktora, do którego jadąc 20 kilometrów ledwie z bólu wytrzymałem, ten polecił odesłać mnie do szpitala w Radomsku, w którym przeleżałem sześć tygodni, tam mnie wyleczyli lecz pozostałem bez palców i lewego oka. Teraz myślałem, że już ostatni kres przyszedł na mnie, bo w gospodarce ruina, a ja zostałem kaleką, mało tego w tymże czasie umarła matka otóż wszystkie nieszczęścia.

Lecz pomimo tego nie upadam na duchu po dojściu do siebie, gdyż z powodu upływu krwi byłem bardzo osłabiony, przystępuje do pracy, nie zważając na kontyngenta i rekwizycje dźwigam się powoli.

W Lutym 1917 roku zostaje wybrany jako przedstawiciel gmin Żytno i Gidle na członka Sejmiku i pozostaje na tem stanowisku do 1926 roku; w tymże roku na zjeździe w Piotrkowie trzech sejmików, a to Dąbrowskiego, Radomszczańskiego i Piotrkowskiego wybrany zostaje na zastępcę członka Rady Stanu lecz znowu nieszczęście.

5 Marca 1918 roku straszny huragan, wtem wybucha pożar, pali się prawie cała wieś z górą 80 gospodarzy w czem i moje budynki, jako znajdujące się w środku wsi, pozostają z rodziną tylko w tem ubraniu i bieliźnie, która jest na nas; pozatem wszystko prócz pościeli, stodoły i ziemniaków poszło z dymem, tak, że na kolacje z drugiej wsi znajomy gospodarz przyniósł i podarował bochenek chleba; w stodole w słomie miałem schowane sześć metrów żyta, co było całą ostoją, z inwentarza jeden koń, dwie krowy, dwie świny i wóz, otóż cała ruchomość.

Od czego zacząć, znowu trzeci raz w życiu jestem powalony na ziemie. Długu już nie mam gdyż za sprzedane konie w 1915 roku

takowy spłaciłem. Niema rady, drzewo na dom mam swoje, brakuje na deski, zaciągam ponownie 600 rubli długu i przystępuje do stawiania domu, obory i innych budynków gospodarczych, od rekwizycji jako pogorzelec jestem wolny, urodzaj zapowiada się dobry, zboże drogie, jakoś to będzie i z tych opałów i nędzy wypływam.

W Maju 1918 roku obejmuję urząd wójta (wybory odbyły się w Grudniu 1917 r.), lecz jako wójt mam wiecznie utarczki z komendantem posterunku o kontygent bydła, ja w każdym miesiącu nie daję tego co jest wyznaczone, aż przychodzi do utarczki słownej, gdyż on pozwala sobie posyłać żandarmów, którzy zabierają krowy bez mojego zezwolenia i żądają świadectwa na przegon, ja odmawiam, wówczas on przychodzi do gminy i pyta wręcz czy wydam czy nie, gdyż w przeciwnym razie doniesie do C. i K. Komendy w Radomsku, wówczas ja go pytam, czy wyszło nowe zarządzenie o wyznaczaniu kontygentu bydła, na to komendant Piątek, tak się nazywał ów starszy żandarm austriacki, nic nie odpowiedział, kazał odprowadzić zarekwirowane krowy, a sam pojechał do C. i K. Komendy, lecz w Komendzie powiatowej był zastępcą komendanta p. Żurawski, dobry polak już w podeszłym wieku, który mnie polubił, a gdy odbierał odemnie przyrzeczenie na urząd wójta, wyraził się poufnie „Daj Boże żebyśmy jaknajprędzej doczekali się wolnej Polski i żebym ja mógł jak najprędzej zrzucić ten mundur, który nosze”. Otóż on całą te hece jaką miałem z Piątkiem zatuszował, tembardziej, że już zaczęło się jakieś rozprzężenie, gdyż to miało miejsce w Sierpniu 1918 roku, tak, że już za Wrzesień i później żadnego kontygentu z bydła nie dałem. Od początku 1917 roku zaczęliśmy organizować młodzież w Polskiej Organizacji Wojskowej czem u nas w Żytnie gorliwie zajmował się M*** (obecnie przodownik policji w Radomsku) wraz z nim zbieraliśmy składki. Jednego razu udaliśmy się do obecnego posła z Sanacji S***, który nam składki odmówił, przyczem oświadczył, że ponieważ P. O. W. zagarnęli Socjaliści, przeto on odtąd nie daje ani grosza, wobec tego odeszliśmy z niczem. Przyczem prowadziliśmy różne konferencje na temat organizacji w mojem mieszkaniu, wystrzegając się Piątka, który nas śledził, lecz my wynajeli mieszkanie na dom ludowy, w którym urządziliśmy bibliotekę, uczyliśmy różnych sztuczek, które młodzież wystawiała w amatorskich teatrach i jakoś wszystko nam uchodziło, aż przyszedł październik 1918 roku: dowiadujemy się, że w Galicji austriacy rozbrojeni; co mamy czy-

nić: M*** ma 18 zuchów do rozporządzenia i kilka rewolwerów; nie wiemy jak zaczynać, gdyż w koło cisza, przeto uradziliśmy posłać do Radomska na zwiady i po rozkazy; ten jak poszedł tak go niema. Czwartego dnia radzimy z M*** w mojem mieszkaniu, co jest, że A*** nie widać, wtem wchodzi jego ojciec Andrzej, poczyną nam wymyślać i krzyczeć, oddajcie mi syna, gdzie podzieliście mi syna, przyczem zaczyna grozić, że pójdzie nas oskarżyć, nie zważając na nasze uwagi, że syn jego nie zginął, gdyż mielibyśmy jakąś o tem wiadomość, lecz tego brała rozpacz żeśmy mu syna zmarowali. Na to jak na zawołanie wchodzi jego syn A*** w mundurze i z karabinem i zdaje nam raport, że Radomsko przystąpiło do rozbrajania posterunków Austryjackich co natychmiast i u nas ma być wykonane. Stary A*** widząc syna zdrowego i pod bronią uściskał takowego, oraz i nas, że takiej chwili dożył, że jego syn pierwszy u nas stanął z bronią, lecz nie było czasu do myślenia, należało zaczynać działać, pożegnaliśmy się życząc zwycięstwa.

Michalski zabrał się do zwołania chłopaków, a ja jako wójt wyznaczyłem podwoły, któremi po rozbrojeniu posterunku w Żytnie, M*** wraz z A*** i innemi pojechali do Silniczki, a stamtąd do Wielgomłyn.

Rok 1919, wybory do sejmu, rozjazdy, agitacja, nowe tworzenie list kandydatów na posłów, ja staję jako zwolennik Zjednoczenia Ludowego, utworzonego pod protektoratem księdza Blizińskiego z Liskowa i przez Główny Zarząd w Warszawie, wysuwany jestem na kandydata na posła, przyjeżdża p. Leonard S***, daje mi do podpisania deklaracje, na której swojego podpisu odmawiam, nie chcąc się związywać na niewiadome jakby się to ukształtowało w sejmie, przeto moja kandydatura upada, lecz pomimo tego głosuje na liste Nr. 4; w dalszym ciągu praca jako wójta, jako prezesa Komitetu Ratunkowego, gdyż w tym kierunku najwięcej zmuszony jestem poświęcić czasu: przyczem agitacja za pożyczką państwową, do zebrania której w okolicy, nie chwając się bardzo dużo się przyczyniłem, werbowanie ochotników, których z Żytna wysłaliśmy 19 i z Silnicy 18, to były główne zajęcia. Natomiast gospodarstwo wobec moich częstych wyjazdów prosperowało lecz słabo, przyczem gotówkę jaką posiadałem to jest 5000 rubli oddałem na państwową pożyczkę, za którą obecnie posiadam asygnate na 50 zł. i za trzy miljonówki na trzy zł. 1920 rok główne zadanie sporządzenie list poborowych, których jako wójt wysłałem na komisje poborową siedem

roczników, i tak bez końca do Lipca, w Lipcu groza, Bolszewicy pod Warszawą, poufne zjazdy w starostwie pod przewodnictwem posła księdza Sędzimira w których bierze udział kilka poważniejszych osób z powiatu, do czego i ja jako członek Rady Wojewódzkiej należę, tam zapadają uchwały na wypadek przyjscia bolszewików; lecz i to przeszło, spełniły się słowa posła ks. Sędzimira, które wyrzekł w dniu 6 Sierpnia 20 roku, gdy zdawało się że już niema żadnego ratunku; było to na odpuszcie w Cielętnikach gdzie było zebranych kilka tysięcy ludności, otóż wówczas powiedział tej rzeszy „prędzej mnie włosy na dłoni wyrosną niż bolszewicy zajmą Warszawę”.

Po 15 Sierpnia odetchneliśmy całą piersią, przeto należało teraz przyłożyć się do gospodarki, i ja wówczas mając więcej wolnego czasu zacząłem wglądać w swoją gospodarke, którą w krótkim czasie doprowadziłem do należytego stanu, co dało się zauważyć i u moich sąsiadów jako też i w okolicznych wioskach, nastaly czasy spokojniejsze, produkty rolne dosyć drogie, powinności podatkowe niezbyt duże, to też kaźden z gospodarzy poczynał podnosić głowe, przyczem wszyscy wzięli się do hodowli inwentarza, którego do dwudziestego roku prawie że nie było.

W 1921 roku właściciel dóbr Rędziny wypuścił do parcelacji folwark Pławidła niezbyt drogo bo po 16 do 18 tysięcy marek polskich morga polska; wartoby kupować lecz ludzie nie mają jeszcze gotówki, ja sam jestem na rozmyślach, posiadam całej gotowizny 70 tysięcy marek, których mi starczy na niecałe cztery morgi, lecz trzeba ryzykować, albo zarobie milion albo będę zmuszony sprzedać sześć mórg z tego co posiadam, decyduje, zaciągam pożyczkę w Banku, biore 20 mórg za które płace 360277 marek, drudzy biorą w miare możliwości po 5, 10 i więcej mórg; przychodzą żniwa, dzielimy się obsiewem i co się okazuje, że kaźdy z nas po sprzedaniu otrzymanego zboża i budynków, otrzymał zwrot za zapłaconą ziemię, wobec czego ziemia pozostała nam darmo: to było kupno, które postawiło nas nabywców na nogi. Ja zaś czując się na siłach jednego z synów oddałem do gimnazjum, drugiego wysłałem na czteromiesięczne kursa rolnicze do Częstochowy i tak pomimo spadku marki, oganiamy się i można powiedzieć, wszystko jest względnie dobrze, przyczem czas od 21 do 27 roku można nazwać złotem dla rolnika, ja sam w swoim gospodarstwie pomimo tego, że mam pola o lichej glebie potrafiłem wyprodukować z morgi 12 metrów żyta przy częściowem zastosowaniu sztucznych nawozów.

W czasie do 26 roku piastowałem różne urzędy jako to wójta, członka Sejmiku, Rady Wojewódzkiej w Łodzi, Rady Szkolnej powiatowej, różnych komisji Sejmiku i Urzędu Skarbowego oraz prezesa Straży Ogniowej w Żytnie; tak że za dużo miałem jak na moje siły obowiązków, przyczem prowadziłem walkę polityczną z posełem R. z Wyzwolenia, który miał popleczników w osobach kierownika szkoły S. i mojego sekretarza P., którzy widząc moje na cały powiat stanowisko usiłowali poderwać moją opinię nie mogąc i tego znieść że dnia 3 Maja 1925 roku zostałem dekorowany medalem 3 Maja; otóż trójka ta postanowiła mnie wsadzić do więzienia, sekretarz P. zapisał kwit na 25 zł. dwa razy, z czego wypływało że ja pobrałem sobie owe 25 zł. o czym powiedział S., ten doniósł prokuratorowi z czego wynikła sprawa, prócz tego wytoczono mi i inne za niedozór w areszcie, lecz z dwóch spraw zostałem uniewinniony a pozostałe dwie jako mniej ważne zostały przez sąd na zasadzie amnestji umorzone, lecz to mnie kosztowało dużo zdrowia i pieniędzy, ale wyszedłem cało a sekretarz P. został z posady usunięty, poseł R. gdzieś wyjechał z naszego powiatu a z pozostałym S. do dziś dnia prowadzimy walkę, która jest z nim obecnie trudna, gdyż on należy do Sanacji; była to największa w moim życiu walka, ponieważ owa trójka używała wszelkich środków żeby mnie zwyciężyć, doszło do tego, że kierownik szkoły S. miał prokuratorskie dochodzenie lecz jakoś to zostało umorzone.

Ostatnie czasy to jest od 1927 roku zaczyna się odwrotna karta dla nas rolników; pierwszą główną przyczyną nędzy rolnika, rozłączenie budżetów tak gminnych jak i sejmikowych, za czasu bytności mojej w sejmiku budżet wynosił do jednego miliona, za czasów radosnej twórczości odrazu podskoczył do dwóch milionów, pomimo że nie prowadziło się żadnych inwestycji jak to było na początku; za mojej bytności wójtem wystarczało mi budżetu 7 do 12 tysięcy na utrzymanie wydatków gminnych i 14 szkół, natomiast od 1926 roku budżet gminny doszedł do 32 tysięcy, chociaż nic się nie buduje, a co do szkół to dwie zostały zredukowane, ale za to powiększył się personel pracowników w gminie, mnie wystarczało dwóch sekretarzy i praktykant i wszystko było na czas zrobione, dziś mamy czterech a częściowo i pięciu do nadzwyczajnych robót. Wskutek czego opłaty powiększyły się trzykrotnie, przez co mamy tak dużo zaległości podatkowych, co w dużej mierze przyczyniło się i przez spadek cen na produkty rolne. Bo czyż to jest nie karygodne że pracownik gminny miał wyznaczoną pensję gdy płacił kilo chleba 75 gr., kilo

mięsa 2 zł., kilo słoniny 4 zł., jajko 20 gr., kilo masła 6 zł. a dziś pobierając też samą płacę, mieszkanie i opał i światło, przy dzisiejszych cenach płaci kilo chleba 25 gr., mięsa 70 gr., słoniny 1 zł. 80 gr., jajko 5 gr., masło 1 zł. 80 gr. czy rolnik wydoła płacić; to też dziś sekretarz gminny absolutnie nic nie robi, wiecznie pijany i jest jedynym konsumentem na czystą, pozatem ma prace przez lato z wędką a nocami i zimą z panem kierownikiem szkoły przy proferansie, bo przecież światło nic nie kosztuje, pozatem dużym ciężarem obecnie jest zwrot za mieszkania nauczycieli: naprzykład u nas kierownik ma przy szkole dwa pokoje i kuchnię, które zajmuje z żoną, otóż żona jego jako nauczycielka pobiera dopłaty z gminnych sum 15 zł. miesięcznie.

Te i tym podobne rozchody tak obarczyły wieś, że trudno się obecnie wypłacić, to też co pare tygodni przychodzi z Urzędu Skarbowego z górą po 400 upomnień z płacą za każde 1 zł. 50 gr., co za sobą pociąga ogromne koszta i w dodatku jest nowym podatkiem; a tu nędza coraz gorsza, zarobków żadnych, dokąd wyjeżdżali na roboty sezonowe do Prus to jeszcze jakoś było inaczej, obecnie młodzież wałęsa się po drodze nie mając się czego jąc a u gospodarzy doszło do tego, że na paczke machorki składa się sześciu gospodarzy i to takich którzy posiadają po 12 mórg, natomiast zapalek żaden nie kupuje, mając zapalniczki z partu i szkielek, a wielu jest takich co oszczędza soli nie mając za co kupić; pisząc o tem zdaje się że to nie do uwierzenia, lecz to są fakta niezbite, a może pomyślałby kto że ci o których mowa są niezaradni lecz tak nie jest, każdy oszczędza jak może, jajka, masła nawet mleka ludzie nie jedzą żeby zebrać pare złotych na zapłatę podatków, lecz ta oszczędność nie wystarcza, wobec czego wciąż zaległości i upomnienia.

Czyta się w Gazetach że w Rosji zabierają rolnikowi plody rolne, pozostawiając mu tyle żeby mu starczyło do życia, u nas pozornie nie biorą w naturze lecz każdego sam nie dojada, sprzedaje za bezcen na pokrycie różnych zobowiązań, aż w końcu mu brakuje i zmuszony jest dokupić za pożyczone, z czego coraz gorzej zapada w dług, to też dawniej nie rozumieli ludzie nazwy sekwestratora, bardzo mało komornika, a dziś ci panowie są stałymi gośćmi na wsi. Ci którzy nakładają na ludność owe ciężary, żaden nie wglądnął do chaty, jaką tam mają odzież, jak się odżywiają i o czem i co mówią, nie wierzą w to żeby chłop nie sprzedał jajka sam takowego nie próbując; to jest błędem wyższych sfer co sieje rozgoryczenie i komunizm oraz wytwarza wrogów państwu.

A teraz jak prosperuje moje gospodarstwo. Otóż przed 27 rokiem potrafiłem wyprodukować 12 metr. z morga, obecnie nie mając za co kupić nawozów pomocniczych, urodzaje coraz lichsze, dziś posiadam około 60 mórg, w tem ziemi ornej 31 morga, łąki 14 mórg, reszta pastwisko, zarośla i las, z inwentarza dwa konie, siedem sztuk bydła, cztery świnie lecz chcąc pokryć podatki których nałożono na mnie z górą 560 zł. zmuszony byłbym sprzedać wszystkie krowy, a co na rok przyszyły, przecież za rok nie urosną, a gdzie ubranie, najem robotników, opłata szkoły za dwóch synów, którym nie moge przerwać nauki, gdyż wstąpili do szkoły gdy mnie było stać; to też obecnie zaciąga się długi, których zaciągnąłem cztery tysiące zł. prócz zaległości podatkowych, które dochodzą do 600 zł., więc też nie wiem jak postąpić dalej, chciałbym sprzedać parę mórg ziemi lecz niema komu bo żaden nie ma pieniędzy, pomimo obecnych niskich cen za morgę 600 zł. za którą przed 28 rokiem płacili 1600 zł., otóż takie jest obecne moje położenie, byłem przez cztery razy rzucony o ziemię a to przez wysyłkę, przez wojnę, przez wypadek z ręką i okiem, przez pożar, byłem zniszczony przez sądy. Ale dopiero dziś jestem w największem krytycznem położeniu, bo nie widze żadnych dróg do polepszenia, bo coraz więcej wali się ciężarów i komu to mamy zawdzięczać otóż tak zwanej radosnej twórczości. Lecz mało że mamy straty materialne, że rolnictwo upada, ale podajmy ucho jakie jest zapatrywanie chłopów, rozgoryczenie i przekleństwo przez niezrozumienie, przeklinają kogo, Polskę, ja sam nieraz zmuszony jestem słuchać wymówek, tyś nas namawiał żeby była Polska, tyś nas namawiał żebyśmy dali pożyczkę, tyś naszych synów wysyłał żeby wyganiać bolszewika, i co za to mamy? co nam dała Polska, jak nas poniewierają, jak się obchodzą z nami urzędnicy, jak na każdym kroku czyha na nas policja, żeby sporządzić protokół lub zapłacić złotówkę, te i tym podobne skargi powtarzają się pocichu, lecz mało tego, są i tacy, którzy już nie mogą znieść tej nędzy i mówią ażeby już jaknajprędzej przyszli Niemcy lub bolszewicy albo żeby była rewolucja, bo jak mówią wszystko nam jedno, przecież nie mamy nic do stracenia, oto takie narzekania słyszy się często, które bolą więcej niż strata materialna; bo i ja sam inną wyobrażałem sobie Polskę, zabolalo mnie gdy moskal w Samarze wyraził się „tische wy proklataja Polska” lecz gorzej mnie zabolalo gdy stawałem w starostwie w sprawie o zakłócenie spokoju jak urzędnik starostwa potraktował ósmiu gospodarzy, gdzie na zadane pytanie jednego z wezwanych świadków, kto wywołał zakłócenie spokoju a ten odpowiedział że

strona przeciwna, kazał wynosić się za drzwi. Otóż takie traktowanie obywateli jak owego urzędnika w starostwie nie spotykałem, a w gminie wójt obecnie nie ma żadnego znaczenia, gdyż chociażby nie chciał musi udawać sanatora i bać się sekretarza, który jest całym dygnitarzem, bywały wypadki że po pijanemu wyrzucał interesantów za drzwi z kancelarii, czemu wójt nie protestował.

A obecne wybory?

Żadnych wyborów nie było, sekretarz i kierownik szkoły polecieli sołtysom i strażakom, lecz zaufanym, zebrać podpisy, jak się dało, a to na dopełnienie rady scaleniowej, a to że tamci już podpisali, a to że ich gmina wybrała i w ten sposób zostały ułożone listy radnych gromadzkich, natomiast zabroniono sołtysom ogłosić o dniu wyborów, dnia wyznaczonego punktualnie o wyznaczonej godzinie przewodniczący komisji wyborczej, odczytał regulamin wyborczy przy sołtysie i trzech do pięciu świadkach i na tem koniec. To też sołtysi obecnie nie wiedzą, kto jest Radnym Gromadzkim, przez co zmuszeni są prosić kierownika szkoły o wykazy członków Rady, którzy mają przeprowadzić wybory nowych sołtysów, natomiast ogół ludności nie wie kto jest mianowany radnym gromadzkim. Na wsiach zaś gdzie ludność dowiedziała się o dniu wyborów, stawili się tłumnie o oznaczonej godzinie, składali swoje listy lecz takowe bez rozpatrzenia zostały w przeciągu dwóch sekund, dosłownie dwóch sekund unieważnione i wybory rozwiązane, a takie odbyły się w Żytnie, gdzie wobec komisji i nas zebranych wystąpiło czterech gospodarzy, którzy oświadczyli i prosili przewodniczącego o zaprotokółowanie, że ich nocną porą, podstępem i fałszem nakłoniono do podpisania deklaracji, przyczem proszą o zwrot ich podpisów, bo oni nie chcą kandydować z takiej listy, lecz nic nie pomogło, przewodniczący sekretarz przywołał policjanta, który wyгнаł wszystkich z lokalu wyborczego. W ten sposób lista numer jeden zwycięża; na takie fakta złożyliśmy protest, który został natychmiast opatrzony 150 podpisami lecz to nie dało żadnego rezultatu i do dnia 30 Listopada nie wiemy kto jest radnym gromadzkim chociaż rzecz odbyła się 7 listopada. To też patrząc na tych ludzi, których wygnano z lokalu wyborczego a było zebranych około dwustu ludzi, ich zachowanie, którym odbiera się prawo stanowienia o sobie, daje dużo do myślenia: na jakich obywateli wychowuje ich się, jaki daje się przykład, jak oni mają szanować prawo, które inni jeśli nie obchodzą to depczą, ludność nic nie mówi zaciska zęby, lecz nie daje Boże wojny, lub jakich rozruchów.

Opisałem wyżej swoje krytyczne położenie lecz dużo jest takich, którzy mi zazdroszczą że przynajmniej mam co jeść a tu dużo jest takich którym i tego brakuje, a co chodzi obecnie dziadów po przozonem to wprost nie można patrzeć. Żytno leży na szosie prowadzącej do Częstochowy, otóż są dnie w które dziennie odwiedza dom po 15 osób, dając każdemu kawałek chleba nieraz wychodzi do dwóch bochenków dziennie, taka na wsi radosna twórczość; w naszej wsi odbywają się tygodniowe targi i miesięczne jarmarki, otóż teraz nie widzi się prócz sekretarza pijanego człowieka, nawet i litkupy zagięły, ludzie przestali się żenić a nawet i liczba urodzin się zmniejszyła. Jako członek Rady Gminnej i Komisji Rewizyjnej kasy pożyczkowo-oszczędnościowej, mam możliwość przeglądu budżetu gminnego, zaległości podatkowych i długu w kasie: otóż w kasie mamy z górą trzydzieści zaprotestowanych weksli na sume około dziewięciu tysięcy zł. Weksle niektórzy mają zaprotestowane przeszło rok temu, dłużnicy nawet procentu nie płacą bo nie mają gotówki i tak wszystko wisi, lecz jaki będzie koniec i czy oni z tego wybrną to trudno przewidzieć, gdybyśmy teraz przystąpili do wyegzekwowania tego długu, tobyśmy musieli wystawić na licytację około piętnastu gospodarzy w gminie i powiększyć armję żebrzących.

Opisując powyższe starałem uprzytomnić moje przejścia od najmłodszych lat, w pisaniu obecnie nie mam tej wprawy jak dawniej, bo z górą trzydzieści lat z piórem mało mam do czynienia, błędy jakie popełniam proszę mi wybaczyć, gdyż pisania w języku polskim nikt mnie nie uczył, a tembardziej gramatyki, to co umiem zdobyłem własnymi siłami przeto i kierunek moich zapatrywań na ostatnie czasy może jest zboczony, albo może widze wszystko w zbyt czarnych kolorach, lecz i to proszę mi wybaczyć, gdyż jestem sterany życiem nad moje siły, które zostały stargane przez różne koleje, jakie przechodziłem. A całe swoje życie, zdrowie i mienie obracałem w tym kierunku żeby przyczynić się do niepodległości Polski, żeby w tej Polsce wszystkim było dobrze, żeby wszyscy jednakowo byli szanowani i traktowani, to też to najwięcej mnie boli, widząc brutalne lekceważenie już nie jako obywatela, bo za takowego jak widać z ostatnich wyborów chłopą się nie poczytuje, ale człowieka. Bo zdaniem moim owo traktowanie, lżenie godności człowieczej, odbieranie głosu w gromadzie z którą każdy od niepamiętnych czasów zrósł się jak z religją, wyrządza większą szkodę państwu, niżby to mogło zrobić tysiące agitatorów komunistycznych.

Kończąc ten swój życiorys w którym pominąłem różne rodzinne troski i pomniejsze wypadki, dodaje że mam pięcioro dzieci, to jest pięciu synów z których najstarszy, lat 28 liczący, ukończył cztero-miesięczne kursa rolnicze, drugi lat 26 jest w seminarjum duchow-nem i na uniwersytecie na piątym kursie, trzeci lat 24 ukończył szkołę rolniczą w Dobroszycach, czwarty lat 17 uczeń w 5 klasie gimnazjum i piąty najmłodszy 14 lat uczeń siódmego oddziału szkoły powszechnej. Pracą w gospodarce zajmuje się ja, żona, najstarszy syn i trzeci, obywamy się bez służby z braku pieniędzy, jedynie przynajmu-jemy do koszenia łąk w czasie żniw i do kopania ziemniaków, poza-tem wszystkie roboty wykonywujemy sami.

Obecnie zmuszony jestem podzielić swoje gospodarstwo dla sy-nów, ponieważ nie jestem w możności nadążyć płacić podatków, jako to dochodowego, daniny majątkowej i progresji, licząc że po podziale takowe odpadną lecz na przeszkodzie stoi brak pieniędzy na rejenta, na budynki i inne ruchomości, to też w głowie się kręci jak sobie poradzić.

Bezrolni, którzy dawniej jeździli do Prus na zarobki sezonowe i za zaoszczędzone pieniądze kupili sobie place i pobudowali domy, obecnie nie mają z czego żyć, gdyż nigdzie nie mogą znaleźć pracy przez co stali się ciężarem gminy, która zmuszona dawać im wspar-cie.

Dn. 30 listopada 1933 r.

Gospodarz na kupionem z zarobku gospodarstwie dziesięciomorgowem w pow. opatowskim

Pragnąc się przyczynić do tak wielkiego dzieła, które dałoby wierny obraz dzisiejszego położenia ludności wsi, w sposób rzetelny i możliwy na moje siły, opisuję o trudnych warunkach, jak pracujemy i żyjemy. Ponieważ mój ojciec jest niepiśmienny, a chcący dać pewne informacje ze swojego życia i przeszłości, na wspólnej współpracy z synem opis ten dajemy.

W chwilach wolnych od pracy ojciec zaczyna opowiadać o przeszłości, czyniąc jakoby spowiedź swojego zmagania się z biedą i kolejach życia.

Co się w pamięci jeszcze zostało o wszystkim mówię, a było to następująco.

Urodziłem się w Polsce pod zaborem rosyjskim. Rodzice moi byli bezrolni, nie posiadali ani kawałka ziemi. Cała rodzina z siedmiu osób utrzymywała się z pracy rąk ojca. Ojciec trudnił się szewstwem z czego zarobek był bardzo dobry i w zupełności wystarczał do odziania i wyżywienia rodziny. Robota była bez przerwy, a na całą wieś był tylko jeden szewc. Do 14-go roku życia przebywałem w domu pod opieką rodziców. Tych czasów dziecinnych w żaden sposób bym nie potrafił zobrazować ni opowiedzieć. Gdy mi się skończyło lat czternaście poszedłem na służbę do miejscowego gospodarza. Nie z biedy, ani przymusu poszedłem, ale że praca na roli najlepiej mi się podobała i czułem chęć do pracy i zamiłowanie. Myślałem już wtedy, żeby dorobić się kawałka ziemi, na niej gospodarzyć i być samodzielnym. To mi się najlepiej podobało. W tym też czasie ziemia się trzykrotnie lepiej opłacała niż dziś. Był pęd do ziemi, podobnie jak dziś do nauki i urzędów. Kmieć siedzący na włóce czy jej połowie mógł o sobie powiedzieć z dumą, podobnie jak szlachcic z wieku XVII-go. „Kmieć na zagrodzie, powodzi mu się jak wojewodzie”. Praca na służbie w roli nie była lekka, Była bardzo ciężka, trza było

pracować od świtu do nocy bez przerwy. Mróz nie mróz, deszcz nie deszcz a ty swoje musisz zrobić. Raniutko wstawać, obrządzać, potem zależnie od pory roku, jechać w pole, kosić, wozić, zimą młócić po całych dniach cepami. Maszyny do młócenia mało gdzie były. Gospodarz, u którego służyłem był zamożny, miał blisko 30 mórg ziemi i roboty było bardzo dużo. W jedną niedzielę po obrządku i kościele było trochę wolnego czasu. Jak pamiętam, gospodarzowi powodziło się nieźle a raczej dobrze. Bito co rok świnie, w każde ważniejsze święto, których było ich dużo więcej niż dziś, pieczono dużo pieczywa, placków, chleb na chleb musiał być. W post stały śledzie w beczkach, gotowano różne pierogi z siemienia, kapusty i t. p. I to wszędzie prawie tak postępowali na wsi. Życie było dobre i w czem było chodzić. Gospodarz miał dochód i to spory, bo potrafił kilka mórg dokupić i jeszcze miał pieniądze na pieniądze. Podatku płacono z morgi rubla i tyle wszystkiego. Na służbie byłem przez cztery lata. W późniejszym czasie w miarę wzrostu mych sił, zarobek czyli pensja wydała mi się mała, — bo brałem rocznie 35 rubli, — i nic bym się nie dorobił przez to, ani oszczędził. Za 35 rubli odziałem się dostatecznie, kupiłem ubranie od święta i dnia robotnego, buty, bieliznę i około pięciu rubli mi zostawało. Lecz to wydało mi się później zamało, bo więcej mogłem zarobić i nieraz zawieja czy deszcz, zimno i mróz, a ty bez względu na to pracuj. Zawsze to sługa, już się nie liczone tak jak ze swoim. Zacząłem myśleć jakby tu wykombinować ażeby mieć łatwiejszą pracę i coś pieniędzy uskładać. Do zgody między nami nie doszło i ja powróciłem do domu. Aby mieć i przyszłość zapewnioną, z czegoś żyć i trochę pieniędzy uskładać, począłem się uczyć szewstwa u ojca w domu. Po roku już umiałem robić buty, praca była dużo lżejsza niż na służbie a zarobek drugie tyle większy niż cała pensja. Ogarnąłem się z mojej pracy, pieniądze na swoje potrzeby miałem i jeszcze dokładałem do rodziny. Będąc w domu mogłem sobie i wolnych chwil kilka znaleźć i święta miałem wolne. Powodziło mi się dobrze, obaj z ojcem mieliśmy robotę, żeśmy jej nie mogli przerobić. Przez trzy lata pracowałem przy szewstwie. Nieźle się mieli robotnicy i inni, czy to rolni czy fachowi. O zarobek było nie trudno. Ludzi do pracy potrzebowali, bo było mniej niż dziś. Do tego dużo osób wyjeżdżało ze wsi zagranicę jak do Ameryki, Niemiec, Francji. Tacy zawsze przyjeżdżali i kupowali. Nieraz namawiali i mówili, że gdybym naprzykład ja pojechał to za rok więcej bym zarobił w Ameryce, niż w Polsce na szewstwie przez trzy lata. Miałem wtedy 21-szy

rok. Stałem na losy do wojska. Dziwnym trafem nie odebrano mnie chociaż byłem zdalny i dostałem kategorję A. Wydali mi „czerwony bilet”, który prawdopodobnie miał oznaczać nad ilość czyli zadużo, więcej nie potrzebowali. Było to pod zaborem rosyjskim. Wtedy już liczyłem się za dojrzałego i postanowiłem się ożenić, założyć rodzinę i wspólnie się dorabiać. Tak też zrobiłem. Razem z żoną nie mieszkaliśmy z początku bo nie było gdzie. Budynków nie mieliśmy. Pozostaliśmy przy rodzicach. Ja nadal zarabiałem z butów, a żona zarabiała na robieniu płótna, przędła kądziel, trzymała dla siebie świnie i co się zarobiło to grosz był nasz wspólny. Tak dorabialiśmy się przy rodzicach. Nieraz można było zarobić i na wychodnem u bogatych gospodarzy. Rodzice mojej żony byli gospodarzami, mieli 14 mórg ziemi. Wszystkich do podziału tego majątku miało należeć sześć osób. Przy podziale i moja żona miała dostać część swoją. Przez dwa lata zarobiliśmy i zaoszczędzili ze swej pracy 200 rubli. Moglibyśmy już kupić morgę ziemi. Jakoś w tym czasie najwięcej ożywił się ruch emigracyjny do Ameryki, tak że niektórzy jeździli po dwa i trzy razy rocznie. Gdy kto przyjechał to przywoził po kilkaset dolarów i kupował 7—8 morgów ziemi. Jak się okazywało, zarobek musiał być niezły. Mnie to zainteresowało. Mieliśmy trochę pieniędzy, więc postanowiłem jechać. Do Ameryki dostać się było łatwo. Kupić trza było „siwkartę” i paszport, być zdrowym na ciele i silnym. Dokumenty kosztowały mnie 130 rubli. Jechałem do Ameryki z myślą o dużym zarobku by móc kupić za nie ziemi parę mórg i budynki postawić. Być na własnym zagonie i chlebie. Pracę dostałem bardzo łatwo w fabryce odlewni żelaza. Pracowałem nocą od 6 do 5 rano. Polegała ona na tem, że trza było roztopione żelazo w piecu wylewać w formy, a później już zastygłe żelazo wyjmować i odwozić do składu. Praca była bardzo ciężka, nieraz trza było se i zapłakać z tęsknoty za krajem, napocić się, nazybiegać i napracować, że kości trudno było wyprostować. Życie prowadziłem bardzo skąpo. Wychodziło mi dziennie na życie i spanie około 50 centów. Pół dolara. Zarabiałem dziennie dwa dolary. Za sześć tygodni przysłałem do domu około 67 dolarów, około 120 rubli do 130. Ludzi zaczęło napływać coraz więcej z każdym miesiącem, nęconych dobrym zarobkiem, tak, że o pracę stawało się coraz trudniej. W końcu najechało się sporo ludzi z różnych państw, płacę robotnikom obcieli do jednego dolara dziennie. Nie było nadal wyjścia. Gdy już nie mogłem nic zarobić, nie wiele się namyślając, zabrałem się i „hajda” do Polski. Byłem w Ameryce dwa lata i zaro-

biłem 1200 rubli czyli 600 dolarów prócz życia, odzieży i podróży. Myślałem sobie, że kiedy się poprawi w Ameryce to znowu przyjadę na zarobek. Nie porzucałem jej na zawsze. Kupiłem po przyjeździe, a było to przed wojną w pobliskiej wsi 5 i pół morgi ziemi ornej, budynki i morgę lasu, za które zapłaciłem około 1300 rubli. Nic się wtedy nie zadłużyłem, bo z gospodarki miałem około 1000 rubli dochodu, za które opędzałem wszelkie potrzeby gospodarskie. Do roboty nic żeśmy nie najmowali, wszystko robiliśmy wspólnie z żoną. Czy to we żniwa, czy kopania, wszystko sami, do tego troje dzieci, trza było się z niemi umęczyć co niemiara. Zimową porą robiłem ja buty, żona płótno na zarobek. Życie prowadziliśmy sobie dobre, za tak trudną pracę chociaż tyle. Gospodarstwo na dobrej stopie stało. Wszystko drożało, że już w 1913 r. z rokiem 1902 ziemia zdrożała z 200 rubli na 300—350 mórg. Zboże, inwentarz, drób, słoma, wszystko coraz droższe. Płaciłem wszystkiego podatku jeden rubel od morgi. Dobrze mi się powodziło, miałem trochę gotówki, a wydatków mało, bo dzieci małe a dla nas nie potrzeba, bo sami zarobimy. Z zarobku potrafilimy się wszyscy ubrać i wyżywić. Z gospodarstwa dochód był czystym zyskiem. Można się było w tym czasie dorobić ziemi, tylko trza było chcieć pracować i oszczędzać. Dużo osób w tym czasie z małych gospodarstw czy z emigracji jest dzisiaj 12—20 morgowemi gospodarzami. W tym czasie umarł ojciec mojej żony i majątek szedł do podziału. Ziemia była dobra, pierwsza i druga klasa, dzieci do podziału jeszcze niepełnoletnie. Więc ja sprzedawałem swoją ziemię i budynki, bez lasu, za które wziąłem coś około 1600 do 1650 rubli. Budynki były ubogie. Ja wziąłem wtedy pół gospodarki (7 mórg), stodołę i trzy osoby do spłaty. Narzędzia z gospodarstwa do spółki z sąsiadem. Dotąd dużo mi brakowało do gospodarstwa. Postawiłem chałupę i chlew i byłem posiadaczem ośmiomorgowego gospodarstwa. Pozostało mi gotówki ze sprzedaży coś około 700 rubli. Trochę włożyłem w gospodarstwo, na budynki i t. p. rzeczy. Szedł wtedy w parcelację dwór z sąsiedniej wioski. Wziąłem z niego trzy morgi ziemi, oddalone około półtora klm. od domu. Spłacało się w ciągu czterech lat po sto rubli rocznie z morga. Do gotowych pieniędzy dorobiłem z gospodarstwa — bo do spłaty jeszcze kilka lat z mojej ziemi i zapłaciłem pieniądze za ziemię w dwóch latach. Wybuchła wojna. Życie jak gdyby się przyczaiło i zamarło na wsi. Każdy był niepewny swego mienia i życia. Brak zostało uczciwości i moralności. Gospodarstwo zostało opuszczone. Granice zamknięto, praca ustawała. Ludzi brano na pod-

wody i do kopania okopów. Nieraz ktoś dawał znać, że wróg następuje (niby Niemiec) i całemi wsiami ludzie uciekali, a my z nimi coraz dalej. Na drugi i trzeci dzień, gdy się przekonano o prawdzie, wracano do domu. Bowiem wróg nie topił ludzi, jak mówiono. Ku końcowi wojny mógłbym za tanie pieniądze postawić wyśmienite budynki, bo drzewo było blisko i bardzo tanie. Spotkało nas trochę kłopotu, bo w tym czasie umarło nam dwoje dzieci, a po wojnie cała rodzina zachorowała na tyfus plamisty. Wszyscy bez wyjątku leżeliśmy w domu, a do roboty w gospodarstwie najęto ludzi ze wsi. Co tydzień przyjeżdżał doktor z miasta. Było to jesienią i zimą. Nic nam się jednak nie stało, na wiosnę byli wszyscy na nogach. A że w gospodarstwie nie było tak źle, trochę się sprzedało inwentarza, zboża i chorobę opędziło. Porównując ten wydatek z dzisiejszym gdyby to nastąpiło (czego nie daj Boże) to nie wiem czy i trzy morgi by starczyło. Nie zadłużyłem się wtedy, lecz gospodarstwo zostało wyniszczone. Udręczeń było potem pełną izbę. Dzieci małe, umęczenie z nimi, tu ledwie się na nogach trzymamy, wynędzniali i bezsilni. Liczba osób powiększyła się o dwie osoby, co mieli splate, a jedno zostało do dziś w Ameryce. Było nas razem siedem osób. Przyszedł rząd polski, a z nim zmiana pieniądza. Nie straciłem nic wtedy i nie zarobiłem, bo nie miałem pieniędzy. Lecz wiele osób znajomych straciło na tem sporo, a jeszcze więcej przez krzywdę ludzką doszło do majątku. Pożyczył np. ktoś pieniędzy, kupił ziemi, to potem oddał za 10 kur w wartości kilku mórg ziemi. Wielu ludziom przepadło do dziś. Do roku 1927 żadnych zmian w gospodarstwie i rodzinie nie było. W tym roku i następnym t. j. 1928 był najlepszy czas dla gospodarstw. Zboże było drogie, inwentarz, drób, nabiał, ziemia. Za krowę płacono od 500 do 700 złotych, pszenica 50 zł., resztę 30 do 20 zł. Mogłem rocznie zrobić gotówki z mojego 11-to morgowego gospodarstwa 1000 zł. W tym czasie spłaciłem dwie osoby siedzące w domu. Do 1927 r. trochę pieniędzy zrobiłem, resztę w 27 r. Nadarzyło mi się w 1928 r. dobre kupno lasu. Kupiłem dwie morgi, po 1500 zł. i 1800 za mórg. Było to po pół morgi ziemi już ornej, a resztę trza było karczować. Więc jak widać kupno nadarzyło mi się dobre. Zrobiłem trochę pieniędzy (na jedną morgę), a na drugą pożyczyłem 1800 zł. u żyda po 4% od sta na miesiąc. Wtedy już lażłem w dług i bagno. Nie przewidywałem i nie zastanawiałem się nad losem mych dzieci. Najstarszy syn pomagał mi w pracy, był dorosłym, zaś dwóch młodszych chodziło do szkoły 7-mio oddziałowej do pobliskiego miasta. Jedno głupstwo co wtedy

zrobiłem to kupno tych dwóch mórg i dług. Za sam procent com wypłacił od kapitału i z domowego dochodu wystarczyłoby na naukę obydwóch synów. Trzeci zostałby na gospodarstwie. Nie przewidywałem, że robię źle i sam dla siebie i dla dzieci na przyszłość. To co się stało jest bardzo smutne i dolegające. To przeoczyłem, nie myślałem, że nauka to skarb i każdemu potrzebny, bowiem gospodarstwo i ziemia w dobrej konjunkturze gospodarczej było wszystkim. O nauce mało kto myślał, chociaż można było uczyć. Procentu wtedy wypłaciłem moc. Przez trzy lata po 4% od sta miesięcznie, procent przeniósł bowiem kapitał, bo zapłaciłem 2592 zł. Z gospodarskich dochodów samego procentu nie mogłem nadążyć płacić. Gospodarstwo już było obiedzone po owem kupnie i czas stawał się coraz gorszy. Lecz nie na tem koniec. Jak naumyślnie nieszczęście, w tych czasach miałem najwięcej nieszczęść i wypadków w gospodarstwie. Zdechła mi mleczna krowa wartości 600 zł. Pamiętam jaka rozpacz z tego była w domu. Wszyscy się popłakali, nabiedolili, nie było sposobu na zaradzenie. Przyjechał doktor, kazał zakopać i koniec. Zostaliśmy przez mleka. Było bowiem dwie krów lecz mało dawały, bo były na ocieleniu. Potem zdechło trzy świń wartości jakich 200 zł. Lecz najgorsze było to, że nikomu człowiek nie zawinił, z nikim się nie kłócił, myślał człowiek, że z wszystkimi żyjąc po ludzku już może się niczego nie obawiać z ich strony. Ukradziono mi raz w nocy nowy, niedawno kupiony wóz, za który zapłaciłem 200 zł. Później zaś ukradziono mi to kur kilka, gęsi, śmietaną i masło. Trzy razy było to w lecie. Człowiek się w polu napracował, potem snem kamiennym usypiał i ciężko było upilnować. Obliczyłem kradzież na 200 zł. To było gorsze niż zaraza. Co wtedy się człowiek nazemścił, nakłócił z żoną, nabiedolił, a tu ludzie zda się sprzyśięgli się i chcą doszczętnie nas zniszczyć. Narzędzia wspólne już się popsuly i sąsiad naprawiać wspólnie ze mną nie chciał, rzuciłem to do djabła „niech se weźmie” i choć dług był, pożyczyłem jeszcze wagę wartości 110 zł. i drapacz 105 zł. Kupiłem sieczkarnię około 250 zł. Do tego zacząłem jednego syna posyłać do gimnazjum, lecz zaraz przestał. Rocznie trzeba było płacić 500 zł. Zadłużyłem się srodze. Gdzież to podobne przy tylu nieszczęściach i długi uczyć się. Na same procenta nie mogłem później wyrobić. Człowiek pracował, charował, zabiegał jak mógł, a to wszystko na wiatr. Przez swoje życie podobnego coś nigdzie nie widziałem. Jak co nie zdechnie, to weźmie złodziej. Słowem, zrobiło się okropnie. Do tego zmartwienia w rodzinie. Zachorował najstarszy syn, ledwie się wylizał

z niej. Kosztowało mnie to 200 zł. Istna Sodomia i Gomora. A tu czas szedł coraz gorszy. Produkty rolnicze zaczęły tanieć, podatki wzrastać, rzeczy przemysłowe zaś ani drgnęły. Nieraz człowiek począł się zniechęcać do pracy i opuszczać. Później oddałem pieniądze żydowi, a pożyczyłem u jednego katolika po 3% od sta na miesiąc. Co roku płaciłem już o 1% mniej. Nadarzyła mi się wtedy dobra sposobność do pożyczki. Siostra mej żony była z mężem we Francji i zarobili 1000 zł. Te pieniądze przysłali na naszą prośbę na procent jaki był (2%) i na czas nieograniczony. Bowiem gdyby kiedyś przyjechali, to dopiero im się miało oddać. Nikt się nie spodziewał co nastanie. Myślę sobie: „No kiedy tam oni mogą przyjechać, jak niedawno pojechali, dobrze im się powodzi i tyle pieniędzy zarobili”. Pieniądze wziąłem (coprawda bez weksli — ludzie ufali mi) i oddałem część długu. Stało się inaczej niż sobie myślałem i zamierzałem. We świecie zaczęło się psuć, pracy brakło i w roku 1931 na początku w zimie przyjechała siostra żony z Francji z dwójką dziećmi. Zamieszkała z nami razem. Miałem w tym czasie 3500 zł. długu u osób prywatnych prócz 500 w Komunalnej Kasie w Opatowie. Nastaly djabelskie czasy. Ani rusz z miejsca. Było w domu tedy co niemiara. W domu ciasno, pisku, wrzasku i różne niesnaski. Pieniądze trza było oddać, bo chciało postawić se chałupę. Ale skąd tych pieniędzy wziąć? Pożyczyć nigdzie nie można, żydy dać nie chcą, boją się bo im dużo zaczęło przepadać u ludzi. W domu zaś trza się ogarnąć, wyżywić. Znikąd niema deski ratunku. Z wielkim żalem i wstydem musiałem sprzedać najdalsze trzy morgi. Będzie temu trzy lata na wiosnę. Wziąłem za nie 3.500 zł. Oddałem com był winien, uspokoiłem się i jeszcze pozostało na dziś 300 zł. długu w Kasie Komunalnej, które spłacam ratami. Procent mały bo po 12 od sta na rok. Myślałem wtedy, że już będę spokojny, nie będzie tych zmartwień, nocy niespanych, kłopotów z procentami i t. d. Ale tak nie było. Człowieka coś tak w myśli żre za utratą tych paru mórg, za które musiał się poniewierać po świecie, nie dojeść, nakłopotać, a teraz oddawać za lichwiarskie wyzyski, za ludzką złość, za krzywdę. Stanęło. Wszyscy siedzą w domu, bo do gospodarstwa trza jeszcze dołożyć na nowe budynki i t. d. Dziś się nigdzie nie wyjedzie nie zarobi. I gdzie się człek z kim nie zetknie, wszędzie dziś prawie jeszcze gorzej. Są tacy na naszej wsi co nieraz dług przekracza wartość ich ziemi i budynków. Nie pierwszy ja taki byłem i nie ostatni. Bo choć nieraz ktoś człowiekowi śmie coś zarzucić z gospodarowania, ale sam gorzej jeszcze ma, a czeka Boskiego Zmiłowania.

Mówiąc o tem co wyżej opowiedziałem, a syn zapisał, dużo spraw pośledniejszej wagi poszło w zapomnienie, a tylko ważniejsze co w pamięci utkwilo z całą moją o tem wiadomością opowiedziałem. A co nas dziś czeka gospodarzy małorolnych i bezrolnych, jak żyjemy, jak gospodarzymy, jak ubieramy się i t. d. z całą dokładnością i prawdą na następnych stronach opowiedziano.

Pracuje nas na gospodarstwie dziesięciomorgowem pięć osób. Jest dziewięć mórg ziemi uprawnej, pół morgi łąki, ćwierć morgi lasu i podbudynki i ogródek. Las na przyszły rok już wykopiemy do reszty. Ziemia jest niezła, górkami trochę gorsza, w dwóch kawałkach. Zaliczona do pierwszej i drugiej klasy. W jednym kawałku sześć i pół morgi z zabudowaniami, łąka oddzielnie i trzy morgi z lasem o jaki kilometr od domu. Położenie pod budynki nie jest odpowiednie, bowiem znajdują się w samym rogu dwóch dróg idących z zachodu na wschód i z północnego wschodu na poł-zachód skąd skręca się za budynkami na południe. Sam klin ziemi zajmuje sadek pod warzywa z kilkoma śliwkami, gruszkami i jabłonkami (wszystkiego 11 sztuk) jeszcze młode. W nim piwnica na mleko a zimą na marchew, lub kartofle. Obok niej kopiec z burakami pastewnymi, a dalej na południe w drugim końcu ogrodu stos gałęzi drzewa dopełnia sobą ogrodzenia ogrodu. Dalej na południe koło drogi dół z ziemniakami, a od niego prosto za zachód za stodołą kopiec też z kartoflami. Budynki na zachód od sadku a raczej ogródka. Chałupa koło drogi frontem na południe a niżej od stodoły o dobry łokieć. Z południowej strony stodoła z małą wystawką na drzewo i narzędzia, a z zachodniej strony chlew z swemi drzwiami na oborę na wschód. Łączy się on swym szczytem ze stodołą a brzegiem stajni z chałupą, których łączy furtka pół metra szerokości ze ścianą południową chałupy. Do chlewa od strony obory i stodoły przystawiony chlewek dla gęsi i huda dla psów. Obok domu a płotem ogródka droga wyjazdowa z obory, a druga koło stodoły do lasu. Za dwa lata z lasu nie zostanie nic. Budynki stare, spróchniałe z przed wojny jeszcze. Kryte już kilka razy słomą i popodpierane. Brak pomieszczenia. Obora szerokości chlewa, długości około 30 łokci. Do tego przystawki zajmują sporo miejsca. Niema gdzie pomieścić narzędzi i przerzuca się ze stodoły pod wystawkę, to na górę lub stoją na dworze. Wóz zawsze na oborze. Brak wystawy na ich pomieszczenie i drzewo. Latem drzewo na dworze, zimą znosi się do stodoły w miejsce wymłóconego zboża. Chlew też jest bardzo nieporęczny. Coprawda to jest za blisko nawet, a gnojówka od krów

nie może odchodzić, bo zastawia chlew świń i konia. Brak gnojowni. Gnój przed samem oknem. Umęczenie z nim, bo co się wyrzuci, trza zaraz wywozić na pole w przyzmy. Obok ścieżki, która prowadzi około południowej strony chałupy do sieni w zachodniej stronie, rynsztok którym spływa podczas deszczu woda od stodoły i płynie obok sieni a chlewem po pod furtką. Chałupa ogacona na zawsze, latem i zimą, bo ruszyć nie można. Wszystko prawie spróchniałe i przyciesi nic niema. Pod oknami ściany zgniły, a one w dziwny sposób się pokrzywiły. Co rok staje się chałupa coraz niższa o kilka centymetrów. Położenie bardzo niezdrowe. Latem trudno się ugnąć od much co blisko chlew. Pamiętam, jak jednego roku, byliśmy w pracy przy żniwach. Około południa ktoś nas zaczął wołać do domu bo się coś stało. Gdy przyszedliśmy okazało się, że jakiś akademik (w białej rogatywce) przyszedł kupić mleka. A że to mu się nie spodobało, że tu ciepło aż miło, a chałupa ogacona, gnój niedaleko, chlew, jał wymyślać matce. A że kobiety zawsze porywcze, nie dające sobie nic przetłumaczyć dalej się kłócić. Coprawda to i wstyd przed takim urządzeniem ale co dzisiaj można zrobić i zaradzić. Na postawienie nowych trzebaby ze 3000 zł. Do tego 300 zł. długu jeszcze mamy, trzebaby założyć sad, z czego najlepszy dziś w gospodarstwie dochód. Studni też własnej nie mamy, a nosimy wodę z gromadzkiej o 200 metrów od domu. Chcąc gospodarstwo doprowadzić do takiego stanu, jak się rozumi, trzeba 5000 zł. A to trzebaby wystawę postawić, nową wialnię, walec do roli, brony żelazne, bo drewniane już się rozlatują i wiele innych. Czy to śpichlerz na zboże, beczki na nie, gnojownie wycementować, lub wybrukować ścieżki w obejściu i t. d. A tego dziś nic nie można zacząć robić w gospodarstwie, ni kupić, bo na samo życie ledwie dziś wystarczy. Wszystko się naprawia i aby dalej. Nie chcąc być gołosłownym, podam przykład z dochodu i rozchodu w naszym gospodarstwie. Cnoć rachunków gospodarskich nie prowadzimy i szczegółowo przedstawić nie mogę, ale w przybliżeniu tak by się rzecz przedstawiała. Najpierw dochód ze zboża. Zasiano w tym roku pszenicy jeden mórg 200 prętów z czego było osiem kop. Z kopy dwa metry wszystkiego 16 metrów. Z tego na wyżywienie rodziny osiem metrów i jeden metr na siew. Zostało siedem metrów po 20 zł. (cena rynkowa) wyniesie 140 zł. Żyta z jednej morgi stu prętów nic się nie sprzeda, wszystko na swój użytek. Potrzebno dla nas osiem metrów. Tyle też zebrano. Jęczmienia z morgi zebrano pięć kop. Po trzy korce z kopy da wszystkiego 15 korcy (około 6 metrów). Nic się nie sprze-

da. Wszystko wyjdzie na ospę dla świń, trochę dla nas na kaszę, dla kur i zasiew. Owsa z dwóch mórg zebrano 10 kop. Z kopy cztery korce czyli 40 korcy wszystkiego, a około 26 metrów. Dla konia z tego, dla kur i gęsi przeciętnie 10 metrów. Na siew trzy metry. Razem 13 metrów na domowy użytek. 13 metrów zostało po osiem zł. metr równa się 104 zł. Z paszy nic się nie sprzedaje. Wszystko wyjdzie dla inwentarza. Do tego należy doliczyć za buraki cukrowe dla fabryki. Było ich 42 metry po 4 zł. metr co wyniesie 168 zł. Kartofli też się nie sprzedaje. Innych dochodów niema prócz świń. Rocznie sprzedaje się trzy świnię od 180 klg do 200 po jeden złoty, (tak nam zeszłego roku zapłacono). Z inwentarza jeśli się sprzedaje na trzy lata krowę, lub cielę małe to wejdzie w dom, na ubrania lub na remont narzędzi. To jest dochód mały i niepewny.

Więc jak wynika z obliczenia za zboże wychodzi:

Za pszenicę	140 zł.
Za owies	104 „
Za buraki	168 „
Za świnię około	600 „

Razem . . . 1012 zł.

To jest dochód na który można liczyć, gdy się nie stanie wypadek w gospodarstwie, nikt nie zachoruje i t. p. Za drób czy gęsi doliczyć 70 zł. Wszystkiego — 1082 zł. Z tego zaś trza dla pięciu osób kupić ubranie od święta, od robotnego dnia, buty, grubą odzież, bieliznę i różne drobiazgi, na co przeciętnie wyjdzie po 150 zł. na osobę co równa się 600 zł. Wyplącić do kasy długu 100 zł. Podatku zaś (podaję z 1932 r.):

Podatku wyrównawczego gminnego	9 zł. 33 gr.
Podatek gruntowy (sejmik)	19 „ 37 „
Podatek gminny	24 „ 28 „
Podatek gruntowy państwowy	39 „ 23 „
Podatek drogowy sejmikowy	22 „ 10 „
Podatek drogowy gminny	44 „ 19 „

Razem . . . 158 zł. 50 gr.

Do tego zaległej asekuracji	20 „ — „
i ulgi danej mi	22 „ 50 „

Rocznie płaci się . . . 201 zł. — gr.

Z podatkami mało zalegam i zaraz płacę, bo bym się pozbawił zaraz krowy lub poduszek z domu.

Na tytoń, za który po obliczeniu wychodzi 100 zł. i różne jeszcze drobiazgi jak remont narzędzi i kupna np. podków, kos, sierpów, i t. p. rzeczy 100 zł. A więc za ważniejsze wydatki wychodzi:

- 1) ubiór czyli odzież dla rodziny — 600 zł.,
- 2) długu spłacić — 100 zł.,
- 3) podatku około 200 zł.,
- 4) na wydatki: machorka, reperacje, około 200 zł.,

Razem 1100 zł.

Coprawda rachunek nieścisły, a podatek podawany z kwitów, którego dziś się więcej płaci, lecz wydatków więcej się trafi niż dochodów.

Nic nie zarobimy do tego, prócz oszczędności na butach dla swojej tylko rodziny. Za nabiał, drób idzie na domowe potrzeby jak nafta, sól, cukier, kawa, herbata, pościel, na różne domowe drobiazgi i na kupno naczyń.

Jak można dziś myśleć o stawianiu budynków, kiedy jedno drugie nie chce pokryć. Sobie trza ująć, jak tylko można łątać, aby się znowu nie zadłużyć. Na wszystko czeka się lepszemu czasowi. Posiadamy w gospodarstwie: dwie krowy i cielę, trzy świnie, konia, 20 sztuk gęsi i 30 kur. Do tego pięć par gołębi, dwa psy i kot. To wszystko co żyje i co oddycha, prócz mysz, których pełno w stodole i szczurów w chlewie. Krowom zimową porą dajemy siewkę owsianą, lub jęczmienną z plewami i buraki pastewne do dojenia. Słoma żytnia idzie na poszycie strzech i na powrósła. Latem pasie się w lesie. Daje się im koniczynę oprócz tego i liście z buraków do dojenia. W zimie koniczyny i siana jedzą bardzo mało. Naci z buraków nie kisimy na zimę, bo za miesiąc już ją zjedzą. Koniowi rżniemy siewkę pszenną, miesza się z owsem, plewami jęczmiennymi i owsem. Zimą, jesienią i wiosną dodaje się mu koniczyny i siana. Latem je samo siano i koniczynę. W tym roku zasadzono 100 prętów buraków pastewnych i marchwi, a drugie 100 prętów zajmowały buraki cukrowe. Do tego jeden mórg koniczyny na paszę i nasienie i siejemy wykę i na zielono daje się ją krowom. Kartofli zasadzone było jedna morga 100 prętów — około 150 korcy. Świniom gotuje się dziennie dwa razy, rano i w południe po dwa sagany, przeszło dwie opalki. W tem już i dla kur. Czasem na przednówku trza jeszcze z pięć korcy dokupić kartofli. Do kartofli dodaje się im ospę i trochę siewki. Gdy już podrosną świnie, dajemy im same kartofle i ospę w dużych

ilościach. Oprócz tego gotuje się z pomyj picie z ospą. Siejemy na kopaninie lasu proso dla siebie na kaszę i rzepak, oraz wykę na nasienie. I sami musimy wszystko zrobić. Do niczego nie najmiemy. W jedne kopania lub żniwa czasem się najmie, w ten sposób, że im się za robotę wywiezie gnój, zwiezie kartofle. Tak wspólnie z najemnikami pomagamy sobie, aby nie płacić. Gdy dostaną od kogo pole pod kartofle to się im go obrobi i wszelkie inne prace. Nigdzie nie zarabiamy. Gdyby się trafiła jaka praca to chętnie ją przyjmujemy. Podczas lata, kiedy pracy jest dużo wcale nie używamy nafty. Trzeba się też srodze obrobić. A dzień długi. Wszyscy wspólnie pracujemy około gospodarstwa. Specjalnego podziału pracy nie ma Lecz w taki mniej więcej sposób możnaby ją sformułować. Starszy brat z ojcem robią cięższe roboty. Mają zasiać, zaorać pole, kosić siano i zboże młócić. Dbać o całość budynków, płotów, obrządzać inwentarz. Podczas żniw wszyscy czterech idziemy w pole. Praca zależna od pór roku. Najmłodszy pasie krowy i pomaga matce. Starszy od niego drzewo rąbie, rżnie sieczkę, obrządza inwentarz, pomaga ojcu i bratu starszemu, czasem młóci i t. d. Matka zaś gotuje, pracuje około nabiątu, obrządza świnie i drób, doi krowy i wszelkie prace koło kuchni. A to prac, bielić izby, lepić jesienią chlewy, latem pomaga nam sadzić kartofle, plewić buraki, potem obcinać nać z nich. Zimą drzeć pióra, czasem prząść nici na domowy użytek. Wspólnie sobie pomagamy, jak jest która robota pilniejsza to się ją robi zaraz i w więcej osób. Całą zimę młócimy zboże, koniczynę nasienną, wykę, robi się powrosła i t. d. Słowem schodzi codzień na szarej, codziennej pracy „chłopskiej” gospodarskiej. W wolnych chwilach, które mamy wieczorem jesienią i zimą poczytamy z sąsiadami gazetę. Chociaż trudno, ale na nią musimy się wyskrobać, bo to rzecz nieodzowna, jak gospodarska „Przysposobienie rolnicze” i tygodnik polityczny. W niedzielę zaś schodzi czas na gawędach z sąsiadami to o gospodarstwie, to do kościoła trza iść, czasem na zabawę czy granie. Latem czasu zupełnie brak. Ciągłe jest co robić i na zimę się przysposabiać. Ojciec często wieczorami naprawia zimą buty. Długo jednak wieczór nie siedzimy, bo „szkoda nafty” powiadają rodzice. My młodzi czytamy książki z biblioteki pożyczane. Oszczędza się na nafcie, na różnych rzeczach i na ubraniu. Teraz dla siebie z towarów rękodzielniczych nie kupujemy, ale mamy zamiar nazad powrócić do własnego wyrobu. Chodzi się w robotny dzień w ubraniach, jakie są. Połatane, podarte, buty takie same, aby było. Ściąga się z góry teraz trochę lepsze ubrania z lat zeszłych i nadal się ich używa. Młod-

szy wdziewa ze starszego, a do ostatniej nitki zedrzeć. Na święto mamy oddzielne ubrania całe, trzewiki, jesionki, lub grube kurtki. My chodzimy w krawatach podług mody i w czapkach lub kaszkietach. Życie prowadzimy niezłe. Chleb na chleb musi być. W ważniejsze święta, dwa razy do roku piecze się placki. Życie prowadzimy prawie jednostajne. Rano barszcz i kartofle, ciągle, raz w tygodniu kawa. Na obiad kluski z serem i ze słoniną, z mlekiem lub cukrem. Do tego rzadkie kartofle, lub kapusta z grochem, kasza z mlekiem, lub z słoniną. Na zmianę. Raz jaglana, drugi raz jęczmienna. Masła nie jemy, bo lepiej się opłaci sprzedać go i kupić słoniny, bo wystarczy kilogram na tydzień. Masła nie starczyłoby. Na kolacje jemy resztki z obiadu i mleka. Nie gotuje się kolacji wcale. Gdy komu tego mało lub niedomaga pije herbatę z serem i chlebem. Czasem jemy też marchew i gałki co po naszymu „pyzie” zwiemy. Mieszkań wyborowych i sprzętów nie mamy. Same rzeczy tylko niezbędne i potrzebne. Chałupa składa się z sieni, komory, kuchni i pokoju. Wchodzi się najpierw do sieni, gdzie jest wejście od obory z południowej strony w zachodniej części domu. Zaraz w kącie po prawej stronie stoi jarzmo do noszenia wody, łopata, mietła i koło nich puste wiadra z wody. We wschodniej ścianie drzwi do kuchni, w północnej do komory, nad którymi wisi przetak do wysiewania zboża. Na ścianie zachodniej wiszą sierpy. Za drzwiami zaś beczka z ospą dla świń i ceber dla tłuczenia kartofli. W powale otwór z deskami wystającymi z powały — na górę i drabina ze szczebli. W komorze łattem leżą na kupkach kartofle i buraki dla krów. To wiosną. Stoi skrzynka z podartą bielizną, kufer z całą i chustkami matki. Stara szafa z potłuczonymi naczyniami, trochę sprzętów na półce, jak świderki do drzewa, piła i t. p. U belka wiszą przedzionka z lat poprzednich na wyrób płótna. Po prawej stronie od drzwi do kuchni kupka śmieci z miotłą, które się uzgarniało rano z ziemi obu izb. Po lewej zaraz za futryną dwa lub trzy wiadra wody. Za nimi ceber z pomyjami, pod samą ścianą nad cebrzykiem ławka raczej stołek stoi, a na niej garnuszki do picia wody, dzban z barszczem kiszonym, łyżki, warzocha i denka do przykrycia naczyń. Nad nimi na ścianie zachodniej wiszą łyżki dwie większe, do pierogów wyjmowania w święto i do lania barszczu czy mleka. Za nimi stoi pod północną ścianą łóżko, swą długością omal pieca sięgające. Nad nim obraz na ścianie, a nad głowami jego koło łyżek tarka do tarcia kartofli. Pod nim trochę garczków i balja, żeby się nie rozeszła na dworze. Piec swą długością wysuwa się przez większe pół izby, a swą grubością

tworzy ścianę wschodnią z pokojem łączącą się. Koło ściany północnej otwór na piec, gdzie za murkiem blachy do placków, mydło, niecka do mąki, woreczek ususzonych ulegątek, cebula i trochę łachmanów i szmat.

Przed nim drzewo, patyki i korzenie, któreśmy wiosną ukopali. Na kominie pod kapą garneczki z kartoflami, z mlekiem owarzonym, z kartoflami dla świń i kur. I inne potrawy. Na kapie łyżki, garnuszek do herbaty, czajnik z esencją herbacianą. Obok zaś zwisa drut, na którym wisi lampa. Obok na jednym i drugim murku, obok kapy stoi zegar budnik i austriacka manażka z solą. Obok drzwi po prawej od wejścia pod ścianą południową stoi stołek, od ściany do stołu. Stół pod oknem, które się jakoś ze starości pokrzywiło i nie da się otworzyć bo zabite gwoździem i ogacone. U jego zaś podstawy deska wklęsła z dziurami. Nad stołem wisi drut do lampy, gdzie wieczorem się czasem czyta. Po drugiej stronie ławka do ściany wschodniej. Od niej z jeden metr do drzwi pokoju. Na ścianach gwoździe na czapki i kurtki. Pod stołem zimową porą kartofle, a pod ławką buraki. Latem gęsi małe lub kurczęta. Na belce koło stołu u powały wisi latarka, a na środku niej gwóźdź od brony do oporządzania świń po zabiciu. Po jego białości wapna widać, że dawno tej czynności zaniechał. Jedna połowa drzwi pokoju zawsze zamknięta, gdy druga ciągle prawie przez nieuwagę otwarta. Na nich dwa ręczniki. W futrynie ich gwóźdź do lampy skąd w ważnej potrzebie oświeca dwie izby naraz. Za drzwiami po prawej stronie stoi pod ścianą południową szafa za szkłem, przez które widać talerze, szklanki, flaszki z octem i garnuszki. Obok na brzegu wystającym w jej połowie od dolnej części szafy stoi flaszka z naftą, miski, łyżki, garnuszki i pudełko. W spodniej części za drzwiczkami garneczki z mlekiem, słonina, cukier, ser, chleb i donica na kluski. Obok szafy tej pod oknem stół, na nim kasetka, lusterko i grzebień. Na północnej i południowej ścianie za stołem łóżko z pościelą sięga aż do zachodniej ściany. W środku tej ściany okno z kwiatkami i za firanką, pod nim stół. Na nim trochę książek. Na ścianach osiem obrazów z wizerunkami świętych. Obok drugiego łóżka na północnej ścianie szafa na ubranie od święta. Obok niej a łóżka walizka a w niej trochę gazet. Po lewej stronie drzwi obok pieca stoi maszyna popsuta a za wystającym piecem a szafą stojącą na ubrania, stoją buty od święta. Na ścianach grube kurtki wiszą i skrzypce. W głębieniu za piecem glina do suszenia ziemi. Obok stołów cztery krzesła. Na górze domu zaś stoją próżne beczki, bo się teraz nie młóci, czeka się jak będzie droż-

sze. Stoją worki z mąką, chleb na nich, warsztat do robienia płótna, trochę desek, łachmanów, szmat, flaszek, żelaziwa, kopyt do robienia butów, tryków i plewy po całej górze dla krów, żeby było w domu ciepło. Na strychu zaś w chlewie siedzą kury, liście i słoma. Pod strzechą i w chlewie gołębie siedzą. Ot i wszystko i wszystkie rzeczy. Dawniej naprzykład mówiono, że zdała by się w gospodarstwie maszyna do młócenia i kierat. Dziś jest to zbyt ciężkie i lepiej zrobiono, że nie kupiono. Bo gdzież tu podobne na takie gospodarstwo maszyna czy żniwiarka, albo siewnik, kiedy za złotówkę (z życiem) robotnik cały dzień będzie robił. A tu niema znikąd dochodu prócz gospodarstwa. Dawniej można było zagranicę wyjechać czy tak gdzieś na zarobku, dziś nie. Dziś robotnikowi bezrolnemu brak pracy. Dziś niema wyjścia z tak trudnego położenia. Jest nas w domu trzech i rodzice, do żadnych instytucji nie należymy prócz miejscowych, jak Koło Młodzieży i partji politycznej. Żadnych kółek rolniczych czy prowadzonych konkursów z lat dawnych niema. Żadnych dochodów z tych niema, a jeszcze trza dokładać na legitymację i składki. W domu brak na rzeczy naukowe czy kulturalne. Kupić książkę czy radio to dziś na wsi i u nas nie można, bo są potrzeby inne wprost konieczne. I tak: na nas wypada po trzy morgi ziemi. Starszy, że najwięcej pracował dostanie cztery morgi. Żadnych innych dochodów prócz tego niema i wcale się na więcej nie zapowiada. W żadnych instytucjach czy stowarzyszeniach i kasach oszczędności ani grosza nie mamy prócz 50 zł. udziału w Komunalnej Kasie. I to jeszcze z musu, bo jest łatwiej z udziałem dostać pożyczkę. Po ożenieniu się za żonę weźmiemy drugie trzy morgi. A gdzie budynki? Bo chociaż można by się ożenić bogaciej, ale zgody już niebędzie wtedy, bo ciągle przy jakichkolwiek nieporozumieniach, już będą wchodzić swe wartości, a to, a tamto, nie miałeś nic i t. d. Bo co prawda na sześciu czy pięciu morgach przy dzisiejszych ulepszonych uprawach roli można się utrzymać. I to trudno, bo nawozów sztucznych się nie kupi (my nic nie kupiliśmy od powstania gospodarstwa), bo drogie i się nie opłaci w stosunku do cen zboża. Można by było żyć, ale gdyby nie było do tego długu, a gotowe budynki i trochę zagospodarowane gospodarstwo. Dziś na wsi o ile kto się żeni, to siedzi potem z rodzicami żony po dwie, trzy rodziny i czekają lepszego czasu, by na swoje iść i dom wystawić. My już nad tem zastanawiamy się i coraz więcej w tym kierunku daje się słyszeć głosów. No bo jakże. Pamiętam gospodarzy przedwojennych co mieli po 25—30 morgów ziemi. A ich dzieci siedzą na 10 morgach lub mniej, a obec-

nemu pokoleniu wychodzi po dwie i trzy morgi. Dawniej tacy we wsi a gminie rej wodzili, dziś się zrównali z innymi. Ludzi przybywa coraz więcej a ziemi i zarobków brak. Dawniej zapłacił z morgi rubla podatku i o niczem nie myślał. Dziś trudno dojść co to za podatek, poco i skąd pochodzi? I wiele innych rzeczy. Słyszysz się od starszych, że wielokrotnie lepiej pierw było w gospodarstwie niż dziś. A co tu dopiero będzie z naszymi dziećmi? My dziś myślimy w ten sposób: ożenić się i iść na swoje gospodarstwo, wybudować się, kupić narzędzia i t. d. i zapożyczyć się, to znacząłoby odjąć sobie połowę powietrza do oddychania. Człowiek już nie jest wolnym i nie wesołym, bo nad nim wisi nieraz coś strasznego. Ale gdyby wystawić dom wspólny, na dwie rodziny stodołę, chlew, a oddzielnie mieszkać w domu, dla siebie robić, zbierać, ale pod jednym dachem. Jednego zaś z nas spłacić. Bo chcąc wspólnie, razem, to dziś się nie da, bo jeden drugiego mógłby oszukiwać w pracy, lub w dochodach. A tak oddzielnie zbierać, młócić, mieszkać, nawzajem se pomagać i z jednych narzędzi użytkować. Czy to się da zrobić i wprowadzić to już zależy od nas i przyszłości. W inny sposób wyjścia niema. Wiemy, że razem żyć, dzielić się, wspólnie pracować, to zgody nie będzie. A tak, gdy każdy oddzielnie by kładł i swoje robił to może by się dało zrobić. Dziś co najwięcej nas dręczy to przyszłość. Gdy się nie zmieni na świecie i w gospodarstwie to już innego wyjścia, jak wskazałem niema. Bo na tem oddzielnie żyć co przypadnie na nas, to nie życie, a raczej udręka. Nawet starszy brat mógłby się ożenić już, ale że musiałby się zadłużyć, stawiać budynki i t. d., a to by dla niego znaczyło co w ciasnych butach cztery godziny tańczyć oberka, aż krew z nóg pójdzie, tego nie robi. Nie inaczej się dzieje i u innych. Wszędzie długu po uszy, podatków zaległych po 1000 i 3000 zł. Co oni dziś zrobią, kiedy na procenty nie wydadzą robić. No a jak żyje dziś bezrolny? Widzi się nieraz, bo się człowiek z takimi obraca. Mieszka ich razem po kilka rodzin, dzieci u nich najwięcej. Chleba mało jedzą. Na dwa miesiące pieczywo. A tak cały dzień kartofle i barszcz bez mleka. Dawniej niektórzy z nich trzymali krowę i pasali w lesie za co odrabiali. Dziś na to miejsce trzymają kozy, by mieć mleka trochę dla dzieci. W domu jest jak w chlewie. Co było z poduszek czy coś wartościowego to sprzedane na ubranie i życie. U nich niema od święta ubrania czy robotnego dnia. Za sprzedane gęsi czy prosiaka potrafią kupić jedno ubranie i w nim bez względu na święta chodzić. Łata na łacie. Dzieci w zimie siedzą ciągle w domu, bo niema za co butów kupić. W jednej parze chodzi ich ze troje. Zarobków

niema w zimie nigdzie. W lecie chodzą do roboty do pobliskiego dwora i zarabiają dziennie bez życia 1 zł. do 1.50 zł. W zimie chcą za życie samo i za 50 gr. młócić lub co inne robić. Dawniej to pojechał zagranicę, zarobków nie brak było, prędzej przychował coś i żył. Dziś dostaną od kogo z pół morgi ziemi najgorszej pod ziemniaki, żeby wygnoił i zasadził sobie kartofle, któremi się cały rok żywią. Każdy z nich do dołu przed okno domu nosi z lasu liście lub słomę po odjeździe cyganów, lub nawóz, tam wrzuca do gnojówki i to jest ich zajęcie. Nieraz w zimie mróz i zawieja, a tu do lasu muszą iść po drzewo. Co będzie, gdy las chłopci wykopią, nie zdają sobie sprawy. To jest bieda co się zowie. Przed wojną o ile miał zdrowie, chciał robić to żył po ludzku. A jak po wojnie dostał się do fabryki gdzie, to on nie chciałby się z sześciomorgowym gospodarzem za pracę pomijać i dochody. Nieraz się jeszcze wyśmiewał z „chama” i poniewierał jego pracowitość. Bo co mu brakowało, jak brał 5 zł. dziennie, mógł dzieci uczyć, kupić gazet i książek, był uświadomiony lepiej niż chłop. Dziś na wsi tacy gazet nie znają, o naukę czy różne rzeczy kulturalne nie dbają. Bo pierwsze to głód zaspokoić. Dziś karta się odwróciła. Na miejsce ojców nastaną dzieci, lecz bez widoków zabezpieczonych. Bo rodzice z dawien dawna zostają na żywotce u dzieci. Ale co może spotkać nas, to Bóg jeden raczy wiedzieć. Światem idzie dla ludzi wsi nędza coraz gorsza, coraz ciaśniej się staje, ludzie głodni i zda się że jakaś krzywda się dzieje ludowi.

P. S. O ile by Szanownym Panom nie sprawiało nic trudności z przesyłką i czy możnaby było, to poprosiłbym o (w miarę możliwości) po wydaniu dzieła o zawiadomienie, bym mógł go sobie sprowadzić, oraz jakie Instytut wydał książki z życiem wsi związane.

Dn. 22 listopada 1933 r.

Gospodarz (nie wymienił liczby posiadanych morgów) w pow. stopnickim

Niezmiernie mi to ucieszyło kiedy przeczytałem w gazycie gruździąckiej o pamiętniku. Zaros wte pedy zabrołem sie do pisanio. Chociaz ta bardzo pisać nie umie to jednok chce to co cuje co mi doligo i na sercu lezy tutaj umiejsczyć (Coprowda robota cęka w polu dosię przygniato ale niechta zawdy trocha casu sie nandzie aby te różne turbacyje i dolegiwości opisać.) Nie bede sie cofał w przezyte lata lecz opise lato tegorocne. Co przeszło to nos ta juz tak bardzo nie obchodzi, teraz nos to obchodzi co jes a nie co było. Boć te dzisieńse casy to chyba nogorse. Jo jak zyje nie pamiętom gorszych casów. Som niewim od cego zacoć ale myślę ze najlępi bedzie od tegorocny wiesny. Bóg scenśliwie doł dockać jakoś wiesny. Chocios była una zimno to i tak człowiek sie cieszył i raduwoł ze ji dockoł ze bedzie mug sioć, orać, sadzić jednym słowem jak to pedajo bedzie mug na ty nasy kochany zimi pracuwać. Człowiek ta sie do ni przyzwycail, tak jo polubił i pokochoł ze za zodne piniodze by ji nieodoł. Jakosi pod koniec marca przysły dni ciepłe i słonecne, ludziska rusyli sie do roboty. Robota sła sładnie. As tu pewnego dnia przychodzi sołtys ze gminny i powiada ze w tem tygodniu mo przyjechać do Piosku kilku sekwestatorów. Byłem natencos akuratnie we sklepie jak to sołtys godoł. Powstało strasne zamisanie kozdy pyto sie, kozdy chce sie co dowiedzić i zrobił sie taki harmider ze nikt nikoguj ni mugł zrozumieć. Wtencos sołtys pedziol zeby sie ucisyli i godali kozdy pokolei. Ludzie pocyni sie coroz wiecy schodzić tak ze wkuńcu zrobiło sie ciasno i dusno. Pocichuśku wyplizem sie ztamtot i posedem prosto do chałupy. W chałupie spali juz od bozy downości to tyz spokojnie ozebrołem sie i posedem spać. Z tego frasonku i turbacyje nawet nie jodem ko-

lacyje. Jakosi nimoge usnoć, przewracom sie z boku na bok jakby mi co doligało, baba zbudziła sie i pocyna swarzyć na mnie ze tak sie roje jak kwoka na jolkach. Nie fciółem ji taki przykry sprawy godać i scyganilem, ze mie kolka w boku źgo. No i na tem sie skuńczyło, kobita nazod usnyła, a ja do samego rana oka nimugem zmrzyć. Następnego dnia pogoda była jak sie patrzy, ludzie spiesyli sie by jesce w marcu zasioć to bedo mieli duze urodzaje. Kole południa baba skodsi sie dowiedziiała o tych sekwestatorach przylatuje do mnie s płacem i godo ze nom za podotki krowe zabiero. Ee zabiero pociesołem kobite, a moze i zabiero myśle sobie. Ale chyba nie mieliby litości i suminio zabirać ostatnie bydle. Prawie ze cały dzień chodziłem smutny i zły ale som nie wim na kogo i tak i owak medytuje i nie, nie moze nic wymyślić. Przypumniały mi sie downiejse lata kiedy to cłowiek szyckiego miół pod dostatkiem nawet i ksyne grosiwa od wypodku we krzynce lezało. Miołem sie w co ubrać jak sie przynolezy, a dzisioj prawie ze nic ni mom. Bida coroz wiekso zaglodo do chałupy, ziarna co było na zbyciu to sie wyniscyło, a tu dzisio trza sioć, a ziarna ino ino. Trzaby pore miarek zasioć icminia, pore owsa, chociozby z miarke prosa kiej zatatrać, bo przecieć jak nie zasiejes to i nie biedzies zbiroł. Z bido wielko zasiołem te troche owsa i icminia. Trzaby sadzić niedługo zimioki. Mom ich tam kilkanoście miarek, trza sadzić i trza jeś. Sadzynie pilne, a jedzynie jesce pilniejse, a tu cłowiekowi nowo bida dopiko, bo następnego dnia zjechało do Piosku śterech sekwestatorów, przyjechali z wozami z chłopokami do wynosynio ruźnych zecy, sof, kreseł, ziarna. Na domior złego sprzedili sobie policyjo z Dobrowody, aby casem nie dosło do jakich awantur przy zabiraniu. Przez całe dwa dni pladruwali po Piosku, pirsego dnia narobiło sie krzyku, cało wieś ludziska pošlatuwali sie i nie dawali zabirać zecy, u jedny gospodyni chcieli zabrać krowe, a ze ta drugo była curki to tys nie dała se zabrać, zamknyła sie w chlywie z siekiro i cekała az sie bedo dostajali, sekwestatory dawali pinć złoty zeby sie nalos wto taki i drzwi poroboł. Nik sie taki nie naloz, prosili policyjo aby uni to zrobili, ale uni tyz nie chcieli drzwi robać. Wtencos zawołali tych chłopoków co z sobo przywiezli ale tym nie doł syn gospodyni tego zrobić. Zmarnuwali prawie pół dnia i nic nie zabrali, musieli odyńś bez niceguy. Wsiowi chłopoki zopłotów zacyni wrygać bryłami i kamieniami za niemi. Policyjo kilku zahareštuwała i zabrała na posteronek. Nichtórzy musieli w kozie siedzić po dwa

tygodnie, a nawet i po miesiącu. Drugiego dnia ten rabonek odbył się nieco spokojni, ludzie co mieli ziarna to pochowali, bo przecieć jak mu zabiero to cemze zasieje i cemze bedzie zył. Jak u kogo napotkali ksyne ziarna to odrazu zabrali, u niektórych pobrali sofy, ławki, skrzynki, lustra, krzeselka, pierzynki, cieleta, jałówki wszystko pakowali na wozy i odstawiali do Buska. Pod kuniec drugiego dnia zarzieli do mie, baba jak mogła to posprzotała w izbie zeby jako po ludzku wyglodało. Wesli do izby zaros rozkładajo jakieś papiury przeglodajo i cosik piso w nich aze mi cirpki po skurze lotajo. Zaros odzywo sie gruby pon, słuchojcie gospodarzu sporo pieniedzy zaligocie za podotki musicie zapłacić, bo inacy to wom zabierzy jaki fant. Kochani panowie skodze ja wom wezme piniedzy, mom ino jedno krowine no i to co widzicie w izbie to cały muj majotek. Ano zobaczymy czy nie mocie co wiecy, zaros tyz pocyni gmyrać po różnych kotach ale nic nie naleźli. Dobrze chocios ze dziecióki spały pod pierzyncyno, bo byliby jo zabrali. A moze ziarno. Nima panie juz odowna kupuje sie do zycio, pochodzili po izbie pozaglodli w różne koty ale jakosi nic im sie nie udalo gdyz zapisali cosik w papiurach i wysli, a na odchodnem zekli zebym sie postarol jak przedzy, bo uni majo w niedługim czasie spowrotem przyjechać. Kwała Bogu ze tak sie obesli tak łaskawie zemo. Jak pojechali tak długi cos nie było ich widać w Piosku. Powoli ludziska jakosi ostygli z ty złości i zabrali sie do sionio. Kozdy sie uwija by jak nojchyzni zasioć. Trudno sie było doprosić o kunie ale jakoś zpomoco bozo zagrzebało sie i zasadziło, ale coś s tego nowo bida zaglodo do chałupy. Nojsomprzud skuńczyły sie zimiocki do jedzynio cus to pocoć trza sie kaj wystarać o piniodze ale skod, to pytanie. Idź człowieku po rozum do głowy, ano jak iś to iś, tom i posed ale nie do głowy ino do chliwa i wyprowadziłem ostatnio krowine na jarmark zeby z ni co urwać i zimioków kupić. Tak sie tyś zrobiło no i był spokoj jakis cas. Niedługo ciesyłem się tem spokojem znowu zabrakło zbozo na chlib nowe zmortwinie zwaliło sie człowiekowi na łeb. No ale teros to publicnie nima skod wzoś grosa jeden dzin minoł, drugi trzeci a tu jak nima skod wzoś to nima, jak na sćeście ociełiła mi sie krowa, rod nie rod musiołem ciele sprzedać i ziarna lo jodła kupić. Było to chyba jakosi w maju, zboze juz doskunale powyrostało człowiekowi aze radość ze tak wszystko rośnie w polu, człowiek w polu się raduje a w domu smuci. Gdy sie przyndzie do chałupy to ani soli nima za co kupić ani kawolka mydła do pranio ani zopołki. Chyba jus ze trzy lata

nie uswiatcy zopołki w doma, teros tak trudno o te dziesinć grosy jak downi o dziesinć złoty. O Boze, Boze dochot tak bedzie cłowiek sie morduwoł i mecył jas lzy cłowiekowi w oczach stajo gdy sie przypumno downiejse casy, skoda o nich mazyć i tak sie nie wruco. Po inse lata cłowiek zawdy se co przychowoł, predzy co ziarna sprzedoł, predzy kaj co zarobił a dziso to skoda nawet o tem muwić bo to wszyćko pruźne godanie.

— — — — —
— — — — —

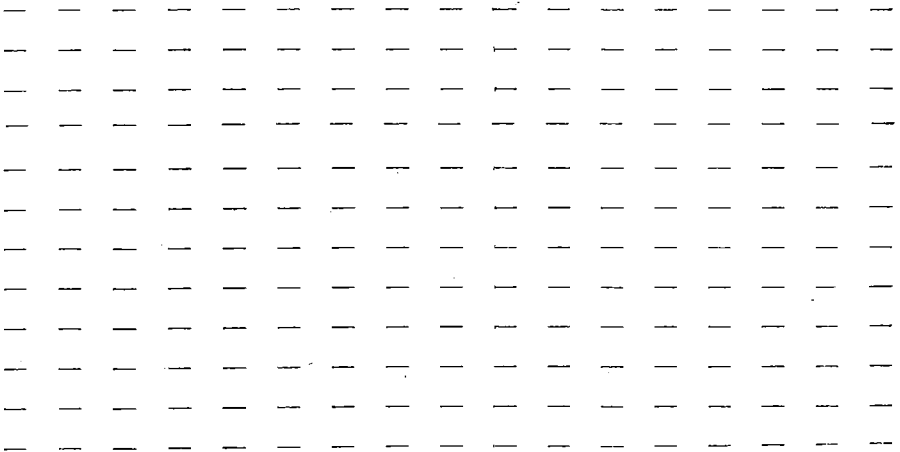
Nie zdożyło pore dni slecić a tu rozesła sie wieś ze jakosi tam sprawo z Witosem posta kiepsko; ludzie na znak załoby powywiesali corne chorogiewki na chałupach, ni stod ni zowod wzion sie policyjant i dali spisować tych co powiesali. Jo ta zodny chorogiewki nie wywiesił, akuratnie poprzedniego dnia był dysc a ze byłem w polu to tys doskunale zrugem. Baba moja powiesiła paleta na kołku zeby wyschło. Naros zjowio sie policyjant pise kare zem jakosi tam smate powiesił, wpodo do izby z wielgiem krzykiem pocom toto wywiesił jo ani słychu o nicem i godom mu ze nic nima a un mi pokazuje kapote na kołku. Adyć panie to moje paleta wisi od wcorańsa bo zmokło i baba go wywiesiła aby wyschło. Pruźne było moje godanie napisoł cosi w ksiosecie kozoł kapote z kołka zdjoć. Nigdy nimo cłowiek spokoju, ciegle ino sarpio na ruźne strony a to locego gnuj nie w porzodku, locego pies w nocy nie wiozany. Tyle cłowiek mo kłopotu kurowodu ze az chce łeb peknoć od tego wszyćkiego. Nie wysło może ze dwa tygodnie a tu przychodzi wezwanie ze gminny zeby stawić sie bo mo przyjechać starosta i sodzić nos za te chorogiewki. Zebrało nos sie moze ze śtyrdziestu i posli my do gminny, wyset pon starosta i pokolei wzywoł kozdego. Przysła kolij i na mie, wyłozylem cało sprawe jak sie nolezy, wtedy pon starosta pokrecił głowo pomedytuwoł i pedzoł ze mi zodny kary nie daje ale na przysły roz zebym cegoś podobnego nie robił. Serdecniem podziekuwoł i przyzyk ze nigdy nie bede wisoł kapoty na kołku. Nichtórzy podostajali po siedem, po pinć a nat i po sterności dni. Chłopi radzi nie radzi musieli za chorogiewki w kozie odsiedzić.

— — — — —
— — — — —

Cas hyzo zlecił zniwa nadesły niewiadomo kiedy, kozdy wto mugł spiesy w pole zeby wzoć zyta na pirsy chlib. Bóg jakosi tego lata doł ładne urodzaje, pogoda była nawet niceguy to tyz ludziska suche zboze do stodoł pozwozili. Kozdy odetchoł po tak strasnym przednowku chociez teraz cłowiekowi gład nie dokuco jak pirwy, nadesła młocka wszedy ozligo sie pacanie bo kozdemu pilno umucić ziarna na pirse potrzeby, troche trza odać zydowi zato co sie wzino na przednowku, troche sprzedać zeby co odzinio na zime kupić a co najwozniejsze zasioć. Jaze lzy cłowiekowi w oczach stajo gdy musi przedawać zboze prawie zadarmo ale trudno choć najwozniejse dziury trza połotać. Cłowiek pracuje w coła pocie przez cały Bozy rok i tako mo zapłate za te proce.

Wszyćkie niesceścia zwolajo sie na tego cłowieka i szyćko musi dźwigać na swoich barkach ten bidny chłop a tu jesce jado na niego, mordujo go ruźnemi karami kozami, grzebio cłowieka do ostateczności.

Nie dosić ze cłowiek napracuje sie jak kuń to jesce gorzy przesładujo.



Teraz to ino pełno gorycy wturo cłowiek musi pić ale tak pić zeby sie nie otruł a zaporešto kozdy chłop jes kwardy jak ten głos co na polu lezy, przetrwo choćby nogorse casy a gorszych juz chyba nie bedzie od dzisieńszych.

Cus nam tero wypodo robić, nic innego ino pracuwać milcyć i cekać jaz sie zmini na lepe i moze do Bóg ze kiedyś dockomy lepego jutra a jak nie my to moze nase dzieci. Zeby ten cas nadsed jak nojhyźni. Wtencos cłowiek culby sie sceśliwy i zadowolony z tego zycio bo dzisioj to nawet zyc sie nie chce, o Jezu Boze spraw lepsom dole temu co orze i obsiwo pole.

Dn. 24 października 1933 r.

Gospodarz na osadzie pięcio- morgowej w pow. iłżeckim

Urodzony jestem w roku 1898 we wsi Bieliny to jest powiatu Iłżeckiego. Rodzice moi byli małorolni, bo zaledwo posiadali 10 mórg ziemi i to bardzo lichej. Rodzina była biedna składająca się z dziesięciu osób, ponieważ były dzieci po dwóch matkach. Było nas dzieci osiem sztuk to też na takim kawałku ziemi wszyscy ni mieli zatrudnienia to ze co które z nas mogło utrzymać bat w rękę to musiało iść do ludzi. Ja jak zapamiętałem byłem to już troje służyło. Ja jako najstarsy po drugiej matce, a ze byłem chłopiem, miałem ojcu pomagać przy pracy ponieważ starsze odemnie były dziewczyny przeto ojciec mie zamiarował zostawić w domu, aby mu pomagać przy pracy na roli, bo ojciec był juz niezdrowy i po roli ni mógł chodzić.

Ale najprzód miałem chodzić do szkoły.

Ano kiedy skończyłem lat siedem miałem się uczyć. Ale gdzie szkoły blisko nie było posłali mnie rodzice do jednego gospodarza, któren trochę umiał czytać. Zaczęłem się uczyć, chodziłem całą zimę, bo w lecie to nie było casu, trzeba było paść krowy. Na drugą zimę posłali mnie do jednego dworu, który był 7 kilometrów od nas, tam się ucyłem trzy miesiące, bo dłużej tez ni mozna było, bo lato znów trza paść i tak się chłopskie dzieci ucą. Tyle było mej szkoły, chociaż zem się dobrze uczył, ale nie było na to funduszu zeby się uczyć i trzeba było ojcu pomagać, bo ojciec ni mógł robić i zacząłem pracować na roli chociaż byłem jeszcze niezdolny. Pracowaliśmy dopokąd znów brat nie podrośł, trzeba było znów mnie uciekać z domu, bo nie było za co kupić butów, ani ubrania. Trzeba było iść na służbę, mie ta służba sie nie podobała, postanowiłem pojechać zagranicę. Pojechałem do Niemiec mając lat 15. W Niemcach pracowałem pięć lat, jak nas tam niemcy traktowali, i jaki to był zarobek prawdziwie,

ze w Niemczech dopokąd wojna się nie zaczęła to można powiedzieć, że było niezłe. Ale ja pojechałem w roku 1914 to z początku niezłe, ale jak się wojna zaczęła to nie było wolno powrócić pokąd się nie skończy i Niemcy zaczęli się z Polakami inaczej obchodzić. Bo jak się rozpoczęła wojna to nas tak pilnowali, że nie wolno Polakowi jednemu przez Niemca nawet w pole do pracy iść ani też trzech razem stanąć i rozmawiać. Ale gdy widzieli, że Polacy są spokojni, pracują jak i pracowali to też i oni nic nie mówili tylko ogłosili, że jest wojna i do Polski nam jest wrócić nie wolno. To też pracując rok jeden i drugi to jest 1914 i 1915, ale w 1916 roku to się już zmieniło, bo ujęli nam żywności, wydali cztery funty chleba na głowę i 25 funtów kartofli i tłuszczy czyli omasty do krasiewa 100 gram to jest na tydzień.

A robić trzeba było jeszcze więcej, to Niemców zabrali na wojnę, a my musieliśmy wszystko zrobić. Wydali nam inne kontrakta, musiano się na nich podpisać, a kto nie chciał podpisać to przyjeżdżał zandarm i bił bez litości. Kazali pracować wszystkie święta prócz niedzieli i pracować, a w niektórych miejscowościach to i w niedziele. Kupić żywności ni można było bo na wszystko wydali marki to też nie jeden Polak czy Polka zostali na niemieckim smętarzu umar na tyfus, albo na suchoty. A niejedyn przywióz suchoty do Polski, ale jak można było tak każdy cierpiał jak mug, a kiedy wojna się skończyła to każdy chce jechać do Polski, bo przecież gazety piszą, że Polska Zmartwychpowstaje, a tu Niemcy puścić jeszcze nie chcą i kolejami nie wolno jechać, bo kto chciał jechać to musiał mieć tak zwany bysiasydjak *) czyli musiał mieć pozwolenie od władz. A tu gazety piszą, że Niemcy już się z Polakami biją w Poznaniu. Ja jako ten, któryby już mógł stanąć w obronie tej ojczyźnie rzucam wszystko całą niemiecką robotę darując kołczyże **), 60 marek i całą tygodniówkę zarobku. Zabieram ze sobą 11 ludzi i uciekam chociażby i piechotą i tak sliśmy kilkadziesiąt kilometr piechotą o głódzie bo kupić ni można było nic. Przysliśmy z Meklemburga do Berlina w Berlinie już było parę tysięcy polskich ludzi, którzy się wałęsali też o głódzie i chłódzie kilkanaście dni nie wiedząc co robić czy jechać w stronę Polski czy wracać zpowrotem. To tam było dużo takich agitatorów, którzy namawiali ich, żeby się zapisywali jechali na ich kontrakta i zabierali od nich pieniądze i wywozili nazad w Prusy. Biedny narodziła tułał się jak obłąkany po obcym kraju. Ja ze swemi

*) Bescheidungskarte?

**) Kaucje

przyjechałem do Szczecina bo tam już polski konsul odsyłał do Polski i tak przyjechaliśmy do granicy to nasz transport przyjechał szczęśliwie. A sedł drugi transport to chcieli Niemcy pomrozić wszystkich, bo umarzło około 30 dzieci polskich i niektóre transporta to Niemcy tak ograbili, że zabrali im wszystko co tylko mieli.

Taki to był zarobek w Niemczech, tak nas biedny narodzina się poniewiera. Gdyśmy przeszli granice no to każdy tak jakby się na świat narodził. Zdawało się, że tu już jesteśmy w swoim kraju to już będzie inaczej. Przyjechaliśmy do Warszawy tu nas zebrali około cztery tysiące narodu, zagnali do jakiejś tam koszar za ogrodzenie, zamknęli i nie wolno nigdzie iść niby to miał być jakiś przegląd czyli rewizja przez doktora czy kto jakiej choroby nie wież zakaźny no i tam trzymają nie wolno na miasto iść co kupić tylko przychodzili przekupki i brali drugą tyłą cenę, jak w mieście za żywność, tak że kto miał jeszcze jakie pare marczyn to musiał wydać w Warszawie, bo trzymali pare dni i niewiadomo dokądby trzymali, żebyśmy nie zaczęli krzyczeć, że nam się chce jeść. A niektórzy już nie mieli tych niemieckich marek co tam zarobili przez pięć lat, niektórzy i dłuży nie wiem jak długo jeszcze ci ludzie tu siedzieli, bo ja tożem wymknął poza druty i przyjechałem do domu. Nie chciałem takiej opieki, przyjechałem do domu i tu nima poco, bo przecież tu ma kto robić. A nima co, nie wiem za co się brać. Zarobku nijakiego nima co miałem pieniędzy dałem rodzicom, bo to po wojnie w domu wszystko obdarte, buty drzewiane, zabudowanie zniszczone, bo starsze siostry posły zamąż, ojcu nie pomagają, bo muszą myśleć o swych rodzinach. Młodszych ode mnie było jeszcze troje w domu, wszystko nagie. Ojciec już robić nimoże, matka też, ci jeszcze zamłodzi na służbę niezdatni, bo co najstarsze to się w domu przyda, trzeba przecież paść chociaż i nie było bardzo co, bo przez wojnę wszystko zabrane. Była jedna krowina i parę gęsi, które dopiero miały się wylądź, konia nima, nadchodzi wiosna w polu trzeba robić nima czem. Pytam się ojca co mam robić, czy mam się zabrać i znów jechać gdzie, ojciec mówi tak, rób jak chcesz, tyś jest teraz najstarszy w domu, tobie oddam całą gospodarke na twoją głowę, jesteś młody musis na jaką radę dać. Pomyślałem i wziąłem się do pracy bo zał mi było ojca i tych młodszych co jeszcze nie mogli na siebie robić, aby ich nie dać na służbę, bo byłem pojechał nazad w świat zarobić. Ale co robić, kiedy wiosna nadchodzi, a tu nima nic, ani czem siać, ani czem robić, ani co jeść. A przecież było 10 mórg ziemi opuszczone tak, że do ostatniego stopnia. Wszędzie się leje, wszystko się wali, no ale tu nie było co myśleć trzeba było się brać do pracy, żeby co za-

robić, bo inaczej to nic z tego nie będzie. A tu narazie nima bardzo gdzie zarobić, ale zato po wojnie zaczęli się ludzie trochę rusać. Znalazłem robotę czyli objąłem się u jednego gospodarza, którego miał budować żnuć mu drzewo na te budowe, poszło mi nienajgorzej, zarobiłem, prawdziwie był to czas nie tak kiepski, bo po wojnie ludzie się do pracy brali, więc nie zmarnowałem żadnego dnia chociaż to była jeszcze zima. Ale pomału przychodziłem do czegoś, bo kupiłem trochę zboża na zasianie, trochę do życia tak, że byłem pewny, że wyląduje ze wszystkim bo chociaż nie miałem konia to już miałem odrobionego, że tylko przyjdzie wiosna to będzie cęm robić. W domu pozalaćwiałem wszystko ma każdego co jeść, chociaż ubrać się jeszcze nie było w co bardzo no ale i z tem było się poradzić, bo w ten czas to jak kto chciał pracować to i miał co i nie zadarmo byłbym może wszystko przyprowadził do porządku. Nareszcie przychodzi czas, że ojczyzna woła chodź synu tu, bo i tu ześ potrzebny i tu potrzebno porządku, to je czego nima, tak jak w twojem domu, trzeba tu zrobić przud, a później w domu.

A no to trudno wojna ojczyzna trza rzucać wszystko wszystkie zamiary i trzeba iść. Pozostawiłem ojca staruszka, bo liczył już 70 lat, choć matka była młodszą i tak wszystko pozostało. Posedłem na wojnę jak było na wojnie to dużo nima co pisać, bo przecież każdego wie jak jest na wojnie tylko tyle nadmienię, że prawie zem się nie nie ćwiczył, bo to było 1919 roku to nie było czasu tylko zaraz na nieprzyjaciela. Będąc na froncie ukraińskim trochę i na bolszewickim, jak tam było też opisywał nie będę tylko że powiem, że dobrze nie było. Ale to wszystko złe i dobre to się znosiło za ojczyznę z pewnością tą, że ona się kiedyś jako synowi odplaci za złe dobrem, tak przewojowało się trzy lata prawie. Nareszcie zakończyło się wojnę z tą pewnością, że teraz każdy na swym zagonie może śmiało ziemię przewracać i po polsku pieśni śpiewać. Tęgo ode mnie wymagała matka ojczyzna, a jako jej syn wszystko złe i dobre bo nieraz głód i chłód złożyłem jej w ofierze, jako wolny sobie Polak wróciłem szczęśliwie i cało za to mogę Bogu serdecznie dziękować.

Ale teraz co, powracam do domu pewny, że mi nieprzyjaciel nie grozi, szczęśliwie i w spokoju będę mógł pracować jako rolnik, bo nim jestem z zawodu i do tego jestem najlepiej przywiązany od małego dziecka i z uciechą tą, bo ojciec mi powiedział, że na mnie odda całą gospodarkę. Niestety przyjeżdżam do domu, a tu nima ani ojca ani matki, wkraść się ten nieszczęsny tyfus i zamordował oboje prawie że w jednym tygodniu. Mało tego jeszcze to prawie za ledwo matczyne ciało z domu wyprowadzili, bo zaraz w pierwszą noc po pogrzebie

zakradł się podły złodziej i zrabował wszystko co było pozostało. Z tem zabrał moje ubranie, bielizne, co przywiuzłem z Niemiec, tak ze prawie nie zostało nic tylko gołe ściany.

Co mam teraz pocąć. Ja przyjechałem tez goły tylko w jednej bluzie wojskowej i to jeszcze podartej, bo przecie dobry nie dali i spodnie tez podarte tak, ze nie mam nawet w czem i do roboty iść, ni ma za co kupić, w domu ni ma co sprzedać, bo jak odjechałem nie było tam wiele a przez ten cas się jeszcze gorzej zniszyło, bo robić nimiał kto i urodzić się nie urodziło, bo było zle obsiane, bo ojciec ni mug se dać rady. Teraz nie wiem co mam robić, było to na zime, tu ja nago i boso, bratów było jesce dwuch i siostra najmłodsza miała osiem lat, brat młodszy ode mnie miał 15 lat i to jeszcze niezdrowy, najmłodszy brat 12 lat. Wszystko nagie, teraz to już nimam zadnego zajęcia, o gospodarce nima mowy, bo sobie nie poradze w zaden sposób, a po drugie, ze po ojcowej śmierci wszyscy sie schodzą: jedna siostra, druga i trzecia nachodzą, były zonate, ale ojciec im nic nie dał, zadnego posagu. Kazdy chce wziąć co swoje, bo mu sie należy po ojcu, poniewaz cały majątek stał na ojcu.

A no trudno wszyscy nie bedziemy tu siedzieć, bo nima na czem, trzeba by zostawić jednego, zeby nie rozdwojać, bo nik nie będzie miał utrzymania. Ale splanąć nima kto, bo nikogo nie stać, wszyscy biedni zyją z pracy rąk, postanowiliśmy zostawić najstarszą i ugodziliśmy się, aby splanęła stopniowo, zacząć od starszego i kazden musi czekać, az na niego kolej nadejdzie. Ale ze był to cas mozna powiedzieć niezgorszy to pomału zaczęła splanąć, tych małoletnich zostawiliśmy przy niej, my dorośli kazden poszed w swoją stronę szukać chleba, jak mug. Ja narazie zostałem u siostry czyli w domu, bo przeciez nie mugłem iść nigdzie, bo ni miałem w czem bo zostałem nagi i bosy. Zaułem pracować w lesie, zarobiłem na buty, później na ubranie, tak ze pomału mugłem juz i pojechać gdzie dalej, później pojechałem na Kresy, pracowałem w lesie parę miesięcy, a ze mozna było zarobić nieźle, nauczyłem sie robić toporem, jako cieśla zarobiłem parę złotych. Przyjechałem z powrotem do dom tu nima czego siedzić. Postanowiłem sie ozenić, ale jak, ja nimam majątku zadnego prawie, bo 10 mórg jakie pozostały po ojcu rozdzielić na osiem części tu cuz sie kazdemu dostanie i to jesce nima kto splanąć, bo musowo czekać, bo odrazu wszystkim siostra nie mogła splanąć. No, ale u siostry nimam czego siedzić. Posukałem sobie taką samą sierotę jak i ja i ozeniłem sie. Zona miała po matce dwie morgi i ojciec jej dał morgę to mamy trzy, ale nima gdzie mieszkać, bo u ojca tez rodzina liczna, a budzina mała, nima nawet gdzie łózka postawić bo

juz było dwa, a trzecie by nawet nie wlażło. Ale było to latem to spaliśmy w stodole. Ale ojciec powiedział, że na zimę postawi sobie nową a nam zostawi starą no ale na tych trzech morgach nima co robić, bo ziemia licha, utrzymania tez nie będzie. Zostawiłem zonę, pojechałem znów za robotą, bo przecie do tych mórg nima nic, byłem pare miesięcy, przyjechałem na zniwa, bo przeciez trzeba zebrać. A no pozbierałem niewiele bo po wymłóceniu zasiało sie z powrotem, to po zasiwie pozostało mi dwa korce zyta i trochę kartofli. Za te pieniądze które zarobiłem zaraz po weselu kupiłem krowine, kupiłem prosie i zostawiłem znów zonę i pojechałem znów. Parę miesięcy zostawiłem zonę samą, która musiała załatwić w domu wszystko, ale ze wtencas było jescze łatwiej można było zarobić i tak sie żyło nawet można powiedzieć, że mi było niezle. Było nas dwoje to możnaby żyć, później ojciec jak powiedział tak zrobił, zostawił mi starą chałupinę i stodołę chociaż nie na własność, bo ojciec zony miał tez dwoiste dzieci, to zostawił to na cworo, ale ze budynczyny kiepskie trzeba było poprawiać, bo sie wszędzie lało. Ale jak mugłem ak poprawiałem i do tego casu mieskam. Z pierwszych początkach mego dorobku to moge powiedzieć, że mi sło dobrze, bo ja pracowałem po lasach, zona w domu tak, że zeby był sie cas nie zmienil to byłem sie tego dorobił. Ale sie robiło tak, zona a ja u ludzi, tak kupiłem sobie sieckarnię, kupiłem sobie drugą krowę, później było łatwiej, bo można było juz i z domu jaki grosz zrobić, było prawdziwie wszystko droższe, można było jaki gros zrobić z masła, trzymało sie pare kur choć na tych trzech morgach ni możnaby utrzymać dwie krowy, bo dla jednej niebardzo starcało, tylko trzeba było zarobić i dokupić. Ale jak na wszystko starczyło, tak ze przez pięć lat po weselu potrafiłem kupić dwie morgi to juz mam pięć. Ale i na pięciu nima utrzymania, bo rodzina coraz większa, od domu ni można nigdzie odejść, bo zona ni może sobie dać rady bo trzeba około dzieci robić, bo małe a jest cworo. Ale rady niema, jezeli się daje to trzeba iść zarobić, odjechałem jedną zimę zostawiłem zonę samą z dziećmi, zima była zatęga nie było drzewa, aby dobrze opalić, zona musiała się starać za drzewem, przy obrządku przyziębiła się i zachorowała, trzeba doktora. Pojechałem do jednego nie pomogło, do drugiego tez nic, położyła sie w łózko, co był jakiś gros, a tu nic nie pomaga, wyciąga sie co można co się urobiło, trzeba sprzedać poduszkę, bo trzeba leczyć, sprzedało się i drugą nie pomaga. Trzeba sprzedać jedną krowę, została sie jedna. Doktorzy mówią, że źle, przeznaczają lekarstwa i to coraz to drozse, narescie juz nima tego sie czypić. Wy-

niszczyło się wszystko, nareszcie to się podniosła z łózka, ale robić nic nie wolno i leczyć nima za co, rób co chcesz. Od domu nie można odejść, aby zarobić, a tu musowo, bo na tych pięciu morgach utrzymania nima, bo niechce starczyć do zycia. Przychować się niewiele przychowa, bo nima na czym, a chociaż by co przychował to teraz się nic nie opłaca, bo jak były casy lepsze, to się robiło tak, że trzymało się krowe to za nabiał można dla niej przez lato na zime żywności kupić, a teraz się nie opłaci. Otóż taki to jest nas los biednych ludzi, chociaż by człowiek ręce sobie urobił to do niczego nie przyjdzie i niczem być nie może, by tylko zawsze biedny. Teraz opiszę jakie to jest życie małorolnego, otóż w tem kryzysie z pięciu mórg ziemi piątej klasy jeżeli jest dobrze obsiane, żyta, jak dobry urodzaj to w tem roku był średni, wysiałem trzy metry to zebrałem trzy kopy. Z kopy po wymłóceniu, czyli kopa wyda trzy metry, to mam dziewięć metrów. Wysiałem trzy pozostało sześć, na chleb miesięcznie potrzebuję $\frac{3}{4}$ metra t. j. na rok 9 metrów to mi brakuje, trzy metry na chleb. Kartofli ukopałem 35 korcy, miesięcznie potrzebuje pięć korcy t. j. 60 korcy to może mi braknie 25, do tego to jęczmienia trzy metry i owsa trzy korce. To jęczmienia jakby trzymać jakie prosie to też trzeba kupić owies dla kur których 10, słomy, może być razem wszystkiej dwie kop do trzech to na pasę dla jednej krowy starcy, ale trzeba dokupić siana i na pościółkę słomy to na to możeby starczyło. Prosie jeżeli go będę mógł dotrzymać chociaż na 100 zł., kury mogą dać przez cały rok 25 zł. to się nie zje ani jednego jajka, chyba, że na święta, bo nie wolno. Krowe mam jedną to ni można na nią liczyć, że da jaki przychód, ale i ona musi dać, bo daje trzy litry mleka dziennie, to się odbiera tłuszcz i zrobi się masło, niech Bóg broni żeby dziecku pokazać masło, bo trzeba sprzedawać, bo jeżeli dzieciom masła to by musiało nago i boso chodzić, a tak to jak zbiera przez tydzień to się uzbiera na sól, bo przecież bez soli ni można jeść, choć nieokrasone, ale jak osolone to jakoś się lepiej zje, a nawet niektórzy to już próbują niesolić, bo nima za co soli kupić. Kura jak jakie jajko zniesie to też się go także nie zje chyba, że kto chory na płuca to jak się położy, że już nie może wstać to dopiero musi. Ale dzieci za to boso chodzą, bo i u mnie jest zona chora i od doktorów ma zakazane, a żeby dobrze jadła, mleko, masło, jajka, ale czy to robi, kiedy ni-mozna bo jest czworo dzieci małych, trzeba ogarnuć i obuć to z czego jaki gros się robi. Jedno chodzi do szkoły to też potrzeba to na zeszyt, to na książki, to atrament, to różne wymysły jak to te nase szkoły teraz wymagają. Tak że niejeden biedak nie posyła dziecka

do szkoły, bo nima na to wszystko skąd brać, albo nima w czem chodzić do szkoły to jescze przez lato to chwala Bogu, bo pójdzie bosu i w jakimkolwiek ubraniu, a zimą to nie wiem jezeli nima szkoły w swej wsi, to większa połowa dzieci do szkoły chodzić nie będzie z braku obuwia i cieplejszego ubrania. Ja sam tez nie posłę nima w czem, a do szkoły jest przeszło dwa kilometry. Tak to my biedni zyjemy na wsi, jak dalej będzie to nie wiem, bo zabudowania się pustoszą, a na nową nima pieniędzy, stodołę mam taką, ze wrata się niechcą i juz otwierać, bo dach cały sie wali. Obora czyli chlew co w nim mam wszystko i krowe i kury i świnie i to się tez leje bo nima czem poszyć, bo słomy ledwo na pasę dla jednej krowy starczy. Z domu co mieszkam tez krokwie sie załamują, a zdałoby sie i o nowem pomyśleć, bo zaciasny zaledwo moze się zmieścić dwa łózka, to na jednym łózku śpi czworo dzieci.

Ale skąd wziąć pieniędzy, aby to wszystko poprawić. Dawniej to chociaz mozna było pozyczyć jeden od drugiego, a jak nie to chociaz u zyda. A teraz to niema o tem co mówić, o pozycze bo nikt nima pieniędzy, a choć kto ma to teraz nie pozyczy. Rząd to nie dba, zeby choć na te cele przeznaczyl jaką pożyczkę, zeby pomóc tem biedakom, zeby jakoś zyli. Zarobku to nima nijakiego, dawniej to jezeli był jaki biedniejszy na wsi to poszedł do bogatszego i zarobił swojå ćwierć zyta czy kartofli, czy na jaki gałgan na skórę. Teraz nikt nie najmie chociaz jest bogatszy, bo mówi ze nima za co nająć, bo sam jak moze tak pracuje w dzień i noc. A nająć niechce, bo nima czem płacić, bo wszystko tanie i tak sie zyje i czeka sie, ze moze się co poprawi. A tu coraz to gorzej, podatki to zamiast zeby były mniejsze, to prawie ze jescze większe, bo przód to jak sie sprzedalo jajko i wzieło sie 10 groszy to ja płaciłem z morgi jeden złoty, a teraz jajko 4 grosze, a podatku 80 groszy, a jak casem na ten cas nima ze w zaden sposób nimożna zrobić, to juz nima co sprzedać, to kwit odesłå i przychodzi upomninie. To choć zostało podatku jeden złoty to upomninie półtora złotego, jescze tam dolicå jakies kosta egzekucyjne to za ten złoty to za dwa miesiåce to potrafię zrobić 3, 4 zł. To był taki wypadek, ze jeden miał podatku dwa złote, to mu kwit odesłali do gminy, gmina do starostwa i stamtąd juz mu przysło 5 zł. z grosami i tak biedak musiał wyciągnuç prawie ze ostatnią ćwierć zyta, choć dzieci nie będą jeść chleba. Ale zapłacić musiał, bo jakby jescze poczekal dwa miesiåce to trzebaby mu krowę ostatnią sprzedać. To tez jak przyjdzie podatek to ci biedacy co mogå to wyciągajå ostatnią poduszczyne, sypiå sieckę, albo kładzie słomy

w posewkę i kładzie dzieciom pod głowę i przyrzuci go jakim starem łachmanem i nieraz na gołym barłogu. Tak to nasze dzieci mają wygodę i to ma być z niego dzielny Polak wyrośnie silnego i zdrowego obywatela. To też przejść przez wieś naszą polską to się widzi, jak to wyglądają biednych ludzi dzieci, obdarte, wychudłe, tylko przez te usmolone koszuliny widać brzuchy duże od tych kartofli z solą i z tego dzielny Polak wyrośnie. A piśe się dajcie na szkoły, bo nase dzieci mają za niskie lokale szkolne i przez to mają nie wyruć na dzielnych Polaków i dzielne Polski. Skąd ono wyrośnie jak ono nie widzi nigdy kawałka cukru, nie oblize nawet noza po maśle, bo zatko który chłop kraje nozem masło, bo chociaż to prosto z masełnicy i do miasta, nawet sie dzieciom nie pokazuje, zeby nie płakało. A niektóre dzieci nawet i chleba też mają pod wydział, chociaż sie mówi, ze jest go u nas nadprodukcja, jest bo sie go nie je i dzieciom nie daje, nie mówie tu zeby wszyscy też i dzieci wszystkich chłopów tak miały, to przewaznie bezrolni i małorolni.

A pamiętam, kiedy bolszewicy byli pod Warszawą to nam mówili: brońcie dostaniecie ziemi, a teraz na jednej mordze to juz niedługo dwóch albo trzech będzie mieskać i zadnych reform rolnych nima, chociażby na spłatę dłuższą, zeby te ręce które wyglądają jakiego zatrudnienia, mogły pracować, a nimają co, bo nase polskie ręce chłopskie nie chcą spoczywać, byle tylko miały co robić, bo ja sam to od lat 13 jak zacząłem pracować to nimam spoczynku nietylko na dniu, ale nieraz i po całych nocach, bo jak spomniałem w początkach mego pisania, ze trudno sie próc tego co na roli to pracuję po lasach jako cieśla. To nieraz przyjdzie na cały tydzień albo na cały miesiąc z domu zostawić żonę chorą z małemi dziećmi w domu, to z pewnością w domu nie zrobi tak, jak potrzeba, to jak przyjdę to swoje musę zrobić w nocy. A z tego to mam taką korzyść, ze nimam w czym do kościoła pójść, bo za całe lato co nieraz się raz na dzień zje i to jeszcze kiepsko, to kupiłem sobie pantofle gumowe za trzy złote i ubranie za 15 zł., a restę to w te gospodarke sie włoży i na utrzymanie rodziny i teraz zima nadchodzi dobrego odzienia nikt niema i ta cała gospodarka coraz to do gorszego poziomu idzie i tak sie człowiek w dzisiejszych casach dorobi. A człowiek nie dośni, nie doje, bo przeciez chciałby zeby coś upracować dopokąd jeszcze moze bo co będzie na starość, jak juz ręce odmówią posłuseństwa, a dzieciom się nieda majątku, to same muszą iść na poniewierkę to staremu utrzymania nie dadzą, bo same nie będą mogły żyć, bo juz ile dzisiaj jest takich na wsi bezrolnych i małorolnych panien i kawalerów, co sie starzeją,

a nie zenią sie wcale, bo poco, jak dla nich nima nijakiego posagu, a jezeli jest jaka morga lub dwie to jak bedzie zyc, jak się ozeni. A jak pamientam dawniej tak niebyło, bo pobrali sie i tacy co oboje nic nie mieli i tak zyli, a nieraz nawet potrafili sie dorobić, ze mogli kupić parę mórg.

Bo i ja sam gdyby tak jeszcze w latach od 21 do 28 to z pewnością bym inaczej stał jak dzisiaj, bo przez te lata, potrafiąłem kupić dwie morgi i dwie krów i miałem juz parę złoty gotówki i w domu było troche inaczej. A teraz sie nic nie kupi, jeszcze sie sprzedaje to co sie w tych latach zapracowało, ale było tak, ja posedłem zarobić, zona w domu tez trza było ścisnąć gros do grosa. Ale z tej gospodarki choć miałem tylko narazie trzy morgi to starczyło na zycie, jeszcze zona za masło, za jajka pomimo, ze starczyło jej na cały obchód domowy to jest na naftę, sól, mydło i wogóle na wszystko i jeszcze sie pare złotych zostało na kupkę. A moje zarobione zostawały i przez słoniny, jak dzisiaj sie nie jadło.

A dzisiaj sie nie je, nie śpi, nic nima, nawet nima na to zeby dzieckú co potrzebne do szkoły kupić. A co o tem zeby opłacić jaką gazete, to sie składa dziesięciu na jedną i to jeszcze trudno na cas uregulować. Co tu mówić zeby jeszcze zakładać jakie stowarzysynie przeciez tam trzeba parę grosy to tez nase dzieci coraz to sie zagłębiają w większej ślepcie, bo jak tak dalej będzie to wychodzi, ze żaden chłop swego dziecka nie wyszkoli. Taka to jest nasza dola, a tu jeszcze sie słyszy, ze mówią, ze chłopu jest niezle, bo on ma wszystko prawdziwe, ze ma bo on jest tem, który moze wyprodukować wszystko, tylko ze on nima nic z tego, bo wywiezie wszystko za bezcen zaraz po zniwach. A kiedy przydzie przednówek to musi kupić pod wyzszą ceną, jak sprzedał. A jak nie to chleba z dziećmi nie je i mówi sie, ze chłop w gimzowych butach idzie do gnoju. Tak jest ze idzie, ale jak kupił te buty w casach lepszych, teraz go nie stać zeby kupił buty do roboty to wyciąga te ostatnie i idzie w nich do gnoju. A nawet trafi się i taki gospodarz, ze ma jeszcze dwie par butów to juz zadko i musi być bogaty, ze nima długu i nielicna rodzina, to jeszcze moze sobie pozwolić. Ale więcy jest takich co nimają w czym iść do kościoła, a ile jest takich, ze zima nadchodzi, a tu nima ani drewinka, tylko musi świezo choiną palić przez zimę, aby ugotować te pare kartofli.

To dobrze jak będzie lekka zima, a jak tęga to nie wiem, jak będzie bo i ja sam mam na zime zaledwo cztery fury torfu, a drzewa nic. Ale by biedni jesteśmy wytrzymali na wszystko nawet i na mróz

i znosimy to cierpliwie i czekamy, że może się to wszystko skończy, może się ci panowie rządzący wejdą w nasze położenie, abyśmy tak długo nie cierpieli, może czasem, jak mówili, że nam kiedyś zrobi się lepiej, bo przecież u nas jest jeszcze ziemia, żeby chcieli toby mogli trochę rozparcelować pomiędzy nas biedujących i chcących pracować tylko na roli.

A może z jaką inną pomocą tak żeby nikt nie nazekał na ten Polski Rząd, jak się słyszy dzisiaj że każdy z tej biedy to mówi, że lepiej by było, żeby była już wojna i żeby obcy przyszedł choćby nawet i Hitler to możeby było lepiej, tak się słyszy od ludzi, którzy nie mają wyobrażenia co to jest Hitler, inni mówią żeby lepiej bolszewicy i tak nikt nie jest zadowolony, nawet ten, że dzisiaj są wolni w swej ojczyźnie i że mogą swobodnie mówić po polsku. A mówią, że lepiej było za rosyjskich rządów, a nawet i w czasie okupacji niemieckiej czy austriackiej, bo było wtenczas lepiej. A jak im mówić, że teraz wszędzie jest kryzys, to niechcą wiezieć. A przez to, że nimają nijakiej wiedzy i myślą, że to wszystko winien polski rząd. Ale z drugiej strony to się nima co dziwić, boć z biedy to się nie wie na kogo nazekać. A z drugiej strony to brak oświaty, bo są takie wioski, że wcale nima żadnej gazety, skąd mają ludzie co wiedzieć. Przez to to słyhać tylko nazekania na rząd. A trochę to i winien rząd, bo powinien pamiętać o wszystkich jednakowo. A tu jeden ma zanadto, a całe tysiące bieduje bez chleba. Jedne dzieci nie wiedzą co mają jeść, a drugich carnego chleba muszą upragnąć, jedne nie wiedzą, jak mają się ubrać a drugie nie mają w czym do szkoły chodzić, przez to jest źle i to chyba jest tego przyczyna nazekania na rząd.

Pamiętam byłem w te wojne w Niemczech, to kiedy się zaczęła wojna to nie bez przymus Niemcy sli na wojne i wszystko oddawali dla wojska. Sami w domu nie jedli, wszystko oddawali do rządu, bo to dla wojska, by było zdychało co nie miało co jeść, ale siano jakie kto tylko miał to oddawał dla wojska, bo nie chcieli żeby obcy przyszedł nimi zająć. To nie wiem dlaczego oni tak dbali o to, a chyba przez to, że im tam było dobrze a jak usłyszeli, że tam nie gorzej powodzi na froncie to płakali wszyscy. A u nas czyby tak było nie wiem. Ale chyba nie, bo się już dzisiaj widzi że robi się co dla ojczyzny, to wszystko tylko przymusowo.

Kończąc ten mój opis i prosilibym was panowie, którzy to moje pismo słyszyć będziecie, abyście się przyczynili za nami biedakami.

Nie wiem jak tam pisane, może nawet czytać nie będzie można, ale to proszę wybaczyć, bo przecież zem się nie uczył w szkole, tylko

sam i pisać też pisałem tylko w wieczór, bo w dzień nimam casu. Nie pisę tego względem tej nagrody, bo wiem, że niejestem zdolny na to, aby dostać nagrodę za co, a jeszcze za pismo, tylko że patrząc na to wszystko co sie dokoła dzieje, więc dlatego chce wam panowie z całego serca opowiedzieć, że tak jest u nas na wsi, jak ja tu w tym opisie pisę, jest to w woj. Kieleckim, pow. Iłżecki.

Dn. 24 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 21

Wyrobnik częściowo miejski,
częściowo wiejski w pow.
miechowskim

Ojciec i matka pochodzili z rodziny zamożnej. Ojciec był najstarszym dzieckiem i na niego miała spadać ojczyzna dwunastomorgowa z zabudowaniami. Ale brat jego był wychowany w domu, nie był nigdzie dalej poza domem, ojciec był w wojsku dlatego młodszy został w ojczyźnie, starszy poszedł na tułaczkę to jest na służbę do dworu. Matka pochodziła z czternastomorgowej gospodarki, ale części nie wzięła i została oszukana. Ojciec służył we dworze wysługiwał się obszarnikowi za lada obietnicę a raczej za głodowy grosz. Miał pięć córek i czterech synów, trudne to było życie i wyżywić tyle dzieci. Ojciec brał 12 korcy ordynarji i 30 rubli pensji rocznie i to jeszcze nie wtedy wydano kiedy się należało, ale wtedy kiedy się obszarnikowi podobało. Kiedy był dzień największy i najcięższa praca wtedy się należytości nie wydało, trzeba było głodować, ojciec w pracy od 4-ej godz. rano do 10 i 11 godz. w nocy. Matka dziewięciordzieci i do tego jeszcze obsługuje krowy, świnie i inny drób, drzewa musiała sobie przynieść z lasu na plecach do gotowania i to nie z bliskiego ale nieraz 2 kilometry dybać do lasu. Jeszcze nie wolno było uciąć tylko ułamać i uzbierać jakich spadków z drzewa. I po kartofle codzien musiała iść a nieraz pole z kartoflami było nie bliższe od lasu, o chwaście musiała dla krów i to nie było wolno gdzie bądź użąć czy urwać ale trzeba było pod ukradką gdzieś obmyśleć albo poprostu ukraść gdzieś, na miedzy czy w zbożu czy w lesie albo gdzieś indziej dla krów, świń i innej gadziny jaką posiadała, bo tylko za to mogła okryć dzieci, dlatego matka musiała nosić śniadanie a nieraz i obiad mężowi i czeladnikowi jeżeli nie miał służących, swoich dzieci dorosłych zdolnych do pracy to musiał przyjąć obcego jednego albo dwóch do pracy dworskiej. Jak to i dzisiaj jest po dworach, że obszarnicy zmuszają ordynarjuszy do trzymania

dwie i trzy posyłki do pracy, przed wojną musiał ordynarjusz płacić posyłkę więcej aniżeli zarobił we dworze, do tego musiał dokupić zboża we dworze i ziemi pod kartofle, bo żadnym prawem nie starczyło na wyżywienie większy rodziny i za to zboże i ziemię musiał odrabiać obszarownikowi całe lato a kiedy nadeszła zima dzieci nie było za co okryć.

Do tego matka musiała przyrządzić strawę dla całego domu, utrzyć na chleb czy zrobić kaszę, utrzyć na kluski w domu na amerykanie i krupy zrobić w stępie bo na młyn nie stać było, to też, dziecko gdy dorosło do lat 5—6 to go wysłano za krową i do innej posługi, na naukę do księdza, żeby mu czemśkolwiek głowę zaprzątnąć, bo ksiądz na pamięć bił kliny w głowę ale do szkoły nie miał kto posłać bo na książki nie było pieniędzy. Jeżeli dziecko się chciało uczyć, to nieraz ojcy powiadały: my nie umiemy i żyjemy to i wy żyć będziecie a jeżeli dziecko zachorowało to Bóg był doktorem, bo na doktora pieniędzy nie było. Jak zachorowało wyzdrowiało samo to dobrze, a umarło, to drugie jakoś się schować musiało.

Rozpoczęte życie od zapamiętania

Kiedym rozpoczął rok szósty to mi kazano paść krowy i tak byłem pastuchem do lat 10. Pod koniec dziewiątego roku mojego życia ojciec dał mnie na służbę do gospodarza do paszenia krów i innej posługi koło gospodarstwa. Gospodarz niema sobie tego w głowie, że przyjął dziecko, ale myśli że przyjął parobka. Gospodarz nie myśli sobie tego, że to jest dziecko, które potrzebuje nad sobą opieki, rozwicia i nauki, ale wymaga od niego pracy choćby najmozolniejszej i niemożliwej dla tak młodego dziecka, niestety doradzili mi krewni żebym porzucił tę służbę i szedł do ojca, bo to nie dla mnie się męczyć. Rzuciłem służbę, poszedłem do fabryki tkackiej, bo ten obszarnik miał fabrykę tkacką, ręczne warsztaty do wyrabiania płótna. W tej fabryce pracowałem lat dwa od dziewięciu do jedenastu i z tej fabryki chodziłem na naukę. W tej fabryce robiło kilkunastu chłopców dorosłych i młodszych, byli to synowie gospodarzy i prawie wszyscy umieli coś czytać i pisać. Prosiłem rodziców, żeby mnie posłali do szkoły możebym się coś nauczył byłoby może lepiej.

Ale ojciec nie miał chęci, bo w fabryce chociaż był zarobek marny, bo zaledwie dziennie zarobił 10—12 kopijek, ale coś nie coś miesięcznie zagałęzał a do szkoły trzeba było grosza dodać, więc uprosiłem matkę, żeby mi coś dała grosza żeby coś kupić nauczycielowi, by mnie przyjął do szkoły, dostałem 20 kopijek, kupiłem

funt cukru i pięć bułek. Nauczyciel był człowiek dobry i szlachetny, nietyle zwrócił uwagę na podarunek ale na prośbę. Przyjął mnie do szkoły, kupił mnie książki dwie, polską i ruską, potem zwrócił mi pieniądze i chodziłem do szkoły. Byłem średnim dzieckiem, w domu nikt czytać nie umiał i poza domem byli też tacy sami co nie umieli czytać. Miejscowość w której mieszkałem był to folwarczek oddalony od wsi o dwa kilometry, nikomu było pokazać na książce w szkole, lecz niewiedzy, bo w szkole było tylko trzeba odpowiedzieć i nauczyć się. Trudna to była nauka ze swojej głowy, a to gorsze, że się buty podarły a innych nie było za co kupić, trzeba iść do roboty do dworu zarobić na buty, dopiero sobie kupić. Przechodziłem do połowy lutego i koniec pierwszego roku szkoły. Na drugą jesień zrobiłem to samo co w zeszły rok, przyjął mnie nauczyciel i znów chodziłem do szkoły, dochodziłem do marca, buty się zdarły, szkole koniec i znów poszedłem do roboty, nauczyłem się tyle com umiał, poznałem zaledwie litery i coś niecoś składać nomera, napisać do sta i koniec. Wróciłem nazad do pracy do dworu i pracować w zimie za 10 kopijek, a w lecie za 20 kopijek od świtu do zmroku. Ojciec ani myślał dać które dziecko do jakiegoś (zakładu) zajęcia albo nauki, ale wszyscy do pracy do dworu bo gdzie niegdzie ojciec nie pozwolił wierny sługa panu pracował, księdza rady słuchał, a ksiądz zawsze głosił z ambony, módl się i pracuj a będziesz zbawiony. Tak się ojciec trzymał tego prawa i dzieci w to samo wpa-jał, ale nędza się nie pyta gdzie ma iść do pana czy do księdza, siada na robotnika i dusi go jak zmora przez niemiłosierdzia, tak ojciec pchał do pracy każde dziecko gdy tylko coś sił nabrało. To i ja w roku dwunastym życia musiałem chodzić do pracy do dworu nie było jak i nie było wyboru czy dorosły czy młody, ale pracuj co pary masz w sobie od wschodu do zachodu, a często jeszcze po zachodzie a gdy przyszedł z roboty jeszcze i matka poglądała, żeby jej coś dopomóż bo i ona wydołać nie mogła. Zima jak se chce, dzień mniejszy chociaż mróz dogryzał do szpiku, bo obuwie liche a często i dziurawe, odzież bogulicha, bo robotnik biedny nie kupi towaru dobrego, bo nie ma za co kupić, lichy lamy albo lichego barchanu, albo lichego czajgu na ubranie, albo z takiego towaru ubranie i tem się paraduje, tylko w zimie głód tyle nie dokuczał bo chociaż chleba nie było to były kartofle a co wody nigdy w domu nie brakło chociaż często niedosolono ale jeszcze bez omasty to jest tłuste, ale robotnikowi służy za omastę, robotnik wszystko zje. Najgorsza dla robotnika była wiosna, dzień duży jest, nieraz człowiek ledwie że od-

dychał do wieczora, przyszedł do domu jeszcze wieczerza nie była ugotowana, matka jeszcze w polu z kartoflami albo z drzewem w lesie. Mieszkanie zamknięte na kłódkę, ale często okna bez szyb, wpadł oknem do mieszkania i nie szukał coś zjeść ale się rzuca gdzie bądź aby dechu złapać, pada jak ofiara zasypia snem kamiennym ani obudzić się nie można. Rano kiedy cośkolwiek zasycił dłuższym snem, rano budzą, myślę że na wieczerz a tu wołają do pracy, nazad matka choć z kartofli płaczyne zmyśliła ażeby coś z rana przegryźć żeby bardzo nie osłabł do śniadania i tak się pędziło głody a chleba miesiącami nie było. Dopiero niecoś odżył, kiedy się pokazały grzyby a przeważnie tak zwane bijle, to są białe i mają dość mleka w sobie, są to okrutnie gorzkie bo innych trudno było dowolna uzbierać, chociaż lasów było więcej i nie bronili tak w lasach zbierać grzybów, bo niestrzelali tak do ludzi. Chociaż były to grzyby gorzkie ale się gotowało w trzech wodach, żeby tę gorycz odciągnęła, dopiero było możliwe do zjedzenia, choć jeszcze gorzkie jak piołun, ale się dały zjeść były twarde, ale w żołądku potrwały dłuższy czas. To też się temi grzybami do żniw dopóki się w polu kłosów czyli kłosków, tak się spędzało dnie, tygodnie i miesiące i lata, ale jednej i tej samej biedzie nie można, tylko dwór i pracuj we dworze, kościół i to co ksiądz powiedział módl się i pracuj a tu nie leń się w pracy, nie marnuj czasu bo grzech pana oszukować, ale pracuj w pocie czoła bo cię pan trzyma, zawoła, taka była we dworze szkoła dla robotnika i tak przez grudzień do roku 15. Poszedłem do drugiego dworu za czeladnika do krewnego, tutaj trochę lży, bo chociaż było mniej słyhać cholery, piorunów i innych przekleństw. W tym dworze było trochę więcej szlachetności i ludzkości, przepracowałem parę tygodni, rządca widział że był ciekawy i zdolny do koni, wziął mnie do cugowy stajni, było dość dworno, furmanów było dziewięciu do wyjazdowych koni. Oddali mi pięć klaczy do obrzadku i wyjazdu nieraz i sześć rubli wynadgrodenia miesięcznie. Tutaj była praca lżejsza choć dłuższa i mnie się zażyło głodu. Pewnego razu wyjechałem z paniczem i jego nauczycielem na przejazdkę do drugiej wsi, podjechaliśmy pod tablice do drugiej wsi jak to było za czasów rosyjskich, tablice w każdej wsi, na nich był napis wiele domów, jaka jeno ludność i tak dali spojrzeliśmy się na tą tablicę, spytał nauczyciel czy umiem czytać, powiadam proszę pana jak nie dużo liter na słowo to przeczytam, ale jak dużo to trzeba mnie się długo zatrzymać. Powiada nauczyciel, chcesz się uczyć, co bym się nie chciał żebyś miał tylko gdzie. Będziesz przychodził do mnie wieczór na

lekcję od dziewiątej do dziesiątej, ja cię będę darmo uczył. Dał mi książkę, zeszyt, pióro i udziela mi codziennie lekcji, ale i to trudno, przechodziłem dwa tygodnie, potem popadły w nocy wyjazdy częste, niema kto mnie zastąpić, musiałem poprzestać chodzić na lekcje, a kiedy się przestało chodzić na lekcje to i wolne chwile w stajni się spędzało nocą i dniem i tak upłynął rok 15-ty. Pod koniec roku 15-go przyszedł do mnie famieljant żebym odeszedł a przyszedł do niego. On jaki rzemieślnik szewc, rymarz, skrzypek, mogę się u niego czegoś nauczyć, przyznałem za rację. Od nowego roku odchodzę, choć mnie puścić nie chce żadnym prawem, siłą rzeczy odchodzę, idę do terminu. Był to człowiek słabej woli, niedotrzymanego słowa, co przyrzekł nie dotrzymał, co chciał nie powiedział, ciągiem walkę toczył, życia ojciec nie da, ja pieniędzy nie miał, o głodzie uczyć się nie szło. Bóg zdrowie daje ale chleba nie piecze i nie daje, trudno kieszeń próżna, w brzuchu pusto, trzeba iść do ojca i chodzić na pański ażeby choć jako tako się pożywić i okryć, trudno tak się patkonilo ze dnia na dzień tę oną biedę, musiał człowiek harować od świtu do nocy. W zimie za 10 kopijek, latem za 25 kopijek z dodatkiem pare cholerów, pieronów a często kilka knutów albo pałek na plecy albo po łbie, to była jaśnie pańska miłość do ludu roboczego, to była moralność, która istniała z czasów pańszczyzny, tak zwanych chrześcijańskich, bo jak nam historia powiada, że na ziemiach polskich pierwszymi obszarnikami to byli księża jezuiti i za ich czasów pozostały te piękne i szlachetne czyny. Nie będziemy się nad tym wiele rozgadywać bo o tem dobrze każdy wie z nas i dalsze pokolenia będą wiedzieć, bo dobre rzeczy daleko słyną i dobrzy ludzie. Ale złe i źli ludzie jeszcze dalej i dłużej, to też my jako potomkowie długo jeszcze cierpieć musieli zanim robotnik się dowiedział czem jest i który Bóg jest Bogiem i Stwórcą Wszechmocnym i poznał chłop i robotnik, że nietylko można chłopu i robotnikowi skórę garbować jaśnie panom, ekonomom i różnym innym dozorcóm. Dopiero wtedy jaśnie panowie się doznali, że ta chrześcijańska miłość niedobra, i że chłop i robotnik też umie tak kochać i musieli poprzestać tego, to się wzięli do wyrzucania robotnika wkiedy się niedał bić i garnków tłuc, to takich wyrzucali 365 razy do roku na środek drogi, to się odbywało i odbywa się do dziś dnia, jeżeli kogo nie broni postulat i ustawa socjalistyczna, dopiero ci ludzie dali trochę ochłodu dla robotnika ale obszarnicy i teraz wzięli się i na metody na robotnika ażeby go trapić jak zmora. Tak i ja czem starszy tem więcej doznawałem niedolegliwości i więcej

trudności, ale więcej praktyki i zrozumienia i odwagi. Myślę sobie jeżeli pracuje za marne wynagrodzenia i napół głodny jeszcze lichej strawy to knut i pałka nie dla mnie, gadać możesz ale i to nienadźbyt wiele i tak walczyłem w onych dworach dosyć długo, niezmiernie mi się przykszyło nawet patrzeć na nieprawości nietylko i znosić, z młodszych lat byłem pokorny i skłonny, pobożny, każdemu słu-chał, każdemu w rękę całował, każdemu się kłaniał, czem więcej tom pełnił to mnie więcej oszukiwano, czem potulniejszym baran-kiem byłem, tym niżej mnie strzyżono, chcecie mnie oddalić od ro-dziców, gdzieś dali między ludzi opowiedzieć się czy tak jest wszędzie czy nie, ojciec nie chce pozwolić, matka płacze a nędza też z domu nie chce wyjść. Więc myślę jakiego środka użyć ażeby ojca skłó-nić do pozwolenia. Postanowiłem sobie być trochę wymagającym większego wynagrodzenia za pracę a jeżeli nie dadzą to nie spełniać tego co wymagają. Kiedym to uczynił na pierwszy trap spotka-łem się z gorzką, stałem się inny niżelim był dotąd, odrazu mnie oddalają z pracy, dla mnie radość bo już mam drogę otwartą, ale groszem nie śmierdzę, trzaby gdzieś indziej coś zarobić na drogę i na życie, ubranie liche to do roboty od świtu, z tym mniejsza gor-sza podróż i życie trzeba było pomyśleć. Było to w wielki tydzień, trzaby próbować wędrowki między obcymi ludźmi i nieznanie miej-sca czy krainę, udało mi się poraz pierwszy sam jeden puścić na odpust zagranicę, to jest za Kraków na Kalwarję Zebrzydowską z dwoma rublami, szczęście między ludźmi sprzyjało choć droga była uciążliwa i daleka, 12 mil drogi większa część pieszo to jest 8 mil pieszo resztę koleją, miałem trochę trudności, ale jakoś się musiało. Pożyczyłem półpaska u jednego gospodarza i chajda powróciłem do domu na święta, po świętach zamierzam iść na wieś do gospodarza bo gospodarze niecoś lepiej więcej płacili, ale gdziet pan ojca namówił, żeby mi przetłomaczył, żebym przyszed nazad do roboty, bę-dzie więcej płacił, dałem się namówić a raczej nie sprzeciwiać się oj-cu. Alem se wymówił że jeżeli coś nieprzyjemnego będzie wkiedy ze strony obszarnika, źle będzie, to dalej nie pracuję. Tagem pracował bez lato jeszcze do jesieni, nikt mi marnego słowa nie powiedział, ale się nie polepszyło dalece, coraz gorzej się ociągał obszarnik z wy-płatą i ordynarją cztery miesiące nie robił wypłaty, drugi kwartał ordynarji, grosza niema, chleba też, trzeba się żywić wodą i karto-flami tak zwaną na wsi fitką bo na barszcz i mąkę nie było a to jeszcze jałowe, te dwie potrawy fitka i barszcz to są stałym gościem na wsi, tak więc nastał dzień mniejszy to śniadanie zjada się w domu

przy świetle. Niestety każdy się musiał do tego zafrasować, kto się nie chciał obszarnikowi narazić, bo jeżeli kto opóźni się do pracy to został wydalony z pracy, a nie to został pobity. Ja nie chcąc więcej głodować z obszarnika więcej chciałem sobie pojeść do syta a nie chlapać jak pies gorący strawy i w lecie jak świt do pracy, jak każdy musiał stanąć w czasie, a nie przed czasem się wstawić do pracy i oto spotkałem się z niemłą teorją. Oto jednego razu przychodzi obszarnik pod folwark, spotykamy się, oto obszarnik patrzy na mnie i pyta się tyś jeszcze tu, ja odpowiadam, a tak jaśnie panie tu, a fornale insi pojechali w pole, ja odpowiadam, bo ja śniadał: a obszarnik powiada, fornale mogli se pojeść a ty nie a bo to prawda: on se poje i drugi pysk pokazał, ale se nie pojad, co jeszcze teraz będę głodował gdybym miał chleb to choć bym się nie pojad, to by wziął kawałek chleba do kieszeni i zjadłbym w polu, ale kartofli nie wezmę, w tem obszarnik się wściekle rozgniewał na tak śmiałą odpowiedź, ale niema z sobą pałki ni knuta, zapędził się z pięścią do ust. Ja na tak nieszlachetne postęпки, które natura moja znosić nie mogła, odpowiadam, możesz pan bić jeżeli jest o co, a jeżeli niema o co to źle z panem będzie w tym razie. Obszarnik z wielką złością odszedł odemnie i grozi mi karą i więzieniem, że będzie wytręcał za każde słowo rubla. Chcąc się w jakikolwiek razie pomścić na mnie wkiedym się zainteresowałem pracą, poszedłem do mnie cichaczem z tyłu uderzył mnie pięścią za kark i zrobił nogę. Było to w oborach, nawet nie wiedziałem gdzie się schronił, szukać go nie potrzebowałem, rzuciłem pracę natomiast poszedłem do domu. Obszarnik widzi że do roboty nie przychodzę jeden, dwa i trzy dni, a ta scena odbywała się w obecności świadka. Trzeciego dnia robi wypłatę z całego przeciągu pracy, poszedłem i ja po tą wypłatę, przy wypłacie obszarnik chce się przypodobać, chce ten błąd naprawić swojemi obiecankami. Powiada mi że od dziś dnia będzie wypłacał co sobota bo moja rządyczni ludzi zatrzymuje, ludzie się denerwują a mnie trudniej, ale ja myślę o tem żeby złapać choć parę rubli tych com zapracowałem a więcej z tobą nie chcę się skandalić. Ojciec teraz zaprzeczyć mi nie musi, bo widzi że tego zawiele było. Tak bez żadnego namysłu jagem te pieniądze otrzymał niewielka to suma była, 20 rubli, 10 rubli biorę do kieszeni a dziesięć zostawiam rodzicom i ubranie bogulichne jedno jedyne było do roboty i od święta. Rzuciłem pracę u obszarnika a poszedłem gdzieindziej. Obszarnik się dowiedział że ja pojechałem do Zagłębia i zapytał się ojca, gdzie syn co do roboty nie przychodzi, ojciec odpowiedział że nie wie, obszarnik powiada to ja wiem a wy

nie wiecie, żeby mi jutro był u pracy, jak nie będzie to ja napiszę do policji, żeby go przyprowadzili. Jeżeli pojechał to za kawałkiem chleba, a panu nic nie skradł i tam nic złego nie zrobił to i policja do niego nic niema. To tak się stało że u pana sześciu robotników rzuciło pracę i udali się do Zagłębia, bo ich bieda nabiła i głód dokuczył. Niezmiernie dowiedzieliście się że gdzie indziej lepiej słońce świeci każdemu. Tagem sie udał do Zagłębia tam szukać pracy i chleba. Niestety znalazłem pracę do koni u kontrachciaza, wozić węgiel z kopalni do stacji, z kopalni do stacji było 4 kilometry, trzeba było cztery razy obrócić na dzień. Na wozie mieściło się 24 korce węgla, trzeba było sobie nasypać i zrucić do wagonu, a praca rozpoczynała się z obrządkiem koło koni i uszykowanie wozu i tak od godziny 4 rano do godziny 9 wieczór i dalej a wynagrodzenie za to 21 rubli miesięcznie. Była to praca ciężka, do tego jeszcze konie psuje chciały to ciągnęły a niechciały to się ich było poprosić. Przepracowałem trzy dni i nie chciałem więcej się męczyć, odebrałem paszport, kontrachciaz nie chciał mi wypłacić za przepracowane dni, musiałem darować, poszedłem szukać innej pracy, znalazłem na kopalni, przyjęli mnie do pracy, nie był to zarobek, ale dla samotnego narazie 75 kopiejek na szychte ale praca była lżejsza i to że się pracowało pod państwem to były inne prawa, pracy było dosyć, można było tygodniowo zrobić 9 szycht, tak pracowałem co tylko siły starczyło, ażeby zarobić jak więcej grosza, ażeby dopomódz w tak wielkiej nędzy rodzicom, choć cokolwiek bez parę miesięcy. Nie pokazałem się w dzień świąteczny na ulicy ani nigdzie poza domem tylko do pracy i do domu dopokąd nie zarobiłem sobie na ubranie drugie i tak pracowałem przez rok cały, musiałem prowadzić życie jak skromniejsze, ażeby można coś grosza uciułać na ubranie. Czekala mnie droga do wojska służyć, trza było sobie coś kupić z bielizny, buty a coś zostawić rodzicom, żeby później przysłali kiedy będzie potrzeba. Tagem uciułał 80 rubli i trochym się przyogarnął, na koniec przyszła druga jesień, przyszło się stawić na losy, wzięli do wojska, sprawilem sobie całą wyprawę do wojska, com uważał co będzie potrzebne, po przyjęciu mnie do wojska, dali dwa tygodnie do przysposobienia się do wojska. Po dwóch tygodniach pojechałem do Kielc na rozbiórkę w Kielcach. Przeznaczyli me na służbę na Daleki Wschód w Korei pod japońską granicę, tak nas wysłali 22 listopada 1907 roku. Z Kielc w tą uną drogę była to nie podróż ale poniewierka. Najpierw nas wyłóczyli po kilku guberniach po różnych komisjach a potem wysłano w dalsze drogi koleją do Władywostoku gdzie był klimat

cieplejszy to nas wieziono w wagonach towarowych, tak nas wlekli z Kielc do Korei na miejsce 59 dni, żywność dawali w jeden dzień dwa razy w jeden raz i to jeszcze czem dali zajechali, to jest codzien, to lichsze życie, to doszło do tego stopnia, że niepłaciło się zachodzić na zborny punkt na obiad albo na kolację, zmusiło nas do tego żeby zrobić bunt, do jedny miejscowości dojechaliśmy na miejsce, mieliśmy dostać obiad, jakośmy dostali, dawali na dziesięciu w jedno wiaderko tak zwane bak i nawet się każdemu po łyżce nie dostało, było nas rekrutów około 500, widzimy że tak do syta nikt niejadł, po rozdaniu wszystkiego wzięliśmy i to co nam dali wylaliśmy wszystko z baków na stoły, baki postawili do góry dnami, na podłodze zrobił się staw, na stołach niechlujstwo, zaprosiliśmy naczelnika szalonu co z nami jechał ażeby się przypatrzył żeśmy obiadu nie jedli a zostawiliśmy w jadalni, przyszedł naczelnik szalonu i naczelnik zbornego punktu, zobaczyli taki porządek, złapali się za głowę co się dzieje, że rekruty se pojady i jeszcze tyle zostało, że się kąpią, pyta się naczelnik szalonu, co jest, my odpowiadamy, że jeżeli nas macie tak karmić to wcale nie dajcie, wydajcie nam pieniądze co nam się należy na życie, my se sami kupować będziemy, wtedy się rzucili rekruci hurmom we drzwi, zabrali naczelnika zbornego punktu w środek i nuże mu szturchańce dawać, ledwie się nieborak wyrwał a naczelnik szalonu potem się bał przyjść do pociągu, żeby go w biegu rekruci nie wyrzucili z pociągu. Wytłomaczcie se że on temu nie winien, przysłał bez starych żołdatów co z nami jechali, dopiero jak mu żołdaty doniesły, że rekruci nie mają żadny urazy, dopiero przyszedł i przeprosił że od dziś będzie on sam starał się, żeby było życie jak lepsze i dosytu, od tego miejsca puszczał depesze gdzie miał być obiad lub kolacja, żeby się postarać jak najlepiej bo się rekruci buntują, tak się nam od tej pory poprawiło na życie. Tak my dotarli do Władywostoku, potrzymali nas na zbornym punkcie jedenaście dni na rybie i wodzie, tam głód nam i zimno dokuczyło, spanie na gołych deskach, a raczej na podłodze, z tej rozpaczy pośliśmy w kilku topić się do morza, na szczęście koło kraja dość daleko była woda zamarznięta a oficerzy nas dali nigdzie nie chcieli puścić, po jedenastu dniach wyruszyliśmy okrętem. Tak my się wlokli przez dwa dni i trzy noce, na koniec trzeciej nocy dojechaliśmy do tak grubego lodu że okręt nie mógł go złamać, musieliśmy się wydrapać na lód, i iść przeszło 10 kilometrów po lodzie przy 30 stopniach mrozu, jeszcze pod wiatr, śliśmy od rana do wieczora do przystani, o mały figiel żeśmy się na tym lodzie nie zostali zamarznięci, le-

dwo, ledwo żeśmy dociągnęli do przystani, każdego doszedł z pamiętką, jeżeli nie do śmierci to na lata pozostała pamiętka, a paru po jakimś czasie pomarło z przyziębienia, było nas samych polaków 80-ciu, po przyjeździe na miejsce połowa poszła nas zaraz do szpitala, połowa się utrzymała przy zdrowiu, ale nas mróz wybielił jak śnieg, a na wieczór tak każdy scerniał, że my na drugi dzień jeden drugiego poznać nie mogli. Takeśmy przybyli 16 stycznia na miejsce, takeśmy rozpoczęli służbę wojskową. O służbie w wojsku nie będę opisywał, bo wiadomo każdemu a zatem czas opisać nie pozwała, zaczniemy od powrotu ze służby wojskowej. Tylko powiem jedno zdanie, a to bardzo ważne jest dla nas, wkiędy nam się zdaje, że gdzie my żyjemy i jak żyjemy nik o tem niewie. Kiedym przebywał w Korei byłem pewnego razu we wsi, tak się zwie Baranówka, byłem u jednego gospodarza po kartofle, był to korejczyk, znał dobrze język rosyjski i powiada do nas, wy dwa i to polakija, było nas 86 ruskich i dwóch polaków, my zapytali się poczem nas poznaje powiada. Ja w Polsce nie był i Polski nie widział ale wam powiem jak Polska wygląda i jaka bogata, jaki naród, jakiego ducha ma, co jest dobre, co jest złe w Polsce, żeśmy się musieli zawstydić. Jak nam zaczął wyklądać błędy wszystkie inteligencji i duchowieństwa, podziwialiśmy że wieśniak na drugiej części świata poradzi znać życie w Polsce, ludzi biednych i bogatych i na większe i mniejsze uchybienia w społeczeństwie, których tutaj nie będzie opisywał na brak czasu, a u nas w Polsce ludzie uczeni i niby katolicy i nie mają tego poczucia tej wiary co głupi i dziki mahometa, na tem koniec.

O rozpoczęciu życia nazad na wolności, po przybyciu nazad, gdym przybył do Polski po trzech latach służby, powróciłem 30 grudnia 1910 roku. Nie zastałem matki, matka zmarła dwa lata temu, ojciec się gospodarzył z pięciorgiem dziećmi, jeszcze nie wszyscy byli zdolni do pracy. W domu bieda, ojciec się wykosztował na chorobę, potym na pogrzeb trza było się pożyczyć a potem oddać. Ojciec me namawia, żebym objął służbę za niego we dworze, bo on nie może, a ja widzę że tą radą nie ulże ni ojcu, ni sobie. Powiadam ojcu ciebie i tych co nie poradzą zapracować mogą utrzymać, a ci muszą sami sobie myśleć. Ja muszę się gdzieś udać za pracę, ale trudno być samemu, bo jeden drugiego wyżywić. Więc wzięłem sobie za żonę biedną dziewczynę, zaraz po weselu udałem się do Zagłębia, ale tam się już zmieniło, bo i tam trudno dostać robotę, trudno za mel-dunkiem, jeżeli kto ma na meldunek 25 rubli dać jakiemu łapówki i pieniądze na życie na jakie miesiąc, dwa, pochodzić pod fabryki to

się jeszcze mógł dostać do jakiejś pracy, lepszy pracy, byle się jako obżywić, znalazłem pracę do pary koni, do kontrachciaża wozic kamień do wielkich pieców 24 ruble miesięcznie. Była to praca przykra, ale konie z pracy do stajni przyjść nie mogły bo były zaduszone pracą, a żywność miały lichą. Przepracowałem parę dni, widzę że to nie możliwe być katem nad niemem stworzeniem, nie wiem bo to woła o pomstę do nieba. Podziękowałem panu kontrachciażowi za jego żywienie koni, powiedziałem, ja tego nie mogę, może kto inny być tym katem. Kontrachciaż mnie prosi, żebym sobą robił na szychcie, sobą zgodziłem się chętnie. Przepracowałem sobą parę dni, znów chce żebym nazad pracował końmi jak wpierw, przepracowałem jedną dniówkę, porzuciłem tę pracę bo się zbruc nie mogę od koni, musiał mi wypłacić co do grosza. Poszedłem szukać pracy gdzieindzi, znalazłem w nieduży fabryce chemiczny ale tam codziennie przyjmowali i codziennie oddalali, codziennie świeży robotnicy byli na pierwszej szychcie 70 kopijek. Trudno niema gotówki grosza tylko tyle użyć staram się w pracy na wszystko żeby się utrzymać i żeby coś więcej na szychcie zarobić, przypodobałem się swoim staraniem majstrowi i inżynierowi tak że co miesiąc dostawałem pieniądze, ale nie odmówił od nauki pracy, co mi kazano to się staram żeby jaknajlepi wykonać, codziennie nigdy tej pracy nie robi i pracował codziennie od szóstej rano do ósmej, dziesiątej wieczorem i w każdą niedzielę i święto chociaż to było płatne ale nie odmówić nie mógł, żeby sobie łaski nie stracić. Tak przepracowałem szesnaście miesięcy, zminił się inżynier, nastał inny, zaczął jeszcze lepi dusić i wymagać pracy. Niemożliwe się odmówić, co niemożliwe wytrzymać, robić długie godziny bez jadła i roboty wymagające, chciałem jedną niedzielę mieć wolną zacom nie chciał się stawić do pracy, pan inżynier powiedział jeżeli w niedzielę do pracy nie przyjdziecie to i w poniedziałek nie przychodźcie. Ja powiadam panu inżynierowi w tym miesiącu pracowałem dwie niedziele to trzecia może być wolna od pracy, tagami i uczynił, wbrew woli pana inżyniera, przyszedłem w poniedziałek pan inżynier się obraził tym, wypowiedział 14 dni. Ja nie chcąc 14 dni staram się o inną pracę, dałem jednemu wachmistrzowi 10 rubli żeby mnie zameldował do żelazny fabryki do stalowni, bo tam był zarobek niegorszy chociaż praca była ciężka a tem gorsza że w gorącym miejscu to jest w ogniu, ale możliwe było coś zarobić. Wkiedy on pan wachmistrz zaczął meldować to pan derektor powiada do mnie, że ja też ruski oficer, lubię robotników tylko wojskowych. Wkiedy my poszli przed doktora to doktor nie powiedział nic.

gdyśmy poszli do pana dyrektora, to pan dyrektor przyjął jednego, bo onego meldował pochlebca dyrektora, a nam powiedział że my możemy iść w odchoże, na tym się skończył nas meldonek. Odjął człowiek od ust a dał onem, żeby się jeszcze lepi paśli, a człowiek dali głodował bo biednego to kaźden zamoźny w butelkę zabija, schlebia, świeci i obiecuje, że to zrobi, tamto zrobi. Ale gdzie ta, trza było może nie dziesięć rubli stracić ale cztery razy, albo pięć razy po dziesięć toby może dopiero dostał był pracę, ale tak to pieniądze wzięli, przepili a nam powiedział dyrektor żebyśmy śli do otchoża, tak umieli ładnie panowie drwić z robotnika i chłopą, tacy to panowie co mają judaszowskie serce, kainowskie sumienie dzikiego drapieźnego zwierza pojęcie. Poszedłem szukać pracy dalej, na koniec dostałem się do huty cynkowej do pieców, była to praca ciężka i żmudna, a zarobek niewielki, zależało to od pieca 80, 90, 100 kopijek wychodziła szychta, tylko gaz niedobry, jeżeli kto życie prowadził liche to długo nie powojował bo dostał suchot. Przepracowałem dwie szychty, musiałem porzucić tom miał daleko chodzić, mieszkania bliży nie można było znaleźć, porzuciłem drugiego grudnia, poszedłem szukać pracy gdzieindziej, a tu juści robić ciasno z pieniędzmi, drugiego dnia znalazłem pracę pod kontrakciażem ładować ziemie do koleb na kopalni Renard, była to praca akordowa, ale ruch był kiepski, w jeden dzień zarobiłem 40 kopijek, w drugi rubel 20 kopijek, w trzeci 28 kopijek, porzuciłem i tę pracę i poszedłem na cegielnę parową, dostałem się do ładowania gliny do koleb, była to praca akordowa 7 kopijek od koleby, zarobiło się latym dwa i dwa i pół rubla, ale się trzeba było silnie napracować, że nieraz nogi przyniósł na ramieniu, tutej zaczęłem myśleć o wyjeździe do Ameryki, namówiłem żonę żeby poprosiła rodziców żeby ją przyjęli z dzieckiem, a ja pojedę sam jeden. Rodzice nie chcieli na to przystać tylko powiedzieli żonie, gdzie on pojedzie to niech i ciebie weźmie, jednak miałem trochę grosza uciulanego, sto kilka rubli, jednemu to starczy, ale na dwoje i dziecko to mało, postanowiłem że jeszcze się trzeba pomęczyć ażeby coś jeszcze uciulać i raz zdobyć się uciec z onej Polski nędzy, ale gdy nadszedł czas ćwiczeń trza było stracić do tego osiem tygodni, nierobić dla robotnika to jest wielki upadek. Odbyłem pierwsze ćwiczenia po paru miesiącach przyszło na świat dwóch synów, powiększyła się rodzina, jeszcze trudni, wychód więkzy. Żony z tak drobnymi trojgiem dziećmi, niema gdzie zostawić, tak się męczę ażeby odeprzeć od siebie coś dali oną biedę, próbuję w różny sposób ażeby można jako namówić, ażeby pozostała,

wysłałem na wieś do matki bo ojca już nie miała, matka była we dworze na komornem, za ledwie przebyła żona parę tygodni u matki i niespodzianie wybuchła wojna światowa, ja w fabryce, żona na wsi, tu wybucha wojna, nie wiem gdzie i którędy się udać. Żona na wsi wyczerpana z grosza, ja miałem jej dostawić pieniędzy, po ogłoszeniu mobilizacji wypłacały wszystkie fabryki, wziąłem parę rubli i papiery i udałem się na wieś do żony pieszo 14 mil drogi, bo już pociągów nie było. Przybyłem na wieś i miałem się dostać na mobilizację, strzymałem się dwa dni i skończyła się mobilizacja a pieniądze co były włożone do kasy poszły do Rosji i tyle się biedny człowiek nacieszy tem co oszczędza, jak pijany traci, po wkroczeniu okupanty zagranicę, udałem się nazad do Zagłębia, konno jechałem ćwierć drogi, naciągnęły duże wojska siły, zajęli konie do posługi wojskowej, musiałem nazad z trudem wracać do wsi z drogi, bo niemożna się było przecisnąć bez wojska. Po powrocie do wsi, obszarник radzi żeby się zatrzymać trzy, cztery miesiące a wojna się skończy, to pojedziesz sobie nazad, a bez ten czas to będziesz chodził do dworu do roboty, ale i do roboty nima w czem chodzić do roboty, bo ubranie, bielizna i wszystkie sprzęty zostały się w Zagłębiu a obszarnik nalega bo się w jego mieszkaniu mieszka, żeby miał korzyść z tego. Tagem musiał sobie kupić drugie ubranie i iść do pracy bo i z czego dali żyć nie było, a wydatki duże bo każdą szczegółę najmniejszą trza było kupić. Tak zacząłem codzień chodzić do roboty do onego obszarnika, ale coraz gorzy się robi bo wojska co trochę przechodzą i pracy na wsi stale niema a żyć trzeba, codziennie się pracowało a pieniędzy nie było, po paru miesiącach udałem się pieszo do Zagłębia po ubranie i bieliznę, z trudem się trza było kopać, dostałem się do Sosnowca do mieszkania ale gdzie i w mieszkaniu się nie zastało wszystkiego, część z tego jest zabrana, dobrze że i pościeli nie wzięli. Wziąłem pościel i bieliznę a sprzęty pozostały, bom myślał że jeszcze się do tego i do fabryki wrócę, ale wojna się nie kończy i praca się wymyka, stałej pracy nie można znaleźć, rzuciłem się reperować buty, nie brałem płacy a tylko co kto dał chleba kawałek to mleka i tak dali, a żeby można było okryć i obżywić rodzinę. Jaka tylko praca się napatuchnęła, tom się musiał podejmować, wykonać, a żeby dokąd Pan Bóg pozwoli żyć, żeby z głodu nie umrzeć, a żeby przetrwać wojnę. Jeżeli by dał Bóg przetrwać wojnę to może się świat oczyścić z tych nieprawości, może lepsza zapanuje prawda i sprawiedliwość, ale wojna nie ustaje, ciągnie się dalej i daje się we znaki każdemu, tym co na froncie walczą orężem i tym co w domu

przy pracy czy jakimkolwiek zajęciu, dokucza, gnębi w najhaniebniejszy sposób, że nieraz się patrzeć nie chciało i żyć się nie chciało. Były chwile, że człowiekby się rad był schował do mogiły z rodziną, ażeby się więcej nie patrzeć nie słuchać i nie cierpieć, tak nieznośny udręki. Ale Bóg doświeca człowiekowi niewinnemu a zaślepia człowieka uporczywego, przychodzi czas że zbrzydła ona walka ludziom dobrej woli, powstaje nowy lud i nowe rządy a zatym nowe układy, tu się zdaje myśleć, że wojna zabierze ze sobą wszystkie nieprawości, zdawało się, że ten czas pożogi wojny oświecił ludzi wszystkich stanów, że dziś nie w jednym kraju, ale zdawało się, że na całym świecie poznał człowiek człowieka, że człowiek każdego poznał co jest nad nim, a co pod nim i co koło niego, ale gdzie świat się rozwinął na dobre tym, co im było dobrze, zamiast tym co im było źle, zdawało się że dzisiaj pozostanie fałsz, obłuda powalona w przepaści a zakwitnie prawda i sprawiedliwość. Jednak się stało przeciwnie, bo prawda została zgromiona, fałsz opanował życie i wziął górę nad sprawiedliwością. Tak rozpoczynamy żywot w swojej ojczyźnie niepodległy, tak pozostanie na wsi po wojnie, bom stracił wszystkie sprzęty w Zagłębiu, nie do czego wracać, objąłem służbę we dworze, bo się rodzina powiększyła, matkę trzeba utrzymać, zgodziłem się 14 metrów zboża na rok, 200 prętów ziemi pod kartofle, 80 rubli pensji rocznie, do obrządku miałem parę koni, trzy krowy, parę morgów pola obrobić i wyjazdy gdzie potrza, było jednym słowem całym gospodarzem, powierzono mi na moją odpowiedzialność, były to właścicielkami dwie panie matka i córka, obie wdowy, córka miała dwie córeczki po zmarłym mężu, utrzymywały się na dzierżawie paru morgów, sprzedany swoją ojczyznę żydom, ja pracowałem chętnie, były to dosyć ludzkie panie, to też pracowałem z całą sumiennością i starannością. Jako też Polska zaczęła się rozwijać pod swojemi rządami, ludzie fachowi i światli poczęli ustalać warunki pracy i płacy, zainteresowali się życiem i niedolą ludzką, chcieli widać podźwignąć lud roboczy, nasycić pracą i chlebem, poczęli ustalać ustawy, jakoteż wyszła ustawa sejmu, źle zagospodarowane majątki miały podpadać pierwsze parcelacji. Jako też ten majątek, który był w rękach żydowskich, a wyzyskany w lichwiarski sposób od męża i syna tej pani starszej. Ja jako służący folwarku było moim obowiązkiem donieść sejmowi w Warszawie i Ziemskiemu urzędowi w Kielcach, tagem i uczynił, po paru tygodniach zjechała komisja z Kielc na sprawdzenie, czy to jest czy nie. Komisja stwierdziła, że tak jest i powiedziała, że ten folwark będzie szedł do parcelacji. Ja się stara-

łem żeby środek tego folwarku został się starodawnej właścicielce a nie spekulantom żydom, kiedy się żydzi dowiedzieli, że to jest moje staranie się o to wszystko, zaczęli przemawiać obszarników różnych i innych, ażeby mnie wydalić jak prędej jakimkolwiek sposobem, nastraszyli obszarników pobliskich, że jeżeli służba danego folwarku rozparceluje ten żydowski folwark, to oni zrobią wrzawę w sejmie żeby i wszystkie dwory parcelowali, obszarnicy się tego ulękli, dawaj przemawiać panie w różny sposób, ażeby robiły różne przeszkody i utrudnienia, długo się coś panie opierały tej namowie, oszukańcy dawali różne łapówki, gdzie im się tylko zdało ażeby to pokręcić w jakikolwiek sposób choćby najhaniebniejszy, tego wymieniał nie będą na brak czasu, na koniec pod różnemi groźbami i namową i dała się namówić, że mnie odprawiła bo im nie chodziło tyle o mnie co o panią, żeby ich wyprzyć jak prędej z tego majątku, ale ja się poświęcił, całą ofiarnością, że za żadne skarby, za żadną namową nie dam ich wyprzeć z tego majątku. Według ustawy i prawa widzieli żydzi że zemną nic nie poradzą to podeszli pod panie, panie dały mi kunotatkę, od 1 kwietnia mnie zwalniają a żydzi dają na moje miejsce służącego i co sobie panie tylko będą żądać od nich to oni dadzą im. Na mnie się rzucili wszyscy z nienawiścią nawet i ksiądz miejscowy, został oddalony od 1 kwietnia 1923 roku, alem się z mieszkania nie wyprowadził, nie było to mieszkanie ale buda. Jak pogoda to jeszcze, ale jak deszcz to tyle co i na dworze, ale cóżem miał robić, kiedy innego nie było. To mieszkanie żydowskie po oddaleniu mnie od pierwszego kwietnia, kiedym opuścił służbę, zaraz się wzięli za panie najpierw odebrali im pole żydzi w tym samym tygodniu co miała obsiewać na wiosnę, bo w jesieni siałem, co potrza było tom obsiał, tagem walczył z onemi żydami i innemi podobnemi przez lat pięć i w tym okresie pięcioletnim czasie miałem wielkie wydatki, pochowałem ojca, teściową, dziecko, kosztowało mnie dosyć sporo grosza i to tylko z pracy rąk, jeszcze trudno pracy niema, nie mógł szukać bom był chory i nieźle tak od kwietnia pozostałem się bez pracy a pani bez ziemi, dopiero się wtedy doznała, że została trzykrotnie oszukana, ale cóż kiedy się spostrzegła późno bo żydzi se postąpili mądrze a ona się wprowadziła w błąd. Zepchnęły mnie i siebie do skrajnej nędzy, a ja po paru tygodniach znalazłem pracę starszego robotnika na szosie w mieście, drużnika. Tagem przepracował całe lato tylko miał daleko chodzić do domu, bo aż sześć kilometrów musiałem o suchem kawałku chleba pracować po całych dniach, zarobek był średni, sypiać gdzie w stajni albo w stogach.

słomy a żona z pięciorgiem dziećmi i krowine musiała utrzymać, z tem się męczyć, troje dzieci najstarszych posyłać do szkoły powszechny, trzeba było ubranie, książki i tak dali różne rzeczy, codzień mieć gotowy grosz jak i do dziś dnia tak przepracowałem do 1 listopada 1923 roku. Od pierwszego listopada dostałem się do kasy chorych w powiecie Olkuskim w charakterze woźnicy, tutaj było większe wynagrodzenie niżeli na szosie, ale się zaraz nie mógł przeprowadzić z rodziną, bo nie było można znaleźć mieszkania, a późni przyszła zima, śniegi niezmierne, droga była daleką, trza było się wieźć dziesięć mil drogi, nie sposób z tak drobnymi dziećmi, musiałem być sam a żona z dziećmi i co miesiąc w ciężką zimę musiała po pieniądze przyjeżdżać do mnie, bo dla mnie było trudno jeździć bom był dwa razy stratny, raz na podróż a drugi za siebie musiałem droży zapłacić niżeli mnie płacili, była to dla żony jak i dla mnie wielka niedogodna mozolność, bo ja nie musiałem sobie kwatery wynajmować, bo bym musiał dzieci pokrzywdzić w życiu, wolałem sobie sam gotować dziennie choćby raz i w stajni spać, a kiedy przyszły duże mrozy, tom prosił kierownika żeby mi pozwolił sypiać na korytarzu, a kiedy się przekonali i zwierzili że pewne jest zostawić całe ambulatorja i kancelarję pod moją opieką, to mie wpuszcili sypiać gdzieś chciał w którym pokoju było ciepło, dopiero wtedy było inaczej bo choć w dzień czy w noc wydychnąć to się było chociaż bez chwilkę czasu, się zagrzać w ciepłe, tagem przez pięć miesięcy się przemordował, aż do 1 kwietnia 1924 roku, potrza było w powiecie Miechowskim do sejmiku do rolny gospodarki człowieka zaufanego, a ten drogomierz miał powierzone administratorstwo com pod nim pracował, więc on powiedział panu staroście, że ma takiego i takiego człowieka^o i pan starosta polecił mu się ze mną porozumieć, żebym się nazad zdecydował powrócić, ja to też uczyniłem, zdecydowałem się na onego gospodarza do Sejmiku nie tak skruć posady bom miał w kasie chorych lepiej, mniej pracy a wynagrodzenie lepsze, tylko mi obiecano, że po pięciu a sześciu latach pójdzie do parcelacji to będę miał pewne dziesięć morgów przeznaczone. Myślałem sobie, że gdyby tak, toby się człowiek chociaż na stare lata nie tułał za pracą i kawałkiem chleba i nie wysiadywał pod nagim dachem. Tak powróciłem się 1 kwietnia 1924 roku, do onej gospodarki. Tą gospodarkę dopiero się zakładało, było w pierwszym roku 60 morgów, a późni dołożyli 30 i było 90 morgów, było kupe pracy, była para koni a my dokupili: 50 par koni, 10 krów, z jednej owcy dochowali się osiem, postawili stodołę, kupili maszynę do młócki, siewnik, żniwiarke, kopiarke, try-

jer, wozy, pługi i tak dalej co tylko było potrzebne do gospodarki, pole oczyścili z kamieni, gdzie były budynki porozwalane nie używane odpady uprawili, jednym słowem co było gdzie brakowało to się zrobiło, kosztowało to kupę pracy. W pierwszym roku zanim się to uregulowało, doprowadziło do porządku, to się nie musiało spać w nocy więcej jak z trzy godziny, że nieraz się tak spać chciało, że nieraz na pniu śpioch brał, a jednak się starano, żeby doprowadzić gospodarkę do celu, żeby sobie wyrobić opinię, a gospodarka żeby dawała jak największy dochód. Jednak przy tak dużych wydatkach dawała pięć tysięcy złotych czystego zysku. Miałem wynagrodzenie 14 metrów zboża, z początku 12, rocznie 600 zł. pensji, z początku 20 zł., rocznie 200 prętów ziemi od karka z początku 120 prętów, ale i to ledwie się stykało jedno z drugim, koniec z końcem. Dzieci sześcioro, troje starszych chodziło do szkoły i już do czwartego i piątego oddziału, to książki, zeszyty, to różne papiery, piłki do laubzeki, różne wydatki szkolne, wymysły niepotrzebne, tak nie nastarczono groszy dawać, samo obuwie na jedną zimę dla nas wszystkich kosztowało 200 zł. a ubranie i inne domowe rzeczy, same drobne rzeczy jak sól, nafta, mydło, cukier i inne domowe rzeczy, przechałkiem jak robiłem obliczenie co miesiąc to przeszło 25 zł. tak że jeżeli chciałem kupić gazetę, to nie musiałem się kupić papierosa albo innego przedmiotu a jestem bardzo ciekawy za gazetą i książką. Czytałbym dnie i noce, choćbym najmnij jadł, jeżeli się dostanie jaką gazetę lub książkę ciekawą do ręki, to bym niejadł choćby kiszki jak wesołego walca grały byle tylko chwilkę czasu było. Przyznajcie z całą sumiennością z powodu tak małego dochodu porzuciłem palenie tytoniu a wódka to niewiem jaki smak ma i wiele jaka butelka kosztuje, a żeby chociaż raz w tydzień, albo co dwa tygodnie jakie pismo, gazetę czy książkę mieć, ale i tu się znaleźli podstępcy, wkiędy zobaczyli, że się rozwinęła taka gospodarka poczęli zazdrościć panu administratorowi, a żeby się wcisnąć na jego miejsce, bo przyszykował strawę na stół i zasmakowała im i tak wiercili, tak kopali że się doczekali zmiany pana starosty, nowy pan starosta dał się wciągnąć w błąd, zmieniać administratorów, po czterech i pół latach pracy jest zmiana administracyjna na jednego miejsce dał pan starosta dwóch urzędników do sejmiku, wtedy mnie zaczęto oszukiwać, nie wydawać tego na com się zgodził a gospodarka zaczęła się kurczyć, w pół roku została zniszczona do połowy wartości, widzę, że nowi urzędnicy rujnują gospodarkę a przytem i mnie, nie mogąc znieść tego, że to tyle trudu i pracy kosztowało, powiedziałem co nowi administratorowie

robią z gospodarką i na głos i zdezelowalem się z tego ażebym nie był do spółki zaliczony, objąłem nazad dróżnictwo na ziemnem odcinku, 95 zł. miesięcznie do tego wziąłem w dzierżawę 2 i 1/4 morga i chałupinę ze stodołą, z tegom płacił rocznie 10 metrów żyta i 150 zł. a do tego było daleko do odcinka, bo do odcinka jeszcze miałem 3 kilometry, tak że dziennie nieraz musiałem robić 26 kilometrów i to prawie nieraz o suchym kawalku chleba, bo dzisiaj trudno gdzieś we wsi kupić pół litra mleka albo kilo chleba, nieraz trza było nie jeść śniadania albo obiadu a droga daleka i praca nie lekka, ale com miał robić chodziło mi o dzieci, bo zawsze w mieście lepiej w szkole uczą, jest więcy nauczycieli, ale na wsi jedno ma dużo dzieci to nie może tej lekcji udzielać. Tak przez trzy lata męczyłem się ale już nogi odmawiały posłuszeństwa, musiałem zmienić sobie miejsce pobytu, przeniuzem się na wieś, teraz lżej na nogi, bo się nie chodziło tak daleko, ale gorzej bo wydatki większe, dzieci szkoły takiej nie mają, dwoje młodszych chodzi do szkoły, a trzecia średnia chodzi do miasta do 6-go oddziału, musowo kolejkę płacić, bo droga daleka 6 km. drogi takie dziecko nie może codzień chodzić taki pęd drogi po błotach, trzeba co miesiąc płacić 4 zł. 60 groszy, a to inne wydatki szkolne, dwóch starszych chłopców którzy mają 20 lat, trzeba ich też okryć i dać jeść bo pracy niema, jeżeli się gdzie trafi czasem na parę dni jaka robotota to znów nie można pieniędzy odebrać, całe miesiące się odbiera po 2, 3 zł. a na koniec to resztę trzeba darować i na tem się kończy wszystko, dzisiaj są takie czasy, że nie pyta nikt na nikogo, oszukuje jeden drugiego choćby w najhaniałniejszy sposób. Na wsi biednemu robotnikowi jest trudno użyć aniżeli w mieście, bo w mieście ma parę groszy to i za parę groszy może coś kupić. A dzisiaj na wsi chłop nie da zarobić, sam wszystko zgryzie, a jeżeli są wyjątki, że gdzie ktoby najął to bardzo rzadko, a jeszcze tak obliczy sobie żeby nie dał coś więcy, żeby za wiele nie zarobił, także i we dworze dzisiaj obszarnicy duszą robotnika w najhaniałniejszy sposób, bo widzą że dzisiaj jest straszne bezrobocie, to oni wyzyskują robotnika różnemi spekulacjami, różnemi obietnicami, robotnik ciemny, głupi, bezradny daje się wyzyskować i tak owa nędza się pogłębia coraz dalej, coraz większa, prawa, ustawy, umowy obszarnicy dzisiaj spychają w przepaść a robotnika zmuszają do dawnych praw carskich, że muszą pracować, zato co ci dam a nic niemówić choćbyś z głodu padł i dzisiaj robotnik się zniechęca, nie wierzy nikomu i wprost dzisiaj bo jest zrujnowany do najniższego poziomu, wszystko się mu z pod nóg wymyka, brak chleba,

brak obuwia, brak przyodziania, brak ciepła w domu, musi się gnieść w jakim kącie z rodziną, bo robotnik na wsi czy we dworze za ledwie zajmuje jedno ciasne mieszkanie, jeszcze mokre bo woda, jeżeli nie z boku to prosto z góry się leje a mieszkanie tak duże, że ledwo można ustawić jedno a najwięcej dwa łóżka, na którym śpi troje, czworo, a reszta się kładzie na ziemi, a jeżeli które z nich zachoruje, to niema w tem wyboru żeby sam swobodnie leżał, ale musi z nim więcy choćby choroba była niebezpieczna i tak dali, a przytem czyż można i możliwe młode pokolenie wychować moralnie na zdrowych i dzielnych ludzi, kiedy ja od lat dziewięciu dopokąd nie oderwałem się od rodziców do fabryki, tom nigdy w domu nie sypiał i nie znał pościeli a tylko się poniewierał po stajniach, owczarniach, chlewach i różnych dziurach i dzisiaj dzieci moje starsze też muszą się gdzieś, bo dzisiaj nie stać ale nawet i trudniej jest gdzie znaleźć mieszkania tak dostatniego, żeby się można cośkolwiek z większą rodziną pomieścić a tu jeszcze się w domu w nocy musi zawrzeć drobną gadzinkę którą niewielką ilość chować, kurki pod piec, kaczki pod łóżko a prosiątka, albo cielątka w kącie, króliki pod drugim łóżkiem, bo kaźden biedny chciałby coś chować, bo nie będzie chował kurek, to często będzie bez soli, nie będzie chował królika nie będzie mięsa znał, nie będzie chował kaczki, nie będzie miał poduszczyny pod głowy dzieciom i sobie tak dali i tak się z tym wszystkim, prawie że jak rano wstanie ze snu to w głowie ma jakby wypił z pół litry spirytusu, ale co ma robić, musi to wszystko znosić jeżeli jako tako chce na świecie żyć, tak się od nędzy kaźdy broni i obronić się nie może bo dzisiaj czas jest próżniaczy, dla ludzi niema pracy a tu sześcioro dzieci w domu, trzeba życia i okrycia a zarobić niema gdzie. Przez trzynaście lat posyłam stale troje dzieci do szkoły i do dziś dnia trzeba codzień do szkoły posyłać i mieć parę groszy świeże i dawać codzień to na ołówek, to zeszyt, to na inne rzeczy, a tu jeszcze do tego teraz za czasów polskich w szkole wymuszają od dzieci różnych danin, nauczyciele, wychowawcy czy księża, choć rodzice się dzieciom sprzeciwiają i nie chcą dać to w takim razie dzieci szukają sposobu, bo jak dziecko nie chciałoby być w szkole gorszem od drugiego a żeby nie było i ostatniem od tych co dali, choć rodzice nie mają i dać niechcą, to w takim razie dziecko patrzy skąd wziąć co się zda skraść rodzicom albo komu i niesie do szkoły, w takim razie dzieci się uczą kraść, bo przecież w szkole znajduje się złe towarzystwo, które psuje dobre dzieci a za tem jeszcze niektórzy nauczyciele i księża w podobny sposób przytakują, a przecież dziecko

nie zarobi nigdzie grosza, jeżeli do szkoły chodzi, jakże można od nich coś podobnego wymagać, idzie na szkodę rodzicom i młodemu pokoleniu, ofiary szkolne i inne rzeczy wprost niepotrzebne, daj niema rady ale dziecko biednego i tak zawsze w tyle, bo jakto się mówi w polskim przysłowiu, kto smaruje to i idzie, tak było a teraz tem bardzi jest tak, a jak kto niema czem smarować to i sam chlebczy jałowa warza musi smakować. Dziś porzuciło się palenie tytoniu i wszelkie trunki, już się ich wcale nie zna i mięsa nawet i święta się zdarzają, że się i w te największe święta nie zna, nie ogląda ale i na przednówku, bardzo często rodzice i starsze dzieci co rozumią że niema, muszą iść spać bez kolacji tylko się tym coś nie coś musi zmyślić, co se nie dadzą przetłomaczyć, że niema. Dzisiaj robotnikowi nikt nie skredytuje, choćby z głodu konał, ósmioro ludzi w domu, pożywić i okryć w żaden sposób nie można wyżyć z 8 zł., to jest cały zarobek miesięczny, jak go drobić żeby pokryć rozchód, mieszkanie miesięcznie 12 zł., metr drzewa z furmanką 12 zł. najmniej jeden metr zboża z młynem 18 zł. i więcej, szkoła miesięcznie do 10 zł., najdrobniejsze, sól, mydło, nafta, i t. d. miesięcznie 20 zł. — 25 zł. Utrzymanie krowy miesięcznie 8 zł. a gdzie odzież, gdzie kartofel i inne rzeczy, a tu nieraz choroba choćby coś kupić posilić się a przecie by biedny poszedł do kina, choć turka zobaczyć, albo małą widzieć jak wygląda a tym bardzi mu potrzebna książka, potrzebna i gazeta, bo to wiedza i inne bardziej potrzebne przedmioty do życia, albo się nauczyć jakiego rzemiosła, dzisiaj nie stać biednego na takie wychowanie dziecka, bo i to jak na biednego duże pieniądze kosztuje. Mam dwóch synów którym się kończy rok 20-ty i nie mogę ich niczego nauczyć bo mie nie stać by jeszcze dopłacać do terminu, kiedy ledwie zaledwie ich do tej pory wyżywił i jako tako okrył a oni do tej pory nic mi poza domem w pracy nie pomogli i niema nadziei żeby coś pomogli choć zdolni są do pracy i chcieliby praecować, żeby choć mogli sami dla siebie zarobić na gębę i okrycie a tu by się zdało bardzo, żeby można się jako zdobyć choć na jakie kawałtko ziemi, choćby sobie postawić jakąkolwiek budę, aby miał swoją własną, bo dzisiaj rok z rokiem trudni o mieszkanie, bo choć kto ma jakie zbytnie mieszkanie na wsi to nie wie co z niego ma wziąć miesięcznie a nie to woli żeby mu stało puste a nikomu nie da tani i dziś biedny robotnik na wsi niema gdzie sobie zasiać czy zasadzić pietruszki i cebuli a to cała dla niego okrasa i przyprawa, a przecieżby biedny zjadł i ogórka czy inne frukta z włoszczyzny, niekoniecznie żeby wszystko musiał kupić, ale co możemy sobie tylko o tem pomyśleć,

że tak by było coś lepi i tak być powinno ale można sobie tylko o tem apetyt zrobić, żołądkowi i życiu tego robić nie wolno, bo w Polsce tego nie było i być nie będzie, dopokąd Pan Bóg wyższości z powierzchni ziemi nie zmiecie, a nie zaprowadzi jedności, równości. Na tem kończę swój opis, nie jest to opis całego życia bo czasu za mało dla mnie, chcący zestawić cały testament co do słowa i okoliczności, stosunku życia i przejścia w życiu, musiałbym poświęcić co najmniej, bez te krótkie chwile wieczorne, choć pięć miesięcy a nie miesiąc czasu, choć bym bez ten miesiąc mógł bym poświęcić całe noce na tej pracy, nie chodziło o spoczynek, ale nawet niema pieniędzy i papieru za co kupić do tej pracy, jezdem chętny, ale i pisać się boję wszystkich szczegółów, bo nie jezdem sam sobie, a potrzebuję czyjejs zawsze łaski, boję się żebym kogo nie obraził. Mam za sobą 48 lat życia, przechodziłem różne koleje życia i niedolegliwości jak rzadko się trafia u robotników i różne drobne i większe prześladowania nie za co inne jak za prawdę lub uczciwe postęпки, nie chciałbym się więc w takim razie nikomu więc nadwyręzać sobie w tych tak ciężkich czasach, dość nędza dokucza wprost się żyć niechce i niebardzo wierzę co pisze Instytut Gospodarczy Społeczny, żeby pisać wszystko otwarcie, co prawdę to tak a co wszystko to nie, bom miał takie zdarzenie za czasów Polski com śmiało prawdę mówił i pisał tom potem przez innych był prześladowany.

Dn. 27 listopada 1933 r.

**Gospodarz współwłaściciel na
niepodzielonym piętnastomorgo-
wym gospodarstwie w pow.
lukowskim**

Zaczółem pisać tylko o sobie i jak juź się bardzo zamyślałem ęto aż mi dziwno że jakby do pomocy przybył mi mój dawny ból i swoim zipaniem w kolanach jakby mi chce pomódz myśleć i opiso-
wać, e jak tak to we dwóch zacniemy od dziadka i z co więksego do dziś opisemy.

Ojciec nas był synem włócnego gospodarza najstarszem z po-
śród sześciu sióstr i trzech braci i od młodości pracował w browarze
tu pod Stoczkim, który dziś nie istnieje, ożenił się, mieszkanie od-
grodził u dziadka w sieni, matka z sąsiedniej wsi była córką 24-morgo-
wego gospodarza, a ze była z licnej rodziny juź najmłodszą to
jesce w panieństwie otrzymała sto rubli jako posag od swoich juź
bardzo starych rodziców i wniosła je do ojca i od tej pory rodzice
nasi mieszkali u dziadka w tej sieni i żyli z zarobku tego browaru,
tak długo ze aż dziadek z pomocą ojca wyposażyli wszystkie dzieci,
dopiero wtedy ojciec otrzymał 15 morgów z wymówioną częścią na
dożywocie, ojciec opuścił browar i wziął się za gospodarstwo i bu-
dowę. Po ukończeniu budowy i spróbowaniu gospodarzyć ojciec
zaniechał takiego gospodarstwa i wrócił na dawne miejsce, jako fur-
man do browaru. Wreście podeszły wiek i osłabione zdrowie zmu-
siły ojca do opuszczenia na zawsze tego browaru i wzięcia się za gospo-
darstwo i uboczne zarobki, których na kilka lat przed wojną nie bra-
kło. W tem wyżej spomnianym casie i warunkach przybyliśmy na
ten świat, licna rodzina, bo siedmiu braci i sześć siostry, troje umarło,
zostało nas i żyje sześciu braci i ćtery siostry i to wszyscy dorośli.
Mamy te piętnaście morgów lichej ziemi, ornej jest trochę więcej
jak połowę, łąki niecała morga, reszta górki, jałowiec, krzaki, choina
jako nieużytek. O spłacie niema mowy i nikt nie jest spłacony. We-

dle nadesłanych wskazań opisać jak się żyje i jak gospodarzy nie mogą, bośmy wszyscy dorośli a przecie samego siebie od domowego życia nie wyłączę, są tu zonaci, kawalery i panny. Chociaz z cewięksego opowiem jakieśmy się uczyli, które się ozeniło i jak i ile nas zostało w domu, kiedy nam było dobrze a kiedy źle. Imienia postarszemu: Franka, Weronka, Franciszek, Baśka, Stacho, Walek, Michał, Józef, Władek i Różka, trzy starsze siostry matka nauczyli w domu czytać drukowanego, Franciska zgodzili na pomoc pastucha do folwarku i tam panienka uczyła dzieci z pobliskich wsiów, pokryjomu przed ruskiem i on się uczył, ja co to opisuję, też chodziłem do tej szkoły przez jedną zimę, ojciec tam trochę zapłacił, Walek i Michał zgodzone były do pasienia u ludzi tak zeby ich i uczyć trochę, Józef tak samo pasał krowy u ludzi i uczyli go, wręście trafiła mu się służba u dwóch braci, którzy byli stelmachami i jego wyuczyli za stelmacha. Władek i Różka juz przy końcu wojny chodziły juz do polskiej szkoły, ale cóz niebyło dobrego ubrania, ani obuwia, o książkach trudno było pomyśleć, Walek na zimę jak móg tak zrobił jem treпки na drewnianych podeśwach, a nauczycielka widząc to modne obuwie podarowała jem pońcochy, i tak się skończyło nase szkolenie. Franka się ozeniła z wdowcem bezdzietnem, którego znała jeszcze kawalerem, jak służył w folwarku i po weselu zabrał ją jako robotnik do Miłosny pod Warszawę. Weronka pojechała za Warszawę do ogrodników na robotę i tam się poznała z Piotrem i w jesieni za nią przyjechał. Po weselu swagier wrócił nazad do ogrodnika, aby się zgodzić i wrócić po nią, wrócił i mówi do matki, ogrodnik mnie prosit żeby mu przywieźć chłopca do obrzędu krów i innych postług. Matka — to weźta Stacha i odjezdżamy we troje, matka mówią do ojca pomalu się porozłazą nase dzieci. I tam zgodzony byłem 40 rubli na rok i życie. Na drugi rok wybuchła wojna, swagry oba na wojnę zabrane, tu ludzie z Warszawy wychodzą do ogrodników za robotą, źle trzeba wracać do domu, Weronka z małem dzieckiem, za jakiś rok wraca i Franciszka do domu z dwojma dziećmi i dokąd był ruski to brały pieniądze, a jak przyśli niemcy, to juz źle, gospodarka ojca nie moze nas wyżywić nawet do pół roku, ja poszłem do folwarku do pasienia bydła, ojcu koń się zmarnował, drugiego niema za kupić, trzeba robić na krowach, a tu ziemia górzysta, najgorzej jechać na krowiem zaprzęgu, było niemożliwie, krowiny stare w roli umglewały z mlekiem zupełnie zostawiły, a tu dzieci małe. Weronka od dziecka poszła do młynarza za kucharkę, Francyna jedna dziewczynka umarła, od drugiej przysła do folwarku znów za kucharkę.

a dzieci zostały jako u babki, matka w płac, a tyłem się swoich nawychowywała, teraz i cyje musę wychowywać, ja już stara do małych dzieci niezdatna. Dobry pan pytał się zawsze czy ojciec ma jaką robotę w polu i zara dawał swoich koni, chociaż ich sam miał za mało do swojej roboty. Przy końcu wojny jeden śwagier powrócił z niewoli austryjackiej i zabrał Weronkę i jak może zyje we dworze jako fornał oczekując nieraz po kilka miesięcy na wypłatę, a do Franki nie powrócił śwagier, bo zginął gdzieś tam pod Królewcem. Francisek już do polskiego wojska posed na ochotnika, w ostatku ja jako poborowy i w tem straszmem odwrocie od Kijowa śpiewaliśmy, a jak przyjdą sute czasy i przysły te sute czasy tylko nie dla nas, po wojnie o teraz to już się biedzie nie damy, bośmy już przecie prawie wszyscy dorośli i jak kto mógł i ojcu pomagać w gospodarce i na zarobek chodzić, a jak się trafiło to i na służbę i tak na zmianę. W ostatku przy zmianie marek na złotówki wsie się zaroily z zarobkiem, bo nikt pieniędzy nie chował i najmali ludzie do pomocy przy budowie do wyrabiania cegły, kopania rowów w łące, tak było ze co miał gospodarz sam zrobić jutro, to dzisiaj najuł i zrobił, a zamozni to nieraz kupowali towary niepotrzebne i ten ruch i zarobek ściągnął nas prawie wszystkich do domu i zarabialiśmy ubocnie, dokładaliśmy do gospodarstwa, kupiliśmy świń, było więcej gnoju, na polu już się lepiej rodziło, tak ze mogliśmy się wszyscy wyżywić od wyrobu cegły z gliny, można było 5 do 6 złotych. Ja lubilem robotę przy budowie z kamieni obór, chlewów i piwnic, co się wtencas często trafiało, też sie zarobiło 5 zł. dziennie. Ojciec już w śmiertelnej chorobie kazał wybudować studnię w miedzy po stryju z chłopcami. Budowa prędko nieszła. Ojciec w oczekiwaniu tej pożądaney studni siedział to leżał na podwórku, a od nieprzykrzenia kazał wypuscać z obory już niezłego kastana i ten na każde zawołanie brykał po skórkę z chleba, bo najprzód trzeba było zrobić rury i to aż 28, potem znaleźć studniarza i śmierć zaledwie pozwoliła uraczyć się tą pożądaną wodą. Pieniądze potrochu się zaczynają kurcyć, a o zarobki jesse nietrudno, na wsi zarabiać to trzeba ciężko od świtu do nocy pracować. Tak zapracowany grosz musiał być korzystnie włożony w gospodarstwo. Paśliśmy już po trzech wieprzków do roku, jednego się zabijało dla siebie, dwa się sprzedalo i wystarczyło na podatek, na ubranie i obuwie dla wszystkich i na gazetę gospodarską, nawet radyjo krystalikowe kupiliśmy i bronę fabryczną i pług Wentzkiego i dobrze. Krótka ta dobroć, bo wślad za piędzmy i zarobki giną. Franka podupała na zdrowiu bo już niemłoda

wróciła ze służby z folwarku, trochę grosa zaoszczędzonego przyniosła. Walek mówi do Franki, wiesz co, zarobki teraz już kiepskie, mam trochę pieniędzy i ty mi dołóż to pojedę do Warszawy, na kurs szoferski i nauczył się za szofera, pieniądze wydał, o posadę trudno, trzeba iść nazad do domu i ledwo się dostał za szofera do tych znajomych panów, co się tu z folwarku wyprowadzili tam pod Kalisz i tam się ożenił i jakoś żyje. Przychodzi do nas Jasiiek, po matczynym bracie i mówi — Ciociu możeśta słyseli, ze ta moja najmłodsza siostra już nie żyje. Tak słyseliśmy. Ona była zeniata z tem tylko bez parę izbów niedaleko i on spłacił jescze trzy siostry i wziął sześć morgów, mnie zostało też sześć morgów, o to źle ano trudno nie mogłem spłacić więcej. Nieboscka umarła po dziecku w szpitalu, dziecko żyje i oddane na wychowanie. Ona przed śmiercią jemu przykazała, żeby się ożenił w nasej familji, to jużeśmy obgadali i niema takiej do zenienia tyłkoby ta u was, no i on mnie tu przysłał i jak ciociu powiecie, mozeta przychodzić, jak nie będzie chciał Baški to Rózię i juz zacyna się zenić z Bašką. Jasiiek, ale ciociu ile wy dacie, bo on chce wiedzieć. A dyć po nieboscyku paręset złotych mam to dam, to zamało, no to Francisek ze służby ma trochę grosa to moze na tysiąc dołoży. Jasiiek dodał, on chce duzo więcej, przecie on ma i swoje sześć morgów, przecie wiecie ciociu, ze i ziemia to nie takie góry u nas jak tu u was, tam wszystko dobre. Po ślubie zara na drugi dzień już o rozwodzie się zaczyna, jego rodzeństwo strasznie lamentuje. Ten wdowiec pozyczył tysiąc złotych u zyda 4 złote na miesiąc od sta proc., na chorość i szpital nieboscki, i lamentują a ty se wziął biedną, a za tamtą byś dostał pięć tysięcy, a zyd ci sprzedza za procent te sześć morgi, a tamte sześć morgi za wychowanie dziecka i ty z dziadami pójdzies, a moze ona będzie miała tyle dzieci, co jej matka, moze ona ma suchoty. W takim to lamencie przebyła kilka tygodni i wróciła do domu przez niczego. O zabranie ubrania pokryjomu, on wytoczył sprawę i przed sprawą postanowiliśmy Baškę wygnać z domu i po wygnaniu jakoś się znaleźli i do dziś jakoś tam biedują. Józef później zaczął z gajowego córką i ożenił się jescze wpierv od Baški i żył na komornem ze stelmachostwa. Ożeniecie Baški najgorzej odczuwała Róźka prawie już dorosła, bo jak później uznali doktorzy, ze jej padło na mózg i ze dwa tygodnie maleńko co jadła i nic nie spała, ukrywaliśmy ją przed sąsiadami i niepodobno dalej żyć tak i doktór każe jechać do Warszawy i wieziemy ją z Franką, na stacji w Warszawie spotyka nas znajomy wyterynarz, o to siostra, tak to lepiej odrazu jedzcie do państwowego zakładu.

w Tworkach, to tam taniej się płaci i wójt niechciał zaradzić, mówi na matkę jest zapisane siedem morgów, to niech zapłaci i na tę opłatę sprzedaliśmy tego dobrego jesse po ojcu konia i dalej niema pieniędzy i musowo ją nic niezdrowszą zabrać i na rezykę w strasznej biedzie przyszła do dobrego zdrowia. Józef na drzewo i statki pozyczył od Michała sto złotych, które zaoszczędził z zarobków. Stelmachostwo było możliwe zara po wojnie, teraz stało się niewystarczające nawet na wyzywienie a nie na komorne, Józef postanowił jako na swoim za wsią w jałowcach jako pastwisku budować sam taką izbę z desek że łózko zajmowało pół tej izby. Ja i Franciszek przydłużyliśmy tę izbę tyle co o kuchni, lepiąc z gliny i gałązek. Michał zaczął nudzić, Józwa oddaj sto złotych bo mi potrzeba na ubranie, buty i machorkę. Ja ci nie zapieram, widzis sam i na mnie tylko te łachy co na karku i to dziurawe, koła się nie trafiają robić, innych zarobków sam wiesz ze niema: i z tej zgryzoty i nudzenia dostał widać rozstroju nerwów Michał i już dwa lata chodzi obłąkany i oberwany, przecie to chłop 26 lat, wstyd na całą rodzinę. Moze kto pomyśli ze to nerwowe, ja tu odpowiem, ze chociaż by kto miał nerwy jak postronki mocne, to w naszych warunkach zycia by mu się porwały i jako dług są te rodzinne daniny, które się tak wrażliwie procentują. Budynki mamy stare już próchniaste te po ojcu, w izbie mieszkamy w sześcioro wraz z matką, Franka z dorosłą już córką ma izdebkę zrobioną z komory, chlewek przy sieni, Józef z dwojma dziećmi mieska w tej swojej izdebce w jałowcach, stodoła z jednym sąsiekiem i oboza pod jednym dachem, mamy dwie krowy i kiep-skiego konia, jedno prosię i kilka kur. Główne żywienie to kartofle, piece się i chleb, chociaż na ważniejsze święta, jest trochę i warzywa, jako okrasa dla wszystkich to mleko z którego i masło się sprzedaje co parę tygodni kilo. Len tu się niechce rodzić, ubrania to i swojskiego niema z cego robić, a sklepnego niema za co kupić, tak się dodziera nawet to od święta na codzien, z dwojga podartych spodni robi się jedne, z obuwiem gorzej, buty podarte a w jednym ubraniu cy obuwiu nie mozemy chodzić, bośmy nierównego wzrostu, a słodzi się to zycie na wsi kradzieżą, zastępami drogi i rozbójstwem. Przyczyna tego jest niechcenie biedować, rozpusta i brak zarobku i nieodpowiedzialność majątkowa. Taki wyrostek jak posiedzi w więzieniu, to się staje jakby ojcem, tylko nie żywi dzieci, a jego żywią takie wyrodki. Musę opowiedzieć o swoich bólach i ostatniem przed-nówku i zarobku. W tą tęgą zimę zaczął mi strasznie dokuczać w kolanach reumatyzm stawowy i doktor mi przeznaczył lekarstwo ze-

wnętrzne i wewnątrzne i w wełnę kazał okręcać kolana, żeby ciepło było i nawet prędko wyzdrowiałem, ale niedługo zara w lato ból się powrócił i znów dokuczał, piniędzy niema na doktora, wełny tak samo, pomyślałem sobie jest jedyny prawie nowy kozuch, trzeba go wziąć do stodoły i na noc w ten kozuch nogi okręcać i nawet ból się widać kozucha bojał i ustępował i tu złodzieje się dopatrzyły i w biały dzień ten ostatni kozuch ukradły. W domu krzyk pociós wyniosł kozuch do stodoły, pomyślałem sobie ja wiem poco i odtąd postarałem się trzymać psa. W tem ostatni przednówek po nasieniu, kartofli nic nie zostało, zboża ani ziarna już dawno niema, zarobku niema, pożyczyc ani grosa ani prosa nie można, matka krzycą zatrac psa bo sami nie mamy co jeść, kury z głodu zdychają. Na te słowa zabrałem się na wieś, bo obiecałem przyjść drzewek szczepić, to może i na psa się kto trafi i sprzedałem tego psa za dwa złote, tak że jak minie przednówek to go odkupię, biedny psisko uciekał często i z radości skakał, to się kładł pod nogami, aby go więcej nie dawać. Przednówek już minął, a tu dwa złote niema żeby go wykupić nazad, bo pies w dzisiejszych czasach jest bardzo potrzebny. W ten przednówek to już nam wszystkim groziła głodna śmierć, żeby nie Jasiek po stryju, który za niewielką spłatę miał kupione trochę żyta. Mówimy, — Jasiek pożycz nam tego z trochę żyta, a ja nikomu nie pożyczę, bo to cały mój majątek, ja je sprzedam jak zdrożeje, no to i my ci oddamy po najdroższej cenie, pożycz, i te półtora korca żyta pożyczonego sprzedaliśmy i kupili kartofli i o tych kartoflach przeżyliśmy ten przednówek. Zarobek tego przednówka — przed same żniwa przychodzi do mnie z Wólki jeden gospodarz nawet to sołtys i mówi słyszałem, że ty mógłbyś zrobić piwnicę, ja buduję izbę i pod sienią chciałem zrobić małą piwnicę, toć ja przecie nie mularz, ale tu we wsi już parę robiłem i jakoś się nie rozwalają, no to przychodź, ale jak tu iść, niemam młota ani drążka żelaznego, to pożycz od kogo i zara przychodź, w południe było coppersa gorąco, ale ledwo zadźwigałem ten młot i drążek, patrząc kamienie niełupane, jak tu siły niema po kartoflach i zacynam, na drugi dzień gospodarz chory widać od dźwigania, ja sam nic nie zrobię trzeba kogoś nająć, za trzy dni dokończyliśmy, ja chcę dwa złote dziennie, a mnie już dawno chcieli zrobić za półtora złotego i pieniędzy musis trochę zacekać. We żniwa jeden dzień u dwóch gospodarzy za dopołudnie to dopiero tera na ten papier otrzymałem złoty a za popołudnie dostałem zara paczkę machorki, a przecie pamiętam jak miałem lat jedenaście, to w folwarku od zbierania kamieni na koniczynie zarobiłem piętnaście kopiejek,

to mówią że wtenczas było trzy paczki machorki, a dziś mam 32 lata i na trzy paczki machorki nie mogę zarobić. Niektóre zamożne chłopcy ubiegają się za posadami cy urzędowaniem a to w charakterze ubocznego zarobku i najchętniejby rozporządzać jaką pensyjką. A biedniejszym tłumaczą ze trudno, czasy się mieniają, jak trzeba to trzeba i za łyżkę jedzenia pracować, to nie do przełknięcia, przecie człowiek to nie pies, że mu się da zryć i on za to w rodzonym futrze i zimę i lato bosy podwórza pilnuje. Wspomnę i zabawy, choć nie umiem tańcować. 15 sierpnia w Stoczku bywa odpust i tu w Zgórniczy młodzież urządza zabawę w pierwszym od szosy podwórzu. Zeszłego roku idę z odpustu i tyle znajomych patrzy się na tą zabawę, skręciłem i ze znajomymi się patrzę na tę zabawę. A tu podchodzi do mnie jakiś nieznany z kijem i buch mnie z całej siły przez ucho, zemglony przewróciłem się i zagłusony ledwie wstałem i patrzę znajome widać z żalu odwrócili się odemnie, jakby nie widzą bo byli bezsilni przeciw zgrai. Później się domyślałem, że to dopłata do kozucha, latoś w ten sam odpust zabawa poszła daleko naprzód, bo ubawiono 18-letniego chłopca 27 nożami, tak że mógł sobie własnymi oczami obejrzeć swoje wnętrze, drugi dostał jeden nóż aż do płuc i to się dzieje w biały dzień. Jakem był mały to mi takie sydermki dokuczały że z nich to można litanję ułożyć, a teraz śtraśnie nienawidzę słuchać o tem kryzysie, mojem zdaniem kryzys jest to ostatni wynalazek nadrozumu ludzkiego a spowodowany przez tą zmorę pieniężną i ten nadrozum ludzki za dużo sobie wynagradza i od zachodu rozwiął się ten kryzys prawie po całym świecie i to aż wstyd wspomnieć, że fundament sama biedota i ci co pragną chleba dzisiejszego i taki fundament niedługo nie wytrzyma tego pięknego kryzysu. Do takiego życia i warunków jak niektórzy mamy na wsi koniecznie jest potrzebna wojna i zdobycie Syberji i tam wysłać nie tych za karę, a tych co dla nich byłoby za wielką nagrodę, a zbrodniarzy nie sadzać do więzienia, bo to ich jeszcze gorszy, może kto będzie czytał i nazwie to moje żądanie za odwrotne. I dlatego muszę kilka przysłówi spomnąć mądrych ludzi, które też odwrotnie wychodzą. Przed wojną mówił pan w folwarku przy obrzucaniu kamieni na duże kopy, za te kamienie przyjdzie czas że będziemy wino pić, a tu kamienie teraz wywieziono szarwarkiem i nawet wody nie pito, i że po dobrych drogach bogactwo przyjdzie, a tu widać zmyłką i pusconą biedą i mówiono że na wsi ludzie są zdrowsi, bo mają powietrze zdrowe, wiemy że ryba żyje w wodzie, ale nie wodą tak samo i człowiek, że żyje w powietrzu chyba nie powietrzem. Mówiono i to, że od

wszów więcej wojska zginęło jak od kul, to możliwe, ale wszy spowodowała wojna, tego to nie mówię, ze kto umarł z głodu i ze się chodzi nago, boby było kłamstwem, bo choć z buta widać dziurę, to nie nogę tylko onucę, a ze głód i chłód dużo działa to prawda.

Wam, którzy chcecie się zaznajomić z biedą na wsi i być jej przyjacielem zycę serdecnie abyście się nie stali bezsilnemi i może z zalu nie odwracali ode wsi, jak te moje znajome na tej tu zabawie.

Nie dla nagrody, nie dla ciekawości tylko wedle mojego bólu, który jak o czem bardzo myślę gorzej mi dokucza, proszę choć o jedno słowo odpowiedzieć, czy ten list doszedł tamoj.

Dn. 19 października 1933 r.

Kowal na gospodarstwie ma-
łorolnem w pow. puławskim

Ciernie i osty na drodze mojego życia

Korzystając z tego, że jeszcze znaleźli się ludzie, którzy zainteresowali się życiem ludu pracującego, małorolnych i bezrolnych w Polsce, ja jako małorolny i rękodzielnik kowal na wsi, postanowiłem nakreślić koleje i warunki mego życia tak, jak wymaga tego rzeczywistość, starając się nic nie przesadzić i nie pominąć, gdyż pragnę tylko zdać dokładny rachunek z tego, co przeżyłem i przeżywam obecnie.

Trudno mi będzie opracować dobrze z tego względu, że niestety na szkolnej ławce nie siedziałem dnia ni godziny, jestem samoukiem. Zanim przejdę do opisu terażniejszego mego życia, zatrzymam się nieco na swej przeszłości poczynając od dzieciństwa, aby wyjaśnić dlaczego tu a nie gdzieindziej zamieszkałem, i w takich a nie innych warunkach żyję, i jakie przyczyny i okoliczności ku temu się złożyły.

Urodziłem się we wsi Karczmiska, pow. Puławskiego woj. Lub. z matki Antoniny i ojca Wawrzeńca S., dnia 19 marca 1894 r. jako siódmy i ostatni syn. Mając lat niespełna cztery matka mi zmarła, później wychowywała mnie macocha. Gdy byłem w wieku szkolnym latem pasalem bydło, zimą jeden ze starszych braci uczył mnie czytać na elementarzu i trocha pisać, tyle że mogłem się jako tako podpisać i tyle było mej nauki. Gdy mając lat 15 zaduży byłem już do pasania bydła, oddano mnie do kowala, żebym uczył się rzemiosła i już później do domu nie wróciłem, a pracowałem u różnych kowali w małych miasteczkach aż do wybuchu wielkiej wojny. Miałem wówczas lat 20, i zaraz w styczniu 1915 r. zostałem wzięty do wojska

rosyjskiego i wywieziony aż za Wołgę do miasta Samary. Powróciłem z Rosji trzeciego maja 1922 r. ojca zastałem jeszcze przy życiu ale już niedołężnego.

Osiemnastomorgowa gospodarka wyniszczona długą wojną i opuszczona, gdyż nie miał kto pracować i dojrzeć najemników, bo trzech starszych braci prócz mnie było na wojnie, jeden w Ameryce, a jeden zmarł pozostawiając żonę i drobne dzieci, najstarszy zaś oddzielnie na swej małej gospodarce.

Z inwentarza żywego było tylko dwie krów, jeden koń, dwoje świń i parę sztuk kur. Wyniszczony wygłodzony półtoramiesięczną podróżą z dalekiego Kaukazu, nie znalazłem ulgi w domu rodzinnym. Okazałem się zupełnie zbytecznym i nie czekając długo, postanowiłem za wszelką cenę szukać w Polsce pracy. Nie mając pieniędzy na podróż napisałem list do brata w Ameryce prosząc go o pomoc i on mi przysłał dwadzieścia dolarów, których część obróciłem na kupno ubrania, a za resztę ruszyłem w drogę. Byłem w paru miastach, jak Lublin, Łódź, Skierniewice, Warszawa. W Warszawie zatrzymałem się parę dni, gdyż chciałem koniecznie uzyskać pracę w warsztatach protezo-ortopedycznych, ponieważ w Rosji w takich warsztatach w mieście Piatigorsku na Kaukazie pracowałem cztery lat, jako ślusarz-ortopedysta i posiadam dobre świadectwo. Lecz odmówiono mi oświadczając, iż przyjmują wyłącznie inwalidów wojennych. Los nie dopisał mi w Polsce, straciwszy resztę pieniędzy przygnębiony wróciłem do rodzinnej wsi.

Tu dopiero jesienią 1922 roku trafił mi się wspólnik kowal i postawiliśmy kuźnię. Ja wszystkie pieniądze na to musiałem wypożyczyć i tak wspólnie zaczęliśmy pracować. Trzy miesiące później t. j. w lutym 1923 roku ożeniłem się z córką miejscowego dziewięciomorgowego gospodarza i w ten sposób osiedliłem się w rodzinnej wsi.

Po śmierci mego ojca w roku 1925 otrzymałem z podziału swoją siódmą część gruntu, która wynosi dwie i pół morgi ornego, 35 pretów lasu, siódmą część morgi nieużytku i siódmą część morgi kwaśnej łąki. Te dwa i pół morgi mam w pięciu odległych kawałkach, przy czym najdalej odległe są około dwóch kilometrów, a żonie ojciec udzielił około jednej morgi w dwóch kawałkach, więc mam w siedmiu oddzielnych kawałkach tę odrobinę ziemi. Na takim to kawałku ziemi i wspólnej kuźni zacząłem swój dorobek w strasznie ciężkich warunkach. Jeszcze jednego długu nie oddałem, który zaciągnąłem na budowę kuźni i na niezbędne rozchody w związku z moim ożen-

kiem, a już musiałem zaciągnąć nowy dług, bo z początkiem roku 1926 spółnik mój zażądał spłaty ze swej połowy kuźni w wysokości 300 zł. I nie było innego wyjścia musiałem pożyczać gdzie tylko mogłem i ile się dało, aby zebrać te 300 zł.

Gdy spłaciłem spółnika z kuźni mój stan zadłużenia pod koniec roku 1926 wynosił, jak następuje: starego długu 150 zł., na spłatę kuźni 300 zł., na leczenie dwuletniego synka z angielskiej choroby 120 zł., na kupno krowy 100 zł., za żelazo w sklepie 60 zł., za towary w sklepie bławatnym 45 zł., razem 775 zł. Procenty od tej sumy wówczas płaciłem różne i różnym ludziom i tak P. 6 zł. od sta na miesiąc, M. 8 zł., S. 8 zł., P. 6 zł., P. 7 zł., w sklepie żelaznym A. 4 zł., w sklepie bławatnym L. 4 zł., wszystkie wymienione wyżej procenty należy rozumieć od sta w stosunku miesięcznym. O ile rok 1926 był dla mnie rokiem bez mała tragicznym, o tyle rok 1927 przyniósł mi duże ulgi w zadłużeniu, a to z tego powodu, że miałem stałą pracę w kuźni, ceny produktów rolnych stały na wysokim poziomie, na wsi było dużo pieniędzy, więc rolnik nabywał różne towary, narzędzia, maszyny, dużo budowano, słowem był ruch, każdy kto chciał pracować miał zarobek i ja pracowałem ile mi tylko sił starczało po 16 i 18 godzin na dobę niedojadając, gdyż wszystko co zarobiłem szło na pokrycie procentów i długów, tak, że nieraz w dni upalne z wyćienienia dostawałem zawrotu głowy.

Przy takim to wysiłku i odmówieniu sobie nieraz najpotrzebniejszych rzeczy zarówno w odżywianiu się jak i odzieniu, zdołałem w przeciągu roku spłacić większą połowę długu.

A teraz przejdę do obecnego stanu mego życia. Rodzina moja składa się z pięciu osób, ja, żona, i troje dzieci. Najstarszy syn ma na ukończeniu lat dziesięć, uczy się w IV oddziale szkoły powszechnej, drugi syn ma lat osiem, uczy się w II oddziale szkoły powszechnej i córeczka ma pięć lat. Mieszkam narazie w zabudowaniach teścia, gdyż on mieszka w domu swej żony. Dom mieszkalny to stara jednoizbowa chałupina bez podłogi o małych dwóch oknach, obora i stodoła też nie w lepszym stanie.

Co roku muszę poprawiać, łątać, zatykać strzechę, aby się nie lało w czasie deszczu, większego remontu nie robię, po pierwsze, że nie mam na to gotówki, a po drugie jeszcze nie wiem czyje będą te budynki, a to ze względu na to, że żona moja jest najstarsza ze swej rodziny, jeszcze prócz żony pięcioro młodszych należy do tych zabudowań, a najmłodsze liczy dopiero pięć lat, i nie mam innego wyjścia, o budowie nowego domu i mowy być nie może w dzisiejszych

czasach. Ja swoje trochę drzewa, które mi się dostało z rozbioru starych budynków po ojcu złożyłem na kupę i leży bezużytecznie już trzy lata. Mieszkanie jak wspomniałem wyżej mam jednoizbowe, razem kuchnia, jadalnia i sypialnia. Na umeblowanie składają się następujące przedmioty: szafa kuchenna, mała szafa na ubranie i bieliznę, jeden stolik, dwa łóżek zwykłych pod słomę, dwie ławy i cztery krzesielek. Śpimy na jednym łóżku troje, na drugim dwoje. Ubranie dla całej rodziny nie wyłączając bielizny wszystko muszę kupić, gdyż zamało mam ziemi, abym mógł siać len i konopie. Obuwie też kupuję. Zarówno ubranie, jak i obuwie wykorzystuje się do ostatnich granic, stosując jaknajwiększą oszczędność, a to przez łatanie wydartych dziur do ostatniej możliwości, łatając nieraz tę samą przedartą łąkę, drugą i trzecią łąkę. Mnie np. muszą wystarczyć do roboty jedno spodnie dwa lata, kurtka zaś trzy a czasem i cztery lat, a jedno ubranie odświętne służyło mi akurat dziesięć lat. Ilość ubrania i obuć musi wystarczyć nam tylko niezbędna t. j. jedno ubranie do pracy i jedno skromne od święta, a dzieci i tego nie mają a muszą obywać się o jednym. Latem jak tylko słońce ziemię nieco ogrzeje żona i dzieci chodzą boso do późnej jesieni.

Z inwentarza mam tylko jedną krowę z młodem cielęciem, jedną świnię i czternaście kur, więcej nie mogę wyżywić na swym kawałku ziemi, a jeżelibym chciał utrzymać dwie krowy i więcej świń, to już muszę dokupywać paszy.

Ta moja gospodarka poza wyżywieniem rodziny nie daje mi żadnego dochodu, a to dlatego że niemam własnego konia, a utrzymanie konia na takim małym kawałku ziemi to też nie oplaca się, bo paszę dla niego trzeba kupić. Ja na swym kawałku ziemi mogę wykarmić i sprzedać w roku tylko jedno prosię do wagi najwyżej 150 kg. i to jest tylko jedyny dochód roczny i po obliczeniu kosztów najmu za cały rok obrobienia koniem w polu i wszystkie inne z tem związane roboty, oraz podatki i opał to nic mi się nie zostaje. Opał muszę kupować, bo w swoim kawałku lasu niewiele mam do wycięcia, a chciałbym pozostawić cośkolwiek i dla dzieci. Wszystkie ta robota codzienna związana z prowadzeniem gospodarstwa, które wykonywa żona i ja odbywa się zadarmo. Jedyne źródło mego dochodu, które jeszcze całkowicie nie zamarło, to moje rzemiosło.

W ubiegłych latach kiedy jeszcze rolnictwo nie leżało w gruzach, ja w kuźni miałem stałą robotę i z tego źródła spłacałem długi i procenty, z tego źródła czerpałem na pokrycie wszystkich potrzeb domowych, jak odzienie, obucie, sól, naftę, słoninę, mydło, i t. d., lecz

później w miarę tego, jak spadały ceny na produkty rolne, tak samo stopniowo zmniejszała się robota w moim warsztacie.

Jeszcze w roku 1932 trzy dni do czterech w tygodniu miałem robotę w kuźni, a w roku bieżącym po obliczeniu dni pracy w poszczególnych miesiącach wypada mi tylko dwa dni w tygodniu z zarobkiem dziennym po odliczeniu kosztu żelaza, koksu, zużycie narzędzi, najmu pomocnika oraz podatków z kuźni, wynosi mi niecałe dwa złote, tak, że za cały rok otrzymam tylko około dwieście złotych dochodu. Oto cały i jedyny mój dochód roczny na utrzymanie rodziny.

Dzisiaj rolnicy idą do kowala tylko w ostateczności, lemiesz nakuwają sami na kamieniu i ostrzą pilnikiem, koła wiążą drutem, stawiają sami t. zw. ślepe sprychy i tak samo wiele innych rzeczy i narzędzi łątają sami, jak mogą, nie wspominając już o nowych. Gdy ja zarabiałem więcej, to i u mnie ludzie zarobili, bo jeżeli pracowałem w kuźni a jednocześnie była jakaś robota w gospodarstwie, to najmowałem, a teraz i sam nie mam roboty, a podatki coraz to większe. Nafta zdrożała 10 gr. na litrze, opał też, towary bławatne, obuwie i wiele innych rzeczy bez których obejść się nie można, a długu jeszcze dawnego mam za żelazo u A. w Opolu 70 zł. na 2% miesięcznie i w Kasie Stefczyka 50 zł.

Ten dług za żelazo pozostał mi jeszcze z tych czasów kiedy miałem dużo długu, brałem żelazo i wystawiałem weksle i za wyrobione narzędzia brałem gotówkę i spłacałem te długi od których płaciłem największy procent, myślałem, że czas niedługo się poprawi to oddam i resztę, a tu coraz gorzej, jak żyć dalej? Pomimo tego, że żyję skromnie, papierosów nie palę, wódki nie piję, gdyż na zdrowiu mi szkodzi, w karty nie gram, to cała wieś może poświadczyć, bo wszyscy mnie znają i nie mogę związać końca z końcem.

Główne produkty, którymi odżywiam się z rodziną i których nie kupuję, a wystarcza mi z mego kawałka ziemi są to, ziemniaki, chleb, kapusta i kasza jęczmienna. Z pośród wymienionych na pierwszym planie stoją ziemniaki, gdyż spożywamy ich najwięcej, dwa razy dziennie i z tego powodu utarło się powszechnie na wsi przysłowie, że na śniadanie je się kartofle z barszczem, a na obiad barszcz z kartoflami (aluzja do powszechnego odżywiania się ziemniakami na wsi); gryki i prosa nie mam gdzie siać, a jeźelibym wsiał to żyta na chleb będzie zamało. Z codziennych potraw, którymi się żywimy są takie. Na śniadanie ziemniaki oczyszczone z łupin ugotowane i podane na cało z barszczem, który gotuje się w ten sposób, trocha

kapusty z kwasem, dolewa się wody, żeby nie było bardzo kisłe i gotuje, później 2—3 łyżek mąki pyłkowej rozbija się z 1—2 szklanki mleka, wlane do gotującego się kwasu, razem zagotowane i barszcz gotowy. Na obiad to zależy co jest do gotowania, czasem kapusta i kasza jeżeli jest, kapustę gotuje się tylko w tym wypadku jeżeli można pozwolić sobie na kupno słoniny, w przeciwnym zaś razie zastępuje się mlekiem. Na kolację rzadko kiedy się coś gotuje, najczęściej spożywamy resztę co z obiadu pozostało, a jeżeli gotuje to najczęściej ziemniaki. Jeżeli niema za co kupić kaszy, zastępuje się ziemniakami. Główną rolę w naszym odżywianiu odgrywa mleko. Gdy przed wycieleniem krowa daje coraz mniej mleka, to częściowo w gotowaniu dolewa się wody, a gdy już krowa nie doi, to jeżeli można dostać u sąsiadów wypożycza się po jednym litrze codziennie aż do wycielenia, a później oddaje się tymże sposobem, innego wyjścia niema przy jednej krowie. W ostatnich czasach z braku gotówki zaczynam zmniejszać spożycie własnego mleka aby go sprzedać na inne niezbędne potrzeby. Słoninę w tym czasie tylko kupuję, jeżeli na nią zarobię i mleka swego niema, w najlepszym razie pół kilograma na tydzień musi wystarczyć.

Mięso i masło to tylko na święta Wielkanocne bywa gościem w moim domu jako że to tradycja taka. Kur, kogutów i jaj nie jadamy nigdy, gdyż trzeba sprzedać na sól, naftę, zapalki i t. d. Jeżeli czasy się nie poprawią to i spożycie produktów własnych będę zmuszony ograniczyć, by je można było sprzedać i uzyskać gotówkę. Ach, jeszcze o cukrze zapomniałem, to też gość świąteczny w moim domu, dwa razy w roku na Boże Narodzenie i Wielkanoc. I ten to zbawienny cukier stał się już niedostępny dla mnie, moje dzieci nędzne blade, już podskakują do góry z radości, że święta się zbliżają, że w te święta będzie herbata i kawa z cukrem. Z bólem serca i zaciśniętymi zębami patrzę na te obłudne reklamy „Cukier krzepi”.

Pracą dzielimy się z żoną po sile możliwości, ja gdy nie mam pracy w kuźni, krzątam się koło gospodarstwa czy to w domu czy w polu, żona jak zwykle na wsi kobieta stale ma co robić, gotuje, sprząta, karmi inwentarz, pierze, zmywa, dogląda dzieci i t. p. roboty domowe, a latem i krowę pasie w polu.

Wolny czas od wszelkiego zajęcia jak niedzielę i święta poświęcam na czytanie gazet lub książek, oczywiście nie swoich lecz wypożyczonych. Na kupno książek czy gazet nie pozwala mi już mój dochód. W poprzednich lepszych latach prenumerowałem tygodnik. W długie wieczory zimowe już nie czytam, bo nafta jest za droga.

Gazety wypożyczam gdzie mogę, najczęściej od księdza lub nauczycieli, książki zaś w bibliotece Koła Młodzieży Wiejskiej. Latem w niedzielę i święta, gdy wyręczam żonę w pasieniu krowy, też muszę mieć jakąś gazetę, bez czytania ja obejść się nie mogę, tak jak palacz bez papierosa. Zaangażowałem się do czytania jeszcze z młodych lat.

W pracy społecznej biorę udział jako członek Rady Nadzorczej i Komisji Rewizyjnej Stowarzyszenia Spożywców „Swojak”. Również przez sześć lat byłem członkiem Rady Nadzorczej i Komisji Rewizyjnej miejscowej Kasy Stefczyka. Stan zdrowia w mej rodzinie jest nieszczególny. Ja przeszedłszy ciężkie choroby będąc w Rosji w czasie głodu, jak tyfus plamisty, żółtaczkę, zapalenie wątroby, zapalenie płuc, ogólnie jestem wyniszczony fizycznie i mam marny wygląd.

Żona za wyjątkiem drobnych niedomagań naogół zdrowa, natomiast dzieci są blade i chude. Starszy syn chorował na angielkę i dwukrotnie na zapalenie płuc. Młodszy chorował raz na zapalenie płuc i zacina się w mowie, jedynie córeczka jeszcze nie chorowała nam poważnie. W czasie choroby nie korzystam z żadnej pomocy lekarskiej, jedyny ratunek w tym wypadku to własna gotówka, jeżeli jej nie mam to zdaję się na łaskę losu. W czasach przedwojennych ja nie miałem jeszcze własnego warsztatu pracy, ale pracując u różnych ludzi, obserwowałem i pamiętam dobrze jakie życie prowadzili wówczas zarówno małorolni jak i bezrolni i w porównaniu ze stanem dzisiejszym tych samych ludzi, będzie tak odmienny jak dzień od nocy. Na podstawie tych właśnie obserwacji i doświadczeń mogę śmiało i stanowczo stwierdzić, że przed wojną lepsze życie prowadził zupełnie bezrolny i nie mający żadnego fachu zwykły wyrobnik niż ja dzisiaj i więcej zarabiał w stosunku do ówczesnych potrzeb życia, niż ja dzisiaj w stosunku do dzisiejszych potrzeb życia.

Może który z szanownych czytelników powie, a jakże u licha dzisiaj żyje ten bezrolny i małorolny nie mający żadnego fachu? Na to pytanie zaraz odpowiem.

Przedewszystkiem jeżeli ja ze swą rodziną spożywam posiłek jeszcze trzy razy dziennie, to tam raz a najwyżej dwa razy dziennie, jeżeli jeszcze moje dzieci nie mają wydzielone ile mają zjeść czarnego chleba dziennie, to tam mają wydzielone. Tam o ile posiadają krowę pełnego mleka nie jadają, lecz trzy części wody, a czwarta mleka, w najlepszym razie do połowy. Ze słoniną nie jedzą, nafty nie kupują, soli rzadko kiedy, obucie jedna para na całą rodzinę, a ubranie

jakie z samych łąt po kilkanaście na kupę zeszyte. Dla przykładu nie trzeba mi daleko szukać, mam blisko takich sąsiadów, jeden z nich ma rodzinę z sześciu osób, ma dwie morgi ziemi, już z reszty swego żyta chleba upiekł, ziemniaków może mu wystarczy do wiosny, nafty nie kupuje, zapalek też, spać kładzie się razem z kurami, ogień przenosi w saganku od sąsiadów aby rozpałić sobie raz na dzień do gotowania.

Oto częściowy obraz nędzy jaka się stopniowo szerzy na wsi polskiej. Jeżeliby kto z szanownych czytelników wątpił o rzeczywistości moich słów, niech idzie na wieś, wnuknie w to życie wiejskie, niech przyjrzy się zbliska, wtajemniczy w to tętno życia biedoty wiejskiej, niech wyczuje ciężary i potrzeby tych ludzi, niech wyczuje ducha patryjotyzmu czy rozgoryczenia i przekona się jak żyje, czem się odżywia olbrzymia większość ludności wiejskiej. Ja osobiście radbym widzieć takich ludzi na wsi i przyjąłbym ich solą i chlebem w swej chacie, bo uważam, że przyniosłoby to pożytek, nietylko wsi, ale i całemu krajowi.

Przyczyn do wytworzenia obecnego stanu na wsi, a w tem i mego biedowania i trosk było wiele, a mianowicie: 1) katastrofalny spadek cen na produkty rolne, a w szczególności zwierzęce, 2) stałe podwyższanie i wynajdywanie coraz to nowych podatków przez rząd, 3) niezmiernie wysokie ceny na towary przemysłowe i monopolowe, 4) zaniechanie przez rząd parcelacji pomiędzy małorolnych i bezrolnych na długoletnie spłaty majątków państwowych i prywatnych, 5) brak zdrowego i długoterminowego kredytu.

Jeżeli te rzeczy nie będą wkrótce zrozumiane i zrównoważone przez czynniki miarodajne, to w przyszłości miliony ludu wiejskiego włoży torby dziadowskie. Wieś ubożeje, ludzi przybywa, a ziemi nie, i jakież ja mogę mieć widoki na przyszłość, jeżeli z dniem każdym ubożeję nie mając własnego dachu nad głową i czy w takich warunkach będę go mógł zbudować? A czem będą moje dzieci, jaki im dam kawałek chleba, czy dam im wykształcenie, jeżeli koszta w gimnazjum wynoszą podobno przeszło tysiąc złotych rocznie, czy może obsadzę ich na gospodarstwie rolnem, toć przecie aż po jednej mordzie im się dostanie, a ja nie mam żadnych widoków na powiększenie swego gospodarstwa przez dokupienie jakiegoś kawałka ziemi i tem samem powiększyć spadek swym dzieciom.

I cóż to będą za gospodarstwa jednomorgowe, jakie może być życie na takim gospodarstwie, jeżeli ja nie mogę żyć tak jak człowiek przeciętny powinien żyć.

I w obliczu tych oto pytań i zadań stoję bezradny pomimo najlepszych chęci do pracy i oszczędności dla swego pokolenia, krew się w żyłach ścina i rozpacz bierze na samą myśl, że moje dzieci jeszcze gorszy los czeka odemnie. Na jakich obywateli Państwa wyrosną i jakimi będą obrońcami Ojczyzny, gdy w tej Ojczyźnie ja ojciec nie mam sposobu pomimo gorącego pragnienia im dać należytego kawałka chleba i sam nie mam najmniejszego zabezpieczenia na swoją starość.

Mojem gorącym pragnieniem jest jeszcze doczekać zwrócenia uwagi całego społeczeństwa na wieś polską, i komu leży na sercu dobro Ojczyzny, niech się przyczyni do unormowania stosunków życiowych w Polsce, dopokąd nie będzie zapóźno, gdyż Państwo wtenczas tylko będzie zdrowe i silne, gdy będzie zdrowy i silny cały naród.

I tylko dobrobyt całego Narodu, a nie jednostki wzbogaci cały kraj.

Listopad 1933 r.

Cieśla wioskowy, ostatnio gospodarz na czternasto-hektarowym gospodarstwie w pow. hrubieszowskim

Zaczynam początek z przed sześćdziesięciu laty. Będąc jeszcze małym dzieckiem, jak ojciec opowiadał, że dziadek mój przywędrował z Prus. Powodem wędrowki mojego dziadka było prześladowanie przez prusaków, za własne przekonania, względem co do polskości. Wędrując w stronę wschodnią, przeprawiając się przez kraj zaborczo-niemiecki, aż dotarł do granicy rosyjsko-niemieckiej, tu szczęśliwie przedostał się na stronę zaboru rosyjskiego (część Polski). Po przedostaniu się do zaboru rosyjskiego zapragnął nabyć choć kawałek ziemi. Z wielką to trudnością mu szło, aż nareszcie osiedlił się na ziemi lubelskiej w miejscowości Kiełczewice. Bardzo mu się ta okolica spodobała. Była to dolina bardzo piękna, ziemia żyzna przy rzece Bystrzyca. Ciężka była praca i trudne życie, bo miał liczną rodzinę. Dopiero mój ojciec dorobił się dwunastomorgowego gospodarstwa, ale niestety! Z przed sześćdziesięciu laty ludzie nie mieli praktyki, jak tej ziemi uprawiać, aby choć starczyło im do wyżywienia tak licznej rodziny, jaką posiadał również mój ojciec. Moje rodzeństwo składało się z czterech braci i jednej siostry razem ze mną było nas sześcioro, ja jako najmłodszy, to i najgorzej mi się powodziło. Od wczesnej młodości, zaczęły się dla mnie dni smutku i zmartwienia, bo ojciec nie mogąc wyżywić nas, a o okryciu nie było mowy. Miałem może lat 15, jako młody chłopiec, chciałem, gdzie wyjść ale w czym? Jedna tylko długa koszula i więcej nic. O Boże! Zdawało mi się, że ja będę mógł żyć, ale jakieś dobre mnie natchnienie owiało, że jakoś to musi być, tyle ludzi żyje to i ja będę żył. Było to podczas późnej jesieni, zbierali się chłopcy i dziewczęta, starsi odemnie, na „bandos”, a mnie zaczęła myśleć ta w głowie świtać, że może i mnieby przyjęli, jestem duży, to możeby się co

zarobiło na przyodziewek, bo aż wstyd gdzie wyjść w tej koszuli, ale jak i w czym pójść na zarobek, kiedy nie mam ni spancera, ani spodni, poprosić starszych braci, to nie dadzą, a tylko wyśmieją. Nie namyślając się długo, wziąłem pokryjomu spodnie i kaftan, ubrałem się i dalejże razem iść na bandos do dworu. Przyłączyłem się do bandosów, ale co to było śmiechu ze mnie, że taki kopacz, to będzie kopał za dwóch, ale ja nie zważałem na to tylko z tą myślą żyłem, jakby to zarobić na ten spancer i spodnie a i butyby się zdały bo zima się przybliżała. Powędrowałem z niemi. Przybyliśmy do dworu jako bandosy, zaraz nas wzięto do pracy, ale jakto we dworze, dozorca, który nad nami dozorował, zemścił na czem świat stoi nie dając nam wytchnienia, pędząc jak bydłeta, bo dobry gospodarz to i nad zwierzętami się lituje. Pracowaliśmy jeden dzień, na drugi dzień zaczęła się niepogoda, ale pracowaliśmy do wieczora. Wieczór powróciliśmy do dworu, zmoczeni i zziębnięci, ani gdzie się wysuszyć, ani co spożyć bo we dworze nie dawano nic gotowanego, a wydawano trochę krup jęczmiennych i kartofli i tym razem przyniósł nam parobek dworski trochę krup i kartofli, rzucił to nam jak bydłu, a my ani gdzie ugotować, ani surowe jeść. Dopiero ze starszych, z pośród nas, wzięli się do urządzenia kolacji. Napalili ogień i zaczęli warzyć krupy jęczmienne na pół rozdarte, a my młodszy opiekaliśmy kartofle, taka to była nasza kolacja. Nie mogłem dłużej pracować w takich warunkach i poprosiłem dziedzica, ażeby mi wypłacił, to jeszcze mnie zwymyślał, że nie powinienem wcale zaczynać, jeżeli zamało mam wytrzymałości, ale tak prosiłem, że wzruszyło go to i wypłacił mi. Teraz nie wiedziałem co kupić, a raczej co będę miał za te pieniądze, na spancer było zamało, a na spodnie za dużo. Powróciłem z tą myślą aż do domu, martwiąc się, co mam uczynić. Dopiero ojciec widząc mnie takim smutnym, zaczął wypytywać o powód mego smutku, więc zacząłem ojcu opowiadać co jest powodem mego utrapienia. Ojciec wysłuchał mnie, wziął pod swą uwagę, pomyślał nad tem trochę i powiada: „Daj to co masz, to ja resztę jakoś tu zrobię i kupię ci to coś zamyślał”. Ucieszyło mię to bardzo, że się pozbyłem zmartwienia. Oddałem ojcu to com zarobił i czekam, a tu upływa jeden tydzień, drugi i trzeci, ojciec nie kupuje. Zaczynam się znowu martwić, ale ojcu nie spominam, nie chcąc narazić się na gniew ojca. Aż na czwarty tydzień ojciec wystarał się więcej pieniędzy i sprawił mi te upragnione spodnie i spancer. Co za radość dla mnie była. Pierwszy raz mieć spodnie i spancer swój własny. Tak to już zdobyłem spodnie i spancer, ale jakby to dobrze

było, żeby jeszcze buty, ale cóż niestety! Ojcu nie śmiałem mówić bo ojciec sam wiedział, że nie mam butów, ale nie kupował bo trza było starsze rodzeństwo wpierv okryć bo oni więcej krzatali się koło gospodarstwa, a ja jako najmłodszy mniej się przydawałem do roboty, to i musiałem się obyć bez butów. Ale jednak nie mogłem sobie tego wybić z głowy i raz myśl zrodzona nie dawała mi spokoju o tych butach. Zarobić nie było gdzie, do tego jeszcze byłem za młody, żeby aż na buty zarobić, a tu szybko zima się zbliżała. Nie mając żadnego wyjścia, ani tak ani owak, aż nareście przypadkiem znalazłem na strychu stare cholewy, już niezdatne do podszycia. Dobrze, że znalazłem, ale jak ich wziąć, kiedy ojciec wie o nich. Myślałem, myślałem długo nad tem, ale nic nie wymyślałem, tylko najlepszy sposób to ojca poprosić, ale jak odmówi, to ostatnia nadzieja się rozwieje. Aż nareście postanowiłem jedno z dwóch, uzbroiłem się w odwagę i z bijącym sercem zacząłem prosić ojca, żeby mi ich dał na trepy. Ojciec spojrział na mnie, że mnie ciarki przeszły, potem zmarszczył brwi i nic nie mówiąc, wziął obejrzał ich i powiedział: „Masz te cholewy, ale jak zepsujesz to swoją skórą nie wykwitujesz, bo widzisz tak, te cholewy miały być podszyte dla ciebie, ale że mi jest teraz ciężko, to odłożyłem na drugą zimę, ale żeś się uparł bardzo i chcesz z nich zrobić sobie trepy, to masz, tylko pamiętaj co ci powiedziałem”. Ucałowałem ojca ręce i zapewnilem go że nie zepsuję, jeżeli odważyłem się go prosić. Ojciec nic nie mówiąc pokiwał tylko głową i szybko odwrócił się odemnie aby nie dać poznać po sobie, iż mu jest przykro, że nie może resztę mego pragnienia spełnić, ale nie uszło to mojej uwagi, bo spostrzegłem w oczach ojca łzy. Zdwoilem swą cierpliwość natyle iżby ojcu nie robić przykrości. Mając cholewy postarałem się kawałek osiki na podeszwy, brat starszy postarał mi się drutu, a ja sam zabrałem się do zrobienia pierwszych butów bez cholew bo cholewy musiały być przyszwami. Jak umiałem tak zrobiłem, że ojciec mi nic nie powiedział, a nawet dość przyjaźnie na mnie popatrzył. Przyszły pierwsze przymrozki to już się nie martwiłem, bo pokonałem zdawało mi się wszystkie trudności, które mi tyle zmartwienia czyniły, a tylko czekałem jaknajprędzej przyjdą duże mrozy i rzeka zamarznie. Przyszły mrozy, śnieg upadł, zaczęła się zima na dobre, że nawet i moje buty były kiepskie na tę zimę. W zimie nie miałem żadnego zajęcia, jak na mój wiek, bo starsze rodzeństwo zamało miało co do roboty przy gospodarce. W tym czasie ja wybiegałem na ślizgawkę, wożąc się sankami w towarzystwie swych kolegów Staśka, Józka i Ignacego, a że moje za-

bardzo częste były wycieczki i do tego widząc ojciec mnie nieraz, że się ślizgam trochę w trepach, a więcej boso, bo śnieg w takie obucie to nietrudno, żeby się nie dostał, wziął mnie wyłajał, że musiałem przyrzec poprawę ale nie nadługo. Pewnego razu ojciec pojechał do miasta, ja korzystając z nieobecności ojca, wymknąłem się z domu i dalejże harce wyprawiać ze swemi kolegami, ale przy pożegnaniu, widząc moi koledzy, że odrazu stałem się smutny, dalejże pytać mnie: „Idrus czego tak posmutniałeś”. Opowiedziałem im powody smutku iż nie będę mógł razem się z nimi bawić, a oni w ręce klasnęli i mówią że: „Możesz ojcu powiedzieć, że będziesz chodził do Stanisława uczyć się czytać i pisać tak jak i my chodzimy, to się znajdzie okazja i na ślizgawkę”. Ach! Jaka dobra rada. Zastanowiłem się nad tą radą i radość mnie ogarnęła, że będę uczył się i będzie sposobność poślizgać się trochę. Zaraz jak ojciec powrócił z miasta z nieśmiałością opowiedziałem jemu, że chcę chodzić do Stanisława uczyć się czytać i pisać. Niebardzo uwierzył w moje dobre chęci do nauki, ale na moją prośbę, ojciec zgodził się pod warunkiem, że dotrzymam co obiecuję, mówiąc: „Słuchaj Idrus, chcę spełnić twą wolę, ale jeżeli ty mnie okłamiesz i nie nauczysz się czytać, to z tobą będzie źle, chodź do tego Stanisława”. Przyśliśmy do Stanisława, ten co dopiero zaczął lekcję z mojami koleżkami, ale zobaczył ojca. zwrócił się uprzejmie, żeby zaczekać aż skończy. Kiedy żeśmy weszli do domu Stanisława, jakiś lęk mnie ogarnął, że zaczęłem żałować swojego postępu, bo na pierwsze spojrzenie, kiedy spojrzałem na Stanisława przeszedł po mnie dreszcz. Był to mężczyzna wysokiego wzrostu o ciemno-blond włosach, oczy miał niebieskie, ale przenikliwe, że nie będzie można kłamać, a wydawał się dość sympatycznej a poważnej twarzy, ale jednak coś od niego wiało, że mnie dreszcz przechodził. Po skończeniu lekcji, Stanisław z ojcem zgodził się mnie nauczyć czytać i pisać, za wynagrodzeniem jakie zażądał. Ojciec zgodził się na to i z tem pożegnaliśmy go. Na drugi dzień już sam poszedłem do nauki i przybyli moi koledzy. Jaka była nasza uciecha, że wszystko dobrze się złożyło, ale jak trudno zaczęła się nauka. Nie miałem nadziei, że się nauczę czytać, bo jakoś mi w głowę nie chciało leźć. Uzbierałem się w wielką cierpliwość aby pokonać pierwsze trudności i nie narobić ojcu przykrości. Tak się starałem, że po pewnym czasie zacząłem potrosze czytać. Przechodziłem przez zimę i nauczyłem się jako tako czytać i pisać, ale pisać niewiele. Po wykwitowaniu Stanisława za naukę zaczęły się dni, tygodnie i miesiące, a nawet i lata monotonji. Z każdym rokiem przeżywałem

wiele trudności, chodząc i zarobkując, aby ulżyć ojcu. Tak mi upłynęło pięć lat od pierwszych i początkowych trudnościach. Dwadzieścia lat dobiegało mi, zastanawiałem się co dalej robić, aby móc jako tako żyć, ale jak przysłowie mówi: „I Salomon z próżnego nie nalał”. Co począć? Co robić? Aby móc żyć i nie dać się biedzie. Zacząłem chodzić z cieślą budować pobudynki. Bardzo się wzięłem do pracy tej z zamiłowaniem, powoli stopniowo nauczyłem się ciesielki i budować, choć niewyśmienicie, ale zawdy umiałem choćby dla samego siebie w przyszłości.

W tym czasie, wiosnową to porą, budowałem przy majstrze jeszcze obory we dworze i poznałem dziewczynę Zosię, która również pracowała we dworze przy murarzach. Bardzo mi przypadła do gustu. Była urodna, pracowita i charakter jej mi się podobał. Przy pierwszym poznaniu zaszła we mnie zmiana bardzo wielka, już robota mi nie szła wład, całkiem błędziłem myślą sam nie wiedziałem za czem. Czas dłuższy tak trwało. Po tem bliższym się zżyciu z nią odprowadzałem ją do domu, aż razu pewnego w połowie maja, już tego nie pamiętam, w noc księżycową, bardzo uroczą, nastąpiło formalne wyznanie miłości z mojej strony, ona narazie się wahała ale na moje naleganie wyznała, że i ona mnie kocha. Ach! Zdawało mi się, że wszystko szczęście razem z dobrobytem zdobyłem. W dalszym ciągu, przy spotkaniach naszych, radziliśmy i zastanawialiśmy jak życie sobie urządzim po ślubie, ale jak każda kobieta nie zdaje sobie sprawy z potrzeb życiowych tak i ona, że jakoś tam będzie, rodzice jej ją lubią to zostanie przy nich a bracia ożenią się z domu, tak ja za głosem jej szedłem ufając, że wszystko na dobre wyjdzie. Kiedy ojciec mój dowiedział się o tem, to jak grum z pogodnego nieba spadł na mnie. Wcale nie dał sobie narzec, żebym ja się z nią zenił. Nie chodziło jemu tyle że z nią, jak nienawidził jej rodziców za sobkostwo, nienadające się do ludzi społeczno życzliwych, ale ja na tyle się uparłem, że w niedługim czasie pojąłem ją za żonę. Ojciec zagniewany na mnie tak był, że nic mi nie dopomógł, a ja musiałem zaraz z miejsca iść do jej rodziców za popychaja. W początkach mi było jako tako, ale coraz dalej to niedowytzymania. Widząc to ojciec mój, chociaż już był na łożu śmiertelnym, przywołał mię do siebie i powiedział: „Synu widzisz kto ojca nie słucha ten na dziady może wyjść, żebyś był mnie słuchał, tobyś dziś inaczej stał, ale żeś źle postąpił i wbrew mojej woli poszedł, teraz cierp, bo ja ci już nie pomogę jak widzisz, tylko naznaczam tobie spłatę z ojcowizny, tak ojcowizna miała być dla ciebie, tymczasem ciebie

będą płacać”. Żal mi się zrobiło, przeprosiłem ojca za mój występki i pożegnałem się, przyjmując błogosławieństwo i ojca wolę z pokorą. Po paru dniach ojciec zmarł i pochowano go ze cziąg, jako dzieci. Po śmierci ojca dopiero zrozumiałem, że zostałem sam, choć żonaty, nie mogłem liczyć na braci ani na rodziców jej, zdany byłem na łaskę i niełaskę żywiołów. U jej rodziców zaczęło się prawdziwe piekło. Byli to ludzie skąpi, a do tego kusili żonę, żeby nie żyła razem ze mną. Tak do tego doszło, że mi wymówiono mieszkanie i jeść nie dano. Przyszły chwile gorzkiego żalu, musiałem się tułać po ludzkich kątach sam i szukać u ludzi chleba. W dniu powszednie, gdzie pracowałem, tam się żywiłem, ale przyszła niedziela lub święto wlokłem się do żony, a żona bała się dać mi jeść boby jej rodzice oczy wydarli. Czasem, jak jej się udało kawałek chleba wziąć i dać i to musiałem pokryjomu zjeść. O Boże! same łzy się wyciskały na taką dolę. Po pewnym czasie zarobkowania mego miałem trochę własnych pieniędzy i kupiłem sobie małe cielątko, aby móc wcześniej dochować krowy. Kupiłem ale nie miałem gdzie trzymać, więc byłem zmuszony przyprowadzić do jej rodziców. Rodzice jej przyjęli z wielką ochotą. Tak przecierpiałem przez półtora roku. Po tym czasie przyszedł na mnie czas poborowy i w tym czasie przyszedł na świat pierwszy syn, rodzice jej zawsze mówili: „Widzisz, już was troje jest i krowę chcecie mieć, ale on jako ojciec nie stara się nic, będziemy widzieli czy on będzie się starał o chleb jak o dzieci”. Znowuż usłyszałem słowa pociechy i otuchy, a tu wojsko mnie czeka, nie wiedziałem co począć, aż nareszcie szczęśliwym trafem bo po komisji byłem przyjęty, tylko przy ciągnięciu losów wyciągnąłem duży los i tym sposobem nie poszedłem służyć do wojska. Przyszedłem z powrotem, rodzice jej co mieli być zadowoleni że nie będę służył, to wręcz przeciwnie, chcieli mnie się pozbyć. Znosiłem swary i obelgi ze strony jej rodziców, aby choć cokolwiek się dorobić i tak przebiekowałem drugie półtora roku. W tym czasie, a raczej przez te trzy lata, po większej części chodziłem sam budować i w ten sposób zaoszczędziłem sobie przeszło 100 rubli. Czas szybko mija, zacząłem obmyślać, jakby tu pójść na swoje. Poprosiłem braci o spłatę i ci w niedługim czasie mi spłacili, ale z jej rodzicami sprawa stała się trudniejsza, ani co dać na wiano, ani z niemi wytrzymać. Musiałem zrezygnować z żony posagu i nie liczyć na ich pomoc. Pozbierałem grosze jakie zaoszczędziłem i poszedłem szukać choć z kawałek ziemi, gdzie poszedłem wszędzie dla mnie była za droga, aż nareszcie zwróciłem się na zachód, o cztery

wiorsty od jej ojcowizny i tu znalazłem kolonję. W tej kolonji kolonista nie mógł dłużej wytrzymać na tym kawałku ziemi i chciał sprzedać. Ja, choć mi brak jest i na te parę morgi pieniędzy, a do tego niezbyt dobra ziemia i kawał nieużytku, nie zważałem byle się jako zgodzić. Pytam się ile żąda za morgę, to on mi podał cenę po 150 rubli, ucha! Robie obliczenie: sześć morgi po 150 rubli, wypadnie mi zapłacić 900 rubli, a ja mam niecałe 500 rubli. Po mojem rachunku, niewarta ta ziemia bo w sześciu morgach przypadało: jedna morga zagajniku, jedna pastwiska (przymiarka) i więcej jak pół morgi nieużytku. Po obliczeniu powiedziałem mu, że więcej nie dam jak po 100 rubli. Wyśmiał mnie, powiada: „Taki młody chłystek chce kupować ziemię, a gdzie masz pieniądze, czyś przyszedł ze mnie zadrzeć”. Powiadam drwić nie miałem w myśli tego, a że więcej nie dam, bo i tego niewart. W duchu pomyślałem, żebym jeno miał na tyle pieniędzy to z pewnościąbym nałożył ale i na to mi niestarczało. Pomyślał trochę, znać było że robi obrachunek i powiada: „Sprzedam ale na tych warunkach, że pobudynki i pół zbioru zabieram”. Nie miałem innego wyjścia, jak się zgodzić. Po zgodzeniu dałem zadatek, zrobiliśmy jaką taką umowę i dalejże do teścia prosić o dopomożenie mi. Teść jak to teść: „Co ci dam, kiedy nie mam co dać, a zresztą rób sobie co chcesz”. Taka była pomoc teścia. Udałem się do ludzi po pomoc, ale nikt nie chciał pożyczyć bo nie ufali mi i nie mieli na czem patrzeć, aż znalazłem szczerego przyjaciela, który mi pożyczył co miał gotówki. Tym szczerym przyjacielem był Antoni Głąb, poczciwy, pracowity nigdy nikomu nieodmawiający pomocy choć sam niewiele posiadał bo czteromorgowe gospodarstwo. Po wypożyczeniu u Antoniego 80 rubli, podążyłem do sprzedającego, ażeby jechać do rejenta, ale on dowiedział się że wszystkich pieniędzy nie posiadam, nie chciał słyszeć o rejencie. Nie wiedziałem co począć, ale jeszcze spróbowałem prosić, że w niedługim czasie oddam mu. Jakoś namyślał się i przerejentował mi. Zostałem dłużny jemu 100 rubli, ale pół biedy bo już miałem przerejentowane. Zaraz zabrałem żonę, a dzieciak został przy teściach, chciałem zabrać krowę, która wyrosła z mego cielątka, ale teść nie dał bo to na jego chlebie się uchowała, a dał mi jałówkę od niej i tem musiałem zadowolić się. Przyszedłem na swój kawałek ziemi, nie było gdzie głowy schronić. Postarałem się o komorne i załatwiłem jak mogłem z pierwszemi potrzebami niezbędnymi na początek gospodarki, zabrałem się do zarobku aby jako dług oddać. Żona wzięła na siebie obowiązek ponad siły bo chciała robić za mnie i za siebie,

abym ja u ludzi mógł co zarobić. Zarobić, ale czy wystarczy na to co potrzeba, a dług pierwszy jak wszystko. Biedowaliśmy krwawo przez cały rok zanim oddaliśmy dług za ziemię i nie mieliśmy nawet krowy bo jałowice, z której uchowałem na krowę, musiałem sprzedać byle tylko dłużnika odspokoić. Na nowo było trza siły szykować, o posnym kartoflu bo chleb w międzyczasie był rzadkością. Żona zaczęła starać się, aby coś wyhodować na krowę, ja zarabiałem na jakiego byle szkapinę, a wóz, pług, brony? W początkach nie mając konia ani narzędzi rolniczych, prosiłem sąsiada by mi obrabiał, a ja jemu odrabiałem. Sąsiad był poczciwy człowiek, znał biedę i nigdy niczego nie odmówił. W trzecim roku dopiero dorobiłem się na szkapinę i wóz stary, a jeszcze pług, brony, to niezbędne w gospodarce, cóż kiedy trzeba było powoli i cierpliwie dorabiać się. Mnie jako tako poszło, ale żonie to się nie wiodło. Nasadziła kacząt, bardzo ładnie chowały się, przyszedł tchórz wydusił co do jednej, co to było rozpaczy ale już to się nie wróciło. Próbowwała drugi raz hodować kurczęta, to lepiej się jej udały, szybko rosły. Miała nadzieję, iż początek będzie na krowę. Sprzedała kurczęta, trochę ja dołożyłem z zarobkowych pieniędzy i kupiliśmy dwoje prosiąt. Otucha zaczęła w nas wstępować bo bardzo ładnie się hodowały i była nadzieja, iż w niedalekiej przyszłości dojdziemy do krowy, a tu jak na złość wkradła się choroba i zaczęły chorować, narobiły nam niemało zmartwienia, ale trudno, może odejdzie. Po pewnym czasie jedno zdechło, niezadługo drugie. Jakiż to był zawód, jakaż to rozpacz była dla żony i mnie niechęć ogarnęła, że bliscy byliśmy do zdobycia krowy, a tu wszystkie nasze zamiary w niwecz się obróciły. Trudno, powiedziałem, musimy jakoś jeszcze się obywać bez krowy, ale żona już zrezygnowała ze wszystkiego powiada: „Bez krowy tobyśmy się mogli jakiś czas obyć, ale bez mleka to dłużej nie mogę cierpieć, bo mała Franusia czem będzie żyć”. Chodziło przeważnie o małą Franusię, bo w międzyczasie powiększyła nam rodzinę, choć syn Waluś został przy rodzicach żony, ale jednak trza było mleka. Nie mogła sobie darować tego zawodu, z płaczem poszła do rodziców prosić o krowę, jakoś teściowi było nijak, że tak biedujemy, dał jej krowę. Kiepska to była krowa, maleńka i mało mleka dawała, ale z uciechą przyprowadziła zadowolona, że złe na dobre wyszło. Od tego czasu polepszyło nam się trochę, dorobiłem się na cały inwentarz żywy i martwy, jeszcze jakby tylko jaką budę zlepić, bo komorne też nadojadło, to po całej biedzie i na swoich śmieciach lepiej się człowiek czuje. Rok jeszcze musieliśmy być w komornem

zanim pobudowałem kawałek dachu. Wybudowałem jeden pobudynek i pod jednym dachem wszystko urządziłem, aby dłużej niebyć w komornem. Trzy lata zeszło zanim wprowadziliśmy się do własnego kąta. Żona powiada: „Chwała Bogu, inaczej będę czuć się, niż w komornem. W komornem ileż ja musiałam słuchać od gospodyni domu, że życie sobie obrzydziłam”. Dorabialiśmy się już na własnym śmieciu, oddając ratę i podatki. Po pewnym czasie dokupiliśmy jeszcze jedną morgę, choć zrobiliśmy kilkadziesiąt rubli długu, ale nie martwiliśmy się bo zaczęło nam się dobrze wszystko wieść, że ludzie nam zazdrościli, a na żonę mówili, że kury pasie marglem, bo dość dobrze się niosły. Wszystko do czasu. W siódmym roku naszego gospodarowania zaczęły się upadki, najpierw klacz mi zdechła, potem świnię i tak się powtarzało, że znów doszliśmy do skrajnej nędzy. Więc nie mieliśmy innego wyjścia, a do tego żona nie chciała dłużej być w tym miejscu. Przebiedowaliśmy do końca siódmego roku i w tym czasie na pociechę powiła żona syna, choć bieda, ale sprawiłem maleńkie chrzciny, bo dobrzy sąsiedzi warci byli aby ich ugościć za pomoc i na odchodne. Ochrcili mi dzieciaka Jankiem, to już nas jest cała familja. Na chrzcinach chrzesny Janka Wojciech L., choć nałogowy pijak, ale człowiek szczodry, nieraz w biedzie nas poratował, tak nas rozweselił, że lżej nam się zrobiło. Zaczęli nas żałować, że sprzedajemy, ale postanowiłem sprzedać i sprzedałem. Pieniądze rozpozyczyłem, żona z dziećmi poszła do rodziców, a ja na zarobki powędrowałem. W międzyczasie mych zarobków szukałem kupna ziemi i tak zeszło do roku czasu. Po roku mej tułaczki znalazłem w tej samej kolonji 12 morgi, w tym 8 morgi ornej ziemi, 2 morgi pastwiska i 2 morgi zagajniku, za sumę 1800 rubli.

Bardzo mi się spodobało, bo przy trakcie między Lublinem, a Kraśnikiem, do kościoła po szosie, ale cóż kiedy mnie nie stać było. Niezważając, że mało pieniędzy posiadam, bo z wielką trudnością mogłem 1000 rubli zgromadzić, a tu brak 800 rubli. Po namyśle przystąpiłem do kupna. Kupiłem to przy wielkich trudach, resztę pieniędzy co mi było brak, wypożyczyłem u pewnej pani, mieszkającej w Lublinie, na tych warunkach, że procent będę płacił 8 rubli rocznie od sta, a te pieniądze upewniła sobie hipotecznie. Na wszystko zgodziłem się bo jennego wyjścia nie miałem. Po załatwieniu się z temi sprawami żonę zabrałem z powrotem i dwoje dzieci młodszych. Trzeba było najpierw wynająć mieszkanie bo gdzie mieszkać. Znowuż z komornem trza było być do jakiego czasu, bo ziemię kupi-

łem, na której nie było nic jeszcze budowane. Zaczęliśmy na nowo dorobek, dawni sąsiedzi pomogli mi obsiać ziemię bo nie miałem konia, dopiero trza było zarobić na niego. Stopniowo przy wielkich trudach doszliśmy do konia i lichej krowy, trza było pomyśleć o budowie, kupiłem starą stodołę z brusów i zacząłem budować dom z pomocą Antoniego. Pobudowałem dom, było to późną jesienią, choć murów nie było i naszczęć niewykończony, wprowadziłem się cierpiąc przez parę tygodni niedogodność, a dzieci drżały z zimna. Pomaleńku powykańczałem, że choć stopniowo się mi ulżyło. Narazie pokonałem większe trudności. Zimową porą zarabiałem koniem częściowo, częściowo koło gospodarki krzątałem się, a wieczorami czytywałem „Dzieje Polski” i różne książki, jak: „Krzyżacy”, „Ogniem i Mieczem”, „Potop” i „Pan Wołodyjowski” i t. d., ale nigdzie nie doczytałem się o chłopie polskim, jak w owe czasy życie pędził, tylko panowie szlachta i pacholki wszędzie byli i wszystko robili, zdawałoby się, że sam ród szlachecki był w owe czasy.

Odbiegłem od swego opowiadania, jak dalej się dorabialiśmy. Po paru latach naszego dorobku, na tej drugiej gospodarce, mieliśmy różnie. W początkach wiodło nam się niezgorzej, to i jak niebądź doprowadziliśmy do ładu. Pobudynki jakie potrzebne mi były pobudowałem, konia, dwie krowy i parę prosiąt, a również jaki niebądź inwentarz martwy, dość, że w porządku. Raty, podatki i dług zaciągnięty na hipotekę, z tem było gorzej, trza było skąpić w jedzeniu, w okryciu, aby móc wszystkie potrzeby wyłacwić. Trochę z zarobków, trochę z gospodarki i tem odspokajaliśmy potrzeby, ale gorzej nastąpiło, kiedy zaczęły się upadki, to dopiero żyć się nie chciało. Żadne zabawy, wesela lub chrzciny nie obchodziły, choć ludzie zapraszali. Pewnego razu byliśmy zaproszeni na wesele, a mieliśmy ostatnią krowę chorą, poszliśmy choć trochę zapomnąć o zmartwieciu. Niedługim czasem przylata córka Frania, że krowa zdycha, lećim co sił, może jeszcze da się uratować, przylecieliśmy ale już za późno, krowa już nie żyła; co to było płaczu, lamentu, że i sam nie wiedziałem co począć bo ostatnia krowa zmarnowała się. Nie miałem innego wyjścia, trza było pożyczyć pieniędzy. Pożyczyłem 100 rubli i kupiłem dwie odrazu, mając nadzieję, że w niedługim czasie oddam bo miałem maciorę z prosiętami, wieprzka którego karmiłem i na tem się zawiodłem, bo zaczęły najpierw chorować prosięta, później i maciora, nic nie pomagały żadne leki, wyzdychały prosięta, zdechła i maciora, tak to już oddałem. Został nam tylko wieprz, do brze się karmił, myśleliśmy, że choć z połowę tych pieniędzy odda-

my, ale niestety inaczej się zrobiło, bo zachorował, ale nie tak strasznie, myśleliśmy, że może mu odejdzie, w tym czasie poszliśmy do sąsiada na chrzciny i przychodzimy do domu z powrotem, żona co prędzej poszła zobaczyć czy żyje, a wieprz już zimny. Cała nadzieja w niwecz się rozwiała, a w Bogu została. Dłużnik nie dawał mi spokoju, choć był to pokrewny i nie trza mu było, tylko bał się, że mu przepadnie. Wysyłał wciąż małych bliźniaków na drogę, aby krzyzczały: „Złodzieju oddaj pieniądze”. Zniecierpliwiło mnie to i wyspałem im, to przyszły w nocy i wyłamały mi wszystkie brzezinki, którymi obsadziłem pagórek stromy nad stromykiem, na nim nie chciała nawet trawa rość.

Z tym wywoływaniem nie mogłem dłużej wytrzymać, musiałem jedną krowę sprzedać i dokończyć, aby tylko oddać. Oddałem pieniądze z procentem, ale już pomiędzy nami wkrađa się nienawiść do nieprzejednania, a tu naraz jeszcze pogłębiła się, bo po pewnym czasie ukradli klacz memu wierzycielowi, a wierzyciel nazwiskiem Nagajek Wawrzeniec odrazu rzucił podejrzenia na mnie, iż ja ukradłem albo wydałem, nie namyślał się wcale, poszedł do strażników, aby mnie aresztowano za kradzież. Strażnicy przyjechali do mnie prosto bez żadnej ceremonji zabrali mnie do aresztu bijąc, popychając: „Tyś skradł łozagu, polskaja morda”. Ja Bogu ducha winny, nawet nie wiedziałem o kradzieży, przeczyłem temu i odwoływałem się, że świadkami udowodnię. Przetrzymani tak mnie przez parę doby i puścili. Nie mogłem przeżyć tego oszczerstwa, które na mnie rzucili, powołałem się na przysięgę kościelną. Nie chcieli, ale siłą zaciągnąłem do kościoła. W kościele przysiągłem, że nie ukradłem, a nawet nie wiedziałem o kradzieży do chwili aresztowania mnie, dopiero pozamykali sobie usta. W życiu kaźden człowiek ma przyjacieli, ale więcej jeszcze wrogów, tak i ja ich miałem, bo zazdrościli mi, że tak prędko dorabiałem się, ale nie wchodzili w moje położenie, w jakich warunkach żyłem ja i moja rodzina, jak musiałem pracować w domu i u ludzi, aby móc te powinności odplacić i to po tych upadkach nie mogłem prędko się wydzwignąć. Dopiero przed wojną światową na parę lat, dopiero mi się polepszyło, a w tym zawdzięczam memu szczeremu przyjacielowi Antoniemu, który w pierwszych początkach poratował pożyczką i tym razem, bo pojechał do Ameryki, zarabiając dobrze, a że był szczerzy to napisał do mnie czy mi nie potrzeбно pieniędzy, ja z wielką ochotą, czymu nie, jeno go uprzedziłem z tem, że nie wiem, jak w krótkim czasie będę mógł mu oddać, bo teraz mi jest ciężko. Nie zważał na to com jemu

pisał tylko przysłał mi 400 rubli. Do tych wypożyczonych usperlałem kilkadziesiąt rubli i oddałem tej pani połowę tego długu i już mi lżej się zrobiło, bo nie tyle musiałem płacić procentu. Przed samą wojną, zacząłem więcej poświęcać czasu w gospodarce. Założyłem sad w nizinie więcej wychylonej w stronę południową, przy samej szosie, szosa o wysokim nasypie chroniła od wiatrów wschodnich, tak że ze trzech stron sprzyjały warunki do rozwoju sadu, do tego dałem ochronny płot wysoki i przy wielkiem staraniu, a przy troskliwej opiece, bardzo szybko rósł, ku mej wielkiej radości, lecz nie ze wszystkiego można skorzystać na co się liczy, bo przysłała wojna, w roku 1914 i zaraz w początkach wojny zniszczony został sad i ogrodzenie co do szczytu. W 1914 roku, jak jeno wybuchła wojna ludzie nie mieli żadnego pojęcia co to znaczy wojna, tak i ja mało się rozumiałem na wojnie bo jak nadciągała linja bojowa, to ja wysłałem żonę z czworgiem dzieci do rodziców jej, a sam ze starszym synem zostałem przy gospodarce. Przedstawiłem sobie, że w okolicy takiej, jaka była wioska rodzinna żony, będzie bezpieczna bo oddalona daleko od szosy, w nizinie niezbyt dostępnej. Po ustąpieniu wojsk rosyjskich, a po przybyciu wojsk austriackich, zatrzymali się z linją bojową o „dwa kilometry naprzód i bój trwał w jednym miejscu przez dwa tygodnie, w tym czasie ja z synem gospodarowaliśmy — nietylko ja, ale wszyscy, bo nikt nigdzie nie wyjeżdżał i nie przedstawiałem sobie, że to wojna, bo wojska austriackie, to prawie sami byli polacy, a do tego kwaterowało u mnie paru oficerów i pułkownik polak, bardzo człowiek uczciwy. Po tygodniu mojej tułaczki przy gospodarce i pomiędzy austriakami, tak się zżyłem z nimi, iż mi nic się nie przedstawiało, że to wojska okupacyjne, jeno polskie, o których nieraz tyle czytałem, tak byłem zasugerowany tem, że pewnego pięknego poranku zapragnąłem zobaczyć żonę i dzieci. Wybrałem się o wschodzie słońca, droga nie była traktowa, niezbyt daleka, ale i niebliska bo 4 kilometry. Zacząłem iść najpierw przez pola, nie zdając sobie z tego żadnych złych następstw. Zbliżałem się powoli do lasu, którego nie było więcej na szerokość jak jeden kilometr. W tym wyjechał z lasu austriacki patrol i woła: Alt, alt! Stałem jak wryty, dopiero mi przyszło na myśl, że może być coś złe, bo to wojna. Podjechał do mnie i zapytał po polsku: „Kto ty jesteś, gdzie ty idziesz? Ty Rus spieun”. Nie widziałem jak mam się wytłumaczyć, zanim przyszedłem do przytomności, ale na nic były moje tłumaczenia, zapewnienia, nie dał wiary. w to, tylko powiada: „Ty Rus, ty spieun, będziesz się tłumaczył o tam!” Wskazał ręką na

las. Zdrygnąłem się na tę myśl, że może mnie wprowadzi w las i zastrzeli, ale trudna rada, kazał mi iść najpierw, a on na koniu za mną. Szliśmy przez czas dłuższy wzdłuż lasu, aż wyszliśmy na polanę otoczoną ze trzech stron lasem, zmierzając w kąt polany zachodnio-południowej. Z niecierpliwością zapytałem — jak daleko mamy jeszcze iść, on wskazał na dolinę, gdzie żeśmy zmierzaliśmy mówiąc: „Tam mamy dojść, do sztabu”. W miarę zbliżania się oczom pokazało się wielkie obozowisko. Przygnał mnie tak do sztabu, coś poszwargotał do oficera po niemiecku, a ten wskazał na dowódcę, którzy siedzieli przy stoliku grając w karty i popijając rum. Postawił mnie tak przed oblicze głównodowodzących, którzy mnie setkiem zapytań zasypywali skąd i dokąd idę, poco szedłem, czy nie znam wojennego stanu. Wszystko to spisał i powiada: „Wszystko to się sprawdzi, ale jeżeli nawet małem chybnięciem skłamałeś, to cię czeka kula w łeb”. Kazał mnie skuć i odprowadzić do taboru. Ten sam przyprowadził do taboru, o jakie 5 kilometrów od sztabu, w trakcie mej podróży trzymał broń w ręku i powiedział: „Jeżeli będziesz chciał uciekać, to odrazu kula w łeb”. Nic nie odpowiedziałem bo i cóż miałem mu mówić, kiedy takiego zamiaru nie miałem, poddając się pod wyroki niebios. Po przyprowadzeniu mnie do taboru, wzięło mnie dwóch żandarmów pod swą opiekę, w tym czasie zebrało się wokoło mnie taborytów, łajdaków, z pod ciemnej gwiazdy. Zaczęli jeden przez drugiego, mówiąc: Rus spieun, zabić, rozstrzelać, powiesić, rozerwać Rusa spieuna”. Tak do nieprzesłuchania, że aż mnie ogarnęła wielka przykrość, że nie zasłużyłem na to, a muszę znosić te obelgi. Widząc to żandarmi, że za dużo już tego, wzięli i porozpędzali, mówiąc: „Nie wasza w tym to głowa, będą tu starsi wiedzieć co zrobić”. Podziękowałem im za wspaniałomyślność, oni zaczęli wypytywać jakim sposobem dostałem się aż do nich. Opowiedziałem im szczegółowo powód i całe zajście, oni tylko pokiwali głowami, że trochę jest źle. Zbliżało się ku południowi, skwar upału sierpniowego słońca dokuczał mi nieznośnie, w ręce powpijały mi się kajdany, że się zbierało do płaczu. Nie mogąc dłużej wytrzymać, poprosiłem, ażeby mi pofolgowali trochę kajdan, usłuchał mojej prośby żandarm i pofolgował tak dostatecznie, że mógłbym z łatwością zdjąć, ale nie robiłem tego. Żandarm ten był to bardzo uczciwy polak, na południe przyniósł mi obiad, tak, że polepszyło mi się. A w tym czasie insi jeździli i sprawdzali, czy właściwie będzie się zgadzać moje zeznanie ze sprawdzeniem. Zebrali dowody co do mojej osobistości i powodu podróży, przyszykowały papiery do rozprawy sądowej. Zaczęły

krążyć wokół mnie wieści, że czeka mnie sąd polowy bo po zbadaniu wynika, iż niejasno się zgadzają zeznania moje ze sprawdzeniem. Kiedy jeden żandarm pojechał żonę wybadać, a drugi do miejsca mego zamieszkania, gdzie się powoływałem na świadka pułkownika, który u mnie w mieszkaniu kwaterował od pierwszych dni przybycia, to pierwszy żandarm zebrał dowody więcej zgadzające się z moim zeznaniem, choć żona zeznawała przestraszona tym zajściem i niejasno zrozumiale tłumaczyła, to drugi całkiem zebrał dowody beznadziejnej nadziei powrotu do swoich, a nawet i życia. Drugi żandarm, kiedy pojechał do miejscowości mego zamieszkania, to już nie zastał mego syna, który miał dopiero 14 lat bo przy strąceniu się wojsk austrijackich, każeli mu austrijacy, żeby zabierał co ma zabrać i uchodził wstecz. Syn zajął krowy i popędził wstecz do wioski położonej o siedem kilometry na południe. Również nie zastał i tego pułkownika, na którego się powoływałem, a nie zapamiętałem do jakiego pułku należał, czyli dowodził i to mnie bardzo w błąd wprowadziło, że o mało życiem nie przepłaciłem. W miejsce tego pułkownika zastał jakiegoś innego oficera, który ni o czym nie wiedział. Z temi dowodami drugi żandarm przyjechał, kazano mi się przyszykować na ostateczność. Przysłano mi księdza, wypowiadałem się i oddałem się pod opiekę Boga i jego wyroków, tylko przykro mi było, że niewinnie muszę zginąć i że może nigdy już nie zobaczę swojej rodziny. Wszystko jakby było przeznaczeniem, kto ma zginąć, to zginie, a kto nie to przejdzie i wyjdzie z największego niebezpieczeństwa. Tak i ja szczęśliwie wyszedłem z tego niebezpieczeństwa. W dniu odbycia się sądu polowego na mnie, przyjechał ten oto pułkownik — co powoływałem się na niego — do sztabu, w sprawie nie wiem już tego w jakiej jeno, że się tak złożyło, podczas przywitania się ze sztabowemi oficerami, coś mu się wydało niesamowitego jakiegoś przygotowanie. Zaczęli coś pilnie rozmawiać ze sobą, potem jeden wskazał palcem na mnie, ten odruchowo odwrócił się w stronę, gdzie ja byłem przykuty, stanął coś musi sobie zaczął przypominać bo spuścił głowę i znowu spojrzął na mnie, w tem czasie wykorzystałem moment zawołałem: „Panie pułkowniku, proszę wstawić się za mną, bo dzisiaj mam zginąć”. Poznał mnie nareszcie. Przyszedł do mnie i zapytał się co za powody, że się tu dostałem. Opowiedziałem całe zajście, że chciałem odwiedzić żonę i dzieci i tak nieszczęśliwie mam zakończyć swój żywot, nie widząc się ze swemi najbliższemi. Zachmurzył się i zaczął mnie bużować, czemuż ja, kiedy on był na kwaterze nie poprosiłem przepustki toby mi ułatwiło swobodne

przejście i widzenie się. Przepraszałem go, że byłem nieświadomy i prosiłem, aby wstawił się za mną. Nareszcie po namyśle zgodził się, powiada: „Co będzie w mojej mocy, to uczynię”. Z temi słowami odszedł odemnie. Czas szybko mijał, godzina za godziną mijały a z wykonaniem wyroku zwlekano. Zaczęła otucha we mnie wstępować, że może temu pułkownikowi udało się coś dla mnie wyjednać. Aż nareszcie, przed samem zachodem słońca, przyszedł do mnie adjutant z papierem w rękę, a mnie jakiś lęk przeszedł, może mnie będą chcieli o tej porze stracić, bo najwięcej tracili przestępców przy zachodzie słońca, jak żem nieraz naczytał się o nich, to znów jakaś nadzieja we mnie wstępowała, że może to ocalenie przez tego pułkownika. Przyszedł do mnie i powiada: „Macie człowieku, zawdzięczać temu oto pułkownikowi życie swoje”. I tu wskazał na zbliżającego się mego wybawcę pułkownika, sam rozwinął papier, zaczął odczytywać tekst uniewinniający. Jaka we mnie radość się zbudziła, najpierw serdecznie podziękowałem pułkownikowi, który parę uwag mi udzielił i pouczył, jak mam postąpić w razie gdzieś chcieć pójść, w czasie wyjątkowym. Uwolniono mnie z kajdan, dano mi kolację i zatrzymali do dnia następnego. W dniu następnym z rana otrzymałem przepustkę i śniadanie. Byłem wolny tylko kazano mi się zameldować po odwiedzeniu żony. Wyrwałem się z tych opałów tak oszołomiony przeżyciem tych okropności, że biegłem całkiem bez przytomności, zaczepiony w czasie podróży kilka razy o przepustkę, aż dotarłem do zagrody teścia. Po przywitaniu się z żoną i dziećmi, opowiedziałem swoje przygody i nie było więcej czasu na rozczulanie się rodzinne, powracałem z powrotem, wszystko działając pod rozkazem sztabowców bo zapomniałem żonie rozkazać iżby zabrała dzieci na furmankę i przyjechała do tej wsi co starszy syn się znajdował lub sam ją zabrał ze sobą, tylko zostawiłem. Tak robiłem bez przytomności. Przybyłem z powrotem do sztabu, meldując powrót, to mi wzięli przepustkę i wydali drugą do wsi Wilkołaz i kazeli po przybyciu do tejże wsi, nigdzie się nie ruszać w podróż, aż daleko ich wojska pójdą naprzód. Tymczasem wojska ich zaczęły się stopniowo cofać wstecz, upłynęło tak parę dni od mego widzenia się z żoną, zaczęłem niepokoić się, bo przy stopniowem cofaniu się wojsk, nastąpił zażarty bój, gdzie żona się znajdowała w tej wiosce. Dopiero na czwarty dzień od mych przygód, przybyła żona z dziećmi do tejże wsi, pieszo i nareszcie znaleźliśmy się wszyscy razem. Po rodzinnym przywitaniu, nastąpiły szczegółowe przeżycia. Najpierw zaczęła żona opowiadać: „Widzisz, jak żeśmy źle zrobili co żeśmy się rozłączyli, razem

napewno byśmy nie przeżywali tych zmartwień z połączeniem ze strachem. Jak jeno wysłałeś mnie furmanką z dziećmi do rodziców, to w początkach bardzo spokojnie rosjanie ustąpili, a przyszli austriacy, jakby na wesele, ale w miarę strącania się pod naporem rosjan, zaczęły się strachy. Rosjanie, jak zaczęli bombardować gradem kul różnego kalibru austriaków, to nam zdawało się, że już przy życiu nie zostaniemy. Skryliśmy się do piwnicy, a było nas kilka kobiet, dzieci i paru mężczyzn, zobaczyli austriacy, że się kryją razem z nami mężczyźni, chcieli do nas strzelać, jakież to lament powstał wśród nas i błagania, żeby tego nie robili. Dało nam się uprosić i w spokoju zostawili nas, ale co gorsze, przy zbliżaniu się rosjan austriacy wzięli podpalili wieś. Wieś ogień szybko objął, że nie było myśli o czym aby ratować i gdzie, jak kto mógł, tak się ratował ucieczką, a podczas pożaru wsi, niektórzy gospodarze zapominając, iż to wojna, ratowali swój dobytek, a w tym czasie austriacy brali i łapali ich, że to rus śpieg. Jednych zaraz na miejscu zabijali, drugich zabierali ze sobą. Sama wzięłam pod wpływem strachu, klacz ze źrebięciem wypuściła na łąki, a sama wzięłam najmłodszego Antosia i Stasię na ręce, a Kasię niósł Janek na plecach. Trochę niósł, trochę włókł bo co to za siła w dziesięcioletnim może być — bo Kasia nie mogła wcale na nogę iść, gdzieś sobie zwicznęła. Tak razem z austriakami uciekaliśmy pod gradem kul. Austriacy uciekając i niosąc ze sobą rannych, krzyczeli na mnie żebym chroniła się z dziećmi w dół, ale ja nie zważając na nic już, jeno jakby tu najdalej uciec od boju. W trakcie mej ucieczki, przyłączył się mężczyzna młynarz Winnicki niby to mąż, wziął Kasię na ręce i tak dośliśmy do wsi Wilkołaz, to go uratowało od śmierci, lub niewoli”. W tym czasie po odejściu tego młynarza, zabrali jego pomocnika młynarczyka a mojego siostrzeńca i w Rzeszowie miasteczku, rozstrzelili za to, że w obecnej chwili miał przy sobie kawał szpagatu do zawiązywania worków. Takim to sposobem znaleźliśmy się wszyscy razem, po dwóch tygodniach rozłąki, przed samem wieczorem i tego dnia, zwłaszcza wieczorową porą spokojnie zaczęły uchodzić wojska austriackie. Rano wszystko ucichło, jakby nic nigdy nie było, dopiero koło południa pokazały się wojska rosyjskie, wtenczas my z powrotem wracaliśmy do swojej gospodarki. Przybyliśmy do domu na pół rozwalonego przez granaty i wszystkie urządzenia domowe gdzieś porozwlekane i mało co pozostało zboża w stodole, ale dzięki Bogu, że choć to zostało. Powoli doprowadziliśmy do jakiego niebądź porządku nasze dawne urządzenia gospodarki. Czasy się zmieniły,

zaczęło wszystko stopniowo drożeć i międzyczasie skorzystaliśmy bo oddaliśmy dług hipoteczny owej pani w Lublinie mieszkającej ale i stopniowo przysuwał się rok 1915-ty i z niem wojska rosyjskie zaczęły powracać. Niewytrzymało dłużej jak do żniw, już bój trwał zażarty w owej wiosce Wilkołaz. W naszej kolonji Sobieszczyany i innych, ludzie robili sobie schrony i ja z sąsiadem zrobiłem taki schron, aby tylko przetrwać na te, albo na te stronę przejścia wojsk. Po stopniowem ustępowaniu wojska rosyjskiego, przyśli wieczór już austriacy. Przyśli mówiąc: „Dobry wieczór, czy niema tu blisko moskali, ale stąd musicie uchodzić wstecz do nas, bo tu będzie bój”. Odpowiedzieliśmy im na ich krótkie pytania i zastosowaliśmy się do ich wskazówek. Zaraz rano wyruszyliśmy wstecz do lasu Ordynata Zamojskiego bo zdawało nam się, że tu już będzie bezpiecznie, ale całkiem pomyliliśmy się bo rosjanie zaczęli wypierać austriaków i w tym lesie zapanowało istne piekło. Dopiero rosjanie to już austriacy i na odwrót. Zaczęli nacierać rosjanie to austriacy uciekali, a jeden austriak olbrzym, widać chciał na nas wyrzucić zemstę bo zaczął biec ku naszemu obozowisku, zarepetował karabin i wypalił jeno chybił, drugi raz zaczął repetować, w tem wybiegł z gąszczu rosyjski żołnierz i zawołał. „Hura poddajsa się w plen”. Austriak jakby skamieniał bo tylko się wykręcił i nastawił karabin, a ten krzyczy: „Broś gwintówkę”. Ten widać nie rozumiał bo stał i trzymał karabin naprzód. Widać ruskiego zniecierpliwilo bo podskoczył, podbił mu karabin w bok i przebił go na wskroś, że aż wnętrzności wylażyły, a sam poleciał dalej. A my obecną chwilą przeżywaliliśmy w wielkim strachu. Zrozumieliśmy, iż tu jest bardzo niebezpiecznie, a znowuż austriacy wyparli rusinów, to my jeszcze dalej odjechaliśmy, aż do wioski Wilkołaz. Niedługo byliśmy spokojni bo tylko jedną dobę, znów rosjanie wyparli austriaków, a my znaleźliśmy się w samem ogniu boju. Austriacy coraz to ustępowali i salwowali do rosjan, a rosjanie parli na bagnety nie strzelając. Padali ludzie wojskowi z obuch stron, to tu, to tam, jak gruszki trzęsione z gruszy. Co jęku, co pisku, że czuliśmy się jakby nieżywi, poukrywani w sieni poza murami. Wyparli rosjanie austriaków tylko co po za nas i zaraz zaczęła się palić wieś z obuch końców. Nie było innej rady, jak z tego miejsca śmierci uchodzić. Z powrotem wróciliśmy do swej gospodarki. Tak gospodarzyliśmy razem z wojskiem rosyjskim przez jeden tydzień. Po tygodniu wojska rosyjskie zaczęły ustępować, a nas parę rodzin nie mając życzenia uchodzić razem z wojskiem rosyjskiem. jak inni to robili zostaliśmy. Kiedy zaczęli

wojska nadchodzić, to spica austryjcka nałapała chłopów z różnych wiosek i zagnała do jednego domu, jako śpiegów przebranych po cywilnemu i nas ten los spotkał bo nas paru wzięli zagnali do tamtych, drzwi zamknęli na klucz i straż postawili. Było nas blisko czterdziestu, każdy z nas na swój sposób martwił się, bo nas straszili, że dom spalą, to znów że nas czeka sąd polowy. Lecz wszystko szczęśliwie się skończyło, bo nam pomógł pewien kapitan legionów, który przejeżdżał około tego domu. Zainteresował się tym, że co to ma znaczyć przy domu warta. Wartownicy opowiedzieli, że trzymają tu śpiegów rosyjskich. Kapitan kazał otworzyć i zaczął nas wypytywać skąd jesteśmy, skąd nas pozabierali. Naprzemiennie opowiadaliśmy, że wysłuchał nas i przyrzekł nam, że się postara o uwolnienie nas. Na drugi dzień przyjechał ten kapitan i generał austryjcki, jakiś twardy Niemiec bo po polsku nie rozumiał z paroma oficerami. Zaczęło się badanie nas, a kapitan legionów służył za tłumacza. Po parugodzinnym badaniu, zostaliśmy uwolnieni. Szczęśliwi wracaliśmy do swoich. Wróciliśmy do domów, każdy wziął się do odbudowy swego gospodarstwa i ja wziąłem się do pracy, aby jako tako przyprowadzić gospodarkę do porządku. Najpierw zabrałem się do zbioru resztek zbóż niezniszczonych, później koło gospodarki zrobiłem porządek, a austryjacy wypierali Rosjan, dalej i dalej. Zaczęła się okupacja rządu austryjckiego. Ciężkie to czasy przyszły dla rolnika, bo austryjacy zaczęli zaprowadzać rządy po swojemu, powiadając: „My sim was oswobodzili i oczyścili z ucisku Moskali, a wy nam powinniście być wdzięczni zato”. Ale i było za co, bo jak zaczęli rządzić po swojemu, to mało co komu się należało. Doskonale nawet i dobrze mówili, że oczyścili, bo jak zaczęli wyznaczać kontyngenta zbożowe, mięsa i inne, to rolnicy nie mogli nastarczyć robić na to. Co każdy mógł to oddawał, a co nie mógł, to rechwirowali. Każdy rolnik jak chciał zabezpieczyć swojej rodzinie kawałek chleba, musiał ukrywać przed niemi, ale i wielką trudnością było zemlić to zboże, bo trza było mieć przepustkę do młyna na ilość mąki w stosunku rodziny. Tak i ja biedowałem za austryjaków. Przyszedł rok 1918-ty, został ucisk austryjcki złamany, zostali rozbrojeni, uchodzili jak niepyszni. Jakaż to chwila radosna nastąpiła! Każdy wieśniak i robotnik, cieszyli się, że skończyła się wojna i z nią niewola ludu, że nareście przyszła chwila wolności dla każdego. Czuliśmy i ja tę radość, bo każda robota wydawała mi się rozrywką. Z ochotą porządkując opuszczone części gospodarki bo to wszystko dla Polski. W tym czasie jeszcze kursowały ruble, korony i zaczęły

okazywać się marki polskie, można było tych pieniędzy za co niebądź nabyć. To ja mając tych pieniędzy kupiłem młockarnie i kierat. Tak że uzupełniłem jeszcze i potrzebne narzędzia rolnicze. Zostało mi jeszcze 2000 rubli, w tym czasie córkę wydałem zamąż, miały być to na posag i również żona moja wzięła dopiero w tym czasie spłat 2000 rubli. To ja sobie myślałem, mając 4000 rubli, dam córce dwa tysiące i synowi najstarszemu dwa, będą mieć posag. Ale jak zięć zaczął się godzić ze swemi spadkobiercami o spłat, to zeszedł rok czasu i z mojej gotówki zrobiło się nic. Straciłem upracowane i posag żony, nie wywianowałem nawet córki. Syn Walenty poszedł na wojnę bolszewicką, zięć również, a córka przyszła do mnie. Tak dalej zaczęło się biedować. Moja rodzina już składała się z dziesięciu dusz, — dwoje dzieci jeszcze maleńkiemi umarło — trza było okryć i nakarmić, a tu zarobków nie było narazie, gospodarka nie wytrzymała tego. Dzieci, przeważnie małoletnie, nie miał wiele kto pracować w niej. W roku 1920, kiedy bolszewicy parli wojska polskie na Warszawę, to panowie szlachta uciekali za Wisłę, mając dla swej ochrony strzelczyków przy każdej furze i ci strzelcy, taborycy spotrafili gorzej dokuczyć ludności wiejskiej niż wojska rosyjskie i austrijackie. Ci taborycy pańscy, gdzie wpadli do gospodarza, to brali co im się jeno dało, a gdzie nie było gospodarza w domu, to spotrafili odbijać zamki u kufrów i plądrować za pieniędzmi. Nikt nie mógł dużo temu protestować bo zaraz spotkał się z tą odpowiedzią. „Milcz, kurwa twoja mać, my musimy bronić was przed bolszewikami”. A to było bronienie jaśnie panów, a nas obdzieranie. A jak zobaczyli chłopców wyrostków po lat 15 do 17-stu to tacy taborycy łapali nibyto, że musi służyć w wojsku, aby wyłgać co pieniędzy na rodzicach chłopca, a który chłopiec uciekał, to spotrafili za nim strzelać. Tak to się odbywała wojna polska z polskimi strzelczykami. Skończyła się wojna polsko-bolszewicka, nareście syn powrócił do domu, przesłużywszy 3½ roku w wojsku. W domu nie było dla niego roboty, bo młodsze rodzeństwo dorastało. Chodził po zarobkach, aby nie przycięzać mię, dalej nie miał żadnego wyjścia, a miał trochę pieniędzy i my z gospodarki trochę żeśmy zaoszczędzili, a resztę dopóczyłem i wyjechał z ojczyzny i ojcowizny do Kanady na obczyznę. Czas szybko mija, drugą córkę wydałem zamąż, miało być jej dobrze, bo ją zięć zabrał do siebie, tymczasem po paru miesiącach przyszli oboje do mnie. Tak to sobie ulżyłem, bo dwóch zięciów znalazło się przy mnie. Syn Jan młodszy poszedł do wojska. W wojsku przebył coś do ośmiu miesięcy, w tym czasie maneżowali na przeszkody, koń

w skoku wywrócił się i pogniótł go i do tego zaziębił się, że go zwolnili po utracie zdrowia, jeszcze kazano mu ażeby płacił podatek wojskowy. Pracy żadnej nie mógł wykonywać przez parę lat. Powodem mojego obarczenia było, że leczyłem go, a tu gospodarka za szczupłą była na moje obarczenie lecz nie zważałem na to, byle aby wyleczyć, bo mi żal go było, że on i jego zdolności zmarnieją. Przed samą wojną w 1913 roku, zacząłem go posyłać do jednego sąsiada, aby go uczył czytać i pisać, po pewnym czasie wykazał wielkie zdolności do nauki, więc ja nosilem się z zamiarem uczyć go dalej, a potem oddać do gimnazjum, lecz wojna wybuchła, trochę moje myśli pokrzyżowały się. Za okupacji austrijackiej, zaczęliśmy się starać o nauczycielkę, którą nam przyznano i założyliśmy pierwszą szkołę w naszej okolicy. Zacząłem syna posyłać do szkoły. W szkole robił szybkie postępy, bo w niedługim czasie ukończył cztery oddziały szkoły powszechnej i jeden rok był przysposobiany do czwartej klasy gimnazjum. Tak przyszykowany do zdania egzaminu, lecz niestety nie byłem w stanie opłacić egzaminu wstępnego i tak spełzło na niczem. Syn nie mógł sobie tego darować, że ma przerwać naukę, zaczął się uczyć z podręczników sam, zimową porą, aby coś więcej się nauczyć. Potem wziął się do szewstwa, ten zawód mu się nie podobał, bo nawet źle wpływał na jego zdrowie. Znow zaczął uczyć się: ciesielki, budownictwa, stolarki, białej roboty i meblarstwa. W krótkim czasie opłynał te zawody, że nie było to dla niego żadną trudności, ani tajemnicą, która by się miała nie dać rozwiązać. Po pewnym czasie zniechęcił się do tego zawodu, że rzucił go. Poszedł do terminu ślusarskiego, ta praca więcej go interesowała i robił szybkie postępy, lecz musiał przerwać z powodu opłat terminatorskich. Po przerwaniu nauki ślusarstwa oddał się pracy kulturalno-oświatowej. Założyli najpierw bibliotekę we wsi, potem organizowali młodzież w koła oświatowe. W Kołach Młodzieży Wiejskiej urządzali wieczornice, pogadanki o hodowli wszystkiego co dotyczy gospodarstwa wiejskiego. Syn jako prezes tego koła, wyjechał najpierw na kurs pezesowski, a później wyjechał na drugi kurs trzymiesięczny do szkoły rolniczej, po ukończeniu wrócił, praca jego w kole młodzieżowym dawała świetne wyniki, do czasu kiedy poszedł do wojska. W wojsku nie był długo, jak już wiadomo z pamiętnika. Czas szybko mijał, choć musiałem wszelkie trudności pokonywać, bo rodzina dorastała i trzeba było szukać sposobu, aby zabezpieczyć rodzinie egzystencję. W roku 1925-ym, wybrałem się na wędrowną szukać kolonji. Tak wędrowałem z miejsca na miejsce, z okolicy do okolicy, ze dworu do dworu

o suchym kawałku chleba i pieszko. Nigdzie mi nie podchodziło nabyć kolonję, aż w roku 1927 powędrowałem na wschód do miejscowości Białopole, położonej o 130 kilometry od mego osiedla. W Białopolu parcelował sam dziedzic resztę dworu i tu spodobało mi się. Czas nadszedł uruchomiony, można było sprzedać i kupić. Ziemia była chwalona, że pszenicą rodzi się bez żadnych nawozów, a w tym czasie zboże było drogie, inwentarz również, to mi się zdawało, iż nie będzie to wielką trudnością i ciężarem, jak nabędę więcej ziemi. Po obliczeniu się, zacząłem sprzedawać swoje gospodarstwo i równocześnie kupować. Przyszedłem do Białopola, było nas już kilkunastu za kolonją, zgodziliśmy ziemię po 3000 zł. ha., bo inaczej nie chciał dziedzic. Cóż było zrobić kiedy każdy z nas już sprzedał, lub sprzedawał, to każdy nie licząc się z wygórowaną ceną, aby choć kupić, bo każdy robił obliczenie, że jeżeli tak płaćto będzie się zboże i inwentarz, to w parę lat będzie można wybrnąć z długu. Chcąc sobie powiększyć gospodarstwo rolne, dla siebie i rodziny zadatkowałem 14 ha na tych warunkach. Jeden hektar ma kosztować 3000 zł. w tem trza wpłacić dziedzicowi dwie trzecie kupna ceny, a jedna trzecia pozostaje na bank. Po wpłaceniu jednej części weszliśmy w posiadanie. Od wpuszczenia do aktu notarialnego mieliśmy płaćć 2% od sta miesięcznie od reszty pieniędzy. Do rejenta upłynęło dwa lata, po dwóch latach dziedzic wezwał nas kolonistów, ażebyśmy dopłacali resztę, to będzie rejentował. Kto miał to wpłacał, a kto nie miał to i tak rejentował bo dziedzicowi więcej chodziło o pieniądze z Banku Rolnego. Przy rejencie mało kto z kolonistów miał pieniądze, ażeby wyrównać dwie trzecie ceny kupna, to dziedzic zgodził się i na przyjęcie weksli, nie mieliśmy innego wyjścia bo zawiedliśmy się na czasie, bo już 1930 roku kryzys zaczął się rozszerzać z wielką szybkością. Wydaliśmy jemu weksle, które zapewnił sobie hipotecznie złoty w złocie i procent od tych pieniędzy taki sam miesięcznie, co i do rejenta. Nareście miałem, a raczej mam zatytułowane 14 ha, lecz jakim ciężarem się obarczyłem, bo dziedzicowi wystawiłem weksle na sumę 10.000 zł., do banku drugie 10.000 zł., a tu budowa, czas marny, pieniądze za co niebądź niezrobi. W tym czasie było dla mnie wielkiem szczęściem i pomocą, że syn z Kanady przysłał mi, a raczej odesłał podróż i to mnie ratowało, że miałem za co zacząć budowę. Jak mogłem to pobudowałem, z pomocą syna i zięciów. Zięciom oddałem po parę morgi ziemi, aby każdy po swojemu zaczął klepać biedę. Sam z resztą rodziny, która jeszcze się składała z siedmiu osób (pięcioro dzieci i dwoje rodziców) zacząłem ob-

myślać, jakby tu gospodarkę prowadzić racjonalnie, ażeby wyciągnąć korzyści do pokrycia tych powinności, co się zobowiązałem, lecz niestety! Żadne próby prowadzenia gospodarstwa nie dały dobrych wyników. Co mogłem to oddawałem, procenta, raty, podatki i dług prywatny, że doszło do tego dziś, iż trudno wyrobić na podatki i okrycie rodziny. W roku 1931-ym wrócił syn Walenty z Kanady bo i tam nie miał pracy już pół roku. Przyjechał do domu, to się opomniał o swoje pieniądze, które mi przysłał jeszcze poza odesłaniem podróży, ja jako ojciec nie chcąc przywłaszczać jego upracowanych pieniędzy na obczyźnie, a że nie miałem gotówki i pożyczyć gdzie też nie było, zapisałem mu wszystko zabudowanie i inwentarz żywy i martwy, aby spokój był w domu. Co się tyczy kupna tej kolonji to w tych 14 hektarach jest dwa ha zagajniku i dwa ha łąki kiepskiej, jednokośnej. Po rejencie jeden rok czasu było wysiłkiem całej rodziny, aby przyprowadzić osadę do porządku. W tym czasie dziedzic zaczął nas kolonistów procesować i u niektórych zaczął przeprowadzać licytację, lecz skutku żadnego z tego nie miał bo dziś ludność do tego stopnia zubożała, iż nie miał kto nabywać przedmioty licytowane, ale jednak w dalszym ciągu nam dziedzic nie daje spokoju. Pod strachem dzisiejszego czasu wszyscy koloniści dziś żyjemy, nie wiemy, ani dnia, ani godziny, jak będą nas eksmitować. Jeszcze przed wyborami do Sejmu, ja pracowałem i rodzina przy gospodarstwie a w wolnych chwilach najprzeważniej syn Jan oddawał się pracy społecznej i oświatowej. Zorganizował młodzież wiejską i podzielił na sekcje: kulturalno-oświatową, sportową i gospodarczą. Praca młodzieżowa robiła szybkie postępy w duchu demokratycznym, tak do wyborów w 1930 roku.

.....

Po rozwiązaniu koła młodzieżowego, syn wziął się do pracy w gospodarce, aby spólnym wysiłkiem wyrobić na różne świadczenia i utrzymanie własnej egzystencji, lecz niestety, sama praca nie wystarcza, aby móc wyrobić się przy dzisiejszym systemie. Zaczeliśmy myśleć o samoobronie. Syn skłonny do pracy społecznej, więc zaczął zjednywać kolonistów do założenia koła Stronnictwa Ludowego. Koloniści chętnie przystąpili, po zapoznaniu się ze statutem Stronnictwa Ludowego, wszyscy gromadnie zapisali się na członków.

Po założeniu koła, w dniu 2 marca 1932 roku, policja jak się dowiedziała o naszym związku zaraz przybyła do naszej kolonji, zabierając syna na posterunek. Na posterunku przodownik policji zaczął

wymyślać od bolszewików, komunistów i wywrotowców. Tak całą litanję odmówił nad synem, strasząc więzieniem o ile nie rozwiążemy koła. Po spisaniu należących do koła, zwolnił syna z posterunku. Dopiero zaczęły się dla mnie represje ze strony policji i urzędu gminnego, bo synowi nic nie mogli zrobić, iż on postępował w organizacji legalnie i z niemi drogą prawną, ale często wzywają na posterunek go, to przyjeżdżają czy nie robi zebrań. Wszystko to na mnie się odbija. Międzyczasie mego zamieszkiwania w Białopolu, dróżnik drogi bitej zaczął wydzierżawiać rowy przydrożne, ja nie mając na tyle pastwiska wydzierżawiłem kawał rowu. Może wytrzymało dwa tygodnie, przyjechał do mnie tenże dróżnik i oświadcza mi, że już nie można paść, to ja zastosowałem się do jego rozkazu. Przeszło tak pół roku spokojnie. Po tym czasie otrzymuję nakaz karno-starościński do zapłacenia 32 zł. za wypas trawy w rowie przydrożnym. Nie zgodziłem się z tem i powołałem świadków, że ja samowolnie nie wpuściłem bydła do rowu, jeno wydzierżawił mi dróżnik. Takie to wysłałem odwołanie. Po tem odwołaniu upłynęło rok czasu, znów otrzymałem żeby płacić 25 zł. Nietylko ja miałem, ale nas kilku miało tę karę. Jeszcze raz zrobiliśmy wszyscy zeznanie przez gminę i już miało to przepaść. I znowu — upłynął rok cały, aż nareście związkim naszego koła przyszło bezwzględnie płacić albo odsiedzieć. Jęsi odsiedzieli tę karę i ja chciałem, lecz mnie nie chcieli, abym odsiedział tylko zapłacił. Przyszedł sekwestrator, zrobił zajęcie nie mnie, a synowi Walentemu, bo ja jemu jeszcze przed tym zajęciem przepisałem pobudynki i inwentarz, ale sekwestrator nie zważał na akt notarialny przedstawiony przez Walentego, że jest to jego własność, tylko uważając za fikcję, aby wziąć czyjeby to nie było. Przyszedł czas licytacji, przyjechał sekwestrator z policją i sołtysem zabrać krowę Walentego, Walenty przedstawił akt notarialny i oświadczył, iż krowy nie da wziąć: „Macie tytuł karno-starościński, to bierzcie co jest ojcowe, a mego nie pozwolę zabrać”. Policja nic nie wiedziała co z tem zrobić, posłali po przodownika. Przodownik przyjechał z wielką furją, nie chciał rozpatrzeć aktu tylko powiedział do posterunkowych: „To wy policja, bagnety na broń! Jeden na prawo, drugi na lewo, a wy sołtysie brać krowę”. Policja wykonała rozkaz, ustawili się, a sołtys powiada: „To ja mam brać krowę, przecież ja tu jako asystent, a nie sekwestrator”. Policja: „Sołtysie bo was więzienie czeka”. Sołtys: „Nie znam się na prawie i nie wiem co jest ważniejsze, czy akt notarialny, czy policji rozkaz i ja nie mogę brać krowy”.

Przodownik wściekły, że sołtys nie chce brać krowy, rozkazał policjantowi aby brał krowę. Syn Walenty oświadczył, że mogą tylko wtedy wziąć krowę, jak go bagnetem odsuną od drzwi. Zaczęło się szamotanie przy obórze. Żona znów bronić zaczęła syna i niewiadomo na czemby to się skończyło, tylko przodownik rozważył tę całą sprawę i powiada: „Dziś nie weźmiemy, ale ja pokażę co to robić upór władzy”. Nawymyślał, że jestem buntowczyk, komunista, że całą wieś buntuję, że mi zrobi tak, że wszyscy troje dostaniemy po trzy lata więzienia. Po miesiącu czasu wyszła sprawa karno-starościńska i dostaliśmy po miesiącu. Nie zgodziłem się z osądem starosty, powołałem się na świadków i na drogę sądową. W sądzie mnie uniewinniono, a żonę i syna skazano na dwa miesiące, lub po 50 złotych płacić. Więc zaapelowałem i w tym czasie wyszła amnestja i nic niewiadomo do tego czasu, bo cicho z tą sprawą, czy upadła, czy jeszcze kiedy ją znowią. Również w tym czasie policja intensywnie zabrała się mnie prześladować. Za co niebądź robiła dochodzenia, pisała kary za psa, który nigdy nie był widziany przez policję poza okólnikiem. Dwa razy zapłaciłem karę, że w czasie jak policjant wszedł na podwórze, a pies się oberwał z łańcucha, raz dwa złote, raz pięć złotych i ta kara pięć złotych podlegała amnestji i to spotrafili zrobić mi zajęcie. To znów wójt w czasie naszej nieobecności — byliśmy wszyscy w mieście, aby nieletni pilnował domu — zabrał szafę ubraniową syna Jana, którą sam sobie zrobił, nie uprzedzając o terminie zajęcia ani licytacji. Jednym słowem zbrzydziłem sobie takie życie. Syn Jan zrobił skargę bezpośrednio do Ministerstwa Sprawiedliwości za wystąpienie poza ramy prawa egzekucji, ale spotrafili wszystko zakreć, później przyszło zawiadomienie, że brak dowodów. Tak zniechęcony do dalszego gospodarowania temi represjami, że oddałem synowi parę morgi, córce trzeciej, która wyszła zamąż, a resztę sam trzymam tym resztem dzieciom. Resztę dzieci podzieliłem pracą: jedni chodzą koło inwentarza, drudzy inne roboty mają i tak czas schodzi. Przeszedłem przez całe życie od młodości do starości nic nie użyłem, a co upracowałem to dziś zeszło do minimum, że dziś rodzina moja nie może być dostatecznie odziana, bo jedne buty i to połatane, a jedna marynarka to służy dwom i t. d. Co do odżywiania się to też nie można się odżywiać racjonalnie, gdzie spojrzeć to dziś tylko zobaczy ludzi wynędzniałych, wyglądających więcej na upiory niż na ludzi. Życie jest piękne, ale nie dla ludzi biednych. Przyroda to skarb człowieka, lecz ludzie nie są zdolni cieszyć się przyrodą, a nawet nie mają czasu

ją poznać, bo w każdym tygodniu zagląda gość sekwestrator lub komornik a w każdy dzień przechodzą rzesze bezrobotnych i każdy żebrze kawałek chleba. Czasy, czasy nastały, rolnik goni życie resztkami sił, pług lata, brony związuje powrózkami, koła u wozu wyplata powróżkami, aby się nie rozlewały. Dawniej pracował za dwóch, dziś pracuje za dziewięciu, a tu robotnicy nie mają roboty, bo i dziś gospodarz nie najma bo niema czem płacić za pracę. Dawniej robotnik, jak jeno chciał pracować, to miał pracy ile jeno mu siły pozwalały i chleba wbród. Dzisiaj te rzesze bezrobotnych wsiowych tułają się jak cień, żyjąc z dobroczynności wsi i od czasu do czasu dostaną pracę u gospodarzy. Stoję u schyłku życia, ale to com przeżył, nie było taką otchłanią czarną w porównaniu do dzisiejszego czasu. W dzisiejszym czasie nie wie człowiek, jak go wydziedziczą z jego gospodarki, a zostawią mu kij żebraczy za jego kilkudziesięcioletnie ciułanie i zmarnowanie zdrowia. Nie mogę skupić myśli nad zakończeniem mego pamiętnika, bo zostałem nieczuły na wszystko, obojętny i zrezygnowany. Pracować muszę dopóki mi sił starczy, bo bez pracy, jak przysłowie powiada: „Bez pracy niema kołaczy”. Ale cóż,

Pracujcie biedne syny: „Bo bez pracy
niema kołaczy”. Przyjdą bogacze
zjedzą kołacze, a wam zostawią okruszyny.

Zamykam swój pamiętnik, który był pisany nieraz pod wpływem roztargnienia i brak było dobrego natchnienia.

Dn. 26 października 1933 r.

Gospodarz współwłaściciel na
gospodarstwie jedenastomor-
gowem w pow. puławskim

Dwadzieścia ośm lat zmagania się z biedą

Wiek przedszkolny

Urodziłem się 14 sierpnia 1906 roku we wsi***, powiatu Puławskiego w gospodarstwie rolnym. Ponieważ ojciec mój Aleksander i matka Antonina posiadali gospodarstwo składające się z siedmiu mórg, w tem dwa i pół morga ziemi ornej rozmaitej jakości, jeden i pół morga łąki kwaśnej, dwa morgi lasu no i udział w ogólnem pastwisku około jednego morga. Ziemia orna znajdowała się w dwunastu miejscach, łąka w ośmiu miejscach, natomiast las tylko w czterech. Zabudowania gospodarskie składały się z domu mieszkalnego jednoizbowego o dwóch oknach, obory o dwóch drzwiach, część obory to stanowiła śpichrz komorę i stodoły o bardzo małych rozmiarach. Inwentarz żywy składał się z krowy jednej, jednej świni, z kilku kur, no i koń spólny ze strykiem, inwentarz martwy składał się z brony, pługa i z siewczarni wspólnej także ze strykiem. W skład rodziny naszej wchodził rodzice i ja z bratem młodszym.

Praca rodziców w gospodarstwie i poza gospodarstwem

Ojciec mój posiadając tak niedostateczne gospodarstwo musiał się starać obrabiać jak najprędzej w polu, ażeby jak najwcześniej postarać się o pracę gdzieś przy budowie domów drzewianych albo przy rżnięciu drzewa najczęściej w składach drzewa, ponieważ znał się na ciesielce oraz na traczce. Matka moja w lato siała różnego rodzaju warzywo

i takowe nosiła w koszach do Ireny na targ za co przynosiła stale kilkadziesiąt groszy, w wolnych zupełnie zaś chwilach reperowała nam ubrania, szyła nam bieliznę z płótna, oraz chodziła po chleb z sąsiadkami do żołnierzy w Dęblinie, tam można było znacznie taniej kupić, w zimie zaś przędła len, robiła płótno na bieliznę i na ubrania od co dnia, nawijała przędzę na płótno sąsiadkom w warsztaty tkackie za co jej płacono, oraz prowadziła obrządek i porządek w gospodarstwie.

Przypominam sobie nieraz, gdy ojciec poszedł do pracy, a matka naszykowała w kosze różnych warzyw kilkanaście jajek poszła na targ do Ireny, zostawiając nas z bratem śpiących w łóżku. Nieraz bywało żeśmy się pobudzili i niema nikogo w mieszkaniu, próbujemy wyjść na podwórko, niestety, drzwi zamknięte, musimy czekać w oknie wyglądając aż mama przyjdzie z targu, chleba przyniesie i śniadanie ugotuje, które zaniesiemy ojcu do pracy. W takim dobrobycie i w takiej rozkoszy zeszło mi się siedem lat bawiąc się z bratem i pilnując domu. Nadszedł wiek szkolny, w ósmym roku życia mojego posłano mnie do szkoły wiejskiej, a szkoła była taka, gospodarze zgodzili jakiego człowieka który umiał czytać i pisać po polsku i rosyjsku i ten uczył dzieci przez zimę, choć moskale zabraniali uczyć się po polsku. Wiele razy to było gdy strażnicy rosyjscy przyszli do wsi my się uczyliśmy, o Boże gdzie kto mógł tak uciekał oknem, drzwiami, na strych, byleby się prędzej skryć. Pomimo wszystko, miałem chęć do nauki i pilnie uczęszczałem do tej szkółki do roku 1915-go. Matka moja sposobi mnie do pierwszej spowiedzi i komunji świętej. W tym to roku w sierpniu moskale pałą naszą wioskę pomimo że w tym punkcie działań wojennych wcale nie było, wszystkich mieszkańców wioski usiłują zabrać przed sobą do Rosji ponieważ nieprzyjaciel następował. Ludność temu się sprzeciwia, jedzie w przeciwnym kierunku to jest w stronę nieprzyjaciela, obozujemy się w lasku położonym opodal płonącej jeszcze naszej wioski.

Po dwóch dniach naszego obozowania w lesie, nadciągnęły wojska nieprzyjacielskie, my natomiast wracamy na swoje popioły, ojciec mój nie mając kawałka dachu nad głowę zaczął starać się o to, żebyśmy mieli gdzie głowę schować przed deszczem, jedzie więc do lasu gdzie moskale zbudowali okopy i stamtąd przywozi dwie paki ustawia obok siebie i to jest już mieszkanie dla nas.

Następnie ojciec przystępuje do budowy lepszego mieszkania ponieważ jesień nadchodzi a za nią zima, więc przystępujemy do ko-

pania dołu długości 5 m. i 3 m. szerokości, w tym to dole stawiamy ściany z różnego rodzaju żerdzi, zakładamy dach, obsypujemy ziemią i w ten sposób pobudowaliśmy mieszkanie tak zwane ziemianką. Nadeszła zima niema co dać krowom i koniowi bo się wszystko spaliło, ja mając lat jedenaście pasłem bydło swoje i sąsiadom w lesie przez całą zimę ponieważ zima była bardzo lekka, rodzice od czasu do czasu jeździli po wsiach za słomą i sianem zebrząc u ludzi, jednak nie można było przezimować więc jedną krowę ojciec sprzedał, została nam jeszcze jedna i szkapa ale tylko nazwa że szkapa bo nie pies. Z nastaniem roku 1916 rozpoczęły się rekwizycje, wojska austriackie zaczęły na dobre gospodarować, gdy nadchodził pierwszy każdego miesiąca cała wioska uciekała ze swą chudobą do lasu choć i tam byliśmy niepewni bo żołnierze austriacy szukali i w lasach. Ojciec mój nie posiadając żadnych zabudowań gospodarskich tylko ziemiankę i szalas, który zastępował oborę, postanowił pobudować jaką taką stodołę, zbieramy wszystkie siły, oszczędzamy na czem tylko można, choć niema na czem, bo jeżeli posiadamy tylko tę odzież, co na nas i pożywiamy się tylko kartoflami i kapustą, o chlebie niema mowy, jak tylko w jakieś większe święto, gdy mąki się zmiełło w młynku od kawy lub pieprzu i to w nocy, bo we dniu nie było czasu z jednej strony, a z drugiej groziła kara, gdyż okupanci za tem mocno węszyli, ażeby chleba za dużo ludzie nie zjedli. W tak trudnych warunkach i okolicznościach, nie dojadając nie dosypiając, z trudem pobudowaliśmy stodołę, ale jak na złość padła nam szkapina zostaliśmy przy jednej krowie, a co gorsza jesienią tego roku zachorowała matka na tyfus, choroba trwała dwanaście tygodni, w związku z chorobą matki tak żeśmy się wyciągnęli, że nie było grosza przy nas. Nadszedł rok 1917 był to może rok najgorszy, brak pieniędzy na podatki, na życie i okrycie, a co gorsza w grudniu tego roku panowała w okolicy naszej epidemia tyfusu plamistego, epidemia nie mija i nas, zachorował nam ojciec, a po ośmiu dniach umiera o Boże! jakie to było życie. Matka musiała pożyczyć trochę pieniędzy ażeby pochować ojca, niema za co kupić butów i kapociny, nadchodzi lato trzeba nająć robotnika ażeby poobrabiał w polu roboty, a tu brak zboża do nasienia i niema czem zapłacić robotnika i za co kupić zboża do nasienia, jednym słowem głodno i chłodno i na głowę się leje. Zdaje się nam, że na nic nasze zabiegi, na nic nasze głodowanie i bezsenność, szukamy jakiegoś wyjścia, wyglądamy jakiejś deski ratunku niestety napróżno, pozostawało tylko jedno wyjście a nim była torba i kij żebraczy. Ale nie dajemy się jak możemy,

nie wychodzimy zupełnie nigdzie jak tylko do kościoła i to niema w czem. Matka stale haruje od świtu do nocy, zagrzewając mnie i brata do pracy, nocami zaś przędzie len i robi płótno na koszule i ubrania. Ja mam już lat czternaście, a brat dwanaście, próbujemy już sami w polu i na łąkach, idzie nam ale jak pod wodę, nie potrafię naszykować kosy, a gdy mi zrobi kto z sąsiadów, to długo nie trwa i znowuż trzeba kogoś o to prosić. Wiele to w tej naszej ziemi wsiątkło łązów i potu naszego, nie mając konia musieliśmy z matką znosić siano wiązkami z łąk, a nieraz i zboże z pola, wiele razy bywało, że ja kosiłem zboże z matką, a przechodząc sąsiedzi widzieli naszą podragę, żalowali się mnie biorąc kosę ode mnie ażeby kosić za mnie, a ja szedłem do nich do lepszej roboty robić powrósłów i t. p. Tak musieliśmy pracować ponad swoje siły dwa lata. W 1919 roku przy ciągłem harowaniu od świtu do nocy i przy wielkiej oszczędności matki budujemy mieszkanie, ponieważ ziemiarka się zawala stopniowo. Drzewo na mieszkanie ścinamy w swoim lesie prawie, że resztę po moskalach i austriakach, mieszkanie jednoizbowe z wielkim wysiłkiem pobudowaliśmy, a jesienią tego roku kupiliśmy sobie żrebię dwuletnie od naszego stryja, któremu to należność za żrebię spłacamy ratami, mamy zpowrotem dwie krowy dochowując sobie i żrebię dwuletnie, które zaczynamy zaprzęgać do wozu i oswajać, co się okazało za trudne na moje siły. I znowuż jest wojna z bolszewikami a z nią nowe kłopoty, podczas ofensywy bolszewickiej zabierają nam żołnierze nasi siano, co było naszykowane dla naszej chudoby, przytem pobili nam matkę, a mnie grożąc karabinem odjeżdżając z sianem. Po ukończeniu wojny otrzymujemy w miejsce fajerkasy za spalenie w wojnę światową, drzewo na odbudowę, co nam się bardzo przydało,, bo nie mamy obory i w lesie drzewa na budowę, część drzewa sprzedajemy na zwiezenie go z lasu i na robotnika, t. j. cieślów, w roku 1922-gim dokańczamy oborę i już mamy wszystkie budynki gospodarskie, choć ciasne ale własne. Czas trudny dla nas, ponieważ jest niestałość pieniądza nie można uciulać grosiwa na ubranie i buty. Nadszedł rok 1924-ty, nastąpiła stałość złotego, rozpoczęły się wielkie roboty na lotnisku w Dęblinie, choć nie mamy jeszcze sił do jakiejś cięższej roboty, ale idziemy obydwaj z bratem. Zarobione pieniądze oddajemy matce, ona reguluje długi, które żeśmy zapożyczyli na budynki, oraz kupuje coś niecoś z ubrania i obuwia, tak harując ciągle zbiegł się mój dziecinny wiek.

Wiek poborowy

Mając lat dziewiętnaście myślę o służbie w wojsku, do którego mam szalenie zamiłowanie, zwracam się do matki, ażeby mi pozwoliła wstąpić wcześniej do wojska, ażebym mógł odbyć służbę czynną wcześniej, matka się nie zgadza na to, motywując to tem, że marnie wyglądam i mnie nie przyjmą, czekam więc cierpliwie roku 1927-go, w którym to roku miałem stawać na komisję poborową z tą myślą, że gdy wstąpię do wojska, to zostane w nim i że już skończę z tą udręką na niedostatecznym kawałku ziemi. I jakże się zawiodłem, bo gdy w oczekiwanym roku stanąłem przed komisją poborową, to zostałem uznany za czasowo niezdolnego, czyli, że dostałem odroczenie, w następnym roku powtórzyło się to samo, w tym to roku umiera nam babka, matka mojej matki, po której zostało osiem mórg wszystkiego, t. j. ziemia orna, łąka, las, pastwisko i nieużytki, w takiej samej szachownicy, jak nasze gospodarstwo. Te ośm mórg przypada na sześcioro między których wchodzi i moja matka, następuje zgoda, że my mamy spłacać dwoma i wójek dwoma, my nie mamy narazie pieniędzy, więc godzimy się płacić dzierżawę, około sta złotych rocznie dla dwojga. Teraz w użyciu naszym jest jedenaście mórg wszystkiego, w tem cztery morgi pola w dwudziestu czterech kawałkach, dwa i pół morga łąki kwaśnej w szesnastu kawałkach, t. j. miejscach, i trzy morgi lasu w ośmiu miejscach, oraz dwie krowy i konia, świnie, no i kilka kur. Matka kalkuluje w domu jak tylko można, my z bratem uwijamy się, żeby jak najprędzej obrobić w polu i idziemy na zarobek. Ja w 1929 roku zostałem uznany za niezdolnego do służby w wojsku, stać nas teraz na jakie takie ubrania i obucie oraz na książkę i gazetę i na narzędzia rolnicze, zmieniamy sobie bronę drewnianą na żelazną i pług kupujemy sobie lepszy, oraz wóz i zaprzęgi, w czerwcu 1929 r. zachorowała matka na paraliż, ja muszę przerywać robotę zarobkową ponieważ niema kto nam ugotować i obrządzać w domu i w gospodarstwie. Jakiś czas spełniam rolę kuchara i gospodarza oraz usługuję i zajmuję się chorą matką, matka zaś widząc, że nie mogę sobie dać rady z obrządkiem i porządkiem radzi mi ażebym się ożenił. Usłuchałem się tej rady, jednak nie zastosowałem się do jej życzenia, ponieważ nakłaniała mię, żebym sobie wziął za żonę dziewczynę z większym majątkiem, ja zrobiłem wbrew jej woli. Wzgardziłem majątkiem większym może jaki na mnie przypada i dnia 16 lutego 1930 roku odbył się mój ślub, żona wniosła mi do domu trzy tysiące

złotych gotówki, maszynę do szycia i krowę, część gotówki pożyczamy z żoną ludziom, a resztę oddajemy na P.K.O., żona się zajmuje chorą matką i obrządkiem domowym, 1-go grudnia 1930 roku urodził mi się syn, a w trzy dni później umarł, żona po położeniu dostała zapalenia, co zeznał doktor i polecił odwieźć do szpitala. Zastosowałem się do wskazówek doktora odwożąc żonę do szpitala w Puławach, wydatki w związku z chorobą żony wyniosły przeszło trzysta złotych, które to musiałem wycofać z P.K.O. W roku 1931-ym doktor polecił mi ażebym odwiózł matkę moją do szpitala, ale już nie do Puław, a do Lublina i tak zrobiłem, lecz po kilku dniach musiałem z powrotem przywieść ponieważ choroba jest nieuleczalna. W dniu 31 maja tego roku nastąpiła śmierć, wydatki w związku z chorobą i pogrzebem matki wyniosły czterysta złotych. Za resztę pieniędzy kupiłem jeden mórg pola płacąc tysiąc osmset złotych. Nastąpił kryzys. Po śmierci matki spłacamy z bratem z części pola ciotce tysiąc czterysta złotych, część tej sumy pożyczamy u ludzi, t. j. 600 zł., procentu nie płacimy ponieważ są krewnymi. Zarobki się skończyły, a choć są jakie, to się teraz takich gospodarzy nie przyjmuje, co ma cztery morgi na dwóch i to w dwudziestu czterech miesiącach, czas bardzo trudny, podatki niemniejsze, jak były w latach intywniejszych, w roku 1932 sprzedałem krowę młodą za 70 zł., dwudziestego szóstego czerwca 1932 roku urodziła się mi córka, wydatki są duże, a dochodów niema żadnych, z tego gospodarstwa za ledwie można wyżyć i to trzeba jeść z postem, a ubranie obucie nie mówiąc już o książce i o gazecie, choć się haruje po całych dniach oszczędza się na nafcie, na soli kupując brudną, na zapalkach dzieląc ich na dwie części lub kupując zapalniczkę, cukier kupujemy ale na deka nie na kila, odzież stopniowo złata z nas, wyciąga się stare łachy co już kilka lat na strychu leżały, w ten sposób się prowadzi i grosz grosza nie widzi, końca z końcem nie mogę związać. Nadszedł rok 1933-ci, będzie to rok może najgorszy dla mnie, na wiosnę pożyczyłem od wujka za wielką prośbą sto złotych i kupiłem dwoje świń do karmy, i miałem dwoje co kupiłem ich sysakami, myślałem, że gdy czworo świń ukarmię i sprzedam to ureguluję część długu i jakże się zawiodłem, w lipcu zaleciała choroba i musiałem żywe i nieżywe oddać za bezcen, zostawiając dla siebie jednego trupa świńskiego, tak zarobiłem nie wycofując nawet tego com pożyczył. Tak ten rok zapisał się w moim pamiętniku najgorzej, kryzys materialny zaostrzył się jeszcze bardziej. Obok kryzysu materialnego i para w parę kryzys moralny, bo w ciągu ostatniego roku było

przeszło dwadzieścia kradzieży w mojej wiosce, nie licząc kradzieży w polu, na łące i w lesie, ja sam w ciągu tego lata byłem trzy razy nawiedzony przez złodzieja, który mię skrzywdził na przeszło sto złotych, zabierając dwanaście kur, brony żelazne, worki i t. p. i żadna z tych kradzieży nie została wykryta.

Obecnie mam krowę, konia i cielę, mieszkam w budynkach wyżej opisanych, umeblowanie stanowi łóżko, stół sosnowy i szafkę oraz stołek, odzież została ta tylko, co się miało od święta, a kupiona była jeszcze przed rokiem 1930-ym. Sól kupujemy tylko szarą, cukier kupujemy po parę dekagramów dla dziecka, podatki jeszcze uiszczam, choć z trudem, bo najgorszy gość to sekwestrator, a zaś podatku wojskowego, którego mam ośmdziesiąt złotych zapłacić nie mogę, bo moje gospodarstwo nie daje mi żadnego dochodu zaledwie się przeżywię z rodziną, nie mówiąc już o gazecie i książce, gazetę wprawdzie mam, ale za pół roku już nie zapłaciłem. Remont w budynkach potrzebny jest na gwałt, nie robi się bo niema pieniędzy, pragnułbym kupić ubrania dla siebie i rodziny na zimę, pragnułbym czytać, a nie mam za co kupić książek, nie wychodzę nigdzie, bo nie mam w czym, chodzę od czasu do czasu do kościoła, a gdy powrócę do domu, to nie mogę uspokoić dziecka, które się prosi ciuciu i ciuciu, a ja nic nie przyniosłem, gdy nie mam zajęcia chodzę, a prawdę rzekłszy, wałęsam się jak cień, a w dodatku zdrowia niema tak jak być powinno. Następnie brat żąda ode mnie spłatę z budynków w sumie sześćset złotych, których nie mam skąd wziąć. Ziemią dzielimy się na pół. I z przerażeniem patrzę w przyszłość swoją, co się stanie z ludźmi wiejskimi i z państwem z Ojczyzną, która tak drogo nas kosztowała, ponieważ jestem zastępcą sołtysa i rozsyłam nieraz rejzerów na noclegi, co oni mówią uszy bolą słuchać, pisał o tem nie będę bo ręka odmawia mi posłuszeństwa.

Moja praca w komitecie parafjalnym w Bobrownikach

W r. 1929 nie wiadomo skąd i co dostałem zaproszenie na posiedzenie komitetu parafjalnego, tam się dowiedziałem o tem, że się rozchodzi o odnowienie kościoła, a naszym zadaniem jest zebrać pieniądze. Przystępujemy do zbierania to, co kto dał zboże, drób, naczynia kuchenne i z tego urządzamy loteryję, zbiera się parę tysięcy złotych, a gdy już z ludzi zebrało się co było można i przemieniło na pieniądze, to proboszcz dysponuje pieniędzmy bez postanowień komitetu,

a gdy ja zwracam proboszczowi uwagę to od tego czasu nie dostaję żadnego zaproszenia na posiedzenie.

A jak jest u nas w gminie

Od 1928 roku zacząłem się interesować sprawami samorządowymi, uczęszczam na zebrania gminne, stawiałem nieraz wnioski oraz poprawki, przez to zostałem zniechęcony przez miejscowych urzędników, że coś okropnego, i tak, w roku 1932 w grudniu na zebraniu gminnym budżetowym zgłosiłem wniosek o usunięciu jednego z pracowników, który zachowywał się ordynarnie wobec interesantów, a którego w trzy miesiące zredukowano. A gdy w kwietniu bieżącego roku wybuchł w mojej wsi pożar, który spalił większe pół wsi, więc w związku z fajerką mieszkańców mojej wsi było więcej interesantów w gminie, wtedy wójt z pisarzami odsyła interesantów do mnie, że to jakoby ja miał zredukować pracownika i że niema kto spraw załatwiać, pomimo, że ich zostało jeszcze siedmiu. Zwracam uwagę wójtowi listownie, że nie postępuje taktownie i upominam, żeby się to więcej nie powtórzyło, gdyby się zaś powtórzyło miałem zanieść skargę do Wydziału powiatowego. Wójt po otrzymaniu mojego listu zmieszał mnie z ziemią, skłął, ocholerował, nawymyślał mi od chamów, kazał żebym go w siedzenie całował, a nie skargi pisał do wydziału, słyszał to wszystko sołtys mojej wsi i mnie powtórzył. Wobec wszystkiego powyższego postanowiłem wstąpić do Stronnictwa Ludowego i być jego członkiem czynnym, wstąpiłem nie z namowy nie demagogji ale z własnego przekonania, że wieś musi być zorganizowana, bo tylko w silnej organizacji może być wsi lepiej, bo tylko w silnej organizacji wieś może usuwać takich ludzi co nas chamami nazywają, a sami nie wiedzą, że ten kto źle czyni i źle postępuje z ludźmi to choćby był nie wójtem ale nie wiem jakim genjuszem to chamem być musi.

Proszę najusilnie Instytut Gospodarstwa Społecznego o przysłanie mi zbiorowego pamiętnika, za co będę Instytutowi bardzo wdzięczny, ponieważ książka ma u mnie pierwsze miejsce, a na którą mnie nie stać.

Dn. 29 listopada 1933 r.

nieniu marzenia przyszedł z pomocą Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie, przez ogłoszenie konkursu na „Pamiętnik Chłopa”. Przystępując do konkursu z opisem swego młodego jeszcze co-prawda życia, zastrzegam się zgóry, że przystępuję do tego nie z myślą otrzymania konkursowej nagrody, nie z myślą wzbudzenia w kimś współczucia nad swoim losem, ani nie z myślą otrzymania jakiejś filantropijnej pomocy. Celem mojego opisu jest to, aby on wraz z tysiącami, a może i milionami jemu podobnych, stał się obrazem dzisiejszego życia chłopca na wsi, aby stał się zwierciadłem, w którymby następne pokolenia — daj Boże żyjące już w pomyślniejszych warunkach! — widziały jasno dzisiejsze życie chłopca, tak jak my to życie z przed stu lat widzimy w Pamiętniku Kazimierza Dęczyńskiego.

Do tego ciągłego nieustannego zmagania się z biedą i z nędzą polskiego chłopca, opowiedzianego w „Życiu chłopca działacza” Fr. Magrysia i w „Cierniach Żywota” — Kurasia, przybędzie — myślę — teraz naskutek odezwy Instytutu Gospodarstwa Społecznego tysiące, tysiące innych, im podobnych, a do tych pragnę dorzucić i ja swój skromny i być może nieudolnie napisany „Mój pamiętnik”.

*

*

*

Urodziłem się dnia 23-go września 1904 roku we wsi ***, w powiecie Garwolińskim. Dniem urodzin był piątek, do tego jeszcze piątek „suchy”, przypadający na jesieni suchych, czy tam krzyżowych, ustanowionych przez kościół katolicki, dni kwartalnych. A ponieważ jest takie przysłowie, które powiada, że „w piątek niedobry początek” więc i moje początkujące i późniejsze dotychczasowe życie w całej pełni do tego przysłowia jest przystosowane. Będąc jeszcze dzieckiem mało się nie utopiłem w przysypanym śniegiem dole po rozebranej studni. Później ciągle mię spotykały różne przykre wypadki, kłopoty, niepowodzenia, przykrości i t. p. A już co do tego „suchego piątku”, to prawie wszystkie dni mojego życia były takimi piątkami, gdyż wiele razy bywało, że było żadno suchego kawałka chleba i postnych kartofli.

Ojciec posiadał 9 mórg i 7 prętów ziemi rozrzuconej w dwóch cztero i pięciozagonowych rolach, oraz w kawałku t. zw. „przydawku”. Po swoim ojcu, a moim dziadku, odziedziczył tylko 6 mórg, a 3 morgi później dokupił. Rodzina składała się z ośmiu osób, t. j. z matki ojca, a mojej babki, z moich rodziców, brata ojca, któremu się należała u ojca spleta i z nas czworga dzieci, z których ja byłem najstarszy.

Lata dziecinne spędzałem jak zwykle: latem na pasieniu krów, zimą na „zbijaniu bąków” w domu. Było to dla mnie szczęściem (wówczas nieszczęściem), że dom mój stał poza wioską na ustroniu i nie miałem okazji do stykania się z rówieśnikami ze wsi, a przez to nie nabierałem „wprawy” do tych rzeczy, o których w dzieciństwie niema się świadomości, a które psują i paczą charaktery nieraz na całe życie, bo „czem skorupka za młodu nasiąknie tem na starość trąci”. Za to w domu miałem godziwą rozrywkę, a zwłaszcza w zimowej porze. Przy ojcu, jak już wspomniałem, mieszkał jego brat, a mój stryj Stanisław, który na całą okolicę był słynnym szewcem. Nie było też dnia ani wieczoru, żeby ktoś nie przyszedł z reperacją starych, po odbiór nowych, lub z zamówieniem zrobienia takowych butów lub trzewików. Pantofle i kamasze nie były jeszcze wówczas na wsi „w modzie”. Bywały też bardzo często, a zwłaszcza w zimie takie wieczory, że się zbierała cała gromada takich interesantów. Ja wtedy włożyłem na łóżko, opierałem brodę o jego tyłek przylegający do warsztatu i przyglądając się robocie stryja słuchałem ciekawych opowiadań o różnych „cudach” i „strachach” na świecie, o niebie z aniołami, o piekle z djablami, i czyścicu, o końcu świata, o mającym jeździć i wrzucającym w swój piec ludzi „antychryście” i t. p. Wiele razy, po takich opowiadaniach bałem się wyjść na dwór, a leżąc na łóżku nakryty na głowę drzałem jak liść i nie mogłem kawał w noc zasnąć.

Stryj mój, jako samouk, władający niezłe słowem drukowanem i pisanem, w zimowych miesiącach oprócz robienia butów trudnił się za małym wynagrodzeniem nauczaniem czytania i pisania chętnych, a może i niechętnych, ale „przymusowo” do nauki przez ojców przyprowadzanych wsiowych wyrostków. I stąd była też nielada, dziecinna dla mnie korzyść. Miałem bowiem zawsze pełne pudełko po zapalkach starych połamanych i pordzewiałych stalówek. Oprócz tego często gęsto dostawałem od kóregoś z uczni kawałek cukru przyniesionego do chleba na obiad cukru, żebym cicho siedział i nie przeszkadzał w nauce. Rozumie się, że ile tylko razy zachciało mi się cukru — wyprawiałem nieznośne hałasy i każdemu uczniowi starałem się dokuczyć i przeszkodzić.

Miałem też jeszcze tę korzyść, że się pomału zacząłem „wciągać” do książki. Kiedym rozpoznał „abecadło” zacząłem się uczyć „sylabizowania” na początkowym elementarzu. Po elementarzu przyszła książka od nabożeństwa, jako najkonieczniejsza i najpotrzebniejsza do modlitwy w kościele. Nauczycielami moimi byli ojciec i matka, a po części i stryj. Dzięki tym trzem „siłom na-

uczycielskim” i dzięki temu, że byłem „pojęty” książkę od nabożeństwa, choć była dosyć „gruba”, „przeszedłem” do połowy zimy, a w drugiej połowie zapędzono mnie do nauki pisania. Ojciec kupił mi „łupkową tablicę” oprawioną w ramki i rysik zwany także „gryflem”. Tym to gryflem ojciec u góry tabliczki wypisywał mi początkowo pojedyncze litery, a potem słowa i zdania, a ja to samo dopóty pisałem i ścierałem, ścierałem i pisałem, aż było „takie samo”, czyli dobrze. Naukę pisania na tabliczce do końca zimy op nowałem dosyć dobrze, a na następną zimę przeszedłem już do pisania na papierze. Pisałem tak szybko i dużo, że ojciec aż się gniewał, bo nie miał pieniędzy i nie mógł mi nadać kupować przyborów do pisania, a zwłaszcza kajetów, do których w przeciągu zimy przepisałem wszystkie kolendy i pieśni jakie znalazłem we wszystkich domowych książkach nabożnych. Treść przepisywania była dostosowywana odpowiednio do czasu, a więc w adwencie przepisywałem pieśni adwentowe, w zapusty kolendy, a w poście „Gorzkie żale” i pieśni postne. W pisaniu tem nie znałem, a przez to i nie przestrzegałem żadnych zasad i prawideł pisowni. Samowolnie przerabiałem ó na u, i na j i odwrotnie. Grunt, że pisałem, ale jak — nie troszczyłem się o to. Nie troszczył się i ojciec, którego wykształcenie było określane terminem „słabo gramotny”.

W maju w roku 1915 zacząłem chodzić do kościoła na naukę do spowiedzi. Tam w kilkusetnej gromadzie dzieci z całej parafji zostałem zaraz poznany przez księdza, gdyż byłem jednym z tych, który cały katechizm umiał na pamięć.

W styczniu 1916-go roku „poduczony” już nieźle w domu zaprowadził mnie ojciec na wieś do szkoły, do dalszej i lepszej nauki. Nie była to szkoła „rządowa”, ani rządowy nauczyciel. Taka szkoła i z takim nauczycielem była o 5 km., a więc zadaleko. We wsi po zmarłym na początku września 1914-go roku moim stryju nikt nie uczył. Był to zresztą początkowy okres wybuchu wojny światowej, a więc wszyscy myśleli o wojnie, a nie o nauce. Po mału jednak ludziska oswoili się z tą straszną i groźną wojną i zaczęli odczuwać potrzebę nauki. Przyczyniła się właśnie do tego w dużym stopniu wojna. Niejedna matka, niejedna żona miała niemało zmartwienia z odczytaniem, a jeszcze więcej z odpisaniem listu do syna, czy męża będącego na wojnie. Stąd się zrodziła potrzeba nauczania młodszych dzieci. Potrzebę tę zrozumiał i odczuł jeden z chłopaków ze wsi niejaki Stanisław M***, który skończył cztery czy pięć klas gimnazjum, a nie mogąc się kształcić

dalej, wynajął u sąsiadki chałupę i w czasie czterech zimowych miesięcy: grudnia, stycznia, lutego i marca zaczął uczyć dzieci ze wsi okolicznych.

Za naukę pobierał wynagrodzenie w wysokości 1 rb. ros. od dziecka na miesiąc. Ojciec mój jakkolwiek nie miał nikogo na wojnie i nie potrzebował pisywać listów, to jednak widząc we mnie wielkie zdolności i chęci do nauki zaprowadził mnie właśnie do onego prywatnie uczącego nauczyciela Stanisława M***, którego dla małego wzrostu nazywali wszyscy, nie wyłączając i jemu „podwładnych” uczni, Stasiem. Naukę tę rozpocząłem o miesiąc później od wszystkich innych, a to w celu oszczędzenia 1 rb. przez ojca w opłacie. Na egzamin przed owym prywatnym nauczycielem musiałem przeczytać jakiś urywek z książki już nie pamiętam jakiej — dosyć, że nie od nabożeństwa. Egzamin ten wypadł bardzo dobrze, bo w czytaniu „wprawilem” się na czytaniu „Gazety Świątecznej”, którą od początku wojny ojciec „do spółki” z sąsiadami opłacał u księdza, a którą ja zdaniem słuchających czytałem „jak pacierz” — rozumie się bez zwracania najmniejszej uwagi na znaki przestankowe.

Egzaminu z pisania już nie składałem, ino i tak kazał mi M*** na drugi dzień przyjść z kajetem, w którym naukę pisania zacząłem od początku t. j. od kaligrafji. Czuję się tem mocno „pokrzywdzony” i poniżony w swej nauce pisania, że po przepisaniu tylu kolend i pieśni muszę znowu zaczynać od początku. Chcąc się więc „postawić” w swojej ambicji, i chcąc okazać swoją umiejętność, po napisaniu mi u góry stronicy jednego wiersza przez M***, całą stronicę zapisałem tak szybko, że jeszcze nie zdążył odejść ode mnie, kiedy ja chcąc zatryumfować głośno zawołałem: „Panie Stasiu! już zapisałem”. Wtedy dopiero pan Staś obejrzawszy moje pisanie wcale mię nie pochwalił „za szybkość” czego się spodziewałem, ale przeciwnie kazał mi pisać jedną stronicę cały dzień, ale żebym pisząc zwracał uwagę na różne różności dotąd mi nieznanne

Pisząc oną kaligrafję z zazdrością spoglądałem na kratkowane stronicy zeszytów siedzących koło mnie kolegów. Zazdrościłem im, że miesiąc wcześniej zaczęli się uczyć, i że przez ten miesiąc już tyle zdążyli się nauczyć. Wypisywali właśnie w onych drobnych krzeczki swoich zeszytów jakieś olbrzymie, niepojęte dla mnie rzędy cyfr i liczb. Było to początkowe dodawanie. Z ciężkiem westchnieniem zadawałem sobie w myśli pytanie, kiedy to ja takie rachunki będę umiał i rozumiał. Dzięki jednak mojej specjalnej zdol-

ności i nadzwyczajnej pamięci, po upływie dwóch tygodni te „tajemnicze rachunki” stały się dla mnie jasne i zrozumiałe. Umiałem też już najlepiej ze wszystkich na pamięć całą tabliczkę mnożenia. Rozwiązywałem i zadania i tutaj spotkałem się z zazdrością moich kolegów starszych i „przodujących” uczni. Żadnemu bowiem zadania „nie wychodziły” tak łatwo i dobrze jak mnie.

Ale nietylko w rachunkach stałem najlepiej. I w dyktandzie i w „ćwiczeniach gramatycznych” i w przepisywaniu z książki — wszędzie dostawałem „piątkę”, albo „czwórkę plus”. A trzeba wiedzieć, że uczący nas M*** trzymał się zasady, że za każde trzy błędy zrobione w dyktandzie stawiał jeden stopień niżej. Dla tych więc, którzy robili po „pół kopy” błędów, a było takich dużo, wypadł stopień daleko niższy od zera.

Do śmierci nie zapomnę tych dni, w czasie których po skończeniu tej mojej pierwszej trzymiesięcznej nauki poza domem chodziłem dokoła ścian chałupy i beczałem, że się już nauka skończyła. Dziwiłem się tym, którzy w czasie jej trwania dobrowolnie na nią często gęsto nie przychodzili i zazdrościłem tym, którzy się mogą uczyć tam gdzieś po miastach nietylko w zimie ale i nawet w lecie.

Nie zapomnę też nigdy tych ciągłych pytań zadawanych ojcu: „Tatu, zapłaciliście już M*** za naukę?” i tych przygnębiających mnie ojcowych odpowiedzi: „Jeszcze nie synu!”.

Po przepasieniu krów przez lato przysła znowu zima i znowu od grudnia M*** zaczął uczyć. Ale ja znowu musiałem czekać do Nowego Roku, bo znowu ojcu chodziło o 1 rb. oszczędności w opłacie. Znowu przez trzy miesiące robiłem zadziwiające postępy w rachunkach, w dyktandzie, w ćwiczeniach i we wszystkich przedmiotach. Pisałem już też niemało listów do chłopów na wojnie.

W trzecim roku nauki uczący nas M*** podniósł opłatę z jednego rb. na półtora, czyli na 10 zł. rcs. Ojciec mój nie czując się w możności uiścić tej opłaty wypuścił swoją większą izbę M*** na szkołę, a sam z siedmioosobową rodziną mieścił się w małym, ciasnym, dusznym, wilgotnym, o jednym oknie od północnej strony alkierzu. Teraz w trzecim roku nauki, byłem w trzecim oddziale, a raczej nie było dla mnie oddziału, bo ci wszyscy, którzy uczyli się razem ze mną także już przez trzecią zimę nie mogli za mną „nadążyć”. Dlatego też uczący mnie teraz w moim domu M*** widząc moje zdolności, a nie chcąc mnie trzymać razem z innymi zaczął mnie uczyć oddzielnie samego. W tym celu kazał mi kupić jakąś historję Pol-

ski, jakąś początkową geografję i gramatykę, O trzy więc przedmioty naraz powiększył się program mojej nauki. Dawałem jednak sobie we wszystkim łatwo radę, a nawet pomagałem sporo M*** przez zastępowanie go w czasie różnych wyjazdów i poprawiania zeszytów z niższych oddziałów.

Ta moja trzyczimowa, a dziewięciomiesięczna prywatna nauka stała się podstawą do osiągnięcia dalszego rozwoju umysłowego, jaki w późniejszym czasie drogą samokształcenia zdobyłem. Śmiem twierdzić, że przez te dziewięć miesięcy nauki pod niektórymi względami zdobyłem więcej, jakbym zdobył przez skończenie obecnej 7-mio klasowej szkoły powszechnej. Prawda, że moja nauka nie obejmowała tych wszystkich przedmiotów, które ma w programie szkoła powszechna, ale za to przedmioty których się uczyłem, są najbardziej konieczne i potrzebne w życiu każdego człowieka na wsi.

Jesienią 1918 roku uczący mię M*** jako członek P. O. W. w czasie rozbrajania Niemców, wraz z kilkoma chłopákami ze wsi wstąpił do Legjonów. Przedtem jednak z jednym swoim kolegą Piotrem P*** postarali się o otwarcie we wsi rządowej szkoły i przysłanie rządowej nauczycielki. Szkoła ta mieściła się znowu w wynajętej od mojego ojca izbie. Zacząłem jeszcze i ja w niej się uczyć, ale naukę tę uważałem tylko za marnowanie czasu. Co umiałem, co rozumiałem, co zrobiłem — to dobrze, ale czego nie umiałem, nie rozumiałem, nie wiedziałem i nie mogłem zrobić, a prosiłem p. nauczycielkę o wyjaśnienie, to ona nie wiem czy nie chciała, czy też może nie umiała tego mi wytłumaczyć.

W tym to roku szkolnym 1918/19 spadło na mnie wielkie nieszczęście i bolesne przeżycie rodzinne. Jak wspominałem ojciec z siedmiuosobową rodziną mieścił się w ciasnym, zadusznym, wilgotnym alkierzu, podobnym do celi więziennej, a nie ludzkiego mieszkania. Żyjąc w takich „zdrowotnych warunkach” mieszkaniowych w celu zarobienia paru złotych za wypuszczoną na szkołę większą izbę, i żeby młodsze dzieci miały szkołę w domu — tyfus płamisty powalił całą rodzinę w chorobie. Choroba ta pozostawiła mi niezapomniane do śmierci wstrząsające wspomnienia. Oto w dniu 26-go marca 1919 r. z rana umiera matka ojca, a wieczorem, gdy przywieziono trumnę dla babki, kończy życie ojciec...

Wyobrazić sobie dwa trupy najpoważniejszych w rodzinie osób przeniesione do izby szkolnej, a w alkierzu nie pamiętających o świecie leżących na łózkach i na ławie troje młodszych dzieci.... Wyobrazić sobie na drugi dzień prowadzenie dwóch trumien i kroczenie

za nimi w niebogłoty krzyczącej zrozpaczonej mojej matki i mnie czternastoletniego gospodarza, a w alkierzu zostawione bez żadnej opieki leżące w gorączce tyfusu młodsze rodzeństwo.... Wyobrazić sobie pustki w domu po powrocie od krzyża mnie z matką...

Po pogrzebie skłopotana, udręczona, przygnębiona i zrozpaczona kładzie się w chorobie matka, kładę się i ja na tym samym łóżku obok niej. I znowu wyobrazić sobie pięć osób leżących w chałupie, nie pamiętających o świecie, bez żadnej opieki, a w oborze ryczące z głodu krowy i rżącego konia... Wyobrazić sobie pragnienie piekące rozgorączkowane ciała chorych i czekanie, aż przyjdzie ktoś ze wsi i poda kroplę wody... Wyobrazić sobie stojących przy progu niektórych bliskich ludzi, bojących się zbliżyć ku chorym w obawie zarażenia... I wyobrazić sobie chorych w poczuciu opuszczenia i zaparcia się nawet przez najbliższych... Na szczęście znaleźli się i tacy, którzy nie zważając na zarażenie się, starali się ile mieli możliwości pomóc, ulżyć i pocieszyć nas w chorobie, chociaż przez swoje odwiedzanie, a także przez przynoszenie z domu mleka, herbaty i t. p. Przywieziono nawet doktora, który zresztą z powodu nieznośnych warunków higienicznych niewiele mógł pomóc. Tyle, że zabrał za przyjazd ostatnie kilka marek pozostałe od pogrzebu ojca. Po kilku tygodniach ciężkiej choroby, tego zmagania się życia ze śmiercią poczęliśmy wszyscy pomału powracać do zdrowia. Najpierw wstałem ja, potem młodszy dwaj bracia i siostra, a na samym ostatku matka.

Po śmierci i pogrzebie ojca ciężkie się zaczęło życie i prowadzenie gospodarstwa dla matki jako głowy rodziny i dla mnie czternastoletniego chłopaka nie mającego ani sposobu, ani siły do robót polnych i domowych. W dodatku, choć to był dopiero kwiecień zaczął nas trapić brak zboża na chleb i paszy dla inwentarza. Z pozostałych po ojcu jednej krowy i dwóch jałówek, jedną jałówkę trzeba było sprzedać, by za nią kupić paszy na przeżywienie pozostałych. Na zboże pieniędzy już nie pozostało, więc matka musiała chodzić po wsi i prosić znajomych i krewnych o pożyczanie garści zboża do nowych zbiorów.

Wielkie szczęście, że pozostał młody, zdrowy i silny koń, którego sąsiedzi nie posiadający swoich koni brali do robót w swoich gospodarstwach, wzamian za co odrabiali swoją siłą chłopską przy naszej polnej robocie. Przy nich i ja począłem się wezwyczajać do różnych robót. Bronowanie i orka nie sprawiały mi zbyt wielkich trudności i niedługo je pojąłem. Najgorzej mi jednak szło z młoc-

ką i rżnięciem sieczki, które niewymagały coprawda żadnej umiejętności, ale za to wymagały dużego wysiłku siły fizycznej. Wiele razy wywijając cepami w stodole, lub kręcąc kołem sieczkarni w stodołce przypominał mi się ojciec i moje przy nim baraszkowanie przy pasieniu krów latem, czy przy zabawce nauki w zimę. Na wspomnienie to zalewałem się gorzkiemi łzami, gdyż czułem się bardzo, bardzo pokrzywdzonym tak wczesną stratą swego ojca zmarłego w 48-ym roku życia.

Czułem się mocno pokrzywdzonym i miałem żal sam nie wiem do kogo, że mając szalone zdolności, chęć i zamiłowanie do nauki zamiast się uczyć dalej muszę się mordować i pracować ponad moje siły. Przypominały mi się te ciągle, znających moją zdolność i pilność do nauki, ludzi powiedzenia: „Bronek, idź do szkoły!”, „Mikołaju, oddajcie swego Bronka gdzie do szkoły niech się uczy, kiedy pojęty!”. To były minione wspomnienia. Tymczasem rzeczywistość zmuszała mnie do orki, młocki, rżnięcia sieczki, a przez to samo do przytłumiania wspomnień i marzeń o nauce w szkołach. Nie mogło być mowy o tem, żeby iść do szkoły! Czasami wydawało mi się, że to вина, niedbałość ojca, że mię nigdzie nie oddał. Po zastanowieniu się jednak i po wnikięciu w położenie przychodziłem do wniosku, że to nie niedbałość ojca, ale trudne warunki były przyczyną mojego mordowania się i marnowania swoich zdolności. Chcąc, czy nie chcąc musiałem się zgodzić ze swym losem i pocieszać się tem, że nabieram coraz więcej wprawy i siły potrzebnych do prac gospodarskich. Pocieszała się i matka słysząc pochwały przechodzących drogą ludzi: „Bronek dobrze orze!”, „Bronek nieźle już siecze!” i t. p. Niedługo jednak radość ta trwała. W następnym roku po śmierci ojca przyszli bolszewicy zabrali mię z koniem i z wozem ze sobą na furmanki. Ani matka, ani ja nie spodziewaliśmy się, że panowanie bolszewików będzie takie krótkie i że mój wyjazd na furmanki pociągnie za sobą takie następstwa jakie pociągnął. Wyjechałem z domu w południe 14-go sierpnia. Na wieczór dojechaliśmy i zatrzymaliśmy się u „przeprawy za Wisłę” pod Maciejowicami. Staliśmy tam do dnia 16-go sierpnia do południa t. j. do momentu w którym zamiast przeprawy za Wisłę zrobił się odwrót w stronę Rosji. Wialiśmy najprzód wzdłuż Wisły w stronę Warszawy, a potem na prawo przez Osieck, Kołbiel, Mińsk Mazowiecki, Kałuszyn, Siedlce, Sokołów w stronę Białegostoku. Po czterech dniach takiego całodziennego i całonocnego marszu zacząłem myśleć o wyrwaniu się do domu. Ci, którzy razem ze mną

jechali dawno już od koni i wozów puciekali do domów. Mnie było szkoda zostawić konia, a tembardziej woza, który jakkolwiek był w złym stanie, to jednak nie był nasz własny tylko wzięty ze wsi od jednego z gospodarzy. Początkowo bałem się „zdezertrować”, żebym nie miał wymówek o zostawienie nie swojego woza. W czwartym dniu podróży w dniu 20-go sierpnia nieobecność znajomych furmanów, lesisty nieznanego terenu rzadko zabudowany wioskami wzbudziły we mnie strach przed dalszą podróżą. Nieznającemu geografji Polski całkiem mi się wydawało, że już jesteśmy na terenie Rosji. Był to dopiero powiat Bialski. Bojąc się jechać włąb Rosji postanowiłem rozstać się z koniem i z wozem, by choć samemu wrócić do domu. W tym celu zsiadłem z woza i zacząłem iść w przeciwnym kierunku ciągnących się nieprzerwanym długim łańcuchem wozów. Póki wozy szły to i ja szedłem, gdy się wozy skończyły spotkał mię jadący konno za wozami jakiś bolszewik. Zatrzymał mię i wybadawszy skąd i gdzie idę pod groźbą zastrzelenia kazał mi się wrócić do swojego woza. Spełniając rozkaz po długim biegu dogoniłem wóz i jechałem na nim jeszcze do południa. W południe ponowiłem próbę ucieczki. Droga prowadziła przez las wzdłuż toru kolejowego. Doświadczony poprzednią ucieczką nie szedłem już drogą tylko po lesie. Bałem się jednak, żebym nie zabłądził i dlatego odchodziłem tylko tyle w las, żeby nie stracić z oczu toru kolejowego. Uszedłem kilkanaście metrów, aż tu słyszę przed sobą trzask łamanych pod nogami suchych gałęzi i spotykam idących prosto na mnie kilku bolszewików. Ci też wypytali skąd i gdzie idę, lecz poczytali mię widocznie za szpiega, gdyż przeprowadziwszy jak najściślejszą rewizję zaprowadzili mię do jadącego konno na czele roty swego „komandira”. Wąsaty komandir o nic nie raczył mię zapytać tylko wydał rozkaz prowadzić mię pod eskortą do Rosji. Przepadł już teraz mój dom i rodzina! — pomyślałem sobie, lecz zdawszy się na „wolę Bożą” marszerowałem spokojnie. Po przybyciu do jakiejś wioski zaprowadzono mię przed oblicze kilkunastu jakichś „wysokich komandirów”, z których jeden w bardzo grzeczny sposób przeprowadził jaknajściślejsze i najszczegółowsze śledztwo zapewniwszy mię, że mię już nikt po drodze nie zaczepi kazał mi spokojnie iść sobie do domu.

W czasie gdy ja podróżowałem i wracałem matka po całych dniach i nocach opłakiwała moją stratę. Rozpacz jej była tem dotkliwszą, że jeden z furmanów wróciwszy przedemną do domu

powiedział, że widział jak mię zabito. Ucieszyła się też, ucieszyła gdy mię jakby zmartwychwstałego ujrzała! Stracony koń z uprzężą i wozem wydał się niczem w porównaniu z moim szczęśliwym powrotem.

Rzeczywiście w pierwszych chwilach nie dało się bardzo odczuć braku konia, gdyż orkę pod siew żyta niektórzy gospodarze ze wsi wykonali w formie bezpłatnej pomocy. Późniejsze jednak najmowanie i konia i chłopą oj dało się we znaki i mnie i matce, oj dało! Trzeba było się niemało namordować i nakłopotać, zanim się zdobyliśmy na kupno byle jakiego konia i jakiej takiej uprzęży. A jeszcze do tego zrobił nam sprawę właściciel zostawionego przezemnie wozu. Nic jednak nie wygrał! Najgorszą wówczas bolączką była niestałość waluty! Co matka w celu kupna konia sprzedała jakieś prosię czy jałówkę, to już za tydzień nic za to nie można było kupić! Dopiero w styczniu 1923-go roku za 800,000 mk. kupiła matka konia, którego z hołobli od wozu nie było widać. Lepszy jednak był i taki jak żaden.

Niedługo jednak i tym razem trwała uciecha matki z posiadanego konia i z tego, że do chłopskiej roboty nie potrzebuje najmować, bo już sam dawałem sobie z nią radę. 12 czerwca 1925 r. stanąłem na komisję poborową, przez którą uznany zostałem za zdolnego do służby wojskowej. 5-go października tegoż roku wśród płaczu i krzyku matki odjechałem służbę wojskową odbywać. Znowu dla matki nowe kłopoty i mordowanie się z młodszym 14-to letnim bratem w prowadzeniu gospodarstwa, a dla mnie mordowanie się w przyzwyczajaniu do służby i dyscypliny wojskowej. Dzięki jednak mojej pojętności i dobremu „kapowaniu” zwróciłem na siebie uwagę swoich przełożonych. Po trzech tygodniach rekruckiego wyszkolenia poszedłem do szkoły podoficerskiej.

Szkolę ukończyłem z wynikiem bardzo dobrym z lokatą 2-gą z mianowaniem mię na kaprała. Mimo jednak posiadanej „szarzy” służba wojskowa mi nie smakowała i z utęsknieniem oczekiwałem chwili zwolnienia, co nastąpiło 17 marca 1927 r.

Wróciwszy do domu zastałem taki sam niedostatek jak po śmierci ojca. Czasami nawet mocno żałowałem, że się nie pozostałem w wojsku, ale do czegoż to się człowiek nie przyzwyczai, czegoż nie wytrzyma?!

ż y c i e o b e c n e
G o s p o d a r s t w o i s t o p a ż y c i o w a

Gospodarstwo obecne według planów i rejestrów pomiarowych z przeprowadzonej w roku 1914 komasacji składa się z ogólnej powierzchni 8 dziesięcin 583 sążni w tem gruntów ornych 4 dzies., 1344 sąż., łąki 727 sąż., pastwiska 648 sąż., zarośli 1104 sąż., piasków pokrytych gdzie niegdzie krzaczkami choiny 2 dzies., 1168 sąż., bagna i torfowiska 365 sąż., wody 8 sąż., i dróg 19 sąż. .

Z wymienionych 4 dzies. 1344 sąż. gruntów ornych, około 1000 sąż. zajmują: podwórze, budynki i rosnąca koło nich drzewina, dalej 648 sążni pastwiska też jest w tej przestrzeni 4 dzies. 1344 sąż. gruntów ornych, pozatem około 2000 sąż. jest nieużytku niezdatnego do uprawy zbóż — najwyżej można by go zalesić, lub uczynić „kopalnię” czyściutkiego żółciutkiego piachu, co było już robione podczas budowy szosy we wsi. Zarobiłem wtedy coś około 50 zł. Reszta przestrzeni gruntów ornych wynosząca suma sumarum najwyżej 3 dzies. (6—7 mórg) pozostaje pod uprawę zbóż i okopowych. I to żeby jeszcze choć ta „reszta” była jednakowa i nadawała się pod uprawę wszystkich roślin toby jeszcze, jeszcze można było sobie jako tako radzić. Ale dwie trzecie tej reszty uprawowej ziemi to piaski nadające się tylko pod uprawę seradeli, łubinu, żyta i „na utrafionego” kartofli. Jedna trzecia, t. j. około dwóch mórg dopiero jest o glebie lepszej możnaby powiedzieć pszenno-buraczanej. Trzebaby jednak przeprowadzić na niej meljoracje toby dopiero można było „napewnego” wszystko na niej uprawiać, a tak w czasie mokrzejszego lata staje woda, a uprawiana roślina ginie. Także sama uprawa jest utrudniona, gdyż tylko w czasie wyjątkowo suchej jesieni, czy wiosny można ją w swoim czasie wykonać.

Nie lepiej od gruntów ornych przedstawiają się i inne części składowe gospodarstwa. I tak: łąkę z jednego końca, kosi się krowami, a z drugiego zatapia ją woda i znowu tylko w wyjątkowo pogodnych sianokosach można zbioru siana dokonać. Zbiera się dwa wozy jednokonne siana z pierwszego pokosu i jeden wóz z drugiego. Ale żeby to siano przedstawiało chociaż jaką wartość, toby ta jeszcze krowy się niem ucieszyły choć tak jak chłop smaczniejszem jakimś jedzeniem przyrządzonem z okazji jakiejś większej uroczystości. Tymczasem siano to tak zw. „rzeżęga” na pół z mechem i z haszczem. Dać całego krowom to sobie niem tylko podścielą, a gdy się go porżnie na sieczkę to z konieczności zjeść muszą.

Pastwisko jakkolwiek nieduży kawałek jest podstawą utrzymania krów. Zarosła też się liczą do pastwiska, ale paść na niem krowy to głodniejsze przychodzą do obory jak z niej wychodzą.

Jest daleko (około $1\frac{1}{2}$ km.) od domu i bez żadnej wartości. Rośnie na nim kilka krzaków drobnej olszyny i sośniny. Piaski, których jest około 5 mórg (2 dzies. 1168 sąż.) służą niby za las, ale gdyby nie kupować opału, toby całego tego lasu starczyło na opał najwyżej na dwa lata. Bagna — wiadomo do czego służą: dzikie kaczkę znoszą w nich jaja i żaby mieszkając w nich swoim rajgotaniem uprzyjemniają czas strudzonemu całodzienną pracą siedzącemu wieczorem na ławie pod ścianą człowiekowi.

Tak się mniej więcej przedstawiają pod względem jakości i wartości poszczególne części składowe gospodarstwa!

Z zabudowań jest dosyć obszerna stodoła, w której prawie co roku są lokatorzy ze zbożem, mała, ciasna i w bardzo już lichym stanie obórka, a przy niej klepisko na rżnięcie siczki, i wreszcie dom mieszkalny budowany przed trzydziestu kilku laty. Dom składa się: z izby o przestrzeni 5 m. 36 cm \times 4 m. 38 cm., alkierza 5 m. 36 cm. \times 2 m. 38 cm., sieni, w której przedtem stały świni a obecnie koń, i wreszcie z komory. Z tyłu domu jest przybudowany chlewik na świnię.

Umebrowanie domu: stół, dwa łóżka, jeden większy stołek służący do jedzenia, trzy stołki mniejsze do śniadania, trzy ławy pod ścianami i piecem i jeden taboret, pozatem kilka obrazów porozwieszanych na ścianach.

Inwentarz żywy: dwie krowy, jedna jałówka, jedna kobyłka, dwie sztuki świni, jeden pies i osiem sztuk kur. Z tego jedna krowa z braku paszy zostanie sprzedana, a także i świnię z braku zboża do tuczenia z konieczności trzeba sprzedać, a kupić jedno — dwoje z małych prosiąt.

Inwentarz martwy: wóz w lichym stanie, pług, brona i inne drobne rzeczy jak: szpadel, widły, motyki, cepy i t. p.

Przeciętny roczny plon zebranych zbóż przedstawia się mniej więcej w następujących cyfrach: żyta 12—15 centnarów metrycznych, jęczmienia 3—5, owsa 3—5, prosa $\frac{1}{2}$ — 1, łubinu 2—3, seradeli 1 — $1\frac{1}{2}$, kartofli 40 — 60 centn. metr.

Z powyższych plonów po wyżywieniu własnej rodziny nigdy nic nie pozostaje do sprzedania. Najwyżej czasem łubinu i seradeli coś niecoś jest do zbycia. Poza wyżywieniem rodziny z powyższych plonów tuczy się jedna, a już najwyżej bardzo rzadko kiedy dwie świni.

których sprzedaż stanowi jeden jedyny całoroczny dochód z gospodarstwa. Często jednak tak bywa, że się zboże wypasie i za świnię nic się nie weźmie bo albo zdechną, albo jest kiepski gatunek, który zamiast zysku daje podwójną stratę, bo zboża trzeba dla siebie potem kupować.

Rodzina składa się obecnie z czterech osób: matki, mnie, siostry i brata. Gospodarstwem jest sukcesorskie i nie wiem jeszcze czyją pozostanie własnością. Siłą rzeczy należałoby mnie jako najstarszemu objąć je w posiadanie. Boję się poprostu do tego zabrać choć już mam 29 lat i najwyższa już byłaby ku temu pora. Prowadzenie bowiem takiego gospodarstwa uważam nie za gospodarowanie, ale za zarzynanie samego siebie. Pod każdym względem widzi człowiek tylko braki, braki i nic więcej! Czy to w zabudowaniach, czy to w odżywianiu, czy w ubieraniu — wszędzie nie tak jak być powinno!

Zabudowania: koniecznym byłoby pobudowanie obory, w którejby się pomieściły krowy, koń i świnię. Koniecznym byłoby to nie tylko z tego względu, że gnój przy domu mieszkalnym wpływa ujemnie na zdrowie ludzi, ale i z tego, że obora obecna jest już w takim stanie, że się ledwie kupy trzyma. Koniecznym byłoby pobudowanie chociaż niedużej piwnicy, gdyż przechowywanie kartofli w kopcach wymaga dużo słomy, której niema nigdy poddostakiem na paszę i na reperację dachów na budynkach. Poza to dostawanie kartofli z kopca w czasie zimy na codzienny użytek jest strasznie niewygodne i niebezpieczne zwłaszcza w czasie dużych mrozów, zaś robienie na każdą zimę t. zw. „dołów pod przętrem” na formę piwnicy jest bardzo uciążliwe i kłopotliwe, a co najważniejsze — pociąga za sobą znowu dużo słomy i drzewa którego na opał zawsze brakuje. Koniecznym byłoby przeprowadzenie remontu domu mieszkalnego, gdyż tylna ściana od strony chlewika całkiem już wylata. Ale cóż tu mówić o konieczności pobudowania takiego czy owakiego budynku, kiedy niema możliwości zdobyć się na pobudowanie drobnej, ale najkonieczniejszej takiej rzeczy jak studnia. Od niepamiętnych mi czasów wykopany obszerny dół z wstawioną doń beczką służy za studnię dostarczającą wody do pojenia bydła, do picia i do gotowania! Po każdym ulewniejszym deszczu wszystkie śmiecie i brudy z całego podwórza woda deszczowa spławia do studni! Kupić pięć kręgów betonowych to za ledwie trzydziestoparozłotowy wydatek, a jednak mimo zrozumienia konieczności jego potrzeby — nie można się na niego zdobyć! Do takich jeszcze drobnych a koniecznie w gospodarstwie potrzebnych rzeczy należałoby zaliczyć ustęp. Rozumie

się jego potrzebę w znaczeniu higienicznym i w znaczeniu wartości marnowanego drogiego nawozu, ale cóż począć, gdy niema kawałka własnej deski a kupić niema za co?!

Odżywianie: na śniadanie kartofle z kapustą, na obiad kartofle i polewka z kaszy, na kolację kartofle i przegotowane mleko, a jeżeli go niema to jakiś barszczyk, lub poprostu rzadkie kartofle z wodą — czasami zasypane kilku ziarnkami kaszy — oto i całe odżywianie! Słoniną krasi się na Boże Narodzenie i Wielkanoc. W tym też czasie wypija się szklankę herbaty. Ale i to ile trzeba namłacać sobie głowy skąd wziąć pieniędzy na kupno tego kilograma wieprzowiny, czy pół kilograma cukru — to wołałby już człowiek nie próbować ich smaku i mieć spokojną głowę! W ciągu całego roku jeżeli jest, mleko stanowi całą okrasę wszystkich gotowanych potraw, jeżeli go niema — okrasę stanowi woda i sól! Na tę ostatnią też często gęsto nie starcza. Nie kupuje się też jej nigdy w większej ilości jak 1—2. Chleb od zbiorów do jesieni — póki jest więcej roboty — to jeszcze się częściej piecze, ale w razie zimy, gdy mniej roboty i dzień krótszy, obywa się o kartoflach i kapuście, a żyto zostawia się na dłuższy dzień i na cięższą robotę na wiosnę i na żniwa.

Odzież i ubranie: na 29 lat kawalerskiego życia nie posiadałem jeszcze i nie posiadam żadnego palta cieplejszego na zimę. Zdarłem dwa kozuchy zrobione ze swoich skór, a obecnie dodzieram kupioną sześć lat temu za 36 zł. jesionkę, która służy na jesień, na zimę i na wiosnę i to nietylko do chodzenia w niej, ale i do odziewania się w czasie spania. Do takiego odziewania się służyły tak samo i kozuchy, dlatego też zniszczyły się o połowę w krótszym czasie niżby normalnie się im należało, to znaczy tylko przy używaniu do chodzenia. Do czasu służby wojskowej chodziłem na codzien w parciakach z własnego lnu, a na święto i niedzielę w wełniakach wyrobionych domowym sposobem z wełny z własnych owiec. Przy zwalnianiu się z wojska wstyd mię było „jako podoficera” nałożyć „rekruckie” parciane portki i wełnianą marynarkę. Dlatego też napisałem przed zwolnieniem do domu list z prośbą o przysłanie pieniędzy na „sklepne ubranie”. Przysłała mi matka utargowane za wożone przez młodszego brata do miasteczka odległego o 14 klm. plewy i sieczkę 40 zł. i usprawiedliwienie napisane przez siostrę, że tyle ile prosiłem (100 zł.) przysłać mi w żaden sposób nie mogą. Cóż było robić? Rad nierad musiałem się na to zgodzić! W ostatnią niedzielę przed zwolnieniem poszedłem z kolegą do miasta i kupiłem:

za 30 zł. ubranie, za 8 zł. sweter i za 2 zł. krawat, którego też jeszcze do tej pory nie nosiłem i który z powodu braku kołnierzyka „pryczepił” mi kolega do swetra. Kosztem 40 zł. „wyelegantowany”, odebrane z magazynu „rekruckie ubranie” w wielkiej tajemnicy przed wszystkimi wrzuciłem do ustępu! Zaś to trzydziestozłotowe ubranie służyło mi po zwolnieniu przez dwa lata. Na wiosnę 1929 r. zafundowałem sobie lepsze za 110 zł. W tem ubraniu chodzę do dnia dzisiejszego i pomimo, że już spodnie połatałem i przez rękawy marynarki łokcie mi wylażą — nie mogę nawet marzyć o kupnie innego. Razem z temi dwoma ubraniami zdarłem i dwie „sklepne koszule”, które obłóczyłem tylko na wielkie święta i uroczystości. Nietylko na niedzielę i święta niema się w co ubrać, ale i na codzień chodzi się oberwanym poprostu jak dziad. Od czasu przeprowadzenia komasacji, a przez to samo zniesienia wspólnych pastwisk nie hoduje się owiec, a przez to niema wełny na wyrabianie wełniaków, których obecnie nie powstydzilibym się nałożyć nawet w największe święto czy uroczystość. Na codzień zaś nie byłoby lepszego, tańszego ubrania, jak ubranie uszyte z wełnianego „kortu” domowej roboty. Poza ubraniem nie grzeszyłem też i w niszczeniu obuwia. Przez czas dotychczasowej mojej kawalerki zdarłem trzy pary kamaszy i dopiero zeszłej zimy kupiłem sobie za 26 zł. pierwsze świąteczne kawalerskie buty. Służyły mi one całe lato i za kamasze. Kupiłem buty na zimę, to kamaszy na lato już nie mogłem. Takie rzeczy, jak kalosze, rękawiczki, szaliki i t. p. znane mi są, ale z widzenia ich we sklepach, lub u innych ludzi!

Zaległości i zadłużenia: wobec opisanego wyżej stanu gospodarczego wysuwa się jeszcze jedna najbardziej mię trapiąca i gnębiąca sprawa zaległości podatkowych i prywatnych zadłużeń. Aż się boję o tem wspominać i ujawniać na papierze, bo to są takie straszne czarne cyfry, że aż się człowiekowi w głowie od nich kręci! Najstraszniejsze oczywiście są cyfry wykazujące zaległości podatkowe. Kiedy je wszystkie z kwitarjuszy u sołtysa obliczyłem i podsumowałem, to aż mi włosy na głowie dęba stanęły! Oto jak się one za poszczególne lata przedstawiają:

Rok 1931	I Rata opłat drogowych	13,02 zł. + 2% × 31 mies. = 8,08 zł. + 1,50 upom.
	II „ „ „	13,02 zł. + 2% × 25 „ = 6,51 zł. + 1,50 „
	I „ gruntowy	7,47 zł. + 1% × 31 „ = 2,31 zł. + 1,50 „
	II „ „	16,45 zł. + 1% × 25 „ = 4,11 zł. + 1,50 „
	Razem	49,96 zł. + 21,01 zł. + 6,— zł

Rok 1932	I Rata gruntowy	19,12 zł. + 1% × 20 mies. = 3,82 zł. + 1,50 upomn.
	II " "	19,12 zł. + 1% × 13 " = 2,48 zł. + 1,50 "
	II drogowy, sejmikowy	9,75 zł. + 1% × 13 " = 1,27 zł. + 1,50 "
	I Rata gminny wyrów.	11,23 zł. + 1% × 17 " = 1,91 zł. + 1,50 "
	II " " "	11,23 zł. + 1% × 13 " = 1,46 zł. + 1,50 "
	Razem	70,45 zł. + 10,94 zł. + 7,50
Rok 1933	I Rata gruntowy	16,47 zł. + 1% × 7 mies. = 1,15 + 1,50 upomn.
	II " "	16,47 zł. + 1% × 1 " = 0,16 + 1,50 "
	I " drogowy	9,31 zł. + 1% × 6 " = 0,55 + 1,50 "
	II " "	9,31 zł. + 1% × 1 " = 0,09 + 1,50 "
	I " wyrównawczy	10,39 zł. + 1% × 5 " = 0,52 + 1,50 "
	II " "	10,39 zł. + 1% × 1 " = 0,10 + 1,50 "
	Razem	72,34 zł. + 2,57 + 9,00 "
Rok 1931	Zaległości	49,96
	Kara za zwłokę	21,01
	Upomnienia	6,00
Rok 1932	Zaległości	70,45
	Kara za zwłokę	10,94
	Upomnienia	7,50
Rok 1933	Zaległości	72,34
	Kara za zwłokę	2,57
	Upomnienia	9,00
	Razem	249,77 zł.
Składka ogn.	I Rata 1931 r.	14,22 + 1% × 32 mies. = 4,55 + 1,50 upomnienie
	II " 1931 r.	14,00 + 1% × 25 " = 3,50 + 1,50 "
	I " 1932 r.	5,51 + 1% × 20 " = 1,10 + 1,50 "
	II " 1932 r.	5,51 + 1% × 11 " = 0,60 + 1,50 "
	I " 1933 r.	5,51 + 1% × 7 " = 0,38 + 1,50 "
	II " 1933 r.	5,51 + 1% × 2 " = 0,11 + 1,50 "
	Razem	50,26 + 10,24 + 9,00 "
	Zaległości	50,26
	Kara za zwł.	10,24
	Upomnienia	9,00
	Razem	69,50 zł.
		+ 249,77 "
		319,27 zł.

Do tej zawrotnej sumy 319 zł. 27 gr. dodać jeszcze trzeba jeden plus kosztów egzekucyjnych pobieranych przy egzekucji każdego podatku. Wynoszą one tak samo jak upomnienia po 1,50 zł. od każdego podatku. A więc 21 podatku po 1,50 zł. = 31,50 zł. Będzie więc już razem z poprzednią sumą 319,27 zł. + 31,50 zł. = 350,77 zł. Nieduża sumka!! Trzebaby sprzedać wszystkie krowy, kobyłę i świnie toby może ledwie ledwie starczyło na jej pokrycie! Ale co dalej! Co później sprzedać? Jak gospodarzyć? Co jeść?

Powiada się, że chłop może, tylko nie chce płacić podatków. Kto tak myśli i mówi, niech weźmie powyższe liczby, niech się im uważnie swojemi ślepiami przypatrzy, niech je poważnie we swojej mózgownicy rozważy, a z pewnością pomyśli i powie inaczej. 44 zł. 76 gr. kary za zwłokę obliczoną do 1-go grudnia 1933 r., 31 zł. 50 gr. kosztów egzekucyjnych i 31 zł. 50 gr. za upomnienia, razem 107 zł. 76 gr.!!! Ktoby mi kazał i po kiego diabła, płaciłbym za darmo taką sumę, gdybym mógł w przepisany terminie wszystkie podatki opłacać??? Toć za te 107 zł. 76 gr. mógłbym się porządnie ubrać i obuć na jakie pięć lat! Chłop rozumie potrzebę płacenia podatków i chciałby je we właściwym terminie opłacać, ale nie może! Nie wiem czy nawet wiele pomoże tu i egzekucja sekwestratora. Dawniej tylko chłop był bardzo „wrażliwy” i starał się wszelkimi siłami, by sekwestrator „nie przeglądał mu kątów”. Dzisiaj się już z nim obeznał, oswoił i nie robi na nim (chłopie) żadnego wrażenia. Stracił już dzisiaj chłop swoją ambicję i honorność w „niepokazywaniu swoich kątów”. Zresztą już były one tyle razy przeglądane, że się do tego przyzwyczaił. Na dłuższy okres czasu taki stan jest poprostu nie do pomyślenia, nie do wytrzymania! Najlepszym tego dowodem są głośne, krwawe wypadki w środkowej Małopolsce! Chłopu wszystko już jedno, czy konać powoli, czy ponieść śmierć odrazu!!! Jeszcze przy tej ostatniej nie potrzebuje się męczyć! „Śruba podatkowa” w nadmiernym przykręcaniu może się „ukręcić”! Stal i żelazo nie są też wieczne!!!

Niewiele mniejszą sumę od wymienionych zaległości podatkowych przedstawiają zadłużenia prywatne. Przedstawiają się one następująco:

Zwrot zaciągniętej w roku 1930 w Gminnej Kasie P. O. pożyczki	25 zł.
Zwrot pożyczki zaciągniętej na pogrzeb brata	100 zł.
Zwrot kosztów leczenia zmarłego brata	10 zł.
Dopłata do trumny dla zmarłego brata	5 zł.
Zwrot pożyczki na Kongres Stronnictwa Ludowego	10 zł.
Zwrot pożyczki na wycieczkę rowerową	10 zł.
Zaległe składki w Kole Młodzieży Wiejskiej	2 zł.
Zaległe składki w Kole Stronnictwa Ludowego	6 zł.
Zaległa prenumerata „Wici”	36 zł.
Splata nabytej w roku 1929 maszyny do szycia	182 zł.
Różne inne drobne zadłużenia	19 zł.

Razem 380 zł.

Nie mając dokładnego podliczenia ogólnego zadłużeń prywatnych powiedziałem „na oko” na wstępie, że wynoszą one „niewiele mniejszą sumę od zaległości podatkowych”. Tymczasem po zsumowaniu ich okazało się zupełnie co innego. Okazało się, że wynoszą one nie mniejszą, ale jeszcze o 30 zł. wyższą sumę od zaległości podatkowych. Razem więc zaległości podatkowe i osobiste różne należności prywatne w dniu 1-go grudnia b. r. będą się równać w sumie 730 zł. 77 gr. Ale to jeszcze nie koniec na tem! Przed kilku dniami, już po zaczęciu pisania niniejszego pamiętnika, zgłosił się do mnie kolega mojego zmarłego brata i oświadczył mi niezbyt pocieszającą wiadomość, że kiedy był razem z moim bratem w Warszawie, to brat pożyczył od niego roweru, który mu z ulicy z przed sklepu skradziono. Rower był wartości 200 zł. i brat zobowiązał mu się je zwrócić. Zanim jednak zdążył to uczynić śmierć przerwała jego młodzińcze życie. Nie wiem czy to oświadczenie jest prawdziwe, bo nie brat o tem przykrem zajściu przed śmiercią nie wspominał. By jednak być czystym i spokojnym we swoim sumieniu siłą rzeczy zobowiązanie brata należałoby wypełnić i te 200 zł. wypłacić, gdyż zmarły brat oprócz pogrzebu nic z przypadającej jemu części nie wziął.

A więc, żeby się ze wszystkiego na czysto „oczyszczyć” to na dzień 1-go grudnia 1933 roku trzeba by mieć okrągło j e d e n t y s i ą c z ł o t y c h p o l s k i c h!!! Żeby go móc w gospodarstwie uzyskać to trzeba by sprzedać te dwie morgi lepszej ziemi, a w pozostałym piasku wygrzebać obszerny dół i zagrzebać się w nim żywcem z całą rodziną i inwentarzem!!! Innego wyjścia i sposobu do życia nie widzę. Boć by móc żyć i z życia mieć jakie takie zadowolenie, to oprócz tego jednego tysiąca złotych trzeba by mieć drugi na poprawienie i urządzenie zabudowania, na kupno jakiej takiej cieplejszej odzieży na zimę, a także na kupno opału, by przy zimnym piecu w zimie nie zmarznąć.

Dwa tysiące złotych polskich potrzeba, by się chwilowo ściskającej biedzie z pazurów wyrwać! Chcieć zaś myśleć o zabezpieczeniu sobie dalszej przyszłości, należałoby spłacić siostrę i pomyśleć o zabezpieczeniu jakiejś przyszłości najmłodszemu osiemnastoletniemu bratu przez danie mu jakiegoś fachu czy coś podobnego. Na to znowu licząc skromnie po dwa tysiące złotych na jedno, trzeba by cztery tysiące złotych. Do tego dodać poprzednie dwa — będzie razem sześć tysięcy złotych!!! By móc żyć i jak już wspominałem, jakie takie zadowolenie z życia mieć — trzeba by te sześć

tysięcy koniecznie jakimś cudem zdobyć. Skąd jednak i w jaki sposób zdobyć?? Ktoś, a może i nie jeden, mógłby mi dać taką radę: „Jesteś kawalerem, poszukaj bogatej panny,żeń się z nią, bierz za nią posag i po kłopotcie!” Na taką radę mógłbym odpowiedzieć pytaniem, kto dziś może tyle pieniędzy dać? Choćby się może wyjątkowo gdzie taka „bogata panna” znalazła, to czyby się na moje warunki przystać zgodziła? Zresztą na kwestję doboru małżeńskiego zapatruję się nie pod kątem doboru i dopasowania materialnego, ale pod kątem doboru człowieka, z którym życie byłoby przyjemne w każdej jego chwili. Na pierwszym miejscu stawiam wartość człowieka, na drugim — wartość pieniądza. Obydwie zaś te wartości trudno ze sobą uzgodnić!

Samokształcenie

Udział w pracy społecznej

A jednak pomimo wszystko, pomimo biedy i nędzy w jakiej od dzieciństwa żyję, jest coś co daje mi wewnętrzne zadowolenie i nie pozwala popaść w całkowity pesymizm i apatię. To „coś” to jest samokształcenie i udział w pracy społecznej. Od dzieciństwa miałem już jakiś specjalnie wrodzony pociąg do czytania. Największą jednak w tem przeszkodą było to, że nie miałem co czytać i nie było za co kupić książki, czy zaprenumerować gazety. W dzieciństwie zadawał mi się „Gazetą Świąteczną” prenumerowaną przez ojca wspólnie z sąsiadami. Innych żadnych gazet w całej wsi liczącej 62 gospodarzy nikt nie prenumerował. Nikt się zresztą szerszem życiem poza swoją wsią i parafią nie interesował.

Po odzyskaniu Niepodległości Polski i po rozpisanu wyborów do pierwszego sejmu, po rozpoczęciu agitacji wyborczej na wiecach przez wysłanników różnych ugrupowań politycznych i w kościołach przez księży — nastąpiło ożywienie i zainteresowanie we wsi. Mnie z tego powodu nadarzyła się nielada okazja do „naczytania” się. Co wieczór, a nawet i we dnie — gdy nie miałem pilnej roboty w domu — szedłem na wieś do sklepiku, gdzie się schodzili gospodarze z całej wsi na słuchanie czytanych przeze mnie różnych różności i na naradzanie się nad tem, który numer najlepszy i na który najlepiej głosować. Do czytania służyły różne gazety i ulotki wyborcze rozdawane za darmo na wiecach i zebraniach, a także roznoszone po wioskach przez różnych polityków.

Czytanie to tak „weszło w życie”, że z jednej strony ja nie mogłem się doczekać wieczora, by polecieć i coś przeczytać, a z drugiej strony zebrani chłopci, gdy mnie czasem „nie było długo widać” przysyłali po mnie bym prędzej szedł, bo są do czytania „świeże gazety”. Wzbudzone zainteresowanie w czasie wyborów nie usnęło i po wyborach. Zaciekawienie tylko szło teraz w tym kierunku co się dzieje w sejmie, co sejm uchwali, jaki będzie rząd, a także ciekawiły wiadomości z wojny, która jeszcze trwała i na którą ze wsi początkowo „na ochotnika”, a potem z poboru poszło kilkunastu młodych chłopaków.

Po wyborach nie rozdawano już gazet, ani ulotek i dlatego ten i ów, by zaspokoić raz rozbudzone zaciekawienie, z konieczności musiał sobie zaprenumerować gazetę. Przed wyborami do drugiego sejmiku i ja się zdobyłem na zaprenumerowanie do spółki z sąsiadem „Gazety Świątecznej”. Nie mogłem się wtedy doczekać niedzieli, a z nią „świeżej gazety”. Opłacałem ją tylko przez jedno półrocze, a dalej mimo najszczerzych chęci nie mogłem, bo nie miałem pieniędzy.

W roku 1923-im, czy 1924-ym nie pamiętam już jakim sposobem zapoznałem się z gazetą „Wola Ludu” organem ówczesnego Stronnictwa Ludowego „Piasta”. Gazeta ta tak mi się spodobała i tak się z nią żyłem, że poprostu nie mogłem sobie wyobrazić, cobym począł, gdyby mi wstrzymano jej wysyłkę. Co mogłem to za nią płaciłem, a pozatem często gęsto pisałem „błagalne” listy do Redakcji z prośbą uwzględnienia mojego ciężkiego położenia i nieprzerywania mi wysyłki „Woli Ludu”. Muszę przyznać, że Redakcja zawsze bardzo przychylnie moje prośby załatwiała.

Regularnie cały rok, w największe mrozy i zamiecie w zimowej porze, co sobota, lub w niedzielę z rana latałem do gminy odległej o 3 klm. po gazetę. Gdy czasem wypadkowo jej nie było, czułem się gorzej, jakby mi przez cały dzień matka jeść nie dała.

Oprócz gazet łaknąłem ogromnie czytania książek, których niestety wypożyczyć nie miałem gdzie, a kupić nie miałem za co. Gdy mi się przypadkowo jakaś książka do rąk dostała, to póty jej nie położyłem, aż ją przeczytałem „od deski do deski”. Rzadkie to jednak bywały wypadki takiego dostania książki, a jeszcze rzadsze wypadki doboru książki do mojego poziomu umysłowego i mojego zainteresowania.

Najczęściej musiałem się zadowolnić opowiadaniem o różnych „ładnych” i „ciekawych” książkach, które czytał kiedyś w młodości jeden ze starych gospodarzy. Najbardziej wzbudzała we mnie za-

chwyt jakaś tajemnicza dla mnie książka nazywająca się „Ogniem i mieczem” i druga „Potop”. Opowiadał właśnie często o nich ów gospodarz, który miał szczęście je czytać. Mówił, że to książki ogromnie duże i drogie, bo kosztują aż po 3, czy po 6 rb. Pisze w nich o wszystkich dawnych „wielkich wojnach”, o polskich królach, o obronie Częstochowy i o „potopie świata”. — Mój Boże! — myślałem se słuchając tego opowiadania — żeby tak móc gdzie dostać te książki i przeczytać je, ileż tobym się dowiedział ciekawych wiadomości z dawnych dziejów świata! Cena 6 rb. „przed wojną” nie ośmielała mię nawet do marzenia o tem, bo gdzieżbym ja się mógł kiedy zdobyć na taki wydatek? Gospodarz, który o nich opowiadał miał swoją własną książkę, która też „przed wojną” kosztowała 3 czy 6 rb. a nazywała się „Żywoty wszystkich Świętych”. Było w niej opisane każdego świętego i świętej z każdego dnia z całego roku. Mimo jednak usilnych moich próśb i zapewnienia niezniszczenia, nie chciał mi jej pożyczyć, bo już kiedyś dawniej była ona do mojego domu pożyczana przez zmarłego w roku 1914-tym, mojego stryja szewca ś. p. Stanisława. Zaś dwa razy do jednego domu nikomu nie pożyczał bo by się prędko zniszczyła.

Z dołączanego co miesiąc bezpłatnie do „Woli Ludu” dodatku dla młodzieży p. t. „Siewba” dowiedziałem się, że istnieje w Polsce organizacja młodzieży, że młodzież w niektórych wsiach wspólnie pracuje w tak zwanych Kołach Młodzieży. O! jakże wówczas marzyłem, żeby w mojej wsi takie Koło Młodzieży powstało. Żeby młodzież zamiast tracić czas na włóczenie się po wsi „za kąpielnicami” i na wyrządzaniu komuś szkody po nocach — wzięła się do pracy nad oświecaniem i wychowywaniem się na światłych i pożytecznych obywateli państwa.

W Niwie Babickiej, w wiosce odległej od mojej wioski o 3 klm. istniało już cprawda od kilku lat Koło Młodzieży. Należeli jednak do niego z okolicznych wsi tylko ci, którzy przez ogół ludności byli uważani za „inteligentów”, którzy pierwsi „poprzyczepiali” sobie krawaty, którzy pokupowali sobie „sklepne ubrania” i kamasze, którzy w roku 1918 pierwsi poszli na ochotnika, rozbijając i wypędzając Niemców. W mojej wsi też było kilku takich inteligentów, z których prawie każdy „widział już Warsiawę”. Tym to inteligentom po powrocie z wojska wydało się za trudnem i za uciążliwem należenie i pracowanie w Kole Młodzieży odległem o 3 klm. dlatego też widząc wiele młodzieży we swojej wsi, pomyśleli o wciągnięciu jej do organizacji i o założeniu Koła we swojej wsi.

Dnia 27 stycznia 1924 roku zostało do mojej chałupy zwołane zebranie młodzieży w celu zorganizowania Koła. Na zebranie przybyło 26 chłopów i 10 dziewczyn. Wszyscy jednogłośnie zgodzili się należeć do Koła. Rozumie się, że większość przystąpiła dlatego — że przystąpili inni, albo ze zwykłej ciekawości. Mnie od razu spotkał w Kole nielada zaszczyt, wybrano mię na sekretarza. Przez objęcie tego „urzędu” zapomniałem trochę o czytaniu, natomiast zacząłem się „wprawiać” w innym kierunku — w pisanie. A pisania była moc! Protokoły, role do teatru, zaproszenia na przedstawienia i zabawy, afisze — wszystko to było na mojej głowie! Przyznam — wcale się nie chwając — że wywiązywałem się ze wszystkiego należycie. Było to dla mnie nie do pomyślenia, żebym czego co do mnie należało nie wykonał. Po roku sekretarzowania, na dorocznym Walnym Zebraniu, dodano mi jeszcze funkcję skarbnika. Niedługo się jednak nią ucieszyłem gdyż jesienią 1925 roku zabrano mię wraz z kilkoma innymi kolegami do wojska. Pozostali na miejscu członkowie, a zwłaszcza organizatorzy, przez różne okoliczności i obowiązki życiowe zmuszeni zostali do wycofania się z pracy w Kole i wobec tego w czasie mojego jeżdżenia na kołach armaty — Koło Młodzieży „usnęło”.

Pisząc jednego razu ze szkoły podoficerskiej „rymowany” list do domu, „przyłapał” mię na tem porucznik i poznawszy moją zdolność „rymowania” kazał mi napisać wiersz na przedstawienie urządzane przez szkołę. Zgodziłem się chętnie. Było to przed świętami Bożego Narodzenia i przed naszym wyjazdem na urlop świąteczny. Przez kilka dni nie chodziłem wcale ani na ćwiczenia, ani do żadnych robót porządkowych, których strasznie nienawidziłem, ino sobie siedziałem w koszarach przy pisaniu wiersza. Rozumie się, że pisałem tylko wtedy, gdy wchodził któryś z przełożonych. Ostatniego wieczoru przed przedstawieniem wezwał mię porucznik na kancelarję, gdzie przez kilka godzin przy częstowaniu się „oficerskimi cukierkami” usuwaliśmy różne „braki” wiersza. Największym jego brakiem było to, że każdy wiersz miał inną ilość sylab. Po zwróceniu mi przez porucznika uwagi, że każdy wiersz musi mieć jednakową ilość sylab, — w każdym wierszu liczyłem sylaby i gdzie było ich za dużo skręślałem wyrazy, a gdzie za mało — dopisywałem. Po wygłoszeniu uzupełnionego i „wygładzonego” wiersza zyskałem burzę okłasków, a także pewne względy, wyróżnienie i lepsze uważanie u przełożonych szkoły.

Osiągnięty sukces tego pierwszego wiersza po powrocie z wojska

pchnął mię do „wprawiania się” w pisaniu wierszy. Nie dowierzając słuszności uwagi porucznika kilkakrotnie sprawdzałem różne drukowane wiersze, czy rzeczywiście każdy wiersz musi odpowiadać jeden drugiemu równą ilością sylab. Po dłuższych „studjach” doszedłem do przekonania, że „tak jest”! Nie odkryłem jednak narazie takiej tajemnicy jak „średniówka” wiersza. Nie zwracałem też na nią najmniejszej uwagi. „Obowiązywała” mię tylko ilość sylab. Pisząc wiersz, pisałem go najprzód „na brudno” i zwracałem najprzód uwagę na rym, a potem dopiero liczyłem sylaby i dopisywałem względnie skreślałem odpowiednie wyrazy wyrównując ilość sylab.

Tematami do pisania wierszy były różne sprawy osobiste opisywane w listach do kolegów wojskowych. Opisałem też wierszem dosyć obszernie przyjazd i pobyt biskupa w naszej parafji. Opis ten posłałem do Redakcji gazety „Posiew” i „Gazety Świątecznej” z prośbą o wydrukowanie go. Odrazu „poszedł” ale do kosztów redakcyjnych i to nawet bez żadnej odpowiedzi. Urażony tem nawiązałem kontakt z dawną swą przyjaciółką „Wolą Ludu”. Ta zrobiła mi wielką niespodziankę, a zarazem i ogromne zadowolenie zamieszczając w numerze 393 z dnia 1 stycznia 1928 r. mój wiersz p. t. „Noworoczne życzenia”. Składałem w nim swe życzenia posłom i senatorom z klubu „Piasta”, redaktorowi z pracownikami redakcji i wszystkim czytelnikom. Dwa tygodnie potem w numerze 395 z dnia 15 stycznia 1928 r. ukazał się znowu mój „rymowany” artykuł o mojem zamiłowaniu do czytania i o trudnościach w opłacaniu gazety, a także o tem jak pragnąłbym czytać książki a nie mam ich skąd wziąć.

W początkach września tegoż 1928 roku odwiozłem najmłodszego brata do 6-go oddziału szkoły powszechnej w najbliższym miasteczku. Po dwumiesięcznym pobycie w szkole sprawił mi wielką niespodziankę, a zarazem nieopisaną wprost radość i zadowolenie. Przychodząc na niedzielę do domu przyniósł mi z biblioteki szkolnej pierwsze tomy „Trylogji” Sienkiewicza „Ogniem i mieczem”. Ot jaki on jest szczęśliwy! — pomyślałem sobie — dzieciakiem jeszcze jest, a już ma możność przeczytać to, o czem ja od kilku lat marzyłem, zaczem od dawna tęskniłem, a czego przeczytać nie mogłem. Z wielką ciekawością zabrałem się do czytania. Czytanie to przez kilka dni i wieczorów było dla mnie najprzyjemniejszą rozrywką jaką kiedykolwiek w życiu do tej pory miałem. Naprzemian i śmiałem się i płakałem, czytając pełne dowcipu i pomysłowości, to znowu niebezpieczne, zagrażające życiu chwile opisywanych postaci. Po przeczytaniu „Ogniem i mieczem” przychodząc drugim razem do

domu przyniósł mi brat „Potop”. Teraz dopiero się przekonałem, że to wcale nie ten biblijny potop świata, kiedy to przez czterdzieści dni i nocy padał deszcz i wszystko co nie było w arce Noego zatopił. Nie wiedziałem tylko i nie rozumiałem czy te wszystkie postacie jak: Skrzetuski, Helena, Podbipięta, Zagłoba, Oleńka, księżę Wiśniowiecki i wiele innych były naprawdę prawdziwymi postaciami, i ich opisywane czyny prawdziwymi czynami, czy też to wszystko było tylko „wymyślone” przez autora. Pytanie to zadawałem sobie po każdej przeczytanej później powieści i pomimo, że mię ono ogromnie dręczyło — nie umiałem dać sobie dostatecznej odpowiedzi. Nie było też nikogo, ktoby mi tej odpowiedzi udzielił.

Dnia 9 grudnia 1928 roku zostało nanowo pobudzone i na nowo zorganizowane Koło Młodzieży. Stało się to dzięki inicjatywie i chęci pomocy w prowadzeniu pracy miejscowej nauczycielki. Mnie, jakkolwiek na zebraniu organizacyjnym z powodu choroby nie byłem, do koła zapisano i „zaocznie” wybrano na sekretarza. Znowu miałem nielada okazję i sposobność do „wypisywania się” w pisaniu, a także w „układaniu” i wygłaszaniu na zebraniach Koła różnych okolicznościowych wierszy. Dzięki tym wierszom stałem się „znanym” i w okolicznych Kołach, których już było kilkanaście.

W dniu 2 czerwca 1929 r. na Zjeździe Pow. Zw. Mł. W. zostałem wybrany na delegata na Zjazd Związku Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej do Poznania. Na wyjazd otrzymałem zapomogę w sumie 30 zł. od P. Z. Mł. W. i 50 zł. od Koła, które też mię wybrało delegatem na Zjazd i na zwiedzenie Powszechnej Wystawy Krajowej. Zbiórka wyjeżdżającej na Zjazd i na wystawę wycieczki miała być wieczorem w dniu 14-go czerwca w Warszawie. Ja wybrałem się o cały dzień wcześniej, aby móc zwiedzić Warszawę, do której pierwszy raz miałem szczęście się wybrać. Pierwszy też raz poza jazdą do wojska i z wojska jechałem na „własną rękę” pociągiem. Ta jazda do Warszawy, jej zwiedzenie, poznanie wielu, wielu ludzi znanych z pisania różnych artykułów w „Wiciach” i w innych pismach, udział w obradach zjazdowych, zwiedzanie Poznania i Wystawy — wywarły na mnie ogromne zadowolenie i niezapomniane do śmierci miłe wspomnienia. W drugim dniu pobytu w Poznaniu odbywał się Kongres Słowiańskiego Związku Mł. Wiejskiej. Na Kongresie tym miałem możność wysłuchania w bardzo pięknych słowach wypowiedzianego referatu Ignacego Solarza dyrektora Wiejskiego Uniwersytetu Orkanowego w Szycach. O znaczeniu Szyckiego Uniwersytetu nie wiele jeszcze wiedziałem, jednak wysłuchawszy wspomnia-

nego referatu zaraz sobie pomyślałem: skoro z jednego referatu można się tyle dowiedzieć, tyle skorzystać, to ileżby człowiek skorzystał i dowiedział się, gdyby tak miał możliwość wybrać się kiedy na 5-cio miesięczny męski kurs do Uniwersytetu w Szycach i słuchać wykładów takiego człowieka jak zwany przez wychowanków Szyc chrzestny Solarz. Marzenie o Szycach podniecały i potęgowały we mnie spotykane o nich opisy w „Wiciach”. Ale marzenie marzeniem, a rzeczywistość rzeczywistością! By się marzenie mogło spełnić — potrzebne było 300 zł. oprócz kosztów podróży. O takiej sumie nie śmiałem nawet marzyć, dlatego poddając się pierwszemu marzeniu często sobie powtarzałem taki, ułożony przez siebie, wierszyk:

„Szyce, drogie Szyce! kiedyż was zobaczę??”

W pragnieniu za wami nieraz gorzko płacę!”

Jesienią 1929 r. zwróciłem swojemi wierszami na siebie uwagę młodego wójta mojej gminy i niektórych członków Rady Gminnej, przez którą zostałem wybrany na członka Zarządu Gminnej Kasy Pożyczkowo-Oszczędnościowej. Czynności związane z tem stanowiskiem wykonywałem ku zadowoleniu całej „władzy nadzorczej” i wszystkich interesantów. Była jednak, jedna „drobna rzecz” przez którą nie mogłem „czuć się dobrze” razem ze swoimi współpracownikami Kasy, przez którą i oni patrzyli na mnie z „ukosa”. Drobną tą rzeczą było brak pieniędzy. Przez to „niepasowałem” do „towarzystwa” idącego w każdym dniu urzędowania „na wychylenie” i na „przekąsanie” czegoś. Ja w tym czasie posiłałem się wziętym z domu w kieszeń suchym kawałkiem chleba, albo też musiałem „przyciskać pasa” i czekać niecierpliwie powrotu „posilonego” towarzystwa i skończenia urzędowania.

W maju 1930 r. jako członek Zarządu Kasy, zaciągnęłem w tejsze Kasie pożyczkę w sumie 200 zł. na kupno roweru, bez którego miałem ogromne utrudnienia w braniu udziału w różnych kursach, zjazdach, wycieczkach i uroczystościach organizacyjnych.

W tymże roku w dziesięcioletnią rocznicę „cudu nad Wisłą”, w dniu 15-go sierpnia, jako „urzędnik” Kasy zostałem zaproszony na przyjęcie dla uczestników uroczystości poświęcenia fundamentów siedmioklasowej szkoły powszechnej. Na przyjęciu tem wygłosiłem własnego utworu wiersz o „cudzie nad Wisłą”. Podkreśliłem ofiarność, poświęcenie i bohaterstwo szarych żołnierzy, synów chłopskich i robotniczych, którzy przyczynili się do stworzenia „cudu”. Wierszem tym zwróciłem na siebie uwagę obecnego na przyjęciu starosty powiatowego i referenta kulturalno-oświatowego Wydziału Powiato-

wego. Dzięki tej uwadze z jednej strony i dzięki poparciu znających mię dwóch członków wydziału powiatowego z drugiej — zostało mi przyznane przez tenże Wydział stypendjum w wysokości 350 zł. na wyjazd na kurs do Wiejskiego Uniwersytetu Orkanowego w Szycach. Po otrzymaniu oficjalnego urzędowego zawiadomienia o przyznaniu mi stypendjum ucieszyłem się niezmiernie, że jak dawniej marzenie o przeczytaniu „Trylogji” Sienkiewicza, tak teraz marzenie o skończeniu kursu w Szycach — zostanie spełnione. Jednak ze zbliżaniem się chwili odjazdu coraz bardziej przekonywałem się, że przyznane mi stypendjum to jeszcze nie wszystko, i że pomimo jego — pojechać mi będzie trudno. Powziąłem już nawet rezygnację z wyjazdu. Na przeszkodzie wyjazdu stało wiele braków ubraniowych i odzieżowych, usunięcie których wymagało około 100 zł. Znaleźli się jednak w gromadzie Wiciowej ludzie, którzy mi w usunięciu tych braków pomogli przez „wyekwipowanie” mię we wszystkie części składowe garderoby pościelowej. W ubraniu zdecydowałem się pojechać ostatecznie w ten jakie miałem. W dniu 16 listopada 1930 r. nastąpił radosny mój wyjazd na kurs do Szyc z powodu wyborów do sejmu o cały miesiąc skrócony. Na kursie byłem radośnie witany jako znany już z pisania wierszy i artykułów do „Wici” i „Wyzwolenia”.

Przez czteromiesięczny pobyt w Szycach i przez wysłuchane w tym czasie wykłady „otworzyły mi się oczy”, na świat i życie we świecie. Rozwiała mi się z przed oczu mgła nieświadomości zasłaniająca mi wiele tajemnic życiowych. Poznałem wielu wielkich pisarzy i ich dzieła nie tylko z nazwiska i z tytułów dzieł, ale z ich dążenia i celu w jakim swe dzieła tworzyli. Poznałem historyczne zabytki Krakowa, Wieliczkę i Ojców, które znałem, ale z różnych krótkich opisów. Poznałem i nauczyłem się cenić piękno otaczającego nas życia przyrody. Poznałem wiele, wiele cennych wartości wsi, która mi się nieraz wydawała najgorszą „pod słońcem” i z której marzyłem czasami o „wyrwaniu” się gdzieś poza nią. Poczulem się dumny ze swego chłopskiego pochodzenia, którego się wiele razy wstydzilem i czulem się poniżonym i upośledzonym. Nauczyłem się cenić wartości ludzi nie po zewnętrznym ich wyglądzie, ale po wewnętrznej wartości. Poznałem swą osobistą godność człowieka i poczułem się równym człowiekiem z różnemi „inteligentami”, czy „półpankami” z miasta wydającymi mi się przedtem ogromnie „wysokimi figurami” w ludzkim mrowiu. Poznałem swój cel życia i swoje w życiu przeznaczenie i obowiązki. Nauczyłem się cenić swoją godność i honorność chłopską.

Z takim nastawieniem i przygotowaniem do życia, powróciwszy z Szyc do domu, długi czas nie mogłem odnaleźć samego siebie. Z jednej strony dręczyły mnie różne braki gospodarcze, czysto osobiste domowe, a z drugiej w pracy we wsi przejawiającej się w różnych formach w Kole Młodzieży nie mogłem się „dopasować” do wszystkich, a wszyscy do mnie znowu nie byli „dopasowani”. Musiałem się długo nadreńczyć, nagryźć w sobie zanim się te różnice jako tako zatarły. Z jednej strony ja musiałem trochę opuścić ze swojego nastawienia, a z drugiej wszyscy „podciągnęli się” by mnie dorównać. Pomimo takiego uzgodnienia bywały momenty, że się często zniechęcałem i nieraz sobie postanawiałem raz na zawsze usunąć się od t. zw. „pracy społecznej”. Miałem jednak już do niej widocznie wrodzoną „żyłkę” i tak byłem nią „prześlaknięty”, że w żaden sposób nie mogłem się w postanowieniu „usunięcia” długo utrzymać. Zresztą, dzięki związanym z pracą społeczno-organizacyjną wyjazdom i przeżyciom różnych radosnych i podniosłych chwil zapomniałem chociaż na moment o tych dręczących mnie bez przerwy różnych kłopotach i niedomaganiach domowych. W tym też celu — byle okazja starałem się „wyrwać” z domu, w którym nigdy nie miałem zadowolenia, ale zawsze przygnębienie.

Jeśli miałem jakąś chwilę zadowolenia i w domu to tylko w pisaniu wierszy, artykułów, w ukazywaniu się ich w pismach, w pisaniu listów do znajomych koleżanek i kolegów i otrzymywanych od nich miłych i serdecznych odpowiedziach. Muszę przyznać, że chwilami ogarniała mnie poprostu istna „manja pisania”. Wszelkie roboty w gospodarstwie wykonywałem tylko z „musu”, a nigdy z ochotą. Nawet w takiej porze jak żniwa, przyszedłszy w południe z pola rzucałem kosę a chwytalem ołówek i „układałem” różne śpiewki na dożynki. Na każdą zresztą okoliczność musiałem coś ułożyć, coś napisać. Im więcej oddawałem się pisaniu, tem więcej szło mi myśli do głowy i nigdy nie mogłem się dostatecznie „wypisać”. Zamiłowanie do pisania i wypływające z niego zadowolenie „zatruwała” mi zawsze swojemi, nieraz bardzo cierpkimi uwagami, matka, która czasami nie mogła wprost na mnie „siedzącego przy pisaniu” patrzeć. (Spotkało mnie to i przy pisaniu niniejszego pamiętnika). Nieraz piszę sobie w najlepsze, jestem „u szczytu natchnienia”, aż tu naraz matczyne: — Bronek! zrób to! Bronek! zrób tamto! — „wytrąca mię z równowagi” i spadam na dół. Wogóle z zadowoleniem matki zawsze trudna sprawa. Pójść wieczór na wieś — gniewa się, że ją wracając przebudzam, zostać w domu i wziąć się za pisanie, lub czy-

tanie to zaraz: — Bronek! gaś lampę nie wypalaj nafty!!! Nie dziwię się zresztą temu wcale, bo ile razy ja kombinowałem skądby tu wziąć parę groszy na przesyłkę jakiegoś listu — matka martwiła się za coby tu kupić litrę nafty, czy paczkę zapalek, i gdyby miała moje sumy „pochłaniane” przez te w najróżniejsze miejsca „przesyłki” — nie miałyby powodu do zmartwienia i krzyczenia na mnie.

Reasumując wszystkie strony dodatnie i ujemne w życiu wsi trzeba stwierdzić, że stron dodatnich jest daleko więcej i coraz więcej ich przybywa. Być może, że i dzisiejsza bieda przyczyniła się do dużej mierze do tego, że chłop się przebudza z długiego uśpienia, przegląda na oczy, zaczyna myśleć o sobie i poczyną szukać wyjścia z tego chaosu w jaki został wplątany. Wyjście to wcześniej czy później znajdzie, bo samo życie mu je wskaże, a kiedy chłop je ujrzy i zacznie przez nie wychodzić nie będzie przeszkody, ani siły któraby zatrzymała, a tembardziej cofnęła na dawne miejsce.

Dn. 30 listopada 1933 r.

**Zamożny gospodarz w pow.
puławskim**

Urodziłem się w 1882 roku 8 września, we wsi Wandalin, gminy Rybitwy, powiatu Puławskiego, woj. Lubelskie.

Do roku 1907 byłem przy ojcu, te 25 lat spędzałem dosyć zgodnie z rodzicami oraz braćmi i siostrami. Zaznaczam, że było nas dzieci dziesięcioro, sześciu braci a cztery siostry. Z mała chowałem się dosyć zdrowo, o ile sobie przypominam miałem lat piętnaście, już zacząłem pracować. Pracowałem u ojca oraz chodziłem i na zarobek, co zarobiłem, to oddałem ojcu, nie brałem tego dla siebie, jednak byłem zadowolony z tego co mi później ojciec dał, lub co mi kupił. Zaznaczam, że ojciec miał gospodarstwo składające się z dwudziestu mórg ziemi. Do szkoły chodziłem jednej zimy dwa miesiące, a drugiej zimy trzy miesiące do takiego nauczyciela, co uczył po parę dzieci na wsi.

Nauczyłem się trochę czytać i pisać, no i rachować do tysiąca. Później miałem chęć do czytania i gdzie się dowiedziałem o jakiej książce, to prosiłem, żeby mi pożyczył i czytałem, bo w domu książki nie było, bo ojciec i matka czytać nie umieli. Później zaprenumerowałem sobie gazetę i znów czytałem, ale pisać to już prawie nie umiałem. Aż brat poszedł do wojska i nie miał kto listu napisać, bo nikt w domu nie umiał, więc ja musiałem sobie przypominać litery i ten list jakoś napisać i tak się trochę pisać nauczyłem. W roku 1907 w miesiącu lutem ożeniłem się z panną z tejże samej wsi Wandalin, o sześć lat młodszą ode mnie, która miała jako posag po ojcach 600 rubli, bo jej ojcowie już nie żyli. I ja dostałem od swego ojca na majątek też 600 rubli, to miałem jako majątek 1200 rubli, a ziemi nic. I gospodarzyłem dwa lata na gospodarce brata swej żony, który był w wojsku ruskiem i pracowałem jak

mogłem, drugi raz nawet i w nocy przy świetle księżycy, aby coś uciuć trochę grosza. No i dzięki Bogu uciulałem przez te dwa lata 800 rubli, tak że już miałem 2000 rubli. Z sąsiadami tam żyłem w najlepszej zgodzie. Po dwóch latach szwagier wrócił z wojska i prosto mnie wyrzucił za próg domu, bo mówił, że to jego jest dom i ziemia, no i usunął mnie wraz z żoną i synkiem, bo już miałem synka, który mi się urodził w roku 1909. No i wprost nie miałem się gdzie podziąć. Przykro mi było bardzo, że ten szwagier mnie tak usunął, nie pozwolił mi być u siebie, aż kupię sobie gdzie kawałek ziemi. No, ale trudno musiałem pójść i prosić ojca, żeby mnie przyjął do siebie, jak lokatora. No i byłem u ojca osiem miesięcy i znów pracowałem jak mogłem na kawałek chleba jako robotnik, aby tego co miałem nie ruszyć, aby kiedy kupić parę mórg ziemi. W temże samym roku 1909-ym, w miesiącu listopadzie sprzedawał jeden gospodarz swoje gospodarstwo składające się z 16-stu mórg i 140-stu prętów ziemi ornej i lasu w tejże samej wsi Wandalin, za sumę 3300 rubli. I ja chciałem kupić ten majątek, ale cóż kiedy miałem tylko 2000 rubli, a 1300 rubli brak. Więc postanowiłem pożyczyć te 1300 rubli i to kupić. Ojciec mi nie kazał, mówił, że dużo długu narobie, to będzie niedobrze, ale ja się w tem już ojca nie posłuchałem i postanowiłem pożyczyć te 1300 rubli i kupiłem. Ta gospodarka była bardzo opuszczona, budynki opustoszone, ziemia niedoprawiona, studni nie było, wody niema, a tu ażeby do wody dostać trzeba było kopać studnię 75 łokci wgłąb, dopiero dostać się do wody. Ale nic nie pomoże, trzeba było brać się za robotę i znów pracować. Najpierw wziąłem się i wykopałem studnię, a zaznaczam, że kopałem sam bez żadnego studniarza. Później trzeba było reperować budynki, tak że roboty coniemiarą. Przyszła wiosna trzebaby orać i siać, a tu ja nie mam ani konia, ani pługą, ani ziarna do siewu. I co robić nie wiem. No, ale nic nie pomoże, trzeba coś myśleć i kupiłem szkapinę za 30 rubli i to ślepe było, pług stary dał mi ojciec. To już nareszcie, jak niebądź orze, ale siać nie mam czem i kupić niema za co. Trzeba prosić ludzi, żeby pożyczyci zboża. I trocha pożyczyciłem, a trocha kupiłem i obśiałem jakoś. Przyszły żniwa, trzeba żąć zboże, a tu niema kto bo nasz dwoje i dziecko małe. To trzeba było i w nocy przy świetle księżycy zbierać z pola ten chlebuś. Po żniwach w temże roku 1910, w miesiącu październiku urodził mi się drugi syn, z którego byłem zadowolony. Ale robota jeszcze gorzej szła, bo już było dwoje dzieci. Tak przeszedł jeden rok na tym dorobku, ale cóż

kiedy dorobek był marny, bo zamiast oddać coś długu, to mi przybyło jeszcze 200 rubli. To już myślałem, że zbankretuję na tej nowej gospodarce, przypomniały mi się słowa ojca, jak mi mówił, żebym nie kupował, bo mi będzie ciężko z długiem. No, ale cóż przepadło, trzeba gonić dalej. No i przepędziłem rok drugi, który był trochę lepszy, bo oddałem procent i 100 rubli długu, ale zaznaczam, że nie wiedziałem czy jest wesele, czy jakaś zabawa, nawet zapomniałem czy jest wódka w kraju, tylko się męczyłem dalej z tem długiem. Ale dowiedziałem się, że ludzie jadą do Ameryki i coś zarabiają tam dolarów. Więc postanowiłem i ja wyjechać do Ameryki. Więc w roku 1912 sprzedałem trocha żyta na pniu, puściłem trochę gruntu w dzierżawę, aby więcej długu nie robić, a uciąć na drogę do Ameryki, a trza było 200 rubli na drogę do Ameryki. I w 1912 roku, pierwszego września miałem wyjechać do Ameryki po te dolary. Już byłem gotowy, ale jak tu zostawić tę gospodarkę i żonę z dwojgiem dzieci, jak oni tutaj będą żyć, to mnie męczyło, ale trudno, trzeba jechać i już. Miałem odjeżdżać za parę dni. Pojechałem do miasta, ażeby coś kupić do domu dla żony i dzieci, wracam do domu, a tu żona stoi na podwórzu i płacze. Ja się pytam, co się stało, a ona mówi, że dzieci wlaży na wrota, a wrota się oberwały i przewaliły się na dzieci i starszemu synkowi złamało nogę. Co tu robić? Nic nie pomoże, trzeba brać dzieciaka na wóz i jechać do lekarza, bo sam nie wiem co robić. Lekarz powiada, że kość w nodze pękła, ale dziecko młode to może się wygoić i noga może być dobra, tylko musi leżeć parę tygodni w łóżku i wziął nogę w gips owinął i pojechałem do domu, dziecko złożyłem na łóżku, a sam się wybieram do Ameryki, bo jedzie grupa ludzi znajomych. Okręt odchodzi i trzeba jechać, zostawiać dzieciaka chorego, cały dom na łasce Boga, bo dług mężczy. I pierwszego września 1912 roku odjechałem do Ameryki na ucieczkę przez granicę austryjacką, przez Austrię, przez Niemcy do Belgji, do portu Antwerpja dojechałem 6 września i siadłem na okręt. Na okręcie chorowałem mocno na chorobę morską, ale ozdrowiałem później i w Ameryce wylądowałem 17 września tego roku. Tam roboty dostać nie mogłem, bo roboty wtenczas mało, a ludzi dużo i tak się męczyłem parę dni. Zawsze miałem na myśli swój dom, rodzinę i to chore dziecko, które zostawiłem w domu. Ale zeszło tak parę dni, aż nareszcie 25 września poszedłem do roboty, do kopalni węgla twardego za zapłatą dwa dolary i 42 centy na osiem godzin. Nie mogłem się nałożyć do tej roboty w ko-

palni, bo tam niewidno pod ziemią, była tylko lampa na głowie olejna, od który nic nie widziałem, bo byłem nienałożony. Przykro mi było, że tak muszę się tułać po świecie, a rodzina moja jest na miejscu, nazywa się w domu, już byłem w zamiarach wracać nazad do domu, zaraz rzucić tę robotę, ale myślę, znów, że to będzie źle, bo sobie narobię tylko więcej biedy, bo mi długu przybędzie. Zdroże się i z tego nic, trzeba robić dalej, a tu z domu dostałem list, że moje wierzyciele się przestraszyły, że ja pojechałem do Ameryki, to im pieniądze już przepadną, popodnosili procenta i krzyczą i męczą żonę, żeby im oddała pieniądze. A tu trudno, bo żona nie ma i ja nie mam, bo jeszcze nic nie zarobiłem, ale porobiłem jeden miesiąc, dopiero dostałem pierwszą wypłatę dwanaście dolarów, trochę dopyczyłem u swoich znajomych w Ameryce i wysłałem 75 dolarów, czyli 150 rubli, ażeby choć jednemu oddać, to może się uspokoją ci resztę, bo będą liczyć, że niedługo może i im odeślę, i tak pracowałem dalej ażeby coś zarobić. Nie obchodziło mnie, że tam moje znajome się bawią, a ja nie mogę, bo jestem winien ludziom i tak robiłem do roku 1914. W lipcu 1914 roku miałem już jechać do domu, bo już dług oddałem, lecz później mi się zmieniło i postanowiłem jeszcze porobić parę miesięcy. Tymczasem w sierpniu wybuchła wojna światowa i już nie można było jechać, choćby kto i chciał. I później tylko gazety pisały, że w Polsce głód, bieda, żeby składać ofiary na biednych w Polsce i składaliśmy pieniądze i ubrania, tak że złożyli ludzie miliony dolarów i pełne wagony ubrań i obuwia, ażeby ulżyć tym biedakom w Polsce.

Wracam do Polski w roku 1920 w kwietniu i pytam się ludzi, co kto dostał z tych ofiar, które ludzie złożyli w Ameryce. A tu wszyscy mówią, że nic nie dostali, tylko mówią, że były, ale do sprzedania amerykańskie ubrania. Dziwno mi nawet było, gdzie się to wszystko podziało, co było złożone, jako ofiary przez ludzi dobrych. Pracowałem dalej w tej Ameryce przez całą wojnę, jechać do Polski już nie można było, nawet już wątpiłem, że wrócę kiedy, bo wojna się przeciągała długo. Tylko gazety pisały, że w Polsce wszystko zniszczone, spalone i ludzi niema, bo trochę ruskie wojska zabrały, a resztę wymarło z biedy i z głodu, a dzieci do lat dziecięciu to już w Polsce niema, bo wszystkie wymarły. Zaczęłem trochę inaczej żyć w Ameryce, zacząłem się uczyć, szczególnie rachunków, których się nauczyłem tylko w Ameryce, no i do szkoły chodziłem wieczorami, bo na dniu chodziłem do roboty. Gazet i książ-

żek czytałem coniemiarą, później zacząłem pracować społecznie. Należałem do organizacji robotniczej i w niej byłem członkiem zarządu, dalej byłem członkiem Związku Sokolów Polskich w Ameryce. W zarządzie byłem skarbnikiem. Dalej byłem członkiem Związku Narodowego Polskiego, w którym byłem organizatorem i sekretarzem w jednej grupie tego związku. Organizowałem jedną grupę tego związku, za co dostałem jako nagrodę 25 dolarów i medal złoty, który mam do dzisiaj, noszę go przy boku. I tak schodzi dalej. Później pojechałem dalej w Ameryce do miasta Detroit, tam pracowałem w fabryce samochodów osobowych, to było w 1917 roku w miesiącu maju. Tam pracowałem 9 godzin na dzień za zapłatą 35 centy na godzinę, a jak robiłem na wydział to zarobiłem 50 centy na godzinę. Robiłem tam trochę więcej jak rok, lecz nie mogłem się przyzwyczaić do tej roboty fabrycznej i mało zarabiałem, więc 27 lipca 1918 roku pojechałem nazad do kopalni, do miasta Glen-naj, tam zarabiałem 6—8—9 do 10 dolarów na osiem godzin. Z Polski czyli z domu nie było żadnej wiadomości, bo listy nie chodziły, a gazety to nie pisały prawdy, tak że liczyłem, że jestem sam. Aż nareszcie 26 czerwca 1919 roku dostałem pierwszy list od żony, dopiero się dowiedziałem prawdy, jak jest właściwie w Polsce i przekonałem się, że nasi przedstawiciele gazet polskich w Ameryce nie pisali prawdy, tylko aby tak manili ludzi, żeby tak ciężko zapracowany grosz wyzyskać od ludzi, bo pisali, że w Polsce wszystko zniszczone, dzieci do lat dziesięciu niema, wymarły i ze starszych mało zostało, a kto został, to biedę cierpi, niema co jeść i gdzie mieszkać. Prawda, było źle, ale nieszczęście i nie tak strasznie, zależało jak gdzie. I z tego listu dowiedziałem się, że żona i dzieci, które jeszcze nie mają po dziesięć lat, żyją zdrowe i mieszkać mają gdzie, bo ta miejscowość niezniszczona, jeść mają co, tylko odziać niema się w co i kupić niema za co. Ale cóż robić? Ja mam pieniądze, ale posłać nie mogę, bo poczta jeszcze pieniędzy nie przyjmuje i nie wysyła do Polski, więc napisałem list i włożyłem w niego dwa dolary i posłałem do żony. Ten list doszedł do żony i dolary w nim były, to ja piszę list drugi i włożyłem w niego pięć dolarów, aby swej rodzinie pomóc. Tymczasem to ten drugi list doszedł zaklejonny, ale dolarów niema, bo gdzieś wyjęto. Aż w lipcu 1919 roku dowiedziałem się, że już pieniądze można wysyłać do Polski i zaraz 14 lipca wysłałem 100 dolarów, a marek było za te 100 dolarów 1377. Dostałem list, że żona otrzymała te pieniądze, więc 22 września wysłałem znów 100 dolarów, czyli

2682 marki, też żona otrzymała. 8 listopada wysłałem znów 50 dolarów, czyli 2000 marek. Więc przyszedł już i rok 1920. 15 stycznia wysłałem 50 dolary, czyli 6000 marek; 8 lutego wysłałem 400 dolary, ale już nie do żony, tylko do Pocztowej Kasy Oszczędnościowej, za które było w tym czasie 140 marek za dolara, czyli 56 tysięcy marek, a kiedy podjąłem z Kasy Pocztowej, to wtenczas było już 2000 marek za dolara, tak że odebrałem tylko 28 dolary. 372 dolarów zmarniało na spadku waluty. Podjąłem te marki w 1921 roku 3 października. Tak się marnował mój dorobek. Przed wojną, jak wysłałem pieniądze, to było jednakowo dwa ruble za jednego dolara. Co się tyczy mego dochodu i rozchodu, jak byłem w Ameryce, to wezmę tak ogólnie ile zarobiłem do roku, ile wydałem ogółem na życie, mieszkanie, okrycie, i palenie i wogóle wszystko co się tyczy rozchodu. Od 25 września 1912 roku do 15 lutego 1920 roku robiłem razem dni 2015, zarobiłem razem 7129 dol. 74 centy, a wydałem razem 4016 dol. 20 centy, czysty dochód 3113 dol. 54 centy, to z tego wysłałem pocztą przed wojną i po wojnie 1621 dol. 40 centów, a przywiozłem ze sobą 1492 dol. 14 centów.

W Ameryce byłem siedem lat pięć miesięcy i trzy dni. W pierwszych dniach lutego 1920 roku dowiedziałem się, że już można jechać do Polski i 14 lutego skończyłem robotę w Ameryce, 15 lutego pojechałem do New Jorku do konsula polskiego po paszport i wziąłem aplekację. 23 lutego wyjechałem do portu New Jork, 24 lutego dostałem paszport, 25 lutego kupiłem sifkartę. 28 lutego 1920 roku o godzinie 12 w nocy odjechałem z Ameryki okrętem San Paul, czyli Świętego Pawła po polsku. Podróż miałem bardzo marną, bo drugiego marca okręt się zepsuł i skierował się do najbliższego portu Kanadskiego, Halifaksu. 4 marca o godzinie 8 wieczór dopłynął do tego portu i stał tam dziesięć dni. Dnia 14 marca przyszedł okręt drugi Skandynawian i przegruzili nasz. O godzinie 1-ej w nocy tegoż dnia odjechał na morze. 22 marca przyplłynął do Anglii, portu Liwerport tam nasz wygruzili i jechaliśmy koleją przez Anglię pięć godzin do portu Hull nad morzem Bałtyckiem. 25 marca siedliśmy na okręt mniejszy i o godzinie 8-ej wieczór tegoż dnia odjechałem. 29 marca o godzinie piątej wieczór przyjechałem do portu Gdańsk, tam żeśmy nocowali i na drugi dzień odjechałem pociągiem polskim, który wyjechał z nami w pole i tam wieczorem stanął. Parowóz poszedł, a wagony z nami stoją, nie wiemy co jest, aż później mówią, że to jest polsko-gdańska granica i tu ma być

kontrol przez polskiego urzędnika. Tam staliśmy do rana do godziny 8-ej, a tu zimno, bo wagony dziurawe, nieogrzone, jeść się chce, bo już nie jemy jeden dzień i dwie nocy, bo jak okręt przyszedł do Gdańska, to już jeść nie dali na okręcie. Do miasta Gdańska nas nie puścili, mówili, że nie wolno, kupić chleba nie było gdzie i trza było zębami dzwonić z głodu, aż wtenczas wspomniało mi się, że jak babka moja mówiła, kiedy byłem jeszcze małym chłopakiem, że pewien ojciec kiedyś dawno, kiedy było brak chleba, to miał pieniądze i poszedł kupić chleba i obszedł okolicę i chleba nie mógł kupić, bo go nie było. To ja w to nie wierzyłem, bo to znów ludzie mówią, że za pieniądze, to ojca i matkę można kupić, aż tam na polsko-gdańskiej granicy przekonałem się, że to prawda, co babka mówili, bo i ja miałem pieniądze, a jeść się chciało i głód cierpiałem, chleba kupić nie można było.

Aż nareszcie 31 marca o godzinie 8-mej rano przyszedł urzędnik polski i miał prowadzić kontrol i patrzył trochę po walizkach, a jeszcze mieliśmy kufry, tak on mówi, zapłaćcie po pół dolara od kufra, a ja wam dam dokument, że już kontrol przeprowadzona i możecie jechać. Więc daliśmy po pół dolara, to zebrał może z pół tysiąca dolara i poszedł, a ja pojechałem do Mławy, tam nasz zabrali do domu emigracyjnego, dali nam obiad i odjechałem do Warszawy, z Warszawy do Puław. 14 kwietnia przyjechałem do domu. W domu nie zastałem tak źle, dzięki Bogu byli wszyscy zdrowi. W domu była śkapina, dwie krów, tylko budynki i ziemia opuszczone i znów trzeba było się brać za robotę i robić co sił, ażeby to doprowadzić do porządku. Więc wybudowałem stodołę, dom mieszkalny, oborę, piwnicę, kupiłem sześć mórg ziemi. I wszystko byłoby jakoś szło nawet nienajgorzej, aż tu w roku 1927 zachorowała mi żona, a zaznaczam, że już miałem czterech synów, bo po Ameryce przyszło mi znów dwóch. Jeden urodził się 9 lutego 1921 roku, a drugi urodził się 22 lipca 1925 roku i chowają się zdrowo. I zrobiło mi się już w domu źle, bo gospodyni w domu brak i wydatki duże na doktorów i lekarstwa, bo ratowałem co sił, bo była dobrą gospodynią i matką i jeździłem gdzie mogłem po wszystkich doktorach, blisko i daleko. Byłem w Lublinie i w Warszawie i w dwóch szpitalach była i wszystko na nic. Chorowała cztery lata i w 1931 roku 9 maja umarła. Kosztowało to bardzo dużo, no ale trudno, wola Boga. Więc zostałem sam z dziećmi i to z samymi synami, bo córki nie miałem, więc wypada się żenić drugi raz i to zaraz. Ożeniłem się z córką brata mojej pierwszej żony, lat 25 liczącą, też dobra go-

spodyni (dostałem posagu 4000 złotych) szanuje mnie i dzieci. Ślub brałem 9 czerwca 1931 roku. W roku 1932, 7 grudnia urodziła mi się córeczka, która mi się ślicznie chowa. Dzieci chowają mi się dobrze, wykszolenia dużego nie mają. Starsze ukończyły cztery oddziały szkoły powszechnej, w wojsku obydwaj służyły. Starszy się już ożenił, starszy syn w wojsku ukończył szkołę podoficerską z wynikiem bardzo dobrym, na co ma „świadcstwo szkolne”, pozatem ma praktykę pocztową. Praktykował w urzędzie pocztowym w Opolu cztery miesiące, później pracował w Agencji Pocztowej, uruchomionej przeze mnie w Wandalinie, pracował trzy lata (jeszcze był przed wojskiem), która z powodu deficytu została zlikwidowana 31 stycznia 1931 roku, a syn poszedł do wojska. Po powrocie z wojska nie może dostać posady. Ja mieszkam tak średnio, teraz to mam nawet mieszkanie dosyć wygodne, składające się z trzech mieszkań średnich. Ubieram się tak średnio. Z sąsiadami żyję dobrze z rodziną też żyję dobrze. Życie prowadzę średnie, ma się rozumieć gorsze, jak w Ameryce, kiedy byłem robotnikiem. Na gospodarce jakoś nie można takiego życia prowadzić, jak robotnik w Ameryce kiedyś. Gospodarka idzie mi dosyć dobrze, ale jakoś teraz niema się za co rozbijać, bo wszystkie produkty rolnicze tanie, a przemysłowe drogie, szczególnie drogie są następujące: sól, nafta, cukier, zapalki i wiele innych, które nie powinny być takie drogie. Zdaje mi się, że i z tego powodu gospodarz musi się tak drobno liczyć. Praca społeczna moja po Ameryce od roku 1920, zaraz jak przyjechałem do Polski, to był sklep spółkowy w tej miejscowości, to pracowałem w nim, jako prezes dwa lata. Później byłem prezesem w kole rolniczem, przy kole rolniczem zorganizowałem Och. Straż Pożarną, w której byłem prezesem. Zorganizowałem mleczarnię, w której jestem radnym, zorganizowałem Kasę Stefczyka, w której jestem radnym. Następnie za moją pracą była otwarta agencja pocztowa, o której już zazaczyłem, a kierownikiem tej agencji był mój syn. Jestem głównym opiekunem 2 kl. szkoły miejscowej. Byłem członkiem spółdzielni Rolniczo-Handlowej w Puławach, lecz ta wszystka praca społeczna to mi dała tylko stratę czasu i pieniędzy, bo jakoś u nas te organizacje wszystkie kulawo idą, bo brak ludzi rzetelnych i takich, którzyby życzyli tak bliźnemu, jak i sobie samemu. Tak mnie się zdaje. Bo w tej spółdzielni w której byłem członkiem miałem udział 100 złotowy, to już uważałem ją za swoją i kupowałem w niej wszystko, tak że dałem jej utargować tysiące, bo wziąłem w niej siewnik, kulty-

wator, pług dwuskibowy, tryjer, włókę i wiele innych rzeczy nabrałem na jakieś 4000 zł. Raz płaciłem gotówką, drugi raz z braku gotówki wystawiałem weksle i spłacałem, tak że spłaciłem wszystko, a weksli nie otrzymałem wszystkich, to mi jeden zapłacony za protestowali i przez komornika ściągnęli z dużymi kosztami. Więc to jest, już ja uważam, ten kierownik niesprawiedliwy. A do reszty było tam takiego niedoboru, aż 150.000 deficytu. To straszne rzeczy, żeby teraz z ludzi Bogu ducha winnych ściągać, którzy nie niewinni, jak tylko to, że popierali te spółdzielnię i wszystko w niej kupowali, bo uważali ją za swoją. Byłoby jeszcze co pisać na ten temat, ale może to nie pasuje do pamiętnika. W samorządzie gminnym też pracowałem i pracuję. Byłem radnym gminnym, byłem skarbnikiem w Kasie Pożyczkowo - Oszczędnościowej, teraz jestem sołtysem już czwarty rok. Wybrali mnie znów radnym gromadzkim. Po nowej ustawie tak się człowiek płacze i zawraca głowę czyjemi sprawami, że drugi raz o swoich zapomina. Teraz co się tyczy mego rozchodu i dochodu od 1920 roku to wygląda tak:

rok 1921	przychód	—	417.652	marek,	rozchód	443.701	marek
„ 1922	„	—	2.298.069	„	„	1.941.853	„
„ 1923	to już pozostawiam, bo te miliony to już nie pisałem.						
„ 1924	przychód	—	1.492.83	zł.	rozchód	1.987.37	zł.
„ 1925	„	—	2.174.35	„	„	2.306.90	„
„ 1926	„	—	2.538.60	„	„	2.192.13	„
„ 1927	„	—	4.916.76	„	„	3.067.89	„
„ 1928	„	—	5.000.45	„	„	4.000.75	„
„ 1929	„	—	5.769.26	„	„	7.203.73	„
„ 1930	„	—	5.641.93	„	„	4.989.00	„
„ 1931	„	—	4.681.65	„	„	7.222.50	„
„ 1932	„	—	2.943.12	„	„	2.744.84	„

W tem dochodzie i rozchodzie pewna niedokładność, bo rozchody przewyższają dochody o paręset złotych, ale ja inaczej zestawić nie mogłem, tylko tak, że pisałem wszystkie pieniądze ile za co wzięłem i pisałem znów wszystkie pieniądze ile, na co i gdzie wydałem. Tak że w dochodzie jest to, co dostałem na majątek za drugu żonę i to co przywoziłem z Ameryki te parę dolarów, a w rozchodzie znów mieści się to, co mnie kosztuje budowa budynków i co synowi dałem — 2.800 złotych temu co się ożenił. No i teraz kupiłem siedem i pół morgów ziemi za 5000 zł., ale miałem na te

kupno trzy tysiące, a dwa tysiące pożyczyłem. Ale jednak pisałem wszystko i w dochodzie i w rozchodzie, inaczej pisać nie mogłem, bo jestem mało uczony, z taku szkołu to jest trudno zrobić lepiej. Ale jestem z tego zadowolony, bo jak spojrzę na ten pamiętnik to już wiem ile za co wzięłem i ile na co wydałem. Jak mogłem tak napisałem, ale jednak co napisałem to wszystko prawda nie z pamięci tylko z zapisków zapisywanych własnu ręką i pisane to, co prawdziwie było. To już więcej pisać nie będę. Przepraszam, że nie pisałem pamiętnika własnu ręką, bo mam już rękę ciężką, to mi napisał syn, ale ja mu napisałem wzór ołówkiem, a on przepisał. I proszę Szanowny Instytut oddać mój pamiętnik pod konkurs, a szczególnie prosiłbym szanowny Instytut o wydrukowanie mego pamiętnika z pewnymi poprawkami i dokładnościami i przysłać mi jednego egzemplarza wydrukowanego pamiętnika.

Dn. 27 listopada 1933 r.

**Średniorolny gospodarz na
osadzie świeżo skomasowanej
w pow. zamojskim**

Chcąc przyczynić się w małej części do urzeczywistnienia tak pięknego i szlachetnego zamiaru, jaki powziął Instytut Gospodarstwa Społecznego piszę ten swój pamiętnik, w którym przedstawiam, chociaż nieudolnie, jednak szczerze, całe swoje chłopskie biedowanie, całą swoją nędzę i zmaganie się w swoim życiu.

Dnia 5 listopada 1875 roku przyszedłem na świat w chacie chłopskiej, niskiej czarnej i okopconej i w niej rozpocząłem nędzny żywot dziecka chłopskiego. Byłem dopiero drugi, przede mną bowiem urodził się brat Jasiak. Później, pamiętam, że co parę lat przychodziło na świat moje młodsze rodzeństwo tak, że ostatecznie było nas wszystkich ośmioro, czterech braci i cztery siostry.

Dziecinne lata spędziłem ot tak, jak każde inne chłopskie dziecko. W zimie siedziałem w chacie bawiąc młodsze rodzeństwo, w lecie zaś uganiałem bez żadnej opieki po sadach, których w mojej rodzinnej wiosce Błoniu jest bardzo dużo.

Gdy podrosłem kazali mi rodzice paść krowy, pasłem więc je w odległych krzakach i tam wspólnie z innymi pastuchami spędzałem całe lato. W zimie natomiast chodziłem do szkoły rosyjskiej, która znajdowała się w pobliskim miasteczku Szczebrzeszynie. Do tej szkoły chodziłem przez cztery zimy. Po jej ukończeniu zajęli mnie już rodzice do pracy na roli, której było około szesnastu mórg. Tak pracowałem na ojcowskim zagonie przez siedem lat.

W roku 1897 zabrano mnie do wojska. Przez całe pięć lat odbyłem twardą służbę wojskową w 21 pułku dragonów białoruskich. Pułk ten znajdował się w Włodzimierzu Wołyńskim. Często podczas ćwiczeń myślałem sobie, że najpiękniejsze lata muszę oddawać dla swych wrogów, którzy ciemiężą moich współrodaków. To

uświadomienie wypływało z żywej pamięci o prześladowaniach religijnych, jakie były w mojej wiosce rodzinnej. Było tam wiele unitów, a do nich należeli kiedyś i moi rodzice. Później jednak kościół unicki zamienili rosjanie na cerkiew i siłą zmuszali do przechodzenia na prawosławie. Prześladowaniu temu ulegli również moi dziadkowie i rodzice. Często później, kiedy byliśmy już niby to prawosławnymi, a ja chodziłem do szkoły, opowiadał nam ojciec o tych zmuszaniach przez żandarmów, aby wszyscy dawni unicy chodzili do cerkwi i aby dzieci swe chrzcili w obrządku prawosławnym. Z tego też powodu służba wojskowa stawała się jeszcze bardziej ciężka, a często prawie nie do zniesienia.

Ostatecznie jednak po pięciu latach tej niewoli wróciłem do domu w roku 1902.

Teraz zacząłem już myśleć o samodzielnem życiu, o tem ażeby założyć sobie własne gospodarstwo i na niem powoli dorabiać się. Kalkulowałem sobie różnie, ożenię się, za żonę wezmę kawał gruntu, ojciec da mi również trochę i jakoś tam będzie. Gdy tak uplanowałem swoje zamiary zacząłem się żenić. Przyszłą swą towarzyszkę znalazłem w swojej wiosce. Była to córka średnio zamożnego gospodarza, który miał jeszcze oprócz niej dwóch synów i najmłodszą córkę. W roku więc 1903 ożeniłem się i od tego czasu rozpocząłem naprawdę twardy żywot.

Rozwiały się wkrótce wszystkie moje nadzieje o własnem gospodarstwie, o tem że gospodarując sam, dorobię się prędkiej. Ojciec mój, posiadając sam niewielki kawałek ziemi, nie mógł dać mi tyle ile się spodziewałem, teść zaś niebardzo chętnie patrzył na to, że zamierzam się oddzielić i nie pracować razem z nim na jego gospodarstwie. Zostałem więc ostatecznie u niego pomagając mu w gospodarstwie wzamian za co miałem u niego kąt i obsiewałem również dla siebie kawałek jego gruntu.

W pierwszych już latach takiego życia zaczęły się zwać na mnie nieszczęścia. Żona zaczęła chorować i choroba ta przyczyniła się zapewne do tego, że nie mieliśmy potomstwa. Tak minęło siedem lat w stałej obawie że żona z tego świata zejdzie, a ja muszę stąd iść i cała moja praca włożona tu pójdzie na marne. Tak się też w istocie stało. W roku 1910 zmarła mi żona, a ja zostałem się w tak trudnem położeniu, że nie wiedziałem co mam z sobą czynić. Siedziałem więc jeszcze u swej teściowej przez pewien czas. Ta jednak wkońcu powiedziała mi otwarcie: „Wiesz co Jakób pójdiesz już sobie stąd, nie masz tu poco siedzieć”.

Taka więc spotkała mnie nagroda: przez siedem lat pracowałem, jak koń za wszystkich, a teraz każą mi się wynosić na cztery wiatry. Przyszedłem do ojca i tu przeżyłem do roku 1912. Przez ten czas otrząsnąłem się trochę z ogromu swej niedoli i postanowiłem się ożenić powtórnie. Poznałem w niedalekiej wiosce wdowę z trojgiem dzieci, która miała kawałek własnego gruntu ornego i parę morgi obsiewała po pierwszym swym mężu. W styczniu 1912 roku związałem się z tą kobietą i rozpocząłem własne, samodzielne gospodarowanie. Ojciec mój dał mi około dwóch morgów, żona posiadała swej ojcowizny do sześciu mórg oraz ten kawałek ziemi po pierwszym mężu. Całe więc gospodarstwo liczyło do dziesięciu mórg ornej ziemi. Zabudowania zostały się po pierwszym mężu mej żony. Chata była już stara jednak trzymała się jeszcze dosyć dobrze, podwórze za to było nowe i składało się ze stodoły o dwóch zapolach, spichlerza, obory, stajni, chlewu i poddachu. Posiadałem wtedy parę dosyć dobrze utrzymanych koni, dwie krowy, hodowało się zawsze w ciągu roku do trzech świń.

Przy ograniczonych wymaganiach można było na tym, choć niedostatecznym kawałku ziemi, wyżyć jako tako. Czasy były dobre, za pracę swoją znojną mógł człowiek opędzić wszystkie swoje potrzeby i wiedział, że z czasem dorobi się i poprawi sobie choć trochę warunki życia. Po roku doczekałem się syna. Wszystko zapowiadało się jakoś już jaśniej. Jednak i teraz niedługo człowiek odechnął, gdyż twarda nieubłagana dola moja czyhała jakby na mnie stale.

Przyszła wiosna pamiętnego roku 1914. Dnia 14 maja w święto Wniebowstąpienia Pańskiego wybraliśmy się oboje z żoną do kościoła na sumę. Kościół parafjalny znajdował się w niewielkiem miasteczku Szczebrzeszynie odległym od Rozłop o trzy kilometry. Podczas sumy rozłączyłem się z żoną i po skończonem nabożeństwie nie mogłem jej nigdzie znaleźć. Stałem więc na rynku z kilkoma znajomymi rozmawiając o różnych codziennych zajęciach i swoich kłopotach. Wtem usłyszałem zewsząd wołania „pali się”! Rozejrzałem się dokoła. W północnej stronie zobaczyłem ogromne kłęby dymu unoszącego się w górę. Drgnąłem momentalnie, a mróz przeszedł po całym moim ciele. Straszna, przerażająca myśl powstała we mnie, że to się palą Rozłopy. A w tej samej chwili usłyszałem obok siebie krzyki. Rozłopy się palą! Rozłopy się palą!

Wtedy bez namysłu zacząłem biec, popchnięty tłumem ludzi spieszących w kierunku pożaru. W niedługim czasie znalazłem się

za miastem na drodze polnej prowadzącej do Rozłop. Spojrzałem w stronę pożaru. Rozpacz i ból nieopisany ścisnął mię za gardło. Tak to paliły się Rozłopy i to ta ich część, w której znajdowało się moje gospodarstwo. Nie mogłem prawie biec. Chcąc więc skrócić sobie drogę skręciłem w prawą stronę i zacząłem się przedzierać przez zboża. Co pewien czas zaczepiałem o miedze ciągnące się wśród zbóż i przewracałem się, zrywałem się więc i znów biegłem dalej i dalej.

Przez cały czas jedna jedyna tylko myśl tkwiła mi uparcie, jak klin w mojej głowie, że może teściowa odeszła gdzie, a dzieci same pozostały w chacie i mogą już z niej nie wyjść. Cały oblany potem wybiegłem ostatecznie na wzgórze swego pola, skąd widać było, jak na dłoni, całą wioskę. Teraz przekonałem się naocznie, że pali się ta część wioski, w której miałem swe budynki. Pożar jeszcze nie objął ich lecz oddzielało je od niego zaledwie parę zabudowań.

Budynki moje stały tuż przy majątku państwowym. Na mojem więc gospodarstwie pożar się zakończy, pomyślałem sobie, co się jednak dzieje z dziećmi, czy wyratuje je kto z ognia, bo wszystko spali się doszczętnie zanim dopędzę do wsi. Zostanie się człowiekowi jedna jedyna koszula zgrzebna, którą mam na sobie.

Upał i zmęczenie odbierały mi resztę sił. Czułem, że nie dobiegnę już do chaty, że upadnę tu na tym swoim zagonie i skonom.

Jednak jakaś dziwna siła pchała mię naprzód. Zbiegłem więc z tego wzgórza i znalazłem się koło własnego gospodarstwa. Wpadłem najpierw do chaty. Stąd było już wszystko wyniesione. Dzieci znajdowały się na polu folwarcznem. Pobiegłem więc na podwórze. Tu również zastałem pustki. Dobrzy ludzie z innej części wioski i ci, którzy wcześniej przybiegli ze Szczebrzeszyna do pożaru, powypędzali cały inwentarz z obór. Raz jeszcze wpadłem jak oszalały do chaty w tej nadziei, że może stamtąd coś pozostawionego uratuję. W komorze za drzwiami znalazłem jeszcze kuferek, który wyniosłem na pole. Przypomniałem sobie następnie, że na strychu nad chatą znajduje się trochę zboża. Po drabinie dostałem się tam i zacząłem w pośpiechu wybierać żyto z beczki i wsypywać go do worka. Niedługo jednak poczułem, że dokoła ogarnia mię ogromne gorąco, podniosłem więc głowę i o zgrozo. Strzechę objął już ogień. Żyta nie wyniosę stąd i sam spalę się jeszcze pomyślałem sobie. Zostawiłem wszystko i podskoczyłem do drabiny, ażeby po niej wydostać się z otaczającego mię coraz silniej ognia. Drabinę jednak w tej samej chwili jakiś chłop pospiesznie wyciągał z sieni na dwór.

Nieopisany strach ogarnął mię, otoczony już ogniem i dymem ze wszystkich stron krzyknąłem resztkami sił, ludzie kto w Boga wierzy ratujcie, bo się spalę. Usłyszał widocznie ten krzyk chłop wyciągający drabinę z sieni i natychmiast przystawił ją do strychu. Okopcony cały dymem i trochę już osmolony wydostałem się ostatecznie na wolne powietrze.

Patrzałem na to, jak cała praca, wszystkie wysiłki i trudy ni kną w tak krótkim czasie. Po kilku zaledwie minutach całe moje podwórze i chata zniknęły z powierzchni ziemi. Pozostały tylko dymiące zgliszcza.

Zostałem więc z całą rodziną bez dachu nad głową. Uratowanego inwentarza również nie miałem, gdzie umieścić. Całe szczęście było jeszcze w tem, że ojciec mojej żony mieszkał w drugiej części wioski i jego budynki ocalały. Przenieśliśmy się więc do niego. Chata mego teścia składała się z niewielkiej kuchni i większego mieszkania. Tę to kuchnię odstąpił mi teść i tu miałem mieszkać dotąd, dopóki nie wybuduję sobie nowej chaty. Skromny inwentarz pomieściłem również w podwórzu teścia.

Zacząłem teraz starać się o materiał na obory i chatę. I pozwoli wybiedowałbym wszystko, gdyby nie ta twarda dola moja chłopska, która stale czyhała na mnie.

Przyszedł pamiętny dzień pierwszego sierpnia 1914 roku. Raniem dostałem zawiadomienie od sołtysa, że car ogłosił mobilizację i że ja muszę jechać na wojnę.

Pozegnałem więc żonę i czworo małych, bo liczących od ośmiu lat do jednego roku, dzieci. Przydzielony zostałem do artylerji i tam pełniłem funkcję amunicyjnego. Za wiele trzebaby było poświęcić czasu, żeby opisać te wszystkie tułaczki moje na wojnie.

Aż przyszła wreszcie jesień 1917 roku. Rozpoczęła się rewolucja i ostatecznie w listopadzie tegoż roku zostałem zwolniony z szeregów armji rosyjskiej. Do kraju jednak nie mogłem jeszcze wracać. W Rosji tymczasem szalała w całej pełni rewolucja. Musiałem więc na pewien czas postarać się o jakie zajęcie. W niedługim czasie zacząłem pracować w Jekaterynosławiu w fabryce żelaznej, która przed wojną należała do kilku najbogatszych rosjan, a wówczas przeszła już we władanie bolszewików. W tej to fabryce pracowałem do czerwca roku 1918. Przy końcu tego miesiąca otrzymałem wszystkie dokumenty pozwalające mi wrócić do swego kraju rodzinnego.

Na początku lipca wyjechałem ostatecznie z Jekaterynosławia. Po czterech więc latach tułaczki i trudów wojennych wracałem do rodziny. Wracałem, lecz z jakim uczuciem, tego sam nie mogę określić. Cieszyłem się owszem bardzo, że wyszedłem cało z tej zawieruchy wojennej, że ujrzę znów swe ojcowskie zagony, że spokojnie już będę nadal dożywał pod swoją strzechą. Lecz na wspomnienie o tej strzesze rozpacz prawie mię ogarniała. Gdzież masz tę strzechę, pod którą zamierzasz spokojnie żyć? Przecież odjeżdżając zostawiłem tylko zgłiszczą po swoim gospodarstwie. Wróciłem ostatecznie do swej rodziny dnia 12 lipca 1918 roku.

Ileż, mój Boże, przez te cztery lata zmieniło się. W sieni zastałem swego jedyne go syna, który teraz liczył już szósty rok. Nie poznał mnie, gdyż miał zaledwie skończony jeden rok, gdy wyjechałem na wojnę i widząc, że jakiś wąsaty żołdat rosyjski stanął przed nim, porzucił wszystkie swoje zabawki i z wielkim krzykiem uciekł do mieszkania. Z dziwnem uczuciem wstąpiłem do tej nędznej izby, w której żona moja musiała sama męczyć się przez cztery lata. Zastałem tu swoich pasierbów, najstarsza dziewczyna liczyła teraz już dwanaście lat, chłopiec młodszy od niej dziesięć lat, najmłodsza zaś pasierbica kończyła również już siódmy rok życia. Dwoje tylko starszych poznało mię. Po przywitaniu się z nimi zapytałem je, gdzie się znajduje matka. Odpowiedziały mi, że na ogrodzie. Najstarsza pasierbica pobiegła natychmiast na ogród i po chwili ujrzałem żonę.

Zmieniła się przez ten czas bardzo. Zestarzała się i z oczu jej patrzyła nędza i to umęczenie się samej jednej na gospodarstwie z czworgiem drobnych dzieci. Przywitaliśmy się oboje, a ona zaczęła zaraz uskarżać się na tę swoją niedolę, jaką znosiła przez cztery lata. Zaczęła więc opowiadać, że w czasie wojny Niemcy zabrali prawie cały inwentarz, jaki został się po pożarze, że przez cały czas nie miała z kim pracować, więc teraz pomagało jej dwoje starszych dzieci, z których jedno liczyło zaledwie dwanaście, a drugie dziesięć lat. Kupiła również trochę drzewa na oborę i stajnię i miała już po żniwach stawiać.

Tego samego dnia poszedłem na miejsce, które zostawiłem prawie dymiące jeszcze po pożarze, gdy odjeżdżałem na wojnę. Zastałem tu tylko pogorzelnisko zarosłe chwastami i kilka dołów.

Pustki tylko stąd wiały i jakby z każdego dołu wyglądała moja twarda dola. Długo patrzyłem na te doły i myślałem, ileż trzeba

będzie włożyć pracy zanim się je wyrówna, ażeby można było postawić tutaj jakiś budynek.

Tak więc zacząłem znów twardej okres dorabiania się. W tym samym roku jeszcze kupiłem trochę drzewa na chatę i na wiosnę zamierzałem ją postawić, a jesienią przyszłego roku przenieść się do niej. Chciałem jak najprędzej odejść od kłótlivej teściowej, która nie zważając na moje ciężkie położenie stale wymawiała żonie i mnie, że zajmuję w jej gospodarstwie tyle miejsca, że nie może tak być dłużej, aby ona nas tu trzymała. Ileż mnie kosztowało nabywanie tego drzewa. Każdy kawałek kupowało się za pożyczone pieniądze. Od ust odejmował człowiek sobie i dzieciom ostatni prawie kawałeczek czarnego chleba, aby tylko już mieć własny kąt.

I wszystko powoli zrobiłoby się, gdyby nie jeden jeszcze więcej cios, jaki spadł na mnie i na całą moją rodzinę. Przyszła wiosna roku 1919. Podczas niej zamierzałem wybudować sobie chatę, dokończyć obory i opędzić się z tych dręczących mię kłopotów. Los jednak zrządził inaczej. W kwietniu zachorowało troje starszych dzieci na tyfus. Żona wkrótce również zachorowała, urodziwszy mi drugiego syna. Ja tylko i mój starszy siedmioletni syn nie dawaliśmy się tej strasznej chorobie. Wkońcu jednak i mnie powaliła.

Wiele doznałem nieszczęść i biedy w swem życiu, ale takiej niedoli nie doznałem nigdy, jaką musiałem znosić podczas tej wiosny. A wiosna tego roku była piękna. Na świecie ciepło, słońce przygrzewa, wszystko się rozwija, ludzie wyciągają już pługi i zaczynają ruszać w pole, tylko ja jeden leżę bezwładny na swem barłogu, a obok mnie żona również chora śmiertelnie z malutkiem dzieckiem przy sobie. Przy drugiej ścianie dzieci leżały na tapczanie i wily się w gorączce wśród ustawicznych krzyków.

Tak leżeliśmy wszyscy powaleni tą straszną, zaraźliwą chorobą, w brudzie, bez żadnej prawie opieki. Brat tylko mojej żony przychodził czasem do nas i mierzył nam gorączkę. Każdy bowiem obawiał się, aby i jemu nie udzieliła się ta choroba.

Ostatecznie w maju byliśmy już wszyscy zdrowi. Spęzły na niczem moje nadzieje, że w tym roku będę już pod swoim dachem. Nie mogłem bowiem po chorobie tak ciężko pracować, a i pieniędzy nie było w domu ani grosza i pożyczyć nie można było nigdzie. Dopiero w roku 1920 jesienią sprowadziliśmy się do swojej chaty. Cóż to była za radość wśród dzieci, gdy znaleźliśmy się wszyscy we własnej, jeszcze niewybielonej izbie.

I tak upływał rok po roku wśród znoonej pracy na tym kawałku ziemi, wśród ustawicznych kłopotów i zmartwień, wśród tego niedosypiania i tego niedojadania, aby tylko jaknajprędzej dorobić się, aby tylko to jeszcze kupić, a to jeszcze wystawić.

W następnych więc paru latach przyczyniałem stodołę, gdyż tej jeszcze nie miałem. Sam prawie musiałem przy tem pracować. Nikt nie pomagał mi. Musiałem do pomocy brać pasierba, który liczył wtedy zaledwie czternaście lat. Ostatecznie jednak w roku 1922 wykończyłem stodołę, która składała się z dwóch niedużych zapół.

Odetchnąłem trochę, gdy widziałem, że mam swój własny dach nad głową, że inwentarz, chociaż ubogi, mam gdzie zapędzić i zboże dokąd zwieźć. Teraz myślałem sobie, odetchnę trochę, a później to wystawię jeszcze pod dach i zacznę nabywać najpotrzebniejsze narzędzia rolnicze. Nie miałem bowiem ani młynka, ani wagi, ani porządnego pługa i bron.

Ale i tym razem nie tak łatwo urzeczywistniły się moje zamiary. Taki już widocznie mój twardy los chłopski, że wszystko muszę zdobywać z ogromnym wysiłkiem, wkładając w to ostatnią krwawicę swoją.

Oto z tych kilku mórg, jakie żona posiadała po pierwszym mężu, trzeba było spłacać. Spłata była oszacowana na dwa tysiące złotych. A więc jeszcze jeden ciężar, a więc znów trzeba będzie pożyczyć, a później odejmować sobie od gęby ostatni kawałek chleba.

Więc tego już nie zniosę myślałem i zacząłem mówić do żony, że nie będę spłacał. Niech krewni moich pasierbów odkrają taką część z tego kawałka, który obsiewam, ażeby mogła pokryć kosztą spłaty. Żona jednak zaczęła prosić, ażebym tego nie robił, gdyż prawie cała część przypadająca po pierwszym jej mężu na troje dzieci przypadnie, że przecież jestem ich opiekunem i nie powinienem im stracić ojcowskiego zagonu, że kiedyś za to będą mi wdzięczne. Rozmyśliłem się więc ostatecznie i postanowiłem pożyczyć potrzebne mi pieniądze na tę spłatę.

Nastręczono mi pewnego chłopca, który przyjechał przed rokiem z Ameryki z zaoszczędzonym zarobkiem. Od niego to pożyczyłem na jeden rok 150 dolarów, co stanowiło wartość około 1500 zł., dając mu za procent pięć kóp wyżętej pszenicy i dwie duże fury siana. Całe więc moje szczęście było w tem, że popadłem na dobrego człowieka, który i tak nie wziął jeszcze odemnie wielkiego procentu.

Resztę potrzebnych pieniędzy pożyczylem w kilku miejscach na krótszy termin, płacąc mniejszy lub większy procent. Po roku na tę pożyczoną sumę wyprzedaliśmy w jesieni 1925 roku prawie wszystko ze swego inwentarza, zostając tylko przy jednym koniu i jednej krowie. Ostatnie również ziarno zboża wywoziłem na targ. W następstwie tego w przyszłym roku straszny przednówek zagładnął już bardzo wcześnie do mojej chaty. Nie mieliśmy co jeść. Trzeba było pożyczyc kartofle i zboże, aby tem przeżyć do zniw.

Jednak czasy były dobre więc prędko się dorobiłem. Poodda wałem wszystkie zaciągnięte pożyczki i zacząłem nawet myśleć o nabyciu lepszych narzędzi rolniczych.

W tym samym również czasie gospodarstwo moje powiększyło się znacznie. Żona po śmierci swego ojca zabrała już całą swoją część, która liczyła około dwunastu mórg. Po uiszczeniu spłaty z majątku pasierbów obsiewałem ich ojcowizny osiem mórg. Ojciec mój w tym czasie również oddał mi całą należną schedę, liczącą do trzech morgów. Całe więc moje gospodarstwo liczyło w tych latach do 23 mórg ornej ziemi.

Posiadając teraz tak duży kawał gruntu mogłem utrzymać większy inwentarz. Miałem więc wówczas cztery dobre mleczne krowy, hodowałem corocznie dwoje cieląt, które następnie sprzedawałem, biorąc za nie pokaźne sumy. W każdym roku sprzedawałem dwa upasione wieprze, dla siebie również pasłem jednego, a nawet i tak było, że do roku biłem dwie sztuki. Nabyłem też wtedy dwa dobre, rosłe konie. Dosyć dużo hodowała żona drobiu domowego.

Miałem z kim pracować, gdyż dorosły pasierb pomagał mi przy pracy na roli, żona również nie była obciążona pracą, mając do pomocy dwie dorosłe już córki. Starszy mój syn pasł krowy. Jednym słowem byłem wtedy zadowolony ze swojej gospodarki i często, gdy radowałem się widokiem pięknych moich krów, takich krów, jakich nikt w całej wiosce nie posiadał, widokiem tej pary koni, dla których nie potrzebo wałem bata, gdy oglądałem cały mój inwentarz dobrze i umiejętnie doglądany przez żonę, myślałem sobie, że ostatecznie, po tylu latach swego biedowania, doczekałem się lepszego życia, że za swoją ciężką i znojną pracę wraz z całą rodziną mogę przynajmniej zaspokoić niezbędne dla mnie potrzeby.

Pracowałem ciężko, gdyż było na czem, jednak widziałem, że z tej pracy mam jakieś korzyści, jakiś dochód. Starszego mego syna, który uczył się nadzwyczaj dobrze, posyłałem do szkoły w Szczerzeszynie, gdzie ukończył siedem klas szkoły powszechnej. My-

ślałem więc, że kiedy już tak chłopiec garnie się do tej nauki, to trzeba będzie go posłać gdzieś dalej do szkół, niech z tej znoonej mojej pracy on przynajmniej więcej skorzysta i przez naukę zdo-będzie dla siebie lepsze życie.

Za poradą nauczycieli postanowiliśmy oboje z żoną oddać chłopca do gimnazjum w Zamościu, który od naszej wioski jest od-dalony o 22 km. Przez parę lat zanim ukończy tam szkołę będą dowoził trochę prowizji, a resztę będą dopłacał gotówką i gdy czasy nie pogorszą się będzie tam jakos. A później, gdy wszystko pójdzie dobrze, to nawet sprzedam swoją ojcowiznę, do której mi było da-leko z Rozłop i za te pieniądze wyślę syna na dalsze nauki. W ro-ku 1928 ukończył chłopiec siedem klas szkoły powszechnej z wy-nikiem bardzo dobrym i złożył egzamin wstępny do klasy czwartej w gimnazjum w Zamościu.

Tam umieściłem go na stacji, która nawet nie kosztowała mię, jak na ówczesne czasy, tak bardzo drogo. Dowoziłem pewną ilość produktów i resztę dopłacałem gotówką. Za szkołę opłata w pierw-szym roku też nie była bardzo wielka, za cały rok wynosiła 110 zł. Sprzedałem więc dwa metry pszenicy i miałem spokój.

Wszystko więc zapowiadało się na przyszłość jak najlepiej. Najstarszą pasierbicę wydałem w tym czasie zamaż za dosyć za-możnego gospodarza. Ubyło przeto dwoje ludzi z chaty. Trzeba było przyjąć służącego, gdyż nie było przeważnie komu paść krów, najmłodszy bowiem syn chodził również do szkoły.

Pomimo jednak tego, że wydatki moje tak znacznie się po-większyły, niebardzo to odczuwałem w swoim gospodarstwie. My-ślałem więc, że teraz może już na stare lata zamiary moje spełnią się. Ale nie było tak długo. Taki już los mój chłopski.

Na wiosnę roku 1929 zachorowała najmłodsza pasierbica Aniela. Nie pomogli jej różni lekarze, ani też żadne lekarstwa. Na początku lipca tegoż roku zmarła, nie mając jeszcze ukończonych osiem-nastu lat.

Później coraz częściej zaczęły zaglądać do mojej chaty różne niedostatki. Jesienią tegoż roku zabrano do wojska pasierba. Zo-stałem więc sam w gospodarstwie bez żadnej pomocy. Żona również nie mogła sobie dać rady w swych zajęciach, do tego jeszcze ciągle rozpaczała po córce. Chata przedtem tak zawsze pełna gwaru i śmiechu dzieci ucichła. Zostało nas tylko troje. Ja z żoną i naj-młodszy dziesięcioletni syn.

Trzeba więc było przyjąć do pomocy w gospodarstwie parobka i dziewczynę. Oboje bowiem z żoną nie moglibyśmy sobie dać rady w pracy na gospodarstwie, jakby nie było, liczącem przeszło dwa-dziesiąta mórg ziemi, a do tego jeszcze ziemia ta porozrzucana była i znajdowała się w kilku kawałkach oddalonych od wsi o parę kilometrów.

Przyjęcie parobka i dziewczyny do pomocy, utrzymanie syna na stacji, zwiększyło moje wydatki bardzo. A tu przychód z gospodarstwa zaczął coraz bardziej zmniejszać się. Zboże taniało, trzoda chlewna, z której przedtem można było opędzić najpotrzebniejsze wydatki, również nie dawała już takiego dochodu. Jeszcze, jak na moje nieszczęście, podniesiono opłatę za szkołę. Musiałem w drugim roku szkolnym zapłacić 150 zł. za obydwu półroczna. Stancje również podrożały. W pierwszym bowiem roku dowoziłem mniej prowizyj i dopłacałem pieniędzmi tylko 15 zł. miesięcznie. W drugim natomiast musiałem dostarczać o wiele więcej produktów i płaciłem miesięcznie 25 zł.

To wszystko zaczęło się coraz bardziej odbijać na mojem gospodarstwie. Coraz częściej brakowało pieniędzy. Trzeba więc było sprzedawać sztukę po sztuce ze swego inwentarza. Później zaś pożyczyć najpierw po kilkadziesiąt, a następnie po sto i dwieście złotych, płacąc za to ogromny procent cztery, a nawet i pięć złotych miesięcznie od sta.

A tu położenie chłopa z każdym rokiem, z każdym miesiącem stawało się coraz trudniejsze. Minęły już bezpowrotnie lata od 1925 do 1929. Musiałem coraz bardziej ograniczać swoje domowe potrzeby i związane z tem wydatki, aby tylko można było opłacić wszystkie podatki, procenty za pożyczone pieniądze, za stancję, za szkołę. Ach ta opłata za szkołę ona mię do reszty zabijała. Z każdym rokiem podwyższano ją. W trzecim roku musiałem już zapłacić nie 110 zł., ani 150 zł. nawet, lecz aż 220 zł.

Mówiłem więc często do syna: Rzuć to wszystko, bo dalej już nie jestem w możności wytrzymać. Syn jednak prosił, że jeszcze dwa lata, a skończy i dalej to sam będzie jakoś sobie radził. Ostatnie więc dwa lata tak biedowałem, jak zaraz po powrocie z wojny. Do tego jeszcze gospodarstwo moje zmniejszyło się znacznie, gdyż pasierb ożeniwszy się po powrocie z wojska zabrał swoją ojcowiznę i oddzielił się. Zostałem więc znów na niedostatecznym kawałku ziemi. A tu coraz nowe ciężary zwały się na mnie.

Oprócz tego, że na syna musiałem wysprzedać ostatnią prawie krowę, gdyż z dawnych czterech została mi się tylko jedna jedyna, jeszcze jeden ciężar obarczył moją gospodarkę. Jest nim komasacja i meljoracja przeprowadzona w naszej wiosce. Przed paru laty podpisała cała gromada umowę, na mocy której zgodziła się przeprowadzić w Rozłopach meljorację i skomasowanie ziemi. Komisarz zapewniał nas, że przy skomasowaniu małorolnym dodawać się będzie ziemię na długoletnie spłaty, koszta zaś komasacyjne i meljoracyjne zostaną rozłożone na trzydzieści lat. Wszyscy więc żywili jaknajwiększe nadzieje. Ja również myślałem, że rozrzuconą w kilku kawałkach ziemię otrzymam w jednym miejscu, że nie będę miał już tyle szkody w zasiewach i, że o wiele łatwiej będzie mi pracować na takim gospodarstwie. Koszta zaś rozłożone na trzydzieści lat nie dadzą się nawet zauważyć w wydatkach.

Trzy lata już trwa przeprowadzanie meljoracji. Cała wieś musi utrzymywać technika. Ogromna ilość rowów, jakie wytyczono, została wykopana przez wszystkich gospodarzy wioski. Przez trzy lata musiałem razem z innymi chodzić z łopatą rzucając często pracę na roli, w przeciwnym bowiem razie trzeba było płacić karę. Główne rowy darniowano i płotkowano, to wszystko zaś kosztuje bardzo dużo, gdyż przy tem nie robili chłopci, lecz sprowadzeni robotnicy. Ostatecznie cała meljoracja została ukończona w tym roku i wieś uwolniła się od tego ciężaru. Komasacja trwa drugi rok i w roku przyszłym na wiosnę zostanie również ukończona.

Wszystko to jest dobre i piękne, lecz zawsze chłop musi swoje lepsze jutro zdobywać ostatnią krwawicą swoją. Obiecywano dużo, a zrobiono dla nas tak mało, że szkoda było i zaczynać. Małorolnym i średniorolnym nie dodano, jak nam obiecywano, ani piędzi ziemi, lecz nawet prawie jeszcze odebrano, dlatego że nasz pan geometra, jak zaczął wycinać gościńce i drogi między poszczególnymi działkami i szafować na to hojnie ziemię, to z każdego gospodarstwa czy to mniejszego, czy większego odpadnie trochę ziemi.

Lecz to możnaby powiedzieć ostatecznie jest niewielką stratą i teraz nie zbiera się z takiego kawałka z jakiego się płaci podatek, gdyż miedze, brózdy rozdrobionych kawałków pola, szkody wyrządzane przez bydło, to wszystko zmniejsza zbiory. Jedno tylko każdego gnębi, to koszta komasacji i meljoracji, które miały być rozłożone na trzydzieści lat, a teraz, gdy komasacja nie została jeszcze ukończona, wyszła cała prawda na wierzch. Cała wieś otrzymała wiadomość, że wszystkie koszta związane z przeprowadzeniem ko-

masacji i meljoracji, a które są obliczone na 34 tysięcy, muszą być wypłacone w czterech ratach przez jeden rok.

Obiecywano również, że ci wszyscy gospodarze, którzy będą musieli się przenieść ze wsi na swoje działki, położone w wyższych miejscach, dostaną zapomogi na wykopanie studzien, gdyż do wody w znacznej części pół wsi Rozłop będzie trzeba bardzo głęboko kopać. Teraz jednak wszystko przedstawia się zupełnie inaczej. Koszta wszystkie trzeba zapłacić w ciągu jednego roku. Skąd tu tyle pieniędzy, gdy i tak już podatki zalegają, a człowiek popada w coraz to większą biedę i niedostatek.

Ostatnie bowiem dwa lata zrujnowały zupełnie moje gospodarstwo. Na to, ażeby syn mógł ukończyć szkołę, musiałem pożyczyć przeszło pięćset złotych płacąc rocznie przeszło sto złotych procentu. W tym jednak roku muszę się ostatecznie uwolnić od tego zabijającego mnie lichwiarskiego procentu. Syn złożył maturę w tym roku, ale małe mam z tego zadowolenie, bo gdy takie czasy nadal będą, nie zmożę mu dopomagać w dalszej nauce. Tymczasem przez jeden rok odbędzie służbę wojskową, a później to nie wiem, jak będzie.

Najmłodszy syn, który liczy obecnie czternaście lat, skończył tylko szkołę powszechną w Szczebbrzeszynie. Dalej, gdzieś do jakiej szkoły rolniczej nie jestem w stanie go posłać, gdyż nawet kilkanaście złotych miesięcznie nie mógłbym zapłacić. Bo jak tu myśleć można o tem, ażeby dzieci kształcić, gdy człowiek musi niedojadać wraz z całą rodziną, aby tylko można zapłacić podatek, pierwszą ratę kosztów komasacyjnych i meljoracyjnych i oddać długi.

A tu zima nadchodzi, a wszyscy w chacie nie mają co włożyć ciepłego na siebie. Odebrałem z fabryki za buraki cukrowe 50 zł., myślałem więc, że sprzeda się jeszcze prosię trochę już upasione i za to okryjemy się wszyscy, żona, syn i ja. Jednak tak się nie stało. Przyszedł sołtys z poborcą podatkowym i musiałem zapłacić za ubezpieczenie ogniowe za ten rok 32 zł., a jednocześnie otrzymałem upomnienie za niezapłacone ubezpieczenie za przeszły rok, a inne jeszcze podatki zaległe, już głowa od tego pęka. I tak stale nakaz płatniczy za nakazem, upomnienie za upomnieniem, a wkońcu sekwestrator. A skąd otrzyma człowiek na to wszystko pieniądze, gdy wszystko, każdy produkt rolny daje tak mało dochodu. Przed paru laty wszystkie te ciężary wypełniałem zawsze w terminie i nie odczuwałem nawet tego bardzo. Dzisiaj to wszystko jest takim ciężarem, że często wydaje się człowiekowi, że nie zniesie się tego i rzuci całą gospo-

darke. Oj, bo dolaż to dola tego chłopca na małym kawałku ziemi w obecnych czasach. A jak nędznie żyjemy mało o tem wie ludzi, którzy nie zetknęli się z tem życiem. A jak ubogo i nędznie prawie przedstawia się teraz moje gospodarstwo. Posiadam parę koni, jedną krowę i jedną roczną jałowkę oraz dwoje świń. Kilkanaście kur i kilka gęsi uzupełnia cały mój inwentarz.

W chacie z każdym rokiem coraz większy niedostatek. Pozostały tylko resztki po tych kilku lepszych latach w mojem gospodarstwie. Mieszkam w jednej izbie z pasierbem, który chociaż się oddzielił, mieszka jeszcze ze mną, gdyż niema swojej chaty. A w tej izbie cóż się znajduje? Ot stoją dwa łóżka przykryte prostemi kocami, przy oknie stół, a obok niego dwa krzesła swojej roboty.

W takiej to izbie mieszka nas sześć osób. O wiele jeszcze gorzej przedstawia się nasze odżywianie. Latem, gdy posiada się trochę mleka, to jeszcze pół biedy. Wtedy więc śniadanie składa się zwykle z dwóch mlecznych potraw, barszczu i klusek, lub też kartofli, albo kapusty i kartofli z mlekiem. Obiad gotuje się rano, gdyż niema czasu na to, aby go w południe można przygotować i składa się z tej samej potrawy, jaką się je pierwszą na śniadanie, a więc z barszczu lub kapusty, drugą potrawę, ugotowaną również rano, stanowi kasza z mlekiem kwaśnem, lub gotowanem albo też zupa grochowa.

Na kolację gotuje się przeważnie kartofle, które spożywamy z kwaśnem mlekiem, albo też kluski lub jakaś kasza zwykle jaglana. Takie to jednostajne, mało dające organizmowi odżywianie. Lecz gdyby takie ono było cały rok, to byłoby wszystko dobrze. A jak się wtenczas odżywiamy, gdy w chacie niema ani kropli mleka, gdy człowiek niema ani kawałka mięsa lub słoniny, gdyż każde, choćby trochę podpasione prosię trzeba sprzedać, aby tylko zaspokoić podatki, kupić na zimę buty, a wciągnąć na siebie byle jakie tandetne ubranie. Wtedy i bez żadnych nakazów musi człowiek pościć tak, że po całej zimie i wiosnie zanim się krowa zacznie doić, wszyscy wyschną z tej nędzy, jak szczapy.

Za swoją więc ciężką, krwawą prawie pracę tak żyje dzisiaj chłop na wsi. Żadnych innych pragnień nie zna pozatem, aby chociaż za swoje trudy mógł lepiej się odżywiać. Bo cóż może go ciągnąć, gdy stale jest przytłoczony swoją biedą, swym niedostatkiem. Zimą, gdy nie ma tyle już zajęć, idzie do sąsiadów i tam tylko skarży się przed innymi ze swojej niedoli. O tem, ażeby w wolnych chwilach przeczytać gazetę, lub jakąś pożyteczną książkę, mało kto myśli, a nawet, gdyby chciał to nie może, gdyż niema mowy, ażeby

dzisiaj mógł taki biedak kupić sobie potrzebną korzystną książkę, lub gazetę. Kupi książkę lub gazetę, gdy nie ma za co kupić soli, nafty lub zapalek. O cukrze nie trzeba już i wspominać, gdyż stał on się teraz rzadkością. Cukier i mięso są dla dziecka chłopskiego tem o czem stale myśli i zapytuje się, kiedy będzie go mogło jeść.

Tak żyje dzisiaj chłop na tym swoim kawałku ziemi, taką cierpi nędzę i niedostatek wśród ustawicznych zmagañ się ze swoim losem, w tej pracy znojnej ze swemi dziećmi.

Do tych rzesz biedujących zaliczam się również i ja, któremu przeznaczone widocznie już przez całe życie przejść w ciągłym niedostatku i nigdy nie doznać prawdziwego dobrobytu i szczęścia życiowego.

Dn. 27 listopada 1933 r.

Gospodarz dwunastomorgowy w pow. puławskim

Byłem małym chłopcem, pamiętam, jak ojciec mój gospodarzył na dziesięciu morgach, mając do spłaty brata i siostrę. Ojciec pracował bardzo ciężko, bo nie było takich narzędzi w gospodarstwie jak dzisiaj. Sieczkarni nie było, tylko na tak zwanej „skrzynce” rzuł sieczkę dla koni i krów, często nawet w mieszkaniu głowa była opasana powrósełkiem, ażeby włosy nie lizły w oczy. W mieszkaniu było ciasno, bo prócz sieczki to w kącie stał cielak i owca z jagnięciem, że porządki w tem mieszkaniu jakie musiały być, to każdy czytający się domyśli. Do uprawy roli był pług drewniany, z żelaznu blachy na drewnianych kółkach, to było jeszcze pół biedy, ale w miejsce dzisiejszego kultywatora to było tak zwane „radło” też drzewiane z żelaznu redlicy, a jaka to była męcząca praca, to pamiętam dobrze, bo jej sam zakosztowałem. Nastąpiły drapacze na pięciu łapach, to narzędzie było zaliczone do ulepszonych i było dotąd, aż go zastąpił kultywator. Widły do gnoju były drzewiane końce okute żelazem, później były żelazne niewygodne, bo ciężkie aż ich zastąpiły dzisiejsze fabryczne. We żniwa wszystko było żęte sierpem, kosy wcale nie były w użyciu. Chleb był czarny, bo nikt nie słyszał o szorowniku, ani o walcach we młynie, mielenie było na wiatraku, a jeżeli we młynie, to na kamieniu i to jęczmień, bo pszenicę trzeba było sprzedać. W każdy piątek był post, a w czasie wielkiego postu to całe siedem tygodni post i to ścisły, bo nawet i z mlekiem nie jedliśmy. Ojciec z matką pracowali ciężko, aby tu pracu i oszczędności zapewnić nam jakiś byt, a było nas i jest sześcioro, dwóch starszych braci, dwóch młodszych i najmłodsza siostra, więc było o kim myśleć. Urodzony jestem w 1880 roku, po siedmiu latach poszedłem do szkoły; szkoła była blisko, bo zaledwie

kilkadziesiąt metrów od domu. Chodziłem zimą, a latem pasłem krowy na ogólnym pastwisku, co przez zimę trochę się nauczyłem, to przez lato zapomniałem. Chodziłem parę zim, nauczyłem się pisać, czytać i trochę liczyć, ale cóż tu się można nauczyć w rosyjskim języku, kiedy swego dobrze się nie zna. Po polsku uczyli bardzo mało, wszystkie książki były rosyjskie, nawet i modlitwa była po rosyjsku, tak wpajali w nas moskiewszczyznę i żeby nie kościół i księża polscy, toby nas przerobili na moskali. Czytając książki rosyjskie, starszy brat dostał gdzieś książkę polsku o „cudownej lampie”, bardzo była ciekawa; druga o „siedmiu mędrkach” jeszcze ciekawsza i trzecia o „Eustachjuszu”, nad tu to aż sobie zapłakałem, bo mi się zdawało, że to wszystko prawda co piszu. Te trzy książki pobudziły mnie do czytania. Czytając wiele innych książek podobnych do wyżej wspomnianych poprosiliśmy ojca, ażeby zaprenumerował jaku gazetę, a że i ojciec lubiał czytać, zaraz wysłał pieniądze na gazetę „Świątecznu”. Była to wtenczas bardzo dobra, bo zrozumiana bez wszystkich, była i „Zorza”, także dobra, te dwie gazety były czytane na wsi najwięcej; później nastąpiło „Zaranie”, ono jeszcze lepiej trafiało do moich przekonań. Ojciec też czytał dobrze, ale żeby nie marnować czasu, to ja czytałem, a ojciec darł pierze i słuchał, a jak czego nie rozumiałem, to ojciec mi tłumaczył. Do tego ojciec jeszcze został wójtem gminy, miał styczność i z księdzem i dziedzicem, był uważany i przez urzędników moskali, chociaż ich nienawidził, bo był patrijoty i marzył o niepodległości. Siedział cicho sprawując urząd wójtowski przez kilka lat. Pewnego razu ojciec przynosi mi gazetę i mówi do mnie, że mi da do czytania, tylko nie pokazywać nikomu, bo to jest nielegalna i gdyby broń Boże kto oskarżył, a moskale zdybali, to przepadam. Była to gazeta „Polak” z Krakowa, tu dopiero było wymyślanie carowi i jego urzędnikom; czytałem go z wielką ciekawością i strachem, nie wiedziałem gdzie go schować, a tu jako do wójta często jaki urzędnik zawitał. Dowiedziałem się z tego „Polaka”, że będzie wojna i to na polskiej ziemi. Nieczytałem go sam, ale dawałem i drugim do czytania, którzy pod przysięgą zeznali, że nikogo nie zdradzą i to poskutkowało, bo moskale złapali kilku, wywieźli do Archangielska, nie wydali nikogo, wysiedzieli coś po roku i powrócili po manifeście do domu. Czytając wiele gazet i książek, zastanowiłem się nad tem, że nie posiadamy większej nauki. Do szkoły średniej niełatwo było się dostać, postanowiłem skończyć chociaż początkowu szkołę, namówiłem swego kolegę. Nauczyciel nas przysposobił. Egzamin się udał i mając

świadcstwo z ukończenia szkoły początkowej, ten był liczony jako na „prawach” i służba wojskowa miała być skrócona o jeden rok. A no pomyślałem sobie, że dobre i to. Pracując na tych dziesięciu morgach, ta praca nie poszła na marne, bo ojciec kupił ośmiomorgowu osadę dla najstarszego brata, do wojska nie poszedł, gdyż wyciągnął duży los, został nadliczbowy. Poszedł za radu ojca, ożenił się biorąc za żonę przeszło 1000 rubli, a była to wtenczas wielka suma, poszedł na swoją gospodarkę. Po dwóch latach ma iść do wojska drugi starszy brat, ten również wyciąga los duży i też nadliczbowy. Znowu ojciec kupuje parę morgów ziemi w rodzinnej wiosce, żeni się drugi brat, biorąc za żonę blisko 1000 rubli. A że famielja duża i znajomość też, więc wesele tak jednemu, jak i drugiemu musiał ojciec sprawić huczne. Po wywianowaniu dwóch starszych braci pozostało trochę długu, ale ojciec jeszcze kupił parę morgi w swojej wiosce, napożycał pieniędzy, bo było łatwo o pożyczkę i chociaż był dług duży, to ojciec tem się nie zrażał, byle tylko kaźden z nas miał kawałek ziemi w swojej wiosce. Buraków cukrowych bywało do trzech mórg, bo ziemia tu z natury dobra, buraczana, więc buraki dawały największy dochód w gospodarstwie. Niełatwo było wyhodować tego buraka, chwasty ogromne, całe lato prawie do samych żniw trzeba było koło nich pracować, a jesień jak była mokra, to człowiek mało nie zgnił, siedząc w błocie i w śniegu, a odstawa o dziesięć km. od cukrowni to też godna politowania. Drogi były fatalne, ciżba straszna, bo składów nie było. Wszystko szło do cukrowni, albo do kopca blisko cukrowni, z przywiezieniem wytlóków było to samo, ale korzyść z nich była niewielka, bo krowy trzeba było brać za ogon i podnosić. Nadszedł rok 1901, miałem w tem roku iść do wojska, albo nie. Wyciągam los duży, zostaję nadliczbowy. Zostałem w domu, pracując z ojcem i młodszymi braćmi na dług zaciągnięty na kupno ziemi. Pisywałem dużo listów do kolegów służących w wojsku. Byli niektórzy na wojnie rosyjsko-japońskiej, było ciekawości dosyć. Z żeniaczku nie spieszyłem się, liczyłem, że może po odzyskaniu niepodległości, bo i starzy ludzie u nas mówili, że będzie, chociaż nic nie czytali i nic nie wiedzieli. Pamiętam, jak się zeszli starzy ludzie, to najwięcej rozmawiali o pańszczyźnie i o powstaniu, więc ciekawy byłem, jak my tę niepodległość odzyskamy. Mając już dwadzieścia parę lat, ojciec kieruje pomiarem pastwiska ogólnego; niełatwa to była sprawa, bo wszystkim trudno dogodzić, ale przeprowadził i znowu przybyło parę morgi ziemi. Ojciec tak sobie planował, ażeby z nas kaźdy posiadał chociaż 6 morgi, a siostrze sple-

cić. Pozakładał sady i zamierował ożenić nas dwóch i długi zaspokoić. Nadeszła chwila, że najmłodszy brat idzie do wojska i pomimo wielkiego starania ze strony ojca nic nie pomogło, poszedł i służył. W 1908 r. ojciec czując się niezdrowym, zapisał mi połowę ojcowizny. Ożeniłem się biorąc za żonę 1000 rubli. Kupił jeszcze kawałek ziemi i w sierpniu 1908 roku ojciec umarł. Umierając zapowiada, że wszystko pozostawia na mojej głowie. Długu pozostało 3000 rubli, stodoła i obory bardzo w lichem stanie, tylko dom to prawie że nowy. Po śmierci ojca ciężko mi było gospodarzyć, nie byłem jeszcze doświadczony we wszystkim; siac nie umiałem, a siewnika nie było. Dłużnicy wołali o pieniądze, które napożyczał ojciec, obawiając się, że im może przepadnu. Widoki do oddania były, bo młodszy brat się żeni, bierze za żonę blisko 1000 rubli i kilku dłużników zostało załatwionych. W 1910 roku powrócił z wojska najmłodszy brat, żeni się i większa połowa długu została oddana. Dorosła i siostra, ona też chce wyjść zamąż. Po naradzie z bratem i matką, postanowiliśmy wydać, dając jej część pieniędzy, które ojciec nazaczył, a resztę przy kwitowaniu w rejencie, po dojsciu lat. Po wydaniu siostry dług się powiększył, i był na mojej i najmłodszego brata głowie. W 1912 roku dochodzi do skutku parcelacja dworu majorackiego; ziemia dobra i blisko, działki po sześć morgów. Trzeba po 100 rubli na morgę dla usunięcia dzierżawcy, znów pożyczylem 600 rubli i działek dostałem. Pracując spólnie z bratem zamierowałem podzielić się ziemią i zrobić pokwitowanie jeden drugiemu, ale wybuchła wojna światowa. Brat jako wojskowy poszedł na wojnę, ja jeszcze jakiś czas pracowałem w domu. Huk armat słycać coraz lepiej; czytam gazetę, ażeby siedzieć w domu, nie wyglądać nigdzie. Ale gdzie tam! Nie usiedziałem. Praca stanęła, bo i na co pracować, gdyż to wszystko może być spalone. Tak sobie pomyślałem. Co robić? A no zobaczą co inni robiu. Wybrałem się z nauczycielem mojej wioski i paru innych, wyjechaliśmy bliżej pozycji; jadąc furmanku zauważyłem jak jedni kopią doły, drudzy stoją i radzu, co to będzie, aż zajechaliśmy do miasteczka Opola. Tu się dowiedziałem, że pułk w którym brat jest stoi tu blisko, będąc już parę razy w boju. Wartoby się coś o nich dowiedzieć. Poszło nas pięciu za miasto i idąc coraz dalej zobaczyliśmy dużo wojska austrijackiego, ale o bracie nie dowiedziałem się nic. Był blisko wieczór, ja i nauczyciel weszliśmy do jednego gospodarza, ażeby co zjeść. Tamci trzech pozostali przed domem i powrócili ku domowi. Gospodarz ów co miał to dał i mówi do nas, ażeby się przenocować u niego, bo już był blisko

wieczór. Boju żadnego nie było blisko, więc zanocowaliśmy. Rano gospodarz mówi nam, że w nocy jakieś wojska przejeżdżały, zapewne będzie jakaś potyczka. Ale trudno, trzeba iść ku domowi. Niedaleko uszliśmy, aż tu nas zatrzymuje patrol madziarski i każe stać. Niewolno się ruszyć, rozpoczęła się strzelanina. Kulki świstały koło uszów, była to krótko trwająca strzelanina patroli, puścić nas nie chcieli. Odstawili do miasteczka Chodla, tu przenocowaliśmy na gołych deskach w areszcie, a rano odstawili nas do Ratoszyna do sztabu. Tu koło nas zrobili rewizję, wsadzili do komórki koło plebanji, pytając nas cośmy tu robili. Tłumaczył się każdy, jak mógł, a było nas już takich około 20 ludzi. Boje były straszne, wpadało im się cofać, ośmiu nas więcej podejrzanych odłączyli i sąd polowy. Wystawili stół, postawili krzyż na stole, no i aby wyczytać wyrok, wyrok śmierci. Co sobie człowiek wtenczas myśli i jak wygląda, to może sobie wyobrazić ten, co był na sądzie polowym, a udało mu się uniknąć śmierci. Sam nie wiem co się stało, bo żaden z nas szpionem nie był, jak oni mówili. Czy też sumienie ich ruszyło, że ci ludzie su niewinni, czy z powodu silnego natarcia przez nieprzyjaciela, zmuszając ich do gwałtownej ucieczki, więc zwinęli ten sąd, jak tylko mogli tak uciekali, zabierając i nas z sobą, cofając się kilka dni i nocy. Ja już ustawałem z głodu i przemęczenia, aż się narzeczcie obstanowili już daleko w Galicji. Tam czterech z nas zostawili, a nam powiedzieli, że pójdziemy dalej. Było nam już zimno; deszcze biły, głód był straszny, już i brud, a z brudu, to wiadomo co się wytwarza.

Ułynęło cztery tygodnie, puścić nie chcu, tylko mówili, że jak pójdu na Lublin, to my pójdziemy do domu. Aż po wielkiej prośbie i błaganiu odstawili nas do Krakowa jako aresztowanych. Tu byliśmy krótko, bo moskale szli na Kraków, będąc już niedaleko. Wywieźli nas do Wiednia, tu byliśmy cztery tygodnie w brudzie strasznym, głód też dokuczał. Łyżki nie miałem, jeżeli było coś rzadkiego, to wypilem, a na gęste, zostawiałem skórkę chleba i ta była za łyżkę, a na ostatku i tę skórkę zjadłem. Po czterech tygodniach wyjechaliśmy na Madziary do twierdzy „Kommarom”, tu było o wiele lepiej, czysto wszędzie i koło każdego. Komendant twierdzy, zwany oberstabs profos, był człowiekiem, jakich może mało się zdybie na świecie, bez względu narodowości, czy wyznania traktował wszystkich zarówno. Tu byłem trzy miesiące, nie wiedząc nic co się w domu dzieje i czy zostali wszyscy przy życiu. W miesiącu lutem 1915 roku dostałem z domu list, ucieszyłem się bardzo; wszyscy zdrowi, nie

spalone nic, brat w niewoli w Austrii, już mi było łżej. Sąd doraźny już mi nie groził, żyłem nadzieją, że się to wszystko skończy i powrócę do domu. W marcu 1915 roku wyjechałem do taboru „Neszyder”, był to tabor dla internowanych, cywilny. Naszych było niewiele, tylko serbów więcej. Byłem tu do lipca, a w lipcu wyjechaliśmy na roboty polne do barona Karkaniego, wielkiego obszarnika. Tu pracowałem ciężko, ale głód już nie dokuczał, czułem się już wolniejszym, bo drutów już nie było i sztyk nad głowę nie blyszczał. Tu dostawałem listy z domu prawie co tydzień, nikt mi nie dokuczał, opinię miałem dobru, bo żem się dobrze sprawował.

Byłem tu do czerwca 1917 roku. Niektórzy o wiele wcześniej wrócili. Mój przyjaciel nauczyciel wrócił w 16 roku, a ja miałem przeszkody ze strony miejscowego sołtysa, który był dla mnie wrogo usposobiony, zeznawał, że ja chciałem Austrii szkodzić i dlatego prośby, które żona podawała, odrzucali. W końcu czerwca 1917 roku powróciłem szczęśliwie do domu. Tu zastałem wszystkich żywych i zdrowych; jest wszystkiego dosyć, długi pooddawane, nic się nie spaliło. Poszedłem do kościoła w niedzielę, a tu pełno młodych i starszych ludzi, wydawał mi się zupełnie inny świat, gdyż na Madziarach wszystko to było na pozycji. Będąc już w domu, na trzeci dzień zerwała się wielka burza. Zawaliła mi stodołę, bo coprawda była kiepska, ale dla mnie to nie kłopot, gdyż nie takie przeżywałem. Długu już niema, to bagatela. Sprzedałem źrebię roczniaka, kupiłem stodołę dużą i jeszcze mi pieniędzy pozostało. Ale obory kiepskie, znów się boję, ażeby mi burza nie zawaliła, boby krowy przepadły, a były wtenczas bardzo drogie.

W 1918 roku powraca i brat z niewoli. Postawiliśmy obory dla mnie i dla niego. Gospodarzyliśmy razem do 20 roku. Po skończonych wojnach siostra woła o spłatę, a no trudno. Trzeba spłacić i pokwitować się jeden drugiemu. Parę wieczory radziliśmy nad pokwitowaniem. Z braćmi poszło gładko, każdy musiał wykonać wolę ojca, ażeby nie było procesów. Trudniej było z siostrą, bo tu chodziło o pieniądze, a to było w tem czasie, kiedy marka szalenie traciła na wartości. Trzeba było załatwić to w rejencie w jednym dniu, bo na drugi to już było tego mało.

Pieniądzy nikt nie trzymał, dlatego o pożyczkę nie było łatwo, a że miałem co sprzedać i za dobru cenę, dlatego niebardzo odczułem tej spłaty. Ostałem sam na dwunastu morgach, sześć ukazowej, a drugie sześć nabyte z majoratu. Przez parę lat trzymałem służącego, albo służącą. Miałem dwóch synków przedwojennych, star-

szego dałem do szkoły, był na siódmym oddziale. Uczył się dobrze, miał składać egzamin do pierwszego kursu seminarjum nauczycielskiej, ale zachorował i umarł. Drugiego już nie pchałem, obawiałem się, ażeby się nie stało to, co ze starszym, zostawiłem w domu, ażeby był mi pomocu w gospodarstwie. Pracując na roli, byłem w Kółku Rolniczem, później przy sklepie spółdzielczym, jeszcze później założyliśmy mleczarnię. Zostałem skarbnikiem, pracowałem parę lat za bardzo małym wynagrodzeniem, bo mi nie chodziło o zyski, tylko chciałem zachęcić do spółdzielczości. Było to za dobrych czasów, a dzisiaj każdy zniechęcony do wszystkiego. Produkta rolne tanie, na ulepszenia w gospodarstwie nie można sobie pozwolić, coraz więcej zalegań z podatkami, a ci co się zapożyczyli za dobrych czasów, to cierpiu strasznu biedę. Ja długów nie mam, tylko najgorzej z ratami z majoratu. Płaciłem na wiosnę 100 złotych i w jesieni drugie 100 zł. W tym roku na wiosnę zapłaciłem 50 złotych, a teraz mam 77 złotych. Do tego czasu jeszcze nie wpłaciłem. Te raty mam płacić przez 40 lat i jeżeli czasy się nie zmienią, to i ja nie będę w stanie płacić. Mam sześcioro dzieci, najmłodszy synek ma cztery lata, najstarszy 21, przyjęty do wojska. Pracujemy sami, mało się najmuje, bo niema czem płacić. Po kopaniach trzeba porać i inne roboty, tu wyręcza mnie syn najstarszy. Żona koło domu ma dosyć pracy: su kury, gęsi, kaczki, indyki, świnie, krowy jest koło czego chodzić. Pomaga żonie córka i młodsze dzieci, ale to wszystko mało się opłaca, jedne sady nas trochę ratuju. A do tego jeszcze zjawił się we wsi węglík, padło kilkadziesiąt sztuk bydła i koni, mnie też padła klacz w same żniwa. Drugiej bałem się kupić, ażeby nie zrobiła to samo, męczyłem się bez konia przeszło dwa miesiące, ale cprawda to nie miałem i za co kupić. Brałem od braci, bo jak wspomniałem jest nas we wsi pięciu, ale u dwóch to samo nieszczęście było. Podałem do rządu prośbę o zapomogę, ale do tego czasu nie mam odpowiedzi i wątpię bardzo, czy się co wykołacze. Zima już blisko, trzeba kupić opału, cieplejsze ubranie, obucie dla siebie i dzieci. I skąd na to wszystko brać? Zarobków żadnych niema, a podatki nic nie mniejsze, tylko jeszcze nowe nastaju, słowem, że życie na wsi strasznie ciężkie.

Su ludzie, co mówią, że chłopu na wsi dobrze i ma mąkę, kaszę, mleko, jajko, nie potrzebuje nic kupić. A ja na to odpowiem, że może i ma, ale nie zje, tylko wszystko oddaje za bezcen, aby tylko kupić niezbędne rzeczy, a o kupnie morgi to niema co i myśleć. Życie potrochu zamiera; mało się żeni, i mało rodzą, bo cprawda to po

co ten wiejski człowiek przychodzi na świat, kiedy on nic dobrego nie użyje i jest pogardzany od wszystkich, ale to dlatego, żeśmy ciemni i niezorganizowani. Na tym kończę mój opis, może niedokładnie wszystko opisałem, ale prawdę.

Dn. 26 listopada 1933 r.

Małorolny gospodarz w pow.
hrubieszowskim

Ojciec mój nie miał swej własności, gdyż jako syn powstańca z 63 roku, po upadku którego ratował się ucieczką z Kaliskiego na Wołyń unikając w ten sposób zsyłki na Sybir. Ja urodziłem się na Wołyniu i nie otrzymałem po ojcu żadnego spadku. W roku 1918 wstąpiłem do Wojska Polskiego jako ochotnik, gdzie przesłużyłem cztery lata w tem dwa lata na froncie.

Po powrocie z wojska w 1926 r. ożeniłem się w Horodle, gdzie założyłem sobie małe gospodarstwo w tej nadziei, że teraz w Wolnej Polsce nareście będę mógł czegoś się dorobić nie tak jak za czasów zaborców, przez których ojciec mój był skazany na tułaczkę. Po kilku latach pracy i oszczędności zaoszczędziwszy 1000 zł. kupiłem dwie morgów ziemi za 4500 zł. zapożyczając się na 3500 zł. na 4% miesięcznie. Dług ten był dla mnie bardzo ciężki, bo same procenty wynosiły 140 zł. miesięcznie.

Tak męczyłem się przez kilka lat odejmując od ust dzieciom, żonie i sobie, to co sobie żaden człowiek odmówić nie powinien, a ja musiałem. Lecz muszę przyznać że jeszcze w te czasy należałem do szczęśliwców w porównaniu do chwili obecnej, gdyż miałem pracę w cukrowni „Strzyżów”. Później przyszedł nieubłagany kryzys, a z nim i redukcja. Długu w całości nie zdążyłem spłacić, którego pozostało mi jeszcze 500 zł. a ziemia moja obecnie jest warta 1200 zł.

Obecnie mieszkam w domu ojca mej żony, gdyż własnego nie posiadam. Z inwentarza posiadam krowę i kilkanaście kur, który to dziś utrzymuję w 50% moją rodzinę.

Rodzina moja składa się z trojga dzieci i żony. Za żoną nie otrzymałem żadnego posagu, gdyż rodzice jej posiadają dwie morgi ziemi własnej i pięcioro dzieci.

W naszej osadzie niema miejsca na spędzenie wolnych chwil od pracy, przez co człowiek siłą rzeczy musi siedzieć w domu. Dzieci moje są jeszcze nieletnie.

Ziemia moja (dwie morgi) przy obecnej cenie płodów rolnych daje mi około 250 zł. rocznie brutto. Z tego odchodzi na koszty robocizny jak to: obróbka pola, nasiona, sprzęt z pola i omłot około 138 zł., różne podatki gruntowe 18 zł., nieprzewidziane grzywny 40 zł., razem 190 zł., po odjęciu od 250 zł. pozostaje mi z ziemi 60 zł.

Na przeżywanie mej rodziny licząc bardzo skromnie, jak się obecnie odżywiamy, potrzeba rocznie: 50 kg. soli, 26 kg. słoniny, 12 kg. mięsa, 6 kg. cukru, 7 litr nafty, te artykuły niezbędne musi się dokupić. Do tego dochodzi jeszcze chleb, kartofle, kapusta, mąka i kasza. Te artykuły częściowo mam z własnego gospodarstwa, a częściowo dokupić potrzeba, na co rocznie ogółem wynosi 430 zł. 70 gr. Za 60 zł. mam własne, a na 370 zł. muszę zapracować i dokupić. Pracę otrzymuję u bogatszych sąsiadów rolników i to zaledwie przez 170 dni w roku licząc po 1,50 zł. dziennie (czasami i żoną chodzi na zarobek) uczyni 255 zł., pozostałe 115 zł. otrzymuję ze sprzedaży nabiału i jaj. Muszę zaznaczyć, że mięso i cukier jest u nas używane na uroczystości i w czasie choroby. Czytelnik mego listu, gdy weźmie pod uwagę mój dochód i rozchód na utrzymanie rodziny, łatwo może sobie wyobrazić moją egzystencję oraz możliwość czytania gazet i książek (gazety się czyta jak wypożyczy p. nauczyciel). Jednocześnie wyjaśniam, że zarobione 255 zł. otrzymuję prawie w 100% w naturze, gdyż rolnicy nie mają gotówki.

Żadnych wyrobów fabrycznych obecnie nie kupujemy, bo nie mamy za co. Ubranie nasze to 50% łątek. Buty też przerabiamy ze starych na nowe z drewnianymi podeszwami jak w czasie światowej wojny. Kupić potrzeba już nam jest bardzo wiele rzeczy, tak że nie sposób jest nawet wymienić wszystkiego.

Teraz nie należę do żadnych instytucji społecznych, gdyż takowe pobankrutowały i pozostało mi tylko dopłacać do udziałów.

Mieszkanie w którym mieszkam ma $4 \times 3,50 \times 2,70$ m. wys., a na umeblowanie składa się dwa łóżek i stół i to wszystko już kilkakrotnie opisane przez sekwestratora za różne grzywny. W roku 1927 wykonywałem w gminie pewną robotę, za którą biorąc gotówkę nie przykleiłem znaczka stemplowego za 20 gr., a na który gotówkę mi potrącono, obecnie mam płacić pięć zł. grzywny, 1,50 za upomnienie, 1,50 zł. koszty zajęcia razem 8 zł. Takich kawałków mam kilka i prócz tego i inne jeszcze, razem na 40 zł. Dziś jak się zobaczy

sekwestratora albo sołtysa, to na człowieku skóra cierpnie, bo tych gości więcej się obawia jak podczas wojny nieprzyjaciela, bo przed temi obronić się nie można, jeden przynosi ci upomnienie, a drugi zabiera graty z chałupy. Naprzykład miałem taki wypadek. Przychodzi do mego teścia sekwestrator po jakiś tam podatek obrotowy za 1927 r., którego oczywiście nie było i po sprawiedliwości nie należało się płacić, zaczął zapisywać rzeczy, a ponieważ mieszkamy z teściem pod jednym dachem więc zaczął od moich jako więcej wartościowych. Nie pomogły prośby i tłumaczenie, że to są moje, a nie tego kto winien podatek. P. sekwestrator powiedział że go to nic nie obchodzi do kogo dane przedmioty należą, on robi swoje, a ja mogę robić wyłączenie. Poszedłem do samego naczelnika Urzędu Skarbowego w Hrubieszowie, który mnie poinformował jak mam robić to wyłączenie. Przedstawiłem dwóch żądanych świadków, którzy zeznali w Urzędzie, że to są rzeczy moją własnością, które sam osobiście kupiłem i nie pochodzą z posagu mej żony, z jakiego materiału zrobione, kolor, gdzie kupiono, za jaką cenę, kto robił i czy nie płacę teściowi za komorne i t. p. Wszystko było pg. wszelkich prawideł i form urzędowych zeznane i wszelkimi dowodami poparte. Urzędnik ten, który tę sprawę załatwiał i protokół spisywał sam powiedział, że wszystko jest w porządku i że mogę być spokojny, gdyż sprawa jest tak formalnie załatwiona, że wyszle polecenie do Urzędu Gminy w Horodle, by mi oddano rzeczy.

Jakież było moje zdziwienie kiedy po dwóch tygodniach otrzymałem z Urzędu Skarbowego w Hrubieszowie pismo z dn. 19. IX. 1933 r. L. 46555, „że podanie moje nie może być uwzględnione a to z braku podstaw”. Takich wypadków było kilkanaście w naszej gminie i nikt nie był w stanie dać dostatecznych podstaw. Zajęte u mnie rzeczy nie są bynajmniej żadnym luksusem, bo się składają z ostatniego mej żony palta, poduszki i starego kilimu-pasiaka, którym nakrywało się łóżko.

Mówiłem p. naczelnikowi, że to są rzeczy codziennego użytku i to ostatnie, że prasa podaje do wiadomości, iż podobne rzeczy nie podlegają zajęciu. Więc p. naczelnik powiedział, że go nic nie obchodzi co podaje prasa, bo on ma swoje rozporządzenie i do tego się stosuje. Człowiek mieszkając na zapadłej wsi naprawdę nie wie kto go w błąd wprowadza, prasa co podaje rzekome rozporządzenia p. Ministra, czy p. naczelnik Urzędu Skarbowego. Wiem tylko tyle, że rzeczy zajęte u mnie mają być z licytacji sprzedane a raczej zmarnowane bo za pięć zł., których nie będę w stanie wykupić, a tymczasem żona nie ma

w czem wyjść na świat Boży. Zanim te rzeczy dojdą do licytacji, to napewno myszy je potną lub zegniją, tak to już nieraz miało miejsce, tak że i pięć zł. nikt nie da i dług pozostanie po starem a przybędą koszty licytacji.

Takich czasów nie pamiętam nietylko ja, ale i starsi ode mnie ludzie. Wprawdzie mówią, że kiedyś była pańszczyzna, że musiano iść do pana pracować, ale to tylko pracować, bo nie żądano tego, czego ktoś nie mógł dać lub nie miał. Dziś niejedyn z nas chętnie poszedłby do Urzędu Skarbowego pracować, by odrobić swój podatek, ale niestety mówią, że teraz wogóle niema żadnej pracy. A więc niema pracy, nie będzie kołaczy — mówi stare przysłowie. Każdy z nas rozumie, że Państwo nie może istnieć bez podatków, ale to podatków sprawiedliwych, a nie takich jak się obecnie praktykuje, że grzywny różne przewyższają kilkakrotnie sam podatek.

Po wojnie przez kilka lat, gdy ludzie mieli pracę, a rolnik otrzymywał za swe płody dobrą cenę, więc zarówno wielkorolny jak i małorolny starał się o podniesienie do najwyższego stopnia kultury swój warsztat pracy, stosując różne ulepszenia jak również dbał o estetyczny wygląd swego domu i siebie samego. Dziś przy tym chaosie automatycznie wszystko odpada, nie dba rolnik o swój warsztat pracy, bo mu żaden nakład się nie opłaca, nie kupuje żadnych sprzętów do domu choćby i było go na to stać, przez obawę by mu je sekwestrator nie zajął.

Na płacenie podatków rolnik musi mieć czas i możliwość ich płacenia, a nie jak się to dzieje obecnie. Zaraz po żniwach zjeżdżają sekwestratorzy do wsi przeważnie za różne przeróżne koszty, grzywny, procenty i tym podobne, których niesposób jest wyliczyć na tym papierze. Wtedy siłą rzeczy każdy rolnik musi sprzedać swoje płody na pokrycie na nim ciążących powinności. Wskutek większej podaży na rynek zboża spekulanci momentalnie obniżają cenę tegoż do minimum. Weźmy dla przykładu rok bieżący, jakie mamy ceny: żyto 11 zł., pszenica 17 zł., owies 8,50, jęczmień 9,50 zł., kartofle 2 zł. wszystko za 100 kg.

Nic dziwnego, że rolnikowi wystarczy zboża zaledwie na podatki, a na przeżywienie rodziny, inwentarza i na siew trzeba iść do pana żydka by skredytował do nowego. Jak żydek jest grzeczny to da na kredyt, ale liczy ceny swoje i tak np. za żyto 26 zł., pszenicę 36 zł., owies i jęczmień po 18 zł. za 100 kg. plus procenty, razem wypadnie po żniwach oddać 300 kg. za 100 kg. wypożyczonego zboża. Jednym słowem rolnik jak ten wół przez całe swoje życie musi pracować na

różnych spekulantów a sam jak nie miał, tak i nie ma. Takich wahań w cenach zboża przed wojną nie było jak obecnie.

Nie wspomniałem tu jeszcze o różnych wypadkach chorób i t. p., które prawie, że nikogo nie szczędzi, to też w takim wypadku idzie się do żyda i bierze na nowe bo potrzeba na doktora i lekarstwa. Dziś ten należy do szczęśliwych który dostanie od żyda tej łaski, bo jeżeli nie, to musi rodzić się i umierać bez pieniędzy i doktora co się coraz częściej zdarza.

Wobec powyższych faktów rolnik zmuszony jest wyrzec się wszystkiego, a nawet nie wyłączając cukru, który tak „krzepi” bo go na to nie stać. Zmuszony jest człowiek-rolnik cofać się do prastarej kultury siejąc len i konopie na zgrzebne ubranie dla siebie i swej rodziny, być samemu szewcem i krawcem w myśl zasady „samowystarczalność”. Jeździmy po 200 klm. końmi, bo kolej jest dla nas niedostępna.

Co się zaś tyczy widoków na przyszłość to niby jakie widoki lub zabezpieczenie na starość może ktoś z nas mieć, kiedy żadnych związków nie mamy, nigdzie się nie ubezpieczamy ot tak sobie my małorolni i bezrolni żyjemy, lepszych czasów wyglądamy i codzień śmierci się spodziewamy.

Tego wszystkiego co się dzieje na wsi niesposób jest na jednym arkuszu opisać, ale muszę się liczyć z tym, że mam tylko 30 gr. wobec tego więcej pisać nie mogę. Może ktoś bogatszy napisze więcej.

Dn. 26 listopada 1933 r.

Średniorolny gospodarz, obecnie na skomasowanej osadzie w pow. wysoko-mazowieckim

Kreślę od 1873 mając lat 9 w tym roku poszedłem do szkoły, początki miałem od mamusi, stąpiłem do tak zwanej starszej parwy, na drugi rok przeszedłem do pierwszego oddziału, na trzeci rok do drugiego, na czwarty rok do trzeciego oddziału i skończyłem naukę. Nauczyciel p. Trzaska posłał nasz trzech uczni do gimnazjum w Łomży w 1877 roku i my ze szkoły trzech oddziałowej zdaliśmy egzamin do czwartej klasy, dalej nie chodziłem do gimnazjum dlatego, że nie było sposobu, gospodarka była pięciomorgowa, i ojciec był słabowity, więc wziął mnie do pomocy w gospodarstwie. A czego się uczyli w tej naszej szkole to zaraz opowiem. Polski język, czytanie i opowieść, gramatyka, geografja, gospodarstwo, katachizm, historia starego i nowego zakonu na pamięć i rachunki, z łaciny czytanie, gramatyka i tłumaczenie z łaciny na polski, z ruskiego czytanie raskazy, gramatyka, geografja o częściach świata na pamięć, historia Rosji, gospodarstwo, zadanie drób dziesiętny. ułamkowy, II i III oddział uczył się niemieckiego. Poprawdzie powiem, że polskiego języka było zbroniono, ale uczyliśmy się z apetytem. A co do dyscypliny to i w wojsku nie było takiej srogiej, każdy dzień wstępował uczeń w próg szkoły to był obejrzany, czy panokcie ma krótkie, w uszach czysto, czy buty czyste, ten co oglądał był naznaczony ze starszych uczni i zaraz wychodzili po parze do kościoła na Msze św. kto się spóźnił, lub był bez książki do nabożeństwa, lub rozmawiał w kościele, to był zapisany ze starszego ucznia, to jak ksiądz przyszedł w sobotę na katechizm, to miał podany katalog, kto jak z uczni w kościele się sprawował, był wywołany na środek szkoły i dostał pięć różek na gólkę. Do szkoły chodziło uczni 150 do 200 i jeden nauczyciel uczył i wiedział, któ-

ry uczeń lekcje umie, a który nie umie. A teraz jak uczą tylko zabawiają się, a rząd darmo płaci, bo jak uczeń skończy V oddziały to i kartki jak z gminy przyjdzie to nie przeczyta.

A dalej od 14 lat chodziłem do dworu na zarobek, latem do kosa, do cieśli, płata była 50 kop. latem, a zimą po 20 kop. wypłacał dziedzic co dwa tygodnie, ja jak wziąłem wypłatę to oddawałem ojcu i ojciec my udzielił z tej wypłaty 30 kop. i tak zarabiałem do 21 roku i w temże roku poszedłem do wojska, jak wychodziłem do wojska to z tych 30 kop. uzbierałem sobie na droge 25 rub. i już od ojca nie ządałem, służyłem w wojsku sześć lat. Oj dobrze my w wojsku było dobrze, zaraz w pierwszym roku poszedłem do podoficerskiej szkoły na sześć miesięcy. Zdałem egzamin pierwszej kategorii, w dwa lata awansowałem na podoficera, w trzecim roku byłem feldfeblem, w piątym roku poszedłem w Junkerskie szkoły na sześć tygodni, awansowałem na podpraporczyka, ale spełniałem obowiązek feldfebla do końca służby, choć pułkownik chciał żeby ja się ostał na drugą służbę, ale mój honor nie pozwalał i tak przyjechałem do domu, ojca już nie zastałem tylko mamusię. Było trzech braci dorosłych, jedna siostra i co robić na takiej gospodarce pięciomorgowej, pobyłem w domu sześć miesięcy i pojechałem do Warszawy, podałem się do kantoru służby i zaraz postąpiłem do rzeźnika sklepowego p. Hamera na Marszałkowskiej na ekspedjenta czternaście rub. miesięcznie, pobyłem trzy miesiące i mamusia napisała list, żeby ja natychmiast przyjechał, bo brat marnuje gospodarstwo sprzedaje las i co jest do życia i ja przyjechałem do domu zastałem dwóch braci, a młodszy 15 letni brat postąpił do gospodarza na służbę i siostra także posła w służbę, więc co robić w karnawale trzeba się żenić i dotrzymać ojcowizny, a było siedmioro rodzeństwa, czterech synów i trzy córki, byli już i zameźni, popierają o spłatę, w karnawale 1889 r. żenię się, pojąłem żonę pracowitą, posagu postąpił teść 200 rubli, a jak to posag nie prędko można go wziąć, a brat dwa lata ode mnie młodszy na karku siedzi i w rok znowu żeni się i posagu bierze 300 rub. i to gotówką, przy opatrach godzi się mnie spłacić, daje my 100 rubli, ale ja zauważyłem, że brat ojcowizny nie dotrzyma, więc ja nie przystaję, w tydzień po ślubie brata ja spłaciłem jedno siostrę, a brat drugi 5 lat młodszy ode mnie pojechał do Warszawy na obowiązek, a ten żonaty dzieli się gospodarką ze mną, ale nie chciało mu się pracować, posag bez jeden rok przeprowadził i swoją część sprzedał siostrze zameżnej i po-

jechał do Warszawy i ja się sam został na gospodarce, poprawdzie mam dwie części, ale pięcioro do spłaty i popierają o spłatę, a tu mamusia zachorowała, niedługo leżała i pomarła, poprawdzie już była w latach: powiem prawdę, ze księża tak nie darli za pochowanie, jak w obecne czasy, bo wyprowadzenie z księżem i na katarfalu Msza Św. i do grobu całe pochowanie kosztowało 15 rubli, a teraz takie pochowanie kosztowałoby conajmniej 100 rubli. Poprawdzie za ruska było naznaczono co księża mają pobierać, a teraz co jem się spodoba to drą. Po mamusi ostała się jedna krowa i ta jak miała poród to upadła, a tu byli drobne dzieci, ja kupiłem krowe z mlekiem i ta pobyła u mnie dwa tygodnie i upadła na paśnik, ja kupiłem drugą i trzecią te na paśnik poupadali, aż kupiłem dwie jałoszecki i dochowałem się krów, także w mojej bytności na gospodarce ukradziono my dwoje koni, dlatego ja z rogacizny i z handlu pospłacałem rodzieństwo, a może kto zapyta się jakim handlem trudniłem się? Oto opowiem, jak gospodarstwo obrobiłem to kupywałem las działkami u gospodarzy, w jesieni sprzedawałem za polanom i sam woziłem do miasta żydkom, dobrze zarabiałem, a zimowo poro kupowałem wieprze ślachtowałem, sprzedawałem mięsa i słonine na targach po miastach, dobrze zarabiałem, robiłem konkurencje żydkom rzeźnikom, ja pierwszy w Wysokiem Mazowiecku był stołkowym rzeźnikiem, za rok pojawiło się więcej, a żydki rzeźnicki aż mgleli, że nie mieli zbytu na swoje mięso nawet wyborowe, rzeźnicki licyli się, a nie tak derli, jak teraz, w jesieni woziłem kartofle wagonami do Warszawy i tak spłata famielijna kosztowała z rejentem 568 rubli i prędko mogłem zebrać, bo niecałe trzy lata mogłem zebrać. Ale teraz niech sprobuj spłaci z takiej małej gospodarki albo handel poprowadzi, to zginął na miejscu, pytanie a dlaczego? Prosta odpowiedź bez patentu ani rusz, obrotowe, dochodowe, placowe, wjazd, świadectwo do sprzedaży jednorazowe u p. starosty 3 zł. 30 gr., oględziny w bojni 6 zł. 30 gr., a placowe jeden zł., wjazd 20 gr. i już rób konkurencję, a rzeźniki sklepowe z wyrobem ceny górują, bo stołkowy upadł, nima komu konkurować. Za Rusa było inaczej bardzo wolno kto jakim mógł handlem to się trudnił i nie opłacał żadnych patentów, jak wieprza zaślachtował, zawiózł do miasta przed doktora weteryjnego ten obejrzał, za obejrzenie zapłaciłeś 10 kop. i już na targu sprzedawaj, tak że można było dwa wieprze tygodniowo sprzedawać, a teraz jeżeli gospodarz z potrzeby żąda zaślachtować wieprza i usprzedać na podatek, a reste sobie

i to roczne święto, to musi składać podanie do p. starosty, jak nie umie pisać zapłaci pisanie 2 zł., marki do podanio 3 zł. 30 gr., ogledziny 6 zł. 30 gr., placowe i już po jednej połowie wieprza może spłacić rodzinę, albo jak teraz zechce kupić kawałek mięsa lub słoniny to handlarz, który wyrób prowadzi dyktuje ceny jak mu się spodoba, w taki sposób musi być kryzys, albo jak handlowałem kartoflami to od Szepietowo stacji płaciłem 18 rubli do Warszawy, wagon syp. 150 korcy i mogłeś zarobić. Warszawa miała tańsze i famielji można coś zawieść, ale teraz spróbuj. Często jeździłem do Warszawy, bo kolej tam i spowrotem kosztowała 1 r. 80 kop., zarobki byli w całej pełni, kto tylko chciał to mógł zarobić.

W 1897 r. i 1898 r. w tych dwóch latach był okropny nieurodzaj, żyto, pszenica, jęczmień, kartofle przepadli tylko sama miotła, tylko po piaskach kartofle uleźli, pamiętam raz, jak byłem na targu miał gospodarz ćwierć korca, żądał od kobiety trzynaście rubli, a ta kobieta miała tylko dwanaście, a gospodarz nie chciał ustąpić i odwinął się od swego wozu, kobieta położyła pieniądze pod wiązki i groch na plecy poniosła, a gospodarz spostrzegł doznał, przyprowadził do furcy i woła policjanta, jak policjant przyszedł, to rozpowiedziała jak było i ukazała te dwanaście rubli pod wiązka, a do tego tej kobiety był mąż chory, sześcioro dzieci wołali jeść, więc ja obstałem, bo znałem jej położenie i rzetelność, więc policjant protokołu nie robił, namówiłem gospodarza, żeby wziął dwanaście rubli i kobieta poszła z grochem. Kasa kukuryzowa i jaglanki było, pamięta się, że dam żonie dwadzieścia rubli i przyniesie w fartuchu i idzie cało droge i licy za co oddała te dwadzieścia rubli. Tylko dziękowali Panu Bogu ludziska, że w tych dwóch latach był zarobek, bo prowadzili siose od Białegostoku do Zambrowa, to zarabiali ludziska, ja sam wziąłem podrad do obróbki bali na mosty, dobrze zarabiałem i ludzie przy mnie, biedy nie było, kokurydzy się nie jadało, żeby tak broń Panie Boże teraz to pytanie. Zona powiła jedynaście dzieci, z tych jedynastu uchowało się tylko czworo, a resta poumierali małemi, dość było chrzynków i pogrzebinków, a z dwunastem się zepsuła, ja w te pore byłem w polu, przychodze na obiad, dzieci byli w szkole, a zona leży jak nieżywa we krwi, ja natychmiast po babkie, bo nie wiem co się stało, przyszła babka mówi, że poroniła, a mgleje co minuta, natychmiast pojechałem po doktora i opowiedziałem całą rzecz, byłem bardzo zmartwiony, doktor mnie pocieszył napisał

recepte i mówił, że bez niego się obędzie, tylko zapytał się czy zna-
na akuszerka i kazał dobrze odżywiać, ja przywiozłem lekarstwo,
jak użyła przestali mgłoci i ustał krwotok, w przeciągu czterech
tygodni żona wstała z łóżka, tylko dostała siły od jaj i dobre mle-
ko. Jak doczekałem się synów i córki to odżyłem, bo dzieci byli
bardzo dobre, życzyłbym każdemu mieć takie dzieci. W 1912 ro-
ku sprzedałem gospodarkę po rodzicach pięciomorgową, a kupiłem
na drugiej wsi ośmiomorgową, bo jest komu pracować, ta kupna
gospodarka była bardzo opuszczona, to zapłaciłem to co i wzią-
łem po rodzicach, doprowadziłem do porządku, na początku 1914 r.
kupiłem cztery i pół morgów lasu z ziemią za 650 rub., przera-
bałem las za drzewo, już w wojnę wybrałem 450 rub., tak że rzad-
szy las i ziemia ostała się w 100 rub., już gospodarka powiększyła
się. Starszy syn poszedł do wojska w 1913 roku, w rok wybuchła
wojna światowa, a tu drugiemu już 19 rok, za rok we wrześniu
zabierają drugiego, ja się ostaje przy jednym synie, który ma 9 lat
i córce 13 lat, teraz się popróbuj, handel już upada trzeba koło gos-
podarki pracować, a przeważnie przez całą wojnę byłem sołtysem
i przed wojną byłem 16 lat sołtysem.

Piszą syny listy, że są zdrowi to jeszcze pocieszałem się, że mo-
że przyjdą zdrowi, a przez półtora roku już od synów listów nie mia-
łem, bo byli Niemcy u nasz, w 1915 roku kiedy już Niemcy blisko
naszej wsi byli, to w naszej wsi stał ruski korpus 21, to był bar-
dzo duży popłoch, na wsiach byli pogłoski, że jak Niemcy przyjdą
to będą gwałcić, męczyć przeważnie niewiast, ja jak sobie posta-
nowiłem, że ze wsi nikt nie wyjedzie do Rosji i tak się stało. Kie-
dy sztab korpusu miał tej nocy wyjechać, a Niemcy mieli nastą-
pić to o godzinie czwartej popołudniu kozacki starszy podoficer na-
znacza pięć kozaków, jak będzie korpus uciekał tej nocy, to żeby pod-
paliły wieś i folwark, ja jak raz w te porę byłem, jak on naznaczał
to, aż dreść po mnie poszła, w tej chwili poszedłem do obywate-
la tego majątku i mówię mu, że pański majątek będzie tej nocy
spalony i wieś, a on mnie odpowiada, że załatwił się z kozackim puł-
kownikiem, ale ja mu przedłożyłem pójść do korpusnego generała
i on się zgodził, podchodziem, ale u wrót stoi warta, nie puszcza,
na szczęście, że nadbieg adjutant korpusnego zapytał się o co rzecz,
ja odpowiedziałem i kazał pójść, kiedy my się przybliżyli to ge-
nerał zapytał czego ządamy, ja po rusku mu wytłomaczył, że ko-
zaki są naznaczone do podpalenia majątku i wsi, a on nam od-

powiada, że dużo macie chleba w stodołach, więc Niemiec będzie korzystał, mus spalić, na szczęście ja miałem rozkaz, dostałem w gminie od Głównodowodzącego wojskami Mikołajewem, rozkaz brzmiał tak, jeżeli gospodarze zamieszkują wieś nie wolno podpałać pod karą śmierci i ja pokazałem generałowi, to on się okropnie zadziwił, że taki rozkaz jest, zawołał pisarskiego feldfebla i zapytał się go czy jest taki rozkaz. Fedfebel odpowiedział pewnie jest, poszedł i przyniósł taki sam, rozkazał generał natychmiast dać rozporządzenie po wszystkich pułkach korpusu, a mnie chciał dać rozpiszkie, że majątek i wieś nie będą spalone, ale ja poprosiłem, że jak odejdzie korpus, żeby zostawić pięciu kozaków, żeby mieli baczność żeby nikt nie podpalał i tak się stało, kozaki dotąd byli aż niemiecki objazd pokazał się, majątek i wieś ocalały. Rano o godzinie szóstej Niemcy przysli do naszej wsi, byli bardzo przyjemni, ale i głodne, wszystko kupowali chleb mleko i płacili, owoce opadki prosili żeby pozwolić zebrać, gotowali z tych opadków zupę, po dwóch miesiącach to naznaczali na każdą wieś kontyngient ze świń, bydła, masła, jaj, płacili, ale nie tak dużo no dawali cukier, sól, naftę bezpłatnie, rzetelne to byli, tylko wymagalne. Razu jednego szedłem do miasta, wchodząc na ulicy spotkałem się z niemieckim kapitanem na ulicy, kilka minut tenże kapitan powraca z powrotem, minął mnie już to było na placu Targowem, podchodzi do żydka i bierze od niego chusteczkę z ręki i jak mu da z jednej strony i z drugiej po gębie, aż się żyd potoczył i tłumaczy mu poco brałeś jeżeli mnie wypadła, to ja się wrócę i podymę, a ty chciałeś ukraść, co do cynności urzędowej bardzo byli sprawni i pracowici, ja nosiłem podatek to był kasjer i jeden urzędnik, jak się zeszło 20 sołtysów, to pół godziny już wszyscy załatwione, dotąd nie poszli aż załatwili. W 1918 roku brałem czynny udział w rozbrojeniu, dużego oporu nie stawili, sami oddawali z wartów broń. W tymże 1918 roku przy końcu listopada przychodzi syn młodszy z wojska z Rosji, był zdrow dobrze wyglądał tylko w rękę trochę był ranny, bardzo mnie ucieszyło, range miał podporucznika i pobyl w domu jeden rok i postąpił do polskiego wojska, był w swoleżerskim pułku, po skończonej wojnie z bolszewikami ostał się w Warszawie, postąpił w policję ostał dzielnicowem. W 1921 roku ożenił się, pożył z żoną cztery lata i pomarł, osierocił żonę i dwoje dzieci. Tu straszny cios spotkał mnie, nigdy tego nie mogę zapomnąć, bo dla rodziców był bardzo dobry, poprawdzie zona dostała jednorażową zapomogę, ale dzieci osierocił. A starszy syn nie powrócił

z wojny, posyłałem obiegnik niewiadomo gdzie zginął, dla rodziców wielkie umartwienie. Powracam się do 1920 roku, jak wešli do naszego kraju bolsiewicy, przychodzą obdarte, głodne, jak wściekle latają za chlebem, biorą konie, wozy, zajmują ludzi na furmanki i krzyczą idziem na Warszawu, młóca po folwarkach pszenicę, zakładają swoje rządy i u mnie wzięli konia, a na polu była wszystka jarzyna, jak zwieść? Posła moja żona z płaczem, żeby oddali konia, a bolsiewiki mówią, czego ty babo płaczesz i leżał koń bardzo zmordowany, tak weź babo tego konia i zegnali go i żona przyprowadziła, ja puściłem na trawę, koń się odgryz odpoczął i można było robić, trzeciego dnia przychodzą drugie, chcą zabrać tego konia, ale ja powiedziałem poczekajcie u nas we wsi niema ani jednego konia, z polów nie zwieźli, ja napisę podanie do komisarza powiatowego, poproszę, żeby ostawił do sprzętu z pól i oni zaniechali, ja napisałem podanie, a żona zaniosa i komisarz dał rozpiskę, żeby z żołnierzy nikt nie ważył się brać go i jak który bolsiewik przydzie brać, to ja pokażę rozpiskie to ucieka jak oparzony i pozwolili sąsiedzi i nawet z drugiej wsi wozili. Ale sobie bardzo dużo kłopotu narobiłem z tego podania, prośbę posyłałem w piątek, a w niedzielę zebraliśmy z całej wsi przeważnie kobiety, bo mężczyzn nie było, poślimy do kościoła na nabożeństwo pomodlić się, żeby jech Pan Bóg jaknajprędzej wyniósł z naszego kraju, po skończonem nabożeństwie ide do domu, a tu goni mnie dwóch kozaków ze znajomem gospodarzem, zwracają mnie do gminy, jak poszedłem do gminy to jakiś starszy z kozaków bolsiewik mówi mnie, że ja jestemznaczony komisarzem rewkoma przez komisarza powiatowego i podkłada protokół do podpisania. Ja się odkazuje i mówię mu, że jestem chory na serce, a on mówi charaszo, siadajcie na furmankę pojedziecie do doktora, jak uzna wasz bolnym to nie będziecie, a jak powie, że jesteście zdrowi to pójdziecie na sąd za odkłonienie od służby. Ja już wsiadłem na furmankę, jak zobaczył bywszy wójt p. U. to przyszedł do mnie i mówi przyjąć, bo jeżeli doktor uzna zdrowym to źle będzie, a przecie nas dużo będzie, ja samznaczony jestem za sekretarza, to jakoś będziem sobie radzić i ja zlął z furmanki i podpisał przyjęcie protokół. Na drugi dzień, ja nie poszedłem, aż przyjechał stojkowy, ale ja nie pojechałem, bo byłem w polu, a bezemnie nikt nic nie robił, na drugi dzień ja sam poszedłem, byli różne zatargi, bolsiewiki z gospodarzamy, ja z sekretarzem i dwóch ławników roztrzygali zatargi zawsze po stronie naszych, bolsiewiki się do nas

nie mieszali, dużo uratowaliśmy naszech gospodarzy. Przez dwa tygodnie naszych rządów nikt nie był pokrzywdzonym. W majątku w tej samej wsi co ja byłem służba buntowała się nie chciała pracować i na ozimek orać, ja zebrałem służbę i mówiłem, że bolsiewicy długo u nas nie będą, wy musicie pola obsiać, bo co będziecie jeść na przyszły rok, bolsiewicy wam nie dadzą, bo jech tu nie będzie, posłuchali się i poszli w pole orać na ozimek i jak raz za kilkanaście dni uciekali, pamiętam to było w piątek, a w niedzielę polskie wojska przyszli. Przysłowie staropolskie za dobry uczynek nigdy dobrem nie zapłaci i tak się stało ze mną, przyszło nasze wojsko mały oddziałik z porucznikiem na folwark i dwóch żołnierzy z podoficerem, przyszli do stodoły ja młóciłem żyto na nasienie, byłem zagrzany, nie dali się odziać zabrali mnie na dziedziniec folwarku i kazali usiąść na trawie i tak siedziałem z godzinę, po godzinie przychodzi oficer i pyta ty byłeś komisarzem bolsiewickim, ja odpowiedziałem, że byłem i kazał mnie iść do domu odziać się i przyjść, bo arestują i tak się stało, zaprowadzili do Wysokiego Mazowiecka, wsadzili do arestu bez żadnego tłumaczenia, oj ucierpiałem na tem dziedzińcu, zmarłem, bo było bardzo zimno, a ja byłem tylko w koszuli, a w areście byli pogłoski, że takich rozstrzelają, ale jeden obywatel z majątku Michałki ś. p. Moczulski przyjechał do powiatu, jak się dowiedział, że ja arestowany dał o mnie opinię i ręczył się całym majątkiem swoim, ale dużo podpisów wsie przysłali o niewinności mojej i byłem wypuszczony przez żadnego zeznania trzeciego dnia. Żał miałem okropny, że niewinnie mnie ktoś ocernił, ale kto w Boga ufa Bóg go nigdy nie opuści. Dalej byli wybory do Sejmu, przez gminę naznaczony byłem przewodniczącym, wybory były bardzo spokojne, choć ja należałem do P. S. L., w drugich wyborach byłem zastępcą. W 1921 roku w lutym pojechałem po wsiach blisech i namówiłem gospodarzy żeby stworzyć Związek Stowarzyszenia Spożywców i założyć w Wysokiem Mazowiecku sklep pod nazwą „Snop” i tak łatwo poszło, bo na zebraniu w jednej wsi zapisało się członków 80 i dali wkład po 500 marek, w przeciągu dwóch tygodni zapisało się członków 240, już jest 120 tysięcy dlatego, że kilku założycieli dali po 1500 marek. Na ogólnem zebraniu powołali Zarząd i Radę z pośród siebie, Rada i Zarząd wybrał mnie prezesem Zarządu i kierownikiem, ja wraz z Radą wynająłem dom na sklep ze sklepem urządzeniem, zawierliśmy kontrakt i pojechałem do Warszawy po książki sklepowe, buchalteryjne i przywożłem towaru. 1 marca sklep poszedł

w ruch, posłałem do Okręgowego Sądu Łomża o zatwierdzenie go i tak byłem przez dwa lata. „Snop” się powiększył, bo w przeciągu dwóch lat dorósł do 989 tysięcy marek, przy końcu drugiego roku mogłem dać członkom dewidendy od obrotów na Boże Narodzenie po jednym kilu cukru każdemu członkowi bez uszczerbku sklepu. W trzecim roku w lutym na ogólnym zebraniu przy budżecie także wybór do Rady i Zarządu, ja poprosiłem zebranie, żeby mnie dalej nie wybierali, ja się zwalniam, nie pozwalało mi podług gospodarki, bo upadała tak, że ja przez jeden rok pracowałem w Stowarzyszeniu bez wynagrodzenia, dlatego, że żądałem żeby Stowarzyszenie się powiększyło. Na drugi rok bardzo małe wynagrodzenie, bo 50 marek tylko na życie miesięcznie. Na trzeci rok wybrany był z członków H. Grabowski prezesem zarządu, powołał sobie sklepowego nowego, bo ten co ze mną był to wraz ustąpił, Grabowski nie był dobrze obeznany, nie umiał prowadzić. Trochę się zadłużył i w pół roku wybrali na nadzwyczajnym zebraniu z agitacji, który był mówca ale i krętacz, był prezesem Zarządu, kierownikiem, a żonę postawił za sklepową, w przeciągu dwóch lat powiększył Stowarzyszenie, założył dwa filje piekarnie, sło nieźle. W r. 1924 przewalutował marki na złote na tem dobrze skorzystał, powiększył wkłady do 25 zł., niektórzy członkowie dołożyli, w tem roku ja wszedłem do Rady Nadzorczej i zauważyłem nadużycia w sklepach braki, zwracałem mu uwagę, ale krętacz zawsze się wykręcał, przy końcu roku zrobiliśmy rewizję sklepów i piekarni, sprawdzili księgi, zrobili bilans na roczne zebranie, okazało się dużo braków, bo aż dziewięć tysięcy, na ogólnym zebraniu przedstawiłem i jednogłośnie wypędzili go i zebranie jednogłośnie obrali mnie kierownikiem. Na głosowaniu była okropna wojna, bo miał swoich popleczników, jak ja objąłem Zarząd to za stratę Stowarzyszenia pociągnąłem go do sędziego śledczego, to ten krętacz przedłożył dokument podpisany członkami Zarządu, że pozwolili mu wziąć dziewięć tysięcy na trzymiesięczne odszkodowanie, sobie po 300 zł. i żonie po 250 zł., rešta rozjazd po towary z dwóch lat, które nie wykazywał w rozchodzie i tak się oprawdał, członkowie nie byli dobrze obeznani ze Stowarzyszeniem, co podłożył to podpisali. W mojem Zarządzie i Radzie Nadzorczej było większość urzędników, więc zawsze przekładali mnie, żeby zwołać nadzwyczajne zebranie dla wybrania nowego Zarządu i Radę i powołać fachowego kierownika, ja posłuchałem się.

W przeciągu dwóch tygodni na ogólnym zebraniu weszli do Za-

rządu i Rady sami urzędnicy, tylko dwóch z gospodarzy weszło do Zarządu, ja dobrowolnie ustąpiłem, może ktoby się zapytał dlaczego dwóch z gospodarzy w Zarządzie, oto dlatego, żeby było jako odpowiedzialny komu weksel żyrować i tak się stało, Zarząd i Rada powołali za kierownika jednego bywszego buchaltera ze Stowarzyszenia Rolniczego p. J***, ten człowiek był bardzo przebiegły, jak począł gospodarzyć w przeciągu jednego roku mógł zrobić siedemnaście tysięcy zł. długu, podłożył weksel na piętnaście tysięcy zł. gwarancyjny na komisowo dostawę cukru i soli i ci gospodarze podpisali, a cukier i sól posła po żydkach po miastach całego powiatu i dużo ci Zarządu gospodarze podzerowali weksli, jeżeliby tylko handlu sklepów i piekarni, drobnem handlem nie mógłby tak nałapać. Ci gospodarze odpowiadają choć Bogu dusze tylko winni, a p. J*** oddali pod Sąd, dostał za utratę Stowarzyszenia jeden i pół roku turmy. Przez taki upadek Stowarzyszenia członkowie się odrzucili i Stowarzyszenie „Sноп” poszedł w niwecz. Ja jestem w podeszłym wieku, bo 1862 roku urodzony, a jako założycielowi takiego złotego interesu serce my boli. Urzędnicy się wycofali, a Stowarzyszenie Spożywców upadło, lata pošli kryzysowe, że gospodarz nie może skorania wziąć. Dalej prowadze gospodarstwo, syn dorósł jest komu robić, ale nadchodzi czas na służbę wojskową, więc ja pise podanie do starostwa o zwolnienie ze służby, jako jeden żywiciel rodziny i został zwolniony, pobyl przy mnie na gospodarce około dwóch lat, zauważył, że na gospodarce wyjścia zadnego niema, trzeba pracować od nocy do nocy i to bardzo ciężko, a jeść i z postem, a był wątły, więc w 1929 roku rzucił dom i całe gospodarstwo pojechał do Warszawy, zaszedł do stryja i ucepił się na pare miesięcy u stryja, rozpoznał Warszawę za dobrą protekcją dostał się na Główną pocętę, chłopak był skromny i moge powiedzieć porządny i sobie pochwała, że jest mu dobrze, bo do rolnictwa był za słaby. Ja ostałem się z żoną i z córką, staruszek, co mam począć, do ciężkiej roboty jestem niezdolny, trzeba chłopaka przyjąć do córki, tu zapytanie jakiego chłopaka, czy biednego czy z wnioskiem, postanowiłem przyjąć biednego zięcia, dlaczego, dlatego, że miałem w głowie ułożenie takie, że jak biedniejszy, to będzie się słuchał i pracował i jakoś się dożyje, ale co gorsze, że z tej opresji, że syn rzucił zrobiłem aktem rejentalnym, że ja wypożyczyłem u zięcia i córki 5000 zł., choć żadne pieniądze mnie nie dano. Po prawdzie w 1929 r. gospodarka moja była warta do 15000, bo za krowe można było wziąć 500 zł. i zbo-

że było po cenie opłacalnej, a teraz nie wiem czy miałbym 6000 zł., a do gospodarki podziału jest troje, więc mogo być ukrzywdzeni. Po roku co zięć mówi, że ja parobkiem nie chce być, żąda piniędzy, albo podziału i co robić lata nastają kryzysowe i wydzielam zięciowi 5 mórg ornej ziemi, a sobie ostawiam, jako nasz dwoje dwie i pół morgi, sedliska ogrodów z sadkiem i morgę jedną łąki, żeby mnie oborał, posiał zwióz, omłócił i krowe pas i pół podatków zapłacił, bo paśnik jest sześć morg. Przystali z córko, po umowie jeden rok, jako tako wykonali umowe, a co dalej to muszę ja pomagać, a oni sobie nie mogo radzić w zaden sposób, podatków nie opłacają, ja wiosnowe raty płace, a jech jesienne raty upomnienie przychodzi do kogo, do mnie, bo gospodarka na moje nazwisko i sam widze, że w żaden sposób nie mogo sobie dać rady, bo co sprzeda wieprzka jak uchowa to sprzeda, to troche biedy załatwi, a zarobić niema gdzie i z postem musi jeść. Prawde powiem, ze jak świat stał to mały gospodarz tak nie nędzował, a dlaczego, oto dlatego, chcąc kupić nafty, soli, zapalek, cukru, choć dla małych dzieci, ziela to co tydzień trzeba pół metra żyta sprzedać, a z takiej gospodarki dużo metrów jest, trzeba zapłacić podatek, but, jaki odzieniak, do szkoły dzieciom książkę zesyt za co, jak można wytrzymać, przed wojno byli zarobki i furą i człowiek mógł zarobić n. p. jeżeli na dniówce przez cały rok tylko był 10 dni u kosy miał dziesięć rubli, miał na cały rok rozchody domowe, a jak mu zbyło od życia zboża, albo wieprza upas i sprzedał to już kupował morg i wypił z sąsiadem kielisek wódki i była jakaś przyjaźń. Gospodarstwa u nasz byli bardzo drobnych działach, to jest działkach, podmawiałem gospodarzy, żeby scalić grunta, ale gdzietam, ani rusz, więc ja miałem 1/10 wszystkich gospodarzy ziemi, ustawa scalenkowa tak potwierdzała, więc ja napisałem do p. Komisarza Ziemskiego prosił o scalenie naszej wsi, jak p. Komisarz przyjechał to kilku gospodarzy zapytał cy żądają scalenia, ci potwierdzili i odesłał protokół do Białegostoku na komisję, przyszło zatwierdzenie scalenia naszej wsi, w rok przysłali geometrów. Prawda, że te scalenie ciągnęło się cztery lata, ale teraz dużo lepiej, wieś nieduża bo 10 gospodarzy i każdy zadowolony, tylko najgorsza to, że jak scalaliśmy się w 1929 to jeszcze można było wziąć za zboże i za wieprzka kto co miał, a teraz okropny kryzys i w tym roku co scaliliśmy się cena scalenkowa była 36 zł. od 1 ha, a teraz, bo zesłem roku przysłali z Banku Rolniczego płacić, jak mnie 82 zł. rocznie rozłożono na trzy lata te 246 zł. Zeszłego roku nie płaciłem bo nie mogłem w żaden sposób, tego roku posłałem 60 zł., już zalegam i będę zmu-

szony pisać prośbę do Ministerstwa Reform i Rolnictwa, żeby spłate scalieniową rozłożyć na dziesięć lat to może się wyplaca...

A teraz spomne, jak się pracuje przy gospodarce; oto od nocy do nocy pracuje się przy roli, uprawia się, nawet kupuje się i nawozy sztuczne i jak się urodzi, to raduje się lepiej, jak kobieta dziecko porodzi, ale co z tego kiedy koszt pracy nie pokrywa, choćbyś uscupił sobie zycia i sprzedał pare metrów to co zwojujesz, ledwie podatek zapłacisz, a sól, nafta, zapalki, but, jakiś odzieniak skąd weźmie, jak jakiego wieprzka ukarmis, a przykład sobie to musis sprzedać choć żona i dzieci płaczą, że go zywili żeby pomaścić strawe, a tu trzeba jeść z postem, to az ci serce ściśnie i sprzedajes bo wóz, pług i wszystkie rolnicze narzędzie potrzebuje remontu, a czy to przed wojno siedziało się w wieczór przy pscaletce, zapaliło się lampe, albo nie stało na gazetke, lub na funt cukru, lub na funt mięsa, a teraz kryzys z kryzysów kryzys! Pamięta się, że żyta metr był cztery ruble, a nawet i trzy ruble, a pszenica sześć rubli, kartofle jeden rub., ale jak sprzedałeś cwiartke żyta, co obkupiłeś się i jeszcze zaszedłeś do karczmy z sąsiadem na kieliszek i była jakaś miłość, towarzystwo, a teraz samolubstwo i dwa metry sprzeda i się nie obkupi tak jak dawnij może pomyśli kto, ze to nie jest prawdą, w tem jest prosty rachunek, naprzykład: jeżeli sprzedał cwiartkę żyta, to wziął jeden rubel, kupił dwa funty soli sześć groszy, jeden litr nafty dziewięć groszy, jedną paczkę zapalek trzy grosze, jeden funt cukru 28 groszy, dwa funty mięsa 36 groszy, kto palił jedne paczke papierosów 20 stuk 12 groszy to wydał 94 grosze to mógł zająć z sąsiadem do karczmy i jeszcze mu się zostanie na bułeczkie dla dzieci i papierosem może śmiało poczestować sąsiadów i znajomech, a teraz choć ma paczuskę z papierosamy w kieszeni to nie wyńmie z paczki, a tylko szczypcami jednego, żeby nie poczestować bo kosztuje 70 groszy, a nie 12 jak dawniej, a teraz jak sprzeda cwiartke żyta weźmie za nią 2 zł. 50 groszy, poszed po sprawunki kupił tako ilość, jak przed wojno, dwa funty soli 58 groszy, jeden litr nafty 60 groszy, paczka zapalek 10 groszy, jeden funt cukru 80 groszy, dwa funty mięsa 80 groszy, paczkę papierosów 20 stuk 70 groszy to razem 3 zł. 58 gr. skąd wziąć niedobór, trzeba już sprzedać pół metra, a przecie dwa razy do roku teraz nie sprząta się, choć poprawdzie tego roku w słome urodziło się, ale co namłot bardzo liches, ale trzeba i za to podziękować Panu Bogu. Ja już przeżyłem piękne lata Bogu dzięki, ale takich lat nie pamiętam, bywało wyjdo gospodarze orać czy siał, zejdo się jeden do drugiego, pogadają, zażyją tabaki, czy poczęstują się papierosem,

a inwentarz odpocznie, a teraz jak założy konie do pługa to gania do obiadu, drugi jak ma machorkie to choć stanie i zapali to konie trochę odpoczną, a to wszystko tylko znerwowani czy to idzie, czy w targu, lub na jarmarku to zawsze coś sobie mruży nawet w głos rozmawia sam do siebie, niechby przyszedł człowiek z większego miasteczka, a zajrzał do tego gospodarzyny, jak on żyje, wieprza jak ukarmi sprzeda, mleko jak od krów wydoi zanieś do mleczarni, a te odciągnięte gotuje, polewa kartofle i tak spożywa. Można powiedzieć śmiało, że ze świnio je, ze świnio mieszka, ze świnio kładzie się i staje, bo co on pocznie podatek opłaci, odzieniak dla siebie dzieciom, rozchód domowy, już po wszystkim. A czy to w Polsce powinien być kryzys, na moje zdanie to ja odpowiem, że nie, bo w naszym kraju wszystko jest, do tego kraj rolniczy gospodarz wszystko dostawi, chleb, mięso, jaja, masło, miód, owoce, co tylko potrzeba, aby było dla niego opłacalne, choć tak jak żyją w drugich krajach i przeważnie dobra kontrol i stałe ceny, to jest największy fundament. A dlaczego ta kontrol potrzebna — oto dlatego w obecne czasy żyta jedno kilo kosztuje 10 groszy, a chleba kilo 30 groszy pytłowego, pszenicy jedno kilo 18 groszy, a bułki 60 groszy, a gdzie przypiek, a drzewo tanie, a dlaczego przed wojno żyta jeden funt kosztował trzy i trzy czwarte grosza, a chleb pytłowy 4 grosze, pszenicy 1 funt 5 groszy, bułki 6 gr. tylko mała częśćka, a teraz w trzy razy do wszystkich towarów to się stosuje. A co się robi w sprzedaży towarów co kto może to drze, zawładnęli cały handel żydki i rozporządzają się, a kto jech żywi — rolnik, w naszym miasteczku powiatowym jest jech z 5000 i dobrze żyją, jak to jest markotnie patrzeć, jak się jedzie na targ spracowany rolnik, a żydek lub żydówka wyciągnie nogi i nic nie robi i żyje i zdala się pyta co wiesz i przywiezie ten gospodarzyna ćwiarcinę zboża, lub kurę, kilka jaj i prosi żydka żeby u niego kupił, a żydek się wysydzca co mu się zechce to daje, zawsze ceny nie stałe, raz żyto 11 zł. drugi 10 zł., a ciasto zawsze po tej samej cenie, nad młynami jest kontrol, jeden metr pszenicy bierze osiem kil rozkurzu i daje mąki 60 kila, a reste otrąb, 3 złote zapłacić za mielenie. Albo kupuje się tytuń co sklepik to koncesje ma, lub zapalki, kto tam wie czy jest w tej patce te gramy kto ma do tego wagi, lub nieujęto zapalek, czy nie sprawiedliwiejby było, żeby była tak na tytuniu, jak i na zapalkach banderola, byłoby sprawiedliwiej i rządby korzystał i niktby nieposądzał, a to jest towar bardzo drogi, a smołką zalepiony, różne przebiegli handlarze są. Może kto powie, że tytuń jest zbyt drogi. To prawda, ale nałogowy pałac się nie odłoży, a prze-

cie Pan Bóg i to dla człowieka dał. Albo z usług religijnych, czy jest ustalone, ile ma duchowieństwo brać za pogrzeby, śluby, chrzty, co tylko zażądają to musis dać chciawszy pochować po chrześcijańsku, po starej tradycji, to szykuj 100 zł., aż strach umierać, a musis, albo ślub skromny na Mszy Świętej do 40 zł. Ja, jak się żeniłem to ksiądz mi mówił, że ja za ślub z ciebie nie mogie więcej wziąć jak dwa ruble, bo jesteś wojskowy, a teraz nie patrzą. Albo jak pomarła mamusia, wieczny pokój, to z domu z księdzem na katafalku ksiądz do grobu wziął 9 rubli. To byli czasy. Choć to mnie dużo nie obchodzi, ale spomne, że ta nasza kochana Polska tak się obojętno zrodziła i wyzyskująco, kto czytał opisy w XVI i w XVII wieków to jak raz bieżący wiek, tyle zakonów, różnych związków katolickiech chociaż każdy jest katolikiem a to wszystko różne redakcje duchowne, wszystko z korzyścio, co więcej to każdy się sam domyśli. Pan Bóg jest cierpliwy i sprawiedliwy spogląda na upomnienie i zawsze się skońco te wybryki...

Trochie jescze spomnę o sobie bo już się końcy 72 lata, przez 15 lat czytałem tygodnik Wyzwolenie, potem Święteczną za redaktora p. Prusieńskiego, kilka lat trzymaliśmy w trzech dziennik Nowa Polska, a teraz żadnego dlatego, że nima geld. Dostałem od kolegi tygodnik Zielony Standar. W tym tygodniku było napisane, że na pamiątkie chłopca „konkurs” i podać pod adres Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie.

I tak końce swoje kłopoty bo teraz już jestem w podeszłym wieku, ale dzięki Panu Bogu, ze zdrowiem mnie opatruje, jescze mogie pracować, to kołacę się jako siako, tylko co do gotówki to niema. Markotnie po latach przedwojennych co się zawsze miało do 300 rubli w kieszeni, a teraz prawda, ze jestem bez długu prywatnego, ale na tytuń ledwie starczy i tak się bieduje. Mógbym coś jescze napisać, jak można poprawić, zeby takiego kryzysu nie było i to tylko po mojem zdaniu, ale są ludzie może bieglejsi, aby tylko nie samolubce, ten opis własnoręczny co się podpisuje.

Proszę wybaczyć okropnych zmyłek narobyłem na starość w piśmianiu.

Dn. 15 listopada 1933 r.

Gospodarz małorolny w pow.
wołkowyskim

Przepraszam, że tak źle pisano, dlatego, że ręce drżą od pracy, niema sił żebyś tak mógł równo pisać. Jeżeli będzie przyjęte to wystawić wszyscy znaki, jak kropki, przecinki i insze, że nie mam czasu dla wystawianie owych znaków.

CHŁOPSKIE ŻYCIE*).

Urodziłem się 1905 roku 1 listopada nie w ojczyźnie, dlatego że w owy okres mego przyjścia na świat ojciec mój był na funkcji gajowego we wsi Dreczanach terażniejszej gminy Jałowskiej, wprzód za tych czasów gmina Szymkowska. Rodzicy moi niezamożni i biedni. Do zamiężwienia moja matka służyła u panów. Wyznanie matki rzymsko-kat., a ojca prawosławnie. Po ślubie religja rodziców mych została ta sama, która była wprzód. Dzieci, które mieli być urodzony w tych czasach musieli być wszyscy prawosławni. Do służby w lasach rządowych na stanowisko gajowego, iż teraz sędzę, zapędził los życia, z poszkodowania swego starszego brata. Cały grunt ucząstka trzyma od 18 do 26 dziesięcin, nasz grunt ucząstka trzyma 24 dziesięcin, oraz w skład jego wchodzą, jak to: pastwisko, łąki, drogi i nieużytki, które odziedziczyli od swego ojca Jana, a Jan dostał od podziału swych dwóch braci, ziemię wieś Ciwoniuki zostali nadzielone w 1863 roku, po drugiej lustracji, jako gosudarstwiennych ziemlewładzielcow. Nabywcy tej ziemi nie wszyscy opłacili zaraz pieniędzy i musieli zaciągnąć na bank i wypłacali częściowo rocznie przy opłaceniu podatków. Jak z winików widno, że odrazu za zie-

*) Życiorys zaczyna się od przypowieści o kmiotku, którego zgubiła ciekawość, a następnie cały poprzeplatany jest rymowanemi wierszami, które tu opuszczamy (przyyp. wydaw.).

mię opłacono, jak to trzy ucząstki, które nazywają wykupnymi i oni płacili tylko przed wojnę podatki, a wykupu nie opłacali. Wieś Ciwoniuki została odrazu pobudowana na kolonji po dwa ucząstka razem. Nazwa tych kolonji: 1) Ciwoniuki, 2) Nikiciny, 3) Kardasze, 4) Andrzejczyki, 5—6) Matuszejki, (pierwsze z drugim), 7) Koleśniki, 8) Samojliki, te kolonji zostali pobudowani przy bagnu, który jest pastwiskom całych kolonji przy granicach wsi Juszkowo Gruda na południu, z zachoda bagna rządowego, na północy graniczą z ziemią wsi Kuchny, na wschodzie lasom rządowym. Geograficzne położenie gruntu jest pagórkowate, na wschodzie południowe jest zarośnięte częściowe chojniakami, słoź ziemi jest piachu i żwirkowy, ziemia jest nieurodzajna. Na suchie lata nic się nie rośnie. Rosną żyto, groch słabo, jęczmień słabo i kartofli, z niektórych próbów pszenicy nie rośnie wcale. Len nie sieją, że przepada i nie rośnie. Ozime zasiewy mniej średnie.

Brat mego ojca Michał był żonaty i miał kilkoro dzieci, który trudnił się przy życiu gospodarki, a mój ojciec z stanu wolnego poszedł na służbę gajowego. Tam się ożenił, na owej służbie byliśmy niedługo, bo od 1900 roku do 1907 roku. Na stanowisku gajowego wtenczas pobierano piensja 7 rubli w miesiąc. Tyż należało nadzieiu jedna część ucząstka oraz sienokosy. Niedługo owe szczęście było, los życia mego ojca zmienił się z przyczyny, której ja nie moga wskazać, dlatego że nie wiem. I musieliśmy przejechać na owy kawałek ziemi, która była już podzielona na dwie równe części po jednej szóstaj ucząstka każdemu. Mego ojca rodzina składała się: ojciec Stefan urodzony 1869 rok 27 marca, matka moja Katarzyna urodzona 1883 rok, dzieci Mikołaj w 1905, 1 listopada, siostra Marja urodzona 1907 r., brat Włodzimierz urodz. 1910 r. i babci, ojca matki. Jeszcze brat miał rodzina 6 członków. Zabudowaniem korzystali wspólnie, które składało się, dom mieszkalny szerokość 6 metrów, długość 10 metrów. Ten dom był na dwie części rozdzielony, memu ojcu wypadła część mieszkanie kwadratowe 3×6 metrów i sieni 2×6 metrów. Stodoła mieli wspólna i korzystali, jej bok kwadratowie 12 mtr. 30 cmt. $\times 5\frac{1}{2}$, chlewa jednego 10×2.70 , drugiego 8×3 mtr. Na takiej małej gospodarce utrzymywali jednego konia, którego żywili po tygodniu, krów mieli po trzy sztuki każdy, po dwie świnie, po trzy owce. Większa część pracy zarobkowej była na stronie, jak to dobycie na zimowy okres paszy dla żywoł. Jedno pracowali na trzecia część, dwie części właścicielu, a jed-

na w swoja korzyść. W majątku Rabinówka gmina Gradek dzisiaj majątek owy rozpercyłowany.

Gospodarka była słaba dlatego, że małe dzieci, pomocy nie było. Zaczęto budować dom, które zostało nieukończone. Los wojny przeszkodził budowie, jedny ściany bież dachu pozostali na wyrok losu. W takim biedowym życiu nas ściga burza wojny światowej, i coś z tego biedny kmiotku rzuć swa praca, leć w świat szukaj lepszego szczęścia lepszych zbiorów. Dlatego żebyś nie został na ojczyźnie i nie skorzystał pracój swej, która krwią i potem była zalana, jeszcze mało tego przed samoj ucieczkój musisz stać do obrony Gosudarstwu. Wszyscy mężczyzny pozostali w domu byli wygnani na fortecę w Grodno o naprawienie jej, żebyż wojsko rosyjskie mogło utrzymać wroga i która była oddana bież wydania boju. W dniu 15 sierpnia 1915 r. byli wygnani przez wojsko z ojczyzny. Nietylko dzieci płakali no i starsze dlatego, że na ojczyźnie choć mieli jakiś dach na głowę, a to zostali wypędzeni w świat na wschód słońca, gdzie towarzyszyło dla ludu biednego głód, chłód, nareszcie szła śmierć. Cała droga można było widać kurgany nasypanych mogił. Płacz rodziców po dzieciach, a dzieci po rodzicach.

No los mego zdrowia zmienił się. Jak dziś pamiętam w jedyn dzień było pogodnie mnie pić zachciano, matka poszła pomagać kopać kartofli dlatego, że mieli stanowisko na jedyn dzień. Mnie się mocno pić zachciano, a i wypiw wody z uksusnoj esencji i do wieczora już leżał na pościeli chory i chorował 12 tygodni. To było w Minskoj guberni. Mnogo było trosk w drodze no wszystko z woli Boskoj przeżyli, no o dziwo kiedy zajechano do Rosji wszystko nie tako zabudowanie, wszędzie widać słomu, ściany z słomy, dach słoma. Na druga zima wstąpił do szkoły został wpisany do oddziału drugiego, no i dziwo! mnie się pokazało, że za książki kajety stalówki ołówki i inne rzeczy szkolne nie trzeba płacić. Ta szkoła nosiła nazwa Pierwsza Ziemska Czterooddziałowa. Uczyłem się u niej przez trzy zimy, ukończyłem w roku 1918 z winikom dobrym. Chciano uczyć się dalej, no wtenczas nauka poszła już w drugi kierunek drogi. Jak po przyjeździe wydawano na każdego człowieka po dziesięć rubli później osiem a nareszcie zjechano na pięć. Z tych pieniędzy płacili po jednom rublu za mieszkanie i to szczęście było do przewrotu bolszewickiego. Pokąd pieniędzy płacili nam to nad naszym ludom naczelniki byli nie z naszych jak owa piensja została zniesiona i rząd nad nami oddany był w ręce samich nas zostali bież opieki. Byli komitety, który kierowali ruchom pod nazwoj

Plen-Bież w tej miejscowości, gdzie byli my pośle zapomogi pi-
niężnoj dawano po 15 funty na człowieka mąki, lecz połowa z żyta
połowa z owsa, po 10 funty kaszy prosianoj i to szczęście było do
1920 roku. 1 lutego do dnia śmierci mego ojca, który był wybrany
przez swój lud na stanowisko prezesa i sekretarza wiejskiego Plen-
Bieża. Na żadne przymusowe roboty nie chodzili, służby wojsko-
wej nie pełnili, byli niezależni od owych rządów z rozk. W. C. I. K.,
iż bieżęncy, jako plenny żyjący na teretorji Rosyjskiej Republiki
nie jest podwładny jej, jako Polsko obywatele. Wiele się ojciec moj
miał trosk za swoj lud dlatego z rozkazu władz sowieckich została
odebrana pieczęć naszego K-tu za nieposłuszeństwo jej, tak to za wy-
dawanie zaświadczeń na wyjazd na koniach do Polski, że wypusz-
czano po żeldrodze do Mińska jako na robotu, a stąd wyjeżdża-
no na ojczyznu, że wypuszczano za chlebom w drugie mniej do-
tknięty głodem miejscowości. Wiele zacierpiał nasz lud dlatego, że
w owy czas Republika cierpiała. Głód miecz nie chował się lecz ga-
lopował, iż można sądzić samim, jaki los ciężki przeżył nasz lud
dlatego, że w owy sam lud rosyjski marł z głodu, nawet byli takie
miejscowości, gdzie pożerano samych jeńców, dzieciej przez rodzi-
cow. Naoczny świadek. Do 1920 roku, jak piensja dawano to było
nie wyżycie no z głodowej śmierci nie umierał, w niektórych miej-
scowościach nasz lud pełnił wszystko co i oni. Ze swojej niedogład-
ności z dniem 1 lutego zaczął lud nasz uciekać do Ukrainy i Kubani,
żeby nie umarci z głodu. Pod takim warunkiem życie przeżyliśmy
do 1922 roku 10 marca do dnia ewakuacji. Tego powinny nie za-
pamiętać życia męczarnego naszego ludu, który został przez tyle
lat biez roli, biez wurobu odzieży, jaki wygląd miał w owy czas,
że trudno opisać, opuchnięty na człowiecze podobieństwo nie wyglą-
dał. Jeszcze to nie reszta masz przejazd na swoja rodzina ojczyzna.
Jeszcze nie widzieł czy wszystko w ciebie na ojczyźnie w porządku,
czy będziesz miał co pozostawił na niej, zabudowanie, sprzęty rol-
nicze, czy będziesz miał co zjeść czy kto będzie opiekował się na tobą.

W roku 1918, 15 grudnia straciłem po ciężkiej chorobie swoja
ukochana siostra, która chorowała przez jedyn rok. W 1920 roku
drugiego lutego umarł ojciec, w tym roku umarła babcia. W dniu
śmierci swego ojca, ja ciężko chorował na tyfus, który w Rosji mia-
łem przez trzy razy. Porady i leczenie byli tam biezpłatnie, ani żad-
nego grosza ze wszystkich chorych nie pobierano. Po śmierci ojca
co było jakie rzezce wszystko pozbyto na wyżywienie, że robotni-
kow, który mógł karmić nie było, jak to jednym słowom cała go-

spodarka, która była i obsługiwała do potrzeb. Jeszcze ciężiej spotyka los nasz wyjazd ze wsi Faszczewska lipieckiego powiatu, Tambowskiej gub. na stacja Grjazi, która miała odległość osiemnaście kilometra od wsi. Na furmanku pozbyliśmy wszystko, choć było polecenie na wydanie furmanek, no my z tego nie skorzystali. Na samom topnięciu śniega w taka biezdrożycą wyruszyliśmy w droga, na czole tej całej obozy stał leśniczy Eugeni Stretowicz urodzony w kochanej matce polskiej, wyznania rzymsko-kat. i miał stanowisko leśniczego i mocno żałował ludu biednego. Po pożegnaniu na stacji odjechał na swe stanowisko. Po drodze do Mińska karmili dawali chleb i zupu. Po przyjeździe do Baranowicz zostali wysadzony z wagonow dla dezynfekcji i korentina. Trzy dni byli tam, dawali obied i kolacja. Po załatwieniu dokumentow czwartego dnia odjechali do swej stacji Wasił. W Baranowiczach pouśiadanu do pociągu dostali pomoc dwoje spodnich w łaźni, dwa szaliki, jedna koszula ciepła i czapka taka w której żołnierze chodzą na ćwiczenia. Po przyjeździe do Wasił musieliście czekać dwa dni pokąd została znaleziona furmanka do swojej wsi. Co teraz rozpocząć i co robić? Mieszkanie zostało biez okon, piec razbijana. Do kogo przyjść za pomocoj któryby poradził, jak skąd co powziąć i jak rozpocząć, choć znów z powrotem uciekaj w odwrotna strona, dlatego, że do mieszkania, (możno powiedzieć do chlewa cieknie. A tu wiosna trzeba jedzenie pomyśleć, żebys było choć jedno ziarnko w pole rzucone. Nie masz ani konia, ani pług, i brony, biedny naprzęgi swy ostatnie siły i bierz się do pracy, jaka umiesz nie odciągaj czasu, bo na oglądanie masz niedzielę. Mało tego, że z Boskiego wyroku musiał każdy człowiek odchorować, i niektóre przyjechali by umrzeć zobaczywszy swa ojczyzna, i tym zostali wybawieni od trosk, niedoli, głodu, których zostawszy żywych, trapił biez litości i poszkodowania.

Do pomocy lekarskiej nie myśli ludu biedny, bo za pieniądze, ażebyś pieniądze mieli to nie głodowali. Wszystko za pieniądze, zdrowie i niebo, a biez pieniądze mamy tylko dostap do piekła. Na zimu zostało uzebrano u jednego jedno okno, a u drugiego drugie, piec przyszła z wielkim wysiłkom do porządku. Z swojej części dostali 90 snopow żyta, które zostało wymłócone na nasiona, owsa kopa, kartofli sami sadzili, siano sprzątał sam z wielkim wysiłkom, bo na roli nie pracował i moja część ziemi była zasiana przez wujaszkowego syna, który przyjechał wprzód. Na zimę dostali krowę za cielę i na tego cielaka musiał czekać dwa lata. O nieszczęście, przed sa-

mym wycieleniem zachorowała i sprzegadła, musiał skorzystać pracy ojca i sprzedać dom, który nie był wykończony, na krowa i przez te bieda muszą siedać w starym mieszkaniu, można powiedzieć, więzienie. Jak opisano wprzód stoi łóżko, piec zajmuje kwadratowy 1×2 metry, stół, dwa stołki do usiadania, mamy szafa do odzienia, ta musi stać w sieni. Mieszkanie słabo i stare, zachodnia część ściany wcale zgniła, belka została podparta słupom, ściana zawnętrza została wysmarowana glinaj. Chlewa do żywioł dzisiaj nie mam, stodoła z wielkim utrudnieniem została przebudowana szerokość $5\frac{1}{2}$ długość 9 metrów. W większej połowie stoi koń, krowa, a w mniejszej części składam zboże. Nabycie konia musieli kupić za wieprzyka i kupili źrebie, czekali dwa lat. Najciężej było nabycie sprzętów rolniczych, pługa jeszcze nie mam i nie mam dobrego chomonta, kiedy jeszcze nie mieli konia trzeba było gospodarka robić za konia odrabiali trzy dni zgodnie. Na takim kawałku ziemi, jak ja posiadam to rocznie muszę wysiać 7—8 pudy żyta, nazynamy 6—7 kop żyta. Kopa wydaje cztery trzy pudy, owsa więcej nie nazynamy jak dwie kopy, wydajność 3—2 pudy, jęczmienia kopa, albo półtory wydajność trzy pudy, kartofli nakopamy jakie 50 albo 70 pudy, siana zbieram około 50 pudów. Trzymam jednego konia i krowa to muszę corocznie kupować, od lutego m-ca na utrzymanie żywioła, chleba corocznie muszę dokupić 5 albo 8 pudy, kartofli na nasiona mało kiedy starczy, a tu jeszcze trzeba kupić odzienie żebyś nie chodził goły. A człowiek nie stalowy przychodzi się często przychorywać to upadek sił, pomyśli, jak do pomocy przyjść, żeby byli piniędzy to możnoby było schodzić do lekarza, a może przejdzie i tak człowiek sprzegadają za nic. W takim życiu wczas i pora podatków opłacić nie możemy, a raz w pora nie opłacamy to mnogo więcej tracamy.

Wiosną przychodzi się często niedojadać, gdzie jaka kura trzymać, która niesie jajka i te jajka zbieramy, ni jednego jajka nie przyjdzie się skosztować i musimy sprzedawać i jakoś kwitujemy podatki, sól, nafta, zapalki, kobiety chustki do głowy, fartuchi, jakoś obuwie, a niektóre ubranie. Na małych częściach ziemi lnu siać nie możemy, z którego robimy koszuli spodnie i wierchnie cało ubranie, że gdzie trochi masz lepszej ziemi musisz siać jęczmień, sadzić kartofli, dla lnu szukamy gdzieś za jakich 10 i 8 km. gdzieby można było posiać i odpracować zgodnie umowy za cztery i trzy funty wysianego lnu robić odrobkowo trzy i dwa dni. W takim biedowem życiu musimy jakoś żyć, gdzie czego kupić, a czego

i samym zrobić. Biez koszuli chodzić nie będziesz i na kupno skąd piniędzy brać. Wprzód było lepiej lat temu pięć, albo więcej, gdzieś pojedziesz do lasu, gdzie można było zarobić cztery i pięć złotych dziennie, a dzisiaj z koniem dwa złote i to trzeba czekać cały miesiąc. Brat moj co miesiąc przyszedł z wojska do domu, trzeba pomyśleć ob ubraniu, żebyś nie chodził goły, jak brat, który ukończył kurs kowalski no cos z tego, że w naszej wsi dwa warsztaty kowalskie, które pracy zarobkowej na terażniejszy czas nie posiadają. Na tydzień czasu jedyn dzień pracują, albo nie i zapłatu muszą czekać około roku pokąd nie zbierze piniędzy winowajca. Niektóre mieszkańcy naszej wsi pracują statki drzewniane w zimowy okres czasu, w lecie nie robisz, jak to ceberki, do dawania krowam, faski do karmienia świń, faski do utrzymania kwasu, dzieżki do chleba. No cos z tego, że praca na nic nie oplaca, za jedyn metr drzewa trzeba zapłacić około 10-ciu zł. i więcej. Na wygotowanie materiału ubiegnie trzy dni, za obrączy trzeba zapłacić za pud 5 zł. Tydzień albo dwa pracuje dzień i nocą, a targ jak się uda. Czasem z tym swym wyrobem przejeżdżisz jarmarków 5 z koniem, a na inszem jarmarku nie utarguje na chleb. Jeszcze procz tego oplacają za miejsce targu od 50 gr. do półtora złota. Drobnie gospodarstwa powstałi od licznych podziałów rodzin, prócz tego jeszcze mamy około jednej kilometry odległości terpotyniarnu albo majdan, u którem dzienna robotnikom płata wynosi jedyn złoty i mniej, czyścić pni chojowe, kopanie pni do niego płaci 2 złoty od osemki kw. $1,20 \times 1,20$ metr. Wożenie czarnej luczyny do Białystoka około 40 km. płaci od puda 13 groszy.

W terażniejszych czasach chłopi wesele wyprowiają biez wódki. Na cało wesele bierze dwa litry, albo tego nie, inszy weźmie jakich dziesięć litrów kwasu owocowego i z tym wesele robi. Wprzód bywało młodzież nie mogła zrobić zabaw taniecznych biez wódki, jak niepijany kawaler nie szedł do tańcu a dzisiaj jak uwidzą pijanego to cała wieś schodzi się patrzeć, jak na jako zjawisko. Szkoły nasza wieś nie posiada, ale mamy w sąsiedniej wsi Juszkow-Grud i Kuchmy odległość około $2\frac{1}{2}$ km. dla takich kroszek malutkich trochi zadaleko. Dzisiejsze pokolenie można powiedzieć chorobliwe, nie widać zdrowych ludzi na wsiach, jak młodzi tak i starze bład chorobyliwie niedokrwiwość widać na każdym ludzkom ciele. Z doświadczeń widać do dwudziestu lat u młodych niema większa połowa zębów. Biez zębów niema zdrowia. Ludność psuje ząby, jak tanim środkiem pod nazwoj kryozotem, który kupuje i tym psuje

ząby i robi zarazki dzięsiół i paszczenok. O kupnie książek wieś na takim położeniu nie myśli, bo przychodzi czas, że na sól, i na nafta nie masz pieniędzy. Ja posyłałem do niektórych redakcyj i administracyj, prosił o nadsyłanie mnie gazety. Od innych dostał odmówienie, a od niektórych tylko przed swej wsiej wstydu nabrałem. W dzisiejszych czasach nadchodzą dwie gazety Ludowych, które opłacamy wspólnie 36 ludzi. Porad i leczenie nie korzystamy, dlatego, że pieniędzy i środków na leczenie nie mają. Stan rodziny mojej potrzebuje leczenia, ja sam często zapadam, no środków nie mam i czekam na litość swego Stworzyciela Pana Boga. Jak widać, że samo w rozkwitnięciu młodego wieku dużo ludzi umiera. Wszystko równo jak świeca pali się na środku, dmuchnie wiatr chwije się i gaśnie, a uchronić niema komu, albo znów zapalić. Dlatego, że lud biedny niema odpowiedniej odzieży, obuwia, często przychodzi się przemarznąć dlatego powstaje długotrwała choroba, od której lud wszystko jak wosk od ognia topnieje, od wszystkich trosk niedoli młodych gnębi, przedwczesna starost widać. Lud chorobliwy w smutku, niema na licach ani kropli radości, wszystko zawsze w takim smutku, że jakby wielko nieszczęście lub jaka zguba poniesiona przez owych biedaków. Potrawy gotuje: najczęściej kapusta i to często biez okras, kartofli i jaki chulasz, czasem z kartofli zrobi kaszę i okras doda tyle jak przymówisko mówi: „Jak żyd pieprzu”. W czasie innych i Wielkanocnych nietylko co lepsze przyszykuj, a dużo i większa część ludu siedzi biez chleba i kartofli i tego niema, nic dziwnego, bo trzeba pomyśleć o coś innem, że masz żywiola w chlewu, trzeba żebyś nie byli głodni, żebyś miał czym iść w pole do pracy, która nadchodzi, trzeba pomyśleć o reperowaniu narzędzi rolniczych, biez których gospodarz na nic nie wart jest. Wszystko równo, jak żołnierz biez karabina, tak rolnik biez narzędzi rolniczych. Jak widać, że mnogo nie mają nietylko świątecznej, no czystej. Dużo młodzieży wiejskiej w dni świątecznej siedzi w domu. Jest dwa kawalery w innym mieszkaniu, to jedyn idzie na wiejskie rozrywki, a reszta musi siedzieć w domu w brudnym ubraniu, w którym w powszednie dni pracuje. Życie kobiet jeszcze gorszy los dotyka, mają oni pracy dostatecznie, jak to gotowanie obiadów, mycie bielizny, prządzenia lnu na koszulę, przy którym trudni się przez całą zima. Większa połowa życie musisz chodzić obdarty wszystko równo jak żebrak, a nie rolnik, dlatego, że masz mały kawałek ziemi i jeszcze dużo kłopotu. Masz pokąd odnaleźć gdzie miejsce u kogo posiać len, ko-

panie kartofli i żniwo, żyto, owies, jęczmień rznąć sierpami dlatego, że biednota boi się utracenia na ziemię liszniego ziarnka. Na kupno odzieży, obuwia nie myśli, widać jak kobiety biegną kilkadziesiąt mietry po wodę boso bez chustek, dlatego, że trudny los i marne życie i muszą godzić się z losem życia. Rzemiennego obuwia nie widać na nogach, a tylko sukienki, które kupują u kramików płacą po dwa złote i musi starczyć na jedyn, albo półtora roku. To większa część życia chodzi boso, a trzeba kupić żeby oszczędzić swe zdrowie, bo jak pożałujesz pieniędzy to musisz całe życie twardo być gnębić długotrwała choroba, a skąd te pieniądze brać kiedy gospodarka nie daje, ale trzeba jej dać tyle co ona warta sama jest. O kozuchach w zimowa pora nie mamy pojęcia, na utrzymanie owiec nie mamy pastwiska, gdzieś oddawać na paszę to musisz zapłacić za letni okres paszy osiem, dziesięć złotych. A zimowo wydzierżawienie skąd brać na wszystko. Sił i zdrowie nie starczy, jak ona rocznie może dać jedno kilo wełny, a żebyś przyszło się sprzedać jej albo kupić to ona sama więcej nie wyniesie jak jakich 7 — 8 zł. Nasza wieś przy takim biednym życiu chciała wyjść z ciężkiego położenia. Na konto pastwiska dostali plan i opisy, zapłacono sto złotych. Najęli mierniczego, któremu zapłacono dwieście pięćdziesiąt złotych za obejście granic pastwiska od łąki, bo pastwisko rokrocznie zajmowano przez samych właścicieli dołączano do łąki. No i coś polepszyli, tyle pieniędzy oddali, jak pastwiska nie mieli i teraz nie mają. Jeszcze więcej pieniędzy oddają, bo powstały sądy, a kto sądy ma to ja już dobrze wiem, bo miałem kilka o przyznanie własności zabudowań mnie. Mają trochę owego pastwiska, ale zarośnięte krzakami i mokro. Do lasu dostępu nie mamy dlatego, że rąbają i sadzą, do bagna, którym korzystali z pastwiska nasi ojcowie i dziady choć opłacali za letni okres paszy od sztuki chodzących krow, teraz odmówili i oddali na ochotnicze wydzierżawienie. Wszędzie byli w dyrekcji Białowieskiej nawet w Ministerstwie Rolnictwa i Dóbr Państwowych no wszędzie odmówione. Chcieli wydzierżawić za większą ceną, jak ochotniki.

Trudno położenie wsi Ciwoniuki. Te wyżej wskazane zarobki nie są kiedy chcesz np. wożenie czarnej łuczyny z majdana do Białystoku na rok jakich na trzy dni zapasu starczy. Ludność jedzie za 10 i 15 kilometrowej drodze na zarobek, żebyś jaka złotówka zarobić na oddanie podatków, a kopać pni przyjeżdżają nawet z pod Warszawa i Małopolski. Rząd corocznie wyrąba w Podozerańskim

leśniczestwie wyrąbie do pięciu hektarów lasu rocznie. Płaci do 60 gr. i mniej od fesmetra. W takim biedowym położeniu nie możesz zarobić, bo zamożniejsze i które mają zaufanie do straży leśnej, a raz jesteś biedny to i pracy nie masz i biedny los szczęścia to sikierzy niema i pił niema i szpagła tysz niema. Ja sam taki obywatel, bo jedyn w domu gospodarz i trzeba pomyśleć o coś innem i wszystkiego nie kupisz. Czasem przychodzi się gdzieś iść wypożyczyć, pokąd znajdziesz to pół dnia zbiegnie i z pustym wrócisz do domu. Bo brat mój przed odbyciem do wojska uczył się za kowalą, musiał płacić za jego kurs nauki rocznie 15 pudy żyta, albo wartość jego. Trzeba pomyśleć ob jego odzieniu, trzeba było nakarmić, a gospodarka jak widno, że mówić obidno, że się nazywam gospodarzem, a teraz co jemu rozpocząć. Nabycie warsztatu kowalskiego niema środków pociągnąć z gospodarki, kiedy moja gospodarka już ostatnie siły wyciąga ze mnie, iść gdzieś za czeladnika, no przecież sami gospodarze kowalskich warsztatów nie mają pracy. Niema takiej wsi, żeby nie było trzy-dwa warsztaty, co robić, chyba gdzieś iść szukać odpowiednich gospodarzew, stać parobkom i zaprzedać swą wolność. Mamy w swej wsi do dziesięciu gospodarzy, których jeszcze gorszy los dotyka życia. Tych biedowisk, który mają kilkoro małoletnich dzieci, sami już postarzali mają jakaś 12, albo 16 i 20 część uczątku gruntu, sami chorobliwe, nie mają środków do życia, pomocy niema. Trzyma jedna krowa, bo na takiej części konia utrzymać nie może i dla tej krowy na wyżywienie musi coś dokupić. Sam musi odrobić za konia jeszcze trzeba wyżywić swe małe dzieci, odziewać, obuwać. Przy takim ciężkim losie życia musi wyprawiać jakich dwa i pół kilometra do szkoły, to jest mięczenniki, to jest nędzarze. Żyją jak ongiś dzikusy, które nie znają cywilizacji przeszłych stuleci, o których tylko czytamy z historii. Więc trzeba na wieś oświaty, więc trzeba czyteln, więc trzeba kultury.

Rolnictwo ze wszystkich stron gnębi bieda. Kryzys. Ten kryzys, ten poseł, który opanował cały świat żyjącego ludu, całe państwa cierpią od niego uciśnienia. Pod przeprowadzeniem komasacji, niektóre wsie cierpią wielką biedę. Za swą ziemię muszą płacić w taki trudny czas na terazniejsze wielkie sumy pieniędzy, wyplacać zaciągnięte pożyczki przebudowy, które brało w lepsze czasy i opłacać po 20 złotych od hektara za swą własną ziemię i tym zrobili sobie polepszenia, bo ziemię już blisko do pracy mają, czy powiększyło?

Czytając to wszystko może kto nie wierzy, albo nie może uwierzyć niech więc zbadaj wieś. Nie tak daleko wieś, może przekonać się, że nietylko na co insze nie mają, że idzie do ciężkiej pracy zjadłszy kawałek czerstwego czarnego chleba dwóctygodniowego wypioku, albo kwitnącego zapiją czarnej kawy niesłodzonej i kartofli, a o słodzeniu już nie mają pojęcia, bo trzeba wyłożyć dwa złoty za kilo. Nie wieszają z sobą kawałek słoniny, albo świeżego chleba i inszy z tego nie mają, bo do ciężkiej pracy potrzeba lepszego wyżywienia. Wszystko powstało i lud cierpi niedza dlatego, że nie mają odpowiedniego kawałka ziemi na utrzymanie ludzi żyjących na niej, na utrzymania samopotrzebnych żywności do uprawienia ziemi. Obuwie nosić przychodzi się pastopy gumowe, bo rzemieńne długo nie nachodzisz. Guma kupisz od autobusow uszyjesz uszki, żeby miał w co obory wciągnąć i uciszniesz nogi wszystko równo w kajdany, no z tego często czujesz ból oparzenie nóg. Z tego wszystkiego widać ciężki los rolnictwa drobnego, który żyją ciężka swa sytuacja, odgłosy wojny światowej leżą na ich jeszcze widać ślady wyników wojny światowej i od jej cierpią dużo.

Mamy dużo niesprawiedliwości w targowle po miastach. Utrzymana targowla w jednej warstwie narodowości przez żydów ten lud niesprawiedliwy obman widać na jego każdym kroku dziejów przez co lud rolny niesie wielkie utraty i dużo pieniędzy przepłaca dlatego, że oni nie mówią sprawiedliwej ceny, a zawsze powiada podwójnie lub potrójnie i targuj wiele wytargujesz to szczęście będziesz miał. Zawsze za jeden gatunek i klasa nierówne płacimy inni dużo przepłacają, swe krwią i potem upracowany pieniędzy i dlatego ceny przez niesprawiedliwość bardzo są wysokie.

Jeszcze wśród tych trosk niedoli mieliście i mamy dużo kłopotu może niejedyn z was kochani czytelnicy zapłacił jeden, dwa lub pięć złotych. Byli czasy, że przymusowe bielienie tych gnitych i zbutwiałych chałup, uporządkowanie ustępów, robienie bosaków, drabin, żebyś mieli beczki z wodą, uporządkowanie śmietnisk, stawienie piorunochronów. Jeszcze to nie reszta, jak jedziesz gdzieś do miasta to chomonta masz złego, to nie czy duga źle wygląda, żebyś był dzwonek. Przy takim życiu ciężkom tylko łzami oblejesz, ani wesołości. Potrzeba koń kielzany i kuty na wszystkie cztery nogi i tabliczka przy dudze z wymienieniem imię i nazwisko i stałe miejsce zamieszkania właścicielow furmanek i mnogo inni rzeczow.

Przed wojnej światowej mieli swój dom parafjalny dla popa ze wszelkimi zabudowaniami, oraz dziaczkę dom, mieli cerkwa-kaplica, która została spalona przez nieostrożność jego. Cerkwa albo

kościół prawosławny zaczęto budować przed wojną nową, na który asygnowano lasu rządowego, no los wojny przerywa budowę i zostaje nieukończony. Po przyjeździe z Rosji zabrano przez urząd gminny dwa budynki, jak to domy popa i dziaćka jednego pod szkołą do wsi Szymki, ale drugiego dla straży ogniowej do Jałówki, która sprzedawała, gdzie i komu nie wiem. Na nas wszystkich leży ciężki los życia i powstają opłaty naprzykład na ukończenie kościoła musieliśmy zapłacić po trzy złoty z człowieka, na kupno domu, na ubezpieczenie, wszystko opłaty powstają, a mało tego, że musimy płacić dla kleru po dwa pudy rocznie żyta z udziałem, oprócz kartofli, przecież jakaś pensja oni pobierają. Mają pod swą władzą cztery szkoły od każdej szkoły pobierają za wykłady religii prawosławnej, a dochody, ślub, pogrzeb, chrzest, to wszystko za pieniądze, bo lud biedny siedzi w nędzy, a musi. Mamy w swojej parafii około osiemdziesiąt udziałów gruntu. Na moje gospodarstwo rocznie przypada opłat podatkowych od gruntu 1/6 część udziału.

Roczne obliczenie za rok 1933

gruntowego	zł. 8.56 gr.
gminnego	zł. 3.74 gr.
drogowego	zł. 2.64 gr.

Razem zł. 14.94 gr.

Do 1925 roku podatki opłacali no na rękę nijakich wdów i pokwitowań nie dawano płatnikom. Kto płacił swój, a kto nie był w stanie opłacać to wieś za niepłatnika płaciła, bo na całą wieś spadała kwota niepłatników. A teraz kiedy masz pokwitowanie o zapłaceniu podatków do płatnika nic nie mają, a niepłatnik sam za siebie odpowiada. Poniżej podaję wynik podatkowy zgodnie pokwitowań z lat ubiegłych zapłaconych bez odsetek:

Rok	podatek gruntowy	gminny	sejmikowy drogowy	Razem
1925	zł. 6.44	zł. 5.30	zł. 1.20	zł. 12.94
1926	„ 9.07	„ 3.58	„ 1.20	„ 13.85
1927	„ 8.80	„ 4.10	„ 1.58	„ 14.48
1928	„ 8.80	„ 4.40	„ 2.04	„ 15.24
1929	„ 8.32	„ 7.36	„ 5.36	„ 21.04
1930	„ 8.58	„ 6.44	„ 4.48	„ 19.50
1931	„ 8.58	„ 6.44	„ 3.64	„ 18.66
1932	„ 8.58	„ 4.34	„ 2.64	„ 15.56

Ten wykaz za moja 1/6 część gruntu.

Pried wojnoj światowej do pobudowanie szkoły, mieszkańcy wiosiek do kształcenia swych dzieci wynajmowali na swoi koszta nauczyciela, którego karmili i płacili od ucznia po jednym rublu, wszystko dla uczniów, przedmioty do uczenia. Po wybudowie szkoły nauczyciel był na koszta rządu, a teraz mamy dwie szkoły we wsiach Kuchy i Juszków-Gród.

W roku 1927 było posadzono tytoniu dla swego użytku przenie, w nieobecności mojej w domu, bo owy czas był w lesie na rabocie zostało zapisano przez agenta fabryki tytoniowej z Grodna na przestrzeni 50 kw. metrow kara wymierzona 20 zł. za metr w kwocie $50 \times 20 = 1.000$ złotych. Lecz matka staruszka przyjęła na siebie, która była wymierzona w razie niezamóźności ściągnienia z zamianoj na 50 dni aresztu. Było wysłano zażalenie, które zostało uwzględnione i zmniejszone na 12 dni, lub 240 zł., która była zamieniona na areszt i matka musiała odbyć owa kara aresztu. W roku 1928 i kara była odbyta przeciw matka moja z poszkodowania swego syna, która może byłaby na mniej względniejsza.

Co się tyczy mnie, to trzeba byłoby gdzieś kupić jaki kawałek ziemi, albo łąki no skąd wziąć te pieniądze na spłaty moje gospodarstwo nie zobowiązuje dlatego, że niema zabudowań i nie w stanie sama siebie wyżywić i opłacić trzeba, więc iść na stronie pracować, a gdzie i zdrowie nie służy. Tak przychodzi się z losem życia borykować, żeby z głodu nie umrzeć. W czasie świąt i niedziel mamy dwa warunki życia: pierwsze niema nijakiego wyjścia musisz siedzieć w domu, iść do kogo i poco, przecież każdy gospodarz siedzi w domu i myśli o swojej gospodarce i niedoli, nędzy. Gdzie? Z czego skąd wziąć? Przecież każdemu boli co brak to tego to owego, jak utrzymać swe małe gospodarstwo, w której idzie coraz k większej ruinie i upadku. Te, które mają dzieci, myślą, żeby w czasie chłodów i mrozów mieli choć odzież wyjścia na dwór za swojej potrzebój, już nie mówię o dalszej podróży. Na wsi nigdzie nie można znaleźć książki, oprócz ksiąg uczniów, których rodzicy z wielkim wysiłkiem mogli kupić, i to może z pół roku ichnie dziecko biez niej chodziło do szkoły, a niektórych znam, że pierwsza zima chodzi biez wszelkich przedmiotów szkolnych. A o inszych książkach niema mowy, któraby mogła odjąć z tego zboląłego serca od nędzy i smutku choć jedna chwilka dać uciechu. Żal wielki ogarnie duszą twą, kiedy wspomnisz szkolna ława lat dziecinnych, kiedy chodził do szkoły, ksiąg wtenczas nie brakło, czas wesoło upływał. Moi ko-

chani czytelnicy wy dobrze sami wiecie wiele szczęścia można znaleźć w tych naszych przyjaciółach w biedach. Czy jaka bieda? czy głodny? czy skłopotany? czy chory? wszystko zapomnisz kiedy ujrzysz książka, lecz niema pieniędzy i niema na sól, nafta, nie mówię już o cukier, bo i biez cukru można żyć, a na zapalkach robimy oszczędność, bo z drzewa zapalki, lecz trzeba kłuć na tyle części na wiele nadają. Niema lepszego przyjaciela, jak książka, szanujcie owy kawałki papieru zjednoczony w jedno, okładki, które stają obręczami tych kartek zabrudzonych literami czysty papier, wogóle nazywaje się „Książka”.

Lecz moi czytelnicy! kto ma niszczyć książki, to niech odda temu kto pragnie ich, ten może wybawić te biedne dusze od smutku, który ogarnia te ludzkie dusze siedzące w nędzy i na skraj głodowaj śmierci.

Drugi warunek życia niedzielnego i pod czas świąteczny. Dużo przychodzi się odczuwać wstydu według drugich ludzi młodych koleżanów. Nie masz odpowiedniego ubrania według drugich, choć całego, w którym w dni świąteczne wszystkiego zaraz nie dasz rady kupić. Naprzykład: ja w stanie kawalerskim muszę chodzić jedna czapka w święto i tak w powszechnie dni pracy. To masz majtki to nie masz butów, a jak masz buty i majtki to niemasz marynarki, ażebyś wszystko rzetelno miał wyjść do kościoła to nie możesz kupić. A dlaczego nie możesz kupić? Bo gospodarka czeka żebyś pomógł jej, nie mówię już o pracy. Bo biez pracy sam będziesz głodował, nietylko co na niej jest. No trzeba pomocy piędźnoej.

A na starość jakie zabezpieczenie jest kiedy siły człowieka opuszczają, na to wszystko wola Pana Boga naszego Stworzyciela łaska i moc Jego. Bo w Ewangeliji Świętej powiadano jest, Mateusza Rozdział 8 wiersz 17 i dr. Mt. roz. 6 począwszy od 25 wiersza do końca.

Drodzy moi czytelnicy! Może niektóre i lepiej żyją i porachują to tylko opowiadanie bajeczne, no lecz prawda, a jest zapewne niektóre, że na jednych saniach jedziem razem ze mną. Na swoim zyciu wy może nie uwierzycie, że od swoich krow, które miał, że syra i masła nie jadł, bo takich nabywał co mleka do zabielenia garnka, bo wiele lat żył biez owych żywiól i jak stał mieć to już zmienił już 5 sztuk. A te przecież przysłowie mówi: „kto handluje ten swego mleka nie kasztuje”, bo musisz mieniać żebyś choć mleko miał. No co zrobić, bo na jarmarkach wszystki

dobrze i cieleśnie, a do każdej dołoż, bo to wszystko szczęście człowieka, bo masz wyrok takiego życia, masz swoją gwiazdę szczęścia. Ze wstydem to wszystko opowiadamy. Lepiej byłoby urodzić się zaможnym i bogatym, no przecież trzeba robotników, żeby było komu chleba pracować. Lepiej byłoby posiadać jakąś funkcję, no nie byłoby komu płacić pensji. Trzeba robotników to trzeba pomyśleć o ich lepszym życiu.

Przecież to jest „Niepodległościowa Rzeczpospolita Polska”. Wielkie mięzowie Polski niegdys stali w obronie o Niepodległość naszej ojczyzny. Przeczytajcie życie naszego wodza narodu Tadeusza Kościuszko. Teraz powinniśmy pomyśleć o lepszym życiu tych biedowników, które żyją w Rzeczypospolitej. Wszyscy powinniśmy nie zapominać słowa naszego Wybawiciela, który swe życie oddał na taką haniebną śmierć. Żeby wszyscy jedyn o drugim dbali, jedyn drugiego szanowali, lecz wszystkie jest dziećmi Adama i Ewy i Matki ziemi Polskiej. Jedyn drugiemu nieśli pomoc, wszyscy przecież jest Chrestjanami i nieść tym pomoc, których cała gospodarka worek, inwentarz żywy i martwy — kij, żyją w skraju głodowej śmierci, który błaga nas rolnicy o łyżka dziennego jedzenia.

Lecz powinniśmy pomóc tym ludziom, którzy na skraju głodu. Rolnicy pomóżcie tym ludziom. Nawet można powiedzieć, że ze strony władz i porozumienia rolników dać pomoc w naturze chlebom i rozdzielić na podstawie Pisma Św.

Po przyjeździe z Rosji od 1922 roku do 1929 w owy siedmioletni okres lepszego życia nie trzeba byłoby nigdzie jak tu. Niepotrzeba było Amieryki (Stany Zjednoczone) można było zarobić i dobrze zarobić. W owy okres i rolnictwo zaczęło wstawać na nogi, wszystko co trzeba było do gospodarstwa kupić, bo pieniądze mieli i robotnikom wiejskim można było zarobić, bo wszyscy fabryki były w ruchu, mieli do zbycia wyroby, lecz ich kupowano przez rolny lud. A dzisiaj staje ruch rolny. A miasta pełny bezrobociem i głodnymi. Wszystki opłacali podatki w terminie, lecz i niedopuszczano do terminow, nie było widać egzykutorów. Wprzód jak do kogo przyjeździe egzykutor to na wsi mówiono, że niedbałość niepłatnika gospodarza o dopuszczaniu nie płaceniu podatkow. A dzisiaj widać wszędzie zaległości, za te zaległości sprzedawanie pracy chłopskiej naprz.: odzież, żyto niemłócone i młócone, kości, krowy, i insze zwierzęta domowe. Bo nie w stanie dziś rolnik utrzymać swe małe gospodarstwo, bo dzisiaj wszędzie odczuwać kryzys, bezrobocie, niema pracy zarobkowej, która by mogła nieść pomoc na utrzymanie małych rolnych

gospodarstw. Warstwa chłopska jest sama niższa, biezsilna, zawsze w posłuszeństwie swych władców, to jest biezbronni robotniki żyją pod kierownictwem warstw zorganizowanych, bo to jest rozbijany przez wyższa warstwa przemysłowców i handlowców, lecz przez swa nieprzezorność musi odczuwać upadek swego warsztatu rolnego musi odczuwać głód, nędra, potępienie jedyn przez drugiego. Przez swój charakter, bo dzisiejsza ludność stała samolubiwa. W czasie przedwojennym, jak winika z doświadczeń, lepiej żyli między sobą zgodnie, bo pomagali jedyn drugiemu nie czekawszy zapłat, bo dzisiaj nie rachując nawet na zguba bliźniego.

W czasie przedwojennym w okresie od 1905 roku do wybuchu wojny światowej człowiek pieszy, w lesie mógł zarobić jedyn rubel dziennie, z koniem dwa rubli. Kobieta na podzenej robocie przy żniwach mogła zarobić 50 kopiejek i więcej, a dzisiaj przy żniwach u nas płacono 1 zł. 50 gr., w majdanie kobiety pracują 80 groszy dziennie, kopanie kartofli po 70 groszy, bo gospodarski obied dawano i to nie masz teraz nijakich prac, siedzi w domu i myśli, bo niepotrzebny nikomu, bo każdy człowiek niema dzisiaj prac zarobkowych.

Przed wojną światową musieliśmy swe gospodarstwa rzucać, jak żywiola i wszystko co było ad kogo uciekano i rzucano swa ojczyzna. Inszym za krowy popłacono i cało życie wiele sił, potu i krwi pokładali biedny kmiетки na obczyźnie zbierano pieniądze, żebys na te pieniądze mógł coś kupić na swojej ojczyźnie, na swe gospodarstwo, żebys życie mógł żyć biez smutku. No lecz los twego życia zmienił się. Ojcowie zmarli tam, niektóre powrócili. Tu swa własna praca nie mógł skorzystać co pozostawił w całości to zostało rozciągnięto, zniszczone, zrujnowane. Lecz zbierany pieniądze leżą, patrz wiele masz, bo to twa praca, trzymaj na pamiętka, bo jest bogaterem, bo dużo pieniędzy masz. Lecz jak tobie chleba, albo czego brak, to nie biez tych swych pieniędzy, bo to pamiętkowa twa praca twego zdrowia, którego tak ty marnie potracił, wszystko rowno, jak na spacerach lub jakich wycieczkach i znów na nowo pracuj. A teraz nie zbieraj, bo nie masz i nie znasz skąd ich wziąć, a masz już osiemnaście dziur do oddania pieniędzy. I na obczyźnie co masz, wszystko uporządkuj, bo może tve gospodarstwo przez jakich dwadzieścia lat szło, wszystko poprawiano, to na nowo dawano zmiany. Może nijedyn twój ojciec pracował i polepszał poziom gospodarstwa, a teraz ty jedyn wszystko zrób, co w dziesiątki lat było zrobione, a ty choć w jedyn rok daj to wszystko, to wszystko masz. Moi drodzy czytelnicy można te życie przyrowniać, bo ży-

jano jak życie było niegdyś Robizona Kreuzo. Może nie czytano przez kogo, to postarajcie się przeczytać, bo po wojnie każdy człowiek żył na takich warunkach, lecz i dziś jeszcze żyjemy tak wzorowo, jak bogater Kreuzo, bo każdy człowiek jego życia próbował i dziś jeszcze, niektóre żyją tak.

Wieś Ciwoniuki posiada ludności 336 człowiek lub osób, 77 gospodarstw. Trzy czwarte ucząstka gruntu posiada jedyn gospodarz, całego gruntu niema posiadacza, pół gruntu posiada pięciu gospodarzy, jedna trzecia część gruntu posiada ośmiu gospodarzy, jedna czwarta część posiada dwudziestu gospodarzy, jedna szоста część posiada sześciu gospodarzy, jedna siódma część posiada dziesięciu gospodarzy, jedno ósma część posiada ośmiu gospodarzy. Lecz pozostałe posiada mniejsza niż ósma część gruntu, bo dziewiętnaście takich gospodarzy. Ogólne posiadanie gruntu w całej wsi 392 dziesięciny 52 sotych, w skład tego wchodzą nieudobie 7,63 dz., pastwisko 49,92 dz., łąki 71,29 dz.

Małorolni w czasie parceli majątku Uljanka, który dotyka granic naszej ziemi, nie został kupiony ani jedyn hektar ziemi i ta ziemia została rozparcyłowana przez najezdny lud, który na odłuzenie Banku Rolnego musi płacić tysiąc złotych i procenty. Prócz tego owa ziemia posiada zaległości. Owy lud sprzedał swe gospodarstwa do nabycie ziemi, a kiedy wypłaci to niewiedomo, bo rozkład płatności zobowiązany na trzydziestoletni. Marnie życie tych nabywców owej ziemi.

Do wybuchu wojny światowej wieś nasza płaciła podatku do 20 rubli, lecz płacono nierówno, bo grunty są nierówne, to większe to mniejsze, lecz ziemia tyż kategoryczna. Na moja część przypadało płacić około 3,35 kopiejek. W roku 1929 przyszło się zapłacić podatek wojskowy w wysokości 15 zł. 50 groszy, lecz wielka krzywda. Lepiej być zdrowym i iść do służby wojskowej, aniżeli siedzieć w domu niezdrowym i płacić. Skąd brać pieniędzy to trzeba rady lekarskiej zaciągnąć, a tu jeszcze płacić, bo pozostał w domu, lecz odsyłano odwołanie, które zostało niewzględnione i musiał zapłacić. Jak byli lepsze czasy i nic nikomu nie bolało, to próba niektórych instruktorów o zorganizowaniu ludności wiejskiej zawsze była przyjęta z wśmiewiskami.

Lud rolny w dzisiejszych czasach stał przypatrywać się tym skleparzom i kramikarzom, że nie pracując, tak dobrze żyjący, że tak mocno nie pracują, a mają dobrze odzież, smaczno i dobrzy po-

trawy używający. Tylko żyjący z interesów targowli, lecz dobrze zorganizowany mają ceny stałe na swe wyroby, odpowiadający i opłacający trudu, jak na wyrobach przemysłowców i handlowców, a rolnicze ziemleplody i praca rolników na nic nie opłacająca i za marny pieniędzy oddają. Stał zorganizowywać koła Stronnictwa Ludowego. Ni kto nie może widziać co trzeba dla ludu rolnego, że nie mają dostatecznie nawozow oborowych trzeba i dodać nawozow sztucznych, trzeba narzędzi rolniczych i materiałow do odzieży. Teraz przychodzi się przepłacać ceny bardzo wysokie, że z zagranicy mogliśmy dostać pewnie nie drożej by wyniosło. Mielismy ceny umiarkowane, mieliby trochi oszczędności na pieniądzech. Dlatego chłopci powinny być zorganizowani, jak inne warstwy przemysłowców i handlowców, i nie powinny mieć różnicy między sobą ani narodowość ani Religija nie powinny stawać na drodze do zjednoczenia ludu wiejskiego. Tylko powinny dobrze zapamiętać, że my jest dziećmi ukochanej jednolitej matki Polski, a raz jedno będiem myśleć to powstaną nasze spółdzielnie chłopskie, do tych spółdzielni będą sprzedawać swe ziemleplody i pomagać swych braciom, które w czasie wiosennego wyjścia w pole nie mają nasion ani ziarnka. Może w ten sposób będą mogli podnieść ceny stałe na produkcji rolne, według produkcji przemysłowej.

Wtenczas możemy dostawać co się potrzeбно dla gospodarstw naszych po cenach umiarkowanych. Nie będiem komuś przepłacać lisznie pieniądze i możemy ogółowo sprowadzać nawozy sztuczne dlatego, że jednostki nie mogą uczynić do naprawy poziomu gospodarczego. Wtenczas będzie istnieć ruch spółdzielczo-rolniczo chłopski, który będzie najmocniejszy nad wszystkie warstwy zorganizowanych cechow i tym wzmocnionym krokom podążymy do Szczęścia Przyszłości.

W naszej wsi wiele raz dochodziło do porozumienia między sobą ob komasacji gruntow i więcej ziemi, no skąd je wziąć, że niema gdzie. Lecz każdy raz biezskutecznie, każdy raz dawano wyniki o naciągnięciu lisznych kosztow komasacyjnych, a gruntu czy powiększy? I przesilenie niektórych licznosci nie dało nijakich wynikow, które mogą obejść biez takoj, za lepszych czasach słysząc nie chciano ob organizacji lub stowarzyszeniach. No dziś zostało zorganizowano koło Stronnictwa Ludowego, który dziś posiada 36 osób. Otrzymujemy dwie gazety, które wspólnie opłacamy. Ludność mają na celu polepszenia sobie życia przez założenie spółdzielni, do których

oddawać swa produkcja rolna po cenach ustawiono istniejącego dziś wzamian otrzymywać co potrzebnno dla rolnictwa i czego odczuwać brak i nieść pomoc tym biedowiskom swym braciom, które siedzą na drodze śmierci i w czasie wiosennych nasion do obsiania roli nie mają.

Wiele trudu położył o zdobycie owego papieru.

Dn. 1 listopada 1933 r.

Nie będę opisywał okresu lat 12 — 16 gdym rozbijał ptasie gniazda, pasąc krowy po lesie. Pamiętnik mój datuje od 1907 r., gdyż w tym roku ojciec mój po ożenieniu mnie oddał mi gospodarstwo rolne, składające się z ucząstka nadziałowej ziemi, to też przystąpiłem do gospodarowania z wielką bojaźnią, pamiętając przysłowie, że „gospodarka to kłopotarka”, bo tak i jest, że w gospodarstwie rolnem nietylko trzeba umieć orać, siać, kosić, lub gnój wozić, ale też trzeba umieć jak z nawozem się obchodzić, żeby nie marnował, trzeba umieć jak to konie, krowy, cielęta, świnię, owce i kury karmić i hodować, trzeba umieć do gospodarstw co i jak kupić i z gospodarstwa sprzedać i kto tam zliczy ile tego wszystkiego w gospodarstwie rolnem trzeba umieć. To też przystępując do gospodarowania w wieku młodym, bałem się, że nie podołam tym wszystkim trudnościom, ale przyszło mi tu na pamięć mądre przysłowie, które powiada „Jak sobie pościelesz, tak się i wyśpisz”. Więc wziąłem się do pracy z wielkim zapalem, najpierw przystąpiłem do oczyszczenia pola z kamieni i oczyszczenia miedzy z jałowcu, zaprowadziłem racjonalny płodozmian, to też po dwóch latach gospodarowania okazało się co? że gospodarstwo moje zaczęło mi dawać dwa razy tyle ile dawało mojemu ojcu. Nie przesadzę pisząc, że do roku 1914 złożyłem w kasie oszczędności powyżej tysiąca rubli, ale cóż z tego, kiedy tych oszczędności obecnie nikt nie zwraca, chociaż mam list od ludzi uczonych z Wilna, których zapytywałem w 1915 r. co może się stać z pieniędzmi zaoszczędzonymi w kasie oszczędności jeżeli tu zajmo Niemcy, powiedziano, że temu nic nie grozi, chociaż i zajmo tu Niemcy, albo kto bądź inny, to oddadzo, bo to jest prywatna własność. Nieprzyjacieli zabiera tyl-

ko rządowe pieniądze, papiery i różne rzeczy, a prywatna własność jest zastrzeżona. Sądźcie panowie sumiennie, czy nie jest sprawiedliwie obecnie oszczędności zwrócić, ponieważ rząd rosyjski tych pieniędzy w kasie nie trzymał, ani oddawał na procent zagranicę, a w tym kraju budował szosy, koleje i różne rządowe budynki, w ogromnych lasach rządowych prowadził kulture, z którego wszystkiego obecnie korzysta rząd Polski. Widziałem w naszym urzędzie gminnym zawieszane na ścianie w ramach pod szkłem ogłoszenie: „Zabrania się w Urzędzie gminnym rozmawiać po polsku pod grozą kary grzywny 25 rubli, lub aresztu 2 tygodnie”. Ujezdny Isprawnik. Pewnego razu przemawia do mnie nauczyciel szkoły powszechnej tak: „dobrzeby było, żeby tu nas zajęły Niemcy, toby nas nauczylib dobrze gospodarzyć, bo my nie umiemy”. Rok 1914, wybucha wojna, och jakaż to okropność ta wojna, to całe zabójstwo! Pewnego razu przychodzi do mnie nauczyciel i powiada, wiesz co? rozpoczyna się okropnie wielka wojna, a ja wykrzyknąłem, to dobrze, będą ciekawe nowiny, będzie co czytać w gazetach i dodają to może nieprawda, to takie pogłoski nieprawdziwe. Na drugi dzień jeszcze przed świtem wyruszyliśmy ze wsi wszyscy w pole ciąć owies, bo w tym czasie najwięcej rolnik ma pracy jak owies dojrzeje, bo żyto, jęczmień i pszenica jeszcze w polu i owies dojrzał aż się sypie to trza ciąć póki rosa nie spadnie, więc tniemy aż echo odbija się daleko i oselki brzęczące po kosach i brzęk kosi uderzonej o kamień przez którego niezdare słychać zdaleka. W tem spostrzegamy, że ktoś w kierunku nas bardzo prędko idzie, boso w jednej koszuli, macha ręką i coś białego w ręce trzyma, podchodzi bliżej, poznajemy sołtysa, trzyma w rękę ogłoszeniowe papiery i jeszcze zdaleka krzyczy: „hej chłopcy! rzucajcie kosi i czempredzej do domu, mobilizacja”. Tej chwili wszyscy kosi na ramię, pośpiesznym krokiem przychodzimy do domu. We wsi kobiety stoją kupami. Na słupach i na ścianach powyklejane ogłoszenie, na jednych napisano takie a takie roczniki w dzisiejszym dniu stawić się do wojenskiego naczelnika w powiecie. Na drugich ogłoszeniach napisano, wszystkie konie stawić także do naczelnika w powiecie, na konie wierzchowe taka to cena, na konie do artylerji taka to cena, konie obozowe taka cena. Na innych było napisane także stawić wszystkie wozy na żelaznych osiach — taka cena, na drewnianych taka cena. W parę godzin utworzył się we wsi taki zgiełk, płacz żon, matek, sióstr, przy pożegnaniu odchodzących na wojnę. Ja ruszyłem z koniem do wojska. Miałem ulgę I stopnia. Jadąc zajęz-

dżam do gminy i widzę na ścianie odezwę w języku polskim, obok ogłoszenie, które zabrania rozmawiać po polsku. Odezwa wydana przez naczelnego wodza Nikołajewicza, treść początkowo brzmi: Polacy! rozpoczynamy wojnę z wrogiem silnym, wzywam was stanąć ramię przy ramieniu żołnierza rosyjskiego, po zwycięstwie otrzymacie ojczyznę wolną pod berłem cara rosyjskiego.

Zwracam się do wójta i mówię, panie wójcie! dlaczego w urzędzie gminnym takie porządki? a co takiego? pokazuję w stronę ogłoszenia i odezwy dlaczego to takie sprzeczności, niech p. wójt każe którąkolwiek usunąć, wójt odpowiada, tak! ale narazie niechaj jeszcze pobędzie. Przyjeżdża pop do szkoły na naukę religii, kazał zebrać zebranie i powiada tak: „Moi najmilsi, obecna wojna przyniesie nam wielką radość, potrzecie nasi koło Kieninzberga, nasi przechodzą Karpaty”. Biedny popina na drugi rok musiał uciekać tam nad Wołgę i stamtąd już nie powrócił. Czytanie gazet i ciekawych wieści trwało niedługo, w drugim roku słychać było strzały armatnie coraz bliżej, pokazały się obozy, później wojska, pokazały się na oczy te ciekawe, nieszczęsne i grozą przejmujące nowiny, rabowanie, niszczenie i palenie budynków i ucieczka moskali poza Niemen i Wilję. Jednocześnie z wojskami wyjechało do Rosji więcej jak 2/3 ludności, przeważnie prawosławnej. Po przejściu wojsk i obozów niemieckich w przeszło dwa tygodnie zjawia się na wieś niemiecki żandarm, wyjmuje z kieszeni zegarek, pokazuje godzinę dziewiątą i powiada, jutro o tej godzinie stawić się do komendanta w Świsłoczy. Nasza wieś także wszyscy wyjechali do Rosji, tylko zostało nas dwie rodziny. Idziemy we dwóch do komendanta, pożegnawszy się z domownikami, bo powiadali, że Niemcy wszystkich mężczyzn będą zabierać na wojnę, wchodzimy do miasta, na dwupiętrowej kamienicy powiewa flaga niemiecka, obok stoi grupa ludzi i powiadają nam, że im to samo mówił żandarm. Wzywają nas na drugie piętro, sala ogromna, na środku stół obok stawia fotele Niemcy i nas sadowią. My, co to fotele rzadko kiedy widzieli zdaleka, Niemcy nas w nich sadowią, myślimy tu na coś dobrego się zanoszą, może nas wódką lub winem będą częstować. Wchodzi komendant, wstajemy, powiada „gut moin” tłumacz nam powiada, że komendant mówił dzień dobry, dzień dobry, odpowiadamy, siada na dużym fotelu i nam wskazuje siadać sam zaczął coś dużo po niemiecku szwargotać, patrzymy na niego i nie wiemy czy on nam co dobrego mówi, albo może nas łąja. Obok stojący tłumacz nam objaśnia, komendant powiada „że wy zostajecie pod rządem Nie-

mieckim, pamiętajcie, że rząd nasz jest silny, bogaty, mądry i sprawiedliwy. Pod naszymi rządami będzie wam żyło się dobrze, tylko wy powinni naszemu rządowi być przychylni". Później powiedział, może macie jakie żądanie od nas, powiedzieliśmy, że my nie mamy soli, rzeczywiście zapasy wyszły i soli nigdzie nie było. Zanotował to sobie i kazał, że sól będzie, rzeczywiście punktualnie co miesiąc na każdą osobę dwa funty było dostarczone. To co kiedyś jeszcze przed wojno powiedział mi nauczyciel, żeby tu nas Niemcy zajęły, toby nas nauczyliby dobrze gospodarzyć, to tego nie było, chociaż obsiewali sami te wszystkie majątki, od których właściciele wyjechali do Rosji, obsiewali przez cztery lata i nic tam takiego nowego i kulturalnego nie było widać. Także i ta zapowiedziana sprawiedliwość nie była przestrzegana, bo ludność przymusowo była wyganiana o chłódzie i głodzie na wyrąb i wywóz w puszcze białowieżskiej za marną opłatą. Natomiast życie domowe za czasów okupacji to było świetne, wiadoma rzecz co chłopu jest najdroższe i najmilsze, to ziemia, to gront, jak my nazywamy, ludzi wyjechało do Rosji więcej jak 2/3, po nich pozostało tyle łąki, tyle ziemi, dobrej i jeszcze lepszej, cóż chłop ma robić? Mało się nie zwarzuje z tej radości, pracowałem nietylko w dzień ale też i w nocy, obsiewałem ziemię jak najwięcej, zakładałem nietylko swoją stodołę, ale i tych co powyjeżdżali. Niemcy wolny handel wzbronili, kazali zboże im oddawać, oddawało się trochę, ale nie wszystko, nocami przyjeżdżali kupcy z miasta, płacili pieniędzy, albo jaki chciał towar od kupca. Krowa choć była jedna w rodzinie, ale tyle dawała mleka, że oddawano 10 litrów Niemcom i jeszcze dla siebie dużo zostawało. Powód obfita pasza, pastwisko. Zachorowało mi dziecko, jadę po doktora do Świsłoczy. Wyjechałem w nocy, żeby go zastać rano w domu, o wschodzie słońca wjeżdżam do miasta, ulica zapelniona ludnością, stoją kupami i o czymś rozmawiają, zbliżam się i pytam, o czym tak rano wszyscy zebrani gwarzycie, powiadają mi, że dzisiejszej nocy wszystkie Niemcy uciekli, podjeżdżam do owej kamienicy, patrze i myślę, gdzież to ta zapowiadana wasza siła, mądrość i bogactwo, że w nocy uciekacie, wtem pomyślałem, takiej to wam podróży. Nastaly czasy bezkrólewia, naród tu nasz rozbitý i oszołomiony, nie mając żadnych wodzów, nie wie jak i kto tu będzie, mówią, że wojska polskie zformiowane w Łapach, prędko tu zajmą. Tu mówią, że bolszewicy w Słonimie, lada chwila tu przyjdą, nawet utworzył się w Wołkowysku bolszewicki sekretarjat. Pogłoska jest, że wojska polskie w Wołkowysku. Ja-

dę umyślnie 20 kilometrów zobaczyć wojsk polskich. Przyjeżdżam, patrzę, cały Wołkowysk zajęty Niemcami, bo widzę niemieckie szeniele, niemieckie karabiny, ale podjeżdżam bliżej i zauważyłem białe orzelki na czapkach niemieckich, ach! to wojska polskie, bo i słychać rozmawiają po polsku. Zabieram się jechać do domu, wtem kilku żołnierzy siada mi do woza i pyta, a gdzie gospodarz jedzie? Powiadam, że jadę do domu, to niech pan nas podwiezie do Porozowa, a kiedy ja jadę w przeciwną stronę, do swego domu, to nic, powiadają, niech pan jedzie w stronę Porozowa, bo jak pan nie zechcesz to my przymusimy, cóż robić? jadę przez całą noc przeszło 25 kilometrów do Porozowa, a na drugi dzień późno wieczorem powracam do domu, ale zobaczyłem legunów. Bardzo wielka szkoda, że nie datuje tych zająć cyfrowo, ale proszę mi wybaczyć, bo wiadomo, że chłop niema chwili wolnego czasu i nie datuje w dzienniku, jak były nasz car Mikołaj, którego dnia i godziny zastrzelił wronę, którego dnia i godziny jadł kartofle, którego dnia i godziny zastrzelił rogowca lub zająca, którego dnia i godziny ze swoją kochaną Aliks pił czarną kawę. Chłop datuje tylko w swojej głupiej głowie.

Po zaciszeniu zawieruchy wojennej i ucieczce Niemców, zebrałiśmy się w Wołkowysku na naradę i wybranie delegacji do Mińska na omówienie sprawy w celu należenia państwowego. W tym czasie przyjechało z Warszawy czterech krasnomównych delegatów, które mówiły przez całą noc i przemawiali tak pięknie i przekonująco, że przy Polsce nam będzie najlepiej, że Polska utworzy dobrą konstytucję i będzie się rządzić sprawiedliwie, nie będzie krzywdzić mniejszości narodowych. Że Polska nie prowadziła wojny samodzielnie, nie zaciągała i niema żadnych zagranicznych długów i wiele wiele rzeczy pięknych o Polsce. Po naradzie wybraliśmy delegatów i wysłaliśmy do Warszawy do Naczelnika Państwa Marszałka Piłsudskiego o przyjęcie nas do Polski. Nie żałowalibyśmy tego, gdyby nas Polska nie skrzywdziła likwidacją serwitutów, o czym opowiem niżej. Doszły nas słuchy o załamaniu się frontu polskobolszewickiego, potem zaczęli u nas przechodzić wojska Polskie w stronę Warszawy, a w ślad za nimi bolszewickie, ale taka ogromna ilość ich szła, aż my tu myśleli, że koniec już Polsce, zdratują i zjedzą ze wszystkim. Po trzech tygodniach nietylko że wracali nazad już w małej ilości, ale uciekali prędzej jak Niemcy, a wojska polskie pognały ich tam za Niemen i Wilję. Pytałem Niemców jakie wrażenie odczuli jak wybuchła wojna. O my byliśmy takie

radzi, że wszyscy wyskakiwaliśmy z radości, powiadam dlaczego, mówi, że u nas jest takie przyszykowanie, że nas nikt nie zwycięży tylko my. Tak to zwyciężyli Niemcy, że żydek we Świsłoczy zakupił od nich 100 wozów, ja kupiłem jeden od żyda za 90 marek i przerobiłem na swój gospodarski, a z piki dętej stalowej zrobiłem trzonek do kaczerki do pieca, bo się nie pali i jest bardzo lekki. Pytałem zaufanych mi ludzi, które poprzyjeżdżali z Rosji, jak im się tam żyło, mówili, że z początku bardzo było dobrze, a jak powstała rewolucja i zamordowano cara, nastał taki głód, że kto był słabszy zaraz umarł, a silniejsi i zdrowsi pouciekali do domu. Pytałem bolszewików, powiedzcie dlaczego to tak u was jest, wasza idea, że wy stoicie za narodem, naród pada od głodu, a u was jest wszystkiego pod dostatkiem. Odpowiedział „czort jeho woźmi z narodem, nam nużna włast”.

Nie opisuje w pamiętniku wykonywanie chłopem robót gospodarskich, wszystkim wiadomo, że chłop niema ośmiogodzinnego dnia pracy, a pracuje od świtu do nocy, niema także recepty wykonywanej pracy, a musi dla siebie umieć i wykonywać w części pracę kowala, stolarza, stelmacha, rymarza, bednarza, murarza, szewca, krawca, szklarza, rzeźnika i tkacza i kto tam może zliczyć ile i co tam gospodarz rolny chłop powinien umieć i robić, jeżeli tego wszystkiego dla siebie sam nie wykonuje, to taki gospodarz szydłem kaszę będzie jadł. Dla dobrobytu rolnika nie stanowi także duża ilość ziemi, bo ziemia bez mądrej głowy i sprytnych rąk nie da. Na targu w mieście miałem takie wrażenie, przychodzi chłop do czapnika kupować czapkę i pyta jaka cena za czapkę, którą trzyma w ręce i pokazuje czapnikowi, czapnik mówi 500 marek, chłop patrzy na niego i mówi, co ty zwarzował, cenić tak drogo swoją czapkę, co ja za krowę nie kupię sobie czapki, którą sprzedałem w zeszłym miesiącu i była z najlepszych, za którą wziąłem 300 marek. Czapnik patrzy na niego i mówi, przyprowadź mi krowę, dam ci za nią wybrać sobie najlepszych 20 czapek. Chłop nie mówiąc nic tylko zżał ramionami, splunął na ziemię i odszedł. Czytałem w „Gazecie Gospodarskiej” artykuł pod tytułem „reformacja rolna, a obrona kraju”, autor dowodził, że w razie wybuchu wojny potrzebne jest dla wyżywienia armji i ludności wielkie majątki ziemskie. Mojem zdaniem mylnie autor dowodził, bo i same życie to pokazało, nie wiem jak tam było w czasie wojny w Kongresówce, ale co tu u nas na kresach, to ani jednego obszarnika nie pozostało w kraju, wszyscy uciekli z wojskiem rosyjskim do Rosji

i 2/3 ludności przeważnie z wiosek, z miast prawie nie wyjeżdżali, a nas co we wsi pozostała 1/3 a tu tyle lasów, łąk i ziemi, tyle pracy, tyle radości, pomimo, że Niemcy zabierali od nas zboże w dużej ilości dla swojej armji, jednak wyżywiłiśmy ludność miast przez 4 lata i chwała Bogu z głodu nikt nie umarł.

Po przejściu tych burz i przewrotów zaczęło się znowu życie normalne, zwłaszcza rok 24, 25, 26, 27, 28 i 29, więc złożyłem znowu w kasie Stefczyka 1000 zł. oszczędności, a rok 30, 31, 32 i 33 coś zaczęło się psuć, co za cholera spostrzegłem w roku obecnym, że wycofałem z kasy swoje oszczędności, myślę, co to się stało? nic takiego nadzwyczajnego nie kupowałem i nie budowałem, pracuje się, oszczędza się i ubiega się tak samo jak poprzednio, rola wydaje to samo co i poprzednie lata, a tu wszystko coś zaczęło kulać. Zaczęli mówić i pisać, że powstał tam jakiś kryzys, zaczęli pisać, że powodem kryzysu powstała nadprodukcja, dziwna rzecz przysłowie powiada, że od przybytku głowa nie boli, a tu od tego przybytku nie tylko boli głowa, ale najwięcej brzuch i wogóle wszystkie członki. Zaczęłem obmyślać sposoby jak tu walczyć z tym kryzysem, wzięłem słownik i zobaczyć co to znaczy ten kryzys. Patrę, ale to wyraz grecki, a nie nasz polski, cóż do cholery, której ty do nas tu wlaź, z Grecją granic nigdzie nie mamy, chyba aeroplanem przyleciał. Patrę dalej, napisane jest po polsku, przesilenie, myślę, nie to chyba nieprawda, przesilenie trwa krótko, a tu już czwarty rok i sili się coraz mocniej. Wreszcie domyśliłem się prawdy, że to w druku o jedną literę wkradł się błąd, bo napisane, że to jest przesilenie, powinno być napisane przysilenie. Teraz na wsi zna już nawet małe dziecko co to jest kryzys, znamy też wszyscy metodę, że ten kryzys jak jest bardzo łatwo zwalczyć, tylko niestety nie mamy do tego mocy, a jak trafi wieś ten kryzys, pokaże to przykładem. Co się stanie z tym człowiekiem-kupcem, jeżeli on będzie kupował i płacił drogo, a sprzedawał tanio, prędko zbankrutuje i stanie żebrakiem, to też my chłopie rolnicy jesteśmy tymi bankrutami. W czasach normalnych płaciliśmy za paczkę machorki trzy jaja, obecnie za paczkę machorki trzeba zapłacić dwanaście jaj. Za kilogram żelaza trza było zapłacić siedem jaj, obecnie za kilogram żelaza trza zapłacić czternaście jaj. I wszystkie towary przemysłowe i monopolowe w stosunku do produktów rolniczych obecnie nieopornie droższe, mniejsza o to, że tytoń, wódka i cukier jest drogie, obecnie to luksus, na który tylko urzędnicy państwowi i samorządowi mogą sobie pozwolić, chłop bez nich może się obejść. Czytałem

w gazecie, że były minister rolnictwa powiedział: „to jest zrobione dlatego żeby chłop się nie rozhultał”, mylnie powiedział, bo chłop to wszystko jedno jak pszczoła, chociaż nanosi miodu pełny ul, a jak niema już w polu z czego brać, to leci do uli cudzych i szuka roju słabszego żeby rabować, chociaż najczęściej życiem przyplaci. Jeden tu miejscowy obszarnik powiedział: „żeby tak było teraz jak lata poprzednie, toby chłopci wszystkie nasze majątki wykupili”, też mylnie powiedział, bo kto to sprzedaje majątek jak on dobrze stoi, a właśnie teraz jest majątków dużo na sprzedaż, ale nikt nie kupuje, bo biedny to za co kupi. Przed wojną w naszym miasteczku Świsłoczy, dokąd my zawsze jeździm na targi, było dwa monopoli spirytusowych, w czasie jarmarków i targów to był tam taki natłok, że ludzie stali w ogonku, a policja trzymała porządku by chłopci sobie żeber nie połamali. To samo było po wojnie, chociaż było trzy dużych restauracji, tam się nie mieścili, ludzie czyli chłopci pili wódkę, jedli kiełbasy i śledzie na wozach, chociaż policja ganiała i pisała protokóły. Obecny kryzys wszystko przełamał, sklepy spirytusowe i restauracje świeco pustkami, jadąc do targu weźmie się kawałek czarnego chleba do kieszeni, zgryzie się go i bardzo doskonale, ta abstynencja owszem wyszła na dobre dla nas, bo nie marnuje się zdrowie, które jest potrzebne do pracy. Mówią i piszą w gazetach, że chłop chowa pieniądze w sienniku, nieprawda, chłop mądry to powiększa swoje gospodarstwo, rozumny złoży oszczędność do kasy, głupi przepije, a tylko dureń schowa w sienniku, których to bardzo rzadko teraz się znajdzie. Skreśliłem w krótkości nasze przejście chłopskie, parę słów skreśle jak się zapatrujemy na przyszłość chłopską. Dla rozwoju i dobrobytu chłopca, niezbędnie trzy warunki potrzebne, niektórym trzeba dać ziemi, dać szkołę i dać w dupę. Tylko nie przez ekonoma dworskiego, tego uchowaj Boże, ale i ekonom z dziedzicem także niech dostano jak zasłużą narówni z chłopem. Wtedy zapanuje w naszej Polsce ład, porządek i dobrobyt. Co z tego, że teraz nie biją w d. to zato głowy odcinają, bo kara na łajdactwo musi być. Pamiętne te błogie czasy, gdy w gminie wybierane było sześć chłopskich sędziów, do sprawy zwykle zasiadało trzech i przysądzo według zasługi 15 albo 25 i sypno i puszczo do domu, taki karany już na powtórny raz nie zasługuje, poprawia się. Jeszcze dużo rzeczy jest do opisania, ale już nie mogę, spadło na mnie nieszczęście. W nocy powydzierano mi pszczoły, tak się tem przejęłem, że mało sobie życie nie odebrałem, przez trzy dni leżałem od tego chory, teraz powstałem, ale chodze jak głupi. Od wszystkiej pracy odpadła ochota. Nieco

jeszcze dopisze w krótkości. Największą naszą tu na kresach bo-
lączką to likwidacja serwitutu, nie o to chodzi, że likwidują, ale o to
że niesprawiedliwie. Sąsiednia wieś Downary otrzymała od p. Wy-
sockiego po 10 ha. na udziałek nadziałowy. Druga sąsiednia wieś
Wilejsze otrzymała od p. Bobrowicza także po 10 ha. na udziałek
nadziałowy. Nasza wieś Werdomicze co miała największą przestrzeń
bo 728 dziesięcin otrzymała tylko po cztery ha. na udziałek nadzia-
łowy. Nie próżne były słowa co p. Tołłoczko nam powiedział „moja
szklanka herbaty więcej znaczy jak wasze 1000 zł.” Od słów do
czynu, przed rozpoczęciem likwidacji, Komisarz Ziemiański nie wpisał
do protokołu całej ilości na której my korzystamy 728 dz. a dużo
mniej. Przy ustaleniu rozciągłości przez O. K. Z. p. Tołłoczko zeznał
kłamliwie i jest wpisano do akt sprawy, że wszystkich lasów ma
1000 dz. wiadomo nam i mamy dokumenta, że wszystkich lasów jest
2000 dziesięcin z których wyjęto tylko 350 dziesięcin dla ośmiu wsi,
a dla p. Tołłoczki zatrzymano 1650 dz., trudno tu wszystkiego opisać,
gdzie na każdym kroku robiono fuszerkę. Składaliśmy apelację do
G. K. Z. ale cóż z tego, kiedy niewiadomo kto w Polsce rządzi, p. Pre-
zydent z Ministrami czy taká Komisja. P. Prezydent wydał rozpo-
rządzenie w dniu 1 lutego 1927 r. i podpisano wszystkimi Ministrami.
Dz. Ust. Nr. 10, poz. 75 artykuł 61 brzmi: „Rozporządzenie niniejsze
wchodzi w życie czternastego dnia po jego ogłoszeniu, równocześnie
tracą moc wszystkie przepisy prawne dotychczas obowiązujące”.
A Główna Komisja Ziemiańska na zasadzie art. 3, 6, 7, 12 i 13 ustawy
z dnia 11 sierpnia 1923 r. (poz. 706) skargę naszą odrzuciła. Obszar-
nicy tu powiadają co rząd rosyjski pozostawił serwituty dlatego, żeby
chłopi z nami się kłócili, też nieprawda. W dokumentach naszych
wrażnie napisano przy odgraniczeniu ziemi ornej „i co o podziale
wspólnego pastwiska i leśnego serwitutu strony się nie zgodziły”.
Nie zgodziły się, bo wiedzieli, że nas w przyszłości będą mogli oszu-
kiwać. Dużo i wszędzie obecnie piszą, że rząd narodowy w War-
szawie 1863 r. nas uwłaszczył, a potem także car rosyjski Aleksan-
der II także uwłaszczył, tak wiemy, że uwłaszczeni jesteśmy podwój-
nie, ale obecnie rząd ludowy wywłaszcza. Gdy w roku 1874 ziemia
orna została nam odgraniczona, a lasy zwane serwitutami zostały
jeszcze nie podzielne dotychczas, bo od tego czasu żadnej reformy
agrarniej nie było. Obecnie las serwitutowy obszarnik wycina, a chło-
pom oddaje się gołą ziemię. U nas wycięto 75 ha lasu młodego 14
letniego, my płakaliśmy widząc takie spustoszenie. Ale co w Polsce
dla obszarnika się robi, weźmijmy potomków Tyszkiewicza, które

odsadzili od rządu Polskiego 1/3 puszczy białowieskiej w naszym powiecie, co nam dobrze wiadomo, że ten las sam Tyszkiewicz sprzedał rządowi rosyjskiemu za 18 milionów rubli. Niech się nie myśli, że da się utrzymać obszarnikom tak długo swoje obszary, wiadoma rzecz, że chłop jest płodny jak królik i bystro się rozmnaża, a skąd będzie żył, jeden drugiego nie będzie jadł, musi mieć kawałek ziemi, wiedzą o tem i sami obszarnicy, bo zasadzają jak najwięcej gruntów ornych nawet i dobrych lasem i jeszcze przy pomocy rządu i nasze lasy sobie pozabierali. Jak się popatrzy na chłopów i myśli, jakież to głupi naród. A jak przypatrzeć się bliżej „to jaki mądry, dodać mu oświaty, to będą najlepsi doktorzy, adwokaci, generałowie, ministrowie, astronomowie, słowem genjusze”. Popatrzycy zdaleka na obszarników, jakież to lud oświecony i mądry, ale przypatrzeć się bliżej, to jacy niektórzy głupi jak buty, w kieszeniach mają pełno dyplomów, a w głowie nic.

Nie zapomnę przez całe życie wrażenia jakie miałem w dniu święta morza jadąc do Gdyni w roku obecnym. Przejechawszy Warszawę i były zabór rosyjski, to jakby w inny świat, bo na naszych polach pełno kamieni, krzaków, ugorów, łubinów i gryków, co tam na Pomorzu tego nie widziałem, oprócz pszenicy, żyta, jęczmienia, kartofli, rzepaku, nawet owsa w rzadkości, budynki prawie wszędzie murowane, słowem istny raj i nie mogła się dusza naradować tym wszystkim i przyszły na pamięć słowa nauczyciela, że Niemcy umieją gospodarzyć. Wreszcie ziściły się moje marzenia, oglądania portu i morza, nie mogłem temu wszystkiemu się napatrzeć i nadszwich, jak to maszyna bierze wagon naładowany węglem, podnosi wysoko do góry, zawija nad okręt i wysypie zupełnie tak jak kobieta kosz kartofli do worka, i ta cała robota tylko w przeciągu pięć minut. A bojowe okręty „Burza” i „Wicher” jakież ogromne po 114 metrów długości, a zięjące paszcze armat, terpedów i min jak beczki ogromne, zwiedziłem okręt „Polonja”, jakież to olbrzym, ileż tam pięt, kajut, sal pięknie umeblowanych, łodzi ratunkowych, maszyn pędnych, jednym słowem cudności, że człowiek tego wszystkiego nigdy nie widział. A ileż tam tych różnych dźwigni co to węgiel z wagonu biorą garściami i zanoszą na okręt, także samo biorą różne towary z okrętu i zanoszą do składu. Widziałem także dwa pancerniki szwedzkie stały na kotwicy niedaleko portu. Widziałem także ogromną ilość przeróżnych statków od różnych krajów, małych, średnich i ogromnych. Z niezmierną ciekawością i zachwytem oglądałem urządzenie samego portu, ze zdziwieniem patrzyłem na zapuszczone głęboko

w morzu cementowe betony, o które tylko bałwany morskie wciąż chlupią, jak ich tam ludzie mogli zakładać, też to ogromna praca i koszt, opowiadali mi miejscowi gdyniacy, że przed kilku laty w tym miejscu gdzie teraz stoją ogromne okręty, to paśli się krowy. Wyjechało nas z naszej gminy 11 ludzi, w Gdyni więcej ich interesowali różne zabawki w mieście, jak urządzenie portowe. Ja sam jeden zwiedzałem całe urządzenie portowe. Wreszcie przyszedłem w końcu betonu do morskiej latarni, która dość wysoko jest zbudowana, po stopniach wdrapałem się dość wysoko ponad same morze, wsiałem na wydrążonym grzysie i zapuściłem wzrok w dal morską i to z takim wzruszeniem, że łzy pociekły mi po twarzy i spadły do morza, siedziałem tak w zamyśleniu 2 godziny i 40 minut, z wielką miłością nasycając swój wzrok ogromną masą wód, które w swem życiu pierwszy raz widzę, a może i ostatni. Pierwsza ma myśl to była tą radością, że mamy swą własną bramę na cały świat otwartą, że tam nie stoją żołnierze z karabinami, pilnować granic, masz człowieku ochotę, to jedź gdzie twoja dusza zapagnie. Dalsza ma myśl to była ta, dlaczego pan Bóg stwarzając świat zrobił tak wielką obmyłkę stwarzając tyle wód, żeby to były lądy, ileżby ludzi tu się zmieściłob, chociaż te Niemcy co ziemi tak pragną albo polacy co tak jej miłują. Dalszą mą myślą to było mierzenie przestrzeni, od tej latarni na której siedzę hen tam tak bardzo daleko aż pod swoją wieś rodzinną, która kilkaset kilometrów od tego morza jest oddalona. A od wsi rodzinnej hen aż do swego ukochanego Wilna. Tak wciąż siedząc nad morzem przyszło mi na myśl pewnego księdza wygłoszona w kościele nauka, który powiedział: „Moi najmilsi, patrzcie jaki Pan Bóg nasz jest dobry, stwarzając świat i człowieka stworzył i żonę tak piękną dla niego, stworzył konika, którym ty jeździsz, też to dla ciebie człowieku, stworzył krówkę, która daje mleko i masło, też to dla ciebie człowieku, stworzył słońce tak jasne co świeci i grzeje dając życie całemu światu, też to dla ciebie człowieku, stworzył księżyc i gwiazdy co tak nam w nocy pięknie przyświecają, też to dla ciebie człowieku, stworzył powietrze, którym my oddychamy, bez któregoby życie nie istniało, też to dla ciebie człowieku!” Bardzo dobrze powiedział tylko, że tych prawd nie dokończył, że te obszerne łąki, ląny i obszerne lasy, to nie dla ciebie człowieku. To dla jednostek tylko uprzywilejowanych. Światło słońca, księżycy i gwiazd i działania powietrza to nie jest w mocy przywłaszczyć sobie w większej ilości a co resztę to spryt dla siebie więcej tego wszystkiego dokonał. Tak siedząc i patrząc na morze srebrzyste od słońca zadałem sobie takie

pytanie, dlaczego to pomimo wysiłków ludzkich, dlaczego to nędza i grzech trwają na świecie. Na to znalazłem jedną odpowiedź, że nie przez wysiłki jednostek chociażby najszlachetniejszych ludzi odmieni się zło na świecie, lecz przez gruntowne przemiany w ustroju społeczeństw. Gdy naród wprowadzi w życie prawdziwe zasady wolności, równości, nauki, pokoju i miłości i kiedy narodami rządzić będzie nie siła pięści, lecz sprawiedliwość, to wtedy zapanuje na ziemi owo Królestwo Boże, o które codziennie się modlimy.

Na zakończenie w pamiętniku podam, jak Maciejowa leczyła męża, zdarzenie prawdziwe.

Pod Świsłoczą w Wierdomszczyźnie w dużej przy dworze
wioszczyźnie.

Zachorował Maciej stary, niktby temu nie dał wiary.

Że żona stara znachora zastąpiła mu doktora.

Kiedy stary jęki głosił i o bańki gwałtem prosił.

Zdjęła z półki garnek nowy, polewany do połowy.

Powietrze w nim wypaliła i na brzuchu postawiła.

No i cóż się tedy stało, czyżby holenie ustało.

Mało nie wyzionął ducha, do garnka wlażło pół brzucha.

Chciała odjąć, mało siły, gorzej wrzeszczy mąż jej miły.

Biegnie pędem do sąsiedzi, poratujcie mnie w tej biedzie.

Przyszły babki i znachorki, wiedząc, że będzie pół kwartki.

I kilka butelek piwa, taki zwyczaj tutaj bywa.

Probują go we dwie razem, garnek jak wkuty żelazem.

Probują i kilka osób, ale zerwać go nie sposób.

Wtem co w nogach siły zbiera, szła do miasta po felczera.

Przybył felczer, pytał, badał, złapał w rękę drewna kawał.

Jednym uderzeniem pałki, rozbił garnek na kawałki.

Dziwili się wszyscy w domu, że nie przyszła ta myśl komu.

Felczer im nagadał w oczy, sam pojechał do Świsłoczy.

Uprzejmie proszę wybaczyć, że w piśmie są błędy. Ponieważ jestem „wielkim uczonym rosyjskim”, skończyłem pełnych dwa oddziały szkoły powszechnej, rosyjskiej. A jak trza było umieć pisać po polsku, to poprosiłem jednego człowieka, żeby mi wypisał litery polskie z których się nauczyłem i obecnie pisuję.

Ān. 25 listopada 1933 r.

**Gospodarz mający dwadzieścia
dziewięć morgów w pow.
szczuczyńskim**

Przyszedłem na świat 1900 roku w warunkach niezbyt lichych w rodzinie niezbyt zamożnej, ojciec mój posiadał 11 morgi ziemi, lecz jak pamiętam, było nas trzech braci i dwie siostry, najstarszy brat poszedł do Ameryki, średni poszedł do wojska rosyjskiego 1911 roku, siostra ożeniła się 1912 roku, ojciec zmarł 1923 roku ostawiając mi gospodarstwo i młodszą siostrę, w roku 1925 ożeniłem siostrę, pozostałem tylko z matką na gospodarce, do roku 27 żadnych spłat nie robiłem, w 1927 roku gdy żeniłem się sam, najstarszej siostrze dałem 300 zł., za przypadającą część, młodszą chciała ażeby jej dał 2000 zł. lecz pozostała do dziś niespłacona. Nabyłem działkę gruntu 17 morgi ażeby polepszyć sobie byt uważając, że gdy więcej ziemi więcej pracy, to i dochodu, lecz grubo się omyliłem, przy dzisiejszych dochodach niema wyjścia i to mnie gnębi i zabija, owa działka obdłużona jest 7 tysięcy złotych, nabyta 1927 roku, dochód z tej działki 1933 r. 20 cm.*) żyta, 12 cm. pszenicy, 3 cm. grochu, 2 cm. owsa, sprzedałem, żyto po 12 zł., pszenica 15 zł., groch 10 zł., owies 9 zł., zaco uzyskałem 468 zł., w tem opłacić robotnika gdyż sam jeden z żoną nie dam rady, 10 dni po 2 zł., 20 zł., podatek gruntowy 52 zł., drogowy 9 zł., gminny 20 zł., razem 101 zł. Procent od sumy liczę po 12 zł. od setki, (płaciłem do 30 roku 24 — 30 rocznie od setki) będzie 820. Za działkę nabytą miałem wypłacić 8 tysięcy 500 zł. 1500 wypłaciłem do 1930 roku, pozostało 7 tysięcy, ogłosiłem się ażeby sprzedać dają mi dzisiaj 4,500 zł. wprost waryjacji człowiek dostaje, podatki zaległe, procent nie opłacony, wydatki domowe jest nas 4 rodziny, a każdy goły i bosy,

*) t. j. cetnarów metrycznych.

pożywienie nasze składa się przeważnie ziemniaki, kapusta, buraki, mleko, chleb razowy, żytni, tłuszczu zupełnie mało się używa, od 30 roku cukier jako luksus, od wielkiego święta, sól, nafta, gdy jest zboże w jesieni to nie tak skąpo lecz na wiosnę to bywa różnie. Najgorszą sprawą jest budynki zniszczone przez wojnę, potrzebują reperacyj, ale zaco tu reperować. Dobytku posiadam 2 koni, 3 krowy, 3 świń, jednak budynki najpilniejsza rzecz, musiałem dom przestawić, bo już niesposób było mieszkać, lecz podatku za rok 33 ani grosza nie wpłaciłem, spodziewam się sekwestratora, że mi dobytek zabierze, i gdy to pisze w mieszkaniu tym niema drzwi co będzie z wykończeniem, a tu zima, koniec listopada, a już prawie wszystkie zboże wyprzedalem, pszenicy jeszcze na kluski nie pytlowałem. Mam jednego syna 5 lat i matkę starą, o których mi najbardziej chodzi, odżywić małego i starego niema czem, bo co lepiej rzecz wartościowa, za którą można więcej gotówki dostać idzie na rynek.

Żebym był nie kupował ziemi i nie zadłużył sie może mi by było lepiej, bo pamiętam czas przedwojenny jak mój ojciec gospodarzył tylko na 11 morgach i było mu bardzo dobrze, jednemu bratu dał 100 rub. do Ameryki, dla siostry dał posagu 350 rub., pozatem jeszcze w roku 1918 dał pożyczkie na skarb państwa Polskiego 300 rub., i żeby nie wojna byłby mnie wykształcił. Co do soli nafty, to nikt głowy nie łamał sobie zawsze było. A dzisiaj jak ja gospodarze, to bywają takie miesiące, że zupełnie złotówki nie mam na wypadek choroby, albo czego innego, trzeba żydka prosić łaski o kilka złotych. Dzisiaj żadnych ulepszeń w gospodarstwie nie robie, bo nie starcza nawet na rzeczy najpotrzebniejsze jak pług, bronna, wóz. Całe lato nie byłem w kościele spowodu braku ubrania i nie spodziewam się jego mieć, bo wszystko zabierze wyszykowanie domu i to żeby choć całego, oto tylko jedną kuchnię i małeńki pokoi. Co będzie dalej jak wytrzymać w tych warunkach? Gdyż to nie jest życie, a wegetacja, człowiek upada na siłach i na duchu zanika wszelkie życie, młodzież nie urządza żadnych zabaw, jak to było w roku 1912 i 13 i 14, a nawet 1926 i 27, ale co mówić o zabawach, jeżeli lud na wsi jest już obojętny do książek i gazet, zupełnie zanika czytelnictwo, co nas do tego doprowadza czy może rozkosz! nie nędza, do mojej wsi poczawszy od roku 1924 — 30 przychodziło 10 numerów różnych gazet, a dzisiaj jeden numer pozatem żadnych książek nikt nie kupuje, czy w takich warunkach żyć może człowiek. Czy poto pracuje od nocy do nocy przez cały

tydzień ażeby mu nie starczyło na książkę lub gazetę. Przed wojną czytelnictwo w mych stronach mało było rozpowszechnione ale w mojej wsi było więcej gazet jak obecnie, bo przychodziło 3 numery, ponadto jak pamiętam gospodarze zwykle zachodzili na pogawędkę do piwiarni i przy butelce piwa była jakaś rozrywka i nikt się tak nie wymykał z miasta jak obecnie. Położenie rolnictwa jest straszne, tak mój chłopski rozum dyktuje. Jeżeli ja posiadam 29 morgi ziemi i znajduje się w takich warunkach i to rzeczywiście, gdyż kłamać z zasady nie mam zwyczaju, a opisuje stan rzeczy jaki jest w rzeczywistości jak stoi rolnik, który posiada od 2 do 5 morgów, a takich jest bardzo dużo. Boże kochany czy człowiek poto cierpiał głód i nędzę w czasie okupacji niemieckiej, czy poto dopomagał P. O. W. moralnie i materjalnie dla wyswobodzenia Ojczyzny, ażeby było komu dobrze. Rolnictwo, na którym Państwo nasze opiera swój byt jest traktowane po macoszemu. Dużo sły-szy się dzisiaj wzdychać do czasów carskich, byliśmy niewolnikami lecz mieliśmy byt odpowiedni, głód cierpiał ten tylko kto nie chciał robić. Człowiek na wsi przy pracy na roli powinien mieć odpowiednią opiekę rządową jak również samorządową w kredytach, szkołach rolniczych, domach ludowych, to jest dzisiejsze wymaganie wsi, stworzyć solidarność rolniczą, a nie uprawiać rozłam i wmawiać, że jest dobrze, a tu nędza aż strach patrzeć ażeby człowiek w dzisiejszych czasach był w tych warunkach. Jestem członkiem rady gminnej od sześciu lat, do roku 30 nie było takiej partyjnej roboty w samorządach jak jest obecnie, niedosyć że rolnictwo doprowadzone do nędzy, jeszcze zabrać mu prawo wybierania — o tem się pamięta, ażeby ulżyć rolnikowi i stworzyć mu lepszy byt—o tem nikt nie pamięta. Bo rzeczywiście, że komu jest dobrze to nie może mówić, że mu jest źle, lecz niech przyjdzie na wieś do rolnika albo do robotnika jeżeli nie widzi swojej biedy i nędzy, to tu zobaczy, że rolnik oszczędza na wszystkim i nic nie ma. Zapewnie, że jak zapałki wynalezione nikt nie słyszał ażeby kto szczepał ich na części to jest jasny dowód, który często daje zauważyć. Kupując ziemię liczyłem przeciętnie na 40 cm. każdego roku, za które można było uzyskać do 1600 zł., działka po ojcu miałem zamiar sadzić ziemniaki i buraki, siać koniczynę i prowadzić gospodarstwo hodowlane w którym miałem wyprodukować do roku 4 wieprze wagi do 700 — 800 kilo, za które możnaby było uzyskać 800 do 850, mogłem więc, żeby kryzys mi planu nie połamał, dwa tysiące długu każdego roku oddać i podatki opłacić, a możeby i budynki można

było jakoś zreperować, lecz dzisiaj w żaden sposób, najlepszy fachowiec nie poradzi, oddać długu jakąś część, opłacić procent, podatki, robotę, do tego reperacja wozu, pługa, uprzęży, to jest najpilniejsze, na żywienie koni roboczych owsa musi być, odzienie, obucie i wyżywienie domowników jak starczy, lepij, to jest lepij, a jak nie starczy, to aby dożyć do nowiny i uchowaj Boże żebym jaki grosz byle jak puścił, gdyż żyje z rachunkiem. W domu żadnych urządzeń ani wygod niema, zwykle łóżko, stół, jedna ławka, stary zegar, lustro, o lepszym urządzeniu domu dziś nie mogę marzyć, chociaż to drogo nie kosztuje, nabyć więc i lepszych sprzętów, lecz główniejsze nad czym się myśli i głowę łamę, chlew mi się rozwała, stodoła również słaba, potrzebuje reperacji na gwałt, może postoi 2 — 3 lat i to wątpliwe, co później będzie? dom przestawiłem lecz drzewo wzięte na kredyt 165 zł., ani grosza nie wpłaciłem chociaż termin upłynął 15 września. Jeżeli budynków nie poprawie częściowo czy ja dam radę wszystkie odrazu, nigdy! jak tak dalej potrwa, to nietylko że nie poprawie swojej gospodarki ale przedwcześnie pojedę do raju, pomimo tego że liche pożywienie, pracuje za dwóch, a może i trzech, a główniejsze rozstrojenie nerwowe, gdy wezme myśleć jak wybrnąć z tej sytuacji odczuwam zawrót i ból głowy. Opisałem wydatki obowiązkowe, na które zawsze patrzę i o których myślę, a wydatki nieprzewidziane nagle naprzykład choroba członka rodziny albo inwentarza co wtedy począć, jak poradzić, doktor i lekarstwa kredytu niema, jak niema gotówki krowę albo konia trzeba sprzedać, lecz to tak zaraz nic nie można i bywa często za późno.

Nieraz pytam się sam siebie kto temu winien? pracuje dosyć nad siłę i nie mam bytu i potrzeb człowieka, czy to pytanie mi kto wyjaśni, czy pójdzie ze mną do grobu? czy doczekam się gwiazdy, która ludowi pracującemu zaświeci?

Opisałem co mogłem, lecz może nie według wymagań Instytutu, może mały będzie z tego użytek, prosiłbym o zawiadomienie. Napisałem dużo zdaje mi się rzeczy niepotrzebnych, nie mających żadnego związku z wymaganiem, lecz proszę mi wybaczyć za wyrażenie, że wprost djabli człowieka biorą, gdy się uprzytomni, jak jest rolnik oszukiwany i wyzyskiwany.

Dn. 25 listopada 1933 r.

Urodziłem się w 1890 roku, wychowałem się przy ojcu na gospodarstwie dwudziestomorgowem. Skończyłem szkołę gminną. W 1907 roku ojciec kupił dziesięć morgów ziemi i mnie wysłał do Ameryki, żeby pomóc spłacić kupioną ziemię. Miałem wtenczas 16 lat. Po wyjeździe moim do Ameryki ojciec umarł w 1908 roku pozostał trzycięstomorgowe gospodarstwo i sześcioro dzieci. Mnie w pierwszych dwóch latach niebardzo los sprzyjał w Ameryce, zostałem pokaleczony w fabryce, bez dwa lata nic nie zarobiłem, jeszcze dług miałem. W następnych latach powodziło mi się dobrze, zarobiłem gotówki 900 dolarów czyli 1800 rubli. Wzięła mnie tęsknota do rodziny i w 1913 roku dnia 25 stycznia wyjechałem z Ameryki. Przyjechałem do rodziny w dniu 15 lutego 1913 roku i w dniu 16 maja 1913 roku zostałem wzięty do wojska rosyjskiego, gdyż losy moje minęły 1912 roku w październiku. Strasznie mi się wydawało przykro. Żałowałem że przyjechał z Ameryki, z rodziną byłem zaledwie trzy miesiące. Szukałem sposobu ucieknąć spowrotem do Ameryki, lecz pieniądze, które miałem zarobione w Ameryce, zabrano mi do kasy wojskowej i tu nie mogłem nic poradzić nie mając pieniędzy. W 1914 roku w sierpniu zaczęła się wojna z Niemcami i Austrią. Odrazu zostałem wysłany na front austriacki. Zostałem ranny dnia 9 września 1914 roku w prawą rękę i lewą nogę koło Stanisławowa. W dniu 3 października 1914 roku przybyłem do Moskwy. Dnia 12 grudnia 1914 roku zostałem zwolniony ze służby. Do 1916 roku gospodarzyłem na ojczyźnie. A że była macocha, nie mogłem się pogodzić, jak to zazwyczaj matka nierodzona. W dniu 30 stycznia 1915 roku ożeniłem się do sąsiedniej gminy Poręba, wioski Udrzyna na osiem morgów ziemi. Ojca nie

było tylko matka z dwojgiem dzieci t. j. córką, z którą ja się ożeniłem i syn, który miał dziesięć lat. Trzy lata upłynęło, jak im ojciec umarł. Gospodarstwo było opuszczone, jak mogłem doprowadziłem do porządku. Powodziło mi się nieźle, lepiej niżli braćiom i siostróm moim, co pozostali na ojczyźnie, Gospodarzyłem sześć lat t. j. do 1922 roku. Założyłem spółdzielnię spożywców, gdyż Udrzyn to jest wioska niemała, byłem w niej rachmistrzem i prezesem. Dobrze się rozwijała dopóki ja byłem. Mój szwagier t. j. brat mojej żony, gdy podrośł i mógł w gospodarstwie robić, teściowa moja miała życzenie, żebym ustąpił, bo ona chce syna na gospodarstwie pozostawić na co się chętnie zgodziłem. W 1922 roku otrzymałem parcelę z państwowego majątku dziesięć hektarów na podstawie inwalidztwa na wypłat na 41 lat, po 288 złotych rocznie. Ziemia była zapuszczona bez budynków i obsiewów całe dziesięć hektarów wyglądało jak smug, trzeba było wiele trudy ponieść i kapitału włożyć, żeby można było na otrzymanej parceli gospodarzyć. Chciałem początkowo rzucić, lecz po zastanowieniu się wziąłem się do pracy. Szwagier mnie spłacił z tych ośmiu morgów, teściowa zaczęła prosić, żeby go nie obdzierać, zgodziłem się na 1500 złotych, po swoim ojcu otrzymałem spłaty 3500 złotych do tego otrzymywałem renty 42 złote miesięcznie. Odrazu wziąłem się za gospodarstwo, dom wybudowałem w 1928 roku, który mnie kosztował 6356 zł., oprócz mojego życia, które dawałem robotnikom, no i furmanek swoich nie liczę. Obory dla inwentarza kosztowali mnie 1500 zł., stodoła 1200 zł., kierał maszyna, wialnia do czyszczenia zboża i narzędzia rolnicze 1110 zł. Doprowadzenie ziemi do porządku, jak nawozy sztuczne, nasiona, założenie sadu, pobudowanie kurnika, ogrodzenie podwórza, studnia 1225 zł. Razem zaprowadzenie gospodarstwa kosztowało mnie 11381 zł. Gospodarstwo nastawiłem przeważnie hodowlane. Miałem swojej gotówki 5000 zł., 6381 zł. pożyczyłem. 1000 zł. otrzymałem pożyczki od rządu, 5381 zł. zrobiłem długu prywatnie. Nastawiłem gospodarstwo przeważnie hodowlane. Inwentarz karmiłem dobrze paszamy treściwymy. Na nawozy sztuczne i nasiona szlachetne nie żałowałem pieniędzy. Odrazu i ziemia się poznała. Zaczęło mi się na polu dobrze rodzić, wyrobiłem sobie tem u ludzi dobrą opinię, że dobrze gospodarzę i majątek mi rośnie, bo rosło mi jak na drożdżach. Ja widząc, że mam posłuch u ludzi i dobrą opinię zacząłem organizować mleczarnię, bo strona jest mleczna; jedno, a drugie nie mogłem na to patrzeć, że we wsi siedzi pośrednik, który

miał mleczarnię i ludzi wyzyskiwał. Odrazu mi się udało, pośrednik widział, że źle, zaczął mnie namawiać, żebym dał spokój z założeniem Mleczarni Spółdzielczej, to on mnie będzie dobry tłuszcz w mleku robił i płacił będzie dobrze za mleko. Jednak ja się na to nie zgodziłem. Zaczął mnie straszyć, że będzie konkurencję prowadził ze Spółdzielnią i Spółdzielnia musi zbankrutować. Ja na nic nie zważałem, w 1929 roku Spółdzielnię Mleczarską zorganizowałem. Została puszczone w ruch dnia 14 kwietnia. Pośrednik zaczął początkowo grymasić, ale ja miałem wyrobiony dobry posłuch u ludzi. Stałem na czele Spółdzielni, jako prezes i rachmistrz. Pośrednik nie mógł nic poradzić, ani jeden gospodarz nie dał mu mleka. Uciekł w nocy ze wsi, gdyż w dzień mu było wstyd się wyprowadzać, bo członkowie powiedzieli, że jak się będzie wyprowadzał to go odprowadzą z muzyką. A ja starałem się, żeby jak najprędzej spłacić maszyny i zbytnio nie obciążać członków, wypłaty za mleko starałem się kalkulować nie taniej, jak w innych mleczarniach, a nawet jakąś jedną dziesiątą grosza na jednostce tłuszczu więcej i tu rosło zadowolenie wśród członków Spółdzielni, również jako prezes Spółdzielni starałem się, aby dostarczyć jaknajwiększą ilość mleka od krowy. W 1929 roku od dnia 14 kwietnia do 31 grudnia dostarczyłem od jednej krowy do Spółdzielni mleka 2478 litrów za co otrzymałem wypłatę na jedną krowę 491 zł. W 1930 roku zorganizowałem Spółdzielnię Spożywców, Kółko Rolnicze i straż ogniową. Wszystko szło jak z płatka wywijają, czy to w pracy społecznej, czy w moim gospodarstwie swoje zobowiązania, długi, spłaty za ziemię, podatki regularnie spłacałem, jak zegarek i jeszcze mogłem dobrze się przyodziać, rodzinę utrzymać, która się składa dwie córki, jeden syn i dostatecznie się odżywiać. I tu niespodzianie jak lis zaczął wyłazić kryzys, wprawdzie w pierwszych latach kryzysu zebrałem plon dobry, jak to się mówi śmietanę. Gospodarstwo miałem nastawione na hodowlę, trzoda chlewna płaciła dobrze, a i nabiął nieźle, a żyto i ziemniaki całkiem spadli w cenie. Wprawdzie pszenica jeszcze jako tako się trzymała płaciła 36 zł. za sto kg., jednak ja nie sprzedawałem ani jednego metra, a przzerobiłem wszystko na mleko, miałem do sprzedania 20 metrów, co w kalkulacji otrzymałem 70 zł. za jeden metr pszenicy i właśnie pierwszy rok kryzysu mnie najwięcej wyratował z długu. Dalej zaczęło spadać w cenie i to gwałtownie trzoda chlewna i nabiął, zaczęły się moje plany psuć, gospodarstwo mniej dawać dochodu, na dodatek strzymano mi rentę na ciężkie położenie skarbu, jednak ulgi

w spłacie za ziemię rząd żadnej nie zrobił, a sądziłem, że rząd strzymał mi rentę nie będzie żądał zapłaty za ziemię i tu zaczęło mi się psuć, nie mogę się wywiązać ze swoich zobowiązań. Ażeby coś kupić z przydziewku o tem niema co marzyć, wydiera się to co się dawno kupiło, lata się lata na łacie i znów dziura w łacie i w życiu trzeba sobie skąpować, bo przysłowie mówi, że jak się wejdzie między wrony, trzeba krakać jak i oni. Przykro mi ale musowo żeby się jakoś utrzymać, zaczęłem się w wydatkach ograniczać nietylko sam się gorzej odżywiać, ale i inwentarz gorzej żywić, w nawozach sztucznych się ograniczać. Gospodarstwo zaczęło tem gorzej upadać. Po zastanowieniu się i obliczeniu okazało się, że palnął błąd i to taki, że trudno narazie naprawić. Ziemia się obniszczyła przestała obficie rodzić, bo i w obecnych czasach czy to inwentarz żywić lepiej czy nawozy sztuczne, nasiona szlachetne stosować z wyliczeniem się opłaci i tak jak wpierw gospodarstwo rosło mi jak na drożdżach tak teraz zaczyna marnieć. A w mojej wiosce u niektórych gospodarzy jeszcze gorzej jak u mnie. W pracy społecznej też zaczęło się psuć, jedno kryzysem spowodowane niskie ceny za nabiał i to wpływa na zniechęcenie. A drugie jeszcze gorzej że Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa, która była w powiatowym mieście, zaczęła się likwidować i członkowie mają duże straty płacić, no i sąsiednie mleczarnie zaczęły się załamywać, gdyż stali u steru zarządu ludzie nieodpowiedni i tu nastąpiła panika. Tempo wstrzymało rozwój naszej spółdzielni. W lipcu r. b. zostały zarządzone wybory przez pana starostę na wójta gminy, zwrócili się do mnie członkowie spółdzielni z propozycją, abym przyjął stanowisko wójta, to oni rozpoczną agitację. Po pewnym namyśle zgodziłem się, a nawet nabrałem chęci nie to, aby otrzymać mandat wójta, a to uważałem, że mi roztworzy się droga do dalszej pracy nietylko samorządowej ale i społecznej, bo jako wójt ma stałe styczność z ludźmi z całej gminy i wpływ na ludzi może dużo zrobić, a drugie ja widząc od paru lat, jak idzie marnie i niedołążnie gospodarka w gminie, gdyż stoją na czele gminy ludzie nieodpowiedni. Jednak nie przeszedłem. Rząd opracował nową ustawę samorządową z tą myślą, że życie samorządowe ułoży się lepiej i nakłada na samorząd gminny bardzo ważne obowiązki. Ale najlepszy okręt zbudowany z dobrym kapitanem, jeżeli majtek zaśnie na maszcie, który strzeże okrętu, może być katastrofa. Jesteśmy w przededniu wyborów do ciał samorządu gminy i daj to Boże widzieć ludzi u steru takich, którzyby odpowiadali swojemu zadaniu, muszą to być ludzie pracy,

uspołecznieni, którzy coś zrobili nie krzykacze i spryciarze, którzy się tylko tam pchają, gdzie płacą, gdzie trzeba honorowo popracować lub coś pomóc tam ich niema. Bo dzisiaj w jednej wiosce trudno myśleć przy dzisiejszej nędzy co zrobić, jednak uważam i widzę, że można bądź co bądź, a nawet trzeba zacząć od samorządu żeby jakoś z tej biedy wyłazić, nie potrzeba od nikogoż żądać większych kapitałów, ale z groszowych oszczędności i rozumną gospodarką gminną można dużo zrobić. Nie wierzę w to gadanie, że dziś kryzys, to nie można już nic zrobić. Bo gdy w mojej wiosce założono mleczarnię w 1929 roku w przededniu kryzysu i przy tak nędznej przeróbce przeciętnie po 350 litrów mleka dziennie i my potrafiłszy w przeciągu czterech lat w tem trzech kryzysowych wypłacić maszyny mleczarskie 6000 zł. i dom pobudowaliśmy kosztował 5000 zł. i długu niema. 11000 zł. zrobiliśmy majątku przez cztery lata, a i wypłaty za mleko nie były mniejsze, jak gdzieindziej czem nie większe i chociaż powoli jednak mam nadzieję, że Spółdzielnia się rozwinie, bo już dalsze ludzie nabierają zaufania do nas, że gdzie nastąpił krach, a my się trzymamy. A cóż mówić o samorządzie gminy li tylko, aby człowiek stał na czele samorządu gminy, któryby umiał i wiedział, kiedy i jak przemówić do ludzi i dodać otuchy i ducha ludziom w lepsze jutro, a zamierzony cel napewno się osiągnie. Państwo nie może wszystkiego zrobić, załatwia sprawy ważniejsze i robi co może, zresztą chociażby chciało to jedno drogoby kosztowało, a drugie, nie wie potrzebów miejscowych obywateli, musi to zrobić samorząd i robi o ile postawi na czele człowieka uspołecznionego i pracy sumiennej. Bo nieprędko się nasza bieda poprawi o ile nie wyrwiemy się z rąk pośredników, przy tak niskich cenach, pośrednik zabierze lwią część dochodów gospodarza. Ze szkodą gospodarza, a nawet i Państwa, bo nie może podatków opłacić, jakie państwo nakłada. Mówi się dzisiaj, że to spowodowało kryzys, że jest wszystkiego za dużo, a ja widzę, że nie jest za dużo, bo ludzie głodują, od gęby odejmują i sprzedają, aby jaką złotówkę zdobyć. Żałuje się dzieciom kropli mleka, widziałem na swoje oczy, jak nauczyciele przyszli do kościoła z dziećmi na zakończenie szkolnego roku i podczas nabożeństwa mgłały, nauczyciele wynosili na dwór, bo słabo są odżywiane, dziś na wsi połowa dzieci to jest chorych na gruźlicę, bo nieobute jak się należy, nieobleczone, nienajedzone, przemarnie, więc człowiek który patrzy w przyszłość serce się kraje, bo jak tak będzie to jaki z nas wyrośnie naród sparczały chorowity. Wiele dzisiaj na wsi siedzi ludzi bezrolnych, którzy wprost prowadzą

głodowy żywot, ich pożywieniem jest kartofel z czystą wodą, drugi raz i bez soli, a i gospodarz, który się opuścił wygląda nieładnie. Ja w swoim gospodarstwie staram się wszystko mieć, bo dzisiaj nie można gospodarzyć jednostronnie, trzeba mieć mleko, wieprzka, owce, gęsi, indyki, kury, kaczki no i króliki to jeszcze można jakoś biedę łątać, bo zawsze jest możność to sprzedać co lepiej płaci.

Dn. 6 listopada 1933 r.

**Córka gospodarza na świeżo
skomasaowanem gospodarstwie
w pow. postawskim**

Mieszkanka wioski, córka gospodarza kresowego chcę podzielić się z czytelnikami „Pamiętnika Chłopa” tem, co za czas ostatnich lat przeżywałam sama, moi najbliżsi i sąsiedzi.

Pamiętny rok 1926 pozostawił w mojej pamięci niezatarte wspomnienie, w tym roku wieś nasza niegdyś duża została skomasowana. W trudnych warunkach materialnych ruiny powojennej, która niszczycielsko odbiła się na gospodarce naszej, marnym urodzaju, bez grosza przy duszy, gdyż zebrany pieniądź ruski stał się bez wartości, przystąpiliśmy do mrówczej wyteżonej pracy, na naszej kolonji z myślą, że ta komasacja i wyteżona praca przyniesie nam lepsze, jaśniejsze jutro.

Ale czytelnik przekona się, czytając dalej, jak się ziściły nasze myśli i co za skutek przyniosła nam nasza praca.

Wszyscy bez wyjątku, całe rodzeństwo rzuciliśmy się do pracy na kolonji, która polegała na niszczeniu miedz dawną szachownicą, kopiąc rowy, gdyż ziemia nasza jest podmokła, sadząc drzewka, oprócz tego pracując ciężko na roli, nad zdobyciem kawałka czarnego chleba. Z przeniesieniem budynków szło bardzo powoli, z początku przenieśliśmy zaledwie spichrz, który tymczasowo służył nam za mieszkanie, innych zaś budynków nie mogliśmy przenieść z braku gotówki.

Siła robocza naszej rodziny, składała się z rodziców, brata małego chłopczyka i nas trzech sióstr, zdolnych do pełnienia wszelkich prac gospodarczych, na barki których zwalono było bardzo dużo. Prócz robót nadających się więcej dla kobiet, obcymi nie byli dla nas pług i kosa.

Przyznać się trzeba, ciężko pracowaliśmy nad zdobyciem czarnego chleba, którego niestety często brakowało, gdyż ziemia - rodzicielka, dawała bardzo marne plony, zależało to od gleby i od kłesk żywiołowych, zarówno i od tego że ta ziemia nie otrzymywała tego, czego potrzebuje do wydawania dobrych plonów.

Następną wiosną roku 1927, zabraliśmy się do przeniesienia domu mieszkalnego, bo już dłużej mieszkać nie mogliśmy w cudzym mieszkaniu, bo sąsiad chciał je przenieść na własną działkę, a przytem wymagała tego nieodwołalna potrzeba w ułatwieniu pracy, że ten dom musiał być tam, gdzie działka.

Rok 1927 nie był też rokiem urodzaju, to też troska o ten chleb powszedni była zawsze nieustanną, tem trudniejszą była jeszcze z tego względu przenoszenia się.

I nic dziwnego, że ta ziemia nasza nie chciała rodzić, inwentarz żywy został całkowicie wyzbyty, pozostała nam zaledwie jedna krowa i jeden koń na 10 hektarów ziemi. Nawozów sztucznych nie stosowano, z braku pieniędzy na kupno takowych a przytem panowało takie odrętwienie umysłu, że ten pomysł nikomu do głowy nie przychodził, komasacja pochłaniała wszystko. Na jesieni roku 1927 mieliśmy już dom, skromny, ubogi, noszący tylko nazwę mieszkania, ale jakże dalekim był od właściwej nazwy domu mieszkalnego. Niebyło w nim jasnych okien, zastąpić je musiała jakaś maleńka szybka, brakło przytem podłogi, tylko piec duży był całkowitą wygodą jego mieszkańców. Aby zdobyć sobie powyższą wygodę, musieliśmy na to pożyczyć pieniędzy, płacąc za skromne sumki wygórowane procenty. Reszta budynków, jak stodoła i obora, pozostały na miejscu, to też spacer po błocie w jesieni i zaspach śnieżnych w zimie, nie sprawiał zbytniej przyjemności z młócką i obrządzaniem bydła.

Pomimo wysiłków, nie mogliśmy o własnych siłach, sprowadzić reszty budynków na kolonję. Niepomogło tu ani poszczenie, gdyż mięsa, jaj, masła nie jadaliliśmy, wszystko szło na zbyt, ani oszczędność skromnego ubioru, gdyż często zamiast butów musieliśmy uciec się do łapci, ostatecznie w dalszym ciągu szukaliśmy pomocy w pożyczce Państwowego Banku Rolniczego, który w tym czasie udzielał finansowej pomocy na cele komasacji.

Jakąż wartość była podówczas pożyczonego pieniądza? Oto znikomą wartością, gdyż 10 zł. kosztował pud żyta. A pożyczał ojciec tych pieniędzy, dlatego, że były potrzebne, liczył na to, że pożyczone pieniądze odda przy lepszym urodzaju. Ale te mniemania, jak się

przekonamy, wszystkich bez wyjątku, jak ojca tak i sąsiadów, nabrali innego znaczenia.

Nastał rok 1928, rok klęski i nieurodzaju na całej Wileńszczyźnie, do owej głodówki należała cała wieś nasza, nasze gospodarstwo. Chociaż w tym czasie udzielano pożyczek, odżywialiśmy się marnie, czarny chleb i łyżka postnej strawy składało się na menu wszystkich, o lepszym kulturalniejszym życiu nie było mowy.

W tych trudnych warunkach materialnych, w chwilach niesamowystarczalności gospodarczej, instruktorowie rolni, szerzyli propagandę nowej metody pracy rolniczej, wskazując drogę wyjścia z trudnej sytuacji. Różne organizacje starały się swych członków zachęcać do różnych innowacji do wcielania których potrzebne były pieniądze. Powstawały wówczas Kasy Spółdzielcze, różne Banki udzielające kredytów, a gospodarze naszej wioski nie wymijając ojca mego brali te pieniądze i brali.

Pożyczone pieniądze wydawali na kupno chleba, opłacali podatki zaległe, spłacali część poprzednich długów, procenty pozostałych, reszta używali bez udziału osobistej krytyki na cele gospodarcze, jak kupno nasion zbożowych nie nadających się na nasze ziemie, które ginęły doszczętnie, przynosząc straty i pogrążyły w przepaść nieprzebytych długów. Ten ciężar pożyczki odczuwała w najszerszym tego słowa znaczeniu, autorka niniejszego opowiadania. Czula go na własnej skórze, gdyż pracując ciężko, nie miała tego, co się należy człowiekowi za pracę — żadnej nagrody. Marne odżywianie, nędzne ubranie, gnębiły nie tylko ciało, ale i duszę. Poczucie niedostatku i nędzy, młodość spędzona w troskach i kłopotach, przyszłość niepewna, napętniały duszę smutkiem i beznadziejnością.

W tym czasie należałam do organizacji młodzieżowych, gdzie pracując miałam możliwość zetknięcia się z ludźmi inaczej patrzącymi na świat, którzy nasunęli mi myśl wyjazdu do Szkoły Rolniczej. Zawdzięczając protekcji personelu Szkoły Rolniczej w Łuczaju, bliskiej sąsiadki naszych kolonji, bo odległej o parę kilometrów, pomocy Sejmiku naszego powiatu do wspomnianej szkoły wyjechałam. Jechałam do szkoły z nadzieją, z myślą, że może zdobycie wiedzy przyczyni się do wyjścia z trudnego położenia.

Z zapalem oddałam się pracy w szkole, całą duszą wedle swoich zdolności i sił brałam z tej skarbnicy ile można było, gdyż wiedza była dla mnie skarbem i marzeniem od lat dziecińczych, której niestety czerpać nie mogłam z powodów ekonomicznych. Wiedzę zdobywałam, szło mi pod tym względem dobrze, ale stan materialny

w stosunku do koleżanek był ubogi, to też samopoczucie moje pod tym względem było przykre i smutne. Kierownictwo szkoły popierało mnie bardzo w ukończeniu kursu. Zaznaczam, że ukończenie szkoły zawdzięczam tylko Samorządowi, Szkole Rolniczej w Łuczaju, szkole w Antowilu i społeczeństwu.

Jak widać z powyższego, nie było środków własnych na żadną skromną chociażby naukę, ofiarność społeczeństwa, że źródła którego płynęły na ten cel fundusze, pozwoliły mi troszkę szerzej przejrzeć na świat. Przykro mi było, czuć się ciężarem społeczeństwa, ofiarę tę musiałam przyjąć, gdyż inaczej być nie mogło.

Z trudem materialnym udało mi się skończyć szkołę z wynikiem nienajgorszym ale jakież trudności spotkały mnie po przybyciu do domu w zastosowaniu nabytej wiedzy i jaki stan był tego gospodarstwa, na którym musiałam rozpocząć swoją działalność gospodarczą. Po przybyciu do domu, zastałam gospodarstwo ojca mego w oplakanyim stanie, nic się na lepsze nie zmieniło, przybyło więcej długów na przenoszenie pozostałych budynków, nieurodzaj doszczętny, gdyż zboże posiane i kupione za wysokie ceny nie powschodziło, inwentarz prawie do reszty wysprzedany. Ze swoją nabytą wiedzą małąkłą coprawda, przyglądałam się tylko tej strasznej ruinie i rozpaczałam.

Nie było żadnego źródła czerpania chociażby skromnych funduszków na wprowadzenie chociażby najłatwiejszych, najpotrzebniejszych zmian w gospodarstwie, na zaprenumerowanie skromnego pisma rolniczego, któreby mogło służyć za wskaźnik w początkowej pracy, utrwać i utrzymywać w pamięci to czego szkoła nauczyła.

Rodzice do moich projektów odnosili się obojętnie i niedbale, wszystko to brało swój początek w niedostatku. Sąsiedzi uśmiechali się ironicznie, uważając tylko to za mądre i dobre co przychodzi bez zbytniego trudu.

Ta przewaga zapatrywań i popierania mnie w moich sprawach, całego mego otoczenia, niemile odbijała się też na moim samopoczuciu. Przekonanie jakim naładowano mnie w szkole, trudności wszelkiego rodzaju walczyły ze sobą strasznie.

Trudności nie zmieniły mego przekonania, pokładałam nadzieję na zbieg okoliczności, które przyczynią się do jakiegokolwiek zmiany. Nie zawiodłam się. Zorganizowane w roku 1929 Konkursy rolnicze, na terenie naszego powiatu, w którym też brałam udział, stały się polem pracy i przekonały dobrymi rezultatami zatwardziały, dowiodły czynem znaczenie dobrych rad i wskazówek rolniczych.

Nasiona kapusty konkursowej zakupiła organizacja, która asygnowała pewną kwotę na ten cel, rzeczywiście ten zbieg okoliczności na który oczekiwałam, przyczynił się dodatnio na bieg spraw moich związanych z gospodarstwem na przyszłość. Plon z poletka dawał mi możliwość nabycia nasion ogrodniczych na rok następny, prenumeratę jakiejś gazetki, kupno pożytecznej książki. Przekonanie bliższego otoczenia i sąsiadów zmieniło się jeśli nie z przekonania to może z zazdrości, z przyjemnością przykładają rękę do nowej pracy. Nastąpił, jakby powiedzieć zupełny przewrót u ludzi, nabrali przekonania, że tak dłużej żyć nie można, że trzeba inaczej zabrać się do pracy.

Parę lat urodzaju sprzyjały i zdawaćby się mogło, że już nadeszła chwila lepszego bytu. Pożyczkę, którą należało spłacać, Bank sprolongował, podatku gruntowego nie płacili z powodu komasacji—chwileczkę odetchnęli. Rzucili się ludzie do pracy, wprowadzili zmiany w gospodarstwie, sprowadzając dobre nasiona ogrodnicze i rolnicze, stosując nawozy sztuczne, zmieniając rasy bydła, hodując świnie. Gospodarze stali nietylko samowystarczalni, ale i produkcyjni. W czasie, kiedy wydajność gospodarza podniosła się wyżej w postaci plonów, racjonalnej hodowli, ceny zboża i bydła spadły do minimum i dochód pieniężny nietylko nie zwiększył się, ale zmalał.

I gdyby nie pożyczki zaciągnięte w poprzednie lata, które bardzo są ogromne w porównaniu z korzyścią, jaką osiągnięto w czasie pożyczania, jeszczebyśmy przetrwali ciężkie czasy.

Ten brak nadziei lepszego życia przyćmiła zaciągnięta pożyczka. Pomimo najlepszych chęci kroczenia naprzód w szukaniu nowych zdobyczy materialnych tamę i kres chęciom położyła. Ona nietylko stała się przeszkodą w dążeniach, lecz zniszczyła i niszczy organizm gospodarczy od fundamentów. Inwentarz żywy, zebrane plony pochłaniają tylko procenty, a dług długiem pozostaje. Gospodarstwo z braku potrzebnej ilości inwentarza żywego, osiąga niskie plony.

Rok dzisiejszy 1933, jeden z najstraszniejszych z powodu klęski i nieurodzaju, spowodowanego ciągłymi deszczami, od wiosny aż do jesieni, pozbawił kawałka chleba, za ciężki i mozolny trud. Niema nadziei na przyszłość, gdyż pola ozime zostały częściowo tylko zasiane. Doszło wreszcie, że podatki nie są opłacane, procenty pożyczek też. Wszystko pod wpływem niedostatku, kryzysu, zmieniło się i zwyczajnie i obyczajnie. Niema już tych wesel hucznych, jak niegdyś, trudno teraz zdobyć się na skromny ślub. Pogrzebów ani chrzcin nikt teraz w naszej wiosce nie urządza. Jakież trudności spotykają rodziców z wysyłaniem dziecka do szkoły, brak grosza na przyzwoite

ubranko, książki i zeszyty. W zgrzebnych łachmanach źle odżywiane dzieci idą, jak cień zmizerowane do szkoły. Zaczóż im sprawić ubranko i dobrze nakarmić, kiedy matka siedzi na kiermaszu z 10 jajami, funtem masła, czekając cierpliwie na litościwego kupca — żyda, który ten jej towar za bezcen zabierze. Wróci wieczorem zmarnięta do swojej nędznej chałupy z nikłym zyskiem, przeznaczonym na opłacenie procentów, lecz nie dla dziecka i jego potrzeb przeznaczonych. Chałupa, bo chałupa, czyż można ją nazwać domem dla ludzi przeznaczonym, kiedy w nim brak podłogi, dużych jasnych od słońca okien. Taki stan rzeczy całego życia naszego, z którego przedewszystkiem czerpię temat niniejszego opisu oraz sąsiadów, ujemnie odbija się na duszy.

Niema wesołości, tylko smutek, melancholja ogarnia człowieka. Niepewność jutra, obawa przed komornikami i licytacją, wyzbicia się kawałka ziemi, bo już wszystko na niej zawisa, napęlnia wielką troską i rozpaczą o jakąkolwiek egzystencję.

Teraz nikt nie chce pożyczać, tylko żąda zwrotu, a przytem każdy woli umrzeć niż pożyczkę zaciągać.

Sądzę, że czytelnik niniejszego opisu, nie posądzi mnie o fantazję gdyż wszystko ujęte tutaj, pisałam ze źródeł pewnych, wziętych z własnego życia, przedewszystkiem zaś z życia ojca całej rodziny i sąsiadów. Znosząc wszelkie trudności w życiu razem z ojcem, od chwili skomasowania naszej wioski, znalazłam wszelkie tajemnice, niedostatki i kłopoty i dlatego dzielię się z czytelnikami „Pamiętnika Chłopa”.

Prawdziwość mego opisu każdy może stwierdzić, kto zna dokładnie obecne położenie rolnika. I nic więcej nie skłoniło mnie do pisania, jak tylko szczerłość, otwartość i prawda dla których tę swoją historję, prostej wiejskiej dziewczycy, córki drobnego rolnika poświęcam.

Dn. 19 października 1933 r.

Gospodarz małorolny, dorabiający różnemi rzemiosłami, poważnie wyrobem harmonji, w pow. święciańskim

Upraszam Szanowne Państwo. Będzie opisane moje życie. Dzisiaj zaczynam pisać, jak długo będę pisać to nie wiem.

Żył muzykant, jako kawaler. Miał 40 lat, grał na skrzypcach, był najlepszy muzykant wieskowy, na imię Michał W... we wsi Sakuny, gminy Hoduciskoj, powiat Święciany. Żył jako sierota, została od matki osiem miesięcy a od ojca czterech lat. Przeżył do czterdziestu lat przy wujaszku, a potem ożenił się 1874 roku i po brał za żonę na imię Michalina Tarasiewicz ze wsi Norkowiczy, gminy Komaja, powiat Święciany. Dwa lata pożyli razem z wujaszkiem, a potem rozdzielili się, wujaszek dał dla niego połowa ziemi, a zabudowania wcale nie dał, a ziemi było 20 dziesięcin. Dziesięć wujaszku zostało a na tych dziesięciu dziesięcinach rozpoczął żyć. Najpierw zaczął budować dom mieszkalny, a potem chlew i obora i stodoła i spichlerz i łaźnia. Póki wykonał to wszystko to położył trudu i nędzy, hora i biedy za to, że przeszedł życie od wujaszka na czysta ziemia bez żadnego zabudowania. Na drugi rok po ożenieniu Pan Bóg dał córeczka na imię Urszula, a potem przez dwa lata synka Ignacego, jeszcze po dwóch latach córeczka Malwina, jeszcze po dwóch latach synka Alfonsa, następnie córka Teofila, następnie Aleksandra i córeczka Marysia, później synek Janek, a potem synek Felek, a dziesiąty Walerjan ostatni, co dzisiaj będzie opisywał swoje życie. Teraz Szanowni Państwo ja jestem biednego wieśniaka syn z dziesięciu dzieci ostatni i chcę opisać swoją życia tylko że jestem słabo piśmienny, nie wiem czy będzie dobra moja pisanie, ale co zrobić, zapróbuje. Mam nadzieję, że będzie dużo błędów w moim pisaniu to Szanowni Państwo poproszę nie odrzucić mojego pisania, bo ja starałem się jak najlepiej, trudno, że ja nie mogę to Sza-

nowni Państwo poprosze kiedy będzie przyjęto i pójdzi to opowiadanie na pamiętka to poprosza powiedomić, żebym ja wiedział, to moja dusza będzie na miejscu, bo ja na tym duza czasu stracił, ja prawie dwa miesiące pisał to wszystko to jestem ciekawy czy moja praca wydzie na pamiętka. Ja zdaje mi sie duzo w swoim zyciu głowy nakręciłem, to ten numer pierwszy jest po mojem napisaniu całego zycia, aż do dzisiejszego dnia 25. 11. 1933 r. skończył pisanie.

Walerjan W... urodziłem się 1898 roku dnia 9 lipca, ja byłem najmłodszy od wszystkich, było nas sześciu braci i cztery siostry. Jedna siostra Teofila czternastoletnia zmarła i jedyn brat dwuletni Janek zmarł. Nasza rodzina składałasia, ojciec i matka i pięciu synów i trzy córki, ja do trzech lat nie pamiętam swego zycia, od trzech lat przypominam swoja zycie, byłem najmłodszy, spałem długo w lulce. Jednego dnia poszłem do sadu, jako dziecko nazbierałem jabków i przyniosłem, położyłem do lulki pod głowa, a potym wieczór położyli mnie spać do lulki, bo ja jeszcze nie chciał nigdzie spać. Ja wieczorem nie zasnąłem zachciałem pożartować leżąc i oderwalisia wierówki od lulki z jednego końca od głowy i poleciałem stoć głowoj na ziemie i jabłka rozsypałem po całym mięszkaniu i głowa stłuk, zaczęłem płakać, wszyscy dawaj ze mnie śmiaćsia, powiadają, że styd płakać. Idź spać na poł za piec, bo tam był z desek zrobiony poł i słoma posłana, tam spał jedyn brat i siostra, ja chociaż mnie nie chciałasia iść, ale zaczęli mnie straszyć, musiałem iść. Zaczęłem z tej pory spać na deskach i na słomie, bo poduszek nie było duzo. Jaka była to trzeba było dla dorosłych, bo już siostry stanowilisia za panienok. Więc zaczęłem rosnać i przypominać, że jesteśmy biedny, że jest chata bez komina, dym idzie na mieszkaniu, chleb bardzo czarny namieszany z plewami i tego nie jest dosić zawsze. Jak już podrosłem siadam jeść, mamusia mówi na wszystkich dzietki chleba potroszeczku, bo niema skąd brać, to dobrze sobie przypominam. Ubranie bardzo marna, do 12 lat chodziłem bez majteczek tylko jedna domowaj roboty z pakuły koszula długa i gruba bardzo, nie mieli z czego kupić. Rodzina była wielka, na ziemi niebardzo rosło, ziemia nie była dopatrzona, pracować nie było komu, a jeść za stołem tylko dawaj. Ojciec posiadał jednego konia, jedna krowa, jakich dwie owieczki, jakich para świniaczków. Tak żyli w niedostatku. A podrosła starsza siostra, poszła zamąż, musiał ojciec dać w posagu 75 rubli i krowa i owieczka i świnia, krowa oddali ostatnią, a cieliszka została. My zostali bez mleka, a 75 rubli ojciec pożyczyl od znajomego ze wsi Greja Klemens Kiryluk i umó-

wilisia procentu rocznie osiem rubli. Z tej pory jak oddali siostrze zamąż starsza, jeszcze zawitała nędza gorsza do naszego domu. Przeżyli dwa lata, zaczyna prosić starszy brat ojca, żeby mu pozwolił żenić się. Zakochał się w panience biednej, posagu wcale niema, musi ojciec za swoje pieniądze wesele robić, jeszcze bieda jedna, ojciec nie dałby synu żenić się, to syn płaczyć i ojca prosi, że już jemu nie można porzucić przy nadziei, ojciec dobrze, niedobrze, wiadomo więcej rodzice troszczą się o dzieciach jak dzieci o rodzicach i ożenił się starszy brat. Ja miałem dziesięć lat, już dobrze pamiętam, a drugi brat Alfons szedł do wojska rosyjskiego na czynną służbę, naznaczony był do Sybiru, horod Tomsk.

My wszystkie żyli w jednej chacie, chata była bez komina, kurna, dym szedł na mieszkanie, bo ojciec zawsze mówił, że niema za co kupić cegieł na komin, powiada że mnie nie o komin chodzi, ale jak przeżyć takiej rodzinie, bo chleba niema, na polu dobrze nie rośnie, cała bieda, krowa jedna, koń jeden i ten wiesnowoj poroj nie chce ciągnąć woza i sochy, ojciec powiada, a wy jeszcze chcecie ode mnie, żebym ja wam komin zrobił. Ja żyłem przy wujaszku do styrdzieści lat w kurnej chacie i teraz przeżyją, zobaczą jak wy będziecie gospodarzami, może i takiej chaty nie będziecie mieli, a bracie mówią, dobrze tatu żyć na dziesięciu dziesięcinach, a nasz będzie pięciu, co my będziemy robili, ojciec powiada, ajaj, tylko pracujcie, to będziecie żyli i teraz tak stało. Przypominam taką kłótnię ojca i dzieci, pracowałby, niema czego, zarabiałby, niema gdzie i nicht nie płaci, kupiłby, niema za co, kiedy widzisz, że człowiek pali papierosa to poprosisz zapalić, to powiada teraz nowa moda jest, kupi i kury, to zakręcisz się i pójdziesz jakby już zaciągnął jednego dyma. Przypomnisz ojca rozmowę, że ojciec mówił, że pracuj, będziesz miał a dzisiaj i pracy niema. Poszedłby gdzie szukać, niema gdzie, wszędzie nas takich kolegów jest dosiść. Teraz w wiosce życie poszło, że nigdy takiego nie było dawniej, ila lat nazad tylko ten marnie żył, kto nie chciał pracować, a dzisiaj najpracowitszy człowiek żyje nie daj Boże. Gdy miałem dziesięć lat i brat ożenił się i zacząłem już mniej więcej rozumieć, przypominam sobie, jak to było. Bratowa zawsze kłóciła się z mamą, byle zaco, wiadomo, jak biedna, ale żebym zażoźnie żyli to nie trzeba byłoby i grandy, a tak jak niedostatki w życiu to i za byle co łajajosia. A najwięcej na jesieni bo wszystkie przy mieszkalnoy robocie, ojciec i bracie i siostry idą do młócenia, a mamusia i bratowa zastajosia w mieszkaniu jeść gotować i gniewajosia, a ja najmłodszy w domu to dla mnie więcej przyczyny, jedna

złość spędza i druga. Między sobą pogniewajosia, a ja jako mały muszę poprosić czego to dla mnie kułakiem w kark wali i powiada, na piec, to zaraz wpakujsia na piec w gorzki dym i siedzisz póki ich złość odejdzi, zaraz złazisz niżej. Przy piecu jest taka deska przyprowiona, że dym nie dostaje, to położyszsia i leżesz i patrzysz, jak bliny piecze, jak mamusia piecze poprosisz, mama daj mnie blinek, to powiada, razem wszystkie będziemy jeść, kiedy niegniewna to da blinek, a kiedy gniewna powiada, ja tobie jak dam, aż ciebie cholera weźmie, leżesz cichutko, ale chce sie jeszcze poprosić, myślisz a może i da, mama daj blinek mamó, jeszcze więcej zagniewasie, jak da pałojnikom z rozczynoj w łeb i powiada, ja was wszystkich nakarmie, cholery wy, skąd ja wam weźme. Prawda, ja teraz pomyśle, że rodzina wielka, niedostatki i nędza, ja teraz widze we wiosce dużo u kogo jest jeszcze gorzej, jak u nas było dawniej, bo my jeszcze ojca i matka uważali, kiedy ojciec krzyczy to milczysz, a teraz widze sąsiadów dzieci, kiedy w rodzinie nędza, to bierzesie za łeb z ojcem i ojca i matkę pobije i potłucze i powiada ja niczem niedarażu, wolu mnie w pace siedzieć, niczem żyć w domu, co ja widze na świecie, jedzenie kartofle, posna pochłopka i tej nie do syta, a ubranie wcale podarte, kupi kawaler za dwa złoty spodnie to nosi dwa lata, a na święto już niema mowy, to zaraz w niedziela idzie na jako zabawę i starasia, żeby prędzej jaka bójka zrobić i prędzej pójść do paki, bo powiada, mnie tam lepiej dajo jeść, porcyja dajo i mieszkanie lepsze, a w domu dla mnie gorsza paka, jak w kryminale, pracy dosić a w głodzie i chłodzie. Ja widze, że ci chłopcy mogliby być najlepsze i najuczciwsze, żeby nie bieda ta w rodzinie, teraz tak powiedziałem o matce i opowiem o bratowej. U nas taki zwyczaj we wiosce jest szykować śniadanie i obiad i kolacyja, na śniadanie herbaty niema, bo niema za co kupić cukru i herbata, to robisia śniadanie z blinów, jak jest tłuszcz to rozpuścisia i moczy bliny, a to więcej że nie bywa, to jesie suche i ciepłe z patelni, jak zastygno to nie można przelyknąć, bo najwięcej grochowej mąki, bo obchodzi sie taniej i przyznajo sytniej. To jak ja powiedziałem, mama była wszystkim w łeb, a bratowa, jak piecze bliny, to zawsze na początku spiecze dobrze, a pod ostatki robi grubo i surowy, żeby mniej zjedli, bo na każda osoba trzeba jakich dziesięć blinow. Za to dużo jemy, że posna to trzeba potrójnie zjeść, a na obiad gotujesia razem na poranku, w wielkim piecu stoi do obiedu i to samo na kolacyje. Jedzenie takie bywa, kapusta, botwina, najwięcej bielona

jakim posnym mlekiem, bo śmietana trzeba zrobić masło i sprzedać na nafta, na sól i na rozmaite rzeczy domowe.

To tak żyłosią w naszej rodzinie, a teraz jeszcze gorzej żyjo ludziska, a co do rodzinnego porządku i zgodność to teraz opisze od ośmiu lat. Pamiętam, jak było, ojciec z mamoj żyli w zgodzie, nie kłócilisia, tylko ich gnębiła nędza i niedostatki, że rodzina wielka, z ziemi przeżyć nie można było, dwoje dzieci służyli zawsze w ludziach, a czterech chodzili na robotę, bo była w pobliżu, jedyn żyd trzymał fabryka, na tej fabryce robili z słomy na butelki kapszuki i odsyłali do Anglji i do Francji, te kapszuki nadziewali na szampańskie na rozmaite wino, ta fabryka zatrudniała 40 osób, 10 dziewcząt i 10 panienok i 10 chłopaków po lat 13 i 10 dorosłych i 3 mężczyzn i kobiet 7, zarabiali po 15 kop. dziennie chłopaki, po 10 kop. dziewczęta, po 35 kop. panienki i kobiety, a mężczyźni 50 kop. To z naszej rodziny chodziło dwóch chłopców, na imie Alfons i Aleksander i dwie dziewczynki Maryla i Malwina, to one już ojca podtrzymywali nie stała taka nędza w domu naszym i ta fabryka stała do wojny światowej jeszcze. Ja chodził trzy lata, jak już miałem 15 lat, więc chociaż już ojciec postarzał, ale dzieci podrosły i zaczęli staraćsia to nasza rodzina znalazłasia w lepszym stanie, lżejsza życie poszło bo ja ostatni miałem 15 lat, darmożjadow nie było, każdy poszedł w ruch dla siebie zarobić. Wtenczas lepiej można było zarobić, jak dzisiaj. Po 15 kop. to można coś kupić chłopakowi, a dzisiaj i roboty niema. Ojca mego przemysł oprócz rolnictwa dom pobudować mógł, jeszcze inne zabudowania wieskowe, woza kupować nie trzeba było, koła też sam robił dla siebie, sani też potrafił i zrobić chomont i szlej i cało uprzeż mógł zrobić, jeszcze szewcka robote znał, sobie buty robił i do tego był muzykant, na skrzypcach grał po dawniejszemu lawonicha i skrzypce mógł sam zrobić nie-najgorsze, więcej jaka robotę domowa trafiałasia też robił i kieliszek po dawniejszemu mógł wypić. Strasznie lubił drzewo rozmaite owocowe, przyszedł od wujaszka na czysty grunt posadził 30 pni jabków i naokoło ogrodu osadził rozmaitym drzewom, które już dzisiaj stojo wielkie, do roboty był nieleniw, lubił pracować, lubił zawsze narzędzie mieć swoje, co potrzebne do ludzię pożyczac nie chodził, studnia i sadzawka zawsze w swym ogrodzie w porządku, żeby do cudzej nie chodzić, a co tyczysia do bogactwa to zawsze był biedny biez pieniędzy i stołowanie było kiepska i ubranie kiepska i mieszkanie kurna. Jak ojciec nas kształcił do nauki i do pisania i do czytania ojciec nasz tak mówił, ja was wszystkich nie naucze, jak ze-

chcecie to same nauczyciesie, bo ja nie mam za co i wy z tego chleba nie dostaniecie, dawniejszy naród tak mówił, bo oni mieli kawał ziemi to im więcej nie trzeba było ani nie myśleli o nas, że nas ściśnie małorolnictwo. Ojciec nas do szkoły żadnego nie puścił, musieliśmy tak pozostać i do żadnego terminu nie puścił. Zostalisia wszystkie nalfabety, z dziesięciu żadnego niema wykształconego tylko jak kto mógł sam przez siebie nauczyłsia. Tak żyli przy ojcu, kto zarobił to ten miał, kto nie zarobił ten nie miał. Ojciec z gospodarki nie kupował nic z ubrania i obuwia, każdy zatrudniłsia czego nauczyłsia i coś zarobić. Starszy brat na imia Ignacy nauczyłsia szewcom, a średni brat Aleksander nauczyłsia kowalem, sam przez siebie zrobił malutki fuktet, pójdzie do ogrodu rozłoży ogień i kuje co popadło i z tego wyuczyłsia kowalem i teraz z tego żyje.

Jak ja byłem pastuchem pasłem krowy i zaczynałem robote rolna robić, byli u nas dwie krowy, jedna cieliszka, to mnie kolejno przychodziło paść nie codziennie, to ja od paśa krowy ida uczyćsia, jak robota robić, a najwięcej lubił kosić siano. Jednego razu poszli kosić siano, ojciec i dwa starsze bracia i ja, we czterech kosili razem. Ojciec powiada, słuchajcie na mnie i na najstarszego brata Félka, ićcie tam jest niewielka łonieczka, skoście i pójdziecie na obiad, bo już kosy nie biorą, a my skończymy i pójdziemy do domu, to my usłuchali ojca i poszli. Zaczeliśmy kosić łąka to jak kosili z ojcem razem to kosy różnęły, jak sami zaczęli ostrzyć to kosy nie chcą różnąć. Ja kosiłem na przedzie, a brat z tyłu i powiada, słuchaj ty nieczysto kosisz, zostajasie trawa i podchodzi z tyłu i chce skosić ta trawa i zaraz wali mnie po piętach kosoj i wsadził kosy koniec mnie do lewej nogi od środka, bo ona stała z tyłu, popadła kosa końcem między kosteczki i piętę, wlażł koniec kosy prawie na jedyn cal długości i brat przeląkł się i rzucił kosę w noge, ja też przelęksia i nie posłyszał, odkręciłsia patrze, że kosa tyrczy w nodze, ja tenczas z bólu obwaliłsia na ziemia i brat wyciągnął kosa z nogi. Za jakich pięć minut przyszedłem do siebie. I oddarli kawał koszuli i wkręcili noge i przyszedłem do domu pomalutku. W domu ojciec zaczął krzyceć na brata co tak nieostroźnie, brat powiada, że on nie chciał tego zrobić, tak popadła i takie nieszczęście. Ojciec powiada zawieź do dochtora mnie, a ja głupi byłem bałemsia, że dochtór odkroi noge i powiadam, że mnie nie boli noga, ale pobyłem dwa dni to już mnie noga spokoju nie daje, zasechło z wierzchu, ale wszystko powiadam, że mnie nie boli. Mamusia pyta, napewno tobie noga boli, że ty dzisiej w nocy nie spał. Ja powiadam, nie, noga wcale nie boli,

nie chce żeby mnie wzięli do doctora. We dnie wszyscy poszli do siana, ja pomalutku wyszłem do sadu, a już mnie miejsca niema. Usiadłem przy drzewinie bezowej i odwiązałem noga i patrze, noga puchnie i bardzo gorąca. Siedza i myśle co robić, potem wziełem ręką zerwałem pare liści bezowych i przyłożyłem do rany, jakoś mie zrobiłosia letko w noga. Posiedziałem godzina czasu, nie tak stała noga palić, ja narwałem więcej bezu liści i obłożyłem grubo noga i obwiązałem. Pottrzymał jeden dzień, już wcale ból przestał w nodze. Ja na drugi dzień jeszcze tak zrobiłem, noga stała biała gdzie była czerwona i rana otworzyłaśia i zaczęła wyciekać z rany żyłka i za tydzień czasu zagoiłaśia noga i został zdrowy.

J a k z a r a b i a ł p a s t u c h o m g r o s z e

Co robić, ojciec nie kupuje odzienie ni obuwia, powiada niema za co idź na obowiązek, zarobisz i kupisz. Ja widze niektórzy noszo swojej roboty ze słomy kapielusze zrobione, ja poszłem do sąsiada i pytam, gdzie on brał, powiada, że kupił na kiermaszu, płacił 10 kopiejek za kapelus. Ja wzięłem do rąk i patrze jak to zrobione, widzę, że wplecione takie ploteczki ze słomy pszennej i w ploteczko wchodzi po siedem słomek i naplecione duże plotki i uszyła kapielusz. Mnie ta robota zacikawiła, żeby nauczyćśia, przyszedłem do domu i pytam ojca, żeby mi dał słomy pszennej. Ojciec powiada co już jakoho djabła wymyślił. Mieszkanie zatrzesać słomoj. Ja powiadam, że będę uczyćśia kapeluszy robić. Ojciec mówi gówny ty zrobisz, mamusia, nu, a co może i robi i powiada daj jemu słomy niech zaprobuję może i robi, widzisz że na kiermaszu Pietkiewicz kupił we czwartek sobie na lato, niechaj uczyśia, może zarobi sobie na koszulka, bo widzisz ma 14 lat, chodzi obdarty, to ojciec pozwolił mnie. Ja rad tej roboty poleciałem przyniosłem trzy snopy słomy i wziełosia do roboty. Ja nie będę opisywał jak długo uczyłosia, ale zrobiłem dla siebie, potym zaczęłem sprzedawać i zarobiłem para kopiejek. Mamusia zabrała te pieniądze i kupiła dla mnie koszulka i spodenki na święto.

J a k u c z y ł e m s i a ż y t o ż a ć

Z początku szło marnie, a potem bardzo dobrze, jeden rok żąłem pomalutku, a na drugi rok sprawiłosia z dobroj żniejoj. Gdy miałem 15 lat to na noczek z koniami jeździłem na pastwisko. Jednego razu jechałem na noczek z koniami i cało noc mało spalim, wiadomo całej wsi chłopaki bawilisia igrali, ogień palili. Przyjecha-

łem na poranku do domu z koniami. Zawsze jak przyjadę do domu to koni brat bierze do roboty, a ja ida spać, a tego dnia ojciec powiedział, żebym szedł z babami jęczmień żąć, bo bardzo spięły, a spać nie dał. Musiałem iść żąć. Poszedłem żąć, żąłem, a sen mnie cisnął. Jeden raz zachwyił sierpem za ręka i powiedam na siostra i na bratowa, ja dzisiaj porżne ręki, bo bardzo mi sie spać chcesie. Oni powiadajo, nie pleć co niepotrzeba, ja znów zacząłem żąć odrazu jakoś popadł sierp za ręka, aż trzasnęło, z bólu rzuciłem sierp podejmuje lewa ręka od jęczmienia, wisi koniec palca malutkiego odkrojony. Ja chwyciłem prawoj rękoi za palec, ścisnąłem i powiadam, ja palec odkroiłem. Znów oni powiadajo, idź ty głupiec, nie gadaj co niepotrzeba, jak oni nie wierzo, ja puściłem prawa ręka od palca, palec w pierwszej sustawie został oderżnięty tylko wisi na skórcie od środka, oni jak znów zauważyli, że prawda, oderżnięty, z płaczem rzucilisia do mnie, ja znów przycisnąłem koniec palca, a krow wali i wali i nie można zatrzymać. Siostra Maryla oddarła od sukienki kawał falbany i wkręcili mnie ręka, a krow idzie. Powiadajo czy zajdziesz do domu jedyn, a może odprowadzić, ale że może krow zejść i omdlejesz na drodze. Ja powiadam nic mi sie nie stanie i poszedłem do domu, a krow nie przestaje iść. Przyszedłem do domu i lękałmsia, żebym mnie ojciec nie bił, bo ojciec nasz taki był, kiedy co zrobisz to on nie żałuje, a jeszcze bije, ale ojciec zauważył, że niedobrze, krow nie zatrzymuja, póki ja posiedziałem minut dwadzieścia luża krowi naszło. Ja już zaczęłem płakać. Ojciec powiada na syna, idź po konia, powieziesz do dochtora, bo sami krowi nie zatrzymamy. Wkręcili mnie szmatami ręka grubo i tęgo, ale krow idzie. Zaraz brat konia założył, powiadają że pojedzim, chociaż mnie nie chciałosia do dochtora jechać, ale musiałem. Zajechali do szpitala. Dochtór był w szpitalu to nie trzeba było czekać. Brat powiedział dochtorowi, że przywozłem chłopca do pana, oderżnął palec sierpem i nie można krowi zatrzymać, to dochtór rzucił wszystko i wziął się do mojej ręki i odwiązał wszystko i zatrzymał krow i powiada, że palec nieoderżnięty i obintował dobrze. Powiedział, żebym jutro przyszedł do szpitala. Przyjechaliśmy do domu z bratem. Na jutro poszedłem do szpitala. Zaczyna robić mnie przewinięcia i powiada, że palec nie trzymasia, tylko na skórcie zatrzymałmsia, trzeba go odstrzygnąć, bo powiada koniec palca martwy nie przygoisia i zaraz wziął odstrzygnoł koniec palca i spadł do miednicy, ja zostałemsia bez palca i nie mam do dzisiejszego dnia. Trzy dni chodziłem do szpitala na przewiązka, a po trzech dniach nie poszedłem. Zaczęłem

okładać bezowemi liściami i za dwa tygodnie był zdrowy. Dla mnie i teraz jest bezowy liść najlepszym lekarstwem do jakichś ran.

Opisze, jak chodziłem do pracy na fabryka, gdzie robili słomiane kapszuki na butelki. Zaczęłem pracować w 1911 roku, ale letniej poraj nie można było chodzić bo w domu pracy dosiść tylko szedłem zimo. W dwie zimy co zarabiał piniędzy to zabirali rodzice dla siostry Maryli na ubranie, a dla mnie nic nie zostawiali, a trzecia zime 1913 roku zarobiłem dla siebie 22 ruble. Za te piniędzy kupili dla mnie buty, cztery rubli zapłacili i marynarka trzy ruble i koszulą 75 kopiejek i spodnie jeden rubel i czapka 35 kopiejek, a co zostalisia te piniądze to mama zabrała do siebie na przechowanie. Ja już byłem podrostkoim, troszeczke przyodziałemsia i więcej mnie w głowie nic nie było od małych lat, jak tylko kupić harmonja i nauczyćsia grać, to ja zaczęłem prosić rodziców, żebym pozwolili za te piniędzy co zostali od ubrania, to rodzice nie pozwolili dla mnie kupować, powiadajo my ciebie wyrzucim z mieszkania co nam będziesz piszczec i nie nauczyszsia tylko piniędzy zmarnujesz i z tego chleba mieć nie będziesz, tylko nauczyszsia wódka pić i papierosy palić, powiadajo, bez harmonji żyć można, bez chleba to żyć nie będziesz.

J a k n a ż y ł e m h a r m o n j e

Brat Alfons 1911 roku powróciłsia z wojska rosiejskiego z Si-biru. Przyjechał do domu zdrowy, czysty, syty, lepiej wyglądał jak w domu był. Pobyl w domu miesiąc czasu i poszedł znów na fabryka pracować razem z nami, ale on zarabiał 50 kopiejek dziennie, to za pół roku zarobił piniędzy, kupił sobie ubranie cywilna i kupił za cztery ruble harmonja podtrzymana i grał chociaź nie umiell dobrze grać, ale wieczorem, jak przyjdzie z roboty to pogra, aby czas spędzić, a ja na harmonja patrzyłem, jak kot na słoninke, ale on mnie nie dawał grać, powiada, zepsujesz, a ja myślę żeby on mnie dał to jabym prędko zagrał, myślę sobie, jak będę kawalerom to wszystko jedno kupie. A nie, na szczęście brat pobyl w domu do 1913 roku, a 1913 roku maju miesiącu wymyślił wyjechać do Ameryki Północnej i potrzeba piniędzy. To ojciec pożyczyl 200 rubli jemu na droga, a mamusia powiada trzeba jemu dać twoje piniędzy, bo jemu potrzebne, a tobie zostanisia harmonja, ja pomyślałem, że cztery ruble płacona, a moich 14 rubli to byłaby lepsza, ale co oni mnie nie pozwolo kupować harmonji to wszystko jedno niech zostajesia. Ja rad tej biedaj nie żałuje piniędzy, to brat wyjechał i zostawił dla mnie harmonja chociaź nie była dobra, ale to wszystko jedno wzię-

łemsia do roboty i zaczęłem uczyćsja. Odrazu mnie poszło niebardzo, potem dzień ode dnia zaczęłem kapować poleczka, walczyka i pograłem od maja miesiąca do sierpnia. Przychodzi do mnie człowiek podróżny i powiada, że chodzi po świecie i harmoni reperuje, a moja już przypsuta, bo brat zostawił przypsuta. Zaraz umówilisia z tym człowiekiem i rubel za robotą i on wyraparował dla mnie harmonja. Grał ja na tej harmonji od maja do jesieni. Poduczyłsja grać i już na wieczorki chodziłem grać, a w jesieni sprzedałem i wziąłem 3 ruble 15 kopiejek i zostałsja bez harmonji. Pochodziłem cała zima na fabryka, zarobiłem piniędzy i w poście wielkim na początku kupiłem lepsza zapłaciłem sześć rubli. Przez post potrzymałem, grać nie igrałem, bo rodzice nie pozwalali, a na Wielkanoc zrobili na drugi dzień świąt zabawa, zebralisia dużo kawalerów, a ja grałem i wszystkie chwalili, że dobrze tańczyć. Przyszedł jedyn kawaler ze wsi Starczuny tylko co wróciwszysja z wojska rosiejskiego z horoda Kazań, przywiózł harmonja ruska, płacił 18 rubli. Jak ja zobaczył to moje wszystkie żyły zamarli na ta harmonja, a powiada, pohandlujmy, kiedy bardzo lubisz, daj przydatku 11 rubli, bo ja zapłaciłem 18 rubli a ty mówisz, że sześć płacił, to ja strace jeden rubel, ale wszystko jedno mnie niepotrzebna taka, że ja nie umieć grać, a dla zabawy twoja będzie dobra. To ja nie wiedział co robić z radości, poszłem do rodziców prosić. Rodzice wprzód nie chcieli pozwolić, ale dużo było postronnych, powiadajo, nu, to komu kupować harmonja, kiedy tak już gra na staroj, a na nowoj jak pogra miesiąc czasu to wszystkich muzykantow zakasuje. Rodzice chcąc nie chcąc pozwolili shandlować, pograłem do pół lata, zaczęła się wojna światowa i 1915 roku przyszli Niemcy, zakopałem do ziemi, schowałem od Niemców, bo oni zabierali co znaleźli, ona poleżała do jesieni w ziemi, w jesieni stali Niemcy na kwaterze i ja przyznałsja, że mam harmonja schowana w ziemi to oni powiedzieli, jo wybieraj, póki my będziemy nicht nie weźmie, ja poszłem wybrałem już widze cała zmarnowana zostałsja bez harmonja.

Jak my żyli w 1911 rok do wojny światowoj

Prawda już żyli lepiej, jak przód, mieli chleb dobry i już nieczarny, mieli cztery krowy i sześć owieczek starych zawsze na zima i trzy świni i dwa konie robocze i trzeci młody, jakich osiem kur i pięć gęsi na zima, dobry pies był przy gospodarce, a my wszystkie ruchawe byli, nieleniwe, zawsze staralisia żebyśmy gdzie zarobić. Jak spominałem, siostra oddali zamąż, długu mieli, oddali dług, druga

siostra wydali zamąż dali 75 rubli i krowa i świnia i owieczka, pościel jak zwykle. Brat drugi, jak spominałem wyjechał do Ameryki, a trzeci kowalem wyuczył się, a czwarty zachciał wyjechać do Rygi na zarobek. Chociaż te co wyjechali do Ameryki i do Rygi dla domu wcale nie pomagali, żadnego grosza nie przysłali. My żyli trzech braci w domu swoja ziemie wyrabiali i jeszcze cudzej w arenda nabirali i dożył się do nienajgorszego życia chociaż zrównięcia z niektórymi nie mogli, ale lepiej, jak przód. Wiedomo było kiedy kłótni, ale co zrobić dzisiaj pokłóć się, jutro dobrze, lepiej żył się jak dzisiaj żyjemy na gospodarce i jeszcze posiadamy fuchy w rękach i wszystko marnie i niema na kogo obida składać, dawniej zarobisz to już masz, a dzisiaj co zarobił to nie twoje, wszystko wyniesiesz do sklepu i zostaniesz goły.

Jak doczekali wojny światowej

1914 rok przyszedł czas smutny. Wszędzie stało smutno. Kto poszedł na wojna, a kto został, ale wesołości nie było. Z naszaj rodziny poszedł wtedy starszy brat Ignacy, Aleksander miał biały bilet, niezdolny to był w domu, Feliks był młody w Rydze, a ja w domu też młody. 1915 roku w lutym miesiącu powołali Feliksa do wojskowych poborów, przyjechał z Rygi zarabiwszy pieniędzy 15 kopiejek i 5 groszy i ubranie podniszczone i nogi z bucików wylażo. To ojciec powiada, dlaczego ty za cztery lata nic nie zarobił to on powiada, że ja wiedziałem, że będzie wojna to żyłem rozkoszno, a ojciec powiada z czym ty pójdziesz teraz do wojska, ni pieniędzy, ni ubrania, ni butów — teraz zima. To on milczy. Pojechał on na pobór, został wdziałony do artylerji i przyjechał na dwa tygodni do domu. Pobył w domu, trzeba odjeżdżać aż w horod Kazań, zaraz dzielim jemu pieniądze, ojciec trzy ruble, brat dwa ruble, siostra jeden rubel, ja dwa rubli i buty nowe tylko co uszyte spodnie, a mnie zostawuje stare lachmany i trzewiki podarte, a pieniędzy siedem rubli na droga. Poszedł na druga wieś przed odjazdem do panienok i przegrał pieniądze, tylko jeden rubel został. Jak zostaliście we dwóch braci w domu, nastąpiło lato, brat kowalem nie idzie do rolnaj roboty, a starszy na wojna poszedł, ja młodszy musze odpowiednio pracować rolna robote, brat powiada, ty oraj jeden, a ja kosić pomogę. Akurat trafiło tak, przychodzi sianokos, brata bioro na wojenna robota okopy kopać, ja zostajesia jedyn przy rolnaj robocie i pracuje, jak koń. Za miesiąc czasu brat wrócił, lekarz jego zwolnił, że niezdrowy. Piętnaście dni przeszło, przychodzi nakaz do wo-

łości, że ja musze jechać na robotę wojenna i pojechałem. Zawieźli nas do Wilna, z Wilna poszli na piechotę 22 kilometry w stronę Landwarowa do wioski Rykonty, tam my zatrzymaliśmy się na robotę. Porobili okopy jeden tydzień, już zaczęło wojsko cofać się od Kowna do Wilna i powiadają, że Niemcy okrążyli Kowna na tej stronie, stacja Koszedary zabrali, pociągi już nie chodzą, to w naszym miejscu saperzy stali robić, a nas zwolnili do domu. Przyjechałem i przywiozłem 14 rubli do domu, położyłem w stoliku te pieniądze i położyliśmy spać. Na jutro wstaje, patrzę tych 14 rubli niema, ja pytam, mamo, kto moje pieniądze wziął, mama powiada, ja nie znam, ja opowiedziałem mamie ile było, ona powiada, że na pewno Aleksander bo on skąpy.

Jak odebrałem od brata pieniądze i ile oddał

Mama poszła do kuźni i powiada, słuchaj syn, ty wziął Walego 14 rubli, wzięłem ależ to nie jego moje, bo ja jemu dałem, jak on jechał do okopów 5 rubli, a na co jego 9 wzięłeś, ja zaraz słyszę mamy rozmowa, idę tam powiadam, to ty dałeś 5 rubli nie na drogę to one moje, bo ty cały rok pracujesz w kuźni, a ja na ziemi i grosza nie miałem z czym jechać, ty z rozkazu ojca dałeś 5 rubli, bo to musisz w gospodarce dać pieniędzy, a ja pracuję na gospodarce, a on wszystko sprzeczasia i nie daje, ja mówię słuchaj, żebym ja to wiedział, że tak będzie to ja przejadłbym, jak inne chłopcy, a to ja nic nie kupiłem, tylko kupiłem chleba, a kartofli są, gdzie okopy kopali nagotuje i jem, a żebym ja jak inne białe jadł chleb, bułki to ja bym znowa nie przywoził tych pieniędzy, a ty jeszcze nie tylko 5 rubli zabrał, ale i zarobki moje 9 rubli zabrał i to mama słuchała i powiada, nie styd ci tak robić. On powstał i pomyślał i przyszedł do mieszkania i oddał 9 rubli, a 5 nie dał powiada trzeba było rozpuścić, a jak nie rozpuścił to moje, on jest dzisiaj bardzo skąpy i nierozsądny, słabo przyznaje braterstwo.

Jak Niemców doczekali i jakim sposobem
ja przyjechałem z roboty.

10 dni potem okazaliśmy Niemcy w Nowo-Święcianach, później w trzy dni u nas bez żadnego boju, poszli na Głębokie a rosyjskiego wojska wcale nie było u nas w Hoduciszkach. Przeszło trzy tygodnie, a Wilno nie było wzięte, oni przyszli do nas od Poniewieża to jak oni szli bez boju to my żadnego strachu nie mieli i od nas nic nie brali tylko przejdzie przez wieś nabitą masłem, jajkami i po-

jedzie, a potem raptownie przez trzy tygodnie od Braśławskiego powiatu rosiejskie kozaki wdarli się na miasteczko Postawy i tam odcieli Niemcom chod dalszy i zrobili wielki boj. Pięć dni myśleli, że będzie koniec świata i napłyło niemieckiego wojska, jak błota, zaczęli brać koni, krowy, świnie i nikogo nie pytają z wioskowych ludzi, nikt nie umie rozmawiać, cały gwałt i odłamuje i zabierają i nikogo nie pytają, budynki palo, 20 dni jak noc tak dzień światło i światło, póki wypalili, zniszczyli, pójdzie na pole zastrzeli krowy, a gospodarzowi dali kartkę, że będzie zapłacone co dzisiaj jeszcze leży ta kartka i nikt nie zapłacił ni ruski ni Niemiec ni bolszewik ni Polak co zniszczył cały inwentarz.

Co u nas zabrali Niemcy

Przyszli do nas Niemcy pod jesień, żyto było wsiano na zime, a z pola wszystko zboże było zebrane w gumnach tylko co kartofli pokopali, a zboże nie młócona. Postawili konie do gumna na zboża, bierze karmi i depcze, za dwa tygodnie wszystko zmarnowali co do snopa i młócić nie dawali, a tamten rok u nas wielka uroda była, wszystko zboże ładnie wyrosło, a korzyści nie mieli, a teraz inwentarz zabrali, trzy krowy, 10 owieczek i jeden cieliszka, młodego źrebaka i dwóch roboczych koni i wszystko na karteczki, a jedna krowe zostawili na familja i zostaliska żyć bez chleba i bez kartofli i myślím, że koniec świata będzie. To tak trwało do zimy, póki nie przyjechało wojsko stać w wioska. Jak przyjechało wojsko stać to komendant tego oddziału był gospodarzom tej wioski to już i nie jeździli rabować, zarządzili porządek, stała baterja 229 pułku artylerji polowej, wszystkich roboczych ludzi popędzili na robotę do lasu pleść płotki do okopów i płacili 25 groszy dziennie, dawali jeść, aż słabo było, ale musisz robić żadyn nie wykręcisz od roboty, jak który ucieknie to tego do drzewa przywiążo na godzine, albo więcáj.

Teraz opisze swoja życia jak powodziłosa za Niemców

Najpierw popędzili do roboty pod nazwoj kompanja. Przyjechali trzy draguny konno do naszaj wioski i pomówili z oficeram i oficer powiedział wachmajstru zebrać nas wszystkich młodych i starych, panienok i kobiet, takich kto może tylko pracować, żeby natychmiast byli wszystkie przy komendanta kwatery. My wszyscy nic nie wiedząc co takiego, jak byli w domu i zeszliska do komendanta. Wyszedł komendant i żołnierz, który umieł po polsku roz-

mawiać, oficer powiedział żołnierzowi po niemiecku, żołnierz nam po polsku, że wy wszystkie musicie iść na robotę do wioski Józefina, a wioska była od nas trzy kilometry tam będziecie pracować i wam zapłacono i dadzą jeść. My pomyśleli, że pójdziem do domu, odzieniemy się lepiej, bo niektórzy byli słabo odziani, oficer coś powiedział, a żołnierz powiada, że bym żadyn nie odchodził do domu. My wszystkie czekamy co takiego będzie. Wychodzi z kwatery nasz oficer i kawalerji oficer i trzy żołnierzy kawalerysty, którzy mieli na czapkach światło różowe i na ramiennikach Nr. 7. Jeden żołnierz nas wszystkich pospisał imię i nazwisko i powiedział oficerowi, ten coś zachęcał do żołnierzy i podał rękę naszemu oficerowi i usiedli na koni. My wszystkie jedyn po drugim patrzymy co będzie. Z naszych jedyn powiada, panie my pójdziemy odzieniemy się i weźmim jedzenie i pójdziem do roboty, jedyn żołnierz podjechał, jak kopnął w bok nogą i ledwie z koniem nie wleciał na niego, wszystkie okrążyli na koniach i popędzili aż do Józefiny. Niekterzy byli słabo odziane a to było w jesieni w listopadzie, to drogą było zimno, ale zapędzili do gumna na noc. I przyszedł ten sam oficer z polskim i powiedział, żeby nie uciekali do domu, bo tutaj nasza będzie kwatera, a kto ucieknie tego do drzewa przywiąże. Zostalisia nocować tak, a kto był dobrze odziany to temu nic, ale kto był słabo odziany, ja też był słabo odziany, wiadomo młody wyleciał z domu na chwilkę i nie pomyślał co to będzie, co cała noc nie spali. Nas zebrali dużo takich, bo napędzili nie z jednej wsi, było ludzi 250 a cała noc trzęśli się. Na poranku przysli Niemcy i popędzili do lasu na robotę. Las był komajski. Pracowali tam do Bożego Narodzenia i spali w gumnie, a do domu nie puszczali żadnego razu, kto chodził, tego przywiązywali do drzewa na dwie trzy godziny, aż póki zemdleje.

Po Nowym Roku 1916 wybrali 70 ludzi nas młodych i odprawili do wioski Muncewicze. Ta wieś była przy trzeciej linii okopów rezerwowych i my musieli kopać okopy. Tam pracowali półtora miesiąca z 15 lutego 1916 roku przerwali nas do wsi Wielka Olsza do saperów, tam stali saperscy i porobili kozły do piłowania desek i postawili nas deski piłować. Kto umie i nie umie musisz piłować, zaczęli belki z lasu zwozić i 25 pił od razu piłowało. Ja piłowałem, niektórzy z żołnierzami z tych desek robili pompy drewniane z okopów woda wypompowywać. We dnie my robili, a w nocy żołnierze odwożą do okopów. I tak my porobili trzy tygodnie, kwatera była lepsza, nocowali we dwóch domach, a co do jedzenia to jedli z kuchni wojskowej, a jeszcze wieczorem pójdiesz po wsi, bo tam ciwilów

nie było, byli wypędzeni, bo placówki niemieckie. To z roboty przyjdiesz i napiłujesz drzewa dla żołnierzy, poniesiesz, to oni dają za to konserwy i wódki i nawet czego mają. Tam żyłasia nie z biedaj o jedzeniu i mieszkaniu, tylko jedna bieda, że często przychodziłasia, aż za baterja chodzić na pierwsza prawie linja, żebym nie las to z karabina puli dostawali, a snarady przez wierzch lecieli to nas 10 codziennie wybirali kolejno tam chodzić do roboty, a we wiosce w Wielkiej Olszy, gdzie stali, to tam często granaty przelatywali, bo było 3 kilometry od ruskiego. A potym 8 marca obudzilisia na poranku, patrzym co takiego jest, pełna wieś wojska, nie tak jak zwykle, piechoty i altylerji, u każdego żołnierza na szyi po pięć lentów z ładunkami i wszystkie stoją zakwaterowani i w rowach i za drzewami pochowawszysia, patrzymy na niemców. Chodzą jak umarszy poszli o siódmej na robota. W saperach ruch inny, zapytali po cichutku znajomego żołnierza, on powiada: nizgut, ruski bum, bum hojta. My myślimy, że nam tutaj nie miejsce. Popracowali do godziny 8, o godzinie 8 jakby kto zagrał po całej linji, od samych Postaw miasteczka, aż do miasteczka Twerecze do 30 kilometrów długości i tak bilisia, armaty i karabiny i maszynki i zliwalisia w jedyn huk. Niemcy mówili, alos, alos, kaput. To tak bilisia trzy dni, to ruskiego wojska padło trzy korpusy, dużo do niewoli wzięli, a niemców wcale niedużo pobili i niemcy powiadają, że ruski głupi, nie umie wojować. Oni, jak tylko zaczęłasia boj to myśleli, że nie utrzymają, bo ruskiego wielka siła była. U nich okopy bardzo dobre, a ruski szed naślepo gwałt krzycząc hurra, a oni ledwie sprawialisia maszynkami pracować.

C o z n a m i b y ł o j a k z a c z e ł s i a b o j

Jeszcze godzinie czasu pracowali, a potym przyleciał oficer na żołnierzy krzyknął, cywil rausz hije nich blajbin for bejdem dywizja Czerniaty, to my zrozumieli, że nas popędzo do dywizji Czerniaty to majątek 20 kilometry od pozycji i tam stał sztab 42 dywizji piechoty. Ledwie my zaczęli składać narzędzia zaczął ruski bić snaradami po wiosce, zrobiłasia ruch żołnierzy, a nam strachu, tu leci granat i rwiesie, ledwie z kozłów pozleżali jeszcze z belek piły nie wybrali, jak leciał granat, popadł w chlew ściana wywalił i koniec kozła pobił, jedna piła rozbił. My wszystkie rozsypalisia gdzie który i nas żadnego nie raniła. My zebralisia do kwatery. Nasza kwatera była dalej gdzie pracowali, jakoś w dole nie na wzgórzu, ale wszystko

jedno cała wieś stała w ogniu, dwóch żołnierzy co byli przy nas powiedzieli trzymać się nam wszystkim nie rozlatywać i zabrać rzeczy co kto ma, jakimś rowem doliny zaprowadzili nas do lasu, tam powiedzieli odpocząć i poprawić się. Do nas granaty już nie dolatywali, a ta wszystka strona w ogniu w dymie i kurzu, strach patrzeć, jakby koniec świata nastąpił. Spocznuwszy pomaszzerowali do Czerniaty. Przypędzili do Czerniaty. Majątek niewielki niema gdzie podzięć się. W stronie jest zaścianek pod lasem pod nazwoj Zalesie, przypędzili do Zalesia a tam ludzi cywilnych takich jak my napędzona jaka tyśiąc, wszędzie pełno, dwa gumny i dwa świrny, chlewy zapakowane ludźmi, którzy pracowali gdzie poszedł boj. Pobyli tam trzy dni, już powiadają Niemcy, że ruski nie przyjdzie, został bardzo pobity, dużo wojska poginęło i do niewoli wzięto, na czwarty dzień znów nas popędzili do Wielkiej Olszy do saperów, ale jak my zaszli do wioski to strach patrzeć to dom rozwalony, to spalony, to jamy na ulicy rozryte i w ogrodach dużo gumnów rozbitych. Nasze gumno co my pracowali jeden róg odbity, kwatera co my spali cała strzecha rozwalona i zostaliska my nadal pracować. Tam pracowali do Wielkanocy, a na Wielkanoc puścili nas na święto do domu. Było do domu 14 kilometrów. Ja przyszedłem jakby gość, nie będąc w domu sześć miesięcy, pobylem przez święto nie chcesie iść, ale wszystko to trzeba iść, poszedłem, pobylem do Zielonych Świątek a na Zielone Święta uciekłem stąd do domu i nie poszed więcej, ale bieda przyjdzie żołnierz i popędzi, myślę co robić.

J a k k o m b i n u j e z o s t a ć s i a w d o m u

Na Zielone Świątki wojska w wiosce nie było tylko cztery żołnierze i osiem koni przysłane do rolnej roboty, bo wiesnowaj poraj oni sieili owies. I podchodzi sianokos, żyto żniwa, bo było żyto obsiane 1915 roku przez ludziej kiedy jeszcze niemców nie było to 1916 roku u nas żyto bardzo dobra porosło, to jeden oficer byłznaczony, jako gospodarz na sześć wsiów i to żyto wszystko zwozić do jednego miejsca i siano to samo. To ja myślę jak to zrobić, ja już po niemiecku rozmawiać znałem, poszedł do wsi sąsiedniej Jankiszek, tam stał koński lazaret i tam była kantyna, kupiłem za 5 marek butelka koniaku i przyniosłem do domu i myślę co robić, żeby nie przyszli z kompanji po mnie, to trzeba prędzej coś robić. Jednego wieczora poszedłem do żołnierzy, gdzie oni byli na kwatery, zacząłem rozmawiać po niemiecku oni patrzą na mnie skąd ja umiem roz-

mawiać i pytają skąd ty, że my ciebie nie znamy, bo wieskowych ludzi wszystkich znamy, a ciebie nie, ja powiadam im, że jestem tej samej wioski ich giwiozin bej dem kompanija szafen wen dorf Wielka Olsza bej den Pionipark arbejt 6 munet. Jedyn powiada, ach zo, dajn bruder Aleksander zachen was du arbejt. Tak pomówili sobie cały wieczór. Ja odchodząc powiedział ofiderzej, oni mnie ręka podali i proszo więcąj przychodzić, ja wychodząc z mieszkania, gut amt, oni też odpowiedzieli, ja wyszłem trzy kroki, a potem wróciłem się, posłuchać co oni rozmawiają. Jedyn powiada na mnie, fajny chłopak, żebym go zatrzymać we wiosce i nie puścić do kompanji, a drugi powiada, że nic nie zrobisz, kompanja ma siła brać do roboty, a ten sam mówi, że ja sam będę prosił oberlejtanta, żeby jakoś jego zatrzymać w domu, teraz siano kosić i żyto żać ludzi trzeba, ten powiada na imie Emil, starszy szeregowiec. Ja posłyszałem ta rozmowa to myślę czekajcie ja wam jutro jeszcze więcęj nagadam, na jutro ja po ulicy chodzić obawiam się, żebym z kompanji ktoś nie nadleciał i mnie nie zabrał to wtenczas będę przywiązany do drzewa. Wyszłem do sadu popatrzeć. Ido te żołnierzy ulicą, ja im powiadam gutyntag. Oni patrzą, kto to mówi do nich i odpowiedzieli gutyntag, jeszcze zatrzymalisia pomówili i poszli, potym ido nazad, ja wyszłem na ulica do nich, zaprosiłem do mieszkania, mamusia ugotowała para jaj i ja zaprosiłem do stołu i postawiłem butelka koniaku.

Jak pomogła mnie butelka koniaku

Na jutro o godzinie 10 byłem w domu, patrze ktoś machnął do podwórza na koniu, ja ze strachu stoja i pytam, mama, kto to przyjechał do nas. Mama powiada, jakiś oficer. Ja pomyślał, że to po mnie do kompanji. Odrazu po mnie poszedł droż, uciekałbym, niema gdzie, stoja w mieszkaniu osłupiewszy słysze stuknęli drzwi od sieni, wlatuje do chaty nasz żołnierz i powiada na mnie, prędzej jest gospodarz oberlojtant. Ja zaraz wylatują z mieszkania bez czapki, kłaniam się i powiadam, gutyntag her oberlojtant. On odpowiedział gutyntag i uśmiechnuła i powiada, chcesz zostać przy domowej robocie, nie iść do kompanji, to zostaniesz. Ja powiadam bardzo chce i prosze pana lojtanta. On powiada, gut, ych machen tu blajb cu haus arbejt cu mir. Ja znów skłoniła i powiedział bitte her oberlojtant. On, gut, gut, blajbs du chijs. Zakręcił konia, powiedział dowidzenia i wyjechał z podwórza i żołnierz razem z nim. Ja wrócił do mieszkania, mama powiada, co powiedział, ja mówie, powiedział,

że będę pracować w domu, on zrobi że nie pójde do kompanji, mama mówi a co on wiedział, że ty jesteś w domu ja to zrobił wczoraj koniak i zaraz do mnie przychodzą żołnierze i powiadają dzisiaj przyjechał gospodarz, my powiedzieli, że jest młody chłopak pracuje w kompanji, może można zostawić w domu to on powiedział gdzie on, zaprowadźcie mnie do niego zobaczyć, jak odjechał to spodobał że ty obszedzia do niego delikatnie i powiedział, że postaracie, żebym ciebie zatrzymać.

C o j a r o b i ł e m w d o m u j a k n i e p o s z ł e m
d o k o m p a n j i

Było tydzień czasu do sianokosu, ja chodziłem do żołnierzy zawsze wieczorami na rozmowa i myślę sobie co to zrobić, jak przyjdzie żyto żniwa i będó żeli, ja pytam żołnierzy, jak to będzie żyto żać, żołnierze powiadają, będó żeli kto swoje, a potem zwozić do jednego stołu, a kto będzie stał jak żyto będó żeli, oni powiadają my będziemy patrzali za porządkiem, żebym nicht nie kradł i nie rozniósł. Acha, ja teraz wiem co robić, ja powiedział sąsiadom wieczorem zejść do jednej kupy, ja powiedział co będó żołnierzy stali przy zbożu, trzeba postaraćsia naprzód dla tych żołnierzy, będziemy teraz dla nich nosić codzien mleko jajka kolejno jeden dzień jeden, a drugi dzień drugi. Ja zacne pierwszy, kiedy przyniesiem to oni zrobio łaska dla nas tylko nie mówić na co niesiem.

J a k j a p r z y s z ł e m z k o m p a n j i , j a k ż y l i w n a s z o j
c h a c i e

Był brat kowal i brata starszego żona i córka i siostra zamężna, mąż poszedł na wojnę, a ona przyszła do rodziców z córką, potem siostra niezamężna i ojciec i matka i ja najmłodszy, to przy niemcach żyli w jednej chacie i razem stołowalisia. W roku 1916 jak musieli swego chleba nakraść od niemców na cały rok to będzie tak, jak ja mówiłem, ja pierwszy poniosłem żołnierzom mleko i jajki, oni przyjęli i podziękowali, ja powiadam, że panom będó cywile często przynosić mleko i jajek, oni powiadają za co, ja powiadam ni za co, my wczoraj byli uzębrawszysia wszystkie wieskowe i rozmówilisia, że wszystkie ludzie równe deutschland czy russionland, a teraz choć po jednej krowie, ale trawy jest to krowy dają mleko to można jednemu gospodarzu przynieść dziennie, a drugiemu na drugi dzień, oni powiadają my dziękują za to. I cała wieś zaczęła tak robić, gdzie żołnierz nie powrócisia tam jego uczęstują czym tylko mogo i tak

skolegowałisia chłopci z żołnierzami, jak ze swoimi ludźmi, nastąpiły żyta żniwa, to każdy gospodarz zaczął żąć i młócić dla siebie, poniesie ze sobo paściłka, naźnie na polu i wytrzy połowa i worki chowa z żytom, a w nocy idzie i przynosi i worki chowa a żołnierze muszo pilnować i oni każdego widzo kto niesie worek do domu i nic nie mówio, a we dnie jak tylko gospodarz przyjdzie do wsi to każdyn żołnierz leci cichutko na pola i daje wiadomość, że oficer jest, żebym chowali, a wtenczas poprowadzo lojtnanta na pole, jak już zawiedomiono, przejedzie po polu, wszystko w porządku. I tak nosili do domu workami i chowali jak kto mógł, ale żołnierzów nie balisia, a w drugich wioskach z żołnierzami nie byli zbratawszysia i żołnierze nie puścili nawet na pola wieczorem i we dnia stali i przejmowali i trzęśli i kto niósł odbierali i meldowali lojtnantu i lojtnant karał tych, a nasza wieś nabrała chleba na cały rok za to, że zbratalisia z żołnierzami. Żołnierze jak zobaczo sie to z nas śmiejosia, jak kogo widzieli z workiem na plecach i jak kto młócił, ale powiadajo dla nas wszystko jedno i nasze rodzice głodujó. Jednego razu był sianokos pod jarzynoj i przyszło do nas wojsko na postoj dwutygodniowy, tabor piechoty. I postawili żołnierze wozy niedaleko gumna, gdzie skłádali siano, przychodzo taborowcy do woza coś tam przekłádajo w woze, patrzymy, że wielka butla z wódkaj, my powiadamy swoim żołnierzom, patrzajcie u nich wódka jest, nasze powiadajo szukajcie jakoj posudy, jedyn z nas poleciał z domu wiadro przyniósł i zaraz tylko taborowcy odeszli jeden chłop i żołnierz wpakowalisia do woza i nalali wódki z butla cało wiadro i przynieśli do gumna i zaczęli pić z wiadra, ale tak smakowála bo była kminówka i tak niektóre popilisia, że dwa stare poszli do woza, położylisia i leżó prawie jakby nic nie bojasia. Przyszli taborowcy i powiedajo czego tu leżycie, a oni nic nie dbajo, jeden podchodzi i patrzy na starego podejmuje za głowa i powiada verfluchter ganc i zaraz podoszli do woza patrzajo, mało wódki jest w butli, jedyn poleciał, przywodzi feldfebla, feldfebel powiada, no i co, pocałujcie tego w dupa starego, bo i leży teraz dupa przewróciwszy i pijany i nic nie dba co jemu zrobicie raportem, a stary przewróciłsia na druga strona i leży jakby w swoim domu, potem feldfebel coś powiedział. Taborowcy wzięli starego przenieśli i położyli pod gumno. I tak spędzilim czas do jesieni.

Przy robocie rolnej w jesieni znów przyjechali do wsi Grażuli od nas trzy kilometry, cztery draguny, jedyn oficer i wachmajster i dwóch szeregowych i zrobili kompanja zebrałi naokoło ze wsi czte-

rysta ludzi od lat 14 do 50, kobiet i mężczyzn i chłopaków i dziewcząt i popędzili do lasu Kuklany, od nas 7 kilometrów, tylko jedno było dobrze, że do domu przychodzić na noc i stołowanie dawali suchym prowiantem na cztery dni bochenek chleba, który waży trzy i pół funta i trocha mięsa końskiego i kawy trochi i cukru trochi i mąki, a więcej dają marchwi suchej. My tem rade, że do domu nocować i suchy prowiant, to nas poszło czterech, bratowa i siostra zamężna i niezamężna i ja, to przyniesiesz do domu ugotujesz razem, można podjeść, a chleba nakradli przez lato swego i przeżyli ten rok nienajgorzej i zaczęli Niemcy budować w lesie lesapiłka. Najechało dużo wojska do roboty, a nas zdrowszych postawili drzewo z pnia piłować i do dwóch mężczyzn jednego Niemca. My piłujemy, a Niemiec siekieroj obcina gałęzie, to komu Niemiec popadnie niedobry to duch won nie daj Boże. My we dwóch z wioski, ja i Petkiewicz Piotr lat 55 to my piłowali, a nam dali Niemca co nie umie i siekiera trzymać w rękach, jak weźmie to obcina jeden sęk to godzina czasu i spotnieje i zrobisja mokry to my weźmiemy siekiera od niego i obetniem gałęzie i popiłujem, a on stoi i na nas nie krzyczy, bo my za niego robota robimy, on był z Berlina fryzjer, żadnego razu siekiera w ręku nie trzymał to my tak zdrużyli, że on na nas nic nie mówił, my z nim rozmówilisia, on opowiadał, jak żyjo w Germanji i tak my chodzili codziennie siedem kilometry na robota i z roboty, przez zima zawieje, mrozy wszystko jedno trzeba iść. Wybudowali lesapiłka, rżneli deski, co dobre to odsyłali do Germanji, a co gorsze to na front w okopy i tak marnowali las, drzewo, jak masło i teraz w pobliżu niema drzewa.

J a k j a z d o b y ł e m s o b i e z a r o b k i

Poszłem do lasu na robota, patrze przychodzi jakiś człowiek na robota i przynosi pierścionki narobione z aluminu i sprzedaje Niemcom po marce, ja patrze co to jest, toż można zrobić. Przychodze do domu, biora od snaradu aluminu i też sprobuje zrobić. Całyj wieczór robiłem i zrobiłem i poniosłem jutro do lasu i z chęcio kupili bo był gładszy od tamtego co wczoraj sprzedawał i powiedajo, żebym więcej zrobił. Ja zacząłem robić bolej i zacząłem sprzedawać. Przyjda wieczorem, zapale świeca, bo nafty nie było gdzie kupić, a świec w niemieckiej kantynie było i zarobiłem przez zima 150 marek na pierścionkach, to wtenczas poznaomiłsia dobrze z Niemcami, które byli nad nami i kompanje prowadzili. Ja zawsze miałem pieniądze, jak

tylko święto, to ja do kantyny w Jankiszki, bierze flaszka wódki, ide do nich w Grażuli i zawołam najpierw dwóch żołnierzy do jednego mieszkania bo tam był kolega mój i wypijesz to raz i drugi raz z żołnierzami, a potem nadszedł wachmistrz, a my pili wódka wtenczas ja butelka i żołnierze po butelce i kolega też zaczęli prosić wachmistrza do stołu. On odmawiała, a potem zgodzili się i usiadł do nas i porządnie wypili i dobrze wachmistrz podpił i powiada, ales kamaraden i z tej pory nie trzeba było do kolegi iść wódka pić, ale prosto do wachmistrza.

Jak ja kupił harmonja przy niemcach i uczyłem się
harmonjé reperować

Jak zarobiłem marek na pierścionkach to odrazu poszedł kupić za pięć marek harmonje ze wsi Mirkliszki bardzo marna bo nigdzie lepszych nie było, kto miał to tak pomarnował, tak jak ja do ziemi zakopał, a kto nie zakopał to odrazu jak przyszli niemcy i nie było porządku zabrali, a kto przechował dobra to ten nie sprzedaje i nigdzie kupić nie można, to ja kupiłem marna i zachciał mi wyreperować, zaczął reperować i wyreperował i zaczął grać. Odrazu niemcy proszo wieczorki grać i płaco i wódki dajo, nakarmio, ja poszłem w ruch. Pottrzymałem miesiąc czasu ta harmonja, ida na robotę, tam mnie lubio i z roboty też przychodze zarobek mam, w święto ide grać też dochód mam i wszystkie znajome naokoło, wojska i żandarmerja, która bez przepustki ze wsi nie wypuści, a ja grając, poznałem się i chodził bez żadnej obawy. Z sąsiedniaj wsi było ludzi wypędzonych z pozycyji i miał jedyn harmonja co do tego czasu nie pokazywał a wtenczas mnie powiedział, że ma harmonja dwurzędna pietrohradzka, mało używana, ja powiadam, sprzedaj mów ile chcesz. Trzynastie rubli ruskich, niemieckich 26 marek. Ja poleciał, zobaczył i wpodobał i kupił, dałem co on prosił, zaczął grać na dobrej harmonji a ta sprzedałem i wzięłem 10 marek i 5 marek zarobił.

Jak do nas zawitała nędza 1917 roku

1916 rok przeżyli nienajgorzej bo swego żyta nakradli i niemcy bogatsze byli, a 17 rok latem to już niemcy prosili u nas czarnego chleba, 1915 roku to powiadali na nasz chleb, że od takiego chleba będzie kaput, a pod koniec 17 roku to mówili, że dojeżdżan kaput, niema chleba, jak dasz kawałek czarnego chleba to je, aż jego cholera bierze i powiada gut szmek gezond. Szesnastego roku żyto było odsiejane na jesieni sześć części pola i siedemnastego roku trzeba

było żać i nie urodziło i mało było obsiane, to ludzi nie puścili swoich żać, a kompanja przypędzili i naokoło żniejek stali żołnierze, postawione żebym kłosa nie wzięli, a my którzy chodzili do lasu to nawet nie myśleli o kradzieży i na pola nie wpuszczą zobaczyć i z tego to musi żyć co dostaje na robocie, a co dostajem z roboty to też mniej, niema czego jeść, bo już domowe zakątki wszystkie wyczerpane. U nas była na strychu zrobiona w końcu dachu na dwa metry odstepu zrobiony koniec dachu nowy to jak wejdiesz na strych to nic nie poznasz, na strychu pusto, jak pod ścienoj zrobisz dziure to wleziesz tam dwa metry odstepu pusty koniec to my tam pakowali 16 roku, jak żęli i jeszcze było zrobiona w chlewie druga ściana. Wejdiesz do chlewa, pusty, nic nie poznasz, a tam za ścianoj napakowano worków żyta to już ostatki dojadami.

Jak ostatki dojedli chleba i co w rodzinie zaszło

Tak jak my chodzili na robotę tak i chodzim. 17 roku przyszli żniwa nas na pole swoje nie puścili i zobaczyć, kraść nie dawajo, żołnierzy we wiosce tych niema, żołnierze przychodzą z Ramaszkowa, w dzień i w nocy karaulo, jak tylko złapie to wsadzi do jakiego budynku i zamykajo na pięć dni i jeść nie dajo żadnego razu i człowiek głoduje. To my przed żyta żniwa podnieśli w mieszkaniu awantura. Już trzeba każdemu staraćsia dla siebie, a dla starych rodziców nicht nie chce. Brat kowal chodzi we wiosce do panienki, myśli sie żenić, to co popadnie to niesie do teścia, a w mieszkaniu pusta, dojada sie ostatki. Podpatrzy zamki, gdzie zboża niemieckie w świrnach zesypane i robi klucz idzie z teściem w nocy odemkno i nabioro worki i przynoszo do domu i zostawiajo, tam chleba majo i przedajo i na ubranie umieniajo po cichutku, a w swoim domu niczego nie zostajesia, nie patrzy rodziców, co my przyniesim z kompanji to zje. Jednego dnia usiedli do stołu jeść i zaczęli rozmawiać co będzie, mama powiada tylko już będzie żyta po pudzie na człowieka to brat powiada, jak zjemy to będziemy staraćsia każdy sobie, a ja powiadam, a rodzice skąd wezmo, on powiada co mnie za bieda. Bratowa powiada ja z córkaj przeżyje, bo ona miała 200 rubli złota, przed wojnoj brat szył buty i ojcu nie dawał, to ona nie lękasia głodu. Ja zapłakałem i powiadam, ja rodziców nie opuszcze, wy nicht nie chcecie, odrzekacisia ja nie odrzeknusia i wyszli z za stołu i zaczęli dzielić. Niczego dzielić nie było bo krowa była jedna, a więcej nic. Żyta ostatki rozdzielili po pudu na dusze i zaczęli jeść kto swoje, brat osobno jeden i bratowa z córkaj, siostra też z córka, a my cztery

osoby, ja, siostra młodsza i rodzice. Do pieca wstawiali wszystkie cztery po garnku, później osiem garnków, bo w jednym piecu gotowali. To cała awantura poszła, nienawiść, jeden garnie do swego garnka, a drugi do swego i w piecu ognia mało.

Podchodzi żyta zniwa już do swego pola i nie myślą zachodzić to jakoś przyszła mnie do głowy, że napewno w Grażulach z kompanji pilnują żyto na polu. Ja poszedłem na robotę i pytam swego kolegi, słuchaj ty dowiesz się kto pilnuje żyto na polu naszej wsi, on powiada, dobrze, ja dowiem się na jutro. Przyszedł i powiada, to same nasze, ale cała noc strzelają, żaden cywil w nocy nie wyjdzie. Ja powiadam, to nic my z tobo namłócimy. Ja na jutro nie poszedłem na robotę, poleciał do wsi Starczuny, kupił w kantynie cztery flaszki wódki i poleciał do wsi w pobliżu Józefina pola. Tam jedna kobieta miała krowę, często przedawała masło, kupiłem dwa syry i cztery funty masła. W domu matki było młodych kogutów jednego upiekła. Na jutro zrana jeszcze ciemno, poniósł to wszystko do Grażuli. Zaszedł do Niemców. Oni spali i tylko tam był chłopak lat 13 za sługę. Ja podał to wszystko, cztery funty masła, cztery butelki wódki i dwa syry i koguta smażonego i żywego koguta i 20 jaj i podał chłopakowi i powiedział, że bym powiedział Niemcom, że Walery przyniósł i sam poszedłem na robotę.

Cały dzień pracują, a dusza nie na miejscu, co będzie, może popadnie, a może dobra będzie. Myśle sobie zawsze wachmistrz mówił, że Walery ja tobie zrobisz co ty chcesz. Jak ja zostałem w domu i nie idę na robotę to on mnie dni zapisze i nigdy nie karze i myślę sobie, będzie nie będzie, ale wszystko coś będzie czy dobra czy złe. Przeszło druga godzina odpuścili do domu. Trzeba nam codzień iść do Grażuli za prowiantem. Poszli wszystkie i ja poszedłem, stali wszystkie w szeregu i ja też. Wynieśli żołnierze prowianty, zaczęli dzielić. Jeden żołnierz spojrzał na mnie i jakby uśmiechnął się. Ja stoję, aż mnie podejmuje. Myślę tak, nie będę mówił za co przyniosłem, ale powiem, że będzie pijaństwo. Zaraz rozdzielili prowiant i odchodzimy do domu. Jeden Niemiec, na imię Juluś, palcem kiwa na mnie i powiada, komu hyr. Ja podeszedłem, powiada wachmistrz mówił, że bym szedł do kwatery jego. Ja weszłem, to on powiada, siadaj, siadłem, on pyta na co ty to przyniósł. Ja powiadam ja w niedzielę 40 marek wygrałem w karty teraz chcę pohulać, on powiada gut trynken i sam zaśmiała się. Zaraz za godzinę czasu zasiedli pić. Wachmistrz powiada zawołać

swego kolege. Mój kolega był starowier, na imie Jeremi, zawołali zaraz, jedna i druga butelka wypili, wachmistrz podpiał i powiada, ja wiem co ty chcesz, ty chcesz żyta namłócić to wszystko jedno jutro będziesz młócił tylko starsia jak najwięcej. My będziemy strzelać za ogrodami, a wy idźcie dalej, z żołnierzy nicht oprócz nas nie przejdzie, a cywile będą lękaćsia, bo cywile żebym zobaczyli tobym powiedzieli lojtnantu tobym mnie bieda była, a tak nicht wiedzieć nie będzie.

Na jutro ja nie poszłem na robota, cały dzień spał a w nocy z siostraj poszli do kolegi i on siostra zabrał i zaczęli pracować. Za dwie noce natarli po 35 pudy żyta. W nocy namłóciłem i znosim pod rzeka w krzaki, a we dnie kolegi ojciec jedzie po siano włoży w worki w środek siana i obłóży i wiezie do domu, a potem może w tydzień czasu przenieśli w nocy z kolego do mnie 35 pudów żyta. To ja miał od żyta żniwa chleba aż do zapustów.

Przychodzi 18 rok w marcu ja już chleb kończe i niema gdzie brać, pieniądze jest, ale niema gdzie kupić. To ja słysze co ludzie jado i ido do Litwy, Żmudzi za chlebem i na robota, ja myślę trzeba i mnie inaczej nic nie będzie. Poszłem do kumpanji i powiadam, co robić, chleba niema, niektóre jado do Żmudzi i przywożo, ja myślę jechać, oni powiadajo nam powiedziano nikogo nie puskać, ale ciebie puścim, jedź. Co zrobić, trzeba staraćsia. Oni puścili jechać, ale jak zajechać przepustki niema, żandarmy wrócą i sam nie wiem, jak to zrobić czy jechać czy nie, ale choćby przepaść, musowo jechać. Poszłem na stacyja, zabrałem ze sobaj harmonja, wpakowałemsia do wagonu i pojechałem szczęśliwa. Jakoś wyszło bardzo dobrze, zajechałem do Nowo-Święcian a w Nowo-Święcianach już szedł wagon roboczy kolejarski, ja też wpakowałemsia jako kolejarz z harmonijaj. Wszystkie proszą grać, ja zaczęłem grać i poznałemsia z ludźmi i przyznałemsia, że jade w polu wiatr szukać i bez przepustki i bez biletu. Wtenczas mnie jeden oddał swój bilet i powiada, mnie pytać nie będą, bo jedyn konduktor znajomy, a ciebie kiedy zapyta to pokażesz, ale na szczęście nikt w kolejarskim wagonie nie pytał. Tak ja zajechał aż do miasteczka Uciany. To już była Litwa. Tam mnie ludzie ze sobaj zaprowadzili do Niemiec i niemcy przyjęli na robota swoja jedzenie, po dwie marki 20 groszy dziennie. I stałem ja na kolei pracować. Poszło mi dobrze, ja powiedział, że moga w kuźni robić to wzięli do kuźni.

J a k d ł u g o p r a c o w a ł e m w k u ż n i

Popracowałem w kuźni półtora miesiąca, a w kuźni był kowal niemiec i ja i drugi roboty. Podchodzi 1918 roku święto wielkanocna. Dla mnie jest nienajgorzej, jabym tam mógł żyć, chleba kupić jest gdzie ale bieda jak z rodzicami w domu i jak im zawieźć chleba. Pociągami nie można, żandarmerja odbiera. Przyszłem z roboty i poszłem do stacji wieczorom zobaczyć. Patrze grajo w karty, ładnie zobaczyć, można wygrać dużo, daj i ja zaprobuję. Pograłem trochę i przegrałem, gram dalej, jeszcze przegrałem. Szkoda pieniędzy rzucać, miałem 45 rubli i przegrałem co do grosza i na jutro nie mam czego jeść. Dobrze, że był kolega z naszoj strony to dwa tygodnie karmił mnie. Co zrobić? Na święto trzeba do domu odwieźć chleba. Pieniędzy niema i zboża niema. Przedałem harmonja i wziąłem 15 rubli i 3 pudy żyta i przedałem buty i wziąłem trzy pudy grochu i trzy pudy żyta. Mam 15 rubli i dziewięć pudy zboża i poprosiłem swego kowala, jak to skombinować zajechać do Nowo-Święcian i to zboże zawieźć. On powiada, jak zrobić, pójdiesz z roboty na kwatęra i przynosź zboże wieczorem. Ja poszłem na kwatęra zabrałem trzy pudy i przyniosłem, ale dość ciężko było. Kwatęra była półtora kilometry, to ja trzy razy chodziłem. Wieczorem mnie pomógł niemiec do wagonu załadować i poprosił sam konduktora, żebym mnie i zboże zawiózł do Nowo-Święcian. To ja zajechałem do Nowo-Święcian bez żadnoj obawy. Z Nowo-Święcian wpakowaliśmy do wojskowego pociągu i nicht mnie nie ruszył. Przyjechałem na swoja stacyja wyładowaliśmy i tam miałem jedna kilometra drogi nosić. Przychodza do domu — ojciec jest chory na tyfus plamisty, żebym ojciec był zdrów to i dobrze byłoby. Ojciec zachorował przed Niedzielą Palmową, a ja przyjechał w Wielki wtorek. Ojciec pochorował i umar w Wielka Sobota 1918 roku w kwietniu. Zaraz na porzeb upiekli z tego żyta chleba i grochu nagotowali i zrobili po ojcu żalobny obiad.

Święto odbył w domu. Poszłem powiedzieć do kumpanji, gdzie ja był i opowiedział Niemcam. Oni powiadajo, słuchaj ty nie jedź na robota, my powiemy rytmajstru to on da przepustke dla was, żebym wy mogli przewieźć na cała rodzina zboża, tylko trzeba wiedzieć gdzie. Ja opowiedział gdzie to można kupić zboże, od nas 150 kilometrów na Żmudzi, miasteczka Troszkuny. Oni spisali adres i za trzy dni przynieśli przepustka i my pojechali z kolegom Jerimiejem. Przywieźli po dziesięć pudów i wtenczas ja zostałem w domu, a do lasu na robota nie poszli, bo Niemcy poszli dalej, bo rosiejskie rzucili

front i niemcy poszli do Rosji. Las nie trzeba było rąbać, a nasza kumpanja poszła pod Postawy koleja reperować, gdzie byli okopy. To my dwa miesiące porobili na kolei i nasza kompanja odprawili do domu, a niemców zostalosią mało na jakich pięć wiosek jedyn za komendanta. To nam swoboda była, nie trzeba było przepustek nigdzie.

I przyszło żyta żniwa to już my sami żęli, tylko, że mało było zasiana i brat starszy wróciłsią z wojny i brat kowal ożeniłsią z toj samoj co kochausiā w swojaj wsi i zżali żyta i podzielili na trzy doli, bratu z żonaj i drugi brat z żonaj i ja z siostraj i mamusiāj trzeci podzielili po osiem pudy na chleb nie było czego tylko odsieić pola, a cały rok bez chleba trzeba było żyć. Nicht ni o czym nie mówił, jak tylko o chlebie, bo już niemcy poszli dalej, żadnego zrywku niemiā i kupić niemiā gdzie. To jeszcze do jesieni jakoś przeżyli, a w jesieni niemcy wystąpili z naszego kraju. My zostaliśiā goli i bosi i głodny i zawitał do nas czysty głód. Tak żyli, trawę jedli i mech jedli, dużo kto umarł z głodu i dużo kto był spuchnięty. Ja sam miał piersi spuchnięte od braku żywności. Jakich 20 razy chodził na piechota do Litwy za chlebom i przynosił po półtora puda i po dwa pudy na plecach. To tak działo się do 1919 roku. Do żyta żniwa niemcy wyszli, przyszli bolszewicy i pobyli do wiosny.

Wiesnowaj poraj bolszewików polacy wypędzili. Też bieda u nas. Kto miał konia to zabrali i wozy zabrali jak uciekali, a potem jak bolszewiki pędzili polaków też polacy nasz naród nie żalowali ludziej. U kogo zabrali konia, u kogo wóz, u kogo chleb zabrali, u kogo buty zdarli i pieniądze. U mnie też buty zdarli z nóg i 500 rubli rosiejskich i 200 złotych polskich. Odstępowali polacy i przyszli do mieszkania dwa żołnierze i powiadajo, zbierajsiā, nakładaj buty, pójdziesz z nami, co my młodych nie zostawim. Ja zabrałemiśiā i oni dali szyneli nieść. I przeszli pięć kilometrów, zaszli do wioski i tam żołnierzów jest dużo. Na drodze powiadajo, rozzuwaj buty. Ja nie rozzuwał. Oni karabiny nastawili i powiadajo, rozzuwaj, a to zaraz będziesz trupom. Ja rozzułem. Jedyn zabrał ode mnie buty, a drugi podszedł, przeszukał mnie kieszenie i zabrał te pieniądze i powiadajo nieś dalej płaszcz. Później na mnie powiadajo, idź do domu, a zabrali jeszcze dwóch ludzi. Ja przyszedłem do domu bosi i goły i za godzina czasu przyszli znów bolszewicy do nas, a ja ani grosza nimam i bosi chodze. Jak polacy przyszli to dawali niektórym mąki i kar-

tofli, ale czy to nam popadło, dostali bogatsze, a my co, nic, na nas zapomnieli. Dostał jakiś organista, komu nie trzeba było.

I tak zeszedł czas życia mego młodego w biedzie nędzy i trudzie.

Teraz opisze o swojej rodzinie

Jak brat powrócił z wojny to my rozdzielili ziemia dziesięć dziesięcin na trzy części i ostatnia siostra wydali zamąż i oddali na posag ostatnia krowa. Ja zostałem z mamoj, bracia obydwaj kupili sobie krowy, ja nie miał krowy, a więcej dzielić nie było czego. Co tyczysia do budynku to rozdzielili, bratu świran, a drugiemu wazrywnia, a mnie stara chata kurna. Ja natychmiast zrobił komin i włożył podłoga, w której teraz żyja. Bardzo stara moza postaramsia nowa.

Teraz opisze jak ojciec zmarł na tyfus

To zachorowała najprzód siostra, chorowała cztery tygodni. Poszli my do Poniewieży z siostrą za chlebom. Tam była siostra nasza co mieszkała wojnaj razem z mężem. Jak mąż powrócił z plenu z Niemiec to poszedł z siostrą do Litwy i tam zamieszkał. To my poszli do nich, kupili zboża i przynieśli na plecach do domu. Siostra ledwie przyszła, zachorowała na gorączka w drodze, dowlukłasia do domu i w domu odleżała cztery tygodni. Zaczęła siostra Marysia wyzdrowieć, jeść bardzo chciała niema czego. Ja musze iść za chlebom do Litwy. Poszłem na piechota, zaszłem aż do siostry miasteczka Suboczy, powiatu Poniewież, tam kupiłem dwa pudy żyta i zabrałem jedzenia. Puściliśmy w droga, znalazłem po drodze więcej naszych ludzi do swojej kompanji. Jedna doba przemaszerał, zaszli przenocować. Tam z naszaj wsi przyszedł człowiek z rodziną żyć. Rzucił dom i przyszedł do Litwy i żył tam. To my u niego przenocowaliśmy bo Litwini nie chco puskać, bo syty głodnemu nigdy nie poda. To my tam przenocowaliśmy. Nas było czterech i na jutro poszli dalej. Dotarli do miasteczka Wizuni, pod miasteczkiem Wielka Wieś poszli prosić nocować. Nicht nie puska. W jednaj chacie powiadają, nocujecie, kiedy nie lękacisia, bo u nas chorują na tyfus. My powiadamy niczego my nie lękamysia i zanocowaliśmy. Nam słomy przynieśli i na ziemi w chacie przespaliśmy, bo podłogi nie było. Jakoś w nocy zaczęło być zimno, na poranku wstałem, głowa jak nalita czego i kości boło. Ja myślę, że z drogi i zmęczenia. Cały dzień szedłem, co dalej to gorzej, a na drugi dzień jeszcze gorzej, a na

czwarty dzień musiałem być w domu. Ale nie doszedłem 28 kilometrów do domu i musiałem się w jednej wiosce położyć, a tych które szli ze mną razem poprosiłem, żebym w moim domu zawiedomili, że ja zachorowałem. I została w wiosce Dzikiny pod Ignalinom. To dobrze, że gospodynia nie poznała, że ja jestem chory. Ja zaszłem do jednego domu i proszę, żeby puścili postawić moją zboża i mnie pobyć dwa dni, a te ludzie powiedzieli w domu, że mnie ciężko nieść to przyjdzie siostra pomoże. Ona zgodziła się i puściła i powiada tylko starsza potrafić rozmawiać z moim mężem, jak przyjdzie z pola, bo jak nieraz było i niejednego wypędził, on bardzo taki poprostu durnowaty nie daj Boże z nim żyć. Ja powiadam będę starać się, a sam myślę żebym prędzej położyć. Gospodynia jakoś zauważyła, że mnie coś na twarzy malujesz, myślała, że ja zmordowawszysia w drodze i powiada na mnie, rozdzić się, położyć na łóżko i spocznicia. Ja rad co ona tak powiedziała, prędzej rozdzić się, jak położyła to cała mieszkanie kręć się. Ja przyszedłem o godzinie drugiej, poleżałem do czwartej o czwartej przyszedł gospodarz, wszedł i patrzy na mnie. Ona po litewsku powiada, że zaszedł człowiek spocznąć, ja zaraz wstaję i powiadam, dzień dobry gospodarzu, a on warknął pod nos i robi papierosa, ja wybieram z pod ławy swój worek i dostaję tytoniu samosiejki, bo ja niosłem z Litwy do domu na zarobek pięć funty listów i bierę garść listów i daje jemu. On zaśmiał się i zrobił się wieselszy, a żona jego za to zaraz wie, że można skorzystać i powiada, że ten człowiek młody prosić się nocować. On wesoły patrzy na tytoń i powiada, niech sobie nocuje i zrobił papierosa, zapalił i poszedł na podwórze, a gospodyni powiada na mnie dobrze, że dałeś tytoniu, a ja tym razem zaczęła mówić o noczku, zauważyła, że on jest w dobrym humorze to można skorzystać, a tak mógłby wypędzić, a teraz będziesz nocować. Ja nie przyznaję się jeszcze, że jestem chory, ona mnie posłała pościel na łóżku przy drzwiach, ja położyłem, udaję jakbym był zmordowany po drodze wielką i na sobie niosłem dwa pudy zboża. I położyłem się i zaczęłem sapać jakbym spał, żebym oni do mnie nie mówili. Cała noc nie zasnąłem jakbym jaka muzyka gra i piszczy i zwoni, w oczach wszystko wydaję się. Przebyłem całą noc, trzeba wstawać, nie mogą. Gospodarz poszedł do roboty gospodyni w domu pyta może macie co zgotować jeść. Ja powiadam, nie chcę jeść, a ona popatrzyła na mnie jakby chciała coś mówić.

J a k g o s p o d y n i p o z n a ła , ż e j a c h o r y

Ja wstał z łóżka, myślę, pójde na podwórz, a głowa mnie wodzi w strona, ale w mieszkaniu jakoś trzymałemsia, żeby gospodyni nie poznała. Wyszłem w sieni, zaczęłem trzymaćsia za ścianę, żeby nie obwalićsia na podwórzu. Gospodynia poznała co mnie jest. Jak ja poszłem na podwórz to ona przez wokno patrzyła i zauważyła, że ja za ścianę trzymam, powróciłem z podwórza, weszłem do mieszkania, gospodyni powiada po litewsku gal tu sargas ta us bus szyleinia. Ja powiadam, nie wiem, głowa mnie boli. Ja widziałam co ty za ścianę trzymasz, tobie będzie gorączka, połóżsia na łóżko, nie chodź. Ja powiadam, mnie pićsie chce czego kwaśnego. Ona przyniosła od buraków kwasa chłodnego, ja wypił zaledwie kwartu i położyłemsia do łóżka. Przeleżałem dwa dni. Na trzeci dzień pod wieczór przychodzi moje dwie siostry ta co chorowała na gorączki i starsza zamężna i powiadają, żebym można byłob przyjechać tobym szwagier przyjechał, ale teraz bolszewiki ucikają, konie bioro, powiadają jakieś poloki przyjdo, ale jeszcze niema to nie można jechać, bo koń schowany. Może jakoś ciebie zaprowadzim, a kiedy nie zdołasz to będziesz leżał póki ospokoisia. Ja podniosłemsie z łóżka. Jak siostry przyszły oni przynieśli tam czego zjeść, ja nie mogłem jeść, wszystko było gorzko, raptownie ze mnie jak dała z nosa i z gęby krew. Może wyszło ze dwa garncy i wtenczas mnie słabo zrobiłosia i zasnąłem i cała noc przespał, bo trzy noce ni na włos nie zasnąłem. Na jutro obudziłemsie, jakoś czuje dużo lepiej, głowa nie tak boli i myślę, wszystko jedno pójde do domu. Oni dają mnie jeść, ja nie chcem i pożegnałemsie z gospodynią. Siostry zabrali mój chotomek, ja poszedł wolny 28 kilometrów. Ledwie dociągnuła do domu, jak położyłsia i 25 dni z łóżka nie wstawał. Tymczasem przyszli polocy, bolszewicy uciekli.

To było 1919 roku. Wiesnowaj poraj zacząłem chodzić wszystko jedno, jak pijany, a jeść niema czego. Grochowe krupy i chleb z mechom. Mech stłuczony i do chleba na połowa włożony. Jeść nienajgorzej, nie jest stretny, ale w piersiach i na siercu niezdrawa, to ja troszeczek odzdrowiał.

Polacy zaczęli wydawać przepustki do Litwy chociaż ona w Litwie była nieważna i trzeba było chowaćsia od litewskiej policji i niektórych ludzi. To ja namówił swego szwagra, a miał konia i pojedchali i jeszcze jedyn sąsiad na dwie podwoły. Zajechali do miasteczka Subocz. Ona leży za Świętoj rzekoj i od nas jadąc trzeba

przejeżdżać przez rzeka Święta, to najgorszy interes, gdzie można przejechać tam stoją policyja i cywili i odbirają zboże, nie dają wywozić z Litwy, to trzeba przejechać kradkiem. Przód byli w Litwie bolszewicy, jak tutaj przyszli polacy, to tam litwini wypędzili bolszewików. To nakupili zboże na dwie podwoje 40 pudy i wyjechali z miasteczka Subocz. Z prawej strony miasteczko Wieszenty zostawili i Androniszki z lewej strony, miasteczko Sężymani i Swiedosy, Święta rzeka przejechali, przy majątku Piliszki, potem zostawili miasteczko Debejki z prawej strony, a z lewej strony Wizuni, dalej z prawej miasteczko Saluny, gdzie szosa przetacza od Wołkominierza do Nowo Aleksandrowa, a z lewej strony miasteczko Uciany i przejechali do miasteczka Kukuciszki. Tam już byli polacy.

To my tak jechali. Ja szedłem naprzód i pytałem, gdzie można minąć miasteczki i gdzie odbierają zboże to niektóre dobrze powiedzą, a niektóre żeby nas prędzej złapali to jednemu i dwóm i trzem wierzyć nie można, trzeba pytać więcej, to ja naprzód całą drogą szedłem i pytałem, jak tylko nie można jechać to zawracamy w drugą stronę i tak krążyli dopóki nie przyjechali do Kukuciszek, a z Kukuciszek swobodnie przyjechali do domu. I ten czas wystarczyło chleba do swego żyta żniwa.

Było posiana trzy pudy żyta, nażęli dziesięć kopów, namłócili 40 pudy żyta. Posiałem wiesnową porą 18 funtów grochu, namłóciłem 14 pudy, gdyż wtenczas była uroda, że nikt ze starych nie pamiętał. Na jesieni, jak spominałem siostra oddali zamąż i rozdzielili budynki. Stali żyć kto sobie. Ja zostałem tylko z mamusiej. Ziemia rozdzielili na trzy części. Ja swoją część odsiałem żytami i na wiosną jarzyną. Kupiłem troje prosiaków i posłem z kolegą na robotę domy budować.

Teraz opiszę, jak ja kupiłem harmonję i jak
nażyłem kawał pieniędzy

Bo ta harmonja pisałem, że przehandlowałem i byłem cały czas bez harmonji. 1919 roku Niemcy poszli do Rosji i nasza kompanja poszła naprawiać koleja. Ja jak jeździłem na robotę w Jerewie poznałem się z jednym Niemcem kolejarzem, który jeździł po froncie małą maszynką, która chodzi dynaturą i naprzód dostałem butelkę, a potem zawiozłem jemu trzy funty masła i 20 jaj, to on powiedział przyjechać z wozem i wielką posudą, to dam tobie dużo. Ja u sąsiada poprosiłem konia, bo u nas nie było i w niedzielę pojechałem do stacji. On mnie nalał 8 pudów w trzy butle. Ja

przywiozłem i zaczęłem przerabiać wódka z bynzoli. Weźmiesz do garnka nalejesz dynatura, a potem wody i zapalisz. Wypalisia z wierzchu gadość, a zostajesia czysty spirt. Ten czysty spirt rozprowadzisz z gotowanej wodoj i można wódka pić. To tak niemcy nauczyli. Ja tenczas duża zarobił piniędzy i kupiłem harmonja. Zapłaciłem 350 rubli za trzechrzędna. I zaczęłem grać we dwóch z klarnetem i bardzo ładnie było.

Niemcy z Grażul wyjechali i my nie wiedzieli gdzie. W jedna niedziela przyjeżdża wozem cywilnem do nas niemiec, ten co ja mówiłem Juluś my patrzyma skąd nabrałsia. On powiada, ja teraz 20 kilometrów stąd, wieś Lewonowiczy, ja przebywam z jednym sierżantem, sierżant za gospodarza i komendanta i ja do niego przydzielony, ja mówiłem, że byłem z dwoma cywilami dobrze i bardzo wesele chłopcy, to on powiedział, żeby was zaprosić na gościny, to ja przyjechał dzisiaj, a wy na druga niedziela żebym byli w Lewonowiczach. Tak ja jego uczyłował tej wódkaj. On powiada, bardzo dobra, jak przyjdiesz to przynies tej wódki, bo mój sierżant bardzo lubi wódka, wypije trzy butelki naraz i niepijany, ale zdrowy, gruby jedyn jego palec, jak moje dwa. Ja na druga niedziela z kolego Jeremim zrobili wódki, mało rozprowadzili żywy spirt, tylko zafarbowali czerwono i dwie butelki z lepszej jedyn litr mocnaj. Ponieśli ze soboj i poszli w gościnu. Prawda co człowiek zdrowy to zdrowy, zaprosił nas do stołu i postawił mięso, masło i jajek i chleb dobry, marmeladu, wszystkiego butelka dobraj wódki i powiada, majn kameraden. Wypili ta wódka. Juluś powiada, dawaj Waler swoja. Ja postawiłem gorsza. Wypili jedna butelka. Teraz trzeba mocnaj. Powiada on, pije jak woda. Nalili jemu mocnaj, on wypił i powiada, dobrze, ale nie zmarszczyłsia, nalili Julusiowi ten ledwie przyszedł do siebie i kolega Jeremij powiada, naleim jemu, co dobrze zrobił. Nalili dla mnie, ja ledwo powietrze złapałem, a sierżant nie morszyczyłsia. Wypił on trzy i zaczęło jego rozbiierać, a potem jak oszalał, jak weźmi kucharka za włosy i pałkoj po dupie i powiada, ty mnie wierzysz, ciąga po mieszkaniu i wali pałkoj. Jak wyrwiosia ta kucharka to my myśleli nam wszystkim tak będzie, ale przyczepiłsia do lampy, jak dał pałkaj po lampie, a Juluś widzi, że nic nie będzie, oszalał, pałka schwycił i przez drzwi. On tenczas do nas że i blochi podochli. Ale on powiada, towarzyszy moja, będzim spać razem. Potym odeszedł od nas, jak da kułakiem po stłuczonej lampie, obił palcy, krew idzie i stojo okny podwójne i jak da nogami. Stłukł wszystkie. Potym gramofon rozbił, wszystko bije o nic nie patrzy.

My widzimy, że nam gościom niemiejscu, harmonja wystawili za okno, a sami pomalutku z mieszkania, a Julusia niema. I zabrali harmonje i chodu do domu z gości, a na drugo niedziela przyjechali do nas jeszcze palcy obwiązane i powiada, ja na wojnie w życiu żadnego razu nie był taki, czemu wy uciekali. Powiadamy lękałisia, żeby nam nie popadło nic. Ja za godzina czasu rzuciłem na podłoga i spałem aż do jutra.

Teraz 1920 roku w jesieni powołują mnie do wojska polskiego dewizji Białoruskiej Środkowej Litwy. Ja idę do księdza, wybieram metryka, jaki mój rocznik, 1898, a więc podlega poborowi. Ksiądz w Hoduciszkach zawodowy litwin, powiada na mnie nie idź, poczekaj, może przyjdzie Litwa, ja usłuchałem jego i nie poszedłem.

Przebyłem do 1921 roku. Pojechałem raz na wesele grać, przyszła policja i zabrała z wesela do wojska. Grałem ja na weselu we wsi Jankowicze tylko nasz przywieźli jeszcze nie dali jeść i nie pokoszowali bułek i wódki, zaraz okrążyli mieszkanie i zabrali nas ośmiu poborowców i popędzili do gminy. Zestawili do szeregu i pyta jedyn policjant, czy poborowiec? Ja powiadam nie, a on mnie czmach w morda, znów pyta, poborowiec? Ja powiadam, poborowiec. Poszedł do drugiego i każdemu tak reznął w morda. Odprawili nas do P. K. U. w Święciany i przydzielili z drugiego P. A. P. do drugiej dywizji białoruskiej w Wilnie.

Mamusia została jedna w domu. Ja jestem żołnierzom i staramsia o dobra opinja. Ze Święcjan poprowadzili pod konwojem aż do Wilna do pułkowej kadry na ulice Lwowska. Tam kapitan kadry Kaczanowski rozpatrzył nasze ewidencje i znalazł napisane z P. K. U. pułk karny raport, nas czterech ukarać karnym ćwiczeniem za to, że nie stawilisia na czas poboru. To kapitan wsadził na drugi dzień do aresztu garnizonowego na siedem dni. Odsiedziałem siedem dni w areszcie i powróciłem do kadry. Poszedłem na ćwiczenia. Ćwiczenie odrazu niedobre było, jak człowiek nieprzyzwyczajony, a potem łatwiej poszło, tylko jedzenie niedobra było, bo funt z ćwierciaj tylko chleba dziennie i zupa, jak woda. Z cywila nóg nie można było ciągnąć ze słabości i ja myślę, co zrobić, żebym ja zapisałsia krawcem w P. K. U. to ja zapisałsia szewcem, ale dużo szewców jest to tak rozmawiali my z jednym też rekrutam Zwerełaj, siedząc na dziedzińcu podczas obiadu. Ten powiada na mnie, a co ty umiesz szyć. Ja powiadam, umiem troszeczkę. Ja faktycznie nie umiałem szyć, ale coś trzeba powiedzieć, co umiem. Ja nic nie myślałem, że z tego coś wyjdzie. Na trzeci dzień wychodzi podczas obiadu plutonowy, co

pełni funkcyja szefostwa i pyta żołnierzków kto jest z was krawcem. Podskakuje na nogi Zwereła i powiada tutaj jest Walery z rekrutów, on mnie powiadał, że jest krawcom. Plutonowy powiada natychmiast przyprowadzić tutaj. Przylatuje do mnie Zwereło i powiada, natychmiast zameldować się do szefa do mieszkania jego. Ja myślę co takiego i polecałem.

Jak wyrobiłem się krawcem wojskowym

Zaraz zameldowaliśmy do szefa. Szef mi powiada ty jesteś krawcem, ja zdytonowałem i nie mogłem mówić i powiadam, ja troszeczkę znam robota krawiecka, ale dobrym krawcem to nie jestem. On powiada tutaj robota niewielka, trzeba rękawy mundura załatać i patki do kołnierza zmienić. Ja pomyślałem, to ja zrobię i powiadam, panie szefie, ja teraz igły nie mam. On daje mi pięć marek i powiada, idź na Kalwaryjska ulica i kup nici i igła i przyjdiesz. Nie pójdziesz na ćwiczenia i zrobisz to mnie wszystko. Ja zabrałem pięć marek i poszedłem kupić to wszystko, ja jeszcze byłem w cywilnym ubraniu, poszedłem jak cywil nic nie mam w głowie jak to przyjdzie zrobić, kupiłem nici, igła i napastrók i przychodzę do szefa. On mi daje mundur i zacząłem robić. Moje ręce trzesosia, napastrók z palca spada i bierze mnie strach, szef powiada, zauważywszy, że ja dytunujesz nic śmiało usiąść tutaj na ławce i rób pomalutku nie spiesz się tylko dobrze zrób i sam poszedł, ja zostaliśmy jedyn. Chociaż ja nie byłem krawcem, ale ta robota poradziłem dobrze zrobić skończyłem i poszedłem na plac ćwiczeń, zameldowałem, że jest gotowa i wstąpiłem do szeregu. Na jutro po obiedzie znów woła mnie do podoficerów i drugi plutonowy Urbański dobry i instruktor na ćwiczenia, który nas zawsze ćwiczy daje też mundur przeprawić kołnierz na stojący i patki nowe naszyć i spodni sporządkować. Ja to też zrobiłem. I kapral Drabalski też dał roboty, kapral Jasica też dał roboty, ale ta robota wszystko reperacje, nowego nic nie było, robota ręczna to ja potrafił zrobić i wszystka szarża stała mnie znajoma, wzięli na mnie dobra oko. W nocy przegląd nóg czy czyste, kogo nieczyste to pędzają je myć do studni, ale mało patrzą czy czyste czy nieczyste, a mnie pośle tej roboty nie budzą i na ćwiczeniach co nie tak zrobię też nie karają i mnie poszła służba inaczej, jak innym, zamiatać nie pędzą i kartofle do kuchni obierać nie pędzą też i do rozmaitej roboty nawet starego żołnierza weźmą do roboty, a ja rekrut zostaje.

Jednego dnia zawołuje plutonowy, Walery, powiada masz mnie spodni zrobić kloszowe z tego płaszczu. Ja powiadam, że niebardzo umiem, a on mówi, nie, zrobisz, niema co mnie mówić, ja powiadam, że maszyny niema, a on powiada, że ja dostana na dziedzińcu u stróżowej i bierz ten płaszcz, rozpruj i zrobisz mnie spodnie alianckie kloszowe. Co zrobić w wojsku odpowiadać duża nie będziesz, rozkaz i już. Zabrałem płaszcz, rozprułem, posłem do tej gospodyni, położyłem na stół, wyprasowałem, gospodynia powiada, że ja nie po krawiecku prasuje, ja powiadam, że ja u wieskowego krawca mało uczyłem się para tygodni, to też niebardzo umiem, ona powierzyła i mnie pouczyła. Ja rad tej biedaj i przyszykowałem do krojki i położyłem na stole i powiadam gospodyni, że ja niebardzo umiem kroić to ona powiada, żeby co damskoho to ja pouczyła, a męski też nie umiem, to kiedy nie umiesz to powieć im, że nie zrobisz. Ja myślę to nie racja, bo ja łaskę strace i będę ostatnim żołnierzem. Tylko z gospodyniam przemówili ona odeszła ode mnie, jakoś mnie przeleciała myśl po głowie co robić, ja odrazu zerwałem się na nogi i posłem do szefa i powiadam, że mnie trzeba pójść na ulica Kalwaryjska i kupić sientimetra i nici i kredy. On dał mnie pieniądze, ja natychmiast polecał, to wszystko kupiłem i przyniosłem do kwatery i myślę, zdjąć teraz swoje spodni i zmierzyć krok, bo to mnie ważna sprawa, krok w dole to nie bieda i bojesia, żeby gospodyni nie nadeszła, bo będzie styd że krawiec swoje spodni zdymuje to śmiech. Ja wzięłem ołówek i papier i polecałem do odchódka tam zniałem sobie spodnie i zrobiłem plan, po swojemu zmierzyłem sientimetroy i plan był. Przyszłem do gospodyni, rozesałem płaszcz na stole i po tej mierze wykroiłem i uszyłem spodnie chociaż na maszynie niebardzo odrazu szło doskonale, ale potem nie z biedoj. Udalisia bardzo dobre spodni i dostałem od szefa morus i tak dzień ode dnia posłem, jak po drabinie polazłem w górę a codziennie nowych rekrutów przypędzają, jak ja przyszedł to nas było 25 ludzi, a za miesiąc czasu stało 250 to nam kwatery zrobiłasia zamała to nas przerzucili na Antokol w góry i pomieścili w stajniach, gdzie zrobiono dla koni to my byli trzy miesiący. Tam okazałasia dobrych krawców i zaczęli przerabiać ubrania podoficerowie, bo ich napędzili z Górnego Śląska, które odbierali Śląsk to jak tam uspokoiłasia rozrzucili po wszystkich pułkach, ja poznałem się z jednym policjantem na Antokolu, jego żona miała maszyna to chodziłem do niego szyć na maszynie, a inne krawce chociaż lepsze ode mnie, ale nie mieli gdzie szyć i chodzili i prosili mnie, żebym którego wziął z sobą, to ja powiadam szefu, że

ja jedyn nie zdąże ta robota zrobić, to on powiada weź sobie jednego krawca do pomocy. Ja wybieram i poprowadziłem, daje jemu ta robota robić, której ja nie umiem i uczusia od niego, a on nic nie wie i robi, a ja na tym korzystam. On robi, a ja nauczesia i jemu łaska robie, że go biere, pracować i mnie dobrze to co ja zauważyłem i tak nauczyłemsia szyć.

A potem jeszcze przychodzi jedna funkcyja dla mnie. Zwalnia sie fryzjer do cywila jest kadrowa kupione maszynki i wszystkie narzędzia do golenia i do strzyżenia, wzywa szef mnie i powiada, Walery, powiedz kto tu jest fryzjerem, ja powiadam, że nie słychać nikogo, ale mniejuwięcej kto może, ja myślę to ja moge strzyc i ogolić nie tak jak zawodowy fryzjer, no to dobrze, idź do kancelarji, tam tobie wydadzo wszystkie narzędzia i będziesz fryzjerem u kadry, a każdy będzie płacić pięć marek i będziesz zapisywał do kajetu i kto niema też będziesz zapisywał to będą wytrącone z żołdu, za te pięć marek będziesz kupować do fryzjerni wszystko, a kto więcej da to twoja szczęścia. Ja ide do kancelarji, po drodze wzięłem pałeczke do rąk i uczesia jak to brzytew ostrzyć, poszłem, otrzymałem cała fryzjerna, przyniosłem do koszar, złożyłem do skrzynki i z tej pory zacząłem golić i włosy obcinać i zacząłem zarabiać na funt chleba. Potem do jednego kaprala przychodził jeden fryzjer z miasta to jak przyjdzie to kapral woła na mnie z brzytew i jak on go goli ja patrze i uczesia i byłem fryzjerem do zwolnienia. Jak nasza kadra rozformiowali po baterjam to ja popadłem do drugiej baterji, ona stała za Wilnoj przy Kalwarji i nas wyprawili z Wilna do baterji i jak nas rozbiwali to ogniomistrz Mironowski powiada, że musisz zdać fryzjerskie narzędzia do kancelarji, ja powiadam, że sztabowy nic nie mówił, a on, ja ci mówie, ja mówie dobrze, ja zapytam porucznika, on mówi na co ci porucznik, kiedy ja mówie to musisz zdać i koniec. Ja odchodze od niego i myślę co to jest, napewno chce on dla siebie, podchodze do porucznika i melduje gdzie ja mam podziać te narzędzia fryzjerskie, porucznik powiada, trzymaj przy sobie. Acha ja myślę sobie, ja nie dam Mironowskiemu i zaraz wstąpiłem do szeregu i poprowadzili do baterji i narzędzia zabrałem z soboj i byli już wieczorem w baterji. Na jutro poszli na ćwiczenia pieszej musztry i dwie godziny na wykłady do działu konnej jazdy. Ja też poszłem jeden dzień i drugi dzień, na trzeci dzień po obiedzie nas świeżych przy kancelarji zrobili przegląd omundurowanie co kto fasował. W baterji był szefem plutonowy Reder niemiec, pytasia mnie, kanonier Walery co fasował, ja powiadam dwa ręczniki do fry-

zjerni, co, co ja powiadam dwa ręczniki do fryzjerni, a co ty jesteś fryzjer, tak jest, masz narzędzia, mam, przynieś tutaj. Ja poleciałem i przyniosłem narzędzia, szef zobaczył i powiada, panie poruczniku będziemy mieli fryzjera w baterji dobrze, aż zaśmiał się. Na jutro dali mnie jednemu kwatery i urządzili fryzjernia i zostaliśmy fryzjerom. Miesiąc czasu nigdzie nie chodziłem ni na ćwiczenia, potem porucznik powiada, że muszę chodzić na ćwiczenia, a tylko w niedzielę golić, to ja znów poszedłem na ćwiczenia, ale mnie to nie podobalo się, ja myśle okazać się krawcem to mi nic nie pomoże, bo dwa krawcy jest, a szewc jeden i jest jesień, a żołnierzy chodzą z podartymi butami, więc ja okazuję się szewcom, to wtenczas przenoszą mnie z tego mieszkania do oddziału sztabowego, dwóch krawców jeden szewc i jeden zbrojmistrz i jeden rymarz i jeden kapral obmundurowy. Razem będę golił i buty reperował i znów na ćwiczenie nie poszedł. Od krawców uczę się szyć chociaż u nich maszyny nie było, ale wszystko ja czego nauczyłem się.

Żył ja od jesieni aż do marca miesiąca na oddziale sztabowym.

Jak ja w marcu okryłem się sławoj od dowódcy baterji porucznika szagona

W marcu miesiącu na imieniny Piłsudskiego szykuje się defilada wielka i chce każdy oddział jak najładniej ubrać koni i siodła, jak kto może, to nasz dowódca był bogaty, zachciał zrobić potniki pod siodła. Zrobili tak, zeszyli koce, obszyli wierzch czarnym i naokoło brzegu suknom zielonym i stylu na rogach wianok biały i druga baterja i 29 P. A. P., bo był pułk z drugiego przeniesiony na 29 i oni ten wianek poszli do Wilna zrobić szablon, a już termin krótki nie zdąży zrobić. Przyszedł sztabowy i powiada kapralu obmundurowemu, że nic nie będzie nie zdąży zrobić i pokazuje mapka co zrobić. Ja patrze i śmiejesia, szef powiada co śmiejesz się chyba jeszcze ty coś znasz, ja powiadam znam nie znam, a za godziny dwie byłob gotowe, co ty pleciesz, ja powiadam puscisz do domu to zaraz zrobię, tylko zrób, pięć razy pojedziesz. Ja powiadam dajcie blachy cynkowej, trzeba jechać do Wilna, zaraz ja odmykam okno i powiadam niech sztabowy trzyma mnie za rękę lewą a prawą z balkonu oddzieram kawał blachy i biore znów do kwatery, usiadłem do roboty, za godziny trzy był szablon gotów, tylko nożykiem i młotkiem. Poniósł do dowódcy baterji, zameldował. Ja zrobił się nieoceniony żołnierz u dowódcy i tak potem jaka znajdzie się robota w baterji to odrazu mnie pytają czy ja będę mógł zrobić. Wtenczas

zrobiłem chorągiewka czarna i zielona na połowie zielonej wysyłem czarny orzeł i 2 B. 29 P. A. P., a na czarnej zielony orzeł, to nasza baterja była ubrana najlepsze na cała Wilno. Potem kupił dowódca bryczka i trzeba było zrobić siedzenie na sprężynach to ja też zrobiłem. Dowódcu dywizjona trzeba było zrobić fajetop skórzany też zrobiłem, tylko oni zaprowadzili, ja zobaczył, jak zrobiona i zrobiłem wszystka robota tapicerska, tam też dostałem gościncea i honor i łaska i pochwała od oficerów, dostałem dwa ubrań aliganskie i obuwie aliganskie i zawsze para groszy w kieszeni i na ćwiczenie wcale nie poszedł. Jedyn rok 6 miesięcy stali w Kalwarji, a potem przenieśli do Grodna nasza dewizja, tam była do zwolnienia w Grodnie. Poszli oficerowie na odczyt dywizieiny dowódca dywizji generał Osikowski powiedział wszystkim w oddziałom kto ma żołnierzy takich co może czapki robić to w naszym pułku wszystkie wiedzieli oficerowie i pułkownik, że ja potrafię aligansko czapki zrobić, na jutro przychodzi dowódca i powiada, Walery pojedziesz do dywizji czapki rogatywki robić jakich 500 czapek, to jutra weźmiesz pierwszej baterji maszyna od kapitana Tokarczyka i zawieziesz na Korchonska ulica tam w kancelarji dywizji, będziesz przychodził na noc do koszar. Ja tak zrobiłem i zaczęłem czapki robić, przychodzi jeszcze z piechoty dwa żydki i zaczęli pracować we trzech. Powiadają, że będziemy robić czapki i przyniesim krojka od czapnika, ja skroiłem i zeszyłem i pokazałem generału, on lubił taki fason i żydzi zostalisia niczem i generał powiedział, żebym mnie słuchali i skończyli tom czapke.

Ja dostałem dywizjonowym rozkazem od generała pochwała za dobra staranie. Jeszcze okryłsia sławoj w pułku, miał od oficerów pułkowych uwaga, nigdy służbowaj godzinaj gdzie ida nie zatrzymuj, oni dobrze wiedzieli, że ja nie jestem łazikiem, kiedy ide to musi mam potrzeba. Wróciłemsie z dewizji, poszłem do kapitana zameldować, że maszyna w całości i prosiłem żebym pozwoliłby przeszyć ubranie dla siebie, to on powiedział trzymaj sobie w swoim mieszkaniu zawsze ja pozwalam. Ja wtenczas zrobiłemsia krawcom, już dużo czego nauczyłemsia, a co jeszcze nie wiedziałem, to wieczorom poszed do miasta do krawców i targujesia ubranie przerobić długo i patrze, jak oni mierzo i jak robio, od jednego do drugiego i cała ta robota już notuje, przychodze do kwatery, kwatery dał dowódca jednemu, maszyna mam, rezerwa przyszła od żołnierzy zabrali stare ubrania rezerwie, a żołnierze otrzymali nowe ubrania,

zaczęli przerabiać to ja nie mógł zdążyć zrobić i zarobił kawał piniędzy.

To było 1923 roku wieszaj poraj i podchodziło moje zwolnienie. Kupiłem sobie ubranie do cywila obuwie, a wojskowe swoje świąteczne miałem w wojsku. Powodziłosia w wojsku dobra. Za dobra powodzenie dali starszego żołnierza. 1923 roku w maju miesiącu zwolnili mnie do cywila. Miałem dwa lata służby, oficerowie wmawiali, żebym zostalsia na zawodowego ja nie zachciał, przyjechałem do domu chociaż ja z wojska często byłem w domu, zaraz przywoże od szwagra maszyna i biorasia za krawca. Poszło mi nie-najgorzej, zaczęli ludzie przynosić robota, pobyłem dwa miesiące, kupiłem za 20 pudów stara maszyna, chwała Bogu mam maszyna i szyje na swojej maszynie, a w ojcowskim mieszkaniu chociaż starem, ale siedzieć można z biedaj. Pobyłem przez lato do jesieni, kupiłem krowa stara zapłaciłem 28 pudy żyta bo był bez krowy.

Jak oddali siostra, mamusia stała pędzić mnie żebym żeniłsia. Co zrobić chociaż ochoty nie mam do żenienie, ale trzeba szukać, miałem dużo panienok, ale chwała Bogu że miałem w głowie rozsądek, że jakąbądź badziała nie brałem chociaż takie panienki gładkie bywały dla kawalerów, ale trzeba pomyśleć jak z szurpatoj zrobisz gładsza to lepiej niczym z gładkiej szurpata i poszukałem spokojna i niebadziała, nierozpusna, chociaż niektóre dawali mnie posagi nie chciałem a wzięłem biedna. Odzieta była bardzo mało tylko przyprowadziła krowa i owieczka, a piniędzy ani grosza. Żeniłemsia 1923 roku 24 lutego, najprzód pojechałem oświadczyć, że nie będę wesela robił, że nie mam z czego tylko chcem jo wziąć, od was posagi nie wymagam, bo widze, że nie macie i pojedzim powszechnym dniom ręce związać, jejna rodzina zgodziłasia, najprzód brat i matka, bo ojca niema, zmarł na wojnie, a potem nie chcieli biez wesela, zachciali żeby wesele robić. Ja powiadam, że nie będę długu na wesele robić, kiedy wy chcecie to ja do was przyjade i róbcie co chcecie, ja jedyn dla siebie przywioza, to oni powiadajo żebym ja robił. Ja pomówie ze swojaj narzeczonaj a ona powiada rób jak chcesz i jedna z tobój pojade, na co to wesele, żebym ja była ubrana tak jak ludzie, ale ja biedna i jeszcze dużo siostrów zostalsia. Bo u nich była rodzina, jedyn syn a córek siedem to trzecia wychodzi zamąż, a cztery zostajosia i rodzina biedna. To my zmówilisia coby nie stało, ale brać ślub biez żadnego wesela i tak było. Poswaralisia, pokłócilisia i we dwóch przyjechali do domu i dzisiaj chwała Bogu żyjemy.

Z początku jejna rodzina gniewałasia paro miesięcy, a potem opamiętałasia że i dobrze. Na imie mojej żony Anna Woszkinel, było lat 24, a mnie 26. Żona z parafji sąsiedniej Łyntupy, z wieski Pole-sie. Po ożenieniu na wiosna ja nie miałem długu, zarobiłem i kupi-łem dla żony ubranie i obuwie i przeżyli rok czasu, kupiłem maszyna lepsza, która dzisiaj jest, a ta stara sprzedalem za 18 pudy, za druga zapłaciłem 300 złotych, a pod jesień 1925 roku kupiłem rower dla siebie, 1926 roku kupiłem drzewa na dom zapłaciłem 425 złoty, za drzewo która dzisiaj leży niebudowana, 1927 roku Pan Bóg dał córeczka i zrobiłem krzyciny wielkie, krewnych dużo, to kosztowało 200 złoty, 1928 roku kupiłem w miasteczku Hoduciszki placyk i z marnym domkiem zapłaciłem 800 złoty, chciałem to drzewo co kupione budować, ale pomyślałem, że marna miejsce i marna mia-sterczko to kupiłem w mieście Postawy plac, zapłaciłem 175 dolarów 1930 roku, a ten w Hoduciszkach sprzedalem za 600 złoty i nabrałem długu 1000 złoty. Do 1931 roku oddałem 800 złoty, a dwieście zo-stało i teraz nie moge oddać. Ja myślałem, że tak będzie jak wprzód ale wszystko oberwałasia, nie można zarobić grosza, tylko jak prze-żyć, a dług rośnie. Ja płaciłem za 1000 złoty prawie rok procenty po cztery złoty miesięcznie, a teraz płacę zaledwie 1.50 złoty od sotni miesięcznie i oddać nie moga żadnym sposobem. Pobudować domu niema za co i drzewo leży i plac stoi pusty bez żadnej korzyści niema i nie wiem co będzie, a w tych starych budynkach siedze z bratom przez sień pod jednaj strzechaj. To czekam poprawy i lepszego życia, a tu co dalej to gorzej i sam nie wiem, jak będzie. Ja myślałem pobudować dom i przyjsć żyć do miasteczka Postawy, a kiedy nie żyć to pobudowawszy sprzedać plac i z domem i kupić na starość para hektarów ziemi. To mój taki zamiar, a jak będzie to nie wiem, teraz tylko napisałem o swoim zamiarze co myśle zrobić.

Teraz opisze, jakie moje zarobki były

Jak ja powróciłem z wojska do domu wzięłemsia silnie za kra-wiectwo co umiałem, a co jeszcze poduczylomsia. Nie zapomniałem o muzyce, to krew do tego ciągni i reperowałem harmonje i pomału doszłem do tego, że teraz zrobie cała nowa swojej własnej roboty. Porobiłem stangi, wszystko wycinam bardzo dobrze wychodzi, ja zeszłego roku wymyślił stanga i zrobił. Robił sześć tygodni ta stanga co wycina płyty i głosy i to swoij własnej roboty, teraz myśle zrobić wziąć z czego modelu i dołożyć coś mądrzejszego to już plan wyrobie i myśle zrobić odpowiedni instrument i wziąć za jedna robota mu-

zyczna. Gitara moge zrobić, mandolina i bałałajki, harmonja i nawet fisharmonja. Jaby nie lękałsia z robotoj podnieśsia i założyć wielki warsztat muzyczny, głowa to wszystko wyrobiłab tylko jedna rzecz bieda, że jestem nalfabeta co troszeczeki sam przez siebi pisze i też błędów w moim pisaniu jest dużo, a rachunków wcale nie umie i nie mogem, bo ojciec tego nie uczył, a potem jak podrosłem to wojna to bieda to głód, a teraz nie mam kiedy, trzeba pracować 20 godzin, a cztery spoczywać. To już nadarmo i nie czas trzeba tak spróbować, może głowa wyrobi, ale niema pomocy. Kiedy państwo nie wierzy-cie to ja miałem na wystawie przemysłu ludowego w Święcianach jak Prezydent przyjeżdżał, harmonja otrzymała dyplom pierwsza na-groda za swoja ręczna robota. Ale cóż żebym ja nie nalfabeta to jaby swój towar mógłbym rozesać po całej Polsce i zbywać, robotni-ków mieć. A tak siedza we wiosce tej nieszasnoj i przepadam i zato co ciemny wieśniak. Zrobie harmonja modelu rosyjskiego peter-sburskiego to nikt nie powie że swojej roboty, ale fabryczna nu i cóż. Ja na rok poblizu sprzedam dwie harmonje, bo dalej nikt nie zna co siedzi w błocie, jak djabeł po kolana łazisz i jeszcze musisz ziemia robić, bo z tej roboty nie przeżyjesz. Wiedomo życia życiu wielka różnica, żyje kot i sobaka, kot zawsze leży na pieczy, a so-baka na łańcuchu na mrozie, to moja życia jest jak sobaki, głowa mógłab wyrobić, jak kota, ale łańcuch sobaczy mnie nie puska to jest mój łańcuch nalfabeczna, że jestem ślepy nu i cóż staramsia nie hulć i bez roboty nie siedza i korzyści niema. Cóż tera, ja spo-minałem kupiłem plac jeszcze mam długu, na chleb zarobie, no wie-skowy, ale nie miastowy, a ubranie tym żeje co z wojska przywio-złem, to dobiwam do ostatku. Jest teraz córeczka sześć lat siódmy, też nie moge odzież tak jak trzeba nu i co, przyjdzi czas do szkoły też nie będzie można zdać szkoła powszechna cała, to nie będzie z czego i zostanisia taka jak ja ciemnota.

Teraz opisze ila ja fachów znam

1. Rolnictwo, 2. krawiectwo, 3. szewstwo, 4. mularstwo, 5. stol-larstwo, 6. tapicerstwo, 7. fryzjerstwo, 8. grać na muzyce, 9. robić muzyka, 10. ciesielstwo. 11. ślusarstwo, 12. bieda nędzy i niedostatki. To prosza szanowna państwa może nie uwierzo że ja tak pisze, to ja moge stać na te facy. Jestem nalfabeta, ale robotaj i rękami to każdy mój będzie fach niegorszy od zawodowca tych robót. To szanowno państwa prosze uwzględnić moja pisanie, że ja nie zali-

czam do mojego fachu, ja jego nie umiem i jak liczyłem że to mój łańcuch, który mnie trzyma i nie puska do dobrego życia.

Teraz opisze co my mamy ojcowskiego i ila nas żyje.

Brat Alfons żyje w Ameryce w Chicago żonaty i listy nie pisze, brat Feliks żyje w Rosji, listów nie pisze, żonaty. Nas trzech w domu Ignacy, Aleksander i Walery, po trzy dziesięciny i trzecia część dziesięciny, budynek rozdzielili ojcowski na trzy części i sad rozdzielili drzewo po dziewięć pni i sad wypad na mojej ziemi to bracia swoja część wyrabali i moich dziewięć zostało, mnie przyszła stara chata, ona stoi nie na moim, daje Ignacu zamiana do czasu, chlew jedyn mam i postawiłem składzik na zboża na słupkach, słomaj ściany obwiązałem, a co tyczysia do inwentarza to konia nie mam, najmuje z koniem orać, bronować i zboże zwozić, kosze siano sam i zboże żąć sam, młócić sam i płaca za konia 20 pudy za lato co trzy i jedna trzecia część dziesięciny robi, a ja robie kiedy przy muzyce, a kiedy przy krawiectwie. Krowa mam jedna i parasiuka, który rok mam, a na który nie wiem jak zarobie. Mam na długi co pożyczyłem, jak kupowałem plac w Postawach 150 złotych, ale dwa lata nie płaciłem procentu to licze 200 złotych, ale mam u ludzi dobrych, sprawiedliwych, pożyczyli mnie bez weksla i nie napędzają żebym prędzej oddawał, powiadają, jak zrobisz to i oddasz. Co tyczysia w tym roku urodzaju to bardzo marny, żyto na połowa, kartofli wcale przepadły, owies na trzecia część, jęczmień wcale propał, siano zgniło, bo u nas było lato mokra. W domu odzienie bardzo marna i pościel marna. Co tyczysia konia nie mam. Te dwa rowery mam zeszłego roku kupiłem za nie płaciłem 160 złotych, bo mam wielka ochota na rowery, wole niedojeść, a rower musi być. Jeszcze miałem wielka ochote nabyć pszczoły, to w tym roku podkudałem nie miałem parasiuka byłem bez mięsa i zebrałem 50 złoty kupiłem trzy kłody pszczoł na jesieni, bo bardzo lubie, chociaż w rodzinie niedostatki, ale nabyłem. Ja mam taki charakter chociaż z horam i biedoj ale zrobie. Tak żona moja była biedna, przyszła do mnie i teraz w zgodzie staramsia i nie sprzeciwiamsia, jedyn drugiemu dobra — dobra, kiepsko kiepsko, ale wszystko zgoda i jedyn drugiego kochamy i uważamy. Jak nasza mamusia żyje jeszcze. Ona żyła w wojna i po wojnie przy mnie. Jak ja ożeniłemsia to po roku czasu zaczęła awanturyćsia z żonaj. Ja powiadam, co ty chcesz, podjadłaś i leż na piecz, jeść tobie nicht nie zabrania, to jej nie podobasia zawsze awanturyćsia,

to ja pomyślałem co mnie przyszołsia jednemu z niej wojować, ja zawołałem braci i powiedziałem, że będziemy karmili matkę wszyscy. Przęd nie chcieli, a potem nic nie zrobisz, zgodziliśia i zrobili tak, trzymać po trzy miesiący kolejno, to i teraz mamusia żyje kolejno przechodzi od jednego do drugiego i trzeciego. Teraz tak moja rodzina ja i żona i córka na imię Ola i myślę na tym pozostaćsia. Teraz moje jedzenie. Zrana kartofla gotowana kiedy z mlekiem i kiedy z mięsem, a jak niema mleka to i tak dobra. Mięso więcej nie bywa jak bywa, na obiad kapusta, albo buraki gotowane na poranku stojo w pieczy i wieczora taka kapusta i buraki to kiedy pomieszasia skwarku to smakuje, a kiedy posna to nie smakuje. Ale niema skąd brać wszystko trzeba sprzedać na nafta i sól, a cukru mowy niema, raz w rok przed Bożym Narodzeniem na kucia. To ja jeszcze posiadam rozmaitych fachów to mnie bywa różnie lepiej i gorzej, ale taki co tylko z roli tylko żyje i mało ziemi to teraz niedaj Boże jak żyjo, opisać nie można, płaczo i narzekajo na Pana Boga co Pan Bóg dał takie życie. W rodzinie gryzota, swarka, kłótnia, nienawiść i niezgoda, przekleństwo, rozbój już powiedzieć nie można.

Teraz opisze jakich ja potrzebuje artykułów przemysłowych do swego warsztatu muzycznego

Nie mam gdzie nabyć po niskiej cenie i potrzebuje wiedzieć gdzie jest fabryka, co do zegarków robi sprężyny, bo mnie potrzebne takie szynki co ja będę wyrabiał głosy, bo jest gotowych głosów, można kupić, ale do mego modelu niegodzićsia tylko trzeba zakazać specjalnie. Po mojemu zakazu do fabryki tenczas mógłbym zrobić przedział i zarobić więcej, a bez materiału przepadam i potrzebuje na okłady metalu białego który pod nazwanie czysty nikiel, to też trzeba po mojemu zakazu materiału tylko zakazać fabryce i nie wiem gdzie jest takie fabryki. A co sklepu kupujo to niegodzitsia trzeba z materiału przerabiać na materiał, a potem rzecz, to dwie roboty. Na przykład bierzesz kawał niklu, on jest miętki do głosów nie godzisia, trzeba wykuć z niego takie szynki, jak na głosy wyrobić twarde i cienkie to fabryka wyrobiłab odrazu i dostałbym dobry materiał. To dużo kogo pytałem i nie dopytałem i pisałem niht nie dał mi nic takiego adresa. Żeby ja dostałbym z fabryki taki materiał to sprobowałbym założyć warsztat, a to ja dostaje w sklepie i płaca sklepikarzu drogo to naprzykład ja zrobie harmonija 100 złoty musze wziąć to mnie wychodzi 50 złoty materiał i trzeba na nim podwójna robota robić conajmniej 30 dni, ale nie siem godzin w dzień, ale

18 godzin na doba, a sześć spoczywać to zostajesia za 30 dni 50 złotych zarobku dzień po 18 godzin pracy, czy to zarobek. Ja tak myślę żebym ja dostawałbym materiał ze składów fabrycznych tobym nie więcej kosztował jak 20 złotych a może i tego nie, to zostałosiab 80 złoty za robota i robiłbym jakich 15 dni i zarobiłbym 80 złoty, to tenczas można byłob żyć z tego fachu, a co do krawiectwa to już niema gadanie. Krawców jest dużo, szyjo 50 groszy koszula święteczna i spodni 50, kozuch dwa złoty, jermiak jeden złoty, kościuim dwa złoty i nafta swoja trzeba wypalić, a kozuch trzeba szyć 40 godzin, to trzeba do drugiej godziny wieczerkować i dwa funty nafty spalić 60 groszy, zostaisia 1.90 groszy za 40 godzin pracy, to ten tylko zarobi krawiec który ma ojca on nie liczy jedzenia i nie liczy nafty, wszystko jedno on żyje przy ojcu to on zarobi w niedziela pięć złoty i on może szyć tanio i takich krawców gospodarzy powuczyli dużo i krawiestwo na wsi w chłopach poszło na nic. To ja musze teraz robić harmonji i krawcować i nie można z tego przeżyć, trzeba przy roli sprzepadać, roboty dużo a korzyści mało to ja tak żyje, a kto tego nie zrobi; to trzeba przy jednej roli żyć i mało roli to podymuje ręcy do góry chce lecić i niewiadomo gdzie i zawsze spomina przedwojenne czasy, że ludzie żyli a teraz przepadajo i tęskno rosiejskich czasów.

T e r a z o p i s z e , j a k j a c z y t a m

Gazety ja przód wcale nie mogłem czytać, ale bardzo lubie czytać to pomalutku zaczęłem czytać książki, przynosić ze szkoły istoryczne i zacikawiłemsia, stale i dużo przeczytałem. Potym wypisałem gazeta ludowa, zrobiłem piniędzy na półrocza sześć złoty, a teraz nie mam i nie dostaje żadnoj gazety. Do gminy żadny związek nie należy do żadnych kólek, u nasz niema żadnej organizacyj, tak przepadamy. Mnie trzeba konieczna nauczyćsia nuty muzyczne, to co kapelmester zna, ale nalfabeta nie moze, to tylko pracuje jednaj biednoj głowaj, męczesia a więcej nic. Zakończam pisanie, bo nie zdąże odesłać, jeszcze mam co do pisania, kiedy to dobre będzie to prosze zawiedomić, napisze więcej o wszystkim.

Dn. 23 listopada 1933 r.

Syn gospodarza pracujący w gospodarstwie domowym w pow. wilejskim

Żyję na głuchej zapadłej wsi, całe życie nigdzie nie wyjeżdżając, w złych warunkach materialnych, z wiecznym głodem duchowym, jak i fizycznym. I odważam się do czegoś nierealnego: opisać o sobie, o swoich brakach powszechnych, o swej nędzy nierozłącznej, o rozpucie, krzywdzie publicznej i o własnych zapatrywaniach dzisiejszych, wczorajszych i jutrzejszych — dla ludzi dalece innego świata.

Chociaż treść mego oświadczenia może być nieprzezwoita, nawet dziwna — na tem mało zastanawiam się, byle byłaby rzeczywista i doskonale zrozumiana przez ludzi innych stanowisk społecznych. Temi ludźmi, które tak pragną wiedzieć o realności chłopca, którego jęć zaczął dolatać na najwyższe stopni społeczeństwa, skąd zawsze patrzą na niego jak na rzadkość z drugiej planety spadszego z pogruzgotanemi kośćmi, stękającego w kloace.

Wiem, że mnie to wszystko nie uda się tak, jak ja chcę — lecz przystępuję...

Piszę same rzeczywistości.

Chociaż jestem mało wykształcony, z białoruskim akcentem w wymowie z artograficznymi błędami w piśmie, bez żadnej stylistyki pisarskiej, z jedyną desperacją w uczuciu, że wszystko pójdzie na marne i nikt nie zwróci najmniejszej uwagi — zaraz od listonosza powąduje do kosza. Jednak nic nie poradzę, muszę byle co pracować, choć bez korzyści dla nikogo.

Sceptyk też ma czasem swoje idee.

I.

Jestem chłopem, rzeczywistym chłopem, o czem potwierdzi każdy biurokrata podlegającej gminy i nietylko że potwierdzi ktoś —

sam jestem pewny tego, nigdy nie zrzekam się, w żadnych wypadkach, choćby chodziło o ważne sprawy niejakiego awtorytetu.

Ojciec mój jest właścicielem niedużego kawałka gruntu, liczącego ponad pięć ha, wydzielonego po komasacji kilka lat temu i odziedziczony po dziadku, który nabył własnym trudem.

Liczne rodzeństwo, składające się z dziewięciu członków, w pocie czoła trudni się na roli i zarobkuje na kawał chleba. Muszę jeszcze podkreślić, że są między nami niezdolni do pracy — małoletnie dzieci: dwoje uczęszcza do szkoły, a jedno w przedszkolnym wieku nie rachując jeszcze trzynastoletniego chłopca, który ukończył siedmioklasową szkołę powszechną i z materialnych braków niszczy się w domu, nawet z dobrą zdolnością i pilnością do nauki. Ojciec też stracił zdolność do pracy, częściowo z podeszłego wieku, a większością z powodu chorobliwego stanu organizmu.

Głównymi podstawowymi robotnikami jesteśmy z bratem, a z kobiet zaliczyć siostrę i mamusię — ostatnia ma taki temperament do pracy, że nawet czasem jej zazdroścę.

Zarobkowanie na stronie jest zupełnie niewystarczające i nawet na niezbędne potrzeby domowe. Ono bywa przeważnie sezonowe: żąć, kosić, siano grabić, a jesienią wybierać ziemniaki. Wynagrodzenie za nią jest bardzo mizerne. W samą ważniejszą dla pracy porę roku, kiedy wszystko kipi jak na ogniu, kiedy pot z czoła źródłem bije od gorąca, t. j. żytnim żniwem — złoty dwadzieścia pięć groszy (z tegorocznej orientacji). A jesienią na kartoflach — osiemdziesiąt groszy i taka praca nawet niezawsze bywa i ni dla każdego dostępna. Musi być najpierw coś zafundowano pracodawcu, o ile jest zamiar pracować u niego — taki już zwyczaj istnieje. Nic dziwnego: pracowników są dużo, a pracy mało, jedynie w majątkach.

Dochód z własnych gruntów jest minimalny niewystarczający na wszystkie potrzeby gospodarze.

Najgorsze nieszczęście spowodowały ceny na produkty rolne, nieszczęście polega na tem, że jakby człowiek nie żył, lecz potrzebuje pieniędzy. Na pierwszym planie stoją podatki. Prawda teraz słyshałem, że należność skarbową można uiścić naturą, przyjmują, ale czy każdemu blisko? I czy zapłacą wyżej rynkowej ceny? A kiedy nie — pocóż wieść jakich czterdzieści kilometrów czy więcej. A po drugim: odczuwa się brak tego zboża, na które pokładamy wszystkie nadzieje. Ile to trzeba sprzedać owsa po złotemu i czterdzieści pięć groszy za pud (16 kl.) ażeby kupić pud soli. Żyto nieco drożej (po 2 zł. 20 gr. za p.), ależ go nie tak dużo, ile tu zbierzesz z tech pięciu

ha. Sami przecie też ucinać musimy, kiedy głód dokucza. Nie skradnąć od niego, on z śmiecia wykopi, taki już ma węch nadzwyczajny.

Ta natura może czasem sprawić kłopotu. Tak przepuszczam, bo mnie przypomniał się jeden epizod ze świńmi.

Daty tego zdarzenia dokładnie nie pamiętam, czy to było pod koniec roku 1931, czy z początku 1932-go niewątpliwie w tym miejscu. Już kryzys szalał w pełni. To był koluminacyjny punkt niżki cen na produkty rolne. Było do takiego stopnia spadłszy życie handlowe, że nikt nic nie chciał kupować — strasznie pomyśleć. Chyba że od początku świata nie było zaobserwowano podobnego zjawiska, handel był wycofany z użytku. Dobrze pamiętam ten czas — odczułem go w pełni. Byłem świadkiem tej katastrofy gospodarczej. Ofiary jej wyglądały litośnie. Depresja odbijała się na każdym rysie twarzy wieśniaka. On był wart litości. Więc zlitował się nad nim rolnik powiatowy. Jak wiadomo przed chwilą kryzysu rolnicy nauczyły się wytwarzać żywy inwentarz wyzyskując z niego lepsze dochody gospodarcze. Tą produkcją w większości były świny, które jeszcze miały nabywców na rynkach. I otóż ten ostatni produkt rolny, na który opierał się chłop wiejski do tego czasu, zaczął kołysać się — cena spadła do minimum. Kryzys był silny.

Żeby uratować wieśniaka, czy prawdziwiej skorzystać z okazji — spółka rolnicza, z agronomem powiatowym na czele, zaalarmowała po całej okolicy, że będzie kupowała świny po dogodnych cenach. Data i miejsce kupna naznaczone były urzędowo przez gminę i sołtysów.

Chłopi wzruszeni do głębi duszy, że choć nareszcie przychodzą doń z pomocą, i że w prędkim czasie będą żyli, jak i wprzódy — szykują się na targ. Rynek naznaczony był na rampie stacji kolejowej, dokąd w naznaczony dzień przywożono świny.

Z rolnika przyjechało kilkoro osób. Przywieziono z sobą weterynarza. Zaraz na głos tej spółki wyruszyła cała gmina, kierownik kasy Stefczyka, weterynarz gminy, eksklepikarz wędlin i inni. Nawet nie brakowało żydów; te choć zdaleka patrzyły widocznie bojąc się streścić.

Sprawa rozpoczęła się. Głos ludzki zlił się z świniim piskiem w jedną dziką wrzawę. Weterynarz w każdej już kupionej świni sprawdzał temperaturę, a ona wrzeszczała na całe gardło, nie wiedząc że troszczą się o jej zdrowie.

Warunki kupna były takie: każda swinia musiała mieć pochodzenie, inaczej nie mogła być sprzedaną. Potem musiała być dosta-

tecznie utylą i zdrową. A nareszcie zgodzenie się samego gospodarza sprzedać.

Kupno było niebardzo pomyślne dla sprzedawców. Chłopi musieli oddawać świnie bez pieniędzy. Bo kupcy narazie ich nie miały, a mówiły że zapłacą po sprzedaniu gdzieś tam na rynku warszawskim. Zapłacą, mówili, po takich cenach, jakie wtenczas będą stały na rynku, tylko za potrąceniem nielicznych kosztów poniesionych transportem.

Ale nielicznych, bo taryfa kolejowa jest dla nich darmowa — nic nie kosztuje. Więc nam oddać — mówili — rachunek jest lepszy, niżeli kupcom prywatnym, które opłacają przewóz, więc płacą bezwarunkowo taniej; a u nas będzie drożej. Pieniądze przyszlą po poczcie albo wypłacą liczo, sami; nie dłużej jak za trzy dni od terazniejszej daty.

Dużo wieśniaków bało się oszukaństwa więc nie oddały „na los Boży” — jak wtenczas mówiono, a niektóre zgodziły się i ja w tem liku.

Wagi ze sobą oni nie przywieźli — niewiem dlaczego — a na prędką rękę wypożyczały u żydka jakąś starą, zepsutą, wcale nie nadającą się do ważenia. Ale to głupstwo... Powiedzieli, że tu zważą tylko dla przykładu, dla tychczasowej orientacji, a tam gdzie sprzedadzą, zważą dokładnie i wypłacą sumiennie całą należność do grosza. Cóż zrobić?... Zrezygnowali, nie można nie uwierzyć...

Zważyli mego kabana, wyniósł sto siedemdziesiąt kilogramów. Był dużym kabanem — myślałem, że wyniesie więcej, ale to nic. Uplęnęło trzy dni, nic nie słyhać... Myśleliśmy, że już po nim. Po między chłopami zapanowała panika. Raz po raz zaczęły zaglądać do „Kasy Stefczyka” sprawdzając czy już nie zjawił się czasem? Bo kierownik miał o tem wiedzieć — więc nic dziwnego, że do niego zaglądały.

Nareszcie przez trzy dni zjawił się cud: przybył dłużnik z gotówką. Pamiętam to było we środę, targ w miasteczku. Wierzyciele czekały już od świtu na rozplątę. Otworzyło się okienko i zaczęło się przedstawienie. Bo przed wypłatą a przeważnie przed takimi wypłatami, rozgrywa się istna tragi-komedja: tam są ślozy i śmiechy

Otóż tak samo i wtenczas, kiedy pierwszy stojący przy okienku chłop podał swoje pokwitowanie (muszę podkreślić, że po przyjęciu świni spółka wydawała pokwitowanie, że otrzymała od takiego to: imię i nazwisko i ile waży, ten kwitek pozostawał całym dokumen-

tem, bez którego później nie wydałyby pieniędzy). Kasjer wyrachowawszy powiedział, że należy tyle... ten zbladł.

— Jak to może być? Należy więcej.

I nie chciał podpisywać podanego mu papieru. Widząc protest, kasjer był zmuszony wytłumaczyć powody niefortunnej rozplaty. Popłynął z jego ust potok narzekań: po pierwszym że mało było naładowano do wagonu, a koszty musieli ponieść te same — jak za cały, po drugim, że cena spadła na rynku i inne.

Chłopi zaczęły wrzeszczeć w niezadowoleniu. Niektóre z nich jako jałmużnę prosiły: — „Natkiń panok choć załatowku, pohreca (na służbowego) — bo wielmi zimno”. A drugi: — „Panoczku, choć na dwaich” — domagał się. Co ten nareszcie nieścierpiał i wyrzucił parę złotych, mówiąc: — „Daję z własnej kieszeni”. Był dowcipny poczciwiec.

Ja też otrzymałem sto pięć złotych. Waga była bez zmiany, przepuszczam tam też musiał ważyć to samo. Za pudy wynosiło po dziesięć złotych; kiedy na miejscowych rynkach była średnia cena czternaście złotych. Ale to nic i to przecież gruby pieniądz.

Gorzej teraz, kiedy tych pieniędzy dawno śladu niema, a musimy zapłacić stemplowe. Bo urząd skarbowy coś przypomniał sobie i raptem wysłał nakazy, jesienią b. r. dla wszystkich tych, które uczestniczyły w powyższej sprzedaży z wymówką, że nie mieli prawa dać zarobić powyższej spółce, nie będąc jej członkiem — więc musicie zapłacić karę w obliczu stemplowych — tak przypuszczam.

Teraz, kiedy zjawiły się na świat nowe potrzeby, nowe trudności materialne, kiedy odczuwa się brak wszystkiego, swoim porządkiem musisz odczuwać nowe ukłucie gospodarcze, musisz czekać za każdym skrzyphem drzwi w niczem niewinnego sekwestratora, — bo inaczej nie może być..

Czasem zastanawiasz się nad tem: — Czemuż te stemplowe nie mogły być pobrane wtenczas przy rozrachowaniu się, kiedy wypłacano po potrąceniu wszystkich kosztów.

II.

Dla lepszego podkreślenia terażniejszości i dla lepszej jej plastyczności, muszę przytoczyć przeszłość, jako fakt moich przeżyć oraz wrażeń dawniejszych. Moją przeszłością, którą ja doskonale zapamiętałem, podkreślam lata od początku niepodległości Polski i w górę. Ten czas w porównaniu z dzisiejszym jest jako dzień z nocą. Jego światło w mojej pamięci świeci po dziś dzień. Możliwie,

że inne ludzie przeżywają lepsze chwile, a moje zarachowałyby do nieszczęścia. A dla mnie jednak inaczej. Jest to całkiem zrozumiane. Ja w życiu nic lepszego nie widziałem, a co było w życiu najlepszym i nadal pozostało w pamięci.

Wtenczas ruch był zupełnie inakszy. Było dużo zarobku, który teraz zamarł całkowicie. Tym zarobkiem był eksport lasów z Kresów. Na stacji, od nas za trzy kilometry, szło życie. Drzewo wożono z całej okolicy: papierówkę, szpały, szlifry i inne. Na stacji go rozcinano, oskrobano od kory i ładowano na wagony. Pracowało setki robotników. Dzienny zarobek wynosił od pięciu do siedmiu złotych, zależnie od pracy. Życie wrzało.

A po drugim: artykuły gospodarcze miały niezłą cenę. Nawet urodzaj był lepszy. I wódka taniej kosztowała. Te cztery zjawiska ziemskie, połączone razem, stanowiły normalne życie chłopskie.

Wódka dla większości społeczeństwa niniejszej klasy stanowi wyższą energję życia, — ideał, bez którego życie na tyle marne, jak niebo bez raju. Jakie nie byłoby życie — sędzę po własnem uczuciu — o ile ono dąży do punktu, w którym widzi się zbawienie, choć tymczasowe, jest życiem właściwym, a właśnie nim jest wódka, przeważnie w życiu chłopskim. Są tacy, którzy nie używają, lecz to okazy. Ja też lubię pić. Piłem nawet dużo do namiętności. To miała być swego rodzaju rozrywka, bo innych nie było, nie pójść do kina lub do teatru, skoro ich nie było, a musiałem zadowalać się tem co jest.

Teraz piję zupełnie mało, nawet rzadko i przedczuwam, że w przyszłości nie będę ją używał wcale.

Czas płynie nudnie, nie mam żadnej uciechy w życiu.

III.

Chcę jeszcze przytoczyć zaprzesłość, ten czas, który upłynął przed wojną światową, o którym orjentuje się tylko z ojcowskich opowiadań.

Jak wiem ojciec przyszedł na świat w rodzinie dużo zamożniejszej, posiadającej ponad dziesięć ha własnych gruntów. Zamożność ta realizowała się nie wiem z czego, bo stan gospodarki był prawdopodobnie na niskim poziomie — możliwie, że temu sprzyjały lepsze czasy.

Ojciec, po ukończeniu początkowej szkoły, z dalszej nauki zrezygnował. Pozostając w domu zaczął gospodarować, prowadząc gospodarkę więcej wzorowo, jak prowadził ojciec jego dotychczas.

Za kilka lat później dochodność pól podjęła się na połowę więcej. A do tego jeszcze artykuły rolnicze trzymały się normalnej ceny; wyroby przemysłowe były dużo tanie od dzisiejszych, więc żyły nieźle. Nawet miały troszkę gotówki w skarbcu domowym.

Brat ojca zarabiał na stronie. Kiedyś liczne miasta Rosji obfitowały w zarobek. Można było łatwiej zarobić parę groszy. Z mojej wsi dużo ludności większością swój żywot pędzili po miastach, nawet w dobrych warunkach. A dzisiaj wszyscy siedzą w domu, niema gdzie wyjechać, a tu jak na nieszczęście stanowi się coraz ciśnień i duszniej.

Na tem zakończę ten ojcowski czas nie wnikając do drobniejsze szczegóły.

IV.

Nic dziwnego, że terazniejszość chcem nazwać biedą, bo to była bieda dla mnie. Chociaż ja nie jestem gospodarzem, jestem dużo uzależniony od ojca, o ile chcę z nim spólnie pracować, więc odczuwam ten sam ból kryzysu materialnego. Pójść od niego, też nie mam żadnej możliwości — dokąd? A zresztą nie jestem zdolny do czegoś innego. Chociaż zdolność też na nic warta byłaby... Więc siedzę w domu — pracuję byle co, choć nie mam z tej pracy większej korzyści nad nędzne przeżycie. Z tą gospodarką mogłyb sobie dać rady połowę tych ludzi. Nie można to nazwać pracą, ani bezrobociem. Życie jest wcale więzienie, nieodpowiadające rzeczywistości. Zawsze jestem przygnębiony duchem, razem z fizycznym bólem materialności. Poza pracą niema żadnych przyjemności: ni książek, do których mam wielką porywczosć, ni zabaw, nawet odczuwam kryzys miłości, co jest cudem w moim wieku, mając dwadzieścia trzeci rok od urodzenia.

Było wesoło kiedyś — pamiętam zabawy, przedstawienia. Spojrzawszy — ludność ta sama, lecz na ludzkiej duszy nie to samo — najgorsze, że nawet niema zaco najać muzykanta, skąpią się wszyscy. Czyż mogę myśleć o przyjemności, jedząc bez soli często. Na przedstawienie też nikt nie może pójść — płatne, a bez płaty przedstawienie nie może istnieć. Więc i zostało wycofane z użytku. I wogóle cała ludność ma takie posępne miny, że najlepszego optymiste znużą do meloncholji. Co temu winno, czy nędzność?...

W domu tak samo, zawsze dysonans. Przyjdiesz czasem z pracy zgłodniały do psa. Bywasz troszeczkę w humorze, bo masz niezły apetyt i zasiadłszy do stołu, czekasz na kartofle. Zaczynają się roz-

mowy, przeważnie na temat braku czegoś w gospodarce. Wkońcu ta rozmowa dochodzi do tego, że zaczyna się sprzeczka nie na żarty. Zirytujesz się zawsze do zera, wszystko jedno jak podjadł — nie chce się jeść wcale, tylko trzęsie się w środku jak od febry i basta.

Ta kłótnia zaczyna się tak:

— Ale dziś mróz porządny, zaznacza ktoś z rodziny.

— Na noc ma być jeszcze większy, potwierdza drugi.

Ojciec przy myśli o mrozie kurczy się i drży i raptem przypomina:

— A czy podłaskę podjęliście?

Podłaską nazywamy krowę, która, czy to bądź od starości, czy od złego pastwiska, nieżyźnego pokarmu — zaczęła niedomagać, co za każdym razem muszą para ludzi usługiwać, ażeby pomóc wstać jej na nogi.

Więc:

— Podjęliśmy ją, — mówi brat — pod wieczór.

Ale tu wtrąca się siostra:

— Ja zaglądałam niedawno do obory i widziałam, że znów leży.

— Otóż macie — wznosi się ojciec — głodna... onaż nic nie jadła... a tu taki mróz. Ot, gospodarze!

Ja cały czas milczę. A kiedy już zaczyna się podkreślać „gospodarze”, co częściowo jest i pod moim adresem, zaczynam się irytować i wkońcu nie ścierpię:

— Przy czym tu gospodarze?... Mają stać zawsze przy niej? Jak djably przy grzesznej duszy — co? Czy nie mówiłem, żeby karmić lepiej...

— A co dasz lepszego? — sucho zapytuje ojciec.

— Kartofli.

— A co sam będziesz żarć — słomę?

— Choćby siana już...

— A! Rozumiem! Dawno jużby porozdawały wszystko, nie zważając, że cała zima na przodzie. A zresztą dla konia co dasz?

Ja zaczynam się odmagać po swojemu, zaprzeczając jego wszystkie podkreślenia gospodarcze. W piersiach gryzie nieprzyjemny ból, jakiegoś czarnego poczucia. A ojciec zaczyna po swojemu zmagać się na złości. I tak między nami dochodzi do istnego konfliktu, zakończonego depresją.

Tak bywa zawsze, nie to, tak owo staje na drodze pacyfiku rodzinnego.

Albo: zepsuł się jednego razu pług, powiozłem do kowala na reperację. Zaniedługo przyjeżdżam do domu bez pługa. Ojciec zapytuje:

— Co — niema kowala w domu?

— Jest odpowiedziałem.

—A dlaczego pług zostawiłeś? Jeszcze nie zreperował?

— Właśnie, że naprawiłem...

— A dlaczego nie przywiózł? Wiesz przecież, że jest potrzebnym... Teraz taki pilny czas. U porządnych ludzi dawno już posiane żyto... A u nas ani ziarna. Mów! Zapomniałeś?

— Nie, nie zapomniałem. Kowal nie oddał. U mnie nie starczyło złotych...

— Jak? Aż tyle wziął? Niemożliwie! Pocóżes, do diabła, wiozłeś do niego?

— Dokąd-że mam wieźć... Kiedy tu najbliżiej. Inaczej straciłbym na czasie.

— Teraz to nie straciłeś?

I już sprzeczka. Ojciec zaczyna się denerwować. Ja też odczuwam przykry ból w piersiach od nieprzyjemności — umilkam. On ze złością posyła mnie do sąsiada pożyczyć złotówkę. Lecz ja nie idę, wiem, że u sąsiada też niema. I nareszcie splunąwszy w stronę odchodzi. Pozostajesz z czarnem uczuciem — nie wiesz co począc. Stoisz jak bałwan i klniesz swój los Lucyferem.

Wolnem czasem wychodzę na wieś, gdzie odetchniesz kapelkę, bo cudza bieda nie tak straszna.

W święto, po takich tygodniowych zgryzotach, szukam przyjemności życia. Zbierzy się gołota całej wsi i zabawiają się grając w karty.

W takich domach ludowych zawsze jest koncesja tytuniowa, czy na odwrót: do takiego mieszkania zbierają się, gdzie fabrykują i sprzedają papirosy. U takiego przedsiębiorcy zawsze znajduje się kłoda kart własnej roboty — sam robi, albo ktoś robi z tektury od pudełków tutkowych, sprzedają za jakich piętnaście groszy i zaraz przegrywając na miejscu sprzedają.

Ten posiada zawsze naftę i własną lampę. Za noc trzydzieści groszy. Ogień normalny. Każdy przychodząc, bierze po jakich pięć sztuk papirosów (większością na kredyt, o ile powierzy sprzedawca, bo są tacy, którym nie chce powierzyć nawet jednego papirosa) i zaczyna się gra w „oczko”.

Stawiają jednego papirosa do banku i hazard czeka poprzednika. Jakich tam nie robi się nadużyć... Oszukują jeden drugiego. Albo kiedy już zbierzy się w banku sporo papirosów, zgaszą ogień i „na wozy”, kto ile zdąży zagarnąć — demoralizują się własnoręcznie. Używają różne zabobony, kiedy już dla kogo idzie źle karta — przechodzą na drugie miejsce, lub pędzi swego sąsiada; ten niechce ustępować, łaje się; albo kiedy już kto przegra, więc bierze ostatniego papirosa do gęby i trzyma go mocno, mówiąc: już teraz nikt nie wyrwie. Ten, który bankuje, protestuje, — grozi, że nie da mu karty, o ile nie położy na stół papirosa. Gwałt... pisk... złość i t. p. Pachnie odurem. Ataki gazowe w pełni. Kiedy już kto wygra, ucieka za drzwi, przegrane go łapia, co często powoduje bójkę.

Ja też gram, o ile mam możliwość nawet hazardowo. W najwyższych chwilach trzęsę się jak od febry, wszystko jedno, jak idziesz pod gilutynę. Najczęściej przegrywam do tutka, bo zawsze gram sumiennie. Potem choć nie żałuję przegranego, a jednak odczuwam brak czegoś, coś dręczy... jakieś niewyraźne poczucie się do winy przed własnym sumieniem — zawsze same nieprzyjemności.

Czasem zechcesz się choć na chwilę zbawić z pod powszechnej męki duchowej, więc przybiegasz do sztucznej uciechy: do dzinaturatu. Choć w gardle drze się, lecz w głowie robi się jaśniej, wesoło—energja... Na jutro następuje całkowita desperacja, apetyt i ten traci się, nie widzisz w świecie żadnej przyjemności — wszystko zero.

Ale tej uciechy też brakuje często. Nawet zdarzają się dziwne okoliczności. Na jednym z takich byłem świadkiem. To było niedawno w b. r. Zaprosił mnie kolega w gościnę. Poszedłem — to już było wieczorem. W mieszkaniu kolegi już było kilkoro chłopów, też widocznie zaproszonych. Na stole stała butelka dzinaturatu, obok niej szklanka i kawał chleba. Czekano tylko na mnie. Po minach obecnych zauważyłem, że były wielce zadowoleni i z niecierpliwością czekały chwili rozpoczęcia się hulanki. Gospodarz prosi za stół; wszyscy jakoś krępują się. Jeden drugiego sztyrcha, żeby załaził do kąta, lecz nikt nie chce — odmawiają się. Aż tu raptem trzaś szyba w oknie i czyjaś tajemna ręka cap za flaszkę stojącą na stole (stół stał przy samym oknie) i w mgnieniu oka znikła spowrotem. Na stole zapanowała pustka, po mieszkaniu przeleciał wiatr.

My stoimy jak ogłupiałe po takim siurpryzie — nie wiemy co począć. Każdego z nas elektrycznie ogarnął smutek. Jedyiny przedmiot, który miał być przyjemnością, znikł dziwnym sposobem. Gospodarz nawet przetaił oczy, nie wierząc: czy nie halunacja czasem,

ale uwierzywszy, że tu rzeczywiście tak jest — zbladł. A w niezabawie po bladeści zjawił się rumieniec wstydu — goście zaproszone, a tu nie ma czem poczęstować. Po jakimś czasie wybiegliśmy na ulicę, lecz nikogo już nie było. Tylko wiatr gwizdał w starym płocie — on po tem nie martwi się. Padał drobny deszcz, naokół było straszne błoto.

Ten wypadek był rzeczywistym, chociaż trudno uwierzyć. Ja też zastanawiałem się nad tem: kto to mógł być?... Gołą ręką sięgnąć przez szybę, aż do stołu, nie bojąc się poranienia. Wypadki złodziejskie zdarzają się bardzo często.

Etyka chłopska zaczęła się cofać wtył nie zważając na cywilizację z każdym dniem dążącą naprzód. Coraz natrętniejsze odczuwanie potrzeby materialnej kształci nowe masy złodziejstwa. Pod tą brutalnością losów najlepsze sumienie demoralizuje się. Teraz niema tej wsi, któraby nie miała swoich złodziei, już nikt nie dziwi się, że w tej nocy u sąsiada w śpichrzu została złamana kłódka i skradziono ostatni zdobytek. Złodziejstwo nie sensacja — mówią dzisiaj. U nas, w tem roku wiosną, jednej nocy załazły złodzieje do szopy, w niej nic dobrego nie znajdowało się oprócz szmaru dla kół, więc nie pogardziły nią — zabrały z przyjemnością, pozostawiając po sobie ślady bosych nóg.

V.

Trudno uwierzyć, że my dzisiaj uczymy się na profesorów oszczędności. Nasza dzisiejsza oszczędność taką jest skrypularną — że w porównaniu z nią zero wszystkie dotychczasowe książki w niniejszej dziedzinie. Oszczędzać pieniądze, kładąc je pod pierzynę lub do kasy oszczędności, to nic dziwnego, nie jest na tyle trudno: nie pić nadmiar wódki, nie grać w karty, mijać towarzystwo kieliszkowe, nie kupić dla żony nowego palta niech stare szczylniej donosi i t. p. Ale oszczędzać wtedy, kiedy nic niema — oto sztuka. W tym ostatnim my jesteśmy wielkimi oszczędnikami. Oszczędzamy wszystko i na wszystkim. Większa część przemysłu światowego może dla nas nie istnieć wcale — jego korzyść zbyt cenna. Cukru nie używamy wcale. Soli kuchennej też nie używamy — zastępuje bydlacza — czerwona. Naftę palimy tylko w wielkiej potrzebnosci. Palić tytoń ludzie ograniczyli się do minimum. Nauczyły się jakiejś dziwnej grzeczności. W towarzystwie mężczyzn żaden nie pali. A naodwrot, — z lepszą ochotą palą przy kobietach. Polega na tem, że będąc z mężczyznami boi się zapalić, żeby nie dać innym. Bo zo-

baczywszy, że ktoś chce zapalić, biegną do tego jak dzieci z prośbą dać dla nich, tak trudno odmówić. Więc nikt nie ma odwagi nawet przyznać się, że posiada tytuń. A o ile który z nich zechce zapalić, chowa się od wszystkich. Przy kobietach tego nie wynika, bo kobiety nie palą. Nawet nie kupują o ile kto widzi.

Widziałem jednego razu na własne oczy, przyszedł do sklepu chłop i prosi sprzedać mu ćwiartkę paczki tytoniu. Sklepikarz radzi mu kupić połowę. Chłop powiada, że nie posiada pieniędzy więcej jak na ćwiartkę. Ten nareszcie zgadza się sprzedać i prosi go iść z nim do mieszkania, tam rozetną. Lecz chłop upiera się, prosząc, żeby rozciąć w sklepie. Sklepikarz powiada, że w sklepie niema noża i zapytuje czemu on nie chce iść do mieszkania. Ten powiada, że tam są znajome ludzie. — No to cóż dziwnego?—zdziwił się sklepikarz. — Oni będą wiedzieli, że ja kupiłem tytoniu. I nie poszedł.

Nietylko z tytoniem, dużo z czem tak, lecz z tym jeszcze dają sobie rady. Dużo gorzej popadłszy w ręce księdza. Tam nie może być użyto żadnej chytrności. Pójdzie tak jak musi iść.

Ś. p. zmarła moja babka. W dzień pogrzebu przywiozłem popa z psalmszczykiem. Po pogrzebie zapytuje: ile za to należy. On nie wahając mówi dziesięć rubli złota. Ja zdziwiłem się. — Przecież my po niej nie otrzymaliśmy żadnego spadku. Wystarczy dla baciuszki dwadzieście złotych.

Lecz na taką sumę on wcale nie przystępuje. Targujemy się jak żydzi. Już zgadza się za czterdzieście. Ja daję dwadzieścia pięć. On jeszcze ustępuje pięć złotych. Ja trzydzieście. Po niej jakim czasie zgoda. Później chowając w drugiej wsi chłopą, powiedziały, że od nas otrzymały sto pięćdziesiąt złotych. Widocznie żeby ten też nie poskąpił się.

Później potrzebowało mi się zaświadczenie urodzenia. Przystąpiłem do plebanji nie bez lęku. Przychodzę — powiadam: tak i tak. On nasępia się i zaczyna badać:

— Czy uczęszczasz do cerkwi?

— Chodzę...

Ale on nie wierzy, wie, że kłamię... wie, że po świętach w cerkwi zawsze pusto. A ja też wiem, że jestem niewiernym — parę razy bywam... On znowóż popatrzawszy na mnie badawczo, ale już głosem więcej powyższonym przeczy:

— U spowiedzi też nie byłeś?

— Jakto? — zagadywam ja.

Lecz rozumiem, że mu nie o to chodzi. Atakuje mnie ze wszystkich stron, żebym przyznał się do winy, i zaraz pokarać w obliczu Boga, za heretykę, paroma złotemi więcej — to jego ulubiony ideał.

I tak dokładnie zbadawszy o świętości, w złym humorze siada do pisania. Chociaż kątki ust drgają uśmiechem. Po napisaniu wstaje i chodzi po mieszkaniu zamyślony, na mnie nie zważając wcale, jakby mnie tu nie było wcale. Ja zniecierpliwiony odważam się nareszcie spytać czy już skończone.

— Już... Tylko dziewięć złotych...

Dziewięć złotych wymawia tak obojętnie, niby jemu nie o to chodzi. Żadny targ nie pomoże.

Szedłem do domu oburzony: — Czyż w ewangelji świętej tak napisano: korzystaj z okazji. — Być zadowolonym z cudzej biedy. Nie... tam zupełnie inaczej.

Służbowo mówią tak... Na marginesie dnia robią ot tak... To prafonacja. Czyż tem nie zaprowadza się ludzi w błąd?...

Naprzykład:

Przyjeżdżał w zeszłym roku wyświęcać mieszkania (co czyni każdego roku). Pokropił nasze... potem zapytuje.

— Jak Misun żyje?

— Bardzo źle — odpowiadamy.

— W takim razie nie pojedę do niego — zdecydował się.

Więc kiedy ten jest biedny, to i djabły niech u niego żyją. Nie chce się wypędzać. Wie, że ten nie zapłaci, bo nie ma nic. Jak to zrozumiało... że chodzi mu właśnie o mamonę, a nie o djabła, któremu dozwala grasować.

Dzisiaj większość ludności traci zaufanie do plutokracji, szukając innych dróg religijnych. I otóż te koleje są u nas z imponującym powodzeniem, budując sektanty. Oni prawdziwiej wyświełają ewangelję świętą. Oprócz tego misjonarze sekt stoją bliżej chłopu. Nie w takim oddaleniu, jak misjonarze kościoła. Sektanty dają lepsze zrozumienie i szczerze pokochać Boga. Pokochać z miłością a nie ze strachem...

Jeszcze jedną plagą chłopską są żydzi. To istne nieszczęście ludu. (Tu właśnie idzie o żydów kupców). Oni na każdym kroku podjeżdżają na ciemnym wieśniaku. Chyba że nie mają sumienia wcale. Dla nich grosz — wszystko. Za grosz można mu napłuć w oczy i on będzie zadowolony z tego. Jaka to podłość!...

Uratować się od nich potrzebne kooperatywy, a tu niestety ich u nas niema. W tem winna sama ludność. I pokutuje. Ja też od-

czuwam ich na każdym kroku. Warto tylko pobyc na stacji, gdzie ładują kartofle. Jak oni tam fałszują na wadze, złość bierze... Nie-raz z przyjemnością ich postraszysz Hitlerem! — Czekaście, pokaże wam... Oni naprawdę nie lubią go.

Kupują po pięćdziesiąt groszy pud, a w rzeczywistości wychodzi po czterdzieście, zyskują z ignoracji. Cóż robić—musisz oddać po ile dają.

Nie gorsi od żydów działają kupcy na świnie. Tam też istne piekło oszukaństw. Nie daj Boże popaść się w ich ręce. Człowiek od razu czujesz się pokrzywdzonym i tracisz uciechę do życia. Z początku oni targują różnym sposobem. Przychodzi taki kupiec do wozu:

— Ile chcesz ogółem? — pyta.

Powiesz mu cenę. On zachodzi z drugiej strony.

— A ile za pudy?

Pomyślawszy odpowiesz i na to.

Widzi, że tym sposobem nic nie oszuka — pójdzie. W niezabawie przychodzi znowuż.

— Ile chcesz za niego?

Powiesz, że tyle a tyle za pud.

— A na kili?

— Nie sprzedaję.

Nic dziwnego, bo to trudno od razu zorjentować się, — tu właśnie zależy od wagi kabana, więc nie wiesz... żeby nie popisać błędu. A on ujrzawszy tą niezrozumiałość, naciera silniej, spodziewając się dobrych rezultatów. Krzyczy na całe gardło, macha rękoma.

— Nu, oddajesz za tyle?... A za tyle?... Co?... Powiadasz, że tak wcale nie sprzedajesz. Zaraz zjawia się drugi spółnik napewno, ten też zaczyna wrzeszczeć, tarmosząc za plecy sprzedawcę i parszkając ze złości, nazywać durniem. Słuchasz, słuchasz i oddasz.

O ile im się nie udaje wykręcić takim sposobem, dają troszeczkę drożej, z umowej, że do dziesięciu lub do pięciu kil niepłatne, jeżeli będzie równo dziesięć kil — zapłacę. Zgodzisz się pomyślisz: — Może po dziesięciu kilach pozostanie dwie czy trzy lisznie — głupstwo. A tu jednak wynika inaczej. Ten, który stoi przy wadze dopomaga im w oszukaństwie. Zawsze zrobi albo dziewięć albo osiem, choć prawidłowo miało być piętnaście. Wszystko jedno zostają wygrane: czy tak, czy owak.

Albo też weźmią pieniądze nie dorachują. Czasem bywa, że umyśl-

nie, oglądając solicierów ukłują język, powiadając, że jest chory i wtenczas nikt nie kupuje. Jesteś zmuszony oddać temu za pół ceny.

VI.

Fundamentalną naszą biedą jest ciemnota. Ociemniały fizycznie nie widzi przyrodnej panoramy ziemskiej — my brniemy omackiem w świecie duchowym. Patrzymy — a nic nie widzimy. Widzimy... a nic nie rozumiemy... Ten paraliż rozumowy przeszkadza patrzeć na świat realnie; a jego tradycyjna głupota wytwarza dużo zabobonów, przynoszących niemało nieszczęść ludziom. Ten postrach przed nieznanymi zjawiskami przyrodowymi wywołuje masy przesądów w powszechnym życiu chłopskim. Kiedyś byłem sam wielbicielem tych wymysłów. Dzisiaj już co innego... Nienawidzę.

W naszej wsi jeszcze dużo takich ludzi. Jęczmieniu nie sieją póki nie zobaczą jęczmiennych obłoków. A kiedy już ich przypadkowo ujrzą na horyzoncie, rzucają wszystko i co tchu starczy lecą siać. Odróżnić te obłoki od pospolitych — po dziś dzień nie znam. Tylko wiem, że czasem nie zjawiają się tygodniami, co muszą powodować opóźnienie siewu, a tym zły urodzaj.

Tak samo bywa z siewem żyta. Żeby lepsze urodziło, muszą wszystko swoje żyto posiać w jednej koszuli t. zn. nie zmieniając ją przez cały czas siewu; a siew ten może ciągnąć się do półtora miesiąca. Więc tu cała męka chodzić tyle czasu w brudnej koszuli. W rzeczywistości musi być inaczej. Żyto musi być posiane w jednej koszuli bez zmiany, lecz zaciepłem nie nakładając cieplejszego ubrania — w jednej koszuli to ma znaczyć: za ciepłem — wcześniej. Są inne jeszcze, naprzykład: przy siewie zboża w siewni musi być ewentualnie rtęć, co powinno wytworzyć ziarno czyste i połyskujące. I dużo innych.

Najgorzej, że te przesady zaciemniają właściwe przeszkody nieurodaju. W takich wypadkach nie szuka się lepszego sposobu gospodarowania, pozostając na jednej zasadzie całe życie. Zdają się całkowicie na los Boży.

Oświata na wsi tak postępuje nieznacznie, że trudno czekać czegoś lepszego w przyszłości, kto winien temu — nie wiadomo... napewno sama ludność. U nas nauka stoi na drugim planie. Dzieci muszą sobie zarabiać chleba. W tem częściowo winna nędza, a częściowo — niedbalstwo. Prawda, są tacy niezdolni, siedzą po osiem lat w pierwszym oddziale, na tem i kończy się ich cała karjera naukowa. Nie brak takich, które ukończyły już szkołę powszechną

i siedzą w domu nie mając środków materialnych uczyć się dalej. I cóż z tego — cała nauka poszła na marne: zapomnieli to co umieli. Nic dziwnego... Nauki pozaszkolnej niema na wsi wcale. Bibliotek żadnych. Słowem niema nic takiego, co mogłoby chociaż podtrzymać tę światłość, co w szkole została w niego wcielona. Lecz i tego niema. A po drugim, większość rodziców do nauki dzieci odnosi się złowrogo, o ile zacznie dziecko czytać mówią: — Już zasiał... Chodź skrobać ziemniaki. Z tego chleba nie będziesz jadł.

Ulubione ich podkreślenie: „nie będziesz jadł chleba”, które musi skrecać z drogi młody umysł. I większość z młodzieży traci ochotę do nauki całkowicie, ohotniej przybiegając do kartów. Zimą zajrzawszy do wsi można przykonać się, że karty u młodzieży zabierają wolne chwile, przy których całkowicie wyrabia się i zatrwała się na zawsze charakter przyszłego chłopca. Tam właśnie i pozostają najprymitywniejsze ich pojęcia o świecie, odziedziczone od rodziców w pierwotnej swej wartości.

Żeby dzisiaj początkowa nauka stała wolną — połowa uczni nie stałaby uczęszczać do szkoły. Na pierwszym planie powodem temu byłaby biedność. Po pierwszym, że chodzić do szkoły nie każdemu blisko — po dwie, po trzy kilometry, a tu brak obuwia, brak ciepłego ubrania; nie mówiąc o chlebie, co musi często zarabiać własnymi siłami. Po drugim trzeba mieć zeszyt, trzeba mieć książki, ołówki też, a tu niema, niema ani grosza. Ot co musi tamować niemało u ludzi nieznających rzeczywistej korzyści w nauce.

Ludność pozostaje ciemną... Nie przeczyta nakazu podatkowego, albo wezwania jakiegoś i t. p. I na tej ciemności mądrzejsi korzystają — robią różne nadużycia. To zdarza się często, na każdym kroku, w każdej potrzebnosci. Sekwestrator u nas też jednego razu wykorzystał. Niemało on ludzi przywiódł do ruiny. Okłamywanie jego nie znało granic. Naprzykład: opisuje gospodarza. Ten narażenie nie posiada tyle gotówki, żeby uiścić odrazu całą należność — wnosi część. On pokwituje tymczasowo, dając kawałek papieru, niemającego żadnego znaczenia — mówiąc, że potem da (po uregulowaniu całej należności) dobre pokwitowanie. A temu cóż?... Wszystko jedno. Byle nie zabrał czegoś z domu. Wierzy.

Później przynosi resztę. On przyjmuje, ale jest na tyle zakłopotany, że nawet nie ma czasu wydać pokwitowania — prosi przyjść za godzinę. Ten przychodzi, lecz jego już niema. Żona mówi, że poszedł gdzieś po sprawach, a kiedy przyjdzie — nie wiadomo. Niema sensu czekać... Przychodzi na jutro. Na jutro to samo. Ten na-

reszcie zrezygnuje i niezadługo zapomni zupełnie. Podobnych było dużo wypadków.

Po niejakiem czasie wykryła się ta sprawa. Patrzą, że wielce zaufany sekwestrator już zdążył zdefraudować urzędowo około dwóch tysięcy złotych. Nie rachując tych co napożyczał prywatnie u amerykantów i w kasie Stefczyka na weksle, które pożerowali chłopcy. Fałszował zdolnie, trudno było złapać na gorącym uczynku. Nawet wójt wstydził się, widząc tyle nieprzyjemności w swoim urzędzie.

Memu ojcu też podfałszował. Sam nosiłem do gminy te pokwitowanie. W rzeczywistości pokwitowanie było dobre — opatrzone wójtowską pieczęcią i własnoręcznym podpisem sekwestratora. Fałsz była w tem, że na numer tego naszego pokwitowania było w korkach wpisane sekwestratorem zupełnie co innego — podatek właściciela drugiej wsi. I właścicielowi tego podatku oficjalnie wydał fałszywe pokwitowanie. O tem naszym podatku urząd gminy nie wiedział półtora roku, jaki go spotkał los, skoro sekwestrator ściągał po upływie miesiąca od daty płatności, dając tylko siedmiodniowy termin.

Ale jeszcze oprócz tego mamy biedy od własnej głupoty. Pomimo tych epizodów, cierpimy jeszcze od innych wypadków. Temi wypadkami można nazwać niski poziom prowadzenia gospodarki. Co nasza gospodarka dzisiaj daje? Zaczęła się cofać wtył. Rolnik nie zdołał się jeszcze przewyczać do terażniejszej atmosfery ekonomicznej. A dawniejsze prowadzenie gospodarki stało niewystarczalne. Sztucznych nawozów nie używamy wcale; tu musi być położony kapitał zgóry — a jego narazie niema, i czy byłby nawet rachunek: nawóz kosztuje drogo, a produkt rolny tanio. Nawozu naturalnego nie wystarcza nawet na jedną czwartą część gruntu. Jego u nas z każdym rokiem stanowi się coraz mniej. Reakcja gospodarza prosta — jedno drugie dusi. Naprzykład: zjawiają się potrzeby materjalne, więc je zadawalnia się z ujemnością w gospodarce: gospodarka traci jakiś niezbędny dla siebie przedmiot. A tym jedynym przedmiotem w gospodarce bywa przeważnie bydło. Wówczas kiedy już stało bydła mniej, stanowi się mniej nawozu. Zmniejszenie się nawozu powoduje ujemność urodzaju. A skoro — urodzaj stał się małym, już niema żadnej możliwości hodować większej ilości bydła. I tak jedno drugie z każdym rokiem przywodzą do ruiny.

Ja z nauką tak samo zostałem wtyłe, pomimo tego, że miałem do niej straszną ochotę. Już czytałem, kiedy miałem pięć lat. Na

szkołę wtenczas było bardzo trudno. Rewolucja szalała w pełni, w naszym kraju panował bezład. Po niej jakimś czasie zdobyto nauczycielkę prywatnie na całą wieś. Wtedy miałem osiem lat. Czy ta nauczycielka była zawodową, niewiadomo. Jak wiadomo rewolucja większość ludzi powypędzała z miast, zmuszając ich wałęsać się po wsiach, szukając kawałka chleba. Możliwie, że i ta była podobnym zjawiskiem. Ale dosyć tego, że umiała czytać i pisać, więc została się nauczycielką. Nauka popłynęła swoją drogą. Z braku książek naukowych dały dla mnie uczyć się czytać jakiś romans. Szkoła miała być trakwistyczną: prawosławni uczyli się po rosyjsku, a katolicycy po polsku. Ja byłem do pół roku w drugim oddziale, a na drugim półroczu niby przeszedłem do trzeciego. Na wiosnę już było po szkole. Zaczęła się wojna z bolszewikami, rozruchy. Nasza miejscowość przechodziła piętnaście razy z ręk w ręce. W takich okolicznościach nie było mowy o szkole. Ojciec przez całą wojnę rzadko kiedy zjawiał się w domu, — zawsze był zabierany do obozu z własnym jęgo koniem. W domu były pozostawione same kobiety. Ja między nimi byłem najstarszym mężczyzną, więc musiałem gospodarować — o nauce nie było czasu myśleć wcale.

Później — gdy zawarto spokój — znowuż zaczęto się troszczyć o szkołę. Lecz póki ta szkoła zjawiła się u nas, miało upłynąć trzy lata. Przez ten czas kształciłem się sam przez siebie. Gdy potem, po długich kłopotach całej wsi, Polska Macierz Szkolna przysłała nam nauczycielkę na nasz koszt (rodzice uczniów musieli dawać utrzymanie i mieszkanie nauczycielce i lokal dla szkoły). W tej szkole były uczone trzy przedmioty: czytać, pisać i rachować. Mnie posadzono w drugi oddział. Na drugi rok byłem już w trzecim. Byłem pierwszym uczniem. Pod koniec roku szkolnego otrzymałem nagrodę książkową, za dobrą pilność i naukę. Uczono dobrze, tylko jedną miano wadę — co mi się bardzo nie podobało, nie uczono rysunków. Na nieszczęście miałem do nich straszną ochotę. Ta szkoła przeistniawszy dwie zimy została zamknięta. Nie wiem z jakich powodów. Na następną zimę (1925 r.) najęto nauczyciela prywatnego. Uczył po swojej metodzie, ale bardzo starannie. Umiał dobrze rysować, więc uczył rysować też. Ja go bardzo lubiłem. Do szkoły mało kto przychodził. Było tylko kilkanaście uczniów i wszystkie przeważnie abecadłowe. Tylko ja jeden byłem w czwartym oddziale. Nauczyciel miał wielką słabość do romantyzmu, więc po niedługim czasie, nie na żart, zakochał się w jednej z wiejskich dziewczynek i często zaglądał do niej podczas lekcyj. W takich wypadkach zawsze

powierzał mi opiekę nad uczniami, nawet przesłuchiwałem nieraz dane do odrabiania lekcje. Wszystko szło dobrze.

Po kilkumiesięcznej nauce, nasz nauczyciel został powołany do wojska. Na miejsce jego zastąpił jego brat. Był w moim wieku. U nas z nim po krótkim czasie stała jedność, a na całym klasie zapanała anarchja. Zawsze bawił się z nami w śnieżki, byliśmy z nim za pana brata. Nawet jednego razu płakał. Było wesoło.

Ale i tu zając przebiegł drogę. Jednego dnia przyjechał nauczyciel ze szkoły Krzywickiej z policjantem i zlikwidował do reszty naszą szkołę, zabierając ze sobą moje pozaszkolne zeszyty. Zostałem w domu. Miałem już piętnasty rok, więc nigdzie więcej nie chodziłem do szkoły. Oddać mnie do gimnazjum ojciec nie miał środków materialnych, więc musiałem z dalszej nauki zrezygnować, chociaż mnie chciało się bardzo uczyć się dalej, wcale nie chciałem być rolnikiem. Wtedy już dostatecznie rozumiałem całą nędzę chłopską, jej ciężką pracę i cienkie wynagrodzenie za trudy. A po drugim wcale nie miałem zamiłowania żyć na wsi. Zawsze marzyłem o mieście; chociaż o jego rzeczywistości jeszcze nie znałem wcale; o ile jakie miałem pojęcie to tylko z książek.

I otóż, widząc niemożliwość dalszego kształcenia się — poddałem się losowi. Zacząłem pracować na roli, pomagając ojcowi. Jednak nauki nie porzuciłem nadal. Zaczęłem zdobywać wiedzę z książek, jakie mi popadały pod rękę — uczyłem się swoim wzorem. Jak wiadomo, od początku nauki miałem zamiłowanie do rysunków, więc zaczęłem się praktykować. Wolne chwile poświęcałem zawsze dla nauki. Mój talent zaczął się rozwijać, jego rewelacja podziwiała niektórych ludzi, znających się na tej sztuce. Niektóre z nich radzili mnie jechać do specjalnej tego rodzaju szkoły, lecz z nich nikt absolutnie nie wiedział nic o tej szkole. Tylko radziły jechać, a jak — nie wiadomo. U mnie też była zjawiała się ochota rozwinąć swój talent. Stałem prosić o tem ojca. Ojciec nareszcie zgodził się i obiecał pomóc. Na szczęście moje mieliśmy troszeczkę lasów, a cena na niego wtenczas stała dobra — sprzedaliśmy go. Gdzie istnieje taka szkoła nie wiedzieliśmy wcale. Nikt nie chciał z rodziców troszczyć się o tem, więc byłem zmuszony jechać sam do Wilna w poszukiwaniu podobnego zakładu. Akurat w tem roku jeszcze tylko co zaczynała istnieć Szkoła Rzemiosł Artystycznych Wil. Tow. Art. Plast. Przyjechawszy do Wilna, pokazano mi szkołę — poszedłem. Zostałem poinformowany, na jakich warunkach przyjmuje się. O, jaki

mi sprawiło ból, gdy dowiedziałem się, iż potrzebne jest ewentualnie zaświadczenie szkolne — na nieszczęście nie miałem żadnego.

Przyjechawszy do domu poszedłem do jednego z nauczycieli prosząc o wydanie mi zaświadczenia szkolnego. Ale gdzietam, nie przystępuje pod żadnym względem, mówi: trzeba złożyć podanie do inspektora szkolnego, a on wtenczas wyznaczy egzaminy. A tu czas krótki — niema mowy o tem. Poszedłem zgnębiony do księdza. Mówię mu tak i tak... i zacząłem go prosić z całej mocy pomóc biedzie, ofiarowując mu pięć złotych. Nareszcie uległ mej prośbie — napisał, że skończyłem trzy oddziały szkoły powszechnej.

Ucieszony pojechałem znowuż do Wilna. Pokazuję zaświadczenie i okazuje się, że małe: potrzebne jest o ukończeniu siedmioklasowej szkoły powszechnej, lub czterech klas gimnazjum. Znowuż nieszczęście. Proszę jak mogę, ażeby mnie przyjęto, lecz zbytecznie — posyłają mnie do Kuratorjum Wileńskiego Okręgu Szkolnego, do naczelnika szkół zawodowych pana Kuczewskiego. Przychodzę, w kuratorjum jak baran stoję... Nareszcie zwraca na mnie uwagę woźny, czego chcę?... Powiedziałem... pokazał mi stół, dał blankiet i mówi: wypisz swój interes i czekaj na kolejkę. Zacząłem pisać, ręka trzęsie się jak od febry — nie chce pisać. A tu przy stole jakieś panie czekają na pióro. Tu woźny syknął ze złości, pisz prędzej! Widocznie poznał, że jestem wieśniakiem. Ja przestraszyłem się jeszcze gorzej, nawet nie pamiętam co napisałem i zaraz oddałem woźnemu. Zacząłem czekać... usiadłem w kącie poczekalni, obserwując przychodzących ludzi. Przychodzili jakieś panowie dobrze ubrani w kapeluszach. Moja obecność między nimi stanowiła się mi coraz dzikszą, tę dzikość z każdą chwilą odczuwałem silniej, nareszcie nie mogłem tego wszystkiego przeżyć — wybiegłem co tchu na ulicę.

Przyszedłszy do kancelarji szkolnej powiedziałem, naczelnika niema w domu. Po niejakim czasie rozmyśleń dyrektor zgodził się przyjąć na swoją odpowiedzialność, na jutro naznaczył egzaminy rysunkowe, które mi udały się nieźle. Nareszcie zaczęłem uczyć się, aż do końca roku szkolnego.

Na drugi rok skąd wziął się ten kryzys — odtaniało wszystko rolnicze i nie było żadnej możliwości dokończyć rozpoczętej nauki. I tak zostałem się z niczem po dziś dzień. Teraz też maluję, ale bardzo mało — bardzo drogie materiały malarskie, obrazów nikt nie kupuje, choć niektóre z nich warte uwagi — jak mi się zdaje. Czasem zbywam z powodzeniem za darmo. Tylko tej korzyści, że ktoś podziwi się — bardzo ślicznie. Masz zdolność i t. p.

VII.

Pierwszem podstawowem złem naszym jest małość ziem i małość rozumu. Złem rzeczywistym — tanizna produktów rolnych w porównaniu z wyrobami przemysłowemi. Jeszcze trzeba zaliczyć podatki.

Przemysłowości używamy po możliwości conajmniej; podatki, niestety, muszą być uregulowane do grosza, nie zważając na stan roczny gospodarki, więc zawsze wynika tak, że pierwsza rata opłat wiosennych zawsze pozostaje do jesieni. Staje się tak.

Na jesień zbierają się wszystkie podatki, bo dalej ciągnąć się niemogą — spotykają ze ścianą — sekwestratorem, gdzie muszą być uskutecznione bezwarunkowo, więc sprzedaje się cały swój roczny zdobytek, a w jesieni, jak wiadomo, ceny na zboże zawsze stoją niskie (dlatego napewno niskie, że rynek zawałony zbożem), i tak sprzedaje się wszystko zboże, nie czekając dogodniejszych cen. Przychodzi wiosna, przychodzą znowuż podatki... A tu brak chleba kupić niema za co — niema zarobku. W takim razie podatki pozostają do jesieni. I tak corocznie deficyt zostaje niewyrównanym.

Jeszcze jest jedno — niema zarobku. A on tak potrzebny. Bieda... Stara bieda stale wytwarza nowe biedy, jak indukcja elektryczna wytwarza nowe prądy. Naprzykład: żyje młody chłop na małym kawałku ziemi. Trudni się w pocie czoła, a tu wszystko idzie, jak najgorzej i nie widzi się niskąd żadnego ratunku. Budynek rozpadł się w proch. Z dachów leje się. Konia wiosną sprzedano z powodu braku wikt. Krowa była niezła, więc ją chciano shandlować na gorszą, żeby tym sposobem zdobyć parę groszy — sprzedano je — a kupić drugiej wtenczas nie kupiono, pozostawiono do drugiego targu — może będzie lepiej. Zaraz zjawiają się potrzeby: trzeba kupić spodnie, bo te już stare, sól też, już wyszła i zapalić się chce. I patrzy, do drugiego targu już mało pozostało z tych pieniędzy, tak, że nie wystarczy na najgorszą krowę. Niema co robić — pożyczyć nikt nie pożyczycy: bo już ma niemało napożyczanych — zdefrauduje. I rób co chcesz... zostaje się bez krowy. Niema nic... zaległości sporo. Szczęśliwiec.

Zaraz zjawia się refleksja ożenić się. Tam jakiś zamożniejszy wieśniak ma nieudałą córkę. A tu chłopiec chociaż biedny, ale przeżwoity — czemuż nie można oddać? A jemu czemuż nie można z nią ożenić się? Przecież pomoc..., setka złotych posagu. Więc zgoda. Po niej jakim czasie posag znika, jak kamfora, pozostaje sama żona...

a w niezabawie dzieci... Otóż i masz! Wytworzyła się nowa bieda, sytuacja bez wyjścia.

Dzieci, to najgorsza bieda dla biedoty. U biednego zawsze ich bywa sporo, dlaczego? Niewiadomo. Chyba, że i ludzie, jak ta pchła, mnożą się tam, gdzie więcej brudu. Ja z tym nawet zgadzam się. To najgorsza głupota chłopska. O ile tak pójdzie nadal... Głodowa śmierć w bliskiej przyszłości. Z każdym dniem ziemia dzieli się na ułamki. Ludność wzrasta ekspressem — stanowi się ciasno. A przecież tak niedawno było, że każdy gospodarz posiadał po włóce ziemi. Jak to prędko rozdrobniło się — w mgnieniu oka, nawet kultura rolnicza nie może zdążyć za wzrastającą coraz ludnością, ciemnota stoi na przeszkodzie. A tu na nieszczęście rolnik cofa się w tył. Niedobór zboża odczuwa się stopniowo z każdym rokiem.

W tym roku najgorzej. Częste deszcze przyczyniły zupełnie zły urodzaj. W dużo miejscowościach kartofle wygniły do minimum, jak wiadomo kartofle podstawową spożywą chłopą. Jarzyny też niedobór do połowy. Nawet ozim dużo podupadła wedle zeszłorocznych plonów. Na wiosnę rozpościera się straszna perspektywa głodu.

VIII.

Jeszcze można byłoby dużo czego dodać, ale niestety, muszę zakończyć, ograniczywszy się tem, co zdołałem napisać, do dzisiejszego dnia, bo mamy już 28 listopada, więc boję się spóźnić — na żal, rozpocząłem zapóźno pisanie. Chcę jeszcze dodać parę wskazówek na konto tego chłopskiego obrazu, który państwo chcecie skomponować. Mojem zdaniem on powinien być namalowany w szarych, brudnych kolorach. Najlepiej, żeby stał na pierwszym planie chłop średniego wieku w butach bez cholewów, które na jego nogach muszą prezentować się luksusowo; jego przygnębiona i zgarbiona figura powinna być ubrana w ewentualnie zniszczone do minimum ubranie. Obok niego musi stać taka sama jego żona, młodsza wiekiem, bosa, z chudym twarzem i z niebieskimi podkowami naokoło oczu. Za nimi dużo dzieci brudnych z długimi włosami, różnego wzrostu. Dalej — nędzna gospodarka, podobniejsza więcej do rudery niżeli do budynków zamieszkałych; strzechy słomiane pofalowany wiatrem z dziurami; ściany zgniłe, chałupa z małymi oknami pozatykanymi szmatami, niska i mała, z drzewnianym kominem, na wierzchołku jego wiadro bez dna. Naokoło, w jesieni wiosną, błoto — brud wszędzie. Dal zamglona. Słońce nie powinno świecić nigdy, w ostateczności tylko po świętach. Na Boże Narodzenie, na Wiel-

kanoc, na Zielone Świątki, więcej powinna być mgła jesienna. Po mieszkaniu muszą chodzić kury, a czasem i świnię, duży piec w kącie ściany i sufit poczerniały od dymu, za stołem w kącie duży rząd obrazów świętych spłowiejących od czasu. Chłop-gospodarz powinien często bić własną żonę nierzadko przychodzić pijanym do domu. Dzieci pastwią bydło u zamożniejszych gospodarzy. Żona jego musi często płakać i narzekać na swój los. Rodzice, pod jesień, zawsze klną rozporządzenie, że trzeba posyłać dzieci do szkoły. Oboje muszą być troszeczkę głupe, lecz dostatecznie chytre, bardzo tchórzliwe. Wierzą w różne przesady — na świat patrzą prosto. Żona bywa przeważnie religijną. Dzieci nie słuchają rodziców. Na zebraniach publicznych zawsze bywa jak baran. Przed prawem — drży. Dużo pracuje, ale czasem leni się — w pracy wytrzymały. Lubi handlować. W nieszczęściach rysy twarzy bywają obojętne. Nieszczęść bywa dużo, więcej od własnej głupoty. Powinien być niepiśmienny, żona też, lecz książkę do nabożeństwa bierze idąc do kościoła. Ma dużo słabości w niektórych wypadkach często bywa apikuryjczykiem. Lubi kraść od nędzy. Z ludźmi cywilizowanymi zachowuje się dziko. Córka zgorszona od najmłodszych lat, z porządnym temperamentem do erotyki, zdolna do kochania platonicznego. Syn młodym żeni się i zaniedługo dzieli się. W domu częste kłótnie pomiędzy kobietami, a potem i mężczyznami. Nędza na porządku dziennym.

Zdaje mi się że już będzie dostatecznie wyrażona psychika chłop-ska w perspektywie. Na tem i zakończam. Chcę tylko jeszcze poprosić, żeby państwo raczyli dla mnie wysłać chociaż fragment tego obrazu, bo na większe nie mam nadziei.

Dn. 28 listopada 1933 r.

**Gospodarz pięciohektarowy w
pow. mołodeckim**

Mieszkam w powiecie Mołodeckim na Wileńszczyźnie. Prowadzę gospodarstwo na pięciu hektarach ziemi. Nasza okolica znajduje się w fatalnych warunkach ekonomiczno - gospodarczych.

Od miasta stołecznego Wilna 140 km., od granicy bolszewickiej 20 km., na północ Litwa. Słowem żyjemy w zapadłym zakątku naszego kraju, gdzie niema najmniejszego ożywienia handlu i zaniedbana kultura gospodarczo - społeczna.

Zdani jesteśmy na łaskę pośredników żydów, którzy jak pijawki wysysają naszą krew, handlując artykułami rolnymi. Ceny na te artykuły rolne ustanawiają na miejscowym rynku tylko żydzi. I tym sposobem każdy żyd dorabia się fortuny, kosztem wyzysku drobnego rolnika. Każda sztuka rzeźna, każdy korzec zboża, każde jajko, kura, len i siemie lniane i t. p. artykuły, wszystko przechodzi przez ręce pośredników żydów, w których pewien procent zostaje na ich korzyść. Rolnik nasz mając towar do zbycia nic bez żyda sprzedać nie może.

Dla moich sąsiadów jest teraz stan opłakany, nad którym nikt poważnie nie zastanawia się, gdyż oni sami wychowani w półtorawiekowej niewoli, z pokolenia w pokolenie pozbawieni są tej cechy przedsiębiorczości wyzwoleni się od wyzysku pośredników. Jakiś czyn, jakieś działanie każdy rad zwać na kogoś, a sam gotowego patrzeć i bez miłosierdzia krytykować. Na okoliczność tu u mnie lud ciemny, ospały, niezdolny do czynów szlachetnych, zabity od świata deskami, nie mając dostępu kultury zachodniej. Moi sąsiedzi są bardzo przezorni i niedowierzająco odnoszą się do pracy społecznej. Chętniej zniosą biedę i niedostatek niż mają wczas zapobiec temu.

Komunikacja u nas utrudniona błotnistymi wybojami na drogach. Przewiezienie ciężkiego wozu na dystans 20 km. jest nie do pomyślenia. Rynków zbytu nie mamy. Tylko żydzi jeżdżą po wsiach i wykupują za pół ceny artykuły rolne, ten owoc pracy rolnika.

Każdy urząd jest od nas daleko, uważając drobnego rolnika za element najniższego znaczenia w społeczeństwie. Uważają, iż rolnik to najpotulniejsze i najspokojniejsze narzędzie, służące do wykonywania wszelkich czynności, niewchodzących często w zakres programu. Każdy najmniejszy urzędnik choćby i samorządowy, nadąsany zgóry patrzy na tego biednego rolnika uważając, iż ten człowiek, co to ma do czynienia ze zwierzętami i rolą, jest najniższą jednostką zasługującą na poahańbienie i separację.

Pomijając te najgłówniejsze czynniki, iż brak jest rynków zbytu i brak jest organizacji rolniczej, to drobny tutejszy rolnik żyje tak biednie, iż nie ma źródła dochodu gospodarczego. A jak jest wielki rok, tak bez chleba i bez mięsa jada, mając go na stole tylko podczas świąt. Słowem tutejszy mały rolnik przymiera głodem i cierpi wielkiej nędzy w niedostatku, gdyż mając mało ziemi, zasiewa mało i sprząta mało. Nic tu nie pomoże i wiedza rolnicza na tak małej przestrzeni.

Na dowód przytoczę swoje pięciu hektarowe gospodarstwo, na którym zbiór płodów rolnych za 1933 r. przedstawia się następująco:

Nazwa płodu	Ziarna lub kłębów kg.	Słomy lub siana kg.
Zyta	800	1500
Owsa	432	450
Jęczmienia	200	400
Ziemniaków	2334	—
Siana	—	2736
Razem	3766	5136

Na tym gospodarstwie znajduje się jeden koń, jedna krowa, jedna jałówka, wieprz tuczy się na sprzedaż i dziesięć sztuk drobiu. Rodzina składa się z dwóch członków dorosłych i jednego dziecka.

Poniższa tabliczka przedstawia, przy bardzo skąpem żywieniu, zapotrzebowanie karmu dla poszczególnych zwierząt, karmionych na chlewie przez 200 dni zimowych, na siew i na kuchnię w kg.:

Nazwa płodu	dla konia	dla krów	dla drobiu	dla świń	na siew	na kuchnię
Siana	2000	736	—	—	—	—
Słomy	500	1350	—	—	—	—
Ziemniaków	—	—	—	640	960	734
Ogółem ziarna	—	—	100	240	560	732
Razem	2500	2086	100	880	1520	1466

Rezultat jest taki: że koń ledwie zipie, krowa mleka nie daje, od kur jaj niema i sami, mimo że dokupujęm chleba cierpim głodu i postu. Ostatniego wieprza muszę wytuczyć na sprzedaż, ażeby opłacić podatek, gdyż sekwestrator z chaty nie wyłazi. Urząd skarbowy śle upomnienie za upomnieniem, ani się naporasz ich opłacić. Za jedno upomnienie opłaciłem kary jeden złoty, a pół złotego nie starczyło mi i niezadługo przyjechał do mnie sekwestrator i za tych pięćdziesiąt groszy opisał mi do licytacji szafę, szacując za trzy złote kiedy ona warta 60 złotych volens nolens musiałem zapłacić tę karę pół złotego i za tę karę jeszcze kary do czterech i pół złotego.

Mam jednego jedyne go wieprza, był przeznaczony na tuczenie dla siebie, lecz potrzeby zmuszają by sprzedać na rynek. Kalkuluję sobie tak (ponieważ tu u nas jeszcze tranzakcje handlowe odbywają się na pudy) wytuczę wieprza na jakich sześć pudów, a na najbliższym rynku daje kupiec (bo tylko jeden i przyjeżdża) po 17 zł. za pud i dwa pudy „skidki” więc płatnych będzie cztery pudy po 17 zł. = 68 zł. Chwytam się za głowę z przerażeniem iż tak mało otrzymuję, a tak mnie drogo kosztuje tuczenie! I zastanawiam się jaki mam zysk wykazując w poniższej tabliczce:

Wyszczególnienie	Zjadł pudów	Cena za pud		S u m a	
		zł.	gr.	zł.	gr.
Ziemniaków	38½	—	80	30	80
Ogółem ziarna	14½	2	—	29	—
Miękiny lnianej	4	—	50	2	—
Koszt przemiału zboża	—	—	15	2	17
Pastwisko, obsługa i inne	—	—	—	10	—
Razem koszt żywienia	—	—	—	73	97

Czyli na swoim wieprzu straty będę miał $73,97 - 68 = 5,97$ zł. Ale pomijając wszystko, nie zważając na straty muszę sprzedawać, gdyż potrzeba zmusza.

Sprzedalbym jałówkę, to gdybym tak na rynku zbytu przez jakąś organizację nap. rzeźnię spółdzielczą lub inną tobym zapłacili mnie za nią od kg. żywca po cenie giełdowej 60—70 gr. za kg. A ponieważ ona waży do 200 kg. miałbym 120—140 zł., byłbym nieźle „ale” wyprowadzisz na rynek, to żydzi od rana do wieczora tylko pytają się ceny nic nie mówiąc, a zbywając tylko kpinkami i wydrwinami, nareszcie pod samy wieczór każdy pokolei dobija targu (kupując na oko) za 30—35 zł. Gdzież jest sprawiedliwość, gdzie jest ratunek?

Wywiozłem parę pudów siemienia lniane sprzedać, po kolejnym przetargowaniu jeden zgodził się na umówioną cenę 4,5 zł. za pud, poniosł do swojej wagi i wylicza mi tak: dwa kg. na worek, a ponieważ 100 kg. niema sześć pudów więc na dwa pudy należy się jeden kg. czyli że za wszystko płaci 3,70 złotego.

Poniesła moja żona sprzedać na rynek mendel jaj, dają jej żydzi po 45 gr. za mendel, a faktyczna cena 50 gr., niesie na rynek do przekupki, myśląc że dostanie miejscową cenę należną pół zł. za mendel, ale gdzietam, przekupka też daje 45 gr. odwraca się i niesie dalej i tak musiała oddać pomocnikowi przekupki za 45 gr. a ten zarobił 5 gr. na jednym mendlu jaj od swojej chlebobawczyni-przekupki.

Jeżeli zechce sprzedać kg. masła, to również nawymyślają, wydrwiwają na różne tony i wkońcu musi oddać za tyle ile sobie życzy dać ze swej łaski, jakaś pani urzędniczka lub żydówka. Gdzie się nie obrócisz, gdzie się nie spojrzysz, to aż się roi koło nas od tej zgrai, tak licznej armji pośredników-wyzyskiwaczy rolników drobnych, którzy żyją pasorzytując mozolny dorobek rolnika. Wysysają u niego z każdej żyłki krew, aż do ostatniej kropli tak, że ten dotychczas zaciskał wciąż pasa na samych niemal kościach, aż nareszcie już i duch wyłazi, bo oto staje się nieczuły na wszelkie groźby urzędów rządowych i samorządowych, na wszelkie upomnienia i przyjazdy sekwestratorów, licytacji komorników i t. d., i t. d.

Ten sam rolnik, który był przedtem pilny w opłatach różnych należności, dziś opanowuje go zniechęcenie do życia, rozczarowany nie mogąc podolać wydatkom, nie mając dochodu najmniejszego z gospodarstwa, gdyż ten dochód pochłaniają różnego rodzaju pośrednicy. I tak wżarła się bieda i nędza w schudniały szkielet orga-

nizmu drobnego rolnika i gryzie już jego do ostatniego końca. Stał się on słaby, jako indywiduum w walce z przeciwnościami jego losu. Jego słaby i wycieńczony organizm do ostatka sił ulega w każdym momencie, gdyż nie ma hartu ducha. Mimowoli odbiegam od tematu, ale to wszystko mówię o sobie.

Życie i kultura posuwają się w b. szybkim tempie. Każdy człowiek musi za nim nadążyć i śledzić. To tylko może osiągnąć czytanie gazet i różnych książek. Ja należę do ludzi b. ciekawych, każdy skrawek gazety, który popadnie do moich rąk muszę przeczytać. Bardzo jestem zamilowany w czytaniu książek i gazet. To też nieraz odmawiam sobie najniezbędniejszej rzeczy, bylebym wypisać jaką choć tygodniową gazetę, gdyż codziennej niestety nie otrzymasz. Każda gazeta lub list przychodzi do najbliższego urzędu pocztowego, a stamtąd listonosz odsyła do urzędu gminy, lecz w gminie wszelka korespondencja wsiąka w ścianki szafki i ginie bezpowrotnie, nie dotarłszy do rąk właściciela. Ja za swoje gazetki nieraz skarżyłem się do wyższej instancji, lecz bezskutecznie, gdyż ze swojej gminy rzadko kiedy otrzymuję Nr. gazety. Łaknę wiadomości, żałuję swoich gazet, nie wiem co się dzieje na świecie, jakie ceny na ziemioplody i t. d., lecz niema na to rady. Nie mam pieniędzy by jeszcze opodatkować siebie po złotówce miesięcznie na opłacenie skrytki na poczcie.

Od kilku lat już marzę o założeniu sobie radja, które jest najmiłą rozrywką i przyjemnością na wsi. Ale niestety, tak wygórowany podatek w Polsce, aż trzy zł. miesięcznie za słuchanie radja, tamuje wszelki postęp kultury pośród ludności wiejskiej. I dlatego że tak wielki podatek nie mogę przeprowadzić instalacji radjowej. Gdzież jest sprawiedliwość dla rolnika? Gdzie się nie obrócisz wszystko płąć, a tu nikt tego nie wie, że brak grosza na sól. Dlatego to, że rolnik nie może wypisać gazety, gdyż nie otrzyma bo w gminie ginie, nie założy radja bo drogie, panuje ciemnota na wsi i brak uświadomienia o tak pięknej idei, organizacji wielkich rzesz rolników i wogóle o postępie kultury rolnej. Żyjemy zupełnie podobnie tak, jak żyli nasi rodzice, dziady i pradziady. Ponieważ nie mamy grosza na kupno zapalek, które robimy z jednej 3—4 sztuki dobywamy ogień najczęściej z krzesiwa, gdyż to najtańszy sposób wydobycia ognia. Grzyb drzewny (narośla) wymoczony w popiele drzewnym przez dwa tygodnie, krzemień i krzesiwo, oto cały przyrząd nic nie kosztujący do zdobywania ognia. Bo nawet nie mam za co sobie kupić wiadra do noszenia wody i pojenia inwentarza, noszę

wodę garnkiem i dzbanem. Niema za co kupić piły do rżnięcia drzewa, rąbę toporem. Wóz na drewnianych osiach, prymitywna uprząż i zdechły koń, oto cały postęp „kultury” rolniej! Słowem powiedziałbym że odstąpiliśmy o sto lat wstecz.

Niczem nie różnimy się od swoich dziadów w odżywianiu się. Podstawową naszą karmą to jest zacier i buljon. Żadnych innych smakołyków nie znamy, ale co nawet gorsza, że i buljonu bywa brak. Nie mówiąc już o ubraniu, które się drze na strzępy, a nowego niema za co zrobić. Słowem prowadzimy życie łazarza, nie mając żadnych wygod w życiu i nie znając żadnych postępów w rolnictwie.

Zdrowy duch jest w zdrowym ciele, ale teraz drobny rolnik ma duch sparaliżowany w jego wycieńczonym organizmie. Mało można spodziewać się po tych obywatelach. Następcy nasi też nie są lepiej wychowani. Z powodu ciemnoty rodziców młode pokolenie jest wychowane w fatalnych warunkach, gdzieś w czystym polu przy krowach, przy pasionce, będzie w przyszłości przedstawiało element najgorszego gatunku. Takie wychowanie młodzieży w gromadzie w polu doprowadza do rezultatów tych, że policja z młodzieżą nie daje rady. Panuje kradzież, grabieży, bandytyzm, morderstwo i przepełnienie więzień.

Oto obrazek z życia podam jaki widziałem. Grupa pasącej młodzieży w bestjalski sposób znęcała się nad krowami: jeżeli która zawiniła, okrążali ją dokoła całą gromadą i siekli batami bez miłosierdzia, lub wiązali je grupami po kilka sztuk i brali ich w t. zw. „obławę”. Wyłapywali biedne żaby, brali ich za tylne łapki i rozdzierali ich żywcem z rozkoszą słuchając żalonych pisków tego nieszczęśliwego stworzenia. A cóż dopiero z gniazdami różnych ptaków? Wyszukują po krzakach gniazd, niszczą jajeczka. Po okropnych torturach i męczarniach konają w ich rękach malutkie pisklęta. Tych małych nieszczęśliwych dziątek matki z żalonym ćwirkaniem rzucają się do rąk tych niedorosłych rozbójników, jakby chciały wydarć nieszczęśliwe ofiary.

Zasiadali po czterech do gry w karty na pieniądze t. zw. „oczko”. Kradli od rodziców ostatni grosz, przyprowadzając ich o kłótnie i zasiadając godzinami, zawzięcie wygrywali, zanim się nie skończyło bijatyką. Brali z sobą w pole jajka — kradzione — wyrządzali przy-smaki. A nawet wydajali krowy w polu, wyłapywali kury u sąsiada, wybierali ogórki, kartofle i t. p.

Każdy przechodzień drogą nie był ominięty. Każdego obsypywali epitetami. Drażnili. Przezywali. Wykrzywiali na różne spo-

soby. Nie obeszło się tak, żeby sąsiadowi nie wyrządzili w polu szkody. Spasali łąkę lub żyto, czy jarzyny, nic z tego nie robili jeżeli widzieli idącego gospodarza.

Oto był wypadek, na myśl którego, włosy się jeżą. Z tej samej bandy grupa starszych podrostków pasła konie na majątkowej łące przy drodze. Była to już późna noc. Drogą tą szła staruszka w wieku 60-ciu lat, powracała z łaźni. Kiedy zobaczyła na łące tabun koni, wyzwała ich na „szelmy”. Wtedy trzech drabów puściło się w poгон za staruszką i jeden z tyłu ugodził ją kołkiem po głowie, drugi zaś poprawił kamieniem i na jutro był już trup. Słowem każde żywe stworzenie stawało się ofiarą tych dzikusów. Rodzice im na to nic nie mówili.

Nic tu nie pomagają ustawy o przymusie posyłania dzieci do szkoły. Rodzice stale się tłumaczą przed nauczycielem brakiem pomocy w domu, lub brakiem przyodziewku, obuwia, lub t. p. nieuzasadnionymi podstawami i widzimy nadal wciąż i zawsze gromady w polu rozbestwionych dzieci, zajętych przy pasionce. Słowem młode pokolenie otrzymuje dzikie wychowanie. Oczywiście że są i tu wyjątki.

Mimowoli mnie ciągnie pióro do opisania tych najważniejszych bolączek naszego społeczeństwa. Przecież tu muszę pisać o sobie i o swojej doli i niedoli. Najadłem się dzisiaj postnego pęczaku, ziemniaków z kapustą i fruвам gdzieś w ideałach. Posny pęczak i posna kapusta, a w dodatku soloną pastewną solą, skłaniają mnie do pisania, że i miejsca tuby nie było.

Solę strawę pastewną solą gdyż ona jest tańszą od kuchennej.

Pracy z żoną mam po uszy; wstajemy rano o godz. (choć zegarka nie mamy) 6-ej, a latem o 4-ej i pracujemy ciężko w pocie czoła, aż oczy na łeb lażą, do godziny 8-ej i 9-ej.

Nieraz aż mdłości biorą od wycieńczenia. Wyglądamy jak kościotrupy. Dzieciasek nasz ma nóżki krzywe od złego odżywiania się matki i jego. Nic tu i wiedza nie pomaga, jeżeli ostatnie jajko odrywasz od ust i sprzedajesz na funt nafty, lub paczkę zapalek, czy na podatek. Przez cały rok kupiłem tylko jeden kg. cukru na wielkanoc. Oddałem dwa zł. i więcej nie mogę kupić dla dziecka. Cukier krzepi, ale nie nas. Choć mamy dosyć świeżego powietrza, ale jesteśmy w anemji. Brak rumieńca w twarzy u mnie, u żony i u dziecka.

Oto zeszedł wiosny jak zabrakowało chleba i wszelkiego jada, to były takie chwile, że człowiek szedł i ślaniał się ze słabości. Wio-

sna. Pięknie. Śpiew słowików. Raduje się cała przyroda, a ja głodny usiadłem na progu i płacę gorzkimi łzami, jak dziecko. Porywała mnie myśl o samobójstwie, lecz żałowałem kochanej rodziny. Gdzież wtedy Rząd? Gdzie władza? Gdzie urzędy i administracja państwa, jeżeli „ślabowane portki” zdychają z głodu? Niech mi wybaczą, że ja tak dużo piszę! Ale chwala Panu Bogu i dzięki Instytutowi G. Społecznego w Warszawie na ul. Czerwonego Krzyża pod Nr. 20, że ja tu choć wyleję swoją gorycz i żal na swój ciężki los. Może ktoś mi zarzuci, że źle gospodaruję i dlatego brak mi jest chleba, ażebym lepiej uprawiał rolę, tobym nie głodował. Otóż na to powiem: staram się uprawiać rolę jak najlepiej, wprowadzam ulepszenie gospodarstwa jak mogę, ale to nic nie pomaga, jeżeli co roku brakuje nasienia na obsiew swoich gruntów uprawnych, a przecież jest i nieużytków zgórą hektara: jak rowy, drogi i t. d. Oto w tym roku 1933 prawie hektar pola leżało pod czarnym ugorem, nie dając żadnego zysku. Nie miałem pieniędzy kupić jakich 8 pudów łubinu, by posiać pod żyto. Choć orałem przez całe lato kilka razy, ale wszystko jedno posiałem żyto, na pustej wyjałowionej roli (choć należycie doprawionej) na stanowisku po życie. I znowu będzie marny urodzaj żyta i tak z roku na rok brak i niedostatek. Nic tu nie pomaga i wiedza fachowa, bo skończyłem szkołę rolniczą.

Dn. 30 listopada 1933 r.

Gospodarz dwudziestopięciomorgowy w pow. bydgoskim

I. Przyjazd z Niemiec i osiedlenie się

Przyjechawszy w maju 1920 r. z Westfalji (Niemcy) i ożyniwszy się tutaj, osiadłem się w ***, pow. bydgoskiego. Mając trochę zaoszczędzonego grosza dałem najpierw 10.000 mk. na pożyczkę polską, a za resztę złożywszy z posagiem żony kupielem sobie osadę rentową, wielkości 25 mórg ($6\frac{3}{4}$ ha) za cenę 49 tysięcy mk. Nie mając jednakowoż tyle gotówki, ponieważ przedtem dałem 10.000 mk. na pożyczkę, pozostawiłem sprzedający 11.000 mk. na hipotecę, a zapłaciłem w gotówce 38 tysięcy mk.

II. Stan i położenie osady

Osada którą nabyliśmy była w opłakanym stanie. Żywego inwentarza było: jedna krowa, która dojna na dwa cycki i dawała $1\frac{1}{2}$ litra mleka dziennie, jeden koń, który był z jakiego przeszło 20 lat a tak zamorzony iż obawiałem się że mi lada dzień zdechnie. Świń i kur nie było żadnych. Martwy inwentarz oprócz woza, dosyć dobry. Osadę przejechaliśmy na same żniwa od 1-go lipca 1920 r., obsianych było dziesięć mórg żytem, cztery morgi kartofli, reszta jest łąki. Gdy pierwsze żniwa sprzątnął i wymłócił, to dało dosłownie dziewiętnaście centnarów żyta (50 kilogramowych) czyli z morgi 190 funtów. Nie mając żadnego doświadczenia w rolnictwie, ciężko musiałem się borykać z wszelkimi przeciwnościami, zaznaczyć muszę iż rola jest VI klasy, piaszczysta miejscami żwirowata. Położenie osiedla jest dość piękne. Osada leży przy szosie, z południowej strony ciągną się lasy państwowe, z północnej strony przeżyna przez łąki kanał bydgoski. Odległość do Bydgoszczy jest 14 klm.

III. Długi i ciężary

Na osadzie mej ciążą następujące ciężary: 1. Renta Banku Rolnego w wysokości 202 zł. i 16 gr. rocznie, 2. Dożywocie zapisane na teściu, 3. Dziecinne pieniądze w sumie 2000 mk. zapisanych 13 czerwca 1918 r. Pozatem mam w Kasie Stefczyka w Łochowie jeszcze 50 zł. (było 100), 50 oddałem w październiku.

IV. Tryb naszego życia i pracy na roli

Jak już wyżej wspomniałem nie mając żadnego doświadczenia na roli, ciężko borykać musiałem się z niejednymy przeciwnościami. Można sobie wyobrazić nasze położenie, gdy nie mieli na początku naszej gospodarki ani pieniędzy, ani żyta na chleb, ani bydła w oborze. Zaznaczyć muszę, iż z początku było nas sześć osób i to: żony ojciec i matka, żony siostra i siostrzeniec. Matka w czternaście dni po naszym ślubie umarła, siostra po pół roku wyjechała do Ameryki. Położenie nasze było ciężkie, tem cięższe, że nie miałem pieniędzy, aby kupić jeszcze jedną krowę. Lecz że było nakopane dużo torfu, a torf był bardzo pokupny więc sprzedałem łąsko torfu i kupiełem sobie jedną dość starą krowę, na młodszą nie było mnie stać. Lecz szczęście mi sprzyjało, bo trafiłem, choć stara, lecz dawała dużo mleka. Gdy była po ociełeniu dawała do 18 litrów dziennie. A więc już miałem dwie krowy, a raczej półtora. Zaczeliśmy oszczędzać, aby kupić sobie inną krowę, a tego byka, jak mówiłem sprzedać. Lecz ten pieniądz jak węgorz wyslizgiwał się z ręki na rozmaite rzeczy, które były do gospodarstwa potrzebne, a po drugie i przez swoją dewaluację nie można było tej krowy dogonić. Jednakowoż krok za krokiem dorobiliśmy się do trzech krów, kupiełem innego konia, pobudowałem szope do torfu i woza, postawiłem nowe ogrodzenie naokoło gospodarki, kupiełem nowy wóz i mogę sumiennie powiedzieć, że dosyć mi się dobrze powodziło, a to z tego powodu iż nie miałem w gospodarstwie żadnych wypadków, jako to: padnięcie konia lub krowy i t. d., a renty osadnicze nie były aż do 1927 r. uregulowane. Lecz po pierwszych bezwypadkowych latach, nastąpiły lata wypadkowe, które jak pioruny na mnie się waliły. Najpierw dostałem z Banku Rolnego w Poznaniu nakaz, aby zapłacić zaległe raty rentowne w sumie około 600 zł. Więc wziąłem jedną krowę i sprzedałem 350 zł., reszcie miałem zaoszczędzone, wziąłem i zapłaciłem. Było to w roku 1928. W tem samym roku w sierpniu jeden mój synek trzyletni wkręcił sobie palce w tryby młockarki,

musiałem go oddać do szpitala, kosztowało mnie to 105 zł. Tego samego roku we wrześniu zachorowała mi na pastwisku krowa, leczyłem jak mogłem, lecz w końcu musiałem prawie za bezcen sprzedać handlarzowi. Znow w grudniu tego samego roku uległem wypadkowi, przy reperacji półszorka wbiełem sobie igłę rymarską w prawą dłoń, co kosztowało mnie 50 zł. operacja. Takim niepowodzeniem zakończył się rok 1928. W roku 1929 prawie że straciłem znow jedną krowę. Lecz poważniejszych wypadków w tym roku jako i w roku 1930 nie miałem. Dopiero rok 1931 był mi rokiem nieszczęścia. Bo oto pożyczełem sąsiadowi konia do orania (my sobie zawsze wzajemnie pożyczamy) i napasł go tak, iż musiał zdychać nie było już żadnego ratunku. Było to 26 sierpnia, a że w tem czasie zawsze konie są bardzo drogie, a nie mając pieniędzy, pożyczełem od pewnego większego gospodarza 200 zł. i kupiełem sobie młodą klacz, choć troche niezgrabna i nie tak silna, lecz kupiełem ją, aby móc sobie uchronić od niej jakiego konia, aby mi się ta strata wróciła. Pożyczone pieniądze obiecałem oddać na nowy rok, bo sobie myślałem, że za perki i za kapuste będę mógł lepsko grosza zebrać i dług oddać. Lecz przeliczełem się. Bo za kartofle i kapuste trzeba się i przyrodzić na zime, ale i dzieci nie chcą boso i nago chodzić, a i Bank Rolny wciąż się dopomina. Nie chcąc jednak słowa złamać, wzięłem obligację pożyczkową na 330 zł. i chciałem za zastawem tych obligacji pożyczyć na Banku Polskiem w Bydgoszczy 100 zł. Lecz tych obligacji było zamało, brakło jeszcze coś około 200 zł. więc pożyczyć nie dostałem, więc musiałem pożyczkę sprzedać, za którą dostałem coś bez 60 zł. dokładnie nie pamiętam. Sprzedałem troche żyta, choć na wiosnę musiałem dokupić i tak dług oddałem. W roku 1932 zdechła mi znow maciora, która miała się za trzy tygodnie oprosić. Kupiełem sobie dwa prosięta, aby się dochować znow maciory, lecz jeden (wieprzek) gdy go już przetrzymałem blisko dwa miesiące zdechł mi, a pozostała świnka ładnie urosła i 26 czerwca w tem roku ją dopuściłem do knura, lecz w trzy dni potem mi zdechła. Więc znow kupiełem sobie dwa. Jeden wieprzek i świnkę. Wieprzek mi się ładnie utuczył, lecz świnka dostała jakąś chorobę jakby paraliż i zdechła. Chcę tutaj jeszcze nadmienić o klaczy, którą kupiełem, aby się dochować konia, a nie wiedziałem, iż kupiełem klacz, która już była żrebna. I tutaj miałem tak znow troche szczęścia. Żrebca sobie chowam, lecz pewnie ciężko będzie mi go przetrzymać, ponieważ po jedno, iż trzymać trzy krowy i dwa konie za dużo wychodzi paszy, po drugie chciałbym do Banku

Rolnego coś posłać, aby mi nie przysłali czasem komornika, a szkoda mi go, bo na lutego będzie miał dwa lata i wnet bym miał z niego konia. Tak oto przebijalem się przez rozmaite trudy i przeszkody.

V. J a k p r a c u j e m y

Do pracy w gospodarstwie jest nas dwoje: żona i ja. Mamy ojca, lecz jest już za stary aby mógł pracować, chyba trochę drzewa udziabie. Mam troje dzieci w wieku siedem, osiem i dwanaście lat. Wszyscy chodzą do szkoły, tyłem z niech pomocy, że w lecie pasą krowy. A więc cały ciężar pracy leży na nas oboje. Najmowanie do pracy jest wykluczone, bo za wiele kosztuje, chyba do wybierania kartofli. I tak latem codzień wstaje o czwartej i to z tego powodu, iż odstawiam mleko do interesu, dostaje dwa grosze od litra więc i to się opłaci już rychło wstać. Zimową porą wstaje o pół piątej, ponieważ mleko się prędzej wystudzi. I tak zaczne od wiosny. Aby móc jaknajskrawiej przedstawić to uwijanie się, przytocze tutaj jeden szczegół, a mianowicie. Chciałem na wiosne dać przestawić w pokoju, który zajmuje ojciec piec, ponieważ przez zime się już licho w niem paliło. Lecz nieprędzy, aż będę trochę po robocie, aż zasadze perki, ponieważ musze murarzowi pomóc. Lecz gdy żem zasadzieli perki, to znów było tak: prędy nie aż będę trochę po robocie, aż się na łące zorze i się zasadzi ćwikieł. Gdy się to zrobi, trzeba na gwałt szykować do kapusty i sadzić kapuste, jeszcze kapusta nie jest zasadzona, trzeba kopać torf. Jeszcze nie wykopałem wszystkiego torfu, już ćwikieł powschodzieła i musi być haka, pohaka się ćwikieł, czas i kapuste hakać. A dodać musze, iż wszelkie warzywa dla inwentarza jak ćwikieł i brukiew musimy koniecznie sadzić na łące, ponieważ na roli jest za duże ryzyko, bo jest piaszczysta, a na łące znów rzucają się bardzo chwasty. Na roli pohaka się raz i drugi i jest czysto, a na łące jak się na jednym końcu przestanie, to już od początku trzeba zaczynać. Najwięcy utrapienia robią nam pędraki ciemno szare, grubości ołówka, które ucinają wszelką flance, a szczególnie kapuste. I tak, gdy żem latoś posadzieli w jednym dniu około sześć kopów kapusty, to na czwarty dzień, żeby jedna flanca stojała, to bym mówił że stoi jeszcze jedna, lecz nie było ani jednej. I musielim znów na nowo sadzić, lecz musielim w każdym miejscu ziemie wydrapać i wyszukać robaki i pozabijać. I tak, gdy już wszystko było posadzone, trzeba prędko ćwikieł przerywać, już ale i torf musi być przestawić, ale czas i łąki

siec. Gdy pogoda sprzyja to jeszcze pół biedy ze sianem. Były dnie, co gdy żem poszedł na rano na łąkę, to nie przyszedłem aż słońce zachodziło, a obiad przynieśli mi dzieci, lub żona gdy przyszła na łąkę do pracy. Ledwie się uskromnielim ze sianem, już i żniwa za pasem, ale i torf trzeba w kopy zwalić i zwozić. Nie dosyć, że sam mam swej roboty dosyć, trzeba iść na zawołanie odrobić, za pożyczenie larki do kopania torfu, to znów za pożyczenie grabiarki, więc trzeba swoje zostawić a iść odrobić, boby się na drugi rok nie dostało pożyczyć. Raz nawet wstałem o drugiej i poszedłem siec żyto, aby dogonić, co zmudziłem przez te odróbki. Po żniwach zaraz młócić, podorywać, raz lub dwa razy do miasta z perkamy bo grosz potrzebny, czasem się przywiezie perki spowrotem, bo się nie miało „szczęścia” i ani się człowiek obejrzy, a tu już jesień. I znów siano, głęboka orka pod zasiewy, trzeba prędko perki wybierać, bo po perkach ma być żyto, bo my co więcej nie uprawiamy jak perki i żyto, gdy już to skończone, trzeba zaraz na łące wybierać ćwikieł, kapuste wycinać i wozić do miasta, troche perek także trzeba sprzedać, a przez to się dużo zmudzi i jeszcze dziś nie mam podorane pod perki na przyszły rok, a tu mróz chwycieł, aby nie zamarzło na dobre. I tak lato przeleło i zima nadeszła, a pieca nie przestawiełem, bo ani czasu, ani pieniędzy na przestawienie niema. A jaka płaca za te prace przedstawię poniżej.

VI. P ł a c a

Chcąc mówić o płacy muszę najprzód wspomnieć o odpoczynku po pracy. I tak: gdy się przyjdzie od pracy, to trzeba najprzód inwentarz oprzątnąć, krowy wydoić, a żona koło obiadu. Wprawdzie ojciec perek nastruże, lecz co do tych perek i jakie te perki, to na innem miejscu. Dość że na obszerniejszy obiad niema czasu. A żona oprócz tego ma jeszcze i inne zajęcie, pracć, ale i dzieci też nie mogą obdarto chodzić. I gdy się człowiek naję, już zaraz trzeba od stołu wstać i różne rzeczy bądź naprawiać, bądź nowe robić. O drugiej a nawet i prędzej dalej jazda znów na łąkę aż do zachodu słońca, a gdy człowiek zje kolacje, to najlepiej tam gdzie siedzi by usnął i spał, bo ani się ruszyć człowiekowi nie chce. Taki jest odpoczynek. Teraz co do samej płacy.

Jako płace mogę tu przedstawić to co sprzedam. I tak zacne od wiosny. Najprzód podam mleko. W marcu odstawiłem przeciętnie 25 litrów dziennie po 11 groszy, w kwietniu także po 25 litrów

po 11 groszy, w maju 23 po 11 groszy, w czerwcu 20 po 11 groszy, pół lipca 20 litrów, pół lipca 18 litrów po 11 groszy, w sierpniu 15 litrów po 11 groszy, we wrześniu 20 litrów po 15 groszy, w październiku 18 litrów 15 groszy, a teraz do połowy listopada odstawałem po 11 litrów, od połowy listopada odstawiam po 7 litrów po 15 groszy. Teraz perki. Na wiosne czyli w maju i czerwcu sprzedałem perek 12 centnarów po 2 zł. i po 2,30 do 2,40 zł. za centnar pojedynczy. Rychłych perek sprzedałem około 18 centnarów, cena wahała się od 2,30—2,50 zł. za centnar. Na jesieni czyli we wrześniu i październiku sprzedałem akurat 29 centnarów po 2,20 zł. i 58 centnarów kapusty po 1,30 do 1,60 za centnar. W wrześniu sprzedałem jałówkę i tucznika za sumę 210 zł. Teraz sprzedaje torf. Za furkę torfu, mniej więcej $\frac{3}{4}$ tysiąca dostane 5 zł. na rynku. Co do perek nadmienić muszę, że latoś perki się bardzo licho udały. Sierpniowa susza i zimno wpłynęły bardzo ujemnie na rozwój perek.

VII. W y d a t k i

Co do wydatków nie mogę ich tak ściśle opisać, bo niepodobna jest każdą nitkę i wełnę, lub każdy funt soli sobie zapisywać. Podam tylko te najglówniejsze rzeczy. W kwietniu dałem pług do kowala celem przyprawienia nowej odkładni i stopy, zapłaciłem 11,50 zł. W maju kupiełem dziesięć rolów papy po 3,50 zł., pół centnara smoły 5,50 zł., 30 funtów lepniku 3,30 zł., dwa funty gwoździ papowych 1,60 zł. suma 42,20 zł. W lipcu za wciągnięcie szyny na dwa koła 4 zł., za przyprawienie do wału od maneża chwytu (Herzstück) 4 zł. W sierpniu za deski kupione na tartaku 6,75 zł., 4 role papy a 3,50 — 14 zł. Latoś kupiełem z tego powodu tak dużo papy, bo już mi się naprzykrzyło to ciągle flekowanie i położyłem dubeltowe pape na stodołę i chlew. W październiku za przyprawienie nowych kosów do sieczkarki i reperacje 22 zł. Są to tylko tak grubsze rzeczy nie licząc w tem co się raz poraz kupi to gwoździ, to drutu, to skóry i podeszwy, bo sam sobie obuwie zeluje a dzieci niepodobna do słupa przywiązać, to też dosyć nadrą, wciąż jeno zelować i zeszyc. Z zapomnienia muszę jeszcze dodać, iż w wrześniu kupiełem jedną brone, ponieważ te którą miałem zostawiełem przez noc na polu i już zginęła bez śladu. Za brone zapłaciłem 25 zł., nie była to nowa, lecz już używana. Nie będę opisywać, co się kupieło do przyodziewku, bo tego dokładnie podać nie mogę, ani nie jestem w stanie to podać. Bo sam rozum mówi i to wskazuje, ile kosztuje przy-

odziać sześć osób, a wcale dzieci w szkolnym wieku najwięcej nadrą. Tak z kolei przeńde teraz do odżywania się.

VIII. O d ż y w i e n i e

Jako pożywienie w rodzinie rolniczej jest tylko to, co rolnikowi urośnie. Mało co kupuje do pożywienia jako to: ryż, kakao i t. d. dawniej się prędy coś kupieło, lecz teraz są to rzeczy zupełnie nie do pomyślenia. I tak rano zacierka albo kasza, obiad brukiew albo marchew, albo perki z kaszą lub perki zalane mlekiem, wieczór znów albo kasza albo zacierka, czasem żur. A zawsze do zacierki lub kaszy suchy chleb. Naturalnie cały tydzień bez mięsa, chyba że się czasem zabije kurczaka albo królika. Funt okrasy i funt smalcu musi starczyć na tydzień, ja przeważnie jem suchy, bo dzieci do szkoły niechcą suchego wziąć, bo się wstydzą, bo mówią że nauczyciel patrzy kto z czym ma chleb posmarowany. Masła się prawie nie zna, bo wszystko mleko się odesła, dla siebie zatrzymamy najwyżej dwa litry. Mięso je się tylko wtenczas, gdy sobie człowiek zabije. I tak, ja zabiłem sobie 6 lutego, co miał 2¹/₂ cent. żywej wagi. Starczeło do połowy października, a teraz prędeż nie zabije aż znów dopiero w lutem lub w marcu. Cukru kupuje się mało, czasem funt na tydzień, czasem wcale nie. Latoś nasiałem sobie na łące cukrówki, nie porosła zbyt wielka, tylko takie korzenie, no ale zawsze zastępuje cukier. Gdy żona gotuje jaką potrawę, co ma być troche słodka, naprzykład brukiew z łąki nie jest słodka, to zamiast cukru wkraja się jedną cukrówkę, a brukiew taka słodka jakby niewiem ile cukru wyspał, albo barszcz z czarnych buraków. Do tego trzeba koniecznie cukru, jeżeli się włoży cukrówkę już nie potrzeba cukru. Nawet na gwiazdke, gdy żona będzie piec placki użyjemy cukrówki.

Jednem słowem pożywienie jest jednostajne. Wprawdzie dużo jemy „witaminów”, ale mało białka, tłuszczu i cukru. Co się zaś tyczy innych wyrobów monopolowych jako to: tytoń lub monopolki, to już nie będę wcale pisać, bo te rzeczy to są na księżycu, a to niełatwo sięgnąć. Skończe o pożywieniu, a przystąpie do naszych kłopotów i trosk.

IX. K ł o p o t y i t r o s k i

W tem dziale to ani nie wiem od czego mam zacząć. Każdy człowiek ma swoje kłopoty, a nawet i miljonerzy. Kłopoty i troski człowieka hartują. Jeżeli kłopoty powstają z jakiegoś zdarzenia, to one

przemijają. Gorzej jest jeżeli kłopoty są stałe, bo wtenczas ma się uczucie jakiegoś lęku, wtenczas człowiek spodziewa się lada chwila jakiegoś zdarzenia, jakiegoś ciosu, który może w jednej chwili człowieka przyprowadzić do rozpacz, do choroby. A taki kłopot mam ja, mam go z powodu renty, która ciąży na mej osadzie, a którą tak chętnie chciałbym spłacić, a nie mogę. Zalegam z rentą na dzień 31. XII. 31 r. 444,59 zł., wprawdzie Bank Rolny rozłożył mi tę rentę na trzy lata, lecz pod rygorem regularnego płacenia zaległych i bieżących rat. Wprawdzie zostało wydane rozporządzenie Ministra Reform Rolnych, aby osadnicy, którzy mają dodatkowe kontrakty i płacieli podwyższone renty w markach polskich, były im te podwyższone renty policzone na lata następne, czyli za jeden rok dwa lata. I ja płaciłem owe podwyższone renty od 1 kwietnia 1920 r. do 31 marca 1923 r. czyli sześć rat. Lecz z powodu że wszelkie kwity od tych płaconych rent, jako jeszcze i inne papiery mi zaginęły, przeto nie mogłem z tej ulgi korzystać. Więc udałem się do Pana Ministra z prośbą o uwzględnienie mnie w tem wypadku i renty mi zaliczyć. Na to pismo dostałem z Banku Rolnego z Poznania pismo i Bank Rolny przyrzekł mi, o ile żem kwity zagubił, sam te sprawę zbadać i w swoim czasie mnie o tem powiadomić. Było to w lutem. Przysłał mi formularze do wypełnienia, jeden formularz był o rozłożenie na raty zaległych rat, drugi o zaliczenie podwójnie płaconych rat w markach. W czerwcu dostałem z Banku Rolnego pismo, iż zaległą rentę rozkłada się na sześć równych rat. A o zaliczeniu tych podwójnych rat ani słychem. Bo gdyby mi Bank Rolny te renty zaliczył, podług rozporządzenia Pana Ministra, to nie tylko bym zalegał z rentą, ale miałbym jeszcze prawie nadpłacone i bym był po kłopotcie. Wprawdzie pisałem do Banku Rolnego na początku listopada w tej sprawie, ale jeszcze odpowiedzi nie dostałem. Teraz wyszło znów rozporządzenie i renta została obniżona do 2½%. Ale znów pod pewnymi warunkami, a mianowicie, ile kto przy kupnie za osadę płacił. Ja kupiełem w czerwcu 1920 r., to powinienem płacić 6.200 mk. za ha. Moja osada kosztuje 49.000 mk., czyli że już bym mógł korzystać z tej ulgi. Lecz nie będę mógł korzystać, ponieważ przy kupnie zapłaciłem tylko 38.000 mk. a reszta została na hipotecę. I to z tego powodu, bo w maju dałem 10.000 na pożyczkę, a gdy żem kupował te osady właśnie tych pieniędzy mi zbrakło. Za to mogę teraz pokutować. Ten co nie dał na pożyczkę, a zapłacił osadę, ten dostanie obniżoną rentę, a ja że dałem na pożyczkę, za kare będę musiał płacić ową wysoką rentę, t. j. 200,16 zł. rocznie, z osady 25

mórg, 15 mórg lekkiej ziemi i 10 łąki. To jest kłopot, który mi ani spać nie da, ani spokoju we dnie, a ja łaże jak struty, bo wciąż mam to uczucie, że nademną wisi miecz. To jest mój najgorszy kłopot. Żeby ten kłopot ubył mi z głowy, to bym, mimo mego borykania się z niejednym niepowodzeniem, był bardzo szczęśliwy. Na tem skończe ten dział, a przystąpie do różnych spraw bocznych.

X. Różne sprawy

W tem dziale chce opisać jakie zabezpieczenie mam na starość. Otóż ja, jako były górnik w Westfalji z powodu umowy polsko-niemieckiej, mam zabezpieczenie w Kasie Brackiej w Bochum. W tej sprawie staram się już o rentę pensyjną, bo jestem zupełnie do górnictwa niezdolny. Lekarz powiatowy w Bydgoszczy uznał do górnictwa 100%, a w rolnictwie 70% niezdolny. Musze tutaj dodać, że mam zromatyzowane obie nogi i nie mogę dużo chodzić, także cierpie bardzo na żołądek już od 1911 r. Wszystkie żądane formalności wypełniłem i to już dwa lata temu, lecz teraz jakby kamień we wodę wrzucił, nic nie słyhać. Zarazem podaje, iż jestem członkiem Rady Gminnej i członkiem komisji rewizyjnej Kasy Stefczyka w ***.

XI. Zdania i uwagi

Przystępując do działu, w którym mam wypowiedzieć zdania własne i ogólne, możnaby to zupełnie w paru słowach powiedzieć, a mianowicie: sprawiedliwego traktowania wszystkich obywateli. Bo nie można nazwać sprawiedliwością, iż jeden może zupełnie, z uśmiechem na ustach przetrzymać kryzys, gdy drugi z jakąś beznadziejną trwogą oczekuje dnia następnego. Wprawdzie cały świat się głowi, a raczej udaje że się głowi nad tem światowem kryzysem i zapowiadają rozmaite konferencyje, zbożowe, handlowe, targowe i jak one się wszystkie nazywają i tam na tych konferencyjach szukają dróg wyńścia z tego misz maszu światowego. A panowie ci, albo nie widzą albo nie chcą widzieć, że drogi te są przed własnem nosem. Bo jakież pożytek z tych konferencyj? Otóż najprzód całe szpalty prasowe, aż do znużenia są opisane o odbyć mającej się konferencyi, potem rozmaite nadzieje i przypuszczenia o korzyściach osiągniętych w konferencyi, dalej uroczyste pożegnanie delegata na dworcu, kiwanie na konferencyi, aż wkońcu cały świat rolniczy dowiaduje się, iż na tej całej konferencyi zabito jedną muchę. I cała konferencyja zostaje z powodu nieujednostajnienia tego i owego

delegata odroczone do przyszłego roku. Zdaniem mojem i przeważnie ogólnem jest: 1) zniesienie wszystkich karteli i zrównanie cen rolniczych z cenami przemysłowemi, 2) zakaz pobierania wysokich pensji pod karą ciężkiego więzienia i konfiskaty całego majątku. Najwyższa pensja może wynosić tysiąc lub półtora tysiąca miesięcznie, obowiązujące dla wszystkich bez wyjątku obywateli Państwa. Bo czy nie psuje to krwi gdy się czyta, że ten a ten dyrektor jakiejś cukrowni, kopalni lub Banku Cukrowego pobiera kilka lub kilkanaście albo jeszcze lepiej kilkadziesiąt tysięcy miesięcznie. Czy wtenczas nie można się z kryzysu śmiać, a chociaż tylko uśmiechać? Trudno jest sprawiedliwie ocenić przy zielonem stoliku ciężkie położenie klasy zarabiającej na kawałek chleba. Aby to znać, trzeba między te rzesze wnieść i te całe biedy poznać. Lecz wnieść tak niespodziewanie, a nie powiadomić pana Sta... a ten już się postara, że ta straszna wiedźma na skrzydłach wyleci i dostatek zapanuje. Już dużo czytałem w różnych pismach rolniczych o wychowie krów lub koni, co taka młodzież musi dostać, aby to był dobry koń albo dobra krowa. Lecz jeszcze nigdy nie dało mi się czytać, co człowiek powinien jeść, aby był sielnym. Pewnie że Państwo ma chwilową korzyść wysełając cukier dla angielskich świń, ponieważ otrzymuje za to obcą walutę. Lecz czy nie traci zarazem mniejszemu zapotrzebowaniu na bekony i to dzięki polskiemu cukrowi? A ileż to traci Państwo na skarłowaciałem obywatelu, który nie może używać „witaminów”, które są w cukrze zawarte? Teraz ma być cukier wydany dla bydła, skażony, tak dla bydła po 15 zł. za 100 kilo. A więc miarodajni ludzie więcej poważają bydło niż ludzi. A więc jeszcze raz powtarzam. Więcej uwzględnienia ludzi niż bydła. Niech rzeczy, jak cukier, nafta będą przystępne dla najuboższej ludności. Jeszcze jedno. Niech miarodajni ludzie więcej względu biorą na ludność ubogą i niech im to gorzko życie jeszcze bardziej gorzkie nie robi. Tu mam na myśli jedną rzecz, a mianowicie. Otóż gdy były lepsze czasy to kto chciał kopać pieńki w państwowych lasach, to płacił za jeden metr kwadratowy jeden złoty. Dzisiaj przy takim zubożeniu wsi mają takie pieńki kosztować 2,50 za 1 metr kwadratowy. A kto kupi te pieńki? Otóż ta najbiedniejsza ludność. Czyby 50 groszy od metra nie było dosyć? A więc więcej względu dla tej biednej ludności. Nie czczemy słowami i frazesami karmić lud, ale czynem. Na tem kończę moje uwagi i cały mój opis. Pewnie że

się trochę spóźniłem, lecz na dniu niema czasu, a nafta też droga, a nie codziennie mogłem się temu poświęcić, gdy się ma wciąż coś do reperacji. Na ostatku przepraszam za moje niejedne śmiałe uwagi i za nieudolne pismo. Lecz trudno — ręka ciężka od pracy.

Szczęść Boże

Dn. 1 grudnia 1933 r.

Gospodarz-warzywnik na osadzie liczącej dwie i pół mórg (a nadto mający stałą posadę) w pow. poznańskim

Ojciec mój pochodził z gospodarstwa rolnego liczącego przeszło 50 mórg roli — morgi liczone według norm brandeburskich. Było ich dzieci więcej, zaś ojczyisko moje, mając zamiłowanie do rzemiosła, został kołodziejem-stelmachem. Inni zaś bracia ojca i siostry osiedli na gospodarstwach rolnych przybliżonych obszarem do ojcowizny. Rodzice ojca dając jemu tak zwane „wykształcenie”, oczywiście nie dali jemu żadnej ponadto spłaty. Zupełnie zrozumiałe, że wyszedł gorzej na tem jak tamci, co też życie najlepiej potwierdza, bowiem nigdy nie przyszedł do tego co tamci posiadają. Jako czeladnik tułał się po Niemczech zachodnich, trwoniąc i oszczędzając naprzemian, jak się dało. Bądź co bądź ukołatał sobie coś grosza; utartym zwyczajem jak wszyscy inni wychodźcy z Poznańskiego, wrócił do rodzinnej wioski, ażeby się rozglądnać za połowicą i ustać własne gniazdo. Długo się rzekomo włóczył chcąc spleść dwie rzeczy razem, a mianowicie, wybrać punkt odpowiedni dla jego zawodu i równocześnie posiadać cośkolwiek roli. Wreszcie kupił sobie starą budę w środku wsi, przy której znajdowały się dwie morgi roli. Matkę wziął sobie z gospodarstwa czterdziestomorgowego. Mam wrażenie, że wówczas, a to było w roku 1896, rzemiosło miało jeszcze lepsze znaczenie, jeżeli dziewczica z gospodarstwa stosunkowo dużego zechciała wyjść za stelmacha z dwoma morgami roli. Z takiej to rodziny przyszedłem na świat Boży w roku 1898. Poprzedził mnie oczywiście starszy brat. Chałupka nasza jak już nadmienilem była stara buda z drzewa i miała już conajmniej osiemdziesiąt lat. Budowana była bez fundamentu z słupów dębowych, przyciesi i następnie pomiędzy te wkładane ciosane blochy. Z obu stron oblepiona była gliną. Dach pokryty słomą. Jeszcze dziś przypominam

sobie mając lat cztery wchodziłem na ten dach, skrobiąc się do komin, do którego doszedł starszy pięcioletni brat, zaś ja doszedłem do przedostatniego szuru poszycia. Za tę niewinną wycieczkę dostałem od ojca w cztery litery co się zmieściło. Domek ten stanowił sień, jedną izbę mieszkalną i tak nazywaną szorownią, w której ojciec miał swój warsztat urządzony. Izba stanowiła równocześnie kuchnię, jadalnię, pokój do przyjęć i sypialnię. Podłoga była kulturalna, bo już z desek nie jak to u sąsiadów ubita z gliny. Mieliśmy tam dwa łóżka i kołyskę. Pamiętam, że do chwili wyprowadzenia się z tej budy było nas rodzeństwa już czworo, lecz nie wyobrażam sobie, jakżeśmy tam spali, ojciec z matką to napewno, lecz jak te cztery smarkacze to już naprawdę nie wiem. Byliśmy wprawdzie wszyscy czterej chłopcy to oczywiście mniej kłopotu było. W sieni stał komin, a pod nim kurnik. Trudno pojąć jak tam te kury zamieszkiwały. Grząd przecież nie można było umieścić. Mierzwę od nich trudno wydobyć. Prawda, że wówczas nikt nie myślał o racjonalnej hodowli, a higieny wogóle nie znał. Szkoda, że nie znam rezultatów nieśności, bo wątpię czy która w tych warunkach zniosła rocznie z 40 jaj. Ubikacja, w której stał warsztat ojca, była wewnątrz odrapana, że można było przez spary sąsiednie wioski w każdym kierunku świata widzieć. Nie było oczywiście gliny od środka, gdyż przez stałe uderzanie toporem i innymi narzędziami wszystko odleciało. Zrozumiałe, że tam nie było podłogi, a tylko glina. Mieliśmy w tym domu też wiele przyjacieli czworonożnych, a mianowicie szczurów. W nocy zwykle rozpoczynały swoją ucztę. To biegały po naczyniach kuchennych, to pod podłogą, to na górce, a wiele razy skakały po pierzynie. Na górę wchodziło się po drabce dość masywnej zrobionej już ręką mojego ojca. Przed domem znajdował się na całą szerokość drzwi wielki kamień polny. Przy domku był dobudowany chlewik dla kozy i tuczniaka. W pierwszych dwóch kwadratowych metrach miała swój apartament koza a dalej za nią urzędował proszczak. Żadnego okienka w tym chlewiku zgoła nie było. W ten sposób te bydłatka bez światła dziennego, w smrodzie do najwyższego stopnia prowadziły swój nędzny żywot. Nie można wyobrazić sobie, jak te zwierze mogły wogóle żyć. Była też mała stodołka, w której umieszczaliśmy plony ziemi naszej. Przypominam sobie, że znosiliśmy snopy na plecach do stodoły. Ojciec początkowo młócił zboże kałką, później dopiero dorobił się do cepa. Jeżeli chodzi o nasze utrzymanie, to na owych dwóch morgach, przytem ojciec rzemieślnikiem, nieźle było. Co rok zabijaliśmy tuczniaka.

Masło zawsze kupowaliśmy, kosztowało wówczas 60—80 fenigów funt. Długu nie było żadnego. Pamiętam, że ojciec miał zawsze i stale pieniądze za robotę pomiędzy ludźmi, zawsze w niedzielę brał do ręki swoją księgę i przeglądał ją. Miał nawet pieniądze wypożyczone pomiędzy ludźmi. Ubieraliśmy się też jako tako. Butów nadarliśmy dużo, bo to była wioska bez bruku, bez szosy, droga gliniasta, tak że po deszczu można było psy topić.

Z biegiem czasu w latach około 1906—1907 ojciec zaczął myśleć o powiększeniu swojej własności, oczywiście w kierunku nabywania większego terenu roli. Nadarzyła się sposobność, że sąsiadka wdowa wyszła zamąż i sprzedawała swoją posiadłość, leżącą zaraz przez drogę tuż obok chudoby mojego ojca. Pamiętam te długie namyslenia się, rozważania z matką, noce pertraktacji, aż wreszcie ojciec każe mi pognać gęsi na pole tej owej sąsiadki i powiada, że to już nasze. Było tam pięć mórg roli, chałupa nowa, zaś stodoła i chlewy leciały. Chałupa wystawiona na fundamencie z drzewa dębowego, rżniętego, dach pokryty dachówką. Wykończoną była jedna izba, która znów stanowiła kuchnię, sypialnię, jadalnię i wszystko inne. Sień czy tak po miejsku nazywane antrejka nie była wykończona, druga izba też nie.

Co to wszystko kosztowało tego już dziś sobie nie przypominam, jednak wiem tyle, że ojciec zapożyczył się w Banku Ludowym w sąsiednim miasteczku na stosunkowo poważną sumę płacąc 4 czy 5 procent odsetek rocznie. W każdym bądź razie obciążenie było poważne, gdyż w przyszłych latach mógł odplacić tylko procent a już nie mógł nic oddawać kapitału. Bądź co bądź o pożyczkę nie było wówczas trudno, bowiem zabrał tylko dwóch ręczycieli i w porządku. Kobicinie wypłacił należność i wprowadziliśmy się do nowego mieszkania, oczywiście kiedy ojciec wybielił i u góry pod sufitem wymalował czerwony pas.

Nastaly trudniejsze czasy. Bezwiednie rodzice zaczęli ścisnąć pasa. Tuczniaka już nie zabijano, trzeba było sprzedać, jajka od kur sprzedać, gęsi sprzedać, a wszystko na procent. Trzeba mi zaznaczyć, że rodzice nie pozbyli się starej realności, lecz ją zatrzymali, która do dziś jest ich własnością i rzekomo staremu przyda się teraz na wymiar. Pamiętam, jak to kiedyś na dwóch morgach zapusty jakie to sute były, koledzy ojca choć w ciasnym domku jednak często gościli, ile to razy stała butelczyna z czystą i beczułka opiekanych śledzi — to wszystko później ustało, za wyjątkiem oczywiście kropelki, której ojcu trzeba było życzyć, bowiem napracował się

dosyć. Nie chcę powiedzieć, ażeby był nałogowym pijakiem, lecz wypił sobie tak co sześć tygodni po cztery kieliszki, a podchmielony uczył nas wieczorem katechizmu. Każdy mężczyzna ma po pijanemu swoje nawyki, to już trudno.

Na tym nowonabytym kawałku ziemi, oraz tamtych dwu morgach co stanowiło razem siedem mórg gospodarzyliśmy się. Chałupkę starą, która coraz bardziej wpadała w ziemię, ojciec wydzierzał wóczas jakiejś starej pannie. Nie były to pochlebne czasy trzeba było zboże na mąkę samemu żarnami mleć, chleb w domu piec, a ile razy polewkę jeść, choć ta ostatnia wcale zdrowszą była, a stwierdzić mi wypada, że napewno zawierała więcej składników odżywczych jak te niektóre miejskie dzisiejsze strawy. W niedzielę to się jadło na śniadanie kiszki za 25 fenigów trzy, co starczyło na całą rodzinę. Mięso to dla urozmaicenia programu tak co cztery tygodnie było, to też święta Wielkiej Nocy, Zielonych Świąt i Bożego Narodzenia były czemś nadzwyczajnym.

Przyszedł dla nas krytyczny rok 1908. Pewnej nocy wywała ojciec nas chłopaków z łóżek, robi posłanie w obok przyległej ubikacji, która nawiasem mówiąc nie była wykończona i służyła ojcu jako warsztat stelmarski i tam nas umieszcza. Był to zimny marzec. Nastąpiło żywe bieganie jakiejś sąsiadki w naszym domostwie. Ojciec krzątał się raźniej, choć zakłopotany. Za chwilę usłyszeliśmy krzyk nowego obywatela, czy obywatelki — była to jednak obywatelka. Spać nie mogliśmy bowiem było strasznie zimno. Tej nocy nie zapomnę. Wieczorem przybył braciszek do parki. Na skutek jakichś powikłań, matka zmarła za kilka dni. Miałem wówczas dziewięć lat, brat najstarszy dziesięć, a owe najmłodsze smarkacze trzy dni. Nastąpił podział majątku z którego zapisano nam chłopakom po 100 marek, które dziś stanowią bodaj sumę złotych może równającą się znaczkowi pocztowemu.

Smutne to były czasy. Dzieciaków było nas czterech plus te dwa bliźniaki, które oczywiście zabrali krewni. Zupełnie zrozumiała rzecz, że ojciec nie mógł podolać i swoim obowiązkom i obowiązkom matki. Mielśmy jakąś sąsiadkę, która gotowała i prała i obiegała nas, lecz takie gospodarstwo byłoby nas wyprowadziło na psy. Trzeba było ojcu rozglądać się za mamzelą. Dziś spotykam jeszcze idjotów, a szczególnie idjotki, które twierdzą, że chłopu nie potrzeba się powtórnie żenić, że pierwsza leży w grobie a druga się potem na jej dorobku panoszy, że pierwsze dzieci będą potem zawsze pokrzywdzone a szczególnie przy podziale majątku. Pozwolę sobie nadmie-

nić, że położenie takiego chłopca wdowca, który ma czworo, a niejednokrotnie więcej dzieci w wieku 1 — 9 lat, ma rolę na karku, inwentarz, a w dodatku jak to u mojego ojca było, musiał chodzić do dominjalnej pracy ciesielskiej i był dwanaście godzin poza domem, to takie położenie nie jest do pozazdroszczenia. Jest absolutnie więc niemożliwe, żeby mógł temu wszystkiemu podołać, a przede wszystkim te dzieci wychować. Jest więc bezwzględną koniecznością powtórnie się ożenić, gdyż służącej trzymać niema za co, gospodyni wogóle, samemu robić ponad siły nie można, a dom takiego wdowca musiałby zmarnieć bezwątpienia. Dzieci zaś stałyby się łązęgami, a w ostatku może złodziejami i bandytami. Takim kobietom, które wychodzą za wdowców w tym położeniu, mianowicie z taką gromadą dzieci, należy przyklasnąć. Kobiety te poświęcają się formalnie, robią z siebie ofiarę. Osądzić może to tylko kobieta, która zna trudy i troski wychowania kilkorga dzieci sama jedna bez pomocy służby.

Po upływie pół roku ojczysko zaczęło się starannie golić, wąsiska podstrzygiwać. No, pomyślałem, że to chyba nienapróżno. Często wyjeżdżał szczególnie wieczorem. Od czasu do czasu jakiś pośrednik przybywał do ojca, inny raz znów taki jeden ojcu szeptał coś do ucha. Wreszcie po kilku nieudanych próbach, bowiem Kasia starsza panna obawiała się słusznie tych trudnych obowiązków, zjechała do nas bryka. Dzień przedtem trzeba było wszystko poczyścić, podwórko pozamiatać, na polu brózdy, które kury pozadrapywały, poodświeżać. Ojciec zrobił lustrację i wszystko było dobrze. W niedzielę więc przyjechała panna Imć Katarzyna, latorośl 26-letnia bez fartucha, rzekomo była już też na robotach w Sachsach. Towarzyszyła jej matka oraz ów pośrednik. Po krótkich rozmowach po jeźdzeniu i popitku, zabrali się do lustracji gospodarstwa, bowiem to było rzeczą zasadniczą. Panna miała przecież coś 500 talarów. Stary wziął się na kawał — prowadzając po polu tych dostojnych gości, obszedł kawał pola nieswojego, co dało w sumie więcej roli razem. My chłopcy wpędziliśmy na podwórko gęsi sąsiada, tak, że było ich coś przeszło 40 razem. Zrobiło to efekt doskonały na pannie. Cała ta impreza odniosła skutek dobry, bowiem po pewnym czasie ojciec przedstawił nam nową matkę, która nam po oswojeniu się prała w cztery litery, aż huczało. Mniejsza z tem, jeżeli było potrzeba to trudno.

W dwunastym roku życia ruszyłem pomiędzy ludzi. Obracałem się w trzech gospodarstwach rolnych, później na zachodzie Niemiec,

następnie na wojnie. W międzyczasie bywałem na urlopie u macochy. Ojczyisko bowiem mając w dniu mobilizacji 44 lata, musiał pójść na wojnę także. Kobieta pozostała w domu z kupką dzieci i po pierwszej naszej matce i reszta już swoich. Było ich jak królików, zdaje się że aż czworo jej. Straszne to były stosunki. Całe gospodarstwo prowadzone było przez kobietę. Rola kiepsko obrobiona, hodowle prowadzone pod wszelką krytyką, budynki się waliły. Od czasu do czasu przyjeżdżał ojciec-żołnierz na urlop, lecz te kilka dni nie wystarczały na uzupełnienie braków. Długi pozostawały bez zmian. Można było upłacać tylko procenty dzięki opłatom, które żony otrzymywały od rządu pruskiego za mężów, którzy byli na wojnie. Po wojnie zostałem marną urzędniczyną. Rodzony z chłopą dążyłem do ziemi. Zacząłem planową akcję w kierunku zaoszczędzenia sobie cośkolwiek gotówki. Stosowałem następujący system. Ażeby siebie przymusić do oszczędności, prowadziłem notesik na wydatki i to z rozgraniczeniem na żywnościowe, wydatki drobne i wydatki grube. Spisałem sobie dni miesiąca od 1-go do 31-go. Co pięć dni, a mianowicie 5-go, 10-go, 15-go, 20-go, 25-go i 30-go wstawiałem sobie w dziale wydatków na żywność cyfry kontrolne, to znaczy, że zapisałem sobie cyfrę złotych, jaką miałem do tej daty zużyć. W ten sposób byłem w stanie zużyć na żywność tyle, ile sobie wyznaczyłem. Poprzednio bowiem, gdy tego nie robiłem, to w końcu miesiąca musiałem pożyczać. W ten sposób operowałem do roku 1925.

W międzyczasie przyszło mi w drogę moje przeznaczenie. Jadąc kiedyś w ostatnich dniach mojego urlopu do ojcowizny, gdyż zwykle urlop spędzałem gdzieindziej, nie ciągnęło mnie do domu by spoglądać na te biedę—spotkałem w pociągu starą znajomą z ławy szkolnej. W toku rozmowy, żartem pytam dlaczego nie wychodzi za mąż, dodając „ożeń się ze mną i raz będziesz załatwioną” na to również w żarcie powiada „zgoda”. Odpowiadam „przyjmuję oświadczenie oficjalnie do wiadomości”. Ot i taki był początek głupstwa, które każdy mężczyzna robi. Była to panna, posiadająca z tytułu spadku po ojcu gościniec z trzynastu morgami roli. Zaczęła się sielanka poważna w kierunku ożenku. Po około roku takiego niby wzajemnego poznawania się, chociaż to głupstwo, gdyż baby nigdy nie pozna się, doszło do ożenku. Były to różne kłopoty, bo stara w ostatniej chwili nie wiedziała co robić a zresztą i sama panna zastanawiała się, czy wpaść w tę przepaść. Teść od kilku lat nie żył. Była tylko teściowa, moja żona, brat jeden na posadzie i drugi brat

od dzieciństwa umysłowo ułomny. Gościniec i trzynaście mórg roli obrobić to niełatwo o ile się zważy, że to prowadziły kobiety. Dopóty były dobre konjunktury to nie zauważało się błędów, które w rezultacie dawały deficyty finansowe. Gospodarstwa nie było można dopatrzeć, gdyż trzeba było również pilnować gościńca i kolonjalki. Stosunki w przedsiębiorstwie gorzałczanym zaczęły się pogarszać z czasem jak konjunktury na wsi zaczęły się chylić ku gorszemu. Przez dzień przeszedł jeden i drugi chłop, wypił kieliszek czystej, kazał sobie zapisać na kredyt wziął za 15 groszy papierosów i w dodatku osmarkał ściany bo chusteczki zwykle nie nosi, a w rękaw już nie wyciera jak to zwykle bywa w gościńcach wiejskich. Były dni, że kasa dzienna stanowiła 5 zł. Podatki jak zwykle bez zmiany. Stosunki stawały się coraz nieznośniejsze.

Po moim ślubie około trzy miesiące teściowej wpadło coś do głowy i chciała być właścicielką realności, której właścicielką była żona moja z tytułu testamentu po ojcu. Zupełnie zrozumiałe przecież, zięć nie miał tysięcy, był tylko marną urzędniczyną, więc jakżeż miał być współwłaścicielem tej gospodarki. Dla niektórych ludzi to zawód czy stanowisko to nic. Osobiście nie sprzeciwiałem się jakimkolwiek pociągnięciom, jakie z tą realnością chcieli zrobić. Była to przecież ich uciulana oszczędność z całego życia. W ten czas nie znałem się wogóle na sprawach własności, nie widziałem nawet owego testamentu, nie miałem żadnego pojęcia o przywłaszczeniach, odstępywaniach, przepisywaniach i t. d. Bądź co bądź po moim odjeździe, (bo przybywałem tylko na niedzielę), w poniedziałek podwieźli żonę do notariusza i tam musiała sprzedać realność na rzecz teściowej. Wartość owej realności można było wówczas liczyć na 19 tysięcy, zaś sprzedaż nastąpiła za siedem tysięcy, oczywiście nie płacone, a wciągnięte tylko na hipotekę. Po fakcie otrzymałem doniesienie, ażeby stawić się do notariusza. Pytam notariusza co mam wspólnego z transakcją realności, której przecież nie byłem właścicielem. Odpowiada mi, że podpis mój na czynność prawną żony jest potrzebny, gdyż w myśl kodeksu cywilnego mam prawo dozoru i administracji majątkiem żony. A co stanie się jeżeli nie podpiszę? Akt staje się nieważny. Nie miałem żadnego interesu stosowania sprzeciwu i podpisałem.

Sądziłem, że przez ten fakt nasze gniazdo wcześniej dojdzie do skutku. Bo w jakim celu robiono tę transakcję i płacono około 600 zł. różnych opłat adwokackich i sądowych. Jednak tak nie było. Będąc żonatym tłukłem się przez cztery lata w moim miejscu urzęd-

dowania odległym od żony o 150 kilometrów, mieszkając po pokojach umeblowanych. Gospodarka u teściowej zaś szła coraz to gorzej w miarę jak słabły konjunktury.

Ja zaś po rozterce umysłowej, bowiem nie mogłem się z tem pogodzić, ażeby mąż tu, a żona tam, powziąłem plan budowy domku. Miałem uciulane własnego grosza 3 tys. złotych. Składałem sobie na książeczkę oszczędności z moich poborów, gdyż uważałem P. K. O. za najpewniejszą instytucję finansową. Były to wówczas czasy, kiedy to w mieście było brak mieszkań, trzeba było płacić po trzy do czterech tysięcy złotych odstepnego za mieszkanie, a równolegle były czasy, kiedy to Bank Gospodarstwa Krajowego rozporządzał olbrzymimi kredytami na rozbudowę miast. Nie mogłem się pogodzić z myślą, ażeby moje trzy tysiące oszczędzone wyłożyć na łapówkę mieszkaniową. Przystudjowałem warunki wszelkich istniejących na miejscu spółdzielni budowlanych, wreszcie jednej się przyczepiłem. Nazywała się spółdzielnią „Dom Własny”. Miałem otrzymać parcelkę 500 metrów obszaru kwadratowych. Cena za metr kwadratowy wynosiła aż trzy złote. Za ten kawałek roli miałem płacić zgóry 500 zł., zaś resztę w ratach w ciągu 10 lat według uznania magistratu. Równocześnie miałem do spółdzielni wpłacić stożłotowy udział w ratach po 10. Na samą budowę należało posiadać 25% kosztów budynku, który budowała albo spółdzielnia, albo mogłem też sam budować. 75% funduszków potrzebnych na resztę kosztów budowy miałem dostać w Banku Gospodarstwa Krajowego przez Komitet dla rozbudowy miast przy magistracie. Całość składała się nieźle, jeżeli się zważy, że 75% pożyczone z Banku musiałem spłacić w 25 latach. Mam wrażenie, że spłata miesięczna równałaby się opłacie czynszu mieszkania, którebym zamieszkiwał, gdybym nie miał własnego domku, o którym dalej będzie mowa.

Nie zgodziłem się jednak na tę koncepcję, gdyż rola wypadła mi za drogo. Trzy złote za metr kwadratowy to duże pieniądze. Odległość od centrum miasta do miejsca, gdzie domek mój miał stanąć wynosiła ca 6 km. Było przeto dla mnie obojętnem, sześć kilometrów czy 12 klm. Zaś im dalej od miasta tem tańsza rola. Komunikacja przecież przy dzisiejszych stosunkach w obrębie do 35 kilometrów od dużego miasta jest zawsze dobra. Porzuciłem przeto ten plan. W innych spółdzielniach budowlanych też korzystniej budowa domku nie wypadła. Zacząłem badać możliwość kupna domku już istniejącego. Miałem wówczas uciulane 4000 zł. Przez dwa lata przeglądałem okolice w promieniu do 40 km. od mojego

miejsca urzędowania. Nadmienić wypada mi, że mieszkałem zawsze jeszcze na pokoju umeblowanym, zaś żona stale jeszcze wysługiwała się teściowej. Różne oglądałem realności.

W roku 1930 w lipcu znalazłem obiekt i ten mniejwięcej mi odpowiadał. W miejscowości tej są cztery autobusy, stacja kolejowa jest odległa 4 km. Ogólna odległość od mojego miejsca pracy wynosi 12 km. Są więc pewne trudności komunikacyjne. Nad tem najdłużej się zastanawiałem, wreszcie poszedłem po rozum do głowy. Zwołałem konsylium kolegów, którzy mieli dać mi rady. Najstarszy Jurek orzekł następująco. Ty jesteś młody, liczysz 28 lat, dzieciaka masz jednego, do szkoły zaraz nie pójdziesz, więc na tym punkcie narazie nie będziesz miał trudności, a biorąc najważniejsze twój młody wiek, uważam, że możesz z pięć lat podjąć te trudne warunki codziennego dojazdu do miejsca pracy, przeto radzę ci kupić. Po rozważaniu pro i kontra zabrałem się do kupna.

Jest to tak zwana osada rentowa z byłej kolonizacji pruskiej. Takich osad jest tutaj około 200, obszar roli wynosi $2\frac{1}{2}$ morgi przyległy do domostwa, domek jest 7×8 , na dole są urządzone kuchnia, pokoik mały i pokoik większy, na górcie pokoik mały. Domek gospodarczy ma rozmiary $3,50 \times 8$, pozatem była szopka do węgla, ustęp, 45 drzew owocowych z tych około 20 zupełnie młodych i ładny kawałek malin.

Realność ta była w posiadaniu pewnej wdowy. Ta ostatnia chciała wydać córkę zamąż na osadę inną, rozmiarami podwójnie większą jak jej, równocześnie ona, teściowa przyszła, miała wejść tam na wymiar. Córka ta miała swojemu przyszlęmu wnieść 11 tysięcy złotych. Była przeto sprzyjająca okoliczność kupna, gdyż wszystkim zależało na tym ożenku. Trzech synów owej wdowy miało otrzymać od swojej matki razem dwie morgi roli, które jeszcze posiadała, a które stanowiły wartość 4 tysiące złotych. Kilkakrotnie oglądałem tę realność sam, kilkakrotnie z żoną i wreszcie zbliżyliśmy się do skutku. Postarałem zapoznać się z wzorami umów przedwstępnych kupna sprzedaży oraz z wzorami kontraktów i rozpoczęliśmy. Stało na tem, że realność ta miała kosztować 15.600. Całe zgromadzenie rodzinne stało do targów. Z jej strony cała jej rodzina, oraz przyszły zięć i jego rodzina zaś z mojej strony była tylko żona i moja mniejszość. Targ stanął na tem, że cena kupna wynosi 15.600 zł.

Miałem przygotowany wzór aktu przedwstępnego kupna sprzedaży, wpłaciłem 400 zł. zaliczki i ująłem tę kwotę w akcie klauzulą,

że w razie cofnięcia się z jej strony, płaci ona mnie 400 + 400 zł., zaś, gdy ja się cofnę przepadają na rzecz jej wpłacone przeze mnie 400 zł. Zaznaczyć mi wypada, że była to osada rentowa, a zatem taka, którą to Niemcy budowali, oddali swemu ziomkowi przy wpłacie około 10%, a resztę kapitału wraz z amortyzacją zahipotekowali jako rentę do roku 1969. Osada ta już stoi 20 przeszło lat. Jak z kontraktu dawniejszego wynika, mocą którego tę osadę pierwszy niemiec nabył, to roczna renta wynosiła coś około 200 marek niemieckich rocznie. W chwili, gdy ja nabywałem tę osadę, renta ta już była przez rząd polski przewaloryzowana na 43 procent i wynosiła rocznie 108 zł. Zatem do tej ceny kupna trzeba było doliczyć te roczne sumy 108 zł. do roku 1969, które ja muszę rządowi jeszcze spłacić, a które wówczas razem wynosiły 4.100 zł. przeto rzeczywiście nabywałem tę chudobę za 15.600 zł. + 4.100 czyli 19.700 zł. Jest to suma za którą w dalszej odległości od miasta można było nabyć gospodarstwo rolne 50 morgowe. Za co więc się rzeczywiście płaciło. Czy za wartość użytkową tej osady. Nie, nigdy za wartość użytkową, bo gdyby tak było to ona mogłaby kosztować najwięcej 10.000 zł., licząc nawet aż 12% od włożonego kapitału. Płaciło się za to, że to blisko miasta, że mamy komunikację autobusową, że kolej niedaleko, że przyszłość dobra i wiele innych nierealnych mrzonek. Ponieważ zaś osady rentowe podlegają kontroli Urzędu Ziemskiego, który musi czuwać nad tem, ażeby osada dostała się we właściwe polskie ręce, a przedewszystkiem nie była dewastowana ale dobrze prowadzona, przeto teraz rozpoczęły się dopiero wędrówki. A więc trzeba było ze strony sprzedawcy i nabywcy stawić wniosek do Urzędu Ziemskiego o zezwolenie na sprzedaż i kupno. Już na pierwszym miejscu napotkaliśmy na trudność. Mianowicie wdowa nie była wyłączną właścicielką, bowiem mąż jej umierając nie zrobił testamentu, zatem współwłaścicielami były i owe czworo dzieci, w tem córka niepełnoletnia, za którą musiał występować jej opiekun. Zatem do tego wniosku musieli się przyłączyć wszyscy wraz z tym opiekunem. Syn najstarszy jednak nie chciał tego zrobić, twierdził, że on chce mieć wpierw czarne na białym, że matka da mu coś z owych tamtych dwóch mórg za odstąpienie swojego udziału po ojcu. Owe dwie morgi nie miały jeszcze szkicu w Urzędzie Katastralnym, jak również nie miały księgi wieczystej w Sądzie Okręgowym. Rozdziału tych dwóch mórg pomiędzy te dzieci inaczej nie było można zrobić, jak tylko załatwić przez testament matki. Wreszcie byli zadowoleni i dali swoje podpisy na wniosek. W Urzędzie Ziem-

skim potrwało coś 14 dni wręście dostałem do rąk moich zezwolenie. Na kosztą związane z kupnem brakło mi jednak 400 zł., szukałem, latałem i znikąd nic nie można było wydebić. Wręście brat wziął gdzieś z współdzielni żołnierskiej tę sumę i pomógł mi, bo nie mógłbym pokryć kosztów adwokackich. W międzyczasie teściowa przygotowała żonie 3000 zł. spłaty rodzinnej. Ustaliliśmy termin kontraktu. Upřednio jeszcze sprzedawczyni musiała spłacić w Banku Rolnym zaległą rentę do daty sprzedaży, bowiem inaczej notariusz nie mógłby robić kontraktu.

W dniu 21. 7 1930 zjawiliśmy się do kontraktu. Znów cała rada rodzinna z ich strony. Równocześnie miał być robiony zapis owej osady, na którą miała wejść córka mojej sprzedawczyni. Realność została więc nabyta za sumę 15.600, płatne przy kontrakcie 7.000 zł. Objęcie, a raczej zamieszkanie przeze mnie od natychmiast, zdanie realności na 1. X. 1930 czyli po trzech miesiącach, w którym to dniu płatne były dalsze 3.000 zł. zaś reszta ceny kupna w sumie 5.600 została zgodnie przez obie strony przeliczona na 629,20 dolarów i płatność ustalona, jak już wyżej pisałem, tak jak ustaliliśmy w akcie przedwstępny kupna-sprzedaży. Oprocentowanie tej reszty ceny kupna po 8 od sta płatne z dołu razem z ratami, wszelkie ciężary podatkowe obejmowałem, oraz również rentę od daty kontraktu. Zastrzegłem sobie w kontrakcie także możliwość wcześniejszej spłaty reszty ceny kupna 629,20 dolarów. Równocześnie zastrzegłem sobie możliwość przywłaszczenia samemu sobie oraz możliwość przelania tego prawa na inne osoby nawet po śmierci sprzedawczyni. Notariusz zastrzegł ważność kontraktu od zatwierdzenia przez Sąd Opiekuńczy aktu zdania udziałów owych dzieci ma matkę, oraz również od zatwierdzenia samego kontraktu przez Urząd Ziemski. Ja kontrakt zapłaciłem około 960 zł. Następnie zrobił notariusz zapis realności tamtej owego teścia na nowożeńców. Razem zebrał za ów pracowity dzień, w którym sporządził cztery akty, samych swoich honorarji coś 720 zł., to też słusznie że w ten dzień na rozprawę sądową postawił zastępcę. Bądź co bądź był to bardzo rozsądny notariusz i starał się możliwie tak ująć sprawy, ażeby nie robić nam nadmiernych kosztów.

Po załatwieniu całej tej akcji pośliśmy na suty obiad za który oczywiście płaćił nowonabywca, niby zadowolony, że pierwszy raz w życiu zrobił coś nieprzeciętnego. Po siedmiu dniach kupiłem sobie rower, bowiem jak pisałem mam 4 km., do stacji kolejowej, a muszę codziennie jeździć do pracy i przeprowadziłem się do mojej osa-

dy narazie sam. Owa wdowa dawała mi obiady i kawę, a pościel miałem swoją. Zająłem do mojej dyspozycji ten większy pokój.

Na tych dwóch morgach było ca pół morgi truskawek, były maliny, o których już wspominałem, trochę warzywnika, ziemniaków ca pół morgi i reszta żyto. Zupełnie zrozumiałe, że dana wdowa i jej dzieci, które razem z nią mieszkwały jeszcze trzy miesiące użytkowały z tych terenów, już niewiele robiły w roli. Już też było po zbiorach truskawek, maliny się kończyły, żyto sprzątnięte, a ziemniaki zmniejszały się z dnia na dzień. Pozostała tylko koza stara i pies na naszą własność. Ja znałem się jako tako na gospodarstwie rolnem, przeto zabrałem się do oczyszczania truskawek. Znałem też wartość kompostu, przeto zaraz założyłem kupę kompostową. Owoce które mi stale objadali starałem się zebrać i przechować. Pracę moją los przerwał. Stało się nieszczęście. Będąc kiedyś w mieście, a powracając od pracy najechałem na dużego bernardyna i stłukłem kolano. Przywlokłem się do domu, jednak na drugi dzień musiało mnie pogotowie Ratunkowe odwieść do szpitala. Leżałem tam sześć tygodni. A gospodarstwo stało samopas, na którym gospodarzyli sprzedawcy. Żona zaś jeszcze była u teściowej. Nie radzę nikomu zwlekać z objęciem realności dopiero po pewnym czasie. Zaraz po kontrakcie, ale natychmiast powinno się całą parą obejmować i gospodarzyć. Po szpitalu otrzymałem sześć tygodni urlopu i tak sam zawsze jeszcze doprowadzałem gospodarstwo do porządku. Mlekiem od kozy dzieliliśmy się na pół, bo przecież kobiecina owa wdowa musiała mieć coś za jej fatygę. Nie chciałem zaś, żeby miała krzywdy.

Nastąpił dzień przejmowania to jest 1/X. 1930 r., wszystko szczęśliwie szło. Jednak nastąpiła pewna obawa ze strony sprzedawczyni, a najwięcej ze strony zięciostwa, czy ja mam rzeczywiście te 3000 zł. płatne w tym dniu. Coś długo nie mogli się zdecydować z ładowaniem tych rupieci, zaś ja uważałem za stosowne pieniądze położyć po załadowaniu. Wreszcie domyśliłem się o co chodzi i zięciowi pokazałem pieniądze, a ten zgodził się ładować, zaś ja udałem się ze sprzedawczynią do wójtostwa, ażeby w obecności urzędnika złożyła ona swój podpis na kwit, zaś ten własnoręcznie jej podpisu poświadczył. Takie wyprowadzanie się przez sprzedawcę i wprowadzenie przez nabywcę jest trochę trudne, bo gdzie jest pewność, że ten ów ci się wyprowadzi, jeżeli jemu pieniądze położysz przedtem nim wyprzątnął budy, a z drugiej strony, gdzie on ma tę pewność, że ty jemu te pieniądze położysz jeżeli on załadował swoje graty i stoi na ulicy. Jakie to różne wypadki znamy z życia, ile to zostało

Codziennie zapisuję wydatki robione przeze mnie, żona zaś zapisuje swoje wydatki gotówkowe w osobnej książce, bieżąco wymieniając towar, jaki zakupiła i sumę wydaną. Ja w końcu miesiąca dobijam te jej wydatki do powyższego zestawienia i mam cały wydatek w miesiącu rozczłonkowany dokładnie na wszystkie pozycje. Dochody z ogrodu prowadzę sobie w oddzielnej książce, notując dla każdego rodzaju warzyw oddzielnie i jak poniżej.

Pomidory — Dochód:

Data	funtów	cena za funt	gotówka	provizja za sprzedaż

W ten sposób prowadzę też oddzielny rachunek dla truskawek, malin, owoców i innych warzyw. Z świń i królików to pamięta się, bowiem tego niema często. Kozę zaś zapisuję w ten sposób.

Dochód:

data	litrów mleka	cena za litr	wartość mleka	inne zapiski
				zaprowadzona do kawalera dnia okociła się dnia koźląt..... chorowała.....

Dla pszczoł prowadzę oddzielne książeczki dla każdego roju, bowiem tam trzeba pisać wszelkie szczegóły wykonanych czynności, oraz ich objawy, co daje mi wartościowy materiał doświadczalny na czas przyszły.

Pierwszy rok naszej pracy, jakkolwiek nie mieliśmy doświadczenia, przecież wszystko robiło się z książek, przyniósł nam dość dobre zbiory ilościowe również i finansowe. Do odwożenia na rynek

i sprzedawania zakontraktowałem sobie pewnego sąsiada, który ma konia i za tę czynność daję jemu 10% z zebranej gotówki, robię to tak co roku.

Jeżeli chodzi o prowadzenie ogrodu to mamy strasznie drogą mierzwę. Za jedną furę płacimy aż 25 zł. Jest to mierzwa z koszar wojskowych. Trzeba ją przywozić z odległości 12 km. Poza to jest ta trudność, że nie można jej dostać, bowiem jeżeli chodzi o podgrzewanie okien inspektowych to musi być mierzwa zupełnie świeża końska ze stajni, zaś w okolicy tutejszego miasta co rok przybywa kilkaset okien inspektowych, zaś mierzwy tej nie jest więcej, jeżeli nie mniej, gdyż w wojsku się także z słomą stosuje oszczędności oraz zaprowadza motoryzację w miejsce konnych formacji. Otóż sprawa braku mierzwy staje się tutaj zagadnieniem bardzo poważnym, nad którym debatujemy w Towarzystwie oraz już objaw ten przedstawiliśmy do władz miarodajnych.

Nie sądzę, ażeby w innych okolicach leżących przy dużych miastach było inaczej. Jest to zupełnie zrozumiałe, że jeżeli co rok kilkaset okien inspektowych w okolicy hodowcy warzyw zakładają i do tych jest potrzebna tylko ciepła mierzwa bezpośrednio z pod konia, a tej mierzwy nie przybywa a odwrotnie nawet jest mniej, to musi nastąpić kłapa. Jest to więc nietylko zagadnienie samego tego chłopca produkującego warzywa, jako jednostki, lecz zagadnienie o charakterze ekonomicznym państwowym. Niema bowiem narazie innego środka, którym możnaby okna inspektowe nagrzewać, zawsze można to tylko robić tym gnojem końskim i świeżym w dodatku. Poza to w moich warunkach, gdzie ja mam te straszne ciężary, o których pisałem mianowicie, resztę ceny kupna do spłacania, to nie mogę w ziemię dużo kłaść, nie starcza mi na mierzwę, nie mogę wogóle myśleć o nawozach sztucznych. Z roku na rok zauważam coraz to większe wyjaławianie ziemi. Zbiory ilościowo są coraz mniejsze. Jestem wszystkiego tego świadom, jednak w moich warunkach, gdzie także dochód z mojej pracy poza domem jest o 1200 zł. rocznie mniejszy w stosunku do roku 1930, a ogród daje gotówką o 60% mniej, zaś ciężary są te same, to ja nic nie mogę zrobić. Nie mogę prowadzić roli na stopie maksymalnej intensywności. Drzewostan nie mogę uzupełnić. Nic doborowego dokupić a trzeba. Jedno co robię to te kupy kompostu, gnojówkę, oraz regulówkę na jałowo. Kompostu robię rocznie tyle ile równa się dwóm furom mierzwy, czyli w wartości 50 zł. Zaś co do uzyskania gnojówki to urządziłem się zaraz w pierwszym roku tak, że wybudowałem gnojownik wycementowa-

ny, spuściłem wodę od pompy z kuchni oraz dachu domku gospodarczego. Za gnojownikiem mam zbiornik, również wycementowany. W ten sposób mając stale w gnojowniku mierzwę, przez którą wszystkie te zbierane wody przechodzą, mam dużo gnojówki. Postarałem się w Izbie Rolniczej o cenę jednostkową wartości jednego litra gnojówki i obliczam mój dochód w gnojówce na 50 zł. rocznie. Zrobiłem w pierwszym roku dokładny rejestr ilości litrów i na tej podstawie uzyskałem ten wynik. I tak tą gnojówką, ten ogród zlewam i kompost zwilżam.

Całe maliny co rok dwa razy leję wiadro przy wiadrze. Poza tem z ustępu mam także poważną ilość tego mojego złotodajnego płynu, który dobieram w stosunku dwa wiadra wody, a jedno z ustępu. Rola moja potrzebuje wapna, lecz na to absolutnie nie mogę sobie pozwolić. Djabli człowieka biorą, jeżeli musi swój młody wiek tak marnować, prowadząc gospodarkę świadomie poniżej jej możliwości produkcyjnych. Weźmy regulówkę ogrodu. Powiedziałem, że robię ją na jałowo, to znaczy, że przewalam ogród na 60 cm. głęboko, lecz nie daję tam mierzwy, a to powinienem robić, bo taka regulówka przy równoczesnem włożeniu odpowiedniej ilości mierzwy, to dopiero ma znaczenie. Nie mam jednak za co tej mierzwy kupić. Jest więc to znów robota połowiczna, a w pewnym stopniu nieproduktywna. Dużo pracy wymaga ogród. Nie hoduję już żadnych jęczmieni i t. p. lecz cały przerzuciłem na warzywo, mam więc trzy zasadnicze plan-tacje: truskawki, pomidory i szparagi oraz plantacje malin. Innych bzdur mam tylko tyle co do własnego użytku potrzeba.

Z świniami to nie powodziło mi się i w międzyczasie zlikwidowa-łem z deficytem. Trzeba było wszystko dla nich kupić. Każde ziarnko, otręby, śróty, ziemniaki kupić, a wszystko przepłacać. Taki sobie skład naprzykład kupuje jęczmień za 6,80, a sprzedaje za 8,00 zł., to samo z ospą i śrutem. Dlatego ja mam opłacać ich zysk i w do-datku wkładać moją pracę w wychowanie tego tuczniaka. Inaczej to wypada, gdybym miał własne ziarno, któreby nie kosztowało tylko kosztu własne. Na taki interes to nie można się puszczać, chociaż przecież hodowałem tylko w garnek. Przekonałem się, że taniej mnie wypadnie kupić gotowego tuczniaka, lecz skończyło się z tem. Niema zaco kupić. Już od roku nie kupuję tuczniaka, a biedolim się bez tego. Poza tem to stale choroby z temi świniami, więc i na tym punkcie trudność.

Niezależnie od tego rezyko z ewentualną kradzieżą, gdyż tutaj jest cała armja bezrobotnych, którzy kradną co się zmieści, bo i z cze-

go mają rodziny używić. Króliki wiążą koniec z końcem, a w ostatku dawają deficyt. Nie troszczę się już z tem gadem, pozostawiam na łasce żony, bo nie lubię tego co pochłania nawet moje zarobki z poza gospodarstwa. Za skórki płacą nam po 5 groszy. Co to jest za kalkulacja. Nie będę się tą gałęzią zajmował, aż będzie zorganizowany zbyt na skórki przy dobrej kalkulacji. W koziskach też nie miałem powodzenia. Aż trzy w ciągu dwóch lat mi się zmarnowały. Za kozioła to płacono mi na jesieni 6 zł. Pytam rzeźnika czy on zgadza się z tem, że chyba ten kozioł dziennie zjada więcej jak 5 groszy, powróż, który przez siedem miesięcy poszarpał, jest wart jeden zł. a krycie kozy też kosztuje jeden złoty i przeto winienem za niego dostać przynajmniej 13 zł., czyli zwrot własnych kosztów. Tak ma pan rację, jednak są takie ceny i nie mogę więcej płacić. Takie są kalkulacje w hodowlach. Zabiłem kozła i ugotowałem dla kur, które potrzebują szczególnie dużo białka, tłuszczu i węglowodanów. Kto nie kalkuluje z ołówkiem w rękę, ten nic nie wie. A takich chłopów jest większość. Cieszy się, że na jesień dostanie głupie 6 zł. Powiada „pieniądze razem”. To głupstwo i największa niedorzeczność, jeżeli on w naturaljach drugie 6 zł. w ciągu wychowu tego zwierza wyłożył, a za samego stwora otrzymał tylko 6 zł. Ta ciemnota u chłopą prowadzi niejednokrotnie do zjadania substancji organicznej własnego majątku, a on o tem wcale nie wie.

Co do pszczoł to zabrałem się do roboty z chęcią, bowiem ta jeszcze jedna dziedzina dość dobrze się rentująca. Oczywiście nie miałem jeszcze ani grosza dochodu, gdyż jestem nowicjuszem, a miałem tylko jeden rój. Sam robiłem sobie ule. Dochowałem się już do czterech roi. Byłem już na dwóch kursach w Izbie Rolniczej i mam nadzieję, że jakoś to pójdzie. Jest w tym zakresie jedna bolączka charakteru ogólnogospodarczego, że rząd pozwala dawać na jeden rój tylko cztery funty cukru bez akcyzy. Zaś na rój to absolutnie nie wystarcza, jeżeli się zważy, że silny rój potrzebuje na zazimowanie do 28 funtów. Na skutek tego wiele roi umiera w zimie, bowiem nie starczy nam pszczelarzom na zadanie dostatecznej ilości cukru po cenie 72 grosze za funt. Takie borykanie się z biedą to nie żadna gospodarka. Wiadomym jest, że w Polsce możnaby jeszcze raz tyle pszczoł hodować co dałoby miliony plus w ogólnej gospodarce narodowej. Próbowałem szczęścia w hodowli kur. Z tą gałęzią drobnego gospodarstwa zapoznałem się szczegółowo na kursie w Izbie Rolniczej.

Jakie są wyniki mojej gospodarki przez te trzy lata t. j. 1930/1931,

1931/1932, 1932/1933. Rok gospodarczy liczę od listopada do końca października.

Ogród dał w roku pierwszym: dochodu 1.516 zł., rozchodu 635, zysku 881; w drugim roku: dochodu 1.079 zł., rozchodu 372, zysku 707; w trzecim roku: dochodu 652 zł., rozchodu 422, zysku 230 zł.

Swinie w I roku: dochodu 170 zł., rozchodu 511 zł., niedoboru 341 zł.; w II roku: dochodu 295 zł., rozchodu 312 zł., niedoboru 17 zł.; w III roku: dochodu 302 zł., rozchodu 5 zł., zysku 297 zł. i zlikwidowałem przedsiębiorstwa nierentujące się.

Kozy w I roku: dochodu 166 zł., rozchodu 195 zł., niedoboru 29 zł.; w II roku: dochodu 92 zł., rozchodu 148 zł., niedoboru 56 zł.; w III roku: dochodu 35 zł., rozchodu 23 zł., zysku 8 zł. i zawieszenie w służbie. Nie piję więcej koziego mleka.

Kury w I roku: dochodu 234 zł., rozchodu 195 zł., zysku 39 zł.; w II roku: dochodu 246 zł., rozchodu 387 zł., niedoboru 141 zł.; w III roku: dochodu 500 zł., rozchodu 583 zł., niedoboru 83 zł., prowadzę dalej, wybrnę wreście, bowiem mam już wszystko tak urządzone, że będę mógł przeprowadzić selekcję, przeto powyrzucam kiepskie nioski, a wówczas wydatek przy posiadaniu dobrych wyłącznie niosek musi się zwrócić oraz oprocentować. Wiadomo wszakże, że wydatek na paszę i robociznę jest zawsze ten sam, czy to przy złych nioskach czy przy dobrych. I tak jest w każdej hodowli, niech o tem chłop pamięta.

Króliki w I roku: dochodu 41 zł., rozchodu 60 zł., niedoboru 19 zł.; w II roku: dochodu 33 zł., rozchodu 22 zł., zysku 11 zł.; w III roku: dochodu 11 zł., rozchodu 43 zł., niedoboru 32 zł., trzymam śmierduchy, zajmuje się niemi matka.

Pszczoły w I roku: dochodu 20 zł., rozchodu 60 zł., niedoboru 40 zł.; w II roku: dochodu —, rozchodu 49 zł.; w III roku: dochodu 30 zł., rozchodu 36 zł., niedoboru 6 zł. W tej gałęzi odgrywają rolę inwestycje które robię, budowa dalszych uli, rój jeden który kupiłem, i narzędzia które nabywam.

Psy i koty stale dają deficyt.

Wartość mieszkania stanowi rocznie 396 zł., a podatki i inwestycje w pierwszym roku 567 zł., w drugim 336 zł., w trzecim 81 zł.

Nie jest to objaw pocieszający, że inwestycje są mniejsze w drugim i trzecim roku. Nie mam ich zaco robić, więc wogóle w ostatku ich nie robię, a potrzebne są. Na skutek zmniejszonych dochodów musiałem nieco inwestycje zmniejszyć, bo zmniejszyć nie mogę procentów, nie mogę zmniejszyć podatków czy renty, również długi

muszę upychać, zatem da się tylko robić to, że się nic u siebie nie naprawia, płotu nie reperuje, dachu nie poprawia i t. d. Jednym słowem nie robi się nic u siebie, a stara zatykać pieniędzmi inne dziury, które krzyczą.

Życie czterech osób to jest troje i dziecko siedem lat, kosztowało nas następująco: w pierwszym roku 1814 zł., w drugim roku 1302 zł., w trzecim roku 1114 zł., tak trzeba było pasa przyciągać, a ile to matka napyskuje, że nie wie co już ma na ten obiad czy kolację wymyślić.

Na wydatki osobiste to jest drobiazgi różne, gazety, tytoń, wyjazdy oraz ubiory wydawaliśmy: w pierwszym roku 1568 zł., w drugim roku 699 zł., w trzecim roku 818 zł.; wydarły się już lumpy, nie można już na trzecią stronę przewracać. O pościeli to nawet nie chcę pisać, bo mnie wstyd.

Inwestycje ruchome, to jest uzupełnianie różnych gratów, narzędzi do ogrodu i t. p. wydawaliśmy: w pierwszym roku 146 zł., w drugim roku 199 zł., w trzecim roku 36 zł.

W ostatnim roku znów ten sam objaw co przy inwestycjach nieruchomościach. Potrzebne są różne rzeczy, lecz za co kupić.

Utrzymanie domu to jest węgiel, drzewo, światło, mydło i różne inne bzdury kosztowało: w pierwszym roku 548 zł., w drugim roku 349 zł., w trzecim roku 347 zł.

Zapochyliłem się w pierwszym roku na złotych 1280, w drugim 100, w trzecim 160. Nie robię już tego, bo widzę, że to pogłębia jeszcze bardziej moje krytyczne już położenie.

Procentów zapłaciłem w pierwszym roku 417 zł. oraz w trzecim 457 zł.

Gospodarstwo całe po zliczeniu dochodów i rozchodów wszystkich tych poszczególnych gałęzi, które poprzednio wymieniłem, dało na czysto: w pierwszym roku 824 zł., w drugim roku 727 zł., w trzecim roku 588 zł.

Nie liczyłem w rozchodach pracy mojej i żony, bo gdybym te policzył to co rok wypadłby nie zysk, lecz deficyt.

Otóż proszę sobie wyobrazić czy za te pieniądze można używić rodzinę składającą się z czterech osób. Nadmieniam, że powyższe sumy czystego zysku nie stanowią nadwyżki już po utrzymaniu rodziny z tych dwóch mórg. Wylczyłem je z różnicą pomiędzy dochodem w naturaljach i gotówkowych, które gospodarstwo dało, a wkładami włożonemi w to gospodarstwo. Zatem dopiero z tych zysków mam rodzinę żywić, przyodziewać, płacić podatki, płacić rentę, naprawiać dom i graty, spłacać resztę ceny kupna i t. d. Z po-

wyższego wyniku, że sumy te nie starczą wogóle na wyżywienie rodziny, a zaraz to udowodnię. Rok ma 365 dni. 824 zł. podzielone przez 365 dni wypada na jeden dzień 2,06 groszy. Jeżeli 2,06 zł. podzielimy przez trzy osoby (dziecka nie liczę bo nie potrzebuje tyle żywności co osoba dorosła, zaś służącą mam tylko dziewięć miesięcy w roku, więc te dwie osoby stanowią jedną całą), to na jedną osobę i dzień wypadnie niecałe 70 groszy. Dzielać dalej te 70 groszy na śniadanie, obiad i kolację, to śniadanie wolno mi zjeść za 20 groszy, drugie śniadanie w duchu, obiad za 30 groszy, podwieczorek również w duchu, a kolację sutą znów za 20 groszy.

A teraz najgorszy rok z zyskiem 588 złotych. 588 zł. podzielone przez 365 dni wynosi na jeden dzień 1,61 zł. Te 1,61 zł. podzielimy na trzy osoby to na jedną osobę na dzień wolno będzie mi wydać 54 grosze, wyraźnie pięćdziesiąt cztery grosze. Rozwijając ten rachunek dalej otrzymamy na śniadanie 15 groszy, na obiad 24 gr. na kolację 15 gr. Drugie śniadanie i podwieczorek gwizdanego. Jestem ciekaw, która kobieta zgodziłaby się za te pieniądze wystawiać te śniadania, kolacje i obiady i oczywiście zadowolić kogoś.

Przeciwstawię faktyczne potrzeby, mianowicie pokażę co rodzina kosztuje na podstawie faktycznych wydatków moich. Otóż jak z poprzedniego opisanego wyniku, wydałem faktycznie na życie w pierwszym roku 1931 — 1814 zł., w trzecim 1933 — 1114 zł. Podzielię 1814 zł. przez 365 dni, to otrzymam na dzień okrągłe 5 zł. Jeżeli te 5 zł. podzielę na trzy osoby, to na jedną osobę i dzień wyniesie 1,66 zł. A więc użyłem dla jednej osoby na śniadanie 46 groszy, na obiad 70 groszy, na kolację 50 groszy, a gospodarstwo dało tyle tylko, że mógłbym zato na śniadanie użyć tylko 20 groszy, obiad 30 groszy, a kolację 20 groszy.

Rozliczmy i trzeci rok, a mianowicie sumę 1114 zł. Dzielać tę sumę przez 365 dni otrzymamy na jeden dzień 3,06 gr. Tę sumę podzielimy przez trzy, to otrzymamy 1,02 zł. na jeden dzień dla jednej osoby. Zatem w tym ostatnim roku na jeden dzień jedna osoba kosztowała rzeczywiście 1,02 zł., zaś gospodarstwo dało tylko zysków 54 groszy do dyspozycji na jeden dzień. Jeżeliby kto chciał tym cyfrom przeczyć, to ja proszę go, by jadł śniadania za 15 groszy, obiady za 24 grosze, a kolację za 15 groszy, drugie śniadanie i podwieczorek w duchu, razem dziennie 54 grosze, albo niech tylko żyje tak, jak ja z rodziną faktycznie żyłem, to jest dziennie za 1,02 na jedną osobę, a mianowicie: śniadanie za 30 groszy, drugie śniadanie za 12 gr. obiad za 40 gr., a kolację za 20 gr. Chciałbym wiedzieć, jakby mu kiszki

marsza grały. Tak wygląda rzeczywistość, mimo, że mam zajęcie poza moją osadą. Są długi, są podatki, jest renta do płacenia i te trzeba upychać, a dla siebie i dziecka oszczędzić niedożywiając niejednokrotnie rodzinę.

Jeżeli więc się zważy, że ma się płacić podatki, rentę osadniczą i inne ciężary, to proszę sobie wyobrazić, gdzie jest logika. Przecież świadczenia ma się płacić z zysków, które odnośny warsztat rolny daje. Zaś sumę, która nie starczy na wyżywienie rodziny, na tym warsztacie rolnym, nie można uważać za zysk. Wniosek z tego logiczny, że ciężary te musi się płacić z substancji organicznej tego przedsiębiorstwa, a do czego prowadzi wysysanie organizmu to każdemu jest wiadome, choćby z własnego życia. Człowiek, który musi żyć z własnych soków, na skutek niedożywienia, musi zniszczyć wcześniej czy później.

Nie starczy więc ten dochód, jaki moje gospodarstwo dwumorgowe daje, na utrzymanie rodziny, gdzie zaś ma starczyć na przyodziewek, gdzie na podatki, na spłaty ciężarów i inne długi.

Że ja wogóle z rodziną egzystuję to dzięki tylko tym dochodom za pracę poza domem. A ile jest tutaj takich, którzy wyłącznie z tej osady muszą żyć. Wioska nasza liczy 200 takich osad. Niemcy budowali je w tym celu, ażeby mieć robotników zamieszkujących blisko cegielni, których jest tutaj aż trzy i fabryk, których również mamy trzy. Z tego wniosek, że te osady były obliczone na to, że odnośny posiadacz miał mieć jeszcze gdzieś dodatkowy zarobek. Tak też było dawniej. Każdy miał swoją pracę. Mieszkał na osadzie, więc stał nieźle. Nawet gdy ja kupowałam moją chudobę, uważałam tę wioskę za bardzo bogatą, bo na każdej osadzie śliczne plantacje warzyw, każde warzywo można sprzedać, bo miasto obok leżące jest duże, każdy miał pracę, czy to był robotnik, rzemieślnik, czy marna urzędniczyna. Wszystko tryskało tutaj zadowoleniem i życiem. Pannienki tutejsze to proszę jeno patrzeć, krew i mleko. Cała wioska jedna zielen, ulice lipami obsadzone, teren leżący wysoko, ziemia piaszczysta z domieszką gliny, klasa 6, drogi suche, przyjemna okolica.

Nastąpił powolny schyłek, minął rok 1929, rok najlepszych konjunktur, przyszedł rok 1930, kiedy to już nastąpiła pewna stagnacja, jakkolwiek jeszcze przez ludzi tutejszych niezauważona. Rok następny 1931 już był rokiem kryzysowym. Pomału cegielnie zaczęły ograniczać produkcje. Fabryki superfosfatu, przetworów ziemniaczanych i wyrobu młodzi zaczęły oddziały swoje zamykać, w mieście firmy, w których dużo tutejszych ludzi praco-

wało również albo ograniczały produkcję, albo też zwijały się, warsztaty kolejowe także ograniczyły pracę, nawet po sześć dni w miesiącu ludziska muszą święcić. Otóż i tak powoli tutejsi osadnicy tracili pracę. W roku 1932 doszło do największego napięcia — miejscowość stała się armją bezrobotnych. Dodać muszę, że poza owymi 200 osadami pochodzącymi po Niemcach z byłego zaboru pruskiego, jest tutaj także jeszcze stara wioska, w której mieszka kilku gospodarzy, zaś poza temi jest nowych kilka osiedli. Otóż skąd się ci ludzie na tych nowych osiedlach wzięli. Dla lepszej orientacji podam, że od przedostatniego spisu ludności, to jest przez 10 lat dopłynęło do tutejszej wioski 2000 ludności i ostatni spis ludności wykazał 4500 osób. Wioska nasza jest też największą wsią w województwie. Zatem powiększenie wsi w liczbie osób wynosiło około 100%. W mieście było brak mieszkań. Za mieszkanie dwupokojowe trzeba było płacić trzy do czterech tysięcy złotych odstępnego. Ponieważ zaś tutejsza wioska leży blisko miasta, bo 6 do 12 km. (jest bardzo rozwlekła) to ludziska woleli budować tutaj i ten pieniąż włożyć we własne. Znaleźli się posiadacze terenów, którzy poparcelowali rolę uprawną na ćwierćmorgowe działki i na raty ludziom odsprzedawali. Równocześnie Bank Gospodarstwa Krajowego udzielał pożyczek na budowę. W ten sposób powstały krocie nowych budynczków. W jednej dzielnicy nawet pobudowane tak pstrokato, że nazwano tę część „wesołym miasteczkiem”. Otóż w powyżej opisanem leży ten olbrzymi wzrost tutejszej wsi a z drugiej strony z tego wywodzi się tutaj ta armja bezrobotnych. Osadnicy zaś, którzy również muszą dzielić tę samą rolę bezrobotnych, nie otrzymują żadnych wsparć z komitetu dla bezrobotnych, ani z Carytasu,*) gdyż nazywa się, że są właścicielami, a w rzeczywistości to tak ich stan wygląda jak to u mnie z tym zyskiem, który rozliczyłem na te śniadania, obiady i kolacje, nawet u tych biedaków jeszcze gorzej, bo ja ostatecznie jeszcze coś od czasu do czasu z moich zarobków poza gospodarstwem włożę do roli, zaś ci przecież nic nie mogą, ziemia ich jest wyjąłowana zupełnie. Pozatem również sama technika uprawy stoi u nich niżej, bowiem niewiele interesują się teorią i mało postęпами nowoczesnymi. Gazety nie mają, książki nowszej także nie.

Mieszkanie moje jest stroną zachodnią strasznie wilgotne narówni z wszystkimi tutejszemi budynkami. Budowa masowa tych

*) t. j. Charitasu.

domków była prymitywna. Stoją już 20 przeszło lat. Trzebaby tę zachodnią ścianę izolować. Za cóż to zrobić. Od trzech lat myślę nad tem i nie mogę w żadnym roku zdobyć się na odpowiednią sumę potrzebną na tę inwestycję. Meble fornirowane już w pierwszym roku zostały zepsute. Podłoga od tej ściany gnije. Pościele na łóżkach stojących od tej ściany jakkolwiek odsunięte, są stale wilgotne. Inaczej ich lub w innej ubikacji pomieścić nie można. Trudno postawić jedno nad drugim jak w koszarach. Mógłbym sobie przy takiej kombinacji jeszcze zęby powybijać, gdy muszę w nocy zrywać się w obawie przed złodziejami, którzy jak już nadmienilem, lubią zaglądać do inwentarza. Jestem świadom w zupełności tego, że cała rodzina zarywa na zdrowiu wskutek nocowania w tym pokoju. Gdy rano wstaję to czuję ciężar na płucach. To samo jest z żoną. Najgorsze, że dziecko siedmioletnie musi organizm swój młody zatrutować tą stęchlizną. W kuchni mam cement. Zimno jak w psiarni. Nie mogę położyć podłogi, bo skąd wziąć pieniądze. Zaś przeważnie siedzi się w kuchni, bo trudno świecić w kuchni i pokoju. Mam światło elektryczne, co drożej wynosi jak nafta. W zimie kosztuje mnie światło 30 gr. dziennie, latem schodzi do 18 groszy, to przecież poważny wydatek jeżeli się zważy, że w miesiącu wydaję za światło w zimie do 10 złotych. I w tym wypadku wieś znów cierpi. Płacimy tutaj za kilowat prądu drożej, jak w mieście, również płacimy drożej za używanie miejskiego zegara do mierzenia prądu. Nie rozumiem czy to jest słuszne, że elektrownia pobiera na wieczne czasy 3 zł. kwartalnie od zegara czynszu, przecież ten aparat musiał się już dawno zapłacić z nadwyżką.

Pomoc lekarską mam na szczęście z mojego miejsca pracy, lecz to jest pomoc państwowa. Lekarze mają przepisane leki, które im wolno przepisać. Trudno powiedzieć, żeby mogli leczyć, jak tego choroba wymaga.

Co do ubierania się wstyd nawet mówić. Wydarliśmy wszystko, co było jeszcze z kawalerki czy panieństwa. Z chwilą kiedy tę osadę nabyłem, zapadła klapka. Kupuje się już tylko to, co jest bardzo konieczne, a jeszcze segreguje się na potrzebne, bardzo potrzebne i najkonieczniejsze. Zawsze realizuje się tylko to ostatnie. Nigdy nie kupowaliśmy odzieży w tym ostatnim czasie za gotówkę. Trzeba obciążać się ratami. Taka gospodarka to zabójstwo, bowiem wydaje się niby pieniądź jeszcze niezpracowany. Wszystkie lumpy są poprzewracane na drugą stronę — na trzecią już nie można. Zresztą i to przewracanie nic nie jest warte, bo koszt przeróbki jest ten sam, co no-

wego, a czas używania nie stoi w żadnym stosunku do nowego. Około domu to łąkę, jak taki lump. Cztery litery wylażą nieraz ze spodni. Na nogi wkładam pantofle. Nieraz mówię, że chłop powrócił do chłopskiej doli.

Poziom życia obecnie na wsi jest pod psem. Nie mówię już o sobie, bo przecież mam jeszcze kilka groszy z pracy poza domem. Jednak znam doskonale stosunki miejscowe. O zaspokojeniu organizmu żywnością intensywną niema mowy. Ludziska, nietylko że nie zjedzą porządnie, ażeby organizm dostał to co potrzebuje i to co potrzebuje na wydanie siły zużywanej przy pracy, lecz niedożywiają się, nawet głodują. Wskutek tego następuje wycieńczenie i organizm staje się podatnym do chorób. Ze łzami w oczach ludziska mi opowiadają, że kartofle z solą muszą jeść, a czasem i tego nie mają. Co do bezrobotnych lokatorów, to znaczy takich, którzy tutaj mieszczą i nie mają żadnej roli, to dziwny objaw zakorzenił się pod presją troski o życie. Otóż ludziska wyzbyli się zupełnie ambicji. Przysyłają dzieciaki do nas osadników, ażeby im dać coś z ogrodu, to znów ze dwa jajka, to węgla. Otóż tak jakby to zupełnie normalnem było. Trudno im się dziwić, o życie każdy starać się musi. Cóż z tymi dziećmi będzie, przecież to niedożywiane. Gdzież fundament u tego młodego pokolenia. W szkole to u nas panuje gruźlica.

Jeszcze jeden dalszy objaw wywołany kryzysem i bezrobociem. Uliczka na podwórko przez cały dzień nie zamyka się. Jeden po drugim zebrzący przychodzą. Nietylko z własnej wsi, ale i z miasta, bo przecież to wieś, to tam wszystkiego mają. Niezależnie od tego przychodzi w miesiącu kilka list składkowych, to na bezrobotnych takich, którzy nie mają już prawa do zasiłków, to na takich, którzy nie nabyli prawa tego, to znów na takich, którzy nie dostają nic, bo mają rzekomo osady (w nawiasie mówiąc nic im nieprzynoszące, a jeszcze do nich muszą dokładać).

O kulturze i oświacie mówiąc o jednostce w tym sensie, ażeby mogła sobie sama coś pozwolić, czy to książkę, gazetę, czy na koncert do miasta, czy do kina, do teatru, to niema mowy. Wszystko to umarło dla tych biedaków. Rezultaty długo nie dały na siebie czekać. Mamy kupę łązegów wśród młodzieży psotujących stale, łamiących płyty i inne łajdactwa wytwarzających. Nabić wieczorem znienacka nauczycielowi, czy napaść podróżującego, czy też bezbronną kobietę napaść, to ich popisy. Są to objawy niewróżące nic dobrego. Wreszcie niema odpowiedniej reakcji ze strony starszych, nawet rodzice zrozpaczeni swoim położeniem nie reagują na to.

Powracając do moich ciężarów, sytuacja ułożyła się u mnie następująco w trzecim roku kryzysu. Otóż, gdy kupowałem tę chudobę i brałem na siebie resztę ceny kupna 5600 zł. przeliczone na dolary, z oprocentowaniem po 8 od sta, spłacalne w pięciu latach, to moja kalkulacja wykazała mi, że ażeby to spłacić muszę co miesiąc odłożyć 120 zł. z mojego zarobku i z tej osady razem. Byłbym sobie dał radę, gdyby nie przyszedł ten kryzys. Pierwszą ratę to jest odnośną sumę dolarów równającą się 1000 zł. na dzień 5/X 1931 odplaciłem terminowo. Zapłaciłem też i w tym terminie 417 zł. procentu. Oczywiście zapożyczyłem się sumą 1000 zł. na 30 rat, które jeszcze dzisiaj spłacam. Z drugą ratą w dniu 5/X 1932 dałem sobie również radę, lecz już z trudem. Procentu już nie mogłem zapłacić w terminie. W międzyczasie nastąpiła obniżka moich zarobków poza gospodarstwem w roku o przeszło 1000 zł. W ciągu roku 1933 zdołałem ledwo zapłacić procentu 302 zł. za rok 1932. Zaś na poczet raty przypadającej na 5/X 1933 udało mi się zapłacić tylko sumę dolarów stanowiącą 260 zł. Zarząłem więc się przy trzeciej racie na sumę dolarów równającą się w przybliżeniu 1300 zł. Nie określam dokładnie tej ostatniej sumy, ponieważ kurs dolara jest zmienny. I otóż mój rachunek idyalny wziął w łeb. Tymczasem realności spadły w ich wartości do 60%. Dziś moje chudopacholstwo jest warte 9000 zł., a kupiłem za 15.600 zł. nie licząc 1000 zł. opłat przy kontrakcie, przywłaszczeniowych i innych sądowych oraz renty, którą objąłem. Biorąc ściśle włożyłem już do dziś gotówką w tę osadę a) 10.000 zł., b) inwestycji na 843 zł., c) odpłatę reszty ceny kupna, renty, opłaty sądowe i notarialne złączone z tą realnością 3294 zł., d) procentów 874 zł., razem 15.011 zł. Gdybym to sprzedał dziś to otrzymam 9000 zł. a od tego potrąci mi nabywca resztę ceny kupna, to zostanie mi w kieszeni 6000 zł., a moje 9000 zł. stracone jak kamfora. Prosiłem moją wierzycielkę ażeby obniżyła resztę ceny kupna, bo widzi, że realność dziś jest warta 9000 zł. a płaciłem za nią 15.600 zł., że mam rocznie o 1000 zł. mniej dochodu, że ogród daje o 60% mniej, lecz ona nic nie opuści bo nie chce. Tak idzie nam wszystkim, którzy kupili w czasie dobrych konjunktur, lub budowali w tym czasie, a dziś muszą płacić nie mając z czego. Niejednokrotnie dług ciążyący na realności jest dziś większy jak sama realność jest warta. W dodatku mam trudności ze spłatą tej reszty ceny kupna. Otóż jest to rachunek dolarowy. Kobięcina nie chce brać pieniędzy — nie chce na żaden sposób kwitować. Byłem jej winien procent zaległy płatny w dniu 5/X 1932 czyli płatny jeszcze według starego i wysokiego kur-

su dolara, — ani się nie śni — ona nie odbiera i nie daje kwitu. Tłumaczę babinie, że to przecież, według owego wysokiego kursu, bowiem w dniu 5/X 1932 nie było jeszcze zniżki dolara: To wszystko nic nie pomaga, ona nie odbierze i ona nie da kwitu. Pytam się adwokata co jest. Ten potwierdza moją interpretację kontraktu i powiada. W kontrakcie jest wyraźnie powiedziane, że reszta ceny kupna w kwocie 5600 zł., strony zgodnie przeliczają na 629,20 dolarów, również suma ta jest zahipotekowana w dolarach, przeto jesteś pan jej zobowiązany zapłacić odnośną sumę dolarów. Za jaką sumę pan nabywasz dolara, to jej nic nie obchodzi. Możesz pan również płacić złotem polskiem według kursu dnia. Posłałem więc jej ten procent pocztą. Wahała się przez dwa dni, aż wreszcie przyjęła. Śmieszne to, że w odległości 400 metrów od siebie trzeba przesyłać pocztą. Na upartego niema rady. Powoli kobiecina zaczęła nabierać przekonania, że ona nie dostanie razem 5600 zł. odemnie, jeżeli kurs dolara spada, a ja będę płacił według tego kursu. Zaczęła się radzić wiejskich doradców. Taki jeden informował ją, że musi być płacone według kursu takiego jaki był liczony w dniu kontraktu. Nawet znalazł się dziwoląg, który ją pouczył, że właściciel nie może sprzedać swego obiektu, który jest obciążony hipoteką tak długo, aż tę hipotekę spłaci.

Jak wyżej pisałem na termin płatności trzeciej raty w roku 1933 w październiku stałem się niewypłacalnym na sumę dolarów równającą się w przybliżeniu 1300 złotym. Byłem w kłopotcie. Na szczęście przysłała mi z pomocą ustawa o obniżeniu procentów i odroczeniu płatności hipotek. Procent został więc ustawowo obniżony do 6, zaś płatność sumy hipoteki, czy w wypadku jak u mnie raty odroczone do 1/X 1934. Mam więc o jeden rok odsunięty mój kłopot. Ponieważ zaś procent muszę jednak płacić, przeto wobec odmowy odbioru jego, musiałem złożyć do depozytu sądowego. Również będę musiał dalsze sumy składać do depozytu sądowego, a w końcu skarżyć o wymazanie hipoteki. Znow ambaras i wydatki.

Widoki na przyszłość są pod psem. Nie powrócą już dobre konjunktury, o tem niema mowy. Zdaje mi się, że już nastąpiło lekkie odprężenie. Jednak na tym niskim poziomie, na który zeszliliśmy, już pozostaniemy i nastaną te dawne ciulacze czasy, gdzie to trzeba było przez długie lata oszczędzać, ażeby do czegoś przyjść. Ustabilizujemy nasze życie mniejwięcej na obecnym poziomie. Będą pewne falowania konjunktur, lecz o powrocie do tych anormalnych czasów wysokich konjunktur z roku 1927 i 1928 i 1929 już nie powrócimy.

Będziemy, więc na tym szarym poziomie kuć naszą mocarstwową Polskę. Lepiej to jak pod obcym jarzmem.

Jeszcze jedna bolączka wsi, a mianowicie wysokie opłaty socjalne. Na przykład: służąca otrzymuje na miesiąc 20 zł. Od tej sumy przypada na kasę chorych 3,20 zł., na znaczki inwalidowe 1,80 i na Fundusz Pracy 70 gr. Jeżeli się weźmie część, którą ona płaci, a która wynosi 2,25 to w stosunku do sumy 20 zł. wynosi 11%. Któż to słyszał w czasach przedwojennych o obciążeniu, aż tak poważnym procentem poborów opłatami socjalnymi.

Zanim tę piorunską budę kupilem, nie znałem się wogóle na komornikach, na sekwestratorach i tym podobnych djabłach. W ostatnich latach zapoznałem się z nimi nawet dość dokładnie zapoznałem się z ustawą o wykonaniu przymusowem. Już kilkakrotnie miałem meble zapieczętowane nawet raz już była licytacja ogłoszona.

Zdarzył się kiedyś u mnie taki wypadek, że przybył urzędnik Urzędu Skarbowego i pozostawia u mnie zawiadomienie o mającej odbyć się licytacji na nazwisko osoby u mnie niezamieszkującej. Dowodzę, że tutaj nie mieszka ta osoba. Powiada, ja muszę tutaj zostawić, bo taki adres mi wskazano, a jeżeli tego nie zrobię to mnie wyleją z urzędu. Dobrze zostaw pan, żeby już pana nie wylali. Na drugi dzień sprostowałem sprawę i w porządku — jednak pomyślałem sobie cóż to za presja na tych biedaków, że aż tak dalece świadomie robią głupstwa, by ich tylko niewywalono z pracy.

Obecne moje niedociągnięcia finansowe miesięcznie wynoszą od 80 do 150 zł. Co miesiąc w końcu muszę taką sumę dopożyczyć. Ciągnie się to już cztery miesiące, cóż to będzie jeżeli ja kiedyś nie dojdę do równowagi. Chyba droga w przepaść. Sprzedać nie mogę tej budy, bobym aż 9000 zł. stracił. Wogóle się ruszyć nie mogę. Ostatnio wyszła obniżka renty na połowę, lecz znów mnie nie dotyczy, bo kupilem po roku 1924. Jest klauzula, że ci osadnicy otrzymają tę ulgę, którzy nabyli osady w latach 1919—1924 i zapłacili za hektar wyżej 300 zł. Ja zaś płacąc za całość to jest 2½ morgi zapłaciłem 15.600 zł., czyli za hektar nie 300 zł. ale około 28.000 zł. Gdzie więc logika.

Poza moją pracą oraz domem jestem skromnie zaangażowany pracą społeczną. Niedużo, bo mam tylko cztery prezesury tutejszych towarzystw z których w jednym mam nawet trzy sekcje, jestem pozatem w dwóch innych zarządach. Prowadzę przeważnie organizacje o charakterze gospodarczym. Założyłem tutaj sekcję hodowli

jedwabników, sekcję hodowli drobiu i pszczół, łącząc likwidujące się pewne towarzystwo do naszego. Napisałem już dużą ilość memorjałów i artykułów. Co rok robimy lustrację ogrodów przez przedstawiciela Izby Rolniczej. Szeroko zajmujemy się walką przeciw szkodnikom drzew i krzewów owocowych. Propagujemy hodowlę warzyw, zajmujemy się oświatą i kulturą, sprawami osadniczymi, ustawodawstwem. Praca jest trudna, bowiem ludność tutejsza stanowi naleciałość z wszystkich stron świata i o nierównym poziomie umysłowym, oraz o bardzo różnych poglądach. Wobec tych trudności inteligencja mniej angażuje się do pracy społecznej. Osobiście nie mogę narzekać, daję sobie jakoś radę. Gazet trzymamy w towarzystwach a mianowicie Gazetę Ludową, Poradnik Gospodarski, Drób Polski, Bartnik, Świat Ogrodniczy, Dziennik Ustaw, Orędownik Powiatowy, pozatem mam dwie moje gazety. Ostatnio założyliśmy bibliotekę składającą się z książek o warzywach, kurach, gołębiach, kwiatach, jedwabnikach, pieczarkach i t. p. Bądź co bądź przez trzy lata pracy wśród tych towarzystw mimo kryzysu wiele się zrobiło. Byłem również Komisarzem spisu ludności. Należałem do Komitetu Pożyczki Narodowej. Zasiadywałem w różnych komisjach statutowych i organizacyjnych towarzystw. Obecnie współdziałam przy tworzeniu Komitetu towarzystw w naszej parafji. Jestem także skromnym prezesem Akcji Katolickiej. Walczymy z księżulkiem, ażeby odchwaścić teren parafjalny na punkcie religijnym. Mam w miesiącu conajmniej dwanaście zebrań we wszystkich tych towarzystwach, aż nieraz głowa boli. Dla ilustracji mojej pracy społecznej i kierunku jej załączam kilka moich bryzgołów umieszczonych w prasie.

Kończę ten pamiętnik ze słowami zachęty dla naszej wieśniaczej wspólbraci. „Więcej wiary w siebie” a ułożymy sobie życie znośniejsze.

Dn. 25 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 42

Dawniej górnik, obecnie gospodarz na dwudziestu czterech morgach w pow. rawickim

Urodziłem się 24 września 1879 w Dłoni, wiosce zamieszkałej przez ludność małorolną. Gospodarstwa w mojej rodzinnej wsi nie przekraczały 24 mórg magdeburskich, a były i takie co zaledwie dwie morgi liczyły. Ludność była ubogą. Kultura roli stała nisko, nie znano jeszcze nawozów sztucznych a ziemia przeważnie 3 i 4 klasy niedrenowana dawała liche plony, a obciążona rentą (Rentenbankrente) i innemi długami nie mogła licznych rodzin wyżywić. Nie dziw więc, że mieszkańcy wioski byli zmuszeni szukać pracy pobocznej, a nieznalazszy jej w miejscu wyjeżdżali za pracą zagranicę. Niejeden pracował kilka lat na wychodztwie, wracał potem z pieniędzmi do rodzinnej wioski, pozbywał się długów, kupował rolę i ulepszał swoje gospodarstwo. Przez takie wychodztwo nasza wioska mocno się podniosła i równocześnie pozbywała się nadmiaru ludności.

Ojciec mój posiadał gospodarstwo 21 mórg magdeb. Dzieci nas było dwanaścioro, dziewięciu chłopców i trzy dziewczęta. I my byliśmy zmuszeni opuścić dom rodzicielski i szukać pracy między obcemi. Ja mając lat 16 wyjechałem do Westfalji. Pracę znalazłem w górnictwie. Wiodło mi się dobrze i przy oszczędnym życiu zdołałem sobie nieco pieniędzy odłożyć i nieraz jeszcze ojca w trudnościach wspomagałem. Po odbyciu służby wojskowej ożeniłem się w wiosce rodzinnej i wraz z żoną wyjechałem znów do Westfalji. Bóg mi błogosławił, żyłem oszczędnie a uskładany grosz oddawałem do kasy. Mojem marzeniem było w ojczystych stronach się okupić i na własnym kawałku roli osiąść. W roku 1914 miałem już kilka tysięcy mk. uskładanych. W tym roku wybuchła wojna na którą zostałem zaraz w pierwszym dniu mobilizacji zaciągnięty i na któ-

rej przebyłem trzy lata. Po powrocie z wojny pracowałem nadal w kopalni.

W roku 1918 odbiła się na wychodźstwie radosnym echem wieść o powstaniu Polski. Dużo Polaków opuszczało wtedy Niemcy i wracało do kraju. Mojem pragnieniem było wrócić jaknajprędzej do ojczyzny, lecz nie mając zapewnionego utrzymania dla mej rodziny, żony i pięciorga dzieci nie mogłem tak naoslep jechać. Jednak nie długo już miałem na obczyźnie pozostać. W roku 1920 zapisał mi mój teść swoje 24 morgowe gospodarstwo i tak wróciłem z rodziną do Polski. Z radością zabrałem się do pracy na własnym kawałku roli, a miałem tej pracy dużo, gdyż gospodarstwo było podupadłe i zaraz na początku musiałem dużo naprawiać i nowych rzeczy kupować. Włożyłem sporo pieniędzy w to gospodarstwo, a reszta zaoszczędzonych pieniędzy kilka tysięcy mk. przepadła mi wskutek dewaluacji. Jedna troska jeszcze mnie gnębiła a to, że moje gospodarstwo nie zapewniało utrzymania mojej rodzinie, teściów i opłacania różnych wydatków. Z prawdziwą ulgą przyjąłem też wtedy wiadomość o wydzierżawieniu roli przez majątność Dłoń pomiędzy małorolnych naszej wioski. Ziemia została wydzierżawioną w działkach od 5 do 20 mórg na sześć lat. Dzierżawy płaciliśmy z morgi 1,20 cnt. żyta. Mnie została działka sześciomorgowa przydzielona. Ogółem uprawiałem teraz 30 mórg. Wogóle była ta dzierżawna rola dobrodziejstwem dla naszej wioski, a szczególnie dla tych rodzin, które nie posiadały dużo własnej ziemi i którem ta dzierżawna rola dawała chleb i warsztat pracy.

Ten stan rzeczy trwał do 1925 roku, w tem bowiem roku kończyła się dzierżawa i umowa została nam wypowiedzoną. Był to ciężki cios dla naszej wioski. Wysłaliśmy delegację do dworu z prośbą o przedłużenie nam dzierżawy, przedstawiając ciężkie położenie w jakim znalazłaby się nasza wioska, gdyby ziemia została nam odebrana. W dworze jednak oświadczono nam, iż roli nadal dzierżawić nie będą i pierwszego października zostanie nam ziemia odebrana. Gdyśmy się powołali na ustawę o ochronie drobnych dzierżawców, oświadczono nam, iż: wasza jest ustawa a nasza ziemia. Przekonaliśmy się, iż do porozumienia nie dojdziemy i oddaliśmy tę sprawę do sądu. Sprawa się jednak przeciągała i gdyby nie zdecydowana postawa chłopów byłiby nam ziemię odebrali jeszcze przed wydaniem wyroku. Wyrok wypadł na naszą korzyść i zapewniał nam dzierżawę do roku 1930. W tym czasie stawiliśmy wniosek do okręgowego urzędu ziemskiego w Poznaniu o rozparcelowanie zie-

mi z majątności Dłoi pomiędzy małorolnych. Z nową otuchą wzięliśmy się do pracy. Konjunktura była w tych latach dobrą. Stosowaliśmy dużo nawozów sztucznych przez co podnosiła się kultura roli i powiększały plony. Ja w tem czasie budowałem, drenowałem ziemię, kupiłem centryfugę i do spółki z sąsiadem siewnik. I wogóle każdy ulepszał swoje gospodarstwo jak tylko mógł.

W roku 1929 postanowiła majątność Dłoi z wolnej ręki rozparcelować ziemię pomiędzy małorolnych. Nareszcie doczekaliśmy się sposobności, aby swoje gospodarstwa powiększyć. Warunki sprzedaży okazały się jednak dość ciężkie, cena za jedną morgę magdeb. została na 780 do 800 zł. wyznaczona. Przy zawieraniu kontraktu płatną miała być $\frac{1}{3}$ ogólnej sumy kupna a reszta w trzech równych ratach po 8% rocznie płatną w ciągu trzech lat. W razie nie uiszczenia rat i procentów w oznaczonym terminie zastrzegła sobie sprzedająca natychmiastową egzekucję.

Drobniejsze gospodarstwa miały mieć zapewnioną pożyczkę długoterminową z Państwowego Banku Rolnego. Pomimo dość trudnych warunków podpisaliśmy umowę, gdyż ceny na produkty rolne były dobre i każdy miał nadzieję, że się jakoś wygospodarzy. Mnie została działka dziesięciomorgowa przydzielona. Płaciłem za jedną morgę 780 zł., za 10 mórg 7800 zł. Przy zawieraniu kontraktu musiałem 2850 zł. wpłacić a kosztów od zapisu 89,10 zł. Naturalnie nie posiadałem tyle pieniędzy i byłem zmuszony w Banku Ludowym w Miejskiej Górcie pożyczkę w kwocie 1000 zł. po 13% zaciągnąć. Resztę ceny kupna 4950 zł. miałem na trzy lata rozłożone po 1650 zł. rocznie i procent, płatne 1 listopada każdego roku.

W styczniu 1930 r. nawiedził mnie Pan Bóg ciężkim krzyżem, gdyż zachorował mój najstarszy syn, uczynił 5 kursu seminarjum nauczycielskiego. Pomoc lekarska okazała się niezbędną i lekarz odwiedzał chorego co drugi dzień. Leczenie i lekarstwa pociągały dużo kosztów za sobą, a gdy się jeszcze okazał koniecznym wyjazd do szpitala, byłem zmuszony znów 200 zł. po 13% od prywatnych ludzi pożyczyć, które nawiasem mówiąc, do dziś jeszcze nie spłaciłem, tylko procent mam w tym roku na 12% obniżony. Syn mój jednak po dziesięciodniowym pobyciu w szpitalu zmarł. Koszty pogrzebowe i różne drobne długi, które byłem zmuszony zaciągnąć za lekarstwa, przewiezienie do szpitala i t. p. zapłaciłem dopiero po żniwach. Miałem jeszcze inne zaległe zobowiązania do uiszczenia za węgle, nawozy sztuczne, tak że na spłatę do dworu, przypadającą pierwszego listopada zaciągnęłem pożyczkę w Komunal-

nej Kasie Oszczędności w Rawiczu w kwocie 1200 zł. po 12%. Musiałem się jednak zobowiązać, że co kwartał będę 5% ogólnej sumy i procent odpłacał. W tem roku zaznaczył się wprost katastrofalny spadek cen produktów rolnych i sytuacja coraz bardziej się pogarszała. Rok później już nie byłem w stanie przypadającej na 1 listopada raty uiścić i zaledwie procent zapłaciłem. Zresztą nikt w całej wiosce nie zapłacił swojej raty, a byli i tacy, co nawet procentu nie mogli zapłacić. W grudniu otrzymaliśmy wezwanie z dworu o zapłacenie zaległej raty, w przeciwnym razie miała nastąpić egzekucja. Było to jednak dla nas niemożliwym i kto wie do czego byłoby doszło, gdyby w tym czasie nie były powstały sądy rozjemcze.

Jednak jeszcze inny cios miał na naszą wioskę spaść. W lipcu 1932 r. ogłosił „Rolnik” w Miejskiej Górcie niewypłacalność i podwyższył udziały, które dotąd wynosiły 200 zł., na 600 zł. Jeden udział odpowiada za 1000 zł. Blisko połowa chłopów w naszej wiosce była członkami „Rolnika”. Ja wstąpiłem do „Rolnika” jako członek w roku 1924. Mój udział wynosił 85 zł., gdyż w ostatnich latach nie byłem w możności go uzupełnić. Mam więc 515 zł. do zapłacenia, które mają być do lipca 1934 roku wyrównane. Z dworem przyszliśmy w ten sposób do porozumienia, iż procent i ewentualną małą część sumy odpłacaliśmy cukrówką, którą na ten cel dla dworu sadziliśmy. Procent został nam z 8 na 5% obniżony. W październiku bieżącego roku została nasza wioska znów zaniepokojona wiadomością, iż właścicielka majątności Dłoń, pragnie nam rolę przywłaszczyć, a resztę ceny kupna wciągnąć na hipotekę. Rzeczywiście zostaliśmy 26 października wezwani do adwokata celem podpisania od nowa zredagowanej umowy. Z początku nie chcieliśmy się na to przywłaszczenie zgodzić, gdyż to pociąga zawsze różne koszty za sobą, a dług wciągnięty na hipotekę i nie odpłacony w oznaczonym terminie, może pociągnąć za sobą egzekucję. Właścicielka jednak zastrzegła sobie w kontrakcie prawo do przywłaszczenia ziemi chociaż bez zgody nabywcy. Nie mogliśmy nic w tem poradzić i kilku z nas się podpisało. Mnie została reszta ceny kupna w kwocie 2890 zł. rozłożona na siedm lat, płatna w ciągu pięciu lat po 375 zł. rocznie a w dwóch ostatnich latach po 400 zł. Pozostałe 215 zł. są płatne 30 listopada bieżącego roku. Kosztów od przywłaszczenia zapłaciłem dotąd 64 zł., a koszty sądowe mają drugie tyle wynieść. Większość się jednak nie zgodziła, a to przeważnie tych, którzy mając własnej ziemi tylko kilka mórg a chcąc nabyć roli z parcelacji byli zmuszeni swoje gospodarstwa do 28 mórg

uzupełnić. Niejeden z nich ma jeszcze długu ponad 10.000 zł. niedziw więc, że nie mógł się zgodzić na spłacenie długu w ciągu siedmiu lat, tembardziej że ma jeszcze różne poboczne długi. Położenie tych chłopów jest wprost rozpaczliwe, a wyratować ich z tego położenia może albo obniżka ceny roli, albo też rozłożenie spłaty długu przynajmniej na jakie 30 lat.

A teraz przychodzą jeszcze podatki. Z mojej chudoby 24 mórg płacę:

Państwowy podatek gruntowy	46.92 zł.
Komunalny	12.24 „
Gminny gruntowy	12.24 „
Powiatowy, drogowy	8.96 „
Podatek wyrównawczy	4.08 „
Na Izbę Rolniczą	7.64 „
Od wypadków w rolnictwie	18.00 „
Ubezpieczenie od ognia	9.30 „
Kominiarz	5.56 „
Stróż	3.50 „
Podatek z 10 mórg nabytych z parcelacji płatny w dworze	50.70 „
Rentą (Rentenbankrente), którą w tem roku spłaciłem	18.00 „

Razem 197.14 zł.

Trudno doprawdy w takich warunkach gospodarzyć. Człowiek musi sobie poprostu od ust ująć, aby się jakoś utrzymać. Głównem pożywieniem chłopów w naszej wsi są ziemniaki, chleb, ściągane mleko i olej lniany. Mleko odstawiają wszyscy do mleczarni i to nawet tacy, którzy posiadają zaledwie jedną krówkę. Cukier, nafta, zapalki, węgiel i wogóle wszystko co kupujemy jest za drogie i każdy ogranicza się z kupnem tych artykułów do ostateczności. Zwłaszcza z opalem jest trudno, u nas 1 m.³ drzewa kosztuje 12 zł. Od trzech lat palę drzewem, tylko zimą kupuję od czasu do czasu centnar węgla. U nas pali się tylko tyle, o ile to jest koniecznym do ugotowania stawy i uparowania ziemniaków dla inwentarza. O ogrzewaniu pokoi zimą niema mowy. Mieszkania są też u nas wilgotne, a skoro mróz przyjdzie to ściany pokrywają się grubą warstwą szronu. I tak jest w całej wiosce, w mieszkaniach zimno jak w lodowni. O paleniu i picciu niema u nas mowy. Ja sam dawniej paliłem chętnie fajkę lub cygaro. Dziś po tem wszystkim zostało wspomnienie. Nawozów sztucznych używamy

zaledwie $\frac{1}{4}$ część co dawniej. Jest to wprawdzie gospodarka rabunkowa i za jakie dwa — trzy lata może się to fatalnie odbić na płonach. Ciężko jest teraz gospodarzyć, a jeszcze ciężiej jest, jeśli w gospodarstwie się nieszczędzi. W naszej wiosce w ostatnich latach występowała często cholera drobiu i pomór świń. W tem roku nawiedziła nas znów plaga myszy, która w jesiennych zasiewach poważne szkody zrobiła. Zato złodziejstwo w ostatnich latach się rozpanoszyło. Chłopi nieraz w nocy muszą pilnować swego dobytku. Niejednemu przydałby się drugi pies, lecz trudno znów za niego podatek płacić. Ciężką troską napełnia nas myśl o przyszłości naszej dorastającej młodzieży. Jedna z dzieci może tylko po rodzicach gospodarstwo odebrać, a z resztą dzieci co począć? Niektórzy sobie w ten sposób radzili, że chłopców dawali w naukę do rzemieślników. Lecz cóż, chłopak się wyuczył, pracy nigdzie nie znalazł i jest zmuszony w domu siedzieć. Mamy tu w naszej wsi chłopaków wyuczonych za kowali, kołodziei, stolarzy, szewców, ślusarzy. W niektórych domach jest takiej młodzieży pięć i więcej. Służby też nigdzie nie można znaleźć, gdyż nawet więksi gospodarze, którzy dawniej służy mieli, obywają się sami. Nieraz człowieka zwątpienie ogarnia na myśl co to będzie, jeśli ten stan rzeczy jeszcze długo potrwa. Lecz lepiej już o tem nie myśleć. Niech raczej bodźcem dla nas do dalszej pracy będzie myśl, że doczekamy się jeszcze lepszego jutra i jaśniejszej przyszłości.

Dn. 26 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 43

Wyrobnik (muzykant), a później dorabiający się gospodarz w pow. myślenickim, który po wojnie przeniósł się do pow. inowrocławskiego

Pragnąc wziąć udział w konkursie na „Pamiętnik Chłopa” przesyłam szeroki opis życia chłopskiego i walki o byt, mając nadzieję, że może będzie tą małą częścią tego wielkiego obrazu ciężkiego położenia chłopów polskiego, jaki Instytut Gospodarstwa Społecznego zamierza opracować.

Aczkolwiek opowieść moja jest niekształtna i bardzo błędnie napisana, jest jednak rzetelna i prawdziwa i w niej niema ani słowa przesady. Na dowód prawdziwości mego opowiadania mogę na żądanie przedłożyć każdego czasu odpowiednich dokumentów.

Proszę o wybaczenie nieczytelności pisma i błędów, bo jestem starcem siedemdziesięcioletnim i wzrok mi nie dopisuje.*)

M O T T O:

Temu tylko pług i socha
Kto tę ziemię Polską kocha.

Ojciec mój urodził się trzecim synem małorolnego mieszkańca jednej z okolicznych wiosek miasta Wieliczki.

Lata dziecinne i młodzieńcze spędził przy swym ojcu, który chociaż nie był człowiekiem zamożnym, chciał jednak każdemu dziecku dać możliwość zarobkowania i temsamem przynieść ulgę sobie w utrzymaniu rodziny, która była dość liczna, gdyż składała się z ośmiu osób i pozatem miał jeszcze na utrzymaniu swego ojca staruszka.

Roli posiadał bardzo mało, bo zaledwie tylko jeden i pół hek-

*) Pamiętnik ten umieszczamy w woj. Krakowskim, w którym pamiętnikarz właściwie spędził swoje życie, w Wielkopolsce zaś jest stosunkowo świeżym przybyszem.

tara (i chatkę tak małą, że zaledwie zdołała pomieścić rodzinę), nie mogła więc być warstwą pracy dla jego dzieci, to też każdemu synowi chciał dać jakieś rzemiosło. Mojemu ojcu przypadła w udziale nauka muzyki, jako ta do której ojciec miał najwięcej zamiłowania po zawodzie rolniczym, którego nie można było dać z braku warunków ku temu.

Ojciec był chłopcem dobrze umysłowo rozwiniętym, to też nauka przychodziła mu bez trudności i wnet opanował struny swego instrumentu. Po roku nauki aczkolwiek nie był mistrzem skrzypiec był jednak o tyle zdolny, że mógł swoją muzyką zadowolić wymogi ludzi ówczesnych i rozpocząć granie na weselach i w karczmach na zabawach jak to w dawnych czasach było zwyczajem.

Zarobek jego był początkowo niewielki, bo niecodziennie trafiało się ojcu grać na weselu lub zabawie, ale z czasem zdołał się zmówić ze starszymi grajkami, którzy widząc chęci ojca do pracy, chętnie brali ojca w swoje grono, aby się wyrabiał w graniu a przytem częściej zarabiał.

W dawnych czasach nie było tej rozpiętości cen jak dzisiaj, to też chociaż ojciec mało zarabiał to i za artykuły pierwszej potrzeby jak np. sól, cukier, opał, naftę (której zresztą mało używano, bo do oświetlenia używali na wsi w dawnych czasach łuczywa) nie płacono takich wygórowanych cen jak dzisiaj, a o innych potrzebach, jako to gazetach i książkach, to chłop ani marzyć nie mógł, więc można było tak mówić koniec z końcem związać.

Tak płynęło to szare życie i upływał rok za rokiem. W rodzinie mojego ojca zaszły niejedne zmiany, mianowicie: staruszek dziadus przygnieciony ciężarem wieku zmarł. W niedługo po jego śmierci wydano zamąż najprzód jedną, a później drugą siostrę mojego ojca i tym sposobem zmniejszyła się rodzina o trzy osoby, a zatem zmniejszyły się wydatki, ale z drugiej strony zmaleły także i dochody, bo ubyły dwie pary silnych rąk do pracy.

Wszystkie oszczędności, chociaż niewielkie były, wydano na wiano siostr, nie mówiąc już o pogrzebie, który pociągnął za sobą także dosyć znaczne koszta, a w domu pozostano bez grosza i trzeba było na nowo zgromadzać oszczędności, bo dorastała jeszcze jedna siostra ostatnia dla której koniecznie było potrzeba przygotować chociaż trochę gotówki. Zamiarów nie zdołano jednak uskutecznić, bo niespodziewana choroba powaliła ojca rodziny na łoża boleści, aby z niego nie powstał już więcej.

Po dwóch czy trzech tygodniach ciężkiej choroby musiał umrzeć mimo tego, że nie był człowiekiem starym, liczył bowiem zaledwie około 55 lat życia. Brakowało mu jedynie opieki lekarskiej na którą nie mógł sobie pozwolić, bo gdzież tam w dawnych czasach słyszał kto, aby chłop na wsi mógł korzystać z pomocy lekarskiej.

Tutaj muszę nadmienić, że lud wiejski w dawnych czasach leczył się tylko ziołami, które zbierali i jedni drugim doradzali. A jeżeli przychodziła ciężka choroba przy której pomoc lekarska była nieodzowna, to o ile organizm nie był zbyt silny aby wytrzymał napór trawiącej go choroby, najczęściej kończyło się śmiercią.

Tak też było z moim dziadkiem, względnie ojcem mego ojca. Organizm jego nie miał tej siły aby przetrwać chorobę i zmarł.

Zagrodę po ojcu otrzymał średni syn ulubieniec matki, którą miał utrzymać do śmierci i wywianować najmłodszą siostrę, bo taka była ostatnia wola nieboszczyka. Najstarszy syn już od dłuższego czasu pracował sam na się i był poza domem, to też i najmłodszemu, to jest mojemu ojcu był czas najwyższy pomyśleć o założeniu własnego ogniska domowego. A że miał w okolicy dużo znajomości, to też o wybór żony nie było mu trudno.

Niedaleko wioski rodzinnej na przedmieściu miasteczka Dobczyc zapoznał ojciec mój już od dłuższego czasu pewną niezamożną dziewczynę, w której kochał się od pierwszego wejrzenia. A że i ona była mu wzajemną, nie zwlekali długo tylko zawarli małżeństwo i założyli własne ognisko.

Ojciec mój nie otrzymał od swoich rodziców ani piędzi ziemi, chociaż ją tak kochał i tak pragnął mieć chociaż taki mały kawałek, aby mógł tylko chatkę pobudować, a również i jego żona nie otrzymała od rodziców żadnego wiana i całem ich bogactwem była jedna izba mała, którą ojciec żony oddał im na mieszkanie i trochę sprzętów domowych.

Na utrzymanie swoje i żony musiał ojciec zarabiać pracą rąk własnych, w czem pomagała mu żona chodząc do pracy w porze letniej do pobliskiego folwarku. Ojciec także chętnie szedł do dworu pracować, skoro tylko był wolny od swoich zajęć, bo szczególne upodobanie miał do pracy na roli chociaż i nie na swojej.

Pożycie małżeńskie było naogół szczęśliwe, choć w niedostatku żyli, kochali się bo byli piękni i młodzi, pracowali wspólnie i marzyli jak sobie życie ułożą, gdy złożą oszczędności. Niestety szczęście ich trwało zbyt krótko, bo zaledwie w rok po ślubie zmarła mojemu ojcu żona po urodzeniu dziecka wskutek upływu krwi.

Niedługo po śmierci żony zmarło także małeństwo sierotka, i ojciec pozostał samotny. Początkowo nie mógł przeboleć straty żony, lecz wkońcu musiał pogodzić się z losem i poszukać drugiej żony.

W sąsiedztwie ojca mieszkał piekarz, który miał kilkoro dzieci a pomiędzy nimi córkę Zofję silną i zdrową, a przytem dobrze obeznaną z fachem piekarskim. Ku niej to zwrócił się mój ojciec, a że był, jak już wspomniałem ładnym mężczyzną a przytem i uczciwym, to też i Zosi podobał się a także i jej ojcu, który z zadowoleniem oddał swą córkę za żonę memu ojcu, nie szczędząc przytem wiana w gotówce, które jak na te czasy było dość znaczne, bo wynosiło 200 rejskich. Ojciec swoich oszczędności miał przeszło 100 rejskich, które po złączeniu z wianem żony przedstawiały pokaźną sumę za którą postanowił ojciec zrealizować swoje marzenia i kupić kawałek ziemi pod budowę własnej chaty.

W tym celu wybrał się do dworu Bienkówice po poradę. Dziedzic przyjął go przychylnie i wysłuchał jego opowieści, wypytał się ile gotówki ma ojciec a gdy ten opowiedział wszystko, dziedzic tak rzekł do niego: widzę, że jesteś człowiekiem, który chce w życiu dojść do czegoś, więc chętnie ci dopomogę. Mam w mojej własności kawałek ziemi, który się wrzyna pomiędzy rolę chłopską, to ci ten kawałek ziemi sprzedam nawet tanio, a chatę to jakoś sobie pobudujesz i będziesz miał swoje. Gdy ojciec zapytał się o cenę, dziedzic namyślając się chwilę powiedział, że za morgę (miary austriackiej) ziemi zapłaci ojciec 50 rejskich, a ile morgów będzie liczył ten kawałek to się okaże przy miarze, którą każe nazajutrz przeprowadzić. Ojciec ucieszył się tem bardzo, podziękował jak umiał dziedzicowi i wrócił uszczęśliwiony do domu, aby podzielić się wiadomościami z żoną, która cieszyła się również z pomyselnego załatwienia sprawy.

Nazajutrz zabrali pieniądze i poszli do dworu, aby być przy pomiarze i zapłacić umówioną cenę. Po dokonaniu pomiaru okazało się, że powierzchnia ziemi wynosi trzy morgi czyli około $1\frac{1}{2}$ hektara, zatem należna suma wyniesie 150 rejskich, które ojciec natychmiast zapłacił dziedzicowi, a po załatwieniu wszystkich formalności związanych ze sprzedażą i kupnem i po opłaceniu przez ojca kosztów, oddał dziedzic w posiadanie ojca nabytą ziemię i jeszcze obiecał pomóc przy budowie chaty.

Kiedy już miał ojciec własny kawałek ziemi zabrał się zaraz do budowy chaty. I tak powoli zakupił drzewo, pozwoził dworskimi końmi, przysposobił słomy do pokrycia dachu i t. d., tak, że do jesieni

chata była powierzchownie gotowa i można było już w niej zamieszkać.

Chociaż była mała, (bo składała się tylko z jednej izby mieszkalnej, komórki i stajenki dla krowy) i uboga, dla ojca była ona obszerna i wspaniała, bo była ziszczeniem jego zamiarów, jego własnością.

Na kupno ziemi i budowę chaty wydał ojciec wszystkie pieniądze, jakie posiadał i jeszcze się zadłużył, to też biedował z żoną niejednokrotnie, ale mimo tego szczęśliwy był bo osiadł na swoim.

W takich warunkach przyszło na świat dwoje starszego rodzeństwa, a w siedem lat później urodziłem się i ja również, jako ostatnie dziecko moich rodziców, którzy pracowali bez wytchnienia na utrzymanie swoich dzieci i zabezpieczenie im jakiegoś bytu. Ojciec chwycił się każdej uczciwej pracy a gdy nie miał innego zarobku, przeważnie w czasie adwentu lub wielkiego postu, gdy muzyka była zakazana, to nawet trudnił się wyrobem mioteł z prętów brzoźowych, które następnie sprzedawał na targach, aby zarobić chociaż parę groszy. Matka moja również pracowała, wypiekała pszenne tak zwane kukielki i sprzedawała na targach z czego miała dosyć dobry zarobek. Uprawiała len, przędła na płótno z którego po wybieleniu szyła bieliznę i ubrania tak zwane płótnianki dla ojca i dla nas dzieci.

Życie płynęło jednym torem, pracowali i oszczędzali dla swoich dzieci, które w miarę jak dorastały pomagały rodzicom.

Jedyną rozrywką moich rodziców to była zabawa weselna, gdy ich prozono. Pozatem na żadne zabawy do karczmy nie uczęszczali.

Gdy miałem 13 lat ukończyłem wiejską szkołę, do której biegąłem aż 8 km. i często, jak to mówią głodno i chłodno, a przecież z ochotą, aby tylko nauczyć się czegoś.

W domu nie było zajęcia dla mnie, więc poszedłem i ja do dworu pracować. Początkowo spełniałem drobne zlecenia: latem nosiłem wodę ogrodnikowi i pomagałem w ogrodzie, to znów jeździłem końmi a zimą chodziłem z dziedzicem na polowanie, rąbałem drzewo do kuchni, a nawet brano mnie do młócenia zboża maszyną. Oj, co to za praca była dla takiego chłopca, na mrozie niejednokrotnie zmarzły mi tak bardzo ręce, że nie mogłem widelków utrzymać, najchętniej bym się rozpląkał, ale wstyd mi było, bo nie byłem kobietą tylko mężczyzną, a ojciec powtarzał zawsze, że płakać może tylko kobieta, mężczyzna nigdy nie płacze.

Tak schodziły szare dni pracy i wolno płynął czas. Im starszy byłem, tem więcej mnie obarczano. Przez dzień pracowałem we dworze a wieczorami posyłał mnie ojciec uczyć się grać na klarncie.

Chociaż uciążliwa to była nauka, nie narzekałem nigdy, bo pocieszałem się tą myślą, że gdy się nauczę grać zdobędę nowe źródło zarobku. Dla zachęty opowiadał ojciec swoje przeżycia, jak to pracował będąc w tym wieku i jak dokładał swoich sił do nauki.

Lekcyj gry udzielał mi organista, starszy człowiek i bardzo rozumny, który nie skąpił mi swoich rad i wskazówek, to też pod jego kierunkiem nabywałem wiedzy i pojmowałem naukę z mniejszą trudnością.

Jak długo trwała ta nauka, to dzisiaj tego już dokładnie powiedzieć nie mogę, w każdym razie trwało to dłużej jak rok, zanim można było nazwać, że nauczyłem się grać poprawnie. Po skończeniu lekcyj zabierał mnie ojciec z sobą do gry na wesela, a że grałem nieźle, to też wnet zaznajomiłem się z muzykantami kilku partyj, którzy chcieli mnie pozyskać każdy dla swojej partji.

Bywały takie chwile, że zabierali mnie z jednego wesela na drugie, bo o dobrego klarncistę trudno było. Wprawdzie było też i tak czasem, że przez cały tydzień nie było zarobku przy muzyce, ale w takich chwilach chwyciłem się innej pracy, bo wtenczas pracy nie brakowało i kto tylko chciał pracować a nie żądał dużych zarobków w każdej chwili znalazł pracę.

Tak przerzucałem się od jednej pracy do drugiej i tak uchodził mój wiek młody.

Nadchodziła wiosna 1883 r., w którym kończyłem 20-sty rok życia. We dworze nie pracowałem już wcale, bo tam od pewnego czasu nastąpiły zmiany i gospodarka stale jakoś niedomagała. Dawny właściciel, człowiek zacny sprzedał swój majątek a jego miejsce objął nowonabywca, który rozpoczął na terenie nabytych nieruchomości poszukiwania za węglem. Poszukiwania te trwały dłuższy czas i pochłonęły duże pieniądze bezskutecznie. Dotknięty tem niepowodzeniem oddał swój majątek w administrację p. M., który nie długo zabawił tutaj, bo wnet jego miejsce objął p. S. Przez zmianę swych właścicieli dwór stopniowo upadał, jednak na to nikt uwagi nie zwracał.

Pewnego dnia kilku mieszkańców wsi Bienkówice przyniosło wiadomość od żyda z karczmy, że dwór ma być sprzedany względnie rozparcelowany. We wsi zawrzało jak w ulu, chłopci gromadzili się do kupy i obradzali jakim sposobem mogliby ziemię dworską rozkupić, bo każdy chciał swoje osiedle powiększyć. Nie wiedzieli tylko kto ma powierzoną sprzedaż majątku, ale i na to się rada znalazła. Mówiono powszechnie, że o ile żyd wiedział, że dwór będzie

sprzedany, to też musi wiedzieć kto go sprzedaje, bo żyd przeważnie każdy jest wściwski i wszędzie się wciśnie, to też najprędzej wszystko wie. Do niego postanowiono udać się po informacje o sprzedaży i nie pomyłono się. Żyd wiedział nietylko o samej sprzedaży, ale wiedział także o tem, że dwór będzie sprzedany w drodze licytacji i że wzmianka o sprzedaży jest przez sąd już zarejestrowana i licytacja nastąpi niedługo. Po osiągnięciu takiej wiadomości postanowili chłopci działać niezwłocznie, aby zabezpieczyć się do nabycia ziemi. W tym celu udało się kilku rozumniejszych chłopów z pisarzem gminnym do Krakowa, gdzie był sąd obwodowy, aby poszukać jakiego rzetelnego adwokata i powierzyć mu swoje zastępstwo na licytację. Wybór padł na adwokata M., człowieka o dużych zaletach i życzliwości dla chłopów, który wyjaśnił im niejedno i udzielił rady, jak się mają przygotować do licytacji, oświadczając przytem, że może się podjąć zastąpić wieś Bienkówice na licytacji, ale musi wiedzieć ile pieniędzy wieś posiada, względnie jaką najwyższą sumę może na licytację zebrać.

Chłopi opowiedzieli adwokatowi, że wieś jest uboga i nie może dużej sumy zebrać, bo mieszkańcy wsi posiadają zaledwie po parę morgów ziemi i jest ich bardzo mało, bo zaledwie piętnaście rodzin, które posiadają jakieś oszczędności, ale niewielkie. Gdyby jednak udało się ziemi przykupić, to uzyskaliby w banku pożyczkę, którą następnie spłaciliby ratami. Adwokat widząc zapał ich do kupna i zamiłowanie do ziemi rodzinnej, obiecał, że co tylko będzie mógł uczynić to uczyni, aby ziemię dworską kupić dla nich, ale mają zebrać pieniądze jakie tylko mają i przed licytacją u niego złożyć. Chłopi podziękowali adwokatowi i powrócili z wiadomościami do wsi i rozpoczęto zgromadzać pieniądze.

Każdy mieszkaniec wsi oddawał wszystkie oszczędności, jakie tylko miał do rąk pisarza gminnego, który był szczególnie zaufanym człowiekiem. Byli tacy mieszkańcy, którzy wszystkich pieniędzy w domu mieli 20 rejskich tylko i nic więcej nie posiadali, ale i ci oddali swój pieniądź na kupno ziemi. Po zebraniu wszystkich pieniędzy, jakie tylko we wsi się znajdowały, okazało się, że było ich przeszło 3000 rejskich. Na te czasy i na tak małą liczbę mieszkańców wsi, była to suma bardzo wielka, ale na kupno dworu, względnie ziemi dworskiej była zaledwie częścią. Nie zrażali się jednak tem chłopci, lecz z wiarą w swą siłę, w swą moc i zwycięstwo dążyli naprzód do celu. Zebrane pieniądze zanieśli do adwokata M. swego pełnomocnika, który pokiwał głową nad tem, że w stosunku do obiektu

kupna ta suma jest bardzo mała, a powiększyć jej chłopci nie mogli, bo wszystkie ich oszczędności były już złożone. Co sądził o licytacji i jak zamierzał do niej przystąpić o tem przed chłopami zamilczał, tylko na odchodne powiedział im, kiedy się licytacja odbędzie aby przybyli się przysłuchać i że ciekawy jest, jak się to wszystko ułoży. Chłopci nic nie domyśleli się tego, że ukrył przed nimi swoje zamiary.

Z niecierpliwością oczekiwano licytacji, która się miała odbyć już za kilkanaście dni i była już obwieszczona. Sąsiednie wioski poczęły snuć zamiary o kupnie ziemi i poczęły się organizować. Bieńkowiec byli zaniepokojeni tem objawem, sądzili bowiem, że gdy będzie dużo reflektujących na kupno, ceny będą wysokie. Nareszcie przyszedł oczekiwany dzień i do gmachu sądowego w Krakowie poczęły napływać rzesze ludzi chcących wziąć udział w licytacji, do której stanęło kilkanaście osobistości chcących kupić dwór w całości wyłącznie dla siebie, kilkanaście włościan i wreszcie adwokat M., którego nikt odgadnąć nie mógł co on zamierza. Rozpoczęła się licytacja i wywołano cenę szacunkową i jako pierwszy reflektant stanął adwokat M., a za nim reszta.

Początkowo zdawało się licytującym, że adwokat M. stanął tylko dlatego, aby obiekt sprzedaży w cenę podbić, ale gdy zauważono, że adwokat licytuje umiejętnie i idzie coraz dalej, zrozumiano, że adwokat licytuje w celu nabycia i z pewnością dla siebie. To też stopniowo zaczęło ubywać reflektantów a w końcu zaprzestano walki zupełnie i ostatnią cenę podał adwokat M. Po trzykrotnem wywołaniu nikt z obecnych nie okazał chęci do podniesienia ceny i licytację należało uważać za skończoną.

Z zartem oddechem słuchano ogłoszenia, kto jest nabywcą sprzedanego obiektu, ale jakież zdziwienie przeszło po obecnych, gdy ogłoszono licytowany obiekt został nabyty dla włościan wsi Bieńkowiec przez adwokata M. Przysłuchującym się chłopom ze wsi Bieńkowiec nie mogło się w głowie pomieścić, jak mógł adwokat zarefleksować na cały obszar, przy tak małej sumie, jaką oni złożyli. To też po wyjściu z gmachu sądowego poszli do kancelarji adwokata dowiedzieć się co dalej będzie.

Adwokat przyjął ich z uśmiechem pytając, czy bardzo się cieszą, że cały obszar dla nich nabył. Chłopci potwierdzili jego pytanie, lecz z min ich można było zauważyć pewne zakłopotanie, na co adwokat zwrócił swoją uwagę i zapytał o powód.

W odpowiedzi zaczęli chłopci opowiadać, że słyszeli, że obszar jest dla nich nabyty, ale nie wiedzą co dalej będzie i dlatego przyszli, aby im adwokat wyjaśnił czego nie rozumia, a mianowicie: jak będzie z zapłatą za ziemię i kiedy ma nastąpić zapłata. Adwokat dowiedziawszy się, co jest powodem ich zakłopotania wyjaśnił, że obszar będzie sparcelowany i każdy nabędzie sobie tyle ziemi, ile zechce, względnie ile będzie mógł wypłacić. Ponieważ obszar jest hipotecznie obciążony, więc te obciążenia przejmą i będą spłacali ratami, jednak pewną część będą musieli zapłacić przy odbiorze. Pierwszą część zapłaty i to najpoważniejszą wpłacił adwokat swoją gotówką (i pieniędzmi złożonemi przez chłopów), którą następnie będą spłacali wraz z oprocentowaniem także ratami. Dalej wyjaśnił adwokat chłopom, że muszą mu niezwłocznie dostarczyć spis nazwisk i podać, ile który chce nabyć ziemi z obszaru, aby mógł przygotować potrzebne podkłady, bo chce sprawę załatwić jaknajśpieszniej i przystąpić do parcelacji. Po takim wyjaśnieniu chłopci pozbyli się zakłopotania, wypyтали adwokata jeszcze o wysokość procentów od kapitału, który włożył w obszar nabyty dla nich i o to i owo i powrócili do wsi z radosną wieścią, że dwór kupili i będzie sparcelowany niebawem.

W rzeczywistości tak się też stało. Po przygotowaniu przez adwokata M. potrzebnych aktów, z nastaniem wiosny w roku 1883 przystąpiono do parcelacji. Każdy mieszkaniec wsi Bieńkowic nabył taką ilość ziemi, jaką chciał i czuł siłę, że zdoła wypłacić, a resztę obszaru rozkupili chłopci z sąsiednich wiosek. Z pośród nabywców, nie było ani jednego takiego, któryby miał wszystkie pieniądze na zapłacenie ziemi, tylko wszyscy pozaciągali pożyczki, gdzie tylko który mógł, aby tylko powiększyć swoją zagrodę lub nabyć na własność kawałek ziemi. Ileż trudu i pracy czekało ich wszystkich zanim zdołają się wypłacić. Nikt jednak nie zważał na to i każdy był gotów na największe trudy, byle tylko mieć własny kawałek ziemi i pracować na własnym zagonie.

Ojciec mój nabył z parcelowanego obszaru tylko trzy i pół hektara ziemi, gdyż gotówki posiadał bardzo mało a nie chciał się dużo zadłużać, bo matka podupała na zdrowiu i niezdolna była do pracy, w której nikt jej zastąpić nie zdołał. Wprawdzie córka, względnie siostra mogła matkę zastąpić, lecz ta już od kilku lat nie żyła i w chacie odczuwano braki rąk kobiecych.

Na nabytą ziemię z parcelacji pożyczył ojciec pieniądze w banku, i to na krótki termin i zawczasu trzeba było pomyśleć o oddaniu,

aby nie narazić się na koszt. Na sprzedaż nie było żadnego dobytku z czego możnaby uzyskać większą sumę, to też byliśmy w kłopotcie, jak się załatwić.

W pomoc przyszedł nam przypadek następujący: ojciec będąc na jarmarku spotkał swego starego przyjaciela, który mieszkał kilka wsi od nas. W toku rozmowy opowiadał ojciec o swej bolączce, że pożyczył pieniądze na ziemię i z powodu krótkiego terminu nie może oddać. Przyjaciel słuchając tego, przyznał się ojcu, że ma pieniądze w Kasie Oszczędności, które sobie lokuje na stare lata, to może ojcu pożyczyć. Ojciec ucieszył się tem i ułożył się z przyjacielem w ten sposób, że będzie mu płacił odsetki, jakie mu kasa płaci, żeby tylko wyciągnął pieniądze z kasy a ojcu pożyczył na ten czas, kiedy przypadał termin płatności w banku. Okres pożyczki miał być długoterminowy, to też ojciec cieszył się, że synowie zdołają zapracować i pomogą dług spłacić. Niestety niedługo miało być mej pomocy, bo w rok niespełna zabrano mnie do wojska (starszy brat nie służył w wojsku), gdzie służyłem trzy lata jako trębacz.

Po zwolnieniu z wojska powróciłem do chaty i znów pracowałem przy ojcu, aby mu dopomóc wypłacić długi, których jeszcze nie zdążył wypłacić. Pracowaliśmy wspólnie z ojcem i starszym bratem i wspólnie wypłacali nabytą ziemię, a ojciec powtarzał często: w pracy i znoju uczcie się kochać ziemię rodzinną, bo kto nie kocha ziemi rodzinnej ten nie wart, że rodzi się na niej i bardzo słuszne było powiedzenie ojca.

W dwa lata po powrocie z wojska zdołaliśmy odplacić dług zaciągnięty na kupno ziemi i wtedy postanowiłem się ożenić i założyć własne ognisko domowe. A że chatę po rodzicach miał odziedziczyć brat starszy i miał się zaopiekować rodzicami, więc ja mogłem się ożenić i utworzyć własne ognisko. Za żonę pojąłem sąsiadkę, córkę zagrodnika, którą znałem od dziecka i była bardzo pracowita i oszczędna, a przytem miała w ręku zawód, była szwaczką i w każdej chwili miała zarobek, bo szyła po dworach i na probostwach.

Jako wiano dał jej ojciec trzy morgi ziemi, nabytej z parcelacji, na której ciążyła jeszcze część spłaty i nadchodził termin wyrównania. Od swego ojca otrzymałem również kawałek ziemi pod budowę, na której zamierzałem pobudować swoje osiedle. Chwilowo zamieszkałem z żoną u teściów, zaciągnąłem pożyczkę u swoich przyjacieli, wypłaciłem dług ciężący na własności żony i przygotowałem materiał do budowy. Budowa domu nie kosztowała mnie dużo, bo wykonał ją brat żony, który był cieślą, więc zapłaciłem tylko po-

mocnikowi, bo brat wykonał pracę gratis. Dom zbudowałem dość obszerny, składający się z dwóch dużych izb mieszkalnych, komory i jednej ubikacji przeznaczonej chwilowo na oborę i chlewik.

Gdy wreszcie zdążyłem wykończyć dom do tego stopnia, że można było w nim zamieszkać, upłynęło sporo czasu, bo przeszło półtora roku. W tym czasie przybył mi na świat najstarszy syn i gdy wprowadziłem się do własnego domu, miałem już rodzinę i obowiązki względem niej. Tutaj właściwie rozpoczęła się moja walka o byt, o lepsze jutro. Pracowaliśmy z żoną wspólnie w miarę swoich sił, a często i ponad siły, aby jaknajprędzej wypłacić dług zaciągnięty na budowę domu. Żona, dopóki synek był maleńki, przynosiła pracę do domu i szła dniami i nocami, aby jaknajprędzej wykończyć i przyjąć nową, gdy ja tymczasem kupiłem konia i wóz i jeździłem z handlarzami na targi z towarem, to znów szedłem gdzieś grać i tak że nigdy nie spędziłem dnia beczynnie. Natomiast gdy syn był większy, że już mógł bez matki pozostać, wtenczas szła żona na cztery lub i więcej dni z domu, aby szyc gdzieś we dworze lub na plebanję, gdzie zarabiała duże pieniądze.

I tak powoli wypłaciliśmy zaciągnięty dług i urządziliśmy dom trochę wygodniej przez dokupienie niektórych rzeczy. Od ojca mego nie miałem żadnej pomocy, bo tam ożenił się starszy brat mój i ojciec oddał mu połowę zagrody a resztę pozostawił dla siebie na utrzymanie.

Niedługo jednak cieszył się brat mój swoją zagrodą, bo zaledwie w dwa miesiące po ślubie umarł najprawdopodobniej na paraliż serca, bo śmierć nastąpiła nagle. Po jego śmierci połowę majątku jaki tam pozostał odziedziczyła żona po nim, a druga połowa powróciła ojcu, który chociaż był w latach, nie chciał pójść na moje utrzymanie, tylko sam chciał gospodarować, chociaż matka odradzała ojcu i chciała przyjść do mnie. Niedługo po śmierci brata umarła także matka moja i po jej śmierci ojciec ożenił się poraz trzeci, lecz tym razem pomylił się w wyborze i wziął kobietę złą i przewrotną nie dbającą o ojca zupełnie. To też przy niej naużywał się ojciec biedy najgorszej a w dodatku opuściła ojca. Gdy to wszystko rozgrywało się w chacie mojego ojca, u mnie wrzała praca wytrwała. Pracowaliśmy z żoną wspólnie ze zdwojoną siłą, aby zaoszczędzić coś dla dzieci, których po trochu stale nam przybywało. I tak przybyła córka, w dwa lata po niej drugi syn, po nim trzeci syn i znów dwie córki, z których pierwsza zmarła za trzy tygodnie, a druga pozostała przy życiu. Na miejsce zmarłej przybyła jeszcze jedna córka ostat-

nia. W miarę przybywania dzieci wzrastały moje kłopoty, jak tym dzieciom byt zabezpieczyć. Gotówki nie mogłem naszkładać, bo była do wyżywienia i odziania dość liczna rodzina, oprócz tego musiałem jeszcze ojcu dopomagać w pracy, a także i środkami pieniężnymi. Wprawdzie miałem nadzieję, że po ojcu odziedziczę kiedyś siedem morgów ziemi (a właściwie sześć tylko, bo jedną morgę dał mi ojciec pod budowę) bo byłem jedynym dzieckiem, ale tyle ziemi na warsztat pracy dla sześciorga dzieci to było niczem i zawczasu trzeba było pomyśleć o jakim dodatkowym zawodzie. Narazie dzieci nasze potrzebowały tylko żywności i odzienia, a na to posiadałem zdrowe ręce i siłę do pracy. Chociaż pracowałem ciężko i bez wytchnienia i niejednokrotnie biedowaliśmy, nie zrażałem się tem jednak. Żona moja projektowała często, abym wyjechał gdzieś zagranicę i pracował, a żona w domu będzie pracować i dzieci utrzymywać i tym sposobem abyśmy doszli do większego mienia, ale napróżno. W tym wypadku nie słuchałem jej, bo praca w fabrykach i po obcych kątach nie podobała mi się wcale. Byłem człowiekiem urodzonym na roli, stworzonym do pracy w roli i kochałem tę pracę. A nadto chciałem być człowiekiem wolnym. Wolałem znosić największą biedę u siebie aniżeli być w dobrobycie u obcych.

Takie wzmaganie i praca trwała kilkanaście lat, aż wkońcu zdecydował się mój ojciec oddać mi resztę zagrody i przyjść do mnie na utrzymanie. Przyjąłem ojca z otwartymi rękami, bo rad byłem, że wreszcie zaufał mi i przyszedł do mnie, do swego syna. To też ojcu nic nie odmówiłem nigdy i niczego nie skąpiłem, ale spełniałem wszystkie jego życzenia, chociaż czasem i niedorzeczne. Ojciec żyjąc w mojej opiece żałował nieraz, że nie przyszedł do mnie zaraz po śmierci matki, tylko niepotrzebnie się męczył. Pod mojem dachem czuł się ojciec naprawdę szczęśliwy i nieraz płakał z radości, że żona moja otacza go taką opieką i pielęgnacją, jakiej się ani nie spodziewał. Po paruletnim pobycie u mnie zmarł w mojem domu, jako 83 letni starzec, wręczając mi przed śmiercią swoje oszczędności złożone przeważnie u mnie, które wynosiły około 100 koron.

Po śmierci ojca zakasałem rękawy i zabrałem z całym zamiłowaniem do uprawy roli, której razem z żoną posiadaliśmy już pięć hektarów, czyli około 10 morgów, więc miałem w czem pracować i co uprawiać, aby zebrać plon wystarczający na wyżywienie rodziny.

W tym czasie jeden z sąsiadów zawiadomił mnie, że sprzedaje kawałek ziemi, który się ciągnie opodal mojego domu, aby go kupić od niego, bo w przeciwnym razie sprzeda komu innemu. Pieniądzy

nie posiadałem tyle, abym mógł zapłacić ten kawałek ziemi, a jednak kupić wprost musiałem, bo ciągnął się przed memi oknami. Przeliczyliśmy z żoną oszczędności, które wynosiły zaledwie 160 koron i poszedłem do sąsiada zapytać się o cenę ziemi. Tutaj dowiedziałem się, że jest do sprzedania także i przyległy kawałek lasu, co razem z rolą liczy około trzy morgi i kosztuje 2.500 koron. Była to suma poważna, ale mimo to odważyłem się na kupno i zgodziłem za cenę 2.400 koron, a gotówki na ten cel posiadałem jak już wspominałem 160 koron, co za szalona różnica. Nie było jednak nic do zrobienia, tylko starać się o pożyczkę. Zrobiłem wniosek do Kasy Oszczędności w Wieliczce jeden, a drugi do Kasy Raifaizena w Dziekanowicach i podałem za ręczycieli najzamożniejszych gospodarzy. Kasa Oszczędności w Wieliczce przyznała mi 1300 koron pożyczki, a Kasa Raifaizena w Dziekanowicach przyznała 950 koron. Do tego sprzedaliśmy krowę za którą dostaliśmy 120 koron i zebraliśmy sumę 2.530 koron, którą pokryliśmy cenę ziemi i kosztą kontraktów.

Pożyczkę spłaciliśmy w ten sposób, że na kwietnia płaciliśmy ratę do jednej kasy a w październiku do drugiej kasy znów jedną ratę i tak się powtarzało przez szereg lat. Niejeden raz potrzeba było od ust odjąć, aby tylko można było ratę zapłacić, aby dług ubył. Nie zdążyliśmy jeszcze wypłacić jednego zadłużenia, a już potrzeba było zadłużać się na nowo, gdyż sąsiad z drugiej strony znów sprzedawał jedne parcele ziemi tak dobrej i uprawionej, a nawet ze zbiorem pszenicy, że ani myśleć o tem nie było można, aby nie kupić. I te parcele również kupiłem za cenę 3.400 koron, którą również wypożyczyłem, ale tym razem na spłatę długoletnią na lat dwadzieścia. Zaraz w pierwszym roku zebrałem zbiór pszenicy i wszystko sprzedałem, za co uzyskałem dość pokaźną sumę, którą spłaciłem resztę starej pożyczki, więc pozostało do spłaty tylko ta ostatnia pożyczka w sumie 3.500 zł. rozłożona na raty.

Dzisiaj, gdy to wszystko w myśli przechodzę, niepodobieństwem mi się to zdaje, aby to wszystko można wytrzymać, a jednak ja to wszystko sam przechodziłem i wytrzymałem. Raz pamiętam, było to krótko przed żniwami, robiłem obliczenie wydatków czekających na żniwa. Wydatki były wielkie, bo potrzeba było inwentarz wzmocnić chociaż o dwie sztuki bydła, bo miałem zamało w stosunku do tej ziemi, którą po dokupieniu posiadałem, ale że żniwa zapowiadały się bardzo świetnie, to też planowałem po sprzęcie niejedno załatwić. Lecz człowiek sądzi, a Bóg rządzi, tak też i u mnie było, żniwa sprzątnięto i zwieziono do stodoły (którą zaledwie dwa lata temu

pobudowałem) i zbierano ostatni wóz pszenicy, naraz jak piorun z jasnego nieba powstał w stodole pożar, wzniecony prawdopodobnie przez zabawiające się dzieci sąsiadów w pobliżu stodoły, która spłonęła doszczętnie z całym zapasem zimowym. Zbiory nie były ubezpieczone, zaledwie tylko stodoła i to dość nisko. W jednej chwili zostałem pozbawiony środków do życia dla siebie i rodziny a także i paszy dla bydła.

Ile biedy i głodu podziłem z rodziną, tego nikt nie wie tylko Bóg jeden. I znówu musieliśmy się na nowo dorabiać i budować, a kiedy zdołaliśmy odbudować spalone budynki trzeba na nowo odplacać zaciągnięty dług. Tymczasem najstarsze dzieci ukończyły szkołę powszechną i trzeba było pomyśleć o dalszem ich życiu. Najstarszy syn chłopak zdolny i ambitny miał wielkie zamiłowanie do nauki, niestety nie miałem środków na jego szkolenie, bo byłem zadłużony, więc poszedł w naukę za kowala. Po skończeniu nauki wyjechał na Morawę i tam pracował i uczył się za montera, a po złożeniu egzaminu jeszcze raz się uczył i po złożeniu egzaminu został kierownikiem parowozu, a stąd został powołany do służby wojskowej. Drugi syn wyuczył się za szewca, a trzeci nie miał chęci do żadnego rzemiosła, więc pozostał pracować w roli. Z córek najstarsza uczyła się szycia, a dwie małe uczęszczały dopiero do szkoły powszechnej a po ukończeniu miały pójść do szkoły wyższej.

W takich warunkach zastała nas wojna światowa na którą powołano wszystkich synów. Najstarszy służył przy wojsku i tam zaskoczyła go wojna. Najmłodszy pojechał z podwodami i stamtąd został zabrany do wojska, a średni został powołany 14 września 1914 roku t. j. zaraz na początku wojny. Pozostaliśmy z trzema córkami, z których jedna ciężko zachorowała i pozostała fizycznie ułomną, a druga była dziesięcioletnim dzieckiem, zadłużeni i w dodatku bez inwentarza żywego, który zabrano dla wojska t. j. parę koni rasowych i krowę, naturalnie za wynagrodzeniem, które nastąpiło dopiero w przyszłym roku, a tu nadchodził czas zasiewów jesiennych a ja nie miałem koni do zorania ziemi i nie mogłem i wynająć, bo we wsi pozostało zaledwie trzy pary wybrakowanych koni na przeszło 300 hektarów ziemi. Kupić koni nie mogłem w żaden sposób, bo, z powodu że ich brakowało, były bardzo drogie, a ja nie miałem pieniędzy, więc trzeba było szukać innej rady.

W mieście Wieliczce stał oddział wojska z taborem, poszedłem do komendanta o wypożyczenie mnie koni, które stały beczynninie i dowiedziałem się, że może wieś wypożyczyć cztery pary koni pod

tym jednak warunkiem, że w tych czterech parach będzie zabrana para ostrych ogierów. Ponieważ wszyscy obawiali się tych ogierów, a bez nich nie mogliśmy dostać żadnego konia, zabrałem więc ja te ogiery i przystąpiłem do skutecznego zasiewów jesiennych, co jednak nie zdążyłem wykonać, bo za 14 dni otrzymaliśmy wezwanie oddania koni, bo oddział wyciągał z Wieliczki. I tak konie musieliśmy oddać i pozostaliśmy bez koni, w taki czas bez nich nie można się było obejść. Nie było innej rady, jak pożyczyć pieniędzy i kupić konia chociaż jednego i tak też zrobiłem. Kupiłem najprzód jednego a później drugiego od wojska wybrakowanego, odżywiłem jakiś czas i do roli był dobry do pracy. Gdy już miałem ja znów parę koni, musiałem zaorać i zasiać ziemię należącą do żon i matek, których synowie, względnie mężowie byli na wojnie i nie miały własnych sił do pracy. Na moją parę koni przypadło około 40 hektarów ziemi, którą musiałem uprawić, bo nie wolno było leżeć ziemi odłogiem. Wprawdzie byłem za to wynagradzany, ale była to praca nadludzka ponad siły. We własnej ziemi pracowała ponad siły żona z córkami, a ja częściej musiałem pracować na czyjej niż na własnej.

Wojna przybierała coraz większe rozmiary i pozostawiała coraz gorsze skutki. Przyszła inwazja rosyjska, gdy armja ciągnęła pod Kraków. Co nie zdołały zabrać wojska austriackie, to ukradli i zniszczyli rosyjscy kozacy, którzy chociaż niedługo byli, jednak ludności dali się dobrze we znaki. Im dłużej trwała wojna, tym ciężiej ją było znosić.

Magazyny żywnościowe stale się opróżniały i zaczynało grozić widmo głodu. Rząd austriacki na gwałt gromadził środki żywności i środki na materiał wojenny. Rozpoczęły się te sławne rekwizycje, zabierano ludzką pracę, ludzki dobytek za bezcen. Wydzielano ciężko zapracowany kawałek chleba i krzywdzono niemiłosiernie, a najwięcej chłopą, bo ten nie umiał się bronić.

Kościół odzierano z dzwonów i organów, aby budować z nich narzędzia śmiercionośne i siać zniszczenie. Ludność choć oburzona zachowywała się biernie, bo nie miała sił do oporu, gdyż w domu byli tylko starcy, niewiasty i dzieci, to też broniła się tylko w ten sposób, że przechowywała zboże i środki żywności w lasach lub zakopywała do ziemi, aby ukryć przed rekwizycją i mieć na własne wyżywienie, które ograniczano kartkami żywnościowymi. Wydzielano kawałek chleba, na który tak ciężko pracowano ze zdwojoną siłą.

Opis ten, który zamieszczam jest zaledwie małą częścią opowiadania z przeżycia w czasie wojny, aby dać chociaż częściowy obraz życia na wsi w czasie wojny. Czas upływał powoli i smutno, wojna była u schyłku. Co pewien czas otrzymywaliśmy listy od synów, którzy byli, jeden w fabryce amunicji, drugi w niewoli rosyjskiej, a trzeci na froncie włoskim, ale nie przynosiły pocieszającej wiadomości, każdy pisał o pomoc w środkach żywności, bo głód zaglądał do wojska coraz więcej. Gazety nie wspominały o zakończeniu wojny, a jednak coraz uporczywiej krążyły pogłoski o zakończeniu wojny. Na wiosnę 1918 r. powrócił syn z niewoli rosyjskiej na mocy wymiany jeńców pomiędzy Austrią a Rosją, a pod jesień tegoż samego roku nastąpił nareszcie tak długo oczekiwany koniec wojny, a z niem wolność i niepodległość Polski, której tak dawno czekali polacy.

W czasie wojny, chociaż tak ciężko pracowaliśmy i znosili niejedne bolączki, jednakże zdołaliśmy odplacić dług, a nawet złożyć trochę oszczędności, to też czekaliśmy na powracających synów z lepszym bytem dla nich niż pozostawili odchodząc na wojnę.

Po wojnie wróciło do domu tylko dwóch synów (bo trzeci pozostał w wojsku polskim), lecz tak zmizerowanych, że potrzebowali dłuższy czas odpoczynku, aby mogli powrócić do swych zajęć. Po kilkunastu tygodniach zdołali synowie przyjść do siebie i zabrali się każdy do swych zajęć. Najstarszy poszedł na posadę a młodszy pozostał na roli pracować. Wszystko powracało na swoje tory i życie poczęło układać się pomyślnie. Rola dobrze była uprawiona, to też wydawała plony obfite, które wystarczyły nietylko na wyżywienie i odzianie, ale pozostawało jeszcze na sprzedaż, aby złożyć oszczędności.

Wtedy czułem się naprawdę szczęśliwy, gdy po całodzienniej pracy mogłem wieczorem usiąść w gronie rodziny do przeczytania gazety, lub jakiej książki, na które teraz mogłem sobie pozwolić. W tym czasie ukazały się w gazetach wiadomości, że w Wielkopolsce jest do nabycia szereg majątków większych i małych po Niemcach i wzywano, aby polacy z terenów przeludnionych pospieszili do Wielkopolski i wykupili majątki, aby tu na zachodnim krańcu rubieży polskich wzmocnić element Polski.

Takie wezwania i tym podobne ukazywały się prawie codziennie w gazetach, a wreszcie ukazało się wyjaśnienie posła Putka, który objaśnił, że urząd osadniczy pozwala w pierwszym rzędzie wykupić osady po Niemcach Polakom z Wielkopolski, ale jest dużo

osad polskich do sprzedania, więc polacy z innych dzielnic mogli i powinni wykupić te osady, aby jaknajwięcej osad było w rękach polskich. Czytając te wezwania postanowiłem się naocznie przekonać, ile w tem prawdy, więc pojechałem zwiedzić Wielkopolskę. Przybywszy na miejsce przekonałem się, że w rzeczywistości Niemcy chętnie wyzbywali się swych osad i wyjeżdżali do Niemiec, a także polacy tłumnie sprzedawali swe gospodarstwa, aby w ich miejsce kupić od Niemca lepsze i na korzystniejszych warunkach. Po zwiedzeniu i obejrzeniu kilku gospodarstw spodobało mi się ich urządzenie i wogóle całe ułożenie gospodarstw rolnych tak, że nabrałem chęci do przesiedlenia się na zachód.

Powróciwszy do domu i po porozumieniu się z żoną zebrałem oszczędności, któreśmy posiadali i pożyczylem od rodziny mojej żony pieniądze, jakie tylko posiadali tak, że zebrałem 20.000 marek i przyjechałem do Poznańskiego w celu kupna jakiego gospodarstwa. Swojego gospodarstwa nie sprzedałem dlatego, aby go nie stracić na wypadek, gdybym tutaj nie kupił. Po dłuższej wędrówce przybyłem do Inowrocławia, gdzie pewien pośrednik poradził mi kupno gospodarstwa w Szymborzu pod Inowrocławiem i tam mnie zaprowadził. Oglądałem wszystko dokładnie i położenie gospodarstwa spodobało mi się, chociaż w samym gospodarstwie nie było nic do podobańca. Ziemia była dobra, ale tak zaniedbana, że były tylko chwasty. Inwentarz żywy słaby i mało, martwego prawie że żadnego, a w dodatku obdłużone wszystko do sumy 40.000 mk. Właścicielka gospodarstwa była wdowa matka 13-stu dzieci. Do sprzedaży dążyła całą siłą, bo nie miała innego wyjścia, zadłużona była po uszy, a w dodatku dzieci nie chciały pracować w roli.

Zasięgnąwszy wiadomości od wierzycieli czy przyjmą spłatę swej wierzytelności i po uzgodnieniu z nimi przystąpiłem do kupna tej nieruchomości i kupiłem za cenę 200.000 mk., 20.000 mk. wpłaciłem zaraz i objąłem 32.500 długu hipotecznego, a resztę w wysokości 147.500 mk. zobowiązałem się zapłacić w dniu 15 kwietnia 1920 r., bo kontrakt był spisany 11 marca 1920 r. Ze sprzedaży była zadowolona i właścicielka i jej dzieci, które były dorosłe i miały otrzymać część spadkową po ojcu.

Po kontrakcie pojechałem do rodzinnej wsi i sprzedałem posiadające tam osiem hektarów ziemi wraz z zabudowaniami i inwentarzem za cenę przeszło 250.000 mk., i z rodziną przesiedliłem się do Inowrocławia nie przeczuwając nic złego.

Po przybyciu na miejsce dowiaduję się ku wielkiemu zmartwie-
niu, że p. M., była właścicielka nieruchomości, które zostały mi
sprzedane, nie odda mi nieruchomości mimo że sprzedała i podpisała
kontrakt notarialny, którego warunki ściśle wypełniałem i pienią-
dze, które zobowiązałem się wypłacić, przywiozłem jeszcze czterna-
ście dni przedzej.

Przytem zaprojektowała p. M. abyśmy kontrakt rozwiązali.
Zgodziłem się na to pod warunkiem, że powróci mi owe 20.00 mk.,
które ode mnie pobrała na konto nieruchomości i że sporządzimy
notarialny akt rozwiązania kontraktu. P. M. zgodziła się na to, lecz
kiedy przybyliśmy do notariusza i zażądał zwrotu pieniędzy, p. M.
nie chciała oddać, bo już ich nie posiadała, bo zaraz po odbiorze
wydała na wiano córki. P. M. oświadczyła teraz, że się rozmyśliła
i nie będzie rozwiązywać kontraktu, tylko odda nieruchomości
w terminie obowiązującym, t. j. 30 kwietnia 1920 r. Wynająłem miesz-
kanie i czekałem do tego terminu, gotówkę ulokowałem w Banku
Ludowym w Inowrocławiu. Gdy nadszedł dzień 30 kwietnia wezwa-
łem p. M. do oddania nieruchomości, M. przybyła do notariusza
i oświadczyła, że nieruchomości odda dopiero po nadejściu zezwole-
nia na przewłaszczenie. Zaczekałem jeszcze i ten przeciąg czasu,
a gdy i po nadejściu zezwolenia na przewłaszczenie wzbraniała się
nieruchomości oddać, lub zwrócić pieniądze, notariusz wytoczył
proces.

Teraz dopiero dowiedziałem się, że trafiłem na szatana w ko-
biecej postaci, który żerował na krzywdzie ludzkiej: ja byłem trze-
cim nabywcą z rzędu, z którego z człowieka dość zamożnego zrobiła
bankruta, a siebie pozostawiła bez dachu nad głową. Nie będę tutaj
opisywał procesu bo to każdy wie do czego prowadzi. Wspomnę
tylko tyle, że trwał przez siedem lat i przeszedł przez wszystkie in-
stancje sądu i przez apelacyjny i najwyższy po dwa razy. M. użyła
wszystkich środków i podstępów, aby pozbawić mnie prawa do nie-
ruchomości. Zniszczyła mnie do tego stopnia, że musiałem zarabiać
na utrzymanie swoje i żony w pobliskim folwarku i znosiliśmy biedę
najgorszą.

Gdy uzyskałem wyrok sądu apelacyjnego i przybyłem z komor-
nikiem sądowym w celu wykonania, M. uciekła z domu, a syn jej
wystąpił z kontraktem dzierżawy, że obecnie dzierżawi nierucho-
mości.

Ten właśnie podstęp był zgubą M., gdyż poszedłem do naczeln-
nika sądu, opowiedziałem sprawę, że kontrakt dzierżawy jest umyśl-

nie podrobiony na to, aby przeszkodzić wykonaniu wyroku. Naczelnik polecił mi wnieść wniosek i poprzeć go dowodami. Na wniosek ten uchwalił sąd tymczasowy zarząd nad nieruchomościami, a tymczasowym zarządcą mianował mnie jako wierzyciela. Tym sposobem wprowadził mnie komornik jako przymusowego zarządcę, a na mieszkanie odstąpiła M. jedne ubikacje o długości 5 metrów i szerokości $2\frac{1}{2}$ mt. i w tym mieszkaniu mieszkało nas sześć osób przez blisko dwa lata, aż wreszcie zmiłował się Pan Bóg nad naszą krzywdą i Sąd Najwyższy zatwierdził wyrok sądu apelacyjnego, na mocy którego M. musiała oddać nieruchomości za zapłatą około 5.000 zł.

Ponieważ pieniądze, które posiadałem na zapłacenie nieruchomości, były włożone w Banku Ludowym i przez czas trwania procesu uległy dewaluacji, nie posiadałem więc nic teraz, bo wszystko było bezwartościowe.

Gdy oddano mi zarząd przymusowy nad nieruchomościami, w pierwszym rzędzie musiałem zaprowadzić ład w gospodarstwie i dochód jego obrócić na remont, więc też nie mogłem złożyć gotówki i dlatego kiedy przyszło składać M. przysądzoną resztę ceny kupna zdołałem zebrać zaledwie 1000 zł., a brakowało mi jeszcze 4000 zł. W kłopotcie byłem nielada, lecz są jeszcze dobrzy ludzie na świecie.

W pomoc przybył mi p. B. obywatel Inowrocławia, który poradził mi, abym się starał o pożyczkę w Kasie Komunalnej. Gdy mu powiedziałem, że nie mam znajomości i kto mnie będzie ręczył, ofiawał mi swoją pomoc i poręczył mnie. Za jego staraniem otrzymałem w Kasie 2000 pożyczki wekslowej, było to w roku 1927, miałem więc już 3.000 zł., lecz brakowało mi jeszcze 2000 zł. znalazłem jednak pomoc u sąsiada p. J., który widział, że skrzywdzono mnie niesłusznie i pomógł mi abym się mógł podźwignąć. Pożyczył mi 2000 zł. bez procentu i tak zdołałem zebrać potrzebną ilość gotówki i złożyłem na ręce komornika sądowego jako wykonawcy wyroku.

Gdy wypożyczyłem 4000 zł. miałem nadzieję, że im dalej po wojnie tem lepiej będzie i pomału oddam, jednak myliłem się bardzo. Przedwojenna pożyczka do tej była wielką różnicą. Pierwsza była długoterminowa i na niskim procencie, a druga krótkoterminowa i na 15%. Okres trzechmiesięczny przeszedł bardzo prędko i na dalsze trzy miesiące potrzeba było zapłacić znów 75 zł. od 2000 zł. (bo drugie 2000 zł. miałem bez procentu) tak, że o spłacie kapitału narazie mowy nie było. A przecież koniecznie potrzeba było coś obmyśleć, bo weksel mogłem tylko raz prolongować bez upłaty. Za

drugim razem musiałem coś upłacić, lecz nie kłopotalem się narazie, bo był właśnie okres zimowy, więc po żniwach sprzedam zboża i spłacę część weksla i opłacę procent. Za wymienione produkty otrzymałem przeszło 300 zł. i postąpiłem jak zamierzałem. Więcej zboża nie mogłem sprzedać na ten cel, bo pozostały do zapłacenia podatki za drugie półrocze 1927 r. Gdy przychodził drugi okres zapłaty miałem przygotowane pieniądze uzyskane z uprawy cykorji i tak stopniowo spłaciłem 1000 zł., a na drugie 1000 zł. uzyskałem prolongatę sześciomiesięczną, t. j. do następnych żniw, z których znów zamierzałem postąpić tak samo, lecz zamiar musiałem zmienić, bo musiałem te drugie 2000 zł., które pożyczyłem od sąsiada, potrzeba było oddać, bo ten przystępował do budowy stodoły. W kłopotcie byłem nielada, narazie wystawiłem weksle w składzie drzewa, gdzie brano budulec i ten sam sąsiad weksle poręczył i tym sposobem zapłaciłem chwilowo drzewo, a później wystarałem się o pożyczkę prywatną gwarantowaną także wekslem, lecz na dłuższy termin i zacząłem spłacać, a raczej walczyć ze spłatą długu. Zaledwie zaspokoilem jeden weksel, dostawałem zawiadomienie o spłacie drugiego. To znów musiałem opłacić koszty sądowe, których od M. nie można było ściągnąć, gdyż nic nie posiadała.

Gdy jakoś temu zapobiegłem, znów przychodziły płatności podatków i znów spłata weksli na co potrzeba było odmawiać wszystkiego sobie i rodzinie, aby nie zapaść gorzej w długi.

Taką walkę toczyłem do roku 1929 i zdążyłem spłacić 2000 zł. i opłacić wszystkie koszty sądowe i podatki i był już naprawdę czas na mnie, aby odpocząć, więc oddałem gospodarstwo synowi, który się ożenił i spłacił drugie 2000 zł.

Zaledwie to jednak uczynił, poczęli się zgłaszać kolejno wierzyciele hipoteczni i żądać swoich należności. Na domiar złego M., która koniecznie chciała nas zniszczyć, wytaczała nowe procesa niczym nieuzasadnione i chociaż je przegrywała, narażała nas na koszty, które za nią trzeba było płacić.

Z wierzycielami udało nam się ugodzić w ten sposób, że część wierzytelności spłacono gotówką, a resztę weksłami. Pożyczki długoterminowej nie można było uzyskać, bo nie wszyscy wierzyciele zgadzali się na odbiór swoich należności.

Produkta rolne poczęły spadać coraz niżej, a podatki stopniowo stale wzrastały. Wieś ubożała coraz bardziej i coraz więcej uwiadczała się nędza, to też coraz częściej zaglądał na wieś komornik

sądowy, egzekutor skarbowy, aby zabierać dobytek chłopa i sprzedawać go za bezcen.

To co zdołał chłop zaoszczędzić przez długie lata swej pracy i miał największą radość z tego, niszczone teraz bez litości.

Teraz nie było już mowy o złożeniu oszczędności lub o spłacie długu, bo pracowano tylko na procenta i na podatki.

Największą bolączką, która przyczyniła się do nędzy chłopskiej to jest rozpiętość cen. Bo i dawniej płacono podatki i spłacano długi, lecz ceny były dostosowane jedne do drugich, a dzisiaj jest brak tej równowagi. Produkta rolne są dzisiaj tańsze, chociaż urodzaje są mniejsze, bo rolnik nie jest w stanie kupić nawozów sztucznych, które dawniej stosował w znacznej mierze.

Dzisiaj kosztuje kwintal pszenicy 16 do 17 zł. i można nabyć za niego zaledwie 2 $\frac{1}{2}$ kw. węgla, a przed wojną kosztował kw. 10 zł. i można było za to nabyć 10 kwintali węgla.

Tak samo ma się rzecz z solą, artykułem pierwszej potrzeby, a nawet daleko gorzej, bo sól przed wojną kosztowała w przeliczeniu na złote 16 zł. kwintal, t. j. 1 $\frac{1}{2}$ kw. pszenicy, a dzisiaj kosztuje 36 zł. t. j. 2 $\frac{1}{2}$ kw. pszenicy.

Nie inaczej jest z zapalkami, drzewem i cukrem, o którym niedługo chłop zapomni jak smakuje, bo już dzisiaj kupuje go zaledwie na święta, gdyż nie stać go na to, aby go mógł używać codziennie. Dzisiaj zaledwie dyszy chłop od biedy i żyje bez nadziei na lepsze jutro.

Dawniej, gdy nadeszły żniwa chłop z radością spoglądał na swoją pracę i liczył, ile będzie mógł z niej odłożyć. A dzisiaj spogląda apatycznie, rozgoryczony z myślą że jeżeli nie dziś, to jutro zabierze jego pracę komornik sądowy, lub egzekutor skarbowy.

Dawniej, gdy po pracy usiadł chłop do gazety lub do książki, to poto, aby dowiedzieć się czegoś lub nauczyć, a dzisiaj jeżeli raz za czas kupi gazetę lub częściej wypożyczy, to tylko poto, aby dowiedzieć się o nowych podatkach.

Najwyższy czas jest aby zajęto się losem chłopa, tej potęgi o której słusznie powiedział Wyspiański, że chłop potęgą jest i basta, bo nie po to walczyli nasi synowie o wolność ojczyzny, aby ich gnębiono i traktowano po macoszemu w wolnej ojczyźnie.

Dn. 27 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 44

Gospodarz czteromorgowy (z
ćwiertcią) w pow. wadowickim

Urodziłem się 2 kwietnia roku 1901, we wsi S *** parafja Po-
bieda w powiecie Wadowickim.

Ojciec mój Tomasz, a matka Katarzyna z Kucharczyków po-
siadali sześć morgów ziemi, dzieci nas mieli ośmioro, pięciu synów,
trzy córki. Dwuch synów zmarło w latach dziecięcych, a sześcioro
nas żyjących rodzice podzielili tą ziemią. Rodzice w czasie swojego
życia dokupili trzy morgi ziemi, więc do podziału było dziewięć
morgów. Grunt był w kilku kawałkach i dość oddalony od domu,
a do tego drogi były złe, co rodzicom sprawiało trudność w gospo-
darowaniu. Ojciec musiał chować konia, a nie było bardzo na czem,
bo czasem i dla nas brakło chleba.

O Boże, pamiętam z lat dziecinnych, jak my się chowali, matka
placek to musiała chować przed nami, bo jak matka nie schowała,
to zawsze na podwieczorek brakło, każdy z nas palcami urwał ka-
wałek, a matka, Boże się pożał, jak sobie przypomnę, to mi łzy do
oczu idą, to się najwięcej ziemniakami odżywiała.

W naszej rodzinie gospodarka szła smutnie, jak zapamiętałem
jeszcze przed wojną ojciec mój miał długi koło 1000 reńskich, t. j.
2000 koron. Dług był zrobiony na kupno ziemi tośmy wszyscy pra-
cowali prawie na procent, dwie siostry najstarsze jeźdżały do Prus
na zarobek, starszy brat ode mnie chodził do kanału, co koło nas
zaczęli budować, a ja jeszcze do szkoły chodził, to musiałem w domu
wszystko robić z matką, a młodszy brat i siostra jeszcze nie chodzili
do szkoły i wszyscy dziś odczuwamy to wysilenie za młodych lat,
a jeszcze i ojciec czasem chodził na pańskie.

Nadmieniam, że ja będąc pospolitakiem miałem stawać do prze-
glądu wojskowego, dopiero mi kupiono pierwsze kalesony, a przed-

tem chodziłem w jednych porciętach, a zimą pod spodek wdziewałem polatane, nieraz pamiętam, jak dużo chodziłem, to mi tyłek obrobiły i nieraz nawet robiły się rany, a skarpetki to pierwsze sobie sam kupiłem, jak szedłem w dwudziestym roku do wojska, a portki pierwsze kupiono mi, jak zacząłem chodzić do szkoły. Com miał radości, to nie do opisania, jak mi kazali przymierzyć, tom wszystkie sąsiednie domy pooblatywał, com się chciał pokazać że ja mam portki.

Nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia, albo Wielkiejnocy nie mogłem się nigdy doczekać i nacieszyć, ale nie spowodu uroczystości i wesołości, tylko, że matka upiecze placków z serem i zakupi mięsa, albo szynki. Za mojej pamięci, ale to już było z początkiem wojny, był dość urodzaj, ojciec był wójtem, utuczył wieprza i zabito go dla siebie, to tak chciwie jadłem, jak matka ugotowała, tej świeżej słoniny, że chorowałem kilkanaście dni i ja ojcu zarzucałem, że lepiej było sprzedać i mielibyśmy pieniądze.

I tak byłem na wszystko chciwy i cieszyłem się najmniej wartościową rzeczą. O pasek do portek, to długi czas ojca prosiłem, żeby mi kupił, co tak mi się podobał i był mi potrzebny do tych portek, aż ojciec się zgodził, że jak mię pan nauczyciel zapisze do szkoły, to mi ojciec pasek kupi u żyda w sklepie.

I zaszliliśmy do pana nauczyciela, a pan nauczyciel mówi ojcu że jeszcze za mały, a jest dość daleko chodzić, to mnie na przyszły rok przyjmie, a ja w płacz, panie nauczycielu, tatuś mi nie kupią paska, niech mnie pan zapisze, ja się będę dobrze uczył, ja potrafię chodzić do szkoły. Pan nauczyciel zapytał się ojca, o co tu chodzi, ojciec mu odpowiedział i niedość, że mię zapisał, ale na pasek i torbę dał, zaś nie wiedziałem, co mam od radości robić. I tak chodziłem do szkoły przez sześć lat i uczyłem się tak, że ledwo przechodziłem z roku na rok. Ze szkolnych lat dużo pamiętam, ale nadmieniał nie będę, nadmienie tylko, jak nas uczono śpiewu razem ze starszymi, a uczono go wieczorami. Pamiętam, jak nieraz drzymając dostałem smyczkiem od p. kierownika, albo ks. katechety, przypominam sobie jak nauczyciel na tem spólnem śpiewie zachęcał gospodarzy do założenia kółka i założyli sklep kółka rolniczego i wybrano zarząd.

Ojciec mój był kasjerem, pamiętam jak ojciec chodził co wieczór liczyć dziennego przychodu w sklepie, ale to kółko, czyli ten sklep trzymał się jako tako, dopóki był ten nauczyciel, jak nauczyciela zmieniono na jego miejsce przyszedł inny i sklep kółka zlikwidowano, ale to była wina chłopów, bo ojciec nieraz w domu mówił, że żyd wszystkich chłopów bałamuci, że daje im na zachętne gorzałkę,

a późni ich bałamuci i tak się stało, że wkońcu mała garstka, prawie zarząd należał do kółka, po rozwiązaniu i zlikwidowaniu sklepu kółka żyd każdemu z chłopów mówił, że on dawno mówił, że się tu sklep kółkowy nie utrzyma, bo to nie jest do tego okolica i tak się chlopi dali zbałamucić, że nieraz przy wódce, jak ojciec mówił, to bili brawo żydowi, a więcej do niego przywiązani, to jeszcze mu kury na szabas nosili, a żyd im za to, takich, jak wy, to poszukać takich porządných ludzi, warto między wami żyć.

Wkońcu i ojca zaczął bałamucić i zwabiać do siebie. Ojciec nieraz, jak był w dobrym humorze, to mówił, jak się poschodzili wieczór do żyda i rozmawiają między sobą paląc papierosy, a nie pijąc, to żyd przychodzi do nich, no, czego tak dziś smutno i przynosi flaszkę z wódką i poczęstował gości na zachętę i nieraz mu się ta szpekulacja opłacała.

Skończyłem naukę szkolną, to jest sześć lat — dwie klasy szkoły ludowej. Po ukończeniu szkoły, nie mając zajęcia prócz pasienia krów i posługi koło domu postanowiłem sobie spisać wszystkie zajęcia ze szkolnych lat i tak stopniowo zapisywałem, ale jak podrosłem byłem już parobczakiem zaniedbałem tego. Dopiero po skończonej służbie wojskowej zanotowałem w krótkości, co zapamiętałem z tych zaniedbanych lat i po dziś dzień nieco notuję, ale mi już trochę dzieci poniszczyły, bo mieszkanie składa się z jednej izby i kuchni, to różne książki i ważne papiery to aż na strychu chowam przed zniszczeniem przez dzieci, a zamykać nie można bo jest wilgoć. Nadmieniam, że miałem wielką ochotę do grania w karty i często za to dostałem od ojca po skórze. Raz w św. Szczepana przegrałem dwie korony austriackie, to ojciec mi tak wygarbował skórę, że trzy dni ze żalu nic nie jadłem i od tego czasu długo nie grałem, aż nastąpiła wojna światowa. Ojciec mój był wójtem, ja roznosiłem listy po domach co listonosz przyniósł i dostawałem za doręczenie pieniądze i bardzo się cieszyłem temi pieniędzmi, a najwięcej korzystałem na święta, bo było najwięcej listów. Poczmiistrzynie znając mnie, mówiła ojcu, żeby mój mógł być listonoszem i ojciec złożył kaucję i mnie przyjęto za listonosza do trzech gmin, i chodziłem cztery razy w tygodniu w tym czasie, to warto było listonoszem. Miałem pieniędzy dość, tabaku papierosów, bo byłem palący, bo kobiety, które miały mężów na wojnie, za doręczenia zaraz wiadomości wynagradzały pieniędzmi, a najwięcej tabakiem, bo one potajemnie za produkty żywnościowe, o wszystko się postarały. Za listonosza byłem 2¹/₂ lata, ale w wolnych chwilach musiałem ciężko pracować, bo nie miał kto, ojciec

całymi dniami był zajęty urzędowaniem, a co się ojciec utrapił z jednej strony od rządu, a z drugiej od ludzi, bo się wygrażali na ojca za rekwirowanie, lub jakieś inne sprawy. Był w tej wiosce złodziej nazwiskiem Leśniak, to w początkach wojny to tylko z nim była robota, wciąż żandarmerja urządzała obławy, żeby go złapać, to jak go złapano, to zaś uciekł i zaś obławy nieraz kilkasetne, to jak obsadzili las, to żandarmi chodzili koło lasu, a chłopom kazali do lasu, aż nareszcie ojciec go dostawił do przeglądu i zameldował, że to jest złodziej i odstawiono go do aresztu do Mirowa i tam zmarł. Po ustąpieniu z poczty pracowałem już całą siłą w gospodarstwie a ojciec wciąż był zajęty, brat starszy też już poszedł na wojnę, a ja sam z jedną siostrą robiliśmy u siebie, jeszcze i drugim pomagaliśmy i człowiek się napracował, to jeszcze musiał zboże chować po różnych kryjówkach przed rekwizycją i spędziło się młode lata marnie. Jeszcze nadmienię o kartach, zawsze miałem pociąg do grania, nieraz przegrałem wszystkie pieniądze. Raz pamiętam zostałem ogolony z grosza, że nie miałem spokoju cały dzień i myślałem skądby wziąć na wieczór pieniędzy i umyśliłem, że wezmę ojcu z pularesa, tak żeby nie wiedzieli, a jak po graniu to spowrotem włożę. Nie wiem jakby się stało, jakbym był przegrał, ale na szczęście zostałem przy swoich ojcu zaraz włożyłem. Nadszedł rok 1918 i 1919 było już dla mnie dużo weseli. Należałem już do przeglądu, cieszyłem się, że powstała ojczyzna, ruch panował ogromny, rabowano żydów, nawet i bito, jak się opierał majątku oddać, ruch był i panowało zadowolenie aż do roku 1920. W dwudziestym roku pobrano mnie do wojska i służyłem do końca wojny i służyłem z zadowoleniem i wróciłem szczęśliwie. Najpierw byłem pobrany do 12 pp. późni skończyłem wyszkolenie sanitarne w Krakowie i jako sanitariusz dostałem się do szpitala wojskowego Włodzimierz Wołyński i pracowałem na oddziałach chirurgicznych w różnych miejscowościach dlatego, bo szpital się przenoślił powodu nawałów bolszewickich.

Po zwolnieniu z wojska pracowałem zaś przy rodzicach na roli i szczyłem się bardzo z tego, że to byłem na wojnie, że i ja dla ukończonej ojczyzny poświęcił trochę trudu.

Rok 1921 był dla mnie bardzo wesoły, mieszkałem u ojca, z wielkim zadowoleniem schodziliśmy się wieczorami i rozmawialiśmy o różnych przejściach i czułem się tak dobrze, jak nigdy, żeśmy odzyskali wolną ojczyznę, że się już skończyło to jarzmo niewoli, że człowiek śmiało może oddychać i śmiało mówić swoim językiem nie tak, jak pod zaborem jak się czyta w opisach i opowiadaniach starszych,

to zabraniali nietylko mowy, ale i modlitwy. I pracowałem przy ojcu do roku 1922. W tym czasie zaszłości ważnych nie było, robotę można było wszędzie dostać, ludzie wyjeżdżali do Francji masowo, na Górnem Śląsku też robotę można było dostać, ale ja spowodu służby wojskowej nie mogłem roboty zaczynać. W tym czasie było też dużo wesel, że cały rok słyhać było muzyki. To też w tym czasie niczem innym się nie zajmowano, nawet nie było mowy, ani myślenia o gospodarce, nikt w tym czasie nie namawiał do organizacji, nie robiono przysposobienia rolniczego, nie zakładano jeszcze kółek rolniczych, kół młodzieży i różnych stowarzyszeń, dopiero zczasem zaczęto ludzi fachowo uczyć i przeznaczać po powiatach, którzy po dziś dzień pracują, różni instruktorzy i uczą uprawiać ziemię i karmić trzodę i organizować się.

Zazdrość mię bierze i myślę nieraz, czemu ja nie jestem dzisiaj młodzieńcem, kiedy tyle dobrego można się uczyć i korzystać, tyle organizacji, tyle bibliotek i tyle instruktorów do wychowania młodzieży i jeszcze różnych podręczników i prowadzenie konkursów, a dawniej Boże się pozał, oprócz ojca, matki po wyjściu ze szkoły nikt do niczego nie zachęcił.

W roku 1922 zaś dostałem powołanie, żeby zgłosić się do przeglądu i oddali mię poraz drugi, przeznaczyli mię do 1 p. a. c. do Modlina i w tym pułku służyłem dwa lata, połowę służby byłem w baterji, a drugą połowę pracowałem w ambulatorjum jako sanitariusz, manewry spędzałem w Rembertowie koło Warszawy, w drugim roku zostałem bombardjerem i 1924 roku zostałem zwolniony do cywila, to zwolnienie dało mi się we znaki, bo musiałem pieszo iść do Jabłonny spowodu tajania lodów, tor kolejowy został uszkodzony. W wojsku też dużo skorzystałem, uczono trochę oświaty, zachęcano do czytania książek i różności.

Od roku 1924 byłem przy rodzicach, pomagałem im w gospodarstwie do roku 1927, w tym czasie trafiło mnie nieszczęście. W 1925 roku ojciec mój dom stawiał nowy i przy rozbieraniu starego spadła cegła z kumina, z wysokości siedmiu metrów i zraniło mi nogę na pięcie z tyłu, tak że dziesięć miesięcy cierpiałem, a ojciec był przez to poszkodowany, bom ja przy budowie nic nie pomagał, różne jeszcze miałem w tym czasie przejścia, ale nie podaje, bo są może zbyt cenne. Po wyleczeniu nogi oprócz zajęcia u rodziców chodziłem jeszcze do innych gospodarzy do pracy, czy to kosić, czy to młócić, czy to z motyką, nie było wyboru, co się natrafiło, żebym dla siebie mógł na odzież zapracować, bo ojciec sobie nie mógł wystar-

czyć na wszystko, bo i życia trochę przykupował, bo lata były nieurodzajne. I tak dożyłem do roku 1927 myśląc tylko o wyszukaniu dla siebie towarzyszkę życia i w roku 1927 ożeniłem się w sąsiedniej wiosce i tam mieszkam. Żona ma mieć od ojca dom drewniany i trzy morgi ziemi, ale jeszcze jej ojciec ma wszystko w mocy, ale jest to człowiek uczciwy i pracowity, bo na tych trzech morgach ziemi wychował trzech synów i jedną córkę i do tego dwóch synów wykształcił. Jeden ma ukończoną wyższą szkołę rolniczą w Czernichowie, a najmłodszy ma w tym roku ukończone prawo, ale już w tych latach ostatnich bardzo trudno przychodziło, bośmy w domu musieli życie prowadzić bardzo liche, żeby jemu dać na ukończenie szkół, ale dzięki Bogu już ukończył, a średni jest w domu i razem jeszcze pracujemy, to znaczy on mnie pomaga pracować na roli i w ogrodzie i próbuje założyć pasiekę. Ma już dwa ule i do tego zajmuje się miejscowym kołem młodzieży wiejskiej, jest nawet w nim prezesem. Ja zaś od swoich rodziców dostałem jeden mórg ziemi i $\frac{1}{4}$ morgi lasu, razem mamy $4\frac{1}{4}$ morga. Grunt żony jest w jednym kawałku koło domu, t. j. glina ciężka i podmokła. Mój grunt jest oddalony o dwa km. Zaznaczam że jak tylko się ożeniłem, to teść zaraz mi puścił całą tę jego gospodarkę, a on się zajmuje w ogródku kwiatami, co go bardzo cieszą i bawieniem dzieci.

A teściową, której nawet nie znałem, już dawniej zmarła, wszyscy jeszcze do dziś dnia oplakują, mówią jak ona się o nich starała, sama sobie wszystkiego odmawiała, żeby tylko dzieciom życie zapewnić i umarła mając 45 lat na suchoty.

Dzieci mam czworo, dwóch synów i dwie córki, najstarszy liczy $5\frac{1}{2}$ lat, a najmłodsze pół roku, t. j. dwóch starszych synów, a córki młodsze.

Po mojem związku małżeńskim wziętem się gorliwiej do pracy. 1928 roku założyliśmy Kółko Rolnicze, ja byłem tylko członkiem, korzystałem z różnych kursów rolniczych. Między innymi był kurs trzydniowy o chowie bydła i świń, drugi kurs był o sadownictwie i warzywnictwie, także i o chowie drobiu, t. j. kur, z których to kursów odniosłem dużo korzyści. Zaraz w następnym roku kupiłem kura angielskiej rasy i dopuszczałem go do zwykłych macior, przyjąłem także konkurs chowu świń na bekony i co roku miałem inne konkursy, jak buraki, koński ząb, konkurs kur rasowych przez dwa lata, 1930 roku zostałem wybrany sekretarzem kółka rolniczego i w roku 1930 postanowiłem założyć sad na $\frac{3}{4}$ morga ziemi, i w tym samym roku zakupiłem kilka drzewek owocowych samych jabłoni,

a w roku 1931 zakupiłem resztę, a część miałem swojego szczepienia i dziś mój ogród składa się 60 drzewek owocowych t. j. 35 jabłoni, 20 landsberskich, 10 piękna z Boskoop, 1 pepina litewska, i 4 letnie wczesne, 6 grusz, 3 Hrabina Paryża, 1 plebanka i dwie inne na suszenie, 9 wiśni i 10 śliwek, 30 krzaków agrestu i dzisiaj cieszę się bardzo z tego sadku, a to wszystko dzięki naszym instruktorom rolniczym, którzy nas do tego namawiają i pouczają. Ojciec mój przeżył 68 lat i sam nie umiał szczepić drzewek i nas też nie nauczył, ile było drzewek, to same z dzików wyrosły, a dziś jakie piękne sady zakładają i człowiek żyje zadowolony, choć brak groszy, ale za to umię chować bydło, świnie, kury, króliki, umię szczepić drzewka i prowadzić ich w górę i nieco rozumię w pasiece. Są także różne książki o wychowaniu dzieci, z których też korzystam, prowadzę także rachunki w gospodarstwie, do których to rachunków książki zakupuję.

Pracuje też w Kasie Stefczyka w Pobiednie t. j. w parafji, jako kasjer już drugi rok, która była założona jeszcze przed wojną światową, a po wojnie była mało czynna, bo zarząd zaniedbywał obowiązków. Dopiero w roku 1932 wybrano nowy zarząd i Spółdzielnię ożywiono i choć w kryzysie, ale się stopniowo rozwija. Po odebraniu pouczył mię ustępujący przełożony zarządu i pracowaliśmy z nowym przełożonym zarządu. W jesieni zarząd wysłał mię na kurs dwutygodniowy do Krakowa, z którego dość skorzystałem i praca w Spółdzielni idzie mi już łatwiej, ale się jeszcze czasami zastanawiam nad sprawami trudniejszymi i staram się wszelkimi sposobami o jej rozwijanie i zaufanie. Należę także jako członek zarządu do koła miejscowego popierania budowy szkół powszechnych.

I przy pomocy boskiej żyję z żoną, teściem, szwagrem i czworo dzieci — z tego małego kawałka ziemi i cieszę się zdrowiem, i że żyję na ojczystej ziemi i wolno jest mówić ojczystym językiem i wyznawać swoją wiarę, co daj Boże, aby długie lata ziemia polska nie była najeżdżana przez nieprzyjacieli, żeby dzieci nasze mogły się uczyć po polsku i żeby ojczyznę swoją lepiej pokochały od nas.

Co do odżywiania teraz, to żyjemy chlebem, ziemniakami i nieco jarzyny i grochu, do chleba używamy mleka, a na omastę masła, zaś rzadko dokupujemy słoniny. Mieszkanie mamy niewygodne, bo jest na nizinie. Dom składa się z jednej izby i kuchni, stajni i chlewów, wszystko razem i jest nam bardzo niezdrowo, ale narazie niema funduszu na przebudowę. Ubieramy się jak zwykle po wiejsku, ja mam jedno ubranie półwełniane, to jest od święta za 60 złotych, a kupiłem go jeszcze do ślubu i w nim chodzę do kościoła i na różne uroczysto-

ści, a zwykle kupuję cajgu po trzy złote metr i co się tyczy to chodzę dopóki się tylko trzyma kupy, żona zaś chodzi w spódnicach i kamazkach i odziewa się chustką, a na zimę, to kupiła sobie kożuszek, a dzieci chłopcy mają ubranka letnie, a dziewczynki sukienki, a na zimę ciepłego nic nie mają tylko pokupiłem im pantofle gumowe i trzymamy ich więcej w domu, żeby się nie zaziębiły.

Co do sąsiadów, bo jest ich tylko najbliższych trzech i to jeszcze pokrewieństwo, żyjemy jak w największej zgodzie. Nazywają się Śliwy i mój teść też się nazywa Śliwa, tylko ci trzej są bogatsi czyli zamożniejsi, ale są uczciwi. Jeszcze chciałem nadmienić z lat młodych, ja będąc przy ojcu to dopóki się nie ożeniłem, to wszystkie pieniądze, jakie gdzie zarobiłem, to oddawałem ojcu, a ojciec mi sam kupował odzież i wyznaczał część na papierosy, a mając już zamiar się żenić dowiedziałem się, że w rodzinie tej, gdzie ja się mam żenić nikt nie pali papierosów, ja też pomyślałem, żeby dobrze było oduczyć się palić, żeby uniknąć kłótni ze żoną i oduczyłem się, zato czuję, że mię żona lepiej kocha i szanuje i ja zaś za to, co nie palę przedziej mogę na dobre cele jakiego grosza ofiarować. Bo na małej gospodarce, to trzeba bardzo ścisnąć, żeby były pieniądze i żeby się dostało na organizacje, ale można powiedzieć, jak kto chce, to na dobre cele zawsze powinno się znaleźć, choćby się miało coś innego odmówić.

Rolnikowi, jak się urodzi w polu i inwentarz jak się dobrze chowa, to i w kryzysie da się wytrzymać. Ja będąc jeszcze u rodziców były trzy lata t. j. w 1925—1926—1927 więcej mokre i nieurodzajne, to może 90 procent ludzi zaciągnęło pożyczki na dokupno żywności dla siebie, a dużo było takich, co inwentarz posprzedali, choć im był potrzebny, mój ojciec to zrobił dług za te trzy lata 600 złotych. A w latach normalnych to życia wystarczało. Teraz najwięcej rozmyślam nad wychowaniem moich dzieci. Nie wiem, jak mi Bóg pozwoli wychować i czy będę umiał.

Dn. 22 listopada 1933 r.

Wieś moja rodzinna S *** leży nad Dunajcem w powiecie Dąbrowskiem koło Tarnowa, województwo Krakowskie. We wsi mieszkający jest 750 to obszar gruntu składał się z pierwszej klasy i drugiej klasy i trzeciej klasy, powodzenie we wsi mojej rodzinnej było bardzo dobre. Przed paroma laty choć były dwory należące do gminy pod moje wioski rodzinne. Potem te dwory były rozparcelowane w roku 1910, a chłopcy zakupili ten grunt to z tego dworu, a mój dziadek się urodził w roku 1810. Dziadek był bezrolny chodził na zarobek i jeździł na flis gdzie z flisu chodził piechotą i wstępował na Podole, gdzie poznał się z ludźmi i ożenił się w roku 1832, poślubił żonę swoją, a mój tata opowiadał jak przychodzili do gospodarki. Najpierw postawili sobie chałupę z drzewa nieciosanego, pieca w izbie nie było, była taka nalepa na środku a po jednej stronie stało bydło i drobiazgi, a po drugiej stało wyro, na którym wszyscy spali, cała rodzina. Pola mieli pięć morgów, ale ciężko było wyżyć przez to że nie umieli uprawiać grontów, tylko rodzili się ciernie i zapyzone, bo nie mieli cemu łorać tylko pługiem drewnianym łorali, bo innego nie znali a za zbożem jeździli do Bochni, Tarnowa, Wojnic, po tygodniu ich nie było z cemu jako ćwierć zboża zdobyli. Pieniądze mieli, bo zarobek się trafił to na flis to na rybołówstwie, bo się tym trudnili. Dzieci mieli, dwóch synów i dwie córki a z nich byli tato najstarsi. Mój tata Wawżeniec najlepiej się zachowywał w domu za to dostali dwa morgi ziemi i zabudowanie, to jest stodoła i chałupa i kazali się jemu łożenić i poślubili sobie żonę z powiatu Bzieskiego i nie dostali majątku tylko spłatę trzydziestu rejski, to był ich majątek po ojcu, a jak ich sprowadzili z powiatu do swojego domu dorabiali się majątku, a mieli dzieci dziesię-

cioro, a żyje nas pięcioro, tszech braci i dwie siostry. Gospodarka składa sie z dziesięci morgów pola. Ojciec zyli piędziesiąt dwa roki, mama zyli piędziesiąt sześć lat, tata pomarli w roku 1911 i nie robili zadnego rozpozontku i mama zostali i nie dzielili majątkiem i pszy-slimy do równy części. Dostali my wszyscy po dwa morgi, ja jako najmody wysedem z domu, brat średni został w zabudowaniu, a dwie siostry i brat wyjechali do Ameryki i tam się obsiedlili i nie myślo powrócić do Polski ukochany. Zapamiętałem jak mi mój tata opowiadali, ze dawni była pajsyczna i chłopcy i baby i dorosłe dzieci chodzili na robote i jak sie chto spóźnioł to go bili panowie okunomowie, jak tsza było iść piechoto do Krakowa, bo nie było pociągów, jak słuzyli pszy wojsku, jako wielko mieli bide, ze musieli chodźć na pajsyczne, musieli wstawać do dnia i pszycynić dzieciom a sami sie śpiesyc zeby nie dostoł batem. Przed schodem słońca musioł być na polu jo se myślołem co to ta pajsyczna jest jak byłem jesce mały. Jo urodziłem sie w roku 1900 to juz zapamiętołem to tata i mama sie o wszystko starali i wyrobiali nici, pszędli na płótno i robili swoje pościel, worki. Mój tata mi opowiadali ze była Polska tylko jo rozebrali inne pajstwa i my tyz przyšli pod zabór austryacki, jo se myślołem co to jest ta Polska wtencas byłem małym chłopcem, to tata mie naucyli hymn narodowy, choć to było pod zaborem austryackiem, jesce polska nie zginęła, a jo se śpiwoł jak pasem krowy na pastwisku i myślołem co to jest ta Polska, bo mi ni mioł chto wytłomacyć, tatym sie nie śmioł pytać, bo byłem jesce małym chłopcem. Przed samo wojno niechtóre dwory parcelowały swoje gronta, pobrali grontów chłopcy po pięć morgów i po dziesięć morgów i mama moja wzieni pięć morgów i dali zadatek dziesięć rejskich a te pięć morgów kostowały styry tysiące rejskich. Tsza było wypłocać, ciężko sie było postarać o pare rejski na robote jednak było łacwi jak teraz w dzisiejszych casach. Wybuchła wojna austryacko długów sie nie wypłocało, zrobiuł sie zastój, ciężko było wypłacić, bo my byli bardzo znisconci wojno bo zrobiuł moskal łopór nad Dunajcem. Trwała wojna sześć miesięcy, budynki były styrane, spolone i rozebrane, ludzie sie budowali. Kazdy odcuł te wojne światowo, popszychodzili bracia, łojcowie bez nóg i bez rąk i ranni i chorzy na malaryjo i po dzisiejsy cas cują tē wojne austryacko, a inni zażyli i polski wojny. Jak sie nieroz poschodzo wiecór na pogawędke i opowiadajo swoje troski, jak byli na frontach, jak uciekali pszed niepszyjocielem jaz pszykro słuhać. Widzi sie zeby wnet zapłakoł nad temi bidokami, jak ludzi były kule i targały ciała, krew bryzgała bratersko, niewinnie

pszelana została a docekalimy Polski Demokratycznej, nie wiedziłem nawet co to jest ta Demokracjo, a co znaczy wolność to wiedział. Pszysed wybór polskiego zajądu sejmu i senatu, chtësta wiedział co znaczy sejm abo senat, pchali się do władzy ludzie chtërzy nawet nie pszysłużyli się ty Polsce. Wybuchła znów drugo wojna z bolszewikami, jest źle bo widziało się ze Polske załochnie bolszewik, cóż zrobić, jak zaradzić, tsza wziąć chłopu do rządów, niech chłopu straco Polske, bo wciąż nazykajo ze ślachta straciła Polske i pszez ślachte był rozbiór Polski, a chłop polski nie stracił, ale wpojuł ducha polskiego do chłopu i doł chłop chłopu prawo wolne i posanowanie, ale chłopu nie umieli posanować chłopu i cudotwórcze polskiego opacne se życie pamiętne roku 1923 i 4 zadobze się nam powodziło, bo jak się spszedało gęś karmiono, to se kupił kurtkę i copkę krymsko, mój somsiad miał tyz tako same gęś karmiono to se kupił sieckarnio, znouu inny gospodosz za dwuroczne źrebice kupił se półtora morga pola piersa klasa, gront doborowy, rozkos uniesła chłopów. Chłopy godali piniędzy mowa, bo tych marek było jaz pod dostatkiem, zboza meter, pszenice lub zyta to ni mozno było schłować do jedny kieseni, bo się nie pomieściły. Rozkos uniesła chłopów, mojem zdaniem i zasado, to nie rozkos uniesła chłopów, ono to co i kazdygo jednygo waryjota, jakby byli chłopu mądry toby nam źle nie było, bo my mieli dobrych wodzów i mądrych, byliby nos naprowadzili na dobro droge uczciwo, ale chłopu to zawsze zwrocali uwage dzieciom swojem — mój dziadek i tata nie cytali gazyty ani książek i wy dzieci choć cytać nie będziecie to żyć będziecie, a wtencos cóż chłopu zrobili, jak juz w roku 1925 tszebaby parobka chować, urobił gospodoza na swoje dobre i tłomił chłopu cały rok, to mu obiecował kielbase, to synke. Chłopom się dobrze powodziło, bo za prosie więkse cy mniejsze wzieno się dwieście, cy tzysta złotych, za meter zyta kupiło się buty, w dzisiejszych casach tszeba za nie zapłacić 40 złotych, za meter pszenice mozna se było kupić ubranie, w dzisiejszych casach za takie ubranie tszeba zapłacić sześćdziesiąt złotych. Co się mogło w takim niedługiem casie zrobić, podatki płaciwa tak jak my płacili, wszystkie opłaty żądowe tszeba opłacić, bida na świecie bidnemu człowiekowi nieuświadomionemu, bo się dobrze powodziło chłopom, nietsza było słuchać parobków bo parobek, jak źle nie robi, to dobrze nie myśli zrobić. Słuchali my chłopu tych parobków, a uni nos urobiali, przeciez chlebowdawca móg utszumać parobka krótko, bo jak wydawoł parobek rozkazy gospodożowi, to go móg gospodosz nie słuchać, jak się parobkowi nie podobały rozkazy gospodaża, tsza

było go usunąć i wziąć innygo coby był słuchał, ale my chłopcy, chtózy stanowimy przeszło siedemdziesiąt procent, to nos nie powinny zwyciężyć zodne warstwy faraonów idyjtów. Jak rok 1926 chtós zrobił zamach na rząd, na chłopów, jak nie herodyni, cóz my docekali teroz chłopcy, choć my niewszyscy winni temu, pszecie my nie chcemy zeby sie w Polsce pszeloła bratersko krew, bo my so demokratami, kazdy obywatel polski mo wolne prawo a nie tortury katusze. Co sie stało od roku 1926 miołem sposobność być w Tarnowie po pszewrocie majowem, widziołem jak socyaliści i z innych partyj nie wiem jak sie nazywają, bom nie jest zoden polityk, tylko zwykły chłop na wsi, tom widzioł jak zrobili ze słomy Witosy i śli ulico Krakosko. W tłumie gdzie jo stołem na tretołazę, ja stołem i koło mnie stało dwóch policyjantów i dosło do mnie tszech opryszków i bijo mnie i mówio mi, ty chامية marsz do pochodu, a jo wołem na policyjanta, to policyjant sie wykręcił w drugo strone i niebroniuł mnie, a jo se myślę juz nadesed cas faraonów. Łobchodzi mnie wszystko jak kazdygo jednygo powinno łobchodzić, dowiaduje sie ze došli do władzy ludzie przemoco, ze juz będzie dobrze. Miołem sposobność nieroz widzieć ulotki, na tych ulotkach namalowany chłop, niesie worek piniędzy ze spszedół meter ziarna, dało sie widzieć i okazało sie wszystko ze to była baśnia. Chłop zanie sie worek ziarna i kupi se na pore bielizny ankinu, a rešte co mioł wziąć za zboże to zabrali handloże i kapitaliści i wywieźli zagranice i lokowali je w bankach zagranicznych, bo te worki co były malowane z piniędzmi na ulotkach lo chłopcy, to je otszymuje jak nie żyd to jaki pułkownik, a jak nie to kler. Pszysed rok 1927, chłopcy godają, miało sie zmienić, miało być wnet dobrze, coroz gozy sie robi. Jo ta był jesce młody kawalirem, godom coroz gozy sie robi, bo co trocha pszychodzi do mie policyjant jak do jakiego bandyty i godo mi tamesz gdziesi był na wiecu, który sie odbył w Otfinowie. Dnia 17 maja pszyjechoł zastępca starosty altem, łotfinowskie baby łopstąpiły to alto i zaceny szczyłać jojkami na to alto, a mnie podejżała policyjo ze jo to podbużał, jo nie podbużał, bo stołem daleko od ludzi, małom kogo znał. Posterunkowy doniós do sądu, sąd mie ukoroł na sześć tygodni hareštu wzamian na grzywne sto piędziesiąt złotych. Miołem w tem roku styrności takich kar mniejszych i większych, karali mie stale i policyjo mie śledziła, cóz miołem zrobić. Ludzie mi radzili zeby sie łozenił, tak zaconem swój ożynek w roku 1927 w listopadzie. Jak posedem na pocis, nie do swoi parafiji sie zenił, to tamtejsy probosc niebardzo mie znał, zato więcy moje nazecono terminowoł, a mnie to popytoł

conieco i doł mi kartke do mojego probosca, zem był na pocis u niego. Pszysedem do swoigo probosca, un mi mówi zem sie spóźniul, jo go prose ze prosto ide od tamtygo księdza, ale un mi godo ze dzisioj nie załatwi, ino jutro pszudzies przede msami, to załatwie z tobo. Posedem w niedziale pszed msami i zastolem go jesse w kancelaryi i prose go a un mówi, załatwie cie tylko zložys 50 złotych na despense, ja mu godom ze inni sie zenio a na despense nie składajo po 50 złotych, ale un mi mówi ty musis zložyc, boś sie spóźniul, jo go prose, godom mu jakzem sie spóźniul, jak mi ksiądz probosc godoł zebym pszysed przede msami, tom pszysed, a un mi godo, ze wcora był ostatni dzień na paciorników pszed adwętem, a jo mu mówie, pszecie jo był wcoraj, a un mi godo jo wcora casu ni miol, bom miol gości, jo mu godom, zato ze ksiądz wcoraj miol gości to jo muse dać 50 złotych. Ksiądz mi godo zebys był w związku Stanisława Kostki tobyś nie zapłacił, bez dyspensitybym cie załatwił, ja mu godom ze ci, co so w stowarzyseniu, to so tacy sami jak i ja, a jo mu godom ze jo piniędzy ni mom to nie dom. Ludzie mi dorodzali zebym jechoł do biskupa to nie zapłace. Pojechołem do biskupa Wałęgi w Tarnowie, biskup do mnie mówi nic ci nie poradze moje dziecko, musis zapłacić, jo go prose ze ni mam piniędzy zem jest bidny, biskup mi mówi, nic nie poradze tsza zapłacić, a jo wtencos pomysłołem se w duchu ze Chrystus był demokratą to go ukszyzowali a jego zastępcy nie so demokratami, ale fałszywemi zdzircami z bidnygo narodu, bom pozycuł se te 50 złotych, zložulem na te dyspense judosowsko. Wysły zapowiedzie, z końcem listopada 27 brołem ślub, cóz z tego tsza było opłacić metryke ślubu i is do innego probosca i zapłacić ślub, po ślubie i po weselu pomysłołem sobie no, to juzem pszesed wszystkie ceremonije, to juz do kuńca tego roku dosiedze u moi poślubiony. Nadesed rok 1928, mówie do swoi poślubiony, teraz zacniewa sie gospodazyć spólnie, ona mi godo, jakze sie bedziewa gospodazyć, jak nie mowa chałupy swoi. Uradzili my se oboje ze tszeba jako chałupe zadzierzawić. Jak my zadzierzawili to na nowe zagospodazenie pozycyli my se sto piedziesiąt złotych w kasie Stefcyka, jakiesi prosięta i pore gęsi i jakiesi nacynie, bo mojo poślubiona dostała nawet liche wiano, to tsza było znowu troche kupić. Za tszy miesiáce po ślubie pszychodzo mi juz skargi za pobrane towary na ślub i wesele, nie było z cego odać, bo nie było zarobku, a tu tsza było płacić dzierzawne z domu i stodoły dwadziescia złotych i podatki, a z cego. Ni mozno sie było dorobić, bo było dwa morgi ziemi wszystkie, mysłołem ze mi tak dobrze będzie jak sie

łożenie, jak mi było w roku 1922 i 3 i 4 i 1925, temcasem sie zmienilo. bo i egzekutozy co troche zasechwestrujo to prosięta, to gęsi. Jo se myśle jak spszedam som z wolny ręki, to więcy wezne, a jakby mi przez licytacyjo spszedol egzekutur, bo były sechwestrowane te prosięta com se kupiul na nowo gospodarke po ślubie, śtyry razy zasechwestrowali. Roz były za dług com pobral towar u żyda lo moi poślubiony na wesele, drugi roz za podatek grontowy, tszeci roz za podatek drogowy, cwarty roz znowu za kisieline. Jak pszyslo do spszedanio te prosięta i łoddolęm co było najpilniejszego długu, to ludzie zrobili na mnie doniesienie za to zem spszedol zasechwestrowane prosięta i doniešli mie do sądu i jeden sędzio za jedne prosięta zasądziul mie śtyry razy, pirsy wyrok zostałem ukorany na śtyrnaście dni areštu wzamian na 50 złotych, drugi wyrok byłem osądzony na 8 dni wzamian za gzywne 35 złotych piędziesiąt grosy, trzeci wyrok zostałem ukorany na 5 dni areštu wzamian na gzywne 20 złotych, a cwarty roz mie ukorał sędzia na dwa tygodnie areštu. Jakby spszedol za pirsę košta egzekutur, toby było wystarcylo na pszeprowadzenie licytacyje, a tak to jo se spszedol sam i odolęm se troche długu, a to co mie sędzia ukarał tom na tem nie straciul, bom za świnie więcy piniędzy wzion jak zeby egzekutur spszedol. niesprawiedliwie sądzo judyci herodyni niesprawiedliwi, to moze pszyjdo tacy co będo sprawiedliwie sądzić. W roku 1929 pszezyłem w położeniu cięskim bom straciul duzo na iwentazu, cłowiek sie ni móg oplacić, trza było cosi kuniecznie psychować zeby na te opłaty wystarcylo. Pozyculem se w banku spółdzielcym powiatowem sto piędziesiąt złotych łodciągnyli mi na udziol i procent kwartalny, zostało mi na cysto sto siedemdziesiąt złotych i siedemdziesiąt grosy. Wzionem te piniędze i posedem na jarmark i kupiulem dwoje prosiat za sto pietnaście złotych dwa złote siedemdziesiąt pięć grosy zostało mi na takie drobne zeczy do domu mydła, soli, gasu, patycki i inne zeczy, bo sie bez tego nie obydzie w domu, ale prosiatka chowalimy i codziej ze dwadzieścia razy sie do nich zaglądało i dawało sie jem to co i my jedli, a późni dopiero gozy. Cłowiek sobie odjon od gęby a temu dol, zeby jak najprędzy cosi przyrosło na te opłaty. Zesło tszy miesiáce, tsza było zapłacić procent, jakisi rate do kasy, skąd wziąś to wziąś, zapłacić tsza było. Robotą pszy nasypywaniu wału była jak mógem tom sie dostol choć to tsza było tyz jakosi pocte dać i jesce nieroz, bo bez pocty to sie nigdzie ni mozo wyrusyć do roboty. Zarobiulem pare złotych pszy tem wale, dostolem wypłate a znowu był przednówek, jak posedem z temi piniądzmi do tego banku, jak zaconem pro-

sić tego derektora ze mu sam procent zapłace, bo na rate ni mam, choć miałem, tsza było i scyganic, bo tsza było se i jako ćwierć kupic ziarna na chlib, na zycie i pore kiló łotrąb prosiętom łobsypać zarcie i drobiu tyz cosi było i świniom, azeby co psychować. Docekalimy nowygo poddali my świniom, bo sie je chowało pięć miesięcy, najonem fure i wzionem na jarmak i wzionem za nie szeździesiąt złotych, za to co my chodzili z kobito koło nich dopłocało sie do nich po jedyności złotych. Jak te piniądze złapiułem do gaszci i dołozułem se na rate i procent trzydzieści siedem złotych i trza było cosi kupic z przyodziwy i jakie buty ze zółtygo juchtu sobie, a kobicie skóry na podszycie i kupiło sie biołygo ankinu na kosule na codziej, co jo spszedoł to tanio com kupiuł, to drogo materyjo nic nie staniała. Oj, pszysły casy na nos bidoków małych rolników, to casy faraonów ze bidny chłop chtóry jest na bidzie i nędzy zamiast zeby sie ze swoi procy za ten produkt opłacić, to sie jesce zadłuzo, bo zacem sie co uchowo i zawiezie do miasta to tszeba łopłacić podatek od tego, jesce i dobry, bo chtóry chce zapłacić podatek to musi gdzie pozycyc a podotek oddać bo sie sechwestruje i pszez publiczno licytacyją sie spszedaje sie za bezcen. Chłop tego drugi nie kupi pszewaznie kupujo zydzi z chłopski procy ciężko wypracowany zarobiony robio interesa i bogaco sie zydzi a chtóz temu winien ni možno wymyśleć, jedni mówio ze ząd niedobry, to znowu sie mówio ze dyktatura w Polsce panuje, inni mówio ze tszeba konstytucje zmienić, mówio księza, kszycy z ambony zeby sie modlic, a nie wąpic. Jedni sie modlo, drudzy pszeklinajo i mówio cy Boga nima i modlo sie i wzdychajo na tako ksywde robionom bidnemu narodowi milćacemu. I wzdycha sie do psesłych casów, chtóre sie dały widzieć i wykozysać małem rolnikom, wtencos rolnik zacon stawac na nogi po ty strasny wojnie i mówio choc sie wycierpialo cało wojne, w obronie granic polskich stanuł chłop. Dzisiaj sie staje psed policyjo w sądach i wysiaduje sie w hareściach, pszeprowadzo sie rewizyje za ulotkami, za bronio i łodbiro sie broń, a złodzieje uzbrojeni w rewurwery napadajo na chłopa i rabujo łostatnie mienie i scylajo do chłopa, a policyjo tego nie widzi, nie robi zadnygo doniesienio do sądu. Jak do mnie psysła policyjo za posukowaniem broni, zwywrocali w mieskaniu i na góze, gdzie pszewalili plewy co były ułozone nawprost kumina, pod bokiem, dosyc daleko, to posterunkowy wzion widel zelaznych i sukoł i pszewaluł plewy na kumin i słome i nic nie znalaz. Pomściuł sie o to i donius do posterunku i do sądu i o studnie co było psykrycie ino ze starych descek, a un godo, kupic deske i zrobic nowe psykrycie

na studnio i za wszystko zrobiuł doniesienie do sądu. O plewy dostałem 14 dni areštu, a o studnio dostałem 3 dni areštu. Mocny Boze, robi sie na złość chłopu i po tem wsytkiem donius posterunkowy na mnie do sądu zem sie z niem nielegalno obchodził, wcale tego nie było wypodku takigo, jakby mnie chto pociągnuł do pszysięgi, tobym przysięg nie roz ale sto razy. Takich zająs miołem dość w tem roku. Rok 1930 pszezyłem i odcułem tyz niemało bidy, ciężkich pszejś. Pogodali my se z kobito mojo, ze jakim miuł majątek pszeprowadziułem na nie na jii własność, zeby mie juz nie siepali kostami skarbowemi, bo stale pszechodzili sechwestranty, to za podotek wojskowy, zem nie słužuł pszy wojsku, to za jakie doniesienie, byle tylko płacić a pszecie bidny człowiek, ni miołem swojego domu, tsza było zapłacić i dzirzawe i podotki grontowe, skądze sie człowiek móg wziąś i choćby swoje maszynie do pińędzy miuł i robiuł, toby nie wystarczyło na takie. W tem casie nareście umyśleli my se z kobito ze se tszeba jakosi chałupine wystawić no i sąsiedzi nam tak radzili ze we swoim mieszkaniu to sie predzy dorobi. Zaceni my budować, kupiułem dzewo zmówiułem majstra, zaceni my robote. Majster mi godo zebym sed do wójta, zeby doł kącies do zakłodania przyciesi, posedem, mówiułem mu o kąciesie na budowe. Wójt jako sąsiad granicuł około mnie i mówiuł ze nie pozwoli, ze tako ustawa wysła, musis sie usunąć piętnaście metrów od mojego i po drugi roz mówi, ze tako ustawa wysła, zebym sie sunuł od jego granice. Plac na to nie pozwoluł, bo był wąski, cóz miołem zrobić juz robota zaczęto, udołem sie w prośbe do wójta, wójt mówi ze nie pozwoli bo tako ustawa wysła. Tak sie budować muse, cóz z tego, nie stać mie było zebym kupiuł inny plac, tsza było na tem stawiać. Doradziuł mi jeden, zeby is do wydziału powiatowego, moze mi pozwolo albo wydadzo kącies na to. Nie pozwolili, udołem sie do posła K. zeby mi co w tem poradziuł, a un mi nawet doś dobrze doradziuł, idźcie do mojego brata, un jest zastępcą wójta, un wam kącesyju da, choć wom wójt nie chce wydać i tak sie stało. Chałupinem postawiuł jako móg, wójt i tak mi stoł na przeszkodzie, pszechodziło mi z wydziału powiatowego zem postawiuł niezgodnie ze sąsiednimi granicami. Drugi roz mi nadesło z wojewóctwa, zebym rozwaluł ten budynek, bo nie jest postawiony prawomocnie, zamortwiałem sie, ze tszeba rozebrać w śtyrnastu dniach, a jak nie to rozbiero na mój kost. W między tem casie wójt zostal zawiesony z uzędowaniem, starostwo nadało kierownika gminy, a temu wójtowi scęto dochodzenie, wykryło sie to wszystko najaw i wójt spszedoł ten gront co był granico mojo i kupiuł go taki, co

przyjechał z Francji i miał trochę pieniędzy i un sie zgodził na te granice, ze mój domek tak postawiony i dopiero sie skuńczyło. Cłowiek sie zadłużył na te chałupy i wszystkie dodatki i spszedół pół morga pola i to jesse było mało, bo mie skarżyli, sechwestrowali co tylko było małym miółem ten rok. Na tem zakujcom ciężkiem położeniu. Przejde sie na ten rok 1931 i 2 i 1933 w tych rokach byłem sponiewirany przez policyjo, gdzie mie arestowali i bili za to zem powiedział, ze chłop powinien być podstawo państwa, bo chłop wyprowadził państwo z ciężarów na dobro droge. Chłop powinien być postawiony równo i równouprawniony, jak kazdy obywatel polski, nie traktowany jak ten bandyta. Jak pszysło do mnie tszech posterunkowych zabrali mnie do więzienia, gdzie przesiedziół pare dni, gdzie psychodzili do mnie prawie codzień policyjant i tam ciągnął protokół ze mną i tam sie znęcał na mnie, ani terminu nie było o to, bo było niewinnie. I miółem doniesienie do sądu o psa, ze w nocy chodzi bez kagajca. Donius mie posterunkowy siedem razy doniesiono mie, zem uządziół zabawy bez zezwolenia, jedyńście razy doniesiono mie, zem robiół zebrania, dziewięć razy doniesiono mie, zem cytelnie spółne, pięć razy doniesiono mie, zem zorganizowół tłum na strajk rolny, doniesiono mie, zem zorganizowół pochód na zjazd rolnicy, doniesiono mie zem zrobiół pochód na zjazd kół młodziezy wiejskiej. Donius mie posterunkowy, zem sie nielegalnie zachowywał w kościele w casie nabożejstwa. Jesse takigo wypodkum ni miół w zyciu swoim. Donius mie posterunkowy, zem uządziół pochód na wiec Wincentego Witosa i łorkiestry, doniesionym zostół i ukorany, co po mojem obliceniu tych dni i tygodni wychodzi dziewięć miesięcy i tszy dni w zamian za gzywnę. Po mojem obliceniu tysiąc łosiemdziesiąt pięć złotych, gdzie nie jest w stanie zapłacić, ino muse odsiedzieć, bo skąd wezne. Jak mie zyd zaskardził za pobrane węgle, gdzie pszeprowadził juz sechwestracij sechwestrant i wzion mi sieckarnio zasechwestrował, a ja mu nie doł wziął sieckarnie, pszyjechał drugi roz nie było mie w domu, pszyjechał egzekutor z policyjo po te sieckarnio. Moja kobita stanyła w obronie, nie chciała dać sieckarnie, pobili kobite posteronkowy ze sechwestrantem. Kobita była w ciąży, co po ćtyrech godzinach tego zajścia porodziła bliźnięta niezwywe. Jak sie dowiedzieli o tem egzekutor i inni, to mówili ze dobrze ze mom niezwywe, bo cobym z niemi robiół. A co mie choroba kostowała to nie wiedzieli, ino sie śmiać umieli i ciesyć z moigo nieszczęscio. Potem doniusem do wyzszy władzy, bo kobita ciesko chorowała, nawet ni miółem zato terminów.

Dozmożem się terminów, powiedział mi sędzia że było prawnie zrobione.

Napisałem te pare słów i zdołem swoje sprawozdanie ze swoigo takigo młodygo zycio i z cieskiego położenio, jakigo my docekali. Kojce, nie bede sie dłuzy rozwodziuł, boby jesce było doś tych drob-nostek, bo pszyjdzie cas co bedziewa se odgodować lepi. Na tem skujcułem.

Dn. 29 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 46

Syn gospodarza małorolnego
w pow. wadowickim odtwarza
dzieje swojej rodziny

Urodziłem się dnia 23/IX 1913 roku. Od szóstego roku życia zacząłem uczęszczać do tutejszej szkoły powszechnej dwuklasowej, którą ukończyłem z bardzo dobrymi postępami, o czym świadczą świadectwa szkolne i pochwały nauczycieli. Po wystąpieniu ze szkoły prosiłem usilnie rodziców i nauczyciele przemawiali za mną, ażeby mnie posłali do szkół wyższych. O tem jednak nie było mowy, rodzice moi gospodarujący na trzech morgach lichej ziemi, nie mogąc zaspokoić potrzeb najkonieczniejszych, stanowczo oparli się temu, zaś aby mi to wybić z głowy, oddano mnie na służbę, którą dostałem u dziadka w Bohowicach. Tam powodu złego odżywiania a nadzwyczajnego wysiłku ciężkiej na moje lata pracy, straciłem zdrowie, nadwyrężyłem przy rozmaitej pracy i dzwiganiu szyję, która zaczęła puchnąć. Z taką wolowatą szyją przyszedłem do domu i prosiłem rodziców aby mnie leczyli, gdyż wstyd mi było iść pomiędzy ludzi. Z wielkim trudem zebrali się na kilka złotych i poszli ze mną do drogerji w pobliskiem miasteczku, w której był lekarz bardzo mądry, on to podał mi pierwsze lekarstwo, które bardzo dobrze poskutkowało, polecił on gdy się lekarstwo skończy, ażeby natychmiast zażądać nowego. Jednakże zanim pierwsze lekarstwo zużyłem zdrowie znacznie się poprawiło i już zaniechaliśmy dalszej kuracji. Tymczasem za dłuższy czas choroba zaczęła powracać, szyja spowrotem grubiała, a ja widząc położenie w jakim się znajdują rodzice, nie śmiałem im o tem nawet powiedzieć, ukrywałem się przed nimi ze swoją chorobą, stroniłem ze wstydu od ludzi, nie mogąc się pogodzić z tym losem, który mnie tak ciężko dotknął. W nocy zamiast spać i odpocząć po całodziennej pracy, myślałem w jaki sposób mógłbym swe zdrowie ratować, ale to było napróżno, nie pozostawało mi nic innego

na ostatek tylko cichy płacz, który tłumić musiałem, aby mnie nikt nie usłyszał. Po takich niewyspanych nocach wstawiałem z czerwonymi od płaczu oczami niechętnie zabierając się do pracy. Nie uszło to uwagi rodziców, przekonawszy się co powoduje taką rozpacz u mnie, ujmując sobie rzeczy najkonieczniejszych zebrali mały fundusz i odesłali mnie do państwowego szpitala św. Łazarza w Krakowie, tam poddałem się bolesnej operacji, po której zdrowo przyjechałem do domu. Nie dawało mi to jednak spokoju, chciałem koniecznie iść do jakiejś praktyki, jednakże postępowało to bardzo trudno.

Rodzice którzy wpłacili do kasy szpitalnej blisko 100 złotych ani słyszeć nie chcieli o ponownych kosztach, zabrałem się więc do pracy chcąc nadrobić to co dla mnie rodzice stracili. Jednak na dobre mi to nie wyszło, po kilku miesiącach choroba zaczęła powtórnie wracać i musiałem bezwarunkowo pracy ciężkiej zaprzestać.

Z wielkim wysiłkiem nareszcie otrzymałem punkt o którym dawno marzyłem, oddano mnie do praktyki krawieckiej w dniu 1 sierpnia 1931 roku. Nie ukoіło to jednak całej mej nadziei, gdyż jestem na wsi, gdzie niema szkoły przemysłowej do której całą duszą tęskniłem. Pogodziłem się jednak z tym losem, postanowiłem samodzielnie zdobywać wszystko co będę mógł dla swej oświaty, którą w szkole nabyć powinien i tak aby zaspokoić popędy mego instynktu ażeby zaczerpnąć wiadomości z świata czytam książki, rozmaite pisemka, w których dużo rzeczy pouczających się znajduje, ażeby upamiętnić straszne myśli, które mnie tak męczą, biorę ołówek i piszę przez co nie zapominam pisania, co się niejednemu memu rówieśnikowi przydarzyło.

Istnieje u nas organizacja Koła Młodzieży, zaraz po wstąpieniu do praktyki zapisałem się do niej jako członek i do dziś dnia w niej pracuje, jest ona dla mnie drugą szkołą, w zimie czytamy książki, piszemy i wygłaszamy referaty na zebraniach i wiele innych bardzo pożytecznych rzeczy. Zaś wiosną i latem przeprowadzamy konkursy rolnicze, w których można dużo wiedzy zaczerpnąć. Tej to organizacji zawdzięczam, że mogę choć w części wyłonić z siebie to co mi najciężej na sercu leżało, teraz przypadła mi najlepsza sposobność, że mogę sobie ulżyć. Rodzice moi z powodu ciężkiego trybu życia jaki ostatnio przechodzili i teraz tembardziej przechodzą, mają tak ciężkie ręce, że pióra w rękach utrzymać nie mogą. Wyręczam ich z tego choć nie mam czasu, jednak chcę i ja dostarczyć choć trochę materiału na ten drogi sercu memu pamiętnik, za co

tworzącym go do śmierci wdzięczny będę. Jako praktykant kra-
wiecki mam styczność bywać pomiędzy ludźmi rozmaitej sfery czy
z odstawioną robotą czy po pieniądze i t. p.

Bywając najczęściej pomiędzy biednym przygnębionym ludem,
patrząc na ich nędzę narzekania i gorzkie łzy, widząc obdarte i zmarz-
nięte, wzrokiem miłosiernie proszącym o kawałeczek chleba dzieci,
a nawet i staruszków, któremi z powodu braku czasu niema się kto
opiekować i podać im dawno krwawo odrobionej i ciężko zasłużonej
łyżki strawy, zapominam o swej doli, gdyż mi się zdaje, że oni jeszcze
gorzej mają, na ten widok serce we mnie bić przestawało, a krew
w żyłach to zamarzała, to znów szalonym tętnem rozsadzała żyły,
chcąc całą siłą wybuchnąć i stłumić wszystkich ciemźycieli ludu
biednego.

Ale to tylko chwilowo, cóż pomoże jednemu człowiekowi głowić
się nad czyjąś nędzą, skoro sam się w niej znajduje, tak samo i ja
choć widzę w jakiej nędzy wkoło mnie moi rówieśnicy, biedne dziatki
i ludzie starsi toną, pomyślawszy, że i ja to przechodzę, wiem że
i nadal musimy to przetrwać dopóki nas z tem nie rozłączy najlepsza
pocieszycielka miłosierna śmierć.

Póki żyjemy najważniejszą potrzebą do życia jest pożywienie,
pożywienie to daje nam w największej części nasza kochana matka
ziemia. Nie daje go jednak sama! Jak się na roli pracować nie bę-
dzie to i na niej nic nie urosnie. Któż do tej pracy jest przeznaczony?
nikt inny tylko chłop! Pracuje on ażeby mieli wszyscy pożywienie
w całym kraju... I z a t o j e s t o d s f e r w y ż s z y c h
n a z w a n y „c h a m e m”!... Jest uważany za woła roboczego,
który musi na nich pracować! a gdyby tak zaglądneli w co obfituje
ten szafarz pracy, który się najwięcej napracuje, a najwięcej głodem
i chłodem nahandluje, toby z pewnością zmienili zapatrywania i nie
zwaliby biednego chłopka chamem, gdyż jest on żywicielem całego
narodu.

Bo i przez co nas tak mają nazywać? Że nie mamy wykształ-
cenia wyższego, to w części nie nasza wina — bo gdyby się wszyscy
kształcili, to ktoby na chleb pracował? — chcąc się kształcić muszą
być pieniądze i pożądany czas! Zaś na wsi pomiędzy ludem biedniej-
szym o tem niema mowy. Dziecko, które ukończy dwuklasową szkołę
z czterema oddziałami, na tem zamyka na całe życie swe studia.
Po ukończeniu szkoły idzie na służbę do jakiegoś bogatego gospodar-
za paść krowy, albo zostaje w domu, gdzie musi dobrze i ciężko
zaraz za młodu odrobić lichą strawę.

Czemuż na wsi ludzie biedniejsi są słabo rozwinięci i przeważnie chorowici? Dlatego że od młodości nadwyręzają swoje siły, a źle się odżywiają, najwięcej odżywiają się ziemniakami w dodatku zupełnie jałowemi. O omaście do nich niema mowy.

Wglądnać pod strzechę ubogiego chłopka i przyglądnać się jego pracy, a porównać jakie ma pożywienie, zaraz się można przekonać dlaczego on i jego dzieci tak mizernie wyglądają. Ażeby się dziecko dobrze rozwinęło powinno mieć koniecznie opiekę i dobre pożywienie. Tu zaś jest inaczej, dziecko na wsi ma bardzo mało opieki, bo któż się nim ma opiekować, ojciec idzie do pracy, matka tak samo, najczęściej dzieci pozostają pod opieką dziadków, którzy znękani i sterani swem ciężkiem życiem sami dla siebie opieki wymagają. A pożywienie?... Zaledwie dziecko cośkolwiek podrośnie, zaraz dostaje to samo pożywienie co i starsi, „tylko mniej”, później gdy idzie do szkoły dostaje rano na „pierwsze śniadanie” ziemniaki, które zostały od wczorańskiej wieszery, o ile krówka daje mleko, więc dostanie do kartofli trochę mleka, ale nie „dużo”, bo trzeba zanieść do mlecarni, a jak nie to zbierać na śmietankę, z której się wyrobi masło i trzeba go sprzedać, ażeby kupić soli, nafty, mydła, sody, troszkę wapna piecyka obielić i t. d.

Dobrze jeżeli się krówka doi. Wiadomem jest przecież, że krowa po zapłodnieniu przestaje wkrótce dawać mleko, wtenczas trzeba się zupełnie bez mleka obchodzić, do czasu aż się krówka ocieli. Gdy krowa mleka nie daje, wówczas i dziecko na śniadanie do kartofli mleka nie dostanie, ale zjada je suche troszkę na blasze kuchennej opieczone. Na obiad za to gdy przyjdzie ze szkoły dostanie ziemniaki z żurem, nieraz zaprawionym burakiem, ćwikłą, lub grzybami, gdy jest obiad na dwa dania drugim daniem jest „zacierka”.

Jestem pewny, że nawet w mieścieby tej strawy skosztowali, gdyby ją umieli sporządzić, nie chcąc być egoistą podam nawet sposób sporządzenia tejże.

Otóż trzeba mieć do tej manipulacji garnek, wodę, mąkę, sól i tak zwaną rogołkę, rogołka jest kawałek drzewa świerkowego lub jodłowego urznętego w koronie drzewa w ten sposób, żeby na dole cztery do sześciu zębów, gdyby w mieście takich nie było proszę zażądać od nas pod moim adresem, z wielką radością wysłałbym bo mam kilka na składzie. (Muszę zaznaczyć że bez tego narzędzia tej strawy ugotować nie podobna). Gdy już jest wszystko trzeba włożyć garnek z wodą na ogień, jak woda zawrze wsypać do półtora litra wody dwa i pół garści mąki i pół łyżki soli, potem włożyć rogołkę

i silnie mięszać, tak żeby nic mąki nie było w całej zawartości garnka, gdy się dobrze gotuje wystarczy 10 minut, ażeby była ugotowana, strawę taką najlepiej jest spożywać od razu gorącą, dolewając do niej mleka.

Zdradzając tajemnicę gotowania oderwałem się od przedstawienia pożywienia własnego, przedstawiłem śniadanie i obiad, została jeszcze kolacja. Nieraz matka martwi się co ugotuje na kolację, rano ziemniaki, w południe ziemniaki cóż będzie na kolację, zagląda do słomianej kobiałki, w której nieraz bywała mąka, nie znalazłszy nic zabiera się z wielką rezygnacją do obierania ziemniaków i znów na wieczrze ziemniaki. Taki sam jest drugi, trzeci i dziesiąty dzień, podobny jeden do drugiego jak kropla jesiennego deszczu do kropli jesiennego deszczu.

Teraz pod jesień jest u nas tradycyjny zwyczaj prażenia ziemniaków na ogniu, który się pali na wolnym powietrzu. Do ziemniaków takich daje się cebuli wzamian omasty przez co nabierają lepszego smaku, lecz gdy śniegi spadną i to się zakończy, a wtenczas dla zaoszczędzenia na przednówek jada się tylko dwa razy dziennie, śniadanie przychodzi około godziny 11, obiad i kolacja gdy zmierzch zapada. Niema więc nic dziwnego, że przy takim odżywianiu starsi nie mają siły do pracy, a dzieci chodzą z rozdętymi brzuszynami na kabłąkowatych nogach z cienkimi jak patyk rękami, jakże z takiego dziecka ma wyrość silny pracownik, któryby potrafił utrzymać z pracy swych rąk ojca i matkę na starość? I być jako żołnierz obrońcą swej ojczyzny, kiedy ono od samego zarania swego życia jest przygnębione ciężkim nie do zniesienia losem, który to los jest przeznaczony każdemu biednemu chłopu.

Dla lepszego poznania naszej sytuacji podaję w minimalnem określeniu ważniejsze nasze zabiegi i ich wyniki.

Podaję na drugim miejscu swoją rodzinę, najprzód począwszy od rodziny matki. Rodzice jej gospodarze na siedmiomorgowem gruncie wychowali i wyposażyli ośmioro dzieci. Najstarszym z nich był syn ich Jan i o kilka lat młodsza córka, to jest moja matka.

Kiedy dziadkowie szli do pola do pracy zostawiali Janka podając mu pieczę nad resztą rodzeństwa. Miał on wtenczas lat siedem, dziecko takie jest najbardziej skłonne do złego i najbardziej potrzebuje opieki, co się później samo wykazało.

Pewnego razu gdy poszli do pola, a było to we żniwa, kiedy jest pracy najwięcej, Jankowi, który został w domu, zechciało się pobawić zapalkami, wzięwszy pudełeczko zapalek poszedł ku stodołę,

która stała naprzeciwko i tam zapaliwszy zapałkę, która oparzyła w palec, rzucił ją na słomę, której wszędzie było dosyć, z tego powodu zapaliła się stodoła, dom i kilka sąsiednich zabudowań spłonęło doszczętnie pozbawiając dachu nad głową biednych pogorzalców, którzy nie mieli nawet swych budynków ubezpieczonych od ognia. Gdy się dziadek dowiedział, że to jego synek był sprawcą pożaru w okropnej rozpacz i złości byłby wnet zabił nieszczęśliwego Janka, bijąc go niemiłosiernie, dopiero babka wyratowała go od niechybnego kalectwa, zaś dziadek ciężko się rozchorował, gdyż miał on od dawna chorobę zwaną rakiem, która go ciężko atakowała.

Podaję tu opowiadanie babci, która to najbardziej odczuła i wszystkie smutki najlepiej pamięta, gdy tylko zacznie opowiadać o tych chwilach, które tak boleśnie przeżyła... zaraz... łyż jej tamują mowę, a litość i współczucie zbiera choćby najtwardszej woli człowieka.

Opowiada ona

Nie chce już spominać co ją przeżyła wtencos, jak się nom chołpa spoliła, bo sama nawet sobie uwierzyć ni może, żeby człowiek tyle przecierpieć zdołał. A jednak to było. Jak se przypomne, jak po tym łogniu kiedy się mój dowiedział, że Jonek stodołę podpalił, złapał go z łokropnej złości i zabić chciol, nie wiedziałam co robić, dziecko wołało ratunku, wydarłam go z wielkom przemocom nie patrząc na to, że mi parę kijów na plecy spadło. Łocięć co już od downa strasne bolenia miewoł, ludzie mówili ze mo raka, po tej okropnej złości i rozpocaniu na dobre się rozchorował, Jonek zaś długo ni mógł nic robić co go tak ręce i wszystkie kości po tem z biciu bolały. Wtencos całom mojom pomocom była moja najstarsa córka Moryśka, miała łona wtencos niecałe sześć lot, a pomogła mi w rozmaitej drobnej robocie i łopiekowała łojca w chorobie. Co ją cierpiała i łona to samo cuła i choć malutko była, a już ze mną smutki podzilała, po tym łogniu jak my byli na kumorze u somsiadów, jak nieroz ojca bolenie chyciło w nocy i z jękiem wołał zmiłowanio boskiego, to łona zaroz mie budziła, że tatuś płace musiałam wstawać polić w piecu i plewy parzyć i okładać chorego, a ten tymcasem, gryząc krawędzie łózka, prosił na miłość boską żeby go dobić, żeby już wiencyj nie cirpiol. Takie nocy i nocy powtorzały się wiencyj jak dwa miesiące, w dzień naharował się człowiek jak wół w jarzmie, zaś w nocy na miejsce odpocynku trza było słuchać jęków i narzkania chorego. Z początku pomogły plewy, ale potem nawet i to

nie pomogło, dopiro jeden somsiod dorodził, zeby zazywać biołego pieprzu po 10 ziorek na roz jak bolenie chyci, pomogło to z pocątku, ale cem dalej to trza było wiencyj pieprzu zjodać i tak ze na ostatku mało było łyzka na roz, dodawalimy mu potem do pół łyzki pieprzu łyzke soli i to mu dopiero lepiej pomogło. Potem choć pozdrowioł jednak nie było z niego pociechy do roboty, jak sie ino cośkolwiek grubsej roboty chycił zaroz bolenie brało.

I tak przez pore lot biedowałam, Jonek podrós, pojechał do Saksów, a Moryśka na pańskie do roboty, nie potrafie tego juz teraz łopowiedzieć, co jo sie nauganiała w chołpie, gdy mi tyk dwók dziecek brakowało. Co jednak było robić, piniądzzy trza było we wszystkie strony, z grontu sie nic nie dało sprzedać, bo strażnie kiepsko w polu rosło, jak zasioł zyta, to go mało co urosło, ino soma stokosa, zasodził zimioki, to „brot brota” nie zrodził, najlepiej sie jesse łowies corny uchowoł, z tego łowsa pieklimy placki, gotowali zacirke i to my najdłużej jedli, zimnioki to sie ta gotowało chyba na jakies święto. Do tego wszystkiego gniot nos dług, na same procenta ni mozno było przyrobić, z pola nic nie sprzedał, z gowiedzi tyz nie było pociechy, świń nie było cem chowoć bo zimioków dlo nos ino na święto wystarczyło ledwo, a krowe zawse sie ino jedno doilo, bo zawse tak wypodało jak sie jedna doila to drugo była cielno, po tyj jednyj krowie, musielimy nic mlika nie zjesć, chcąc uzbirac troche masła i syra i jakie joje, jak ta kura zniesła, trzeba było wysytko sprzedać zeby było na rote zopłacić. Dlo nos zostajoła maślanka i serwotka joko nadgroda za chowonie krowy, zeby nie te piniądze, co je zarobili Moryśka i Jonek musielibymy cheba nago chodźić, nie proć, nie solić, a tak to łoni na to dawoli zarobione piniądze, ale długu nie ubywało. Nareszcie trefila sie okazyjo ze puscali do Ameryki, skorzystała z tego Moryśka i pojechała, tam to łodrazu nalozła robote dobrze poplatnom, ale łokropnie ciężkom, robiła we fabryce śpagatów, roz jak ji porwoło do maszyny łokieć i strażnie ji potłućko, tak ze ni mogła miesionc nic robić. Jak pozdrowiała chycila sie znou roboty, i przysłała mi 250 dularów, na oddonie długu. Oddalimy dług i ubył nom z głowy największy ciężor, a zaś młodsy od Moryski Pietrek prosil jom, zeby mu przysłała z Ameryki sifkorte i piniendzy na droge, a jak tom zajedzie i zarobi se i to oddo, przysłała mu i pojechał, bo wtencos nie było trudno, młodsego od Pietrka Ludwika i Józka dalimy do terminu, Ludwika na siewca, a Józka na krawca u majstrów w Krakowie, po skońceni terminu Ludwik robił buty w chołpie, zaś Józek robił jako celadnik u majstra. Potem wy-

staroś sie o papiery i tyz wyjechał do Ameryki. Jak wyjechał zostałam sama jak jeden palec w chołpie przy robocie z trojgiem młodszych dziecek, najstarso z nich Rózia „świeć Boze nad jeji dusyckom”, mioło łosiemnoście lat i beła juz swockom, miała łona okropnie duzo roboty, a chciała se przecie co zorobić, zeby sie ubroć, bo my ji nic ni mogli dać na okrycie, pomogąła mi łona co mogła, ale była strasnie słabo i ni mogła długo robić dokładałam sie soma, ale niedługo stoczyła mie ciężko choroba, Rózia napisoła do Ameryki Moryśka przysłoła piniędzy prosąc mie w liście zebym się rotowoła, ale choróbsko nie chcioło ustąpić, trzy miesiáce leżałam jak trup. Przyjechała Moryśka z Ameryki posłała po doktora i ten dopiejro jak mi przepisoł leki tak mi pomogło, i pozdrowiałam, ledwom sie rusyła z łózka za pore tydni wojna, strasne słowa zobroli Jonka Ludwika, co tyz moje serce macierzyńskie wycierpióło zebym chociz mojom kochanom Moryśke miała na pocieche przy sobie, ole onyj juz ni miałam przy sobie, zoroz po przyjeździe z Ameryki wydała sie za twojogo tatusia z Zygodowic, ni mieli łoni ta weselo oni nic, łona była tok dobro, ze nie chciała mi robić przykrości po chorobie; jak ino dostała moje zezwolinie wzieni ślub i żyjo do dziś dnia szczęliwie. Niedługo dostali my zawiadomienie, że Jaśka zobili na froncie w Górach Tyrolskich, na te wiadomość tak jak gdyby nóz do mnie wbił, co jo sie noplakała za nim nikt nie wi cheba Bóg w niebie. Mało jesce tego, było tom wtencas w Bochowicoch dwóch dezenterów, którzy uciekoli przed wojskiem, przez dzień kryli sie w lesie zaś w nocy kradli co mogli, zeby mieli co jeść, za kryjówkę na noc obrali se naszą sopo, (dom babki jest przy samym lesie). W tyj sokie było nakładzione słomy, a ze to było pod jesień więc soka była pełno słomy i oni se tam wysiadowali. Pewnego razu nawet pytała sie nos somsiadka, cy świcomy w sokie, ze ona widuje, jak sie tam w kazdą noc świeci, nie dawalimy jednak na to pozor. Nie trzeba było długo cekać moze na trzecią noc ktoś bije w okno, i woło policie sie, ledwo my uciekli i bydło wygnali na pole, spoliła się chołpa po drugi roz, a tys nie była sekurowana, tyle szczęście ze została stodoła i zimniaki w polu, to było przynajmi co jeś i w cem siedzić dopóki sie nie wystało nowej chołpy, ledwo my chołpe postawili z jednego nieszczęcio jesce nie dobrze wytchnęli, choć na nowo zostały nam długi na głowie zaś nowe nieszczęście. Poślimy roz do kościoła do Spytkowic (parafja do której należały Bohowice oddalone moze o 15 kilometrów). Zostawilimy w chołpie Rózie przy dwojga dzieciach, pięcioletnim Franusiu i trzyletniej Stasi, kiedy Rózia doła w połednie krowy

Fronuś wyszedł na pole i uwiłdzał kury, które kopoły na grządkach. bidne dziecko chciało zegnać kury, jednok jok się rozpędził prze-wrócił się tak niesczęśliwie ze wybił se łoko, przychodzemy z ko-ścioła, a tu wszyscy płacą, Fronuś z bólu a te ze strachu, patrze a tu łoko przešťurhone jakimś potykiem, zaroz zem chciała iść do dokto-ra ratować dziecko, ale stary jak zacon pomstowoc ze wciąż bedzie ino na długi robił łoporł się temu i skończyło się na tem ze dziecko oślepiło na jedno oko i tok już zostało to. Napłakało się jo wtencos, ze jak se to wspomne to skóra na mnie cirpnie co jo wycirpiała, a tu znikąd zodnej pociechy, zodnego rotunku. Józek mało do chołpy przyjezdzoł z Krokowa, potem pojechoł do Ameryki, w Ameryce doś mu się powiedło, robote dostał, to mi ta cosem jakiego dulara przysłoł; w pore łot potem wydali my zamąż Rózie do Spytkowic na pięciumorgową gospodarke było łona strześnie sonobliwo oscędno, ciesyłam się z tego bom myślała ze Pan Bóg i pobłogosławił ze moze się cego dorobi ze bedzie miała mniej kłopotu jok jo, jednok niedługo inacyj się stało, zaś Józek zoroził w Ameryce 1000 dularów, przysłał te piniądze do nos z prośbom zeby mu kupić troche pola zato, zeby miał coś na swoję własność, jednok zonim te piniądze przysły u nos wtencos były morki polskie, i wtencos strześnie traciły na wartości. Na poccie wymienili mi te piniądze i zamiast dularów marki my dostali, była tego tako kupa, ze było co brać, nawet strach było trzymać tyła piniędzy w chołpie, zebyśmy byli zaroz kupowali pole za te piniądze, byłoby moze jakie 15 morgów pola za te piniądze, ale my cekali, ze marki moze pójdo do góry, ludzie tak godali i do-radzoli. Tymcasem ony zamiast do góry coroz bordzij spadały na dół. Doś ze my mieli jedno strapienie z temi piniądzami przysło ku niemu jesce pore innych, zeby kompletnie nos utraćić. Zaroz moze o pieć kroków miszkoł koło nos gospodarz nazywoł się Bronia, on zawse był bardzo leniwy, nigdy mu się nie chciało nic robić, a naj-bordzij komina wymiść ze sodzy no i prawie wtencos zapoliły mu się sodze w kuminie, strzecha było słomiana, zajena się zaroz spoliła mu się chołpa, stodoła i wszystko co było przy niej blisko, spoliła się i nasa chołpa choć nie cołkiem bo ino dach się spolił a to zostało, było to pod jesień zimno było jak niesczęście dysc łot się na głowe przez dziurawu powałe, a co było robić, trzeba było koniecznie zrozić dach, wzieni my więc Józkowych piniędzy i pokryli chołpe, za te wszystkie piniądze, które przysłoł z Ameryki wtencos nie kupiłby więcy jak ze trzy morgi gruntu tak strasne piniądze spadały, cekolimy jesce całą zime, ze moze dulary, abo morki będą wartać więcyj.

Ale nadarmo, przysła wiosna a morki coraz bardziej spadały, nie-
scęście na nieszczęściu. W Zielone Świątki kiedy się poli sobótki wiecór
jakiś pastyz cisnoł poląca sie sobotke ku stodole Rózinej w Spytko,
stodoła i chołpa spoliły sie na nic, co ona-sie noplakoła, zdawało sie ze
sie.skońcy, uradzili my dopiro zeby ji pozycyc Józkowych piniędzy
i tak my zrobili, zonim jednok pozamowiołi, pozwozili wszystko, pi-
niądze tak spadły, ze ledwo dachówki i drzewa za te piniądze kupili,
wystawili chołpe, ale teroz trzebo było wszystko wykońcać, lepic, bi-
lic, ubijoc, nie było za co najac do tyj roboty, więc robili sami, robili
i robili ze ani casu nie było zješ i cóz im z tego przysło, Rózia zozie-
biła sie okropnie i zochorowała, nie było nikogo zeby ktoś pomóg,
poratowól... jo ta casem jakzem sie ta wyrwała z chołpy, tom tam
posła pociesyła jo troche, doradziła, ale to nic nie pomogoło, choroba
nie ustępowała chorowała biedno trzy tydzie, na ostatku przyplątól
sie tyfus i w czwartym tydniu strasnyj choroby umorła... moje naj-
drogse dziecko i tak jo staro została, a moje dzieci święto ziemia
pochłoneła. Zięc wdowiec zostól z dwiema sierotami nie mógł sobie
som poradzić, musioł sie powtórnie zenić, ozenił sie ale długu mioł
co niemiara, zacon nad tem przemyślowoc jakby to oddać. Pojechał
na Śląsk do fabryki żeloznej, najon sie do najcięszej roboty, zeby
jak najpredzej zarobic, strasnie sie tam musioł nadzwigoć, oberwał
sie na śmierć, ale to jesce mało, roz wywrócił mu sie wózek co na nim
wiozł rude do pieca i tak go przywalilo, ze mu pognietło piersi, taki
potlucony przyjechał do chołpy w nadziei ze jak wyzdrowieje to zno-
wu pojedzie, przyjechał ta jak we wtorek a na drugi tydzień w piątek
wybierał sie doś zdrowy do roboty na Śląsk, jak sie ubroł jakoś sie
mu słabo zrobiło, położył sie na łozku za chwile dzieci posły ku niemu,
a tu tatuś nieżywy, umorł nagle i niespodziewanie. Dług zostól nie-
spłacony i dzieci sierotkami, takie to życie na tym świecie, ludzie sie
zabijają za majątkami, a to wszystko nikcymność.

*
*
*

Tak zazwyczaj kończy babcia swe opowiadania, ale z stokroć
większem żalem i szczerością, których ja tu nie załączam, bo bra-
kłoby papieru na wszystko. Teraz ciągne dalej. Wkrótce po śmierci
cioci rozchorował się ciężko dziadek i umarł. Napisali te wszystkie
smutne wiadomości do wujka Józefa do Ameryki, załączyli również
i to co się stało z pieniędzmi, które przysłał na zakupno gruntu. Opo-
wiałał mi wujek, że kiedy ten list dostał i przeczytał, nie chciało mu
się już żyć na świecie, bolał on nad stratą ojca, siostry i ciężko zapra-
cowanego grosza. Pogodził się jednak z tem wszystkim i zabrał się

napowrót do pracy, zarobiwszy trochę grosza, przyjechał do rodzinnej wsi, kupił sobie siedem morgów ziemi, ożenił się i gospodarzy na tem szczęśliwie, zaś Piotr pozostał w Ameryce, Ludwik i Franek robią buty i mają już swoje ogniska rodzinne. Najmłodsza z nich Stanisława pozostała na ojcowiznie, a ustępujących spłaciła pieniędzmi. Najstarsza zaś z nich, to jest moja mama gospodaruje w Zygodowicach. Ojciec mój pochodzi ze wsi Zygodowic i tu zamieszkuje, pochodzi on z bardzo ubogiej rodziny. Rodzice jego mieli tylko niecałą morgę ziemi wraz z zabudowaniem i z tego się utrzymywali. Ojciec mój miał dwóch braci i dwie siostry, które to spłacił i usunęły mu się zupełnie z jego realności. Jak oni się utrzymywali i żywili na niecałej morgie gruntu? Na jednej morgie siedmioro ludzi nie potrafiłoby się wyżywić, to też arendowali od pobliskiego obszarnika kawałek ziemi, który uprawiali i plony z niego zbierali za poniższem wynagrodzeniem, że musieli 30 dni odrabiać na pańskim, albo dać dwa korce zboża z morgi gruntu rocznie. Nadobitek dostawali jeszcze ziemię najgorszą w jakiś pagórkach, tam gdzie jemu się nie chciało uprawiać, no ale co było robić, nie było innego wyjścia, musieli się więc z tem zgodzić, tak robili i obrabiali, aż nareszcie najstarszy brat ojca Franciszek ożenił się i poszedł z domu, potem ożenił się drugi brat Wawrzyniec i też poszedł z domu, zostały tylko dwie siostry i mój ojciec, o rękę tych dwóch siostr, starało się kilku wdowców nawet dosyć bogatych, ale one ślubowały Bogu panięską czystość i nie chciały zamąż wyjść. Musiał się więc ojciec żenić. Ożenił się w Bohowicach i za pieniądze, które miała moja mama zarobione w Ameryce, kupili sobie dwie i pół morgi ziemi od owego obszarnika, zaś siostry dostały spłat w kwocie po 100 reńskich i usunęły się z ojcowizny, a ojciec zaczął gospodarować, karczował i równał zakupiony grunt ale oderwała go od tego wojna, na wojnie byli oni przez trzy roky. Kiedy powrócili już nie zastali przy życiu swych rodziców, bo ci już pomarli, chata się pochyliła, stodoła waliła, do piwnicy złodzieje chodzili i wszystko chcąc uzupełnić trzeba było pieniędzy, a tu skąd ich wziąć, zgodzili się więc tłuc kamienie do konserwacji gościńców. Jest to płatna nienajgorzej, ale strasznie krwawa praca. Jednak chcąc ratować swą gospodarkę, dokładali się ile starczyło, żeby coś zarobić i dom pomału wybudować, tłukli więc kamienie od świtu do zmroku przez całą wiosnę i lato, kilka lat. Od jednego metra kamienia tłuczonego płacił wydział drogowy 2.50 gr. na to kamienia trzeba było tłuc cały dzień od godziny 4 rano do godziny 8 wieczór w lecie. I tak w jednym roku za zarobione pieniądze kupili drzewo na budulec, w drugim dachówkę, w trzecim

rozmaite dodatki i zaczęli robotę. Ojciec dalej pracował na gościńcu, zaś cieślowie w miejscu starego postawili nowy domek, jednak według starej metody i bardzo niepraktycznie, podam tu nawet plan nowego domu w porównaniu skali 1 do 100 to znaczy 1 m. \times 1 cm.*).

Jest on niepraktyczny dla nas temu, że jest kuchenka za ciasna, a izba niepotrzebnie większa, w niej siada się chyba w lecie bo w zimie jest w niej zimno, a palić nie ma w niej za co... i wiele, wiele w niej brakuje, ażeby stanęła na poziomie budowli praktycznych, cóż robić jaka jest to jest, ledwo dom wybudowali jakgdyby na złość zwała się stodoła, też trzeba ją było budować, przyjechał wujek Józef z Ameryki, pożyczyci się od niego pieniędzy stodołę wybudowali, jednak zrobili dług; chcąc długi oddać jak mogli zabierali się do gospodarki i do pracy, ojciec tłukł nadal kamienie na gościńcu zaś mama z nami pilnowała gospodarki, ja pasalem krowy od szóstego roku życia, nosiłem ojcu obiady, zaś matka hodowała krówkę, z mleka robiła mama masło i sery i sprzedawała je w pobliskim miasteczku Wadowice. Były wtenczas bardzo drogie świnię, mama hodowała prośną maciorę i bardzo sie cieszyła, że jak się oprosi prosięta się wychowają, to będą mieli z nich trochę pieniędzy na oddanie długu, stało się inaczej, maciora zachorowała i musieli ją zabić, skończyła się radość smutkiem, zamiast pieniędzy mieliśmy trochę mięsa z chorej maciory, które i tak na samą myśl o nieszczęściu w gębę leżć nie chciało. Co było robić, taki dopust Boży i już. Nie koniec na tem, pod koniec lata, w połowie jesieni pasą się krowy najwięcej liśmi z kapusty i karpielei, jest to bardzo szkodliwe dawać w większej ilości, pewnego razu dałem troszkę więcej paszy naszej krówce, ona zjadła to wszystko na noc, na drugi dzień krowa zachorowała, wyleczyć się nie dało i w dwa tygodnie później trzeba było ją zabić, zostaliśmy bez mleka i omasty, mama tak płakała, że zdawało się że nigdy nie przestanie, nie pomogło to nic, za zarobione pieniądze ojciec kupił krowę i dług zapłacił, pracował na to cały rok. Po spłacie długu ojciec nadal tłukł kamienie, za te pieniądze posprawiali co mogli w domu, szczęście że była taka praca, choć ciężka, ale dało się coś zrobić i najpotrzebniejsze dziury załatać, była to cała podpórka finansowa, gdyż z małej gospodarki sprzedać niema! niema co! Podatek zapłaci i jeszcze musi na przednówku kupić jeść, bo mu brankie, jedynem środkiem pomocniczym dla gospodarza małorolnego jest zarobek i tego pragniemy, bo chcemy żyć, gdy się roboty nie ru-

*) W rękopisie podany plan domu (rysunek).

szą pójdą wszyscy małorolni na Amen, bo nie mamy żadnych środków do życia. Teraz właśnie ta praca się przerwała i nadaremnie jej wyczekujemy. Ojciec mój choć liczy już 45 lat i jest tak wyczerpany tą ciężką pracą, że na nogach ustać nie może, oczy mają zepsute od prochu kamieni na gościńcu, do tego stopnia że patrzą przez okulary i jeszcze nie mogą dobrze zobaczyć co się przed nimi dzieje. Jednak żyją nadzieją, że przyjdzie ten czas co był przedtem, że jeszcze może będziemy mogli trochę odetchnąć na tym łąz padole.

W zimę kiedy śniegi opadną i robota się skończy na polu koło gospodarstwa, schodzą się biedni chłopkowie i opowiadają sobie rozmaite nowiny, a każdy żyje nadzieją i mówi, że na wiosnę już lepiej będzie, jest to dla nich niby gazeta, która ich nic nie kosztuje, a której i takby nie przeczytali, bo nie umią. Inaczej jest u bogatych, sprowadzają sobie rozmaite książki rolnicze, prenumerują gazety, uczą się w zimie z książek, ażeby to na wiosnę wypraktykować i ulepszyć. Każdy jednak żyje nadzieją, że będzie lepiej i tą samą myślą uprzyjemniamy sobie twardą naszą dolę, która może złagodniej narreszcie.

O dałby Bóg, ażebyśmy doczekali tego świtu szczęścia, jakim jest zarobek, któryby nas wyratował z tego ucisku nędzy, której wysławić nie zdołam, bo gdy zacznę tylko myśleć nad tem, zaraz wszystko naraz chce mi głowę rozsadzić. Gdybym tak był już po egzaminie ze świadectwem w rękę, radości mojej nie byłoby granic. — Jednakże — daleko do tego; kochany ojczuś nie tłucze już kamieni, w chatce rodzinnej smutek i żal, a grosza dawno brak, rodzina nie pomoże, bo także nielepiej wygląda i ze wszystkich stron zagląda i wciska się nędza nieubłagana. I tak choćby człowiek najlepiej pilnował i dokładał wszelkich starań umysłowo, jak nie ma poparcia finansowego, to na nic i to właśnie jest dla mnie zabijające. Straszny los mnie gnębi, czuję i wierzę w to święcie, że już niedługo tego. Przeczuję, że nie dopnę tego celu do którego od lat dziecinnych dążę. Lecz teraz kiedy przy tem stoliku siedzę i myśli moje straszną ze sobą spędzają walkę, odpędzam tem wspomnieniem, że umierać trzeba, a czem wcześniej, to lepiej, bo skończy się prędzej borykanie z tym strasznym losem i choć już wkrótce kości moje mogiłką przykryje, ostatnią moją pociechą jest teraz dla mnie, że przedtem mogę usłużyć Wysokiemu Instytutowi posłaniem mego marnie, ale szczerze od serca wykonanego, wyłonionego z pomiędzy tysiąca innych dolegliwości P a m i ę t n i k a.

Dn. 26 listopada 1933 r.

Los mojego życia był dla mnie twardy od dzieciństwa aż do lat dzisiejszych. Moi rodzice też twardo i ciężko przeżyli na biedzie krótkie swoje życie. Nie odziedziczyli oni nic po swych ojcach, jeno żmudną pracą dorobili się, że nabyli dwa i pół morga lichego i mokrego gruntu i jaki taki dom wystawili. Ale los życia moich rodziców był twardy i jednakowo usposobiony do ojca i matki, że w jeden dzień musieli się pożegnać z tem światem i dziećmi, aby spocząć w jednej mogile (r. 1905). Zostało nas dwóch braci liczących po dwa lata. Mnie zabrała jedna ciotka, a brata druga, i u mej ciotki, która była wdową i na jej barkach spoczywała jej gospodarka składająca się z trzech morgów i jednej krowiny, przyszło mi przeżyć młode lata aż do pełnoletności. Razem ze mną zabrała ciotka i połowę gruntu, jaki został po ojcach, drugą połowę druga ciotka, która opiekowała się bratem, a że była zamężna to też wujek został dla nas opiekunem. Raczej powiedzieć opiekunem domu jaki pozostał i brać z lokatorskiego pieniądze, tak że gdy byliśmy z bratem pełnoletni, dom jako że był drewniany i kryty strzechą niszczał kompletnie. Jako że moja ciotka była wdową i wdową niebogata, więc trzeba było biedować na równi z nią i jej dziećmi, których miała dwoje Bronkę i Józka. Bronka wtedy miała lat osiem, a Józek sześć lat, czworo starszych było w Ameryce. Pieniądzy nie miała, a urodzaje były liche, tak że krowina była naszą karmicielką. Chleb był niecodziennym przysmakiem, a konfitury stanowiły rzepa i karpiele suszone, ziemniaków już koło Bożego Narodzenia brakowało. Jednakowoż kogo Pan Bóg stworzył, to go nie umorzył. Ja też gdy miałem pięć lat już pasalem krowinę w długiej koszulinie, a ciotka z Bronką i Józkiem wykonywały cięższe roboty rolne, z wiosną rąbali razem we trójkę

twarde skiby pod ziemniaki, w lecie około żniwa, a jesienią znowu trzeba było ziemniaki kopać i drzewo na zimę, a o to było najtrudniej, bo jak ciotka mówiła, że było drogie i podatki zapłacić, że jajka i mleko sprzedane przez całe lato nie mogły wystarczyć na to wszystko. O smaku jajka można było się dowiedzieć tylko na Wielkanoc. Za dwa lata gdy liczyłem lat siedem ciotka wypisała Józka ze szkoły, który ukończył prawie czwartą klasę powszechną, aby mnie zapisać. Dobrze że Józek szanował książki to i ty Grzesiu będziesz miał na czym się uczyć, mówiła nieraz ciotka do mnie, ale i ja też bałem się szkoły okrutnie, bo mnie zawsze nią straszono. Ale gdy przyszedł 1 września, trzeba było iść do „stracha”. Tu w szkole jednak było inaczej, nie bito, ale uczono rozpoznawać kreski i laski, bo tak mi się wydawały litery w pierwszej klasie, ale gdy nauczyłem się pisać i czytać cieszyła mnie szkoła bardzo. Gdy byłem w klasie 3-ciej, Józek syn ciotki wyjechał do Borysławia, gdzie go sprowadził jego starszy kolega, i odtąd zaczęła się lepsza dola w domu mej ciotki. I ja też gdy miałem przystąpić do spowiedzi poraz pierwszy, otrzymałem od Józka z Borysławia, nowe ubranko cąjgowe i buciki, a ciotka mówiła, że jak się dobrze będę uczył, to mnie pośle do gimnazjum, a moja część zostanie dla Józka. W czwartej klasie poznałem nieco świat głębiej i że jestem Polakiem i zamieszkuję w rodzinnej polskiej ziemi. Tu w tej klasie starszy nauczyciel opowiadał nam o Polsce, i jej rozbiorach, i o jej znakomitych synach, o Mickiewiczu, który jak mówił nam uczniom, że modlił się do Boga o „Wojnę Ludów”, o Sienkiewiczu, Konopnickiej i wielu innych. Ale „Wojna Ludów” nie dała na siebie czekać, bo już jak nam wiadomo było toczyła się na Wschodnich Kresach z Rosją i po dwumiesięcznym pobycie w klasie czwartej zawitała do naszej wioski z odgłosem armat i karabinów. Trzeba było się rozstać z szkołą raz na zawsze. Wojska co jakiś czas były odmienne, to austriacy, to Rosjanie, aż wreszcie obsadzili się w naszej wiosce austriacy, a w przylegającym miasteczku Moskale, pobyt stały był przez cztery miesiące, który dla mnie młodego miał fatalne skutki. Byli to żołnierze jakby z wieży Babel, każdy mówił innym językiem, jednak w pijaństwie i rozpuście się dobrze rozumieli, tak że jako jedenastoletni chłopiec (w roku 1915) nauczyłem się palić papierosy a to pod naciskiem żołnierzy. Ciotka nie miała siły aby temu przeszkodzić, a Józek prosto z Borysławia pojechał do Legjonu. W tym to czasie wpadł granat do domu mej ciotki, a los chciał że trafił w torbę z memi książkami szkolnymi i zniszczył doszczętnie. Słowa drukowanego prócz książeczeki do modlenia nie zostało w domu. Za jakiś czas zbu-

rzono szkołę. Nie trzeba mi jej, bo mam więcej czasu wolnego, pomyślałem sobie. I tak się stało, do szkoły już nie poszedłem, gdy wojska odeszły i nauka się odbywała w jednym z niewiele pozostałych domów po inwazji, mimo nakazów szkoły i prośbów mej ciotki, czytać i pisać umieć, to co mi po szkole powiedziałem ostro i nie poszedłem. Dlaczego? Bo w szkole nie wolno palić papierosów, a tych nie brakowało po odeszłych żołnierzach. Lata gnały pędem rok po roku, wojna szalała na dalekich frontach, a swawola i zdziczenie na mych rówieśnikach rosły jak grzyby po deszczu, i ja też nie byłem lepszy. Zapomniałem co mi uczono w szkole o dobrym życiu, a czytanie i pisanie wylatywało z głowy. Ale nie tylko umysł ucierpiał na skutkach wojny ale i żołądek, jedzono ziemniaki i placki ziemniaczane, i tak wokoło Macieju było aż do roku 1918, liczyłem wtedy lat piętnaście, wojna się skończyła a zaczęto mówić, że Polska nastaje, ale ja z tego mało rozumiałem. Coś mi się przypominało ze szkoły, ale mało. W tym to czasie zaczęto odbudowywać pobliskie miasteczko, i ja poraz pierwszy poszedłem do roboty, wiele nie zarobiłem, bo już prawie nic nie wartyły korony austriackie, ale na papierosy zawsze. Ciotka co mogła to jeść dała. Po roku pracy przy murarzach poszedłem do roboty do rafinerji nafty, jaka była w odległości od naszej wioski o milę drogi. Tu po roku już mej pracy, która nie była lepiej płatna (za dwa tygodnie mej pracy nie można było kupić juchtowych butów), byłem już innym człowiekiem, a to dzięki moim kolegom fabrycznym, tego co wojna i pobyt z wojskiem jako dzieciak nie nauczyła, nauczyli oni. Niema Boga, jest wódka i zabawy, aby użyć póki się żyje, głosili codziennie, i ja też stałem się podobnym do nich. Nauka jaką mi dawała ciotka, gdy byłem dzieckiem, nauka jaką odebrałem w szkole poszły w las. Widać, że brakło mi szkoły poza szkołą. I w podobnych warunkach i okolicznościach pracowałem jeszcze dwa lata (rok 1922), gdy ja liczyłem lat 19, powrócił Józek, syn ciotki z niewoli rosyjskiej, który zaczął karcieć moje życie i postępowanie. Nie dość, że nie dajesz nic pieniędzy do domu, mówisz nieraz, to i sam ich nie masz, a zarobione marki zostawiasz po nocach w szynku u Abramka, ale niewiele z tego sobie robiłem, a życie szło po dawnemu. I znowu upłynął rok, a było to w maju 1923 r., w dwudziestym roku życia, pamiętny to dzień dla mnie był, w tym to czasie na miejsce odeszłego na emeryturę nauczyciela i kierownika szkoły zawitał nowy i młody człowiek, a ten zaraz na wstępie swej pracy nauczycielskiej zwołał prawie całą młodzież wiejską z naszej wioski do szkoły, aby utworzyć Koło Młodzieży. Na tem pierwszym zebra-

niu mówił o życiu chłopu i robotnika i o życiu młodzieży, czy to w innych wioskach czy krajach, i że zapominamy uczyć się poza szkołą i idziemy luzem ku przepaści. I że w tym Kole Młodzieży, jakie zamierza założyć, chce aby członkowie się skupili razem, wspólnie czytając kształcili się umysłowo. Przyjęliśmy jego słowa szyderczo, ale się tem nie zraził, mówił dalej żeby my tylko spróbowali. Trudno mu było złączyć do tej pracy młodzież, którą wychowała wojna, ale mając coś ujmującego i przyciągającego w sobie zdołał przychylić na swoje i większa część zebranych zapisała się i ja z niemi. Nastąpiło w naszej wiosce dwa obozy, obóz „wiarusów” i Koło Młodzieży. Z obozu wiarusów nazywano nas „pankami”. Na przyszlą niedzielę znowu było zebranie Koła Młodzieży, na którym jej organizator proponował aby członkowie, którzyby chcieli uczyć się czytać i pisać, przychodzili do niego dwa razy w tygodniu, a będzie jej udzielał bezpłatnie. Do szkoły chodzić z tabliczkami? Jak dzieci? Było to coś śmiesznem, pozornie zgodziliśmy się. Po zebraniu wypożyczał książki, mnie dostała się książka p. t. Robinson Kruzo. Gdy mi ją dawał pan kierownik powiedział mi te słowa: każdy człowiek jest Robinsonem Kruzo, tylko niekażdy jak on umie sobie dawać w życiu radę. Czytałem pomалу, gdyż to była pierwsza książka, jaką miałem w swych rękach od czasów szkolnych, to też i czytać zapomniałem, ale treść zapamiętałem. Po przeczytaniu myślę sobie, coby ja zrobił gdybym był na tem miejscu? Postanowiłem uczyć się, tak że w środę byłem na pierwszej lekcji a w sobotę na drugiej. Życie moje stawało się inne i więcej wartościowe, poznawałem na nowo tajemnicze litery pisma i druku. Ale nauka za pół roku się skończyła, bo musieliśmy ustąpić drugim, którzy także chcieli się uczyć. Co najważniejsze tośmy umieli, to jest lepiej czytać i pisać. A co jeszcze żeśmy uwidzieli teraz swoje lata spędzone w młodości, spędzone na baciarstwie i pijaństwie, i to żeśmy dołożyli cegiełkę do domu murowanego, jaki w tym czasie stawał Abraham Pencak, właściciel sklepu i wyszynku w naszej wiosce, im dalej to czytałem więcej i coraz to więcej wartościowe książki. Nie była mi już obca Trylogja Sienkiewicza ani Mickiewicza „Pan Tadeusz”, nie zarabiałem więcej w rafinerji jak przedtem, ale mi więcej zostawało, tak że w niedługim czasie byłem przyzwoicie ubrany i Trylogję i wiele innych książek miałem zakupione na własność w swej bibliotece. Ale z każdym dniem stawałem się starszym i zacząłem myśleć o samodzielnym życiu, ciotka już chyba dosyć ci jeść dała, i już czas żyć samodzielnie, a tembardziej zmuszała mnie inna okoliczność, a mia-

nowicie opuszczony i zniszczony przez lokatorów dom pozostały po rodzicach, którym zarządzał wujek, u którego był mój brat. A tenże wyjechawszy na Wołyń zabierając z sobą mojego brata, zostawił swego pełnomocnika, a ten jeszcze mniej dbał o nasz dom i połowę gruntu, jaki przypadał na mojego brata. Przyszła moja pełnoletność, ale i obowiązek służby wojskowej, ale nie zostałem pobrany do wojska ani przy pierwszym poborze, ani przy ostatnim, tak że gdy byłem wolny od wojska, liczący lat 23 (1926 r.) postanowiłem zenić się. (Brat w tym czasie odbywał służbę wojskową zabrany z Wołynia, gdzie przebywał z wujkiem). Po porozumieniu się z bratem udałem się do zarządzającego naszym domem, że jako pełnoletni i po okazaniu zgody mego brata, odbieram brata część gruntu i dom, a ten rad nierad musiał się zgodzić. O swoim zamiarze pomówiłem przedtem z ciotką, że jestem zmuszony zenić się, aby uratować od upadku zniszczony dom rodzinny. Smutno się zrobiło ciotce, której więcej zrobiłem złego niż dobrego, a mimo to lubiała mnie bardzo. Ale zrozumiawszy o co mi idzie, odpowiedziała mi na to, dobrze, wkiedy tak chcesz zrobić, musisz sobie poszukać dobrej żony i gospodyni i żeby miała coś pieniędzy, abyś mógł spłacić brata. To wszystko ja nie dostanę, bo sam jestem ubogi, cóż mam ja za majątek? Mógł i ćwierć i pół domu chylącego się do upadku. Zaczęłem rozmawiać z ciotką to o tej, to o owej, ale ciotce żadna się nie nadawała. Więc niema dla mnie chyba żadnej, mówię do ciotki, a ciotka mi mówi, że jest. Która pytam się? A no ta Basia po Wojciechu Czyżyku i sierota bez ojca i matki i jest przy wydanej starszej siostrze, a należy jej się pół morga gruntu i 200 złotych. Znałem ją dobrze i wiedziałem, że jest bardzo pracowitą dziewczyną. W kilka dni później ciotka poszła do domu mej przyszłej żony, aby zapytać się siostry Basi i jej samej coby odpowiedziały o moim zamiarze. Gdy siostra Basi usłyszała o co rzecz idzie, odpowiedziała hardo, o, nic z tego nie będzie, i wasz wychowanek nie dla mej siostry i odwróciwszy się do Basi zapytała, czy ty Basiu byś chciała tego Grzesia? — bo ja w nim nic nie widzę, dawniej dawał pieniądze na wódkę i zabawy, a teraz znowu na książki, a ja powiem, że do gospodarki ani to, ani to nie jest potrzebne, a co więcej na tym kawałku pola jaki ma, by zginęli z głodu, a tu jeszcze trzeba i tamtego co przy wojsku spłacić. Odpowiedz zaraz, bo szkoda zawodów. Ale Basia była innego zdania i odpowiedziała, że z Grześką był inny chłopiec przedtem gdy pił, a inny teraz gdy daje pieniądze na książki. Takie już było przeznaczenie, bo w miesiąc później odbyło się moje wesele, a w tydzień

później przeprowadzka do domu rodzinnego, aby rozpocząć życie razem z żoną o własnych siłach. Znajdowałem się w trudnym położeniu, po prawdzie miałem robotę w rafinerji i zarabiałem dwa złote dziennie, ale to wystarczało gdy byłem nieżonaty i ciotka jeść dała. Dom nasz mieścił się tuż obok szosy o niedużych rozmiarach, składający się z kuchni i izby i przylegającej stajni i stodoły, prócz ścian i dachu krytego strzechą, która była zniszczona, nie było kompletnie nic w domu, a ściany gołe mówiły do mnie, że jak chcesz mieć to sobie kup. Ja nic także z sobą nie przyniósł oprócz ubrania, które kupiłem do ślubu i parę książek i starych gazet. Żona moja jako że się jej należała po matce krowa, to ją dostała, a że prawie się ocieliła to dostała razem z cieliszą, oprócz krowy przyniosła łóżko, skrzynię i parę garnuszków. Grunt (należało jej się pół morgi), powiedziała siostra mojej żonie, odbierzesz po żniwach, a te 200 złotych to wtedy, gdy będziecie brata spłacać. Ja szedłem do roboty, a żona pasła krowinę po miedzach, która nie mając dobrej paszy mało mleka dawała. Miodowe miesiące nie były wcale słodkie, gdyż musiałem się już o wszystko trapić i kupować co dla naszej gospodarki było potrzebne. Oszczędzało się jak mogło, z kawałkiem chleba razowego i pół litry mleka szedłem do pracy, a wieczorem na kolację pencaki. I w podobnym trybie życie nasze było do jesieni, (ślub nasz był w maju 1926 r.). I teraz wziąłem w swoje ręce pozostały grunt po ojcach, dwie morgi i pół i te pół morga co się żonie należało. No ale czem obsiać? Bo odebrałem grunt pusty i jałowy, zarobek jaki miałem nie mógł wystarczyć na to wszystko. Ciotka dała mi coś zboża, ale to wszystko mało, co robić, mimo najlepszych chęci aby w porządku obsiać i uprawić, nie byłem w stanie tego zrobić. Przyszły deszcze, a że to był grunt nieprzepuszczalny to też stanowią prawdziwe jezioro. Późną jesienią gdy wiatry trochę obsuszyły nająłem oracza, zapłaciwszy po 15 złotych dziennie i jako tako zorałem i zasiałem, obsiane było coś więcej jak móg, bo mając do użytku trzy morgi, przeszło pół morga stanowiły nieużytki i pastwisko. Obsiew kosztował mię około sto złotych, które to były „skredytowane”, bo gotówki nie miałem a zima się zbliżała i trzeba było drzewa i paszy dla krowy i cielisi dokupić, a mój zarobek skromnie wystarczał na jedzenie. Cieszyłem się nadzieją, że na przyszłą jesień będę miał trochę własnego zboża i paszy dla krowy. Zima nie dała na siebie długo czekać, a śniegi i mrozy ścisnęły ziemię. W domu który był licho zaopatrzony, stare drzwi i okna które mi się cisnął mróz było zimno, tak że woda zamarzała, bo nie miałem na tyle

drzewa by ogrzać. Przez całą zimę pracując oddałem wszystko co byłem winien, a to zapłaciłem oracza i zboże jakie skredytowane miałem w jesieni. Przyszła wiosna, a z nią nowy kłopot aby znowu zasiać coś na pozostałym kawałku gruntu, i coś ziemniaków zasa- dzić. I znowu trzeba było się trapić skąd na to wszystko wziąć? Ale trudno nie chciałem aby się ci śmiali ze mnie co powiadali, że z książek będę prowadził gospodarkę. Skredytowawszy tak samo, jak w jesieni u Abramka Pęcaka, który miał sklep wyszynk, a gdy wystawił duży dom murowany miał skład ze zbożem i nawozami sztucznymi. Była wprawdzie „spółdzielnia” rolnicza w naszym mia- steczku, ale sprzedawała za gotówkę. A Abramek dawał na raty pobierając dwadzieścia procent od sta. Rad nie rad musiałem u niego wszystko zakupić, aby w ciągu kilku miesięcy z procentami zapłacić. Przyszła jesień, która mi miała dać plon mej pracy, ale plon był li- chy, bo grunt był zamało nawożony, tak gdy obliczyłem wydatki połowa mi się nie wróciła, ale bądź co bądź miałem już trochę wła- snego zboża i słomy dla krowy i cielisi, która miała przeszło rok, dach poprawiłem gdzie się najbardziej lało z nadzieją lepszej przy- szłości. Przyszłość moja już nadchodziła, bo mi Bóg dał córeczkę. I od tego czasu żyłem z myślą, aby dla swej Marysi jaki taki majątek zrobić, prawdę powiedzieć, że czasy miały się ku lepszemu jutru i mój zarobek wynosił już trzy złote, a w domu już coś więcej było, a to kupiliśmy sobie prosiaka, i z małych kurcząt wyrosło osiem kur, i jako tako dawaliśmy sobie radę. Wieczorem w porze zimowej czy- tałem wypożyczone książki w biblijotece Koła Młodzieży, z którym chociaż żonaty związany byłem ściśle, a raz w tygodniu w niedzielę kupowałem gazetę „Il. Kurjer Codzienny”, albo tygodnik „Gospodarz Polski”, tak że w roku 1928 zarabiałem już cztery złote, i grunt, który był tak zaniedbany dawał mi chociaż to, co w niego włożyłem. I w tym roku Bóg dał mi znowu syna, a opiekę lekarską miałem jaką taką z Kasy Chorych. W tym to roku za staraniem naszego kie- rownika szkoły założyliśmy Kółko Rolnicze, a ma się rozumieć Kółko to byli sami gospodarze, bo domu potrzebnego na ten cel nie było, i w tem kółku rolniczem postanowiliśmy to, aby nic u żydów nie ku- pować, i co nam będzie potrzebne kupować wprost u źródła t. j. u producenta. Bo muszę powiedzieć, że w całym naszym miasteczku byli tylko kupcy-żydzi. Z polaków było bardzo mało. Żelazne sklepy były wyłącznie w rękach żydów, tak samo gdy chciałem kupić ubra- nie to trzeba było iść do żyda, a ludność wiejska zaczęła kupować już w miejsce cajgowych ubrań, kamgary, a ci śrubowali ceny wy-

sokie, ale dawali na obie ręce nie pytając się o pieniądze. I w tym to Kółku Rolniczem chcieliśmy zrobić to, aby my nie byli wyzyskiwani, tak że częściowo to nam się udawało. Ale w tym roku przyszedł dla mnie nowy ciężar, oprócz dwojga dzieci jakie miałem, wrócił mój brat z wojska wprost do mnie nie wracając już na Wołyń do wujka i powiedział mnie, że i on chciałby założyć swe ognisko domowe, ja zaś bym jemu spłacił z połowy majątku jaki mu się należał. Aby zachować w całości ojcowiznę ugodziłem się z bratem za dwa tysiące złotych, pieniędzy nie miałem gdyż co zarobiłem to trzeba było żyć i do mego skromnego gospodarstwa dołożyć. Było tylko dwieście złotych u siostry mej żony, no ale gdzie 1800 zł.? Trzeba będzie pożyczyć, ale u kogo? Poszedłem do Komunalnej Kasy Oszczędności, ale tam mi powiedzieli, że tak wielkiej kwoty mi nie pożyczą. Były banki jeszcze mniejsze, ale żydowskie, a te pożyczaly gdy tylko były poinformowane przez swych konsulatów, takim konsulem był w naszej wiosce Abracham Pęcak, właściciel sklepu-wyszynku i składu ze zbożem, tak mi powiedziano w jednym z takich banków. Pieniądzy trzeba było, ale jak iść do Abramka wkiedy on wiedział, że ja byłem jeden z tych, którzy tworzyli Kółko Rolnicze i już w odstąpionej przez jednego z gospodarzy izbie zaczęto tworzyć sklep Kółka Rolniczego. Ale gdy nigdzie nie można było dostać pieniędzy, trzeba było iść do Abramka, a ten po zapewnieniu, że będę u niego spowrotem brał w sklepie a nie jakimś tam Kółku, zapewni mi pożyczkę wbanku, gdy będę tylko miał czterech ręcycieli bogatych. A słowo ciałem się stało i ja pieniądze dostałem 1800 zł. jakie mi pożyczono, policzone były w dolarach A. P. (200 dolarów), procentu na trzy miesiące zapłaciłem 81 zł. 15% w stosunku rocznym i sto siedemdziesiąt złotych udziału, procent i udział musiałem już z własnych pieniędzy zapłacić. Ja zarabiałem około 100 złotych miesięcznie, a procent od pieniędzy wynosił około 27 zł., tak że liczyłem na każdą ratę trzymiesięczną dać 50 zł. i procent. Teraz zaczęło się życie znowu twarde, i moje obliczenia były mylne, bo 25 zł. trudno było na ratę kapitału, bo procent był wysoki, a do mej rodziny przybyła jeszcze jedna córka, tak że mając troje dzieci miałem już większe wydatki, a grunt mi nadal przynosił małe dochody, gdyż samo oranie i obsianie oprócz nawozów kosztowało rocznie 150 zł. Ale nie traciłem nadziei, i gdy będę pracował dalej w fabryce to jakoś oddam wszystko. W Kółku Rolniczem pracowałem prawie pokryjomu, bo obawiałem się Abramka, aby ten mi coś nie popsuł w banku, a także możebym musiał całą kwotę wykupić, i to-

wary musiałem brać u niego. Ciężko było na mnie, ale zem pracowałem to parę groszy na gazetę czy książkę musiało być, i tak się wszystko ułożyło, że w roku 1930 winien byłem już tylko 1000 zł. Wprawdzie obdarci byliśmy ja, żona i dzieci, ale ja pocieszałem się nadzieją, że gdy będę mniej winien i mniejszy procent będę płacił, to znowu kupię dla wszystkich ubrania. Tymczasem w świecie się już znowu kręciło i rozpoczynały się redukcje, tak że w niedługim czasie zostałem zredukowany. Było źle, ale stało się gorzej, tak że od czasu mej redukcji spać i miejsca w domu nie miałem, co ja sobie pocznę z długiem i z czego ja będę mógł zapłacić ratę, pracy nigdzie nie można było dostać, a w domu jaki dochód był? Produkta rolnicze spadły szalenie, tak, że jajko kosztowało 5 groszy, a litr mleka 15 groszy, a tem to towarem opędzali swe potrzeby małorolni. Było parę lat dobrze dla mnie i wszystkich, bo od czasu mego ożenienia dużo rzeczy kupiłem sobie i pusty dom wypełniłem się domowymi meblami, a to kupiłem sobie szafę na ubrania, stół i krzesła do izby, a w kuchni umeblowanie zrobiłem sam, a to jeden stół, szafkę na naczynia kuchenne i dwie ławki, żona zaś miała już ładne kwiaty w wazonach, mieliśmy już własne motyki, siekiery, piłę, piłkę, młotki i mały wóz, którym to razem z żoną woziliśmy z pola snopki i ziemniaki. I liczyłem się z tem gdy dług oddam, to sobie wydrenuję swoje pole, bo wilgoci posiadała nadmiar. Przepadło, i wszystkie nadzieje przepadły. A żywe i najmielsze umeblowanie domu jakimi były moje dzieci, a to Marysia liczyła już lat cztery, Jaś trzy, a Józia dwa lata. I one odczuły skutki kryzysu, bo tak ten czas zaczęto nazywać. W domu zaczęła się bieda nadobrze, tak gdy przyszło płacić ratę, to trzeba było iść do Abramka i jemu na pożyczoną kwotę weksel wystawić. A on był górą nad całą wsią, bo Kółka Rolnicze zaczęło upadać z niewiadomych przyczyn. Gdy przyszło znowu ratę płacić trzeba było znowu do Abramka iść jak poprzednio. Zastanowiłem się nad moją sytuacją, że jak tak dalej pójdzie, to dług nie ubędzie, ale wzrośnie dwukrotnie i postanowiłem sprzedać te pół morga, które dostałem za żonę, ale co? Gdy przedtem (r. 1928) oceniali ten kawałek na 1500 złotych, to dziś (r. 1931) dawano mi 400 zł. i za 450 zł. sprzedałem te pół morga, jakie za żonę dostałem. Abramkowi dałem 100 zł., a resztę do banku. Ale długu przeszło 600 zł. zostałem winien dalej i trzeba było spłacać kapitał i procent, a tu znowu i wydatki życiowe, trzeba było jakoś żyć, to oracza nając,

to drzewa kupić, to jakieś bucięta dla dzieci. Nie było się czego jąc, i trzeba było krowę sprzedać (miałem dwie) za sto złotych, gdy w roku 1928 wartała 500 zł. Te sto złotych będzie na jakiś czas zapłacić procenta. Gdy pracowałem to myślałem, że mi jest źle, ale teraz dowiedziałem się prawdy, gdy nadomiar zachorowała mi Marysia, o doktorze nie było mowy, bo nie było za co, gdy robiłem to miałem Kasę Chorych, a teraz moją Marysię leczyły wiejskie lekarki, a każda innym zielem obkładała, a biedna Marysia zaziębiona leżała w silnej gorączce i swoimi oczyma patrzyła na mnie żałośnie. I długo musiała przeleżeć w łóżku nim przyszła do zdrowia, a na babskie przepisy musiałem sprzedać Trylogję Sienkiewicza i „Pana Tadeusza”. Czytałem, że Mickiewicz prosił Boga aby jego książki trafiły pod strzechy, trafiły — ale przyszedł czas, że wywędrowały spowrotem te ulubione książki, na których pragnąłem wychować swe dzieci. Przyszło zdrowie Marysi, ale i przyszedł czas zapisać ją do szkoły, i znowu nowe wydatki. Trzeba było sprzedać kury cztery za 5 zł. (miałem dziesięć) aby dla Marysi co najpotrzebniejsze kupić, te kury sprzedać, które niosły jajka na sól i zapalki, bo o gazecie czy papierosach nie było mowy. Krowinę miałem jedną, ale i ta mniej mleka dawała, bo nie było za co jej dokupić koniczyny. Ale ten zły czas pędził jakoś szalenie, i znowu rok biedy upłynął, a z nim więcej długu mi przyplęnęło, tak że w obawie, aby mi wszystko może nie sprzedano, bo były takie wypadki, że skargi i koszta egzekucji pochłonęły całe majątki, sprzedałem z wolnej ręki jeszcze pół morga pola, a że był nieco lepszy jak ten, który za żonę dostałem, to mi też dano 600 zł. Zostałem „szczęśliwy”, bo dług oddałem, a na pozostałym kawałku ziemi zacząłem pracować od rana do nocy, wprawdzie, że i dotychczas pracowałem, ale teraz jeszcze więcej, u bogatszych sąsiadów nie dało się nic zarobić, wyjechać nie było gdzie, ani za co. Było mi o tyle lepiej, że nie płaciłem procentów i nie byłem już zależny od Abramka, który tylko głosił po całej wsi, że przed wojną to były dobre czasy, i każdy chłop zarobił koronę i kupił za nią spodnie, ny a dziś co kupi jak zarobi złoty? A gdzie go zarobi? Gdy mnie tak raz mówił, odpowiedziałem mu, dlaczego jak tak dobrze było przed wojną, nie wystawił domu murowanego, tylko aż po wojnie? Nie umiał mi jakoś odpowiedzieć. Nauczyłem się żyć w biedzie, i żyję do dnia dzisiejszego, i dzieci moje wysyłał do

szkoły będę, czekając czasu, który mi da znowu zarobić i zjeść kawałek mięsa w niedzielę, i że będę miał znowu parę groszy na gazetę. Ale o sobie nie dbam, tylko myślę aby moim dzieciom zapewnić jaką przyszłość, i tak kończę swoją przeszłość na papierze, dostarczonym mi przez kierownika szkoły.

Dn. 1 grudnia 1933 r.

Urodziłem się w roku 1898 w wiosce Walowa Góra, leżącej w powiecie Limanowskim na Podkarpaciu, gdzie jak to mówią chleb się kojczy, a woda zaczyna. Jest to wioska licząca 40 numerów obecnie, a wtenczas była dużo mniejsza, jest to okolica górzysta i kamienista, pełno jest kamieni, górskich potoków i tak zwanych nieużytków. Pierwsze moje lata spędziłem w poniewierce, bo bieda była u nas stałym gościem. Ojciec był właścicielem starej dymnej chałupy i pięciu mórg pola, w czem było półtora morga nieużytków i na tem jeszcze był dłuż, bo ojciec z tego musiał spłacić swoich dwóch braci i trzy siostry, to też ojciec wyjeżdżał co roku na wiosnę na roboty na Węgry to na Śląsk, a zostawała matka i pięcioro dzieci, ja byłem najstarszym, to też kiedy matka szła do pola to mnie kazała pilnować tych młodszych i nieraz oberwałem jagem coś przekrobał, abo które z tych młodszych jak sobie coś zrobiło przez moją nieuwagę. Co do jedzenia to przez lato było jako tako, bo chowały się dwie krowy, to chociaż maślanki i serwatki to my mieli dosyć, bo masło i ser to matka robiła i sprzedawała na jarmarku, ażeby opędzić domowe wydatki. Ale jak przyszła zima to rzadko kiedy było mleko i całą omastą do ziemniaków była kwaśnica i żur owiany, wprawdzie ojciec przysyłał pieniądze i przywoził ze sobą na zimę, ale na to czekali wierzyciele i zaś nic nie było a w zimie to już nie było zarobku, bo u bogatszych gospodarzy, kto robił w lecie, ten robił i w zimie. Jak przyszedł Nowy Rok to brali rodzice len na przedzenie od sąsiadów, a za to dostawali zboża na chleb, bo nam go stałe brakowało. Wtenczas w każdej chałupie ludzie przędli a wieczorami to się schodzili w takie miejsca gdzie była większa chałupa i tam przy kądzieli opowiadali sobie o różnych duchach i czarach

i tem podobnych strachach, a często była muzyka w karczmie to tam pili i tajczyli, chociaż w chałupie była bieda, i tak im czas scho-
dził do wiosny. Tak było i u nas, nieraz pamiętam ojciec poszedł do karczmy i przyszedł pijany, a matka nie miała na sól, a my chodzili boso i w zgrzebnej koszuli przepasanej sznurkiem, bo nie było pieniędzy na ubrania, a do tego taki był zwyczaj, że nawet bogaci chodzili w ubraniach ze swojego płótna, tak na codzień jak i na święto, dopiero jak przyjechał ktoś z Prus albo z Czech to już był inaczej ubrany. Dopiero zmieniło się u nas dużo, kiedy zaczęli u nas budować rafinerję nafty w Limanowej, a było to w roku 1905, wtenczas jakoś był wszędzie zaczął się ruch, kto chciał to wyjeżdżał na roboty, bo namawiali agenci i zarobki były dobre, tak samo poprawiło się i w rolnictwie, bo nastały żuźle, ludzie kupowali, bo były tanie i zaczęło się lepiej rodzić. Ludzie zaczęli lepiej uprawiać pole i chleba było więcej. U nas ojciec już nie jechał nigdzie na roboty, ale dostał pracę przy budowie rafinerji i zarabiał na miejscu. W roku 1907 ojciec kupił jeszcze dwie morgi pola po 100 koron za mórg, to było drogo, ale się opłaciło, bo był przychówek dobry, a pieniędzy ojciec pożyczył na lat 15 i na mały procent, od tego czasu zaczęło nam się lepiej powodzić, bo nie cierpielimy chociaż głodu, ja już paść krowy i chodziłem do szkoły, potem dorósł brat młodszy, to my musieli paść na zmianę, bo my obaj do szkoły chodzili, ja uczyłem się dobrze i miałem wielką ochotę uczyć się dalej, ale w domu nie miał kto robić, tak matka prosiła ówczesnej kierowniczkę szkoły aby mnie zwolniła po trzecim roku nauki i tak się też stało. Od tego czasu musiałem już stale paść bydło i pomagać w domu matce, bo ojciec był zajęty we fabryce, a do większej roboty to najmowali albo nocami robili. Ja lubiałem bardzo czytać to też pożyczałem od nauczycielki książki i czytałem dużo i przyznam się że się dużo nauczyłem. W roku 1911 ojciec zachorował i potem już na roboty nie chodził, ale pracował stale na gospodarstwie i zaczął się sposobić do budowy nowego domu, bo ta stara chałupa zaczęła się walić, a do reszty uprzykrzyło mu się siedzenie w tym dymie. W roku 1913 poszedł ja już do rafinerji jako pomocnik przy murarzach i zarabiałem tygodniowo 11 a czasem i 13 koron, pracowałem 10 godzin dziennie, a że roboty było dużo to się robiło i po godzinach, za co więcej płacili. W roku 1914 na wiosnę ojciec zaś kupił jeden mórg pola za 500 koron, ale już nie pożyczał na to bo ja zarabiał i z gospodarstwa był dochód, więc ojciec już miał swoje pieniądze. W 1914 r., kiedy wojna wybuchła i Moskale mieli do nas przyjść to stanęła rafinerja i wszy-

stko uciekało, a ja zostałem w chałupie, bo gdzież może chłop uciekać, straszili ludzi austriacy, że jak moskale przyjdą to będą wszystko zabierać i niszczyć a tymczasem gorsi byli madziarzy i niemcy niż moskale, do nas mało przychodzili bo od gościjca jest do jakie 300 kroków i przez wodę, a kładkę na rzece my zwalili, a do tego chałupa była obszarpana i czarna to każdy myślał, że tam nic niema. Najpierw mieliśmy austriackich ułanów a potem przyszli moskale ale musieli się cofnąć i nadeszli madziary i niemcy a ci byli najgorsi, rekwirowali bydło, słomę, siano i mało co płacili naszemu sąsiadowi, to w nocy zabrali wszystką koniczynę tak że on nie wiedział, aż dopiero rano ale nic nie dostał bo się nie umiał zmówić z madziarami. U nas ojcu zabrali buty, wybili kury a na ostatku wzięli i krowę i dali za nią kwitek z którym się ojciec dosyć nachodził i nic nie dostał, ale dziękowaliśmy Bogu że nas nic gorszego nie spotkało bo inni to dosyć ucierpieli. Na szczęście bitwa pod Limanową nie trwała długo, moskale cofnęli się pod Gorlice i cała ta horda madyziarska odpłynęła za niemi, a jest to od nas jakie 15 mil, więc wszystko pomału przychodziło do normalnego życia, ale przemarsze wojsk trwały do maja 1915, ale już nie były tak szkodliwe. W koju maja 1915 komenda wojskowa objęła rafinerję w posiadanie i puściła do ruchu, dostałem się i ja do pracy jako pomocnik maszynisty w hali maszyn i pracowałem tak do maja 1916 roku. W maju skończyłem 18 rok życia i zostałem powołany przed komisję poborową gdzie uznali mnie za zdatnego do wojska kategorja a, i za trzy dni musiałem rukować do wojska. Dnia 18 maja przyjechałem do Tarnowa i tam przydzielili mnie do 20-go pułku austriackiego. Od tego czasu zaczęło się ciężkie życie, ćwiczyli nas na gwałt a do tego żelazna dyscyplina, niemiecka komenda, to wszystko działało na mnie przygnębiająco, pocieszali nas ciągle że my na front nie pójdziemy prędko, bo jeźdźmy młodzi a tymczasem wojna się skończy, ale tak nie było bo po sześciu tygodniach zostałem przydzielony do marsz kompanji i po dwóch tygodniach zostałem wysłany na front rosyjski, przed odjazdem posłali nas wszystkich do spowiedzi, to było rano, a potem była przysięga cesarzowi Franciszkowi, potem obiad a po obiedzie ubrali nas w czarno-żółte stążki z napisem z Bogiem pierwszy raz w pole, potem kapelan miał przedmowę w której nas zachęcał do wierności Austrii i mówił że choćby skały pękały i góry się waliły — ty żołnierzu zawsze naprzód. Po przemowie otoczyli nas posterunkami i tak jak zbrodniarze odeszliśmy na stację, po drodze kazali śpiewać, a tu łzy się człowiekowi cisnęły do oczu

bo każdy sobie myślał że to przecie wojna i kto wie czy się wróci. Na stacji był pociąg otoczony strażą a to tak długo, póki my nie odjechali a to dlatego żeby żaden nie uciekł i tak my odjechali walcząc za tę austriacką ojczyznę. 20 regiment austriacki stał wtenczas na Bukowinie koło Czerniowiec i tam zajechaliśmy za trzy dni i tam nas rozdzielili tak jak w której kompanji brakowało, a było to po ofenzywie rosyjskiej więc niektóre kompanje były bardzo przerezione, byli tam prawie sami Polacy z małą domieszką Rusinów i Niemców. Pułkownik był Niemiec i kilku oficerów, a reszta to Polacy z okolic Limanowy, Nowego Sącza, Nowego Targu, i Gorlic sami górale. Wielki strach miałem kiedy pierwszy raz w nocy szli do okopów, bo moskale bardzo nacierali, zdawało się człowiekowi, że każdy granat trafi, ale pomału tośmy się przyzwyczaili, żeśmy sobie niewiele z tego robili, jak tam Moskale strzelali, okopy były głębokie, wyłożone dylami z tyłu ziemianki (untersztandy jak to wtenczas nazywali), tak byłem tam trzy miesiące, potem cały ten pułk poszedł na spoczynek w tył, już nie pamiętam jak się ta miejscowość nazywała, a za nas przyszli Czesi. Z tej miejscowości, a było to jakie trzy mile od frontu wybrali nas samych młodych 25-ciu na kurs obsługi karabinów maszynowych i pojechaliśmy do Wiener Neustadt koło Wiednia, tam miałem możność przypatrzeć się jak tam ludzie żyją i jaka tam jest kultura. Ćwiczenia były tam ciężkie i długie, ale za to lepiej nas odżywiali, tak spędziłem tam dwa miesiące. Po dwóch miesiącach odesłali nas już jako maszynistów i przeznaczili do obsługi karabinów maszynowych. Wnet też zapadła zima, na tym odcinku większego ruchu nie było, nieraz bywało tak że Moskale nie dali ani strzału za cały dzień, tak doczekaliśmy się wiosny. W maju w roku 1917 cała ta 12 dywizja została wysłana na front włoski i zajęła odcinek frontu na doberdo na zachód od Tryjestu. Było to po ofenzywie więc ruchu na większą skalę nie było, ale było daleko gorzej niż na ruskim froncie. Zaraz po przybyciu wysłali 2-gi i 4-ty bataljon naszego pułku do okopów, ja byłem w drugim, a dwa zostały w rezerwie i co dziesięć dni zmieniali nas tak, że my znowu szli na spoczynek, a tamci do okopów, ale stokroć lepiej było w okopach niż na spoczynku, bo ci co byli w rezerwie to musieli w nocy iść na roboty, a robić było co, bo tam ziemi nie było tylko gołe skały więc okopów tam nie można było wykopać, tylko przychodziły lniane worki i do nich sypali szuter i nosili i układali w kształcie okopów, tak samo trzeba było nosić druty kolczaste i koźły i ustawiać, a to trzeba było robić w nocy i pocichu, bo było

bardzo niebezpiecznie, bo Włosi byli blisko i co chwila teren oświetlali reflektorami. Ztyłu za linią, były tak zwane kawernie wykute w skałach tak jak tunele, tam trzeba było nosić amunicję, to byłoby się dało wytrzymać, ale głód dawał się nam we znaki, bo menaż dawali bardzo kiepski, ci co byli w okopach to im dowozili w nocy, tak zwyczajnie o godzinie 11, bo we dnie się nie dało, bo Włosi zaraz strzelali, a byli bardzo czujni, to przywieźli kucharze wszystko zimne, a często i kwaśne i rozdali wszystko na cały dzień od razu, kawę, chleb, $\frac{1}{2}$ litra rumu na sześciu, a czasem i na dziesięciu, dziesięć cienkich na jednego, obiad i kolację. Najgorzej było na tym froncie z wodą, bo jej w tych skałach nie było i musieli zakładać wodociągi, ale jak ta woda przyszła na miejsce, to była jak ciepła deszczówka, a często Włosi taki wodociąg rozbili, oficerowie naturalnie mieli wszystkiego dosyć, nawet wodę przywozili dla nich mineralną i wino, to też markierantów było dużo, niektórzy się sami raniłi żeby iść do szpitala, inni pili tytoń namoczony w kawie i z tego chorowali. Prawie co dziej włoskie aeroplany rzucały bomby i ulotki w których namawiali do ucieczki, pisali w różnych językach, do Polaków pisali chodźcie do nas, a my was przyjmimy chlebem i ocalicie swoje życie i swoją ojczyznę, ale i uciec choćby kto chciał to było bardzo trudno i niebezpiecznie, strzelanina była co dziej a nawet i w nocy z obydwóch stron, co w nocy zrobili to we dnie starali się rozbić i zniszczyć. Tak doczekaliśmy się sierpnia, nasz 2-gi baon poszedł na spoczynek do Wojcigradu 20 kilometrów w tył. W pierwszych dniach sierpnia przyjechał cesarz Karol i podczas dywilady miałem sposobność go zobaczyć, po dyfiladzie dowódcy mieli przedmowy i zachęcali do bohaterstwa, ale chleba to nie dali. Dnia 17-go sierpnia 1917 roku po południu usłyszeliśmy straszny huk armat, tak aż się góry trzęsły i każdego dreszcz przeszedł, zaraz też kazali nam czyścić i smarować karabiny maszynowe i rozdali amunicję, nasz komendant kompanji zrobił rewizję czy każdy ma bandaże i kazał rozdać każdemu po trzy konserwy i woreczek sucharów jako rezerwową porcję. Jak tylko się ściemniło przyszedł rozkaz wymarszu do okopów, pomimo że nastąpiła noc, kanonada nie ustała. Na drodze ruch był wielki, po jednej stronie szła rezerwa, kuchnie, wozy amunicyjne, a po drugiej wtył szły wozy z rannymi i próżne wozy po amunicję dla artylerji. Zgiełk, krzyk był wielki, bo było ciemno a na gościjcu pomieścić się nie mogli. Mieliśmy jeszcze jakie 300 kroków do okopów, kiedy Włosi oświetlili całą tę drogę i zrobiło się widzieć, że mógłby się żyć, bo światło było ze dwóch reflektorów, po-

czeliśmy uciekać naprzód, ale nie było to tak łatwo, bo byliśmy obładowani amunicją i nieśliśmy karabiny maszynowe, a zrobić padnij byłoby najlepiej, ale konie po drugiej stronie gościjca rzucały się jak zwarjowane, bo też granaty poczęły padać jak grad, co się tam działo to aż strach pisać. Kiedy dochodziliśmy do okopów rozległ się krzyk gaz angryf, atak gazowy, ja poczułem zaraz jakiś dziwny zapach, zaczęło mi się robić słodko, w gardle mnie zaczęło swędzić i dusić, rzuciłem się do jakiejś dziury i założyłem gaz-maszkę ale niewiele to pomogło, bo byłem zmęczony i powietrze nie mogło mi się w masce pomieścić i oddychać było trudno, bo maska tyle powietrza przepuścić nie mogła, a do tego kaszel i kichanie bardzo mnie męczyło, a do tego nic nie widziałem, bo szkła od maski zaszyły rosą. Niektórzy rzucaли maski i uciekali na pagórki, tam gazu nie było, ale granaty i miny i różne pociski padały jeden przy drugim, a do tego kamienie to aż fruczały, to też zabitych i rannych było dużo i tak doczekaliśmy się rana, nad ranem gaz już ustał i powłaził do kawerni, ale piersi mnie bardzo bolały. Z nastaniem dnia Włosi rozpoczęli ogień huraganowy, tak że padał granat przy granacie, zdawało się że świat się kołczy, od dymu mało jeden drugiego widział. W kawerniach świeciło się światło, bo były głębokie i daleko w skale, ale co chwila gasło od wstrząsów, tam też kto mógł to uciekał, bo z okopów nie było śladów, nawet ranni nie mogli odejść do tyłu. Po stronie austriackiej ucihło wszystko, śmierć zbierała plon obfity. O godzinie 3 po południu Włosi przestali bić na nasze linje i przerzucili ogień na tyły, ale wnet włoska piechota ruszyła do ataku, zaraz też rozległ się krzyk po kawerniach, (alles heraus), talijani worykują i powypadaliśmy i naraz rozpoczęły karabiny maszynowe i ręczne straszny ogień, Włosi byli już blisko to też padło ich dużo i nie mogli wytrzymać morderczego ognia i jedni zaczęli się cofać, a drudzy się poddali i nietrwało pół godziny i atak został odparty i ucihło, ale tylko na chwilę, bo zaraz włoska artylerja zaczęła ostrzeliwać nasze linje, ale bardzo gwałtownie, tak żeśmy nie mogli zebrać rannych ani odprowadzić jejców, ale trzymali ich w kawerniach aż do wieczora. Z nastaniem nocy dopiero biegiem wycofali ich do tyłu, ale ogień włoski nie ustał ani na chwilę, w kawerniach było już dużo rannych, wodociągi zostały rozbite, wody nie było do picia i do karabinów maszynowych, a dowieźć się nie dało, nie mogły też dojechać kuchnie. Rannych dużo umarło, bo ich nie miał kto odnieść, ani zaopatrzyć, ja byłem przekonany że żywy stamtąd nie wyjdę i prosiłem Boga, żeby mnie zabiło odrazu, żebym się nie na-

cierpiał. O spaniu nie było ani mowy, bo w kawerniach nie było miejsca, bo ranni zajmowali, a na polu też nie można się było położyć, bo kto się tylko dalej wychylił ten już dostał odłamkiem albo kamieniem, powystawiali posterunki, ale prawie ani jeden się nie ostał. Była może godzina 4-ta, siedzieliśmy i kuczeli, jak kto mógł, a tu naraz Włosi otoczyli nas tak jak myszy w dziurze i skierowali karabiny maszynowe lekkie i miotacze płomieni do nas i nie było rady trzeba było podnieść ręce do góry i z okrzykiem awanti pognali nas do swoich. Pokazało się że przerwali od nas na prawo i szasli nam z tyłu i zabrali wszystko i pędzili naprost do swoich okopów i ten czas kiedyśmy się pomieszali z taljanami, austrijacka artylerja ciężka, bo lekką zabrali, zaczęła bić po nas, ale trwało to niedługo, bo każdy rwał co mu sił starczyło, aż my powpadali do okopów, a potem pomału wyprowadzili nas w tył i drogą zamaskowaną gałęziami w dolinę, gdzie my byli bezpieczni, tam nas zrewidowali i oddzielili oficerów osobno, a nas poustawiali w czwórki i otoczyli gęsto posterunkami i pognali w niewolę. Rozbili wtenczas całą dywizję i zabrali dwóch pułkowników, trzech doktorów i dwóch księży i nie powiem, bo obeszli się z nami po ludzku i grzecznie, ale jednak zrobiło mi się nieprzyjemnie, a jeszcze to że człowiek się zmówić nie umiał, wody napierali się ale na migi. Szliśmy do wieczora, na wieczór wpędzili nas do jakiegoś dworu i w bramie dawali każdemu chleb i konserwę i przez podwórzec szliśmy do ogrodu i tam spaliśmy do rana, było nas tam może jakie trzy tysiące i kradli tam jedni drugich, bo niektórzy przyszli bez czapek, w stalchelmach, bez plecaków, tak że nie mieli gdzie chleba schować, przeklinali też Austrię bardzo, bo tam się nam oczy otwarły i przekonałiśmy się kto był nam wrogiem. Rano o szóstej godzinie znowu nas wyprowadzili przez to podwórze i dali nam na drogę chleb i konserwę i popędzili dalej. Koło południa przyslimy do miasteczka Palmanowa, tam za miastem były baraki otoczone drutem kolczastym, tam nas też zaprowadzili, ale miejsca było mało, to też musieliśmy się rozłożyć pod namiotami. Tam nas brali kolejno do kąpieli, strzygli, parowali, każdego badali czy zdrowy, rozdali bieliznę, mydło i ręczniki, odżywiali nas też dosyć dobrze. Tak siedzieliśmy dwa tygodnie, a potem wysyłali transporty w głąb Italji, przeważnie do Genowy, jest to miasto portowe położone nad morzem śródziemnem, tam są starożytne zamki, tam nas umieścili w jednym takim zamku zwanym Forte Bega, to była to istna rudera obstawiona barakami, w barakach nas rozmieścili, a w zamku co było to nie wiem, bo tam nie puszczali. Było

nas tam z dziesięć tysięcy różnych narodowości a każda osobno. Byłem tam pięć dni, a potem wybrali nas stu i posłali do roboty w okolice Parma, tam dostałem się wraz z pięcioma towarzyszami do jednego bogatego gospodarza i tam pracowałem do końca wojny. Ku końcu wojny przynosili nam gazety polskie wydawane w Paryżu, Jeniec Polak, z których wiedzieliśmy co się dzieje na świecie. Kiedy skończyła się wojna, radość była tam wielka, wszędzie rozlegały się okrzyki Guera wenito, ale wnet zaczęli ludzie chorować na malarję i my chorowali wszyscy także i gospodarze, straszna to choroba i niebezpieczna, dużo tam naszych pomarło. Po wyzdrowieniu odesłali nas do polskich obozów w La Mandrya di Kiwaso, gdzie tworzyła się armja polska, tam mieszkaliśmy w hangarach na europejany, tam nas sformowali na pułki i ubrali w czapki i płaszcze włoskie i ćwiczyli, ale jeszcze po austriacku. Po miesiącu wyjechaliśmy do Francji w okolicy miasta Epinal i tam nas umundurowali i uzbroili i sformowali pułki na nowo. Byli tam Poznajejcy, ochotnicy z Ameryki, i my z Małopolski, i znowu ćwiczyli na modłę francuską. Instruktorzy byli podoficerowie francuzi. Byli też oficerowie francuscy w każdej kompanji, odżywiali nas dobrze, to też zapał był wielki. Dnia 15 maja 1919 roku wyjechaliśmy do Polski przez Niemcy, przyjechaliśmy do Zambrowa za Warszawą 19-go, stamtąd po krótkim pobycie przejechaliśmy do Ozorkowa koło Łodzi, a po dwóch tygodniach cała dywizja wyjechała na front ukraiński za Lwów. Zaraz też po krótkich walkach przepędziliśmy Ukraińców za Zbrucz i nastał chwilowy spokój, starszych zwolnili, a przyszło uzupełnienie i siedzieliśmy tak po kwaterach do Nowego Roku. Po Nowym Roku nasza 12 dywizja zajęła miasto Płoskirów na Ukrainie i zaczęły się wypadki i walki z bolszewikami i posuwaliśmy się coraz dalej, koło Nowego Konstantynowa zostaliśmy stać aż do kwietnia. Z początkiem kwietnia zaczęła się ofenzywa na Kijów i nasz pułk posuwał się wzdłuż toru kolejowego Płoskirów, Winnica, Żmerynka, Wapniarka, aż do Tomaszpola. Stamtąd zaczął się ten straszny odwrót znowu tą samą drogą, ale wśród ustawicznych walk z bolszewikami. Koło Czarnego Ostrowa zostałem ranny w kark i w plecy, dostałem trzy kule od szrapnela, jedna pokaleczyła hełm, druga wpadła w kark, ale na szczęście niegłęboko, trzecia zraniła mi plecy ale z kosa, a było to podczas cofania się z placówki, cofali my się bo nam bolszewicy już tyły zachodzili i trzeba wiedzieć, że służba przy karabinach maszynowych jest ciężka i wymaga dobrego wyszkolenia i jest niebezpieczna, bo ci ludzie muszą się trzymać kupy, ja nosiłem podstawę

i ładowałem, i nieraz aż mi ramię czerniało od noszenia, bo konie z wózkami były zawsze daleko w tyle i trzeba było maszynki nosić. Po zranieniu musiałem jeszcze nieść tę podstawę jakie do 300 kroków, bo wszystko się cofało i jeden na drugiego się nie oglądał, tak dopadłem do jakiegoś rowu i tam się wszystko zatrzymało i tam mnie opatrzyli saniteci, bo się już krew bardzo łała, tamem trochę osłabł ale cofali się dalej, tak dotarliśmy do Wołoczysk, tam nas rannych odesłali na podwodach do Tarnopola a stamtąd do Lwowa. Mnie zaraz na operacji kule wyjęli i za sześć tygodni już byłem zdrowy, pozostały tylko blizny. Stamtąd wróciłem do pułku, pułk znajdował się koło Przemyśla i znowu wróciłem do tej samej kompanji, com był przedtem, ale starych moich kolegów było już mało, ale cofali się jeszcze dalej, ale już niedługo, bo po bitwie pod Warszawą bolszewicy i tutaj zaczęli wiać, tak że my ich dognać nie mogli i znowu zajęliśmy Płoskirów spowrotem i zostaliśmy stać. Ale też było wszystko wyczerpane i obdarte strasznie. Po zawieszeniu broni wycofaliśmy się w okolice Tarnopola i tu my zostali stać na dłuży. Na wiosnę w kwietniu zostałem zwolniony z wojska i powróciłem do domu. Tutaj ludzie mnie poznać nie mogli, bom wyrósł, trochem się zmienił, a na urlopie nie byłem ani razu. Po powrocie trzeba było się rozglądać za jaką pracą, bo nie miałem nawet ubrania, prócz tego munduru, co miałem na sobie. Po dwóch tygodniach dostałem się do rafinerji nafty Limanowa, trochę się okryłem, ale zaoszczędzić się nie dało bo niedużo zarabiałem, a do tego marki tak leciały, że jak co nie kupił zaraz po wypłacie to potem trzeba było trzy razy tyle dołożyć. W 1924 roku się ożeniłem i ojciec zapisał mi gospodarstwo, przeznaczył spłaty i sobie połowę na dożywocie. Za żoną nie wziąłem nic, bo siostra moja poszła na jej miejsce i też nie wzięła nic. W 1925 roku złożyłem bratu, który przyszedł od wojska 1000 złotych i za te pieniądze pojechał do Argentyny. W tym też roku rozłączyliśmy się i ojciec oddał mi połowę gospodarstwa i trzeba było kupować wszystko poczynawszy od łyżki, sprzęty i krowę, bo inwentarza nie dostałem. Pole było chude, nawozu nie było, trzeba było kupować nawozy sztuczne i najmować koni do roboty, a to wszystko tylko z tego com zarobił, a do tego musiałem jeszcze kupować na przednówek, bo swojego nie wystarczyło. Podczas wojny ojciec postawił nowy dom, ale nie wykończył, musiałem ja kończyć do ostatka, tak żeby jako tako można było mieszkać. Zarabiałem przeciętnie 150 zł. miesięcznie, oszczędzałem i czułem się zadowolony, robota była ciężka, bo czyściłem kotły destylacyjne, które były bardzo gorące — 60 stopni ciepła,

tak pracowałem osiem lat. W roku 1928 musiałem złożyć drugiemu bratu 1500 złotych, bo tak miał przeznaczone a w roku 1929 siostra doszła do pełnoletności i musiałem jej też spłat złożyć taki sam, ale już pożyczylem na to, bo swoich nie miałem i myślałem sobie, że pomału zarobię — to oddam, tymczasem stało się inaczej, w niecały miesiąc zostałem zredukowany. Zredukowali 40% robotników, przeważnie takich, którzy mieli jakieś zagony. Od tego czasu zaczęły się ciężkie czasy, wszystko taniało gwałtownie, a wydatki rosły. W roku 1930 na wiosnę była rekrutacja do Francji, poszedł i ja do Nowego Sącza, bo nie widziałem innego widoku, ale z powodu blizn, jakie mam na plecach, lekarz mnie nie uznał i trzeba było wracać o niczem do domu. Teraz dopiero poczułem ten straszny kryzys na sobie, trzeba płacić procenta, bo oddać niema z czego, trzeba płacić podatki z całego gospodarstwa, bo ojciec nie płaci, a podatki są daleko większe niż dawniej, bo naprzykład ja w roku 1925 i 1926 sprzedałem cyckowe cielę za 70 złotych, to podatek płaciłem 12 zł. i byłem spokojny, a dzisiaj za takie samo cielę wezmę 15 zł., a płacę gruntowego podatku 12 zł., drogowego 17 zł., ubezpieczenie od ognia 7.50 groszy, a do tego wyrównawczy i t. d., aż włosy człowiekowi stają na głowie. Mam troje dzieci i dwoje chodzi do szkoły, trzeba okryć, obuć, a tu niema z czego wziąć, mleko posyłam do drugiej wioski do mleczarni, a tym przewirowanym się odżywiamy, ale i tego brakuje. Wyczerpuje mi się bielizna, ubranie zdzieramy, a nowego niema za co kupić, bo wszystko pożera dług i podatki i nieraz rozpacz mnie ogarnia, bo nie widzę żadnego widoku, a przecież anim nie przejadł, anim nie przepił i w taką biedę się dostałem bo i gdybym był wiedział, że grunt tak spadnie, to byłbym spłaty nie dawał, niechby sobie części wzięli, ale wtenczas u nas płacili za móg 3000 zł., drogie było wszystko, więc był widok że się dług odda. Ale takich jak ja jest dużo, w naszej wiosce jest trzech gospodarzy co nie mają długu, a reszta to wszystko zadłużone po uszy i każdy wygląda jakieś zmiany, ale zmiany tej nie widać. Ja jedyne wyjście widzę w tem, że jeżeliby rząd chciał toby mógł dać poprawę. Może wprowadzić oddłużenie, ale conajmniej 60%, bo jak ja stracił na gruncie to niech wierzyciel również coś opuści, a nam się ulży. Tak samo dawno wołamy o rozwiązanie karteli, bo towary przemysłowe są za drogie i my na wsi nie jeźdźmy w stanie kupować, chociaż niektórzy chodzą już bez koszul. Niema na sól, zamiast zapalek używamy krzesiwa, zamiast cukru ludzie kupują sacharynę i gotują herbatę z liścia

lipowego. Monopol jest za drogi, to na wesela robią samogonkę, chociaż to z pewnością zdrowe nie jest, na mydło niema pieniędzy, to ludzie muszą prac w ługu, lamp mało używamy tylko małe kaganki, żeby mniej nafty wychodziło. U nas na Podkarpaciu gospodarstwa rozdrobnione strasznie, naprzykład w mojej wiosce to prawie w każdej chałupie jest po dwie rodziny, bo emigracji niema a ludzi przybywa, to też młodzież wałęsa się bez celu i skutek jest taki że ludzie poprostu zgrzytają zębami i nienawiść do władzy i do pajstwa rośnie, a to jest straszne i tego być nie powinno. Mojem zdaniem i na to jest rada, przecież w Polsce jest tyle wielkich obszarów dworskich, które często dzierżawią żydzi, zwłaszcza na wschodzie można to rozparcelować, dać tym ludziom ziemię a zwłaszcza byłym żołnierzom, już nie mówię za darmo, bo pajstwo też pieniędzy niema, ale dać na wypłat na dłuższe lata, otoczyć ich opieką, żeby mogli pracować spokojnie, a wyjdzie to z pewnością na korzyść pajstwu, bo nie kto inny jest podporą pajstwa, tylko chłop, bo przecież sam widziałem na kresach w czasie wojny jak to obszarnicy pouciekali, ale zostali chłopci i widziałem jak wieś polska walczyła z wsią ruską i może przyjsć czas, że jeszcze się mogą rzucić na dwory, ale na chłopów się nie rzuca, może kto jest innego zdania, ale ja tam byłem przeszło dwa lata i ja ich dobrze znam. Tak pajstwu powinno na tem zależeć, żeby jaknajwięcej Polaków było na Kresach, bo wtenczas bezpieczeństwo będzie pewniejsze, a także i tutaj się rozprzestrzeni i będzie zadowolenie i przywiązanie do pajstwa, bo przecież Polska nie leży gdzieś na dalekiej wyspie, ale ma pod bokiem sąsiadów, którym wierzyć nie można, bo w każdej chwili mogą uderzyć na Polskę, a wtenczas na kim się ona oprze jeżeli większa część narodu jest rozgoryczona i powiada, że lepiej było pod zaborem. Tak to są te bolączki które powinny być usunięte, ale nie chcą tego zrozumieć ludzie, którzy pajstwem kierują. Urządza się jakieś tygodnie rolnicze, dużo się obiecuje, ale na tem się kojczy, a bieda jak była tak jest, tyle z tego jest, że ludzie tracą wiarę i zaufanie do pajstwa. A przecież powinno się wołania tych mas wysłuchać i w miarę możności pomóc i to zaraz, bo kiedyś może być za późno. Daj Boże żeby ludzie którzy pajstwem kierują to zrozumieli, a wtenczas i nasza dola się poprawi i żeby nam lepiej było w tej Polsce za którą my walczyli i krew przelewali. Na tem kojczę moje pamiętniki i dziękuję WPanom za rozpisanie konkursu, bo aż mi ulżyło w tej biedzie i może się komu nie spodoba, to com napisał, ale inaczej nie umię, bo jak wspomniałem

do szkoły chodziłem mało, a i teraz nie miałem dużo czasu się zastanawiać i to mnie ucieszyło, że są ludzie jeszcze co się losem chłopca zajmują i czasem dobre słowo więcej warte niż pieniądz. Napisałbym więcej, ale teraz nie mam czasu, a nie wiem czy się komu spodoba. Kojcząc proszę o ogłoszenie wyniku konkursu.

Dn. 2 listopada 1933 r.

Urodziłem się w wiosce podkarpackiej P** 12 km. na południowy wschód od Jasła, w dniu 16. I. 1899 r.

Grunta w mojej wsi są z natury liche, przeważnie bielice, a na wzgórzach gliny ciężkie podmokłe. Rozdrobienie gruntów już wtenczas było duże. Tylko paru gospodarzy posiadało gruntu więcej nad 10 morgów, a tylko jeden ponad 15 morgów.

Jak zapamiętałem to jeszcze jedna czwarta część chałup, to były chałupy dymne, gdzie ludzie mieszkali razem z bydłem. Jeżeli się weszło do takiej chałupy rano to dorośli chodzili pochyleni, bo gdyby się sprostowali toby ich dym udusił, dzieci siedziały na przypiecku przy ogniu lub na słomie na pryczy zbitej z drążków i desek. Płachtę zdejmowano dlatego by ją dzieci nie niszczyły. W kącie na takim łóżku siedziała kura niosła jaje. Króliki gryzły resztki odpadłe od gąb bydła, które stało przy żłobie przybitem do ściany i ciągnęło słomę z za drabiny przymocowanej nad żłobem. Jedną czwartą izby zajmował piec do pieczenia chleba z przypieckiem na którym było palenisko. Pod tym piecem siedziały kury. Dym podczas palenia był ułożony równiutko w górze, zajmował mniej więcej połowę wysokości izby, wychodził dziurami, czasem dymnikiem w powale pod strzechę. Izba była zwykle dołem bielona a górą lepiona gliną i ta część górna była czarna jak czeluście. Nie wolno było w takiej izbie chodzić szybko, bo dym się klócił i gryzł oczy. Każdego z takiej chałupy mieszkańca można było poznać wszędzie że z kurnej chałupy po zapachu dymu.

Większa część domów względnie chałup to już miały kominy, a bydło miało osobną stancję w drugim końcu chałupy, z wchodem z sieni. Jedynie nowonarodzone ciele przynoszono do izby miesz-

kalnej. Króliki jednak były i tu współmieszkańcami z ludźmi, biegały sobie po izbie, a jak czuły potrzebę to sobie kopały nory pod łóżkiem lub skrzynką, która zwykle służyła i za stół dla ludzi.

W niektórych chałupach i tych z kominami to kury siedziały nadal pod piecem, ale więcej już chałup było takich co to stworzenie wyrzucono do stajni bo niby śmierdziały.

Chałupy były budowane z jedną izbą mieszkalną o dwóch oknach o wymiarach 60 cm. na 50 cm. z sienią, komorą i stajnią.

Obornik zwykle wynoszono tuż pod próg, bo to podobno miała być wygoda, bo i gnój od bydła było blisko wynosić i śmieci z izby z progu wyrzucić a już największa wygoda to była dla samych mieszkańców w zimie, bo nie musiał nawet butów wciągać chcąc swoją ludzką potrzebę załatwić.

Ustępów wtenczas nigdzie nie było, chodzono za potrzebą za stodołę lub chlewek. U nas ojciec ustęp postawił bo wójtował i trafiło się często, że jakiś urzędnik się pytał o ustęp, więc musiało się wybudować.

Ubrania nosili już mniej więcej na teraźniejszą modę. W lecie cajgową marynarkę i spodnie przypasane szerokim nabijanem pasem, zimą zaś kozuchy. Kobiety ubierały się dość ładnie, bo w kolorowe spódnice, gorsety nabijane blaszkami, a na szyi korale prawdziwe, za które i dobrą krowę trzeba było zapłacić.

Żywiono się w ten czas dość lichy, bo przeważnie barszczem z hōbem, kapustą z grochem. Na okrasę używano sadła i starszej słoniny, a dlatego musiało to być starsze bo lepiej było czuć że okraszone. Chleb u bogatszych bywał cały rok, ale ten zwykle gospościa dzieliła i niewolno było każdemu ile chciał krajać. Natomiast biedniejsi na przednówku mało kiedy chleb piekli, a dużo było takich co na Wielkanoc ostatni raz ze starego upiekli chleba i trzeba było czekać aż do nowego, mięsa używano tylko z królików, chorej kury lub przypadkowej krowy, jedynie na Boże Narodzenie kupowano ze zdrowej krowy mięso, a na Wielkanoc kupowano kiełbase. Mleka spożywano więcej, masłem jednak to maszczono ale już na stole lub ławce, jak już wszyscy byli koło miski żeby widzieli że jest okraszone, a odbywało się to w ten sposób, że gospościa mając trochę roztopionego masła w rondelku nachyliła go nad miską, pożegnała nim nad nią i każdy był zadowolony bo widział że jest okraszone. Jaj używano również bardzo mało, na święta, w zapust i te które się stłukły. Przypominam sobie, jak jedna sąsiadka przyszła do mojej matki zalić się co jej mąż zrobił, mówiła „Kumejko

wiecie jaki mój rozrzutnik, kiedyś jak z lasu przyjechał dałam mu obiad, kapuste i ziemniaki, a ten rzucił to za mną i wziął dobrusińkie cztery jaja i buch na rondel”.

Bogatsi zabijali raz na rok świnie, ale takich w mojej wsi było może z pięciu.

Pijaków nałogowych zapamiętałam kilku. Jak czasem zaszedłem do karczmy po gorzałkę ojcu, to siedzieli na ławie (a czasem i pod nią leżeli niektórzy) i pili siwuchę, a Icek pejsaty stał za szynkfasem i nalewał do flaszcetek wódki, dolewał późni nibyto okowity, przytykał flaszkę palcem i przewracał z góry na dół tę flaszkę by się zmieszała ta rzekoma okowita.

To karczmissko i ci pijacy utkwili mi nazawsze w pamięci. Dziwno mi w ten czas było dlaczego oni się tak poniewierają, dlaczego mają taki dziwny wygląd. Bałem się ich. Widziałem nieraz jak taki pijak przyszedł ze śpiewem do chałupy, a jeżeli żona mu coś mówiła, to bił wszystko nie wyłączając dzieci. Często żona takiego pijaka z dziećmi musiała u sąsiadów noclegu szukać, a on tymczasem w domu wytłukł garnki i inne graty, okna i co było w chałupie.

Jednak wtenczas już mało było takich pijaków nałogowych, bo jak starzy opowiadali to kilkadziesiąt lat temu to połowa gospodarzy, to byli pijacy. Opowiadali, że niektórzy jak śli do karczmy to sobie z domu chleb tam brali a innem znowu żony posiłek do karczmy musiały nosić. A bieda wtedy u tych pijaków to była straszna, grunt u takich licho rodził, zresztą i gruntu nie mieli bo żyd za gorzałę grunt zabierał.

Moi rodzice należeli do tych bogatszych. Mieli gospodarstwo czternastomorgowe. Koło domu duży sad owocowy. Gatunki drzew owocowych nie takie bardzo szlachetne, ale wystarczało dla siebie a czasem to się i sprzedawało, w sadzie przeważały śliwy, tych się dużo suszyło, sprzedawało, a czasem robili śliwowice. Wyrobu śliwowicy nauczył ojca żandarm oczywiście w sekrecie, bo tej i za Austrii nie wolno było robić.

Gruntu ornego było dziewięć morgów, w tem jedna trzecia była bardzo podmokła, jak przyszedł rok mokry to i brat brata nie urodził.

Orka szła w zagony sześcioskibowe. Uprawiano pszenicę, żyto, owies, jęczmień, ziemniaki, koniczynę, bobik i małe grządki jarzyn. Reszta gruntu to łąki, pastwisko i zagajniki, trochę w tem nieużytków.

Dom mieszkalny był dość duży bo 7 m. szeroki, a 13 długi. Izba mieszkalna jedna, sieni i komora. Okna jak na on czas dość duże bo 70 cm. na 80 cm., wysokość izby 3 m., w izbie stał duży piec do pieczenia chleba z kuchnią i piecykiem do ogrzewania, umeblowanie proste, szafa na garnki, koło ścian ławy, pod jednym oknem stół, mała ławka przy stole i dwa krzesła, dwa łóżka. U tragarzy wisiała żerdź, tam się wieszało ubrania męskie, na ścianach wisiały obrazy świętych, ile weszło w jeden rząd, wisiał również zegar. W sieni stała beczka z kapustą, stały żarna w których się zboże męło. W komorze zasięki na zboże, skrzynia na chusty, szafa na lepsze ubrania i pełno różnych rupieci.

Rodzice moi należeli do tych postępowszych. Ojciec czytał gazety, z politycznych Przyjaciela Ludu, z fachowych Przewodnik Kółek Rolniczych. Gospodarkę ojciec ulepszał, stosował już z nawozów sztucznych thomasówkę, sól potasową. Orał szersze zagony, używał lepszych narzędzi rolniczych. Polepszenie gospodarki pozwoliło ojcu dokupić gruntu, zmelorować mokry grunt, przykryć dom dachówką. Również i odżywianie się było coraz lepsze, używaliśmy dużo nabiątu, świnie i dwie na rok dla siebie było ubite.

Ten ruch kulturalny ośwładną kilku gospodarzy zorganizowanych w Kółku Rolniczem. Około roku 1910 było już parę domów krytych dachówką. A także pod względem czystości postępowano naprzód.

Rodzina nasza jak zresztą i inne w mojej wsi i okolicy, była dość liczna, było nas ośmioro rodzeństwa żywych, a coś z pięcioro pomarło. Ja mając lat siedem zacząłem chodzić do szkoły w Tarnowcu, oddalonej od mojego domu $3\frac{1}{2}$ km. Do nauki miałem pociąg duży i dobrze mi szła nauka, szczególnie lubiałem historje, wogóle opowiadania, bo te jeszcze przed szkołą lubiałem słuchać jak starzy ludzie opowiadali o dawnych czasach. Do dziś pamiętam jak opowiadali jak to dawniej bywało. Opowiadali o czasach pańszczyźnianych, jak to czasem dziedzicowi coś na nos włożyło to bili, względnie ich służba biła czasem na trzy zawody, nawet nie mówili za co. A jak to trza było ciężko pracować i sobą i końmi, a jak konie ustały to właściciel za to brał buki na skórę. Mówili, że mojego pradziada to tak obito we dworze, że ten jak przyszedł do chałupy i legł, to leżał dwa miesiące i już nie wstał. Obito go za to, że nie chciał dać swojej żony za mamkę dla dziecka dziedzica. Ta jego żona a moja prababka podobno była młoda i ładna i dziedzic się

ucinał do niej, a widocznie i pradziad ją kochał i przyplącił to chłop życiem.

Opowiadano, że po zlikwidowaniu pańszczyzny miała wieś nasza dostać za serwitut 50 morgów lasu, ale dwór nie dał. Chodzili w tej sprawie przez gromadę wybrani aż do Wiednia do cesarza. Tam im powiedziano że ten las wasz. Chcieli ten las siłą zabrać ale cóż dziedzic sprowadził wojsko, które rozlokowało się po domach a chłopci musieli ich jeszcze chować. Paru chłopów za tę sprawę zgnióło w kryminale w Tarnowie. Skończyło się na tem, że dziedzic dał sześć morgów lasu takich najgorszych urwisk. Taka to i dawniej była sprawiedliwość dla chłopca.

Na reberacji 1846 r. chłopci z mojej wsi nie byli, bo dziedzice dawni dwór sprzedali a nowi byli lepsi. Wprawdzie byli zgromadzeni chłopci z widłami, siekierami u jednego z gospodarzy, bo przyszedł rozkaz z becyrku by się chłopci nie dali wziąć na powstanie szlachty, która chce pańszczyzne przywrócić i że wolno panów bić, ale nigdzie nie poszli od nas chłopci.

Opowiadali jak to Moskale tędy śli na Koszucką wojnę. Jak to paru gospodarzy musiało na podwoję z niemi jechać. Tem się to opłaciło, bo skradli moskiewską kase i przywieźli moc pieniędzy i byłiby do dziś gospodarzami gdyby żyli, ale oni to porozpożyczali panom po dworach, gdzie jem poprzepadało, a resztę przehulali.

Opowiadali jeszcze o strachach, o czarownicach, ale ja już wtenczas w to nie wierzył, bo ojciec mi mówił, że to nieprawda.

W szkole i w dalszych klasach nauka szła mi bardzo dobrze, więc matka koniecznie chciała bym szedł dalej do gimnazjum, ale ojciec był innego zdania, mówił że co najzdolniejsze to powinno zostać we wsi, pocieszał matkę, że z młodszych dopiero da do szkół, a teraz potrzeba mu pomocy w pracy tembardziej, że właśnie zadłużył się celem spłaty siostry. Ostatecznie posłano mnie do pięcioklasowej szkoły w Jedliczu, oddalonej od nas o 4 km. do której chodziłem pieszo, na ukończeniu tejże z dobrym postępem zostałem w domu.

Z początku pasłem bydło, późni jak miałem lat 14, ojciec przestał chować parobka a te funkcje ja objąłem. Ponieważ było w zwyczaj, że parobcy spali w stajni przy koniach, więc i ja przeniosłem się do stajni ze spaniem. Miałem tam prycze zbite z drągów i desek, na nim słoma zaścielona płachtą, za poduszkę służyła stara bluza a przykrycie to derki, któremi konie w dzień się przykrywało.

Zimą w stajni była wilgoć, latem trochę zaduszno, to spałem w stodo-
dole. Pomimo wszystko czułem się zdrowy.

Ponieważ ojciec zrobił trochę długu na spłaty, to chociaż ro-
boty było dużo, służby już nie trzymał, musieliśmy sami pracować,
a trzeba zaznaczyć, że do pracy było nas tylko czworo, to jest ro-
dzice, ja i młodsza siostra, bo reszta rodzeństwa było jeszcze za-
małe do pracy, jedynie było paśli.

Poza gospodarstwem trzeba było i na zarobek końmi jechać,
do gospodarzy w pole, do lasu po drzewo na opał i na budulec. Na
przednówku woziliśmy szuter na szarwark i za pieniądze na drogę
powiatową. Młocka zboża odbywała się cepami. Do młyna to tylko
na świąteczne kołacze zboże wozilo się, pozatem wszystko męło
się w żarnach, była to mordęga, to też mnie od tej pracy zaczęły
ręce puchnąć. Widząc to ojciec kupił kierat do którego przyrych-
tował żarna, kupił młocarnie, którą również popędzało się kieratem,
to też było już lżej na ręce.

W roku 1914 w jesieni wojska austrijackie cofały się. W jed-
nym dniu wieczorem przyszli moskale, oficerowie rozłożyli mapę
patrząc w nie, a ja ciekawy zaglądałem także. Jeden z nich zapytał
się mnie, czy znam drogę do Piotrówki, ja przeczuwając że trzeba
ich tam prowadzić, odpowiedziałem że nie znam tej drogi, bo do-
prawdy choć to trzecia wieś od naszej, tam nigdy nie byłem, ale
widząc mapę a na niej Piotrówkę i drogę do niej, więc myślę sobie
pokażę którądy mają iść, to pójdą sami i zacząłem im tłumaczyć
którądy mają iść by zejść do Piotrówki, wtenczas nie pomogły żadne
tłumaczenia, że tej drogi nie znam, musiałem iść prowadzić. Zazna-
czyć trzeba, że to była noc i co tylko po wycofaniu się wojsk austry-
jackich, a droga przez las, którą znałem kiepsko.

Ponieważ moskale nie wiedzieli napewno, czy w następnej wsi,
która leżała obok naszej drogi Chlebny, niema austrijaków, mnie
się o to pytali. Ja wiedziałem że z tej wsi wycofali się austrijaki
pierwej jak z naszej więc powiedziałem że tam austrijaków niema,
to jednak nie pomogło bo wysłali patrol a ta wróciła za pewien czas
i oświadczyła że tam pełno austrijaków, wtenczas jeden z moskali
złapał mię za kołnierz i nahajką po plecach wyzywając wtenczas
na mnie, czego ja mało rozumiał, zrozumiałem tylko to że m durny
jeśli ich chce zdradzić, bo ja pierwszy kule w łeb dostane.

Wysłano patrol drugi, przez ten czas jeden z moskali trzymał
mię za kołnierz. Widocznie bali się bym ją nie uciekł, cobym był
z pewnością zrobił, gdyby mię był puścił, bo było to w lesie a przy-

tem ciemno, a ja sam zacząłem wierzyć, że austryjaki wrócili się, o czym ja nie wiedział. Po jakimś czasie patrol ten drugi wrócił, oznajmiając, że tam jest paru żołnierzy ruskich, a austryjaków już oddawna niema. Wtenczas jakiś pewnie oficer wjechał między tę pierwszą patrol i prał nahajem jeno świszcząło, wymyślając coś przytem czego ja mało rozumiał. I już spokojnie zaśliśmy do Piotrówki, tam mi dano przepustkę, by mię w drodze powrotnej nikt nie czepił i pięć rubli. Wróciłem do domu szczęśliwie, ale plecy od nahajek to mię paliły jak świecą.

Na drugi dzień znowu wzięli mię moskale na podwodę. Zaraz w drugiej wsi przy przejeździe rzeki o mało nie utopiłem się razem z końmi, bo woda była duża. W ten dzień przed tem utonęło na tym przejeździe dwie pary koni i sześciu ludzi. Mnie także już wóz wywróciła i z trudnością wygramoliłem się na bok wozu. Wozu woda nie rozebrała, bo wasąg był przykręcony do skrętów. Za wodą w Trzebniach ledwom się osuszył, trzeba było jechać dalej. Gościniec był niemożliwy pełno było w niem dołów napełnionych wodą, która czasem po brzuch koniom sięgała. Po bokach gościńca stały, względnie leżały połamane wozy, leżały zdechłe konie, w środku gościńca stały ugrzęźnięte auta.

Pożywienia dla koni nigdzie nie można było dostać, bo już przewalające się wojska zabrały co było. Miałem jechać do Lwowa, tak przynajmniej moi pasażerowie mówili. Byłem zdania, że z końmi i wozem już do domu nie wróce, wobec tego postanowiłem uciekać sam albo brać jedną lepszą szkapę i w nogi, com też na trzeci dzień zrobił. Rano jak jeszcze moskale spali, włożyłem na lepszą klacz chomąto, wsiadłem na nią i mniej więcej prosto polami, lasami do domu. Uciekłem szczęśliwie i uratowałem przynajmniej jednego konia. Sąsiedzi, których również wzięto na podwodę, wrócili sami po paru tygodniach tułaczki. Późni już umieli my się kryć z końmi i bydłem, to ostatnie jednak nie dało się ukryć, bo nam moskale zabrali dwie krowy, dwie jałówki i trzy świń. Przedtem madziary zabrali nam dwa wozy, zniszczyli pasieki, składającą się z siedniu pni.

W maju 1915 r. moskale się wycofali, przyšli austryjaki, zanosiło się przytem na dużą bitwę około mojej wsi, bo ludności kazano się wynosić ale skończyło się na kanonadzie artyleryjskiej, wprawdzie wpadło kilka granatów we wieś nie robiąc dużej szkody.

W roku 1917 na wiosnę wzięto mię do wojska austryjackiego. Nie będę opisywał szczegółowo moich przejsć na wojnie austryjkiej, wspomnę tylko przejścia ważniejsze.

Nie mieli austriacy ze mnie dużej pociechy. W jednym roku byłem trzy razy na froncie, zawsze markieracja pomogła zem tam po paru tygodniach pobytu jechałem w sanitarnym pociągu z frontu. Byłem na froncie w Tyrolu, góry tam wielkie. Dziwno mi było jak można i po co mieszkać w takich górach. Austryjakom pomogłem tyle, że trzy karabiny maszynowe rzuciłem w przepaść. Drugi raz byłem nad morzem Adrjatykiem, tu mniejsze góry. Trzeci raz byłem już w Italji na równinach nad rzeką Piawą, tam myślałem że już trza swoje kości za cesarza złożyć, bo markieracja nie pomagała, bo tu prawie całe wojsko było chore na malarje i inne choroby i tylko ciężko chorych oddawano do szpitala. Jednak pewnego razu przysypała mię ziemia z powodu pęknięcia granatu, coś mię potłukło, trochę się udało i dzięki Bogu odesłano mię do szpitala aż do Pragi. Z Pragi dostałem urlop czternastodniowy. Przyjechałem do domu 27 marca. Czternaście dni przeszło a ja wcale ochoty jechać za Austriję piersi nadstawiać nie miał. Postanowiłem zostać dalej w domu. Uzbierało się nas takich we wsi czternastu. Mieliśmy karabiny, więc my się żardarmów nie bali, zresztą i ci nie mieli ochoty z całą kupą się zadzierać.

Zaczęliśmy tworzyć z okolicznymi wsiami tak zwany kader zielony, było nas 35, w tem jeden fenrich, mieliśmy już i karabin maszynowy. Gdyby my byli w kupie to z pewnością do końca Austriji siedzieliśmy w domu, ale że nam dość nie mówiono, myśleliśmy że to tak i dalej będzie, aż tu jednej nocy żandarmi z kompanją wojska zrobili obławę i kilkunastu dezertarów złapali na spaniu, a i mnie między niemi. Odesłali mię pod eskortą do swojego kadru setnego regimentu, stamtąd pod sąd wojenny. Zasądzono mnie na pięć lat więzienia po wojnie. Następnie odesłano mnie do 57 regimentu, bo nie chciano bym demoralizował kadrę setnego pułku, gdzie jeszcze dyscyplina nie była tak rozluźniona jak w 57 Tarnowskim w Przerowie.

Po tygodniowym pobycie w Przerowie wysłali mnie razem z temi co wrócili z rosyjskiej niewoli znowu poraz czwarty na front nad Piawę do Italji. Po drodze rozbijaliśmy wozy kolejowe z których rabowaliśmy żywność i już z tem postanowieniem, że zakończymy wojnę austryjacką na wzór rosyjskiej, przyjechaliśmy do 57 pułku. Pułk 57 zastaliśmy już dość mocno zrewoltowany, staliśmy poza frontem na spoczynku.

Więści dochodziły, że Telijany przygotowują się do ofensywy, a u nas szła dość głośna propaganda by się zbuntować i już nie iść

na front. Rej w tej propagandzie wodzili ci co powrócili z Rosji. Ja także pomagałem co mogłem, a mogłem dość dużo bo jako znający język niemiecki byłem używany do roznoszenia rozkazów między bataljonami i przy tej sposobności zawsze opowiadałem żołnierzom, że inne bataljony w razie rozkazu wymarszu na front bezwzględnie odmówią posłuszeństwa.

Jakoś niedługo trzeba było czekać, bo jednej nocy zbudzono mię, kazano iść do bataljonów z rozkazem. Na froncie mimo nocy słychać było gwałtowną kanonadę.

Rozkazu nie mogłem przeczytać, bo był zaklejony, ale spodziewałem się, że jest rozkazem wymarszu na front i rzeczywiście przekonałem się że tak, bo zaraz w pierwszym bataljonie dano rozkaz alarmu. Ja wstępowałem po drodze do kwater żołnierskich i mówiłem żeby nigdzie nie iść, bo inne bataljony nie idą.

Na drugi dzień pomimo krzyku oficerów żeby wychodzić, każdy siedział lub leżał mówiąc że nie idzie nigdzie i tak trwało dwa dni. Na trzeci dzień obtoczył nas jakiś pułk chorwacki, który nas rozbroił, broń oddaliśmy bez oporu. Chorwaci ci mówili jednak, że oni to samo zrobią. Kazano nam wychodzić na zbiórkę, straszono że będą się każdego z osobna pytać czy idzie na front, kto powie że nie, to kula w łeb. Żałowaliśmy żeśmy oddali broń, boby my się bronili, ale już było za późno. Postanowiliśmy raczej tu zginąć jak na froncie.

Przyszedł sztab pułku i inni oficerowie i rzeczywiście pytano się za porządkiem, kto chce iść a kto nie chce na front. Okazało się, że tylko siedmiu oświadczyło się że idą, a reszta nie. Kazano naszemu kapelanowi odprawić msze polową na której my byli a późni kazanie. Kapelan jak wyszedł na kazalnice zaczął coś mówić, czego ja nie słyszał, bo byłem wysłany z rozkazem i właśnie oddałem się w ten czas, widziałem tylko że zaraz zszedł. Okazało się późni, że go aresztowano bo nietylko nie namawiał nas do posłuszeństwa ale wprost wezwał do wytrwania w tem co my zaczęli. Widać było, że i oficerowie chociaż udawali, że oni są przeciw buntowi to jednak pocichu informowali co dalej mamy robić. Podoficerów oraz byłych jeńców rosyjskich i kilku byłych legionistów aresztowano i osadzono w więzieniu w Chrobotinie. Po dwóch dniach dowiedzieliśmy się, że ich mają rozstrzelać.

Oficerowie polacy po cichu kierujący buntem postanowili działać już stanowczo. Mnie używano przedtem do informowania bataljonów ustnie, jednak wtenczas napisali rozkaz na papierze, że

tej nocy nad ranem ma wojsko rozbroić żołnierzy madziarów, bo już ci nas pilnowali, następnie zabrać broń z magazynu i uderzyć na Chrobatino celem uwolnienia więźniów.

Rozkaz wręczył mi porucznik Fedorko informując mnie co mam na wypadek aresztowania mnie zrobić. Jak wychodziłem poza kordon drugiego bataljonu posterunek madziar aresztował mnie. Pokazałem mu na migi, że chce iść na stronę, ten na to nic nie mówił, wlałem pod winogron, rozkaz stargałem na drobne części, zagrzebałem w ziemi. Na wartowni zrewidowano mnie, następnie protokół ściągnięto ale nic się nie dowiedziano. Pomimo to zamknięto, względnie odstawiono do Chrobatina, do aresztu.

W tę noc nad ranem żołnierze z naszego pułku uwolnili nas z tego więzienia. I zaraz cały nasz pułk szedł w tył, oficerowie i my poodrywaliśmy od czapek bączki, oficerowie i podoficerowie również i gwiazdki. Na drodze spotykaliśmy pułki polskie jak 32 landwer i inne i te przyłączały się do nas. W Czerwieniano był sztab austrijski i ten zagroził nam drogę drutami kolczastymi żądając złożenia broni, ale widząc naszą groźną postawę sam arcyksiążę Fryderyk z nami, to jest z delegacją wybraną przez żołnierzy w której i ja byłem pertraktował. Zgodził się, że możemy z bronią przejść, zastrzegając sobie spokój, my to przyrzekli. Jednak warunków trudno było z naszej strony dotrzymać, bo dyscyplina była całkiem rozluźniona. Tak przyśliśmy na nogach aż do Lublany, tam nam rząd Jugosłowiański dał wozy kolejowe, skąd my wyruszyli pociągiem. Broń prócz kilku karabinów maszynowych i ręcznych oraz tabory zostały w Lublanie.

Tak zakończyłem służbę Austrii. W wojsku polskim od dnia 14 lutego 1919 roku do 30 lipca 1922 r. służyłem rzeczywiście. Brałem udział w wojnie z Ukraińcami i z bolszewikami. Byłem na froncie przez osiemnaście miesięcy, byłem pod Radzyminem ranny.

Jak przyszedłem z wojska do domu, nie wiedziałem co zrobić ze sobą, bo chociaż w domu nieźle było, to jednak zawsze razem siedzieć nie można. Swoją gospodarkę zakładać niema z czego, bo było nas siedmioro rodzeństwa. Siostra jedna podczas wojny zmarła. I tak nie wiedząc co z sobą zrobić, siedziałem przy ojcu. Podczas wakacji przyjechał do nas wujek profesor i ten mi radził bym jechał do niego, bym się uczył prywatnie, i zaręczał że za lat trzy mogę maturę gimnazjalną zdać. Okazało się, że starszemu już trudniej nauka przychodzi, jednak byłoby jakoś szło, gdyby w domu wszystko było zdrowe.

Po sześciu miesiącach pisze do mnie ojciec bym przyjeżdżał, bo jak mi wiadomo, Matka od trzech lat choruje i jest jej coraz gorzej a i on niezdrów. Przyjechałem, wziąłem się do gospodarki, robiłem com mógł, jednak dużo nie mogłem z braku gotówki.

Za protegą dostałem się do roboty na fabryce kopalni nafty. Osiem godzin robiłem na kopalni, reszta w gospodarstwie. Po sześciu miesiącach zredukowano mnie. Zacząłem gospodarzyć według książek rolniczych, czytałem ich dużo, robiłem próby, chodziłem na kursa rolnicze. Nieźleby z gospodarką szło, gdyby nie wydatki na lekarzy i medycynę.

Zajmowałem się również pracą społeczną, założyłem w swojej i okolicznych wsiach Koła Młodzieży. Należałem do Kółka Rolniczego w naszej wsi, gdzie pełniłem funkcję sekretarza.

W roku 1925 na wiosnę choroba ojca pogorszyła się. Ojciec leczyć się nie chciał widząc moje borykanie się z brakiem gotówki, wkońcu przystał na leczenie ale okazało się, że to już za późno. Ojciec zmarł 15 lipca 1925 r.

Gospodarstwo ojciec podzielił między nas wszystkich. Dla mnie na podstawie testamentu oddał ojciec dom mieszkalny, cały inwentarz żywy i martwy, $3\frac{1}{2}$ morgi gruntu, resztę majątku przeznaczył dla pozostałych braci i siostr. Ja miałem gospodarzyć nadal na całym gospodarstwie, a przeznaczone części oddawać każdemu z chwilą jak dorosnie i będzie chciał swoją gospodarkę zakładać. Prócz tego ja miałem Matkę utrzymywać i dla siostr dać wiano, to jest krowę, pościel i inne sprzęty.

Było mi ciężko, bo musiałem choć skromny jak na takiego gospodarza pogrzeb sprawić. Matce coraz gorzej było, wkońcu prawie ociemniała. Wysłałem Matkę do Krakowa celem leczenia, co kosztowało dość słono, a mało pomogło. Trzeba było opłacić przeprowadzenie spadku, zapłacić za podział geometrze. Doszło do tego, że z pozostawionym przez Ojca długiem, miałem długu ponad 1100 zł.

W drugim roku po śmierci Ojca, na wiosnę umarła Matka. Zostaliśmy sami. Najmłodsza siostra liczyła wtenczas lat dziesięć. Niektórzy ludzie zaczęli braci kusić i wmawiać w nich, że ja ich będę oszukiwać. Inni znowu mówili, że całe gospodarstwo się rozleci, mówili nawet że już się rozłazi, bo bracia każdy dla siebie sprzedaje zboże a siostry nabiał. Lecz nawet przekonali się, że ani ja młodszych nie wyzyskuje, ani oni mnie nie oszukują. Za to w domu u mnie spokój a gospodarka idzie i to jem gęby zamkło.

W roku 1926 miałem niezłe urodzaje, było również miałem ładne, to też prawie że dług oddałem, sprzętów, ubrań dokupiłem. Wogóle z biedy otrząsnęliśmy się. Zaufanie tak w gminie jak i w parafji do mnie wzrastało. Wybrano mnie w kasie Stefczyka na przełożonego Rady Nadzorczej, zaś w mojej wsi chcieli mię koniecznie wójtem zrobić, wymówiłem się jednak mówiąc jem, żem jeszcze kawalerem, toby nie pasowało by oni starsi musieli mnie słuchać. Ja nie miałem ochoty tego zaszczytu dostąpić, że to mitregi dużo a zrobić coś w takiej ubogiej wsi jak nasza to się nieda, zresztą miałem już dość dużo tych społecznych obowiązków. Trzeba było i swojego pilnować.

W roku 1926 w jesieni ożyniłem się w drugiej wsi w Tarnowcu u wójta Sanockiego. Dostałem z żoną dwie morgi gruntu no i wiano składające się z dwóch krów, szafy na chusty, łóżko i inne sprzęty nienajgorsze. Wiano to się mi bardzo przydało w tym czasie, bom właśnie i ja musiał siostrę wianować, bo wtenczas i ona wyszła za mąż, więc choć i ja dałem, to znowu wziąłem.

Przez następne dwa roki gospodarzyłem z dobrym skutkiem. Stopa życiowa pod każdym względem się podniosła, lepiej my się odżywiali, lepiej ubierali. W domu wprawiłem podłogi. Jednak w jesieni starszy brat zażądał spłaty za stajnie i musiałem mu za nią zapłacić 560 zł., co po sprzedaniu jednej krowy i świni uczyniłem, późni sprzedawał i pole a żał mi było ojcowizny w obce ręce puścić, więc część tego gruntu kupiłem. Za $\frac{3}{4}$ morga zapłaciłem 2700 zł. a opłaty kosztowały około 300 zł., to jest opłata notariusza, skarbu, intabulacja, stemple.

Te opłaty od przeniesień, kupna, spadku i znowu kupna, to ciężka zmora jaka gniecie małorołnego. Ja pamiętam jak Ojciec robił podział między swoich braci i siostry i opłacał, późni odkupił część tego gruntu i znowu opłacił, następnie Ojciec pomarł i my znowu opłacamy, teraz odkupiłem od brata i znowu płace a mam lat dopiero 31. Okazuje się, że ten co nie posiada tej ziemi, nie sieje, nie orze, lepszy ma dochód z niej jak właściciel, który ciężko musi pracować. Widać z tego że na tem dzieleniu wieś źle wychodzi.

W roku 1929 i 30 radzili różni agronomowie by każdy budował gnojownie, kupował rasowy inwentarz a że moja gospodarka była gospodarką pokazową, a do tego namawiano na tani kredyt na powyższe cele, więc chociaż miałem pewne wątpliwości i obawę, bo sytuacja na rynku zbytu połów rolnych zaczęła się psuć, pożyczłem 750 zł. na powyższe cele. Gnojownie betonową wybudowa-

łem, rasową krowę i buhajka kupilem. Na kupnie rasowej krowy i buhajka wyszedłem jak Zabłocki na mydle, bo produkty szalenie spadły, więc za buhaja pomimo że wyrósł ani połowy dziś nie dostałbym, gorzej z krową, bo ta okazała się złą dojką, a jeszcze więcej jak buhajek spadła w cenie. Dług został. Na polu społecznym dość duży ruch. Ja robiłem com. mógł w organizacjach w kulturalno-oświatowych, spółdzielczych a nawet politycznej. Myślałem że przecież chłopci będą na tyle silni, że się nie dadzą złemu przywalić. Obowiązków przybywało, zostałem członkiem O. T. R.*) a nawet co mnie trochę dziwiło powołano mnie za członka komisji kulturalno-oświatowej przy powiatowej radzie przybocznej.

W Tarnowcu założyliśmy mleczarnie spółdzielczą, gdzie mnie wybrano przewodniczącym Rady Nadzorczej. Niektórzy chłopci zaczęli wątpić czy ja tak bezinteresownie tem się zajmuję, natomiast żona narzekała na mnie, że mnie w domu trudno uwidzieć, że jak tak dalej pójdzie to i gospodarkę djabli wezmą. Postanowiłem na nic nie zważać a robić swoje. Wierzyłem w to mocno, że wieś zrozumie jakie jej grozi niebezpieczeństwo ze strony karteli i ze strony innych klas. Zdawało mi się, że wieś się dźwiga tak pod względem oświatowym jak i nabiera rozumu ekonomicznego.

Nie zaniedbywałem i swojej gospodarki. Inwestycji za gotówkę już nie robiłem, natomiast co się dało zrobić bez gotówki zrobiłem. Dawno już myślałem o tem jakby dojść do tego, by ziemię ruszyć głęboko a przewrócić płycej, służy do tego pług z pogłębiaczem ale on drogi i trzeba cztery konie by go uciągly. Postanowiłem wymyślić samemu coś tego rodzaju, tylko by to było niedrogie i nie wymagało dużej siły w użyciu. Po paru próbach kował pogłębiacz wedle podanego modelu zrobił. Pogłębiacz ten przypina się do pługa i orząc idzie za lemieszem i spulchnia ziemię, przy tem zastosowaniu para koni uciągnie. Dzięki orce z pogłębiaczem plony mam dość duże, pomimo że nawozów sztucznych mało używam. Przeciętny zbiór z ha 22 metry zboża. Gospodarstwo przerzuciłem na hodowlę, chowam cztery krów, dwie jałówki, trzy świń. Sadzę dużo okopowych, koniczyn i mieszanek. Konia trzymam jednego, do orki donajmuje drugiego.

W roku 1930 brat zachorował na nogi, leczenie kosztowało około 300 zł. a również dziecko nie było całkiem zdrowe i żona była u le-

*) t. j. Okręgowego (oddziału) Towarzystwa Rolniczego.

karza co znowu kosztowało około 100 zł. Trzeba było i raty z zaciągniętego długu spłacać, a tu to co jest do sprzedania coraz tańsze, natomiast to co trza kupić nawet podrożało. Nie zniżyli też lekarze i jak tak dalej będzie to trzeba będzie zrezygnować z ich pomocy, zresztą ludność wsi już mało z ich dorady korzysta z braku gotówki, to też choruje na wsi dużo ludzi a przeważnie kobiet i dzieci i nie stać ich na lekarza. Chłop płaci podatki, państwo utrzymuje szkoły w której się kształcą lekarze a ci później leczą prawie wyłącznie ludzi bogatych.

W roku tym ograniczyłem wydatki ile się tylko dało. Nie kupuje się już ani mięsa, ani ryżu, ograniczyło się kupno cukru, kawy pije się tylko w święto, herbaty tylko w razie przeziębienia, cukru do potraw się unika, zapalek nie kupuje się wcale, świeci się zapalniczką. Gazet prenumerowałem trzy, teraz prenumeruje jedną, książek nie kupuje.

Pierwiej przed dwoma laty mogłem sobie jeszcze od czasu do czasu iść do sąsiadów na zabawę, co też kosztowało bo wedle zwyczaju u nas jak się do kogoś szło na imieniny czy w święta to się brało choć z pół litra gorzałki. Ja brałem swojego wyrobu wino z porzeczek, jabłek lub czernic robione na miodzie, który miałem swój i gościom smakowało a mnie wychodziło taniej jak gorzałka. Tak samo do mnie sąsiedzi chodzili na gościnę zwykle na Józefa, który jest mojem patronem. Trzeba było jakoś ugościć, więc żona piekła kołaczki, była swoja szynka, kielbasa, swoje wino a przytem przynosili sąsiedzi po ćwiartce spirytusu bo wiedzieli że mam swój miód, to się ten rozpuszczało i rozcieńczało się spirytus i gorzałka była doskonała. Taka gościna dużo nie kosztowała a można się było zabawić.

Bywało że się szło na wesele, bo choćta już takich hucznych jak dawniej ludzie wesel nie robili ale choć skromne to od zwyczaju musiało się zrobić. Mnie dość dużo na wesela prosili krewni i sąsiedzi, być może że dlatego że często przychodzili do mnie, to o poradę w różnych sprawach. Czasem bydle było chore a ja miałem książki weterynaryjne, to jak mogłem to poradziłem, czasem grunt odmierzyć za co płacić sobie nie kazałem, jedynie czasem przy pilnej robocie za to pomagali. Dość na tem, że jakby chciał na te wesela chodzić gdzie mię proszono, toby mi dość pokązną kwotę na rok wyniesło. Trzeba było przed weselem dać z litr masła, sera, z półkopy jaj a i podczas wesela kosztowało, muzyka ze dwa złote, czepiec ze trzy zł. i masz piątkę, a na wsi nigdy ich dużo nikt nie miał.

Prowadziłem rachunkowość rolną, to jest pisałem wszystkie obroty produktami i gotówką, to z końcem roku wydatki na zabawy wynosiły około 50 zł. Roki 1931 i 32 były coraz gorsze. Ten tak zwany „kryzys” (który mojem zdaniem powinien się nazywać wyzysk albo rabunek) coraz gorzej dokuczał, a w tym roku doszło do tego że już nietylko zabawy trzeba było skreślić ale najkonieczniejszych potrzeb muszę sobie odmówić.

Pomimo to że mam gospodarstwo jak przedtem, że mam nienajgorsze urodzaje, że jeszcze inwentarza mi nie zlicytowali, a nawet pomimo dorady byłego ministra Janty Płonczyńskiego, który radził na Radzie Ogólnej M. T. R. w Tarnopolu gdzie byłem delegatem, że gdybyśmy zjedli połowę z tego co produkujemy, to za drugą połowę więcej jak dziś za całość byśmy wzięli, nie mogę sobie pozwolić na ludzkie pożywienie, nie mówiąc już o prymitywnych potrzebach kulturalnych.

Mam budynki jeszcze po Ojcu, to jest dom mieszkalny, stajnię, którą spłaciłem i stodołę, którą muszę spłacić. Dom mieszkalny potrzebuje koniecznie reperacji, niema za co. Miałem dwa wozy i wózek wyjazdowy, jeden wóz się rozlaźł całkiem a drugi się rozlaźi i niema za co poprawić. Ta sama rzecz z innymi narzędziami rolniczymi, co mogę poprawiam sam, czego nie dam rady, musi zostać bo niema czem płacić. O nowych się nie myśli.

Skradli mi złodzieje uprząż na konie, bo kradną teraz co się da a policja nie może ich wysledzić, podobno niema czasu na to. Porobiłem zamknięcia do stajni, komory ale się to na dużo nie przyda, bo mogą całe drzwi wywalić, bo tak robią, a jeżeli kto usłyszy i wyjdzie, to go kołem po głowie i rękach i nietylko go okradną ale do tego zbiją a czasem i ręce połamią. Wsi naszej wartuje stale dwóch ludzi ale tych także już złodzieje obili, zresztą tych wypatrzą gdzie są i idą w drugie miejsce kraść. Ludzie pilnują się i sami, gdzie jest więcej ludzi w domu to na zmianę całą noc pilnują. Kradną już i konie, wozy, bydło, świnię, nie licząc kur, zboża, ubrań, prawie każdy tydzień kogoś we wsi okradną. Uprząż sprawiłem nową, zamykam w komorze. W tych warunkach wiedza i energja na nic się nie przydaje, ręce same opadają.

Bracia i siostry siedzą dalej przy mnie, bo choć czas kazuje by swoje gniazda zakładali, to w tych warunkach nic nie poradzi.

Ja mam dwoje dzieci, jednemu pięć lat, drugiemu trzy, ale dokąd tak jak jest będzie, to choć jegomościem kłopot, trudno się o więcej starać. Życie ograniczyliśmy do ostateczności. Wieprzka

w tym roku już nie zabiłem, czasem tylko słoniny się kupi. Drób wszystek idzie na sprzedaż. Mleko pełne dzieci piją i my starsi latem na podwieczerek, do gotowania bierze się chude z pod wirówki. Jajko czasem w lecie żona do ciasta wbiła i to musiałem jej tłumaczyć, że jeżeli nas mają djabli wziąć to nas wezną choćbyśmy i jednego jajka nie zjedli. Cukru w tym roku tylko na wielkie święta żona kupiła. Teraz w jesieni zrobiliśmy melasy z buraków cukrowych, tak samo zrobiło się na tej melasie z gorszych jabłek marmolady i doskonale się udała. Wprawdzie kłopotu z wyrobem melasy to jest trochę, ale za to marmolada smakuje.

Potraw ze zboża to u mnie do tego czasu je się dowoli, jednak do młyna się nie wozi a miele się w żarnach kieratowych. We wsi mojej dużo ludzi na przednówku głód cierpiało. Do mnie to ciągiem przychodzili, by choć parę litrów zboża czy ziemniaków pożyczył. Pożyczałem dokąd starczyło. Przychodziły i dzieci głodne, to tych musiało się pożywić. Pewnego razu przyszedł siedmioletni Kowalszczyk, żona dała mu kromkę chleba z mlekiem by zaraz zjadł a na późni i dla drugiego co w domu został dała duży kawałek chleba, ten jednak zjadł to pierwsze a późni zjadł i to co do domu miał zanieść. Dziwiliśmy się że taki chłopak tyle potrafił zjeść. Z pewnością głód taki apetyt sprawił.

W tym roku nie mam co sprzedać, bo zeszyły był suchy, musiałem wysprzedać nadwyżkę w inwentarzu bo nie było czym chować. Miałem dwie świny do sprzedania ale jedna zdechła a za drugą mało co wziąłem, bo szalenie teraz staniały. Trzeba kupić prosięta i mało co zostanie. Krowy teraz dość mleka dają ale co z tego kiedy tanie, dziesięć groszy litr płacą. Zboża mam coś do sprzedania ale do prawdy żal dać za pół darmo. Coś lepiej płacono w tym roku za owoce. Gdyby mi stary sad nie był wymarzył w te ciężką zimę toby się coś wzięło, a z tego co zostało dużo owocu nie było, ale co było sprzedałem by się choć trochę opędzić z wydatków. Jedyne parę garncy zostawiłem dla dzieci, my starsi musimy się obejść bez owocu, pomimo że się miało swoje, bo to dziś także luksus dla chłopca na wsi.

Ponieważ urodzaje miałem niezłe to z wyżywieniem jeszcze pół biedy, gorzej z okrywką, a jest nas do okrycia sześcioro dorosłych i dwoje dzieci. Ja z żoną nosimy ubrania te co dawniej się kupiło, łąta się, naprawia, nicuje, ale siostry które są już dorosłymi pannami chcą się choć od święta jakoś ubrać, no i trzeba zaznaczyć że starych ubrań nie mają, bo dopiero w tych ciężkich czasach podorastały, to

też z nimi nie wiem co poradzić. Takie dziewczęta nie rozumieją, że niema pieniędzy, skąd wziąć to ją nie obchodzi. Masz kupić, bo ja tu pracuje a przytem jestem w pewnej części współwłaścicielem gospodarstwa, to się mi należy. Z tego powodu często swary w domu powstają. Mówię jem, że ja już rady nie dam, to sobie róbcie co się wam podoba, idźcie na służbę, bierzcie grunt, który wam się należy. Jednak nie idą, bo gdzie pójdą. Aby uniknąć kłótni, a zresztą widzę konieczną potrzebe bo trudno mają gołem ciałem świecić, od czasu do czasu coś z ubrania dla nich się kupi.

Ażeby jak najmniej na ubrania wydać, kupuje się materję z których siostra szyje sukienki dla dziewcząt i bieliznę dla nas, brat znowu robi obuwie. Nigdzie tej roboty szewskiej nie uczył się. Z początku robota nie szła, teraz robi możliwie. A zaoszczędzi się na tem bo zużyje się każdy kawałek starej skóry z obuwia.

Żona ustyguje cięgiem że ją coś w boku, to w krzyżu boli. Widać że nie jest zdrowa bo źle wygląda. Jednak ja jej tłumaczę, że to nic wielkiego, że to tylko coś wlażło a jak wlażło to i wylezie samo. Cóż mam robić, kiedy lekarz kosztuje, jedna wizyta 10 złotych, a lekarstwo może jeszcze więcej, a ja na to już nie mam skąd wziąć. Zalegam już nawet z procentami tak w kasie Stefczyka jak Zaliczkowej, zalegam z podatkiem. Ograniczyć wydatków już się nie da.

Miałem w roku gospodarczym 1932 na 1933 dochodów gotówkowych. (Obliczenie pobieżne):

za tłuszcz z mleka z litrów 4.800 po 8 gr. za litr	304 zł.
za sprzedane zboże 8 metrów po 17 zł. za 100 kg.	136 „
za sprzedane dwie szt. świń	140 „
za sprzedaną starą krowę	40 „
za sprzedaną jałówkę	80 „
za sprzedane jajka od kur 1500 szt. po 4 gr.	60 „
za zarobkowanie uboczne	30 „

Razem w dochodach w gotówce . . . 790 zł.

Wydatki w przybliżeniu w tymże roku wynosiły:

Procentu od 1200 po 10% i 2% administracja	144 zł.
podatki bezpośrednie, państwowy czyli gruntowy drogowy, wyrównawczy (według kwitów)	97 „
składki na wartę wsiową, kościelną i poprawa kościoła	
wybirana z morga	25 „
nawozy sztuczne (bez nich gospodarzyć trudno)	115 „

bielizna dla 8 osób po 10 zł. na osobę	80 „
obuwie po 15 zł. na 6 osób	90 „
ubrania świąteczne i codzienne dla 6 osób po 40 zł.	240 „
medycyna dla ludzi i zwierząt	25 „
tłuszcz (okrasa do potraw)	60 „
sól	20 „
opał	85 „
uprząż (spowodu kradzieży)	50 „
kucie konia, naprawa siewnika, pługa, bron	38 „
kupno dwóch prosiąt cyckowych	30 „
<hr/>	
Razem wydano w gotówce	1099 zł.
Niedobór za zeszły rok wyniósłby	309 zł.

Na nic się przyda wszelka ekonomja, bo dochodów podnieść się nie da, a wydatki zmniejszyć również już trudno. Zamiast by się dług zmniejszył podnosi się. Zarobków niema nigdzie, jeżeli obszar-
nik potrzebuje donajac (płaci 80 gr. bez utrzymania) to ma bied-
niejszych od nas aż za dużo. Gruntu nikt nie kupi bo nikt gotówki
niema. Więc jestem w sytuacji bez wyjścia.

W tym roku zasiałem konopi to na przyszłość będziemy prząc
i na stary system ubrania robić. Z tem bieda że teraz już tych robót
nie umiemy. Wprawdzie bieda wszystkiego uczy. Ja nauczyłem
się teraz bednarki. Naprawiam cebrzyki, konewki. To samo z ro-
botami blacharskiemi, naprawiam garnki, blaszanki na mleko. No-
wych kupić niema za co. Ze światłem jest gorzej bo przy łuczywie
czytać lub pisać się nie da. Wieczory zimą długie. Trudno doleżeć
całą noc. To też często siedze i czytam przy naftowej lampie, cza-
sem i do dziesiątej wieczór. Z tego powodu przychodzi często do
kłótni z żoną, która mi wyrzuca że świece lampe niepotrzebnie, że
wydaje pieniądze na nafte, a na omastę nie mam. W innych domach
jest tak samo a nawet jeszcze gorzej, z tem oświetleniem. Z wieczora
mało gdzie się świeci, świecą późni podczas dojenia krów i podwie-
czorku. Rano prawie że nie świecą z wyjątkiem niedziel adwent-
owych kiedy to na roraty się zbierają.

Do tych utrapień dochodzą i inne. Ja naprzykład od paru lat
figurowałem jako dostawca szutru na drogę powiatową, ale rzeczy-
wiście sam dostawcą nie byłem, bo braliśmy dostawę wspólnie. Za-
wsze było wszystko w porządku. Aż tego roku przychodzi bym za-
płacił ubezpieczenie od wypadków. Odpisałem jaka to dostawa była.

Zdaje się pomogło. Za dwa tygodnie przychodzi nakaz bym płacił podatek przemysłowy od tej dostawy, późni nakaz wykupna świadectwa przemysłowego i kara trzykrotna za niewykupienie go w czasie.

Zrobiłem odwołanie, podpisali i ci współdostawcy, opisałem że to nie było żadne przedsiębiorstwo, bo my razem wozili. Ile się każdemu należało wypłaciłem każdy dostał sześćdziesiąt zł. bo było nas dwunastu, dostawa cała wynosiła 720 zł. więc ja osobiście na tem nie zarobił więc z czego będę płacił. Nic nie pomaga sekwestrant przychodzi zajmuje rzeczy. Poszedłem do urzędu w tej sprawie, nic nie pomoże mówili trza płacić.

Zwołałem tych współprzedsiębiorców, przedstawiłem jak sprawa stoi, proponuje by mi wspólnie zwrócili ten podatek i tę karę. Orzekli że to niesłuszny podatek i kara, zresztą nie mają pieniędzy. Mówię im że mnie zato rzeczy sprzedadzą. Odpowiedzieli bym dał znać jak będą chcieli zabierać, to oni nie dadzą. Trudno do tego dopuścić, bo wiem czem to pachnie.

Za brata (który stracił co miał, a teraz bez środków do życia siedzi u mnie) przychodzi również sekwestrant za podatki i fantuje moje rzeczy. Zwracam mu uwagę, że to moje a ja choć brata teraz utrzymuje, to jednak nie jestem obowiązany podatków płacić za niego. Ale ten mówi, że on zrobi swoje, a ja mogę wnieść wyłączenie. I znowu mitręga, trzeba pisać, chodzić.

W robocie społecznej również źle. Zarząd Okręgowego T. R. którego byłem członkiem rozwiązano zato, że tenże nie chciał polityki pewnej partji kontynuować. Z Zarządu Okręgowego Związku Młodzieży Ludowej sam ustąpiłem, bo tam również weszli ci ludzie z polityką wrogą wsi. Bronilem dokąd mogłem apolityczności, wkońcu się nie dało, wleźli i wstyd z nimi było siedzieć.

Młodzież jednak także zrozumiała jaka robota u góry, przygotowuje się przejść do Związku Młodzieży Wici. Koło Młodzieży w mojej wiosce już to zrobiło. Ja czasem na zaproszenie młodzieży idę czasem na pogadankę do nich. Mówię na tych pogadankach, że wieś chcąc się dźwignąć, musi się uczyć, nie trzeba się oglądać na inteligencje, jak nauczycielstwo ludowe, ani duchowieństwo, bo to dziś zawiodło, ale sami musimy się jakoś ratować. Mówię że każdy ma prawo do życia, że chłop jest człowiekiem, tak jak i pan ze dworu czy z miasta, jak i ksiądz, że chłop nie powinien karku giąć przed nikim, że musimy życie społeczne oprzeć na miłości bliźniego, że się trzeba organizować spółdzielczo, by się oprzeć wynaturzonemu ka-

pitalizmowi. Zalecam młodzieży, by czytała pisma młodzieżowe Wi-ci, Znicza, Młodą Myśl Ludową. Zato niektórzy z nauczycieli orzekli, że propaguje ateizm połączony z komunizmem, a nawet doniesiono o tem mojemu proboszczowi, który mię wezwał w tej sprawie i usiłował nawrócić. Najgorszy występki dla niego to był ten, że rozszerzam te powyższe gazetki. W rozmowie z proboszczem okazało się, że powyższych gazetki nie czytał, więc nie może wiedzieć w jakim duchu są pisane, a na moje przekonania orzekł że są za radykalne jeszcze na wieś, że młodzież może nie rozumieć jeżeli nauczyciele nie zrozumieli. Pomimo to że jestem rzekomo ateistą wybrano mnie do komitetu poprawy kościoła bo się rozłązi.

W zeszłym roku jak chłopci postanowili zmanifestować przeciw kartelom strejkami rolnym a mnie wybrali w naszym powiecie przewodniczącym komitetu strejkowego. W ten czas ja organizowałem jak najlegalniej ten strejk. Nie przyszło nigdzie do wykroczeń przeciw prawu. Jednak uznano moją robotę za podburzającą, i za nic mam płacić karę a już odsiedziałem areszt. Nie szkodziło to jednak by władze zwróciły się do mnie celem zachęcenia młodzieży, by ta gremialnie brała udział w tym roku w święcie morza. Co też zrobiłem bo jak pierwiej tak i teraz uważam, że państwo jest nasze, że chociaż teraz może jesteśmy traktowani gorzej jak po macoszemu, to jednak mamy prawo domagać się i wywalczyć sobie należne nam w tem państwie stanowisko.

Wiem że państwo to nie pewna partja, ani nawet obecne pokolenie, bo państwo jest dłuższe, jak życie człowieka. Nie jest winne państwo, że znaleźliśmy się dziś w tej nędzy, jest w tem i naszej winy dość dużo, bo jeżeliśmy potrafili wywalczyć i obronić, to powinniśmy w nim odpowiednie stanowisko i ludzki byt sobie zapewnić. Mam zresztą nadzieje, że to co jest minie, że sprawiedliwość nastąpi. Że nas chłopów nie potrafi nikt zjeść. My prędzej jak kto inny wytrzymamy. Wytrzymali nasi ojcowie gorsze ciemniejnie przez szlachtę, ta już prawie zginęła, a my są, to i będziemy. Z pewnością nikt z tych co nas dziś gnietą nie przyjdzie mojej ziemi uprawiać, ale prędzej czy później udławi się naszą pracą i krzywdą.

My wytrwamy, tylko trzeba pracy nad uświadomieniem rzesz chłopskich, by prędzej przyszło to, do czego nas nasze zasługi nad odbudową państwa i liczba uprawnia, to jest P o l s k a L u d o w a.

Dn. 19 grudnia 1933 r.

Gospodarz na dwóch gospodarstwach w oddalonych od siebie miejscowościach w pow. łańcuckim

Urodziłem się w roku 1893, 27 kwietnia we wsi Brzoza Stadnicka, powiat Łańcut, najmłodszy z rodzeństwa bo z rzędu dzieciąty. Gdy przyszedłem do pamięci zostało nas tylko czworo, dwie siostry najstarsze, brat starszy odemnie dwa lata i ja, reszta pomarło w jednym tygodniu na epidemję szkarlatyny w czasie nieobecności ojca, ponieważ tenże wyjechał w inne okolice do roboty t. z. gontów na krycie dachów.

Ojciec mój był to człowiek biedny, ale stateczny i zapobiegliwy, posiadał bowiem cztery morgi ziemi piaszczystej, bardzo lichej na której rodziło się żyto i lubin, ziemniaków bardzo mało sadzili ponieważ tak rosły, że trzeba było ładnej pogody, ażeby ich w ziemi odnaleźć. Siostry obydwie gdy wyszły zamąż, dostały od ojca pewną spłatę w posagu i wyjechały do wschodniej byłej Galicji, powiatu Przemyślany. Ziemi tam bardzo dobre więc dobrze się im powodziło. Zostaliśmy więc w domu obydwaj z bratem. Ojciec poryślał brata do gimnazjum w Rzeszowie, które ukończył z dyplomem celującym, wobec tego dostał stypendjum i ukończył Akademię rolniczą w Dublanach, gdyby był bowiem stypendjum nie otrzymał, ojciec niebyłby w stanie posłać go do Akademji rolniczej. Po ukończeniu szkoły rolniczej w Dublanach w r. 1912, poszedł do wojska, obecnie jest nauczycielem gimnazjalnym w Mikołowie na Górnym Śląsku.

Ja zaś ukończyłem klas cztery szkoły powszechnej w Żołyni, ponieważ w naszej wiosce była szkoła dwuklasowa i zostałem w domu pomagać rodzicom w gospodarstwie, jak również borykać się z losem, na nakładanie na brata w gimnazjum w Rzeszowie, praca to była częściowo na roli, częściowo na zarobkach u ludzi zamoż-

niejszych, a przytem przy marnym warsztacie, który dawał jednak dobre dochody, zimą robienie sanek, a latem drabiny i literki do wozów. Tak zeszło do roku 1914, kiedy doszedłem do klasy poborowej, po poborze do wojska, ojciec zmarł w roku 1914, mając lat 64 w kwietniu, zostawiając majątek podwojony, lecz z długiem w kasie Reifeisena w Żołyni przeszło 2.000 koron austryjackich, ja zaś na mobilizację poszedłem do wojska, zostawiając matkę staruszkę samą w domu, która też na wiosnę w r. 1915 umarła, zostawiając całą gospodarzkę na pastwę wojny. Ja z bratem zostaliśmy na wojnie, opisywał o tem nie będę, dość że brat Paweł dostał się zaraz na początku wojny pod Lublinem do niewoli rosyjskiej, zagnali go do Tazskientu i tam prowadził spokojny żywot. Ja znowu borykałem się prawie całą wojnę, stale na froncie rosyjskim, w roku 1916 zostałem ciężko ranny (ofenzywa na Wołyniu) w nogę kulką pękającą. Wojnę wobec tego miałem zakończyć w szpitalu, los jednak chciał inaczej, wnet bowiem się wyleczyłem i po roku znowu znalazłem się na froncie. W roku 1918, kiedy Austrija się rozpadła, byłem z pułkiem 90-tym w Rosji w Jelizawethradzie. W dniu wyjazdu do byłej Galicji silnie zachorowałem, nie chciałem jednak zostać tam w szpitalu, koledzy zabrali mnie na pociąg, podczas jazdy miałem kilka dni silną gorączkę, tak że straciłem pamięć na dni kilka. Gdy bataljon nasz dojechał do Wołoczysk (dawna granica austriacka) ukraińcy rozbroili nas, żołnierzy odtransportowano do Podwołoczysk, a ja zostałem bezsilny leżeć na pociągu w Wołoczyskach. Gdy ukraińcy zauważyli mnie, a dowiedziawszy się że Polak, wyrzucili mnie z pociągu na tor kolejowy w koszuli. Pan Bóg nie dał mi i tu zginąć, może dlatego że nie miałem do kogo wrócić, siostry bowiem w czasie wojny obydwie zmarły, brat był zaginiony. Przyšli jacyś lepsi ludzie, chociaż również ukraińcy, a widząc chorego ubrali mnie, wynajęli furmankę i odesłali do Podwołoczysk ze swoim bataljonem, tak z biedą i nędzą, z przysięgą zemsty ukraińcom, dostałem się do rodzinnej wioski, do pustej rodzicielskiej chaty, do okien zabitych deskami, ponieważ sam mieszkać tak nie mogłem, gdy doszedłem cośkolwiek do zdrowia zgłosiłem się znowu jako ochotnik do wojska polskiego w Jarosławiu do pułku 9-tego, później przetrworzonego na 14-ty, założony przez pułkownika Jarosza. W pułku tym walczyłem stale na froncie 15 miesięcy, zwolniony z wojska w roku 1920 wróciłem znowu do domu, odbudowałem zniszczony dom, ożeniłem się z dziewczyną sąsiednią i założyłem gospodarstwo, żona w posagu wniosła marną

wyprawę, krowę i dwie morgi gruntu. Z początku gospodarowanie szło nam bardzo dobrze, bezdzietny do pracy szedłem razem z żoną, tembardziej, że chociaż początkowo na poprawę gospodarstwa częściej się zadłużyłem, to spłata długu przy dewaluacji pieniądza poszła bardzo lekko, tembardziej, że byłem gospodarzem na dziesięciu morgach ziemi, a ziemie dokupione i żony lepsze były od ojcowizny. W roku 1921 brat wrócił z niewoli rosyjskiej, nie wiedząc o tem czy wogóle ja i matka żyją, zastał gospodarstwo wzorowe i odbudowane, przypadającej na niego części dziedzicznej nie zabrał, ale tymczasowo zostawił dla mnie, sam zaś poszukał sobie posady, najpierw na folwarku obok Kończugi, później w magistracie w Lublinie. Nie bardzo jednak mu się to podobało, został nauczycielem gimnazjum prywatnego w Kozienicach, skąd przeniósł się do gimnazjum rządowego w Mikołowie na Górnym Śląsku. Wnet po powrocie brata w roku 1922 żona powiła nam bliźniaki, chłopca i dziewczynę, życie naraz się zmieniło, musiałem wziąć służącą, gospodarstwo całe przybrało inny charakter, przestało rosnąć, zwłaszcza że żona dłuższy czas chorowała, ale ponieważ wtenczas czasy były dla nas rolników korzystne i chociaż grunt nietęgi, ale dobrze uprawiony i podsilony silnie nawozami pomocniczymi rodził wyśmienicie, brat również dopokąd nie był żonaty dopomagał gospodarować i jakoś szło, po latach kilku zostałem ojcem pięciorga dzieci, trzech synów i dwie córki, najstarsze bliźniaki chodzą do klasy szóstej, młodsza dziewczyna do klasy 4-tej i chłopiec do klasy 2-giej, najmłodszy zaś lat cztery zostaje w domu. Dzieci chowają się zdrowo i uczą się bardzo dobrze, przez nich jednak padłem ofiarą, ponieważ chciałem ich cośkolwiek kształcić, a nie mając na to funduszu postanowiłem się przenieść bliżej miasta, ażeby mieć możliwość wysyłać ich z domu. W tym celu kupiłem niedaleko Leżajska (na Gilershofie) siedem morgów dobrej ziemi po cenie 2.475 zł. za morg austriacki, kupca na swoje na Brzozy narazie nie miałem, więc sprzedałem tylko łąkę, za którą wziąłem 3 tysiące złotych, resztę pożyczylem u byłego wtenczas amerykana na przeciąg trzech lat z 6%, sądziłem bowiem, że w tym czasie uda mi się swoją realność sprzedać, nieszczęście chciało, że w międzyczasie grunta potaniały więcej nad połowę tej ceny, procenta rosna i zdaje się, że jeżeli czasy się nie zmieniają, to w roku 1934 będzie przez dłużników moje gospodarstwo zlikwidowane, w tym miesiącu sprzedała żona swoją ojcowizną dwumorgową za cenę 2.100 zł., starczy to zaledwie na procenta. Obecne gospodarstwo nasze przedstawia się marnie, inwentarz

nietęgi, jeden koń, dwie krowy, jeden buhaj, jeden cielak i trzy świnie, jedyny dochód to pasieka, której mam 30 pni, po wojnie rozmnożyłem sobie, ale z początku jeden pień, dopiero tamtego roku doszedłem liczby 24 pni, teraz zazimowałem 30 pni i siedem pni sprzedałem na wiosnę, jest to poważna gałąź gospodarstwa, okolica niezbyt dobra, ale lasy są niedaleko i hreczki sieją u nas w większej ilości. W tym roku, rok marny, jednak pień dał przeciętnie około 12 kg miodu. Miód zaś mój ma reklamę bardzo dobrą i sprzedaje go zawsze wyżej od ceny targowej, dużo jednak wyekspendowałem na robotnika, gdyż ten mnie kosztuje drogo, bo zbieram to pole pod Leżajskiem, a oddalone o 15 klm. od Brzozy (tam gdzie mieszkamy), (obornika tam nie wożę, sieją sztuczne nawozy), w dzierzawę zaś nie wypuszczam, ponieważ szukam i czekam na kupca, ażeby go odsprzedać chociaż ze stratą. Dzieci zaś wysyłam do Żołyni do klasy 6-stej ponieważ w naszej wiosce jest szkoła tylko czteroklasowa, a biegają codziennie z domu 5 klm. do Żołyni. Dom mieszkalny mamy wspólny z bratem, zajmuję go jednak sam, dwa pokoje i jedną kuchnię, i szpizarkę, dwie stajenki i stodołę.

Dzieci, pomimo zdolności na dalsze nauki posyłać nie myślę, ponieważ w tych ciężkich warunkach i myśleć o tem nie mogę, odmawia sobie człowiek wszystkiego, chodzi obdarty, dzieci bez książek, gazetkę przeczyta tylko przypadkowo, gdy jaka w rękę wpadnie i nie wie, co się w świecie dzieje, żyje się tylko nadzieją, że czasy się może zmienią, dla mnie najbardziej trzeba, ażeby ziemia wróciła do dawnej ceny, człowiek kocha ją, pracuje na niej, i przez nią ginie, praca to brudna, trudna i żmudna, mało popłacająca, lecz dla nas miłośników ona wszystkim, a praca przecież nie poniża, nie wiem jednak, czy w przyszłości zostanie się nam ten zagon.

W domu na gospodarstwie odmawia się obecnie wszystkiego, cukru wcale się nie używa, tylko na wielkie święta, a nawet sól również oszczędnie, bo droga, o zapałkach szkoda mówić, kobiety z domu do domu ogień przenoszą, używając zapalniczek, albo hubki, ja zaś dzielę zapałki jedną na dwie, albo nawet cztery, nafta i lampa u nas to luksus, bo przecież niemożliwe, nastają czasy, jak nasi dziadowie opowiadali. Świeci się szczypami drzewianymi, ja jednak marzyłem, że dożyje świecić światłem elektrycznym, na przyszłość widoków żadnych, wprawdzie są niektórzy, którym powodzi się nieźle a mianowicie kto ma gotówkę uciulaną za czasów lepszych, niema dzieci, oszczędny jest, ten jakoś tam z dnia na dzień żyje. Żyje się również źle, nawet nie do uwierzenia, rolnik który produkuje, chowa

świnie, kury, i to oddaje za bezcen, bo musi a zjeść nie może, żyje się przeważnie ziemniakami, kapustą, chlebem i mlekiem — latem, bo zimą go brak. Ziemie u nas marne, buraki i marchew się nie rodzą, koniczyna wcale, a o słomie trudno ażeby krowa dawała mleko, na otręby i makuchy zaś nie stać małorolnego, bo skąd weźmie, są okolice lepsze, gdzie rosną koniczyny, buraki, tam pozakładali i mleczarnie, więc może dokupić i otrąb czy makucha, stać go na to, gdyż ma z krowy dochód, zaś nasze marne okolice marnie stoją, wydatki są codziennie, dochodów żadnych, krowy gdy lepiej się doją, sprzedałby mleko niema kto kupić, świń dochowa się dwie rocznie, to cały dochód, trzecią się zabije na omastę, za te dwie osiąga się cenę około 200 zł., trzeba znowu kupić trzy, wydaje się koło 50 zł., zostaje roczny dochód 150 zł., zapłacić podatek, ubrać się, kupić sól, naftę, cukier, a ludzi siedmioro, kur chowam przeważnie sześć, ponieważ mieszkam pomiędzy zagonami, a te robią szkody, gęsi i kaczek nie hodujemy. Opisywania dużo, jednak wszystko ginie, ponieważ mało człowiek pracuje piórem, lecz może cośkolwiek i tem przyczynię się do zobrazowania życia chłopca na wsi małorolnego, spodziewam się, że cokolwiek pominę ja, to inny uzupełni i zobrazowanie życia naszego przedstawi się w całokształcie.

Dn. 28 listopada 1933 r.

Pamiętnik Nr. 51

**Gospodarz sześciomorgowy w
pow. buczackim**

Jak wygląda życie i troski w czasie kryzysu
u małorolnego

Byliśmy świadkami i uczestnikami rzemiosła wojennego, skąd właśnie początek naszego losu. Tu już widzieliśmy jakie skutki działa niesprawiedliwość sądzenia świata. W nieszczęściu zapominaliśmy o cierpieniach, bo zawsze świeciła nam złota gwiazda wolności. Jak gdyby okolicznością dzikiego prawa wiele narodów na różny sposób urządziło igrzyska mordowania ludzkiego życia na naszej ziemi, nie tylko to co na powierzchni było, ale i ziemię, pole, ogrody, ten warsztat nasz skopali, zdziwaczyli dołami, rowami niedopoznania, a zaścielili trupami, żelazem i drutami, a po skończonej zabawie opuścili jak gdyby ze wstrętu to miejsce, to pobojozwisko. To nasza Ojczyzna... Rolnik złożywszy broń wojenną rozglądał się smutnie po swoich zagonach, a zamiast zagrody zostały mu zgłiszcza. Ocknął się i odczuł w duszy, że jest nie tylko obywatelem, ale właścicielem tej biednej sponiewieranej Ojczyzny. Dodając sobie otuchy całym pędem swej siły i mozolną pracą a brakiem sposobu i narzędzi buduje zagrody, uprawia pola, a spieszy się, bo dla wszystkich brak chleba. A przy tej pracy, jakby procent nędza dodać chciała, tysiące drutów zardzewiałych wbiło się w bosc stopy rolnika, a pozostałe granaty ukryte w ziemi trącone żelaziwem od pługa w czasie orania, trzaskając zabijały bezbronny człowieka, Fala cierpień wojennych przeróżnych, bo nieszczęście tu wspomniane, zaczęły przygasać. Nowy alarm jakby zmora wysuwa się znowu na naszą dolę — wojna celna, kryzys, niech żyje kryzys! wołają niektórzy, a 75-procentowy naród nasz szeptą, najprawdziwszy to jest

wyzysk. Jeżeli to kryzys, to chyba po to, aby na ostatni kres zepchnąć rolnictwo, skąd reszta rolnictwa sama w przepaść runie. Jeżeli to wojna celna, dlaczego nie na wszystkich? Jeżeli wyzysk, dlaczego bez sumienia i tak bez miary?

Rozpacz ogarnia człowieka!

To grzech o pomstę wołający do nieba: Ojczy! Piotrze Skargo! Wstań prosimy i zobacz, że jesteś potrzebny lub natęchnij kogoś swoim duchem z pośród ludu na miejsce swoje, aby się opamiętał żywioł, który nas gnębi. Chleba zawiele a my rolnicy półgłodni, a są i głodni. Ubrania, obuwia, opału w Polsce dużo, a nam zimno i nędza nas kęsze. My w wilgotnych chatach półnędzy trzęsiemy się od zimna. Niemiła nam już i praca, która nad życie kochana była. Z wolą Najwyższego cośmy najwięcej związani byli jakby nie sprzyjała.

Natura i przyroda co wschodem słońca zawsze nas witała, już się nie uśmiecha. Wogóle niema życia — zgasła nadzieja. Jak ciężko się żyje, to rzecz nie do opisania. W innych sprawach są podręczniki i formularze, brak w tej sprawie tego, dlatego też może nieco nieformalnym będzie. Powiada ktoś, że „chłop za dobrych czasów rozpanoszył się, a teraz narzeka”, ptasi rozum ma i niema pojęcia co to rolnik i jego praca. Gospodarka to warsztat rolnika, który w obecnej dobie stał się ciężarem, gdyż wydatki są większe od przychodu. A co z obsługą się dzieje? zaznaczam tu małorolnego. Mimo wszystkich sił, pracy i myśli troskliwej upada!

Zawsze, prędzej czy później buduje budynki gospodarskie, z braku gotówki stawia je liche, a i nietrwałe — co jedne kończy budować, to drugie się wałą, a koszta choć niewielkie a zawsze są i strata jest, co braknie to się pożyczą. Inwentarz żywy i martwy musi być, bo bez tego gospodarka nie mogłaby istnieć!.. Mając naprawdę rzetelnie składający się inwentarz: dwie krowy, jednego konika, dwie trzy świnki i kilka kur — szczęście wielkie jeżeli byłby to własny, a nie częściowo za pożyczane pieniądze. Inwentarz — są to właśnie pomocniki i pośredniki naszego dochodu. Trzeba sieczkarni — kosztuje tyle co jedna krowa, szkoda krowy, możeby trochę zboża sprzedać, reszta na kredyt, może później urodzone cielę, może którą świnkę się sprzeda. Wozu niema, za krowę nie kupi — a konia nie sprzedać, bo naco wozu, świnkę sprzedać, trochu pożyczyc, pług konieczny, choćby lichy 45 złotych trzeba dać, to jest cztery cetnary żyta — czy sprzedać ostatki i resztę pożywienia — źle, trzeba znów pożyczyc — takich rzeczy dużo i liczyć się nie chce nawet, bo aż

głowa wkoło chodzi. Co konieczne — nato nie wystarcza — a to co najkonieczniejsze a zdobyć nie można, tu rolnik narzeka i biada bo przez te braki dzieje się mu krzywda i jeszcze większa strata. Gospodarka nieustannie zawsze i ciągle potrzebuje przyjaciela, to jest dobrego gospodarza, który warsztat swój zawsze poprawia, co połączone jest z kosztem, to jest z wydatkiem pieniędzy, które otrzymujemy tak nieproporcjonalnie do wartości wyprodukowania. O pieniądzu jest tak trudno, że inni mają go zawiele. Porównanie rolnictwa z handlem i przemysłem jest zupełnie przeklęte — jak sobie radzić aby żyć? Podłogi w stajniach i chlewach często się psują, a przecież nie można aby w błocie niszczył się inwentarz, a tu nie tylko o deski, bo drogie, ale gwoździ kupić niema za co. Chować źle, nie chować jeszcze gorzej. Chata zwykle zrobiona z błota, co można się spodziewać — także bez podłogi — stęchlizna i wilgoć. Stajnie podobne — a stodoły marny los najczęściej bez ścian, bo kupić niema za co. W zimie pożał się Boże! w lichem ubraniu, w kiepskich buciętach wyjdzie się brać słomy albo sieczki, zawsze najpierw w śnieg włoży się ręce, bo burza nie szczędzi, napcha w każdą dziurę. Gorzka i młocka cepem w takiej stodole. Pies bez budy siedzi — żal go i szkoda a co poradzisz. Marny wychodek był z desek, a teraz ze słomy — z tych desek zrobiło się stół do chaty a z tego stołu później drzwiczki do chlewka i to świnka zgryzła. I znowu konieczna potrzeba stołu i drzwiczek — trzeba pożyczyć a kupić, bo świnka wyłazi. Przy całej gospodarce jedno wiadro jest całą obsługą. Tem jednym wiadrem nosi się wodę do kuchni, poi się konia i krowy, tem samem wiadrem świniom wynosi się karme, tem samem czerpie się wodę ze studni. Wóz i pług na deszczu gnije, niema go gdzie przytulić, bo wozowni niema i postawić niema za co. Gotowanie karmy dla świń, ugotować niema w czym, w baniaczkach i garnuszkach najczęściej w tych co gotuje dla siebie, zemści gospoia, biedna narzeka. Z takich różnych powodów składa się nędza. W oknie szyba się mi zbiła, w stajni stłukły się okienka, dużo zimna wiatr nawieje nim na szyby się zdobędę. Rolnik sadek kochać powinien ale wychować go bez ogrodzenia to sztuka — to bydłatko ułamię, zając ogryzie, mróz omrozi, wicher ułamię a wypadnięte miejsce, gdzie brakuje drzewka brzydko i smutnie wygląda. Takich miejsc sam mam trzymaście. Nie mogąc ścierpieć widoku tego, a sposobu żadnego już niema, — chwytam się żebraczego kija — nieśmiało wprawdzie, spotykam znajomego uczonego człeka uskarżając się na nędzę i brakujące drzewa — nie powtórzyłem dwa razy prośby, bo

widocznie odczuł i z chęcią mnie zrozumiał i osiem sztuk obiecał — takich wyjątków jest bardzo mało. Asekuracje i podatki, których jest przeszło 90 kategorii prawie w całości opłaca rolnik, bo od mało której jest wolny, np. kupując towar u kupca przy cenie tej równocześnie policza kupiec podatek handlowy, wogóle kupując czy sprzedając zawsze opłacamy podatek handlowy i przemysłowy. Z tych różnych opłat robią się braki, a co koniecznie brakuje to się pożyczają — w wypadkach jednych i drugich napożyczało się dosyć, ale za to komornik do wioski jak na wesele zdąża, a kadra egzekutorów powiatowych co czternaście dni patrol wysyła. Trzy złote kosztuje wizyta egzekutora, półtora złotego upomnienie — razem cztery i pół złotego płaci kary za to, że zubożał i niema czem płacić. A tych kosztów bardzo człowiek się obawia — może pożyczycy, biegnie do miasta i tak w drodze się zastanawia, do miasta — niema pogo — do domu wracać niema czego, bo egzekutor czeka — gdzie się podzieję — rozstąpi się ziemia — tak sobie wzdycha. Danina majątkowa odemnie sześciomorgowego gospodarstwa żądana dlatego, że spadkobiercą zostałem lat 13 mija, sześć lat prawie jak geometra podzielił ojcowiznę a władza ciągle na imię ś. p. ojca nakazy przesyła — ja sam już ze spadkobiercy na spadkodawcę awansuję, a nie znalazłszy zrozumienia czy mam orężną stawić obronę.

Mocny Boże, jak ciężko i dręcząco dokuczają te braki i zaległości — ach! gdyby tak można własnymi kawałkami ciała spłacać zobowiązania, z chęcią bym to zrobił, aby się wykupić od prześladowania. Okoliczność terażniejsza pragnienie i duszę do dawnych czasów zwraca, kiedy to król przebrany na dziada o życiu ludu przekonywał się — jakby to dobrze było mówilem do egzekutora, ażeby lepszych gości z wyższych urzędników albo dostojników państwowych na egzekucję do wioski się wybrał, to jesteśmy pewni, że ci egzekwując poznawszy nasze marne życie byłaby to pierwsza i ostatnia egzekucja wykonywana celowo, tylko niewinnie, bo nie w stósunkowo na biednym rolnym narodzie. A wszystkich terażniejszych egzekutorów, tych najlepszych naszych przyjacieli, którzy w najgorszem położeniu nas odwiedzają i nie opuszczają wezwać do Warszawy, niech zdadzą sprawozdanie, jaki jest płacz i biadanie. Proszę pożyczyłem 500 złotych, aby kupić krowę, teraz musiałbym sprzedać pięć krow, aby się wywiązać z zobowiązania. Na litość Boga! proszę mnie zrozumieć, mam dwie krowy na swojej gospodarce, jestem śmiertelnym człowiekiem, cudów dokonać nie umiem — za co jestem taką ofiarą?, co komu jestem winien?, za co jestem przez

egzekutora szarpany?, czy ja temu jestem winien, że tak się stało? Dwa złote pięćdziesiąt groszy płaci się za kartkę upominającą od adwokata, „pasorzyty” nietylko w skórę ale i w duszę się wbijają! W takich i podobnych tarapatkach jest cały ogół rolniczy. Nadzieja także często zawodzi a tem samem kalkulacja rolna jest zawsze karkołomna. Na zboże ma się nadzieję, że do ust będzie co włożyć, podatki zapłacić, długi pooddawać, tymczasem rok nieurodzajny z powodu zimna i słoty i wód wylewów. Na przyszłość także niema widoków, oziminy dość mało zasianej z powodu deszczów, a i te myszy niezmiernie pustoszą. W ubiegłym roku grad i wylew wody, w innych latach ślimaki, niezmierna posucha, to znowu ogólny nieurodzaj — każdego roku prawie zawsze jakaś. mniejsza czy większa klęska. To samo jest z chowem inwentarza. Ma się nadzieję, że świnkę się sprzeda, tymczasem różycy do chlewa się wkrada i po jednym wyciąga, albo błonka pęka, chowa się ale co będzie z tego? Albo jeżeli się wychowa na bekon do Anglii za 54 gr. kg. żywej wagi — co za cudowna kalkulacja aż słów brakuje. Albo zachoruje bydłatko, ma guz w gardle, rolnik temu nie poradzi, a weterynarza nie przywiezie, bo weźmie tyle co kosztuje drugie pół zdrowej krowy. Jak sobie radzi, zdaje się na los i wolę Pana Boga, a krowina cierpi i mleko traci. Z cielątkiem podobna historia, jak się poszczęści to 6 do 8 zł. za nie chapnie — gorzko się uśmiechnie, na tyle braków i zaległości — oto obganiaczka domowa, która od dwóch krów raz albo dwa w roku się zdarza. Są jeszcze inne gałęzie gospodarstwa. Chów świń to niejedna matka sobie i dziecku od ust odejmie, a śwince da aby jaknajprędzej rosła i jak sprzeda po cenie wyżej wymienionej to i niejedną gorzką łzę do tej zaległej raty doda. Chów bydła i mleczarnia czy się opłaca? Tu niejeden przekonał się, że jest to prawdziwa spółdzielnia. Myśmy dawali mleko — oni odbierając śmietaną, a wracając nam chude mleko, płacono nam 7 do 8 gr. za tłuściz z jednego litra mleka. Przy całej tej kalkulacji ściągali z nas przeszło 9000 zł. za maszyny mleczarskie, za niedługo przyszedł podatek, sądownymi krokami kazał zabrać część naczyń mleczarskich egzekutorowi. Nauczyliśmy się suszyć i pościć, bo potrzeba wymaga — za funt sprzedanego masła kupi się półtora kg. smaru do wozu — oto karkołomna kalkulacja. Nielepiej plantacja tytoniu. Trzy ćwierci roku pracując przy uprawie tytoniu, żywiąc się nadzieją — tymczasem i to zawodzi — przy oddaniu słyszy się komendę: „Trzecia” mało, „Czwarta”, „Piąta” klasa. „Brak” — reszta do zakopania. Biedny plantator chce coś zawołać, sam nie wie co i jak najwyżej

Matko Boska, dobrze że mnie nie zakopują i do szczęśliwych należą ci, którzy rozpaczeni kupując sobie całą paczkę machorki za 60 gr. wracają z kilkoma złotymi do domu. Ale są jeszcze inni o których napisać nie umiem, na których w bramie u wyjścia czeka obława, rewizja, sekwestracja kieszonkowa. Żydzi i urząd skarbowy w podobny sposób się urządzają — wysyłają listę zaległych do Zarządu Monopoli Tytoniowego i tam za odebrany surowiec od plantatorów od razu należytość ściąga. Kto wie ile i jakich takim ściąganiem krzywd się wyrządza? Proszę, każde zdanie napisane i te co będą pisane niosą skargę, że mają cierpienia duchowe i materialne.

Dwa smutne w duszy zmagają się pytania. Czy rząd i władza nie myśli zająć się naszymi bolączkami i kierować narodem? Czy mając naród w opiece nie troszcząc się i nie zna jego życia?

Spracowana i drżąca sili się ręka aby napisać wyrozumiałe zdanie, a słowa te niechaj zaważą na szali. Trapi nas ciężka niedola, snują się w duszy smutne cierpienia, roszą lży drogi polne, że rolnik w wolnej Ojczyźnie u społeczeństwa swego niewolnikiem się staje. Do duszy chcąc nie chcąc wkrada się nienawiść i zobojętnienie na sprawy święte, nad życie cenione. Kto Ojczyzna nasza będzie Cię żywił i bronił? jeżeli rolnikom wolnej Ojczyzny niedola i nędza odbierze siłę fizyczną, a reszta cierpliwości zabije ducha i serca znieczuli. A przecież w nędzy nie kryje się tajemnica, bo chcąc zobaczyć to można. Jeżeli rolnictwo upadało w mgnieniu oka, to tylko dlatego, że dwa razy po 50% upadała zapłata za pracę rolnika, t. j. w ten sposób, że pszenica była około 60 złotych raz 50%, to 30 złotych drugi raz 50% byłoby 15 zł. a jest obecnie 16 do 17 zł. Krowa około 700 złotych raz 50% to 350, drugi raz 50% — 175 zł., a obecnie niema za tę cenę krowy. Dlaczego proszę — nie padało wszystko co żyje i mieści się w Polsce — a nie byłoby kryzysu, który nas gnębi. Stosowne porównanie: na jednym dobrym koniu jedzie Państwo Polskie, a na drugim takim samym rolnicy czyli ordynanse, tak było przed kryzysem. Po czasie jazdy koń pod rolnictwem pada — ci nie mają właśnie wyjścia, na krowę wsiadają, która każdy rozumie, że dwa razy po 50% wolniej od konia biegnie. Nareszcie kryzys zabiera komendę — równaj! wyścigi się zaczynają. Mimo wysiłków siedzących na krowie, krowa z koniem nie zdąża. Komornicy i egzekutorzy biegną do pomocy podpędzając ordynansów i krowę i to nie pomaga i nie pomoże. Na takie porównanie z płaczem się śmieje.

Działanie ulgi Urzędu Rozjemczego jest to poratunek, nie zginie, ale i żył nie będzie, lecz tylko przedłuży konanie. Ja nie skorzysta-

łem wywijając się z długami, pożyczyłem w jednym miejscu oddawałem w drugim. W ten sposób nie przewidując moratorium wyskoczyłem z daty, którą uwzględnił Urząd Rozjemczy. A w takim położeniu jak ja jest bardzo dużo, a rady dać sobie trudno. Jak wygląda pożyczka u żyda a w kasie — porównaj bracie, gdzie prędzej będziesz ofiarą — u żyda procent lichwiarski — a w kasie termin nieubłagalny i protest weksla — to złe, a to niedobre — taka jest różnica. Na dobitkę dolary przyczyniają udręczenie z jednej, a geszefta dla innych z drugiej strony, obecnie dolar 5.20 zł., ale spłacić to albo natychmiast dolary, albo prolongata dolar 9 zł. bez 15 groszy. Powtarzam — rola to warsztat — inwentarz to naczynie rolnika, które siłą, pracą i oszczędnością na jaką się zdobyć tylko może, powiększa i ulepsza. Czasem brakuje miejsca, często brakuje paszy, ciężko to się zdobywa te rzeczy prawda — ale z otuchą i nadzieją się żyje. Ale odwrotnie, jeżeli nagromadzone braki i powinności, w tym momencie kiedy to piszę właśnie, nie z braku miejsca, nie z braku paszy, wydzierają mi połowę żywiciela mojej rodziny t. j. jedną krowę, a mam dwie tylko. Cierpienia duchowe kurczą się jak sprężyna, bo najsilniejsze okowy przeciw sileniu pęknać będą musiały, jeżeli za dni kilka nie zdobędę parę dziesiątek, aby spłacić zaległości, będę musiał rozstać się z tem czego nie miałem nigdy do pozbycia choćby za pieniądze. Pieniądz dla rolnika nie jest żadnym klejnotem. Bez różnicy większa czy mniejsza gospodarka, byle sprawna praca zdrowie, spokój i troskliwa opieka wyjęta ze strony społeczeństwa, to jest uciecha i życie rolnika!

Naprawdę, że życie rolnika teraz jest tak nędzne, że niema na świecie istoty do porównania — porównałbym z koniem, nie można, bo kiedy jest brak największy wszystkiego, sobie człowiek uszczerbia a daje się koniowi, bo ziemia i praca bardzo jest ciężka, a jak osłabnie nie damy sobie rady. Gorsze od nędznej szkapy zgarbionego pracą u niesumiennego gospodarza, który jeść nie da, a dużo wymaga.

My rolnicy wspominałem półgłodni, bo zaspokojenie i utrzymanie gospodarki jest pilniejsze i ważniejsze od własnego głodu i zapotrzebowania. W dzisiejszych czasach kto więcej troszczy się o gospodarkę ten więcej nadmiernym uszczerbkiem nawet własnemu zdrowiu szkodzi. Żywi się zupełnie prawie postno i bardzo lichy. Tłuszcz jaki produkuje się w gospodarce wszystki musi być sprzedany. Narzekając na swoją dolę mam podstawę: ja wstydyłbym się narzekając, gdybym żył tylko sam dla siebie, a jeżeli niedawno,

bo dwa lata dobiega na sześciomorgowej gospodarce wyprodukowałem i sprzedałem w ciągu roku dziewięć sztuk trzody chlewnej na bekon ważącą 90 do 100 kg. jedna maciora, parę małych, jedno cielę, około 50 kg. masła i wszystkie jaja i dwa centnary zboża; silenia te były ponad siły, ale czy rolnik, który u nas jest zachwalany większą sztukę potrafi.

Czy ja zubożyłem się? — nie — zubożałem, bo kto inny moją pracą się bogaci. Cena sprzedaży nie zwraca nawet kosztów produkcji. A praca jest tak ciężka bardzo, nieograniczona godzinami, gdyby ktoś chciał koniecznie wiedzieć to zawsze godzin 18 i więcej zależy od ostatniej siły. Ręce poogniatane, palce jesienią boleśnie popękane od ziemi i błota. Mimo świeżego powietrza, którego rolnik używa, wychudnięty, pożółkniony, zgarbiony od pracy, a żebra ściskają mu płuca. Nad nędzą codzienną, jakby ją przeżyć tak ciężko się zastanawia, że oddychać zapomina. A spoczynek nocny jest także gorzki — zasnąć i odpocząć trudno bo cierpną, bolą ręce i nogi, a na bok drugi obrócić się trudno—oto rolna „atletyka”. Widziałem reklamę „Cukier krzepi”—może i krzepi, ale nie wszystkich, bo ja bynajmniej nie mam przekonania. Moja rodzina z czterech osób złożona w ciągu roku, w czasie choroby i świąt do 160 dekg. spożyła. Z cukrowego buraka gotuje się czasem lurki słodkiej, aby w gębie osłodzić przynajmniej wtedy, jak mleka niema, bo nie zawsze krowa się doi. W tym roku i tego niema, bo woda buraki cukrowe zabrała. Uwaga! Rok ten ciężki będzie do przeżycia i kto nie zorjentuje, a oszczędność zapóźni, przebiada swoją dolę. Rodzina czasem i jajko spożywa raz na Wielkanocne Świąta i wtedy, jak jajko się zbije, choć to nie smakuje, gdy się go do barszczu da, bo za to że jest strata dużo kłopotu gosposia wyprawia.

Niema się co i dziwić — bo to jajko rozporządza; czy dziś będzie — albo nie — solona strawa, czy będzie prana bielizna, czy będzie zapałka, i czy będzie nafta. Nie wystarcza tych jajek na wszystko, jak jest jedno, niema drugiego. Najgorzej we znaki daje się sól i nafta, bo bez soli trudno zjeść strawę, a bez nafty tak wielce niewygodnie, bo jesienią dzień mały, pracę ukończyćby trzeba, inwentarz obsłużyć się musi i do koszuli popatrzeć trzeba, bo z braku mydła niekażdego tygodnia bielizna jest prana, a w takiej bieliznie wnet mnoży się i nędza żywa. Niedługo, bo jak mróz i zimno pociśnie, skończą się i te jajka, jest ostatnia gwiazdka co w domu przyświeca, a wtedy wywlec ostatnie ziarka, a sam wbij zęby w ścianę. Ja jestem nałogowym palaczem — jak gorzko mi żyć bez tego! kupić niema

za co, tembardziej, że w stosunku do naszej doli jest bardzo drogi. Proszę nieraz żony — patrz jak jestem nieszczęśliwy — głowa się mi kręci — nie paliłem tak dawno. Dobra kobiecina ze serca by rada, a tu żadnego sposobu. Bierze abym nie widział, dwa trzy snopy zboża otłucze, pobiegnie, sprzeda i pół paczki machorki przyniesie — lzy do ócz się cisną z takiej roboty — bo ta życzliwość i liłość głód nam przyniesie. I co to za tytoń w każdej paczce inny, a drogi jak nieszczęście. Nie musisz palić — powie ktoś — tak słusznie! Ale człowiek przyzwyczajony do tej trucizny nikotyny, organizm obejść się nie może i mnie na starość trudno się oduczyć.

Czy wszyscy w Warszawie wiedzą o tem, że paczkę tytoniu przekrawa się nożem na cztery części, bo łatwiej kupić i sprzedać po 1/4-tej. A że zapalki kupuję na sztuki cztery za grosz, że kupuje się po parę dekagramów soli, że po 1/4 — 1/8 litra nafty, że dwie do cztery chaty posługują się jedną zapalniczką. Takich rzeczy jest bardzo dużo! Matko Najświętsza kiedy to się skończy?!

Zbliża się zima i każdy się lęka, jak kary czyścowej, ani kawałek patyczka, by ugotować strawę — nie wspominam tu o paleniu na ciepło — ani za co kupić, ani z lasu przyciągnąć. Kto ma silniejsze konie pojedzie, a to nie blisko, bo do 25 km. w jedną stronę i to się nazemści wozu i koni, nadźwiga, a o słabszych niema mowy, bo i z próżnym wozem nie powróci. A przecież kamienia poddostatkiem, a aut z silnemi maszynami tele jeździ wożąc jedną albo dwie osoby bez celu tam i zpowrotem. Tyle bezrobotnych, a płacimy podatek drogowy, a drogi są takie, że jadąc tą drogą błoto i woda na wóz wylazi. W zimie zimna rzeczywiście obawia się półnagi rolnik, bluzki koło domu już więcej jak pół roku nie mam, kompletną bieliznę rzadko kiedy się miewa, przez brak spodni do kościoła i do miasta nie chodzę, chyba, że czasem pożyczę, jeżeli jest ważne zebranie Okr. Tow. Rolniczego. Obuwie to naprawdę marny los, ja mam najlepsze z małemi dziurami — a rodzina moja ma tylko półbuty nazwać można — ale nie takie półbuciki jak nazywają meszty — tylko takie, że są cholewy, a przyszwów niema. Łóżka i spoczynek nocny do tych butów podobne, ma się pierze oskubane z domowego ptactwa, skikolone w jakiejś szmacie, to jest pierzyna, bo czem nakryje się biedny chłopina aby choć w nocy trochu ogrzać kości. Wylazi i wysypuje się to pierze z takiej poduszki, a poszwy przez nędzę kupić nie można. Wstając rano do nietoperzów jesteśmy podobni.

Nietoperz ma włosy i skrzydła, a my na głowie włosy, słomę i pióra. Pierzyna taka bywa zwykle familijna — która różne koleje życia przechodzi, niech domyślą się łaskawie dorośli resztę sami... chowają się małe dzieci — jest to gniazdo rodzinne. Dużoby o tem napisać i uskarżyć się za to, że rolnik nie z własnej winy zubożał, że niema czem płacić, to gniazdo i te marne pierze przez egzekutora są szarpane i zabierane. Przeżywając takie rzeczy, co w duszy się dzieje? Matka dziecko wysłała do szkoły, obejrzy koszulkę by go co nie gryzło w szkole, oczyści główkę, powyciąga piórka. „Mamo” woła — i płakać zaczyna „ja niemam zeszyta” — niema moje dziecko, może jutro kurka się zniesie — tak pociesza jak może, ale czy to będzie prawda?... Od kogo to zależy? Matko, Królowo Korony Polskiej! ratuj wszystkie dzieci polskie! przytul pod płaszcz opieki świętej co bosc i licho ubrane, pogłaskaj i pociesz co płaczą bez zeszytów i te co półrocze dobiega a one bez książki chodzą do szkoły — a do tych należy i moje. Nauczycielstwo troskliwe, niechaj nie karci, niech nie wypędza ze szkoły, bo cóż maliznota winna? Ono bosc, jak mróz pociśnie to i samo do szkoły chodzić przestanie. Dzień po dniu, rok po roku smutnie w zmartwieniu mija, a jeszcze Panie Wszechmocny dopomóż przeżyć emeryturę. Ta ostatnia chwila życia najczęściej bardzo gorzką bywa, rozpoczyna się wtedy, jak rolnik cały warsztat dzieciom rozda a sam sił do pracy już niema. Coraz trudniej wychować dobre i grzeczne dzieci, a tem trudniej przy takich dzieciach o szczęśliwą emeryturę. Wołałbym tysiąc razy dawniejszą prostotę, niżeli dzisiejszą kulturę. Młodzież coraz bardziej demoralizuje się, jedni z rozkoszy nie zdając sobie sprawy, a drudzy — rodzice trapieni nędzą opuszczają obowiązek wychowania dzieci. Takie rzeczy mszczą się okropnie, a szkody mogą być tak wielkie ogólne, że mogą być niepowetowane. W zimie na piecu odbywa się taka emerytura a nikt mu nie sprzyja, a wiosną gdy słońce ogrzeje, jeżeli słabo chodzi, niegrzeczne dzieci bez czucia pogany chrześcijańskie poszturkują i garbują staruszkowi kości i z bydłem na pastwisko wysyłają. Oswoiwszy się ciepłem wiosennem z lichego ubrania trzepie nędzę, która w ciągu zimy dość go nagryzła. A ptak polny śpiewa jakby pomagał albo płakał nad dolą staruszka. Staruszek słuchając głosu ptaszka polnego spojrział do góry — pomyślał o Bogu szepcząc modlitwę półgłosem, a kończąc ciężko wzdychając — Panie wysłuchaj błaganie moje! jeśli się położę, niech więcej nie wstanę!

Dużo rzeczy nie napisałem i pisać nie mogę, czegoś za dużo wilgoci w oczach się gromadzi.

Dwa wielkie życzenia w mej duszy spełniło się, niech spełni się proszę i trzecie, niech z Was! ale z naszych z krwi i kości, bo jesteśmy na wschodzie — przyjedzie! To co pisałem i napisać się nie dało, wszystko palcem pokaże i otworzę duszę w której mieszczą się cierpienia.

Dn. 27 listopada 1933 r.

MÉMOIRES DES PAYSANS

Résumé

L'Institut de l'Economie Sociale, encouragé par le succès de son concours des Mémoires d'un Chômeur, qui était organisé fin 1932 (774 réponses), a décidé de recourir de même à la voie de concours pour recueillir une documentation, illustrant les conditions d'existence de paysans au temps de la crise économique. En procédant à l'organisation du concours des Mémoires d'un Paysan en automne 1933, l'Institut ne s'attendait pas, en général, à des résultats plus abondants de son initiative, en tenant compte en premier lieu des difficultés de communication avec la population rurale. L'Institut s'est servi à cette fin surtout de la presse agricole et s'est efforcé en outre d'utiliser les organisations d'instruction sociales, travaillant dans les campagnes.

Contrairement aux prévisions, l'appel de l'Institut a provoqué de nombreuses réponses, provenant des parties même les plus éloignées du pays. Le paysan, harassé par les effets de la crise économique, a saisi l'occasion de confesser ses peines et ses désirs. Au total, l'Institut a reçu 498 mémoires, dont le premier quelques jours à peine après la publication du concours, ne dépassant en dimensions une simple carte postale; les mémoires suivants étaient plus volumineux, en atteignant dans quelques cas les dimensions d'un volume de quelques centaines de pages.

Le plus grand nombre des mémoires provient des voïevodies du Centre (252 mémoires) et du Sud (139 mémoires). La plus faible

a été la réponse des voïevodies de l'Est (48 mémoires) et de l'Ouest (59 mémoires). (La répartition territoriale des réponses suivant les districts, est illustrée par la carte figurant au début du volume). Lorsqu'on feuillette les mémoires, on a l'impression d'observer une suite kaléidoscopique d'images, illustrant les particularités des différentes régions et contrées du pays. Surtout pour ce qui est de l'aspect linguistique, certaines réponses présentent la valeur de documents de dialectes régionaux.

Sur les 498 réponses, 363 mémoires proviennent des paysans, possédant leur propre exploitation agricole; 22% de ces derniers possédaient des exploitations dites „naines”, soit de moins de 2 ha, 30,6% possédaient des exploitations de 2 à 5 ha, 28,1% de 5 à 10 ha, 16,5% de 10 à 20 ha et 2,8% à peine des propriétés de plus de 20 ha. De cette façon, parmi les participants au concours, prédominent les paysans moins aisés: 80,7% des réponses proviennent, en effet, des propriétaires d'exploitations de moins de 10 ha. Il est à relever que dans les voïevodies du Sud la prédominance des paysans possédant de petites exploitations est beaucoup plus forte que dans les autres voïevodies. Les pourcentages ci-dessus correspondent, d'une façon générale, à ceux des catégories particulières de paysans dans l'ensemble de la population rurale.

Pour ce qui est de la provenance du patrimoine, des réponses sont données dans 294 mémoires. Les propriétés héritées, bien qu'agrandies dans quelques cas par des achats ultérieurs, figurent dans le total ci-dessus pour 54,7% et les propriétés reçues en dot, bien qu'également agrandies parfois par des achats — pour 14,6%. Les auteurs de mémoires exploitant exclusivement des terres acquises par eux représentent 28,6%; 16,7% ont augmenté, par des achats ultérieurs, les exploitations reçues en héritage ou en dot. En d'autres paroles, 45,3% des auteurs de mémoires exploitent des terres acquises par eux ou agrandies par leurs achats. Ce pourcentage élevé d'exploitants de terres achetées donne lieu à supposer qu'ils n'ont pas pu le faire sans recourir aux emprunts. En effet, la campagne est fort endettée et les exploitations agricoles succombent sous le poids des dettes contractées soit dans les établissements de crédit soit chez des particuliers. Dans la plupart des cas mentionnés, les dettes ont été contractées à l'époque de bonnes conjonctures économiques lorsque les prix des produits agricoles étaient rémunérateurs et les paysans n'hésitaient pas à contracter des dettes pour les achats de terre, pour les partages familiaux, pour divers investissements et autres buts.

Mais, lorsque éclata une crise, d'une force inconnue dans les annales du monde, les prix des produits agricoles se déprécièrent dans la proportion de 50% et même plus; l'agriculteur, mis dans l'impossibilité de se procurer du numéraire, s'est trouvé incapable non seulement de rembourser la dette contractée, mais également de régler les intérêts usuraires, s'accumulant d'un mois à l'autre et s'est vu acculé à la ruine. Ces dettes dépassent actuellement, par suite de la baisse des prix de la terre, dans maints cas la valeur de l'exploitation entière. Ces dettes ont été contractées dans les établissements financiers et chez des particuliers; particulièrement onéreux est l'endettement de ce dernier type, par suite de l'intérêt très élevé. Comme le font ressortir les mémoires, l'endettement est une des préoccupations principales de la vie économique de la campagne de nos jours.

* * *

Il convient de consacrer encore quelques observations au statut personnel des mémorialistes et notamment leur âge, sexe, état de famille, participation à l'émigration, etc.

L'âge des participants accuse de sensibles écarts, entre les limites de 15 et de 80 ans. Les catégories de 15 à 29 ans sont moins fréquemment représentées que dans l'ensemble de la population: 16,1% parmi les mémorialistes, 47,3% pour l'ensemble de la population du pays. De ce fait, les personnes âgées de plus de 29 ans sont relativement nombreuses parmi les mémorialistes, ce qui indiquerait qu'ont pris part au concours en premier lieu les pères de famille, soit des hommes équilibrés et envisageant la réalité sans illusions. Quant à l'état civil, il y avait, parmi les hommes, 61 garçons, 11 veufs, 334 mariés et 75 n'ayant pas fourni de données quant à l'état civil. (Les participants au concours se recrutent presque exclusivement parmi les hommes, car le nombre des femmes n'est que de 17, dont 5 filles, 6 mariées, 1 veuve et 5 sans indication de l'état civil).

Parmi les mémorialistes, ayant fourni des précisions quant à leur état de famille, il n'y avait que 5 solitaires; 36 avaient une famille de deux personnes, 34 de trois personnes, 62 de quatre personnes, 53 de cinq personnes, 53 de six personnes, 48 de sept personnes, 31 de huit personnes, 17 de neuf personnes, 9 de dix personnes, 4 de onze personnes, 5 de douze personnes et 1 de 13 personnes. La moyenne s'établit pour toutes les réponses à 5,5 personnes.

La plupart des mémoires est pleine de souvenirs de guerre. Les uns ont servi dans l'armée russe, les autres dans les armées allemande ou autrichienne. Un grand nombre a lutté déjà sous les étendards polonais. Toutes ces descriptions sont empreintes d'une remarquable fraîcheur des souvenirs et frappent parfois par le talent des narrateurs.

De nombreux auteurs avaient émigré à l'étranger pour quelque temps. Sur les 75 réponses, donnant des précisions quant au séjour à l'étranger, 75% proviennent de personnes ayant émigré avant la guerre, 25% après 1914 et 9% avant et après la guerre, le plus souvent en Allemagne (23 émigrés saisonniers et 19 pendant quelques années). Les autres émigraient en Amérique du Nord (23), en France (4) et divers autres pays (5).

Sur les 498 mémorialistes, 256 ont donné des renseignements sur leur instruction: 174 ont fréquenté l'école élémentaire, 16 l'école secondaire, 11 l'école professionnelle et 55 ne sont pas allés à aucune école; dans ce dernier groupe se trouvent même deux analphabètes qui ont dicté leurs mémoires à d'autres personnes (dans un des cas, le père au fils).

Les documents reçus auraient fait plusieurs gros volumes; la présente publication ne contient, par conséquent, qu'un choix de 51 mémoires, considérés les meilleurs, qui reflètent, cependant, de la façon la plus complète, les conditions difficiles dans lesquelles se trouve aujourd'hui la population rurale. Ils sont, en général, représentatifs par rapport à l'ensemble des réponses reçues et ne se distinguent du reste que par la facilité des auteurs à exprimer leurs idées.

T R E Ś Ć

	Str.
SŁOWO WSTĘPNE	V—XVI
NIECO O PAMIĘTNIKACH I PAMIĘTNIKARZACH	XVII—XLII
ZAŁĄCZNIK	XLIII—XLVI
1. Mapa: Zasiąg terytorjalny konkursu na pamiętnik chłopa	
2. Odezwa Instytutu Gospodarstwa Społecznego w sprawie konkursu na pamiętnik chłopa	

P A M I Ę T N I K I C H Ł O P Ó W

WOJEWÓDZTWO WARSZAWSKIE	1 — 61
Pamiętnik Nr. 1. Gospodarz ongi trzydziestomorgowy w pow. błońskim	1
„ Nr. 2. Gospodarz czternastomorgowy w pow. warszawskim	18
„ Nr. 3. Żona gospodarza piętnastomorgowego w pow. warszawskim	26
„ Nr. 4. Gospodarz dwudziestomorgowy w pow. ciechanowskim	43
„ Nr. 5. Bezrolny wyrobnik wiejski w pow. pułtuskim	49
„ Nr. 6. Gospodarz dwumorgowy w pow. skierniewickim	55
WOJEWÓDZTWO ŁÓDZKIE	62—246
Pamiętnik Nr. 7. Gospodarz niegdyś na dziesięciu morgach, obecnie na uszczuplonej osadzie w pow. łaskim	62
„ Nr. 8. Gospodarz na trzymorgowym gospodarstwie w pow. radomszczańskim	80
„ Nr. 9. Małorolny gospodarz - rzemieślnik w pow. łódzkim	95
„ Nr. 10. Gospodarz na niepodzielonej schedzie szesnastomorgowej w pow. łęczyckim	108
„ Nr. 11. Muzyk, a zarazem gospodarz osiemnasto i pół morgowy w pow. radomszczańskim	131
„ Nr. 12. Dawny obieźyśas, obecnie gospodarz na sześciu morgach w pow. łaskim	144
„ Nr. 13. Dawny obieźyświat, obecnie gospodarz w pow. radomszczańskim	168
„ Nr. 14. Cieśla wiejski na karłowatym paromorgowym gospodarstwie w pow. łaskim	178

Pamiętnik Nr. 15.	Bezrolny wyrobnik wiejski w pow. kaliskim	184
„ Nr. 16.	Bezrolny, niegdyś sklepikarz, obecnie zarobkujący różnemi zajęciami w pow. łódzkim	203
„ Nr. 17.	Wielomorgowy gospodarz w pow. radomszczańskim	228

WOJEWÓDZTWO KIELECKIE 247—302

Pamiętnik Nr. 18.	Gospodarz na kupionem z zarobku gospodarstwie dziesięciomorgowem w pow. opatowskim	247
„ Nr. 19.	Gospodarz (nie wymienił liczby posiadanych morgów) w pow. stopnickim	264
„ Nr. 20.	Gospodarz na osadzie pięciomorgowej w pow. iłżeckim	270
„ Nr. 21.	Wyrobnik częściowo miejski, częściowo wiejski w pow. miechowskim	282

WOJEWÓDZTWO LUBELSKIE 303—419

Pamiętnik Nr. 22.	Gospodarz współwłaściciel na niepodzielonym piętnastomorgowem gospodarstwie w pow. łukowskim	303
„ Nr. 23.	Kowal na gospodarstwie małorolnem w pow. puławskim	311
„ Nr. 24.	Cieśla wioskowy, ostatnio gospodarz na czter-nastohektarowem gospodarstwie w pow. hrubieszowskim	320
„ Nr. 25.	Gospodarz współwłaściciel na gospodarstwie jedenastomorgowem w pow. puławskim	345
„ Nr. 26.	Współwłaściciel niepodzielonego gospodarstwa w pow. garwolińskim	353
„ Nr. 27.	Zamożny gospodarz w pow. puławskim	382
„ Nr. 28.	Średniorolny gospodarz na osadzie świeżo skomasowanej w pow. zamojskim	392
„ Nr. 29.	Gospodarz dwunastomorgowy w pow. puławskim	407
„ Nr. 30.	Małorolny gospodarz w pow. hrubieszowskim	415

WOJEWÓDZTWO BIAŁOSTOCKIE 420—474

Pamiętnik Nr. 31.	Średniorolny gospodarz, obecnie na skomasowanej osadzie w pow. wysoko-mazowieckim	420
„ Nr. 32.	Gospodarz małorolny w pow. wołkowyskim	434
„ Nr. 33.	Gospodarz bodaj średniorolny w pow. wołkowyskim	453
„ Nr. 34.	Gospodarz mający dwadzieścia dziewięć morgów w pow. szczuczyńskim	465
„ Nr. 35.	Gospodarz dziesięciohektarowy w pow. ostrowskim	469

WOJEWÓDZTWO WILEŃSKIE	475—554
Pamiętnik Nr. 36. Córka gospodarza na świeżo skomasowanym gospodarstwie w pow. postawskim	475
„ Nr. 37. Gospodarz małorolny, dorabiający różnemi rzemiosłami, przeważnie wyrobem harmonji w pow. święciańskim	481
„ Nr. 38. Syn gospodarza pracujący w gospodarstwie domowym w pow. wilejskim	524
„ Nr. 39. Gospodarz pięciohektarowy w pow. mołodeckim	547
WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE	555—599
Pamiętnik Nr. 40. Gospodarz dwudziestopięciomorgowy w pow. bydgoskim	555
„ Nr. 41. Gospodarz-warzywnik na osadzie liczącej dwie i pół mórg, (a nadto mający stałą posadę) w pow. poznańskim	566
„ Nr. 42. Dawniej górnik, obecnie gospodarz na dwudziestu czterech morgach w pow. rawickim .	594
WOJEWÓDZTWO KRAKOWSKIE	600—694
Pamiętnik Nr. 43. Wyrobnik (muzykant), a później dorabiający się gospodarz w pow. myślenickim, który po wojnie przeniósł się do pow. inowrocławskiego	600
„ Nr. 44. Gospodarz czteromorgowy (z ćwiercią) w pow. wadowickim	621
„ Nr. 45. Gospodarz drobnorolny w pow. dąbrowskim	629
„ Nr. 46. Syn gospodarza małorolnego w pow. wadowickim, odtwarza dzieje swojej rodziny . . .	639
„ Nr. 47. Gospodarz małorolny w pow. gorlickim . . .	652
„ Nr. 48. Gospodarz małorolny w pow. limanowskim .	663
„ Nr. 49. Gospodarz średniorolny w pow. jasielskim .	675
WOJEWÓDZTWO LWOWSKIE	695—699
Pamiętnik Nr. 50. Gospodarz na dwóch gospodarstwach w oddalonych od siebie miejscowościach w pow. łańcuckim	695
WOJEWÓDZTWO TARNOPOLSKIE	700—710
Pamiętnik Nr. 51. Gospodarz sześciomorgowy w pow. buczackim	700
RÉSUMÉ	711—714

O M Y Ł K I W D R U K U

<i>Str.</i>	<i>Wiersz</i>	<i>Jest:</i>	<i>Winno być:</i>
10	5 od góry	„Rygowar”	„Rygawar”
176	16 od dołu	żebyś podpisał żydowi,	żebyś podpisał, żydowi
226	7 „ „	„Torby dziedowski”	„Torby dziadowski”
278	9 od góry	dzielne Polski	dzielne Polki
339	18 od dołu	żadną trudności	żadną trudnością
389	4 „ „	bliźnemu	bliźniemu
568	19 od góry	nazywane	nazwana
599	4 „ „	nieszczędzi	nieszczęści
686	2 od dołu	połdów	plodów
687	11 „ „	kował	kował

Z G Ł O S Ó W P R A S Y
O WYDAWNICTWIE INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO

Pamiętniki Bezrobotnych

(w porządku chronologicznym)

Piękna to książka, bodaj jedna z najpiękniejszych w Polsce, ale zarazem straszliwa. Piękna dlatego, że tak prawdziwa.

H. K. (Gazeta Polska, 7 grudnia 1932).

Przedziwna książka. Książka której autorstwo płynie z nędzy i z głodu. Książka ludzi dotkniętych klęską bezrobocia.

m. k. (Nowiny Codzienne, 1932, Nr. 234).

„Pamiętniki Bezrobotnych” — to straszliwy, okrutny dokument, nad którym żadną miarą przejść spokojnie do porządku dziennego nie można...

K i l. (Walka, 11 grudnia 1932).

Ta książka nie jest powieścią, chociaż czyta ją się jednym tchem, jak najgenialniejszą powieść.

S t. P. (Kurjer Czerwony, 13 grudnia 1932).

„Pamiętniki” są bodaj najwybitniejszym dziełem Polski Niepodległej, są dziełem epokowym — tego przekonania nabiera każdy z każdej niemal stronicy tej książki...

J o t e m (Robotnik, 13 grudnia 1932).

Potężna i tragiczna wymowa życia współczesnego odbija się w sposób najbardziej może plastyczny i wyrazisty w epokowym dziele o skromnym tytule „Pamiętniki Bezrobotnych”.

(Ilustrowany Express Poranny, Lwów, 15 grudnia 1932).

Książka jest wstrząsająca w swej prawdzie, w swej grozie... ..Kolektywna twórczość anonimowych bezrobotnych stworzyła dzieło sztuki przerażające o niebo produkcję wielu zawodowych literatów.

(Nowe Pismo, 18 grudnia 1932).

Jest to dokument epoki bezcenny nie tylko dla przyszłego historyka, ale też dla każdego z ludzi myślących, kto chce zrozumieć swoją współczesność, a już zwłaszcza kto chce na jej drogi rozwoju oddziaływać.

I. P. (A.B.C., 21 grudnia 1932).

Pamiętniki nie mają wartości dowodu naukowego, ale są bardzo ciekawym przyczynkiem do badania stosunków społecznych i do poznania duszy ludu naszego.

Władysław Grabski (A.B.C., 24 grudnia 1932).

Pamiętniki zebrane w tej książce stanowią bezpośredni i wszechstronny materiał dotyczący bytu i przeżyć bezrobotnych w dobie obecnego kryzysu.
P. P. (Inspektor Pracy, 1932, Nr. 4).

Czytać tę książkę — to zgroza, to jęk ginących powolną śmiercią z głodu.
Tomasz Nocznicki (Wyzwolenie, 1 stycznia 1933).

Cet ouvrage, certes, ne dit pas toute la vérité, mais il ne dit que la vérité.
Jean Soltan (La Pologne, Paris, 1 janvier 1933).

„Pamiętniki Bezrobotnych” to cała kopalnia zagadnień wagi pierwszorzędnej...
A. H. (Droga, styczeń 1933).

Nędza i głód przemawiają w tej książce językiem prostym, stylem niewyszukanym. To nie „literatura”, to rzeczywistość gryząca w oczy, wywołując bolesny skurcz serca.
Jerzy Gutsche (Dziennik Poznański, 1 stycznia 1933).

„Pamiętniki Bezrobotnych” — winny stać się lekturą powszechną całego naszego społeczeństwa.
J. Karczyński (Polski Czerwony Krzyż, 1933, Nr. 1).

Wielka księga protestu i buntu, wstrząsający dokument naszych czasów. Wyraz uczuć i myśli milionów. Groźne ostrzeżenie i wyraźna zapowiedź.
(Epoka, 1933, Nr. 2).

Najdostojniejsza książka, jaką od wielu, wielu lat miałem w ręku. Obraz rzeczywistości, jakiego nie potrafiłby odmalować najznakomitszy artysta-socjolog. Prawda, nieskażona literaturą.
Henryk Rygiel (Jutro Pracy, 8 stycznia 1933).

Wszystkie 57 pamiętników, zarówno te, które iskrzą się świetnym talentem, jak napisane w formie poprawnego sprawozdania, jak wreszcie skreślone całkiem nieudolnie, — wszystkie są jednakowo ważne.
Marja Milkiewiczowa (Wiadomości Literackie, 8 stycznia 1933).

Obraz tragiczny, potężny w swej grozie, wołający jednym olbrzymim chórem rozpacz o pracę, będzie kiedyś przyczynkiem do historii współczesnego okresu.
Z. Z. (Kurjer Warszawski, 13 stycznia 1933).

Książka porywająca i monumentalna, ciosana rozpaczliwymi uderzeniami serc bloku ludzkiej niedoli.
Old Lady (Bluszcz, 1933, Nr. 4).

Pamiętniki przekonywują czytelnika o istnieniu ukrytych, napawających otuchą i wiarą w przyszłość, wartości.
Henryk Tennenbaum (A.B.C., 22 stycznia 1933).

„Pamiętniki Bezrobotnych” stanowią jako podstawa studjów nad psychologią bezrobotnych mas dzieło o wielkiej naukowej wartości.
Dr. Józef Loos (Naprzód, 29 stycznia 1933).

Wierzmy, że „Pamiętniki Bezrobotnych” mogą się stać czemś więcej niż przyczynkiem, że staną się materiałem dla budowania „programu na dziś

i na jutro”, opartego o znajomość prawdziwej, a nie „umownej rzeczywistości”.

k. b. (Gospodarka Narodowa, 1 lutego 1933).

Was die 57 Arbeitslosen erzählen, ist ja nur ein winziger Bruchteil von dem, was in diesen Jahren Millionen von Menschen widerfahren ist. Die Dokumente sollen weiterhin allen denen, die in die Zukunft sehen, Politikern und Wirtschaftsführern, Aufschluss geben, was in den Tiefen der menschlichen Seelen emporwächst.

A. S t. M á g r (Prager Presse, 12 lutego 1933).

Książkę tę jednak trzeba czytać długo w nawrotach. Przeznaczona jest dla umysłów poważniejszych, zrównoważonych, które wyciągną z tej przerażającej treści wnioski i akty woli mogące stać się początkiem i motorem właściwej i mądrej akcji zaradczej.

(Tęcza, luty 1933).

Sześćset stronlic dużej książki ociekającej krwawemi łzami...

H e l. R o m e r (Kurjer Wileński, 13 lutego 1933).

Jest to prawdziwa kopalnia dla literata, socjologa, ekonomisty, populacjonisty — ale przede wszystkim dla... społeczeństwa.

F. Z. (Ilustrowany Kurjer Codzienny, 19 lutego 1933).

Ainsi donc, l'ensemble de cette publication offre une précieuse documentation de première main sur la vie des chômeurs... ...il serait peut-être utile que, dans d'autres pays, des institutions semblables à l'Institut d'économie sociale polonais entreprisissent des enquêtes analogues.

J. R o s n e r (Revue Internationale du Travail, mars 1933, Nr. 3).

„Pamiętniki Bezrobotnych” posiadają dla budującej się współczesnej kultury niezwykle cenny walor faktograficzny.

S t e f a n K a w y n (Słowo Polskie, 6 marca 1933).

„Pamiętniki Bezrobotnych” ist ein sozialpsychologisches Dokument ersten Ranges.

(Slavische Rundschau, Praga, 1933, Nr. 3).

Każdy człowiek o ile nie chce żyć w utudnej rzeczywistości, każdy kto pragnie zdawać sobie sprawę z istotnych nastrojów, aby nie być kiedyś zaskoczonym nieprzewidzianym zbiegiem wydarzeń, musi książkę tę przestudjować dokładnie i namyśleć się nad nią.

D r. M. J. Z i o m e k (Przegląd Powszechny, 1933, Nr. 591).

To jest obraz życia, nie ten widziany oczami aparatu administracyjnego, ale prawdziwy obraz rzeczywistości, w całej swej nagości przedstawiony.

Z d z i s ł a w S i u d y ł a (Kuźnia Młodych, 15 marca 1933).

Czytać tej książki spokojnie i długo niepodobna. Za silnie, za mocno odsłonięta w niej nęcza wstrząsa duszą i sumieniem.

M. R e u t t. (Dziennik Wileński, 16 marca 1933).

Pamiętniki Bezrobotnych otwierają nam oczy na piekło świata kapitalistycznego.

W ł. W e y c h e r t - S z y m a n o w s k a (Głos Kobiet, marzec 1933).

To co się czyta w tych pamiętnikach, przejmując zgrozą i wstydem jeśli pomyśleć, że w tej sytuacji znajduje się zgórą $1\frac{1}{2}$ miliona żywciceli, przeszło $1\frac{1}{2}$ miliona osób.

E. W. (Pracownik Spółdzielczy, 1933, Nr. 2).

Les sentiments exprimés par les chômeurs polonais sont ceux qui animent les chômeurs de tous pays.

(Le Peuple, Bruxelles, 1933, Nr. 90).

W olbrzymiej literaturze o tem najaktualniejszym zagadnieniu (bezrobociu) książka polska, wydana przez Instytut Gospodarstwa Społecznego, jest jedyną w swoim rodzaju, zarówno co do inicjatywy jak i jej wykonania.
J a n i n a R y n g m a n o w a (Ruch Prawniczy i Ekonomiczny, 1933, Nr. 2).

...cette enquête ...constitue un document de tout premier ordre, non seulement sur le chômeurs polonais mais sur la situation et la psychologie des chômeurs dans tous les pays...

(Monde, 8 avril 1933).

Pamiętniki zebrane w tej książce stanowią bezpośredni i wszechstronny materiał dotyczący bytu i przeżyć bezrobotnych w dobie obecnego kryzysu.
(Górnośląskie Wiadomości Gospodarcze, 1933, Nr. 9).

W głąb zbiorowego życia prowadzą dopiero „Pamiętniki Bezrobotnych” — jedna z najbardziej wstrząsających książek.

(Podchorążak, maj 1933).

„Pamiętniki Bezrobotnych” to lektura ciężka i przygnębiająca. Niemniej powinien je przeczytać każdy jako wymowny i bezlitosny w swej nagiej prawdzie dokument dzisiejszej rzeczywistości tak pełnej tragicznych sprzeczności.
N. A. (Polska Oświata Pozaszkolna, 1933, Nr. 2).

Lektura „Pamiętników” — to dla inżyniera uzupełnienie wiedzy o życiu tych grup społecznych, których kierownikiem jest już z racji swego fachu.
B a r d (Nowiny Techniczne, 1933, Nr. 7).

Jedna z najprostszych a przecież najosobliwszych i najbardziej pouczających książek... „Pamiętniki Bezrobotnych” to bowiem cała wielka, prawdziwa „Biblia Pauperum”.

Cezary Jellenta (Polska Zbrojna, 11 czerwca 1933).

Bije bowiem z „Pamiętników” rzecz stokroć ważniejsza i trwalsza od konstrukcji, od poprawności języka, od kultury i t. p., bije życie nefalszowane, przerażające, bolesne życie, na które w naszej współczesnej literaturze kładzie się w większości wypadków tłumik.

J e r z y A n d r z e j o w s k i (A.B.C., 14 października 1933).

Książka jest znamieną dla naszego czasu, książka - przestroga. „Nieboska Komedja” współczesności.

P r o f. S t. P i g o ń (A.B.C., 23 grudnia 1933).

Jest tam niewyczerpana wprost kopalnia materiału dla socjologa, lecz i bezcenna też gleba dla pisarza, ale to pisarza w całym tego słowa znaczeniu.

J ó z e f N i k o d e m K ł o s o w s k i (Państwo Pracy, 1934, Nr. 10).

„Pamiętniki Bezrobotnych” to pierwsze tomy literatury proletarjackiej — tej istotnej, — niesfalszowanej, — bezpośredniej i dlatego wysoce cennej.
H a n n a N a ł e c z - O s t r o w s k a S z y m a ń s k a (Trzeźwość, 1934, Nr. 9—10).

WYDAWNICTWA
INSTYTUTU GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO
W WARSZAWIE, UL. CZERWONEGO KRZYŻA 20, TEL. 511-19
R-k czekowy w P. K. O. 12099

<i>Biatobłocki B.</i>	Szkice literackie	3.—
<i>Bierengowski J.</i>	Urlopy wypoczynkowe maszynistów kolejowych	2.—
<i>Drobny przemysł i chałupnictwo.</i>	T. I i T. II	27.50
<i>Fabierkiewicz W.</i>	O konsekwencjach gospodarczych planu Daves'a	wyczerpane
—	Rosja współczesna	5.50
—	Walka o Śląsk Górny	wyczerpane
<i>Jastrzębski W.</i>	Organizacja pracy fizycznej	5.—
<i>Korniłowicz K.</i>	Akcja społeczno-kulturalna w górnictwie angielskim	3.—
—	Wczasy młodzieży pracującej	wyczerpane
<i>Kozłowski St.</i>	Warunki bytu pracowników bankowych w Polsce	1.50
<i>Krahelska H.</i>	Łódzki przemysł włókienniczy wobec ustawodawstwa pracy	1.—
—	Praca dzieci i młodocianych w Polsce	2.50
—	Praca kobiet w przemyśle współczesnym	5.—
<i>Krieger A.</i>	Ubezpieczenie na wypadek choroby w Polsce	10.—
<i>Krzyżkowski J. i Sobierańska Z.</i>	Stosunki kredytowe wśród drobnej własności rolnej	12.—
<i>Kuropatwińska M.</i>	Ogrody działkowe a kultura miast	3.50
<i>Landau W.</i>	Izby pracy	1.80
—	Ośmiogodzinny dzień pracy	3.50
—	Poglądy włościan na sprawę niepodzielności gospodarstw wiejskich	2.70
—	Walka o bezpieczeństwo pracy	5.—
<i>Materiały do Bibliografii Ekonomicznej w języku polskim</i>	pod redakcją prof. <i>L. Krzywickiego</i>	wyczerpane
<i>Materiały do Bibliografii Gdańska</i>	pod redakcją prof. <i>L. Krzywickiego</i>	wyczerpane
<i>Młynarski F.</i>	Walka o naprawę skarbu	wyczerpane
<i>Moraczewska A.</i>	Wczasy robotnicze	5.—
<i>Pamiętniki bezrobotnych</i>		15.—
<i>Piltz F.</i>	Dochody mieszkańców Warszawy	5.—
<i>Rosja Sowiecka pod względem społecznym i gospodarczym.</i>	Pod redakcją prof. <i>L. Krzywickiego</i> . Część I i II	13.—
<i>Rosset E.</i>	Proletariat łódzki w świetle badań demograficznych	3.50
<i>Rychliński St.</i>	Czas pracy w przemyśle polskim	4.—
—	Marnotrawstwo sił i środków w przemyśle polskim	6.—
—	Płace i zarobki robotników przemysłowych w dziesięcioleciu 1918 — 1928	wyczerpane
<i>Sterling H.</i>	Międzynarodowa Organizacja Pracy	1.50
<i>Sztetnerowa W. i Błaszczykowa M.</i>	Młodzież robotnicza w Austrii	1.50
<i>Szturm de Sztrem E.</i>	Samowystarczalność Polski pod względem żywym	1.—
<i>Szturm de Sztrem T.</i>	Bezrobocie w Europie dzisiejszej	4.—
—	Działanie inflacji w sferze podatkowej	wyczerpane
—	Płace zarobkowe w okresie dewaluacji pieniężnej	2.—
—	Walka o płace zarobkowe	2.—
—	Zywiłowość w opodatkowaniu. Podatek inflacyjny	
	Ze słowem wstępnym prof. <i>L. Krzywickiego</i>	wyczerpane
<i>Warunki życia robotniczego w Warszawie, Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskiem</i>	w świetle ankiet 1927 roku	15.—
<i>Zacharzewska St.</i>	Urlopy wypoczynkowe pracowników drukarskich	6.—
<i>Zieliński J.</i>	Higjena pracy	9.—
<i>Życie i praca pisarza polskiego</i>		12.—

Do nabycia we wszystkich księgarniach

